



artefakty

DAN SIMMONS

MODLITWY DO ROZBITYCH KAMIENI
CZAS WSZYSTEK, ŚWIATY WSZYSTKIE
MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

Dan Simmons

MODLITWY DO
ROZBITYCH KAMIENI

CZAS WSZYSTEK,
ŚWIATY WSZYSTKIE

MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

Przełożyli
Michał Jakuszewski, Anna Reszka,
Wojciech Szypuła, Robert Waliś

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023

Spis treści

modlitwy do rozbitych kamieni

Wstęp do „Styks płynie pod prąd”

Styks płynie pod prąd

Wstęp do „Oczu napotkać nie śmiem w moich snach”

Oczu napotkać nie śmiem w moich snach

Wstęp do „Vanni Fucci ma się dobrze i żyje w piekle”

Vanni Fucci ma się dobrze i żyje w piekle

Wstęp do „Koszmaru za sprawą bujającej się kołyski”

Koszmar za sprawą bujającej się kołyski

Wstęp do „Wspomnienia o Siri”

Wspomnienie o Siri

Wstęp do „Metastazy”

Metastaza

Wstęp do „Ofiary”

Ofiara

Wstęp do „Biletu do Wietnamlandu”

Bilet do Wietnamlandu

Wstęp do „Wądołów Iversona”

Wądoły Iversona

Wstęp do „W ząbek czesanych”

W ząbek czesani

Wstęp do „Śmierci centaury”

Śmierć centaury

Wstęp do „Dwóch minut czterdziestu pięciu sekund”

Dwie minuty czterdzieści pięć sekund

Wstęp do „Trupiej otuchy”

Trupia otucha

czas wszystek, światy wszystkie

Poszukiwania Kelly Dahl

Sieroty z Helisy

Dziewiąty dzień miesiąca aw

Na K2 z Kanakaredesem

Koniec grawitacji

miłość i śmierć

Łóżko entropii o północy

Śmierć w Bangkoku

Sypiając z zębatymi kobietami

Flashback

Wielki kochanek

Przypisy

Tytuł oryginału: *Prayers to Broken Stones. Worlds Enough & Time. Lovedeath*

Copyright © 1990, 2002, 1993 by Dam Simmons
Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Urszula Okrzeja, Magdalena Górnicka, Bartosz Szpojda, Elwira Wyszyńska

Projekt typograficzny: Tomek Laisar Fruń
Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Crayon

Nazwa serii: Vanrad
Redaktor serii: Andrzej Miszkurka

ISBN 978-83-67793-81-0
Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 227335010
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

modlitwy do rozbitych kamieni

Wstęp do „Styks płynie pod prąd”

Często powtarza się frazes, że pisanie fantastyki przypomina wydawanie na świat dzieci. Jak w przypadku większości frazesów, jest w tym ziarno prawdy. Pojawienie się pomysłu na opowiadanie lub powieść – chwila czystej inspiracji i poczucia – jest najbliższe ekstazie w zawodzie pisarza. Sam proces tworzenia, zwłaszcza powieści, trwa mniej więcej tyle, ile ciąża, i wiążą się z nim liczne niewygody, okresy złego samopoczucia oraz oczekiwanie na nieuniknione trudy porodu. W końcu opowiadania bądź książki zaczynają żyć własnym życiem i wymykają się spod kontroli pisarza; podróżują do krajów, których autor może nigdy nie odwiedzić, uczą się wysławiać w językach, których pisarz nigdy nie opanuje, docierają do czytelników dysponujących znacznie większymi wpływami lub poziomem wykształcenia, a także – co jest chyba najbardziej irytujące – trwają, gdy autor zmienia się w proch i zapomniany przypis na marginesie.

Te niewdzięczne bachory nawet nie piszą do rodziców.

Opowiadanie *Styks płynie pod prąd* zostało poczęte pewnego pięknego sierpniowego poranka w 1979 roku, w altance na tyłach domu moich teściów w Kenmore w stanie Nowy Jork. Pamiętam, że napisałem pierwszy akapit, na chwilę oderwałem się od pracy i pomyślałem: „To będzie moje pierwsze opowiadanie, które ukaże się drukiem”.

Tak się stało, ale dopiero dwa i pół roku później, po niezliczonych perypetiach.

Tydzień po skończeniu pierwszej wersji tekstu pojechałem do Rockport w stanie Maine, by odebrać moją żonę Karen z warsztatów fotograficznych. Po drodze spędziłem dzień w Exeter w stanie New Hampshire, gdzie spotkałem się z pewnym szanowanym pisarzem, z którym wcześniej tylko korespondowałem. Poradził mi: „Wysyłaj teksty do «niewielkich czasopism», przez lata – a nawet dziesięciolecia – buduj swoją reputację na mniejszych rynkach, zadowolając się egzemplarzami autorskimi zamiast honorarium, zanim chociaż pomyślisz o napisaniu powieści, a potem przez kolejne lata publikuj u mało znanych wydawców, dla najwyżej tysiąca czytelników, jednocześnie starając się zyskać uznanie krytyków”.

Odebrałem Karen z Rockport i rozpoczęliśmy długą podróż powrotną do naszego domu w Kolorado. Przez większość drogi milczałem, rozmyślając o radzie pisarza. Były to mądre słowa – tylko jednemu na setki albo tysiące potencjalnych pisarzy udaje się cokolwiek wydać, a tylko nieliczni z tych, którzy doczekają się wydania swoich tekstów, mogą się z tego utrzymać... nawet na najniższym poziomie. Statystyczne szanse na zostanie „poczytnym pisarzem” są porównywalne z szansami na trafienie przez piorun podczas ataku rekina.

Dlatego w drodze między Rockport a górami Kolorado doszedłem do wniosku, że rada była słuszna, uświadomiłem sobie, że droga „niewielkich wydawnictw” jest tą właściwą, i zrozumiałem, że pisanie dla masowego odbiorcy, a zarazem tworzenie wysokiej jakości tekstów to mrzonka... o której należy zapomnieć.

A potem, kiedy zobaczyłem Góry Skaliste wznoszące się nad równinami, powiedziałem sobie: „A właśnie, że nie”. Trochę na przekór postanowiłem pisać dla jak najszerzego odbiorcy.

Przenieśmy się w czasie do lata 1981 roku, dwa lata później. Przygnębiony, zniechęcony, niemal załamany niezliczonymi odmowami, rozczarowany rzeczywistością, przestałem dobijać się do wydawców i zrobiłem coś, czego poprzysiągłem sobie nigdy nie robić: pojechałem na konferencję dla pisarzy. A nawet zapłaciłem, by na nią pojechać. To była jedna z tych konferencji, podczas których nauczano, „jak przygotować maszynopis”, a potencjalni pisarze siadywali w kręgu i nawzajem krytykowali swoje teksty. To był mój łabędzi śpiew. Pojechałem tam, by zacząć postrzegać pisarstwo jako hobby, a nie obsesję.

I wtedy poznałem Harlana Ellisona.

Nie będę was zanudzał szczegółami dotyczącymi tego spotkania. Nie będę opisywał poprzedzającej je rzezi, gdy legendarny *enfant terrible* rozczłonkowywał i patroszył pechowych kandydatów na pisarzy, którzy poddawali jego ocenie swoje opowiadania.

Pomiędzy wygłaszaniem kolejnych opinii, gdy Harlan Ellison odpoczywał i sączył wodę Perrier, organizatorzy warsztatów usuwali rozrzucone członki z sali seminaryjnej, myli ściany, rozsypywali trociny na wykładzinie i przygotowywali pomieszczenie na przyjęcie kolejnej ofiary.

Okazało się, że to ja miałem nią być.

– Kim jest ten Simmons?! – wydarł się Ellison. – Wstań, pomachaj ręką, pokaż się, psiakrew. Ja pierdołę, co za narcyz miał czelność i tupet oddać opowiadanie na, kurwa, pięć tysięcy słów? Pokaż mi się, Simmons!

Podjąłem jedną z najodważniejszych (czytaj: najbardziej szalonych) decyzji w swoim życiu i pomachałem palcami. Wstałem.

Ellison popatrzył na mnie znad okularów.

– Mam nadzieję, że przynajmniej będzie dobre, Simmons... Nie, musi być kurewsko genialne, w przeciwnym razie nie wyjdiesz stąd żywy. *Comprende? Capisce?*

Uszedłem z życiem. Prawdę mówiąc, dawno nie czułem się tak żywy, jak po wyjściu z tej sali. Nie chodziło tylko o to, że Ellisonowi spodobało się opowiadanie. Razem z Edem Bryantem oraz kilkoma innymi pisarzami wypunktowali wszystkie wady fabuły, ujawnili wszystkie fałszywe nuty i niewidzialne ściany, wskazali miejsca, przez które się prześlizgnąłem, choć wymagały więcej uwagi, zerwali zasłony ze wszystkich niedoskonałych zdań i blagierskich fraz. Ale potraktowali mój tekst poważnie.

Harlan Ellison zrobił coś jeszcze. Oznajmił mi to, co wiedziałem od lat, ale w co nie śmiałem wierzyć – powiedział, że nie mam wyjścia i muszę dalej pisać, nawet jeśli nigdy nie zostaną wydane. Powiedział, że niewielu ludzi słyszy muzykę, ale ci, którym jest to dane, muszą podążać za jej brzmieniem. Powiedział, że jeśli nie usiądę do maszyny do pisania, osobiście poleci do Kolorado i urwie mi pieprzony nos.

Usiadłem do maszyny do pisania. Ed Bryant był na tyle miły, że pozwolił, abym jako pierwszy niepublikowany pisarz wziął udział w konferencji w Milford... gdzie nauczyłem się grać w jednej drużynie z prawdziwymi szychami.

Tamtej jesieni zgłosiłem poprawioną wersję opowiadania *Styks płynie pod prąd* na pierwszy doroczny konkurs literacki dla debiutantów w „Twilight Zone Magazine”. Według redakcji spłynęło ponad dziewięć tysięcy tekstów, które trzeba było przeczytać i ocenić. *Styks...* zajął pierwsze miejsce, ex aequo z opowiadaniem W.G. Norrisa.

W ten sposób moje pierwsze wydane opowiadanie trafiło na sklepowe półki 15 lutego 1982 roku. Tak się składa, że tego samego dnia przyszła na świat nasza córka, Jane.

Minęło sporo czasu, zanim ktokolwiek, wliczając mnie samego, zauważył mój debiut. Analogie między pisaniem a wydawaniem na świat dzieci brzmią efektownie, ale prawdziwe dzieci wygrywają w przedbiegach.

Poddaję pod waszą ocenę opowieść o miłości, stracie i smutnej konieczności rezygnowania z tego, co najbardziej kochamy...

Styks płynie pod prąd

*To co najbardziej kochasz – pozostanie
reszta to śmieci
To co najbardziej kochasz, nie będzie ci wydarte
To co najbardziej kochasz, to twoje prawdziwe
dziedzictwo...*

Ezra Pound, *Pieśń LXXXI*
(przeł. Andrzeja Sosnowski)

Bardzo kochałem swoją matkę. Po jej pogrzebie, kiedy już opuszczono trumnę do grobu, rodzina wróciła do domu i czekała na jej powrót.

Miałem wtedy dopiero osiem lat. Niewiele zapamiętałem z obowiązkowej ceremonii. Pamiętam, że kołnierzyk zeszłorocznej koszuli mocno mnie uwierał, a krawat, do którego noszenia nie przywykłem, był jak pętla wokół mojej szyi. Pamiętam, że tamten czerwcowy dzień był zbyt pogodny jak na takie posępne zgromadzenie. Pamiętam, że wujek Will od rana ostro pił i już w drodze do domu wyciągnął butelkę whisky Jack Daniel's. Pamiętam twarz ojca.

Popołudnie strasznie się dłużyło. Tamtego dnia nie miałem żadnej roli do odegrania i dorośli mnie ignorowali. Włóczyłem się od pokoju do pokoju ze szklanką ciepłego kool-aida, aż w końcu uciekłem na podwórze. Nawet tę znajomą scenerię zabaw i odosobnienia psuły blade, tłuste twarze sąsiadów w oknach. Czekali. Mieli nadzieję, że coś zobaczą. Miałem ochotę na nich krzyczeć i ciskać kamieniami. Ale zamiast tego usiadłem na starej oponie traktora, której używaliśmy jako piaskownicy. Rozmyślnie wylałem czerwoną lemoniadę na piasek i patrzyłem, jak rozszerzająca się kałuża żłobi niewielki dołek.

Właśnie ją wykopują.

Podbiegłem do huśtawki i ze złością zacząłem odpychać się nogami od gołej ziemi. Zardzewiała huśtawka skrzypiała, a jej rama z jednej strony odrywała się od gruntu.

Nie, już to zrobili, głupku. Teraz podłączają ją do wielkich maszyn. Na nowo wpompują w nią krew?

Pomyślałem o wiszących butelkach. Przypomniałem sobie grube czerwone kleszcze na skórze naszego psa latem. Gniewnie się odepchnąłem, próbując wzlecieć wyżej, niż to było możliwe.

Czy najpierw drgają jej palce? A może jej oczy otwierają się jak u budzącej się sowy?

Kiedy znajdowałem się na samym szczycie łuku, zeskoczyłem. Przez chwilę czułem się pozbawiony wagi i wisiałem nad ziemią jak Superman, jak duch wylatujący z ciała. Potem pochwyciła mnie grawitacja i ciężko upadłem na ręce i kolana. Podrapałem sobie dłonie i poplamiałem spodnie trawą. Wiedziałem, że mama będzie wściekła.

Teraz ją oprowadzają. Może ubierają ją jak manekin na wystawie sklepu pana Feldmana.

Mój brat Simon wyszedł na podwórze. Chociaż był ode mnie tylko o dwa lata starszy, tamtego popołudnia wydał mi się dorosły. A nawet stary. Jego blond włosy, ostrzyżone równie niedawno jak moje, zwisały bezładnie na bladym czole. Miał zmęczone oczy. Simon niemal nigdy na mnie nie krzychał, ale tamtego dnia to zrobił.

– Chodź do środka. Już prawie pora.

Podążyłem za nim, przecinając tylną werandę. Większość krewnych już poszła, ale z salonu dobiegł głos wujka Willa. Coś wykrzykiwał. Zatrzymaliśmy się na korytarzu, żeby posłuchać.

– Rany boskie, Les, wciąż nie jest za późno. Nie możesz tego zrobić.

– Już po wszystkim.

– Pomyśl o... Jezu Chryste... pomyśl o dzieciakach.

Usłyszeliśmy niewyraźne głosy i domyśliliśmy się, że wujek Will sporo wypił. Simon przyłożył palec do ust. Zapadła cisza.

– Les, pomyśl o kwestiach finansowych. Jak... ile... to dwadzieścia pięć procent wszystkiego, co masz. Za ile lat, Les? Pomyśl o dzieciakach. Jak to wpłynie...

– Już po wszystkim, Will.

Jeszcze nigdy nie słyszeliśmy takiego tonu głosu u ojca. Nie starał się argumentować, jak podczas późnowieczornych dyskusji politycznych z wujkiem Willem. Nie był smutny, jak podczas rozmowy ze mną i Simonem, gdy po raz pierwszy przywieźliśmy matkę do domu ze szpitala. Jego głos brzmiał stanowczo.

Rozmowa trwała. Wujek Will zaczął krzyżeć. Nawet milczenie było pełne złości. Poszliśmy do kuchni po colę. Kiedy wróciliśmy, wujek Will niemal nas

staranował, tak się śpieszył do wyjścia. Zatrzasnął za sobą drzwi. Nigdy więcej nie pojawił się w naszym domu.

Przywieźli matkę tuż po zmroku. Simon i ja wyglądaliśmy przez okno i czuliśmy, że sąsiedzi wszystko obserwują. Zostali tylko ciocia Helen i kilkoro najbliższych krewnych. Ojciec był wyraźnie zaskoczony, kiedy zobaczył samochód. Nie wiem, czego się spodziewał – może długiego czarnego karawanu, jak ten, którym rano zawieźli matkę na cmentarz.

Podjechali żółtą toyotą. Razem z matką w samochodzie byli czterej mężczyźni. Nie mieli na sobie ciemnych garniturów jak ojciec, tylko pastelowe koszule z krótkim rękawem. Jeden z nich wysiadł z auta i podał dłoń matce.

Miałem ochotę wybiec na chodnik, ale Simon chwycił mnie za nadgarstek i zaczekaliśmy na korytarzu, aż ojciec i pozostali dorośli otworzą drzwi.

Maszerowali chodnikiem w blasku gazowej lampy stojącej na trawniku. Matka szła pomiędzy dwoma mężczyznami, ale nie pomagali jej iść, tylko wskazywali kierunek. Miała na sobie błękitną sukienkę, którą kupiła u Scotta tuż przed chorobą. Spodziewałem się, że będzie miała bladą, woskową skórę – jak wtedy, gdy zajrzałem przez szparę w drzwiach do jej sypialni, zanim przyszli ludzie z zakładu pogrzebowego – ale jej cera była rumiana i zdrowa, niemal spalona słońcem.

Kiedy weszli na werandę, zobaczyłem, że nosi mocny makijaż. Nigdy się nie malowała. Dwaj mężczyźni również mieli różowe policzki. Cała trójka identycznie się uśmiechała.

Kiedy weszli do domu, chyba wszyscy cofnęliśmy się o krok – nie licząc ojca. On położył dłonie na ramionach matki, długo na nią patrzył, aż w końcu pocałował ją w policzek. Nie wydaje mi się, żeby odwzajemniła pocałunek. Jej uśmiech się nie zmienił. Łzy spływały po twarzy ojca. Czuję zażenowanie.

Wskrzesciele coś mówili. Ojciec i ciocia Helen kiwali głowami. Matka tylko stała, wciąż delikatnie się uśmiechając, i patrzyła grzecznie na mężczyznę w żółtej koszuli, który coś opowiadał, żartował i klepał ojca po plecach. Potem przyszła kolej na nas, żeby uściskać matkę. Ciocia Helen popchnęła Simona naprzód, a ja wciąż trzymałem go za rękę. Cmoknął matkę w policzek, a następnie szybko się cofnął i stanął przy ojcu. Zarzuciłem matce ręce na szyję i pocałowałem ją w usta. Stęskniłem się za nią.

Jej skóra nie była zimna. Była po prostu inna.

Patrzyła prosto na mnie. Baxter, nasz owczarek niemiecki, zaczął skowycić i drapać w tylne drzwi.

Ojciec zaprowadził Wskrzescieli do gabinetu. Na korytarzu słyszeliśmy urywki ich rozmowy.

– ...jeśli potraktuje się to jak udar...

– Jak długo ona...

– Rozumie pan, że dziesięcina jest konieczna ze względu na miesięczne wydatki na opiekę i...

Kobiety z naszej rodziny stanęły wokół matki. Przez chwilę panowała niezręczna atmosfera, zanim uświadomiły sobie, że matka nie mówi. Ciotka Helen dotknęła policzka siostry. Matka cały czas się uśmiechała.

Potem wrócił ojciec i przemówił donośnym, serdecznym głosem. Wyjaśnił, że to bardzo przypomina lekki udar – jak u wujka Richarda. Jednocześnie całował wszystkich ludzi i im dziękował.

Wskrzesciele wyszli z uśmiechami na twarzach i podpisanymi dokumentami. Pozostali krewni wkrótce także zaczęli się rozchodzić. Ojciec odprowadził ich przed dom, gdzie z uśmiechem ścisnął ich dłonie.

– Pomyślcie, że była chora, ale wyzdrowiała – powiedział. – Że wróciła do domu ze szpitala.

Ciocia Helen wyszła jako ostatnia. Długo siedziała przy mamie, cicho do niej mówiła i wypatrywała jakiegokolwiek reakcji na jej twarzy. Po jakimś czasie zaczęła płakać.

– Pomyśl, że wyzdrowiała – powiedział ojciec, odprowadzając ją do samochodu. – Że wróciła do domu ze szpitala.

Ciocia Helen pokiwała głową, wciąż zapłakana, i odjechała. Chyba wiedziała o tym, o czym wiedzieliśmy Simon i ja. Matka nie wróciła ze szpitala. Wróciła z grobu.

To była długa noc. Kilka razy miałem wrażenie, że słyszę ciche klaskanie kapci matki na podłodze w korytarzu, i wstrzymywałem oddech, czekając, aż drzwi się otworzą. Ale tak się nie stało. Blask księżyca padał na moje nogi i wydobywał z ciemności kawałek tapety obok komody. Kwiecisty wzór wyglądał jak pysk jakiegoś wielkiego, smutnego zwierza. Tuż przed świtem Simon wychylił się ze swojego łóżka i szepnął:

– Idź spać, głupku.

Posłuchałem go.

Przez pierwszy tydzień ojciec spał z matką w tym samym pokoju co zawsze. Codziennie rano był przygnębiony i pokrzykiwał na nas, kiedy jedliśmy płatki śniadaniowe. Potem przeniósł się do swojego gabinetu, gdzie spał na starym dywanie.

To było upalne lato. Nikt nie chciał się z nami bawić, więc Simon i ja spędzaliśmy czas razem. Ojciec miał tylko poranne zajęcia na uniwersytecie. Matka snuła się po domu i często podlewała rośliny. Pewnego razu Simon i ja widzieliśmy, jak próbuje podlać kwiatki, które uschły i zostały usunięte, kiedy była w szpitalu w kwietniu. Woda spłynęła po komodzie na podłogę. Matka niczego nie zauważyła.

Kiedy wychodziła na zewnątrz, wydawało się, że ciągnie ją do leśnego rezerwatu za domem. Być może kusiła ją ciemność. Simon i ja lubiliśmy bawić się na skraju lasu o zmroku, łapać świetliki do słoja i budować namioty z koców, ale odkąd matka zaczęła tam chadzać, spędzaliśmy wieczory na trawniku przed domem. Czasami zostawałem tam dłużej, ponieważ matka odchodziła za daleko i musiałem brać ją pod rękę i prowadzić z powrotem do domu.

Matka nosiła wszystkie ubrania, jakie podsuwał jej ojciec. Czasami śpieszył się na uczelnię i rzucał tylko: „Włóż czerwoną sukienkę”, a matka spędzała cały skwarny lipcowy dzień w grubym wełnianym stroju. Nigdy się nie pociła. Czasami nie mówił jej, żeby zeszła rano na dół, a wtedy zostawała w sypialni aż do jego powrotu. W takie dni namawiałem Simona, by wszedł ze mną na górę i na nią popatrzył, ale on bez słowa kręcił głową. Ojciec zaczął więcej pić, tak jak kiedyś wujek Will, i wrzeszczał na nas z byle powodu. Zawsze wybuchałem płaczem, kiedy zaczynał krzyczeć, ale Simon nigdy nie płakał.

Matka nigdy nie mrugała. Początkowo nie zwracałem na to uwagi. Kiedy w końcu to zauważyłem, zacząłem się czuć nieswojo. Ale nie kochałem jej przez to mniej.

Simon i ja wieczorami nie mogliśmy zasnąć. Matka kiedyś układała nas do snu i opowiadała nam długie historie o czarodzieju Yandym, który zabierał naszego psa, Baxtera, na wielkie wyprawy, gdy się z nim nie bawiliśmy. Ojciec nie wymyślał bajek, ale czytał nam grubą księgę, którą nazywał *Pieśniami Pounda*. Nie rozumiałem większości z nich, ale i tak mi się podobało, no i zakochałem się w brzmieniu słów, które, jak mówił ojciec, pochodziły z greki. Nikt już nie zaglądał do nas po kąpieli. Kilka razy próbowałem opowiadać Simonowi historie na dobranoc, ale były kiepskie i kazał mi przestać.

Czwartego lipca Tomy Wiedermeyer, z którym chodziłem do klasy, utopił się w basenie, który jego rodzice dopiero co zbudowali.

Tamtego wieczoru siedzieliśmy na podwórzu i patrzyliśmy na fajerwerki nad terenem rekreacyjnym oddalonym o niecały kilometr. Chociaż las częściowo przesłaniał widok, to sztuczne ognie na niebie były wyraźnie widoczne. Najpierw pojawiały się eksplozje koloru, a cztery albo pięć sekund później docierały do nas dźwięki. Odwróciłem się, żeby powiedzieć coś do cioci Helen, i zobaczyłem matkę, która wyglądała przez okno na piętrze. Jej twarz była niezwykle blada na tle ciemnego pokoju, a kolory spływały po niej jak płyny.

Wkrótce potem znalazłem martwą wiewiórkę. Simon i ja bawiliśmy się w kawalerzystów i Indian w leśnym rezerwacie. Na zmianę tropiliśmy się, a potem strzelaliśmy do siebie i konaliśmy w kępach zielska. Ale tym razem nie mogłem go znaleźć. Zamiast tego trafiłem na polankę.

To było ukryte miejsce, otoczone zaroślami gęstymi jak nasz żywopłot. Pełzłem na czworakach pod gałęziami, gdy zobaczyłem wiewiórkę. Była duża, rudawa i od dość dawna nieżywa. Miała niemal całkowicie skręconą głowę. Obok jednego ucha dostrzegłem zaschniętą krew. Jej lewa łapka była zaciśnięta, a prawa spoczywała rozwarta na gałązce. Coś wyłupało zwierzakowi jedno oko, a drugie wpatrywało się nieruchomo w baldachim gałęzi. Wewnątrz lekko uchylonego pyszczka widziałem zaskakująco duże zęby, poźółkłe u nasady. Na moich oczach z pyszka wiewiórki wyłoniła się mrówka, przeszła po ciemnym nosie i weszła na wytrzeszczone oko.

Właśnie tak wygląda śmierć.

Krzewy zaszeleściły uderzone niewyczuwalnym podmuchem. Wystraszyłem się i popęzłem dalej, przedzierając się przez gęste gałęzie, które zaczepiały się o moją koszulę.

Jesienią wróciłem do szkoły Longfellow, ale wkrótce przeniosłem się do prywatnej placówki. W tamtych czasach rodziny Wskrzeszonych spotykały się z dyskryminacją. Dzieciaki wyśmiewały nas, przezywały i nikt nie chciał się z nami bawić. W nowej szkole także nie mieliśmy kolegów, ale przynajmniej nikt nas nie wyzywał.

W naszym pokoju nie było włącznika światła na ścianie, tylko staroświecka żarówka ze zwisającym sznurkiem. Żeby zapalić światło, musiałem przejść przez pół pogrążonego w mroku pokoju i wymacać sznurek. Pewnego razu, gdy Simon siedział do późna przy pracy domowej, samotnie poszedłem na górę. Właśnie wymachiwałem ręką w ciemności, żeby znaleźć włącznik, gdy moja dłoń dotknęła twarzy matki. Miała chłodne i śliskie zęby. Cofnąłem rękę i przez minutę stałem po ciemku, aż w końcu znalazłem i pociągnąłem za sznurek.

– Witaj, matko – powiedziałem. Usiadłem na skraju łóżka i podniosłem na nią wzrok. Wpatrywała się w puste poślanie Simona. Wzięłem ją za rękę. – Tęsknię za tobą.

Powiedziałem też kilka innych rzeczy, ale słowa mi się pomieszały i zabrzmiały idiotycznie, więc tylko siedziałem, ściskając jej dłoń i czekając, aż odwzajemni mój uścisk. W końcu zmęczyła mi się ręka, ale nie poruszyłem się, dopóki nie pojawił się Simon. Zatrzymał się w progu i spojrzał na nas. Spuściłem wzrok i cofnąłem rękę. Po kilku minutach matka wyszła.

Ojciec uśpił Baxtera tuż przed Świętem Dziękczynienia. To nie był stary pies, ale tak się zachowywał. Stale warczał i szczekał, nawet na nas, i nie chciał wracać do domu. Kiedy uciekł po raz trzeci, zadzwonili do nas ze schroniska. Ojciec odpowiedział tylko: „Uśpijcie go”, a potem się rozłączył. Przysłali nam rachunek.

Na wykłady ojca przychodziło coraz mniej studentów i w końcu postanowił wziąć urlop naukowy, żeby pracować nad swoją książką o Ezrze Poundzie. Spędził w domu cały rok, ale niewiele napisał. Czasami rano przesiadywał w bibliotece, ale o pierwszej wracał do domu i włączał telewizor. Zaczynał pić przed kolacją i wpatrywał się w ekran do późna. Simon i ja niekiedy mu towarzyszyliśmy, ale większość programów nam się nie podobała.

Mniej więcej wtedy Simona zaczął nawiedzać pewien sen. Kiedyś opowiedział mi o nim w drodze do szkoły. Sen zawsze był taki sam. Simonowi śniło się, że wciąż nie śpi i czyta komiks. Kiedy odkładał go na nocną szafkę, ten spadał na podłogę. Schylał się po niego, a wtedy biała ręka matki wysuwała się spod łóżka i chwyciła go za nadgarstek. Chwył był bardzo silny i Simon wiedział, że matka chce go wciągnąć pod łóżko. Z całej siły trzymał się pościeli, ale rozumiał, że za kilka sekund zsunie się na podłogę.

Powiedział, że ostatniej nocy sen wreszcie nieco się zmienił. Tym razem matka wychyliła głowę spod łóżka, tak jak mechanik, który wysuwa się spod samochodu. Uśmiechała się do niego, bardzo szeroko szczerząc zęby, które były spiłowane i wyglądały jak kolce.

– Czy kiedykolwiek miewasz takie sny? – spytał. Wyraźnie żałował, że mi powiedział.

– Nie – odrzekłem. Kochałem matkę.

Tamtego kwietnia bliźniacy Farleyowie z sąsiedztwa przypadkowo zatrzasnęli się w porzuconej zamrażarce i umarli z braku powietrza. Pani Hargill, nasza sprzątaczką, znalazła ich za garażem. Thomas Farley był jedynym dzieciakiem, który wciąż zapraszał Simona na swoje podwórko. Teraz Simon miał tylko mnie.

Wkrótce przed Świętem Pracy i powrotem do szkoły Simon postanowił, że powinniśmy uciec. Nie chciałem tego robić, ale kochałem Simona. Był moim bratem.

– Dokąd pójdziemy?

– Musimy się stąd wydostać – stwierdził. To nie była odpowiedź.

Ale Simon już przygotował ekwipunek i nawet kupił mapę miasta. Nakreślił naszą trasę przez leśny rezerwat, a potem wiaduktem wzdłuż Laurel Street na drugą stronę rzeki Sherman, aż do domu wujka Willa, bez korzystania z żadnych głównych ulic.

– Możemy spać pod gołym niebem – powiedział i pokazał mi sznur do bielizny. – Wujek Will zatrudni nas jako pomocników na farmie. Kiedy na wiosnę pojedzie na swoje ranczo, dołączymy do niego.

Wyruszyliśmy o zmierzchu. Nie podobało mi się, że wychodzimy tuż przed zmrokiem, ale Simon powiedział, że ojciec zauważy nasze zniknięcie dopiero rano, kiedy się obudzi. Niosłem mały plecak pełen jedzenia, które Simon przemycił z łódki. On sam zawinął trochę rzeczy w koc i przywiązał sobie do pleców za pomocą sznura na bieliznę. Wciąż było dosyć jasno, dopóki nie zagłębiliśmy się w lesie. Bulgot strumyka przypominał odgłos, który dobiegał z pokoju matki tamtej nocy, gdy umierała. Korzenie i gałęzie były tak gęste, że Simon musiał cały czas oświetlać nam drogę latarką, przez co wydawało nam się, że jest jeszcze ciemniej. Po pewnym czasie się zatrzymaliśmy i Simon rozciągnął sznurek między dwoma drzewami. Zarzuciłem na niego koc i obaj zaczęliśmy na klęczkach szukać kamieni.

Jedliśmy kanapki z mortadela w ciemności, a strumyk wydawał dźwięki przypominające przełykanie. Rozmawialiśmy przez kilka minut, ale nasze głosy wydawały nam się zbyt ciche i obaj zasnęliśmy na zimnym gruncie, przykryci kurtkami, podłożywszy pod głowy plecak. Otaczały nas odgłosy lasu.

Obudziłem się w środku nocy. Było niezwykle spokojnie. Obaj kuliliśmy się pod kurtkami, a Simon chrapał. Liście przestały się poruszać, owady zniknęły, nawet strumyk już nie hałasował. Trójkątne otwory namiotu odznaczały się na tle ciemności.

Usiadłem, czując, że serce tłucze mi się w piersi.

Kiedy zbliżyłem głowę do otworu, niczego nie zobaczyłem, ale dokładnie wiedziałem, co tam jest. Nakryłem głowę kurtką i odsunąłem się od ściany namiotu.

Czekałem, aż coś dotknie mnie przez koc. Początkowo sądziłem, że to matka za nami ruszyła, że szła naszym śladem przez las, a ostre gałęzie ocierały się o jej oczy. Ale to nie była matka.

Noc była zimna i osaczała nasz mały namiot. Była czarna jak oko martwej wiewiórki i chciała dostać się do środka. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, że ciemność nie kończy się, gdy wstaje dzień. Szczękałem zębami. Przytuliłem się do Simona, kradnąc nieco jego ciepła. Czułem na policzku jego delikatny, powolny oddech. Po chwili potrząsnąłem nim i powiedziałem, że nie chcę z nim

iść i kiedy wszędzie słońce, wrócimy do domu. Zaczął protestować, ale potem usłyszał w moim głosie coś, czego nie rozumiał, i tylko ze znużeniem pokręcił głową i ponownie zasnął.

Rano koc był mokry od rosy i obaj mieliśmy lepką skórę. Poskładaliśmy swoje rzeczy, zostawiliśmy kamienie ułożone w przypadkowy sposób i ruszyliśmy do domu. Nie odzywaliśmy się do siebie.

Kiedy wróciliśmy, ojciec wciąż spał. Simon rzucił nasze rzeczy na podłogę pokoju i wyszedł na słońce. Ja zszedłem do piwnicy.

Było tam bardzo ciemno, ale nie zapaliłem światła, tylko usiadłem na drewnianych schodach. Z mrocznych kątów nie dobiegały żadne odgłosy, ale wiedziałem, że matka tam jest.

– Uciekliśmy, ale wróciliśmy – oznajmiłem w końcu. – To był mój pomysł, żeby wrócić.

Przez wąskie okna widziałem zieloną trawę. Ogrodowy zraszacz włączył się z głośnym westchnieniem. Gdzieś w sąsiedztwie pokrzykiwały dzieci. Zwracałem uwagę tylko na cienie.

– Simon chciał iść dalej, ale go przekonałem – dodałem. – To był mój pomysł, żeby wrócić.

Siedziałem tam przez kilka minut, ale nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym jeszcze powiedzieć. W końcu wstałem, otrzepałem spodnie i poszedłem na górę, żeby się zdrzemnąć.

Tydzień po Święcie Pracy ojciec uparł się, żebyśmy pojechali na weekend na wybrzeże. Wyruszyliśmy w piątek po południu i pojechaliśmy prosto do Ocean City. Matka siedziała sama na tylnym siedzeniu. Ojciec i ciocia Helen jechali z przodu. Simon i ja tłoczyliśmy się z tyłu naszego kombi, ale Simon nie chciał liczyć ze mną krów, rozmawiać ani nawet bawić się samolocikami, które zabrałem.

Zatrzymaliśmy się w wiekowym hotelu tuż przy promenadzie. Inni Wskrzesiciele z wtorkowej grupy ojca polecali to miejsce, ale hotel cuchnął starością, zgnilizną i szczurami mieszkającymi w ścianach. Korytarze miały kolor wyblakłej zieleni, drzwi były ciemnozielone i tylko co trzecia żarówka się

świeciła. Korytarze przypominały mroczny labirynt i trzeba było pokonać dwa zakręty, żeby znaleźć windę. Wszyscy poza Simonem spędzili całą sobotę w hotelu, oglądając telewizję przed ledwo zipiącym klimatyzatorem. W pobliżu kręciło się znacznie więcej wskrzeszonych i słyszeliśmy szuranie ich stóp w ciemnych korytarzach. Po zachodzie słońca wyszli na plażę, a my do nich dołączyliśmy.

Starłem się, żeby matce było wygodnie. Rozłożyłem dla niej plażowy ręcznik i odwróciłem ją w stronę morza. Księżyc już wspiął się na niebo i wiała chłodna bryza. Okryłem ramiona matki swetrem. Za nami światła lunaparku rozlewały się po promenadzie, a kolejka góraska grzmiała i warczała.

Nie oszczędłbym, gdyby głos ojca tak mnie nie irytował. Mówił za głośno, śmiał się bez powodu i popijał z butelki w papierowej torebce. Ciocia Helen prawie się nie odzywała, ale ze smutkiem patrzyła na ojca i próbowała się uśmiechać, kiedy wybuchał śmiechem. Matka siedziała spokojnie, więc przeprosiłem i poszedłem szukać Simona. Bez niego czułem się samotny. W wesołym miasteczku nie było rodzin ani dzieci, ale atrakcje wciąż działały. Co kilka minut rozlegał się ryk oraz piski nielicznych osób pędzących po najbardziej stromym zjeździe kolejki górskiej. Jadłem hot doga i rozglądałem się, ale Simona nigdzie nie było.

Kiedy wracałem wzdłuż plaży, zobaczyłem, że ojciec nachylił się i cmoknął ciocię Helen w policzek. Matka gdzieś się oddaliła, a ja czym prędzej zaproponowałem, że jej poszukam, aby ukryć łzy wściekłości, które napływały mi do oczu. Idąc plażą, minąłem miejsce, w którym w poprzedni weekend utonęła dwójka nastolatków. W okolicy przebywało kilkoro wskrzeszonych. Siedzieli nad wodą razem ze swoimi rodzinami, ale nigdzie nie widziałem matki. Chciałem wrócić i nagle zauważyłem jakiś ruch pod promenadą.

Było tam niezwykle ciemno. Przez szpary między deskami wpadały promienie światła, rozbijane na dziwaczne wzory przez drewniane słupki i krzyżulce. Kroki ludzi i odgłosy wesołego miasteczka brzmiały jak uderzenia pięściami w wieko trumny. Zatrzymałem się. Nagle wyobraziłem sobie dziesiątki wskrzeszonych kryjących się w ciemności razem z matką, naznaczonych świetlnymi wzorami, dzięki którym tu i ówdzie można dostrzec czyjaś dłoń, koszulę albo wytrzeszczone oko. Ale nie było ich tam. Matki również. Znalazłem coś innego.

Nie wiem, co skłoniło mnie do podniesienia wzroku. Może kroki dobiegające z góry. Coś się obracało w cieniu. Zobaczyłem, w którym miejscu wspiął się na krzyżulce, gdzie postawił stopę w sportowym bucie, by dźwignąć się do szerokiej belki. To nie było trudne. Wspinaliśmy się tak tysiące razy. Patrzyłem prosto w jego twarz, ale najpierw rozpoznałem sznur na białiznę.

Po śmierci Simona ojciec przestał nauczać. Nie wrócił do pracy po urlopie naukowym, a jego notatki do książki o Poundzie leżały w piwnicy razem z zesłorocznymi gazetami. Wskrzesciele pomogli mu znaleźć pracę dozorcę w pobliskiej galerii handlowej i rzadko wracał do domu przed drugą w nocy.

Po Bożym Narodzeniu wyjechałem do szkoły z internatem oddalonej o dwa stany. Wskrzesciele otworzyli już wtedy Instytut i zwracało się do nich coraz więcej rodzin. Później udało mi się uzyskać pełne stypendium na uniwersytecie. Pomimo zawartej umowy rzadko wracałem do domu. Podczas moich nielicznych wizyt ojciec był pijany. Raz upiłem się razem z nim i siedzieliśmy w kuchni, płacząc. Prawie wyłysiał, nie licząc kilku siwych kosmyków na bokach głowy, miał zapadnięte oczy i pobrużdżoną zmarszczkami twarz. Od alkoholu jego policzki pokryły się niezliczonymi popękanyimi naczynekami i wyglądał, jakby nosił mocniejszy makijaż niż matka.

Pani Hargill zadzwoniła do mnie trzy dni przed uroczystością zakończenia studiów. Ojciec napełnił wannę ciepłą wodą, a potem przeciągnął brzytwą wzdłuż żyły, a nie w poprzek. Widać, że czytał Plutarcha. Pokojówka znalazła go dopiero po dwóch dniach, a kiedy następnego wieczoru dotarłem do domu, wannę wciąż znaczyły kręgi zakrzepłej krwi. Po pogrzebie przejrzałem wszystkie jego papiery i znalazłem dziennik, który prowadził przez wiele lat. Spaliłem go razem ze stertą notatek do nieukończonych książki.

Instytut dotrzymał umowy pomimo okoliczności, co pomogło mi przetrwać kilka kolejnych lat. Moja kariera to dla mnie coś więcej niż praca – wierzę w to, co robię, i jestem w tym dobry. To ja wpadłem na pomysł, żeby wynająć kilka nieużywanych szkolnych budynków na potrzeby naszych nowych centrów sąsiedzkich.

W zeszłym tygodniu utknąłem w korku, a kiedy w końcu dotarłem do miejsca wypadku i zobaczyłem małą postać nakrytą kocem i otoczoną kawałkami tłuczonego szkła, zauważyłem, że *oni* także zgromadzili się przy krawężniku. Było ich już tak wielu.

Miałem udziały w budynku mieszkalnym w jednej z ostatnich oświetlonych części miasta, ale kiedy nasz dawny dom został wystawiony na sprzedaż, od razu skorzystałem z okazji. Zachowałem wiele ze starych mebli, a inne wymieniłem w taki sposób, żeby wnętrza wyglądały niemal identycznie jak kiedyś.

Utrzymanie takiego starego domu wiele kosztuje, ale nie wyrzucam pieniędzy w błoto. Po pracy wielu gości z Instytutu idzie do baru, ale ja nie. Po odłożeniu sprzętu i wyszorowaniu stalowych stołów wracam prosto do domu. Tam jest moja rodzina. Czekają na mnie.

Wstęp do „Oczu napotkać nie śmiem w moich snach”

Lato 1969 roku było bardzo upalne, zwłaszcza tam, gdzie je spędzałem – w nazywanej „gettem” części Germantown w Pensylwanii. Germantown, sympatyczna wioska w czasach przed wojną o niepodległość, w 1969 roku była enklawą wewnątrz Filadelfii. Na ulicach panował skwar, a temperaturę jeszcze bardziej podnosiły społeczne niepokoje, także na tle rasowym.

Wynajmowałem poddasze w siedzibie lokalnej Izby Rozrachunkowej/ośrodka planowania rodziny/centrum medycznego za 35 dolarów miesięcznie. To było niewielkie poddasze. W te wieczory, gdy niewielkie drugie piętro budynku nie służyło jako poczekalnia, mogłem używać go jako salonu i korzystać z przylegającej malutkiej kuchni. Ale przeważnie kłębiły się tam tłumy. Tamtego lata przez okna mansardowe oglądałem kilka bitew gangów oraz jedne zamieszki.

Ale najlepiej pamiętam wieczory spędzane na werandzie przy wejściu: ceglany kanion pełen ludzkich hałasów, długi ciąg kamienic przy Bringham Street, gdzie w żółtym blasku sodowych lamp dzieci skakały na skakankach i przekomarzały się na ulicy, a mieszkańcy bezustannie spacerowali, śmiali się, gawędzili i zapraszali sąsiadów na pogawędki na schodach. Do dzisiaj, gdy widzę ogrodzone, sterylne podwórka na przedmieściach, zastanawiam się, jaki obłęd przegnał nas z naszych werand, skłonił do porzucenia sąsiedzkich wspólnot i ucieczki do klaustrofobicznych cel.

Za dnia pracowałem jako nauczyciel w szkole dla niewidomych Upsal. Wielu moich podopiecznych było nie tylko niewidomych, ale także niesłyszących lub poważnie upośledzonych umysłowo, często od urodzenia.

W takim środowisku szybko uczymy się, że nawet ludzie dotknięci tak straszliwymi niepełnosprawnościami zachowują nie tylko pełnię człowieczeństwa oraz pełną gamę ludzkich pragnień, ale także zdolność do walki, osiągania sukcesów i triumfów.

Dzień po tym, jak ludzie po raz pierwszy postawili stopę na Księżycu tamtego upalnego lata 1969 roku, świętowałem to wydarzenie ze swoimi uczniami. Byli bardzo podnieceni. Thomas, jeden z nastolatków, który był niewidomy

i upośledzony umysłowo, ale słyszał, nauczył się grać na pianinie. Inna słyszająca uczennica – młoda dziewczyna, która miała uszkodzony mózg na skutek przemocy, jakiej doznała we wczesnym dzieciństwie – zaproponowała, żebyśmy zakończyli naszą uroczystość odegraniem przez Thomasa państwowego hymnu.

Thomas się zgodził.

Zagrał *We Shall Overcome*.

Oczu napotkać nie śmiem w moich snach

Bremen wyszedł ze szpitala od swojej umierającej żony i pojechał na wschód nad morze. Na drogach roіło się od filadelfijczyków uciekających z miasta na weekend, więc musiał skupiać się na prowadzeniu auta, pozostawiając tylko subtelne ślady w umyśle swojej żony. Gail spała. Dręczyły ją niespokojne sny wywołane lekami. Szukała swojej matki w niekończącej się sieci połączonych ze sobą pokoi pełnych wiktoriańskich mebli.

Bremen jechał przez sosnowe nieużytki, a obrazy ze snów prześlizgiwały się przez wieczorne cienie rzeczywistości. Gail obudziła się, kiedy wyjechał z parkingu. Przez kilka sekund nie towarzyszył jej ból. Otworzyła oczy, a za sprawą wieczornego słonecznego światła, które przenikało przez niebieski koc, pomyślała – tylko przez chwilę – że to poranek na farmie. Sięgnęła myślami ku swojemu mężowi w tej samej chwili, gdy zaatakowały ją zawroty głowy i ból za lewym okiem. Bremen skrzywił się i upuścił monetę, którą podawał pracownikowi pobierającemu opłaty przy rogate.

– Co się stało, kolego?

Bremen pokręcił głową, wygrzebał z portfela dolara i na oślep wyciągnął rękę w stronę mężczyzny. Rzucił resztę na zagraconą deskę rozdzielczą triumpfa i skupił się na rozpędzeniu samochodu do maksymalnej prędkości. Ból Gail zelżał, ale jej oszołomienie zalało go falą mdłości.

Szybko odzyskała kontrolę, pomimo zasłon strachu, które powiewały przy solidnej umysłowej tarczy. Odezwała się w myślach, zawężając spektrum w taki sposób, by jak najlepiej imitować swój głos.

– Cześć, Jerry.

– Cześć, mała. – Wysłał tę myśl, kiedy skręcał na zjazd prowadzący na wyspę Long Beach. Podzielił się widokiem – efektowna zieleń trawy, sosny naznaczone złotym blaskiem sierpniowego słońca i cień sportowego samochodu przeskakujący po łuku asfaltu. Nagle poczuł charakterystyczną słoną świeżość Atlantyku i również się nią podzielił.

Wjazd do nadmorskiego miasteczka robił rozczarowujące wrażenie: zaniedbane restauracje z owocami morza, drogie motele z żuzłobetonu, niekończące się przystanie dla jachtów. Ale uspokajał ich widok znajomych

miejsc, więc Bremen starał się niczego nie przegapić. Gail zaczęła się odprężyć i cieszyć przejażdżką. Jej obecność była tak realna, że Bremen złapał się na tym, iż próbuje się obrócić i odezwać do niej na głos. Podzielił się z nią ukłuciem żalu i zażenowania, nim zdążył je stłumić.

Na wyspie było pełno rodzin rozpakowujących samochody kombi i wędrujących na plażę, by zjeść tam późną kolację. Bremen pojechał na północ do latarni morskiej Barnegat. Zerknął w prawo i dostrzegł rybaków stojących wzdłuż brzegu. Ich cienie przecinały białe linie fal przyboju.

„Monet”, pomyślała Gail, a Bremen pokiwał głową, chociaż sam pomyślał o Euklidesie.

„Jak zawsze matematyk”, pomyślała Gail, a potem straciła głos pod wpływem narastającego bólu. Na wpeł ufornowane zdania rozwiały się jak obłoki na wietrze.

Bremen zaparkował obok latarni morskiej i powędrował przez niskie wydmy na plażę. Rozłożył podarty koc, który tyle razy nieśli razem na to miejsce. Wzdłuż brzegu biegła grupka dzieci. Mniej więcej dziewięcioletnia dziewczynka o długich białych nogach, ubrana w kostium, z którego wyrosła jakieś dwa lata wcześniej, płaśała na mokrym piasku, improwizując złożony układ choreograficzny dopasowany do ruchu fal.

Światło między żaluzjami gasło. Pielęgniarka cuchnąca papierosami i starym talkiem przysłała, żeby wymienić kroplówkę i zmierzyć ciśnienie. Interkom na korytarzu przekazywał głośne, władcze komunikaty, ale trudno było je zrozumieć przez gęstniejącą mgłę bólu. Nowy lekarz pojawił się około dziesiątej, ale Gail skupiała się na pielęgniarce, która niosła wyczekiwaną igłę. Muśnięcie wacika na rękę stanowiło cudowną zapowiedź obiecanej ulgi od bólu za okiem. Lekarz coś mówił.

– ...pani mąż? Myślałem, że zostanie na noc.

– Jest tutaj, panie doktorze – odpowiedziała Gail. Poklepała koc i piasek.

Bremen rozstawił nylonowy wiatrochron, żeby osłonić się przed wieczornym chłodem. Tylko kilka gwiazd przeświecało przez wysoką warstwę chmur. Daleko na morzu wzdłuż horyzontu płynął niemożliwie długi tankowiec z zapalonymi reflektorami. Okna domków na plaży znaczyły wydmy żółtymi prostokątami światła.

Wiatr przyniósł woń grillowanych steków. Bremen próbował sobie przypomnieć, czy jadł cokolwiek tego dnia. Zastanawiał się, czy nie wrócić do sklepu spożywczego niedaleko latarni morskiej, żeby kupić kanapkę, ale w kieszeni kurtki znalazł stary batonik Payday i zadowolili się żuciem twardych jak kamień orzeszków.

W korytarzu rozbrzmiewało echo kroków. Zupełnie jakby maszerowało tamtędy wojsko. Pośpieszne kroki, brzęk tac i niewyraźny gwar rozmów przypominały Gail chwile, gdy jako dziecko leżała w łóżku i słuchała przyjęć, które jej rodzice wyprawiali na dole.

„Pamiętasz przyjęcie, na którym się poznaliśmy?” – pomyślał Bremen.

Chuck Gilpen uparł się, żeby Bremen mu towarzyszył. Bremen nigdy nie przepadał za przyjęciami. Nie umiał gawędzić o niczym, a napięcie telepatyczne i neurobełkot zawsze przyprawiały go o ból głowy, ponieważ musiał godzinami podtrzymywać umysłową tarczę. Poza tym to był jego pierwszy tydzień wykładów o tensorach dla doktorantów, więc wiedział, że powinien powtarzać materiał w domu. A jednak się zgodził. Natarczywość Gilpena i lęk przed łąką odludka w nowym środowisku akademickim przywiodły Bremena do kamienicy na Drexel Hill. Muzykę było słychać z odległości pół przecznicy, a gdyby przyjechał tam sam, już dawno wróciłby do domu. Stał tuż za progiem – ktoś wcisnął mu drinka do ręki – gdy nagle wyczuł niedaleko siebie inną umysłową tarczę. Zaczął ją delikatnie sondować, a wtedy myśli Gail przemknęły po nim jak światło szperacza.

Oboje byli oszołomieni. Natychmiast wzmocnili osłony i zwinęli się w kulki jak wystraszone pancerniki. Wkrótce przekonali się, że nie chroni ich to przed nieświadomym sondowaniem przez drugą osobę. Żadne z nich nigdy nie spotkało innego telepaty, nie licząc ludzi o prymitywnych, niekontrolowanych zdolnościach. Zakładali, że są wybrykiem natury – wyjątkowym i niepokonanym. A teraz stali przed sobą obnażeni w pustce. Chociaż nie zamierzali tego robić, zalali nawzajem swoje umysły powodzią obrazów, własnych wizerunków, połowicznych wspomnień, tajemnic, doznań, preferencji, spostrzeżeń, ukrytych lęków, ech i uczuć. Niczego nie ukrywali. Wylali z siebie wszystkie drobne okrucieństwa, wstydlive seksualne doświadczenia i uprzedzenia, razem z myślami o dawnych przyjęciach urodzinowych, byłych kochankach, rodzicach oraz niekończącym się strumieniem błahostek. Dwoje ludzi rzadko może poznać się tak dobrze nawet po pięćdziesięciu latach małżeństwa. Kilka minut później spotkali się po raz pierwszy.

Światło latarni Barnegat omiatało głowę Bremena co dwadzieścia cztery sekundy. Na morzu było teraz więcej światła niż wzdłuż pogrążonej w mroku plaży. Po północy wzmógł się wiatr i Bremen mocno otulił się kocem. Podczas ostatniego obchodu Gail odmówiła zastrzyku, ale wciąż miała zamglone myśli. Bremen wymusił kontakt siłą woli. Gail zawsze bała się ciemności. W czasie ich sześciolatniego małżeństwa nocami wielokrotnie wyciągał ku niej rękę lub sięgał myślą, by ją uspokoić. Teraz znów była wystraszoną dziewczynką, pozostawioną

samotnie na piętrze dużego starego domu przy Burlingame Avenue. Coś czaiło się w ciemności pod jej łóżkiem.

Bremen sięgnął poprzez jej zagubienie i ból, by podzielić się z nią szumem morza. Opowiadał o psotach Gernisavien, ich cętkowanej kotki. Położył się w zagłębieniu w piasku, dopasowując się do jej ciała. Powoli zaczęła się odprężać i poddawać mu swoje myśli. Zdołała nawet kilkakrotnie się zdrzemnąć i śniła o ruchu gwiazd między chmurami oraz ostrej woni Atlantyku. Bremen opisał swój tydzień pracy na farmie – subtelne piękno równań Fouriera na tablicy w gabinecie i rozświetloną słońcem satysfakcję, jaką sprawiło mu zasadzenie brzoskwini przy podjeździe. Podzielił się wspomnieniami z ich wyjazdu na narty do Aspen oraz szokiem, jaki wywołał w nim omiatający plażę reflektor punktowy jakiegoś niewidocznego statku. Dzielił się nielicznymi wierszami, które znał na pamięć, ale słowa osuwały się w obrazy i uczucia.

Noc trwała, a Bremen dzielił się jej zimną wyrazistością, zabarwiając każdy obraz ciepłem swojej miłości. Dzielił się błahostkami i nadziejami na przyszłość. Z odległości ponad stu kilometrów dotknął jej dłoni. Kiedy na kilka minut odpływała, posyłał jej swoje sny.

Gail zmarła tuż przed tym, jak fałszywe światło świtu musnęło niebo.

Kierownik wydziału matematyki w Haverford namawiał Bremena na wzięcie urlopu naukowego, ale Bremen odmówił i zwolnił się z pracy.

Dorothy Parks z wydziału psychologii poświęciła jeden z długich wieczorów na wytłumaczenie Bremenowi tajników żałoby.

– Musisz zrozumieć, Jeremy, że przeprowadzka to częsty błąd popełniany przez ludzi, którzy doznali poważnej straty. Wydaje ci się, że nowe środowisko pomoże ci zapomnieć, ale tylko odsuwasz w czasie nieuniknioną konfrontację z bólem.

Bremen uważnie jej wysłuchał, kiwając głową ze zrozumieniem. Następnego dnia wystawił farmę na sprzedaż, sprzedał triumpha swojemu mechanikowi przy Conestoga Road i pojechał autobusem na lotnisko. Podszedł do stanowiska United Airlines i kupił bilet na najbliższy lot.

Przez rok mieszkał na Florydzie, gdzie pakował towary w centrum transportowym niedaleko Tampy. Przez cały kolejny rok w ogóle nie pracował. Wędrował z wędką na północ, od Everglades aż do Chattooga River w północnej Georgii. W marcu został zatrzymany za włóczęgostwo w Charleston w Karolinie Południowej. W maju spędził dwa tygodnie w Waszyngtonie, gdzie odwiedzał

tylko sklepy z alkoholem oraz Bibliotekę Kongresu. Pewnej czerwcowej nocy został okradziony i poważnie pobity przed dworcem autobusowym w Baltimore. Następnego dnia wyszedł ze szpitala, wrócił na dworzec i ruszył na północ, aby odwiedzić swoją siostrę w Nowym Jorku. Siostra i jej mąż nalegali, by został u nich kilka tygodni, ale wyjechał wczesnym rankiem trzeciego dnia, pozostawiając liścik pożegnalny oparty o solniczkę na kuchennym stole. W Filadelfii usiadł na Penn Station i czytał ogłoszenia dla poszukujących pracy. Trasa jego wędrówki była równie przewidywalna jak eleganckie eliptyczne ruchy jo-jo.

Robby miał szesnaście lat, ważył osiemdziesiąt kilogramów i od urodzenia był niewidomy, niesłyszący oraz upośledzony umysłowo. Narkomania jego matki w ciąży oraz defekt łożyska sprawiły, że zmysły Robby'ego się wyłączyły, jak kolejne części tonącego statku odcinane za pomocą wodoszczelnych grodzi.

Niewidzące oczy Robby'ego przypominały zapadnięte, mroczne jaskinie. Źrenice, ledwie widoczne spod opadających, niesymetrycznych powiek, poruszały się przypadkowo i niezależnie od siebie. Usta chłopca były obwisłe i obrzmiałe, a uzębienie miał niekompletne i zaatakowane przez próchnicę. W wieku szesnastu lat puścił mu się ciemny wąs, czarne włosy sterczały na wszystkie strony, a brwi łączyły się nad szerokim nosem.

Otyłe ciało dziecka niepewnie podtrzymywały trupio blade, wychudzone nogi. Robby nauczył się chodzić w wieku jedenastu lat, ale wciąż wywracał się po postawieniu zaledwie kilku kroków. Przemieszczał się krótkimi zrywami, jak podbiegający gołąb, przyciskając do ciała pulchne ręce o nienaturalnie wykrzywionych nadgarstkach i rozczapierzonych palcach. Podobnie jak wielu upośledzonych umysłowo niewidomych, najchętniej kołysał się w tył i w przód, jednocześnie poruszając dłonią nad zapadniętymi oczami, jakby chciał rzucić cień w głąb mrocznej otchłani.

Nie mówił. Od czasu do czasu wydawał z siebie pozbawione znaczenia chichoty i piski sprzeciwu, które kojarzyły się z falsetowymi zaśpiewami.

Od sześciu lat uczęszczał do dziennej szkoły dla niewidomych w Chelton. Nikt nie wiedział, jak wyglądało jego wcześniejsze życie. Odkryła go pracownica pomocy społecznej, która odwiedziła jego matkę w związku z nakazaniem przez sąd odwykiem od heroiny. Mieszkanie było otwarte i pracownica usłyszała jakieś hałasy. Chłopiec był zamknięty w łazience, której drzwi zabito kawałkiem sklejk. Na wyłożonej kafelkami podłodze leżały mokre

papiery, a Robby był nagi i usmarowany własnymi odchodami. Matka zostawiła odkręcony kran, a podłogę pokrywała kilkucentymetrowa warstwa wody. Chłopiec tarzał się w brudzie i cicho popiskiwał.

Spędził w szpitalu cztery miesiące, następnie na pięć tygodni trafił do państwowego domu opieki, by ostatecznie wrócić do matki. Zgodnie z wyrokiem sądu sześć razy w tygodniu był transportowany do szkoły w Chelton na pięciogodzinną terapię. Zawsze podróżował w ciemności i milczeniu.

Jego przyszłość była prosta i monotonna, bez nadziei na jakąkolwiek zmianę.

– Psiakrew, Jer, jutro będziesz musiał zająć się dziećmi.

– Dlaczego ja?

– Ponieważ nie wejdzie do tego cholernego basenu. Widziałeś go dzisiaj. Smitty tylko opuścił jego nogi do wody, a on zaczął się miotać i wrzeszczeć. Zupełnie jakby pobiło się stado kotów. Doktor Whilden zdecydowała, że jutro go zostawimy. A w furgonetce jest za gorąco, żeby mógł na nas czekać. Dotrzymasz mu towarzystwa w pokoju, dopóki pomocnik Jan McLellan nie wróci z wakacji.

– Świetnie – odparł Bremen. Odlepił przepoconą koszulę od skóry. Zatrudnił się jako kierowca furgonetki, a teraz musiał pomagać w karmieniu, ubieraniu i pilnowaniu tych biedaków. – Świetnie. Po prostu rewelacyjnie, Bill. Co niby mam z nim robić przez półtorej godziny, kiedy wy będziecie na basenie?

– Pilnuj go. Spróbuj go zainteresować książeczką z suwakami. Widziałeś stronę z haftką od biustonosza? Niech się nią pobawi. Kiedyś sam na niej ćwiczyłem z zamkniętymi oczami.

– Super – odrzekł Bremen. Ponownie zacisnął powieki, chroniąc się przed oślepiającym słońcem.

Bremen usiadł na werandzie i wlał do szklaneczki resztę szkockiej. Było grubo po północy, ale na wąskiej ulicy roiło się od baraszkujących dzieci. Dwaj czarnoskórzy nastolatki obrzucali się w żartach wyzwiskami, dopingowani przez kolegów. Grupka małych dziewczynek skakała przez dwie skakanki w blasku ulicznej latarni. Owady kłębiły się w świetle, zupełnie jakby tańczyły w rytm śpiewu dziewczynek. Dorośli siedzieli na schodach identycznych

szeregowych domów i patrzyli na siebie ze znudzeniem. Nikt się nie poruszał. Było bardzo gorąco.

„Czas ruszać dalej”.

Bremen wiedział, że już zbyt długo zwlekał. Siedem tygodni pracy w dziennej szkole to za dużo. Zaczynał się interesować. Dopytywał o uczniów.

„Może Boston. Albo dalej na północ. Maine”.

Zadawał pytania, a Jan McLellan opowiadała mu o Robbym. O sińcach na jego ciele, złamanej ręce dwa lata temu. Opowiedziała mu o pluszowym misiu, którego wolontariuszka w szpitalu podarowała niewidomemu chłopcu. To był pierwszy pozytywny bodziec, który wywołał w nim emocje. Nie wypuszczał misia z rąk całymi tygodniami. Nie chciał pójść bez niego na prześwietlenie. Kilka dni po powrocie do domu Robby wsiadł rano do furgonetki, krzycząc i osobiwie zawodząc. Nie miał misia. Doktor Whilden zapytała o to jego matkę, a ta odpowiedziała, że „cholera się zgubiło”. Właśnie takich użyła słów, powiedziała Jan McLellan. Żaden inny miś nie mógł zastąpić zgubionej zabawki. Robby nie mógł się uspokoić przez trzy tygodnie.

„I co z tego? Co niby mogę zrobić?”.

Bremen wiedział, co może zrobić. Wiedział to od tygodni. Pokręcił głową i wypił kolejną szklaneczkę, jeszcze bardziej wzmacniając umysłową tarczę, która oddzielała go od bezsensownego, przynoszącego cierpienie świata.

„Cholera, będzie lepiej dla Robby’ego, jeśli tego nie spróbuję”.

Zerwał się wiatr. Bremen słyszał pokrzykiwania na pobliskim parkingu, gdzie dwa sprzymierzone gangi rozgrywały ostry spontaniczny mecz. Zasłony powiewały w otwartych oknach. Gdzieś zabrzmiał jęk syreny, który po chwili ucichł. Wiatr podrywał papiery z rynsztoka i poruszał sukienkami dziewczynek bawiących się skakankami,

„Pieprzyć to!”. Zabrał pustą butelkę i poszedł na górę.

Furgonetka wjechała na okrągły podjazd szkoły, a Bremen pomógł dzieciom wysiąść z ostrożnością zrodzoną z praktyki, czułości i pulsującego bólu głowy.

Scotty opuścił samochód z uśmiechem, wyciągając ręce do dorosłego, którego nie widział, ale któremu ufał. Tommy Pierson wyskoczył ze złączonymi kolanami i dłońmi przyciśniętymi do piersi. Bremen musiał go złapać, w przeciwnym razie wąły chłopiec runąłby na twarz. Teresa zeskoczyła na ziemię, jak zwykle radośnie pokrzykując i rozdając wszystkim, którzy jej dotykali, nieprecyzyjne, ale pełne entuzjazmu i śliny buziaki.

Robby został w furgonetce, gdy pozostali wysiedli. Bremen i Smitty musieli wspólnymi siłami wyprowadzić go z auta. Chłopiec się nie opierał, ale był otyły i bezwładny. Jego głowa nieprzyjemnie odchyłała się do tyłu. Język zwisał na zmianę z obu kącików ust. Musieli zachęcać go do stawiania kolejnych krótkich, ptasich kroków. Szedł naprzód tylko dlatego, że dobrze znał drogę do klasy.

Poranek ciągnął się bez końca. Przed lunchem padało i przez chwilę wydawało się, że z wyjścia na basen nic nie będzie. Ale potem wyszło słońce, które rozświetliło kwietne rabatki na trawniku przed budynkiem. Bremen patrzył, jak promienie tańczą na wilgotnych płatkach ulubionych róż Turka, i słuchał ryku kosiarki. Zrozumiał, że to się stanie.

Po lunchu pomógł im się przygotować do wyjścia. Chłopcy nie potrafili sami przebrać się w kostiumy kąpielowe, a Bremen ze smutkiem patrzył na włosy łonowe i penisa młodzieńca o umyśle siedmiolatka. Tommy w takiej sytuacji zawsze zaczynał się bezwiednie masturbować, dopóki Bremen nie dotknął jego ręki i nie pomógł mu wciągnąć elastycznego stroju.

W końcu wyszli i na korytarzu, który jeszcze przed chwilą był pełen piszczących dzieci i roześmianych dorosłych, zapadła cisza. Bremen patrzył, jak niebiesko-biała furgonetka powoli oddala się wzdłuż podjazdu. Potem wrócił do sali lekcyjnej.

Robby najwyraźniej nie był świadomy, że Bremen wszedł do pomieszczenia. Wyglądał absurdalnie w pasiastej zielonej koszulce i pomarańczowych szortach, zbyt ciasnych, by dało się je dopiąć. Bremen przypomniał sobie pękniętego Buddę z brązu, którego kiedyś widział niedaleko Osaki. A jeśli w tym dziecku kryła się głęboka mądrość zrodzona z długotrwałego odizolowania od świata?

Robby poruszył się, puścił głośnego bąka i znów się zgarbił.

Bremen westchnął i przyciągnął krzesło. Było za małe. Czuł się absurdalnie ze sterczącymi w górę kolanami. Uśmiechnął się. Wyruszy wieczorem. Pojedzie autobusem na północ. Złapie autostop. Na wsi będzie chłodniej.

To nie potrwa długo. Nawet nie będzie musiał nawiązywać pełnego kontaktu. Jednostronne dotknięcie umysłu. To możliwe. Wystarczy kilka minut. Będzie mógł wyrzeć za Robby'ego przez okno, popatrzeć na książeczkę z obrazkami, może puści płytę i podzieli się z nim muzyką. Co chłopiec pomyśli o tych nowych doznaniach? To będzie prezent przed wyjazdem. Anonimowy. Nie podzieli się niczym więcej. Lepiej nie wysyłać także wizerunku samego Robby'ego. W porządku.

Bremen opuścił umysłową tarczę. Od razu wzdrygnął się i znów ją postawił. Minęło dużo czasu, odkąd tak się odsłonił. Gruby, wełnisty koc tarczy, dodatkowo wzmacniany alkoholem, stał się dla niego czymś naturalnym. Nagły przypływ gwaru rozbrzmiewającego w tle – uznawał go za biały szum – był irytujący. Poczł się, jakby po miesiącach spędzonych w jaskini wszedł do jaskrawo oświetlonego pomieszczenia. Skupił się na Robbym i ponownie opuścił bariery. Wyciszył neurobełkot i zajrzał głęboko do umysłu chłopca.

Pustka.

Zaskoczony, przez chwilę sądził, że stracił panowanie nad swoimi zdolnościami. Ale potem wyczuł nudne seksualne rozważania Turka w ogrodzie i fragmenty zatroskanych myśli doktor Whilden, która wsiadała do swojego mercedesa i sprawdzała, czy nie ma dziur w pończochach. Recepcjonistka czytała powieść *The Plague Dogs*. Bremen przeczytał razem z nią kilka linijek. Frustrowało go, że tak wolno wodziła wzrokiem po tekście. Poczł w ustach smak wiśniowych kropli na kaszel.

Wbił wzrok w Robby'ego. Chłopiec astmatycznie dyszał. Wysunął z ust mocno obłożony język. Na ustach i policzku wciąż miał resztki jedzenia. Bremen zawęził i wzmocnił swoją umysłową sondę, skupiając ją jak promień światła.

Pustka.

Nie. Chwileczkę. Wyczuł... Co takiego?... Jakiś brak. Tam, gdzie powinny się znajdować myśli Robby'ego, ziała potężna dziura. Bremen zrozumiał, że ma do czynienia z najsilniejszą umysłową tarczą, jaką kiedykolwiek napotkał. Nawet Gail nie potrafiła postawić tak silnej osłony. Przez chwilę był pod ogromnym wrażeniem, a nawet czuł się wstrząśnięty, ale potem zrozumiał, jaki jest powód. Umysł Robby'ego był uszkodzony. Całe jego segmenty pozostawały nieaktywne. Chłopiec mógł polegać tylko na niektórych zmysłach i miał szczątkową świadomość, więc nic dziwnego, że ta zwróciła się do wewnątrz. To, co Bremen początkowo wziął za potężną tarczę, było zwartą kulą introspekcji, wykraczającą poza spektrum autyzmu. Robby był prawdziwie samotny.

Bremen był tak oszołomiony, że musiał na chwilę przerwać i wziąć kilka głębokich oddechów. Kiedy doszedł do siebie, zaczął działać z jeszcze większą ostrożnością, badając granice tarczy jak człowiek obmacujący w ciemności szorstką ścianę. Gdzieś musiał być jakiś otwór.

Znalazł go. Nie był to otwór, a raczej słabsze miejsce – uginająca się przestrzeń pośród niewzruszonej skały. Bremen z trudem wyczuwał myśli trzepoczące po drugiej stronie, tak jak pieszy wyczuwa ruch pociągów metra pod chodnikiem. Skupił się na wzmocnieniu sondy, aż poczuł, że jego koszula zaczyna nasiąkać potem. Pod wpływem wysiłku miał zaburzenia wzroku

i słuchu. Nieważne. Po nawiązaniu wstępnego kontaktu zamierzał się odprężyć i powoli otworzyć kanały obrazu i dźwięku.

Poczuł, że elastyczna tarcza lekko ustępuje pod jego naciskiem. Skoncentrował się tak bardzo, że wystąpiły mu żyły na skroniach. Nawet o tym nie wiedział, ale jego twarz wykrzywił grymas, a mięśnie szyi mocno się napięły. Tarcza się ugięła. Sonda Bremena była jak taran uderzający w zwarte galaretowate drzwi. Coraz bardziej je wyginała. Bremen skupiał się tak bardzo, że mógłby przemieszczać myślą przedmioty, rozbijać cegły, zatrzymywać ptaki w locie.

Tarcza coraz bardziej ustępowała. Bremen nachylił się, jakby walczył z silnym wiatrem. Liczyła się tylko siła jego woli. Nagle coś się rozdarło, poczuł uderzenie ciepła i runął do przodu. Stracił równowagę, zamachał rękami i otworzył usta do krzyku.

Ale jego usta zniknęły.

Spadał. Koziołkował. Ze zdziwieniem dostrzegł z oddali swoje ciało targane epileptycznym atakiem. Potem znów zaczął spadać. Spadał w ciszę. W nicość. Nicość.

Bremen był w środku. Był dalej. Nurkował poprzez warstwy powolnych termicznych prądów. Bezbarwne wirujące fajerwerki spadały w trzech wymiarach. Czarne kule zapadały się na zewnątrz. Oślepiały go. Czuł wodospady dotyku, strugi zapachu, linia równowagi powiewała na cichym wietrze.

Podtrzymywały go tysiące rąk, które dotykały, badały, wpychały palce do ust, przyciskały dłonie do piersi, przesuwały się po brzuchu, obejmowały penisa i sunęły dalej.

Był pogrzebany. Znajdował się pod wodą. Wznosił się pośród czerni. Ale nie mógł oddychać. Jego ręce zaczęły się poruszać. Dłonie zmagaly się z lepkiem nurtem. W górę. Był pogrzebany w piasku. Miotał się i wierzgał. Przesuwał się ku górze, ciągnięty przez ssącą rurę, która mocno trzymała jego głowę. Substancja się przemieściła. Tysiące niewidocznych dłoni ścisnęły go i przepychały przez ciasny otwór. Głowa wydostała się na powierzchnię. Otworzył usta, by krzyżeć, a powietrze wdarło się do jego piersi jak woda wypełniająca tonącego człowieka. Wrzask się nie kończył.

JA!

Bremen ocknął się na rozległej równinie. Nie było nieba. Wszystko tonęło w bladym brzoskwiniowym świetle. Ziemia była twarda i podzielona na osobne pomarańczowe segmenty, które ciągnęły się w nieskończoność. Nie było horyzontu. Grunt był popękany i karbowany, jak teren zalewowy po suszy. W górze znajdowały się kolejne warstwy rozświetlonych brzoskwiniowym

blaskiem kryształów. Bremen miał wrażenie, że jest w piwnicy przezroczystego plastikowego drapacza chmur. Pustego. Leżał na plecach i patrzył przez niekończące się piętra skryształizowanej pustki.

Usiadł. Czuł się tak, jakby ktoś przeciągnął mu po skórze papierem ściernym. Był nagi. Przesunął dłonią po brzuchu, dotknął włosów łonowych, znalazł bliznę na kolanie po wypadku motocyklowym, który przydarzył mu się, gdy miał siedemnaście lat. Kiedy wstał, przetoczyła się przez niego fala mdłości.

Ruszył przed siebie. Gładkie płyty pod jego stopami były ciepłe w dotyku. Szedł bez konkretnego kierunku ani celu. Kiedyś przeszedł półtora kilometra po nizinie solnej Bonneville tuż przed zachodem słońca. Teraz czuł się podobnie. Wędrował. „Kto stanie na szparze, tego obić każe”.

W końcu zatrzymał się w miejscu, które nie wyróżniało się niczym szczególnym. Bolała go głowa. Położył się na plecach i wyobraził sobie, że jest mieszkającym przy dnie morskim zwierzęciem, które patrzy w górę poprzez warstwy przemieszczających się prądów. Brzoskwiniowe światło obmywało go ciepłem. Jego skóra promieniowała. Zamknął oczy i zasnął.

Usiadł gwałtownie, jego nozdrza się rozděły, a uszy aż zadrżały, gdy próbował umiejscowić ledwie słyszalny dźwięk. Panowała całkowita ciemność.

Coś poruszało się pośród nocy.

Bremen kucnął w mroku i próbował zignorować własny chrapliwy oddech. Jego gruczoły weszły w tryb pracy zaprogramowany przed milionami lat. Pięści się zacisnęły, oczy bezużytecznie poruszały się w oczodołach, a serce biło jak szalone.

Coś poruszało się pośród nocy.

Czuł to w pobliżu. Czuł jego siłę. Było potężne i bez trudu potrafiło znaleźć drogę w ciemności. Ta istota była obok niego i nad nim. Bremen czuł siłę jej niewidzącego spojrzenia. Uklęknął na zimnym gruncie i zwinął się w kłębek.

Coś go dotknęło.

Powstrzymał krzyk. Pochwyciła go dłoń olbrzymia – coś szorstkiego i ogromnego, co wcale nie było dłonią. Podniosła go. Bremen poczuł siłę jej uścisku i ból w żebrach. Mogła bez trudu go zmiażdżyć. Ponownie odniósł

wrażenie, że ktoś go ogląda, bada i waży na niewidocznej wadze. Był bezradny, ale zarazem czuł się bezpiecznie, jak pacjent podczas prześwietlenia, który wie, że przenikają go niewidzialne promienie szukające wszelkich nieprawidłowości.

Coś odłożyło go na ziemię.

Niczego nie usłyszał, ale wyczuł oddalające się ciężkie kroki. Ucisk zelżał. Bremen załkał. Po chwili wyprostował się i wstał. Zawołał w ciemność, ale jego słaby głos się w niej zagubił, tak że nie był pewien, czy sam się słyszy.

Wzeszło słońce. Bremen zamrugał i otworzył oczy, wbił wzrok w odległą jasność, a potem zacisnął powieki, zanim to w pełni do niego dotarło. *Wzeszło słońce.*

Siedział na trawie. Preria porośnięta miękkimi źdźbłami sięgającymi mu do kolan ciągnęła się aż po horyzont we wszystkich kierunkach. Bremen zerwał jedno źdźbło, obrał je i zaczął ssać słodki rdzeń. Znów poczuł się jak dziecko. Ruszył przed siebie.

Wiał ciepły wiatr. Poruszał trawą i wzbudzał cichy szum, który łagodził ból pulsujący za jego oczami. Wędrownka sprawiała mu przyjemność. Cieszył się dotykiem trawy pod bosymi stopami oraz słońcem i wiatrem muskającymi ciało.

Wczesnym popołudniem uświadomił sobie, że idzie w stronę jakiejś smugi na horyzoncie. Późnym popołudniem smuga zmieniła się w linię drzew. Wkrótce przed zachodem słońca znalazł się na skraju lasu. Rosły tutaj dostojne wiązy i dęby, jakie pamiętał ze swojego dzieciństwa w Pensylwanii. Jego długi cień sunął przed nim, gdy zagłębiał się w lesie.

Po raz pierwszy poczuł, że dokuczają mu zmęczenie i pragnienie. Miał ciężki język, suchy i opuchnięty. Z trudem brnął przez wydłużające się cienie, od czasu do czasu wypatrując chmur na fragmentach nieba widocznych między koronami drzew. Kiedy tak patrzył w górę, o mało nie wpadł do stawu. Za ochronnym kręgiem chwastów i szuwarów znajdował się okrągły zbiornik wodny. Nad brzegiem zakorzeniło się drzewo wiśniowe obsypane owocami. Bremen pokonał ostatnie kilka kroków, spodziewając się, że woda zniknie, gdy się w nią rzuci.

Sięgała mu do piersi i była zimna jak lód.

Przyszła tuż po wschodzie słońca. Bremen zauważył ruch zaraz po przebudzeniu. Nie dowierzał własnym oczom i stał nieruchomo, jeden z wielu cieni pod drzewem. Szła niepewnie, jakby była nieśmiała albo bosa. Wiechy traw muskały jej uda. Bremen widział ją wyraźnie w poziomych promieniach porannego słońca. Miał wrażenie, że jej ciało lśni. Piersi, lewa jak zwykle nieco pełniejsza od prawej, delikatnie się kołysały z każdym wysokim krokiem. Czarne włosy miała ostrzyżone na krótko.

Zatrzymała się w świetle. Potem znów ruszyła. Bremen spuścił wzrok na jej silne uda. Nogi rozchyłały się i zwierzały z oszałamiającą swobodą typową dla kogoś, kto czuje, że nikt na niego nie patrzy. Była już znacznie bliżej i Bremen dostrzegał delikatne cienie wzdłuż jej żeber, bladoróżowe kręgi obwódki sutek oraz rozległy siniec po wewnętrznej stronie jednej z rąk.

Wyszedł z cienia.

Zatrzymała się i instynktownie zasłoniła rękami, a następnie szybko do niego podeszła. Rozpostarła ramiona. Jego nozdrza wypełnił czysty zapach jej włosów. Skóra dotknęła skóry. Ich dłonie sunęły po mięśniach, skórze, znajomych wypukłościach kręgow. Oboje łkali i mówili słowa pozbawione sensu. Bremen padł na jedno kolano i zanurzył twarz między jej piersi. Nachyliła się lekko i objęła palcami jego głowę. Ani na chwilę nie odrywali się od siebie.

– Dlaczego mnie zostawiłaś? – wyszeptał, dotykając ustami jej skóry. – Dlaczego odeszłaś?

Gail nie odpowiedziała. Jej łyzy spadały na jego włosy, a dłonie zaciskały się na jego karku. Bez słowa uklękła razem z nim w wysokiej trawie.

Wspólnie wyszli z lasu, gdy właśnie rozwiewały się poranne mgły. W tym świetle trawiaste wzgórza przypominały część opalonego, aksamitnego ludzkiego tułowia, którego mogliby dotknąć.

Rozmawiali cicho, co jakiś czas splatając palce. Odkryli, że próby kontaktu telepatycznego kończyły się oślepiającymi atakami bólu głowy. Dlatego używali mowy. Oraz dotyku. Zanim dzień dobiegł końca, dwukrotnie kochali się w wysokiej, miękkiej trawie, gdzie patrzyło na nich tylko złote oko słońca.

Późnym popołudniem pokonali wzniesienie i ich oczom ukazał się niewielki sad, za którym wznosiła się biała lśniąca ściana.

– To nasza farma! – wykrzyknęła Gail z zachwytem. – Jak to możliwe?

Bremen nie był zaskoczony. Kiedy zbliżyli się do wysokiego starego budynku, zachowywał spokój. Była tutaj także sypiąca się stodoła, której

używali jako garażu. Podjazdowi wciąż przydałaby się wymiana żwiru, ale teraz prowadził donikąd, ponieważ na jego końcu nie było szosy. Stuletnia zardzewiała siatka odgradzająca drogę zniknęła w wysokiej trawie.

Gail weszła na werandę i zajrzała przez okno. Bremen czuł się jak intruz albo ktoś, kto ogląda domy na sprzedaż i natrafił na taki, w którym ktoś być może wciąż mieszka. Z przyzwyczajenia podeszli do tylnego wejścia. Gail delikatnie otworzyła drzwi z siatką i lekko odskoczyła, gdy zawiasy zapiszczały.

– Przepraszam – odezwał się Bremen. – Wiem, że obiecałem je naoliwić.

W środku było chłodno i ciemno. Pokoje wyglądały tak samo jak w dniu, gdy je opuścili. Bremen zajrzał do swojego gabinetu i zauważył dokumenty wciąż leżące na dębowym biurku oraz dawno zapomniane przekształcenie zapisane kredą na tablicy. Na górze popołudniowe słońce wpadało przez świetlik, który udało mu się założyć dawno temu we wrześniu. Gail spacerowała od pokoju do pokoju, pomrukując z uznaniem i delikatnie dotykając rozmaitych przedmiotów. Sypialnia była wysprzątana jak zawsze, niebieski koc został mocno naciągnięty i zatknięty pod materac, a babcina kołdra w kratę leżała złożona w nogach łóżka.

Zasnęli na chłodnej pościeli. Podmuchy wiatru od czasu do czasu nadymały zasłony. Gail mamrotała przez sen i często wyciągała do niego rękę. Kiedy Bremen się obudził, było już prawie ciemno. Otaczał ich wieczorny półmrok typowy dla wczesnego lata.

Z dołu dobiegał jakiś dźwięk.

Bremen przez długą chwilę leżał bez ruchu. Powietrze było gęste i nieruchome, cisza niemal namacalna. Potem rozległ się kolejny dźwięk.

Bremen wyszedł z łóżka, nie budząc Gail. Leżała zwinięta w kłębek na boku z dłonią przy policzku, a poduszka przy jej ustach była wilgotna. Zszedł na bosaka po drewnianych schodach. Wślizgnął się do swojego gabinetu i ostrożnie otworzył prawą dolną szufladę. Znalazł to, czego szukał, pod pustymi teczkami. Wyjął szmaty wyściełające szufladę.

Smith & Wesson kaliber .38 cuchnął smarem i wyglądał na równie nowy jak w dniu, gdy jego szwagier mu go podarował. Bremen sprawdził bębenek. Tłuste i ciężkie pociski tkwiły na swoich miejscach, jak jajka w gnieździe. Szorstka rękojeść dobrze leżała w dłoni, a metal był chłodny w dotyku. Bremen uśmiechnął się smutno, gdy uświadomił sobie absurd sytuacji, ale nie odłożył broni. Drzwi kuchenne ponownie trzasnęły.

Bezgłośnie wyszedł na korytarz i zbliżył się do wejścia do kuchni. Było bardzo ciemno, ale jego oczy przyzwyczyły się do mroku. Z miejsca, w którym stał, widział bladą zjawę lodówki. Jej pompa cicho powarkiwiała. Trzymając rewolwer przy boku, wszedł na chłodne kafelki pokrywające podłogę kuchni.

Ruch go zaskoczył i broń uniosła się o kilka centymetrów, zanim się uspokoił. Gernisavien, niepokorna mała cętkowana kotka, przeszła przez kuchnię, otarła się o jego nogi, a następnie wróciła do lodówki, popatrzyła na niego znacząco i znów zaczęła się do niego łąsić. Bremen przyklęknął i podrapał ją po szyi z nieobecną miną. Pistolet wyglądał idiotycznie w jego zaciśniętej dłoni. Poluzował uścisk.

Kiedy zasiedli do później kolacji, już wschodził księżyc. Steki znaleźli w zamrażarce w piwnicy, w lodówce stało zimne piwo, a w garażu kilka worków węgla drzewnego. Siedzieli obok starej pompy za domem, na grillu skwierczało mięso. Wcześniej nakarmili Gernisavien, ale kotka i tak leżała obok jednego z dużych starych drewnianych ogrodowych krzeseł i zerknęła na nich z wyczekiwaniem.

Oboje się ubrali – Bremen w swoje ulubione bawełniane spodnie i błękitną roboczą koszulę, a Gail w luźną białą bawełnianą sukienkę, którą często nosiła na wycieczkach. Otaczały ich dźwięki, które wielokrotnie słyszeli na tym podwórku: świerszcze, nocne ptaki w sadzie, cała gama żabich rechotów przy dalekim strumieniu, od czasu do czasu trzepot skrzydeł wróbla przy budynkach gospodarczych.

Bremen podał steki na jednorazowych talerzach. Noże naznaczyły białą fakturę przecinającymi się liniami. Zjedli mięso i prostą sałatkę z warzyw z ogrodu, ze świeżymi rzodkiewkami i cebulkami.

Chociaż widać było trzy czwarte księżyc, gwiazdy i tak niezwykle jasno świeciły. Bremen przypomniał sobie noc, kiedy leżeli na hamaku i czekali, aż po niebie przemknie stacja kosmiczna Skylab, niczym niesiona wiatrem iskra. Uświadomił sobie, że gwiazdy są tutaj jeszcze jaśniejsze, ponieważ światła Filadelfii ani autostrady nie przyćmiewają ich chwały.

Gail wyprostowała się na krześle, zanim dokończyli posiłek.

Gdzie my jesteśmy, Jerry? Dotyk jej myśli był delikatny. Nie wywoływał oślepiającego bólu głowy.

Bremen wypił łyk budweisera.

– Co jest złego w powrocie do domu, mała?

Nie ma niczego złego w powrocie do domu. Ale gdzie jesteśmy?

Bremen skupił się na rzodkiewce, którą obracał w palcach. W smaku była słona, ostra i chłodna.

Co to za miejsce? Gail popatrzyła w stronę ciemnej linii drzew na skraju sadu. Świetliki migotały w ciemności.

Gail, jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

– Pamiętam, jak umarłam.

Jej słowa uderzyły go prosto w splot słoneczny. Przez chwilę nie mógł nic powiedzieć ani zebrać myśli.

– Nigdy nie wierzyliśmy w życie po śmierci, Jerry – ciągnęła. *Fanatyczni rodzice hipokryci. Matka po pijaku szlochająca nad Biblią.* – To znaczy... Nie wiem... Jak to możliwe...

– Nie – odrzekł Bremen, stawiając talerz na podłokietniku i nachylając się. – Być może jest jakieś wytłumaczenie.

Od czego zacząć? Stracone lata, Floryda, gorące ulice miasta, szkoła dzienna dla upośledzonych niewidomych dzieci. Gail z szeroko otwartymi oczami patrzyła na ten okres jego życia. Wyczuwała jego umysłową tarczę, ale nie nalegała, by pokazał jej wszystko. *Robby. Chwilowy kontakt. Być może puszczenie płyty. Spadanie.*

Przerwał, żeby wypić długi łyk piwa. Chór owadów hałasował. Dom lśnił blade w blasku księżyca.

Gdzie my jesteśmy, Jerry?

– Co pamiętasz z przebudzenia w tym miejscu, Gail?

Już wcześniej podzielili się obrazami, ale próba ujęcia ich w słowa wyostrzyła wspomnienia.

– Ciemność – odpowiedziała. – A potem łagodne światło. Kołysanie. *Ktoś mnie kołysał. Trzymał i obejmował. Wędrowkę. Znalezienie ciebie.*

Bremen pokiwał głową. Podniósł ostatni kawałek mięsa i rozkoszował się smakiem spalenizny. *To oczywiste, że jesteśmy z Robbym.* Podzielił się obrazami, na które nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Wodospady dotyku. Krajobrazy zapachu. Ruch mocy w ciemności.

Z Robbym, zabrzmiała echem myśl Gail. ?????? W jego umyśle.

– Jak?

Kotka wskoczyła mu na kolana. Pogłaskał ją bezwiednie i odstawił na ziemię. Gernisavien od razu podniosła ogon i odwróciła się do niego tyłem.

– Czytaliśmy wiele historii o telepatach. Czy natrafiłaś gdzieś na satysfakcjonujące wyjaśnienie tego, jak działa telepatia? Dlaczego jedni ludzie mogą z niej korzystać, a inni nie? Dlaczego myśli jednych są głośne, jakby krzyczeli przez megafon, a myśli innych niemal nie sposób dosłyszeć?

Gail przez chwilę się zastanawiała. Kotka pozwoliła podrapać się za uszami.

– Cóż, była pewna naprawdę dobra książka... chociaż ona tylko opisywała, jakie to uczucie. Nie. Zazwyczaj opisują to jako coś w rodzaju transmisji

radiowej lub telewizyjnej. Ale przecież o tym wiesz, Jerry. Wiele razy o tym rozmawialiśmy.

– Tak – przyznał Bremen.

Wbrew sobie już próbował jej to opisać. Jego telepatyczny dotyk plątał słowa. Obrazy sypały się jak wydruki z przeciążonego terminala. Niekończące się krzywe Schrödingera, których wykresy przemawiały językiem czystszy od mowy. Załamujące się krzywe prawdopodobieństwa w rozkładzie dwumianowym.

– Mów – odezwała się Gail.

Zastanowiło go, że po tylu latach dzielenia myśli wciąż nie zawsze potrafiła patrzeć jego oczami.

– Pamiętasz mój ostatni wielki projekt? – spytał.

– Czoło fali – odrzekła.

– Właśnie. Pamiętasz, czego dotyczył?

– Hologramów. Pokazałeś mi wyniki badań Goldmanna na uniwersytecie. – Była jak łagodna biała smuga w słabym świetle. – Większości nie zrozumiałam, a wkrótce potem zachorowałam.

– Jego praca opierała się na holografii – przerwał jej Bremen pośpiesznie. –

Ale grupa badawcza Goldmanna pracowała nad odpowiednikiem ludzkiej świadomości... i myśli.

– Co to ma wspólnego z... z tym? – spytała Gail. Wykonała elegancki ruch dłonią, wskazując podwórze, noc i usiane gwiazdami sklepienie nad nimi.

– To może nam pomóc – odpowiedział Bremen. – Dawne teorie aktywności umysłowej nie tłumaczyły takich zagadnień jak skutki udarów, uogólnione przyswajanie wiedzy czy funkcjonowanie pamięci, nie wspominając o samym akcie myślenia.

– A teoria Goldmanna to robi?

– To jeszcze nie jest teoria, Gail. To było nowe podejście, które opierało się na ostatnich odkryciach dotyczących hologramów oraz na analizie opracowanej w latach trzydziestych przez pewnego rosyjskiego matematyka. Na tym etapie poproszono mnie o pomoc. To było bardzo proste. Grupa Goldmanna prowadziła rozmaite skomplikowane badania EEG. Brałem ich wyniki, poddawałem je analizie Fouriera, a potem stosowałem wobec nich różne modyfikacje równania falowego Schrödingera, żeby sprawdzić, czy działają jako fala stojąca.

– Jerry, nie rozumiem, jak może nam to pomóc.

– Cholera, Gail, to działało. Ludzką myśl można opisać jako stojące czoło fali. Coś w rodzaju superhologramu. A mówiąc precyzyjniej, hologramu, który zawiera w sobie kilka milionów mniejszych hologramów.

Gail się nachylała. Nawet w ciemności Bremen dostrzegał zmarszczki skupienia, które pojawiały się na jej twarzy za każdym razem, gdy opowiadał jej o swojej pracy.

Odezwała się bardzo cicho:

– Gdzie w takim razie znajduje się umysł, Jerry?... W mózgu?

Teraz to on lekko zmarszczył czoło.

– Chyba najwłaściwszą odpowiedzią będzie, że starożytni Grecy oraz różnej maści religijni wariaci słusznie je rozdzielali – odrzekł. – Mózg można postrzegać jako coś w rodzaju... no cóż, elektrochemicznego generatora i interferometra w jednym. Ale umysł... ach, umysł jest czymś znacznie piękniejszym niż ta bryła istoty szarej. – Myślał w kategorii równań, sinusoid tańczących do eleganckiej melodii Schrödingera.

– A więc istnieje dusza, która może przetrwać śmierć? – spytała Gail. Jej głos zabrzmiał nieco asekuracyjnie i zrzędliwie, jak zawsze, gdy rozmawiała o religijnych ideach.

– Oczywiście, że nie – odparł Bremen. Czuł się poirytowany tym, że znów musi myśleć za pośrednictwem słów. – Jeśli Goldmann miał rację i osobowość jest złożonym czołem fali, czymś w rodzaju serii niskoenergetycznych hologramów interpretujących rzeczywistość, to osobowość z pewnością nie może przetrwać śmierci mózgu. Szablon ginie razem z holograficznym generatorem.

– Zatem co to oznacza dla nas? – Głos Gail był ledwie słyszalny.

Bremen nachylił się i ujął ją za rękę. Była lodowata.

– Nie rozumiesz, dlaczego zainteresowałem się tą dziedziną badań? Myślałem, że może umożliwić nam opisanie naszych... eee... zdolności.

Gail podeszła i usiadła obok niego na szerokim drewnianym krześle. Objął ją ramieniem i poczuł dotyk chłodnej skóry. Nagle po niebie przemknął meteor, od zenitu na południe, zostawiając po sobie chwilowy ślad na siatkówce oka.

– No i co? – spytała Gail bardzo cicho.

– To proste – odrzekł Bremen. – Kiedy wyobrazimy sobie ludzką myśl jako serię stojących fal tworzących wzory interferencji, które można przechowywać i przekazywać za pomocą holograficznych odpowiedników, wszystko zaczyna nabierać sensu.

– Aha.

– Naprawdę. To oznacza, że z jakiegoś powodu nasze umysły rezonują nie tylko z falami, które sami wytwarzamy, ale także z tymi, które generują inni.

– Tak – odezwała się Gail z podekscytowaniem i mocno ścisnęła jego dłoń. – Pamiętasz, jak dzieliliśmy się impresjami zaraz po tym, jak się poznaliśmy? Oboje uznaliśmy, że nie da się wyjaśnić telepatycznego dotknięcia komuś, kto

nigdy go nie doświadczył. Równie dobrze można próbować opowiadać o kolorach niewidomemu.... – Umilkła i rozejrzała się.

– No dobrze – rzekł Bremen. – Robby. Kiedy się z nim skontaktowałem, podłączyłem się do zamkniętego układu. Biedny dzieciak nie dysponował prawie żadnymi danymi, na których podstawie mógłby skonstruować model prawdziwego świata. Jedyne informacje, jakie posiadał, były związane z bólem. Dlatego przez szesnaście lat budował własny wszechświat. Mój błąd polegał na tym, że nie doceniłem władzy, jaką on może posiadać w tym świecie, nawet nie wziąłem tego pod uwagę. On mnie pochwyił, Gail. A razem ze mną ciebie.

Zerwał się wiatr i poruszył liśćmi w sadzie. Cichy szelest zabrzmiał smutno, zapowiadając koniec lata.

– W porządku, to tłumaczy, jak ty się tu dostałeś. Ale co ze mną? Jestem tylko wytworem twojej wyobraźni, Jerry?

Bremen poczuł dreszcz. Jego skóra była jak lód. Wziął ją za rękę i mocno ją rozmasował, żeby przywrócić ciału nieco ciepła.

– Daj spokój, Gail, pomyśl. Nie byłaś dla mnie tylko wspomnieniem. Przez ponad sześć lat praktycznie byliśmy jedną osobą o dwóch ciałach. To dlatego, kiedy... Dlatego trochę mi odbiło i na dwa lata próbowałem całkowicie zamknąć umysł. Ty rzeczywiście w nim byłaś. Ale moje ego, czy jakkolwiek inaczej nazwiemy to, co utrzymuje nas przy zdrowych zmysłach i oddziela od bełkotu wszystkich innych umysłów, powtarzało mi, że to było tylko twoje wspomnienie. Byłaś wytworem mojej wyobraźni... tak jak my wszyscy. Jezus, oboje byliśmy martwi, dopóki niewidomy, niesłyszący, upośledzony chłopak, cholerne warzywo, nie wyrwał nas z jednego świata i nie zaproponował nam w zamian innego.

Siedzieli przez chwilę. W końcu Gail przerwała ciszę.

– Ale dlaczego to wydaje się takie prawdziwe?

Bremen drgnął i przypadkowo strącił talerz z podłokietnika. Gernisavien odskoczyła i posłała im urażone spojrzenie. Gail przesunęła po kocim futrze czubkiem sandała. Bremen ścisnął puszkę z piwem, aż ścianka się wgięła, a potem znów odskoczyła.

– Pamiętasz Chucka Gilpena, który zaciągnął mnie na tamto przyjęcie w Drexel Hill? Słyszałem, że pracuje dla Fundamental Physics Group w laboratorium Lawrence Berkely.

– No i co?

– Od kilku lat polują na coraz mniejsze cząsteczki, by ustalić, czym jest rzeczywistość. A wiesz, co odkryli, kiedy ujrzeli ją na najbardziej podstawowym i wszechobecnym poziomie? – Bremen wypił kolejny łyk piwa. – Serię równań,

które ukazują stojące czoła fal, podobne do zawijasów i zakrętasów, jakie kiedyś posyłał mi Goldmann.

Gail wzięła głęboki wdech, a następnie wypuściła powietrze. Jej pytanie niemal się zagubiło, kiedy wiatr znów się wzmógł i poruszył gałęziami drzew.

– Gdzie jest Robby? Kiedy zobaczymy jego świat?

– Nie wiem – odrzekł Bremen. Nieświadomie marszczył czoło. – Wygląda na to, że pozwala nam zdefiniować, co powinno być rzeczywiste. Nie pytaj mnie dlaczego. Może cieszy się okazją zajrzenia do nowego wszechświata. Albo nie może nic na to poradzić.

Siedzieli nieruchomo jeszcze przez kilka minut. Gernisavien ocierała się o nich, podrażniona tym, że tak siedzą w chłodzie i ciemności. Bremen częściowo podtrzymywał umysłową tarczę, nie chcąc, by Gail poznała wieści, które rok wcześniej otrzymał od swojej siostry – że mała cętkowana kotka zginęła pod kołami samochodu w Nowym Jorku. Ani że pewna wietnamska rodzina kupiła gospodarstwo i już dobudowała nowe pokoje. Ani że nosił policyjny rewolwer przy sobie przez dwa lata, czekając na okazję, by użyć go na sobie.

– Co teraz zrobimy, Jerry?

Pójdziemy do łóżka. Bremen wziął ją za rękę i zaprowadził do domu.

Bremen śnił o paznokciach drapiących aksamit, dotyku zimnych kafelków na policzku i wełnianych koców na spalonej słońcem skórze. Patrzył z rosnącym zaciekawieniem na parę kochającą się na zboczu złotego wzgórza. Unosił się w powietrzu w białym pomieszczeniu, gdzie białe postacie tańczyły w ciszy, którą zakłócało tylko bicie serca maszyny. Pływał, czując pociąg nieubłaganych planetarnych sił w prądzie odpływowym. Był w stanie opierać się śmiercionośnemu prądowi, wkładając w to całą energię, ale czuł, że słabnie, a prąd wciąga go na głębiej. Kiedy fale zamykały się nad nim, wydał z siebie ostatni okrzyk rozpacz i straty.

Wykrzyczał swoje imię.

Ocknął się, a echo krzyku wciąż rozbrzmiewało w jego umyśle. Detale snu rozpadły się na kawałki i rozwiały, zanim zdołał je pochwycić. Gwałtownie

usiadł na łóżku. Gail zniknęła.

Zrobił dwa kroki w stronę schodów i usłyszał jej głos wołający go z bocznego podwórza. Wrócił do okna.

Miała na sobie niebieską sukienkę na ramiączkach i machała do niego obiema rękami. Zanim zszedł na dół, zdążyła wrzucić kilkanaście przedmiotów do piknikowego kosza i wstawiła wodę, żeby przyrządzić mrożoną herbatę.

– Chodź, śpiochu. Mam dla ciebie niespodziankę!

– Nie wiem, czy potrzebujemy kolejnych niespodzianek – mruknął Bremen.

– Tej tak – odrzekła i wbiegła na górę, gdzie zaczęła przetrząsać szafę, nucąc pod nosem.

Doprowadziła ich, z Gernisavien niechętnie drepzczącą ich śladem, do szlaku, który prowadził w tym samym kierunku, co szosa, która kiedyś biegła obok ich domu. Wspinali się pośród pastwisk na wzgórze leżące na wschodzie. Wspólnymi siłami nieśli piknikowy kosz. Bremen bez przerwy dopytywał, dokąd idą, ale Gail milczała.

Pokonali szczyt wzgórza i popatrzyli na koniec ścieżki. Bremen upuścił kosz na trawę. W dolinie, którą kiedyś biegła autostrada Pennsylvania Turnpike, znajdował się ocean.

– Jasna cholera! – westchnął.

To nie był Atlantyk. A przynajmniej nie Atlantyk, jaki znał z New Jersey. Wybrzeże bardziej przypominało okolice Mendocino, dokąd zabrał Gail podczas miesiąca miodowego. Daleko na północ i południe ciągnęły się szerokie plaże i wysokie urwiska. Potężne fale rozbijały się o czarne skały i biały piasek. W oddali krążyły i pikowały mewy.

– Jasna cholera! – powtórzył Bremen.

Rozbili piknik na plaży. Gernisavien została w tyle, żeby polować na owady w trawie na wydmach. Powietrze pachniało solą, morzem i letnią bryzą. Wyglądało na to, że mają do swojej dyspozycji tysiąc kilometrów wybrzeża.

Gail wstała i zdjęła sukienkę. Pod spodem miała jednoczęściowy kostium. Bremen odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Właśnie po to wróciłaś? Żeby zabrać kostium? Bałaś się, że ratownicy cię wyproszą?

Kopnęła w jego stronę piaskiem i pobiegła do oceanu. Po trzech krokach rzuciła się do wody i zaczęła płynąć. Bremen widział po jej skulonych ramionach, że woda jest lodowato zimna.

– Chodź do mnie! – zawołała wesoło. – Woda jest przyjemna!

Ruszył w jej stronę.

Uderzenie nadeszło od strony nieba, ziemi i morza. Przewróciło Bremena i wepchnęło głowę Gail pod wodę. Zaczęła rozpaczliwie wymachiwać rękami, z trudem łapiąc oddech i walcząc z cofającymi się falami, by wydostać się na płyciznę.

NIE!!!

Wiatr ryczał wokół nich i wyrzucał piasek na kilkadziesiąt metrów w górę. Niebo zawirowało, pomarszczyło się jak prześcieradło wiszące na sznurze i zmieniło kolor z cytrynowego na szary. Morze wycofało się jedną potężną falą, pozostawiając suchy, martwy ląd. Grunt trząsł się i poruszał wokół nich. Błyskawice migotały wzdłuż horyzontu.

Kiedy wszystko się uspokoiło, Bremen podbiegł do miejsca, w którym Gail leżała na piasku, i podniósł ją za pomocą kilku surowych słów.

Wydmę zniknęły, urwiska zniknęły, morze zniknęło. Zamiast niego wokół rozciągała się rozległa solna równina. Niebo wciąż zmieniało odcienie szarości. Słońce jakby ponownie wschodziło nad pustynią. Nie. Światło się przemieszczało. Coś przemierzało pustkowie. Coś się do nich zbliżało.

Gail chciała się wyrwać, ale Bremen mocno ją trzymał. Światło sunęło przez martwą krainę. Blask rósł, poruszał się, wysyłał promienie, które zmuszały ich do osłaniania oczu. W powietrzu czuli woń ozonu, a włoski na ich rękach stanęły dęba.

Bremen kurczowo trzymał Gail i pochylał się w kierunku zjawiska, jakby zmagał się z silnym wiatrem. Za ich plecami pojawiły się cienie. Światło trafiło w ich ciała jak fala uderzeniowa po wybuchu bomby. Patrzyli przez palce na nadchodzącą świetlistą postać. To był człowiek na grzbiecie potężnego zwierzęcia. Gdyby bóg przybył na Ziemię, wybrałby właśnie taką formę. Zwierzę nie było wyraźnie widoczne, ale oprócz światła emanowało... ciepłem? Delikatnością?

Przed nimi znajdował się Robby, na grzbiecie swojego misia.

ZA SILNE NIE MOGĘ UTRZYMAĆ

Nie przywykł do używania języka, ale starał się. Jego myśli uderzały w nich jak wyładowania elektryczne rażące mózg. Gail padła na kolana, ale Bremen dźwignął ją na nogi.

Usiłował sięgnąć myślą ku Robby'emu. Bezskutecznie. Kiedyś w Haverford poszedł z jednym ze zdolnych studentów na stadion, gdzie miał się odbyć koncert rockowy. Stał przed ścianą głośników, gdy testowano wzmacniacze. Teraz czuł się nieco podobnie.

Stali na płaskiej, siatkowatej równinie. Nie widzieli horyzontu. Ze wszystkich stron nadciągały kłęby białej mgły. Jedyne źródłem światła była

przypominająca Apolla postać przed nimi. Bremen obrócił głowę, żeby obserwować nadciągającą mgłę. Wszystko, czego dotykała, znikało.

– Jerry, co... – Głos Gail był bliski hysterii.

Myśli Robby'ego uderzyły w nich z namacalną siłą. Chłopak zrezygnował z prób używania języka i zalała ich powódź obrazów. Były lekko zniekształcone, odbarwione i naznaczone aurą zachwytu oraz nowości. Bremen i jego żona zatoczyli się pod wpływem ich uderzenia.

BIAŁY POKÓJ BIEL

BICIE SERCA MASZYN

ŚWIATŁO SŁOŃCA NA POŚCIELI

UKŁUCIE IGŁY

GŁOSY BIAŁE KSZTAŁTY SIĘ PORUSZAJĄ

POTĘŻNY WIATR WIEJE

PRĄD WCIĄGA, WCIĄGA

WCIĄGA

Razem z obrazami pojawiły się emocje, tak intensywne, że niemal nie do zniesienia: odkrycie, samotność, zachwyty, zmęczenie, miłość, smutek, smutek, smutek.

Bremen i Gail padli na kolana. Oboje szlochali, choć nie zdawali sobie z tego sprawy. W nagłym spokoju, który nastąpił po uderzeniu, donośnie zabrzmiały myśli Gail. *Dlaczego on to robi? Dlaczego nie zostawi nas w spokoju?*

Bremen chwycił ją za ramiona. Jej twarz była tak blada, że piegi wydawały się niemal wypukłe.

Nie rozumiesz, Gail? To nie on.

Nie??? Więc kto...?????

Myśli Gail kłębiły się chaotycznie. Okruchy obrazów i urywki pytań przeskakiwały między nimi, gdy kobieta usiłowała nad sobą zapanować.

To ja. Gail. Ja. Bremen zamierzał powiedzieć to na głos, ale nie było już dźwięku, tylko krystaliczne krawędzie ich myśli. *On od początku walczy, żeby utrzymać nas razem. To moja wina. Ja tutaj nie pasuję. Podtrzymywał mnie, pomagając mi tu pozostać, ale już dłużej nie potrafi się opierać.*

Gail rozejrzała się z przerażeniem. Mgła kipiała i wyciągała ku nim kosmyki. Coraz szczelniej otaczała boską postać na wierzchołku. Jej blask przygasł na ich oczach.

Dotknij go, pomyślał Bremen.

Gail zamknęła oczy. Bremen czuł, jak muskają go skrzydła jej myśli. Usłyszał jej westchnienie.

Mój Boże, Jerry. To jeszcze dziecko. Wystraszone dziecko!

Jeśli zostanę dłużej, zniszczę nas wszystkich. Razem z tą myślą Bremen przekazał całą gamę emocji, zbyt złożonych, by wyrazić je słowami. Gail zobaczyła, co kryje się w jego umyśle, i zaczęła protestować, ale zanim zdążyła uporządkować myśli, przyciągnął ją do siebie i mocno objął. Telepatyczny komunikat wzmocnił uścisk, dodając do niego odcienie uczuć, jakich nie byłyby w stanie w pełni przekazać mowa ani dotyk. Potem Bremen odepchnął Gail od siebie, odwrócił się i pobiegł w stronę białej mgły. Robby, który kurczowo ścisnął szyję swojego misia, był widoczny jedynie jako słaba poświata. Bremen dotknął go, zanurzając się w zimnej mgle. Po pokonaniu pięciu kroków nie widział już niczego, nawet własnego ciała. Po kolejnych trzech zauważył, że zniknął grunt pod jego nogami. Bremen runął w dół.

Pokój był biały, łóżko było białe, okna były białe. Rurki łączyły wiszące butelki z jego ręką. Jego całe ciało było bólem. Na zielonej plastikowej opasce na nadgarstku widniał napis BREMEN, JEREMY H. Lekarze byli ubrani na biało. Kardiomonitor odtwarzał bicie serca.

– Nieźle nas pan wystraszył – odezwała się kobieta w białym stroju.

– To cud – stwierdził mężczyzna po jej lewej stronie. Jego głos brzmiał wojowniczo. – EEG przez pięć dni nie wykazywało żadnej aktywności, a jednak pan z tego wyszedł. Prawdziwy cud.

– Nigdy nie mieliśmy do czynienia z kilkoma jednoczesnymi napadami – powiedziała kobieta. – Czy miewał pan już dolegliwości padaczkowe?

– Szkoła nie posiada danych kontaktowych pańskiej rodziny – dodał mężczyzna. – Czy chce pan, abyśmy kogoś powiadomili?

Bremen stęknął i zamknął oczy. Słyszał dalekie odgłosy rozmów i czuł chłodny dotyk igły. Kiedy lekarze zbierali się do odejścia, wychrypiał kilka słów, po czym odchrząknął i spróbował ponownie.

– W którym pokoju?

Wymienili spojrzenia.

– Robby – dodał Bremen chrapliwym głosem. – W którym pokoju leży Robby?

– Siedemset dwadzieścia sześć – odpowiedziała kobieta. – Na oddziale intensywnej opieki medycznej.

Bremen pokiwał głową i zamknął oczy.

Odbył krótką podróż wczesnym rankiem, kiedy na korytarzach było ciemno i cicho, nie licząc okazjonalnego szelestu spódnic pielęgniarek i cichych, niespokojnych stęknień pacjentów. Powoli szedł korytarzem, od czasu do czasu opierając się o ścianę. Dwukrotnie schował się w ciemnej sali, kiedy usłyszał zbliżające się ciche kroki pielęgniarki. Kilka razy przystanął na schodach, żeby przytrzymać się twardej metalowej poręczy i złapać oddech, a serce waliło mu jak młotem.

W końcu wszedł do sali. Robby leżał na łóżku w głębi. Malutkie światło świeciło się na panelu nad jego głową. Otyłe, cuchnące ciało przybrało pozycję płodową. Nadgarstki i kostki były wykrzywione i zeszywniałe. Palce rozczapierały się na wygniecionej pościeli. Robby miał głowę zwróconą w bok i patrzył niewidzącym wzrokiem. Jego usta lekko drgały, gdy oddychał, a na prześcieradle widniał niewielki krąg śliny.

Umierał.

Bremen usiadł na skraju łóżka. Czuł namacalną gęstość nocy. W oddali rozległ się dźwięk dzwonka i ktoś jęknął. Bremen delikatnie położył dłoń na policzku Robby'ego. Czuł jego miękkość. Chłopiec ciężko i astmatycznie chrapał. Bremen czule, niemal z czcią dotknął czubka niekształtnej głowy. Proste czarne włosy sterczały mu między palcami.

Wstał i wyszedł z pokoju.

Zawieszenie wypożyczonego fiata grzechotało na nierównym bruku, gdy Bremen wymijał tramwaje, pędząc na wschód. O tak wczesnej porze na moście Benjamina Franklina było niemal pusto. Na dwupasmowej szosie przecinającej New Jersey panował niewielki ruch. Bremen ostrożnie opuścił tarczę i wzdrygnął się, gdy fala neurobelkotu napała na jego poobijany umysł. Szybko postawił osłonę. Jeszcze nie teraz. Czuł pulsujący ból za oczami, gdy próbował skupić się na prowadzeniu samochodu. Nie słyszał nawet najcichszego echa znajomego głosu.

Zerknął w stronę schowka i pomyślał o leżącym w nim zawiniątku. Kiedyś, dawno temu, fantazjował o tej broni. Niemal uwierzył, że to coś w rodzaju magicznej różdżki – narzędzie niosące wyzwolenie. Teraz wiedział, że się mylił. Rozumiał, że to narzędzie niosące śmierć. Ono nigdy by go nie wyzwoliło. Nie pozwoliłoby jego świadomości wzlecieć. Jedynie wbiłoby mu pocisk w czaszkę i zakończyło raz na zawsze matematycznie idealny taniec, który się w niej odbywał.

Pomyślał o słabnącej, cichej postaci, którą rano zostawił w szpitalu. Jechał przed siebie.

Zaparkował niedaleko latarni morskiej, schował rewolwer do papierowej torby i zamknął samochód. Piasek wsypujący się od góry do jego sandałów był bardzo gorący. Plaża była niemal opustoszała, gdy Bremen usiadł w skromnym cieniu wydmy i zapatrzył się na morze. Zmrużył oczy pod wpływem porannego blasku.

Zdjął koszulę, starannie ułożył ją na piasku za sobą i wyjął zawiniątko z torby. Metal był chłodny w dotyku, a pistolet był lżejszy, niż Bremen zapamiętał. Lekko pachniał smarem.

Będziesz musiała mi pomóc. Jeśli istnieje inne wyjście, będziesz musiała pomóc mi je znaleźć.

Bremen opuścił umysłową tarczę. Ból miliona bezcelowych myśli przeszył jego mózg niczym szpikulec do lodu. Osłona automatycznie powróciła, by stłumić hałas, ale ją powstrzymał. Po raz pierwszy w życiu w pełni otworzył się na ból, na przynoszący go świat, na milion głosów wołających w izolacji i osamotnieniu. Zaakceptował go. Zapragnął go. Potężny chór uderzył w niego niczym buława. Bremen szukał pojedynczego głosu.

Całkowicie stracił słuch. Nie czuł gorącego piasku; żar słońca stał się odległym i zapomnianym doznaniem. Bremen był tak skoncentrowany, że mógłby przemieszczać myślą przedmioty, rozbijać cegły, zatrzymywać ptaki w locie. Nieświadomie wypuścił broń z ręki na piasek.

Plażą nadeszła młoda dziewczyna w ciemnym o dwa sezony za małym kostiumie. Skupiała się na morzu, które drażniło się z lądem, łagodnie go muskało, a potem się wycofywało. Tańczyła na ciemnych pasach mokrego piasku. Jej spalone słońcem nogi niosły ją nad sam skraj światowego oceanu i z powrotem, jak bezgłosną baletnicę. Nagle jej uwagę odwróciły krzyczące mewy. Przestraszona, przerwała taniec, a fale zalały jej kostki z triumfalnym odgłosem.

Mewy zanurkowały, wzbiły się w niebo i odleciały na północ. Bremen wspiął się na szczyt wydmy. Fale wyrzucały w powietrze słoną mgiełkę. Blask słońca odbijał się od wody.

Dziewczyna znów zaczęła tańczyć walca z morzem, podczas gdy oni troje patrzyli na nią oczami Bremena, lekko mrużąc powieki w jasnym i ostrym świetle poranka.

Wstęp do „Vanni Fucci ma się dobrze i żyje w piekle”

Amerykanie, wkraczając w „przecenioną dekadę” dwudziestego wieku (19,90–19,99 dol.), są święcie przekonani, że postęp jest równoznaczny z poprawą, a odrzucenie tej idei wydaje się niemal herezją.

Na przykład przyjrzyjcie się współczesnej teologii. Błagam.

Można postrzegać *Pieękło z Komედii* Dantego Alighieri jako połączenie osobistych frustracji z zamiłowaniem do sadomasochizmu, ale wtedy patrzylibyśmy na to dzieło wyłącznie ze współczesnej, nieco obsesyjnej perspektywy. Dante również miał obsesję, ale jej obiektem – nie licząc uroczej, zagubionej Beatrycze – były *Eneida* Wergiliusza i *Summa Theologica* Tomasza z Akwinu. Nic dziwnego, że *Pieękło* jest zbudowane na oszałamiająco złożonych teologicznych fundamentach i stanowi zarazem studium kosmicznej konstrukcji, jak i wyraz osobistego lęku przed śmiercią, tak dotkliwego, że „śmierć odeń gorzką więcej być nie może” (*Pieękło* 1,7, tłum. Julian Korsak).

Dante postrzegał ten lęk przed śmiercią jako źródło poetyckiej i kreatywnej energii. W tej kwestii niewiele się zmieniło od początku XIV wieku.

Jednakże włączmy telewizor i sprawdźmy, co sześć i pół wieku później uchodzi za teologię. Zamiast poezji *Eneidy* usłyszymy wycie spoconych teleewangelistów. Zamiast intelektualnych katedr *Summa Theologica* czeka na nas przekazywane za pomocą kineskopu i satelitów, ociekające lakierem do włosów i nakładanymi szpachlą kosmetykami przesłanie, które sprowadza się do dwóch słów: „Przysyłajcie pieniądze”.

Owszem, teleewangeliści nie są teologami tego wieku i stanowią bardzo łatwy cel, zwłaszcza po tym, jak na jaw wyszły wulgaryzmy Jimmy’ego Swaggarta, absurdalne zachowania Rexa Humbolta czy cudzołóstwo i załamania nerwowe Jimmy’ego Bakker’a. Na swoje usprawiedliwienie mogą powiedzieć, że to opowiadanie zostało napisane przed owymi wydarzeniami.

Ale tych rewelacji można było się spodziewać. Przynajmniej dopóki żyjemy w świecie, w którym „teologia” stanowi mieszankę P.T. Barnuma i Johnny’ego Carsona, a my zapraszamy tych pasożytów do naszych domów za pośrednictwem telewizji kablowej, anten satelitarnych i radia.

Vanni Fucci ma się dobrze i żyje w piekle

Swojego ostatniego dnia na ziemi brat Freddy wstał wcześnie, wziął prysznic, ogolił policzki, spryskał włosy lakierem, nałożył telewizyjny makijaż, ubrał się w charakterystyczny trzyrzędowy biały garnitur, białe buty, różową koszulę i czarną krawatę, po czym wszedł do swojego gabinetu, by jeszcze przed rozpoczęciem Klubu Śniadaniowego Alleluja zjeść śniadanie z siostrą Donna Lou, siostrą Betty Jo, bratem Billym Bobem i George'em.

Cała czwórka żuła słodkie bułeczki i sączyła kawę, podczas gdy ciemnoszare niebo zaczynało jaśnieć za dziesięciometrową ścianą z kuloodpornego, mocno przyciemnianego szkła. Wysokie ceglane budynki kampusu College'u Biblijnego Alleluja brata Freddy'ego oraz Podyplomowej Szkoły Chrześcijańskiej Ekonomii nabierały kształtu w półmroku Alabamy. Daleko na wschodzie, ledwie widoczna ponad zagajnikiem orzeszników, wznosiła się sztuczna góra, która stanowiła część kolejki górskiej Szalona Mysz na Górze Synaj, w Biblijnej Krainie wchodzącej w skład należącego do brata Freddy'ego rodzinnego parku rozrywki Narodzeni na Nowo obok Chrześcijańskiego Centrum Konferencyjnego. Znacznie bliżej olbrzymi talerz Świętej Wiązki, jednej z sześciu potężnych anten satelitarnych na terenie Biblijnego Centrum Transmisyjnego brata Freddy'ego, odznaczał się czarnym łukiem na zachmurzonym niebie. Brat Freddy zerkał z uśmiechem na deszczową pogodę. Nie dbał o to, co miał do zaproponowania prawdziwy świat za jego oknem. Duże okno wykuszowe w przytulnym studiu Klubu Śniadaniowego Alleluja tak naprawdę było wartym 38 000 dolarów ekranem, na którym każdego ranka odtwarzano pięćdziesięciodwuminutowe nagranie cudownego majowego wschodu słońca. W Klubie Śniadaniowym Alleluja brata Freddy'ego zawsze była wiosna.

– Jaki mamy harmonogram? – spytał brat Freddy i upił łyk kawy, delikatnie unosząc przy tym mały palec, który zalśnił w świetle sufitowych reflektorów punktowych. Pozostało osiem minut do transmisji.

– Pierwsze pół godziny to jak zwykle wprowadzenie brata Beau, pańska otwierająca przemowa oraz apel w imieniu naszego Modlitewnego Partnera, potem sześć i pół minuty dla chóru Klubu Śniadaniowego Alleluja, który

wykona pieśń „Jesteśmy o krok od cudu” oraz składankę chrześcijańskich przebojów, a następnie pojawią się pańscy goście – wyjaśnił brat Billy Bob Grimes, kierownik produkcji.

– Kto dzisiaj przyszedł? – spytał brat Freddy.

Brat Billy Bob zajrzał do notatek.

– Mateusz, Marek i Łukasz, Cudowne Trojaczki Ewangeliści, Bubba Deeters, który chce jeszcze raz opowiedzieć o tym, jak Pan kazał mu zasłonić swoim ciałem granat w Wietnamie, brat Frank Flinsey, który promuje nową książkę *Po dniach ostatecznych*, oraz Dale Evans.

Brat Freddy lekko zmarszczył czoło.

– Myślałem, że dzisiaj mamy Pata Boone’a – odezwał się cicho. – Lubię Pata.

Brat Billy Bob poczerwieniał i zapisał coś na grubym pliku formularzy.

– Tak jest – odrzekł. – Pat chciał tutaj być, ale wczoraj wieczorem pojawił się w programie Swaggarta, dziś po południu razem z Paulem i Jan występują na wiecu religijnym w Bakersfield, a jutro zeznaje przed Senatem w sprawie tych satanistycznych komunikatów, które słyszą na płytach, kiedy skieruje się wiązkę lasera pomiędzy rowki.

Brat Freddy westchnął. Pozostały cztery minuty do transmisji.

– W porządku, ale postaraj się go zaprosić na następny poniedziałek. Lubię Pata. Donna Lou? Jak sobie radzimy z bożą robotą, mała?

Siostra Donna Lou Patterson poprawiła okulary. Jako rewidentka kierowanego przez brata Freddy’ego potężnego konglomeratu zwolnionych z obowiązku podatkowego religijnych organizacji, korporacji, organizacji zrzeszających duchownych, uczelni, misji, parków rozrywki oraz sieci moteli dla Narodzonych na Nowo, Donna Lou była ubrana w beżowy kostium, którego powagę łagodziła tylko odznaka Klubu Śniadaniowego Alleluja, wykonana z imitacji diamentu, która pasowała do sztucznych diamentów na oprawce jej okularów.

– Przewidywane dochody na ten rok fiskalny wynoszą prawie sto osiemdziesiąt siedem milionów dolarów, czyli o trzy procent więcej niż w roku ubiegłym – oznajmiła. – Majątek kleru szacuje się na dwieście czternaście milionów przy zadłużeniu wynoszącym sześćdziesiąt trzy miliony, plus minus trzysta tysięcy, w zależności od tego, czy brat Carlisle zdecyduje się zastąpić gulfstreama nowym learem.

Brat Freddy pokiwał głową i odwrócił się w stronę siostry Betty Jo. Pozostały trzy minuty do transmisji.

– Jak nam poszło wczoraj, siostro?

– Dwadzieścia siedem procent oglądalności według Arbitronu, dwadzieścia pięć i pół według Nielsena – odpowiedziała kobieta ubrana na białą. – Trzy

nowe punkty telewizji kablowej, dwa w Teksasie, jeden w Montanie. W tej chwili nasza telewizja dociera do trzech milionów trzystu siedemdziesięciu tysięcy gospodarstw domowych, co stanowi wzrost o sześć dziesiątych procenta w porównaniu z ubiegłym miesiącem. Centrum pocztowe wczoraj odebrało siedemnaście tysięcy trzysta osiemdziesiąt pięć przesyłek, co w skali tygodnia daje w sumie osiemdziesiąt sześć tysięcy dwieście siedemnaście. Dziewięćdziesiąt sześć procent wczorajszych kopert zawierało datki. Trzydzieści dziewięć procent piszących prosiło o pańską modlitwę wstawienniczą. W tym roku datki odbierane drogą pocztową przyniosły trzy miliony pięćset osiemdziesiąt pięć tysięcy dwieście dwadzieścia dolarów, a do końca roku fiskalnego spodziewamy się kolejnych dwóch i pół miliona.

Brat Freddy uśmiechnął się i przeniósł wzrok na George'a Cohena, doradcę prawnego Narodzonego na Nowo Duchowieństwa.

– George? – Do rozpoczęcia transmisji pozostały dwie minuty.

Szczupły mężczyzna w ciemnym garniturze nieśpiesznie odchrząknął.

– IRS wciąż groźnie powarkuje, ale nie mają żadnego punktu oparcia. Wszyscy duchowni są zwolnieni z obowiązku podatkowego dzięki przynależności do Narodzonego na Nowo Duchowieństwa, więc nie muszą składać żadnych dokumentów. Prasa z Huntsville doniosła, że wartość domu pańskiej córki szacuje się na półtora miliona, więc zdają sobie z tego sprawę, podobnie jak z tego, że na budowę rancza pańskiego syna przeznaczono trzy miliony dolarów pożyczki zaciągniętej od kleru, ale jeśli chodzi o wynagrodzenia, mogą tylko zgadywać. Nawet gdyby się dowiedzieli... a tak się nie stanie... to pańskie oficjalne roczne dochody jako członka rady wynoszą zaledwie dziewięćdziesiąt dwa tysiące trzysta dolarów, z czego jedną trzecią zwraca pan w postaci dziesięciny. Oczywiście pańska żona, córka, zięć oraz siedmioro innych członków rodziny otrzymują znacznie hojniejsze wynagrodzenia, ale nie sądzę...

– Dziękuję, George – przerwał mu brat Freddy. Wstał, przeciągnął się i podszedł do kolorowego monitora przytwierdzonego do terminala komputerowego na swoim biurku. – Siostró Betty Jo, wspomniałaś, że otrzymaliśmy kilka tysięcy próśb o osobistą modlitwę wstawienniczą?

– Tak, bracie – odrzekła kobieta w bieli i oparła drobną dłoń na konsoli obok swojego krzesła.

Brat Freddy uśmiechnął się do George'a Cohena.

– Powiedziałem tym ludziom, że osobiście pomodłę się nad ich listami, jeśli prześlą ofiarę miłości – stwierdził. – Mogę to zrobić teraz. Akurat mam trzydzieści sekund, zanim brat Beau puści czołówkę. Betty Jo?

Kobieta wcisnęła guzik i uśmiechnęła się, gdy tysiące nazwisk przemykały po kolorowym monitorze. Przy każdym z nich znajdował się kod odnoszący się do kategorii problemu, którego miała dotyczyć modlitwa, zgodnie z listą na formularzu ofiar miłości: Z-zdrowie, PM-problemy małżeńskie, \$-problemy finansowe, KD-kierownictwo duchowe, OG-odpuszczenie grzechów i tak dalej. W sumie było dwadzieścia siedem kategorii. Każdy z dwustu operatorów pracujących w centrum pocztowym był w stanie zakodować ponad czterysta próśb dziennie, jednocześnie segregując zawartość kopert na sterty gotówki i czeków oraz wprowadzając dane do komputerów, które miały ułożyć odpowiedni list z odpowiedzią.

– Mój Panie... – zaintonował brat Freddy – ...proszę, wysłuchaj naszych modlitw o Twoje miłosierdzie w związku z tymi prośbami, które złożono w imieniu Jezusa... – Nazwiska i kody przemknęły po ekranie, na którym po chwili pozostał tylko migający kursor. – Amen.

Brat Freddy obrócił się na pięcie i poprowadził swoją z trudem nadążającą świtę do oddalonego o trzydzieści metrów studia Klubu Śniadaniowego Alleluja, podczas gdy czołówka programu, której towarzyszyła triumfalna muzyka, pojawiła się na sześćdziesięciu dwóch ekranach na korytarzach, w gabinetach i salach posiedzeń Centrum Transmisyjnego.

Brat Freddy zrozumiał, że ma problem, osiemnaście minut po rozpoczęciu programu, gdy zapowiedział Dale Evans, a do studia wszedł wysoki ciemnoskóry mężczyzna z długimi czarnymi włosami. Mężczyzna najwyraźniej był cudzoziemcem, ponieważ miał kręcone włosy do ramion, drogi trzyczęstwy garnitur, który wyglądał na uszyty z jedwabiu, oraz nieskazitelnie czyste buty z miękkiej włoskiej skóry. Jego wykrochmalony kołnierzyk i mankiety oślepiły bielą, a złote spinki lśniły w światłach studia. Brat Freddy uświadomił sobie, że nastąpiła jakaś pomyłka; jego narodzeni na nowo goście – pomimo osobistego bogactwa – ubierali się w poliestrowe stroje, pastelowe koszule i nosili fryzury typowe dla Karoliny Południowej, chociażby po to, żeby nie tracić kontaktu z wiernymi widzami.

Brat Freddy zajrzał do swoich notatek, a potem bezradnie popatrzył na kierownika produkcji. Brat Billy Bob wzruszył ramionami, całkowicie zbity z tropu. Brat Freddy podzielał jego uczucia, ale nie mógł ich okazać, dopóki lśniło czerwone oko kamery.

Klub Śniadaniowy Alleluja chlubił się tym, że nadaje na żywo w trzech strefach czasowych. Brat Freddy uśmiechnął się do nadchodzącego intruza i pożałował, że nie zdecydowali się na wcześniejsze nagrywanie programów, tak jak to robiła konkurencja. Zazwyczaj był dumny z tego, że nie nosi słuchawki, przez którą mógłby odbierać instrukcje od reżysera oraz komentarze, i zamiast tego polega na gestach brata Billy'ego Boba oraz własnym medialnym wyczuciu. Teraz, kiedy wstał, by uścisnąć dłoń śniadego nieznanego, żałował, że nikt nie może mu powiedzieć, co się dzieje. Chciałby zrobić przerwę na reklamę. Chciałby, żeby ktoś wyjaśnił mu, o co w tym wszystkim chodzi.

– Dzień dobry – odezwał się przyjaźnie, uwalniając dłoń z uścisku cudzoziemca. – Witamy w Klubie Śniadaniowym Alleluja.

Zerknął w stronę brata Billy'ego Boba, który szeptał coś pośpiesznie do mikrofonu. Kamera numer trzy wykonała zbliżenie na ciemnoskórego nieznanego. Kamera numer dwa wciąż pokazywała długą sofę, na której tłoczyli się Bubba Deeters, Cudowne Trojaczki i Frank Flinsey, sztucznie uśmiechnięty pod żołnierskim wąsem. Monitory sceniczne pokazywały zbliżenie na rumianą, grzecznie uśmiechniętą i tylko nieco spoconą twarz brata Freddy'ego.

– Dziękuję, już od dłuższego czasu na to czekałem – odrzekł nieznanomy, siadając na welurowym fotelu dla gości obok biurka brata Freddy'ego. W jego głębokim głosie dało się usłyszeć nutę włoskiego akcentu, chociaż mówił bezbłędnie po angielsku.

Brat Freddy siedział z uśmiechem przyklejonym do twarzy i zerkał w stronę Billy'ego Boba. Reżyser wzruszył ramionami i gestem nakazał mu kontynuować.

– Przepraszam, ale chyba pomyliłem zapowiedzi – rzekł brat Freddy. – Zgaduję, że nie jest pan moją serdeczną przyjaciółką Dale Evans.

Zamilkł i popatrzył prosto w brązowe oczy nieznanego. Zaskoczyły go gniew i napięcie, jakie tam zobaczył. Miał nadzieję, że to tylko pomyłka w rozkładzie programu, a nie polityczny terrorysta albo jakiś zwariowany zielonoświątkowiec, który przedarł się przez ochronę. Miał świadomość, że sygnał jest przekazywany na żywo do ponad trzech milionów domostw.

– Nie, nie jestem Dale Evans – przyznał nieznanomy. – Nazywam się Vanni Fucci. – Znów nuta włoskiego akcentu.

Brat Freddy zauważył, że gość wymówił swoje nazwisko jako WA-ni FU-czi. Nie miał nic przeciwko Włochom; dorastał w Greenville w Alabamie, więc nie znał ich wielu. Jako dorosły nauczył się, że nie należy ich nazywać makaroniarzami. Zakładał, że większość Włochów to katolicy, czyli nie

chrześcijanie, więc jego kościół nieszczególnie się nimi interesował. Ale ten konkretny Włoch sprawiał mu nieco kłopotów.

– Panie Fucci – odezwał się z uśmiechem. – Może opowie pan naszym widzom, skąd pan jest?

Vanni Fucci zwrócił intensywne spojrzenie na kamerę.

– Urodziłem się w Pistoii, ale ostatnie siedemset lat spędziłem w piekle.

Uśmiech zamarł na twarzy brata Freddy'ego, ale nie zniknął. Freddy zerknął w lewo, na Billy'ego Boba. Reżyser rozpaczliwie kreślił znak gwiazdy nad swoim sercem. Brat Freddy początkowo sądził, że to jakiś nieznany mu religijny symbol, ale w końcu uzmysłowił sobie, że mężczyzna informuje go o wezwaniu ochrony... a może nawet prawdziwej policji. Za ścianą świateł i kamer licząca prawie trzysta osób widownia przestała szeptać, wiercić się i dyskretnie kichać. Zapanowała śmiertelna cisza.

– Aha. – Brat Freddy zachichotał. – Aha, rozumiem, panie Fucci. W pewnym sensie my wszyscy, jako grzesznicy, spędzamy czas w piekle. Tylko dzięki miłosierdziu Jezusa możemy uniknąć ostatecznego pozostania w tym miejscu. Kiedy w końcu przyjął pan Chrystusa jako swojego Zbawiciela?

Vanni Fucci uśmiechnął się, pokazując bardzo białe zęby odznaczające się na tle ciemnej skóry.

– Nigdy tego nie zrobiłem – odrzekł. – Za moich czasów człowiek nie mógł zostać „zbawiony”, jak wy fundamentaliści to nazywacie. Chrzczono nas w Kościele jako dzieci. Ale w młodości popełniłem pewien drobny błąd i pański tak zwany Zbawiciel postanowił skazać mnie na wieczną niehumanitarną karę w siódmej *bolgii* ósmego kręgu piekła.

– No tak – mruknął brat Freddy. Poprawił się na krześle i dał znak operatorowi pierwszej kamery, by pokazał zbliżenie na jego twarz. Zaczekał, aż jego oblicze wypełni ekran. – Prowadzimy miłą pogawędkę z naszym gościem, panem Vannim Fuccim, ale obawiam się, że musimy zrobić krótką przerwę, by pokazać państwu obiecane nagranie, na którym brat Beau i ja święcimy nowy Święty Nadajnik, który zainstalowaliśmy w zeszłym tygodniu w Amarillo. Beau?

Pod kadrem, gdzie nie mogła tego zobaczyć widownia, brat Freddy kilkakrotnie przesunął prawą dłoń w poprzek gardła. Billy Bob pokiwał głową, odwrócił się w kierunku reżyserki i powiedział coś pośpiesznie do mikrofonu.

– Nie – sprzeciwił się Vanni Fucci. – Kontynuujmy naszą rozmowę.

Na monitorach pokazało się ujęcie całego planu. Cudowne Trojaczki wytrzeszczały oczy, a podeszwy ich butów wyglądały jak wykrzykniki. Pastor Bubba Deeters podniósł prawą rękę, jakby zamierzał podrapać się po głowie, zerknął na stalowy hak, który przypominał mu o woli bożej podczas jego służby w Wietnamie, po czym opuścił rękę na sofę. Frank Flinsey, specjalista od

mediów, popatrzył oszołomiony na trzy kamery, na których nie świeciły się światełka, a następnie na ekrany, które niewątpliwie pokazywały obraz ze studia. Brat Freddy zmarł z dłonią uniesioną do gardła. Tylko Vanni Fucci sprawiał wrażenie niewzruszonego.

– Czy sądzi pan, że gdyby Dale zmarła przed Triggerem, Roy właśnie ją by wypchał i postawił w salonie?

– Eee? – wykrztusił brat Freddy. Podobne odgłosy wydawali starszycy przez sen.

– Tak tylko się zastanawiam – ciągnął Vanni Fucci. – A może woli pan, żebym opowiedział coś jeszcze o swoim losie?

Brat Freddy pokiwał głową. Kątem oka zobaczył umundurowanych ochroniarzy, którzy usiłowali przedostać się na scenę. Wyglądało na to, że ktoś opuścił niewidoczną pleksiglasową ścianę wokół krawędzi planu.

– Tak naprawdę nie byłem w piekle siedemset lat, tylko sześćset dziewięćdziesiąt – powiedział Vanni Fucci. – Ale wie pan, jak wolno mija czas w takiej sytuacji. Jak w gabinecie dentysty.

– Tak – odrzekł brat Freddy. Jego głos przypominał słaby pisk.

– Czy wiedział pan, że jedna potępiona dusza z każdej *bolgii* może w czasie swojej wiecznej karności raz odwiedzić świat śmiertelników? To przypomina wasz amerykański zwyczaj, w ramach którego umożliwiacie aresztowanemu człowiekowi wykonanie jednego telefonu.

– Nie – odrzekł brat Freddy i odchrząknął. – Nie.

– Tak – potwierdził Vanni Fucci. – Uważam, że ma to na celu zaostrenie naszych cierpień poprzez przypomnienie nam o dawnych rozkoszach. Coś w tym rodzaju. Tak naprawdę wolno nam powrócić tylko na kwadrans, więc nie jesteśmy w stanie zaznać zbyt wiele przyjemności, nieprawdaż?

– Nie – odrzekł brat Freddy, zadowolony, że jego głos odzyskał nieco siły.

Ta pojedyncza sylaba zabrzmiała mądrze, a zarazem nieco kpiąco i protekcyjnie. Zastanawiał się, z którego biblijnego wersu zrobi użytek, kiedy przyjdzie pora na odzyskanie kontroli nad rozmową.

– Ale nie w tym rzecz – ciągnął Vanni Fucci. – Najważniejsze, że wszystkie potępione dusze w siódmej *bolgii* ósmego kręgu jednogłośnie zagłosowały, abym pojawił się w pańskim programie. – Vanni Fucci nachylił się, a mankiety jego koszuli idealnie równo wysunęły się spod marynarki, tak że złote spinki zabłysły w świetle reflektorów. – Wie pan, czym jest *bolgia*?

– Eee... nie – odrzekł brat Freddy, lekko zbity z tropu. Już wybrał wers, ale w tej chwili jego użycie wydawało się niewłaściwe. – Chociaż... owszem. To tamta księżna czy hrabina, która truła ludzi w średniowieczu.

Vanni Fucci nachylił się i westchnął.

– Nie, to była Borgia. *Bolgia* to słowo z mojej ojczystej mowy, które oznacza zarazem „dół” i „sakiewkę”. Ósmy krąg piekła składa się z dziesięciu *bolgii* wypełnionych gównem i grzesznikami.

Widownia przerwała milczenie. Nawet kamerzyści głośno wciągnęli powietrze. Brat Freddy zerknął na ekrany i zamknął oczy, uświadamiając sobie, że jego Klub Śniadaniowy Alleluja, najwyżej notowany chrześcijański program na świecie, nie licząc niektórych odcinków Krucjaty Billy’ego Grahama, będzie pierwszym programem w historii TBN i CBN, w którym na antenie użyto słowa „gówno”. Już sobie wyobrażał, co powie rada zarządzająca. Fakt, że siedmioro z jedenaściorga członków rady było jego krewnymi, wcale nie czynił sytuacji łatwiejszą.

– Niech pan posłucha... – zaczął stanowczo.

– Czytał pan *Komedie*? – spytał Vanni Fucci.

W jego oczach kryło się coś więcej niż złość i determinacja. Brat Freddy uznał, że ma do czynienia ze zbiegłym pacjentem szpitala psychiatrycznego.

– *Komedie*? – spytał, zastanawiając się, czy mężczyzna nie jest przypadkiem obłąkanym komikiem i to wszystko nie jest tylko żartem.

Kamerzysta obrócił się i wbił wzrok w obiektyw. Ekrany pokazywały nieruchome ujęcie Vanniego Fucciego i brata Freddy’ego. Brat Billy Bob biegał od kamery do kamery, od czasu do czasu potykając się o kable i gwałtownie się zatrzymując, gdy kończył mu się przewód od mikrofonu, niczym jamnik na krótkiej smyczy.

– Nazwał ją swoją *Komedią* – rzekł Vanni Fucci. – Późniejsze pokolenia pochlebców dodały określenie *Boska*. – Zmarszczył czoło, jak niecierpliwy nauczyciel, który czeka na odpowiedź niezbyt bystrego ucznia.

– Przykro mi, ale nie... – zaczął brat Freddy.

Jeden z kamerzystów rozbierał swój sprzęt. Żadna z pozostałych kamer nie była skierowana w stronę planu. Obraz na ekranie się nie zmieniał.

– Alighieri? – podpowiedział Vanni Fucci. – Mały brudny florentyńczyk, który pożył ośmiolatki? Który napisał jedną nadającą się do czytania rzecz w całym swoim żalosnym życiu? – Odwrócił się w stronę gości na sofie. – Dajcie spokój, nikt z was nie czyta książek?

Pięciu chrześcijan na sofie nieco się skuliło.

– Dante! – wykrzyknął przystojny cudzoziemiec. – Dante Alighieri. O co chodzi, panowie? Czy, żeby dołączyć do Klubu Fundamentalistów, trzeba zostawić mózg przy drzwiach i wypchać czaszkę mamałygą? Dante!

– Chwileczkę... – odezwał się brat Freddy, wstając z miejsca.

– Za kogo pan się... – zaczął Frank Flinsey i również się podniósł.

– Co to ma być... – rzekł Bubba Deeters, zrywając się na nogi i wymachując hakiem.

– Ejże! Ejże! Ejże! – wykrzyknęły Cudowne Trojaczki, z trudem stawiając stopy na podłodze.

– SIADAĆ. – To nie był ludzki głos. Chyba że znacznie wzmocniony.

Brat Freddy kiedyś popełnił błąd i podczas jednej z Krucjat na świeżym powietrzu stanął przed ścianą trzydziestu olbrzymich głośników, gdy dźwiękowiec akurat przeprowadzał próbę przy pełnej głośności. Teraz poczuł się podobnie. Tylko gorzej. Brat Billy Bob i inni, którzy mieli słuchawki na uszach, zerwali je i padli na kolana. Kilka reflektorów punktowych na suficie pękło. Widzowie odchyłili się do tyłu jak jeden trzystugłowy organizm, jęknęli, a potem zapadła między nimi cisza, której nie zakłócały nawet oddechy. Brat Freddy i goście usiedli.

– Alighieri to zrobił – odezwał się Vanni Fucci łagodnym, konwersacyjnym tonem. – To był mentalny karzeł o wyobraźni ćmy, ale dokonał tego, ponieważ nikt przed nim nawet nie próbował.

– Co zrobił? – zapytał brat Freddy, wpatrując się z fascynacją i przerażeniem w szaleńca na welurowym fotelu obok jego biurka.

– Stworzył piekło – odpowiedział Vanni Fucci.

– Bzdura! – wykrzyknął pastor Frank Flinsey, autor czternastu książek o końcu świata. – Nasz Pan Jehowa stworzył piekło, podobnie jak wszystko inne.

– Czyżby? – odparł Vanni Fucci. – Gdzie jest tak napisane w tej mieszance plemiennych opowieści i szowinistycznych opinii, którą nazywacie Biblią?

Brat Freddy obawiał się, że zaraz dostanie zawału serca na planie Klubu Śniadaniowego Alleluja, oglądanego na żywo w trzystu tysiącach amerykańskich domostw. Ale pomimo migotania przedsionków i krwi napływającej do twarzy, szukał w myślach odpowiedniego biblijnego wersu.

– Opowiem wam o pewnym eksperymencie, który przeprowadzono w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku na Uniwersytecie Paryż-Południe – ciągnął Vanni Fucci. – Grupa fizyków kwantowych pod kierownictwem Alaina Aspecta badała zachowanie dwóch fotonów lecących w przeciwnych kierunkach ze swoich źródeł światła. Test potwierdził teorię mechaniki kwantowej, zgodnie z którą pomiar dokonany na jednym fotonie ma natychmiastowy wpływ na naturę innego fotonu. Fotony, panowie, podróżują z prędkością światła. Oczywiście żadna informacja nie może zostać przekazana z większą prędkością, a jednak zdefiniowanie natury jednego z fotonów natychmiastowo zmieniło naturę innego fotonu. Płynie z tego oczywisty wniosek, czyż nie?

– Tak? – odrzekł brat Freddy.

– Tak? – odezwała się piątka gości na sofie.

– Otóż to – przytaknął Vanni Fucci. – To potwierdza w świecie fizycznym coś, co w piekle wiemy już od dłuższego czasu. Rzeczywistość kształtuje pierwszy wybitny umysł, który skupi się na jej zmierzeniu. Nowe koncepcje tworzą nowe prawa, a wszechświat się dostosowuje. Newton stworzył powszechne prawo grawitacji, a kosmos przekształcił się odpowiednio do niego. Einstein zdefiniował czasoprzestrzeń, a wszechświat sam się zmodernizował, by pozostać w zgodzie z nową teorią. A Dante Alighieri... ten neurotyczny mały gnojek... stworzył pierwszą szczegółową mapę piekła, a wtedy ono zaczęło istnieć, by spełnić ludzkie oczekiwania.

– To absurd – wykrztusił brat Freddy, zapominając o kamerach i widowni, o wszystkim poza nielogicznymi i bluźnierczymi słowami tego zwariowanego Włocha. – Gdyby to była... prawda, to świat... rzeczy... wszystko bezustannie by się zmieniało.

– Właśnie. – Vanni Fucci się uśmiechnął. Miał niewielkie i bardzo ostre białe zęby.

– W takim razie... piekło także nie pozostawałoby takie samo – zauważył brat Freddy. – Dante pisał dawno temu. Co najmniej trzysta albo czterysta lat...

– Umarł w tysiąc trzysta dwudziestym pierwszym roku – uściślił Vanni Fucci.

– Tak... No cóż... A więc właśnie... – zakończył brat Freddy.

Vanni Fucci pokręcił głową.

– Niczego nie rozumiecie. Kiedy jakaś idea jest wystarczająco potężna i dostatecznie szczegółowa, by przedefiniować wszechświat, jest zarazem niezwykle trwała. Pozostaje, dopóki ktoś nie sformułuje równie silnego paradygmatu... który zostanie powszechnie przyjęty zamiast niej. Na przykład wasz starotestamentowy Bóg przetrwał tysiące lat, nim został aktywnie przedefiniowany przez bardziej cywilizowane, choć nieco schizofreniczne nowotestamentowe bóstwo. Nawet ta nowsza i słabsza wersja utrzymała się przez około tysiąc pięciuset lat, zanim niemal całkowicie wymazała ją z istnienia współczesna nauka, która ma na nią silną alergię.

Brat Freddy był pewien, że za chwilę dostanie udaru.

– Ale komu chciałoby się przedefiniować piekło? – spytał retorycznie Vanni Fucci. – Niemcy byli blisko w tym wieku, ale ich wizjonerów usunięto, zanim nowa koncepcja zdążyła zakorzenić się w powszechnej świadomości. Tak więc nic się nie zmienia. Piekło trwa, chociaż nasze wieczne męki są równie niepotrzebne jak mały palec u stopy czy wyrostek robaczkowy.

Brat Freddy zrozumiał, że może mieć do czynienia z demonem. Po niemal czterdziestu latach głoszenia kazań i nauk o demonach, szukania ich duchowych śladów we wszystkim, od muzyki rockowej po ustawy Federalnej Komisji Łączności, przestrzegania przed ich obecnością w szkołach, dziecięcych

zabawach czy symbolach na pudełkach z płatkami śniadaniowymi i zarabianiu kroci na byciu jednym z największych specjalistów od demonologii w kraju brat Freddy poczuł się trochę niepewnie, gdy uświadomił sobie, że siedzi metr od kogoś, kto może być opętany przez demona, a nawet być jednym z nich. Jak dotąd najbliższej takiej sytuacji znalazł się w towarzystwie żony pastora Jima Bakкера, kaznodziejki Tammy Faye, zanim wyszły na jaw skandale pary.

Brat Freddy kurczowo zacisnął lewą dłoń na Biblii i uniósł prawą rękę, wyginając palce w szpony nad głową Vanniego Fucciego.

– Wyrzekam się ciebie, szatanie! – wykrzyknął. – Wszystkie moce, zwierzchności i słudzy szatana... PRECZ z tego przybytku Boga! W imię JE-ZUSA rozkazuję wam! W imię JE-ZUSA rozkazuję wam!

– Och, zamknij się – odrzekł Vanni Fucci. Zerknął na swój złoty zegarek. – Zaraz przejdę do sedna części. Nie mam zbyt wiele czasu.

Włoch zaczął mówić, a brat Freddy początkowo nie zmieniał swojej pozy, z uniesioną ręką i Biblią w dłoni. Po minucie zmęczyła mu się ręka, więc ją opuścił, ale nie przestał ścisnąć Biblii.

– Popeliłem polityczną zbrodnię, ale ten krótkowidz Florentine umieścił mnie w dole przygotowanym dla złodziei – opowiadał Vanni Fucci. – Tak, tak, wiem, że nie macie pojęcia, o czym mówię. W tamtych czasach polityczne potyczki między Czarnymi, czyli nami, a tymi kundlami Białymi były niezwykle ważne... Dante poświęcił im jedną trzecią swojego przekłętogo *Pieła*... ale zdaję sobie sprawę, że dziś nikt nawet nie zna tych ugrupowań, tak jak za siedemset lat nikt nie będzie pamiętał o Republikanach i Demokratach. W tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym trzecim roku razem z dwójką przyjaciół ukradliśmy skarb San Jacopo z Duomo San Zeno, by sfinansować swoje polityczne działania. Doumo to był kościół. W skład skarbu wchodził pewien kielich. Ale nie trafiłem do pieła Dantego z powodu pojedynczej kradzieży, równie pospolitej jak obrabowanie sklepu spożywczego w dzisiejszych czasach. Nie. Otrzymałem honorowe miejsce w siódmym dole ósmego kręgu pieła, ponieważ popierałem Czarnych, a Dante był zwolennikiem Białych. Ta niesprawiedliwość wkurza mnie do dzisiaj.

Brat Freddy zamknął oczy.

– Można by pomyśleć, że nurzanie się przez wieczność w dole wypełnionym *merde* i rozpalonymi węglami wystarczy, by zaspokoić żądzę zemsty nawet najbardziej sadystycznego bóstwa, ale to tylko początek. – Vanni Fucci obrócił się w stronę gości na sofie. – Przyznaję, mam gorący temperament. Kiedy się wściekam, pokazuję Bogu figę.

Frank Flinsey, pastor Deeters i Cudowne Trojaczki popatrzyli na niego tępo.

– Figę – powtórzył Włoch.

Zacisnął pięść, wysunął kciuk pomiędzy palcem wskazującym i środkowym, po czym gwałtownie poruszył nim do przodu i do tyłu. Tłum wstrzymał oddech, więc symbol najwyraźniej był zrozumiały. Vanni Fucci ponownie obrócił się do brata Freddy'ego.

– A kiedy to robie, wszyscy złodzieje w promieniu stu metrów... czyli oczywiście wszyscy w tym przeklętym dole... zamieniają się w gady...

– Gady? – wychrypiał brat Freddy.

– *Płazy, hydry, smoki, węże* i tak dalej – potwierdził Vanni Fucci. – Alighieri się nie pomylił. A potem, oczywiście, każdy z tych przeklętych węży mnie atakuje, a ja stoję w płomieniach i rozpadam się na kupę dymiących popiołów i zwęglonych kości...

Brat Freddy kiwał głową. Kątem oka widział siostry Donnę Lou i Betty Jo, które pomagały trzem ochroniarzom użyć krzesła jako tarana przeciwko niewidzialnej barierze, która nie pozwalała im wejść na plan. Bariera nie ustępowała.

– Chcę powiedzieć, że to nie jest przyjemne... – dodał Vanni Fucci, nachylając się.

Brat Freddy postanowił, że kiedy to wszystko się skończy, wybierze się na krótkie wakacje w swoim religijnym kurorcie na Bahamach.

– A jako że to jest piekło, te kawałki, kawałki mnie, nie umierają, tylko składają się w całość... co jest najbardziej bolesne... a potem, gdy już jestem kompletny, ta jawna niesprawiedliwość doprowadza mnie do pasji i... cóż, możecie się domyślić...

– Pokazuje pan figę? – zgađł brat Freddy i zakrył usta dłonią.

Vanni Fucci żałośnie pokiwał głową.

– Nawet dwie – uściślił. – No i wszystko zaczyna się od nowa. – Popatrzył prosto w obiektyw kamery numer jeden. – Ale nie to jest najgorsze.

– Nie? – spytał brat Freddy.

– Nie? – zawtórowała mu piątka gości Klubu Śniadaniowego.

– Piekło pod wieloma względami przypomina park rozrywki – ciągnął Vanni Fucci. – Kierownictwo stale stara się go uatrakcyjnić i zwiększyć skuteczność poszczególnych atrakcji. Zgadnicie, co od około dziesięciu lat zapewnia nam Wielki Strażnik w Niebiosach, by pogłębić nasze cierpienia? – Głos Włocha stał się wyższy; mężczyzna wyraźnie wpadł w gniew.

Brat Freddy i goście energicznie pokręcili głowami.

– KLUB ŚNIADANIOWY ALLELUJA BRATA FREDDY'EGO! – wrzasnął Vanni Fucci i zerwał się na nogi. – OSIEM RAZY KAŻDEGO PRZEKŁĘTEGO DNIA. DZIEWIĘĆDZIESIĘCIOCALOWE EKRANY SYLVANIA ROZSTAWIONE CO OSIEM METRÓW W CAŁYM SIÓDMYM DOLE!

Brat Freddy odsunął się ze swoim krzesłem, gdy ślina Vanniego Fucciego zbryzgała blat biurka.

– NO WIECIE... – ryknął Vanni Fucci, wbijając wzrok w jakiś punkt pod sufitem. – MOGĘ PRZEZ CAŁĄ WIECZNOŚĆ PŁONAĆ W PIEKLE I CO KILKA MINUT BYĆ ROZRYWANYM NA STRZĘPY, ALE TO... TO... – Uniósł obie ręce.

– Nie! – krzyknął brat Freddy.

– Nie! – krzyknęli goście.

– TO NAPRAWDĘ MNIE WKURZA! – zawył Vanni Fucci i pokazał Bogu figę. Dwukrotnie.

Wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Aby dokładnie wszystko zobaczyć, trzeba odtworzyć taśmę w dużym zwolnieniu, a nawet wtedy można się pogubić.

Brat Freddy był pierwszy. Pochylił się nad biurkiem, jakby jakaś niewidzialna siła wykonała na nim chwyt Heimlicha, otworzył usta, żeby krzyknąć, ale odkrył, że nie sposób tego zrobić z trzema rzędami długich kłów, które się tam pojawiły, a następnie błyskawicznie pokrył się łuskami i wyrósł mu ogon. Metamorfoza była tak szybka, a ruchy jego ciała po przemianie tak gwałtowne, że nikt nie jest w stanie stwierdzić tego z całą pewnością, ale większość obserwatorów zgadza się, że brat Freddy przez krótką chwilę wyglądał jak połączenie olbrzymiej żaby z pomarańczowym pytonem, zanim jednym ruchem potężnego ogona przeskoczył biurko i owinał się wokół Vanniego Fucciego, od krocza aż do gardła.

Frank Flinsey zmienił się w coś zgoła innego; w ciągu niecałej sekundy podstarzały specjalista od Armagedonu przekształcił się w coś w rodzaju sześciorekłej kijanki z kolcem na ogonie rodem z *Obcego*. Stwór użył ogona, by przedrzeć się przez dywan, podłogę, sofę i welur do bezradnego Vanniego Fucciego, dołączając do ataku pytona-Freddy'ego.

Przemiana Bubby Deetersa nie wzbudzała żadnych wątpliwości: uliczny kaznodzieja, który odnalazł Boga w okopie, rozplątał się niczym jednodniowy grzyb, a następnie odrodził jako pokryty zielonymi paskami wąż z głowami na obu końcach i popęzł w stronę Vanniego Fucciego, by również wziąć udział w ataku.

Cudowne Trojaczki w jednej chwili zmieniły się w oślizgłe smukłe istoty, które wystrzeliły w powietrze i wbiły się głęboko w ciało Fucciego. Uczeni są przekonani, że były to jedne z istot opisanych przez Dantego, lecz większość osób obecnie oglądających nagranie nazywa je „glutowymi rakietami”.

Podczas gdy te wszystkie stwory opadły Vanniego kłębiącą się, kęsającą masą, na planie działały się też inne ciekawe rzeczy.

Kiedy brat Billy Bob założył słuchawki, zmienił się w coś, co pobliski kamerzysta opisał jako „pięciometrowego trędownatego węża”. Drugi kamerzysta, później zwolniony przez Narodzonych na Nowo, stwierdził, że nie zauważył „żadnej zmiany w Billym Bobie, ponieważ wszyscy kierownicy wyglądają tak samo”.

Siostry Donna Lou i Betty Jo padły na podłogę i po chwili wpełzły na plan jako dwa ogromne różowe robaki. Wiele napisano o fallicznym symbolizmie tych przemian, ale trzech strażnicy nie dostrzegli ironii sytuacji i, ostrzelawszy robaki ze służbowych rewolwerów, rzucili się do ucieczki.

Widownia również nie była bezpieczna. Vanni Fucci powiedział, że metamorfoza zazwyczaj dotyka wszystkich złodziei w promieniu dwustu metrów od jego bluźnierstwa. Z trzystu dziewiętnastu członków widowni dwustu dwudziestu sześciu nie dało się odnaleźć następnego ranka. Salę wypełniły wrzaski tych, którzy pozostali w ludzkiej postaci i zobaczyli, jak ich mężowie, żony, teściowie czy siedzący obok nieznajomi w mgnieniu oka zmieniają się w węże, zębate kijanki, beznogie ropuchy, olbrzymie legwany, boa dusiciele o czterech łapach i inne *plązy*, *hydry*, *smoki* i *węże*. Badanie przeprowadzone miesiąc później na University of Alabama wykazało, że większość przemienionych złodziei pracowała w handlu, ale byli wśród nich także prawnicy (8), politycy (3), pastory (31), psychiatry (1), kierownicy ds. reklamy (2), sędziowie (4), lekarze (4), giełdowi brokerzy (12), właściciele nieruchomości (7), księgowi (3) oraz pewien złodziej samochodów (1), który skrył się pośród widzów, by uciec przez patrolem policjantów z Alabamy (2).

W ciągu niecałej sekundy Vanni Fucci znalazł się w środku kłębowiska łusek i kłów wszelkiej maści gadów. Włoch usiłował uwolnić ręce, by ponownie pokazać figę.

Brat Freddy zatopił swoje żabio-pytonowe kły głęboko w gardle Vanniego, a bluźnierca stanął w płomieniach.

Studio wypełnił smród siarki, tak ostry, że tysiące widzów przed telewizorami później zaklinało się, że poczuło go w domu.

Kłębowisko gadów buchnęło ogniem razem z Vannim Fuccim, znikając w przypominającym działanie napalmu pomarańczowo-zielonym rozbłysku, który pozostawił na lampach analizujących kolorowych skomputeryzowanych kamer czterdziestosekundowy powidok.

Klub Śniadaniowy Alleluja nagle opustoszał, nie licząc płonących resztek sof, biurka i welurowego fotela. Włączyły się spryskiwacze na suficie, a „okno wykuszowe” wybuchło przy wtórze deszczu iskier i szkła. Wschód słońca nie przetrwał.

Później tego wieczoru nagranie z wydarzeń w studiu pokazywane w *Nightline* cieszyło się sześćdziesięcioprocentową oglądalnością. Podczas tego samego programu dr Carl Sagan poinformował prezentera Teda Koppela, że cały incydent ma naturalne wytłumaczenie.

Tamtego tygodnia Klub Śniadaniowy Alleluja brata Freddy'ego otrzymał ofiary o łącznej wartości 23267894 dolarów i 79 centów.

Nie licząc niektórych Krucjat Billy'ego Grahama, był to nowy tygodniowy rekord.

Wstęp do „Koszmaru za sprawą bujającej się kołyski”

Oto kolejna opowieść o telewizyjnych kaznodziejach.

Zaczekajcie! Nim zamkniecie książkę i stwierdzicie, że nie znam innych sposobów na dobrą zabawę poza atakowaniem tego konkretnego gatunku bezradnych robaków, pozwólcie, że wyjaśnię.

Jakiś czas temu uznany pisarz Edward Bryant zaproponował mi pewien projekt. Okazało się, że jedno z czasopism z Kolorado potrzebowało czterech opowiadań do bożonarodzeniowego wydania. Tym czasopismem był... no cóż... katalog komiksów. Ale naprawdę dobry katalog komiksów. Prawdę mówiąc, był czymś znacznie więcej, ponieważ na jego łamach ukazywały się recenzje książek pisane przez Eda oraz recenzje filmów, za które odpowiadała znająca się na rzeczy krytyczka Leanne C. Harper.

W każdym razie czworo autorów miało dostarczyć świąteczne opowiadania, a Ed zamierzał napisać tekst spinający je klamrą. (To zawsze trudne zadanie). Nie narzucano nam żadnych ograniczeń – nie licząc długości tekstu oraz tego, że opowiadanie miało traktować o Bożym Narodzeniu i musiał się w nim pojawić motyw „przeoczonego prezentu”. Pozostałymi pisarzami byli członkowie tak zwanej mafii z Kolorado – Steve Rasnic Tem, Connie Willis i Cynthia Felice. Cynthia od razu poinformowała, że jej opowiadanie będzie „wesołe”, więc pozostali mogli wrócić do swoich krypt i wyzwolić wszelkie możliwe demony.

Jak można się było spodziewać, efektem tego projektu był typowo błyskotliwy, subtelny i zapadający w pamięć tekst Willis, poruszająca i niepokojąca opowieść w niemożliwym do podrobienia stylu Steve’a Tema, moje opowiadanie, które zostało tutaj przedrukowane, oraz inteligentna historia autorstwa Eda Bryanta, który jakimś cudem zdołał powiązać ze sobą nasze całkowicie odmienne dzieła. Jednakże Cynthia Felice z powodu innych zobowiązań musiała wycofać się z projektu, przez co otrzymaliśmy trzy tak niewiarygodnie mroczne opowieści, że czytelnicy w tamtym roku zapewne poprosili Świętego Mikołaja o brzytwę lub kapsułek z cyjankiem.

Wydawca katalogu komiksów podobno doznał szoku, gdy przeczytał pierwsze opowiadania, jakie pojawiły się na łamach jego pisma, zaczął wirować

i odbijać się od ścian niczym lalka imitująca Lindę Blair, a leki psychotropowe uspokoiły go dopiero po Nowym Roku.

Tak naprawdę, pisząc to opowiadanie, pozwoliłem sobie na kilka hermetycznych żartów, między innymi z mojego wydawcy, a także z pewnego redaktora, o którym w istocie mam bardzo wysokie mniemanie. Co mi tam, pomyślałem. Kto będzie czytał jakiś katalog komiksów?

Okazało się, że wszyscy go przeczytali. Co więcej, wszystkie trzy opowiadania wkrótce ukazały się na łamach magazynu „Asimov’s Science Ffiction”, dzięki czemu obrzydziły ludziom także następne święta. A jakby tego było mało, Bryant w ramach bożonarodzeniowego prezentu wysłał egzemplarze wszystkim swoim znajomym, czyli wszystkim ludziom w branży wydawniczej, a może nawet w znanym wszechświecie.

Wkrótce zyskałem reputację człowieka, który „złożył Boże Narodzenie w ofierze za pomocą myśliwskiego noża”. W porównaniu z Simmonsem Grinch i Scrooge byli jak elfy Świętego Mikołaja.

To nic, że zapewniam każdego, iż Boże Narodzenie jest moim drugim ulubionym świętem (oczywiście po Halloween), w każdą Wigilię razem z moją żoną Karen i naszą córeczką wspinamy się na pobliskie ośnieżone wzgórze, by wypatrywać zaprzęgu Świętego Mikołaja, a w piątej klasie grałem w szkolnej operetce Billy’ego Sierotę, który tak naprawdę był małym Jezusem w przebraniu...

W niczym mi to nie pomaga.

Ale zastanówcie się przez chwilę: kiedy w końcu Wielki Błąd stanie się faktem i jakiś komputer wciśnie guzik, odkorkuje Ostateczny Detergent i wszystkich nas wyczyści, gdy gromadzona przez czterdzieści lat broń zostanie odpalona, ponieważ ktoś będzie ciekaw, czy rzeczywiście działa, kiedy rozwieją się atomowe grzyby, a zima nuklearna złagodnieje do nuklearnej wiosny... zadajcie sobie pytanie: jaka instytucja w Stanach Zjednoczonych Ameryki może przetrwać uderzenie buta depczącego mrowisko? Kto dysponuje satelitami, które przekazują transmisje do naszych domów i społeczności, i tylko czekają, by przesłać szept Przywódcy pośród nuklearnej nocy? Kto ma miliony zwolenników... i to takich, którzy już znają smak fanatyzmu, posłuszeństwa i radosnej agresji niezbędnej do wcielenia w życie Programu, podczas gdy pozostali będą wykopywać się spod gruzów?

Już znacie odpowiedź?

Zrób miejsce, Walterze F. Millerze.

O tak – oto ostatni przypis dla przyszłych biografów i bibliografów: bardziej przenikliwi z was mogą zauważyć, że w tym opowiadaniu, podobnie jak we wszystkich moich opowiadaniach i powieściach, pojawiają się zachłanni,

małostkowi, nieuczciwi i nieautentyczni telewizyjni pastorzy, a ośrodkiem ich sieci zawsze jest Dothan w Alabamie. Niektórzy z was mogą zapytać: „Jakie straszliwe, traumatyczne wydarzenie, jaki mroczny, zapomniany, a może nienadający się do opisanie incydent miał miejsce w Dothan w Alabamie, że ta zacna społeczność zasłużyła na taką plamę na honorze?”.

Cóż, nie dowiedcie się tego ode mnie.

Koszmar za sprawą bujającej się kołyski

Brat Jimmy-Joe Billy-Bob przyniósł Słowo nowojorczykom w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia, gdy popłynął swoim długim kanoe na wschód wzdłuż Czterdziestej Drugiej Ulicy, a następnie na północ, pod prąd Piątą Aleją, mijając miejsce, w którym dach publicznej biblioteki lśnił zielono pod powierzchnią ciemniejących wód. To był chłodny, ale spokojny wieczór. Zachodzące słońce było czerwone i piękne – jak podczas każdego zachodu słońca w ciągu dwudziestu pięciu lat, które upłynęły od Wielkiej Pomyłki roku 98 – a ludzie rozpalili ogniska na licznych poziomach i szczytach zniszczonych wież, sterczących z ciemnego morza niczym wypalone pnie cyprysów, jakie brat widywał na bagnach w dzieciństwie.

Brat ostrożnie wiosłował, zdając sobie sprawę z tego, jak trudno jest zapanować nad długim kanoe, a także z tego, że przewozi cenny ładunek i pokonał z nim już szmat drogi. Za nim, na poprzecznej ławie wiosłarskiej, spoczywało Święte Naczynie, podobne do potężnego garnka, które wznosiło ku płonącemu niebu Boże Ucho, jakby już łapało pierwsze emanacje Świętego Nadajnika, który brat Jimmy-Joe Billy-Bob zostawił w Dothan w Alabamie przed czternastoma miesiącami. Za Świętym Naczyniem stała skrzynia mieszcząca Święty Ekran, a za nim, owinięty folią, znajdował się Rower Pana. Generator Colemana umieszczono niedaleko dziobu, gdzie częściowo przesłaniał bratu widok, ale równoważył ciężar świętych relikwów na rufie.

Brat Jimmy-Joe Billy-Bob powiosłował na północ obok porośniętych roślinnością pozostałości Rockefeller Center oraz poszarpanej iglicy Katedry Świętego Patryka. W tej części Zatoki Obrzeżnej znajdowało się kilkadziesiąt zamieszkałych wież i w zarośniętych, zardzewiałych ruinach w górze migotały setki ognisk, ale brat je zignorował i wytrwale płynął na północ ku Piątej Alei numer 666.

Budynek wciąż stał – przynajmniej trzydzieści pięć pięter, z czego dwadzieścia osiem pozostawało nad powierzchnią wody – i brat zostawił długie kanoe u jego podstawy. Wstał – starannie utrzymując równowagę i przesuując na plecach półautomatyczny karabin Heckler&Koch HK 91, będący na wyposażeniu Chrześcijańskiej Sieci Przetrwania – a następnie podniósł wysoko

puste dłonie. Skryte w cieniu postaci patrzyły na niego przez dziury w ciemnym szkłe. Gdzieś zapłakało niemowlę, które szybko uciszono.

– Przynoszę dobrą nowinę o zmartwychwstaniu Chrystusa! – zawołał brat Jimmy-Joe Billy-Bob. Jego głos odbił się echem od wody i stali. – Dobrą nowinę o zbliżającym się Zbawieniu od smutku i nieszczęścia!

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie ktoś zawołał:

– Kogo szukasz?!

– Szukam najstarszego Klanu. Tego z najpotężniejszym totemem, aby przekazać mu dary oraz Słowo Pańskie od Prawdziwego Kościoła Chrystusa Ukoiciela.

Echa głosów rozbrzmiewały przez kilka sekund, potem znów zapadła długa cisza. W końcu gdzieś w górze odezwała się jakaś kobieta.

– To nasz Klan Czerwonej Bantamki. Witaj, nieznajomy, i wiedz, że my już mamy tutaj Słowo Boże. Dołącz do nas. Skorzystaj z naszego ognia i weź udział w przygotowaniach do Świętego Dnia.

Brat Jimmy-Joe Billy-Bob pokiwał głową i przywiązał kanoe do zardzewiałego dźwigara. Duch Święty jeszcze do niego nie przemówił. Nie wiedział, w jaki sposób zostanie przygotowana Droga. Ale wiedział, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin będą gotowi go zamordować albo czcić. Nie zamierzał pozwolić ani na jedno, ani na drugie.

Przez całą Wigilię trudzili się, by wnieść dar Świętego Talerza na dach. Klatki schodowe były zbyt wąskie, a szyby wind zbyt zagracone drabinkami linowymi, wyciągami krążkowymi, koszami i pnączami. Brat nadzorował rozmieszczenie bloków, które miały podnieść Talerz na wysokość siedemdziesięciu pięciu metrów, na sam szczyt budynku. Trzy ciągi schodów ponad zamieszkanym dwudziestym piątym piętrem były niebezpieczne nawet dla żyjących na urwiskach członków Klanu Czerwonej Bantamki. Brat nalegał, by uprzątnęli zagracone schody.

– Będziemy często tędy chodzić, gdy Święty Nadajnik już połączy was ze Słowem – rzekł. – Podobnie jak inne klany z Handlowej Ligi Obrzeża. Trzeba się postarać, by zarówno najmłodszy, jak i najstarsi mogli bez trudu się wspinać.

Stara McCarty, pomarszczona matrona Klanu Czerwonej Bantamki, wzruszyła ramionami i poleciała grupie kobiet, by zajęły się naprawą schodów, podczas gdy mężczyźni będą podnosić Święty Talerz.

Nim zachód słońca pomalował niebo na czerwono, wszystko znalazło się na swoim miejscu: Święty Talerz mocno tkwił na szczycie najwyższej części dachu, Boże Ucho zostało wycelowane w takim stopniu dokładnie, na jaki pozwalały umiejętności brata oraz jego zarzewiały sekstans, ołtarz z laminatu stanął pod Talerzem, a przewody przeciągnięto aż do pokoju wspólnego na dwudziestym piątym piętrze. Tam ustawiono generator, a najsilniejsi spośród myśliwych klanu zostali wyznaczeni, by na zmianę kręcić pedałami Roweru Pana podczas porannego nabożeństwa.

Tara, pięciolatka o elfiej buzi, pociągnęła brata za połę płaszcza, gdy odstawiał plastikowe wiadra.

– Jest już prawie ciemno – powiedziała. – Pójdiesz z nami obejrzyć drzewko i otworzyć prezenty?

– Tak – odrzekł Jimmy-Joe Billy-Bob. Zerknął na czerwoną bantamkę wytatuowaną na grzbiecie dłoni dziecka. – I wygłoszę kazanie.

Pomieszczenie było bardzo duże, ściany znaczyła sadza z ognisk, a przegniłą wykładzinę zakryto plecionymi matami. Siedemnaścioro członków Klanu Czerwonej Bantamki zgromadziło się wokół Świętego Ekranu i niewielkiej aluminiowej choinki niedaleko paleniska. Jarzyły się świece. Wycięta przez dziecko papierowa gwiazda zdobiła szczyt drzewka. Brat popatrzył na niewielkie skupisko niechlujnie zapakowanych prezentów pod choinką i zamknął oczy. Stara McCarty odchrząknęła. Malutka bantamka wytatuowana na jej czole lśniła czerwono w blasku świec.

– Ukochany Klanie – zaczęła. – Mamy w zwyczaju dziękować Bogu w ten najbardziej święty z wieczorów, a następnie otwierać prezenty, które przyniósł Święty Mikołaj. Ale w tym roku przybył do nas nasz brat z Prawdziwego Kościoła w Dothan... – Przełknęła ślinę, jakby poczuła w ustach coś gorzkiego. – Który teraz opowie nam o jutrzejszej uroczystości i przeczyta Słowo Boże.

Brat Jimmy-Joe Billy-Bob wyszedł na otwartą przestrzeń przed choinką i oparł HK 91 o stół w zasięgu ręki. Wyjął z plecaka zużytą Biblię i położył ją na szczycie Świętego Ekranu.

– Bracia i siostry w Chrystusie – powiedział. – Jutro rano, kiedy wzejdzie słońce i Droga zostanie oczyszczona, Święty Nadajnik rzuci swoje światło w ciemność i ponownie usłyszycie Słowo, dzięki czemu staniecie się częścią Prawdziwego Kościoła Jezusa Chrystusa Ukoiciela. Moja wędrówka do was nie była łatwa. Nieprzyjacieli nie próżnował. Pięciu z moich Braci w Chrystusie

umarło, bym mógł tutaj dotrzeć. – Zamilkł i popatrzył na twarze przed sobą. Stara McCarty marszczyła czoło, mężczyźni sprawiali wrażenie zainteresowanych albo całkowicie obojętnych, a wiele kobiet i dzieci przyglądało mu się z podziwem graniczącym z czcią. – Nastął czas długiej i ciężkiej próby – ciągnął brat. – Ale z tego wybranego miejsca znów popłynie Prawdziwe Słowo, które nasz Zbawiciel przekazał światu przez ośmiu Ewangelistów, i dotrze do każdego krańca tej ziemi. – Znów zamilkł i popatrzył na twarze oświetlone blaskiem świec. Niektóre dzieci zerkwały na prezenty. – Posłuchajcie, co napisano – rzekł i otworzył Biblię. – Apokalipsa świętego Jana, rozdział trzynasty, wersy od szesnastego do osiemnastego: „I sprawia, że wszyscy: mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy otrzymują znamię na prawą rękę lub na czoło i że nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia – imienia Bestii lub liczby jej imienia. Tu jest potrzebna mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć”.

Wśród ludzi zapanowało poruszenie. Brat przewrócił kartkę i ponownie zaczął mówić, nie zerkając na tekst.

– Apokalipsa Świętego Jana, rozdział czternasty, wersy od dziewiątego do jedenastego: „Jeśli kto wielbi Bestię, i obraz jej, i bierze sobie jej znamię na czoło lub rękę, ten również będzie pić wino zapalczywości Boga, przygotowane, nierozcieńczone, w kielichu Jego gniewu; i będzie katowany ogniem i siarką wobec świętych aniołów i wobec Baranka. A dym ich katuszy na wieki wieków się wznosi i nie mają spoczynku we dnie i w nocy czciciele Bestii i jej obrazu, i ten, kto bierze znamię jej imienia”.

Brat Jimmy-Joe Billy-Bob zamknął oczy i uśmiechnął się.

– Ale czytam wam także z Ewangelii według Świętego Jana, rozdział trzeci, wersy siedemnasty i osiemnasty: „Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony. Kto wierzy w Niego, nie podlega potępieniu”. – Otworzył oczy. – Amen.

– Amen – odpowiedziała stara McCarty. – Sprawdźmy, co w tym roku przyniósł nam Mikołaj.

Ludzie znów zaczęli śmiać się i rozmawiać. Tara przytuliła się do brata, a cały Klan zgromadził się wokół choinki.

– Obawiam się, że nie dostaniesz prezentu – powiedziała ze łzami w oczach. – Mikołaj przyniósł prezenty w drugą niedzielę Adwentu. Chyba nie wiedział, że

do nas przyjdiesz.

– Nic nie szkodzi – odrzekł brat. – Choinka i prezenty to pogańskie zwyczaje. Święty Mikołaj nie istnieje.

Dziewczynka zamruwała, ale wtedy jej dziewięcioletni braciszek, Sear, wtrącił się do rozmowy.

– On ma rację, Tarie. Wujek Lou i myśliwi zdobywają prezenty podczas listopadowej wyprawy do magazynu. Potem ukrywają je na dwudziestym siódmym piętrze. Sam widziałem.

Tara znów zamruwała.

– Święty Mikołaj przyniósł mi tę lalkę – powiedziała cicho. – Czasami wraca w Wigilię, żeby przynieść owoce w puszkach. Może wtedy będzie miał coś dla ciebie. Do tego czasu możesz bawić się moją lalką, jeśli chcesz.

Brat pokręcił głową.

– Popatrzcie! – wykrzyknął Sean. – Pod choinką jest dodatkowy prezent. – Wgramolił się pod drzewko i wyciągnął spod niego pudełko owinięte niebieskim papierem. – Ktoś na pewno zapomniał, że wujek Henry zmarł w zeszłym miesiącu, i zostawił to dla niego.

Brat Jimmy-Joe Billy-Bob już chciał odłożyć pakunek na miejsce, ale wtedy Duch Święty przemówił do niego i mężczyzna zaczął gwałtownie dygotać. Wśród ludzi zapanowała cisza i cały Klan patrzył, jak brat się uspokaja, zrywa papier, wyjmując z pudełka skórzaną pochwę i wysuwa z niej długie ostrze lśniące w świetle.

– Jejku! – westchnął Sean. Wyjął poźółkłą ulotkę z pudełka i przeczytał na głos: – „Gratulacje. Jesteś teraz dumnym posiadaczem noża wojskowego LINAL M-dwadzieścia wyprodukowanego dla Chrześcijańskiej Sieci Przetrwania. Każdy egzemplarz ma imponujące trzydziestocentymetrowe ostrze, a zarazem jest tak doskonale wyważony, że podczas cięcia i pchnięcia stanowi przed... przedłużenie twojej dłoni. Ostrze LINAL M-dwadzieścia wykonano w całości z nierdzewnej stali mo... molekularnej i jest ono wystarczająco twarde, by przeciąć drewno albo strzaskać kość. W głow... głowicy twojego noża znajduje się kompas RX-trzysta sześćdziesiąt o pływającej igle. Po odkręceniu kompasu znajdziesz kompletny zestaw przetrwania, w którego skład wchodzi między innymi pudełko wodoodpornych zapalek, sześć haczyków wędkarskich, ciężarki, nylonowa żyłka, igła i nitka, osiemnastocalowa piła linowa, którą można ścinać niewielkie drzewo, a także, oczywiście, egzemplarz miniaturowego wydania Biblii”. – Chłopiec pokręcił głową i wypuścił powietrze. – Jejku – powtórzył.

Stara McCarty także pokręciła głową i popatrzyła na Lou, najstarszego z myśliwych.

– Nie pamiętam, by coś takiego znajdowało się w ładunku przyniesionym z magazynu – odezwała się ostro.

Myśliwy wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Brat Jimmy-Joe Billy-Bob schował nóż do pochwy, a tę zatknął za pasek. Słuchał cichnących szeptów Ducha Świętego. Uśmiechnął się do grupy.

– Pójdę na dach, żeby przygotować Drogę – powiedział łagodnie. – Rano zbierzemy się, by wysłuchać Słowa.

Kiedy się odwrócił, poczuł, że drobna dłoń Tary szarpie go za nogawkę.

– Ułożysz nas najpierw do snu? – spytała dziewczynka.

Brat zerknął na Ritę, matkę małej. Młoda kobieta wzięła dzieci za ręce i nieśmiało pokiwała głową. Brat Jimmy-Joe Billy-Bob ruszył za nimi w stronę ciemnego korytarza.

Pokój dziecięcy dawniej pełnił funkcję magazynu wydawnictwa, którego biura mieściły się na parterze. Kiedy dzieci wślizgnęły się na swoje posłania, brat popatrzył na półki pełne gnijących książek, z których każdą oznaczono małym symbolem czerwonej bantamki.

Rita pocałowała swoje dzieci na dobranoc i wyszła na korytarz.

– Spędzisz na dachu całą noc? – spytała Tara. Przytuliła nową szmacianą lalkę w kłębowisku łachmanów, które służyło jej za łóżko.

– Tak – odparł Brat, ponownie wchodząc do pomieszczenia.

– Więc zobaczysz, jak Święty Mikołaj i jego renifery lądują! – zawołała podnieconym głosem.

Brat zaczął coś mówić, ale przerwał. Uśmiechnął się.

– Tak, pewnie ich zobaczę.

– Przecież powiedziałaś... – zaczął Sean.

– Każdy, kto dziś będzie na dachu, zobaczy Świętego Mikołaja i jego renifery – rzekł brat Jimmy-Joe Billy-Bob stanowczo.

– A teraz pomódlmy się – powiedziała matka dzieci.

Tara pokiwała głową z szeroko otwartymi oczami i spuściła wzrok.

– Boże, pobłogosław mamusię, starą 'Em i duchy tatusia i wujka Henry'ego – wyrecytowała.

– Amen – rzekł Sean.

– Nie – odezwał się brat. – Mamy nową modlitwę.

– Naucz nas – poprosiły dzieci.

– Mateuszu, Marku, Łukaszu i Janie, pobłogosławcie nasze posłanie. – Zaczekał, aż malcy powtórzą rymowanąkę, i mówił dalej: – Jimie, Jan, Paulu i Tammy, rozprawcie się z demonami.

Dzieci bezbłędnie powtórzyły.

– Naprawdę zobaczysz Mikołaja? – spytała Tara.

– Tak – odrzekł brat Jimmy-Joe Billy-Bob. – Dobranoc.

Brat zajrzał do Klanu, zanim udał się na dach. Niewielka grupka myśliwych ścieśniła się przy choince, gdzie szeptali między sobą i słuchali starej McCarty, ale rozpierzchli się pod wpływem spojrzenia brata i wrócili na swoje posłania. Matrona wstała i długo patrzyła bratu w oczy, ale w końcu spuściła wzrok i odeszła, jak zwykła staruszka udająca się na spoczynek.

Na dachu brat Jimmy-Joe Billy-Bob ukląkł przy ołtarzu z laminatu i głośno modlił się przez kilka minut. W końcu wstał i rozebrał się do naga. Było bardzo zimno. Blask księżyca odbijał się od jego bladej skóry oraz krągłości Świętego Talerza. Brat wyjął plastikowe wiadra i rozstawił je pod czterema narożnikami ołtarza. Potem wysunął z pochwy długi nóż, uniósł go wysoko nad głowę, aż stał rozbłyśła w zimnym świetle, a następnie wcisnął ostrze między zęby.

Bezgłośnie przeszedł w poprzek dachu i przyklęknął niedaleko szczytu schodów, wtapiając się w cień. Początkowo czuł szorstki żwir pod gołym kolanem i smak chłodnej stali, ale po chwili dał się porwać uniesieniu.

To nie trwało długo. Najpierw rozległy się ciche odgłosy na schodach, a potem mroczna postać wyłoniła się z ciemności.

– Bracie Jimmy-Joe? – odezwał się ktoś cicho.

A więc to nie będzie staruszka, pomyślał brat. Niech i tak się stanie.

– Bracie Jimmy-Joe? – Drobną postać podeszła do ołtarza. Blask księżyca muskał ciemny warkocz lalki. – Święty Mikołaju?

Brat Jimmy-Joe Billy-Bob odmówił cichą modlitwę, wyjął nóż z ust i szybko ruszył naprzód, aby uczcić nadchodzący dzień.

Wstęp do „Wspomnienia o Siri”

Fascynuje mnie, jak niewielu pisarzy przekracza osmotyczną barierę pomiędzy science-fiction i horrorem albo pomiędzy literaturą gatunkową i tym, co jej autorzy nazywają mainstreamem. Ściśle rzecz biorąc, fascynuje mnie to, jak wielu przekracza tę granicę, by już zza niej nie wrócić.

Przypuszczam, że wynika to po części z poważnego rozziwmu między stanem umysłu, który śni mroczne horrorowe sny, i takim, który tworzy racjonalne konstrukcje SF; między bezgraniczną swobodą fantazji i ciężącą jak okowy grawitacją powagą „prawdziwej” beletrystyki. Naprawdę trudno jest je połączyć, nasza psyche cierpi, kiedy jednej półkuli mózgu pozwalamy rządzić, a drugą bezlitośnie okładamy kijem tak długo, aż przestanie skamleć. Może to dlatego zbiory czytelników SF i horroru, a także literatury gatunkowych i powieści z listy bestsellerów „New Yorkera” mają mniejszą część wspólną, niżby się można spodziewać.

Bez względu na przyczyny takiego stanu rzeczy, szkoda, że wielu pisarzy czuje się zmuszonych – czasem chodzi o niedostatek talentu lub nie dość szerokie zainteresowania, częściej jednak decydują względy rynkowe i fakt, że odnieśli sukces tylko na pewnym konkretnym polu – do pozostania w obrębie jednego gatunku.

Oczywiście wyjątki są zawsze najciekawsze. George R.R. Martin porusza się swobodnie pomiędzy gatunkami i oczekiwaniami czytelników; rzadko się powtarza, zawsze zaskakuje. Dean Koontz porzucił SF, ledwie został jej gwiazdą – może przeczuwał, że jego przeznaczeniem jest zostać supernową na innym poletku. Edward Bryant kilka lat temu wziął „urlop” od SF i od tamtej pory produkuje horrory światowej klasy. Kurt Vonnegut i Ursula K. Le Guin awansowali z SF do głównego nurtu i zaskarбили sobie akceptację jego czytelników. (Vonnegutowi należy się w tym miejscu pochwała za szczerłość: przyznaje się do tego, że gdy czasem dopada go nostalgia, otwiera dolną szufladę biurka, w której trzyma swoje stare wypociny przeznaczone do pulpowych pisemek SF, i sika do niej). Doris Lessing, Margaret Atwood i inni piszą swoją najlepszą beletrystykę w ramach SF, ale stanowczo wypierają się wszelkich związków z tym gatunkiem. Żadna z tych dwóch dam nie wspomina o sikaniu do

szuflady, można sobie jednak wyobrazić, że odczułyby pewne parcie na pęcherz, gdyby zmusić je do przyjęcia Hugo albo Nebuli.

Harlan Ellison najzwyczajniej w świecie odmawiał przypisania do jakiegokolwiek gatunku, chociaż sam je wszystkie rewolucjonizował. Wszyscy znamy tę historię, w której Ellison zostaje po raz dziesięciomilionowy zmuszony przez dziennikarza, krytyka albo osobistość telewizyjną do odpowiedzi na pytanie, jakim dopiskiem uzupełniłby w swoim przypadku określenie „pisarz”: Sci-fi? Fantasy? Horror?

– A co jest złego w samym „pisarzu”? – odpowiada Ellison arcyżycziwym sykiem jadowitej kobry.

To jest w nim złego, że półanalfabeci mają wątle, lecz za to uporządkowane mózdzki pełne schludnie ułożonych pudełeczek, i choćby nie wiadomo jak bardzo człowiek walczył, w artykule (albo recenzji, albo wprowadzeniu do wywiadu w radiu, albo na pasku z podpisem w telewizji) zawsze pojawi się mniej więcej coś takiego: FACET OD SF TWIERDZI, ŻE JEGO SF WCALE NIE JEST SF.

W następnym etapie na konwencji wstaje ktoś z publiczności, bierze mikrofon i krzyczy:

– Dlaczego zawsze podkreśla pan w wywiadach i innych takich, że nie jest po prostu pisarzem science-fiction? Ja osobiście chlubię się tym, że jestem kojarzony z SF!

(Albo z horrorem. Albo z fantasy. Albo... – tu wpiszcie, co chcecie).

Tłum odpowiada rykiem aprobaty, poczucie słuszności wypełnia salę, a tuż pod powierzchnią czai się wrogość, jakbyś był czarnym na wiecu Hueya Newtona i nagle wyszło na jaw, że na co dzień próbujesz zgrywać białasa. Albo Żydem w warszawskim getcie, którego przyłapano na kolaborowaniu z hitlerowcami przy układaniu rozkładu jazdy pociągów. Albo – to by było najgorsze – fanem Grateful Dead, który na ich koncercie śmiał słuchać Mozarta na walkmanie.

Jakkolwiek by na to patrzeć, jesteś gościem na konwencji tego faceta z mikrofonem. Jak mu wytłumaczyć, że pisarz podlega presji z tysiąca różnych źródeł, które wpychają go w coraz węższe i węższe uliczki? Agenci chcą, żebyś się dobrze sprzedawał, i rwą włosy z głowy, kiedy upierasz się, że wolisz wyprzedzać trendy, niż się w nie wpisywać, wydawcy próbują ukształtować cię jak towar rynkowy, redaktorzy upominają, żebyś – na miłość boską! – choć raz był konsekwentny, księgarze się skarżą, że twoja najnowsza SF wygląda głupio w zestawieniu z powieścią, za którą przyznano ci World Fantasy Award (a która w rzeczywistości jest o Kalkucie i nie ma nic wspólnego z fantasy), która z kolei stoi obok twojego wielkiego dzieła SF, które sąsiaduje z grubasnym horrorem

(To horror, prawda? Pytam, bo na okładce nie ma krwi, hologramów ani dzieci o demonicznych oczach...), a teraz, jakby tego było mało, teraz wyszła na dodatek ta nowa... ta nowa rzecz... która wygląda... no... Jezu, naprawdę wygląda jak powieść głównego nurtu!

Jak wyjaśnić, że każdy taki nacisk to kolejny gwóźdź do trumny, w której złożyłeś swoje nadzieje na to, że będziesz pisał o tym, o czym chcesz? O tym, co jest dla ciebie ważne?

Patrzysz więc na tego gościa z mikrofonem, piorunujesz wzrokiem wściekłych księgarzy, redaktorowi każesz zaczekać i myślisz tak: Mogę to wyjaśnić. Mogę im powiedzieć, że najpiękniejsza w zawodzie pisarza jest swoboda zapuszczania się we wszystkie interesujące zakamarki, luksus... nie, nie luksus, raczej świadomość, tak, świadomość obcowania ze zsyłanymi przez muzę snami, które musisz przekształcić najlepiej, jak potrafisz, i pokazać światu, nie bacząc na to, czy znajdziesz czytelników. Mogę wytłumaczyć przymus napisania dobrej książki bez względu na to, czy ilustrator odpowiedzialny za okładkę będzie wiedział, co z nią zrobić, czy nie. Mogę opowiedzieć, jaki to zaszczyt móc wytyczać nowe szlaki, nawet kiedy dyrektor miejscowej księgarni wstawia twoją powieść do OKULTYSTYCZNEJ LITERATURY FAKTU i prosi... nie, zabrania dystrybutorowi przysyłania dalszych książek pisanych przez człowieka, który jest ewidentnym schizofrenikiem. Wszystko to mogę im wyłuszczyć, każdemu czytelnikowi z osobna, niechętnemu szowiniście SF, fanowi horroru, zarozumiałemu nowojorskiemu recenzentowi i niewydarzonemu miłośnikowi „poważnej literatury” mogę pokazać, co to znaczy być pisarzem!

A potem znów spoglądasz na koleśka z mikrofonem i myślisz sobie: Nie, jednak nie.

I mówisz:

– Moja następna powieść to będzie SF.

Następne opowiadanie jest właśnie SF. Cudownie mi się je pisało, a potem z wielką przyjemnością wróciłem do tego wszechświata i wykorzystałem *Wspomnienie o Siri* jako punkt wyjścia do liczących łącznie około półtora tysiąca stron *Hyperiona* i *Upadku Hyperiona*.

Zalążkiem tej historii była zaś myśl, która naszła mnie pewnego wieczoru tuż przed zaśnięciem: A co by było, gdyby Romeo i Julia przeżyli?

Rozumiecie? *Romeo i Julia* opowiedziane przez tego wyrobnika sci-fi/fantasy/horroru, który w wolnych chwilach pisywał scenariusze do sitcomów i historycznych oper mydlanych?

Uważajcie na aluzje. Na iluzje również.

Wspomnienie o Siri

Wspinam się do stojącego na stromym wzgórzu grobu Siri w dniu, w którym wyspy wracają na płytkie morza Archipelagu Równikowego. Dzień jest idealny i za to go nienawidzę. Niebo jest równie spokojne jak morza z opowieści o Starej Ziemi, płycizny mienia się odcieniami ultramaryny, a rdzawa wierzbica na stoku nieopodal mnie faluje w powiewach ciepłej morskiej bryzy.

W taki dzień lepsze byłyby nisko zawieszane chmury i posępna szaruga. Lepsze byłoby lekkie zamglenie albo nawet spowijająca wszystko gęsta mgła, która osadza się wilgocią na masztach statków w porcie w Pierwogrodzie i budzi ze snu róg przeciwmgielny w latarni morskiej. Lepszy byłby jeden z tych porywistych morskich samumów wiejących z zimnego południa, pędzących przed sobą pływające wyspy wraz z doglądającymi ich delfinami, dopóki jedne i drugie nie schronią się wśród naszych atoli i skalnych wysepek.

Wszystko byłoby lepsze od tego ciepłego wiosennego dnia, kiedy słońce wędruje po sklepieniu nieba tak błękitnym, że aż chce mi się biec, sadzić długie, wysokie susy i tarzać się w miękkiej trawie, tak jak to robiliśmy z Siri dokładnie w tym miejscu.

Dokładnie tutaj. Przystaję i rozglądam się. Trawy gną się i falują niczym futro jakiegoś ogromnego zwierza, kiedy słonawy wiatr dmie z południa. Osłaniam oczy i bacznie przepatruję horyzont, lecz nie dostrzegam tam żadnego ruchu. Za rafą z lawy morze zaczyna się burzyć w nerwowe, krótkie fale.

– Siri – szepczę.

Wypowiadam jej imię bezwiednie. Tłum zatrzymuje się sto metrów poniżej mnie na stoku, żeby obserwować mnie i odsapnąć. Uroczysta procesja żałobników ciągnie się ponad kilometr do miejsca, gdzie wznoszą się pierwsze białe budynki miasta. Na czele pochodu dostrzegam siwą i łysiejącą głowę mojego młodszego syna. Nosi niebiesko-złote szaty Hegemonii. Wiem, że powinienem na niego poczekać, iść razem z nim, ale on i pozostali podstarzali członkowie Rady nie są w stanie nadażyć za moimi młodymi, wytrenowanymi na statku mięśniami i miarowym krokiem. Niemniej jednak dobre wychowanie nakazuje mi poczekać na niego, moją wnuczkę Lirę i mojego dziewięcioletniego wnuka.

Do diabła z tym. I do diabła z nimi.

Odwracam się i wbiegam po stromiźnie. Moja luźna bawełniana koszula jest mokra od potu, gdy docieram na łagodnie wysklepiony wierzchołek i dostrzegam grób.

Grób Siri.

Zatrzymuję się. Wiatr mnie chłodzi, chociaż promienie słońca są całkiem ciepłe, kiedy skrzą się na nieskazitelnie białym kamieniu cichego mauzoleum. Przy zamkniętym wejściu grobowca rośnie wysoka trawa. Rzędy wyblakłych świątecznych proporców na hebanowych drzewcach stoją wzdłuż wąskiej żwirowej ścieżki.

Z wahaniem okrążam grobowiec i podchodzę do odległego o parę metrów urwiska. Wierzbica jest przygięta i zdeptana w miejscu, gdzie zuchwali i bezmyślni turyści rozkładali koce na pikniki. Kręgi wyznaczające miejsca na ogniska zostały ułożone z idealnie okrągłych i idealnie białych kamieni skradzionych z obrzeża żwirowej ścieżki.

Nie mogę się nie uśmiechnąć. Znam rozciągający się stąd widok: rozległy łuk zewnętrznego portu z naturalnym falochronem, niskie, białe budynki Pierwogrodu, barwne kadłuby i maszty katamaranów kołyszących się na kotwicach. W pobliżu kamienistej plaży na tyłach ratusza młoda kobieta w białej spódnicy podchodzi na skraj wody. Przez sekundę myślę, że to Siri, i serce bije mi jak szalone. Prawie jestem gotowy unieść ręce w odpowiedzi na jej machanie, ale ona wcale do mnie nie macha. Patrzę w milczeniu, jak odwraca się i znika w cieniu starego hangaru na łodzie.

W górze, wysoko nad urwiskiem, szerokoskrzydły jastrzęb krąży nad laguną, unoszony wstępującymi prądami termicznymi, i wyczulonym na podczerwień spojrzeniem przeczesuje rozfalowane łąny sinorostów. Szuka fok siodlastych albo niemrawców. Natura jest głupia, myślę i siadam na miękkiej trawie. Natura przygotowuje całkiem niewłaściwą oprawę dla takiego dnia, a potem okazuje się na tyle nieczuła, żeby dorzucić ptaka szukającego zwierzyny, która dawno uciekła z zanieczyszczonych wód w pobliżu rozrastającego się miasta.

Przypominam sobie innego jastrzębia, który kołował w powietrzu w tamtą noc, kiedy pierwszy raz przyszliśmy z Siri na to wzgórze. Pamiętam księżycowe światło na jego skrzydłach i dziwny, niepokojący krzyk, odbijający się echem od klifu i przesywający ciemne powietrze nad gazowymi latarniami położonej w dole wioski.

Siri miała szesnaście lat... nawet mniej, niecałe szesnaście. Księżycowy blask, który muskał jastrzębie skrzydła w górze, malował mlecznym światłem także jej nagą skórę i kładł cienie pod miękkimi kręgami piersi. Spojrzeliśmy w górę, zdjęci wyrzutami sumienia, kiedy okrzyk jastrzębia przeszył noc.

– „To nie skowronek przecież, ale słowik śpiewał przed chwilą! Niech cię to nie trwoży”¹ – powiedziała Siri.

– Hę? – mruknąłem.

Ona miała prawie szesnaście lat. Ja miałem dziewiętnaście. Ona знаła jednak powolne tempo książek i kadencje teatru pod gwiazdami. Ja znałem tylko gwiazdy.

– Spokojnie, młody żeglarzu – szepnęła i pociągnęła mnie na ziemię obok siebie. – To tylko stary jastrząb poluje. Durne ptaszysko. Wracaj tu, żeglarzu. Wracaj, Merinie.

Los Angeles wybrało akurat tę chwilę, by wznieść się nad horyzont i poszybować na zachód jak porwana wiatrem iskierka, przez obce konstelacje Maui-Przymierza, świata Siri. Leżałem obok niej i opisywałem działanie wspaniałego statku nadświatelnego, który nad naszymi głowami skrzył się w blasku słońca na tle gęstniejącej nocy, podczas gdy moja ręka zsuwała się coraz niżej po jej gładkim boku. Aksamitna w dotyku skóra wydawała się naelektryzowana; oddech, który czułem na ramieniu, przyśpieszał. Zniżyłem twarz do zagłębienia u nasady jej szyi, do potarganych włosów pachnących potem i perfumami.

– Siri – mówię i tym razem to imię nie pojawia się nieproszone.

Pode mną, poniżej grzbietu wzgórza i cienia białego grobowca, tłum przestępuje z nogi na nogę. Niecierpliwia się. To przeze mnie. Chcą, żebym otworzył grobowiec, żebym wszedł, żebym miał chwilę dla siebie w chłodnej, cichej pustce, która zastąpiła ciepłą obecność, jaką stanowiła moja Siri. Chcą, bym się pożegnał. Wtedy będą mogli kontynuować swoje rytuały i obrzędy, otworzą portal i dołączą do Sieci Hegemonii.

Do diabła z tym. Do diabła z nimi wszystkimi.

Wyrywam ze zwartej darni źdźbło trawy, zgryzam słodką lodyżkę i wypatruję na horyzoncie pierwszych oznak powrotu migrujących wysp. O poranku cienie wciąż są długie. Dzień jest młody. Posiedzę tu chwilę i powspominam.

Powspominam Siri.

Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, była... Czym właściwie? Chyba ptakiem. Nosiła maskę z barwnymi piórami. Kiedy ją zdjęła, żeby dołączyć do grupowego kadryła, w blasku pochodni jej włosy zaśniły głębokim kasztanowym odcieniem. Miała ogniste rumieńce na policzkach i chociaż oddzielały nas zatłoczone błonia, widziałem, jak olśniewająca zieleń jej oczu kontrastuje

z letnim żarem twarzy i włosów. To była Świąteczna Noc, rzecz jasna. Roztańczone pochodnie sypały skrami unoszonymi przez silny wiatr dmący znad portu, huk przyboju i łopot proporców niemal zagłuszały muzykę flecistów, siedzących na falochronie i przygrywających przepływającym wyspom. Siri miała prawie szesnaście lat i jej uroda płonęła jaśniej od wszystkich pochodni ustawionych wokół błoń. Przepchnąłem się przez roztańczony tłum i podszedłem do niej.

Dla mnie od tej chwili minęło zaledwie pięć lat, dla nas obojga zdarzyło się to ponad sześćdziesiąt pięć lat temu. A mnie i tak wydaje się, że to było zaledwie wczoraj.

Źle to opowiadam.

Od czego zacząć?

– Co powiesz na to, żebyśmy zorganizowali sobie małe bzykanko, młody? – zapytał Mike Osho.

Niski, przysadzisty Mike o pulchnej twarzy będącej zmyślną karykaturą Buddy był wtedy dla mnie bogiem. Wszyscy byliśmy bogami: długowieczni, jeśli nie nieśmiertelni, dobrze opłacani, chociaż nie do końca boscy. Hegemonia wybrała nas do załogi jednego z jej bezcennych kosmicznych statków z napędem kwantowym, jak więc mogliśmy nie być bogami? Sęk w tym, że Mike – błyskotliwy, nieprzewidywalny, zuchwały Mike – był nieco starszy i stał odrobinę wyżej w pokładowym panteonie niż młody Merin Aspic.

– Ha! Zero szans – odparłem.

Szorowaliśmy się po dwunastogodzinnej zmianie przy portalu. Kursowanie z robotnikami do wybranego przez nich miejsca budowy, odległego o sto sześćdziesiąt trzy tysiące kilometrów od Maui-Przymierza, było dla nas znacznie mniej prestiżowym zajęciem niż czteromiesięczny skok z przestrzeni Hegemonii. W trakcie nadświetlnej części podróży byliśmy starszymi specjalistami: czterdziestu dziewięciu ekspertów, których zadaniem było przewiezienie około dwustu nerwowych pasażerów. Potem nasi pasażerowie włożyli skafandry kosmiczne, a my, załoga, zostaliśmy zredukowani do roli zwykłych kierowców ciężarówek, kiedy ekipa budowlana mocowała się z ulokowaniem we właściwym miejscu pękatej sfery osobliwości.

– Zero szans – powtórzyłem. – Chyba że lądowcy wybudowali burdel na tej wydzierżawionej nam wysepce, na której poddają nas kwarantannie.

– Nie, nic podobnego – odparł Mike, szczerząc zęby w uśmiechu.

Zbliżał się nasz trzydniowy urlop planetarny, ale z odpraw kapitana Singha i biadolenia innych żeglarzy wiedzieliśmy, że w naszym przypadku odpoczynek na planecie sprowadzi się do siedzenia plackiem na zarządzanej przez Hegemonię wysepce o wymiarach cztery na siedem mil. Nie była to nawet jedna z tych słynnych pływających wysp, nic z tych rzeczy: po prostu jeden z wielu wulkanicznych szczytów w okolicy równika. Na miejscu mogliśmy liczyć na prawdziwą grawitację pod stopami, niefiltrowane powietrze do oddychania i okazję popróbowania niesyntetycznego jedzenia. Mogliśmy też oczekiwać, że jedyną namiastką stosunków z kolonistami z Maui-Przymierza będą dla nas zakupy miejscowych pamiątek w sklepie wolnocłowym, prowadzonym zresztą przez ludzi z Hegemonii. Wielu naszych wolało więc spędzić urlop na *Los Angeles*.

– To niby jakim cudem mielibyśmy pobzykać, Mike? Planeta jest dla nas niedostępna do czasu ukończenia budowy portalu, a do tego brakuje jeszcze jakichś sześćdziesięciu lat czasu miejscowego. A może miałeś na myśli Meg z serwerowni?

– Trzymaj się mnie, młody – odparł Mike. – Dla chcącego nic trudnego.

Trzymałem się więc Mike'a. W lądowniku było nas tylko pięciu. Zawsze emocjonowało mnie spadanie z wysokiej orbity w atmosferę prawdziwego świata, zwłaszcza gdy ten świat przypominał Starą Ziemię w takim stopniu jak Maui-Przymierze. Patrzyłem na niebiesko-biały rąbek tarczy planety, aż morza wreszcie znalazły się na dole, a my zanurkowaliśmy w atmosferę i delikatnym ślizgiem zbliżaliśmy się do terminatora z prędkością trzykrotnie większą niż prędkość wydawanych przez lądownik dźwięków.

Byliśmy wtedy bogami. Ale nawet bogowie muszą czasem zstąpić ze swoich podniebnych tronów.

Ciało Siri nigdy nie przestało mnie zadziwiać. Cały tamten czas spędzony na Archipelagu, trzy tygodnie w ogromnym, rozkołysanym domu na drzewie pod wydętymi na wietrze liściozaglami, z delfinami-pasterzami towarzyszącymi nam niczym eskortą, z zachwycającymi tropikalnymi zachodami słońca, pod nocnym baldachimem gwiazd, z kilwaterem poznaczonym tysiącem fosforyzujących wirów, które naśladowały konstelacje na niebie... A ja zapamiętałem właśnie ciało Siri. Z jakiegoś powodu – może to nieśmiałość, może lata rozłąki – przez pierwsze parę dni naszego pobytu na Archipelagu nosiła dwa paseczki kostiumu

kąpielowego i delikatna biel jej piersi i podbrzusza nie zdążyła pociemnieć na tyle, by dopasować się do reszty opalenizny, zanim znów musiałem odlecieć.

Pamiętam ją z tamtego pierwszego razu. Trójkąty w księżycowym świetle, kiedy leżeliśmy na miękkiej trawie nad Pierwogrodem. Jej jedwabne figi czepiały się źdźbeł wierzbicy. Była w niej wtedy dziecięca skromność, lekkie wahanie, jak wtedy, gdy przychodzi nam coś oddać przedwcześnie – ale także duma. Ta sama duma, która później pozwoliła jej stawić czoło gniewnemu tłumowi separatystów na schodach konsulatu Hegemonii w Trójpołudniu i odesłać ich zawstydzonych do domów.

Pamiętam moje piąte lądowanie na Maui-Przymierzu, nasze Czwarte Ponowne Spotkanie. Była to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy widziałem ją płaczącą. Z racji swojej sławy i mądrości emanowała niemal królewskim majestatem. Czterokrotnie została wybrana do Wszechrzeczy; Rada Hegemonii zwracała się do niej po porady i wskazówki. Nosila swoją niezależność niczym królewski płaszcz, a jej płomienna duma płonęła wtedy najjaśniej. Kiedy jednak znaleźliśmy się sami w kamiennej willi na południe od Fevarone, to ona pierwsza odwróciła się ode mnie. Denerwowałem się, przerażała mnie ta potężna nieznajoma, ale to Siri – wyprostowana, dumna Siri – odwróciła się twarzą do ściany i powiedziała przez łyzy:

– Odejdź. Odejdź, Merinie. Nie chcę, żebyś mnie oglądał. Jestem staruchą, całkiem zwiotczałą i obwisłą. Odejdź.

Przyznaję, że potraktowałem ją wtedy dość brutalnie. Lewą ręką przyspiliłem jej nadgarstki do ściany z siłą, która nawet mnie samego zaskoczyła, i jednym szarpnięciem rozerwałem przód jej jedwabnej szaty. Całowałem jej ramiona, szyję, wyblakłe cienie rozstępów na napiętym brzuchu, bliznę na udzie po wypadku na śmiglu, do którego doszło jakieś czterdzieści lat wcześniej – wedle jej rachuby. Całowałem siwiejące włosy i linie wyżłobione na niegdyś gładkich policzkach. Scałowałem jej łyzy.

– Jezu, Mike, to na pewno jest niezgodne z prawem – powiedziałem, kiedy mój przyjaciel rozwinął wyjętą z plecaka aeromatę.

Znajdowaliśmy się na wyspie numer 241, bo taką romantyczną nazwę nadali handlarze z Hegemonii temu ponuremu wulkanicznemu pryszczowi, który wybrali na miejsce naszego urlopu. Wyspa 241 znajdowała się niecałe pięćdziesiąt kilometrów od najstarszych osad kolonialnych, ale równie dobrze mogła być od nich oddalona o pięćdziesiąt lat świetlnych. Żaden miejscowy

statek nie mógł do niej przybić, kiedy znajdowali się tam budowniczowie transportu albo załoga *Los Angeles*. Koloniści na Maui-Przymierzu nadal mieli trochę starych i sprawnych śmigłów, ale za obopólną zgodą wstrzymywali się od przelotów nad wyspą. Poza zbiorowymi sypialniami, plażą, przy której można było popływać, i wolnocłowym sklepem, na wyspie nie było niczego ciekawego dla żeglarzy. Pewnego dnia, kiedy *Los Angeles* przetransportuje do układu ostatnie części, i budowa transportu zostanie zakończona, urzędnicy Hegemonii zamienią wyspę w centrum handlu i turystyki, ale do tego czasu będzie to prymitywna osada z lądowiskiem, nowiutkimi zabudowaniami z miejscowego białego kamienia i garstką znudzonych pracowników obsługi naziemnej. Mike zgłosił nas na trzydniową wyprawę z plecakami na najbardziej stromy i najmniej dostępny kraniec małej wysepki.

– Na miłość boską, nie chcę iść na wycieczkę – powiedziałem. – To już wolę zostać na *L.A.* i podłączyć się do symstymu.

– Zamknij się i chodź ze mną – odparł Mike, więc jako bóstwo pomniejsze, posłuszne starszemu i mądrzejszemu, zamknąłem się i poszedłem za nim.

Dwie godziny mozolnego przedzierania się przez kłujący gąszcz kolcodrzewu doprowadziły nas do krawędzi jezora lawy, kilkaset metrów nad rozbijającymi się o brzeg falami. Znajdowaliśmy się w pobliżu równika na planecie, gdzie dominował tropikalny klimat, ale na tej odsłoniętej półce skalnej wiatr zawodził przeraźliwie, a ja szcząkałem zębami z zimna. Zachód słońca był czerwoną smugą między ciemnymi cumulusami. Nie miałem ochoty na noc pod gołym niebem w takim miejscu.

– Daj spokój – powiedziałem. – Schowamy się przed wiatrem i rozpalimy ognisko. Nie mam pojęcia, jak, u diabła, rozbijemy namiot na tej skale.

Mike usiadł i zapalił skręta.

– Zajrzyj do swojego plecaka, młody.

Zawahałem się. Powiedział to zupełnie zwyczajnie, ale był to beznamiętny ton typowy dla kawalarza tuż przed tym, jak wyleje ci na głowę wiadro wody. Przykucnąłem i zacząłem obmacywać nylonowy plecak. Rozpoznałem tylko stare płynopianowe pudełka, dzięki którym wyglądał na wypchany, i kompletny kostium arlekina, łącznie z maską i dzwoneczkami na palcach stóp.

– Czyś ty... Czy to... Całkiem ci odbiło? – wykrztusiłem.

Szybko się zmierzchało. Sztorm mógł, ale nie musiał ominąć nas od południa. Przybój srożył się w dole jak wygłodniała bestia. Gdybym wiedział, jak wrócić stamtąd po ciemku, może bym się zastanowił, czy nie rzucić szczątków Mike'a Osho rybom na pożarcie.

– A teraz zobacz, co jest w moim plecaku – odparł.

Wytrząsał kilka pudeł, wyjął trochę ręcznie robionych błyskotek, jakie widywałem na Renesansie, a na koniec wyciągnął kompas inercyjny, pióro laserowe, które ochrona statku mogłaby (choć nie musiała) uznać za ukrytą broń, drugi kostium arlekina (uszyty dla kogoś o bardziej krągłej sylwetce) oraz aeromatę.

– Jezu, Mike... – Przesunąłem ręką po zawitym wzorze starego dywanika. – To na pewno jest niezgodne z prawem.

– Nie zauważyłem u nas żadnego celnika – odparł Mike z szerokim uśmiechem. – I szczerze wątpię, czy miejscowi mają jakieś rozporządzenia dotyczące kontroli ruchu.

– No tak, ale... – Urwałem i rozwinąłem matę do końca. Miała nieco ponad metr szerokości i ze dwa długości. Kosztowna tkanina wyblakła ze starości, ale sploty sterujące nadal błyszcząły jak świeża miedź. – Gdzieś ty to dorwał? Nadal działa?

– Na Ogrodzie – wyjaśnił Mike i upchnął nasze kostiumy oraz resztę sprzętu do swojego plecaka. – I owszem, działa. Minęło ponad sto lat, odkąd stary Vladimir Sholokov, emigrant ze Starej Ziemi, genialny lepidopterolog i inżynier systemów EM, stworzył na Nova Terra pierwszą aeromatę, prezent dla swojej ślicznej, młodziutkiej siostrzenicy. Legenda mówi, że siostrzenica wzgardziła podarunkiem, ale w ciągu dziesięcioleci aeromaty stały się wręcz absurdalnie popularne, bardziej wśród bogatych dorosłych niż dzieci – dopóki nie zakazano ich na większości światów Hegemonii. Były niebezpieczne w obsłudze, stanowiły przejaw marnotrawstwa ekranowanych monowłókien i nie dało się zapanować nad nimi w kontrolowanej przestrzeni powietrznej, dlatego stały się ciekawostką zarezerwowaną dla bajek na dobranoc, muzeów i kilku planet kolonialnych.

– Musiała kosztować fortunę – powiedziałem.

– Trzydzieści marek – odrzekł Mike i usadowił się pośrodku dywanika. – Staruszek na targu w Carvnału, który mi ją sprzedał, myślał, że nie jest nic warta. I nie była... dla niego. Zabrałem ją na statek, naładowałem, przeprogramowałem chipy inercyjne i *voilà!*

Dotknął zawilego wzoru. Mata zeszywniała i uniosła się piętnaście centymetrów nad ziemię. Spojrzałem na nią z powątpiewaniem.

– No dobrze, ale co będzie, jeśli...

– Nie bój żaby – odparł Mike i niecierpliwie poklepał dywanik za sobą. – Jest w pełni naładowana. Potrafię się nią posługiwać. No już, wskakuj albo się odsuń. Chcę wyruszyć, zanim nadciągnie burza.

– To chyba nie jest...

– Daj spokój, Merin. Zdecydujże się. Nie mam czasu.

Wahałem się jeszcze przez sekundę, może dwie. Jeśli zostaniemy przyłapani poza wyspą, wyrzucą nas ze statku. A praca na statku była teraz całym moim życiem – taką decyzję podjąłem, kiedy podpisałem kontrakt na osiem misji na Maui-Przymierze. Co więcej, od cywilizacji dzieliło mnie dwieście lat świetlnych oraz pięć i pół roku długu czasowego; nawet gdyby zabrali nas z powrotem do przestrzeni Hegemonii, podróż w obie strony zabrałaby nam jedenaście lat z życia naszych przyjaciół i rodzin. Dług czasowy był nieubłagany.

Wgramoliłem się na unoszącą się w powietrzu aeromate i usadowiłem za plecami Mike'a, który wcisnął między nas plecak, kazał mi się trzymać i klepnął sploty sterujące. Mata uniosła się na pięć metrów nad skalny występ, skręciła z przechyłem w lewo i śmignęła ponad obcym oceanem. Trzysta metrów pod nami grzywacze bieleły się w pogłębiającym się mroku. Wznieśliśmy się wyżej nad wzburzonymi wodami i skierowaliśmy na północ.

W takich chwilach rodzą się całe nowe przyszłości.

Pamiętam rozmowę z Siri w czasie naszego Drugiego Ponownego Spotkania, wkrótce po tym, jak pierwszy raz odwiedziliśmy willę na wybrzeżu w okolicy Fevarone. Spacerowaliśmy plażą. Alón został w mieście pod opieką Magritte – i bardzo dobrze, nie czułem się swobodnie w towarzystwie tego chłopca. Tylko niezaprzeczalna powaga w jego zielonych oczach i niepokojąco znajome (jakbym patrzył w lustro) krótkie, ciemne loki i zadarty nos pozwalały mi powiązać go w myślach ze mną... z nami. Jeszcze ten przelotny, lekko sardoniczny uśmiezek, na którym go przyłapywałem, skrywany przed Siri, kiedy ta go ganiła. Ten uśmiezek miał w sobie za dużo cynicznego rozbawienia i rezerwy, żeby dziesięciolatek mógł się go nauczyć. Znałem go doskonale. Myślałem, że takich rzeczy człowiek nie dziedziczy, tylko je nabywa.

– Bardzo mało wiesz – powiedziała Siri.

Brodziła boso w płytkim basenie pływowym. Od czasu do czasu podnosiła jakąś muszlę, szukała na niej skaz i upuszczała ją z powrotem do zmaczonej wody.

– Zostałem gruntownie przeszkolony – odpowiedziałem.

– Nie wątpię – zgodziła się Siri. – Wiem, że jesteś wykwalifikowany, ale niewiele wiesz.

Poirytowany, nie bardzo wiedząc, jak zareagować, szedłem za nią ze spuszczoną głową. Wykopałem z piasku biały kawałek lawy i cisnąłem nim daleko do zatoki. Nad wschodnim horyzontem zbierały się deszczowe chmury.

Złapałem się na tym, że chciałbym już wrócić na pokład statku. Tym razem bez entuzjazmu wróciłem na Maui-Przymierze i wiedziałem już, że powrót był błędem. To była moja trzecia wizyta na planecie, nasze Drugie Ponowne Spotkanie, jak nazywali je poeci i lud Siri. Do dwudziestych pierwszych urodzin brakowało mi pięciu miesięcy; Siri zaledwie trzy tygodnie wcześniej skończyła trzydzieści siedem lat.

– Byłem w mnóstwie miejsc, których ty nigdy nie widziałaś – odpowiedziałem w końcu.

Nawet dla mnie zabrzmiało to dziecinnie, jakbym się dąsał.

– Och, z pewnością – powiedziała Siri i klasnęła w dłonie.

Przez sekundę widziałem w jej entuzjazmie moją inną Siri, młodą dziewczynę, o której marzyłem w czasie długich dziewięciu miesięcy podróży. A potem wyobrażenie zmieniło się w brutalną rzeczywistość i aż nazbyt wyraźnie uprzytomniłem sobie jej krótkie włosy, wiotczące mięśnie szyi i żyły wypuklające się na grzbietach niegdyś ukochanych rąk.

– Byłeś w miejscach, których ja nigdy nie zobaczę – dodała pośpiesznie. Jej głos był niemal taki sam. Niemal. – Merinie, mój kochany, widziałeś rzeczy, których ja nawet nie potrafię sobie wyobrazić. Znasz pewnie takie fakty na temat wszechświata, których istnienia ja nawet się nie domyślam. Ale tak naprawdę bardzo mało wiesz, kochanie.

– Siri, o czym ty, u diabła, mówisz?

Usiadłem na na wpół zatopionej kłodzie obok pasa wilgotnego piasku i podciągnąłem kolana, wznosząc je między nami jak płot.

Siri przestała brodzić w wodzie i podeszła, żeby uklęknąć przede mną. Ujęła moje ręce w swoje. Chociaż moje były większe, cięższe, miały grubsze palce i kości, to wyraźnie czułem jej siłę. Wyobrażałem sobie, że jest to siła lat, których z nią nie dzieliłem.

– Musisz pożyć, żeby naprawdę wiedzieć pewne rzeczy, ukochany. Narodziny Alóna pomogły mi to zrozumieć. W wychowywaniu dziecka jest coś, co pomaga wyraźniej wyczuwać to, co jest prawdziwe.

– Co masz na myśli?

Odwróciła na chwilę wzrok i machinalnie odgarnęła pasemko włosów. Lewą ręką zdecydowanie przytrzymała moje dłonie.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała cicho. – Myślę, że człowiek zaczyna wyczuwać, kiedy pewne rzeczy nie są ważne. Nie bardzo wiem, jak to ująć. Jeśli przez trzydzieści lat wchodzisz do sal wypełnionych obcymi twarzami, czujesz mniejszą presję, niż gdybyś miał tylko piętnaście lat takich doświadczeń. Wiesz, co ta sala i ludzie w niej czekający szykują dla ciebie, i po to właśnie tam wchodzisz. A jeśli tego tam nie ma, od razu wyczuwasz, wycofujesz się

i zajmujesz swoimi sprawami. Po prostu wiesz więcej o tym, co jest, a co nie jest ważne, i jak niewiele masz czasu, żeby nauczyć się odróżniać jedno od drugiego. Rozumiesz mnie? Czy chociaż trochę mnie rozumiesz?

– Nie – przyznałem.

Siri skinęła głową i zagryzła wargi. Nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Zamiast tego pochyliła się i pocałowała mnie. Jej usta były suche i lekko niepewne. Nie reagowałem przez sekundę, patrząc na niebo za jej plecami. Potrzebowałem chwili na zastanowienie. Potem jednak poczułem ciepły napór jej języka i zamknąłem oczy. Za nami zaczynał się przypływ. Poczułem ciepło i podniecenie, kiedy rozpięła mi koszulę i przesunęła paznokciami po mojej piersi. Przez chwilę między nami była pustka, otworzyłem więc oczy – w samą porę, żeby zobaczyć, jak Siri rozpina ostatnie guziki białej sukienki. Jej piersi były krągłejsze, niż pamiętałem, cięższe, sutki większe i ciemniejsze. Rześkie powietrze kąsało nas, dopóki nie zsunąłem sukienki z jej ramion i nasze ciała się nie zetknęły. Ześliznęliśmy się z kłody na ciepły piasek. Mocniej przytuliłem Siri, cały czas zdumiony, jakim cudem mogłem uznać ją za silniejszą. Miała słoną skórę.

Jej ręce mi pomogły. Krótkie włosy przycisnęła do wybielonego drewna, białej bawełny i piasku. Mój puls prześcignął fale.

– Rozumiesz? – szepnęła do mnie kilka sekund później, kiedy połączyło nas jej ciepło.

– Tak – odpowiedziałem szeptem.

Ale nie rozumiałem.

Nadlatywaliśmy do Pierwogrodu od wschodu. Lot w ciemnościach trwał już ponad godzinę; przez ten czas głównie kuliłem się przed wiatrem i czekałem, aż aeromata złoży się wpół i obaj z Mikiem spadniemy do morza. Mieliśmy przed sobą jeszcze pół godziny lotu, kiedy dostrzegliśmy pierwsze pływające wyspy. Gnane sztormem, z wydętymi liściozaglami płynęły z południowych żerowisk w na pozór nieskończonej procesji. Wiele z nich – jasno oświetlonych, przystrojonych kolorowymi lampionami – ciągnęło za sobą welony jedwabistego światła.

– Jesteś pewien, że dobrze lecimy?! – krzyknąłem.

– Tak – odkrzyknął Mike.

Nie odwrócił się. Jego długie czarne włosy, targane wiatrem, smagały mnie po twarzy. Od czasu do czasu sprawdzał wskazanie kompasu i delikatnie

korygował kurs. Łatwiej byłoby lecieć w ślad za wyspami. Minęliśmy jedną – ogromną, musiała mieć z pół kilometra długości. Wyteżalem wzrok, żeby wypatrzeć szczegóły, ale była całkiem ciemna, nie licząc blasku fluorescencyjnego kilwateru. Ciemne kształty przecinały mleczne fale.

Popukałem Mike'a w ramię i wyciągnąłem rękę.

– Delfiny! – krzyknął. – Po to powstała ta kolonia, zapomniałeś? W czasie hidzry grupa nawiedzonych ekologów postanowiła ocalić wszystkie ssaki z oceanów Starej Ziemi. Nie udało im się.

Wykrzyczałbym kolejne pytanie, ale w tej samej chwili naszym oczom ukazały się przylądek i port w Pierwogrodzie. Wydawało mi się, że gwiazdy nad Maui-Przymierzem świecą bardzo jasno. Wydawało mi się również, że migrujące wyspy stanowią niezapomniany widok w swojej barwnej paradzie. Jednakże wtłoczony między port i wzgórza Pierwogród jaśniał jak latarnia morska pośród nocy. Jego blask przypominał mi niszczyciel, który kiedyś zobaczyłem, gdy na tle ciemnej, posępnej tarczy gazowego olbrzyma tworzył własną plazmową supernową. Pięciopoziomową, gęstą jak plaster miodu mozaikę białych budynków rozjaśniało od środka ciepłe światło latarni, od zewnątrz zaś – niezliczone pochodnie. Za miastem ciągnęły się namioty, pawilony, ogniska, paleniska kuchenne oraz ogromne płonące stosy – zbyt duże, żeby pełniły jakąś praktyczną funkcję; zbyt duże, żeby służyły czemuś innemu niż powitanie powracających wysp.

Łodzie wypełniły port: rozkołysane katamarany z dźwięczącymi na masztach krowimi dzwonkami; barki mieszkalne o szerokich kadłubach i płaskim dnie, zbudowane z myślą o przekradaniu się z portu do portu po spokojnych równikowych płycznach, ale tej nocy dumnie rozświetlone sznurami świateł; czasem trafił się oceaniczny jacht, smukły i skuteczny jak rekin. Latarnia morska, posadowiona na czubku zakrzywionej jak szczyt kraba rafy, rzucała snop światła daleko w morze, oświetlając zarówno fale, jak i wyspy, a potem znów omiatała światłem barwne, rozkołysane statki i ludzi.

Już z odległości dwóch kilometrów usłyszeliśmy zgiełk. Towarzyszący fecie gwar niósł się daleko w noc. Ponad krzykami i nieustannym szmerem fal wznosiły się charakterystyczne nuty sonaty na flet Bacha. Dowiedziałem się później, że ten powitalny utwór transmitowano przez hydrofony do Kanałów Tranzytowych, gdzie delfiny skakały i baraszkowały przy muzyce.

– Mój Boże, Mike, skąd wiedziałeś, co tu się dzieje?

– Zapytałem główny komputer pokładowy – odparł Mike.

Aeromata skręciła w prawo; musieliśmy się trzymać z dala od statków i snopa światła z latarni morskiej. Zatoczyliśmy łuk, kierując się na północ od

Pierwogrodu, w stronę ciemnego cypla. Słyszałem cichy plusk fal na płycznach przed nami.

– Obchodzą to święto co roku, ale dzisiaj wypada sto pięćdziesiąta rocznica – tłumaczył Mike. – Zabawa trwa już od trzech tygodni i ma potrwać kolejne dwa. Na całym tym świecie mają ze sto tysięcy kolonistów i założę się, że połowa z nich jest teraz tutaj i świętuje.

Zwolniliśmy, podleciliśmy ostrożnie i wylądowaliśmy na skalistym występie niedaleko plaży. Sztorm ominął nas od południa, ale sporadyczne rozbłyski błyskawic i odległych świateł nadpływających wysp nadal znaczyły horyzont. Nad nami błyszcząły gwiazdy nieprzyćmione blaskiem bijącym z Pierwogrodu, od którego oddzielało nas małe wzniesienie. Powietrze było tu cieplejsze, wychyciłem w nim woń sadów. Zwinęliśmy aeromatę i pośpiesznie przebraliśmy się w kostiumy arlekinów. Mike schował do obszernych kieszeni pióro laserowe i biżuterię.

– Po co ci to wszystko? – spytałem, kiedy ukryliśmy plecak i aeromatę pod dużym głazem.

– To? – spytał Mike, machając trzymanym w palcach wisiorkiem z Renesansu. – To nasza gotówka, na wypadek gdybyśmy musieli dopraszać się o fawory.

– Fawory?

– Fawory – powtórzył Mike. – Przychylność damy. Ukojenie dla znużonego astropodróżnika. Po twojemu to będzie „bzykanko”, młody.

– Aha – powiedziałem, poprawiając maskę i błazeńską czapkę.

Dzwoneczki cicho zadźwięczały w ciemnościach.

– Chodź – rzucił Mike. – Bo nas ominie zabawa.

Skinąłem głową i poszedłem za nim. Podzwaniając, szliśmy wśród skał i zarośli w stronę czekających na nas świateł.

Siedzę tu w świetle słońca i czekam. Nie jestem do końca pewien, na co czekam. Czuję narastające ciepło na plecach, kiedy poranne światło odbija się od białego kamienia grobu Siri.

Grobu Siri?

Niebo jest bezchmurne. Unoszę głowę i zerkam spod zmrużonych powiek w górę, jakbym mimo oślepiającego blasku atmosfery mógł dostrzec *L.A.* i niedawno ukończoną kulę portalu. Ale to niemożliwe. Jakaś część mnie wie, że jeszcze nie wynurzyły się spod horyzontu. Część mnie wie co do

sekundy, ile czasu zostało do chwili, kiedy statek i transportal staną w zenicie. Część mnie nie chce o tym myśleć.

Siri, czy słusznie postępuję?

Wiatr się wzmaga i proporce na drzewcach łopoczą głośno. Bardziej wyczuwam, niż widzę nerwowość czekającego tłumu. Po raz pierwszy, odkąd wylądowałem na planecie z myślą o naszym Siódmym Ponownym Spotkaniu, ogarnia mnie przygnębienie. Nie, nie przygnębienie – jeszcze nie – raczej przenikliwy smutek, który wkrótce przerodzi się w rozpacz. Od lat prowadzę milczące rozmowy z Siri, formułując pytania do siebie z myślą o przyszłych dyskusjach z nią, i nagle uderza mnie z całą lodowatą wyrazistością fakt, że nigdy już nie usiądziemy razem i nie porozmawiamy. Pustka w moim wnętrzu się rozrasta.

Czy powinienem na to pozwolić, Siri?

Jedyną odpowiedzią są coraz głośniejsze pomruki tłumu. Za kilka minut przyślą na wzgórze Donela, mojego młodszego i nadal żyjącego syna, lub jego córkę Lirę z bratem, żeby mnie ponaglili. Odrzucam na bok źdźbło wierzby, które przeżuwałem. Na horyzoncie maluje się sugestia cienia. Możliwe, że to jest chmura. Albo dotarły tu pierwsze z wysp popychane przez instynkt i wiosnę na północ, z powrotem do wielkiego pasa równikowych płycizn, skąd się wywodzą. To nie ma znaczenia.

Siri, czy słusznie postępuję?

Nie ma odpowiedzi, a czas ucieka.

Czasami Siri wydawała się taką ignorantką, że człowiekowi robiło się niedobrze.

Nie miała pojęcia o moim życiu z dala od niej. Zadawała pytania, ale czasem zastanawiałem się, czy interesowały ją moje odpowiedzi. Przez długie godziny objaśniałem jej piękno fizyki stojącej za nadświetlnym napędem Hawkinga, ona jednak zawsze sprawiała wrażenie, jakby mnie nie rozumiała. Raz, kiedy z ogromną pieczołowitością wyszczególniłem różnice między ich starożytnym statkiem osiedleńczym a *Los Angeles*, zdumiała mnie pytaniem:

– Ale dlaczego moi przodkowie potrzebowali osiemdziesięciu lat pokładowych, żeby dotrzeć na Maui-Przymierze, skoro ty możesz tu dolecieć w sto trzydzieści dni?

Niczego nie rozumiała.

Jej pojmowanie historii było w najlepszym razie żałosne. Postrzegała Hegemonię i Sieć w sposób, w jaki dziecko mogłoby postrzegać baśniowy świat z przyjemnego, ale raczej niezbyt mądrego mitu; chwilami jej obojętność doprowadzała mnie do szału.

Wiedziała wszystko o początkach hidźry, w każdym razie tych jej początkach, które miały jakiś związek z Maui-Przymierzem i kolonistami, i zdarzało jej się wyskoczyć z zachwycającymi strzępkami archaicznych ciekawostek albo frazeologii, ale nie miała pojęcia o realiach ukształtowanego przez hidźrę wszechświata. Nazwy takie jak Ogród, Wygnaniec, Renesans czy Lusus niewiele dla niej znaczyły. Mogłem wspomnieć o Salmenie Breyu albo generale Glennonie-Heighcie, a jej to się z niczym nie kojarzyło, nie wywoływało reakcji. Żadnej.

Kiedy ostatni raz ją widziałem, miała siedemdziesiąt lat standardowych. Miała siedemdziesiąt lat i nadal ani razu nie opuściła swojej planety, nie skorzystała z komlogu, nie spróbowała żadnego napoju alkoholowego poza winem, nie skorzystała z usług lekarza-empaty, nie przeszła przez portal, nie zapaliła skręta, nie poddała się modyfikacji genetycznej, nie podłączyła się do symstymu, nie odebrała formalnej edukacji, nie przyjmowała żadnych leków opartych na RNA, nie słyszała o chrześcijaństwie zen i nie leciała żadnym pojazdem poza starodawnym vikkenem, który należał do jej rodziny.

Siri nigdy nie kochała się z nikim poza mną. Przynajmniej tak mówiła. A ja jej wierzyłem.

Podczas naszego Pierwszego Ponownego Spotkania, które spędzaliśmy na Archipelagu, Siri zabrała mnie na rozmowę z delfinami.

Wstaliśmy wcześniej, żeby obejrzeć świt. Górne kondygnacje naszego domu na drzewie były idealnym miejscem do obserwacji wschodniego nieba, które bledło i płowiało o poranku. Zmarszczki wysokich cirrusów poróżwiały, a potem samo morze zmieniło się w płynny metal, kiedy słońce uniosło się nad płaskim horyzontem.

– Chodźmy popływać – zaproponowała Siri.

Jej skóra była skąpana w intensywnym, poziomo padającym świetle. Cień na deskach platformy miał cztery metry długości.

– Jestem za bardzo zmęczony – odparłem. – Później.

Nie spaliśmy przez większość nocy, leżąc i rozmawiając, kochając się i rozmawiając, i znowu się kochając. W ostrym świetle poranka czułem się pusty

i trochę mnie mdliło. Odczuwałem delikatny ruch wyspy pode mną jako sugestię zawrotu głowy, pijackie zakłócenie grawitacji.

– Nie, chodźmy teraz – uparła się Siri, złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

Zirytowała mnie, ale nie oponowałem dłużej. Miała dwadzieścia sześć lat, siedem lat więcej ode mnie, ale jej impulsywne zachowanie często przypominało mi nastolatkę, którą porwałem ze świątecznej zabawy zaledwie dziesięć moich miesięcy wcześniej. Jej niski, nieskrępowany śmiech nic a nic się nie zmienił. W zielonych oczach pojawiał się ten sam ostry błysk, kiedy się niecierpliwiła. Długa grzywa kasztanowych włosów była taka sama. Za to jej ciało dojrzało, wypełniło się obietnicą, którą wcześniej tylko sugerowało. Piersi nadal miała jędrne i pełne, niemal dziewczęce, obrębione od góry piegami, które ustępowały bieli tak przezroczystej, że dało się wypatrzeć delikatny niebieskawy ażur żyłek. A jednak w jakiś sposób się zmieniły. Cała Siri się zmieniła.

– Ruszysz się czy będziesz tylko siedział i się gapił?

Zdjęła kaftan, kiedy zeszliśmy na najniższą platformę. Nasza mała łódka nadal cumowała przy nabrzeżu. Nad nami liściozagle zaczynały otwierać się na poranną bryzę. Przez kilka ostatnich dni Siri upierała się przy noszeniu dwuczęściowego kostiumu kąpielowego, kiedy wchodziliśmy do wody. Teraz go nie włożyła. Jej sutki stwardniały w chłodnym powietrzu.

– Nie zostaniemy w tyle? – zapytałem, zerkając w górę na łopoczące liściozagle.

W poprzednich dniach czekaliśmy na ciszę następującą w środku dnia, kiedy wyspa nieruchomiła na wodzie, a morze wyglądało jak zwierciadło. Teraz gęste liście napełniały się wiatrem i fały zaczynały się napinać.

– Nie wygłupiaj się – odparła Siri. – Zawsze możemy złapać się korzenia kilowego i wrócić. Albo wici pokarmowej. No chodź.

Rzuciła mi maskę osmotyczną, sama też taką nałożyła. Jej twarz, widziana przez przezroczystą błonę, wyglądała jak naoliwiona. Z kieszeni porzuconego kaftana wyjęła gruby medalion i zawiesiła go na szyi. Ciemny metal wyglądał złowieszczo na jej skórze.

– Co to? – spytałem.

Nie podwinęła maski osmotycznej, żeby odpowiedzieć. Ułożyła komwłókna na krtani i podała mi słuchawki douszne. Jej głosik brzmiał cieniutko.

– Dysk translacyjny – powiedziała. – Myślałam, że znasz się na gadżetach, Merinie. Chodź już. Kto ostatni w wodzie, ten ślimak.

Jedną ręką przytrzymała dysk między piersiami i zeszła z wyspy do wody. Widziałem blade krągłości jej pośladków, kiedy wykręcała piruety i wierzgała nogami, żeby zejść w głąbiny. W ciągu kilku sekund stała się białą smugą

głęboko w wodzie. Założyłem maskę, docisnąłem mocno komwłókna i zszedłem do morza.

Dno wyspy było ciemną plamą na sklepieniu z krystalicznego światła. Uważałem na grube wici pokarmowe, chociaż Siri wielokrotnie pokazywała mi, że nie są zainteresowane pożeraniem istot większych od zooplanktonu, który nawet teraz mienił się w świetle słonecznym jak kurz unoszący się w opustoszałej sali balowej. Korzenie kilowe przypominały stalaktyty, gdy opadały setki metrów w fioletowe głębiny.

Wyspa się poruszała. Widziałem delikatne migotanie ciągnących się za nią wici. Kilwater mienił się w świetle dziesięć metrów nad moją głową. Przez sekundę dławilem się, żel maski dusił mnie równie skutecznie, jak zrobiłaby to otaczająca mnie woda, zanim w końcu się rozluźniłem i powietrze swobodnie wypełniło mi płuca.

– Głębiej – dotarł do mnie głos Siri.

Zamrugalem zaskoczony (zamrugalem w zwolnionym tempie, maska wciąż jeszcze dopasowywała się do moich oczu) i dostrzegłem Siri dwadzieścia metrów niżej: uczepona korzenia kilowego bez wysiłku sunęła ponad zimniejszymi, głębszymi prądami, do których nie docierało światło. Pomyślałem o tysiącach metrów wody pod mną, o stworach, które mogą się tam czaić, nieznanymi i niepożądany przez ludzkich kolonistów. Pomyślałem o mroku i głębinach, i skurczyła mi się moszna.

– Chodź na dół. – Głos Siri brzęczał mi w uszach jak owad.

Obróciłem się i wierzgnąłem. Siła wyporu była tu mniejsza niż w morzach na Starej Ziemi, ale nadal potrzebowałem sporo energii, żeby zanurkować tak głęboko. Maskę dostosowywała się do głębokości i kompensowała zmiany poziomu azotu, wciąż jednak czułem rosnące ciśnienie na skórze i w uszach. Wreszcie przestałem wymachiwać nogami, chwyciłem korzeń i opuściłem się na poziom Siri.

Dryfowaliśmy obok siebie w słabym świetle. Siri była tutaj zjawą, jej długie włosy kłębiły się jak aureola koloru ciemnego wina, blade smugi jej ciała jarzyły się w niebieskozielonym świetle. Powierzchnia morza wydawała się niemożliwie odległa. Poszerzające się „V” kilwateru i ruch dziesiątek wici wskazywały teraz, że wyspa płynie szybciej, przemieszcza się instynktownie ku nowym, odległym zerowiskom.

– Gdzie są... – zacząłem subwokalizować.

– Ćśś – przerwała mi Siri.

Majstrowała przy medalionie. I wtedy je usłyszałem – piski, trele, gwizdy, kocie pomruki i niosące się echem okrzyki. Głębiny nagle wypełniły się dziwną muzyką.

– Jezu... – wyjąkałem, a ponieważ Siri przestroila nasze komwłókna na translator, słowo zostało wyemitowane jako bezsensowny gwizd i trąbienie.

– Cześć! – zawołała i z transmitera popłynęło przetłumaczone powitanie, przyspieszony ptasi trel przechodzący w ultradźwięki. – Cześć! – zawołała znowu.

Minęło kilka minut, zanim przybyły zaciekawione delfiny. Przewaliły się obok nas, zaskakująco duże, niepokojąco duże: gładkie, muskularne ciała w słabym świetle. Jeden – wyjątkowo duży – zbliżył się do nas dosłownie na metr i wykręcił w ostatniej chwili, tak że jego biały brzuch prześliznął się tuż obok mnie jak ściana. Widziałem, jak w przelocie zerka na mnie ciemnym okiem. Jedno uderzenie szerokiego ogona wywołało dostatecznie silne turbulencje, by przekonać mnie o sile zwierzęcia.

– Cześć! – zawołała Siri, ale zwinna postać rozpląnęła się w oddali i nagle zapadła cisza.

Siri wyłączyła translator.

– Chcesz z nimi porozmawiać? – zapytała.

– Pewnie.

Byłem pełen wątpliwości. Ponad trzysta lat wysiłków nie doprowadziło do nawiązania rzeczywistego dialogu między człowiekiem i morskim ssakiem. Mike powiedział mi kiedyś, że struktury myślowe między dwiema grupami sierot ze Starej Ziemi zbyt różnią, mamy za mało wspólnych desygnatów. Jeden z prehidzryjskich ekspertów pisał, że rozmowa z delfinem lub morświnem jest równie satysfakcjonująca jak rozmowa z jednorocznym ludzkim dzieckiem: udaje się stworzyć namiastkę dialogu, która obu stronom sprawia zwykle przyjemność, ale nikt nie staje się od tego mądrzejszy.

Siri znowu wyłączyła translator.

– Cześć – powiedziałem.

Nastąpiła ostatnia minuta ciszy, a potem nasze słuchawki zabrzęczały, kiedy morze rozbrzmiało echem przenikliwych lamentów.

daleko/bez ogona/powitanie?/tętnienie nurtu/okrąż mnie/zabawne?

– Co jest, u diabła? – zapytałem Siri.

Translator wyszczebotał moje pytanie. Siri uśmiechała się szeroko pod osmotyczną maską.

Spróbowałem jeszcze raz:

– Cześć! Pozdrowienia z... ehm... powierzchni. Jak się macie?

Wielki samiec (przypuszczałem, że to samiec) skrzył ku nam jak torpeda. Poruszał się w wodzie dziesięć razy szybciej, niż ja byłbym w stanie, nawet gdybym pamiętał o założeniu płetw. Przez sekundę myślałem, że nas staranuje; uniosłem kolana i mocno złapałem się korzenia kilowego... ale wtedy delfin nas

wyminął i pomknął do góry, żeby zaczerpnąć powietrza. My z Siri zataczaliśmy się tymczasem w jego kilwaterze, wstrząśnięci wysokimi tonami jego okrzyku:

bez ogona/nie jedzenie/nie pływa/nie zabawa/nie śmieszne

Siri wyłączyła translator, podpłynęła bliżej i chwyciła mnie lekko za ramiona. Ja cały czas prawą ręką trzymałem się korzenia. Nasze nogi zetknęły się, gdy tak dryfowaliśmy w ciepłej wodzie. Ławica małych szkarłatnych wojowniczek migotała tuż nad nami; ciemne kształty delfinów krążyły nieco dalej.

– Masz dość? – zapytała Siri.

Jej dłoń oparła się płasko na mojej piersi.

– Jeszcze raz – powiedziałem.

Skinęła głową i włączyła dysk. Prąd pchnął nas ku sobie. Objęła mnie ramieniem.

– Dlaczego pilnujecie wysp? – zapytałem butlonose sylwetki krążące w cętkowanym świetle. – Jakie korzyści macie z tego, że się ich trzymacie?

sondowanie/stare pieśni/głębiny/nie Wielkie Głosy/nie Rekin/ stare pieśni/nowe pieśni.

Siri opierała się teraz o mnie całym ciałem. Objęła mnie mocno lewą ręką.

– Wielkie Głosy to były wieloryby – szepnęła.

Jej włosy rozkładały się w wodzie wachlarzem wstęg. Sięgnęła prawą ręką w dół i najwyraźniej zdziwiła się tym, co tam znalazła.

– Tęsknicie za Wielkimi Głosami? – zapytałem cienie.

Nie było odpowiedzi. Siri objęła udami moje biodra. Powierzchnia była wzburzoną misą światła czterdzieści metrów nad nami.

– Za czym najbardziej tęsknicie z oceanów Starej Ziemi? – zapytałem.

Lewą ręką przyciągnąłem Siri do siebie i przesunąłem dłoń w dół po łuku jej pleców, do miejsca, gdzie pośladki uniosły się na spotkanie mojej ręki. Przycisnąłem ją mocno do siebie. Dla krążących wokół delfinów musieliśmy wydawać się jedną istotą. Siri uniosła się nieco i rzeczywiście staliśmy się jedną istotą.

Dysk translacyjny obrócił się i znajdował się teraz na ramieniu Siri. Sięgnąłem, żeby go wyłączyć, ale zatrzymałem się, usłyszawszy brzęczącą natarczywie w naszych uszach odpowiedź:

tęskni Rekin/tęskni Rekin/tęskni Rekin/tęskni Rekin/Rekin/Rekin/Rekin

Wyłączyłem dysk i pokręciłem głową. Nie rozumiałem. Tak wielu rzeczy nie rozumiałem. Zamknąłem oczy, kiedy zaczęliśmy poruszać się z Siri delikatnie w rytmie nurtu i naszym własnym, a delfiny pływały w pobliżu. Brzmienie ich okrzyków przybrało formę starego, nieśpiesznego, żalobnego lamentu.

Siedzę tu w blasku słońca i czekam. Teraz, gdy podjąłem już decyzję, zastanawiam się, czy tego właśnie od początku chciała Siri.

Za moimi plecami grób łni bielą. Słoneczne światło muska moją skórę. Słyszę cichy pomruk zebranego na zboczu niespokojnego tłumu. Kilkoro członków rady naradza się z Donelem. Niedługo przyjdzie tu, by mnie ponaglić. Uroczystości związane z transportem nie mogą czekać.

Tego właśnie chciałaś, Siri?

Rozpaczliwie pragnę z nią porozmawiać. Chcę zapytać, kto stworzył i tak zręcznie ukształtował legendę naszej miłości.

To twoje dzieło, Siri?

Czy niespełna szesnastoletnia dziewczyna mogła snuć aż tak dalekosiężne plany?

Przybój roztrzaskuje się o lawowy falochron. Słyszę dźwięk dzwoneczków małych łodzi kołyszących się na kotwicy. Siedzę w słońcu i czekam.

Gdzie byłaś, kiedy się pierwszy raz obudziłem, Siri?

Z południa dobiega krzyk jastrzębia. Innej odpowiedzi nie słysząc.

Wróciliśmy ze wzgórz na świąteczną zabawę tuż przed wschodem słońca drugiego dnia. Przez całą dobę włóczyliśmy się po wzgórzach, ucztowaliśmy z obcymi ludźmi w pawilonach z pomarańczowego jedwabiu, kąpaliśmy się razem w lodowatych wodach Shree i tańczyliśmy do muzyki, która nieustannie wybiegała na spotkanie niekończącego się sznura przepływających wysp. Byliśmy głodni. Obudziłem się o zachodzie słońca i odkryłem, że Siri zniknęła. Wróciła, zanim wzeszedł księżyc. Powiedziała mi, że jej rodzice wybrali się z przyjaciółmi na kilkudniowy rejs powolną barką mieszkalną. Zostawili rodzinny śmig w Pierwogrodzie. Teraz wędrowaliśmy od jednego tańca do drugiego, od ogniska do ogniska, z powrotem ku centrum miasta. Zamierzaliśmy polecieć na zachód, do jej rodzinnej posiadłości w pobliżu Fevarone.

Było późno, ale na błoniach w Pierwogrodzie tłum wciąż świętował. Byłem bardzo szczęśliwy. Miałem dziewiętnaście lat, byłem zakochany i ciążenie na Maui-Przymierzu (równe dziewięćdziesięciu trzem setnym ziemskiego) wydawało mi się niczym. Mógłbym latać, gdybym tylko tego zapragnął. Nie było czynu, którego bym nie dokonał.

Zatrzymaliśmy się przy straganie, kupiłem dla nas racuchy i po kubku czarnej kawy. Nagle coś do mnie dotarło.

– Skąd wiedziałaś, że jestem żeglarzem? – zapytałem.

– Spokojnie, przyjacielu. Zjedz swój nędzny posiłek. Kiedy dotrzemy do willi, przyrządę coś, co naprawdę nas posili.

– Nie, pytam poważnie – powiedziałem i otarłem tłuszcz z brody rękawem niezbyt już czystego kostiumu arlekina. – Rano powiedziałaś, że wczoraj wieczorem od razu się zorientowałaś, że jestem ze statku. Po czym poznałaś? Mój akcent? Kostium? Widzieliśmy z Mikiem innych gości w podobnych strojach.

Siri roześmiała się i odgarnęła włosy.

– Ciesz się, że to ja cię zdemaskowałam, Merinie, mój kochany. Gdyby to był mój wuj Gresham albo jego kumple, miałybyś kłopoty.

– Tak? A to dlaczego?

Wziąłem jeszcze jeden smażony krążek; Siri zapłaciła. Poszedłem za nią przez rzednący tłum. Mimo otaczającej nas wrzawy czułem, że zaczyna mnie dopadać zmęczenie.

– To separatyści. Wuj Gresham wygłosił ostatnio przed Wszechrzeczą mowę, w której upierał się, że powinniśmy raczej walczyć niż dać się połknąć tej waszej Hegemonii. Powiedział, że należy zniszczyć portal, zanim on zniszczy nas.

– Tak? A powiedział, jak zamierza tego dokonać? Z tego, co ostatnio słyszałem, nie macie żadnego pojazdu, którym moglibyście opuścić planetę.

– Owszem, i to od jakichś pięćdziesięciu lat – zgodziła się Siri. – To tylko pokazuje, jak irracjonalni potrafią być separatyści.

Pokiwałem głową. Kapitan Singh i radny Halmyn przestrzegali nas przed tak zwanymi separatystami z Maui-Przymierza.

„Typowa koalicja kolonialnych szowinistów i reakcjonistów” – powiedział wtedy Singh. „Kolejny powód, żeby działać powoli i rozwinąć najpierw potencjał handlowy planety, zanim skończymy budować portal. Przedwczesne włączenie tych prostaków do Sieci nie leży w naszym interesie. A grupy takie jak separatyści to kolejny powód, żeby trzymać załogę i ekipę budowlaną z daleka od lądowców”.

– Gdzie twój śmig? – zapytałem.

Błonia szybko pustoszały. Zbliżała się noc i większość muzyków spakowała już instrumenty. Kupki kolorowych ubrań pochrapywały na trawie lub bruku wśród śmieci i zgaszonych latarni. Przetrwało tylko kilka enklaw zabawy, grupki tańczące powoli do dźwięków samotnej gitary albo śpiewające po pijanemu. Nagle zobaczyłem Mike’a Osho, błazna w łąciatym kostiumie. Dawno zgubił maskę, u każdego ramienia wisiała mu dziewczyna, a on uczył tańczyć horę krąg oczarowanych nim, lecz ździebko nieudolnych wielbicieli: zawsze ktoś się musiał potknąć i cała grupa się przewracała. Wszyscy śmiali się do rozpuku,

a Mike uparcie pomagał im wstać i zaczynali od nowa, podskakując nieporadnie do jego *basso profundo*.

– Tam – odpowiedziała Siri i wskazała krótki szereg śmigów zaparkowanych na tyłach ratusza.

Skinąłem głową i pomachałem do Mike'a, ale on był zbyt zajęty swoimi dwiema damami, żeby mnie zauważyć. Przeszliśmy z Siri przez błonia i znaleźliśmy się w cieniu starego budynku, kiedy rozległ się krzyk:

– Ej, żeglarzu! Spójrz na mnie, ty sukinsynu z Hegemonii.

Zamarłem i obróciłem się z zaciśniętymi pięściami, ale nikogo w pobliżu mnie nie było, za to sześciu młodych ludzi zeszło z głównej trybuny i ustawiło się półkolem za plecami Mike'a. Mężczyzna pośrodku był wysoki, szczupły i uderzająco przystojny. Na oko miał dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Długie blond loki opadały mu na karmazynowy jedwabny garnitur, który podkreślał jego sylwetkę. W prawej ręce trzymał długi na metr miecz, wyglądający na zrobiony z hartowanej stali.

Mike odwrócił się powoli. Mimo dzielącej nas odległości widziałem, że jego oczy trzeźwieją, w miarę jak ocenia sytuację. Kobiety u jego boku i paru młodych mężczyzn z grupy zachichotali, jakby ktoś powiedział coś zabawnego.

Mike zachował na twarzy nietrzeźwy uśmiešek.

– Zwraca się pan do mnie? – zapytał.

– Zwracam się do ciebie, ty hegemoński skurwysynu – syknął przywódca tamtych. Jego przystojna twarz wykrzywiła się w szyderczym grymasie.

– Bertol – szepnęła Siri. – Mój kuzyn. Młodszy syn Greshama.

Skinąłem głową i wyszedłem z cienia. Siri złapała mnie za rękę.

– Już dwa razy wyraził się pan nieuprzejmie o mojej matce – wybełkotał Mike. – Czy ona lub ja czymś pana obraziliśmy? Jeżeli tak, to po tysiackroć przepraszam.

Uklonił się tak nisko, że dzwonki na jego czapce niemal musnęły ziemię. Członkowie grupy zaklaskali.

– Twoja obecność tutaj mnie obraża, bękarcie Hegemonii. Zasmradzasz nasze powietrze swoim otłuszczonym ścierwem.

Mike uniósł brwi w komicznym grymasie. Stojący obok niego młody mężczyzna w kostiumie ryby machnął ręką.

– Daj spokój, Bertol. On tylko...

– Zamknij się, Ferick. Mówię do tego spasionego gnoja.

– Gnoja? – powtórzył Mike, nadal unosząc brwi. – Przeleciałem dwieście lat świetlnych, żeby nazywano mnie spasionym gnojem? Jakoś mam wrażenie, że nie było warto.

Obrócił się z wdziękiem, wyplątując się przy okazji z objęć kobiet. Dołączyłbym do niego, ale Siri uczepliła się kurczowo mojej ręki, szepcząc błagalnie. Kiedy się uwolniłem, zobaczyłem, że Mike nadal się uśmiecha, nadal odgrywa błazna, ale lewą ręką zdążył sięgnąć do obszernej kieszeni koszuli.

– Daj mu swój miecz, Creg – warknął Bertol.

Jeden z młodszych mężczyzn rzucił Mike'owi miecz rękojeścią naprzód. Mike odprowadził broń wzrokiem, gdy zakreśliła łuk w powietrzu i z brzękiem wylądowała na bruku.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Cichy głos Mike'a zabrzmiał nagle całkiem trzeźwo. – Ty skretyniały wypierdku, czy ty naprawdę myślisz, że będę bawił się z tobą w pojedynki tylko dlatego, że kręci cię zgrywanie bohatera przed tymi wieśniakami?

– Podnieś miecz! – krzyknął Bertol. – Albo, klnę się na Boga, posiekam cię na kawałki tak jak stoisz!

Zrobił szybki krok naprzód. Wściekłość wykrzywiła mu twarz.

– Odpierdol się – odparł Mike.

W dłoni trzymał pióro laserowe. Takim piórem posługiwali się budowlańcy, gdy bazgrali oznaczenia na dźwigarach ze stopu wzmocnianego włóknem węglowym.

– Nie! – wrzasnąłem i wybiegłem z cienia.

Od tego momentu wypadki potoczyły się błyskawicznie. Bertol zrobił następny krok, a Mike jakby od niechcienia chlasnął go zielonym promieniem lasera. Bertol krzyknął i odskoczył. Czarna, dymiąca linia przecięła na skos przód jego jedwabnej koszuli. Zawahałem się. Mike ustawił najmniejszą możliwą moc pióra. Kiedy dwóch kumpli Bertola rzuciło się do przodu, ciął ich światłem po łydkach. Jeden padł na kolana, klnąc na czym świat stoi, a drugi odskoczył, trzymając się za nogę i wyjąc z bólu.

Zebrał się tłum. Rozległy się śmiechy, kiedy Mike omiótł ziemię czapką błazna w kolejnym ukłonie.

– Dziękuję wam – powiedział. – I moja matka także wam dziękuje.

Kuzyn Siri nie posiadał się ze złości. Drobinki śliny przyskały mu na usta i podbródek. Przepchnąłem się przez tłum i stanąłem między Mikiem i Bertolem.

– Ej, wystarczy – powiedziałem. – Już znikamy. Idziemy stąd.

– Do diabła, Merin, zejdź mi z drogi – zdenerwował się Mike.

– Wszystko w porządku. – Odwróciłem się, żeby go uspokoić. – Jestem z dziewczyną. Nazywa się Siri i ma...

Bertol wyminął mnie i zrobił wypad z mieczem w wyprostowanej ręce. Złapałem go lewą ręką za ramię powyżej łokcia i odepchnąłem do tyłu. Przekoziółkował ciężko na trawę.

– Psiakrew – zaklął Mike, cofając się kilka kroków.

Wyglądał na zmęczonego i trochę zde gustowanego, kiedy usiadł na kamiennym stopniu.

– To boli, do diabła – mruknął cicho.

Na jednej z czarnych łat na lewym boku stroju arlekina rysowała się krótka szkarłatna linia. Na moich oczach wąskie rozcięcie rozszerzyło się i krew spłynęła na szeroki brzuch Mike'a Osho.

– Jezu, Mike. Oderwałem kawałek materiału z koszuli i próbowałem zatamować krwotok. Nie pamiętałem niczego z zasad pierwszej pomocy, których uczono mnie na statku. Odruchowo pomacałem się po przegubie dłoni, ale nie miałem komlogu. Zostawiliśmy komlogi na *Los Angeles*.

– Nie jest tak źle, Mike – wykrztusiłem. – To tylko draśnięcie. Krew płynęła mi po dłoni i nadgarstku.

– Wystarczy – stęknął Mike. W jego głosie pobrzmiwał ból. – Do diabła. Cholerny miecz. Uwierzyłybyś? Ścięty w kwiecie wieku jakimś, za przeproszeniem, sztucem rodem z opery za dwa grosze. Ożeż w mordę, ale boli.

– Opery za trzy grosze – poprawiłem go i zmieniłem rękę. Szmątka przesiąkła krwią.

– Cholera jasna, wiesz, na czym polega twój problem? Zawsze musisz wtrącić swoje trzy grosze. Ależ boli!

Twarz Mike'a pobladła, a potem poszarzała. Opuścił brodę na pierś i odetchnął głęboko.

– Do diabła z tym wszystkim, młody. Wracajmy do domu, dobra?

Zerknąłem przez ramię. Bertol powoli się odsuwał, wraz z przyjaciółmi. Reszta tłumu kręciła się w pobliżu. Ludzie byli w szoku.

– Wezwijcie lekarza! – krzyknąłem. – Sprowadźcie pomoc!

Dwóch mężczyzn pobiegło ulicą. Nigdzie nie widziałem Siri.

– Zaraz, chwilę! Chwileczkę! – powiedział Mike nieco mocniejszym głosem, jakby zapomniał o czymś ważnym. – Jedną chwileczkę – dodał i umarł.

Umarł. Prawdziwą śmiercią. Mózgową. Jego usta rozchyliły się obrzydliwie, oczy uciekły w głąb czaszki tak, że było widać tylko białka, a minutę później krew przestała wylewać się z rany.

Przez kilka szalonych sekund przeklinałem niebo. Widziałem *L.A.* przesuujące się na tle blednących gwiazd i wiedziałem, że mógłbym jeszcze ocalić Mike'a, gdybyśmy w ciągu kilku minut wrócili na statek. Tłum się rozstał, a ja krzyczałem i gromiłem gwiazdy.

W końcu odwróciłem się do Bertola.

– Ty! – powiedziałem.

Zatrzymał się na drugim końcu błoń. Twarz miał śmiertelnie bladą. Patrzył na mnie bez słowa.

– Ty – powtórzyłem.

Podniosłem z ziemi pióro laserowe, które odturlało się kawałek, włączyłem maksymalną moc i podszedłem do miejsca, gdzie czekał Bertol z przyjaciółmi.

Później, gdy zapanował chaos, wśród krzyków i swądu przypalonego ciała jak przez mgłę zdałem sobie sprawę, że śmig Siri wylądował na zatłoczonych błoniach, wzbijając wszędzie kurz. Usłyszałem jej głos, który kazał mi wsiąść. Odlecieliśmy daleko od światła i obłądu. Chłodny wiatr odwiedzał mi z szyi mokre od potu włosy.

– Polecimy do Fevarone – powiedziała Siri. – Bertol był pijany. Separatyści to mała, choć agresywna grupa. Nie będzie odwetu. Zatrzymasz się u mnie na czas prowadzonego przez Wszechrzecz śledztwa.

– Nie. O, tam. Wyląduj w tym miejscu. – Wskazałem cypel niedaleko miasta.

Siri wylądowała, chociaż nie bez protestów. Zerknąłem na głąz, upewniłem się, że plecak nadal tam leży, i wysiadłem ze śmigła. Siri ześliznęła się z siedzenia i przyciągnęła moją głowę do swojej.

– Merin, mój kochany.

Jej usta były ciepłe i rozchylone, ale ja byłem obojętny. Moje ciało było jak znieczulone. Odsunąłem się i zbyłem ją machnięciem ręki. Odgarnęła włosy i spojrzała na mnie zielonymi oczami pełnymi łez. Potem śmigł wzniósł się w powietrze, zawrócił i poleciał na południe w świetle wczesnego poranka.

„Chwileczkę!” – chciałem zawołać. Usiadłem na skale i objąłem rękami kolana. Z mojej piersi dobył się rwany szloch. W końcu wstałem i rzuciłem pióro laserowe w morskie odmęty. Wyciągnąłem plecak i wytrząsnąłem jego zawartość na ziemię.

Aeromata przepadła.

Usiadłem znowu na kamieniu, zbyt wyczerpany, żeby śmiać się, płakać czy odejść. Tymczasem wzeszło słońce. Nadal siedziałem tam trzy godziny później, kiedy wielki czarny śmigł ochrony wylądował bezszelestnie obok mnie.

– Ojczy? Ojczy, robi się późno.

Odwracam się i widzę stojącego za mną Donela. Ma na sobie niebiesko-złotą szatę Rady Hegemonii. Jego łyssa czaszka zaczerwieniła się i pokryła kropelkami potu. Donel ma dopiero czterdzieści trzy lata, ale sprawia wrażenie znacznie starszego ode mnie.

– Ojczy, proszę – mówi.

Kiwam głową i wstaję. Otrzeputę się z trawy i ziemi. Idziemy razem ku wejściu do grobowca. Ludzie tłoczą się coraz bliżej. Żwir chrzęści im pod stopami, kiedy niecierpliwie przestępują z nogi na nogę.

– Mam wejść z tobą, ojczy? – pyta Donel.

Zatrzymuję się, żeby spojrzeć na starzejącego się nieznanomego, który jest moim dzieckiem.

Niewiele jest w nim z Siri lub ze mnie. Jego przyjazna, rumiana twarz zdradza napięcie w tym doniosłym dniu.

Wyczuwam w nim szczerą uczciwość, jaka u niektórych ludzi zastępuje inteligencję. Wbrew sobie porównuję tego łysiejącego szczeniaka do mężczyzny, jakim był Alón – milkliwy Alón o ciemnych lokach i sardonycznym uśmiechu. Tyle że Alón nie żyje od trzydziestu trzech lat, zginął w durnej bitwie, która nie miała z nim nic wspólnego.

– Nie – odpowiadam. – Wejdę sam. Dziękuję ci.

Donel kiwa głową i odsuwa się. Proporce łopocą nad głowami napierającego tłumu. Skupiam się na grobowcu.

Wejście zabezpieczono zamkiem papilarnym. Wystarczy, że go dotknę.

W ciągu ostatnich kilku minut stworzyłem fantazję, która ocali mnie zarówno przed narastającym we mnie smutkiem, jak i serią wydarzeń zewnętrznych, jakie zapoczątkowałem. Siri wcale nie umarła. W ostatnim stadium choroby wezwała pozostałych w kolonii lekarzy i nielicznych techników, by odtworzyli dla niej jedną ze starożytnych komór hibernacyjnych, wykorzystywanych na ich statku osiedleńczym dwieście lat wcześniej. Siri tylko śpi. Co więcej, trwający rok sen w jakiś sposób przywrócił jej młodość. Kiedy ją obudzę, będzie Siri, jaką pamiętam z naszych początków. Wyjdziemy razem na światło słońca, a kiedy portal zostanie otwarty, przejdziemy przez niego pierwsi.

– Ojczy?

– Tak.

Robię krok naprzód i kładę dłoń na drzwiach grobowca. Rozlega się szept elektrycznych silniczków i płyta z białego kamienia się odsuwa. Pochylam głowę i wchodzę do grobowca Siri.

– Do diabła, Merin, umocuj tę linę, zanim cię zrzuci za burtę! Pośpiesz się!

Pośpieszyłem się. Mokłą linę trudno się zwijało, jeszcze trudniej odwiązywało. Siri z niesmakiem pokręciła głowę i pochyliła się, żeby jedną ręką

zawiązać węzeł ratowniczy.

To było nasze Piąte Ponowne Spotkanie. Spóźniłem się trzy miesiące na jej urodziny, ale ponad pięć tysięcy innych osób zdążyło na uroczystości. Przewodniczący Wszechrzeczy wygłosił czterdziestominutowe przemówienie, w którym życzył jej wszystkiego najlepszego. Jakiś poeta odczytał swoje najnowsze sonety z Cyklu Miłosnego. Ambasador Hegemonii sprezentował jej zwój i nowy statek – małą jednostkę podwodną napędzaną pierwszymi ogniwoami termojądrowymi dopuszczonymi do użytku na Maui-Przymierzu.

Siri miała jeszcze osiemnaście innych statków. Dwanaście z nich tworzyło flotyllę szybkich katamaranów, handlujących między wędrownym Archipelagiem i stałymi wyspami. Miała również dwa piękne jachty wyścigowe, z których korzystano tylko dwa razy do roku, żeby wygrać Regaty Założycieli i Kryterium Przymierza. Pozostały jeszcze cztery jednostki – stare łodzie rybackie, skromne i niezgrabne, dobrze utrzymane, ale na dobrą sprawę nieróżniące się od zwyczajnych galarów.

Teraz Siri miała więc dziewiętnaście jednostek pływających, ale my płynęliśmy kutrem rybackim o nazwie *Ginnie Paul*. Przez ostatnie osiem dni łowiliśmy ryby na Szelfie Równikowym. Stanowiliśmy całą dwuosobową załogę kutra. Zarzucaliśmy i wyciągaliśmy sieci, brodziliśmy po kolana w śmierzących rybach i chrzęszczących pod stopami trylobitach, wraz z kutrem przewalaliśmy się przez kolejne fale, znowu zarzucaliśmy i wyciągaliśmy sieci, pełniliśmy warty, a potem, w czasie krótkich przerw na odpoczynek, spaliśmy jak wyczerpane dzieci. Nie miałem jeszcze dwudziestu trzech lat. Myślałem, że nawykłem do ciężkiej pracy na pokładzie *L.A.*, gdzie miałem w zwyczaju co drugą zmianę ćwiczyć godzinę w kapsule z ciężeniem równym 1,3 ziemskiego, ale teraz ręce i plecy bolały mnie non stop, a dłonie pokryły się odciskami i pęcherzami. Siri właśnie skończyła siedemdziesiąt lat.

– Merin, idź na dziób i zrefuj fok. Zrób to samo z kliwrem, a potem zejź pod pokład i zrób kanapki. Nie żałuj musztardy.

Skinąłem głową i poszedłem na dziób. Przez półtora dnia bawiliśmy się w chowanego ze sztormem, żeglowaliśmy przed nim, kiedy mogliśmy, albo odwracaliśmy się i przyjmowaliśmy od niego cięgi, gdy nie mieliśmy innego wyjścia. Początkowo było to ekscytujące, miłe wytchnienie od niekończącego się zarzucania, wyciągania i naprawiania sieci. Jednakże po kilku pierwszych godzinach zastrzyk adrenaliny osłabł i zastąpiły go nieustanne mdłości, znużenie i potworne wycieńczenie. Morze nie łagodniało. Fale dochodziły do sześciu metrów i więcej. Kuter kołysał się jak biodrzasta matrona, którą zresztą był. Wszystko było mokre. Moja skóra nasiąkała wodą pod trzema warstwami przeciwdeszczowych ubrań.

Dla Siri były to długo wyczekiwane wakacje.

– To jeszcze nic – powiedziała najciemniejszą nocną porą, kiedy fale zalewały pokład i waliły o poblizniony plastik kokpitu. – Żałuj, że nie widziałeś sztormu w porze samumu.

Chmury nadal wisały nisko i zlewały się z szarymi falami w oddali, ale morze uspokoiło się do delikatnych, zaledwie pięciostopowych fal. Rozsmarowałem musztardę na kanapkach z pieczenią wołową i nalałem parującej kawy do białych kubków o grubych ściankach. Łatwiej byłoby przenieść kawę bez rozlewania w nieważkości, niż wynieść ją na pokład przez rozkołysaną zejściówkę. Siri przyjęła niepełny kubek bez komentarza. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, ciesząc się jedzeniem i parzącą kawą. Przejąłem ster, kiedy Siri zeszła na dół po dolewkę dla nas obojga. Szary dzień niemal niezauważalnie mroczniał i przechodził w noc.

– Merinie? – zagadnęła mnie, wręczając mi kubek, i usiadła na okalającej kokpit długiej, wyściełanej ławce. – Co się stanie po otwarciu portalu?

Zaskoczyło mnie to pytanie. Prawie nigdy nie rozmawialiśmy o chwili, kiedy Maui-Przymierze dołączy do Hegemonii. Zerknąłem na Siri i wstrząsnął mną widok jej twarzy w padającej ku górze poświacie przyrządów nawigacyjnych. Stanowiła ukrytą mozaikę linii i cieni, które wkrótce miały zastąpić jasną, półprzejrystą cerę kobiety, którą znałem od lat. Piękne zielone oczy zapadły się w studnie ciemności, a kości policzkowe rysowały się w okrutnym świetle jak ostrza noża na tle kruchego pergaminu. Krótko przycięte siwe włosy sterczały jej na głowie jak mokre kolce. Szyja i nadgarstki były jak pęki ścięgien wystające z bezkształtnego swetra.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Co się stanie, kiedy otworzymy portal?

– Wiesz, co mówi Rada – tłumaczyłem głośno, jakbym mówił do niedosłyszącej. – To otworzy nową erę handlu i rozwoju techniki na Maui-Przymierzu. Nie będziecie już ograniczeni do jednej planety. Kiedy staniecie się obywatelami Hegemonii, każdy będzie miał prawo korzystać z portalu.

– Wiem – potwierdziła Siri. Mówiła znużonym głosem. – Słyszałam to wszystko, ale co się stanie? Kto pierwszy przybędzie?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, pewnie kolejni dyplomaci. Specjaliści od kontaktów międzykulturowych. Antropolodzy. Etnolodzy. Biolodzy morscy.

– A potem?

Zawahałem się. Zapadła noc. Morze było niemal spokojne. Nasze światła pozycyjne jarzyły się czerwono i zielono na tle nocy. Czułem ten sam niepokój,

który poznałem dwa dni wcześniej, kiedy ściana sztormu pojawiła się na horyzoncie.

– Potem zjawiają się misjonarze – powiedziałem. – Geologowie i nafciarze. Morscy farmerzy. Inwestorzy budowlani.

Siri popijała kawę.

– Myślałam, że twoja Hegemonia dawno temu wyrosła z gospodarki opartej na ropie.

Roześmiałem się i zablokowałem ster.

– Z tego się nie wyrasta. Przynajmniej dopóki jest jakaś ropa. Nawet jeśli jej nie spalamy, jeśli to właśnie miałaś na myśli, to nadal jest kluczowa dla produkcji tworzyw sztucznych, bazy pokarmowej, niektórych paliw. Dwieście miliardów ludzi zużywa mnóstwo plastiku.

– A Maui-Przymierze ma ropę?

– O tak. – Już mi nie było do śmiechu. – Pod samym Szelfem Równikowym znajdują się zasoby szacowane na miliardy baryłek.

– W jaki sposób je wydobędą? Za pomocą platform wiertniczych?

– Tak, to też. Będą platformy, łodzie podwodne i podwodne kolonie z genetycznie zmodyfikowanymi pracownikami sprowadzonymi z miast Wygnańców i Tau Ceti.

– A pływające wyspy? – spytała Siri. – Muszą co roku wracać na płycizny, żeby żerować na sinorostach i się rozmnażać. Co się z nimi stanie?

Znowu wzruszyłem ramionami. Wypiłem za dużo kawy, która zostawiła mi gorzki posmak w ustach.

– Nie wiem. Załodze nikt nic nie mówi, ale w czasie naszej pierwszej podróży Mike słyszał, że zamierzają pobudować się na jak największej liczbie wysp, więc część będzie chroniona.

– Pobudować? – W głosie Siri po raz pierwszy zabrzmiało zdziwienie. – Jak mogą pobudować się na wyspach? Nawet Pierwsze Rody muszą prosić o pozwolenie Morski Lud, kiedy chcą zbudować na którejś wyspie dom na drzewie.

Uśmiechnąłem się, słysząc, że Siri posłużyła się miejscową nazwą delfinów. Koloniści z Maui-Przymierza potrafili być takimi dziećmi, kiedy szło o te ich cholerne delfiny...

– Wszystko jest już ustalone – odparłem. – Sto dwadzieścia osiem tysięcy pięćset siedemdziesiąt trzy pływające wyspy nadają się do zamieszkania. Dawno zostały wydzierżawione. A na stałych wyspach powstaną ośrodki turystyczne.

– Ośrodki turystyczne... – powtórzyła Siri. – Ilu mieszkańców Hegemonii skorzysta z portalu, żeby przybyć tu... w celach turystycznych?

– Masz na myśli... ilu początkowo? W pierwszym roku kilka tysięcy, nie więcej. Dopóki jedyny portal znajduje się na wyspie dwieście czterdzieści jeden, w Centrum Handlowym, przepływ będzie ograniczony. Może pięćdziesiąt tysięcy w drugim roku, kiedy postawią transportal w Pierwogrodzie. Z początku to będzie raczej luksusowa wycieczka. Zawsze tak jest, kiedy kolonia po raz pierwszy otwiera się dla Sieci.

– A potem?

– Po pięcioletnim okresie próbnym? Pojawią się tysiące portali, rzecz jasna. Spodziewam się, że w pierwszym roku pełnego członkostwa w Sieci Maui-Przymierzu przybędzie jakieś dwadzieścia, może trzydzieści milionów nowych mieszkańców.

– Dwadzieścia, trzydzieści milionów – powtórzyła Siri.

Światło naktuzza podświetlało od dołu jej pobrużdżoną twarz. Nadal kryło się w niej piękno. Nie dostrzegłem jednak gniewu ani szoku. A spodziewałem się obu tych odczuć.

– Ale wy wtedy też będziecie obywatelami Sieci – powiedziałem. – Będziecie mogli udać się w dowolne jej miejsce, wybierać z szesnastu nowych światów... Zresztą do tego czasu pewnie będzie ich nawet więcej.

– Tak – powiedziała Siri i odstawiła pusty kubek.

Delikatna mżawka pokryła strużkami plastikowe szyby. Prymitywny ekran radaru wstawiony w ręcznie rzeźbioną ramę pokazywał, że morze jest puste, sztorm minął.

– Czy to prawda, Merinie, że ludzie z Hegemonii mają domy na wielu światach? To znaczy, jeden dom z oknami wychodzącymi na wiele światów?

– Owszem, ale nie ma takich wielu. Tylko bogaci mogą pozwolić sobie na takie multiplanetarne rezydencje.

Siri uśmiechnęła się i położyła rękę na moim kolanie. Plamy i niebieskie żyłki pokrywały grzbiet jej dłoni.

– Ty jesteś bardzo bogaty, prawda, żeglarzu?

Odwróciłem wzrok.

– Jeszcze nie.

– Och, ale już wkrótce, już wkrótce. Ile to dla ciebie potrwa? Mniej niż dwa tygodnie tutaj, a potem podróż z powrotem do twojej Hegemonii. Jeszcze pięć miesięcy twojego czasu, żeby przywieźć ostatnie części, kilka tygodni na ukończenie budowy, a potem wejdiesz do domu jako bogacz. Wejdiesz do domu oddalonego o dwieście pustych lat świetlnych. Co za dziwna myśl... Ale o czym to ja mówiłam? Ile to będzie czasu? Mniej niż jeden rok standardowy.

– Dziesięć miesięcy – powiedziałem. – Trzysta sześć dni standardowych. Trzysta czternaście tutejszych. Dziewięćset osiemnaście wacht.

- I skończy się twoje wygnanie.
- Tak.
- Będziesz miał dwadzieścia cztery lata i będziesz bardzo bogaty.
- Tak.
- Jestem zmęczona. Chcę się teraz przespać.

Zaprogramowaliśmy ster, włączyliśmy alarm przeciwkolidyjny i zeszliśmy pod pokład. Wiatr przybrał trochę na sile i stara łódź kołysała się na każdej fali, spadając z grzbietu w dolinę. Rozebraliśmy się w słabym świetle rozbujanej lampy. Pierwszy znalazłem się na łóżku i pod kocem. Pierwszy raz położyliśmy się z Siri jednocześnie. Pamiętając nasze ostatnie Ponowne Spotkanie i jej onieśmienie w willi, spodziewałem się, że zgasi światło. Zamiast tego stała minutę naga na chłodzie, z opuszczonymi chudymi rękami.

Czas upomniał się o Siri, ale jej nie zniszczył. Grawitacja odcisnęła nieuniknione piętno na jej piersiach i pośladkach. Poza tym Siri bardzo schudła. Patrzyłem na wymizierowany zarys jej żeber i mostka i przypomniałem sobie szesnastolatkę z dziecięcym tłuszczykiem, o skórze cieplej jak aksamit. W zimnym świetle kołyszącej się lampy patrzyłem na obwisłe ciało Siri i wspominałem księżycowy blask na jej pączkujących piersiach. A jednak jakimś cudem, choć to przedziwne, niewytłumaczalne, ta, która stała przede mną, była tą samą Siri.

- Przesuń się, Merinie.

Wsunęła się na koję obok mnie. Pościel była zimna w dotyku, szorstki koc mile widziany. Zgaśliem światło. Mały stateczek kołysał się w rytm oddechu morza. Słyszałem równie rytmiczne trzeszczenie takielunku. Rankiem będziemy znowu zarzucać sieci, wyciągać je i naprawiać, ale teraz nadszedł czas snu. Zacząłem przysypiać, ukołysany dźwiękiem fal uderzających o drewno.

- Merinie?

- Tak.

– Co by się stało, gdyby separatyści zaatakowali turystów z Hegemonii albo nowych mieszkańców?

- Myślałem, że separatyści zostali aresztowani i wywiezieni na wyspy.

- To prawda. Ale gdyby jednak stawili opór?

- Hegemonia przysłałaby wojsko, które skopałoby im tyłki.

– A gdyby zaatakowano sam portal... Gdyby go zniszczono, zanimby zadziałał?

- To niemożliwe.

- Wiem o tym, ale gdyby tak się stało?

– Wtedy *Los Angeles* wróciłoby dziewięć miesięcy później z żołnierzami Hegemonii, którzy i tak skopiliby tyłki separatystom... a przy okazji wszystkim

innym, którzy weszliby im w drogę na Maui-Przymierzu.

- Dziewięć miesięcy czasu pokładowego. Jedenaście lat naszego.
- Tak czy inaczej, skutek byłby ten sam. Porozmawiajmy o czymś innym.
- Dobrze – powiedziała Siri, lecz nie rozmawialiśmy dłużej.

Nasłuchiwałem trzasków i westchnień statku. Siri wtuliła się we mnie, oparła głowę na moim ramieniu i oddychała tak głęboko i regularnie, jakby zasnęła. Sam prawie spałem, gdy jej ciepła dłoń zsunęła się po mojej nodze i delikatnie mnie ujęła. Byłem zdumiony, kiedy zacząłem budzić się i sztywnieć. Siri wyszeptała odpowiedź na moje niewypowiedziane pytanie:

– Nie, Merinie, na to nigdy nie jest się za starym. A przynajmniej nie jest się za starym na to, żeby pragnąć ciepła i bliskości. Ty zdecyduj, ukochany. Ja, tak czy inaczej, będę zadowolona.

Zdecydowałem. Zasnęliśmy niedługo przed świtem.

Grobowiec jest pusty.

– Donel, chodź tutaj!

Wpada pośpiesznie, szaty głośno szeleszczą w pustce. Grobowiec jest pusty. Nie ma komory hibernacyjnej (tak naprawdę wcale jej się tam nie spodziewałem), ale nie ma też sarkofagu ani trumny. Jasna żarówka oświetla białe wnętrze.

– Co to znaczy, do diabła? Myślałem, że to grób Siri.

– To jest grób Siri.

– Gdzie ją pochowano? Pod posadzką, na miłość boską?

Donel ociera czoło. Przypominam sobie, że mówię o jego matce. Przypominam sobie, że miał prawie dwa lata, żeby pogodzić się z faktem jej śmierci.

– Nikt ci nie powiedział? – pyta.

– O czym? – Gniew i konsternacja już ustępują. – Zapędzono mnie tu prosto z lądownika i powiedziano, że mam odwiedzić grób Siri, zanim zostanie otwarty portal. O czym mi nie powiedziano?

– Zgodnie z instrukcjami matki ciało poddano kremacji. Prochy rozsypano na Wielkim Morzu Południowym z najwyższej platformy rodzinnej wyspy.

– W takim razie po co to... mauzoleum?

Uważam na to, co mówię. Donel jest wrażliwy. Znowu ociera czoło i zerka na drzwi. Tłum nas nie widzi, ale mamy spore opóźnienie. Pozostali członkowie Rady musieli już zejść ze wzgórza, żeby dołączyć do dygnitarzy na estradzie.

Moja dzisiejsza nieśpieszna żałoba wypadła w najbardziej niestosownym momencie i zamieniła się w kiepską farsę.

– Matka zostawiła instrukcje. Zostały wykonane. – Donel dotyka panelu w ścianie, ten odsuwa się i odsłania małą wnękę, a w niej metalową skrzynkę. Widnieje na niej moje imię.

– Co to jest?

Donel kręci głową.

– Rzeczy osobiste, które matka zostawiła dla ciebie. Tylko Magritte знаła szczegóły, ale tej zimy zmarła i nic nikomu nie powiedziała.

– W porządku – mówię. – Dziękuję. Zaraz wyjdę.

Donel zerka na chronometr.

– Ceremonia zacznie się za osiem minut. Za dwadzieścia uruchomią transportal.

– Wiem – Naprawdę wiem. Jakaś częśćka mnie dokładnie wie, ile czasu zostało. – Zaraz do was wyjdę.

Donel waha się i zostawia mnie samego. Dotknięciem dłoni zamykam za nim drzwi. Metalowa skrzynka jest zaskakująco ciężka. Stawiam ją na kamiennej posadzce i kucam obok. Mniejszy zamek papilarny zapewnia mi dostęp do zawartości. Wieko uchyla się z trzaskiem. Zaglądam do środka.

– Niech mnie diabli – mówię cicho.

Nie wiem, czego się spodziewałem – pamiątek, nostalgicznych drobiazgów upamiętniających nasze wspólne sto trzy dni? Może zasuszonego kwiatka z jakiejś zapomnianej ofiary, albo muszli, którą wyłowiliśmy z morza w okolicy Fevarone? Jednak nie znajduję tam pamiątek, nie w tradycyjnym tego słowa rozumieniu. W skrzynce znajduje się mały ręczny laser Steinera-Ginna, jedna z najpotężniejszych broni, jakie kiedykolwiek powstały. Akumulator jest połączony przewodem zasilającym z małym ogniwnem termojądrowym, które Siri musiała wymontować ze swojej nowej łodzi podwodnej. Do ogniwa podłączono także stary komlog, półprzewodnikowy antyk z ciekłokrystalicznym wyświetlaczem. Wskaźnik poziomu naładowania świeci na zielono.

W skrzynce są jeszcze dwie rzeczy. Jedna to medalion z translatozem, którym posłużyliśmy się dawno temu. Ostatni przedmiot sprawia, że uśmiecham się smutno.

– Ach, ty lisiczko – mruczę. Wszystko składa się w całość. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. – Ty kochana, przebiegła lisiczko.

Leży tam skrupulatnie zwinięta i podłączona do zasilania aeromata, którą Mike Osho kupił na targu w Carvnał za trzydzieści marek. Zostawiam ją w spokoju, odłączam natomiast komlog i wyjmuję go ze skrzynki. To zabytkowy egzemplarz, prawdopodobnie sprzed hidzry. Wyobrażam sobie, że był

przekazywany w rodzinie Siri od czasów przybycia statku osiedleńczego. Siadam po turecku na zimnym kamieniu i dotykam ekranu. Światło w grobowcu przygasa i nagle stoi przede mną Siri.

Nie wyrzucili mnie ze statku po śmierci Mike'a. Mogli to zrobić, ale nie zrobili. Nie zostawili mnie na łasce prowincjonalnej sprawiedliwości Maui-Przymierza. Mogli to zrobić, ale zdecydowali inaczej. Przez dwa dni byłem przetrzymywany przez ochronę i przesłuchiwany, w tym raz osobiście przez kapitana Singha. Potem pozwolili mi wrócić do moich obowiązków. Przez długie cztery miesiące skoku powrotnego zadreślałem się wspomnieniem śmierci Mike'a. Wiedziałem, że na swój niezręczny sposób pomogłem go zamordować. Odpracowywałem swoje wachty, budziłem się z koszmarów złany potem i zastanawiałem się, czy zwolnią mnie, kiedy dotrzemy do Sieci. Mogli mi powiedzieć, ale postanowili tego nie robić.

Nie zwolnili mnie. Pozwolono mi spędzić mi urlop w Sieci, ale nie mogłem opuścić statku podczas pobytu w układzie Maui-Przymierza. Dodatkowo otrzymałem pisemną reprimendę i zostałem tymczasowo zdegradowany. Tyle było warte życie Mike'a – reprimendę i degradację.

Wziąłem trzytygodniowy urlop razem z resztą załogi, ale w przeciwieństwie do pozostałych nie zamierzałem wracać. Przeszedłem przez portal na Esperance i popełniłem klasyczny błąd gwiazdowego żeglarza – spróbowałem odwiedzić rodzinę. Po dwóch dniach w zatłoczonej bańce mieszkalnej miałem ich dość, wybrałem się więc na Lususa i przez trzy dni używałem sobie z kurewkami przy Rue des Chats. Kiedy humor mi się popsuł, przenieśliem się na Fuji i straciłem większość gotówki, obstawiając tamtejsze krwawe walki.

Wreszcie (ku własnemu zdumieniu) przenieśliem się na Stację Słoneczną, skąd wahadłowcem pielgrzymkowym w dwa dni dotarłem do basenu Hellas. Nigdy wcześniej nie byłem w Układzie Słonecznym ani na Marsie i nigdy nie zamierzam tam wracać, ale dziesięć dni, które spędziłem samotnie w zakurzonych, nawiedzonych korytarzach Klasztoru sprawiły, że wróciłem na statek. I do Siri.

Czasem opuszczałem czerwony kamienny labirynt w trzewiach megalitu i odziany tylko w cienki skafander i maskę wychodziłem na jeden z nieprzeliczonych tysięcy kamiennych balkonów, by popatrzeć w górę na bladyszara gwiazdę, będącą kiedyś Starą Ziemią. Zdarzało mi się przy tym rozmyślać o odważnych i głupich idealistach, którzy wyruszyli w wielki mrok na

swoich powolnych i nieszczelnych statkach, z jednakową wiarą i troską przewożąc embriony i ideologie. Zwykle jednak nie próbowałem myśleć. Najczęściej po prostu stałem pośród fioletowej nocy i czekałem, aż Siri do mnie przyjdzie. Właśnie tam, w Skale Pana, gdzie całkowite satori wymykało się tyłu pielgrzymom bardziej ode mnie godnym jego osiągnięcia, ja osiągnąłem je dzięki wspomnieniu niespełna szesnastoletniego kobieco-dziewczęcego ciała, leżącego obok mnie w księżycowym blasku spływającym ze skrzydeł jastrzębia.

Kiedy *Los Angeles* ponownie weszło w przestrzeń kwantową, znajdowałem się na jego pokładzie. Cztery miesiące później byłem gotowy wozić budowlańców, podłączyć się do ulubionych symstymów i przespać urlop. Wtedy zjawił się u mnie Singh.

– Lecisz na dół – oznajmił.

Nie rozumiałem.

– Przez ostatnie jedenaście lat miejscowi zrobili z twojej wpadki z Osho legendę – wyjaśnił Singh. – Wokół twojego bzykanka z tą małą kolonistką osnuli całą mitologię.

– O czym pan mówi? – Byłem zirytowany i wystraszony. – Wyrzucacie mnie ze statku?

Singh odkaszlnął i machinalnie przyglądził prawą brew. Zalśniła złota bransoletka na jego nadgarstku.

– Wiedziałaś o tym, że twoja dziewczyna pochodzi z rodu kapitana misji osiedleńczej? – zapytał. – To taki miejscowy odpowiedni rodziny królewskiej.

– Siri? – zapytałem głupkowato.

– Opowiadała o waszym... Jak by to nazwać... O waszym romansie każdemu, komu tylko mogła. Ludzie pisali o nim wiersze. Na jednej z tych ich pływających wysp co roku wystawiana była sztuka na ten temat. Sprawa obrosła autentycznym kultem. Wylądowałaś w samym środku romantycznej legendy, która zawładnęła wyobraźnią większości chłopków-roztropków na tej planecie.

– Wyrzucacie mnie ze statku?

– Nie wygłupiaj się, Aspic – warknął Singh. – Trzytygodniowy urlop spędzisz na powierzchni. Hegemonii zależy na tej planecie. Ambasador twierdzi, że musimy sobie zapewnić współpracę jej mieszkańców do czasu uruchomienia portalu i sprowadzenia pierwszych oddziałów okupacyjnych. Jeśli ten niedowarzony mit nieszczęśliwych kochanków ma nam ułatwić życie podczas następnych paru kursów, to czemu nie. Eksperci są zdania, że bardziej przydasz się Hegemonii na dole niż tutaj. Przekonamy się.

– Siri? – powtórzyłem.

– Pakuj się. Lecisz na dół.

Świat czekał. Tłumy wiwatowały. Siri machała mi na powitanie. Opuściliśmy zatokę na żółtym katamaranie i pożeglowaliśmy na południe, południowy wschód, w kierunku Archipelagu i jej rodzinnej wyspy.

– Cześć, Merinie.

Siri unosi się w ciemności swojego grobowca. Holo nie jest idealne, kontury trochę się rozmywają. Ale to jest Siri – Siri, jaką widziałem ostatnim razem, bardzo krótkie siwe włosy, wysoko uniesiona głowa, twarz wyostrzona cieniami.

– Witaj Merinie, mój ukochany.

– Cześć, Siri – odpowiadam.

Drzwi grobowca są zamknięte.

– Przykro mi, że nie mogę dzielić z tobą naszego Szóstego Ponownego Spotkania. Wyczekiwałam go. – Przerzywa i spuszcza wzrok na swoje ręce. Obraz migocze delikatnie, kiedy drobinki kurzu przelatują przez jej postać. –

Dokładnie zaplanowałam, co tu powiem – ciągnie po chwili. – W jaki sposób powiem. Jakie argumenty przedstawię. Jakie instrukcje przekażę. Wiem jednak, że to zdałoby się na nic. Albo już to powiedziałam, a ty usłyszałeś, albo nie pozostało mi już nic więcej do dodania, i w tej chwili najlepiej będzie zachować milczenie.

Jej głos jeszcze wypiękniał z wiekiem. Rozbrzmiewają w nim pełnia i spokój, jaki płynie tylko z poznania bólu. Kiedy Siri porusza rękami, wybiegają poza granicę projekcji.

– Merinie, ukochany, jak dziwne były nasze dni rozłąki i dni wspólnie spędzone. Jak pięknie związał nas absurdalny mit. Moje dni były dla ciebie zaledwie uderzeniami serca. Nienawidziłam cię za to. Byłeś lustrem, które nie skłamię. Gdybyś mógł widzieć swoją twarz na początku każdego naszego Ponownego Spotkania! Mogłeś przynajmniej ukrywać wstrząs... Tyle przynajmniej mogłeś dla mnie zrobić. Ale za twoją niezręczną naiwnością stało... Co? Coś jeszcze, Merinie. Jest tam coś, co zaprzecza niedojrzałości i bezmyślnemu egotyzmowi, które przywdziewasz po mistrzowsku. Troska? Być może. A może przynajmniej szacunek dla troski, jeśli nic ponadto. W nim właśnie pokładałam wielką nadzieję przez te wszystkie długie lata, Merinie. Mimo że urodziłeś się w kopcu i wychowałeś na statku, spod twojej powierzchowności zawsze przebijała troska. Wierzę... Nie, nie wierzę: wiem, że bywały takie chwile, w których mnie lubiłeś. A skoro lubiłeś mnie, to mogłeś też polubić nasz świat. W naszych krótkich wspólnych chwilach mogłeś osiągnąć

zrozumienie. To była nasza jedyna nadzieja na ocalenie. Przyznaję, że nie planowałam tego, kiedy wykradłam ci ten głupi latający dywan. Właściwie nie wiem, co sobie myślałam i co planowałam, kiedy tamtej pierwszej nocy pozwoliłam ci się zabrać z uroczystości. Może zamierzałam cię porwać? Uwieść cię, opóźnić twój powrót na statek do czasu, gdy wuj Gresham będzie mógł wykorzystać posiadane przez ciebie informacje? A może już wtedy marzyłam o tym, żebyś do nas dołączył; żebyśmy razem pływali z Morskim Ludem i wspólnie chronili Przymierze? Bertol wszystko zepsuł... Tęsknię za tobą, Merinie. Zejdę dziś do portu i popatrzę trochę na gwiazdy, myśląc o tobie. Nie pierwszy raz. Przykro mi, że tym razem nie będę na ciebie czekać, ale czeka na ciebie nasz świat. Morze, którego dziś słucham, przywita cię tą samą pieśnią. Jej ocalenie wcale nie musi być jakimś niewyobrażalnym pomysłem, najdroższy. Nie zawładną tym światem, jeśli nie podporządkują sobie wysp, a wyspami rządzi Morski Lud. Prowadzę ten pamiętnik, odkąd skończyłam trzynaście lat. Zawiera setki wpisów. Zanim to zobaczysz, wszystkie zostaną wymazane – z wyjątkiem tych nielicznych, które pojawią się za moment. Nasza miłość nie cała była mitem i podstępem. Zaprzyjaźniliśmy się i udawało nam się czasem miło spędzać czas, czyż nie? Bywaj zdrów, Merinie. Bywaj zdrów.

Wyłączam komlog i przez minutę siedzę w milczeniu. Szmer tłumy jest ledwie słyszalny przez grube ściany grobowca. Biorę wddech i dotykam ekranu.

Pojawia się Siri. Jest dobrze po czterdziestce. Natychmiast wiem, kiedy i gdzie nagrała ten obraz. Pamiętam jej pelerynę, wisiorek z kamieniem na szyi, pasemko włosów, które wymknęło się spod spinki i właśnie opada na policzek. Pamiętam wszystko z tamtego dnia. To był ostatni dzień naszego Trzeciego Ponownego Spotkania, spędzaliśmy czas z przyjaciółmi na wzgórzach nad Trójpołudniem. Próbowaliśmy przekonać dziesięcioletniego Donela, żeby zjechał razem z nami po polu śnieżnym. Płakał. Siri odwróciła się od nas, zanim śmig wylądował. Kiedy wysiadła Magritte, wiedzieliśmy po minie Siri, że coś się stało.

Ta sama twarz patrzy na mnie teraz. Siri z roztargnieniem odgarnia nieposłuszne pasmo włosów. Oczy ma zaczerwienione, ale panuje nad głosem.

– Merinie, dzisiaj zginął nasz syn. Alón miał dwadzieścia jeden lat, a oni go zabili. Byłeś dzisiaj taki skonsternowany. Cały czas powtarzałeś „Jak mogło dojść do takiej pomyłki?”. Nie znałeś naprawdę naszego syna, ale widziałam malujące się na twojej twarzy poczucie straty, kiedy usłyszeliśmy tę wiadomość.

Merinie, to nie był wypadek. Jeśli nic innego nie przetrwa, żadne inne zapiski, jeżeli nigdy nie zrozumiesz, dlaczego pozwoliłam, żeby sentymentalny mit rządził moim życiem, wiedz jedno: śmierć Alóna nie była przypadkowa. Był z separatystami, kiedy wtargnęła policja. Nawet wtedy mógł uciec, mieliśmy wspólnie przygotowane alibi. Policja uwierzyłaby w jego historię. Ale on zdecydował się zostać. Dzisiaj, Merinie, byłeś pod wrażeniem tego, co powiedziałam temu tłumowi... tej hałastrze... przed ambasadą. Wiedz, żeglarzu, że kiedy mówiłam „Nie czas teraz na okazywanie gniewu i nienawiści”, dosłownie to właśnie miałam na myśli. Ni mniej, ni więcej. Jeszcze nie nadszedł właściwy czas. Ale nadejdzie. Z pewnością. Wtedy, w tych ostatnich dniach, Przymierze było traktowane poważnie, i to się nie zmieniło. Ci, którzy zapomnieli, będą zaskoczeni, kiedy ten dzień nastanie, ale on na pewno nastanie.

Obraz blednie i na ułamek sekundy na rysy starszej kobiety nakłada się twarz dwudziestosześcioletniej Siri.

– Merinie, jestem w ciąży. Tak się cieszę. Nie ma cię już od pięciu tygodni i tęsknię za tobą. Nie będzie cię przez dziesięć lat. Nawet więcej. Merinie, dlaczego nie pomyślałeś, żeby mnie zaprosić do wspólnej podróży? Nie mogłabym z tobą polecieć, ale ogromnie bym się ucieszyła, gdybyś mi to zaproponował. Tymczasem jestem w ciąży. Lekarze mówią, że to będzie chłopiec. Opowiem mu o tobie, ukochany. Być może pewnego dnia pożegluje na Archipelag i posłucha pieśni Morskiego Ludu, tak jak ty i ja robiliśmy to w ostatnich tygodniach. Może do tego czasu je zrozumiesz. Tęsknię za tobą. Wracaj szybko, proszę.

Holograficzny obraz migocze i zmienia się. Szesnastoletnia dziewczyna ma zaczerwienioną twarz. Długie włosy opadają kaskadą na nagie ramiona i białą koszulę nocną. Mówi pośpiesznie, ledwie uprzedzając łyzy:

– Żeglarzu Merinie Aspicy, bardzo mi przykro z powodu twojego przyjaciela, naprawdę, ale odszedłeś bez słowa pożegnania. Miałam tyle planów wobec ciebie, myślałam, jak nam pomożesz... jak razem... A ty się nawet nie pożegnałeś. Nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Mam nadzieję, że wrócisz do tych swoich śmierdzących, zatłoczonych kopców w Hegemonii; możesz tam gnić do końca życia, jeśli o mnie chodzi. Właściwie to nie chciałabym cię więcej zobaczyć, Merinie Aspicy, nawet gdyby mi za to zapłacono. Żegnaj.

Odwraca się plecami, zanim projekcja zblednie. W grobowcu jest ciemno, ale przekaz audio trwa jeszcze sekundę. Słysząc cichy śmiech, a potem głos Siri – nie potrafię ocenić jej wieku – rozlega się po raz ostatni:

– Adieu, Merinie. Adieu.

– Adieu – mówię i wyłączam komlog.

Tłum się rozstępuje, kiedy wychodzę z grobowca, mrużąc oślepię słońcem oczy. Moje fatalne wyczucie czasu unicestwiło dramatyzm tej chwili i teraz uśmiech na mojej twarzy wywołuje wściekłe szepty. Z głośników na wzgórzu płyną echa oficjalnej uroczystości.

– ...początek nowej ery współpracy – rozlega się dźwięczny głos ambasadora.

Stawiam skrzynkę na trawie i wyjmuję aeromatę. Tłum napiera, żeby zobaczyć, jak rozwijam dywanik. Wzór wyblakł, ale sploty sterujące lśnią jak świeża miedź. Siadam pośrodku maty i stawiam ciężką skrzynkę za sobą.

– ...i pojawią się następne, aż przestrzeń i czas przestaną stanowić przeszkodę.

Tłum się cofa, a ja stukam w splot i aeromata unosi się w powietrze na wysokość czterech metrów. Patrzą ponad dachem grobowca. Wyspy wracają, żeby uformować Archipelag Równikowy. Widzę je, setki wygłodniałych wysp przygnanych z południa przez delikatne wiatry.

– Dlatego z ogromną przyjemnością zamykam ten obwód i witam cię, kolonio Maui-Przymierze, w społeczności Hegemonii Człowieka.

Cieniutki promień ceremonialnego lasera komunikacyjnego bije w zenit. Rozlegają się oklaski i muzyka. Zerkam spod zmrużonych powiek w niebo w samą porę, żeby zobaczyć narodziny nowej gwiazdy. Pewna cząstka mnie wie dokładnie, kiedy to nastąpiło, co do mikrosekundy.

Przez kilka mikrosekund transportal działał. Wtedy czas i przestrzeń naprawdę nie stanowiły przeszkody. A potem potężne siły pływowe sztucznej osobliwości odpaliły ładunek termitowy, który umieściłem na jej zewnętrznej obudowie. Ten maleńki wybuch nie był widoczny, za to już sekundę później wydłużający się promień Schwarzschilda pożera skorupę, połyka trzydzieści sześć tysięcy ton delikatnego dwunastościanu i rośnie szybko, żeby pochłonąć kilka tysięcy kilometrów pobliskiej przestrzeni. I to jest widoczne – wspaniale widoczne – jako miniaturowa nowa, rozbłyskująca bielą na czystym błękitnym niebie.

Orkiestra przestaje grać. Ludzie krzyczą i uciekają, szukają schronienia. Niepotrzebnie. Dochodzi do rozbłysku promieniowania X, które tuneluje na zewnątrz, kiedy transportal imploduje, ale rozbłysk nie jest aż tak silny, żeby narobić szkód na chronionym gęstą atmosferą Maui-Przymierzu. Drugi błysk plazmy staje się widoczny, gdy *Los Angeles* oddala się od gwałtownie rozpadającej się małej czarnej dziury. Wiatr przybrał na sile, morze się burzy. Dziś wieczorem i w nocy przyływ i odpływ będą inne niż zwykle.

Chcę powiedzieć coś doniosłego, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Poza tym tłum nie jest w nastroju do słuchania. Wmawiam sobie, że słyszę wiwaty przemieszane z krzykami i wrzaskami.

Dotykam spłotów sterujących i aeromata przelatuje nad urwiskiem i portem. Jastrząb, który w środku dnia leniwie szybował na prądach termicznych, macha w panice skrzydłami, kiedy nadlatuję.

– Niech przylecą! – krzyczę do uciekającego ptaka. – Niech przylecą! Będę miał trzydzieści pięć lat i nie będę sam. Niech przylecą, jeśli się odważą!

Opuszczam pięść i śmieję się. Wiatr odwiewa mi włosy i osusza pot na piersi i rękach.

Nieco uspokojony rozglądam się i ustaliam kurs na najodleglejszą z wysp. Nie mogę się doczekać spotkania z pozostałymi. A jeszcze bardziej nie mogę się doczekać rozmowy z Morskim Ludem, któremu powiem, że nadszedł czas, by Rekin wreszcie pojawił się w morzach Maui-Przymierza.

Później, kiedy bitwy zostaną wygrane i cały świat będzie należał do nich, opowiem im o niej. Zaśpiewam im o Siri.

Wstęp do „Metastazy”

Dziwnie jest myśleć o tym, że za murami obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu, Treblince czy Sobiborze, których jedyną oficjalną funkcją była eksterminacja ludzi, żony dowódców doglądały ogródków, dzieci wysokich rangą niemieckich oficerów pobierały lekcje i uprawiały sport, muzycy grali Mozarta, Bacha i Mahlera na uroczystych kolacjach, żony martwiły się o figurę, a ich mężowie wypatrywali pierwszych oznak łysienia...

Podczas gdy oddawali się tym banalnym czynnościom, wokół nich ludzie umierali z głodu, byli bici, zagazowywani i paleni w krematoriach. Popiół, który przed chwilą był ludzkim ciałem, delikatnie osiadał na różach w ogrodzie. Drut kolczasty oddzielał boiska piłkarskie od miejsc kaźni. Muzyka Mozarta docierała do baraków, w których dawni muzycy, kompozytorzy i dyrygenci dygotali z zimna razem z innymi ludzkimi szkieletami.

W wygodnym domu dowódca zarządca oglądał swoje włosy w lustrze, a jego żona kręciła piruety, wydymała usta i zastanawiała się, ile kawałków tortu powinna zjeść na kolację.

Czy tamte lustra odbijały ludzi?

Oczywiście, że tak. Ludzie są w stanie przystosować się niemal do wszystkiego.

W czasach Czarnej Śmierci w XIII wieku, gdy umierały całe wioski, a wozy ze zwłokami przemierzały z grzechotem nocą ulice przy wtórze okrzyków: „Wynieście swoich zmarłych!”, aż w końcu zabrakło rąk do ich grzebania, ludzie bardziej niż zwykle skupiali się na makabrycznych scenach i flirtowaniu ze śmiercią – artyści w maskach z wizerunkami czaszek tańczyli w paryskich katakumbach – ale, ogólnie rzecz biorąc, codzienne życie toczyło się jak zwykle.

Czy dzisiaj robimy to samo?

Zawsze się wzdrygam, gdy słyszę, jak ktoś używa słowa „zdziesiątkować” w znaczeniu „wybić”, na przykład „Siuksowie zdziesiątkowali ludzi Custer’a”.

Znaczenie tego słowa ma swoje źródło w starożytnym Rzymie. Kiedy ktoś w okupowanej prowincji sprzeciwiał się rzymskiej władzy albo zabił rzymskiego żołnierza, urządzano loterię i zabijano co dziesiątą osobę.

Żydów w Polsce i Europie nie zdziesiątkowano, tylko niemal całkowicie wymordowano.

Ludzie w XIII wieku nie zostali zdziesiątkowani; zmarło od jednej czwartej do połowy populacji. A zaraza powracała wielokrotnie. Ludzie nie widzieli zarazków, więc w pewnym sensie one dla nich nie istniały. Widzieli tylko skutki, spiętrzone na wozach ze zwłokami, wytrzeszczone oczy i obnażone zęby oświetlane blaskiem pochodni.

Pod koniec XX wieku nowotwory wcale nas nie dziesiątkują – nasze szanse są znacznie gorsze. Los na loterii wyciąga co szósta osoba. Być może już co piąta. (Sytuacja od dawna się pogarsza).

Tymczasem doglądamy naszych ogródków, bawimy się, słuchamy muzyki i patrzymy w lustra.

Po prostu staramy się nie zobaczyć w nich zbyt wiele.

Metastaza

Kiedy Louis Steig odebrał telefon od siostry, która powiadomiła go, że ich matka przewróciła się i trafiła do szpitala w Denver, gdzie zdiagnozowano u niej raka, czym prędzej wskoczył do swojego chevroleta camaro i popędził w stronę Denver. Po drodze natrafił na połąć czarnego lodu na autostradzie Boulder Turnpike, siedmiokrotnie dachował, doznał pęknięcia czaszki oraz poważnego wstrząśnienia mózgu i zapadł w śpiączkę. Był nieprzytomny przez dziewięć dni. Kiedy się obudził, powiedziano mu, że malutki okruch kości wbił się w lewą półkulę jego mózgu. Louis spędził w szpitalu – innym niż jego matka – jeszcze osiemnaście dni, a kiedy wreszcie wyszedł do domu, dręczyły go niewyobrażalnie silne bóle głowy i zaburzenia wzroku, lekarze podejrzewali u niego uszkodzenie mózgu, a siostra przekazała mu, że nowotwór ich matki jest nieuleczalny, a choroba osiągnęła końcowe stadium.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Louis mógł odwiedzić matkę dopiero trzy dni później. Bóle głowy nie ustępowały, podobnie jak zaburzenia wzroku – zupełnie jakby patrzył na ekran źle dostrojonego telewizora – ale napady oszałamiającego bólu i niekontrolowane nudności minęły. Jego siostra Lee zasiadła za kierownicą, a narzeczona Louisa, Debbie, towarzyszyła im w trzydziestokilometrowej podróży z Boulder do szpitala w Denver.

– Przez większość czasu śpi, ale głównie za sprawą leków – powiedziała Lee.
– Podają jej silne środki uspokajające. Pewnie cię nie rozpozna, nawet jeśli będzie rozbudzona.

– Rozumiem – odrzekł Louis.

– Lekarze twierdzą, że musiała wyczuwać guza... i rozumiała, skąd bierze się ból... co najmniej przez rok. Gdyby tylko... Co prawda nawet wtedy musiałaby stracić pierś, pewnie nawet obie, ale mogliby... – Lee wzięła głęboki wddech. – Spędziłam z nią cały ranek. Po prostu nie mogę... nie mogę znów tam dzisiaj wrócić, Louis. Mam nadzieję, że rozumiesz.

– Tak – odpowiedział Louis.

– Chcesz, żebym weszła z tobą? – spytała Debbie.

– Nie.

Louis siedział obok matki i trzymał ją za rękę przez niemal godzinę. Miał wrażenie, że nie zna śpiącej kobiety leżącej na łóżku. Chociaż obraz rozmywał mu się przed oczami, wiedział, że matka wygląda na o dwadzieścia lat starszą, niż ją pamiętał; miała szarą i ziemistą cerę, dłonie pokryte żyłami i sińcami po kroplówkach, ręce pozbawione mięśni, a jej ciało pod szpitalnym fartuchem skurczyło się i zapadło. Otaczała ją nieprzyjemna woń. Louis zaczął się zbierać do wyjścia dopiero pół godziny po końcu odwiedzin, gdy poczuł, że bóle głowy powracają. Matka spała. Louis ścisnął jej szorstką dłoń, pocałował ją w czoło i wstał.

Już prawie opuścił salę, gdy nagle dostrzegł jakiś ruch w lustrze. Matka wciąż spała, ale ktoś siedział na krześle, z którego Louis przed chwilą wstał. Obrócił się na pięcie.

Krzesło było puste.

Ból głowy zapłonął za jego lewym okiem, jakby ktoś wbił tam rozgrzany drut. Louis znów obejrzał się na lustro, powoli obracając głowę, żeby nie przywoływać bólu i zawrotów głowy. Obraz w lustrze był ostrzejszy niż cokolwiek, co był w stanie zobaczyć od wielu dni.

Coś siedziało na krześle, które właśnie zwolnił.

Louis podszedł do lustra na ścianie, lekko mrużąc oczy, by dokładniej się przyjrzeć. Postać na krześle była lekko zamglona i nieostra w porównaniu z wyraźniejszym tłem, ale nie ulegało wątpliwości, że jest prawdziwa. Początkowo wziął ją za dziecko – była mała i krucha, jak wychudzony dziesięciolatek – ale kiedy nachylił się w stronę lustra i wyteżył wzrok, walcząc z otepiającym bólem głowy, to wrażenie się ulotniło.

Niewielka postać pochylona nad jego matką miała dużą ogoloną głowę osadzoną na cienkiej szyi i jeszcze chudsze ciało. Jej skóra była biała – nie jak ludzka skóra, ale jak papier albo brzuch ryby – a ręce miały postać kości ciasno obciągniętych skórą i ścięgnami. Dłonie były blade i ogromne, a palce miały co najmniej piętnaście centymetrów długości. Na oczach Louisa rozpostarły się nad pościelą. Kiedy Louis zmrużył oczy, uświadomił sobie, że głowa postaci nie jest ogolona, tylko bezwłosa – widział żyły pod przejrzystym ciałem – a czaszka była niepokojąco szeroka i krótka, tak nieproporcjonalna, że przywodziła na myśl zdjęcia embrionów i płodów. Jakby w odpowiedzi na jego rozważania głowa istoty zaczęła powoli się kołysać, jakby długa, cienka szyja nie była w stanie jej podtrzymać. Louis miał skojarzenia z węzem zbliżającym się do ofiary.

Mógł tylko wbijać wzrok w odbicie bladego ciała, ostrych kości i sinych cieni. Pomyślał o więźniach obozów koncentracyjnych stłoczonych przy siatce,

o tygodniowych zwłokach wypływających na powierzchnię wody niczym nadmuchiwane zabawki z przegniłej białej gumy. To było gorsze.

Postać nie miała uszu. Nierówne otwory otoczone poczerwieniałym ciałem pozwalały zajrzeć w głąb niekształtnej czaszki. Oczy były zapadniętymi sinymi dziurami, w których ktoś dla żartu osadził dwie poźółkłe szklane kulki. Nie było powiek. Oczy najwyraźniej były ślepe, ponieważ pokrywały je żółte katarakty, tak gęste, że Louis dostrzegał warstwy prążkowanego śluzu. A mimo to poruszały się czujnie, jak u polującego drapieżnika, podczas gdy potężna głowa zbliżała się do śpiącej matki. Louis uświadomił sobie, że ten stwór na swój sposób widzi.

Określił się, otworzył usta, żeby krzyknąć, zbliżył się o dwa kroki do łóżka i nagle opustoszałego krzesła, przystanął z zaciśniętymi pięściami i ustami rozwartymi w niemym krzyku, a następnie obejrzał się na lustro.

Istota nie miała ust ani warg, ale pod jej długim, cienkim nosem kości policzków i szczęki zbiegały się, tworząc coś w rodzaju lejka, długiego, zwężającego się ryjka z mięśni i chrząstki, który kończył się idealnie okrągłym delikatnie pulsującym otworem, w którym bladoróżowe mięśnie otaczające wewnętrzną krawędź rozciągały się i ściągały w rytmie oddechów lub bicia serca stwora.

Louis zatoczył się i przytrzymał oparcia pustego krzesła. Zamknął oczy, osłabiony przyływem bólu głowy i mdłości. Uznał, że nigdy w życiu nie zobaczy niczego bardziej ohydneho.

Otworzył oczy i zrozumiał, że się mylił.

Istota powoli, niemal z czułością, ściągnęła cienki koc i kołdrę, pod którymi leżała jego matka. Pochyliła niekształtną głowę nad piersią kobiety, a otwór obrzydliwej trąbki zatrzymał się kilka centymetrów nad wyblakłym szpitalnym fartuchem w niebieskie kwiaty. Coś pojawiło się w otoczonym mięsem otworze, coś szaro-zielonego, rozczłonkowanego i wilgotnego. Niewielkie mięsiste czułki badały powietrze. Potężna biała głowa obniżyła się, a pomiędzy zaciskających się chrząstek i mięśni powoli wysunął się kilkunastocentymetrowy ślimak bez skorupy, który zaczął się lekko wić nad matką Louisa.

Louis odrzucił głowę do tyłu i zaczął głośno krzyczeć, a następnie spróbował oderwać dłonie od oparcia pustego krzesła i odwrócić wzrok od lustra. Bezskutecznie.

Pod przypominającymi polipy czułkami ślimaka znajdował się pulsujący otwór gębowy, jaki widuje się u podmorskich pasożytów. Wilgotny ślimak powoli opadł na pierś matki, gdzie zaczął się wić i po chwili schował się przed światłem. Wewnątrz ciała kobiety. Nie zostawił żadnego śladu, nawet dziurki

w szpitalnym fartuchu. Louis zobaczył tylko delikatną fałdę na ciele, gdy ślimak zniknął pod bladą skórą jego matki.

Biała głowa przypominającej dziecko istoty odchyliła się, a żółte oczy popatrzyły prosto na Louisa w lustrze, a po chwili twarz stwora znów obniżyła się ku leżącej kobiecie. Pojawił się drugi ślimak, który spadł i zagłębił się w ciele. Potem trzeci.

Louis ponownie krzyknął, a następnie otrząsnął się z paraliżu, podbiegł do łóżka i pozornie pustego krzesła, zaczął młócić rękami, po czym kopniakiem odrzucił krzesło w kąt pokoju, po czym zdarł pościel i fartuch z matki.

Dwie pielęgniarki i pracownik obsługi, którzy usłyszeli krzyki, wpadli do sali i zobaczyli Louisa, który pochylał się nad nagim ciałem matki, drapiąc paznokciami skurczoną, pokrytą bliznami skórę w miejscach, z których chirurdzy niedawno usunęli obie piersi. Po chwili jedna z pielęgniarek i pracownik obsługi otrząsnęli się z paraliżującego szoku i pochwycili Louisa, podczas gdy druga pielęgniarka napełniła strzykawkę silnym środkiem uspokajającym. Zanim zdążyła go podać, Louis popatrzył w lustro, wskazał palcem drugą stronę łóżka, wrzasnął po raz ostatni i zemdłał.

– To całkowicie naturalne – stwierdziła Lee następnego dnia po ich drugiej wizycie w klinice. – To zrozumiała reakcja.

– Tak – odrzekł Louis. Był ubrany w piżamę i patrzył, jak siostra składa pościel na jego łóżku.

– Doktor Kirby mówi, że uszkodzenie tej części mózgu może powodować dziwne emocjonalne reakcje – odezwała się Debbie ze swojego miejsca przy oknie. – Trochę jak u... Jak on się nazywał? Rzecznika prasowego Reagana, którego postrzelono przed laty, tylko że w twoim przypadku to oczywiście tymczasowe.

– Tak – powiedział Louis, kładąc się i opierając głowę na wysokiej stercie poduszek. Na przeciwległej ścianie wisiało lustro. Nie spuszczał z niego wzroku.

– Mama była przytomna dziś rano – poinformowała Lee. – Naprawdę przytomna. Powiedziałam jej, że ją odwiedziłeś. Oczywiście nie... nie pamięta twojej wizyty. Chce się z tobą zobaczyć.

– Może jutro – odrzekł Louis.

W lustrze widział odwrócone wizerunki ich trojga. Nikogo więcej. Promienie słońca malowały żółtą opaskę na rudych włosach Debbie i ręce Lee. Poszewki poduszek za głową Louisa były bardzo białe.

– Jutro – zgodziła się Lee. – Albo pojutrze. Na razie musisz zażyć leki, które przepisał ci doktor Kirby, i trochę się przespać. Możemy odwiedzić mamę razem, kiedy poczujesz się lepiej.

– Jutro – powiedział Louis i zamknął oczy.

Spędził w łóżku sześć dni i wstawał tylko do łazienki oraz po to, by zmieniać kanały w przenośnym telewizorze. Bóle głowy stale mu towarzyszyły, ale dało się je znieść. Nie widział niczego nietypowego w lustrze. Siódmego dnia wstał około dziesiątej, wziął prysznic, włożył złotobrazowe spodnie, białą koszulę i niebieską sportową marynarkę. Był gotów powiedzieć Lee, że już może pójść do szpitala, gdy jego siostra weszła do pokoju z zaczerwienionymi oczami.

– Przed chwilą dzwonili. Mama zmarła dwadzieścia minut temu.

Dom pogrzebowy znajdował się dwie przecznice od miejsca, w którym mieszkała matka i w którym Louis wychowywał się po tym, jak przeprowadzili się z Des Moines, gdy miał dziesięć lat – nieco na wschód od Capitol Hill, gdzie ludzie mieszkali w wynajętych ceglanych ruderach, a nocami na ulicach rządziły latynoskie gangi.

Zgodnie z życzeniem matki wieczorem miało się odbyć „wystawienie”, by znajomi z Denver mogli pożegnać się ze zmarłą, zanim trumna odleci do Des Moines, gdzie zaplanowano nabożeństwo w kościele Najświętszej Marii Panny, a następnie pogrzeb na małym miejskim cmentarzu, na którym spoczywał także ojciec Louisa. Louis był zdania, że otwarta trumna to archaiczny akt barbarzyństwa. Trzymał się od niej jak najdalej, witając gości przy drzwiach, tylko od czasu do czasu zerkając na nos matki, jej złożone dłonie czy pokryte różem policzki.

Podczas dwugodzinnego wystawienia pojawiło się około sześćdziesięciu osób, przeważnie nieco po siedemdziesiątce – czyli w wieku jego matki – które mieszkały w okolicy i których nie widział od piętnastu lat, a także nowi przyjaciele, których poznała podczas gry w bingo w ośrodku opiekuńczym. Przyszło również kilkoro znajomych Louisa z Boulder, wliczając dwóch członków Klubu Górskiego z Kolorado oraz dwóch kolegów z uniwersyteckiego laboratorium fizycznego. Debbie przez cały czas trwała przy jego boku, przyglądając się jego bladej, spoconej twarzy i od czasu do czasu ściskając jego dłoń, gdy widziała, że zalewa go fala bólu głowy.

Wystawienie już prawie się skończyło, gdy nagle Louis poczuł, że nie może dłużej tego znieść.

– Masz puderniczkę? – spytał narzeczoną.

– Co takiego?

– Puderniczkę – powtórzył. – No wiesz, takie małe pudełeczko do poprawiania makijażu z lusterkiem.

Debbie pokręciła głową.

– Czy kiedykolwiek widziałeś u mnie coś takiego? – Zaczęła grzebać w torebce. – Chwileczkę. Mam małe lusterko, którego używam do sprawdzania...

– Daj mi je – przerwał jej Louis.

Uniósł mały plastikowy prostokąt, zwracając się w stronę drzwi, by mieć lepszy widok na to, co znajdowało się za jego plecami.

Pozostało kilkanaścioro żałobników, którzy cicho rozmawiali w słabym świetle i ciszy wypełnionej zapachem kwiatów. Ktoś na korytarzu roześmiał się, a potem ściszył głos do szeptu. Lee stała niedaleko trumny, ubrana w połykającą światło czarną sukienkę. Rozmawiała cicho ze starą panią Narmoth, która mieszkała naprzeciwko.

W pomieszczeniu znajdowało się także dwadzieścia albo trzydzieści małych postaci, które przemieszczały się jak blade cienie za rzędami rozkładanych krzeseł i ubranych w ciemne stroje gości. Poruszały się nieśpiesznie, ostrożnie, z trudem podtrzymując duże głowy w delikatnym tańcu. Każda z istot o dziecięcej posturze czekała na swoją kolej, by podejść do trumny, a gdy się do niej zbliżały, ich blade ciała i łyse głowy emanowały delikatnym zielonkawo-szarawym blaskiem. Na chwilę przystawały przy trumnie i pochylały głowy, jakby z czcią.

Louis z trudem chwycił powietrze, a ręce tak mu się trzęsły, że obraz w lusterku rozmazywał się i drżał. Przypomniały mu się kolejki dzieci podczas Pierwszej Komunii... oraz zwierzęta tłoczące się przy korycie.

– Louis, co się stało? – spytała Debbie.

Odrzącił jej dłoń, odwrócił się i pobiegł w stronę trumny, przepychając się obok żałobników. Czuł lodowaty ucisk w żołądku, gdy zastanawiał się, czy przenika przez białe istoty.

– Co? – spytała Lee, chwytając go za rękę z troską na twarzy.

Louis odrzącił ją i zajrzał do trumny. Podniesiona była tylko górna część wieka. Matka miała na sobie swoją najlepszą niebieską sukienkę, a makijaż przywrócił nieco koloru zniszczonej twarzy. Zgięte palce ścisnęły stary różaniec. Jedwabna beżowa wyściółka trumny wyglądała na bardzo miękką. Louis podniósł lusterko. Potem już tylko kurczowo zacisnął lewą dłoń na krawędzi trumny, jakby to był reling statku płynącego po niespokojnym morzu, a jemu groziło wypadnięcie za burtę.

W trumnie znajdowało się kilkaset ślimaków, które wily się i wypełniały ją po brzegi. Teraz były bardziej białe niż zielono-szare i znacznie większe – niektóre grubością dorównywały przedramieniu Louisa. Wiele miało ponad trzydzieści centymetrów długości. Na końcach ich czułków otwierały się i zamykały malutkie żółte oczy, a usta przypominające otwory gębowe minogów wyraźnie się zwężyły.

Na oczach Louisa jedna z bladych postaci po jego prawej stronie podeszła do trumny, położyła długie białe palce kilkanaście centymetrów od dłoni Louisa i opuściła głowę, jakby chciała się napić.

Louis patrzył, jak istota wchłania cztery długie blade ślimaki, a jej pysk rozciąga się w niemal erotyczny sposób, by przyjąć miękką materię. Żółte ślepia nie mrugały. Kolejne postacie podchodziły do trumny i dołączały do posiłku. Louis przechylił lusterko i zobaczył następne dwa ślimaki, które bez trudu wypłynęły z ciała matki, przenikając przez niebieski materiał i dołączając do kłębowiska swoich towarzyszy. Przesunął lusterko i popatrzył za siebie, gdzie sześć bladych istot cierpliwie czekało, aż Louis usunie im się z drogi. Ich ciała były rozmyte i bezpłciowe. W oczach płonął głód.

Louis nie zaczął krzyczeć. Nie uciekł. Bardzo ostrożnie schował lusterko w dłoni, puścił krawędź trumny i ostrożnie się oddalił. Od trumny. Od dobiegających z oddali okrzyków i pytań Lee i Debbie. Od domu pogrzebowego.

Jechał kilka godzin, aż znalazł się w dziwacznej części miasta pełnej mrocznych magazynów i fabryk. Zatrzymał samochód w kręgu światła rtęciowej latarni, podniósł lusterko, obrócił się wokół własnej osi, by się upewnić, że w najbliższej okolicy nie ma nikogo ani niczego, a następnie padł na kolana u podnóża latarni i zaczął się kołysać, cicho przy tym zawodząc.

– Myślę, że to rakowe wampiry – powiedział Louis psychiatrze. Pomiedzy drewnianymi listwami żaluzji widział skaliste zbocza gór Kolorado. – Składają w ludziach nowotworowe larwy, które zmieniają się wewnątrz ciała. To, co uznajemy za guzy, to tak naprawdę jaja. Potem wampiry wciągają je do swojego wnętrza.

Psychiatra pokiwał głową, nabił fajkę i zapalił kolejną zapalną.

– Czy chciałby mi pan przekazać więcej... szczegółów... na temat tych obrazów, które pan widuje? – Kilka razy pyknął fajką, rozpalając żar.

Louis zaczął kręcić głową, ale szybko przestał, kiedy przeszły ją fale bólu.

– Przemyslałem to wszystko w ostatnich tygodniach – rzekł. – Niech pan poda nazwisko chociaż jednej sławnej osoby sprzed kilkuset lat, która umarła na raka. No, proszę.

Lekarz zaciągnął się dymem. Biurko stało przed zasuniętymi żaluzjami, więc jego twarz kryła się w cieniu. Pojawiła się tylko na chwilę, gdy rozpałał fajkę.

– W tej chwili nikt nie przychodzi mi do głowy – odpowiedział. – Ale na pewno było ich mnóstwo.

– Właśnie – odparł Louis bardziej entuzjastycznym tonem, niż zamierzał. –

Dzisiaj nie dziwi nas, że ludzie umierają na raka. Przytrafia się to co szóstej osobie. A może co czwartej. W każdym razie nie znałem nikogo, kto zginął w Wietnamie, ale wszyscy znają kogoś... zazwyczaj z własnej rodziny... kto zmarł na raka. Niech pan pomyśli o tych wszystkich gwiazdach filmowych i politykach. To jest wszędzie. To zaraza dwudziestego wieku.

Lekarz pokiwał głową i postarał się nie brzmieć protekcjonalnie.

– Rozumiem pana argument. Ale to, że kiedyś nie istniały współczesne metody diagnostyczne, nie oznacza, że ludzie w poprzednich wiekach nie umierali z powodu nowotworów. Poza tym badania wykazały, że nowoczesna technologia, zanieczyszczenia, dodatki do żywności i tak dalej zwiększają ryzyko napotkania substancji rakotwórczych, które...

– Otóż to. – Louis się roześmiał. – Substancje rakotwórcze. Ja też w nie wierzyłem. Ale, na Boga, czy kiedykolwiek czytał pan oficjalną listę tych substancji udostępnioną przez Amerykańskie Towarzystwo Medyczne lub Amerykańskie Stowarzyszenie Przeciwdziałania Chorobom Nowotworowym? One są we wszystkim, co jemy, wdychamy, nosimy, czego dotykamy i co robimy dla przyjemności. Są wszędzie. Równie dobrze można po prostu przyznać się do niewiedzy. Może mi pan wierzyć, że przeczytałem te wszystkie bzdury. Oni nawet nie wiedzą, co sprawia, że guz zaczyna rosnać.

Lekarz złożył palce w piramidkę.

– Ale pan to wie, panie Steig?

Louis wyjął jedno ze swoich lusterek z kieszeni koszuli i wykonał kilka szybkich półkolistych ruchów głową. Pokój sprawiał wrażenie pustego.

– Rakowe wampiry – odrzekł. – Nie wiem, od jak dawna tutaj są. Może coś, co zrobiliśmy w tym stuleciu, pozwoliło im przybyć przez jakąś... jakąś bramę albo coś w tym rodzaju. Nie mam pojęcia.

– Z innego wymiaru? – spytał lekarz swobodnym tonem. Dym z jego fajki pachniał jak sosny w letni dzień.

– Być może. – Louis wzruszył ramionami. – W każdym razie są tutaj i cały czas żerują... oraz się mnożą...

– Dlaczego pan jako jedyny może je zobaczyć? – spytał lekarz pogodnie.

Louis czuł, że ogarnia go złość.

– Cholera, wcale nie wiem, czy jestem jedyny. Wiem tylko, że coś się wydarzyło po moim wypadku...

– Czy nie byłoby... równie możliwe, że obrażenia czaszki, jakich pan doznał, wywołały bardzo realistyczne halucynacje? – zasugerował lekarz. – Przyznał pan, że ma pewne kłopoty ze wzrokiem. – Wyjął fajkę z ust, popatrzył na nią krzywo i zaczął szukać zapalek.

Louis zacisnął dłonie na podłokietnikach, czując, jak jego gniew wznosi się i opada na falach bólu głowy.

– Zgłosiłem się do kliniki – poinformował. – Nie znaleziono żadnych śladów trwałych uszkodzeń. Mój wzrok czasami płata mi figle, ale to dlatego, że teraz widzę więcej. Więcej kolorów i tak dalej. Prawie dostrzegam fale radiowe.

– Załóżmy, że rzeczywiście posiada pan zdolność widzenia tych... rakowych wampirów – odrzekł lekarz. Tytoń załśnił, gdy po raz trzeci zaciągnął się fajką. W pomieszczeniu pachniało rozgrzanymi słońcem sosnowymi igłami. – Czy to oznacza, że jest pan także w stanie je kontrolować?

Louis przeciągnął dłonią po skroni, próbując pozbyć się bólu.

– Nie wiem.

– Przepraszam, panie Steig, ale nie dosłyszałem...

– Nie wiem! – krzyknął Louis. – Nie próbowałem dotknąć żadnego z nich. Nie mam pojęcia, czy... Boję się, że wtedy mogłyby... Widzi pan, jak dotąd te istoty... rakowe wampiry... ignorowały mnie, ale...

– Jeśli pan je widzi, to czy nie wydaje się oczywiste, że one również pana widzą? – odparł lekarz.

Louis wstał i podszedł do okna, po czym otworzył żaluzje, tak że pokój zalało popołudniowe światło.

– Myślę, że one widzą to, co chcą – odrzekł, spoglądając na podnóża wzgórz za miastem i bawiąc się ręcznym lusterkiem. – Może dla nich jesteśmy tylko niewyraźnymi kształtami. Bez trudu nas znajdują, kiedy przychodzi czas składania jaj.

Lekarz zmrużył oczy pod wpływem światła, ale wyjął fajkę z ust i się uśmiechnął.

– Mówi pan o jajkach, ale to, co pan opisuje, bardziej przypomina żerowanie. Czy ta rozbieżność oraz fakt, że pańska... wizja... po raz pierwszy pojawiła się, gdy pana matka umierała, nie sugeruje jakiegoś głębszego znaczenia? Wszyscy szukamy sposobów na zapanowanie nad tym, co wymyka się naszej kontroli i czego nie potrafimy zaakceptować. Zwłaszcza jeśli dotyka to naszych matek.

– Niech pan posłucha – westchnął Louis. – Nie potrzebuję tych freudowskich bzdur. Zgodziłem się przyjść, ponieważ Deb od tygodni zawraca mi głowę, ale...

– Louis zamilkł, podniósł lusterko i wbił w nie wzrok.

Lekarz zerknął na sufit, opróżniając fajkę. Miał lekko rozchylone usta, pomiędzy którymi widać było białe zęby, zdrowe dziąsła i język, lekko zagięty pod wpływem skupienia. Nagle spod języka wyłonił się mięsisty czułek, a po nim zielono-szare ciało ślimaka, zaledwie kilkucentymetrowe. Ślimak popęzł wyżej wzdłuż szczęki psychiatry, przenikając mięśnie i skórę mężczyzny, równie łatwo jak robak przemieszczający się w stercie kompostu. Głębiej w mroku ust lekarza poruszało się coś większego.

– Nie zaszkodzi o tym porozmawiać – rzekł psychiatra. – W końcu po to tutaj jestem.

Louis pokiwał głową, schował lusterko do kieszeni i ruszył do drzwi, nie oglądając się.

Louis odkrył, że lustra są bardzo tanie. Można je było kupić, w ramach albo bez, w sklepach z używanymi meblami i starzyzną, w antykwariatach, sklepach z artykułami szklanymi, a nawet znaleźć pośród niepotrzebnych przedmiotów, które ludzie wystawiali przed domami. W ciągu niecałego tygodnia wypełnił lustrami swoje niewielkie mieszkanie.

Najlepiej chroniona była sypialnia. Poza dwudziestoma trzema lustrami różnych rozmiarów, które wisiały na ścianach, Louis przykleił lustra także na całym suficie. Zrobił to samodzielnie, a z każdym lśniącym kwadratem, który umieszczał na miejscu, czuł się coraz bezpieczniej.

Pewnego sobotniego popołudnia w maju leżał na łóżku, patrząc na swoje odbicie i rozmyślając o niedawnej rozmowie z Lee, gdy zadzwoniła do niego Debbie. Chciała go odwiedzić. Louis zamiast tego zaproponował spotkanie w pasażu handlowym przy Pearl Street.

Autobusem jechali trzej pasażerowie oraz dwie istoty. Jedna znajdowała się na tylnym siedzeniu, kiedy Louis wszedł do pojazdu, a druga weszła przez zamknięte drzwi, gdy autobus stanął na czerwonym świetle. Kiedy po raz pierwszy zobaczył, jak jeden z rakowych wampirów przenika przez ciało stałe, poczuł lekką ulgę, zupełnie jakby coś tak niematerialnego nie mogło stanowić poważnego zagrożenia. Ale obecnie już tak nie myślał. Oni nie przenikali przez ściany lekko i bez wysiłku jak duchy. Na oczach Louisa bezwłosa głowa i sterczące ramiona z trudem przecisnęły się przez zamknięte drzwi, wiercąc się jak ktoś, kto próbuje przebić gruby arkusz celofanu. Albo jak zajadły nowo narodzony drapieżnik, który przegryza worek owodniowy.

Louis obniżył jedno z lusterek, które wisiały na drutach pod rondem jego panamy, i przez chwilę przyglądał się, jak drugi wampir dołącza do pierwszego i razem zbliżają się do staruszki siedzącej z zakupami dwa rzędy za nim. Kobieta miała wyprostowane plecy, trzymała dłonie na kolanach i patrzyła przed siebie, nie mrugając. Jeden z rakowych wampirów przysunął lejkowate usta do jej szyi w delikatnym, intymnym geście, niczym kochanek szykujący się do pocałunku. Louis po raz pierwszy zauważył, że krawędź trąbki okalają niebieskie chrząstki, które wyglądały na ostre jak brzytwa. Zobaczył, jak szaro-zielone kształty wpływają między fałdy skóry na szyi staruszki. Drugi wampir położył chwiejącą się głowę na brzuchu kobiety, jak zmęczone dziecko, które chce spocząć na kolanach matki.

Louis wstał, pociągnął za linkę i wysiadł pięć przecznic przed swoim przystankiem.

Louis był zdania, że niewiele miejsc w Ameryce stanowi tak doskonałe ucieleśnienie zdrowia i bogactwa, jak pasaż handlowy przy deptaku Pearl Street w Boulder. Pachnący sosnami wiatr wiał od strony wzgórz oddalonych o niecałe pół kilometra na zachód, podczas gdy klienci oglądali towary, turyści spacerowali, a miejscowi oddawali się relaksowi. Przeciętna osoba w zasięgu wzroku miała mniej niż trzydzieści pięć lat, była opalona i wysportowana oraz na tyle bogata, by nosić swobodne, sztucznie postarzone stroje. Młodzi mężczyźni w krótkich spodenkach i koszulkach truchtali środkiem deptaka, od czasu do czasu zerkając na zegarki i swoje ciała. Młode kobiety niemal bez wyjątku były szczupłe i nie nosiły biustonoszy. Śmiały się, odsłaniając śliczne zęby, siadały na trawiastych pagórkach i ławkach, po męsku rozchylając nogi, co podpatrzyły na łamach „Vogue”. Zdrowo wyglądający nastolatki ze sterczącymi włosami ufarbowanymi na nienaturalne kolory lizali batoniki „Dove” po dwa dolary za sztukę i rożki „Häagen-Dazs” po trzy dolary za sztukę. Wiosenne słońce na ceglanych chodnikach i rabatkach obiecywało niekończące się lato.

– Widzisz, moja wizja świata jest teraz zbyt paskudna, żebym mógł ją zaakceptować – odezwał się Louis, kiedy siedzieli razem z Debbie niedaleko budki z hot dogami Freddy’ego i patrzyli na przechodzące tłumy. – Być może wszyscy mogliby to zobaczyć, gdyby chcieli, ale mają to w dupie.

Opuścił dwa lusterka i obrócił się. Próbował używać lustrzanych okularów, ale się nie sprawdziły. Widział wampiry tylko w lustrzanym odbiciu. Do

kapelusza przypiął sześć szkiełek, kolejne trzymał w kieszeniach.

– Och, Louis – westchnęła Debbie. – Po prostu nie rozumiem...

– Mówię poważnie – odburknął. – Jesteśmy jak ludzie, którzy mieszkali w Dachau czy Oświęcimiu. Widzimy ogrodzenia, patrzymy na przyjeżdżające codziennie bydłące wagony, czujemy dym z pieców... i udajemy, że to się nie dzieje. Pozwalamy, by te istoty zabierały innych, dopóki to nie jesteśmy my. No proszę! Widzisz tamtego krępego faceta obok księgarni?

– Tak? – Debbie była bliska łez.

– Zaczekaj.

Louis wyjął większe kieszonkowe lusterko i ustawił je pod kątem. Mężczyzna miał na sobie brązowe spodnie i luźną hawajską koszulę, która nie ukrywała jego tuszy. Sącył napój z czerwonego styropianowego kubka i czytał złożony egzemplarz „Boulder Daily Camera”. Wokół niego zgromadziły się cztery rozmazane postacie o dziecięcej posturze. Jedna zacisnęła długie palce na jego gardle i wniknęła mu w rękę i brzuch.

– Zaczekaj – powtórzył Louis i odsunął się od Debbie, by cała grupka była widoczna w lustrze.

Trzy wampiry nie podniosły wzroku, gdy zbliżył się do nich na długość wyciągniętej ręki. Czwarty przysunął długie stożkowate usta do twarzy mężczyzny.

– Zaczekaj! – wrzasnął Louis i zamachnął się pięścią, ale ta przeniknęła przez blade plecy istoty. Poczul lekki galaretowaty opór, a paralizujący chłód ogarnął kości jego dłoni i ręki. Louis wbił wzrok w lusterko.

Cztery rakowe wampiry gwałtownie się obejrzały, kierując ślepe żółte oczy w jego stronę. Louis załkał i ponownie zadał cios, czując, jak jego pięść swobodnie przenika przez istotę i odbija się od piersi otłętego mężczyzny. Dwie rozmyte sylwetki powoli przesunęły się ku niemu.

– Psiakrew! – zawołał grubas i uderzył Louisa w rękę.

Lusterko wypadło z lewej dłoni Louisa i rozbiło się na chodniku.

– Jezu – szepnęła Louis i cofnął się o krok. – O Jezu.

Odwrócił się i uciekł, po drodze zerkając w jedno z lusterek na kapeluszu, ale zobaczył tylko podskakującą, wibrującą ramkę. Chwycił Debbie za nadgarstek i szarpnięciem podniósł ją na nogi.

– Uciekaj!

Puścili się biegiem.

Obudził się nieco po drugiej w nocy, zdezorientowany i odurzony. Zaczął szukać Debbie, ale przypomniał sobie, że po seksie wróciła do swojego mieszkania. Leżał w ciemności, zastanawiając się, co go obudziło.

Zarówka jego nocnej lampki się przepaliła.

Poczuł przyływ lodowatego lęku, zaklął i przewrócił się na bok, żeby zapalić lampkę stołową stojącą obok łóżka. Zamrugał pod wpływem nagłej jasności i zobaczył swoje rozmazane odbicia na suficie, ścianach i drzwiach.

W pokoju poruszały się także inne rzeczy.

Błada twarz o żółtych oczach przecisnęła się przez drzwi i lustro. Za nią podążyły palce, które chwyciły ramę drzwi i przeciągnęły resztę ciała. Louisowi ten widok skojarzył się z alpinistą pokonującym skalny nawis. Kolejna twarz pojawiła się na prawo od jego posłania, z gwałtownością kogoś, kto wyskakuje z szafy w środku nocy. Istota wyciągnęła rękę w stronę koca zwiniętego w nogach łóżka.

– Ach – sapnął Louis i sturlał się na podłogę.

Nie licząc szafy, miał w pokoju tylko jedno drzwi, zamknięte na klucz. Zerknął na sufit i zobaczył, jak pierwszy z białych kształtów uwalnia się z drewna i szkła, po czym odgradza go od drzwi. Z szeroko otwartymi oczami patrzył na swoje odbicie – leżał w piżamie na brązowej wykładzinie – i na białą istotę, która zafalowała i wyłoniła się z podłogi niecały metr od niego. To był szeroki zakrzywiony fragment ciała. W ślad za nim podążał kolejny biały owal – grzbiet i głowa stwora, który wypływał z wykładziny, jak pływak prostujący się w płytkiej wodzie. Oczodoły istoty były w zasięgu jego ręki. Smród starej padliny buchał z okrągłych ust o ostrych krawędziach.

Louis przetoczył się na bok, dźwignął się na nogi i użył ciężkiego krzesła stojącego obok łóżka, żeby wybić okno. Drabinka linowa przywiązana do podstawy łóżka była pozostałością po jego cierpiącym na paranoję byłym współlokatorze, który nie chciał mieszkać na trzecim piętrze bez schodów przeciwpożarowych.

Louis podniósł wzrok, zobaczył zbliżające się białe dłonie, wyrzucił linę z supłami przez okno i po niej zszedł, objając sobie knykcie i kolana o ceglana ścianę.

Kilkakrotnie zerkał w górę, ale w chłodnej wiosennej ciemności nie było żadnych luster, więc nie miał pojęcia, czy ktoś za nim podąża.

Skorzystali z samochodu Debbie i pojechali kanionem na zachód w głąb gór. Louis był ubrany w stare jeansy, zielony podkoszulek i zbryzgane farbą sportowe buty, które zostawił u Debbie, kiedy w styczniu pomagał jej odmalować nowe mieszkanie. Ona miała tylko jedno przenośne lustro – tafłę o rozmiarach czterdzieści pięć na sześćdziesiąt centymetrów, wprawioną w starą ramę nad kominkiem – i Louis zerwał je ze ściany i zabrał ze sobą. Zanim pozwolił Debbie wsiąść do auta, sprawdził każdy jego zakamarek.

– Dokąd jedziemy? – spytała, kiedy skręcili na południe z Nederland on the Peak w Peak Highway.

Wododział kontynentalny lśnił w słabym blasku księżyca po ich prawej stronie. Światła reflektorów wydobywały z ciemności czarne pnie sosen oraz połacie śniegu, między którymi wiała się wąska droga.

– Do chatki Lee – wyjaśnił Louis. – To na zachód przy starej drodze prowadzącej przez Przełęcz Rollinsa.

– Znam to miejsce – odrzekła Debbie. – Lee też tam będzie?

– Wciąż jest w Des Moines. – Louis gwałtownie zamrugał. – Dzwoniła dziś po południu, tuż przed tobą. Znalazła... guzek. Była u tamtejszego lekarza, ale wróci tu, żeby zrobić biopsję.

– Louis... – zaczęła Debbie.

– Skręć tutaj – polecił.

Ostatnie trzy kilometry pokonali w milczeniu.

W chatce znajdował się niewielki generator zasilający światła i lodówkę, ale Louis nie miał ochoty poświęcać czasu na tankowanie go i uruchamianie w ciemności. Poprosił Debbie, by została w samochodzie, podczas gdy sam wysiadł z lustrem w rękę, zapalił dwie duże świece, które Lee trzymała na kominku, a następnie przespacerował się przez trzy małe pokoje z lustrem odbijającym drżący płomień świecy oraz jego bladą twarz i wytrzeszczone oczy. Kiedy przywołał Debbie do środka, w kominku płonął ogień, a tapczan w salonie był rozłożony.

W tańczącym blasku kominka i świec włosy Debbie wyglądały niewiarygodnie czerwono. Dziewczyna miała zmęczone oczy.

– Do ranka zostało tylko kilka godzin – oznajmił Louis. – Kiedy się obudzimy, wybiorę się do Nederland i kupię trochę zapasów.

Debbie dotknęła jego ręki.

– Louis, powiesz mi... Co się dzieje?

– Chwileczkę – odrzekł, rozglądając się po ciemnych kątach. – Jeszcze jedno. Rozbierz się.

– Louis...

– Rozbierz się!

Louis już ściągał koszulę i spodnie. Kiedy oboje byli nadzy, Louis postawił lustro na krześle i poprosił, żeby oboje przed nim stanęli i powoli się obrócili. Potem dokładnie obejrzał Debbie. Stała nieruchomo, a blask ognia przesuwiał się po jej białych piersiach i miękkich włosach łonowych w kształcie litery V. Pieg na jej ramionach i klatce piersiowej jakby świeciły.

– Mój Boże, Deb – westchnął Louis i ukrył twarz w dłoniach. – Pewnie myślisz, że całkiem zwariowałem.

Przykucnęła obok niego i pogłaskała go po plecach.

– Nie wiem, co się dzieje, Louis – wyszeptała. – Ale wiem, że cię kocham.

– Powiem ci... – zaczął, czując, że straszliwie ciśnienie w jego piersi za chwilę zmieni się w szloch.

– Rano – odpowiedziała Debbie i delikatnie go pocałowała.

Kochali się powoli i z powagą, jakby nietypowe miejsce, godzina i słabnące poczucie zagrożenia spowolniły czas i ich zmysły. Kiedy oboje poczuli rosnące podniecenie, Louis wyszeptał „Zaczekaj chwilę”, a następnie położył się na boku i powiódł dłonią i ustami po jej piersiach, przywracając twardość sutkom, a potem zaczął całować łuk jej brzucha i rozchylił dłonią uda, przesuwając się coraz niżej.

Zamknął oczy i wyobraził sobie kociaka chłęczącego mleko. Smakował słoną słodycz morza, podczas gdy Debbie stawała się miękka i stopniowo otwierała się przed nim. Głaskał dłońmi napiętą gładkość jej ud i słuchał jej przyspieszonego oddechu, który co jakiś czas znaczyły ciche, krótkie westchnienia rozkoszy.

Nagle za nimi rozległ się jakiś syk. Światło zakołysało się i zamigotało.

Louis odwrócił się i zsunął jedną nogę z łóżka, zdając sobie sprawę z donośnego bicia swojego serca oraz słabości, jaką wymuszały na nim nagość i podniecenie. Parsknął śmiechem.

– Co się stało? – wyszeptała Debbie, leżąc bez ruchu.

– To tylko świeca, którą postawiłem na podłodze – wyjaśnił. – Tonie w stopionym wosku. Zdmuchnę ją.

Pochylił się i zgasił świecę, a kiedy wrócił do łóżka, niczym podglądacz jeszcze raz zerknął w lustro stojące na krześle.

Blask ognia tańczył na ciałach dwojga kochanków, na zaróżowionej twarzy Louisa i białych udach Debbie, które lśniły od potu i soków. Z tego kąta w blasku świec widać było miedziany trójkąt włosów łonowych i różowe owale

wilgotnych warg sromowych. Był to zmysłowy obraz, który nie miał nic wspólnego z pornografią. Louis poczuł przyływ miłości i pożądania.

Sekundę przed odwróceniem wzroku zauważył w lustrze jakiś ruch. Szarozielony błysk pomiędzy bladoróżowymi wargami. Kształt miał najwyżej kilka centymetrów. Niezrażone słabym światłem bliźniacze polipy czułek powoli wysunęły się na zewnątrz, skręcając się i wijąc, jakby smakowały powietrze.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się onkologią – rzekł doktor Phil Collins. Uśmiechnął się do Louisa ponad zagraconym biurkiem. – Sądziłem, że rzadko wychylasz nos z laboratorium fizycznego na uniwersytecie.

Louis wpatrywał się w swojego dawnego kolegę z klasy. Był zbyt zmęczony, by się przekomarzać. Nie spał od pięćdziesięciu dwóch godzin i miał wrażenie, że pod powiekami ma piasek i tłuczone szkło.

– Muszę zobaczyć, jak przebiega radioterapia – wyjaśnił.

Collins postukał zadbanym paznokciem w krawędź biurka.

– Louisie, nie możemy oprowadzać ludzi po naszych gabinetach za każdym razem, gdy kogoś zainteresuje przebieg terapii.

Louis z trudem uspokoił głos.

– Posłuchaj, Phil, moja matka kilka tygodni temu zmarła na raka. Moja siostra właśnie poddała się biopsji, która wykazała obecność nowotworu złośliwego. Moja narzeczona kilka godzin temu została przyjęta do kliniki w Boulder z rozpoznaniem raka szyjki macicy, a zapewne także samej macicy. Pozwolisz mi zobaczyć, jak przebiega ten proces, czy nie?

– Jezu – mruknął Collins. Zerknął na zegarek. – Chodź, możesz mi towarzyszyć podczas obchodu. Pan Taylor ma naświetlanie za dwadzieścia minut.

Mężczyzna miał czterdzieści siedem lat, ale wyglądał na trzydzieści lat więcej. Miał zapadnięte oczy otoczone sińcami. We fluorescencyjnym świetle jego skóra przybrała żółtawy odcień. Stracił włosy, a Louis dostrzegł małe krwiaki pod jego skórą.

Stali za ołowianą osłoną i patrzyli przez grube okienka.

– Leki są niezwykle ważną częścią całego procesu – wyjaśnił Collins. – Wspomagają i uzupełniają radioterapię.

– A promieniowanie zabija raka? – spytał Louis.

– Czasami – odrzekł Collins. – Niestety zabija także zdrowe komórki, nie tylko te, które wpadły w szal.

Louis pokiwał głową i podniósł lusterko. Kiedy uruchomiono urządzenie, z jego ust wyrwał się cichy okrzyk. Jaskrawy rozbłysk fioletowego światła wypełnił pomieszczenie, a jego centrum stanowił wierzchołek maszyny rentgenowskiej. Louis uświadomił sobie, że ten blask przypomina pułapki na owady, jakie wieczorami włącza się na podwórzu, i których drażniące światło wykracza poza widzialne częstotliwości, tylko tutaj było ono tysiącrotnie jaskrawsze.

Wtedy pojawiły się ślimaki. Wypełzały z czaszki pana Taylora, wściekle poruszając czułkami, zwabione jasnym światłem, wyskakiwały w powietrze, pokonując dwudziestocentymetrowy odstęp dzielący je od soczewki urządzenia, i sunęły po śliskim metalu. Niektóre spadały na podłogę, ale zaraz wspinały się na stół i wnikały do ciała mężczyzny, by po chwili znów wyłonić się z czaszki i wykonać kolejny skok.

Te, które dotarły do źródła promieni rentgenowskich, spadły martwe na ziemię. Pozostałe wycofały się w ciemność ciała, gdy światło zgasło.

– ...mam nadzieję, że to da ci jakieś pojęcie o tym, jak wygląda leczenie – mówił Collins. – To frustrująca dziedzina, ponieważ wciąż nie jesteśmy pewni, dlaczego to działa, ale cały czas robimy postępy.

Louis zamrugął. Pan Taylor zniknął. Fioletowy blask promieni rentgenowskich zgasł.

– Tak – odrzekł. – To bardzo mi pomoże.

Dwie noce później Louis siedział obok swojej śpiącej siostry w półmroku szpitalnej sali. Drugie łóżko było puste. Louis wślizgnął się w środku nocy i jedynym, co słyszał, był syk systemu wentylacyjnego oraz piski gumowych podeszew na korytarzu. Wyciągnął okrytą rękawiczką dłoń i dotknął nadgarstka Lee tuż pod zieloną opaską identyfikacyjną.

– Myślałem, że będzie łatwo, mała – wyszeptał. – Pamiętasz filmy, które oglądaliśmy, kiedy byliśmy mali? Coś z Jamesem Arnessem? Wystarczy wykombinować, jak to zabić, i odpowiednio się przygotować. – Louis poczuł przypływ mdłości i opuścił głowę, gwałtownie wciągając powietrze. Po chwili znów się wyprostował i podniósł rękę, by otrzeć pot z czoła, ale skrzywił się, kiedy gruba skórzana rękawiczka dotknęła jego ciała. Ponownie wziął siostrę za rękę. – Życie nie jest takie proste, mała. Nocami pracowałem w laboratorium Maca na uniwersytecie. Napromieniowywałem różne przedmioty tą

rentgenowską laserową zabawką, którą poskładał Mac, i pokazywałem studentom drugiego roku skutki jonizującego promieniowania.

Lee się poruszyła i cicho jęknęła przez sen. Gdzieś w oddali zabrzmiał dzwonek, ale został szybko wyłączony. Louis usłyszał cichą rozmowę dwóch pielęgniarek, które szły do pokoju dla pracowników na przerwę o drugiej w nocy. Położył dłoń obok nadgarstka Lee, nie dotykając go.

– Jezu, Lee – wyszeptał. – Widzę całe cholerne spektrum poniżej stu angstremów. One też. Założyłem, że promieniowanie będzie przyciągać rakowe wampiry, podobnie jak tamte ślimaki. Przyszedłem na oddział wczoraj wieczorem, żeby to sprawdzić. One rzeczywiście przychodzą, ale wcale nie giną. Gromadzą się wokół napromieniowanych obiektów jak ćmy wokół płomienia, lecz to ich nie zabija. Nawet w przypadku ślimaków potrzeba dużej dawki, żeby dopaść je wszystkie. Zacząłem od natężeń zbliżonych do tych stosowanych podczas radioterapii, ale to było za mało. Żeby mieć pewność, że je załatwię, musiałem wejść na poziom trzystu do czterystu rentgenów. To jak w Czarnobylu, mała.

Louis zamilkł i szybko przeszedł do toalety, gdzie cicho zwymiotował do sedesu. Potem umył twarz, na ile było to możliwe w grubych rękawiczkach, i wrócił do łóżka Lee. Kobieta lekko marszczyła czoło przez sen. Louis przypomniał sobie, jak w dzieciństwie zakradał się do jej pokoju, żeby dla żartu podrzucać jej do łóżka niejadowite węże i pająki albo budzić ją pistoletem na wodę.

– Pieprzyć to – mruknął i zdjął rękawiczki.

Jego dłonie lśniły jak pięciopalczaste niebiesko-białe słońca. Widział w lusterkach zwieszających się z ronda jego kapelusza, że światło wypełniło całą salę jak zimny ogień.

– To nie będzie bolało, mała – wyszeptał, odpinając dwa pierwsze guziki na bluzce od pizamy Lee.

Jej piersi były małe, niewiele większe niż wtedy, gdy podglądał ją pod prysznicem, kiedy miała piętnaście lat. Uśmiechnął się, wspominając, jakie dostał za to lanie, a potem położył prawą dłoń na jej lewej piersi.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem pojawiły się ślimaki, wysuwając mięsiste peryskopy czułek spod skóry kobiety. Ich szaro-zielone ciała zbladły pod wpływem jaskrawego lśnienia dłoni Louisa.

Wślizgnęły się do jego ciała przez wnętrze i grzbiet dłoni oraz nadgarstek. Louis westchnął, kiedy poczuł, jak się w nim wiją. Było to delikatne doznanie, ale przyprawiało go o mdłości, zupełnie jakby ktoś wsunął drut do jego żyły pod miejscowym znieczuleniem.

Naliczył sześć... osiem istot, które wypęzły z piersi Lee zwabione błękitno-białym blaskiem jego dłoni. Kiedy ostatni ślimak zniknął w jego ciele, jeszcze przez minutę Louis nie podnosił ręki, powstrzymując chęć krzyku, choć widział, jak mięśnie jego przedramienia poruszają się za sprawą istot, które płynęły przez jego ciało.

Dla pewności przesunął dłonią w poprzek piersi, krtani i brzucha Lee. Jego siostra poruszała się przez sen, bezskutecznie walcząc z działaniem środków uspokajających. Był jeszcze jeden ślimak – ledwie centymetrowej długości – który wysunął się spod napiętej skóry tuż poniżej mostka, ale rozbłysnął i zniknął, zanim dotknął jego błękitno-białego ciała, niczym suchy liść wrzucony do ogniska.

Louis wstał i zdjął grube ubranie, cały czas patrząc w szerokie lustro naprzeciwko łóżka Lee. Całe jego ciało lśniło, płynnie zmieniając kolor z białego na błękitno-biały, fioletowy, by osunąć się w częstotliwości, których nie był w stanie dostrzec. Ponownie przypominał sobie pułapki na owady widywane na werandach domów i poczucie frustracji, które wywoływały w patrzących, zmuszając ich oczy do działania na granicy percepcji. Lusterka zwisające z ronda jego kapelusza odbijały i rozpraszały światło.

Starannie złożył ubranie, położył je na krześle obok Lee, pocałował ją delikatnie w policzek i zaczął chodzić od pokoju do pokoju. Blask bijący od jego ciała poprzedzał go, wypełniając korytarze błękitno-białymi cieniami i feerią niemożliwych barw.

W pokoju pielęgniarek nikogo nie było. Pokryta kafelkami podłoga chłodziła jego bose stopy, gdy wędrował między pomieszczeniami, nakładając ręce na pacjentów. Niektórzy nawet się nie obudzili. Inni patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami, ale nie poruszali się ani nie krzyczeli. Louisa trochę to dziwiło, ale zerknął na siebie, nie korzystając z lusterek, i uzmysłowił sobie, że po raz pierwszy widzi gołym okiem blask swojego napromieniowanego ciała i kości. Był pulsującą gwiazdą w ludzkiej formie. Bez problemu słyszał brzęczenie i trzeszczenie fal radiowych, przypominające odgłosy potężnego pożaru lasu.

Ślimaki wypływały ze swoich ofiar i wnikały w Louisa. Nie wszyscy na tym piętrze chorowali na raka, ale w większości sał zaraz po wejściu dostrzegali gwałtowną reakcję zielono-szarych albo białych robaków, które starały się do niego dotrzeć. Przyjmował je wszystkie. Czuł, że jego ciało połyka te istoty, i czuł w swoim wnętrzu ich szaleńcze ruchy. Tylko raz musiał zwymiotować. Jego wnętrzności przesunęły się nieprzyjemnie, ale czuł w sobie tak wiele ruchu, że to ignorował.

W pokoju Debbie ściągnął kołdrę ze śpiącej dziewczyny, podwinął jej krótki fartuch i przyłożył policzek do miękkiej wypukłości brzucha. Ślimaki wniknęły w jego twarz i gardło; wypił je chętnie.

Wstał, zostawił swoją śpiącą ukochaną i przeszedł na długi otwarty oddział, gdzie większość pacjentów onkologicznych czekała na śmierć.

Rakowe wampiry za nim podążały. Przepływały przez ściany i podłogi. Prowadził je na główny oddział, jak lśniący szczurołap idący na czele chóru martwych dzieci.

Kiedy zatrzymał się na środku oddziału, było ich już co najmniej dwadzieścia, ale nie pozwolił im się zbliżyć, dopóki nie odwiedził wszystkich łóżek i nie przyjął do swojego wnętrza każdego ślimaka. Dzięki swojemu surrealistycznemu wzrokowi widział, jak jajka złożone w ciałach ofiar przedwcześnie pękają i wypuszczają swoje wijące się skarby. Upewnił się, że wszystkie ślimaki są w jego ciele, zanim stanął na środku oddziału, uniósł ręce i pozwolił rakowym wampirom podejść bliżej.

Czuł się dwukrotnie cięższy niż zwykle, brzemienno śmiercią. Zerknął na swoje lśniące kończyny i brzuch. Każdy fragment jego skóry poruszał się za sprawą robactwa, które karmiło się jego światłem.

Szerzej rozpostarł ręce, odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i pozwolił rakowym wampirom żerować.

Stwory były żarłoczne, zwabione rentgenowskim sygnałem emitowanym przez ciało Louisa i cichym wezwaniem swojego larwalnego potomstwa. Przepychały się zniecierpliwione. Louis skrzywił się, kiedy poczuł kilkanaście ukłuć, a koszmarnie energie, które nagle stały się namacalne, niemal podniosły go z podłogi. Tylko raz zerknął w dół, zobaczył straszliwą krągłą głowę martwego dziecka, które zatopiło twarz w jego piersi, a potem zamknął oczy, czekając, aż skończą.

Zachwiał się i przytrzymał metalowej ramy łóżka, żeby nie upaść. Wampiry w sali przestały żerować, ale Louis czuł, że jego ciało wciąż jest ciężkie od ślimaków. Obserwował.

Najbliższa istota sprawiała wrażenie rozdętej, jak biały pajak pełen jajeczek. Przez jej przejrzystą skórę Louis widział lśniące ślimaki, poruszające się rozpaczliwie niczym elektryczne rybiki.

Pomimo mdłości i bólu Louis się uśmiechnął. Jakkolwiek wyglądał cykl reprodukcyjny tych istot, z pewnością zdołał go zakłócić napromieniowanym posiłkiem, który zaproponował ślimakom.

Rakowy wampir przed nim zatoczył się, pochylił i jeszcze bardziej upodobnił do pajaka, rozczapierzając niemożliwie długie palce, by obronić się przed upadkiem.

Na boku i brzuchu stwora pojawiła się błękitno-biała rana. Przy wtórze gwałtownego wyładowania energii wypadły z niej dwa wzdęte, wijące się rozpaczliwie ślimaki. Rakowy wampir wygiął grzbiet i podniósł pysk, wydając z siebie wrzask, który Louisowi skojarzył się z przeciągłym zgrzytaniem zębów szorujących o szkolną tablicę.

Ślimaki wyrwały się z rozprutego brzucha wampira i spadły na podłogę, gdzie kłębiły się w kałuży ultrafioletowej krwi, parując i kurcząc się jak prawdziwe ślimaki, gdy posypie się je solą. Targany skurczami wampir chwycił się za dziurawy brzuch, a po kilku kolejnych spazmach umarł. Jego kościste kończyny i długie palce powoli się zacisnęły, jak nogi rozgniecionego pająka.

Rozlegały się krzyki, ludzkie i nie tylko, ale Louis nie zwracał na nie uwagi, tylko obserwował przedśmiertne skurcze dwóch tuzinów widmowych postaci. Jego wzrok trwale się zmienił i łóżka oraz leżący na nich pacjenci byli tylko cieniami w olbrzymiej przestrzeni rozświetlonej ultrafioletem i podczerwienią, ale zdominowanej przez błękitno-białą aureolę otaczającą jego ciało. Jeszcze raz zwymiotował, wyrzucając z siebie krew i dwa konające, lśniące ślimaki, ale to była tylko drobna niedogodność, ponieważ czuł, że nigdy nie zabraknie mu sił.

Popatrzył w dół, przez podłogę, przez pięć pięter. Postrzegał budynek szpitala jako kolejne poziomy przezroczystego plastiku poprzecinanego energią bijącą z sieci elektrycznej, lamp, maszyn i żywych organizmów. Wielu organizmów. Te zdrowe lśniły pomarańczowo, ale widział także bladożółte infekcje, szarawe skażenia oraz pulsujące czarne obszary rychłej śmierci.

Wstał i ominął konające wampiry oraz kałuże kwasu, które jeszcze przed chwilą były miotającymi się ślimakami. Chociaż i tak widział, co znajduje się po drugiej stronie, otworzył szerokie drzwi i wyszedł na taras. Nocne powietrze było chłodne.

Czekały zwabione niezwykłym światłem. Setki żółtych oczu zwróconych ku górze, wyzierających z niebiesko-czarnych otworów w martwych twarzach. Usta pulsowały. Przed oczami Louisa pojawiały się kolejne setki stworów.

Louis również podniósł wzrok i zobaczył więcej gwiazd niż ktokolwiek przed nim. Nocne niebo pulsowało niezliczonymi źródłami promieniowania rentgenowskiego i nieskończoną liczbą nienazwanych kolorów. Popatrzył na skupisko istot, których były już tysiące. Ich blade oblicza lśniły jak świece podczas procesji. Louis modlił się tylko o jeden cud. Modlił się, by mógł je wszystkie nakarmić.

– Dzisiaj w nocy, Śmierci, to ty umrzesz – wyszeptał, tak cicho, że sam się nie usłyszał.

Podszedł do balustrady, uniósł ręce i zszedł do oczekujących.

Wstęp do „Ofiary”

Całkiem niedawno, a piszę te słowa wczesną jesienią 1989 roku, sprzedałem prawa filmowe do swojej powieści *Trupia otucha*. Jak każdy domorosły Ben Hechts, chciałem spróbować zmierzyć się ze scenariuszem.

Producenci się zgodzili, ale zaproponowali, żebym najpierw napisał półgodzinny odcinek serialu.

Nigdy wcześniej nie pisałem scenariuszy, ale jako dziecko drugiej połowy XX wieku mam wrażenie, że przez większość czasu żyłem w filmowych światach. Jako pisarz słyszałem wiele straszliwych historii o pracy na zlecenie w tej branży: bezsensowne żądania poprawek, dziewczyny producentów z „doskonałymi pomysłami”, które psują scenariusz, pogarda środowiska wobec scenarzystów („Znacie kawał o polskiej gwiazdce, która przyjechała do Hollywood? Żeby zrobić karierę, przespłała się ze wszystkimi scenarzystami!”), niekończące się kompromisy w obliczu cięć budżetowych, żądań rynku, kaprysów producentów... i tak dalej. Lista skarg nie ma końca.

Dlatego zdziwiłem się, że mój debiut w roli scenarzysty sprawił mi mnóstwo radości. Propozycje poprawek nie tylko były nieliczne, ale zdecydowanie ulepszyły końcowy produkt. Ludzie, z którymi miałem do czynienia, okazali się zawodowcami, a zawsze lubię współpracować z kimś, kto zna się na swoim fachu – niezależnie, czy jest stolarzem, czy filmowcem. Oczywiście mój agent twierdzi, że mi się pofarciło, i chociaż tym razem trafiłem na porządne studio, następne wpędzi mnie w alkoholizm albo coś gorszego. Mój agent jest dżentelmenem i prawdziwym przyjacielem... spełnia moje zachcianki... ale wiem, że w głębi serca uważa, że powinienem dać sobie spokój, dopóki mi się wiedzie.

Być może ma rację. Może zrobię to po następnym serialu i dla odmiany napiszę scenariusz filmu. A po filmie jeszcze tylko dwudziestogodzinny miniserial. A potem...

Tymczasem uznałem, że może Was zaciekawić opowieść o tym, jak postanowiłem napisać scenariusz serialu na podstawie *Metastazy*. Czytanie scenariuszy nie jest najłatwiejszym ani najprzyjemniejszym literackim przedsięwzięciem, więc zrozumieć, jeśli pominiecie tę część książki.

Ale jeśli zdecydujecie się pozostać, być może zainteresuje was, jakie wymagania musi spełnić pisarz, gdy pracuje nad niskobudżetową serialową adaptacją.

Po pierwsze, scenariusz musi mieć od 22 do 23 stron, by zmieścić się w półgodzinnym formacie, co daje mniej więcej minutę na stronę, ponieważ resztę czasu zajmują reklamy, które odstręczają tak wielu z nas od oglądania seriali.

Po drugie, jak zapewne wiecie, „najciekawsze momenty” pojawiają się tuż przed przerwami na reklamy. (Nikogo nie obchodzi, co się stanie w kilku ostatnich minutach odcinka... nie musicie wracać po ostatniej przerwie).

Po trzecie, ograniczenia budżetowe sprawiły, że mogłem sobie pozwolić na wykorzystanie zaledwie trzech albo czterech postaci, a przynajmniej tyle z nich mogło mieć role mówione. Żadnych zdjęć w plenerze (choćby reżyser zażyczył sobie ujęć „zza przedniej szyby” na początku odcinka). Tylko dwa wewnętrzne plany, konieczne łatwe do zbudowania. Ograniczone efekty specjalne – jedna albo dwie optyczne iluzje, kilka sekund prostej animacji i facet w stroju potwora lub masce.

Po czwarte, poprosili o zmianę tytułu. *Metastaza* nie wchodziła w grę. Bali się, że widzowie zmienią kanał, ponieważ nie będą chcieli oglądać programu z takim złowrogim, chorobowym tytułem.

Po piąte, jeden z kierowników produkcji uznał, że powinienem się pozbyć idei „rakowych wampirów”, ale musiałem gdzieś wyznaczyć granicę. Zauważyłem, że właśnie z powodu tej koncepcji zainteresowali się kupnem mojej historii. Przekonująco argumentowałem. Używałem logiki. Potem wstrzymałem oddech, aż posiniałem na twarzy, zacząłem tupać w linoleum i zagroziłem, że prześlę im faksem sześć kartonów reklam, jeśli nie pozwolą mi zachować rakowych wampirów. Ustąpili.

To jeszcze nie wszystko, ale macie już ogólne pojęcie. Musiałem zmierzyć się z pytaniem, czy jestem w stanie zaadaptować *Metastazę*, zachowując esencję opowiadania, a jednocześnie wyrzucając ważne elementy fabuły, postaci i lokacje z wymienionych powyżej powodów.

Było to dosyć przyjemne wyzwanie. Kiedy piszę te słowa, studio właśnie kończy kręcić *Ofiarę*, a ja nie mam pojęcia, kiedy obejrzę gotowe dzieło. Nie wiem, jakich aktorów zatrudniono. Mogę tylko zgadywać, jakie zmiany wprowadzono w scenariuszu na etapie produkcji. (Jeśli to kogoś interesuje, program zostanie wyemitowany w ramach serii *Potwory*, ale nie mam pojęcia, gdzie i kiedy będzie można ją obejrzeć).

Ciekawi mnie, jak Wam się spodoba ta adaptacja.

Ofiara

Akt 1

ROZJAŚNIENIE

1. NA ZEWNĄTRZ. SAMOCHÓD. NOC.

Zaczynamy od montażu obrazów: deszcz na przedniej szybie, ruch rozmazanej wycieraczki; zbliżenie na LOUISA – przystojnego młodzieńca, który jest pobudzony, nieogolony, napięty, mruga pod wpływem zbliżających się świateł samochodów, jest wyraźnie czymś zmartwiony – nagły błysk światła, zbyt jasnego, by pochodziło z reflektora nadjeżdżającego auta, pisk hamulców, zgrzyt metalu... z perspektywy LOUISA widzimy, jak wszystko wiruje, błysk się rozszerza, rozlega się huk uderzenia, wszechświat wypełniają przybierający na sile hałas i poruszające się światło...

PRZEJŚCIE DO:

2. WNEȚRZE SZPITALNEJ SALI. DZIEŃ.

Poruszające się światło rozmywa się, a potem skupia i widzimy, że to latarka w dłoni DRA HUBBARDA, dobrodusznego staruszka w białym szpitalnym fartuchu włożonym na garnitur.

DR HUBBARD

Louisie? Louisie, słyszysz mnie? Louisie?

Louis próbuje podnieść głowę, ale lekarz go powstrzymuje.

DR HUBBARD

Spokojnie, Louisie. Na razie się nie poruszaj. Wiesz, gdzie jesteś?

Głowa Louisa jest grubo obandażowana. Młodzieniec stęka i próbuje unieść do niej rękę, ale nieruchomieje – widzi szpitalną opaskę, igłę kroplówki w lewej dłoni, szpitalny fartuch – i zaczyna się rozglądać ze zdziwieniem. Powoli porusza głową, wyraźnie bardzo obolałą, i patrzy na lekarza spod przymrużonych powiek.

LOUIS

Doktorze Hubbard? Tak, wiem, gdzie jestem... w szpitalu... Ale dlaczego? Co się stało?

Lekarz się uśmiecha i bawi się niezapaloną fajką.

DR HUBBARD

Martwił się o ciebie, Louisie. Doznałeś poważnego wstrząśnienia mózgu. Byłeś nieprzytomny przez prawie siedemdziesiąt dwie godziny. Pamiętasz wypadek?

LOUIS

Wypadek? Eee, nie pamiętam żadnego... Chwileczkę, pamiętam, że pan do mnie zadzwonił... i powiedział mi, że moja mama została przyjęta do szpitala Mt. Sinai... że musiał ją pan operować... Mój Boże, pamiętam... nowotwór! Ona ma raka! Tak jak tata.

Louis próbuje usiąść, ale ból jest tak dotkliwy, że niemal pozbawia go przytomności. Dr Hubbard mocno chwyta go za ramiona i delikatnie kładzie na poduszkach.

DR HUBBARD

(próbując zabrzmieć swobodnie)

Louisie, prosiłem, żebyś przyjechał do szpitala, a nie sam do niego trafił. Pamiętasz cokolwiek z wypadku?

Louis wciąż ma zamknięte oczy i walczy z bólem, próbując się skupić. W końcu kręci głową... nie pamięta.

DR HUBBARD

Kiedy powiedziałem ci o chorobie matki, popędziłeś przez miasto jak szalenię. Wygląda na to, że najechałeś na połąć czarnego lodu na drodze ekspresowej

Youngman... cztery albo pięć razy dachowałeś, według policjanta... Zawsze byłeś nieco nieostrożny, Lousie. A przynajmniej od czasu...

Dr Hubbard wyjmuje fajkę z ust, patrzy na nią ze zmarszczonym czołem, jakby dopiero odkrył, że nie jest zapalona, i kręci głową.

LOUIS

(grubym głosem)

Czy ktoś jeszcze ucierpiał?

DR HUBBARD

Nie... nikt inny. A ty miałeś dużo szczęścia, chłopcze. Ciśnienie w lewym przednim płacie mózgu było... no cóż, mogło to się skończyć źle. Przez tydzień albo dwa mogą ci dokuczać bóle głowy... możliwe, że będziesz widział podwójnie...

Louis otwiera oczy i po intensywności jego spojrzenia wyraźnie widać, że nie przejmuje się własnym samopoczuciem.

LOUIS

Doktorze Hubbard, a co z mamą? Powiedział pan przez telefon, że musiała natychmiast przejść operację. Czy ona się odbyła? Wycięliście nowotwór? Czy może... jest tak jak z tatą, kiedy byłem dzieckiem? Jest już za późno?

Dr Hubbard ponownie wyjmuje fajkę z ust i obraca w dłoniach, uważnie się jej przyglądając.

DR HUBBARD

Paskudny nałóg, Louisie. Rzuciłem rok temu, ale wciąż noszę przy sobie fajkę... nie mogę się od niej odzwyczaić...

Louis siada pomimo bólu, chwyta lekarza za biały fartuch i przyciąga bliżej.

LOUIS

Niech mi pan powie, do cholery, jak poważna jest sytuacja?! Czy mama z tego wyjdzie?

DR HUBBARD

Louisie, znam twoją rodzinę od lat... Byłem lekarzem twojego ojca, kiedy ty byłeś jeszcze dzieckiem, a on walczył...

Dr Hubbard patrzy na Louisa i odzywa się rzeczowym tonem.

DR HUBBARD

Kiedy rozmawiałem z tobą przed operacją twojej matki... przed twoim wypadkiem... miałem nadzieję, że interwencja chirurgiczna pozwoli usunąć nowotwór. Ale przerzuty nastąpiły szybciej, niż się spodziewaliśmy i teraz... nie powinniśmy wybiegać myślą za daleko w przyszłość. Wciąż pojawiają się nowe metody...

Louis jest oszołomiony, nie może wydobyć z siebie głosu. Dr Hubbard chwytając go za ramiona.

DR HUBBARD

Rozpoczynamy radioterapię, Louisie. Mamy nowe lekarstwa, środki, które złagodzą ból... w ciągu nadchodzących tygodni. Możemy mieć nadzieję na remisję. Cały czas udoskonala się procedury...

LOUIS

Gdzie ona jest, doktorze? Jest niedaleko?

DR HUBBARD

W tym korytarzu, Louisie. W sali 2119. Możesz ją odwiedzić za kilka dni... kiedy upewnimy się, że lepiej się czujesz. obrażenia głowy, których doznałeś, mogą mieć wiele nieprzyjemnych skutków ubocznych.

Louis próbuje spuścić nogi z łóżka i wstać.

LOUIS

Mamo!

Dr Hubbard go powstrzymuje i zmusza do położenia się na poduszkach.

DR HUBBARD

(woła przez ramię)

Siostro!

Pielęgniarka przynosi mu strzykawkę. Lekarz sprawdza jej zawartość i wstrzykuje ją do kroplówki Louisa.

DR HUBBARD

Będziesz mógł ją zobaczyć jutro rano. A teraz musisz odpocząć. To pomoże ci zasnąć.

Ponownie patrzymy oczami Louisa, widzimy rozmazującą się sylwetkę lekarza i światła na suficie, które stają się coraz jaśniejsze...

DR HUBBARD

(jakby z oddali)

Dzisiaj już niczego nie zrobisz, Louisie. Po prostu odpocznij. Odpocznij. Odpocznij...

PRZEJŚCIE DO:

3. NOC. SALA SZPITALNA.

Louis budzi się i widzi szpitalną salę przemienioną przez noc. Wokół sąsiedniego łóżka rozwieszono zasłonę. Deszcz stuka w szyby, a pojedyncze światło na panelu monitora nad jego łóżkiem rzuca cienie na przeciwległą ścianę. Louis siada, stęka, wyjmuje z dłoni igłę kroplówki i spuszcza nogi na podłogę. Wciąż jest oszołomiony i nie w pełni przytomny.

LOUIS

Przepraszam, że mnie przy tobie nie było, mamó... Nie pozwolili mi zobaczyć się z tatą... Byłem za mały...

Louis wstaje, zatacza się i chwiejnym krokiem dociera do ściany, a następnie, opierając się o nią, przesuwa się do drzwi.

LOUIS

Już idę, mamó.

PRZEJŚCIE DO:

4. WNEŹTRZE INNEJ SALI SZPITALNEJ. NOC.

Drzwi sali powoli się otwierają i widzimy Louisa w szpitalnym fartuchu. Trzyma się futryny, wyraźnie wyczerpany i obolały. Wchodzi do pomieszczenia, kołysze się i opiera o ścianę, by nie upaść. W sali stoi pojedyncze łóżko. Jest pogrążone w ciemności i prawie całkowicie otoczone zasłoną, ale Louis widzi głowę i ramiona matki. Kobieta śpi, najwyraźniej po podaniu leków uspokajających, a Louisa szokuje jej wygląd.

LOUIS

Mamo! Mamo, to ja!

Louis podchodzi i odsuwa zasłonę.

LOUIS

O mój Boże...

Niewielka postać pochyla się nad jego matką. Ma rozmiary dziecka, ale nie jest dzieckiem. Jej ciało jest chude i białe... jak brzuch ryby... a ręce mają postać kości ciasno obciągniętych skórą i ścięgnami. Dłonie są blade i ogromne, a palce co najmniej trzykrotnie dłuższe od ludzkich. Głowa jest olbrzymia, niekształtna i krótka, przywodzi na myśl zdjęcia płodów. Oczy są sinymi dziurami, z których ślepo wyzierają dwie pożółkłe kulki, pokryte śluzem i żółtymi kataraktami... Jednakże chociaż istota musi być ślepa, jej oczy poruszają się czujnie. Stwór nie ma ust, kości jego policzków i szczęki zbiegają się pod białym ciałem, tworząc coś w rodzaju lejka, długiego, zwężającego się ryjka z mięśni i chrząstki, kończącego się idealnie okrągłym pulsującym otworem, w którym bladoróżowe mięśnie otaczające wewnętrzną krawędź rozciągają się i ściągają w rytmie oddechów. To RAKOWY WAMPIR.

LOUIS

Dobry Boże...

Louis zbliża się chwiejnym krokiem do istoty i przytrzymuje kurczowo oparcia krzesła. Na jego twarzy obrzydzenie ustępuje miejsca przerażeniu, gdy widzi, jak wampir powoli, niemal z czułością, ściąga cienki koc i kołdrę, pod którymi leży matka. Rakowy wampir pochyla głowę, a otwór obrzydliwej trąbki zatrzymuje się kilka centymetrów nad piersią kobiety. Coś pojawia się

w otoczonym mięsem otworze... coś szaro-zielonego, rozczłonkowanego i wilgotnego. Spomiędzy zaciskających się chrząstek i mięśni powoli wysuwa się kilkunastocentymetrowy GUZOWY ŚLIMAK bez skorupy. Zaczyna się lekko wić nad śpiącą matką Louisa.

WYCIEMNIENIE
KONIEC AKTU 1

AKT 2

ROZJAŚNIENIE

5. WNĘTRZE SALI SZPITALNEJ. NOC.

Wilgotny ślimak miękko spada na obnażoną skórę matki Louisa. Wije się, wygina, ślizga po skórze, a następnie szybko chowa się przed światłem. Wewnątrz ciała. Wewnątrz jego matki.

LOUIS
Przestań!... O nie... nie...

Louis zatacza się do tacki z naczyniami i ciska szklanką w wampira. Istota podnosi głowę, jakby wyczuwała obecność Louisa, wstaje, prostuje niemożliwie długie palce i znika za łóżkiem. Pozostaje przy tym wyprostowana, jakby zjechała pod podłogę windą.

LOUIS
(szlocha)
Nie... nie... nie... nie...

Louis rzuca się w stronę łóżka matki, upada na jego krawędź, chwytając palcami pościel i osuwa się na podłogę, wciąż szlochając, aż w końcu mdleje.

PRZEJŚCIE DO:

6. NOC. SALA SZPITALNA.

Louis budzi się w swoim pokoju. Rozgląda się zdezorientowany. Wciąż jest ciemno, strugi deszczu spływają po szybie i rzucają cień na ścianę, ale mężczyzna leży na swoim łóżku z podpiętą kroplówką. Jęczy i dotyka swojej głowy.

LOUIS

Boże, czy ta... rzecz tylko mi się przyśniła?

Louis nagle zdaje sobie sprawę z wilgotnego odgłosu siorbania. To ono go obudziło i od tamtej pory stale rozbrzmiewa w tle. Nagle siorbanie przybiera na sile. Louis uzmysławia sobie, że odgłos dobiega zza zasłony otaczającej sąsiednie łóżko, które było puste podczas wizyty lekarza.

LOUIS

(szepcze)

Halo?

Siorbanie nie ustaje.

LOUIS

(głośniej)

Halo? Jest tam kto?

Hałas staje się jeszcze donośniejszy. Louis wychyla się z łóżka, na ile pozwala mu rurka od kroplówki, chwytając wolną ręką zasłonę i ją odsuwa.

LOUIS

Aha...

Staruszek, JACK WINTERS, podnosi wzrok znad szklaneczki z whisky, którą SIORBIE przez szpitalną słomkę. Na jego stoliku leży prawie pusta butelka po tanim alkoholu. W blasku nocnej lampki i błyskawic staruszek wygląda niesamowicie – jest blady i wyraźnie wyniszczony chorobą, bezwłosy, nie licząc siwej szczeciny na pomarszczonych policzkach. Nie ma zębów, ale uśmiecha się do Louisa, nie przestając siorbać.

LOUIS

Kurczę... przepraszam... Nie wiedziałem, że jest tutaj ktoś jeszcze.

JACK

Zgadza się, młody człowieku. Nazywam się Jack Winters. Od początku jestem twoim współlokatorem, ale spałeś przez trzy dni po tym, jak cię przywieźli, a kiedy się obudziłeś wczoraj, pewnie byłem na radioterapii.

Louis opada na poduszki i łapie się za głowę.

LOUIS

Boże, miałem koszmarne sen.

Jack posyła mu kolejny uśmiech i dolewa sobie whiskey.

JACK

Właśnie tak powiedziała siostra Haversmith... to nocna pielęgniarka, wredna jak pies łańcuchowy... właśnie tak powiedziała, kiedy przyprowadzili cię dwie godziny temu, po tym, jak zacząłeś lunatykować. Podobno wrzeszczałeś i miotałeś się w pokoju swojej mamy. Miałem kiedyś kuzyna, który był lunatykiem... musieli przywiązywać go do łóżka sznurkiem do wieszania bielizny.

Pomimo monologu staruszka Louis jest bliski zaśnięcia, ale nagle uświadamia sobie, co ten powiedział, i gwałtownie wraca do rzeczywistości. Siada na łóżku i chwyta Jacka za rękę.

LOUIS

Co takiego? Co pan powiedział o mojej wizycie w pokoju matki?

Jack osłania butelkę whiskey, jakby Louis próbował ją ukraść.

JACK

Powiedziałem tylko to, co mówiła siostra Haversmith, kiedy cię przyprowadzili, chłopcze. Podobno poszedłeś do pokoju swojej mamy i zemdlałeś albo coś w tym rodzaju...

Louis puszcza rękę Jacka i opada na poduszki.

LOUIS
(do siebie)
To nie był sen. Widziałem to...

Jack wraca do siorbania whiskey i odsuwa się jak najdalej od Louisa. Trunek dodaje mu otuchy.

JACK
Do diaska, chłopcze, jesteś szczęściarzem, jeśli uderzyłeś się w głowę i jesteś przez to lekko zwariowany. Większość z nas na tym piętrze bierze się za bary z Wielkim R...

LOUIS
Wielkim R? Mówi pan o raku?

JACK
A żebyś wiedział, że mówię o raku. Popatrz na mnie, chłopcze, jestem tu od trzech miesięcy i już wycięli mi wszystko, czego miałem po dwie sztuki... tak dużo, że więcej nie mogą. Dlatego teraz mnie napromieniowują i faszują lekami, od których chce mi się rzygać.
(uśmiecha się bezzębnie)
Dlatego zażywam własne lekarstwo. Moja córka Esther Mae przemyca je do szpitala...
(Jack waha się, a potem unosi butelkę)
Masz ochotę na wieczorne pobudzenie?

LOUIS
(kręci głową i krzywi się z bólu)
Nie... dziękuję. Panie... eee... Winters...

JACK
Mów mi Jack.

LOUIS
Jack. Więc mówisz, że to oddział onkologiczny?

Jack chichocze, ale jego śmiech szybko zmienia się w chrapliwy kaszel. Odkłada słomkę i dopija whisky jednym łykiem. Kaszel ustaje.

JACK

W założeniu w szpitalu nie powinno być oddziału onkologicznego... ale tak to wygląda. Zwykli pacjenci stresują się, kiedy muszą leżeć obok nieuleczalnie chorych... tak nas nazywa siostra Haversmith, kiedy myśli, że nie słyszemy... dlatego doktor Hubbard i inni onkologowie upychają nas tutaj.

(mamrocze pod nosem)

No i dzięki temu nocnym stworom łatwiej nas znaleźć...

Jack grzebie pod poduszką i znajduje kolejną butelkę. Napełnia szklanke i wkłada nową słomkę.

LOUIS

Słucham? Co powiedziałaś o nocnych stworach?

Jack zamiera w połowie łyka. Zerka podejrzliwie na Louisa.

JACK

Niczego nie powiedziałem.

LOUIS

Owszem. O nocnych stworach.

JACK

Widziałem je w delirium, chłopcze. To nic takiego.

LOUIS

Nieprawda. Widziałeś coś, czego nie powinno być. Co nie powinno istnieć...

Wydaje się, że Jack chce się odezwać, opowiedzieć o czymś, co widział późną nocą na oddziale onkologicznym, ale zamiast tego tylko wpatruje się w Louisa, macha ręką, jakby odpędzał złe duchy, nachyla się i zaciąga zasłonę. W pokoju robi się ciemniej. Zza zasłony znów dobiega SIORBANIE.

PRZEJŚCIE DO:

7. WEWNĄTRZ. DZIEŃ. SALA SZPITALNA.

Światło słońca wypełnia salę. Świeże kwiaty sterczą z wazonu stojącego na stoliku na kółkach pod ścianą. Jack Winters poszedł na kolejne ze swoich badań i jego łóżko jest starannie zaścielone. Dr Hubbard siedzi na krześle przy łóżku Louisa, bawi się fajką i uważnie słucha, podczas gdy Louis krąży po pokoju. Został odłączony od kroplówki i ma na sobie piżamę i szlafrok zamiast szpitalnego fartucha, ale wciąż ma obandażowaną głowę i rozgorączkowane spojrzenie. Żywo gestykułuje i mówi szybko, niemal maniakalnie.

LOUIS

Powiedzmy, że widziałem coś zeszłej nocy. Czy dla potrzeb rozmowy możemy uznać, że to nie była halucynacja? Czy możemy chociaż na chwilę przyjąć takie założenie?

DR HUBBARD

Dobrze, przyjmijmy takie założenie, Lousie. Co widziałeś?

Louis na chwilę przestaje krążyć i obejmuje się rękami, jakby wspomnienie tego, co widział, zmroziło go do szpiku kości.

LOUIS

No cóż, to nie był człowiek, ale...

DR HUBBARD

Tak, tak... mówiłeś mi kilka razy, jak wyglądała ta istota. Ale czym ona jest?

Zakładając, że ją widziałeś, czym była? Duchem?

(pozwala sobie na pocieszający uśmiech)

Może to była istota pozaziemska... obcy lekarz zainteresowany naszymi placówkami medycznymi?

Louis ignoruje sarkastyczny ton. Zagubiony w myślach podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz... Niczego tam nie widzi... wystawia twarz na ciepłe światło. Po chwili znów się odzywa.

LOUIS

Nie jestem pewien, co to jest... Coś, co przynosi te ślimaki, o których panu mówiłem. Może pochodzi z innego wymiaru. Może te istoty stale są obok nas... współistnieją z nami... ale my ich nie widzimy...

(ze smutkiem dotyka bandaży)

...chyba że przytrafi nam się bardzo konkretny uraz mózgu związany z uciskiem na przednią część lewego płata...

Dr Hubbard wciąż się uśmiecha, ale jest tak wstrząśnięty absurdalnością wyjaśnienia Louisa, że próbuje zaciągnąć się dymem z fajki... zapominając, że jest pusta.

DR HUBBARD

W porządku, Louisie... zakładając, że to, co widziałeś... nie było człowiekiem. Zakładając, że tylko ty mogłeś to zobaczyć ze względu na swój uraz. Czy ta istota atakowała twoją matkę?

LOUIS

Tak... nie... W jakiś sposób ją wykorzystywała...

DR HUBBARD

Ale powiedziałaś, że pozostawiła te... te ślimaki. Umieściła coś w ciele twojej matki. Po co miałyby...

LOUIS

(znów krąży po pokoju, pobudzony, i przerywa doktorowi wysokim głosem)

Nie wiem! Może to ma coś wspólnego z nowotworem mamy. Może one składają w ludziach te ślimaki, które potem rozwijają się lub zmieniają w naszych ciałach. Może to, co nazywamy guzami, to tak naprawdę jaja tych... tych istot... a my jesteśmy dla nich tylko inkubatorami. A może... może one zasiewają te ślimaki, pozwalają im się namnażać w naszych ciałach... Czy nie tak działają nowotwory, doktorze?... A potem wracają i zbierają ślimaki, które stanowią ich pożywienie. Jak wampiry...

(Louis przerywa ogarnięty nagłym olśnieniem)

Mój Boże, one właśnie tym są... rakowymi wampirami!

Dr Hubbard kiwa głową, udając, że słucha, byle tylko uspokoić Louisa, który nagle milknie i gestykułuje obiema rękami, jakby rozpoczął mowę końcową przed ławą przysięgłych.

LOUIS

(podniecony)

Doktorze Hubbard, to ma sens! Niech pan wymieni chociaż jedną sławną osobę, która zmarła na raka sto lat temu. Słucham...

DR HUBBARD

Nie rozumiem...

LOUIS

Ta plaga nowotworów przypomina inwazję. Inwazję rakowych wampirów. Rozpoczęła się niedawno. Niech pan wymieni kogoś, kto zmarł na raka sto lat temu.

DR HUBBARD

W tej chwili nikt nie przychodzi mi do głowy, Louisie. Ale na pewno było wiele takich osób...

LOUIS

No właśnie! Dzisiaj nie dziwi nas, że ludzie umierają na raka. Przytrafia się to co szóstej osobie. A może co czwartej. Te istoty muszą być wszędzie, wykorzystują nas... Umieszczają w nas swoje ślimaki. W końcu każdy zna kogoś, kto zmarł na raka. Popatrzmy na moją rodzinę... najpierw mój tata, teraz mama. Te stwory na pewno są wszędzie dookoła... żerują na nas... a my po prostu ich nie widzimy!

DR HUBBARD

W porządku... w porządku. Ale nie potrzebujemy twoich... rakowych wampirów, żeby wyjaśnić tę tak zwaną plagę nowotworów. We współczesnym świecie częściej mamy kontakt z substancjami rakotwórczymi...

LOUIS

(śmieje się niemal histerycznie)

O tak... substancje rakotwórcze! Kiedyś też w nie wierzyłem. Ale kiedy przeczytamy oficjalną listę, okazuje się, że są we wszystkim, co jemy, nosimy, czym oddychamy... Bez żartów! Chcecie, żebyśmy wierzyli w „substancje rakotwórcze”... a nawet nie wiecie, skąd się biorą guzy.

DR HUBBARD

(rozniewany, ale próbuje to ukryć)

A ty to wiesz?

LOUIS

Tak. Od rakowych wampirów!

Triumfujący, ale zmęczony Louis siada na krawędzi swojego łóżka. Dr Hubbard wyjmując fajkę z ust, nachyla się i chwytając młodzieńca za ramiona.

DR HUBBARD

W porządku, Louisie, wysłuchałem twoich fantazji i pozwoliłem ci snuć swoje przypuszczenia. Czy teraz ty wysłuchasz mojej teorii?

Louis kiwa głową, całkowicie wypompowany z energii.

DR HUBBARD

Moim zdaniem bardzo się martwisz o swoją matkę i smuci cię, że choruje na raka. Poza tym masz krwiaka podtwardówkowego, który wywołuje lekkie halucynacje. Troska o matkę określa ich formę.

(milknie na chwilę, postanawia mówić bez ogródek)

Louisie, bądźmy szczerzy... śmierć twojego ojca na raka zmieniła cię... Pamiętam, że byłeś wesołym chłopcem... otwartym i szczodrym... ale w ostatnich latach wycofałeś się, byłeś kapryśny, balansowałeś między lekkomyślnymi i paranoicznymi zachowaniami.

(przybity)

Wiem, że chciałbyś zobaczyć... coś... coś konkretnego, z czym mógłbyś walczyć, zamiast nieuchwytnego zabójcy komórek. Ale to halucynacja, Louisie... zaburzenie wzrokowe... a im szybciej to przyznasz, tym szybciej będziesz mógł wyzdrowieć i pomóc swojej matce.

Louis wpatruje się w lekarza. Udaje mu się pokiwać głową.

DR HUBBARD

(zaczerwieniony żuje cybuch fajki, żeby się uspokoić)

Dobrze. Pan Winters właśnie jest na radioterapii. Takie samo leczenie za kilka dni otrzyma twoja matka. Chciałbyś zobaczyć, jak to wygląda?

Louis ponownie kiwa głową, nie spuszczać wzroku z lekarza.

DR HUBBARD

Dobrze. Tylko postaraj się zachowywać rozsądnie. Koniec z bzdurami o rakowych

wampirach.

(uśmiecha się)

Mógłbyś zdenerwować pana Wintersa i innych pacjentów na piętrze.

Louis ponownie kiwa głową.

DR HUBBARD

Doskonale. W takim razie pójdę sprawdzić, czy jesteśmy gotowi. Przyślemy po ciebie sanitariusza.

(uświadamia sobie, że trzyma fajkę w zębach, wyjmuje ją i uśmiecha się)

Nie czujesz się lepiej, Louisie?

Louis kiwa głową po raz ostatni. Potem z perspektywy Louisa widzimy zbliżenie twarzy dra Hubbarda: rozchylone usta, białe zęby, zdrowe dziąsła, kawałek języka. Spod języka wysuwają się najpierw mięsiste czułki, a potem zielono-szare ciało guzowego ślimaka, który wychyla się, a następnie wycofuje, jakby chował się przed światłem.

WYCIEMNIENIE
KONIEC AKTU 2

AKT 3

ROZJAŚNIENIE

8. WNĘTRZE. SALA RADIOTERAPII. DZIEŃ.

Louisa przywieziono na wózku do sali kontrolnej radioterapii, ale teraz młodzieniec stoi i zagląda przez grubą szybę do pokoju, w którym Jack Winters leży na łóżku pod wiszącym okiem potężnej maszyny naświetlającej kobaltem-60. Jack Winters sprawia wrażenie drobnego, kruchego i bezbronnego – niektóre części jego ciała są osłonięte ołowianymi formami, z kolei górna część tułowia jest obnażona i widnieje na niej zarys celu: nakreślony jaskrawym barwnikiem wyraźny + wskazujący miejsce, w które trafią potężne promienie rentgenowskie. Jack szybko i płytko oddycha, jego wychudzona pierś unosi się i opada, a ciało jest jedynym barwnym obiektem w sali, w której dominują białe maszyny oraz czarne i białe kafelki częściowo skryte w czarnych cieniach. Dr Hubbard jest

w sali kontrolnej razem z Louisem oraz radioterapeutą, który obsługuje skomplikowany panel kontrolny.

DR HUBBARD

To będzie przedostatnie naświetlanie pana Wintersa. Uważamy, że guzy doskonale reagują na terapię.

(zerka na Louisa)

Radioterapia i chemioterapia bardzo się rozwinęły od czasu choroby twojego ojca.

Terapeuta wciska guziki na panelu, obserwując ekrany, a potężna maszyna nad Jackiem Wintersem brzęczy, porusza się i opuszcza złowrogie „oko” nad + narysowany na piersi staruszka. W maszynie zapala się światło, które trafia w cel.

LOUIS

(odchrząkuje, jest pod wrażeniem, ale zarazem trochę się boi)

Jak dużą dawkę promieniowania otrzymuje Jack, by zwalczyć raka?

DR HUBBARD

Szacujemy, że siedem tysięcy rentgenów wystarczy, by wysterylizować tego guza.

LOUIS

(odwraca się od szyby)

Siedem tysięcy rentgenów? To chyba bardzo dużo. Ile to jest jeden rentgen?

DR HUBBARD

Dla porównania... podczas zwykłego prześwietlenia klatki piersiowej, jakiemu cię poddaliśmy, kiedy przywieziono cię z wypadku, wystawiliśmy cię na promieniowanie rzędu pięciu milirentgenów, czyli pięciu tysięcznych rentgena.

LOUIS

Mój Boże... a Jack ma otrzymać siedem tysięcy rentgenów... milion razy więcej.

(ponownie zerka przez okno na czekającego mężczyznę)

Jak może to wytrzymać?

DR HUBBARD

W niewielkich dawkach. Pojedyncza dawka siedmiu tysięcy rentgenów byłaby śmiertelna dla mniej więcej połowy osób. Dlatego dawkujemy promieniowanie... a i tak pojawiają się skutki uboczne.

(szybko przechodzi dalej, by Louis nie skupiał się na negatywnych aspektach tematu)
Ale skuteczność radioterapii została potwierdzona i udokumentowana.

LOUIS

(zamyślony patrzy na Jacka)

Moja matka także będzie w ten sposób leczona?

DR HUBBARD

W zależności od tego, jak zniesie operację i co wykaże biopsja... tak.

(kiwa głową do terapeuty)

Jesteśmy gotowi...

Radioterapeuta pstryka przełącznikiem. Louis wzdyga się, kiedy fiołkowe promieniowanie wypełnia okno i obmywa jego twarz.

LOUIS

Widzę je!

DR HUBBARD

Właściwe promieniowanie oczywiście jest niewidoczne.

Promieniowanie jest widoczne. Przynajmniej dla Louisa. Patrzymy jego oczami na salę wypełnioną jaskrawym fiołkowym światłem, którego źródłem jest soczewka maszyny, ale które rozszerza się i pulsuje dziwnymi wzorami w drodze do ciała Jacka. Inni tego nie widzą, ale my otrzymujemy ZBLIŻENIE oszołomionej twarzy Louisa, skąpanej w fiołkowym blasku, i widzimy szok oraz obrzydzenie, gdy GUZOWE ŚLIMAKI zaczynają wypełzać z piersi Jacka.

LOUIS

Niech pan patrzy! To...

(gryzie się w język i nie zdradza niczego lekarzowi)

DR HUBBARD

Co takiego, Louisie?

LOUIS

(próbuje się uśmiechnąć)

Nic. Nic takiego.

Zwabione jaskrawym światłem maszyny ślimaki wychodzą na wierzch. Najpierw jeden, potem drugi i trzeci... Wysuwają się z klatki piersiowej Jacka – niektóre całkowicie, inne częściowo – nie mogą cię oprzeć promieniowaniu. Terapeuta znów pstryka przełącznikiem. Brzęczenie cichnie, a fiołkowe światło blaknie i znika. Ślimaki, które całkowicie się wyłoniły, kurczą się i giną... pozostałe wracają w głąb ciała.

LOUIS

(nie może się powstrzymać)

Za krótko... za mało promieniowania!

DR HUBBARD

(sprawdza jeden ze wskaźników)

Dwadzieścia osiem i sześć dziesiątych sekundy. Wystarczająco długo jak na ten rodzaj terapii.

Louis zaczyna tłumaczyć, ale widzi, że dr Hubbard uważnie mu się przygląda, więc milknie. Intensywnie się nad czymś zastanawia.

LOUIS

Jakie... jakie jest źródło promieniowania?

RADIOTERAPEUTA

W tym przypadku radioizotop kobalt-60.

LOUIS

Mogę go zobaczyć?

Radioterapeuta zerka na dra Hubbarda, a onkolog kiwa głową. Terapeuta podchodzi do sejfu w ścianie i wprowadza krótki szyfr – Louis mu się przygląda, a my widzimy kolejne ustawienia pokręta: 17 w prawo, 43 w lewo, 11 w prawo – a potem zakłada absurdalnie grube rękawice, otwiera masywne drzwi i wyjmuje jeden z wielu ciężkich ołowianych pojemników, na których widnieje międzynarodowy symbol ostrzegający przed promieniowaniem.

LOUIS

To są te izotopy?

DR HUBBARD

To pojemniki, w których są przechowywane. Same izotopy są małe... ale niebezpieczne. Jeden mógłby zasilać tę maszynę przez wiele godzin. Każdy z nich... nieosłonięty... promieniowałby z siłą kilku tysięcy rentgenów.

LOUIS

W jaki sposób umieszcza się je w maszynie?

DR HUBBARD

Bardzo, bardzo ostrożnie. Za pomocą zdalnie sterowanych mechanicznych ramion. Za ołowianymi osłonami... to dość skomplikowane. Już zobaczyłeś to, co chciałeś?
(kiwa głową do terapeuty, by schował izotop do sejfu)

Louis spogląda przez szybę na Jacka. Staruszek lekko drży z zimna. Ogląda się w stronę okna i uśmiecha. Martwe, poczerńnięte ślimaki wciąż są widoczne na jego obnażonej piersi.

LOUIS

(do siebie)

Tak... zobaczyłem wystarczająco dużo.

PRZEJŚCIE DO:

9. WEWNĄTRZ. NOC. SALA SZPITALNA LOUISA

Louis gwałtownie się budzi. Jest ciemno. Z korytarza dobiega cichy dźwięk dzwonka oraz pisk gumowych podeszew na płytkach. Ale to bliższy odgłos obudził Louisa. SIORBANIE dobiega zza zasłony Jacka... jest jeszcze głośniejsze i bardziej obsceniczne niż poprzedniej nocy.

LOUIS

(zaspanym głosem, wciąż na wpół przytomny)

Jack?

Louis odsuwa zasłonę. Martwy Jack leży z rozchylonymi ustami, palcami zgiętymi w sztywne szpony i szeroko wytrzeszczonymi oczami. SIORBANIE i SZURANIE pochodzi od ślimaków, które przesuwają się po jego ciele... jego ubranie wije się i marszczy pod wpływem ich ruchów, a niektóre wypadają przez szpary w górze od pizamy. Rakowy wampir kuca nad zwłokami z opuszczoną głową i zanurza trąbkę w piersi Jacka, niczym potworny żerujący komar. SIORBANIE jest bardzo głośne.

LOUIS
Ach...

Wampir podnosi głowę. Ślimaki opadają z jego długiego pyska... jeden wpełza do środka przy wtórze SKROBANIA. Rakowy wampir patrzy na Louisa żółtymi krótkowzrocznymi oczami.

LOUIS
Eee... eee...

Louis po omacku dotyka swojego zagraconego stolika, znajduje nóż i rzuca nim z całej siły. Ostrze trafia wampira w pierś z cichym mlaszczącym odgłosem, ale nie wbija się, tylko unosi się na powierzchni papkowatego ciała, jak przedmiot upuszczony do kałuży szlamu. Rakowy wampir leniwie wodzi po nożu długimi palcami, a potem go odrzuca. Nie został zraniony. Wyciąga rękę w stronę Louisa.

LOUIS
Nie... eee...

Louis wychodzi tyłem z łóżka, przewraca stojak z kroplówką, wpada na stolik i wyrzuca w powietrze wazon z kwiatami. Sunie wzdłuż ściany, trzymając się jak najdalej od rakowego wampira i jednocześnie kierując się w stronę drzwi. ZBLIŻENIE na żółte, ślepe oczy wampira, który obraca głowę. Słyszymy kroki Louisa oddalające się pustym korytarzem.

PRZEJŚCIE DO:

10. WEWNĄTRZ. NOC. SALA RADIOTERAPII.

Louis wpada do ciemnego pomieszczenia i przez chwilę ciężko dyszy w progu. Nikt go nie goni. Rozgląda się i zapala pojedynczą słabą lampkę nad panelem kontrolnym. Sąsiedni gabinet jest całkowicie pogrążony w ciemności. Louis rozgląda się gorączkowo, zauważa sejf z symbolem promieniowania i bierze kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić. Wie, co musi zrobić. Widzimy w zbliżeniu, jak manipuluje pokrętkiem. 17 w prawo, 43 w lewo, 11 w prawo. Drzwi sejfu otwierają się, a Louis cofa się o krok, zaszokowany tym, jak łatwo mu poszło. Wewnątrz sejfu stoją ołowiane pojemniki, które wyglądają jak niewielkie bomby. Louis ogląda się przez ramię, a potem znajduje grube rękawice. Zakłada je, wyjmuje pojemniki z sejfu i ostrożnie ustawia na stole.

PRZEJŚCIE DO:

11. WEWNĄTRZ. NOC. SALA RADIOTERAPII.

Louis kuca przy stole, tak że widzimy tylko jego głowę i ramiona. Przed nim stoją pojemniki. Reszta pomieszczenia jest skryta w ciemności. Louis wciąż ma na dłoniach grube rękawice i próbuje poradzić sobie ze skomplikowanym zamkiem na wieku pierwszego pojemnika.

LOUIS
Cholera.

Zdejmuje rękawice, bez trudu zrywa plombę, otwiera zamek i zdejmuje wieko. Ostre fioletowe światło obmywa jego twarz. Blask staje się jeszcze jaśniejszy, gdy Louis wytrząsa izotop na swoją gołą dłoń. Kawalek jest mały, ale promieniuje niesamowitym płomienistym światłem. Louis bierze go w obie dłonie.

LOUIS
(szepcze)
Musi być jakiś inny sposób.
(przybity)
Ale ja go nie znam...

Louis bierze wdech i podnosi izotop wyżej drżącymi rękami. Jego ruchy mają w sobie coś sakramentalnego – to radioaktywna Eucharystia. Połyka kawałek

kobaltu-60, z trudem powstrzymując odruch wymiotny.

LOUIS
Mój Boże...

Otwiera kolejny pojemnik i wyjmuje izotop. Światło w pokoju zaczyna przygasać...

PRZEJŚCIE DO:

12. WEWNĄTRZ. NOC. POKÓJ MATKI LOUISA.

Zbliżenie na matkę Louisa – na jej głowę na poduszce – która jęczy przez sen i niespokojnie się porusza. Być może zaraz wybudzi się z wywołanego lekami snu. Kamera sunie wzdłuż jej ręki aż do dłoni. Nagle w kadrze pojawia się coś olbrzymiego i niekształtnego, co niezdarnie obejmuje jej palce. To dłoń Louisa, ponownie osłonięta grubą rękawicą ochronną. Kamera się ODDALA i widzimy, że Louis siedzi przy łóżku i trzyma matkę za rękę w ciemnej sali. Za oknem niebo bezgłośnie przecinają błyskawice.

LOUIS
(bardzo cicho)

Pamiętam, że kiedyś, kiedy byłem dzieckiem... to pewnie było wkrótce po śmierci taty... obudziłem się w burzową noc i zobaczyłem, że siedzisz na brzegu mojego łóżka... zupełnie jakbyś chroniła mnie przed burzą.

Błyskawica znów rozświetla salę. Louis pośpiesznie się rozgląda. Nigdzie nie ma ani śladu rakowego wampira.

LOUIS
Udawałem, że śpię, ale chciałem ci powiedzieć, że nikt nie może nikogo obronić. Ani przed burzą... ani przed tym, co zabiło tatę...
(przybity)
Chciałem powiedzieć, że człowiek może tylko uciekać... uciekać przed ludźmi, których najbardziej kocha... uciekać, żeby tak bardzo nie cierpieć, kiedy okaże się, że nie może ich ochronić.

Louis ściska jej dłoń.

LOUIS

No cóż, mam, może mam już dosyć uciekania.

Ponownie się rozgląda.

LOUIS

Widziałem te... istoty... te rakowe wampiry... w niemal każdej sali na tym piętrze.

(drży)

Białe rozmazane kształty w ciemnych pomieszczeniach. Czekają. Czekają, żeby zerować na ludziach, którzy tam leżą...

Bierze głęboki wdech.

LOUIS

Już czas, mam. Czas sprawdzić, czy to coś pomoże.

Louis zdejmuje jedną z grubych rękawic. Jego dłoń lśni fiołkowym światłem. Zdejmuje drugą rękawicę, a blask bijący z jego dłoni rzuca dziwaczne cienie na cały pokój. Unosi ręce i wbija w nie wzrok.

LOUIS

To nie będzie bolało, mam.

Zbliża dłoń na kilka centymetrów do ciała matki, tuż poniżej jej gardła. Po chwili widzimy fałdę na skórze, gdy jeden ze ślimaków sunie w stronę światła. Louis krzywi się, ale nie cofa ręki, gdy ślimak wychodzi na wierzch, bada powietrze czułkami, a następnie wpełza w dłoń Louisa. Dołącza do niego kolejny. Potem trzeci. Louis jeszcze przez jakiś czas nie cofa dłoni, ale nie pojawia się więcej ślimaków.

LOUIS

(dyszy, bliski omdlenia)

To chyba wszystkie.

Podnosi dłoń i widzimy ruch pod fiołkową skórą na jego przedramieniu, gdy ślimaki wiją się i kłębią w swoim nowym domu. Louis poprawia się na krześle, opuszcza głowę na kolana i obejmuje się rękami.

LOUIS

W porządku, mamó... a teraz... teraz... czekamy.

Błyskawica bezgłośnie rozświetla niebo. Za plecami Louisa, prawie pod sufitem, rakowy wampir wysuwa głowę i ramiona ze ściany, niczym drapieźnik przebijający worek owodniowy. Louis go nie widzi. Istota nie wydaje żadnych dźwięków, gdy chwyta się ściany niemożliwie długimi palcami i wydostaje na zewnątrz, jak pływak wychodzący z basenu. Wampir ześlizguje się po ścianie jak jaszczurka i znika za pochylonym Louisem. Matka jęczy przez sen, a Louis wstaje, obraca się gwałtownie i odrzuca na bok krzesło.

LOUIS

(do istoty, drżącym głosem)

Hej! Tutaj. Jestem tutaj... niech cię szlag.

Rakowy wampir pochyla się nad kobietą, ale zaraz się prostuje, podnosi długie palce i kieruje stożkowaty pysek w stronę blasku bijącego od Louisa.

LOUIS

Tutaj... właśnie tak... jedzenie.

Louis prostuje ręce, co również przypomina sakramentalny gest. Rakowy wampir sunie w jego stronę i opuszcza straszliwy pysek ku wyciągniętym świecącym dłoniom.

LOUIS

Właśnie tak... weź... i jedz.

Trąbka stwora wydłuża się i wnika w ciało na wyciągniętej dłoni Louisa. Pod skórą na przedramieniu młodzieńca poruszają się ślimaki. Słyszemy SIORBANIE i SZURANIE. Kiedy istota kończy się pożywiać, nagle odrzuca głowę do tyłu, miota się, targają nią skurcze.

LOUIS

(triumfalnie, ale szeptem)

Dzisiaj, Śmierci... to ty umrzesz.

Rakowy wampir dygocze. Fiołkowy blask przybiera na sile, gdy promieniowanie się rozprzestrzenia. Słyszymy SYCZENIE i SKWIERCZENIE, jakby kwas przeżerał gruby papier. Wampir przewraca się, zwija w kłębek i jakby maleje przy wtórze SYCZENIA. Jego długie palce powoli się zaciskają... jak nogi zdychającego pająka. Louis chwycił podchodzi do łóżka matki, pada na krawędź pościelenia i zakłada grube rękawice.

LOUIS

Chciałbym zostać. Sprawdzić, czy doktor Hubbard może mi pomóc... być przy tobie, kiedy powie, że guzy ci zniknęły...

Widzimy zbliżenie twarzy jego matki – jest spokojniejsza. Louis ponownie bierze ją za rękę i niezdarnie głaszcząc jej dłoń grubą rękawicą.

LOUIS

Chciałbym zostać... ale nie mogę... czuję w sobie ogień. Jest taki gorący...

(chwyta się za brzuch, zgina w pół, a potem prostuje)

Na oddziale leży jeszcze tyle ludzi, mamó... a te stwory... czekają.

(zerka w stronę drzwi)

Boję się. Ale teraz przynajmniej wiem, co powinienem zrobić...

Widzimy zbliżenie dłoni matki, która drży. Być może to przypadkowy skurcz, a może ściska jego rękę, udzielając mu wsparcia. Louis wstaje i patrzy w stronę ciemnego korytarza.

LOUIS

(szepcze)

Mam tylko nadzieję, że zdołam nakarmić je wszystkie.

Louis po raz ostatni dotyka dłoni matki, a potem podchodzi do drzwi, na chwilę zatrzymuje się na progu i wchodzi w ciemność.

LOUIS

Kocham cię, mamó.

Louis wychodzi i znika. Patrzymy z niskiego kąta obok jego śpiącej matki i słuchamy oddalających się kroków... przez chwilę panuje cisza... a potem

rozlega się SIORBANIE, SZURANIE, SKROBANIE, coraz głośniejsze, chóralne. Ale tym odgłosom towarzyszy obiecujący fiołkowy blask, który staje się coraz jaśniejszy, wlewa się przez drzwi i wypełnia ciepłem cały pokój, podczas gdy my...

WYCIEMNIENIE

Wstęp do „Biletu do Wietnamlandu”

Urodziłem się w 1948 roku. Kiedy w 1960 Kennedy został wybrany na prezydenta, II wojna światowa wydawała się odległa jak historia starożytna – nie tylko ja odnosiłem takie wrażenie, bo dla dwunastolatka większość zdarzeń z przeszłości to historia starożytna, ale przypuszczam, że większość Amerykanów podzielała moje odczucia. Nieprzeliczone rzesze żołnierzy wróciły do domu, i choć wielu z nich zmagало się z powojenną traumą, to jednak znakomita większość próbowała na różne sposoby o niej zapomnieć: szli do szkół objęci programem wsparcia weteranów, zakładali rodziny, kupowali domy, odbudowywali swoje życia. Wojna zmieniła wielu ludzi z pokolenia moich rodziców – ale większość na lepsze. Zamorskie podróże i wojaczka zaowocowały na wpół uświadomioną dojrzałością u mężczyzn, a ciężka praca i udział w wysiłku wojennym dały kobietom trudną do opisanego pewność siebie i znacząco poszerzyły ich horyzonty. Stany Zjednoczone zmieniły się nieodwracalnie: izolacjonistyczny, w przeważającej mierze rolniczy kraj, który przed wojną nie otrząsnął się jeszcze z Wielkiego Kryzysu, zniknął bez śladu. Jego miejsce zajęło największe światowe supermocarstwo. Mieliśmy Bombę, gospodarka pędziła jak nigdy przedtem, przyszłość nie miała granic, a młody prezydent obiecał nam Nowe Horyzonty².

Wydarzenia II wojny światowej naprawdę stały się zamierzchną przeszłością. Minęło piętnaście lat od naszego triumfu nad dyktaturami, i nawet coś na kształt brutalnej próby kostiumowej w Korei nie było w stanie zachwiać naszym optymizmem. Prawdziwa wojna rozegrała się dawno temu i daleko stąd.

Piszę te słowa piętnaście lat po ucieczce ostatnich Amerykanów z Wietnamu, a siedemnaście po tym, jak wycofaliśmy stamtąd nasze siły zbrojne. Upłynęły dwie dekady – piąta część stulecia – od okresu naszego największego zaangażowania w tamten konflikt, a ja mam wrażenie, że dopiero zaczynamy znajdować jakiś wspólny powietnamski spokój ducha.

Ktoś już chyba gdzieś sugerował tę paralelę (nie wiem, może nawet stała się przez ten czas wyświechtanym banałem), ale wydaje mi się, że etapy naszych zbiorowych zmagania z wietnamską traumą przypominają do złudzenia klasyczne fazy ludzkiej reakcji na śmierć ukochanej osoby albo informację o śmiertelnej

chorobie. Spójrzmy na amerykańskie filmy o Wietnamie z ostatnich dwudziestu lat.

Faza pierwsza: wyparcie. Żadnych znaczących filmów. Nic. Zero.

Faza druga: gniew. Katartyczne kopie *Powrotu do domu*, w których weterani byli albo antywojennymi męczennikami, albo wariatami. Potem przyszły rewizjonistyczne fantazje z udziałem Rambo i jego klonów.

Faza trzecia: depresja. Jedynym świetnym obrazem wojny był w tym okresie *Czas Apokalipsy*, ale Coppola wyszedł przed szereg i jego wysiłek przeszedł bez echa. Gdyby odczekał, aż przejedzą się nam nasze ramboidalne sny, jego film zostałby przyjęty zupełnie inaczej.

I na koniec faza czwarta: akceptacja. *Pluton*, *Full Metal Jacket*, *Ofiary wojny* i inne post-traumatyczne filmy niosą – wbrew medialnemu szumowi, który usiłuje temu zaprzeczyć – niewiele treści i jeszcze mniej filozofii. Tym, co je wyróżnia, jest natomiast niewiarygodny autentyzm, szokująca realność smrodu potu i grzybicy, zdumiewająca wierność w pokazaniu prawdziwego języka, prawdziwego zmęczenia i prawdziwej klaustrofobii żołnierza na wietnamskim zadupiu. Strach, który bije od aktorów na ekranie i rozlewa się po widowni niczym odór wczorajszego trupa, jest dokładnie taki, jak być powinien.

Tak oto po dwóch dziesięcioleciach, podczas których dorosło nowe pokolenie znudzone całym tym wietnamskim tematem i w których zaszło więcej zmian w codziennym życiu, niż umiemy sobie wyobrazić lub zaakceptować, zaczynamy nareszcie wyczuwać (bo raczej jeszcze nie rozumieć) prawdziwe rozmiary makabrycznego wypadku komunikacyjnego, jakim dla naszego kraju stał się Wietnam.

Dla niektórych ludzi to jednak dopiero początek procesu.

Bilet do Wietnamlandu

Dwadzieścia osiem śmigłowców szturmowych Huey zawisło w rzędzie dokładnie trzy metry nad płytą lotniska. Ich wirniki wypełniały świat grzmotem, od którego wibrowały zęby, kości i jądra. Kiedy wychyły się ponad drzewa i dalej zwiększały pułap, rozproszyły się nieco na boki, w cztery rozsunięte formacje klina. Hałas ścichł na tyle, że można było się porozumiewać krzykiem.

– Pierwszy raz?! – zawołał przewodnik.

– Co? – Justin Jeffries odwrócił się od otwartych drzwi, przez które przyglądał się, jak cień ich śmigłowca sunie po lśniących niczym lustra ryżowych poletkach. Nachylił się do przewodnika, aż niemal zetknęli się hełmami.

– Pierwszy raz? – powtórzył przewodnik.

Był mały nawet jak na Wietnamczyka. Uśmiechał się szeroko. Mundur i naszywka na rękawie zdradzały przynależność do Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej.

Jeffries był wysoki nawet jak na Amerykanina. Miał na sobie zielone szorty, hawajską koszulę w kwiaty, sandały biegowe Nike'a, drogi komlog od Roleksa i amerykański hełm wojskowy, który wyszedł z użycia w roku jego narodzin. Był też obwieszony aparatami: miał zgrabną lustrzaną Yashiki, polaroida Holistic-360 i nowiuteńki fotorejestrator Nikona.

Odpowiedział uśmiechem na uśmiech.

– Dla nas tak. Dla teścia nie.

– Tata był już tutaj podczas... no wie pan... wojny. – Heather włączyła się do rozmowy. – Pomyśleli, że Wycieczka Weterana dobrze mu robi.

Skinieniem głowy wskazała niskiego, krzepkiego mężczyznę o siwych włosach, opartego o podstawę karabinu M-60 przy siatce zabezpieczającej blisko drzwi. Tylko on jeden nie nosił hełmu. Niebieską koszulę miał przepoconą na plecach.

– Tak, tak. – Przewodnik cofnął się w głąb maszyny i podłączył swój mikrofon do wbudowanego w ścianę gniazdka. Jego głos popłynął z ukrytych głośników i zabręczał metalicznie we wszystkich hełmach. – Panie i panowie, proszę zwrócić uwagę na te drzewa po prawej stronie.

Maszyną szarpnęło lekko, gdy wszyscy pasażerowie przemieścili się i zaczęli wyciągać szyje, żeby lepiej widzieć. Dziesięcioletni Sammee Jeffries i jego ośmioletnia siostra Elizabeth przepchnęli się do siedzącego przy drzwiach dziadka. Lufa trzymanego przez dziewczynkę plastikowego M-16 przypadkiem dziabnęła staruszka w opalony kark. Nie odwrócił się, nie odezwał ani słowem.

Nagle rząd drzew rosnących przy skraju jednego z pól eksplodował serią rozbłysków. Było słychać, jak pasażerom zapiera dech w piersi, gdy seria oślepiających jak magnezowy płomień pocisków smugowych wystrzeliła z ziemi i dosłownie o parę metrów chybiła hueya. Jedna z maszyn z tyłu klina natychmiast obniżyła lot, zakreśliła perfekcyjny łuk powrotny i posiekła drzewa ogniem rakiet i minidziałka. Zachęcony przez przewodnika Sammee wspiął się tymczasem na małą skrzynkę, ujął w obie dłonie dwuręczny uchwyt ciężkiego M-60, nieporadnie przekierował go z grubsza w kierunku odległych już drzew i wcisnął podwójny spust. Pasażerowie odruchowo podnieśli dłonie do hełmów, chcąc zasłonić uszy. Ciężkie łuski – ciepłe, ale nie tak gorące, żeby parzyć – zaklekotały na metalowej podłodze.

Wybuch rozerwał rząd drzew, fosforowe serpentyny wystrzeliły na pięćdziesiąt metrów w powietrze, kilka najwyższych palm stanęło w ogniu. Płonące odłamki spadały na ciche, spokojne poletko. Pasażerowie śmiali się i bili brawo. Sammee uśmiechnął się i naprężył mięśnie.

Oparta o dziadka Elizabeth krzyknęła mu do ucha:

– Super, co nie?!

Odwrócił się do niej, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili przewodnik obwieścił, że z lewej strony widoczny jest już cel ich lotu, dziewczynka zapomniała o dziadku i odepchnęła brata, żeby lepiej widzieć. Pod nimi z dymu i mgły wynurzała się wioska.

Wieczorem tego samego dnia pięciu mężczyzn siedziało przy stole na tarasie na piątym piętrze hotelu Oberoi Sheraton w Sajgonie. Powietrze było ciepłe i wilgotne. Z położonego piętro niżej basenu dobiegały plusk wody i wybuchy śmiechu. Było dobrze po dziewiątej, ale tropikalny zmierzch trwał w najlepsze.

– Był pan dziś rano na wycieczkowej misji w wiosce, prawda? – zwrócił się Justin Jeffries do siedzącego obok mężczyzny o orientalnych rysach.

– Owszem, byłem. To nadzwyczaj interesujące.

Mężczyzna siedział swobodnie, ale jego poza, starannie zaprasowany tropikalny strój i przenikliwość spojrzenia sugerowały wojskową przeszłość.

– Jest pan Nippończykiem? – indagował dalej Justin, a gdy jego rozmówca z uśmiechem skinął głową, dodał: – Tak myślałem. Służy pan tutaj?

– Nie, mam urlop. Jestem na przepustce, jeśli pan woli. Tak to chyba dawniej nazywaliście.

– Boże... – mruknął otyły Amerykanin siedzący obok teścia Justina. – Walczy pan na północy, w ChRL, z watażkami Chena?

– Zgadza się. – Japończyk wyciągnął rękę do Justina. – Porucznik Keigo Naguchi.

– Justin Jeffries, z Kansas City. – Duża dłoń Justina objęła drobniejszą, japończyka, i potrząsnęła nią dwa razy. – A to mój teść, Ralph Disantis.

– Miło mi. – Porucznik skinął głową.

– Mnie również – odparł Disantis.

– Widziałem pana dzisiaj z wnukami w wiosce – powiedział Naguchi. – Chłopcem i dziewczynką.

Disantis kiwnął głową i napił się piwa. Justin skinął na przysadzistego mężczyznę obok teścia.

– A to pan... Sears? Dobrze pamiętam?

– Sayers. Roger Sayers. Miło mi pana poznać, poruczniku. Jak to tam u was wygląda? Wypędzacie wreszcie tych małych skurczybyków z jaskiń?

– Czynimy zadowalające postępy – odparł Naguchi. – Przed następną porą deszczową sytuacja powinna być się ustabilizować.

– Japoński mózg plus wietnamska krew, co? – Sayers parsknął śmiechem i zwrócił się do piątego z siedzących przy stole, milczącego dotąd Wietnamczyka w białej koszuli i ciemnych okularach. – Bez urazy – dodał pośpiesznie. –

Wszyscy wiedzą, że wasi wieśniacy z Wietkongu to najlepsza piechota na świecie. Pokazali nam to czterdzieści lat temu. Panie...?

– Minh – powiedział drobny mężczyzna i podał rękę po kolei wszystkim przy stole. – Nguyen van Minh.

Miał czarne włosy i gładką twarz, ale oczy i dłonie zdradzały, że ma co najmniej sześćdziesiąt lat: bliżej mu było do Disantisa niż pozostałych.

– Niezupełnie – podjął. – Od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku jestem obywatelem amerykańskim, a to mój pierwszy przyjazd od tego czasu do Wietnamu. Nie mam tu żadnej rodziny. – Zwrócił się do Naguchiego: – Jestem zdumiony, poruczniku, że postanowił pan spędzić urlop na Wycieczce Amerykańskiego Weterana.

Naguchi wzruszył ramionami. Sącył dżin z tonikiem.

– Dostrzegam tu wyrazisty kontrast ze współcześnie stosowanymi metodami walki, na północy jestem bardziej technikiem niż żołnierzem. Poza tym dzieje pierwszych wojen z użyciem helikopterów to cenna wiedza dla każdego, kto

interesuje się historią wojskowości. Pan walczył w tamtej wojnie, panie Disantis?

Teść Justina pokiwał głową i pociągnął solidny łyk piwa.

– Ja się nie załapałem – wtrącił Sayers. – Za młody na Wietnam, za stary na wojny bananowe, psiakrew.

– Niewiele pan stracił – mruknął Justin.

– Pan walczył? – zaciekawił się Naguchi.

– Naturalnie. Każdy, kto osiągnął pełnoletniość w przecenionej dekadzie, brał udział w wojnach bananowych. Dzisiejsza wycieczka równie dobrze mogłaby się odbywać w Tegucigalpie albo Estanzuelas, wystarczyłoby podmienić poletka ryżowe na plantacje kawy.

– Chętnie o tym posłucham. – Sayers gestem przywołał kelnera. – Jeszcze raz dla każdego to samo – zaordynował.

Nad basenem zaczął grać steel band, w którym bez powodzenia próbowano połączyć amerykańskie melodie popowe, karaibskie rytmy i talent miejscowych muzyków. W ciężkim, parnym powietrzu dźwięk rozchodził się ospale. Zapadła tropikalna noc, nawet gwiazdy wydawały się przyćmione gęstą atmosferą.

Naguchi spojrział na grupę gwiazd pnącą się ku zenitowi i zerknął na swój komlog.

– Sprawdza pan azymut swojego satelity obserwacyjnego? – domyślił się Justin. – Znam ten ból, ciężko się wyzbyć nawyku.

Disantis wstał od stołu.

– Ja przepraszam, ale podziękuję za następną kolejkę. Jeszcze nie odespałem jet lagu.

I zagłębił się w klimatyzowaną jasność hotelowego wnętrza.

Po drodze do swojego pokoju zajrzał jeszcze do Heather i dzieci. Heather już się położyła, ale Sammee i Elizabeth byli zajęci ściąganiem danych z nikona taty na terminal i przerzucaniem ich na wyświetlacz ścienny.

– To SL – powiedział wyraźnie podekscytowany Sammee.

– A co to jest SL? – zaciekawiła się Elizabeth.

– Strefa Lądowania – odburknął jej brat. – Zupełnie nic nie pamiętasz?

Na ekranie pojawiały się kolejne obrazy: kurz, wirniki, drapieżne cienie hueyów nadlatujących nad miejsce, w którym stał Justin z aparatem, kolejka pasażerów w wojskowych ubraniach, którzy instynktownie pochyłali się i garbili, mimo że łopaty wirników kręciły się wysoko pod ich głowami. Jedną

ręką przytrzymywali hełmy, drugą przyciskali do piersi aparaty, torebki i plastikowe M-16, zbiegali z wyniesionego ponad okoliczny teren lądowiska i pośpiesznie rozpraszali się po przedzielających poletka groblach.

– Dziadek! – ucieszyła się Elizabeth.

Disantis patrzył na siebie, jak podstarzały, otyły i zadyszany ciężko gramoli się z helikoptera, wzgardziwszy wyciągniętą ręką przewodnika. Sammee postukał w klawisze terminala. Obraz powiększył się, przybliżył, i ziarnista twarz Disantisa wypełniła ekran. Chłopiec pomanipulował paletą barw i rozdał twarz dziadka, upodabniając ją do fioletowego balonu, który zaraz pęknie.

– Przestań – jęknęła Elizabeth.

– Beksa – odparł Sammee.

W tej samej chwili, kierowany jakimś szóstym zmysłem, obejrzał się przez ramię i zobaczył dziadka. Nie zareagował na jego obecność, tylko po prostu pchnął odtwarzanie naprzód.

Disantis śledził szarpaną kronikę filmową. Prymitywne chaty w opuszczonej wiosce. Dwa rzędy turystów-żołnierzy po przeciwnych stronach wąskiej drogi. Zbliżenia z przeszukania chat. Heather wychodzi przez niskie drzwi, mruży oślepione słońcem oczy, niezręcznym gestem unosi zabawkowy M-16 i macha do aparatu.

– Teraz będzie najlepsze – szepcze Sammee.

Wracali do SL, kiedy rozstawione na odległej grobli małe figurki otworzyły ogień. Zdezorientowani turyści przez chwilę kręcili się w kółko, zanim w końcu, upomniani przez przewodników, ze śmiechem poszukali schronienia na trawiastym zboczu wału, którym szli. Justin został na posterunku i robił zdjęcia.

Disantis patrzył, jak fotografie zięcia łączą się na ekranie w film tylko minimalnie wolniejszy od standardowego obrazu wideo. Z prawej strony płynęła nieprzerwana kolumna danych. Patrzył na siebie, jak przyklęka na jedno kolano i bierze Elizabeth za rękę. Przypomina sobie, jak w tym momencie zwrócił uwagę, że trawa jest sztuczna.

Turyści odpowiedzieli ogniem. Ich karabiny rozbłyskiwały, miały odrzut i hałasowały nieziemsko, ale nie wystrzeliwały żadnych pocisków. Dwuletni maluch niedaleko Justina rozplakał się.

W końcu przewodnicy pomogli parze młodych turystów wezwać przez radiostację wsparcie powietrzne. Odrzutowce przybyły w niecałą minutę: trzy A-4D Skyhawk ze starym oznakowaniem US Navy wyraźnie widocznym na białych skrzydłach. Nadleciały z jazgotem na wysokości niespełna pięciuset stóp. Aparat trząsł się Justinowi w rękach, kiedy na pola padały długie cienie eksplozji. Turyści – na swoim odległym o sześćset metrów punkcie

obserwacyjnym – kulili się i przypadali do ziemi, ale Justin zdołał w końcu zapanować nad drżeniem rąk. Napalm wybuchał raz za razem.

– Patrz – powiedział Sammee.

Zatrzymał odtwarzanie i powiększył obraz. Na tle pomarańczowego ognia eksplozji było teraz widać małe postacie ludzkie, czarne sylwetki. Sammee jeszcze wzmocnił przybliżenie. Disantis dostrzegł wyciągniętą rękę, targany podmuchem rękaw, frunący w powietrzu stożkowy chłopski kapelusz.

– Jak oni to zrobili, dziadku? – zapytał chłopiec, nie odwracając się.

Disantis wzruszył ramionami.

– Może to holo.

– Nie, holo to nie – odparł Sammee. Nawet nie próbował ukryć swojej wyższości. – Za jasno. Poza tym widać, jak kawałki lecą. To musiały być animatrony.

Leżąca na podłodze Elizabeth przeturlała się na bok. Z przodu na piżamce miała wizerunek Wonder Ducky.

– O co chodziło panu Sayersowi, dziadku?

– Kiedy?

– W helikopterze, jak wracaliśmy. Powiedział: „No, to dziś naprawdę daliśmy Charliemu popalić”. Kto to jest Charlie, dziadku?

– Głupia jesteś – zachnął się Sammee. – Charlie to Wietkong. Ci źli.

– Ale dlaczego nazywa się ich Charlie, dziadku? – nie ustępowała Elizabeth. W blasku nieruchomych wybuchów na ekranie jej twarz przybrała pomarańczowy odcień.

– Nie pamiętam – powiedział Disantis. Przystanął jeszcze z dłonią na kłame.

– Radzę się wam położyć, zanim tata przyjdzie. Jutro czeka was mnóstwo atrakcji.

Później, już w swoim pokoju, w ciszy męczonej tylko szumem klimatyzatora, zdał sobie sprawę, że naprawdę nie pamięta, dlaczego tych z Wietkongu przezwano „Charlie”. Ciekawe, czy kiedykolwiek to wiedział.

Zgasił światło i otworzył przesuwane drzwi balkonowe. Wyszedł przez nie i wilgotne powietrze okryło go jak koc. Trzy piętra niżej Justin, Sayers i pozostali nadal pili, ich śmiech mieszał się z grzmotami burzy przewalającej się po odległym, ciemnym widnokręgu.

Następnego dnia w drodze na piknik Sayers zdetonował claymore'a.

Przewodnik poprowadził ich na symulowany patrol wąską ścieżką w dżungli. Sayers prowadził, ale niespecjalnie patrzył, gdzie idzie, pogrążony w rozmowie z wielebnym Dewittem, kaznodzieją radiowo-telewizyjnym z Dothan w Alabamie. Justin i Heather szli razem z państwem Newtonami, parą młodych ludzi z Deptford. Disantis rozdzielał Sammee'ego i Elizabeth, żeby się nie kłócili.

Sayers zahaczył o przeciągnięty w poprzek ścieżki cienki drut-potykaniec. Metr przed nim kawał darni wystrzelił w powietrze, claymore wyskoczył na trzy metry w górę i eksplodował chmurą białego dymu.

– Psiakrew – zaklął Sayers. – Przepraszam, wielebny.

Wietnamski przewodnik podszedł do nich, uśmiechnął się przepaszająco i założył mu na ramię czerwoną opaskę z napisem ZABITY. Dewitt i Tom Newton dostali opaski RANNY.

– Czy to znaczy, że nie będę mógł wziąć udziału w pikniku? – zaniepokoił się Sayers.

Przewodnik z uśmiechem zaczął instruować pozostałych, jak na pobliskiej polance należy przygotować SL do ewakuacji rannych. Porucznik Naguchi z Minhem wycięli maczetami zarośla, a Heather i Sue Newton rozłożyły znaczniki z fluorescencyjnego pomarańczowego plastiku. Sammee'emu pozwolono odpalić zieloną świecę dymną.

Podmuch powietrza spod wirnika sfatygowanego śmigłowca przypłaszczył wysoką trawę i zwiął białą tenisową czapkę z głowy Disantis. Wyciągnięci na noszach Sayers, Dewitt i Newton podparli się na łokciach i machali na pożegnanie, gdy ładowano ich do maszyny. Gdy helikopter skurczył się do rozmiarów tętniącej kropeczki na niebie, ruszyli w dalszą drogę.

Teraz Justin szedł pierwszy. Poruszał się ostrożnie, gestem podniesionej ręki często dawał znać pozostałym, żeby się zatrzymali. Po drodze natknęli się jeszcze na dwa potykacze i odcinek ścieżki dosłownie usiany tradycyjnymi minami przeciwpiechotnymi. Przewodnik pokazał wszystkim, jak sprawdzać drogę przed sobą bagnietem. Ostatnie pół kilometra szli w trawie po jednej lub drugiej stronie ścieżki.

Pole piknikowe znajdowało się na pagórku z widokiem na morze. Pod wiatą krytą strzechą ustawiono trzy stoły z wyłożonymi składnikami do kanapek, sałatkami, owocami i schłodzonym piwem. Sayers, Newton i Dewitt już byli na miejscu, pomagali dwóm przewodnikom opieką hamburgery i hot-dogi na opalanych węglem drzewnym grillach.

– Co tak długo? – Sayers zaśmiał się basowo.

Po długim lunchu część turystów zeszła na plażę, żeby popływać, poopalać się albo zdrzemnąć. W dżungli nieopodal pawilonu piknikowego Sammee

znalazł wejście do tuneli i kilkanaścioro dzieci zebrało się tam wokół przewodnika, który pokazywał im, jak wrzuca się do tunelu granaty gazowe, odłamkowe i ogłuszające, zanim będzie można do niego zejść i go przeszukać. Następnie dzieci w towarzystwie kilkorga młodszych dorosłych wczołgały się środka, żeby zbadać podziemny kompleks. Disantis słyszał ich podniecone krzyki, kiedy siedział samotnie przy jednym z piknikowych stołów, sączył piwo i patrzył na morze. Słyszał również rozmowę córki z Sue Newton, które przysiadły na ręcznikach plażowych parę metrów od niego.

– Chcieliśmy zabrać tatę, ale odmówił – mówiła Newton. – Na to Tommy: „Nie, to nie, skoro i tak rząd za to płaci, jedźmy sami”. No i przyjechaliśmy.

– My myśleliśmy, że mojemu ojcu dobrze to zrobi – powiedziała Heather. – Mnie jeszcze wtedy nie było na świecie, ale kiedy w latach siedemdziesiątych wrócił z wojny, nawet nie przyjechał do domu, do mamy. Przez dwa lata mieszkał w lasach w Oregonie, Washingtonie czy gdzieś tam.

– Poważnie? Mój tak nie wariował.

– Z czasem mu się poprawiło. Przez ostatnie dziesięć lat to już w ogóle było spoko, ale na terapii zalecili mu udział w Wycieczce Weterana, a jak jeszcze Justin dostał urlop, bo salon świetnie prosperuje...

Rozmowa zesłała na dzieci. Wkrótce potem lunęło jak z cebra i trzy hueye i ocieżały chinook zabrały turystów z powrotem do Sheratona. Podczas krótkiego lotu kilkanaście osób z grupy Disantisa gromko śpiewało *Ninety-nine Bottles of Beer on the Wall*.

Na popołudnie nie zaplanowano żadnych atrakcji, więc po burzy część grupy wybrała się na zakupy do jednego z wielkich centrów handlowych pomiędzy kompleksem hotelowym i parkiem tematycznym. Disantis podjechał elektrycznym autobusem do centrum Sajgonu i do wieczora spacerował po ulicach.

Nowa nazwa miasta – Ho Chi Minh City – niespecjalnie się przyjęła i na początku lat dziewięćdziesiątych metropolię oficjalnie przemianowano z powrotem na Sajgon. Dzisiejszy Sajgon w niczym nie przypominał tętniącego życiem kłębowa pieszych, motocykli, barów ze striptizem, knajp i tanich hotelików, które Disantis pamiętał sprzed czterdziestu lat. Zagraniczny kapitał poszedł w całości na turystyczne enklawy w pobliżu parku, a samo miasto bardziej kojarzyło się z szarą epoką Nowego Socrealizmu niż gorączkowo pulsującym starym Sajgonem. Po obu stronach ruchliwych alei wznosiły się

funkcjonalne, pozbawione charakteru wysokościorce i tylko z rzadka Disantisowi udawało się zajrzeć w zapuszczoną przecznicę przywodzącą na myśl zabałaganioną, ale stylową Tu-Do Street z końca lat sześćdziesiątych.

Kiedy czekał na zmianę świateł przy Thong Njut Boulevard, dołączył do niego Nguyen van Minh.

– Dobry wieczór, panie Disantis.

– Dobry wieczór.

Minęli park, w którym niegdyś stał Pałac Niepodległości.

– Podoba się tu panu? – zapytał Wietnamczyk, poprawiając okulary. – Odnajduje pan znajome miejsca?

– Nie. A pan?

Minh przystanął i rozejrzał się, jakby wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo – przyznał. – Oczywiście rzadko bywałem w Sajgonie, nasza wioska znajdowała się w innej prowincji. Mój oddział stacjonował blisko Da Nang.

– Armia Republiki Wietnamskiej?

– Hac Bao. Czarne Pantery, Pierwsza Dywizja. Pamięta pan może?

Disantis pokręcił głową.

– Byliśmy... Nie jestem z tego dumny, ale budziliśmy największy postrach ze wszystkich oddziałów walczących na południu, z Amerykanami włącznie. Hac Bao napawało komunistyczną partyzantkę lękiem przez dziesięć lat przed upadkiem miasta.

Disantis zatrzymał się, żeby kupić lody cytrynowe od ulicznego sprzedawcy. Wzdłuż alei zapalały się latarnie.

– Widzi pan ambasadę? – spytał Minh, wskazując starawą pięciopiętrową budowlę w głębi parceli obwiedzionej ozdobnym ogrodzeniem.

– To stara amerykańska ambasada? – spytał Disantis bez cienia zainteresowania w głosie. – Myślałem, że dawno ją wyburzyli.

– Ależ skąd, zrobili w niej muzeum. Budynek został pieczołowicie odrestaurowany do pierwotnego stanu.

Disantis kiwnął głową i zerknął na komlog.

– W kwietniu siedemdziesiątego piątego stałem tutaj – mówił dalej Minh. –

Dokładnie w tym miejscu, i patrzyłem, jak śmigłowce zabierają ostatnich Amerykanów z jej dachu. Dopiero trzeci raz byłem wtedy w Sajgonie, prosto po odbyciu czterodniowej kary aresztu.

– Aresztu? – Disantis spojrzał na niego pytająco.

– Tak. Zostałem aresztowany po tym, jak żołnierze z mojego oddziału przejęli ostatniego boeinga siedem dwa siedem z Da Nang do Sajgonu. Musieliśmy

walczyć z cywilami, także kobietami i dziećmi, żeby wdrzeć się na pokład. Byłem wtedy porucznikiem, miałem dwadzieścia trzy lata.

– Wydostał się pan z Wietnamu w czasie największej paniki?

– Wypuścili nas, kiedy armia Wietnamu Północnego dotarła na przedmieścia, ale z kraju wyjechałem dopiero kilka miesięcy później.

– Statkiem? – spytał Disantis. Lody szybko się roztopiały w ciepłym powietrzu.

Minh skinął głową.

– A pan, panie Disantis? Kiedy pan wyjechał?

Disantis wyrzucił papierek z lodów do kosza i oblizał palce.

– Przyleciałem na początku sześćdziesiątego dziewiątego.

– A wyjechał pan...? – nie ustępował Minh.

Disantis zadarł lekko głowę, jakby węszył w powietrzu. Pachniało tropikalną roślinnością, kwitnącymi mimozami, stojącą wodą, rozkładem. Kiedy spojrzął na Minha, w jego niebieskich oczach czaiło się coś mrocznego. Pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Nigdy nie wyjechałem.

Justin, Sayers i Tom Newton podeszli do przewodnika, który siedział sam przy stoliku w głębi hotelowego baru. Zawahali się, spojrzeli po sobie, w końcu Justin wystąpił naprzód.

– Witam – powiedział.

– Dobry wieczór, panie Jeffries.

– Chcieliśmy... znaczy my trzej i jeszcze dwóch gości... chcieliśmy z panem o czymś porozmawiać.

– Jakiś problem z wycieczką? – zaniepokoił się przewodnik.

– Nie, skądże. Wszystko jest w najlepszym porządku. – Justin obejrzał się na pozostałą dwójkę, po czym usiadł i nachylił się do Wietnamczyka. –

Interesowałyby nas... – podjął, zniżywszy głos do chrapliwego szeptu – ...coś wyjątkowego. Coś, co by wykraczało poza standardowy program.

– Tak? – Przewodnik zamrugał. Jego usta ułożyły się w grymas, który nie był do końca uśmiechem.

– Tak. Rozumie pan: coś ekstra.

– Coś ekstra?

Roger Sayers podszedł bliżej.

– Żeby się więcej działało – wyjaśnił.

– Ach tak... – Przewodnik dopił drinka.

Justin znów się ku niemu nachylił.

– Nat Pendrake mówił, że to możliwe – szeptał. – Że załatwia to przez... pana Tho.

– Przez pana Tho? – powtórzył przewodnik beznamiętnie, ale teraz już z całą pewnością się uśmiechał.

– Tak. Nat powiedział też, że taka... akcja specjalna... kosztowałyby koło tysiąca.

– Dwa tysiące – odparł półgłosem przewodnik. – Od osoby.

– Ej no – wtrącił się Sayers. – Nat był tu parę miesięcy temu i mówił...

– Cicho bądź – przerwał mu Justin. – Dobrze, niech będzie – dodał pod adresem przewodnika. – Proszę.

I położył na blacie uniwersalną kartę płatniczą.

Wietnamczyk z uśmiechem odsunął kartę.

– Gotówka, bardzo proszę. Dziś wieczorem. Tylko dolary amerykańskie.

– Nie wiem jak... – zaczął Sayers.

– Gdzie? – zapytał Justin.

– Droga przybrzeżna na tyłach zabudowań technicznych hotelu. O dwudziestej trzeciej.

– W porządku. Do zobaczenia wieczorem.

Przewodnik wstał.

– Życzę panom miłego popołudnia – powiedział i wyszedł.

Pickupy przewiozły pięciu mężczyzn do miejsca w dżungli, w którym kończyła się droga i zaczynała ścieżka. Zeskoczyli na ziemię i ruszyli za przewodnikiem w mrok. Po wieczornym deszczu ścieżka była błotnista, mokre liście smagały ich po uczernionych korkiem twarzach. Justin i Tom Newton trzymali się blisko przewodnika. Dalej, potykając się od czasu do czasu, szli Sayers i pastor Dewitt. Porucznik Naguchi zamykał pochód. Wszyscy byli w mundurach. Każdy miał M-16.

– Psiakrew! – syknął Sayers, oberwawszy gałęzią w twarz.

– Cicho bądź! – zrugął go Justin.

Przewodnik dał im znak, żeby się zatrzymali. Stłoczyli się w miejscu, z którego przez lukę w gęstym listowiu było widać polanę, a na niej tuzin chat oświetlanych blaskiem zawieszonych nad wejściem lamp naftowych.

– Sympatycy Wietkongu – wyjaśnił szeptem przewodnik. – Od nich możecie się dowiedzieć, gdzie się mieści kwatera główna. Tutaj wszyscy znają Wietkong.

– Aha – mruknął Sayers. – Czyli mamy zdobyć informacje, tak?
– Tak.
– Wieśniacy sympatyzują z Wietkongiem? – upewnił się Newton.
– Tak.
– Ilu? – spytał porucznik Naguchi. Ledwie było go słychać wśród wszechobecnego kapania wody z liści.
– Około trzydziestu – odparł przewodnik. – Nie więcej niż trzydziestu pięciu.
– Broń?
– Mogą mieć coś poukrywane po chatach. Uważajcie na młodych, są dobrze wyszkoleni.
Zapadło długie milczenie, wszyscy obserwowali cichą, spokojną wioskę. W końcu Justin wstał i odbezpieczył broń.
– Do roboty – powiedział.
Wyszli na polanę.

Ralph Disantis i Nguyen van Minh siedzieli w ciemnym boksie w starym barze nieopodal dawnej Tu-Do Street. Było późno. Minh był mocno podпиты, Disantis udawał, że sam również jest w podobnym stanie. Ze stojącej w kącie wiekowej szafy grającej sączyły się najnowsze japońskie hity i starocie z lat osiemdziesiątych.

– Przez wiele lat po upadku mojego kraju uważałem, że Ameryka nie ma honoru – mówił Minh. Jedyłą oznaką jego wstawienia była nadzwyczajna staranność, z jaką artykułował każde słowo. – Mieszkałem w Ameryce, pracowałem w Ameryce, stałem się obywatelem amerykańskim i przez cały ten czas uważałem, że Ameryka nie ma honoru. Moi amerykańscy przyjaciele opowiadali mi, że podczas wojny wietnamskiej nowiny z mojego kraju przekazywane były w radiu i telewizji codziennie, rano i wieczorem. A potem, kiedy Sajgon padł, cisza. Nic. Tak jakby moja ojczyzna nigdy nie istniała.

– Hmm... – mruknął Disantis. Dopił drinka i skinął na kelnera, żeby ten przyniósł kolejne.

– Ale pan, panie Disantis, pan jest człowiekiem honoru. Ja to wiem. Ja to czuję. Jest pan człowiekiem honoru.

Disantis kiwnął głową oddalającemu się kelnerowi, wyjął mieszadełko ze swojego nowego kieliszka i położył plastikowy mieczyk obok siedmiu poprzednich. Minh zamrugnął i zrobił to samo.

– Jako człowiek honoru na pewno pan zrozumie, że wróciłem, by pomścić moją rodzinę – podjął.

– Pomścić?

– Brata, który zginął w walce z Wietnamczykami z północy. Ojca, nauczyciela, który spędził osiem lat w obozie reedukacyjnym i zmarł wkrótce po tym, jak go wypuszczono. Siostrę, deportowaną przez reżim za... – Minh zawiesił głos. – Za rzekome występki przeciw moralności. Utonęła, kiedy przeciążony statek poszedł na dno w drodze do Hongkongu.

– Pomścić – powtórzył Disantis. – Jak? Czym?

Minh wyprostował się i obejrzał przez ramię. W pobliżu nikogo nie było.

– Pomszczę honor mojej rodziny poprzez uderzenie w robactwo toczące mój kraj – zapowiedział.

– Aha. Ale czym chce pan uderzyć? Ma pan jakąś broń?

Minh zawahał się, obliznął nerwowo wargi, przez moment wyglądał nawet, jakby trzeźwiał w oczach. Pochylił się nad stolikiem i złapał Disantisa za przedramię.

– Mam – wyszeptał. – Przemyciłem. Dwie sztuki: karabin i mój służbowy pistolet z Hac Bao. – Znow było widać, że się waha. – Panu mogę powiedzieć, panie Disantis. Jest pan człowiekiem honoru.

Tym razem zabrzmiało to jak pytanie.

– Tak. Słucham, proszę mówić.

Justin i jego czterej towarzysze wparowali na polanę z krzykiem, strzelając na prawo i lewo. Nie napotkali oporu. Trzydzieścioro dwoje wieśniaków, głównie starców i dzieci, klęczało teraz w kurzu na środku wioski. Dwie chaty płonęły. Kiedy Sayers niechcący przewrócił lampę w jednej z nich, bambus i strzecha buchnęły ogniem jak od ładunku zapalającego. Próbował brezentową płachtą gasić pożar, ale bez powodzenia. W końcu Justin się zniecierpliwił.

– Rzuć tę szmatę w pizdu i wracaj tutaj! – krzyknął.

Tom Newton przesunął karabinem wzdłuż szeregu kulących się wieśniaków.

– Gdzie Wietkong?! – krzyknął.

– Wietkong! – zawtórował mu Sayers. – Gdzie mają tunele? Gadać, do cholery!

Klęcząca kobieta z dzieckiem na rękach pochyliła się i oparła głowę o ziemię. W blasku ognia cienie przybierały najdziwniejsze kształty. Dym drażnił nozdrza.

– Nie rozumiem – zauważył Dewitt.
– Taaa, nie rozumiem – zachnął się Justin. – Po prostu nie chcą mówić!
Porucznik Naguchi wyszedł naprzód. Stał w swobodnej pozie, ale celował w wieśniaków.
– Panie Jeffries, jeżeli chce pan kogoś przesłuchać, zostań tu na straży.
– Przesłuchać? – powtórzył Justin.
– Tamta chata jest pusta. – Porucznik wskazał ręką. – Stoi też daleko od ognia. Najlepiej przesłuchiwać ich na osobności.
– Fakt, pamiętam. Tom, wybierz jakąś dwójkę z tego stada. Tylko szybko.
Newton najpierw złapał pod rękę młodego mężczyznę i postawił go na nogi, a potem to samo zrobił ze starą kobietą, po czym zaczął ich prowadzić w stronę chaty.
– Tej nie – zaproponował Justin. – Za stara. Weź tę. – Wskazał dziewczynę, która przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami. Wyglądała na piętnaście, może szesnaście lat. – Jej brat albo chłopak na pewno należy do Wietkongu.
Newton pchnął kobietę na ziemię i szarpnął dziewczynę.
Justinowi zaschło w ustach. Za jego plecami płomienie dosięgły trzeciej chaty. Iskry strzelały pod niebo i mieszały się z gwiazdami.

Disantis starannie dołożył dziewiąty plastikowy mieczyk do poprzednich.
– Co z amunicją? – spytał.
Minh powoli zamrugnął.
– Trzy tysiące sztuk do karabinu – odparł z uśmiechem. Jak w zwolnionym tempie uniósł kieliszek, napił się, przełknął. – Trzydzieści magazynków naboju kaliber .45 do pistoletu. Wystarczy... – Zawiesił głos, zachwiał się, wyprostował. – Wystarczy, żeby załatwić sprawę, prawda?
Disantis rzucił kolorowe banknoty na stół, pomógł Minhowi wstać i zaczął go prowadzić do wyjścia. Minh wczepił się obiema rękoma w jego jedną i nachylił ku niemu.
– Wystarczy, prawda?
– Tak. – Disantis pokiwał głową. – W zupełności.

– Szlag by to... – mruknął Newton. – Nic nam nie powie.

Młody mężczyzna z wioski klęczał przed nimi na ziemi. Obciągnięta czarna koszula krępowała mu ręce, krew ściekała z nosa i kącików ust. Na piersi miał liczne ślady przypalania papierosami.

– Dajcie tu tę dziewczynę – polecił Justin.

Sayers pchnął Wietnamkę na kolana, złapał ją garścią za włosy i szarpnął do tyłu.

– Gdzie jest Wietkong? – zapytał Justin. Przez otwarte drzwi do środka sączył się dym. – Tunele? Wietkong?

Dziewczyna milczała, ciemne oczy miała szeroko otwarte ze strachu, spomiędzy lekko rozchylonych warg wyzierały drobne białe zęby.

– Złapcie ją pod ręce – polecił Justin Newtonowi i Sayersowi.

Z pochwy u pasa wyjął długi nóż, wsunął jego czubek od dołu pod zapinaną z przodu bluzkę dziewczyny i pociągnął w górę. Materiał popękał i ustąpił. Dziewczyna dyszała ciężko i szarpała się w uścisku, ale dwaj Amerykanie trzymali mocno. Piersi miała małe, stożkowate, pokryte cieniutką warstewką potu.

– Jezu... – mruknął Newton i parsknął śmiechem.

Justin ściągnął dziewczynie spodnie, odtrącił jej kolano w bok, kiedy próbowała kopać, i za pomocą noża oswobodził jej kostki.

– Ej! – krzyknął nagle Sayers.

Młody Wietnamczyk zerwał się na równe nogi i próbował wyplątać się z koszuli. Justin odwrócił się, upuścił nóż, uniósł karabin i strzelił trzy razy w krótkich odstępach. Krwawe mięso eksplodowało z piersi, szyi i policzka mężczyzny, który wierzgnął, osunął się na ziemię, zadygotał i znieruchomiał w rozlewającej się coraz szerzej czerwonej kałuży.

– Jezu... – powtórzył Newton. – Chryste Panie, to jest coś...

– Zamknij się – uciszył go Justin. Oparł kolbę karabinu na obojczyku oszołomionej dziewczyny i pchnął ją na wznak na ziemię. – Przytrzymajcie jej nogi. Jedziemy po kolei.

Disantis odprowadził Minha do jego pokoju w hotelu, położył go do łóżka, po czym wrócił do siebie i wyszedł na balkon. Było po trzeciej, kiedy jego zięć i czterej jego kompani zmaterializowali się z ciemności i usiedli przy jednym z okrągłych stolików na pustym o tej porze tarasie. Puszki po piwie trafiały do kosza, nowe syczały przy otwieraniu, na górę dolatywały strzępki rozmów.

– Jak w ogóle doszło do tej strzelaniny, ktoś wie? – pytał Justin.

Odpowiedziały mu pijackie chichoty.

– Jeden próbował uciekać – zabrzmiał rzeczowy głos z japońskim akcentem.

– Pastor otworzył ogień. Ja się przyłączyłem, żeby się nie rozbiegli.

– ...i ten mózg na ścianach... – Disantis rozpoznał głos Sayersa. – Ciekaw jestem, jak to zrobili.

– Woreczki z krwią i ładunki wybuchowe rozmieszczone co sześć centymetrów pod syntetyczną skórą – odparł bełkotliwie młody mężczyzna, Newton. – Pracowałem kiedyś dla Disneya, znam się trochę na animatronach.

– O ile to były animatrony – zauważył Sayers.

Ktoś zaniósł się śmiechem.

– Dobrze wiesz, że tak – odparł Justin. – W ogóle nie wyszliśmy poza park. Dziesięć tysięcy dolców, psiakrew!

– To wszystko było takie... prawdziwe. – Disantis rozpoznał głos kaznodziei. – Oprócz kul, jak rozumiem.

– No chyba – potwierdził Newton. – Do diabła, nie mogą... wybaczyć, wielebny... nie mogą rozdawać ostrej amunicji, bo by im się klienci nawzajem pozabijali.

– No to jak...

– Lasery impulsowe – powiedział Justin. – Ultrafiolet.

– Odpalają ładunki pod skórą – przytaknął Newton. – Łatwizna.

– Ale krew... – poniósł się w ciemności głos wielebnego. – I mózg. Odłamki kości...

– Dobra, dobra, wystarczy! – Sayers podniósł głos, aż pozostali zaczęli go uciszać. – Dajcie spokój, powiedzmy sobie uczciwie: to było warte tych pieniędzy. Kupią za to masę części zamiennych.

– Za taką kasę można kupić całkiem sporo nowych żółtków na wymianę – zauważył Newton. Odpowiedziały mu stłumione śmiechy. – Ale naprawdę, Jezu... Widzieliście, jak się ta dziewczyna wiła, kiedy Jeffries zaczął ją posuwać?

Disantis słuchał jeszcze przez kilka minut, zanim wycofał się do pokoju i starannie zamknął drzwi.

Poranek wstał prześliczny. Wysoko wypiętrzone białe chmury kłębiły się nad morzem na wschodzie. Rodzina nieśpiesznie jadła śniadanie na hotelowym tarasie. Sammee i Elizabeth dostali jajka, tosty i płatki. Heather wzięła omlet.

Disantis zamówił kawę. Justin się spóźnił: przyszedł, trzymając się obiema rękami za głowę, i poprosił o krwawą mary.

– Późno wróciłeś, skarbie – zauważyła Heather.

– No... – Justin masował sobie skronie. – Poszliśmy z Tomem i resztą pograć w pokera.

– I dzisiaj ominęło cię niezłe zamieszanie, tato – wtrącił Sammee.

– Tak? – Justin napił się i skrzywił. – A co się działo?

– Rano aresztowali pana Minha – odparł zadowolony z siebie chłopak.

– Serio? – Justin spojrzał pytająco na żonę.

– Tak, kochanie. Przyszli po niego z samego rana. Chodziło o jakąś kontrabandę w bagażu.

– No właśnie. – Sammee znów włączył się do rozmowy. – Słyszałem, jak taki jeden pan na dole mówił komuś, że pan Minh przemycił karabin. No wiesz, taki jak nasze, tylko prawdziwy.

– A niech mnie... – mruknął Justin. – I co teraz? Stanie przed sądem?

– Nie – odpowiedział Disantis. – Po prostu kazali mu się wynosić. Wsadzili go w pierwszy samolot do Tokio.

– Świrów nie brakuje... – Justin otworzył menu. – No dobrze, chyba pora coś zjeść. Zdążę przed poranną wycieczką?

– Spokojnie – zapewniła go Heather. – Dzisiaj wylot jest zaplanowany na pół do jedenastej, mamy lecieć gdzieś w górę rzeki. Tata mówi, że powinno być ciekawie.

– Mnie się to wydaje okropnie nudne – poskarżyła się Elizabeth.

– Tobie wszystko wydaje się nudne, głupia – odparował Sammee.

– Cicho bądźcie – powiedziała Heather. – Przyjechaliśmy tu dla dziadka. Jedzcie płatki.

Dwadzieścia osiem hueyów jeden za drugim wspięło się ponad drzewa, weszło na pułap trzech tysięcy stóp i rozproszyło do formacji szturmowej. Osiedla mieszkalne i drogi szybkiego ruchu ustąpiły miejsca dżungli i poletkom ryżowym: wlecieli na teren parku. Znajdowali się nad rzeką i przemieszczali w kierunku zachodnim. Płynący puchówkami pod prąd wieśniacy zadzierali głowy i machali do helikopterów.

Siedzący w otwartych drzwiach Disantis wczepił się rękami w siatkę zabezpieczającą i zwiesił nogi za burtę. Na plecach miał niebieski plecak Sammee'ego. Justin drzemał na miękko wyściełanej ławce. Siedząca u Heather

na kolanach Elizabeth marudziła, że jej gorąco. Sammee kręcił ciężkim M-60 na boki i wydawał odgłosy, jakby strzelał.

Przewodnik włączył mikrofon do gniazdka w ścianie.

– Panie i panowie, dzisiaj udajemy się na misję w górę Mekongu. Nasz cel jest dwojaki: mamy przechwycić nielegalne jednostki pływające oraz zbadać rejon dżungli w pobliżu drogi numer jeden, skąd doniesiono o ruchach wojsk Północy. Po zakończeniu misji czeka nas zwiedzanie osiemsetletniej świątyni buddyjskiej, po czym zaprosimy państwa na lunch.

Dudniący wirnikami śmigłowiec leciał na północny zachód. Elizabeth marudziła, że jest głodna. Pastor Dewitt próbował wciągnąć pasażerów do wspólnego śpiewania piosenek turystycznych, ale zainteresowanie było niewielkie. Tom Newton pokazywał żonie mijane po drodze znane z lekcji historii miejsca i obiekty. Justin przebudził się na chwilę, zrobił serię zdjęć nikonem i znów zasnął.

Niedługo potem przewodnik znów zabrał głos:

– Wkrótce skęcimy na południe. Proszę uważnie obserwować powierzchnię rzeki. Interesują nas wszystkie małe łodzie, które wydadzą się podejrzanе albo spróbują uciekać na nasz widok. Mekong zobaczymy już za kilka minut.

– Nie, nie zobaczymy – powiedział Disantis. Sięgnął pod kwiecistą koszulę i wyjął zatknięty za pasek ciężki pistolet kaliber .45. Wycelował przewodnikowi w twarz. – Proszę powiedzieć pilotowi, żeby skierował maszynę na północ.

W kabinie rozległ się szmer podekscytowanych szeptów. Przewodnik się uśmiechnął.

– Niezbyt zabawny ten żart, panie Disantis. Pozwoli pan, że obejrzę...

Disantis strzelił. Pocisk rozorał miękką wyściółkę ściany trzy centymetry od twarzy przewodnika. Pasażerowie zaczęli krzyczeć, przewodnik zadygotał i odruchowo podniósł ręce do góry. Disantis odwrócił się i podciągnął nogi do kabiny.

– Na północ, proszę. Ale już.

Przewodnik powiedział coś pośpiesznie do mikrofonu, rzucił dwiema monosylabami w odpowiedzi na pytania pilota, których nikt inny nie słyszał, i huey wyłamał się z szyku. Lecieli na północ.

– Ależ tato... – zdumiała się Heather.

– Kurwa, Ralph, co ty wyrabiasz? – zachnął się Justin. – Oddaj mi ten zabytek, zanim komuś stanie się...

– Stul pysk – odparował Disantis.

– Panie Disantis, na pokładzie są kobiety i dzieci – odezwał się pastor. – Gdybyśmy mogli po prostu porozmawiać...

– Odłóż broń, Ralph – warknął gniewnie Justin, wstając z ławki.

– Cisza. – Disantis skinął pistoletem w jego stronę; mężczyzna zamarł. – Jeśli jeszcze ktoś się odezwie, zastrzelę go.

Sammeo otworzył usta, spojrzął na twarz dziadka... i postanowił siedzieć cicho. Przez kilkanaście minut było słycać tylko łoskot wirnika i cichutkie pochlipywanie Heather.

– Posadźcie nas tutaj – polecił w końcu Disantis, który przez cały czas obserwował dżunglę. Chciał mieć pewność, że znajdą się daleko poza parkiem. – Tu będzie dobrze.

Przewodnik zawahał się, ale w końcu powiedział coś szybko po wietnamsku do mikrofonu i śmigłowiec zaczął się zniżać, po spirali schodząc w stronę wskazanej przez Disantis polanki. Od wschodu zbliżały się już dwa czarne poduszkowce sajgońskiej policji. Leciały dziesięć metrów ponad koronami drzew, podmuch spod ich fartuchów rozwiewał gęste listowie.

Płazy hueya dotknęły ziemi, wysoka trawa gięła się ku ziemi pod naporem powietrza z wirnika.

– No, dzieciaki, wysiadka – powiedział Disantis.

Działł szybko: pomógł Elizabeth wysiąść i ściągnął Sammeo'ego z jego grzędy, zanim Heather zdążyła go złapać. Na koniec sam zeskoczył na ziemię.

– No nie, kurwa – powiedział Justin. – Mowy nie ma.

I też wyskoczył ze śmigłowca.

Disantis z dziećmi zdążyli się oddalić na kilka kroków i przykucnąć w trawie. Disantis odwrócił się i strzelił. Trafiony w lewą nogę Justin okręcił się w miejscu i upadł do tyłu, w stronę drzwi maszyny. Pasażerowie z krzykiem rzucili się naprzód, żeby wciągnąć go do środka.

– To jest naprawdę – powiedział półgłosem Disantis. – Żegnam.

Strzelił jeszcze dwa razy przed dziób śmigłowca, a potem wziął Elizabeth za rękę i pociągnął ją w stronę lasu. Mrowie rąk pomogło Justinowi wgramolić się na pokład, huey wystartował i szybko wzbił się ponad drzewa. Sammeo przez chwilę się wahał, patrząc w puste niebo, aż wreszcie – potykający się i wstrząsany spazmami płaczu – ruszył za siostrą i dziadkiem.

– Ćśś... – Disantis wciągnął go w głąb litych ścian roślinności.

Wąska ścieżka biegła stąd w głąb dżungli. Zdjął plecak, wyjął z niego magazynek, odblokował i wyrzucił z rękojeści pistoletu stary, po czym nasadą dłoni wbił nowy na jego miejsce. A potem złapał oboje wnuków za ręce i zaczął biec, najszybciej jak się dało, wokół polanki, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Starał się trzymać samego skraju dżungli i ani na moment z niej nie wychylać. W końcu zatrzymał się i popchnął dzieci w kryjówkę za zwałonym drzewem.

Elizabeth się rozplakała.

– Ćśś, cicho – uspokoił ją dziadek.

Huey prędko wrócił. Przewodnik wyskoczył na ziemię i maszyna natychmiast ostro wzbiła się z powrotem w powietrze. Sekundę później pierwszy policyjny poduszkowiec z rykiem przesadził drzewa na krawędzi polany i wylądował obok mężczyzny. Dwaj funkcjonariusze, którzy z niego wysiedli, byli ubrani w czarne kamizelki kuloodporne i uzbrojeni w uzi. Przewodnik wskazał im miejsce po drugiej stronie polany, gdzie Disantis zniknął w dżungli.

Wycelowali broń i zrobili krok w tamtą stronę. Disantis wyszedł z gąszczu i ruszył za nimi. Znalazłszy się pięć kroków za ich plecami, przyklęknął, ujął pistolet oburącz i strzelił, kiedy zaczęli się odwracać. Pierwszy dostał w twarz. Drugi zdążył unieść broń do strzału, zanim dwie kule trafiły go w pierś – nie przebiły wprawdzie kamizelki, ale ich impet powalił go na plecy. Disantis podszedł, wycelowął z wyprostowanej ręki i strzelił policjantowi w lewe oko.

Przewodnik okręcił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Disantis strzelił za nim raz, a potem przykucnął obok zabitego policjanta, owionięty falą gorącego powietrza. Kiedy zawieszony na wysokości dziesięciu metrów poduszkowiec ruszył w stronę drzew, Disantis sięgnął po policyjne uzi i strzelił serią. Nawet nie próbował celować. Mały pistolet maszynowy wierzgał i błyskał, wyrzucając w powietrze dwa tysiące fleszetek na sekundę. Disantisowi mignęła jeszcze twarz pilota – tuż przed tym, jak szklana kopuła kabiny popękała tysiącem rys i eksplodowała chmurą białego pyłu. Poduszkowiec przechylił się ciężko w lewo i wrył w ścianę lasu. Rozległ się łoskot niszczonej maszynerii i trzask łamanych drzew, ale obeszło się bez eksplozji.

Disantis zdążył się skryć w dżungli tuż przed pojawieniem się drugiego pojazdu, który zatoczył krąg nad polaną, a potem wystrzelił pionowo w górę i rozpląnął się na tle słońca.

Ponownie wziął wnuki za ręce i ponaglił je do biegu po obwodzie polany. Dotarli do miejsca, w którym przewodnik przepadł w lesie, i do początku wąskiej ścieżki. Disantis przykucnął i dotknął wysokiego źdźbła trawy z boku ścieżki. W cętkowanym świetle było widać kropelki krwi. Obwąchał palce, podniósł wzrok na blade buzie Sammee’ego i Elizabeth. Już nie płakali.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł cichym, kojącym głosem.

Z góry i z za ich pleców dobiegał hurgot wirnika i ryk silników. Disantis najdelikatniej, jak się dało, odwrócił dzieci w miejscu i zaczął je prowadzić ścieżką w głąb dżungli. Nie protestowały. W lesie było ciemniej, ciszej, chłodniej. Szkarłatne plamki znaczyły szlak. Dzieci szły szybko, żeby dotrzymać kroku dziadkowi.

– Wszystko będzie dobrze – szeptał i z dłońmi opartymi na ich ramionach kierował ich krokami. – Wszystko będzie dobrze. Znam drogę.

Wstęp do „Wądołów Iwersona”

My, Amerykanie, mamy talent do nadawania naszym sanktuariom narodowym skrajnie pospolitego, taniego, jarmarcznego charakteru. Może to dlatego, że jesteśmy zbyt młodzi, by mieć prawdziwe wycucie historii. A może dlatego, że nasz kraj (nie licząc Konfederacji) nigdy nie był bombardowany, okupowany ani nawet najeżdżany przez obce mocarstwa (nie, nie liczę Brytyjczyków, którzy spalili Waszyngton; niewielu Amerykanów w ogóle zauważyło ten fakt, a jeszcze mniej się nim przejęło). Dlatego nad naszymi sanktuariami nie unosi się prawdziwy duch ofiary i poświęcenia.

Są, rzecz jasna, wyjątki, nieliczne miejsca pamięci, które opierają się tym próbom spospolitowania. Trudno jest stanąć o północy przed pomnikiem Lincolna i nie poczuć się jak pan Smith, który właśnie przybył z prowincji do Waszyngtonu; po swojej pierwszej nocnej wizycie w tym miejscu jakałem się przez trzy dni jak Jimmy Stewart. Jeśli jednak postoi się tam dłużej, można prawie usłyszeć, jak po drugiej stronie marmurowej ściany biurokraci naradzają się z macherami od Disneya. I może się okazać, że za sześć miesięcy staruszek Abe wstanie, głosem Hala Holbrooka wyrecytuje swoje przemówienie inauguracyjne drugiej kadencji, a potem przejdzie w bród przez Reflecting Pool i zacznie stepować na Constitution Avenue.

A wszystko to będzie utrzymane w najlepszym guście, ma się rozumieć.

Ale pola bitew wojny secesyjnej to zupełnie co innego.

Prawdopodobnie byliście w Gettysburgu. Mimo najszerszych wysiłków dobrych ludzi, żeby ochronić to miejsce, zostało ono zaśmiecone masą posągów i pomników. Pracownicy Gettysburg National Military Park postawili monstrualną falliczną wieżę w najwyższym punkcie parku, przez co nie ma już ucieczki przed najazdem dwudziestowiecznej brzydoty. W muzeum skomputeryzowane dioramy migają światłkami, a w miejscowych sklepikach można kupić pamiątkowe koszulki.

To wszystko jest bez znaczenia. Zupełnie bez znaczenia.

Podobnie jak dziesiątki innych, mniej sławnych pobojuwisk wojny secesyjnej, Gettysburg emanuje obezwładniającą aurą słuszności, niemal fizycznie oddziałującą na każdego odwiedzającego, z intensywnością, której trzeba

doświadczyć, żeby w nią uwierzyć. To miejsce zapada w pamięć na wielu poziomach. Żaden szkocki zamek, druidyczny kromlech ani komora grobowa w piramidzie faraona nie są równie upiorne; żadne z nich nie przenosi tak licznych głosów umarłych wprost do uszu żywych.

Niewiele jest też miejsc równie spokojnych i zarazem poruszających.

Napomknę tylko, że to opowiadanie wyrosło – jak najdosłowniej – zaledwie z jednego przypisu. Starłem się jednak, by wszystkie detale składające się na jego tło pozostały jak najbliższe faktom. Zbiorowe mogiły istniały naprawdę. Jedna z relacji zamieszczonych w klasycznej pozycji *High Tide at Gettysburg* Glenna Tuckera wspomina o nich następująco:

„Ten rejon poboju miały ponoć nawiedzać nieszczęśliwe duchy posłanych na rzeź żołnierzy z Karoliny Północnej. Porucznik Montgomery wrócił tu trzydzieści pięć lat po bitwie, w roku 1898, i od Johna S. Forneya usłyszał, że od dawna nad okolicą zalega cień przesądnej zgrozy, a robotnicy nie chcą pracować po zmierzchu na tutejszych polach”.

Oczywiście mój pułkownik Iverson jest postacią fikcyjną. Prawdziwy pułkownik Alfred Iverson Jr. naprawdę posłał swój pułk na rzeź i naprawdę stracił stanowisko dowódcy po tym, jak jego ludzie – ci nieliczni, którzy przeżyli – odmówili dalszego wykonywania jego rozkazów. Nic jednak nie wskazuje na to, by był kimś innym niż niekompetentnym karierowiczem awansowanym z powodów politycznych.

Niejaki Jessup Sheads naprawdę zbudował dom w pobliżu miejsca, w którym 97 Pułk Nowojorski starł się z 12 Pułkiem Karolińskim. Miejscowi historycy potwierdzają, że chętnie częstował gości winem z winorośli, która wybujała niesłychanie na Wądołach Iversona.

Wądoły Iwersona

W dzieciństwie nie bałem się ciemności. Z czasem dorosłem i zmądrzałem, ale w tamto odległe lato 1913 roku byłem dziesięcioletnim chłopcem przymuszonym do bliskiego spotkania z ciemnością, która dziś jest ode mnie na wyciągnięcie ręki. Pamiętam jej smak. Nawet teraz, trzy czwarte stulecia później, ilekroć przekopuję czarną ziemię w ogrodzie albo po zachodzie słońca stoję samotnie w trawiastej ciszy podwórka przed domem mojego wnuka, czuję na karku muśnięcia lodowatych palców.

Mówi się, że przeszłość jest martwa i pogrzebana raz na zawsze, ale nawet najgłębiej zakopane rzeczy mają połączenie z teraźniejszością, ich stare, sękatę korzenie wychodzą na powierzchnię. Jestem jedną z takich rzeczy, chociaż nie mam z kim się połączyć. Nie mam z kim porozmawiać. Moja córka dorosła i zmarła na raka w 1953 roku. Mój wnuk, Paul, mężczyzna w średnim wieku, jest wytworem lat prezydentury Eisenhowera, niekończącego się okresu dojrzewania, gdy cały świat, utuczony i pewny siebie, spokojnie patrzył w przyszłość. Od dwudziestu trzech lat wykłada nauki przyrodnicze w miejscowej szkole średniej. Gdybym miał mu zrelacjonować wydarzenia tamtego upalnego lipcowego dnia i nocy z 1913 roku, pomyślałby, że zwariowałem. Albo że dosięgnął mnie uwiąd starczy.

Moje prawnuki – chłopiec i dziewczynka w wieku, w którym nie ma powodu zwracać uwagi na takie drobiazgi jak różnica płci – nie potrafiłyby sobie wyobrazić przeszłości tak antycznej i niemożliwej do wskrzeszenia jak moje dzieciństwo przed pierwszą wojną światową ani (tym bardziej) surowej i krwawej rzeczywistości wojny secesyjnej, z której pochodzi mój mroczny przekaz. Są równie barwne i bezmyślne jak gupiki, które Paul trzyma w swoim kosztownym akwarium, wolne od potworności i pływów oceanu historii, spokojne w swojej niemal absolutnej niewiedzy o tym, co było przed nimi, big makiem i MTV.

Siedzę więc samotnie na werandzie na tyłach domu Paula (dlaczego, usiłuję sobie przypomnieć, porzuciliśmy frontowe ganki i przestaliśmy się interesować wspólnymi ulicami i chodnikami, przedkładając nad nie odosobnienie

prywatnych, grodzonych podwórek?) i wpatruję się w stare zdjęcie dziesięciolatka w mundurku skauta.

Jest ubrany stanowczo za ciepło na taki gorący letni dzień, jego drobna sylwetka znika pod kapeluszem z szerokim rondem, tonie w grubej wełnianej koszuli, workowatych wełnianych spodniach i niezgrabnych owijaczach zasznurowanych niemal na wysokości kolan. Nie uśmiecha się: poważny miniaturowy *doughboy*³ na cztery lata przed tym, jak to słowo na dobre zadomowiło się w języku. Ten chłopiec to oczywiście ja. Jest czerwiec, a ja stoję przed należącym do pana Everetta wozem do transportu lodu, tuż przed wyruszeniem w podróż znacznie dłuższą, niż komukolwiek z nas się śniło, i prowadzącą do miejsc wprost niewyobrażalnie odległych.

Patrzę na fotografię i wiem, że wozy przewożące lód istnieją dziś wyłącznie jako blaknące wspomnienia w głębi starzejących się czaszek; że widoczny w tle dom dawno został wyburzony, a na jego miejscu stanęła kamienica, którą z kolei zastąpiło centrum handlowe; że wełna, skóra i bawełna zetlały i zgniły, z mundurka zostały tylko mosiężne guziki, a z samego skauta tylko chłopiec, który nie wiadomo gdzie się zapodział. Paul mógłby powiedzieć swoim uczniom, że każda komórka ciała tego poważnego dziesięciolatka kilkakrotnie obumarła i została odtworzona (wydaje mi się, że z gorszym skutkiem niż w wersji pierwotnej). Dodałby, że samo DNA się nie zmieniło, po czym wdałby się w wyjaśnienia, z których wyszłoby, że na dobrą sprawą jedyną formę ciągłości pomiędzy mną dzisiejszym i ówczesnym zapewnia jakiś ślepy architekt-pasożyt, uśmiechający się z wyższością ze wszystkich niespokrewnionych poza tym komórek mojego ciała wtedy i dziś.

Patrzę na szczupłą twarz, wąskie wargi, przymrużone oczy oślepienie blaskiem słońca o siedemdziesiąt pięć lat młodszego (i o tyleż gorętszego, o czym wiem doskonale mimo wszelkich racjonalnych przesłanek wypływających z lekcji Paula) i wyczuwam nic pokrewieństwa łączącą tego niczego niepodejrzewającego dziesięcioletniego chłopca – jakież on jest pewny siebie jak na takiego młodzika; jaki nieustraszony – ze starym człowiekiem, który nauczył się bać ciemności.

Żałuję, że nie mogę go przestrzec.

Przeszłość jest martwa i pogrzebana raz na zawsze, ale ja już wiem, że to, co pochowane, potrafi w najmniej oczekiwanym momencie ponownie wydostać się na światło dzienne.

Latem 1913 roku Pensylwania szykowała się do absolutnie bezprecedensowego najazdu emerytowanych żołnierzy. Ministerstwo Wojny rozesłało zaproszenia na Wielki Zjazd Weteranów Wojny Secesyjnej dla upamiętnienia pięćdziesiątej rocznicy trzydniowej bitwy pod Gettysburgiem.

Przez całą wiosnę filadelfijskie gazety ze szczegółami rozpiszywały się o planowanej feście. Początkowo spodziewano się przybycia czterdziestu tysięcy weteranów. W połowie maja liczba ta wzrosła do pięćdziesięciu czterech tysięcy i parlament musiał przegłosować specustawę o zwiększeniu budżetu armii. Celia, kuzynka mojej matki, pisała do nas z Atlanty, że Córy Konfederacji i inne grupy stowarzyszone ze Związkiem Weteranów Konfederackich robią, co w ich mocy, żeby wysłać swoich starszków na północ w tej ostatniej próbie inwazji.

Ojciec nie był żołnierzem. Przed moim urodzeniem zatarg z Hiszpanią nazywał „wojną pana Hearsta”, a pięć lat po Zjeździe Gettysburskim konflikt w Europie określił mianem „wojny pana Wilsona”. Wtedy byłem już w szkole średniej i moi koledzy z klasy nie mogli się doczekać, kiedy się zaciągną i pokażą barbarzyńskim Hunom, gdzie raki zimują. Ja jednak podzielałem poglądy ojca. Dość się naoglądałem wojennej spuścizny.

Jednakże na przełomie wiosny i lata roku 1913 oddałbym wszystko za to, by dołączyć do weteranów w Gettysburgu, wysłuchać rocznicowych przemówień, zobaczyć powiewające na wietrze proporce, a potem przycupnąć na Devil's Den i śledzić ostatnią rekonstrukcję szarży Picketta.

I wtedy właśnie nadarzyła się ku temu okazja.

Od czasu lutowych urodzin byłem skautem. Skauting był podówczas wynalazkiem stosunkowo nowym, pierwsze drużyny sformowano w USA zaledwie trzy lata wcześniej, ale wiosną 1913 każdy chłopak, którego znałem, albo już był skautem, albo nie mógł się doczekać chwili, gdy nim zostanie.

Pastor Hodges był inicjatorem powstania pierwszej drużyny skautowskiej w naszym Chestnut Hill – wtedy była to mała miejscina pod Filadelfią, dzisiaj jest jej przedmieściem. Wielebny wybrał do niej wyłącznie chłopców cechujących się silnym charakterem i nieposzlakowaną moralnością: małych prezbiterian. Od trzech lat śpiewałem wtedy w Prezbiteriańskim Chórze Chłopięcym z Czwartej Alei, dlatego – mimo ogólnej słabowitości i całkowitej nieumiejętności wiązania węzłów – trzy dni po dziesiątych urodzinach zostałem dopuszczony do grona skautów.

Ojciec nie był tym zachwycony. Skautowskie mundurki wyglądały jak resztki z demobilu Rough Riders: od nabijanych ćwiekami butów, przez owijacze, aż po wojskowe kapelusze wyglądaliśmy jak miniaturowi kawalerzyści z wojny amerykańsko-hiszpańskiej, tonący w powodzi khaki i upojeni żołnierskimi cnotami. W każdy wtorek i czwartek od czwartej do szóstej po południu

zbieraliśmy się na szkolnym boisku i pod okiem wielebnego ćwiczyliśmy musztrę i opatrywanie pozorowanych ran; pod koniec dnia wyglądaliśmy jak banda mumii, spod których bandaży tu i ówdzie przebierały połacie khaki. W środy spotykaliśmy się w podziemiach kościoła, by uczyć się alfabetu Morse'a, kodu sygnałowego z wojny secesyjnej przez Hodgesa nazywanego „szyfrem ogólnowojskowym”, oraz sygnalizacji semaforowej.

Ojciec mnie pytał, czy przygotowujemy się do powtórki z wojny burskiej, ja jednak puszczałem jego ironiczne uwagi mimo uszu, pociełem się w swoim wełnianym mundurze (maj robił się coraz gorętszy) i byłem zachwycony.

Kiedy na początku czerwca pastor Hodges przyszedł do naszego domu z wiadomością, że władze Pensylwanii zażyczyły sobie, by wszystkie drużyny skautowskie w całym stanie przysłały swoich przedstawicieli do Gettysburga, gdzie mieli pomagać w przygotowaniach do Wielkiego Zjazdu, od razu dostrzegłem w tym palec boży. Wraz z wielebnym, trzynastoletnim Billym Stargillem (który później zginął w Argonnach) oraz pryszczatym chłopakiem z nadwagą, którego nazwiska nie pamiętam, miałem wziąć udział w pięciodniowej wycieczce do Gettysburga.

Ojciec nie był przekonany, ale matka natychmiast się zgodziła, że spotykał mnie wyjątkowy zaszczyt, dlatego rankiem trzydziestego czerwca stanąłem przed wozem pana Everetta i zapozowałem do zdjęcia, które zrobił mi doktor Lowell, miejscowy przedsiębiorca pogrzebowy i oficjalny fotograf Chestnut Hill. Niedługo po drugiej po południu dołączyłem do wielebnego Hodgesa i moich dwóch nowych towarzyszy broni i razem rozpoczęliśmy trzygodzinną podróż koleją do Gettysburga.

W ramach oficjalnych obchodów święta przysługiwał nam zniżkowy bilet kolejowy: płaciliśmy centa za milę, tyle samo co weterani. Za całą podróż zapłaciłem dolara i dwadzieścia jeden centów. Nigdy przedtem nie byłem w Gettysburgu. Nigdy nawet nie spędziłem nocy poza domem.

Na miejsce przyjechaliśmy późnym popołudniem. Byłem zmęczony, spragniony i spocony, a na dodatek pilnie musiałem się wysikać, bo nie ośmieliłem się pójść do ubikacji w pociągu. W niedużym Gettysburgu powitały nas tłumy, zamęt, zgiełk, konie, automobile i mnóstwo starych mężczyzn, których grube mundury zalatywały kamforą. W ślad za wielebnym brnęliśmy błotnistymi uliczkami wśród domów obwieszonych flagami i chorągiewkami. Mężczyzn było dziesięć razy więcej niż kobiet, większość głównych ulic tonęła

w morzu kanotierów i wojskowych czapek koloru khaki. Kiedy w recepcji hotelu Eagle Hodges dopytywał się o wiadomości od swoich skautowskich przełożonych, smyrnałem ukradkiem w boczny korytarz i znalazłem łazienkę.

Pół godziny później wciągnęliśmy nasze torby na tył niedużego powozu motorowego i ruszyliśmy w drogę do leżącego na południowy zachód od samego Gettysburga zjazdowego miasteczka namiotowego. Na trzech ławkach stłoczyli się skauci w liczbie tuzina oraz trzech ich komendantów. Powozik z mozołem przebrnął przez zatłoczoną Franklin Street, pomiędzy szpitalem polowym Czerwonego Krzyża od wschodu i dobrą dwudziestką konnych sanitarek zaparkowanych po drugiej stronie, po czym skręcił w prawo w drogę oznakowaną jako Long Lane, która doprowadziła nas do ciągnącego się bez końca morza namiotów.

Minęła już siódma i ciepłe wieczorne światło padało na tysiące płóciennych piramid rozstawionych na setkach akrów uprawnych pól. Wyciągałem szyję, próbując się zorientować, które z odległych wzgórz to Cemetery Ridge i która sterta głazów to Little Round Top. Mijaliśmy konnych funkcjonariuszy policji stanowej, wojskowe wozy ciągnięte przez wojskowe muły, olbrzymie sterty drewna na opał i skupiska piekarń polowych, nad którymi unosił się słaby już aromat świeżo wypieczonego chleba.

Wielebny odwrócił się do nas.

– Obawiam się, że spóźniliśmy się na wieczorne jedzonko, chłopcy. Ale chyba nie jesteśmy głodni, prawda?

Pokręciłem głową, chociaż z głodu aż ssało mnie w żołądku. Matka spakowała mi do pociągu smażonego kurczaka i krakersy, ale wielebny zjadł nóżkę, a pulchny chłopak wyzebrał ode mnie resztę. Ja byłem zbyt podekscytowany, żeby cokolwiek przełknąć.

Skręciliśmy w prawo w East Avenue, szeroką bitą drogę pomiędzy ustawionymi w schludne rzędy namiotami. Na próżno rozglądałem się za Wielkim Namiotem, o którym czytałem, olbrzymim jak namiot cyrkowy z miejscami dla trzynastotysięcznej publiczności. Za cztery dni, w piątek czwartego lipca, miał w nim przemawiać prezydent Wilson. Czerwone słońce wisiało nisko nad omglonym zachodnim horyzontem, w powietrzu unosił się kurz, zapach stratowanej trawy mieszał się z wonią nagrzanego płótna. Umierałem z głodu, miałem pełno pyłu we włosach i w zębach. I nie przypominam sobie chwili, w której byłbym szczęśliwszy.

Kwaterna główna skautów znajdowała się przy zachodnim krańcu East Avenue, sto jardów za rzędem kuchni polowych posadowionych w samym środku miasteczka namiotowego pensylwańskich weteranów. Hodges

zaprowadził nas do namiotów i kazał pośpiesznie wrócić do kwatery po przydział zadań na następny dzień.

Nasz namiot stał niedaleko latryn. Postawiłem torbę na łóżku polowym, bez pośpiechu rozwinąłem materac i rozpakowałem swoje rzeczy, a kiedy się odwróciłem, Billy'ego już nie było, a grubas spał na sąsiedniej pryczy. Nie dalej niż pięćdziesiąt stóp od nas po torach łączących Gettysburg z Harrisburgiem z łoskotem przetoczył się pociąg.

Spóźnię się! Ze zgrozy zaparło mi dech w piersi. Natychmiast pobiegłem do kwatery głównej, żeby odebrać rozkazy.

Pastora i Billy'ego nie było nigdzie widać, za to otyły mężczyzna z blond wąsem, w okularach o grubych szklach i niedopasowanym mundurze instruktorskim, warknął na mnie:

- Ej, skaucie!
- Słucham, panie instruktorze?
- Otrzymałeś już przydział?
- Nie, proszę pana.

Odchrząknął i zaczął się przekopywać przez stertę żółtych tekturowych przywieszek na szerokiej desce służącej mu za biurko. Wyjął jedną, obejrzał i przywiązał do mosiężnego guzika kieszeni na mojej lewej piersi. Wykręciłem szyję, żeby przeczytać wypisane na maszynie bladoniebieskie litery: Kpt. P.D. MONTGOMERY, 20 Pułk KP, SEKTOR 27, PLAC 3424, weterani Karoliny Północnej.

– No, zmykaj – ponaglił mnie wąsacz.

– Tak jest. – Ruszyłem biegiem w stronę wyjścia z namiotu. Zatrzymałem się.
– Panie instruktorze?

– Co tam znowu? – burknął, zajęty już przyczepianiem przywieszki następnemu chłopcu.

– Co mam robić?

Pstryknął palcami, jakby strzepywał natrętnego owada.

– Jak to co? Znaleźć weterana, do którego zostałeś przydzielony.

Mrużąc oczy, spojrzałem na swoją przywieszkę.

– Kapitana Montgomery'ego?

– Tak, właśnie. Skoro tak tam napisano...

Wziąłem głęboki wdech.

– A... gdzie go znajdę?

Grubas zmarszczył brwi, zrobił cztery gniewne kroki w moją stronę i przez grube szkła spojrzał na przywieszkę.

– Dwudziesty Pułk, Karolina Północna, sektor 27... To będzie tam.

I machnął ręką w geście, którym objął tory kolejowe, odległy strumień w ocienionym drzewami korycie, zachodzące słońce i kolejne miasteczko namiotowe, tym razem na pagórku, gdzie setki piramidek pałały przedwieczorną czerwienią.

– Za przeproszeniem, panie instruktorze, ale co właściwie mam zrobić, kiedy już odszukam kapitana Montgomery’ego? – zapytałem oddalające się plecy instruktora.

Zatrzymał się i obejrzał przez ramię z pochmurną miną i słabo maskowanym niesmakiem. Nie spodziewałbym się, że dorosły może okazać takie uczucia komuś w moim wieku.

– Cokolwiek kapitan sobie zażyczy, młody głupcze – warknął. – Idź już.

Odwróciłem się na pięcie i pobiegłem w stronę odległego obozowiska konfederatów.

Kiedy szedłem pomiędzy długimi rzędami namiotów, właśnie zapalano latarnie. Setki starych mężczyzn, wielu z nich z obfitym zarostem i odzianych w grube szare mundury, siedziały na taboretach i polówkach, ławkach i pniakach; palili, rozmawiali i pluli w gęstniejącym zmierzchu. Dwa razy zablądziłem i dwa razy musiałem pytać o drogę. Wskazówek udzielano mi z tak silnym południowym akcentem i charakterystycznie przeciągniętymi zgłoskami, że równie dobrze ludzie ci mogliby mówić do mnie niemiecku – tyle samo bym zrozumiał.

W końcu znalazłem kontyngent z Karoliny Północnej, wciśnięty pomiędzy Alabamę i Missouri, niedaleko Wirginii Zachodniej. Później, przez wiele lat, wielokrotnie się zastanawiałem, dlaczego wsadzili wiernych Unii Wirgińczyków z zachodu w sam środek obozu buntowników.

Sektor 27 był ostatnim rzędem po wschodniej stronie obozu Karoliny Północnej, zaś plac 3424 ostatnim namiotem w tym rzędzie. Bardzo ciemnym namiotem.

– Kapitanie Montgomery? – zapytałem prawie szeptem.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, schyliłem się i zajrzałem do środka, żeby sprawdzić, czy mojego weterana na pewno nie ma w domu. Nie moja wina, myślałem, że nie zastałem starszego pana; odszukam go rano, zaprowadzę do namiotu jadalnego na śniadanie, załatwię zleczone przez niego sprawy, pomogę mu znaleźć latrynę albo dawnych towarzyszy broni, cokolwiek zechce... Ale to rano. Teraz zamierzałem wrócić biegiem do skautowskiej kwatery głównej,

namierzyć Billy'ego albo wielebnego Hodgesa i dopytać, czy nie mają w bagażu jakichś krakersów.

– Czekałem na ciebie, chłopcze.

Zamarłem. Głos dobiegł z przepastnych mroków namiotu. Miał południowe brzmienie, był zgrzytliwy jak żużel i starczo kruchy. Wyobraziłem sobie, że takim głosem umarli mogliby rozkazywać żywym.

– Podejź bliżej, Johnny. No, żywo!

Wszedłem do gorącego, pachnącego nagrzanym płótnem wnętrza i zamrugałem. Przez moment nie mogłem złapać tchu.

Leżący na polówce starzec podparł się na łokciach, przez co jego ramiona upodobniły się w półmroku do ostro zarysowanych skrzydeł drapieżnika wzniesionych nad niewyraźną poza tym masą szarej tkaniny, takiejż skóry, szeroko otwartych oczu i wyblakłego szamerunku. Na głowie miał bezkształtny kapelusz, który niegdyś mógł się pochwalić rondem i główką, a teraz tylko głębiej ocieniał twarz. Wydatny haczykowaty nos sterczał sponad rzadkiej siwej brody, wąskich fioletowawych warg i paru ostrych zębów łyskających w czarnej dziurze ust. Pierwszy raz w życiu zdałem sobie sprawę, że usta u człowieka prowadzą w głąb czaszki. Oczodoły – dwie jeszcze ciemniejsze studnie cienia – skrywały się pod nieposiwalnymi brwiami, policzki były zapadnięte, kości jarzmowe ostre jak noże. Duże dłonie, zniekształcone wiekiem i reumatyzmem i pokryte plamami wątrobowymi, w półmroku pały nienaturalną bielą. Zwróciłem też uwagę, że na jednej nodze kapitana tkwi wyglansowany do połysku czarny oficerski but, druga zaś kończy się tuż poniżej kolana. Podwinięta nogawka spodni odsłaniała bladą, pobliznioną skórę opiętą na kości kikuta.

– Do diaska, chłopcze! Przyprowadziłeś wóz?

– Słucham? – Mój głos zabrzmiał jak ćwierknięcie spłoszonej cykady.

– Wóz, do licha! Wóz, Johnny! Potrzebny nam wóz, powinieneś o tym wiedzieć.

Usiadł na łóżku, zwiesił nogi i zaczął grzebać w połach płaszcza.

– Przepraszam, kapitanie Montgomery... ehm... Jest pan kapitanem Montgomery, prawda?

Tylko chrząknął w odpowiedzi.

– Panie kapitanie, nie nazywam się Johnny, tylko...

– Do stu tysięcy diabłów, chłopcze! – ryknął staruszek. – Przestań mi tu brzęczeć i idź po ten cholerny wóz! Musimy dotrzeć do Wądołów, zanim zrobi to ten łajdak Iverson!

Próbowałem jeszcze odpowiedzieć, ale zupełnie mnie zatkało, bo w tej samej chwili kapitan Montgomery wyjął z kieszeni płaszcza rewolwer, ogromny, szary,

pachnący olejem rewolwer, z którego – wtedy byłem tego absolutnie pewien – zaraz mnie zastrzeli, wariat jeden. Stałem bez tchu, jakby stary konfederat już zdążył mnie dźgnąć lufą imponującej broni prosto w splot słoneczny.

Położył rewolwer obok siebie, po czym sięgnął pod łóżko i wyciągnął stamtąd niezgrabną konstrukcję z mahoniu, pasków i sprzączek, w której rozpoznałem toporną drewnianą nogę.

– Pośpiesz się, Johnny – wymamrotał, pochyliwszy się, żeby zamocować to narzędzie tortur na swoim miejscu. – Wystarczająco długo na ciebie czekałem. Bądź grzecznym chłopcem i idź po wóz. Będę czekał gotowy do drogi.

– Tak jest, panie kapitanie – wykrztusiłem i uciekłem.

Nie umiem rozsądnie wytłumaczyć swojego dalszego zachowania. Wystarczyło zrobić coś absolutnie naturalnego, coś, co podszeptywało mi każde włókienko mojego przerażonego ciała: wrócić biegiem do głównej kwatery skautowskiej, znaleźć pastora Hodgesa, powiedzieć mu, że mój weteran to gadający od rzeczy i uzbrojony w rewolwer szaleniec, a potem zdać się na dorosłych, żeby załatwili sprawę, i porządnie się wyspać. W tamtym momencie nie byłem jednak istotą całkowicie racjonalną (tak się zastanawiam – który dziesięcioletni chłopiec nią jest?). Byłem zmęczony, głodny, stęskniony za domem (który opuściłem zaledwie przed siedmioma godzinami), zagubiony w przestrzeni i czasie, a także – co chyba w tej sytuacji najważniejsze – nienawykły do niesłuchania rozkazów. Mimo to do dziś jestem przekonany, że bez zastanowienia pognałbym prosto do kwatery głównej, gdyby nie fakt, że pożegnalnym spojrzeniem obrzuciłem kapitana akurat w momencie, gdy z mozołem przypinał sobie protezę. Myśl o nim, stojącym wśród ciemniejącej nocy na tej paskudnej drewnianej nodze i z ufnością wyczekującym wozu, który miałby nigdy nie przybyć, była dla mnie nie do zniesienia.

Traf chciał, że niespełna sto jardów od namiotu kapitana Montgomery'ego natknąłem się na porzucony zaprzęg. Zbita z deszczulek skrzynia wozu była w połowie wypełniona kocami, woźnicy i dostawców nigdzie nie było widać. Do wozu zaprzęgnięto parę siwków, stareńkich, z ciężką lordozą, ale dostatecznie potulnych, że bym odważył się złapać je za uzdy, nieporadnie obrócić w miejscu i poprowadzić na szczyt pagórka.

Nigdy nie jeździłem konno, nigdy też nie powoziłem; już wtedy, w 1913 roku, przywykłem do jeżdżenia automobilami. Na ulicach Chestnut Hill widywało się czasem wozy i powoziki, ale jedne i drugie uchodziły raczej za uroczo

staroświeckie. Pan Everett, nasz dostawca lodu, nie dopuszczał chłopców do przejażdżek swoim wozem, a jego koń miał w zwyczaju kąsać każdego dzieciaka, który znalazł się w zasięgu jego pyska.

Z najwyższą ostrożnością, starając się nie podetknąć knykci pod zęby siwków, prowadziłem zaprzęg pod górkę. Przez myśl mi nie przeszło, że go kradnę: kapitan Montgomery potrzebował wozu, więc moim zadaniem było mu go dostarczyć.

– Dobry z ciebie chłopak, Johnny. Świetnie się spisałeś.

Na dworze, w świetle zmierzchu, stary wiarus wyglądał tylko odrobinę mniej groźnie. Długi szary płaszcz wisiał na nim w obfitych fałdach i zmarszczkach, i choć rewolwer zniknął mi z oczu, miałem silne przekonanie, że pozostaje na podorędziu. Przez prawe ramię kapitan przerzucił torbę z grubego płótna. Pierwszy raz zwróciłem uwagę na spłowiałe dystynkcje na przedzie jego kapelusza i trzy nieduże medale przypięte do piersi, których wstążki tak bardzo wyblakły, że nie potrafiłem określić ich koloru. Odślonięta szyja przypominała mi gruby splot sznurów zwieszający się w ciemną czeluść starej studni na tyłach naszego domu.

– Chodźmy, chłopcze. Nie wolno nam się ociągać, jeśli chcemy uprzedzić tego sukinkota Iversona.

Zamachnął się szeroko drewnianą nogą, wspiał na kozioł i złapał lejce w pięści, które wyglądały jak dwa sploty sękatych korzeni. Bez zastanowienia obiegłem wóz z lewej strony i wskoczyłem na siedzenie obok kapitana.

Późną porą w ten ostatni czerwcowy wieczór Gettysburg jarzył się miriadami świateł i tętnił życiem, ale mnie noc wydała się niezwykle ciemna i pusta, gdy jechaliśmy przez miasto na północ. Światła w oknach domów i hoteli były tak bardzo niezwiązane z celem naszej wyprawy (jakikolwiek był ów cel), że wydawały się blade i zimne jak gasnąca poświata dogorywających w słoju robaczków świętojańskich.

Po kilku minutach minęliśmy najdalej na północ wysunięte zabudowania i skręciliśmy na północny zachód, w – jak się później dowiedziałem – Mummasburg Road. Tuż przed tym, jak pochłonęła nas gęsta zasłona drzew, odwróciłem się na koźle, by ostatnim spojrzeniem obrzucić Gettysburg i rozciągające się za nim obozowisko zjazdowe. Światła miasta nadal prezentowały się wątłe i niepozornie, za to płomienie setek ognisk w miasteczku namiotowym pały w ciemnościach jasnym blaskiem. Patrząc na ich

konstelacje, zdałem sobie nagle sprawę, że tej nocy armia kulących się przy nich weteranów jest liczniejsza niż regularne, młode wojsko niejednego kraju. Zastanawiałem się, czy pięćdziesiąt lat wcześniej tak właśnie wyglądały Cemetery Ridge i Culp's Hill widziane oczami przybywających na miejsce oddziałów konfederackich.

Nagle zmroziła mnie myśl, że pięćdziesiąt lat temu Śmierć wyprawiła wielkie przyjęcie, na które przybyło sto czterdzieści tysięcy gości w pogrzebowych ubraniach. Ojciec mówił mi, że żołnierze przed bitwą często przyczepiali do mundurów skrawki papieru, żeby można było zidentyfikować ich zwłoki, kiedy zabijanie dobiegnie końca. Zerknąłem w prawo, jakbym spodziewał się zobaczyć przypięty do piersi kapitana poźółkły karteluszek z wypisanym nazwiskiem, stopniem i nazwą rodzinnego miasta. A potem wstrząśnięty zdałem sobie sprawę, że przecież to ja noszę taką przywieszkę.

Patrzyłem wstecz na światła i nie mogłem się nadziwić, że pięćdziesiąt lat po mrocznym festiwalu śmierci pięćdziesiąt tysięcy ocalałych powróciło, by świętować po raz drugi.

W końcu zagłębiliśmy się w las, obozowe ogniska zniknęły mi z oczu i jedynymi źródłami światła pozostały sporadycznie mrugające przy drodze świetliki i gasnące letnie niebo przezierające przez gałęzie nad naszymi głowami.

– Nie pamiętasz Iversona, chłopcze, prawda?

– Nie, panie kapitanie.

– Trzymaj – powiedział i wcisnął mi coś w rękę.

Pochyliłem się, mrużąc oczy, i stwierdziłem, że patrzę na stary ferrotyp o popękanych brzegach. Rozeznałem jasny prostokąt twarzy, cień, który mógł być wąsami...

Kapitan Montgomery zabrał mi fotografię.

– Nie zarejestrował się na zjazd – mruknął. – Przez cały dzień czekałem. Patrzyłem. Nie przyjechał. Nie spodziewałem się go. Dwa lata temu w gazecie w Atlancie napisali, że nie żyje. Wierutne kłamstwo.

– Aha – powiedziałem.

Kopyta koni cicho stukały o ubity trakt. Mijane przez nas łąki były tak samo puste jak mój umysł.

– Wierutne kłamstwo – powtórzył kapitan. – Wróci tu, bez dwóch zdań. Wróci. Dobrze mówię, Johnny?

– Tak jest, panie kapitanie.

Przejechaliśmy przez grzbiet niskiego wzgórza. Kapitan ściągnął lejce, konie zwolniły. Rytm wybijany przez drewnianą nogę kapitana objającą się o deski

zmienił się. Wyjechaliśmy z najgęstszej części lasu i po obu stronach rozpostarły się ciemne pola uprawne wtłoczone pomiędzy zagajniki i niskie kamienne murki.

– Do diaska! – burknął kapitan. – Widziałeś dom Forneya, chłopcze? Mijaliśmy go?

– Ja... Nie, panie kapitanie. Nie wydaje mi się.

Nie miałem pojęcia, czy minęliśmy dom Forneya. Nie miałem pojęcia, kim jest Forney. Nie miałem także pojęcia, co właściwie robię, włócząc się po nocy w towarzystwie tego starego dziwaka. Ze zdumieniem stwierdziłem, że jestem o krok od wybuchnięcia płaczem.

Kapitan zatrzymał zaprzęg przy kępie drzew rosnącej nieco w bok od drogi, po czym, sapiąc i rżąc, spróbował zejść z kozła.

– Pomóż mi, chłopcze. Czas na biwak.

Obiegłem wóz dookoła i wyciągnąłem do kapitana rękę, on jednak wsparł się na moim ramieniu i ciężko zeskoczył na ziemię. Bijąca od niego osobliwa, kwaskowa woń kojarzyła mi się ze starym zasikany materacem w szopie przy torach kolejowych, gdzie – jak twierdził Billy – nocowali włóczędzy.

Tymczasem noc zapadła na dobre, na niebie nad łąką po drugiej stronie drogi rozpoznałem Wielki Wóz. Wszędzie wokół nas świerszcze i rzekotki stroiły instrumenty przed nocnym koncertem.

– Weź z wozu koce, chłopcze.

Kapitan – wsparty na znalezionej złamanej gałęzi jak na lasce – chwiejnym krokiem wszedł między drzewa. Zgarnąłem ze skrzyni wozu kilka wojskowych koców i ruszyłem za nim.

Przeszliśmy przez pole pszenicy, przecięliśmy wąski pas drzew i wspięliśmy się po łące do samotnego drzewa, którego szerokie liście szeleściły na wietrze. Kapitan kazał mi ułożyć z koców prymitywne sienniki, po czym oparty plecami o drzewo osunął się na jeden z nich. Skrzyżował nogi, tak że oparł drewnianą protezę na kostce drugiej nogi.

– Głodnyś, chłopcze?

Skinąłem w ciemności głową. Staruszek pogrzebał chwilę w płóciennym torbie i podał mi kilka pasków czegoś, co wziąłem za mięso, a co smakowało jak mocno zasolona wyprawiona skóra. Pierwszy kęs żułem przez blisko pięć minut, zanim zmiękł na tyle, żebym mógł go przełknąć. Gdy tylko wargi i język zaczęły mi puchnąć z pragnienia, kapitan podał mi bukłak z wodą i pokazał, jak wycisnąć ją prosto do ust.

– Dobra ta suszona wołowinka, prawda? – zagadnął.

– Pyszna – potaknąłem szczerze i zacząłem się zmagać z następnym kawałkiem.

– Iverson był beznadziejnym, bezużytecznym skurczybykiem – powiedział kapitan z pełnymi ustami, zupełnie jakby podjął opowieść przerwana pół godziny wcześniej na wozie. – I byłby zupełnie nieszkodliwym skurczybykiem, gdyby przed wybuchem wojny tępe ćwoki z mojego własnego Dwudziestego Pułku z Karoliny Północnej nie wybrały go na komendanta obozu. Bo wtedy tak jakby z automatu został pułkownikiem i zanim po ciężkich walkach dotarliśmy na północ, dureń zdążył objąć dowództwo jednej z brygad Rodesa, do diaska!

Umilkł, żeby nielicznymi ocalałymi zębami intensywniej popracować nad suszonym mięsem, a ja uświadomiłem sobie, że jedynym znanym mi człowiekiem, który klął równie często i chętnie jak kapitan Montgomery, jest pan Bolton, stary szef straży pożarnej, który zwykł siadywać przed remizą przy Third Street i opowiadać nowym rekrutom historie z przeszłości, zgoła obojętny na obecność nas, nieproszonej młodszej publiki. Może, pomyślałem wtedy, ma to coś wspólnego z noszeniem munduru.

– Na imię miał Alfred – podjął kapitan.

Mówił półgłosem, w skupieniu, z południowym akcentem tak wyrazistym, że znaczenie każdego słowa docierało do mnie kilka sekund później niż jego dźwięk. Czułem się trochę tak, jakbym leżał w łóżku, przysypiał i słyszał głosy moich rodziców dobiegające z parteru na piętro poprzez zasłonę snu. Albo jakbym za sprawą czarów nauczył się rozumieć obcy język.

Zamknąłem oczy, żeby lepiej słyszeć.

– Alfred – powtórzył kapitan Montgomery. – Po ojcu. Staruszek był senatorem z Georgii i bliskim przyjacielem prezydenta. – Czułem na sobie jego spojrzenie. – Prezydenta Davisa. I właśnie Davis, jeszcze za swoich senatorskich czasów, wręczył młodemu Iversonowi patent oficerski. To było podczas kłopotów z Meksykiem. A potem, kiedy wybuchła prawdziwa wojna, Iverson z tatkiem ufundowali własny pułk. Wtedy to było tak, że jak się jakieś zamożne skurczybyki, takie jak Iversonowie, chciały pobawić w wojnę, to po prostu kupowały sobie żołnierzy, ze wszystkim: końmi, mundurami i całą przekłętą resztą. I wtedy mogli być oficerami. Dorośli bawiący się żołnierzami, niech ich piekło pochłonie. Tylko że kiedy wojna zaczęła się na serio, to myśmy byli tymi żołnierzami, Johnny.

Otworzyłem oczy. Nie pamiętałem, że bym kiedykolwiek widział tyle gwiazd. Nad opadającą ku dołowi łąką konstelacje ciągnęły się aż po widnokrąg, a kolejne majaczyły po bokach, wśród ciemnej masy drzew. Mleczna Droga przecinała niebo jak most – albo jak biały ślad armii, od której przemarszu minęło wiele lat.

– Mieliśmy cholernego pecha, że trafił się nam Iverson – ciągnął kapitan. – Brygada była w porządku, a cały dwudziesty z Karoliny Północnej był

najlepszym pułkiem w armii Ewella. – Poruszył się i znów spojrzał w bok, na mnie. – W Sharpsburgu jeszcze cię z nami nie było, prawda, chłopcze?

Pokręciłem głową. Przeszedł mnie zimny dreszcz, gdy kapitan kolejny raz nazwał mnie obcym imieniem. Zastanawiałem się, gdzie w tej chwili podziewa się prawdziwy Johnny.

– Nie, oczywiście, że nie. To był sześćdziesiąty drugi, chodziłeś do szkoły, a nasz pułk po zakończonej bitwie był jeszcze we Fredericksburgu. Ktoś zarządził defiladę, orkiestra Nate’a zagrała *Dixie* i nagle z drugiego brzegu Rappahannock dobiegło nas drugie *Dixie*, grane przez Jankesów. Powiadam ci, chłopcze, to było coś niesamowitego. Muzyka niosła się nad wodą tak czysto, tak wyraźnie, jakby grały dwie połówki jednej orkiestry. Na to nasze chłopaki, z dwudziestego, zagrali *Yankee Doodle*. Stoimy wszyscy na spoczyn, słońce świeci blado i powiem ci, wszyscy czujemy się już cokolwiek dziwnie. I wtedy nasi kończą *Yankee Doodle* i obie orkiestry jednocześnie, jakby się umówiły, zaczynają grać *Home Sweet Home*. I wszyscy, bez zastanowienia, Perry, stary Thomas, Jeffrey, ja też, wszyscy zaczynamy śpiewać. Porucznik Williams, młody pan Oliver we własnej osobie również, i po chwili już cała brygada śpiewa, ci przekłeci Jankesi też. Ich głosy niosą się nad rzeką i dołączają do naszych, jakbyśmy tworzyli jeden wielki chór, który przypadkiem albo przez omyłkę został rozdzielony. Powiadam ci, chłopcze, to było jak śpiewanie w chórze z duchami. I trochę tak, jakbyśmy sami też byli duchami.

Zamknąłem oczy, żeby usłyszeć basowe głosy śpiewające tę piękną, smutną piosenkę i nagle dotarło do mnie, że nawet dorośli – nawet żołnierze – czują się czasem równie samotni i stęsknieni za domem jak ja nieco wcześniej tego wieczoru. Uświadomiwszy to sobie, stwierdziłem również, że moja tęsknota za domem ulotniła się bez śladu. Czułem, że jestem we właściwym miejscu, należę do armii kapitana Montgomery’ego, do wszystkich armii jednocześnie, i obozuję z dala od domu niepewny, co przyniesie jutro, ale zadowolony z tego, że jestem wśród przyjaciół. Towarzyszy broni. Ich głosy były równie prawdziwe i smutne jak szum wiatru w letnim listowiu.

Kapitan odchrząknął i splunął.

– A potem ten łajdak Iverson nas zabił – powiedział.

Zadźwiewały sprzączki: kapitan odpiął protezę.

Otworzyłem oczy. Naciągnął koc na ramiona i odwrócił się do mnie plecami.

– Prześpij się, chłopcze – usłyszałem jeszcze przytłumiony głos. – Ruszamy o brzasku.

Przykryłem się kocem po szyję i przyłożyłem policzek do czarnej ziemi. Nasłuchiwałem jeszcze śpiewów, ale głosy umilkły. Kiedy zasypiałem, szmer liści na wietrze brzmiał jak chór gniewnych szeptów.

Obudziłem się raz przed świtem; fałszywego brzasku wystarczyło w sam raz, żebym dostrzegł twarz kapitana Montgomery'ego majaczącą dosłownie kilka cali od mojej. Kapelusz zsunął mu się z głowy, ciemną przypominało mapę plastyczną upstrzoną plamami wątrobowymi, wrzodami i paroma wątlami pasemkami siwych włosów. Brwi – dwie gęste erupcje włosów na skraju czoła – miał zmarszczone jakby w wielkim skupieniu, spod niedomkniętych powiek łyssały wąziutkie kreski białek, ze zgniecionej tykwy ust dobywało się świszczące chrapanie, cienka strużka śliny wsiąkała w zarost. Jego tchnienie było suche i martwe jak podmuch powietrza z jaskini, która została otwarta po stuleciach zapomnienia.

Kiedy tak patrzyłem na tę pooraną zmarszczkami czasu twarz naprzeciw swojej i na obrzmiałe, zdeformowane palce po dziecinnemu zaciśnięte na skraju koca, w proroczym przeblasku własnej długowieczności zdałem sobie sprawę, że starość jest przekleństwem, chorobą, i że wszyscy, którzy mieliśmy pecha przeżyć dzieciństwo, jesteśmy skazani, by z jej powodu cierpieć i – ostatecznie – umrzeć. Może właśnie dlatego, pomyślałem wówczas, młodzi ludzie z własnej woli idą na wojnę, żeby tam zginąć.

Nakryłem twarz kocem.

Kiedy tuż po wschodzie słońca obudziłem się ponownie, stary wiarus stał dziesięć kroków od drzewa i patrzył w stronę Gettysburga. Ponad drzewami widoczna była tylko biała kopuła, którą promienie słoneczne malowały na złoto. Wyplątałem się z koców i wstałem, nie mogąc się nadziwić, jaki się czuję sztywny i lepki. Nigdy wcześniej nie nocowałem pod gołym niebem. Wielebny Hodges obiecywał nam nocowanie w namiocie, ale byliśmy zbyt zajęci musztrą i nauką sygnałów semafora. Teraz dochodziłem do wniosku, że mogę sobie odpuścić część kempingową skautowskiego treningu. Stałem na sztywnych, wciąż jeszcze na wpół odrętwiałych nogach i zachodziłem w głowę, jak kapitan zdołał sobie przypiąć protezę, nie budząc mnie.

– Dzieńdoberek, chłopcze! – zawołał, gdy wychynałem spomiędzy drzew, gdzie poszedłem za potrzebą. Nie odrywał wzroku od widocznej na wschodzie kopuły.

Zjedliśmy śniadanie – suszoną wołowinę popijaną wodą – na stojąco, pod drzewem. Zastanawiałem się, co tymczasem jedzą Billy, wielebny i pozostali skauci w namiotach przy kuchniach polowych. Pewnie naleśniki. Może z bekonem. A na pewno popijają je mlekiem z wysokich szklanek.

– Pierwszego pan Oliver zarządził przegląd wojsk – zachrypiał kapitan. – Tysiąc czterystu siedemdziesięciu ludzi stawilo się do służby, w tym stu

czternastu oficerów. Mnie wśród nich nie było, nosiłem jeszcze szewron sierżanta. Dopiero po bitwie na Wilderness dali mi oficerską belkę. Ale mniejsza z tym. Dzień wcześniej, pod wieczór, przyszła wiadomość od A.P. Hilla, że na południu gromadzą się Jankesi, zapewne po to, żeby nas okrążyć i odciąć od reszty. Nasza brygada pierwsza odpowiedziała na jego wezwanie i ruszyła na południe. Schodząc z Heidlersburg Pike, usłyszeliśmy strzały, więc generał Rodes przeprowadził nas przez las aż do Oak Hill.

Kapitan wykonał gładki obrót na drewnianej nodze, zwrócił się ku wschodowi i dłonią osłonił oczy przed słońcem.

– To było mniej więcej tam, Johnny. Tak mi się wydaje. Chodź. Zbierajmy się.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Zwinąłem nasze posłania i pośpieszyłem za nim w dół stoku na południowy wschód, w stronę odległej kopuły.

– Wyszliśmy na zachodnie zbocze tego wzgórza, chłopcze, widzisz? Wtedy było tu mniej drzew. Wymaszerowaliśmy jeszcze przed świtem, tutaj dotarliśmy w porze lunchu, o pierwszej po południu, może pół do drugiej. Zjedliśmy suchary w marszu, ale jeśli mnie pamięć nie myli, to potem zatrzymaliśmy się na chwilę na górze, pod grzbietem, gdzie Rodes postanowił rozłokować część armat. Ucieszyliśmy się z Perrym z odsapki, usiedliśmy. Perry chciał napisać następny list do naszej mamy, ja go przestrzegałem, że nie zdąży. I miałem rację, ale diabelnie żałuję, że nie dałem mu przynajmniej spróbować. Z miejsca, w którym stanęliśmy, było widać Jankesów zbliżających się drogą od strony Gettysburga. Wiedzieliśmy już, że czeka nas bitwa. Do diaska, chłopcze, odłóżże te koce! Nie będą nam dziś potrzebne.

Zaskoczony rzuciłem koce w zarośla. Znaleźliśmy się tymczasem na dolnym skraju łąki i tylko niskie, sfatygowane ogrodzenie z desek oddzielało nas od – jak się domyślałem – drogi, którą wieczorem przyjechaliśmy. Kapitan przerzucił drewnianą nogę przez płot, obaj przeszliśmy na drugą stronę i na chwilę przystanęliśmy. Narastający z upływem dnia upał odczuwałem jako gęstnienie powietrza i pulsowanie w skroniach.

Nagle od południa dobiegły przytłumione odległością dźwięki orkiestry i głośne wiwaty. Kapitan wyjął z kieszeni zaplamioną czerwoną chusteczkę i otarł nią szyję i czoło.

– Przekłęci durnie, świętują jak na jakimś wiejskim festynie. Nonsens, psiakrew. Nonsens!

– Tak jest, panie kapitanie – przytaknąłem machinalnie.

Byłem jednak ogromnie przejęty samą ideą zjazdu rocznicowego i faktem, że towarzyszę weteranowi, mojemu własnemu weteranowi, gdy ten stąpa po ziemi, na której przed laty walczył, naprawdę walczył. Pomyślałem, że gdyby ktoś

patrzył na nas z daleka, mógłby nas omyłkowo wziąć za dwóch żołnierzy. Chętnie bym wtedy oddał swój skautowski mundur koloru khaki za kasztanowy brąz albo konfederacką szarość i dołączył do kapitana Montgomery'ego w walce za dowolną sprawę. Wyruszylibym choćby i przeciw Eskimosom, jeżeli miałyby to znaczyć, że stanę się częścią armii, o świcie będę ruszał w drogę z moimi towarzyszami broni i szykował się do bitwy. Nigdy nie czułem się tak bardzo żywy jak w tym właśnie momencie.

Kapitan usłyszał moje „tak jest”, ale w moich oczach musiał dostrzec coś jeszcze, bo oparł się o płot i pochylił nade mną.

– Do stu tysięcy diabłów, Johnny, nie daj się drugi raz nabrać na te bzdury. Myślisz, że te tępe sukinsyny wróciłyby tutaj, taki szmat drogi, gdyby miały dość przyzwoitości, żeby przyznać, że świętują krwawą łaźnię?

Zamurowało mnie.

Stary żołnierz złapał opuchniętą dłonią za przód mojej koszuli.

– Bo taka właśnie jest prawda, chłopcze. Stworzono tu rzeźnię, maszynkę do mięsa, która przemielila tysiące ludzi, a ci przyszli ją wspominać, opowiadać o niej dykteryjki i wypłakiwać starcze ślepie we wspomnieniach, jacy byliśmy szczęśliwi, kiedy nas w nią wepchnięto. – Wyciągnął drugą rękę w stronę kopuły i dźgnął powietrze wyprostowanym palcem wskazującym. – Nie widzisz tego, chłopcze? Nie widzisz zagród, korytarzy, komór śmierci... Nie każdy miał tyle szczęścia, żeby pierwsze uderzenie od razu rozłupało mu czaszkę, niektórzy z nas tylko częściowo trafili w tryby maszyny, a potem leżeli i patrzyli, jak inni puchną i nabrzmiewają w słońcu. Przeklęta rzeźnia, chłopcze, w której zabijają cię, patroszą, wywlekają twoje bebechy na podłogę, a potem kopniakiem odsuwają je na bok, żeby łatwiej dobrać się do następnego głupca... Obrąbują kości z mięsa i mielą je na nawóz, a potem miażdżą całą resztę ciebie, która nie jest pierwszorzędnym mięsem, opakowują w twoje własne wnętrzności i sprzedają publice jako kiełbasę. Kiełbasę, psiamać! Defilady, wojenne opowieści, zjazdy... Kiełbasa, chłopcze.

Zadyszał się lekko. Puścił mnie, otarł brodę i długo patrzył w niebo.

– A do rzeźni tej zaprowadził nas zdradziecki łotr nazwiskiem Iverson, Johnny – dodał na koniec wyzutym z emocji głosem. – Nie zapominaj o tym.

Stok opadał łagodnie dalej. Przeszliśmy na drugą stronę pustej drogi i znaleźliśmy się na łące rozciągającej się na wschód od porzuconej farmy. Górne piętra domu dawno strawił ogień, okna na parterze zostały zabite deskami,

ale irysy nadal rosły wokół fundamentów i wzdłuż zapuszczonej dróżki prowadzącej do zabudowań gospodarczych.

– Stary dom Johna Forneya – powiedział kapitan Montgomery. – John mieszkał tu jeszcze, kiedy przyjechałem w dziewięćdziesiątym ósmym. Skarżył się, że żaden z pracowników nie chce zostawać na noc. Przez Wądoły.

– Przez co, panie kapitanie?

Mrugałem, oślepiiony światłem coraz cieplejszego dnia; tego dnia temperatura z pewnością miała sięgnąć trzydziestu pięciu stopni. Koniki polne skakały beztrąsko w zakurzonej trawie.

Stary wiarus chyba nie dosłyszał mojego pytania. Kopuła zniknęła nam z oczu, zasłonięta przez bliskie teraz drzewa, a uwagę kapitana przykuła łąka, która opadała jeszcze przez niespełną ćwierć mili na południowy wschód, gdzie kończyła się gęstszym zagajnikiem. Dobył rewolweru. Z biciem serca patrzyłem, jak odwodzi kurek, aż rozległ się charakterystyczny szczęk.

– To model z samonapinaczem, chłopcze. Pamiętaj o tym.

Przecisnęliśmy się przez krótki żywopłot i nieśpiesznym krokiem zaczęliśmy iść wśród traw. Drewniana noga kapitana cicho szurała o ziemię.

– Skurwiel Iverson nie dotarł tak daleko – odezwał się znowu kapitan. – Ollie Williams mówił, że słyszał, jak wydał rozkaz, tam, na wzgórzu, gdzie Rodes rozlokował armaty. „Urządźcie im piekło”, mówi Iverson, po czym wraca pod to swoje drzewo, siada w cieniu i zajada lunch. Nawet wino miał. Popijał wino do wszystkich posiłków, kiedy dla nas była tylko woda z rowu. Nie, nie, Iverson nie zszedł tu, na dół, dopóki nie było po wszystkim, a i wtedy powiedział tylko, że próbowaliśmy się poddać i kazał trupom stanąć na baczność i zsalutować generałowi. Chodź, chłopcze.

Powoli szliśmy przed siebie. Widziałem teraz kamienny mur oddzielający łąkę od linii drzew, na wpół skryty w plamiastym cieniu liści. Po naszej stronie dostrzegłem też coś w rodzaju kłębowiska wysokich traw lub bluszczu.

– Brygada Daniela została rozlokowana tam, po prawej. – Rewolwer kapitana wskazał południe, jego lufa o włos chybiła runda mojego kapelusza. –

Ale przyszli nam w sukurs dopiero, kiedy zostaliśmy poszatkwani na kawałki. Wtedy chłopcy Daniela rzucili się prosto pod lufy Sto Czterdziestego Dziesiątego Pułku Pensylwańskiego... Mieli świetnych snajperów, łajdaki. Nazywano ich Fałszywymi Jelenimi Ogonami, chociaż za cholere nie pamiętam dlaczego. No, w każdym razie byliśmy tu samiuteńcy, zanim Daniels, Ramseur, O’Neil i reszta raczyli się pofatygować. Ramseur strawił potem jeszcze pół godziny na przygotowania, a brygada O’Neila wycofała się, zanim doszła do Mummasburg Road.

Znaleźliśmy się tymczasem w połowie długości łąki. Rząd drzew z lewej strony prawie całkowicie zasłaniał drogę, z przodu do kamiennego murku zostało mniej niż trzysta jardów. Zerknąłem nerwowo na gotowy do strzału rewolwer; kapitan chyba zapomniał, że trzyma go w ręce.

– Nacieraliśmy mniej więcej tędy, tak jakby pod kątem – podjął. – Brygada rozciągnięta na połowę pola, z północnego wschodu na południowy zachód. Z lewej mieliśmy Piąty Pułk Karoliński. Dwudziesty był mniej więcej tu, gdzie my teraz, dwieście ludzi w pierwszym szeregu. Dwudziesty trzeci i dwunasty szły z prawej, ale trochę się ociągały, zwłaszcza prawa flanką dwunastego wlokła się w pół drogi do tej przeklętej linii kolejowej tam, w wykopie.

Spojrzałem ku południowi, ale nie zobaczyłem żadnych torów – nic, tylko rozległy, rozpalony przestwór łąki, która w przeszłości mogła rodzić plony, z czasem jednak zarosła jeżyną i kłocią.

Kapitan przystanął, lekko zadyszany, i przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę.

– Jednej rzeczy nie wiedzieliśmy, Johnny: że tam, za tym murkiem, czają się Jankesi, tysiące Jankesów. Nie było nic widać, żadnej czapki, proporczyka, lufy karabinu, nic. Przyczaili się i czekali, aż zwierzyna stanie w drzwiach i będzie można rozpocząć rzeź. A pułkownik Iverson nie puścił przodem żadnych zwiadowców. Nigdy nie widziałem natarcia, którego nie poprzedzałyby zwiad. Więc maszerujemy sobie jakby nigdy nic przez to pole, a Iverson siedzi na Oak Hill, je lunch i sący wino.

Lufą rewolweru skinął na drzewa. Cofnąłem się o krok, spodziewając się, że zaraz strzeli, ale jedynym dźwiękiem był jego chrypliwy głos:

– Pamiętasz? Doszliśmy mniej więcej do tego miejsca, tam, gdzie to cholerne zielsko... A wtedy na całej długości muru, a to będzie dobre ćwierć mili, Jankesi wstają i walą do nas jak do kaczek. Jakby wyleźli spod ziemi. Najpierw cisza, żadnych dźwięków, nic, tylko szuranie naszych nóg w pszenicy i trawie, aż tu nagle salwa jakby się świat kończył. Cały przeklęty świat tonie w ogniu i dymie. Z tej odległości nawet Jankes nie mógł spudłować... A tam, spomiędzy drzew, wychodzą następni. – Kapitan skinął na lewo, gdzie mur zakręcał na północny zachód, w stronę drogi. – Ogień flankowy dosłownie zmiata Piąty Karoliński, żnie jak kosa, chłopcze. Wtedy rosła tu pszenica, ale jeszcze niewysoka, nie było dokąd uciec, nie było gdzie się schować... Więc kosa weszła w nas jak w masło. Nie mogliśmy napierać do przodu, bo ten cholerny mur pięćdziesiąt jardów od nas zmienił się w ścianę dymu przetykaną językami ognia. Widziałem, jak podpułkownik Davis z piątego... Stary Bill, tak go nazywali jego chłopcy... poprowadził swój pułk tam, w stronę tego rowu na południu... Widzisz tę linię krzewów? Nie był to rów z prawdziwego zdarzenia, ale zawsze jakaś osłona. Ale

my, to znaczy dwudziesty, i chłopaki kapitana Turnera z dwudziestego trzeciego nie mieliśmy innego wyjścia, jak paść na ziemię i czekać.

Staruszek wolno przeszedł kolejne kilkanaście jardów i zatrzymał się w miejscu, gdzie trawa – gęstsza i zieleńsza niż gdzie indziej – płynnie łączyła się z winoroślą (teraz widziałem to wyraźnie), tworząc niski, zwarty gąszcz oddzielający nas od muru. Nagle usiadł ciężko na ziemi, wysunąwszy drewnianą nogę w przód, i położył sobie rewolwer na kolanach. Klęknąłem obok niego w trawie, zdjąłem kapelusz i rozpiąłem koszulę. Żółta przywieszka zwisała luźno z guzika na piersi. Było bardzo gorąco.

– Jankesi grzali w nas bez litości – rozległ się starczy szept kapitana. –

Kolejni wychodzili z lasu tam, przy torach, i siekli na miazgę chłopaków Starego Billa i całe nasze prawe skrzydło. Próbowaliśmy im się odgryzać, ale głównie to było warte: ledwie któryś z nas spróbował wycelować, dostawał *minié* w łeb. Perry, mój brat, leżał obok mnie; słyszałem, jak kula trafiła go w lewe oko. Brzmiało to, jakby ktoś rozklepywał wołowinę czterofuntowym młotkiem. Perry tak jakby uniósł się lekko, a potem oklapł tuż obok mnie. Wrzeszczałem, płakałem, gębę miałem całą we łzach i glutach, aż nagle poczułem, że Perry próbuje wstać. Szarpał się dziwnie, jakby ktoś usiłował go podnieść za przywiązane do ciała sznurki. I znowu. I jeszcze raz. Widziałem dziurę w jego twarzy w miejscu oka, kawałki mózgu i odłamki potylicy miałem rozsmarowane na prawej nogawce spodni, ale jednocześnie czułem, jak się szarpie i podryguje, jakby chciał mnie dokądś za sobą pociągnąć. Dopiero później zrozumiałem: to kolejne pociski trafiały go w głowę, a każdy trochę nim szarpał. Kiedy później wróciliśmy go pochować, wyglądał jak arbuza, który ktoś kopniakami rozwalił na kawałki. Nie było w tym zresztą nic niezwykłego, jankeskie kule poszatkowały wielu chłopaków, którzy tamtego dnia legli na tym polu. Jak kosa, chłopcze. Albo jak maszynka do mięsa.

Usiadłem na trawie, oddychając przez usta. Pnącza i czarna ziemia miały słodką, upajającą woń, od której kręciło mi się w głowie i robiło trochę niedobrze. Lejący się z nieba żar kładł się na mnie jak gruby, mokry koc.

– Niektórzy z nas zerwali się do ucieczki. – Głos kapitana był chrapliwy i monotony, mężczyzna patrzył w przestrzeń. Trzymanym oburącz rewolwerem celował w moją stronę, byłem jednak pewien, że zupełnie zapomniał o mojej obecności. – Ale kto się podniósł, obrywał. A ten dźwięk... Mimo ciągłego huku wyraźnie było słyhać każdą kulę trafiającą w cel. Nie mieliśmy nawet takiej osłony, na jaką zwykle można liczyć, kiedy dym zgęstnieje, bo wiatr zwiewał go w stronę lasu. Widziałem, jak Ollie Williams wstał, krzyknął chłopakom z dwudziestego, żeby rozplaszczyli się na ziemi... i na moich oczach dostał dwa razy. Próbowaliśmy sformować niby-szyk ogniowy, leżąc w trawie i pszenicy,

ale nie udało nam się oddać nawet jednej salwy, kiedy Jankesi rzucili się w naszą stronę: jedni dalej strzelali, inni zaczęli dźgać bagnietami... Wtedy właśnie widziałem, jak zginąłeś, Johnny. Ty i jeszcze dwaj inni mali dobosze. Kiedy Jankesi wzięli ich na bagnety...

Zawiesił głos i pierwszy raz od dłuższego czasu spojrzął na mnie. Zdezorientowany opuścił broń, ostrożnie zluźował odwiedziony kurek i drżącą dłonią dotknął czoła.

Nadal trochę kręciło mi się w głowie i dręczyły mnie lekkie mdłości.

– Czy to wtedy został pan... ehm... ranny w nogę? – zapytałem.

Zdjął kapelusz. Rzadkie siwe włosy miał pozlepiane potem.

– Że co? W nogę? – Spojrzął na drewnianą protezę pod kolaniem takim wzrokiem, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. – A tak, noga... Nie, chłopcze, to było później. Bitwa w Kraterze. Jankesi zrobili podkop, podłożyli ładunek wybuchowy i zdetonowali go, kiedyśmy spali. Nie zginąłem na miejscu, więc odesłali mnie do Raleigh i na trzy dni przed końcem wojny mianowali honorowym kapitanem. Ale nie, wtedy, tamtego dnia, tutaj... Zostałem trafiony co najmniej trzy razy, ale niegroźnie. Jedna kula oderwała mi obcas prawego buta. Druga strzaskała w cholere kolbę karabinu; drzazgi powbijały mi się w policzek. Trzecia uskubała mi skrawek lewego ucha, ale co tam, najważniejsze, że nie ogłuchłem. Dopiero kiedy potem, pod wieczór, usiadłem, żeby kimnąć, stwierdziłem, że oberwałem jeszcze od tyłu w udo, tuż poniżej tyłka, ale rykoszetem, kula leciała tak wolno, że tylko nabiła mi wielkiego siniaka.

Długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Słyszałem szmery owadów w trawie. W końcu kapitan przerwał ciszę:

– Ten sukinsyn Iverson pofatygował się na dół dopiero, kiedy chłopaki od Ramseura wzięły się za wykurzanie Jankesów. Ale to było później. Leżałem mniej więcej gdzieś tutaj, wciśnięty między ciała Perry’ego i Nate’a i pokryty taką ilością ich krwi i mózgow, że ci przekłeci Jankesi po prostu wyminieli w biegu całą naszą trójkę, tak im się śpieszyło, żeby naszych skłuć bagnietami albo wziąć do niewoli. Otworzyłem oczy tylko na chwilę, w sam raz, żeby zobaczyć, jak zaśmiewają się do rozpuku i kolbami karabinów tłuką starego Cade’a Tarletona. Zabrali nawet chorągiew naszego pułku, łajdaki. Nie było nikogo żywego, żeby im się postawić. Ramseur, którego gazety w Richmond regularnie nazywały „kawalerem Bayardem”, diabli wiedzą dlaczego, szedł ze wzgórz prosto w tę samą pułapkę, kiedy porucznicy Crowder i Dugger wybiegli mu na spotkanie i go ostrzegli. Ramseur był oficerem, ale z pewnością nie był głupcem: przekroczył trakt w innym miejscu, dalej na wschód, i uderzył na Jankesów z prawego skrzydła; przejechał się po nich, czekających po drugiej

stronie tego muru, i zepchnął ich w tył, w stronę seminarium. Kiedy ci nieliczni spośród nas, którzy jeszcze żyli, odczołgawali się do tyłu w stronę domu Forneya albo po prostu powoli się wykrwawiali, ten skurwiel Iverson powiedział generałowi Rodesowi, że widział, jak wywiesiliśmy białą flagę, żeby przejść na stronę Jankesów. Wierutne kłamstwo, chłopcze. Jeśli Jankesi wzięli kogoś do niewoli, to tylko pod groźbą pchnięcia bagnetem. Tamtego dnia nie było żadnych białych flag, w każdym razie nie tutaj. Białe były tylko odłamki czaszek i inne szczątki. Później, kiedy kręciłem się po poboju w poszukiwaniu karabinu zdatnego do użytku, Rodes przyprowadził Iversona, żeby mu pokazać miejsce naszej kapitulacji. Ich konie kluczą wśród trupów, które zostały z Dwudziestego Pułku, a ten sukinkot Iverson...

Głos kapitana się załamał. Stary żołnierz odkaszlnął, splunął i mówił dalej:

– Ten sukinkot Iverson widzi naszych poległych, siedmiuset ludzi z najlepszej brygady, jaką kiedykolwiek wystawiło Południe, rozciągniętych w równiutkich szeregach, jak na defiladzie, i myśli, że leżą na ziemi, bo nadal próbują kryć się przed ostrzałem, mimo że Ramseur przegnał już Jankesów na cztery wiatry. Więc staje w strzemionach, jego zasrany kasztan prawie rozdeptał przy tym Perry’ego, staje w strzemionach i się drze: „Wstawać! Baczość! Salutować generałowi! Wstawać natychmiast!”. To Rodes pierwszy zdał sobie sprawę, że mają przed sobą trupy.

Kapitan dyszał ciężko, mówienie sprawiało mu coraz większy trud. Mnie również zatykało w piersi. Mdląco słodka woń chwastów, pnączy i czarnej ziemi jakby zasysała całe powietrze. Złapałem się na tym, że gapię się na kiść winogron na pobliskim krzewie: nabrzmiałe owoce wyglądały jak posiniaczone ciało pocięte rozpękniętymi żyłkami.

– Gdybym miał broń, zastrzeliłbym gnoja na miejscu. – Kapitan z drżeniem wypuścił powietrze z płuc. – Wrócili z Rodesem na szczyt pagórka. Nigdy więcej nie widziałem Iversona. Dowództwo nad niedobitkami pułku przejął kapitan Halsey. Kiedy następnego dnia rano stawiliśmy się na apelu, z tysiąca czterystu siedemdziesięciu zostało trzystu sześćdziesięciu dwóch. Iverson został odwołany do Georgii, przydzielili mu oddział lokalnej milicji czy coś w tym rodzaju. Podobno prezydent Davis osobiście wyratował go od nagany albo i sądu wojennego. Było oczywiste, że nikt z nas nie zgodzi się ponownie służyć pod rozkazami takiego skurczybyka. Wiesz, jak brzmi ostatni zapis w archiwum naszego pułku, chłopcze?

– Nie, panie kapitanie – odparłem półgłosem.

Przymknął oczy.

– „Sformowany w Seven Pines, złożony w ofierze pod Gettysburgiem, skapitulował pod Appomattox”. Pomóż mi wstać. Musimy sobie znaleźć

kryjówkę.

– Kryjówkę, panie kapitanie?

– Otóż to, do diaska: kryjówkę – potwierdził, gdy ja pełniłem chwilowo rolę jego żywej kuli inwalidzkiej. – Musimy się przygotować na przybycie Iversona. – Uniósł rewolwer, jakby to wszystko wyjaśniało. – Musimy być gotowi, kiedy się zjawi.

Zrobił się późny ranek, zanim znaleźliśmy odpowiednie miejsce, żeby się przyczaić. Wlokłem się za utykającym weteranem i gdy jedna cząstka mojego umysłu w rozpaczliwej panice szukała wyjścia z tej nienormalnej sytuacji, druga, większa, bez zastrzeżeń przyjmowała logikę jego wyводу. Pułkownik Alfred Iverson Jr. musiał w tym dniu wrócić na miejsce swojej hańby, my zaś musieliśmy się ukryć, żeby go wówczas zabić.

– Widzisz to obniżenie terenu, chłopcze? Tam, gdzie rośnie najwięcej tego przeklętego zielska?

– Widzę, panie kapitanie.

– To Wądoły Iversona. John Forney, kiedy przyjechałem go odwiedzić w dziewięćdziesiątym ósmym, twierdził, że tak właśnie nazwali je miejscowi. A wiesz, czym są?

– Nie, panie kapitanie – skłamałem. – Nie wiem.

– W noc po bitwie... Bitwie, też coś! To była rzeź, do diabła. Rzeź! My, nieliczni ocalali z Dwudziestego Pułku, i pionierzy od Lee, przyszlismy tu, wykopaliśmy wielkie, płytkie doły i po prostu sturlaliśmy do nich naszych chłopców tak, jak leżeli, wszystkich razem, w szyku. Nate i Perry stykali się ramionami. Dokładnie tam, gdzie leżałem podczas ostrzału. Widać stąd, gdzie zaczynają się Wądoły: teren lekko się obniża, trawa rośnie wyżej... Widzisz?

– Tak, panie kapitanie.

– Forney mówił, że w tym miejscu trawa zawsze bujniej rosła. Zboże też, kiedy jeszcze tu siał. Mówił też, że robotnicy nie lubili tu pracować. Powtarzał swoim czarnuchom, że nie mają się czego obawiać, bo po wojnie ludzie ze Związku Weteranów ekshumowali naszych chłopców i zabrali ich do Richmond, ale to nie jest do końca prawda.

– Co ma pan na myśli?

Brnęliśmy powoli przez splątany gąszcz. Jakieś pnącze złapało mnie za kostkę i musiałem mocno szarpnąć, żeby się uwolnić.

– Nie kopali wiele w tym miejscu – wyjaśnił kapitan. – Kości leżały tu tak gęsto i płytko, że pozbiali tylko trochę z wierzchu i ogłosili koniec prac. Rozkopywanie mogił nie uśmiechało im się tak samo, jak czarnuchom Forneya praca na tym polu. Nawet za dnia. Ziemia nasiąkła tu takim gniewem, taką hańbą... Ludzie potrafią to wyczuć, nie uważasz, chłopcze?

– Tak jest – odpowiedziałem machinalnie, chociaż w tym akurat momencie odczuwałem głównie nudności i senność.

Kapitan Montgomery przystanął.

– A niech mnie kule biją... Tego domu wcześniej tu nie było.

Przez wyrwę w murze dostrzegłem w cieniu drzew nieduży dom (który na dobrą sprawę bardziej przypominał sporą szopę niż dom mieszkalny), wybudowany z drewna, które pociemniało tak bardzo, że stało się niemal czarne. Nie prowadził do niego żaden podjazd ani nawet koleiny, było jednak widać słabo wydeptany ślad na polu Forneya i dalej, w trawie, tak jakby konie przechodziły przez wyrwę w murze, żeby się tam paść. Kapitan był wyraźnie wzburzony faktem, że ktoś ośmielił się pobudować tak blisko miejsca zagłady jego ukochanego Dwudziestego Pułku. Dom był jednak cichy, pusty, ciemny i po chwili się od niego oddaliliśmy.

Im bardziej zbliżaliśmy się do muru, tym trudniej było iść. Trawa rosła tu dwukrotnie wyższa niż na okolicznych łąkach, dzikie wino okryło obszar wielkości boiska futbolowego, na którym w domu ćwiczyliśmy musztrę. Poza gęstą trawą i grubymi pnączami drogę dodatkowo utrudniały nam dziury w ziemi – całe ich dziesiątki albo i setki czały się pod zbitymi liśćmi.

– Przekłętę goffery – mruknął kapitan Montgomery.

Tyle że te dziury były dwa razy większe od wszelkich tuneli kretów, gofferów i piesków periovych, jakie w życiu widziałem, a u ich wylotu nie było kopczyków ziemi. Kapitan dwa razy wpadł w taki otwór; za drugim razem drewniana noga utkwiała na tyle głęboko, że musieliśmy ją wydobywać wspólnymi siłami. Ciągnąc za okryte wełnianą nogawką udo, doznałem przerażającego uczucia, że jednocześnie ktoś – lub coś – ciągnie za protezę z drugiej strony, nie chce nas puścić i usiłuje wciągnąć starego wiarusa pod ziemię.

Ten wypadek musiał zaniepokoić także samego kapitana, bo gdy tylko udało nam się oswobodzić protezę, zatoczył się do tyłu i usiadł ciężko na ziemi, oparty plecami o mur.

– Wystarczy, chłopcze – wysapał. – Tutaj zaczekamy.

To było dobre miejsce na zasadzkę. Pnącza i trawy sięgały nam do pasa: mogliśmy spomiędzy nich obserwować teren, sami pozostawaliśmy ukryci jak myśliwi przyczajeni w koszu, a mur za plecami osłaniał nas od tyłu.

Kapitan zrzucił płaszcz i torbę na ziemię i zajął się wypakowywaniem, czyszczeniem i przeładowywaniem rewolweru. Ja wyciągnąłem się na trawie nieopodal i najpierw zacząłem rozmyślać o tym, co w tej chwili dzieje się na zjeździe, potem zastanawiać się, jak zaciągnąć tam kapitana z powrotem, następnie dumać o tym, jak wygląda Iverson, aż w końcu przestałem myśleć o czymkolwiek i na przemian to zapadałem w pełną senny marzeń drzemkę, to się z niej budziłem.

Nie dalej niż trzy stopy ode mnie ziała jedna z wszechobecnych dziur w ziemi. Przysypiając, zachowałem częściową świadomość bijącego z niej zapachu: mdląco słodka woń była znajoma, bo wyczułem ją już wcześniej, ale bardziej intensywna, niemal erotyczna, z osobliwą nutą zepsucia, rozkładu martwych morskich stworzeń wysychających na słońcu. Kiedy wiele lat później w towarzystwie znajomego z agencji nieruchomości odwiedziłem nieczynną przetwórnę mięsa w Chicago, powitał mnie podobny zapach, odór rzeźni nieużywanej od lat, lecz trwale przesiąkniętej wspomnieniem krwi.

Czas płynął, upał, zagęszczone powietrze i bzyczenie owadów łączyły się w sennym omdleniu. Przysypiałem, budziłem się, by przez chwilę poczuwać wraz z kapitanem, i znów zapadałem w drzemkę. Wydaje mi się, że pamiętam, jak jadłem przyniesione przez niego w torbie suchary i popijałem je resztką wody z bukłaka, ale nawet ten fakt rozplywa się w moich popołudniowych snach, bo pamiętam również siedzących wokół nas innych ludzi, jedzących i pijących to samo co ja i rozmawiających ściszonymi głosami: słów nie rozumiałem, ale południowy akcent był niewątpliwy i nie było w nim nic dziwnego. Pamiętam też, że za którymś razem obudził mnie i błyskawicznie otrzeźwił (choć siedziałem wtedy, nie leżałem, i byłem przekonany, że wcale nie śpię) warkot silnika samochodu na Mummasburg Road – ale rosnące wzdłuż skraju łąki drzewa zasłaniały drogę, dźwięk wkrótce ścichł, a ja ponownie osunąłem się w znajome senne otępienie.

Nieco później, po południu, przyśnił mi się sen, który pamiętam doskonale.

Leżałem na tym samym polu ranny i bezradny. Lewy policzek miałem przyciśnięty do ziemi, prawym okiem patrzyłem w błękitne letnie niebo. Mrówka przeszła mi po policzku, po niej druga, trzecia, aż w końcu cały ich pochód przemaszerował mi po twarzy i oku, a kolejne pchały się do nozdrzy i otwartych ust. Nie mogłem się poruszyć. Nie mogłem nawet zamrużyć. Mrówki chodziły mi po zębach, czułem, jak wyciągają resztki porannego bekonu spomiędzy trzonowców, drepczą po podniebieniu, penetrują mroczny tunel gardła. Wrażenie to nie było do końca niemiłe.

Miałem też niejasną świadomość ruchu innych stworzeń w dalszych, głębszych rejonach mojego ciała, w obrzmiących fałdach brzucha, żołądka,

jelitach. Jakieś drobne istoty składały jaja w wysychających kącikach moich oczu.

Wyraźnie widziałem kołującego w górze kruka: obniżył lot, wylądował niedaleko mnie, przez chwilę dreptał dostojnie w tę i z powrotem ze złożonymi skrzydłami, po czym przyskoczył bliżej. Wyłuskał moje oko jednym ruchem dzioba, który z bliska wydał mi się ogromny. Zapadła ciemność, w której jednak nadal potrafiłem wyczuć istnienie światła. Moje ciało rozszerzało się w ciepłe, stając się wylęgarnią tysięcy istot; koszula coraz mocniej opinała mi się na piersi. Czułem, jak żyjące we mnie od zawsze bakterie, pozbawione innego pożywienia, zaczęły trawić mój zjełczały tłuszcz i rozkładającą się krew, skazane na porażkę w walce o przetrwanie choćby kilka godzin dłużej.

Moje wargi wysychały i kurczyły się z gorąca, odsłaniając zęby. Szczęki rozwierały się coraz szerzej w bezgłośnym, pozbawionym wesołości uśmiechu, gdy ścięgna rozkładały się albo padały łupem drobnych padlinożerców. Czułem się coraz lżejszy, gdy larwy wykuły się z jaj i z zapalem rzuciły do uprzątnięcia mojego ciała, które, w miarę jak ten proces przyśpieszał, coraz bardziej upodabniało się do tutejszej ciemnej gleby. Moje usta otworzyły się szeroko, by połączyć czekającą Ziemię. Posmakowałem jej mrocznej bliskości. Źdźbła trawy wykiełkowały w miejscu, w którym dawniej znajdował się język. Jakiś kwiat znalazł żyzną glebę w wilgotnej krypcie mojej czaszki i wysłał swój pęd ku górze przez otwór, który niegdyś mieścił oko.

Spokojny i zrelaksowany wtapiałem się w kwaśny posmak otaczającej mnie ciemności i wyczuwałem obecność innych. Przypadkowe ruchy ziemi wypychały ku mnie tlejące kawałki wełny, skrawki ciał i odłamki kości, które mieszały się z moimi szczątkami z nieśmiałym zapalem kochanków dotykających się po raz pierwszy. A kiedy wszystko już przepadło, rozplynęło się w mroku i gniewie, zostały po mnie kości, kruche skrawki pamięci, zapomniane, kanciaste drobiny cierpienia opierające się nieuchronnemu odprężeniu i pochłonięciu przez bezbolesną nicość.

A ja, pogrążony w ich gnijącym szpiku, zagubiony w czarnym jak najżyźniejsza ziemia kwasie zapomnienia, pamiętałem. Pamiętałem – i czekałem.

– Zbudź się, chłopcze! To on! Iverson!

Naglęcy szept wyrwał mnie ze snu. Rozejrzałem się półprzytomnie. W ustach wciąż czułem ziemisty posmak po tym, jak leżałem z wargami przyciśniętymi do

ziemi.

– Do diabła! – zaklął kapitan Montgomery. – Wiedziałem, że przyjdzie!

Wskazał w lewo, gdzie jakiś mężczyzna w ciemnym płaszczu wynurzył się z lasu i przeszedł przez lukę w murze.

Potrząsnąłem głową. Sen nie chciał mnie wypuścić. Przycisnąłem knykcie do oczu, żeby zetrzeć senną mgiełkę, i uświadomiłem sobie, że świat naprawdę pociemniał: kiedy spałem, nadciągnął wieczór. Nie mogłem się nadziwić, gdzie się podział cały dzień.

Mężczyzna w płaszczu majaczył w szarościach zmierzchu, a cała scena wydała mi się echem ślepoty, której doświadczyłem we śnie. Jego biała koszula i jasna twarz lśniły lekko w ciemności, gdy skręcił w naszą stronę. Idąc, torował sobie drogę przez trawy krótkimi uderzeniami trzcinki lub laski.

– Na Boga, to naprawdę on – wyszeptał kapitan.

Drżącymi rękami uniósł broń. Ze zgrozą patrzyłem, jak odciąga kurek.

Intruz był już bardzo blisko, nie dalej niż dwadzieścia pięć stóp od nas. Z ciemnymi wąsami, czarnymi włosami i głęboko osadzonymi oczami rzeczywiście wyglądał jak człowiek, którego widziałem przelotnie na starym ferrotypie.

Kapitan mocniej ujął rewolwer w prawą dłoń, podparł go lewą i wycelował, mrużąc oczy. Wyraźnie słyszałem oddech zbliżającego się mężczyzny; pogwizdywał jakąś ledwie słyszalną melodię.

Kapitan zaczął naciskać spust.

– Nie! – Z krzykiem złapałem rewolwer i pchnąłem go w dół.

Kurek boleśnie przytrzasnął mi fałd skóry między kciukiem i palcem wskazującym, ale broń nie wypaliła.

Kapitan odepchnął mnie gwałtownym uderzeniem lewego przedramienia i próbował ponownie wziąć mężczyznę na cel, mimo że uwiesiłem się na jego nadgarstku.

– Nie! – krzyknąłem ponownie. – On jest za młody! Proszę spojrzeć: za młody!

Kapitan Montgomery się zawahał. Wciąż jeszcze naprężył mięśnie, ale spod zmrużonych powiek przyglądał się przybyszowi, który stał teraz niespełna dwanaście stóp od nas.

Miałem rację, był stanowczo za młody, żeby mógł być pułkownikiem Iversonem: blada, zaskoczona twarz należała do człowieka najwyżej trzydziestoparoletniego.

Kapitan opuścił broń i drżącą dłonią dotknął skroni.

– Mój Boże – wyszeptał. – Mój Boże...

– Kto tam jest? – Mimo zaskoczenia głos mężczyzny brzmiał gromko i pewnie. – Proszę się nie chować!

Pomogłem kapitanowi wstać. Byłem pewny, że nieznajomy wyczuł naszą obecność wśród traw i winorośli, ale nie widział ani naszej szarpaniny, ani – tym bardziej – broni w rękach mojego weterana. Mierząc młodszego mężczyznę wzrokiem, kapitan poprawił kapelusz i schował rewolwer do głębokiej kieszeni płaszcza. Czułem, że cały drży.

– Ach, jeden z weteranów! – zawołał tamten i ruszył do nas z wyciągniętą na powitanie ręką. Trzymaną w drugiej ręce laseczką roztrącał zagradzające mu drogę pnącza.

W dogasającym świetle dnia obeszliśmy Wykroty. Nasz nowy przewodnik szedł odpowiednio powoli, by kuśtykający z mazołem kapitan mógł za nim nadążyć. Mówiąc, wskazywał interesujące miejsca laseczką.

– Tutaj miała miejsce pomniejsza potyczka, jeszcze przed rozpoczęciem głównej bitwy. Mało kto się tu zapuszcza, uwagę przyciągają raczej inne, sławniejsze miejsca na południe i zachód stąd... Ale ci z nas, którzy mieszkają tu, lub przynajmniej spędzają wakacje, mają świadomość istnienia takich właśnie rzadziej odwiedzanych miejsc. Ciekawe, że teren jest tu taki zapadnięty, nieprawdaż?

– Rzeczywiście – potwierdził szeptem kapitan. Szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, ani razu nie podniósł oczu na twarz młodego mężczyzny.

Przewodnik przedstawił się nam jako Jessup Sheads i powiedział, że mieszka w domku, który wcześniej wypatryliśmy wśród drzew. Ponieważ kapitan pozostawał zadumany i zagubiony, przedstawiłem nas obu panu Sheadsowi; żaden z dorosłych nie zwrócił uwagi na moje nazwisko.

Kapitan spojrział na Sheadsa takim wzrokiem, jakby wciąż nie mieściło mu się w głowie, że nie jest to człowiek, którego nazwisko prześladowuje go od pół wieku.

Sheads odkaszlnął i ponownie wskazał największy gąszcz.

– Dokładnie tutaj miała miejsce niewielka potyczka, jedna z tych, do których doszło przed rozpoczęciem bitwy. Konfederaci, którzy nacierali szerokim szykiem, zostali na krótko powstrzymani przez zajmujących stanowiska przy murze żołnierzy Unii, ale szybko uzyskali przewagę. Był to mały triumf Południa, poprzedzający gorzki impas późniejszych kilku dni. – Uśmiechnął się do kapitana. – Całkiem możliwe, że pan już to wszystko wie. Zechce mi pan przypomnieć, w którym oddziale miał pan zaszczyt służyć?

Staruszek przez chwilę poruszał ustami, zanim w końcu dołożył się z nich słowa:

– Dwudziesty Pułk z Karoliny Północnej.

– Ależ oczywiście! – Sheads poklepał go po ramieniu. – Część wspaniałej brygady, której zwycięstwo zostało tu upamiętnione. Byłbym zaszczycony, panie kapitanie, gdyby przed powrotem do obozu zechciał pan wraz ze swoim młodym przyjacielem dołączyć do mnie w moim skromnym domu i wznieść toast za Dwudziesty Pułk. Czy to możliwe, panie kapitanie?

Pociągnąłem kapitana za rąbek munduru, bo nagle zapragnąłem znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Kręciło mi się w głowie z głodu i niespodziewanego, niezrozumiałego strachu. Ale kapitan wyprostował się, wyprężył pierś i odparł:

– Dla nas to również będzie zaszczyt, mój panie.

Dom był zbudowany z drewna czarnego jak smoła. Osiodłana kara klacz, która musiała kosztować fortunę, stała uwiązana do poręczy werandy po jego wschodniej stronie. Od tyłu dostępu do domu broniły gęsty zagajnik i osypisko głązów.

Nieduże wnętrze zdradzało niewiele oznak zamieszkania. Z malutkiej sieni wchodziło się albo do pokoju dziennego, gdzie stały dwa lub trzy duże sprzęty okryte pokrowcami, albo do jadalni – i tam właśnie zaprowadził nas Sheads. W wąskim pokoju z jednym oknem znajdował się wysoki kredens z blatem zastawionym butelkami, puszkami i kilkoma brudnymi talerzami oraz zбитy z desek wąski stół, na którym stała zapalona staroświecka lampa naftowa. Zakurzona kotara oddzielała jadalnię od trzeciego, najmniejszego pokoju, w którym mignęły mi stosy książek i leżący na podłodze materac. Strome schody przy południowej ścianie jadalni prowadziły do otworu w suficie i – najprawdopodobniej – na stryszek, chociaż, zadarłszy głowę, ujrzałem tam tylko kwadrat czerni.

Jessup Sheads oparł swoją solidną laskę o stół i zakrzętnął się przy kredensie. Przyniósł karafkę i trzy kryształowe kieliszki. Sycząca lampa rzucała nasze cienie wysoko na nierówno obrzuconą gipsem ścianę. Próbowałem wyjrzieć przez okno, ale zmierzch ustąpił tymczasem miejsca prawdziwej nocy i tylko mrok napierał od zewnątrz na szyby.

– Czy powinniśmy uwzględnić chłopca w naszym toaście?

Trzymająca karafkę dłoń Sheadsa znieruchomiała nad trzecim kieliszkiem. Nigdy nie pozwalano mi próbować wina ani innych alkoholi.

– Tak – zgodził się kapitan Montgomery.

Natarczywie przyglądał się gospodarzowi. Padające z dołu światło lampy uwypuklało wydatne kości policzkowe starca i przeobrażało krzaczaste brwi w dwa ogromne włochate skrzydła wzniesione nad orlim nosem. Jego cień na ścianie był cieniem istoty z innej epoki.

Sheads skończył polewać i wszyscy trzej sięgnęliśmy po kieliszki. Spojrzałem na wino z powątpiewaniem: czerwony płyn był matowy, gęsty i przetykany mackami czerni, które mogły – choć nie musiały – być złudzeniem wywołanym migotaniem lampy.

– Za Dwudziesty Pułk z Karoliny Północnej – powiedział Sheads i uniósł kieliszek. W tej chwili trochę przypominał wielebnego Hodgesa z kielichem mszalnym.

Obaj z kapitanem podnieśliśmy kieliszki do ust i napiliśmy się wina. Smakowało mieszanką owoców i miedzi i przypomniało mi sytuację sprzed kilku miesięcy, kiedy podczas bójki w szkole kumpel Billy’ego Stargilla rozkwasił mi wargę: rozcięta od wewnątrz krwawiła przez kilka godzin. Smakowało to całkiem podobnie.

Kapitan odstawił kieliszek i przyjrzał mu się z marsową miną. Kropelki wina osiadły mu na siwej brodzie.

– To miejscowy specjał. – Sheads uśmiechnął się lodowato, odsłaniając poplamione czerwienią zęby. – Wybitnie miejscowy. Z winnic, które niedawno odwiedziliśmy.

Zapatrzyłem się w gęstniejącą ciecz w kieliszku: wino z winogron wyrosłych na żyznej ziemi Wądołów Iversona.

– Wznieśmy kolejny toast! – Aż podskoczyłem na dźwięk donośnego głosu Sheadsa. – Za dzielnego i czcigodnego dżentelmena, który poprowadził dwudziesty karoliński do boju. Za pułkownika Alfreda Iversona!

Podniósł kieliszek do ust. Ja stałem zmartwiły i tylko gapiłem się na gospodarza, ale kapitan Montgomery z głośnym łoskotem odstawił kieliszek na stół. Jego twarz przybrała kolor wychłapniętego wina.

– Prędeż mnie piekło pochłonie, niż się... – Język mu się poplątał. – Nie, nigdy. Nie ma mowy!

Mężczyzna, który przedstawił się jako Jessup Sheads, dopił swoje wino i uśmiechnął się. Cerę miał tak samo białą jak koszulę, włosy i długie wąsy czarne jak płaszcz.

– Dobrze – powiedział. – Wuju Alfredzie? – dodał, podnosząc głos.

Już chwilę wcześniej, kiedy pił, cząstka mojego umysłu zarejestrowała odgłos cichych kroków na schodach za naszymi plecami. Spojrzałem teraz do tyłu, odwróciłem samą głowę, bo poza nią całe moje ciało znieruchomiało z kieliszkiem wina w pół drogi do ust.

Na najniższym stopniu stał niski, stary mężczyzna. Musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, ale jego skóra – zamiast pomarszczyć się z wiekiem jak u kapitana Montgomery’ego – wygładziła się, poróżowiła i stała niemal przezroczysta. Przypomniało mi się gniazdo pełne świeżo urodzonych szcurków, na które wiosną poprzedniego roku natknąłem się u sąsiada w stodole: masa bladoróżowego, ruszającego się mięsa, którego – niestety – dotknąłem. Iversona nie miałem ochoty dotykać.

Miał siwą brodę, do złudzenia przypominającą tę, jaką widywałem na portretach Roberta E. Lee, chociaż poza tym zupełnie nie byli podobni. Smutne oczy Lee skrywały się głęboko pod nachmurzonym smutno czołem; oczy Iversona patrzyły prosto na nas, szeroko otwarte i upstrzone żółtymi plamkami. Był niemal całkowicie łyсы i naprężona różowa skóra głowy wzmocniała wrażenie jego osobliwej dziecięcości.

Kapitan Montgomery patrzył na niego z szeroko rozdziawionymi ustami. Oddychał chrapliwie, z wyraźnym wysiłkiem, i szarpał kołnierzyk, jakby nie mógł zaczerpnąć dość powietrza.

– Wszyscy wracacie – zabrzmiał cichy, niemal kobiecy głos Iversona, podszyty dziecinną płacziwością. Lekko seplenił. – Prędzej czy później. Wszyscy. – Westchnął ciężko. – Czy to się nigdy nie skończy?

– Ty... – wykrztusił kapitan i wycelował w Iversona palec wskazujący.

– Oszczędź mi wybuchów gniewu – uciął Iverson. – Myślisz, że ty pierwszy przychodzisz mnie szukać? Że pierwszy próbujesz usprawiedliwić swoje tchórzostwo, rzucając oszczerstwa? Nauczyliśmy się z Samuelem radzić sobie z takimi śmieciami jak ty. Mam tylko nadzieję, że jesteś ostatni.

Ręka kapitana opadła i zniknęła w fałdach płaszcza.

– Ty przeklęty skurwy...

– Milcz! – wszedł mu w słowo Iverson.

Spojrzeniem szeroko otwartych oczu powiódł po pokoju. Jego wzrok prześliznął się po mnie, jakby w ogóle mnie tam nie było. Kąciki ust drgały mu i wykrzywiały się nerwowo, a mnie znów przypominały się szcurze noworodki.

– Samuelu! – zawołał. – Weź no swoją laskę. Pokaż temu człowiekowi, jaka jest kara za bezczelność. – Znów spojrzał na Montgomery’ego. – Zanim z tobą skończę, zasalutujesz mi.

– Prędzej wylądujesz w piekle – odparował kapitan, wyciągając z kieszeni rewolwer.

Siostrzeniec Iversona zareagował błyskawicznie: chwycił grubą laskę i uderzył nią kapitana po przegubie dłoni, zanim staruszek zdążył odciągnąć kurek. Stałem jak wrośnięty w ziemię, cały czas z kieliszkiem w dłoni, gdy broń z łoskotem upadła na podłogę. Kapitan schylił się po nią – wolno i niezręcznie, drewniana noga utrudniała mu ruchy – a wtedy siostrzeniec Iversona złapał go za kołnierz i odepchnął zupełnie bez wysiłku, jak dorosły mógłby odepchnąć dziecko. Kapitan wpadł na ścianę i osunął się po niej bez tchu, żłobiąc protezą ślad w drewnianej podłodze. Twarz miał równie szarą jak mundur.

Siostrzeniec Iversona kucnął, podniósł pistolet i położył go na stole. Sam pułkownik z uśmiechem pokiwał głową; wargi wciąż mu drżały, jakby próbowały złożyć się do uśmiechu. Spojrzałem na kapitana.

Leżał skulony pod ścianą i trzymał się za szyję, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Jego ciałem wstrząsały spazmy, każdy kolejny wdech był głośniejszy i bardziej rżący od poprzedniego. Było oczywiste, że powietrze nie dochodzi do płuc. Twarz kapitana, już wcześniej poszarzała, przybrała paskudny fioletowy odcień, zatrącający o czerń. Język wyszedł mu z ust, drobinki śliny osiadły na brodzie. Jego oczy stawały się coraz większe i coraz okrągłejsze, gdy docierało do niego, co się dzieje. Nie odrywał wzroku od Iversona.

Widziałem w jego oczach bezmiar frustracji: własne ciało zdradziło go w tych ostatnich sekundach konfrontacji, której obsesyjnie wyczekiwał od pół wieku. Wziął jeszcze dwa urywane, rozpaczliwe wdechy i na dobre przestał oddychać. Głowa opadła mu na zapadniętą pierś, sękate pięści rozluźniły się, oczy spojrzały w przestrzeń.

Mój paraliż wreszcie ustąpił. Krzyknąłem, upuściłem kieliszek i dopadłem do kapitana. Z jego groteskowo rozdziawionych ust nie dobywał się oddech, wytrzeszczone oczy już poczynały zachodzić niewidzialną błoną. Dotknąłem starych, zdeformowanych dłoni (zdało mi się, że ciało już stygnie i zaczyna sztywnieć) i coś potwornie ścisnęło mnie w piersi. Nie była to żałoba, niezupełnie. Za krótko znałem staruszkę i poznałem go w nazbyt osobliwych okolicznościach, żeby tak szybko odczuć głęboki smutek po stracie, ale mimo wszystko miałem kłopot z nabraniem tchu w płuca, bo w moim wnętrzu otworzyła się przepastna pustka, świadomość, że czasem życie bywa nie fair i nie zawsze można liczyć na sprawiedliwość. Bo to było niesprawiedliwe.

Ściskając dłonie nieżyjącego starca, złapałem się na tym, że oplakuję tyleż jego, co siebie.

– Odsuń się.

Siostrzeniec Iversona odepchnął mnie i kucnął przy kapitanie. Złapał go za przód koszuli, potrząsnął, uszczypnął w siny policzek, w końcu przystawił ucho do jego piersi.

– Jest martwy, Samuelu? – zapytał bez szczególnego zainteresowania pułkownik.

– Tak, wuju. – Siostrzeniec wstał i nerwowo skubnął wąs.

– Tak, tak... – powiedział z roztargnieniem Iverson tym swoim płaczącym tonem. – To bez znaczenia. – Zbył problem machnięciem drobnej różowej dłoni. – Wynieś go do pozostałych.

Jego siostrzeniec wahał się przez chwilę, zanim z pokoiku w głębi przyniósł kilof, szufłę z długim trzonkiem i latarnię. Szarpnięciem postawił mnie na nogi i wcisnął mi w ręce szufłę i latarnię.

– A co z chłopcem, wuju?

Żółte oczy Iversona wydawały się bez reszty pochłonięte obserwowaniem cieni zalegających u stóp schodów. Wyłamał palce.

– Sam zdecyduj – jęknął. – Tak. Sam zdecyduj.

Siostrzeniec zapalił trzymaną przeze mnie latarnię, złapał ciało kapitana pod pachę i zaczął je ciągnąć do wyjścia. Część pasków przytrzymujących drewnianą nogę rozpięła się. Nie mogłem przestać patrzeć na protezę luźno zwieszającą się z martwego kikuta.

Siostrzeniec Iversona wywlókł zwłoki do sieni i dalej przez drzwi, na zewnątrz, w noc. Stałem jak posąg z szufłą w jednej i syczącą lampą w drugiej ręce i modliłem się w duchu, żeby o mnie zapomniano.

Nagle poczułem na karku dotyk chudych, zimnych palców.

– Chodź, młody człowieka – rozległ się natarczywy szept. – Nie każ mnie i Samuelowi na siebie czekać.

Siostrzeniec Iversona wykopał grób nie dalej niż dziesięć stóp od miejsca, w którym przeleżeliśmy z kapitanem cały dzień w ukryciu. Nawet za dnia rosnące wzdłuż drogi drzewa i winorośl zasłoniłyby nas przed wzrokiem ewentualnych podróżnych na Mummasburg Road, a teraz w ogóle nikogo na niej nie było. Panowały okrutne ciemności. Niskie chmury przesłoniły gwiazdy i jedyne światło pochodziło z mojej latarni oraz – w postaci słabiuteńkiej łuny – z odległego o sto jardów domu pułkownika.

Uwiązana do poręczy kara klacz odprowadziła wzrokiem nasz osobliwy pochód. Kiedy mijaliśmy dom od frontu, kapelusz spadł z głowy kapitana i niezręcznie schyliłem się, żeby go podnieść. Iverson cały czas trzymał dłoń na moim karku.

Ziemia na łące była wilgotna, miękka i łatwa do przekopania. W niespełna dwadzieścia minut siostrzeniec Iversona wykopał dół głęboki na trzy stopy. Kawalki korzeni, kamyki i inne rzeczy połyskiwały bielą w stercie ziemi, gdy padło na nie światło latarni.

– Wystarczy – zarządził Iverson. – Pośpiesz się, Samuelu.

Samuel podniósł wzrok na wuja. W zimnym świetle jego twarz wyglądała jak zroszona potem biała maska z nakreślonymi grubymi pociągnięciami węgla wąsami i brwiami, czarnymi jak smuga ziemi na lewym policzku. Złapał oddech, skinął głową, odłożył szufłę i sięgnął po ciało kapitana Montgomery’ego, żeby stoczyć je do grobu. Stary wiarus legł na wznak, z szeroko otwartymi oczami i ustami. Drewniana noga, która do tej pory wlokła się za ciałem, zahaczyła o coś i została na skraju dołu. Siostrzeniec Iversona spojrzął na mnie spod półprzymkniętych powiek, sięgnął po nią i rzucił ją kapitanowi na pierś. A potem, nie patrząc w dół, znów wziął do ręki szufłę i zaczął szybko przysypywać zwłoki. A ja patrzyłem. Patrzyłem, jak czarna ziemia spada na policzek i czoło mojego weterana; jak pokrywa wytrzeszczone oczy – najpierw lewe, potem prawe; jak wypełnia otwarte usta. Cokolwiek ścisnęło mnie w gardle, puściło i targnął mną potężny, bezgłośny szloch.

W niecałą minutę kapitan zniknął. Został tylko zarys sylwetki na dnie płytkiego grobu.

– Samuelu – wyseplenił Iverson.

Jego siostrzeniec oderwał się od pracy i spojrzął na niego pytająco.

– Co radzisz w tej... drugiej sprawie? – Cichy głos Iversona niemal utonął w syku latarni i huku dudniącej mi w uszach krwi.

Siostrzeniec otarł policzek wierzchem dłoni, rozsmarowując czarną plamę jeszcze szerzej, i wolno pokiwał głową.

– Wydaje mi się, że nie mamy wyboru, wuju. Nie można dopuścić, żeby... Nie powinniśmy ryzykować. Nie po Florydzie.

– Dobrze. – Iverson westchnął. – Rób, co musisz. Ja się dostosuję.

Samuel jeszcze raz kiwnął głową, wypuścił powietrze z płuc i sięgnął po kilof na w pół zagrzebany w stercie świeżo wykopanej ziemi. Cząstka mnie krzyczała, żebym uciekał, ale tylko stałem nieruchomo na skraju przerażającego grobu, z latarnią w dłoni, wdychając zapach potu Samuela i inny, bardziej przenikliwy odór, który buchał z dołu, ze sterty ziemi i pobliskich winorośli.

– Odstaw tę lampę, młody człowieku – wyszeptał Iverson zaledwie kilka cali od mojego ucha. – Odstaw ją, tylko ostrożnie.

Jego zimne palce mocniej zacisnęły mi się na karku. Odstawiłem latarnię, starannie wybrawszy miejsce, żeby się nie przewróciła. Iverson swoim lodowatym dotykiem pchnął mnie na sam skraj grobu, sięgającego stojącemu

w nim Samuelowi do pasa. Samuel, z kilofem w rękach, mierzył mnie posepnym spojrzeniem, w którym żal mieszał się z wyczekiwaniem. Mocniej ścisnął kilof w dużych białych dłoniach. Miałem właśnie powiedzieć „Wszystko w porządku”, kiedy determinacja w jego wzroku ustąpiła miejsca zaskoczeniu.

Zachwiał się, złapał równowagę, znów się zachwiał... Wyglądało to tak, jakby znajdował się na platformie, która zniemacka opadła najpierw o stopę w dół, a potem jeszcze o osiemnaście cali i tak jak wcześniej krawędzie grobu sięgały mu do pasa, tak teraz stał w nim po pachy.

Wypuścił kilof, wyciągnął ręce w górę i oparł je o stabilne podłoże obok grobu... które tymczasem straciło ten stan. Obaj z pułkownikiem zatoczyliśmy się w tył, bo ziemia zdrząła i nagle zaczęła płynąć jak w lawinie błotnej. Siostrzeniec Iversona lewą ręką złapał mnie za kostkę, a prawą próbował chwycić się grubych łodyg winorośli. Zaciśnięta na moim karku dłoń pułkownika zaczynała mnie przyduszać.

Nagle dał się słyszeć dźwięk osypującej się ziemi, jakby zapadło się dno grobu stanowiące sklepienie jakiejś zapomnianej kopalni albo jaskini. Siostrzeniec Iversona rzucił się desperacko naprzód i wychynął z dołu, przycisnąwszy pierś do śliskiej krawędzi. Puścił też moją kostkę, by obiema rękami łapać się pnączy. Przywodził mi na myśl górskiego wspinacza, który na trudnym odcinku skały w walce z ciężeniem może polegać tyle na sile własnych palców i tarcu tułowia o podłoże.

– Pomocy. – Błagalny szept był ledwie zrozumiały na skutek wysiłku i niedowierzania w jego głosie.

Iverson cofnął się o kolejne pięć kroków, ciągnąc mnie za sobą.

Samuel pomału zwyciężał w walce z zapadającym się grobem. Lewą ręką namacał kilof i podciągnął się na nim, aż oparł prawe kolano o krawędź dołu.

Krawędź się skruszyła.

Zgarnięta w trzystopowej wysokości stertę ziemia gładko opłynęła stylisko kilofa i osypała się po wyciągniętym ramieniu siostrzeńca Iversona wprost do grobu. Kiedy kopał, ziemia była wilgotna, ale dość zwarta. Teraz płynęła zupełnie bez tarcia, jak rzadkie błoto, jak woda... Jak czarne wino.

Samuel osunął się do dołu, który tymczasem wypełnił się kleistą błotną mazią. Z półpłynnej czarnej kałuży wyzierały tylko jego rozcapierzone palce dłoni i twarz.

Nagle ze wszystkich stron naraz dobiegł inny, nowy dźwięk, tak jakby mnóstwo wielgachnych postaci poruszyło się jednocześnie pod grubym kożuchem trawy i winorośli. Liście drżały, pnącza pękały z trzaskiem... Wiatru nie było.

Samuel otworzył usta do krzyku, a wtedy fala ciemności wpłynęła mu pomiędzy zęby. Jego oczy nie były już oczami człowieka. Bez żadnego ostrzeżenia grunt ponownie opadł, siostrzeniec Iversona został wessany pod powierzchnię i zniknął nam z oczu tak szybko i nieodwołalnie, jak pływak wciągnięty pod wodę przez trzykrotnie większego rekina.

A potem rozległo się szczekanie zębów.

Pułkownik Iverson zaskomlał jak małe dziecko, któremu starsi kazali po ciemku pójść do swojego pokoju. Jego uścisk na moim karku zelżał.

Po raz ostatni mignęła nam twarz Samuela. Wybałuszone oczy miał przyprószone ziemią, coś wyszarpało mu większość prawego policzka. Zdałem sobie sprawę, że dźwięk, który słyszę, wydaje człowiek próbujący krzyczeć, mimo że krtań i przełyk ma na wpół wypełnione ziemią.

Ponownie zniknął pod powierzchnią. Pułkownik Iverson zrobił jeszcze trzy kroki w tył i mnie wypuścił.

Porwałem latarnię i pobiegłem.

Słyszając krzyk za plecami, obejrzałem się i przez wyrwę w murze dostrzegłem pułkownika Iversona: był jeszcze na łące, zataczał się, rzeził, ale cały czas się zbliżał.

Pędziłem z prędkością przerażonego dziesięciolatka. Bujająca mi się w prawej ręce latarnia rzucała zmienne plamy światła na liście, konary, kamienie. Musiałem zabrać światło. Myślałem tylko o jednym: o rewolwerze kapitana Montgomery'ego, który Samuel zostawił na stole.

Kiedy dopadłem do drzwi domu, osiodłana klacz szarpała się na uwięzi i toczyła dzikim wzrokiem, spłoszona moją obecnością, rozhuśtaną latarnią, krzykami Iversona w oddali albo napływającą od strony łąki falą okrutnego smrodu. Nie zwracając na konia uwagi, wparowałem do środka i przebiegłem przez sień wprost do jadalni. Tam się zatrzymałem, dysząc ciężko i szczerząc zęby w uśmiechu triumfu.

Triumfu i zgrozy. Rewolwer zniknął.

Przez kilka sekund albo minut stałem nieruchomo niezdolny do myślenia. W końcu przyświecając sobie latarnią, zajrzałem pod stół, do kredensu, nawet do pokoiku na tyłach. Rewolweru nigdzie nie było. Zawróciłem w stronę drzwi, ale słysząc jakieś dźwięki na werandzie, skręciłem na pięterko. Zatrzymałem się na schodach, niezdecydowany.

– Czy to... tego szukasz... młody człowieku?

Zadyszany Iverson stanął w drzwiach jadalni. Lewą ręką oparł się o framugę, w prawej trzymał wycelowany we mnie rewolwer.

– Oszczerstwa, wszystko oszczerstwa – powiedział i nacisnął spust.

Kapitan Montgomery mówił mi, że rewolwer ma samonapinacz – i rzeczywiście, kurek odchylił się, szczęknął... i znieruchomiał. Broń nie wypaliła.

Zaskoczony Iverson zerknął na nią podejrzliwie i ponownie wycelował.

Rzuciłem mu latarnię w twarz.

Odbił ją wolną ręką. Latarnia spadła na podłogę, szkło się stłukło, stareńka kotara zajęła się ogniem, który wystrzelił aż pod sufit i przy okazji liźnął prawy bok Iversona. Pułkownik zaklął i upuścił rewolwer. Przeskoczyłem nad poręczą schodów, złapałem stojącą na stole lampę naftową i cisnąłem ją w głąb pokoiku na tyłach. Posłanie i książki buchnęły ogniem, nafta rozlała się szeroko. Przypadłem do ziemi na czworakach i rzuciłem się w stronę rewolweru, ale wtedy Iverson wymierzył mi kopniaka w głowę. Był stary, powolny i z łatwością uniknąłem trafienia, ale przez ten czas płonąca kotara spadła i odgrodziła mnie od leżącej broni. Iverson sięgnął po nią, cofnął rękę w obawie przed poparzeniem, zaklął i wybiegł przez drzwi wejściowe.

Przez chwilę siedziałem skulony, próbując złapać oddech. Płomienie sunęły wzdłuż szpar w podłodze, z wolna trawiąc deski z sosny smołowej i sam szkielet budynku. Klacz kwiczała jak obłąkana – nie wiedziałem, czy drażni ją dym, czy nie podoba jej się, że pułkownik próbuje jej dosiąść. Miałem świadomość, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Iverson odjechał teraz na południe albo na wschód, jak najdalej od Wądołów, przez las w stronę miasta.

Sięgnąłem w głąb ognistego kręgu, krzycząc bezgłośnie, gdy mankiet koszuli zwęglił mi się błyskawicznie, a na dłoni, nadgarstku i przedramieniu wyskoczyły bąble. Udało mi się jednak wyciągnąć rozpalony rewolwer i po chwili przerzucałem go z jednej ręki do drugiej, czekając aż ostygnie. Dopiero później przyszło mi do głowy, że proch w nabojach powinien był eksplodować.

Przytrzymując broń obiema poparzonymi rękami, chwiejnie wyszedłem przed dom.

Iverson rzeczywiście zdołał dosiąść klaczy, ale zdążył włożyć tylko jedną nogę w strzemień. Wodze z jednej strony końskiego pyska zwisały luźno, a szarpiący za drugą ich część pułkownik desperacko próbował skierować spanikowanego wierzchowca w stronę lasu – i zarazem płonącego domu. Klacz cofała się przed ogniem i najchętniej puściłaby się biegiem w przeciwnym kierunku, w stronę wyrwy w murze i Wądołów Iversona. Pułkownik nie zamierzał jej na to pozwolić. Efekt był taki, że klacz kręciła się w kółko, przy każdym obrocie łyskając dziko białkami oczu.

Potykając się, zszedłem z płonącej werandy i uniosłem ciężki rewolwer. Iverson zdołał zapanować nad kręcącą piruety klaczą i schylił się po wodze. Ujawszy je w dłoń, mocno dźgnął piętami klacz w boki, żeby mnie ominąć – albo stratować – po drodze w ciemny leśny gąszcz.

Musiałem użyć całej swojej siły, żeby odwieść kurek (przy okazji popękały mi pęcherze na poparzonym kciuku) i strzelić. Nie zdążyłem wycelować i pocisk poszatkował liście dziesięć stóp nad głową Iversona. Odrzut był tak silny, że omal nie wypuściłem rewolweru.

Klacz okręciła się w miejscu. Pułkownik ponownie szarpnął ją w drugą stronę, ponaglaając gwałtownymi kopniakami czarnych półbutów.

Druga kula weszła w ziemię pięć stóp przede mną. Z kciuka zaczęła mi schodzić skóra, kiedy po raz trzeci napiąłem kurek i podniósłszy niewiarygodnie ciężki rewolwer, wymierzyłem wprost między obłąkane ślepia klaczy. Płakałem jak bóbr, tak że ledwie widziałem Iversona, za to doskonale słyszałem, jak klnie, gdy zwierzę po raz trzeci nie zechciało zbliżyć się do głośno huczącego pożaru. Osmolonym rękawem otarłem oczy. W tej samej chwili pułkownik pozwolił klaczy odwrócić się od ognia i popuścił jej wodzy. Mój trzeci strzał znowu przeszedł górą, a Iverson pogalopował w ciemność. Klacz nie zamierzała się trzymać słabo widocznej ścieżki i po prostu przeskoczyła mur w innym miejscu z dwustopowym zapasem.

Rozszlochany pobiegłem za nimi. Dwa razy potknąłem się po ciemku, ale nie wypuściłem rewolweru z rąk. Kiedy dotarłem do muru, za moimi plecami pożar objął już cały dom. Iskry leciały pod niebo, plamy czerwonego blasku kładły się na łące i drzewach. Wskoczyłem na mur. Stałem, chwając się na nogach, dyszałem ciężko i patrzyłem.

Klacz zdążyła przebiec jakieś trzydzieści jardów, zanim coś ją zatrzymało. W tej chwili stała dęba, a siwowłosego człowieka na jej grzbiecie obiema rękami rozpaczliwie czepiał się końskiej grzywy.

Winorośl ożyła. Wielka masa pnączy wnosiła się na wysokość końskiego łba, miałem wrażenie, że pod powłoką liści poruszają się jakieś sylwetki, ziemia dookoła falowała, tworzyły się w niej pagórki, bruzdy...

I dziury.

W świetle pożaru widziałem je wyraźnie. Wyglądały jak nory kretów, może gofferów, ale były zarazem tak szerokie, że zmieściłby się w nich dorosły człowiek, i żebrowane od wewnątrz pasmami czerwonej jak krew chrząstki. Trochę jakby patrzyło się prosto w paszczę węża, którego wnętrzości pulsują wyczekująco.

Podobnie. Tylko gorzej.

Jeśli widzieliście kiedy, jak minóg szykuje się do żerowania, możecie sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Te dziury miały zęby. Dookoła. W kilku rzędach. Ziemia się otworzyła, odsłaniając czerwone bebechy obwiedzione ostrymi białymi zębiskami.

Na dodatek dziury się poruszały. Klacz tańczyła w panice, ale dziury przemieszczały się jak cienie w szerokim kręgu nagiej ziemi, który samoczynnie oczyścił się z poszycia. Na jego obwodzie pod warstwą winorośli wznosiły się niewyraźne kształty.

Iverson krzyknął głośno. Sekundę później klacz wydała podobny dźwięk, gdy zębata dziura w ziemi zatrzasnęła się na jej prawej przedniej nodze; wyraźnie usłyszałem trzask łamanej i odrywanej kości. Zwierzę runęło na ziemię, pułkownik spadł z jego grzbietu. Rozległy się kolejne trzaski: klacz uniosła łeb i obląkanymi białymi ślepiami patrzyła, jak ziemia zamyka się wokół czterech kikutów jej nóg, a zęby drą na strzępy ścięgna i mięśnie, zdzierając je z kości z taką samą łatwością, z jaką człowiek ogryza ciemne mięso z kurzego udka.

Po dwudziestu sekundach miałem przed sobą już tylko koński korpus tarzający się w pozlepianej czarnej krwią ziemi w daremnych próbach uniknięcia ruchliwych paszcz minogów. Aż w końcu jedna z nich zamknęła się na szyi zwierzęcia.

Iverson najpierw dźwignął się na kolana, a potem wstał. Słyszałem trzask płomieni za plecami, szelest winorośli i piskliwe, histeryczne rżenie pułkownika. Ten człowiek się śmiał.

Rozedrgany grunt marszczył się, wypiętrzał i zakłęsał, tworząc bruzdy długie na pięćset jardów i równiuteńkie jak w szyku defiladowym. Pnącza, trawa i czarna ziemia wznosiły się i opadały, wyglądało to jak stado szczurów buszujące pod cienkim kocem. Albo jak łopocząca na wietrze flaga.

Iverson wrzasnął przeraźliwie, gdy dziury w ziemi otworzyły się pod nim i wszędzie wokół niego. Jakimś cudem zdołał wrzasnąć jeszcze raz, kiedy górna połowa jego ciała, oddzielona od dolnej, poturlała się po ziemi. Jedną ręką szukał oparcia na falującym podłożu, drugą nadaremnie próbował wcisnąć z powrotem w korpus te jego części, które wlekły się z tyłu.

Dziury zamknęły się ponownie. Tym razem obeszło się bez krzyku, a po ziemi potoczył się tylko nieduży różowy owal. Ja jednak jestem pewien – i będę o tym przekonany do dnia mojej śmierci – że widziałem ruch siwej brody i ust, które rozwarły się bezgłośnie; że dostrzegłem łyśnięcie bieli i żółci spod mrugających powiek.

Dziury w ziemi zatrzasnęły się po raz trzeci.

Zataczając się, cofnąłem się spod muru. Wcześniej jednak cisnąłem rewolwer na łąkę najdalej, jak potrafiłem. Płonący dom zdążył się przez ten czas zawalić,

ale wciąż buchał porażającym żarem. Nie powinienem znajdować się tak blisko pożogi, brwi miałem już przypalone, para buchała mi z przepoconego munduru, ale mimo to trwałem przy pożarze najdłużej, jak się dało.

Byle nie oddalać się od światła.

Nie pamiętam strażaków, którzy mnie znaleźli, ani ludzi, którzy niedługo przed świtem odwieźli mnie z powrotem do miasta.

Drugiego lipca, w środę, na zjeździe wypadał Dzień Wojskowy. Przez całe popołudnie lało jak z cebra, ale w Wielkim Namiocie wygłaszano przemówienia zgodnie z planem. Głos zabrali synowie i wnukowie generałów Longstreeta, Picketta i Meade'a.

Pamiętam, że ocknąłem się na krótko w szpitalu polowym: obudziło mnie bębnienie deszczu o namiotowe płótno. Ktoś komuś tłumaczył, że warunki są tu lepsze niż w starym szpitalu w miasteczku. Całe ręce, aż po barki, miałem grubo obandażowane. Trawiła mnie gorączka.

– Leż spokojnie, chłopcze – powiedział wielebny Hodges z twarzą nabrzmiałą troską. – Zatelegrafowałem do rodziców, twój ojciec dotrze tu wieczorem.

Kiwnąłem głową i powstrzymałem się od krzyku podczas tych kilku ciągnących się przez wieczność sekund, nim znów zapadłem w sen. Turkot deszczu o płótno brzmiał jak zgrzyt kości o zęby.

Na czwartek trzeciego lipca zaplanowano Dzień Cywilny. Ocalańcy z brygady Picketta oraz byli żołnierze Unii zrzeszeni w Stowarzyszeniu Weteranów Brygady Filadelfijskiej przemaszerowali pięćdziesiąt stóp od Muru Cmentarnego, który wyznaczał granicę osiągniętą przez konfederatów podczas natarcia, a potem zbliżyli się do niego i skrzyżowali nad nim swoje proporce bojowe. Następnie chorąży w symbolicznym geście wzniosł nad skrzyżowanymi proporcami flagę Stanów Zjednoczonych, a weterani padli sobie w objęcia.

Z porannego przejazdu pociągiem do domu zostały mi w pamięci tylko strzępy. Pamiętam, że ojciec obejmował mnie ramieniem. Pamiętam też wyraz twarzy matki, która wyszła po nas na stację w Chestnut Hill.

W piątek, czwartego, na Wielkim Zjeździe obchodzono święto narodowe. O jedenastej w Wielkim Namiocie prezydent Wilson wygłosił przemówienie do wszystkich weteranów. Mówił o gojeniu się ran, zapominaniu dawnych różnic i porzucaniu niegdysiejszych sporów. Mówił także o męstwie, odwadze i chwale, których upływ czasu nie umniejsza. Kiedy skończył, orkiestra zagrała hymn

państwowy, a gwardia oddała salwę honorową. A potem wszyscy ci starzy ludzie rozjechali się do domów.

Pamiętam urywki swoich snów z tego dnia. Były takie same jak sny, które śnię do dzisiaj. Kilkakrotnie budziłem się z krzykiem. Matka próbowała trzymać mnie za rękę, ale nie chciałem, żeby ktokolwiek mnie dotykał. Ktokolwiek – lub cokolwiek.

Od mojej pierwszej wycieczki do Gettysburga upłynęło siedemdziesiąt pięć lat. Wiele razy tam wracałem. Rozpoznają mnie przewodnicy, strażnicy i bibliotekarze; niektórzy pochlebiają mi, nazywając mnie historykiem.

Podczas Wielkiego Zjazdu w 1913 zmarło dziewięciu weteranów: pięciu na serce, dwóch rażonych udarem cieplnym, jeden na zapalenie płuc. Świadectwo zgonu dziewiątego jako przyczynę śmierci podaje „podeszły wiek”. Jeden weteran po prostu zniknął pomiędzy momentem rejestracji na zjeździe i datą spodziewanego powrotu do domu opieki dla emerytowanych wojskowych w Raleigh, w Karolinie Północnej. Nazwiska kapitana Powella D. Montgomery’ego z Raleigh, weterana 20 Pułku Karolińskiego, nie dopisano do listy zmarłych uczestników zjazdu. Nie miał rodziny i po zakończeniu obchodów nikt się o niego nie opomniał.

Jessup Sheads rzeczywiście wybudował niewielki dom na południowy wschód od farmy Forneya, w miejscu, gdzie 97 Pułk Nowojorski czekał w zasadzce na nacierających żołnierzy pułkownika Alfreda Iversona. Dom – pomyślany przez właściciela jako domek letniskowy – stanął tam wiosną 1893 roku. Sheads nie zdążył w nim pomieszkać. Niski, krępy, rudowłosy i gładko ogolony mężczyzna (tak go opisywano) miał słabość do wina. To on posadził w tej okolicy winorośl – niedługo przed tym, jak w tymże 1893 zmarł na zawał. Wdowa po nim przez wiele lat wynajmowała domek letnikom, korzystając z usług pośredników. Nie zachowały się żadne zapiski na temat wynajmujących go lokatorów, a latem 1913 roku domek spłonął.

Pułkownik Alfred Iverson Jr. zakończył wojnę w stopniu generała brygady, mimo że wskutek nieujawnionych publicznie komplikacji w potyczkach poprzedzających bitwę pod Gettysburgiem odebrano mu dowództwo. Po wojnie bez powodzenia angażował się w przedsięwzięcia biznesowe w Georgii, a następnie na Florydzie; oba te miejsca opuścił w niewyjaśnionych okolicznościach. Na Florydzie zajmował się handlem owocami cytrusowymi. Wszedł w tym celu w spółkę ze swoim ciotecznym wnukiem Samuelem

Strahlem, zdeklarowanym zwolennikiem Ku Klux Klanu i zaciekłym obrońcą nazwiska i reputacji wuja. Krążyły plotki, że Strahl zabił w nielegalnych pojedynkach co najmniej dwóch ludzi, a w hrabstwie Broward był poszukiwany w związku ze zniknięciem siedemdziesięcioośmioletniego Phelpsa Rawlinsa, weterana 20 Pułku z Karoliny Północnej. Żona Stahla poinformowała o jego zaginięciu po tym, jak latem 1913 roku wybrał się na miesięczną wyprawę myśliwską, i żyła samotnie w Macon, w Georgii, aż do śmierci w roku 1948.

Różne źródła podają datę śmierci Alfreda Iversona Jra jako rok 1911, 1913 lub 1915. Historycy często mylą go z ojcem, który był senatorem. Mimo że obaj spoczęli ponoć w rodzinnym grobowcu w Atlancie, z dokumentów kancelarii cmentarza Oakland wynika, że znajduje się tam tylko jedna trumna.

Przez lata wielokrotnie śniłem – i nadal śnię – sen, który pamiętam z tamtego upalnego popołudnia wśród winorośli. Zmienia się tylko moje pole widzenia: zamiast błękitnego nieba i kamiennego muru pod rozłożystymi koronami drzew widzę czasem okopy i zasieki z drutu kolczastego, poletka ryżowe i monsunowe chmury, ścięte lodem błoto na brzegach zamarznętej rzeki albo gęstą tropikalną dżunglę, która pochłania całe światło. Ostatnio śniło mi się, że leżę w spopielonym mieście, a z nisko wiszących chmur pada śnieg. Ziemia zawsze jednak smakuje tak samo, owocami i miedzią. Poczucie milczącej bliskości tych, którzy zostali nonszalancko poświęceni, zapomniani i pogrzebani, również się nie zmienia. Czasem myślę o masowych mogiłach, które użyźniały całe to stulecie, i opłakuję swojego wnuka i prawnuki.

Dawno już nie odwiedzałem żadnego pola bitwy – ostatnio zrobiłem to dwadzieścia pięć lat temu, spokojną wiosną 1963 roku, trzy miesiące przed graniczącymi z obłędem obchodami setnej rocznicy bitwy pod Gettysburgiem. Mummasburg Road została poszerzona i utwardzona. Dom Johna Forneya dawno zniknął, zauważyłem jednak, że wokół jego fundamentów wyjątkowo rozpleniły się irysy. Oczywiście sam Gettysburg znacząco się rozrósł, ale przepisy o ograniczeniu zabudowy i istnienie parku historycznego uniemożliwiają powstawanie nowych domów zbyt blisko pola bitwy.

Wiele drzew przy murze uschło, rażonych grafiozą wiązu i innymi chorobami. Z samego muru zachowało się raptem kilka jardów; większość rozebrano, a kamienie poszły na budowę kominków i wyłożenie tarasów. Ponad otwartym terenem otwiera się doskonały widok na miasto.

Po Wądołach Iwersona nie został żaden ślad. Nie pamięta ich żaden z okolicznych mieszkańców, z którymi rozmawiałem. Leżące odłogiem pola pięknie się zielenią, a uprawiane rodzą niewiarygodnie obfite plony, ale to samo można powiedzieć o większości okolicznych pensylwańskich ziem.

Ostatniej zimy mój przyjaciel, podobnie jak ja amatorsko parający się historią, napisał mi w liście, że niewielki zespół archeologów z Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii przeprowadził próbne wykopaliska w rejonie Oak Hill. Podobno natrafili na prawdziwy skarb: pociski, mosiężne guziki, pozostałości mundurów i wyposażenia, fragmenty kartaczy, pięć świetnie zachowanych bagnetów, kawałki kości... Wszystkie te uparte drobiazgi, które rozkładające się ciało zostawia po sobie niczym drobne przypisy w księdze czasu.

A także zęby, pisał mój przyjaciel.

Mnóstwo zębów.

Wstęp do „W ząbek czesanych”

Kiedy byłem mały, często się przeprowadzaliśmy. Jednym z problemów związanych z przeprowadzką (w każdym wieku) jest uciążliwa konieczność znalezienia nowego lekarza, dentysty, ulubionego sklepu spożywczego... oraz fryzjera.

Miałem jakieś osiem lat, kiedy przeprowadziliśmy się do Brimfield, liczącej niespełna tysiąc dusz miejsciny w Illinois, w której wszystkiego było po jednej sztuce: jeden sklep, jeden lekarz, jedna szkoła... Oprócz fryzjerów, których było dwóch. Pamiętam, jak matka zabrała mnie i mojego młodszego brata Wayne'a do centrum. Weszliśmy wtedy do pierwszego napotkanego zakładu fryzjerskiego.

To był ten niewłaściwy.

Pamiętam uschnięty kaktus i martwe muchy na parapecie. Pamiętam zatęchłą woń wnętrza z nutami przeżutego tytoniu i starego potu. Pamiętam lustra, które zdawały się pochłaniać światło. Pamiętam klientów, starych mężczyzn w ogrodniczkach, którzy na nasz widok rozpierzchli się jak karaluchy. Pamiętam też, jak bardzo zaskoczyliśmy fryzjera naszym najściem.

Tamtego dnia ja zostałem ostrzyżony, Wayne nie. Moja nowa fryzura była fatalna, przez następne trzy tygodnie nie zdejmowałem skautowskiego kapelusza. Mama szybko odkryła, że prawdziwy fryzjer urzęduje przecnicę dalej, a w zakładzie, do którego przez przypadek zbłądziliśmy, nie strzygł się dosłownie nikt: nawet przesiadujący w nim starzy farmerzy albo byli łysi, albo nikt ich nigdy nie widział na fryzjerskim fotelu.

Najciekawszy w całej tej historii jest jej epilog: taki sam – albo prawie taki sam – zakład fryzjerski funkcjonował w każdym mieście, w którym później mieszkałem. W Chicago przycupnął w bezimiennym zaułku odchodzącym od Kildare Avenue. W Indianapolis znajdował się przecnicę od Pomnika Żołnierzy i Marynarzy. W Filadelfii odkryłem go przy Germantown Avenue, naprzeciwko trzystuletniego nawiedzonego domu Grumblethorpe. W Kalkucie (gdzie większość mieszkańców strzyże się i goli pod gołym niebem, u golibrodów, którzy przykucają na chodniku, a klient zajmuje miejsce w rynsztoku) mieścił się przy Chowringhee Road, pod stupiennym figowcem, który jest ponoć równie

stary jak nasza planeta. W miasteczku w Colorado, w którym w obecnie mieszkam, można go znaleźć przy Main Street, pomiędzy Trzecią i Czwartą Aleją.

Oczywiście nie jest to dokładnie ten sam zakład, po prostu... Jednak jest.

Rozejrzyjcie się. Znajdziecie go także w swojej okolicy. Sami się w nim nie strzyżecie, nie znacie też nikogo, kto kiedykolwiek korzystałby z jego usług, ceny zatrzymały się w nim w ubiegłej dekadzie, jeśli nie ubiegłym stuleciu... Popytajcie. Miejscowi pokręcą głową, jakby próbowali sobie przypomnieć sen, a potem powiedzą coś w tym stylu:

– Tak, tak, ten fryzjer jest tu od zawsze. Chociaż nie znam nikogo, kto by się tam strzygł. Właściwie to ciekawe, jakim cudem jeszcze nie zbankrutował.

Śmiało. Zbierzcie się na odwagę i wejdźcie do środka. Nie oglądajcie się na zasuszony kaktus i martwe muchy na parapecie. Nie dajcie się spłoszyć staruszkom, którzy czmychną tylnym wyjściem, gdy wy wejdziecie od frontu.

No dalej. Poproście o strzyżenie.

Odważycie się?

W ząbek czesani

Przed wejściem spływa spirala krwi.

Stoję przed salonem fryzjerskim. Nie ma w nim nic nadzwyczajnego. Niemal na pewno podobny przybytek znajduje się także w waszej okolicy: charakterystyczny szyld w postaci obracającego się słupka, czerwień spływająca po nim spiralą, wypisana na szybie nazwa zakładu; litery z czasem trochę się pokruszyły, bo złota farba starzeje się, marszczy i odłazi płatkami. Podczas gdy najelegantsze salony fryzjerskie noszą dziś nazwy wzięte od nazwisk właścicieli, a franczyzowe zakłady w centrach handlowych rażą banałem lub przyprawiającą o mdłości słodkością – Studio Fryzur, Pretty Woman, Wyczesani, Czarnobrody, Nożycoręki, Fest Czuprynka i tak dalej, *ad infinitum*, *ad nauseam* – nazwa tego akurat zakładu zupełnie nie zapada w pamięć. I tak ma być. Nie oferuje on żadnych wyrafinowanych stylizacji ani strzyżenia unisex. Jeżeli przyjdziecie z brudnymi włosami, to i tak zostaniecie ostrzyżeni; tu nikt się nie bawi w mycie głowy. W placówce franczyzowej za podstawową usługę zapłacicie od piętnastu do trzydziestu dolarów; tutaj cena nie zmieniła się od dziesięciu lat albo i więcej. Potencjalny nowy klient od razu po wejściu zdaje sobie sprawę, że nie sposób wyżyć z tak niskich stawek, to po prostu niemożliwe. Zazwyczaj wycofuje się wtedy pośpiesznie, wypłoszony podejrzaną ceną, panującym we wnętrzu półmrokiem, atmosferą przykurzonego zniedołężnienia roztaczaną zarówno przez personel, jak i przez nielicznych czekających na swoją kolej klientów, którzy w milczeniu się na niego gapią, a także osobliwym, graniczącym z groźbą napięciem, którym przesycone jest zatechłe powietrze.

Stoję przed wejściem i zaglądam do salonu przez okno. W pierwszej chwili widzę tylko odbijającą się w szybie ulicę i bardziej cień niż postać mężczyzny – czyli mnie. Chcąc naprawdę zajrzeć do środka, trzeba podejść bliżej i – być może – przytknąć dłonie do skroni, żeby ograniczyć świetlne odbłaski. Żaluzje są zasłonięte, a kiedy udaje mi się znaleźć lukę pomiędzy listewkami, i tak niewiele widać. Na skurzonym wewnętrznym parapecie dostrzegam trzy uschnięte kaktusy i trochę martwych much. Dalej majaczą dwa fotele fryzjerskie, jakich dziś się już nie produkuje: czarna skóra, biała emalia, wysoki zagłówek. Pod jedną ze ścian stoi sześć pustych, wyglądających na niewygodne krzesel. Na

dwóch niskich stolikach przewalają się ilustrowane pisemka z podartymi lub całkiem oderwanymi okładkami. Na dwóch z trzech ścian wiszą lustra, które jednak nieszczególnie rozjaśniają wąskie, podłużne wnętrza. Nieskończony ciąg odbić sprawia wrażenie, że sam salon zdaje się być własnym odbiciem w zmatowiałym ze starości zwierciadle.

W półmroku widzę człowieka, którego postać jest równie niematerialna jak majacząca odbiciem w oknie sylwetka. Stoi przy bliższym z foteli, jakby na mnie czekał.

Bo rzeczywiście na mnie czeka.

Porzucam zalaną słońcem ulicę i wchodzę do środka.

– Wampiry – orzekł Kevin. – To są dwa wampiry.

– Ale kto? – zapytałem pomiędzy dwoma kęsami jabłka.

Siedzieliśmy dwadzieścia stóp nad ziemią, na drzewie rosnącym na podwórku za domem Kevina. Zbudowaliśmy tam sobie toporny podest, który udawał domek na drzewie. Kevin miał dziesięć lat, ja dziewięć.

– Innis i Denofrio – wyjaśnił. – Obaj są wampirami.

Opuściłem komiks o Supermanie.

– Nie są żadnymi wampirami, tylko fryzjerami.

– To też, ale poza tym są wampirami. Właśnie ich rozgryzłem.

Z westchnięciem oparłem się plecami o pień. Jesień miała się ku końcowi i gałęzie straciły prawie wszystkie liście. Jeszcze tydzień, dwa i porzucimy domek na drzewie, by wrócić do niego wiosną. Kiedy Kevin O'toole obwieszczał, że coś rozgryzł, zazwyczaj zapowiadało to kłopoty. Niby był prawie moim rówieśnikiem, ale chwilami odnosiłem wrażenie, że jest jednocześnie pięć lat starszy ode mnie – i pięć lat młodszy. Dużo czytał i miał osobliwą wyobraźnię.

– Mów – powiedziałem.

– Wiesz, co oznacza czerwony kolor, Tommy?

– Jaki znowu czerwony kolor?

– Na szyldzie fryzjerskim. Ten czerwony wijący się w dół prążek.

Wzruszyłem ramionami.

– Zakład fryzjerski – odparłem.

Teraz to Kevin westchnął.

– No tak, Tommy, to oczywiste. Ale dlaczego akurat czerwony? I dlaczego właśnie u fryzjera wije się w ten sposób?

Nie odpowiedziałem. Kiedy Kevin złapał jedną ze swoich faz, najlepiej było wziąć go na przeczekanie.

– To krew – obwieścił teatralnie, niemal szepcząc. – Krew, która kapie, spływa, rozlewa się. Fryzjerzy mają takie szyldy od prawie sześciuset lat.

To mnie zaintrygowało. Odłożyłem komiks na podest.

– W porządku – powiedziałem. – Wierzę ci. Ale dlaczego szyldy fryzjerów wyglądają właśnie tak, a nie inaczej?

– Dlatego że dawniej był to ich symbol cechowy. W średniowieczu wszyscy ludzie, którzy robili coś ważnego, należeli do cechów, trochę tak jak nasi tatowie należą do związku w browarze, i...

– No dobrze – wszedłem Kevinowi w słowo. Takie bystre chłopaki jak on często miały problem z trzymaniem się tematu. – Ale dlaczego krew?

– Właśnie miałem o tym mówić. Czytałem, że w średniowieczu fryzjerzy byli też cyrulikami. Medykami. A że jedynym sposobem pomagania chorym było upuszczanie im krwi...

– Upuszczanie krwi?!

– No tak. Nie znali wtedy prawdziwych lekarstw i w ogóle, więc jak ktoś zachorował albo złamał nogę, albo coś innego mu się stało, to taki cyrulik... znaczy fryzjer... mógł mu co najwyżej upuścić krwi. Czasami używał do tego tej samej brzytwy, którą golił klientów. Kiedy indziej przynosił pijawki w słoju i przystawiał je choremu, żeby odessały krew.

– Ohyda.

– Niby tak, ale to działało. Tak jakby. Przynajmniej czasami. Domyślam się, że kiedy tracisz krew, spada ci jej ciśnienie, a to może obniżyć gorączkę i tak dalej. Najczęściej jednak ludzie, którzy się wykrywawiali, po prostu szybciej umierali. Lepiej by im pewnie zrobiła transfuzja niż stado pijawek.

Przetrawiłem te słowa. Kevin wiedział czasem o dziwnych rzeczach. Dawniej podejrzewałem, że większość zmyśla, ale kiedy zobaczyłem, jak w czwartej i piątej klasie zdarzało mu się poprawiać nauczycieli – ba, uchodziło mu to nawet na sucho! – wtedy doszedłem do wniosku, że jednak swoje wie. Może i był dziwny, ale nie kłamał.

Nieliczne ocalałe liście zaszeleściły na wietrze: smutny dźwięk dla dzieciaka, który uwielbiał lato.

– No dobrze... – zgodziłem się. – Ale co to wszystko ma wspólnego z wampirami? Dlatego, że dwieście lat temu cyrulicy przystawiali ludziom pijawki, panowie Innis i Denofrio są wampirami? Daj spokój, Kev, to wariactwo.

– Średniowiecze było ponad pięćset lat temu, Niles. – Kiedy zwracał się do mnie po nazwisku, w dodatku takim tonem, miałem ochotę mu przywalić. – Ten

ich szyld mnie na to naprowadził. Sam pomyśl: jaki inny cech zachował do dzisiaj swój symbol?

Wzruszyłem ramionami i zawiązałem poluzowaną sznurówkę.

– Krew na szyldzie nie czyni z nich wampirów.

Kiedy Kevin był podekscytowany, jego zielone z natury oczy wydawały się zieleńsze niż zwykle. I teraz takie właśnie były.

– Zastanów się, Tommy. – Nachylił się w moją stronę. – Kiedy wampiry zaczęły znikać?

– Znikać? Mówisz, jakby kiedykolwiek naprawdę istniały. Jejku, Kev, moja mama mówi, że jesteś jedynym naprawdę utalentowanym dzieciakiem, jakiego w życiu poznała, ale ja czasem myślę, że jesteś zwyczajnie szurnięty.

Udał, że mnie nie słyszy. Miał wąską, pociągłą twarz, która w połączeniu z krótko przyciętymi włosami wydawała się jeszcze szczuplejsza, cerę tak bladą, że znaczące ją piegi przypominały płatki złota, i takie same kształtne wargi, które w powszechnej opinii przydawały urody jego siostrom. W tej chwili te wargi drżały.

– Dużo czytałem o wampirach – powiedział. – Naprawdę dużo. Większość poważnych źródeł jest zgodna co do tego, że w Europie legendy na ich temat zaczęły tracić na popularności w siedemnastym wieku. Ludzie w dalszym ciągu w nie wierzyli, ale nie bali się ich tak jak dawniej. Wcześniej przez całe stulecia domniemane wampiry regularnie tropiono i zabijano, a tu nagle jakby zapadły się pod ziemię.

– Albo ludzie zmądrzeli – podsunąłem.

– Nie. – Kevin złapał mnie za rękę. – Pomyśl: być może wampiry znalazły się o krok od zagłady. Ludzie wiedzieli o ich istnieniu i potrafili z nimi walczyć.

– Kołek w serce, tak?

– Możliwe. W każdym razie musiały się ukryć, udąć, że zniknęły, a zarazem nie stracić dostępu do ludzkiej krwi. Jak najłatwiej to zrobić?

Przyszła mi do głowy żartobliwa riposta, ale jedno spojrzenie na Kevina przekonało mnie, że mówi śmiertelnie poważnie. A byliśmy przecież najlepszymi kumplami.

Pokręciłem głową.

– Wstąpić do cechu cyrulików! – triumfował Kevin. – Nie musisz już włamywać się po nocy do cudzych domów, nie ryzykujesz, że po wszystkim ktoś znajdzie wykrwawione zwłoki. Przeciwnie, ludzie sami cię do siebie zapraszają. Co więcej, klient nie szarpie się i nie protestuje, kiedy otwierasz mu żyłę albo przystawiasz pijawki. A na koniec jeszcze ci płacą: albo on sam, albo jego rodzina. Nic dziwnego, że jako jedyny cech zachowali swój cechowy szyld. To wampiry, Tommy!

Oblizalem usta, poczułem smak krwi i zdałem sobie sprawę, że słuchając Kevina, przygryzłem sobie wargę.

– Ale... wszyscy? Wszyscy fryzjerzy?

Zmarszczył brwi i puścił moją rękę.

– Nie jestem pewien... Może nie.

– Ale Innis i Denofrio tak?

Oczy znów zabłysły mu zielenią. Uśmiechnął się szeroko.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Zamknąłem oczy na dłuższą chwilę, zanim w końcu zadałem nieuchronne pytanie:

– Jaki, Kev?

– Trzeba ich obserwować. Śledzić. Pilnować. Sprawdzić, czy są wampirami.

– A jeśli tak? Co wtedy?

Wzruszył ramionami, ale nie przestał się uśmiechać.

– Coś wymyślimy.

Wchodzę do znajomego zakładu. Mój wzrok szybko oswaja się z półmrokiem. Powietrze pachnie talkiem, olejkiem różanym i tonikiem. Podłoga jest czysta, przybory fryzjerskie leżą na okrytym białym płótnem blacie, światło odbija się w matowych powierzchniach większych i mniejszych nożyczek i perłowych uchwytych kilku brzytw. Podchodzę do mężczyzny, który w milczeniu czeka przy fotelu. Ma na sobie biały fartuch, narzucony na równie białą koszulę z krawatem.

– Dzień dobry – mówię.

– Dzień dobry, panie Niles.

Ściąga z półki ochronną pelerynkę z prążkowanego materiału, rozkłada ją jednym wprawnym strzepnięciem i staje wyczekująco niczym torreador.

Zajmuję miejsce na fotelu. Fryzjer płynnym ruchem zarzuca mi pelerynkę na pierś i wiąże na karku.

– Co pan powie na małe podcięcie włosów?

– Nie, dziękuję. Tylko golenie.

Kiwa głową i odwraca się, by podgrzać ręczniki i przygotować brzytwę. Ja tymczasem patrzę w zwierciadlane otchłanie i oglądam zwielokrotniony obraz wnętrza.

Rozmowa w domku na drzewie miała miejsce w niedzielę, a już do czwartku udało nam się całkiem sporo powęszyć. Kev śledził Innisa, ja obserwowałem Denofrio.

Po szkole spotkaliśmy się u Kevina w pokoju. Ledwie było w nim widać łóżko, tyle wałało się wszędzie książek, komiksów, wybebeszonych odbiorników radiowych, lamp elektronowych, plastikowych modeli i porozrzucanych ubrań. Jego matka jeszcze wtedy żyła, ale od lat zmagala się z chorobą i rzadko interesowała się takimi drobiazgami jak pokój syna. Albo i samym synem.

Kevin odgarnął część gratów na bok i usiedliśmy na łóżku, żeby porównać notatki. Ja robiłem zapiski na przypadkowych skrawkach papieru oraz na odwrocie mojego gazeciarskiego formularza adresowego.

– No dobrze... – zaczął Kevin. – Czego się dowiedziałeś?

– Że nie są wampirami – odparłem. – Przynajmniej ten mój nie jest.

Zmarszczył brwi.

– Za wcześnie, żeby wyrokować, Tommy.

– Nie gadaj. Dałeś mi całą listę znaków rozpoznawczych, które zdradzają wampira. Ani jeden nie pasuje do Denofrio.

– Mów konkretnie.

– Dobra. Numer jeden na twojej głupiej liście: „Wampiry rzadko pokazują się za dnia”. Do licha, przecież Innis i Denofrio całe dni siedzą u siebie w salonie. Obaj to widzieliśmy, prawda?

Kevin podkulił nogi i podrapał się po brodzie.

– No tak, ale w salonie jest jednak ciemno, prawda? Mówiłem ci, że tylko w filmach wampiry wybuchają ogniem w zetknięciu ze światłem słonecznym. A według starych ksiąg po prostu nie lubią słońca i tyle. Mogą chodzić po świecie za dnia, jeśli to konieczne.

– Zgadzam się, ale ci dwaj pracują przez większość dnia, tak jak nasi tatowie, a potem o piątej zamykają i wracają do domu, zanim zrobi się ciemno.

Kevin przekartkował swoje notatki.

– Obaj mieszkają sami, Tommy – zauważył. – To coś sugeruje.

– Z pewnością: zarabiają za mało, żeby się ożenić i założyć rodzinę. Mój tata mówi, że od lat nie podnoszą cen.

– A widzisz! – wykrzyknął Kevin. – To dlaczego prawie nikt do nich nie przychodzi?

– Bo fatalnie strzygą. – Spojrzałem na swoje zapiski, próbując odcyfrować rozmazane ołówkowe gryzmoły. – Ale idźmy dalej, numer pięć: „Wampiry nie mogą przekroczyć płynącej wody”. Denofrio mieszka po drugiej stronie rzeki, Kev. Śledziłem go przez trzy dni i codziennie widziałem, jak przechodzi po moście w tę i z powrotem.

Kevin, który przed chwilą uniósł się lekko z ekscytacji, teraz oklapł.

– Mówiłem ci, że tego punktu nie jestem pewien. Stoker pisze o tym w *Draculi*, ale źródła, które by to potwierdzały, jest niewiele.

– Numer trzy – podjąłem pośpiesznie. – „Wampiry nie znoszą czosnku”. We wtorek widziałem, jak Denofrio jadł kolację u Luigiego, Kev. Kiedy wyszedł, czuć było od niego czosnkiem na dwadzieścia stóp.

– Numer trzeci nie był kluczowy.

– Jak chcesz – zgodziłem się, szykując się do zadania zabójczego ciosu. – Ciekawe, czy o tym też powiesz, że nie jest kluczowy. Numer osiem: „Wszystkie wampiry nienawidzą i boją się krzyży i będą chciały za wszelką cenę uniknąć kontaktu z nimi”.

Kevin wiedział, co się święci. Przygasał jeszcze bardziej.

– Codziennie przed otwarciem zakładu Denofrio zachodzi do Świętej Marii, Kev. Do waszego kościoła.

– Wiem. Innis co niedziela chodzi do Pierwszego Prezbiteriańskiego. A od taty wiem, że Denofrio należy do naszej parafii. Chociaż sam go nie widuję, bo bywa tylko na najwcześniejszych porannych mszach.

Rzuciłem notatki na łóżko.

– Jakim cudem wampir miałby chodzić do waszego kościoła? Nie dość, że nie ucieka przed krzyżem, to jeszcze codziennie siada w ławce i przez godzinę gapi się na setkę krzyży.

– Tata mówi, że nigdy nie widział, żeby Denofrio przyjmował komunię – zauważył Kevin z nadzieją w głosie.

Skrzywiłem się.

– Super. Jeszcze trochę i powiesz, że jak ktoś nie jest księdzem, to na pewno jest wampirem. Genialne.

Usiadł prosto na łóżku i zmiął swoje notatki w dłoni. Widziałem je już wcześniej, pokazał mi je w szkole. Innis też nie spełniał Wampirzych Reguł.

– Ta sprawa z krzyżem niczego nie potwierdza... ale też niczemu nie zaprzecza, Tommy. Zastanawiałem się nad tym. Te stwory dołączyły do cechu cyrulików, żeby się zamaskować. Próba wtopienia się w społeczność religijną też miałaby sens. Może w drodze treningu potrafią wykształcić odporność na krzyże, tak jak my przyjmujemy szczepionki, które uodparniają nas na ospę albo polio.

Nie prychnąłem śmiechem, chociaż bardzo mnie kusiło.

– Myślisz, że wykształcają też odporność na lustra? – zapytałem zamiast tego.

– O co ci chodzi?

– Ja też wiem co nieco na temat wampirów, Kev. Tego nie było na twojej głupiej liście, ale faktem jest, że wampiry nie lubią luster, bo się w nich nie odbijają.

– Nieprawda – zaproponował natychmiast Kevin tym swoim nauczycielskim głosem. – W filmach rzeczywiście w ogóle się nie odbijają. Za to w starych książkach unikają luster, ponieważ widzą w nich, jak wyglądają naprawdę: są stare, nieumarłe i tak dalej.

– Jasne, i tak dalej. Cokolwiek im w lustrach przeszkadza, nie ma chyba gorszego miejsca dla wampira niż salon fryzjerski. Chyba że lubią też przesiadywać w gabinetach luster w wesołych miasteczkach. Czy takie gabinety też mają szyldy cechowe?

Kev padł do tyłu na łóżko, jakby go zastrzelił. Sekundę później grzebał znów w swoich zapiskach. Poderwał się na kolana.

– Jest jedna dziwna sprawa – powiedział.

– Mianowicie?

– W poniedziałek zakład był zamknięty.

– To ci dopiero... Oczywiście każdy salon fryzjerski we wszechświecie jest w poniedziałki zamknięty, ale na pewno masz rację: są zamknięci w poniedziałki, więc muszą być wampirami. QED, jak lubi mawiać pani Bidet od geometrii. Ech, chciałbym być taki bystry jak ty, Kev. Naprawdę.

– Pani Doubet – poprawił mnie, nie podnosząc wzroku znad notatek. On jeden z całej naszej klasy lubił nauczycielkę geometrii. – Dziwne nie jest to, że mają zamknięte w poniedziałek, tylko to, co wtedy robią. Przynajmniej Innis.

– A skąd wiesz, co on wtedy robi? W poniedziałek nie było cię nawet w szkole, byłeś chory.

– Nie. – Uśmiechnął się. – Wcale nie byłem chory. Sam sobie wypisałem usprawiedliwienie i podrobiłem podpis mamy. I tak nikt tego nigdy nie sprawdza. Śledziłem Innisa. Na szczęście ma stare auto i bardzo wolno jeździ, więc mogłem za nim nadążyć na rowerze. A jak nie nadążyłem, to przynajmniej regularnie go doganiałem.

Zsunąłem się na podłogę i zacząłem oglądać jeden z niedokończonych projektów Kevina, który wyglądał jak skrzyżowanie radia z sumatorem.

– No i dokąd pojechał? – zapytałem z udawaną obojętnością, mimo że jego słowa mnie zaintrygowały. Jak zwykle.

– Do Meara. Do posiadłości starego Everetta. Do domu panny Plankmen przy drodze numer dwadzieścia osiem. I do rezydencji przy głównej ulicy, którą w zeszłym roku wykupił ten krezus z Nowego Jorku.

– Co z tego? To wszyscy zamożni ludzie, Innis zapewne strzyże ich w domu.

Byłem dumny, że dostrzegłem wyjaśnienie, które uszło uwagi Kevina.

– Czy ja wiem... Najbogatsi ludzie w hrabstwie, a jedyne, co ich łączy, to to, że strzygą się u najgorszego fryzjera w całym stanie? A właściwie fryzjerów, bo widziałem, że Denofrio też robił jakiś objazd: spotkali się z Innisem przed

salonem i dopiero później rozjechali się każdy w swoją stronę. Jestem niemal pewien, że Denofrio zajechał wtedy do Wilkesów, nad rzeką. Podpytałem o to Rudy'ego, ich ogrodnika: mówi, że co poniedziałek zagląda do nich albo Innis, albo Denofrio.

Wzruszyłem ramionami.

– Bogaci są bogaci, bo płacą grosze za strzyżenie.

– Naturalnie. Ale najdziwniejsze w tym wszystkim jest jeszcze coś innego. Obaj wyładowali bagażniki samochodów małymi buteleczkami. A kiedy Innis wychodził od Meara, Everetta i Plankmen, niósł wielkie, co najmniej dwugalonowe słoje. I to ciężkie. Pełne jakiegoś płynu. Jestem przekonany, że te małe buteleczki, które zabrali z salonu, też były pełne.

– Ale czego? Krwi?

– A czemu by nie?

Parsknąłem śmiechem.

– Wampiry powinny wysysać krew, a nie rozwozić ją po ludziach.

– Może w tych wielkich słojach była krew, a w małych coś, co Innis i Denofrio przywieźli na wymianę?

– Mhm, z pewnością. – Dalej śmiałem się w najlepsze. – Tonik do włosów!

– To nie jest zabawne, Tomie.

– Akurat! – Wprost pękałem ze śmiechu. – A najlepsze w tym wszystkim jest to, że twoi fryzjerzy-wampiry kęsają tylko bogaczy. Nie piją byle czego!

Przeturlałem się po podłodze, roztrącając komiksy i uważając, by nie zgnieść żadnej lampy.

Kevin podszedł do okna. Zmierzchało. Obaj nie znosiliśmy tej pory roku, gdy dni stawały się coraz krótsze.

– Sam nie wiem... – przyznał. – Ale dzisiaj wszystko się wyjaśni.

– Dzisiaj? – powtórzyłem, leżąc na boku. Już nie było mi do śmiechu. – A co się dzisiaj wydarzy?

Obejrzał się na mnie przez ramię.

– W tylnych drzwiach do salonu jest taki staroświecki zamek, który potrafię otworzyć w dwie sekundy za pomocą mojego Zestawu Houdiniego. Zamierzam tam pójść i się rozejrzeć.

– Po kolacji szybko robi się ciemno – zauważyłem.

Kevin wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno.

– Pójdiesz sam? – spytałem.

Zawahał się, ale po chwili znów się do mnie odwrócił.

– To zależy od ciebie – odparł.

Patrzyłem na niego bez słowa.

Dźwięku, jaki wydaje brzytwa ostrzona na skórzanym pasku, nie da się pomylić z żadnym innym. Odprężam się pod gorącymi ręcznikami na twarzy i słucham – bo nie widzę – jak fryzjer przygotowuje swoje ostrze. Profesjonalne golenie to przyjemność, którą człowiek współczesny niemal całkowicie odrzucił. Ja jednak pozwalam sobie na nią codziennie.

Fryzjer zdejmuje ręczniki, szmatką osusza moje policzki i skronie i ostatnie kilka razy przejeżdża brzytwą po pasku. Czuję mrowienie nagrzanej twarzy i szyi, krew pulsuje mi pod skórą.

– Miałem w dzieciństwie kolegę, który przekonał mnie, że fryzjerzy są wampirami – odzywam się.

Fryzjer uśmiecha się, ale nie odpowiada. Słyszał już tę historię.

– Nie miał racji – dodaję. Jestem nazbyt zrelaksowany, żeby mówić dalej.

Fryzjer poważnie lekko i w skupieniu pochyla się nade mną. Szybkimi ruchami pędzla nanosi rozrobioną w miseczce pianę, po czym ją odstawia, bierze do ręki brzytwę i delikatnym dotknięciem kciuka i małego palca odchyła mi głowę w tył, podstawiając moją wygiętą w łuk szyję pod ostrze.

Zamykam oczy. Zimna stal chrobocze o nagrzane ciało.

– Powiedziałeś dwie sekundy, a mocujesz się z tym przeklętym zamkiem już chyba z pięć minut! – szeptałem zdenerwowany.

Przykucnęliśmy przy tylnym wejściu zakładu fryzjerskiego, w zaułku odchodzącym od Czwartej Ulicy. W zimnym nocnym powietrzu rozchodził się odór odpadków. Dobiegające z ulicy dźwięki wydawały się odległe o milion mil.

– Pośpiesz się!

Zamek zadźwięczał, szczęknął i drzwi się otworzyły. Za nimi ziała ciemność.

– *Voilà* – powiedział Kevin.

Schował te swoje druciki, wytrychy i inne narzędzia do skajowego Zestawu Houdiniego. Uśmiechnął się i zabębnił rytmicznie w drzwi.

– Cicho! – syknąłem.

Ale on już zniknął, po omacku zagłębiając się w mrok. Pokręciłem głową i wszedłem za nim.

Zamknęliśmy za sobą drzwi. Kevin włączył cieniutką jak ołówek latarkę i wziął ją w zęby; w jednym filmie widzieliśmy, że tak właśnie robią szpiedzy.

Chwyciłem go za połą wiatrówki i razem przeszliśmy krótkim korytarzem do podłużnego salonu.

Rozejrzenie się po nim nie zajęło nam wiele czasu. Żaluzje były zaciągnięte zarówno na dużym głównym oknie, jak i na drugim, mniejszym, w drzwiach, dlatego Kevin uznał, że możemy bezpiecznie używać latarki. Dziwnie się czułem w tym mrocznym wnętrzu, kiedy powielony w lustrach wąski snop światła wyławiał z ciemności wycinki rzeczywistości: blat, stojące na środku fotele, krzesła i czasopisma dla klientów, dwie umywalki, drzwi maleńkiej toalety, która miała rozmiary szafy i mieściła się w korytarzu. Wszystkie przybory fryzjerskie były pochowane w szufladach – Kevin otwierał je, zaglądał do środka, przepatrywał półki. W górnych szufladach obu stanowisk znalazł butelki z tonikiem, ręczniki i dwa identycznie złożone komplety fryzjerskich akcesoriów. Wziął do ręki brzytwę, otworzył ją i podniósł, tak że odbiła światło latarki prosto w lustro.

– Daj spokój – zrugalem go szeptem. – Chodźmy już.

Starannie odłożył brzytwę na miejsce, kładąc ją dokładnie w taki sam sposób, jak leżała wcześniej, i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia. Wtedy snop światła prześliznął się po ścianie w głębi i padł najpierw na płaszcz przeciwdeszczowy, który zauważyliśmy już wcześniej, a potem na coś innego.

– Tu są drzwi! – wyszeptał Kevin. Odgarnął płaszcz na bok i odsłonił klamkę. Spróbował ją przekręcić. – Choroba! Zamknięte.

– Chodźmy stąd! – ponagliłem go.

Miałem wrażenie, że minęły godziny, odkąd słyszałem przejeżdżający samochód. Jakby całe miasto wstrzymało oddech.

Kevin znów zaczął buszować po szufladach.

– Gdzieś musi być klucz – powiedział trochę za głośno. – A drzwi na pewno prowadzą do piwnicy, ten dom nie ma piętra.

Złapałem go za kurtkę.

– Chodźże! – syknąłem. – Wynosmy się stąd, bo nas aresztują!

– Jeszcze chwila... – zaczął Kevin i zamarł.

Moje serce przestało bić.

W zamku drzwi wejściowych zazgrzytał klucz. Wysoki cień kładł się na żaluzjach.

Odwróciłem się, żeby rzucić się do ucieczki, wybiec, znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, ale Kevin tylko zgasił latarkę, złapał mnie za bluzę i pociągnął za sobą. Wcisnęliśmy się pod jedną z wysoko zawieszonych umywarek. Ledwie wystarczyło miejsca dla nas obu, ale dookoła zwieszała się ciemna zasłonka, którą Kevin zaciągnął.

W salonie rozległy się kroki.

Z początku słyszałem wyłącznie łomotanie krwi w uszach, zanim stopniowo zdałem sobie sprawę, że do zakładu weszły dwie osoby, najprawdopodobniej mężczyźni, sądząc po tym, jak ciężko stąpali. Miałem szeroko otwarte usta i język wywieszony jak zgoniony pies, ale nie ważyłem się zaczerpnąć tchu. Bałem się, że byle dźwięk może nas zdradzić.

Jeden z nich zatrzymał się przy pierwszym fotelu, drugi poszedł dalej, do ściany naprzeciw wejścia. Szurnęły zamykane inne drzwi, połała się woda, ktoś splukał toaletę.

Kevin szturchnął mnie w bok. Chętnie bym mu oddał, ale leżeliśmy zwinęci jak dwa embriony i każdy mój ruch byłby wyraźnie słyszalny. Wstrzymałem więc oddech i czekałem. Mężczyzna wrócił z łazienki i skierował się do drzwi wejściowych.

Nie włączyli światła. Nie widziałem również, żeby używali latarki, nie byli to więc raczej policjanci, którzy przyszli się rozejrzeć. Kevin znów mnie szturchnął. Wiedziałem, co ma na myśli: to musieli być Innis i Denofrio.

Skierowali się do wyjścia. Drzwi otworzyły się i zamknęły z trzaskiem, a ja wreszcie postanowiłem odetchnąć, zanim się uduszę.

Głośne szurnięcie. Czyjaś ręka odciągnęła zasłonkę, inne ręce złapały mnie i wyciągnęły spod umywalki w mrok. Kevin krzyknął. Ciemna postać szarpnięciem postawiła go na nogi.

Trzymany za przód koszuli musiałem wspiąć się na palce. Mężczyzna, który mnie złapał, w ciemnościach zdawał się mieć osiem stóp wzrostu i pięść wielką jak moja głowa. Wyczułem woń czosnku w jego oddechu i domyśliłem się, że to Denofrio.

– Puście nas! – krzyknął Kevin.

Usłyszałem suche plaśnięcie, głośne jak wystrzał z karabinu. Kevin umilkł.

Zostałem popchnięty na jeden z foteli; Kevin wylądował na drugim. Mój wzrok oswoił się już z ciemnością na tyle, że zaczynałem rozróżniać rysy mężczyzn: to rzeczywiście byli Innis i Denofrio. Ciemne marynarki rozpływały się w mroku, ale dostrzegłem blade, kanciaste twarze i nie dziwiłem się już Kevinowi, że wziął ich za wampiry. Zbyt ciemne i za głęboko osadzone oczy, przesadnie wydatne kości policzkowe, usta o okrutnym wyrazie... Mieli w sobie coś takiego, że wydawali się starzy, naprawdę starzy, mimo że na pierwszy rzut oka wyglądali jak panowie w średnim wieku.

– Co tu robicie? – zapytał Innis Kevina. Głos miał cichy, beznamiętny, ale mnie i tak przeszedł dreszcz.

– To miała być próba! – zawołał Kevin. – Mieliśmy wykraść nożyce fryzjerskie, żeby starsi chłopcy przyjęli nas do klubu. Naprawdę! Bardzo przepraszamy.

Znów ten plask jak huk wystrzału.

– Kłamiesz – powiedział Innis. – Jeździłeś za mną w poniedziałek, a twój kumpel wieczorem śledził pana Denofrio. Od pewnego czasu obserwujecie nasz zakład. Mów prawdę.

– Podejrzewamy, że jesteście wampirami – przyznał Kevin. – Chcieliśmy z Tommym sprawdzić, czy mamy rację.

Zaskoczony rozdziawiłem usta. Mężczyźni cofnęli się i spojrzeli po sobie. Nie umiałem stwierdzić, czy się uśmiechają, było zbyt ciemno.

– Panie Denofrio? – zagadnął Innis.

– Panie Innis? – odpowiedział Denofrio.

– Możemy już iść? – zapytał Kevin.

Innis podszedł i zrobił coś z fotelem Kevina. Skórzane podłokietniki uniosły się, rozpękły i rozchyliły, upodabniając się do białych rynienek. Skórzane pasy wyskoczyły z obu ich stron, zahaczyły o niewidoczne dla mnie zaczepy, zacisnęły się i unieruchomiły ręce Kevina. Zagłówek też się rozdzielił, a potem opadł i objął jego szyję; przypominał trochę miseczki, które dentysta podstawia pacjentowi, żeby ten mógł odplunąć. Kevin nie wydał żadnego dźwięku.

Spodziewałem się, że Denofrio zrobi to samo z moim fotelem, ale on tylko położył mi wielgachną dłoń na ramieniu.

– Nie jesteśmy wampirami, mój chłopcze – powiedział Innis. Podszedł do blatu, otworzył szufladę i wyjął z niej brzytwę, którą wcześniej bawił się Kevin. Otworzył ją z namaszczeniem. – Panie Denofrio?

Stojący przy mnie cień złapał mnie, ściągnął z fotela i zaczął wlec w stronę drzwi do piwnicy. Otwierając je, bez wysiłku przytrzymał mnie jedną ręką. Zanim pchnął mnie w piwniczne mroki, obejrzałem się jeszcze i dostrzegłem przerażoną minę Kevina: Innis powolnym ruchem przeciągnął brzytwą po jego przedramieniu. Krew wezbrała w ranie, popłynęła i zabulgotała w emaliowanej białej rynience podłokietnika.

Denofrio pociągnął mnie na dół.

Fryzjer kończy golenie, przyszyja mi bokobrody i odwraca fotel, żebym mógł się przejrzeć w bliższym lusterku.

Przesuwam dłonią po policzkach i podbródku: są idealnie wygolone, gładko, bez najmniejszego zacięcia. Dzięki ostrości brzytwy i umiejętnościom fryzjera skóra mrowi, ale nie jest ani trochę podrażniona.

Kiwam głową. Fryzjer odpowiada ledwie dostrzegalnym uśmiechem i ściąga mi pasiastą pelerynkę.

Wstaję i zdejmuję marynarkę. Fryzjer odwiesza ją na haczyk, a ja ponownie siadam na fotelu i podwijam lewy rękaw koszuli. Kręcąc się w głębi salonu, fryzjer włącza nieduże radyjko. Pomieszczenie wypełnia muzyka Mozarta.

Piwnica była oświetlona świecami ustawionymi w małych słoiczkach. Płaskające czerwone światło przypomniało mi dzień, w którym Kevin zabrał mnie do swojego kościoła. Powiedział mi wtedy, że małe czerwone lampki to świece wotywno: kupowało się taką, zapalało i odmawiało pacierz. Nie był pewien, czy opłata jest konieczna, żeby modlitwa została wysłuchana.

Na środku wąskiej, niewykończonej piwnicy spoczywał dwunastostopowy kamienny blok, który wypełniał ją niemal w całości. Leżąca na nim istota była niemal równie długa i musiała ważyć co najmniej tysiąc funtów. Widziałem, jak połyskliwe fałdy szarego ciała unoszą się i opadają w rytmie oddechu.

Jeżeli miała ręce, to ich nie dostrzegłem. Układ lśniących złogów tłuszczu sugerował za to istnienie nóg. Przesunąłem wzrokiem po rurkach, przewodach, zardzewiałym lejku i zobaczyłem głowę.

Wyobraźcie sobie ważącą tysiąc funtów pijawkę, długą na dziewięć albo dziesięć stóp i grubą na sześć (w najszerszym miejscu), leżącą na plecach, chociaż w jej przypadku trudno było mówić o jakiejś konkretnej powierzchni – spoczywała na wielu warstwach szarzielonego śluzu i brodawkowatych wypustek, które mogły tworzyć jej skórę. We wnętrzu ciała, półprzezroczystego jak przybrudzona folia, poruszały się i przelewały jakieś obiekty, być może organy wewnętrzne. Dźwięk i smród jej oddechu wypełniały wnętrze. Wyobraźcie sobie duże morskie zwierzę, na przykład małego wieloryba, który od tygodnia leży martwy na plaży i gnije. Mniej więcej tak właśnie cuchnął ten stwór.

Cielsko wydało dźwięk i małe ślepia zwróciły się w moją stronę: były pokryte warstwą żółtawego śluzu i – dałbym sobie głowę uciąć – niewidzące. Głowa potwora była równie niewyodrębniona jak u pijawki, ale w fałdach cielska dostrzegłem rysy twarzy, która w przeszłości mogła być twarzą człowieka, i ogromne rozdziawione usta. Jakbym zobaczył uśmiechniętego minoga.

– Nie, nigdy nie były ludźmi – odezwał się Denofrio. Cały czas trzymał mi dłoń na ramieniu. – Zanim jeszcze zwróciły się do naszego cechu, przemieniły się tak dalece, że nie mogło być mowy o ukryciu się wśród nas. Złożyły nam

jednak propozycję, której nie mogliśmy odrzucić, ani my sami, ani nasi klienci. Słyszałeś kiedy o symbiozie, chłopcze? Ćśś!

Z góry dobiegł najpierw krzyk Kevina, a potem głośnie bulgotanie, jakby ktoś przepłukiwał stare rury.

Leżący na kamiennej płycie stwór z powrotem wlepił ślepe spojrzenie w sufit. Jego usta zatętniły z głodu. Rurki zadygotały, lejek się przepełnił.

Krew spłynęła spiralą.

Fryzjer poklepuje mnie po rękę. Zaciskam pięść. Na wewnętrznej stronie ramienia widnieje szeroka, nabrzmiała pręga, jak stara blizna po źle zagojonej ranie.

Bo to jest stara blizna.

Z zamykanej na klucz najniższej szuflady szafki fryzjer wyjmuje brzytwę ze złotym, wysadzonym drobnymi klejnotami uchwytem. Trzymając ją oburącz, wznosi nad głowę. Ostrze skrzy się w mdłym świetle.

Mężczyzna robi trzy kroki, podchodzi do mnie i przeciąga brzytwą po mojej ręce. Blizna rozwiera się jak kokon poczwarki. Nie czuję bólu. Balwierz płucze brzytwę i odkłada ją na miejsce. Schodzi do piwnicy. Jego kroki cichną w oddali, słyszę bulgotanie w rurkach przy podłokietniku fotela. Zamykam oczy.

Przypominam sobie dobiegające z góry krzyki Kevina i czerwoną poświatę na kamiennych ścianach; czerwoną ciecz wypełniającą lejek i gulgotanie pożywającego się stwora; pysk minoga wyciągnięty i rozwarty szeroko, żeby objąć lejek w taki sam sposób, jak robi to osesek szukający matczynej piersi.

Pamiętam, jak Denofrio do jednej ręki wziął duży młot leżący u stóp kamiennego bloku, a do drugiej przedmiot wyglądający jak połączenie korka z kranikiem. Stałem tam i patrzyłem, jak wbija go w szare cielsko, które pod warstwą szarozielonego śluzu było litą masą starych blizn.

Pamiętam, jak czerwony płyn chlusnął z kranika do kryształowego kielicha. Kryształowego pucharu. W całym wszechświecie nie ma czerwieni tak głębokiej, tak czystej jak ta, którą ujrzałem tamtej nocy.

Pamiętam, jak piłem. Pamiętam, jak z najwyższą ostrożnością zaniósłem puchar na górę, do Kevina. Pamiętam, jak sam zasiadłem w fotelu.

Fryzjer wraca z kryształowym pucharem. Upewniam się, że rana się zasklepiła, opuszczam podwinięty rękaw i piję do syta.

Wstaję, idę po swój biały fartuch i go wkładam. Kiedy wracam, mężczyzna siedzi już na fotelu.

– Co pan powie na małe podcięcie włosów? – pytam.

– Nie, dziękuję. Tylko golenie.

Golę go starannie. Po wszystkim przesuwam dłońmi po policzkach i podbródku i z aprobatą kiwa głową. Odprawiam rytuał i schodzę do piwnicy.

W cichej, rozświetlanej blaskiem świec krypcie Mistrza czekam na Oczyszczenie i rozmyślam o nieśmiertelności – nie o tej prawdziwej, rozciągniętej na eony, jaka jest udziałem Mistrza (tego i wszystkich innych), ale o tej jej cząstce, którą raczy się z nami dzielić. To wystarczy.

Po tym, jak mój współnik się napije, odnoszę puchar na miejsce, a gdy wracam na górę, zastaję podniesione żaluzje. Otwarty salon czeka na klientów.

Kevin zajął już miejsce przy swoim fotelu, ja stoję teraz przy swoim. Muzyka ucichła. W salonie panuje cisza.

Przed wejściem spływa spirala krwi.

Wstęp do „Śmierci centaury”

Przez osiemnaście lat byłem nauczycielem – nie wykładowcą uniwersyteckim, nie „panem profesorem” w liceum, tylko zwyczajnym nauczycielem w podstawówce. Uczyłem trzecią klasę, czwartą i szóstą, przez rok byłem nauczycielem wspomagającym (to taki ratownik dla dzieciaków, którym z powodu kłopotów z nauką grozi relegacja ze szkoły), a na zakończenie kariery w edukacji przez cztery lata tworzyłem, koordynowałem i prowadziłem nadzwyczaj wyrafinowane programy nauczania dla „wybitnie utalentowanych” (czytaj: bystrych i zdolnych) osobników w dzielnicy, w której mieszkało siedem tysięcy dzieciaków w wieku szkolnym.

Wspominam o tym wszystkim, żeby lepiej naświetlić tło następnego opowiadania.

Nauczanie to zawód, który nie do końca jest zawodem. Jeszcze całkiem niedawno, nie dalej niż ćwierć wieku temu, niskie wynagrodzenie nauczyciela było kompensowane satysfakcją z pracy (której dobry nauczyciel może czerpać ze swojego zajęcia naprawdę sporo) i niedookreślonym, ale jednak względnie wysokim statusem w społeczeństwie.

Wiele lat temu, kiedy byłem nauczycielem szóstej klasy w Colorado, w pewien zimowy wieczór wyszedłem przed dom i zobaczyłem niebo rozpalone niepokojącym blaskiem. Była to, rzecz jasna, oszałamiająca zorza polarna, jakiej nigdy przedtem nie widziałem i chyba nigdy już nie zobaczę na tej szerokości geograficznej. Kiedy tak stałem i podziwiałem ten niewiarygodny świetlny spektakl, podeszła do mnie moja uczennica z matką i zapytała, co się właściwie dzieje. Objąłem im, na czym polega to zjawisko.

– Aha – powiedziała matka. – Pomyślałam, że może to koniec świata, o jakim piszą w Objawieniu Świętego Jana, ale Jesse powiedziała, że jeśli to jednak coś innego, to pan na pewno będzie wiedział.

Zdarza mi się czasem wspominać tę scenę.

Dawniej nauczyciele nie byli może traktowani jak wszechwiedzący mędracy, ale przynajmniej szanowani jako niezbyt liczny, lecz niezbędny intelektualny element społeczeństwa. Kiedy dzisiaj rodzice przychodzą na wywiadówkę,

istnieje spora szansa, że są lepiej wykształceni od nauczyciela – a jeśli nawet nie, to niemal na pewno więcej zarabiają.

Oczywiście nie tylko niskie zarobki zniechęcają do podejmowania tej pracy. Nie chodzi nawet o połączenie niskich zarobków, pogardy ze strony społeczeństwa, dyrekcji i kuratorium, dla których doświadczony nauczyciel jest ciężarem (woleliby początkującego, u którego *tabula* jest absolutnie *rasa* i można go zaprogramować w zgodzie z najnowszą forsowaną przez lokalne władze modą) oraz tego, że współczesne dzieci często bywają niesympatyczne w obejściu. Chodzi raczej o te wszystkie czynniki w połączeniu z faktem, że nauczycielstwo przestało być profesją dla ludzi obdarzonych wyobraźnią. Osobnicy kreatywni nie powinni się do tej pracy zgłaszać – i zwykle tego nie robią.

Zmierzam do tego, że właśnie dzisiaj, gdy rozpaczliwie potrzeba nam dobrych nauczycieli; gdy nasze intelektualne być albo nie być wymaga postawienia na ludzi, którzy uczyliby i zmuszali nasze dzieci do myślenia tak skutecznie, że musielibyśmy obdarzyć ich tym najwyższym dla nauczyciela komplementem, jakim jest zadanie śmierci przez ukrzyżowanie lub podanie cykuty; gdy rodzina i inne tradycyjne instytucje abdykują i wyrzekają się odpowiedzialności dosłownie za wszystko, co czyni z młodego dzikusa obywatela, od etyki począwszy, na podstawowych zasadach higieny kończąc; gdy wszystkie te obowiązki usiłuje się zrzucić na barki szkoły – nagle okazuje się, że w systemie edukacyjnym brakuje tej niewielkiej, lecz niezbędnej grupy błyskotliwych, kreatywnych i zaangażowanych ludzi, dzięki którym zawsze funkcjonował.

Aby jakoś to sobie wynagrodzić, nauczyciele wieszają w pokojach nauczycielskich tabliczki z różnymi hasłami, na przykład „Wpływ nauczyciela ma w sobie coś z wieczności”.

Być może. Być może. Uwierzcie jednak, gdy mówi wam to ktoś, kto przedreptał w tym kieracie osiemnaście lat: dobrzy nauczyciele są bezcenni, cenniejsi od platyny i wszystkich prezydentów, ale wpływ tych złych dotyka dokładnie tej samej wieczności.

Śmierć centaura

Nauczyciel i chłopiec wspinali się po stromym trawniku nad najdalej na południe wysuniętym zakolem Missouri. Od czasu do czasu podnosili wzrok na wieńczący wzniesienie okazały dworek z cegieł. W spiętrzonych wysokich oknach i szerokich przeszklonych drzwiach odbijały się nieregularne wzory nagich gałęzi na tle nieba. Wiedzieli, że wielki dom najprawdopodobniej jest pusty – jego właściciel spędzał w miasteczku zaledwie kilka tygodni w roku – ale wejście na teren posiadłości wywoływało przyjemny dreszczyk: oto robili coś wbrew prawu. A i widok był niczego sobie.

Sto stóp od rezydencji zatrzymali się i usiedli oparci plecami o drzewo osłaniające ich przed lekkim wiatrem, a także ewentualnym przypadkowym spojrzeniem mieszkańców. Słońce grzało mocno, ale fałszywe wiosenne ciepło było skazane na rozproszenie jeszcze przez co najmniej jedną śnieżycę, zanim rozgości się na dobre. Szeroki trawnik opadający ku odległym o dwieście jardów torom kolejowym i rzece był usiany plamami bladej zieleni w miejscach, gdzie ziemia zaczynała rozmarzać. Pachniało sobotą.

Nauczyciel wziął cienkie źdźbło trawy, przetoczył je w palcach i zaczął w zadumie żuć. Chłopiec też zerwał sobie trawkę, przez chwilę jej się przyglądał, mrużąc oczy, w końcu wziął przykład z nauczyciela.

– Jak pan myśli, panie Kennan, czy rzeka znowu przybierze i wszystko zaleje, jak przed rokiem? – zapytał.

– Nie wiem, Terry – odparł nauczyciel, nie patrząc na niego. Zamknął oczy i wystawił twarz do słońca.

Chłopiec spojrział na niego z ukosa. Ruda broda pana Kennana lśniła w blasku słońca. Terry oparł głowę o szorstki pień starego wiązu, był jednak zanadto podekscytowany, żeby przymknąć powieki dłużej niż na parę sekund.

– A myśli pan, że znów zaleje główną ulicę?

– Wątpię, Terry, taka powódź nie zdarza się co roku.

Żaden z uczestników tej rozmowy nie był zdziwiony faktem, że nauczyciel wypowiada się na temat zdarzeń, których nie był świadkiem. Kennan przebywał w małym miasteczku w stanie Missouri zaledwie od siedmiu miesięcy: przybył tu w wyjątkowo upalnym dniu święta pracy⁴, tuż przed rozpoczęciem roku

szkolnego; powódź przewaliła się przez miasto cztery miesiące wcześniej. Natomiast Terry Bester, który miał dopiero dziesięć lat, widział już trzy powodzie i z poprzedniego kwietnia zapamiętał ciężkie kroki i przekleństwa w półmroku przedświt, gdy druhowie z ochotniczej straży pożarnej przyszedli zabrać ojca do pracy przy wale przeciwpowodziowym.

Z północy dobiegł gwizd pociągu, zniekształcony efektem Dopplera dźwięk zabrzmiał w ciepłym powietrzu nadzwyczaj delikatnie. Nauczyciel otworzył oczy w oczekiwaniu na towarowy do St. Louis, który powinien przejeżdżać o jedenastej. Razem liczyli wagony, gdy długi wąż z łoskotem przewalał się pod nimi. Dieslowski silnik dudnił, dźwięk gwizdka najpierw wzniósł się, a potem opadł. Zmierzający do miasteczka pociąg zniknął za zakrętem torów, po których całkiem niedawno szli.

- Dobrze, że nie jechał, kiedy tamtędy szłem – zauważył Terry.
- Szedłem.
- Słucham? – Chłopiec zerknął na nauczyciela.
- Szedłem – powtórzył młody brodac z lekką irytacją w głosie.
- No właśnie.

Zapadła cisza. Pan Kennan znów zamknął oczy i oparł potylicę o pień. Terry wstał i zaczął rzucać w dworek wyimaginowanymi kamieniami. Kiedy jednak wyczuł dezaprobatę nauczyciela, darował sobie tę pantomimę, stanął przy samym pniu, oparł brodę o korę i mrużąc oczy, zapatrzył się w koronę drzewa. Wysoko w górze przeskoczyła wiewiórka.

- Dwadzieścia sześć – powiedział.
- Czego dwadzieścia sześć?
- Tyle było wagonów. Dwadzieścia sześć.
- Aha. Ja naliczyłem dwadzieścia cztery.
- No ja też. To właśnie miałem na myśli. Dwadzieścia cztery.

Kennan usiadł prosto i ścisnął trawkę w dłoniach. Myślimi błędził zupełnie gdzie indziej. Terry jeździł w kółko na niewidzialnym wierzchowcu; wydawał przy tym dźwięki mające naśladować konia w galopie. Dodał do tego gardłowy odgłos wystrzału, złapał się za pierś i spadł z siodła. Przeturlał się bezwładnie w dół stoku i znieruchomiał w powykręcanej pozie niespełna trzy stopy od nauczyciela.

Kennan zerknął na niego i przeniósł wzrok na rzekę. Missouri płynęła pod nimi ciemna jak kawa, skomplikowana wiecznie zmiennymi deseniami wirów i fal.

- A wiesz, Terry, że to najdalej na południe wysunięte zakole Missouri?
- Nie wiedziałem.
- Tak właśnie jest. – Nauczyciel spojrział na przeciwległy brzeg.

– Panie Kennan?

– Tak?

– Co się wydarzy w poniedziałek?

– O czym mówisz? – spytał Kennan, chociaż dobrze wiedział, co chłopiec ma na myśli.

– No wie pan, w Opowieści.

Młody nauczyciel roześmiał się i odrzucił trzymane w palcach źdźbło. Terry’emu przeszło przez myśl, że pan Kennan rzuca jak dziewczyna, ale natychmiast przegnał tę refleksję z głowy.

– Wiesz przecież, że nie mogę ci powiedzieć wcześniej niż innym, Terry. To nie byłoby uczciwe.

– Ojku... – mruknął chłopak, ale jego zachnięcie się było czysto symboliczne, a coś w tonie jego głosu sugerowało, że właściwie jest zadowolony z takiej odpowiedzi.

Wstali. Kennan otrzepał siedzenie spodni, powyberał źdźbła trawy z włosów chłopca i razem zeszli ze wzgórza w stronę linii kolejowej i miasteczka.

Centaur, neokotka i małpi czarownik przemierzali bezkresne Morze Traw.

Gernisavien – za niska, żeby wyjrzeć sponad trawy – musiała jechać na grzbiecie Raula. Centaur nie miał nic przeciwko temu, w ogóle nie zauważał jej ciężaru, a przyjemnie mu się z nią rozmawiało, gdy szeroką pierśią rozgarniał poruszane wiatrem cytrynowe fale. Za nimi Dobby dreptał tym swoim komicznym krokiem człekokształtnego i nucił urywki niezrozumiałych piosenek.

Od dziewięciu dni szli przez Morze Traw. Za sobą zostawili Nawiedzone Ruiny i niebezpieczne szczuropajaki, a gdzieś daleko przed nimi, na razie wciąż niewidoczny, wznosił się aktualny cel ich wędrówki: Mgielne Góry. Wieczorami Dobby zrzucił z ramion ciężki plecak i wyciągał z niego ogromną jedwabną kopułę namiotu, niebieską ze skomplikowanym pomarańczowym deseniem. Gernisavien uwielbiała połączenie szelestu tysięcy mil traw kołysanych wieczornym wiatrem i trzepotu jedwabnego sklepienia nad ich głowami.

Bardzo uważali z rozpalaniem ognia: jedna nierozważna iskra mogłaby podpalić całe Morze Traw, a wtedy nie byłoby dla nich ucieczki.

Raul wracał z wieczornego polowania z łukiem przewieszonym przez ramię i wiotkim ciałem roślinożercy w masywnej dłoni. Po kolacji rozmawiali ściszonymi głosami albo słuchali, jak Dobby gra na osobliwym instrumencie dętym, który znalazł w Ludzkich Ruinach. Kiedy się ściemniło, Dobby

pokazywał im konstelacje na niebie: Łabędzia, Łuk Mellama, Kryształowy Statek, Małą Lirę. Raul snuł gawędy o bohaterach i poświęceniu przekazywane od sześciu pokoleń wśród wojowników Klanu Centaura.

Któregoś wieczora po tym, jak starannie zagasili ognisko, odezwała się Gernisavien. W świetle gwiazd jej głos zdawał się bardzo cichutki i prawie tonął wśród wielkich westchnień wiatru w trawie.

– Jakie naprawdę mamy szanse na znalezienie portalu?

– Nie wiadomo – odparł stanowczym tonem Raul. – Ale musimy iść na południe i dołożyć wszelkich starań, żeby się nam udało.

– A jeśli Czarnoksiężnicy nas uprzedzą? – nie ustępowała płowa neokotka.

– O Czarnoksiężnikach lepiej nie wspominać nocą – odpowiedział jej Dobby.

– Moja babka zawsze powtarzała, że po zmierzchu nie rozmawia się o niczym, co ma łuski.

Rankiem zjedli zimne śniadanie, spojrzeli na magiczną igłę w szukaczu kierunków Dobby’ego i ruszyli w dalszą drogę. Słońce zbliżało się do zenitu, gdy Raul zniemacka zamarł i wskazał na wschód.

– Spójrzcie!

W pierwszej chwili Gernisavien niczego nie zobaczyła, ale gdy stanęła na szerokim grzbiecie Raula (wczepiona w jego grzywę, żeby nie stracić równowagi), dostrzegła... żagle! Wydęte wiatrem białe żagle na tle lazurowego nieba. A poniżej naprężonych płócien ujrzała statek, ogromny statek, który poskrzypując, toczył się na drewnianych kołach mających dobre dwadzieścia stóp średnicy.

Jechał prosto w ich stronę.

Sala lekcyjna była brzydka i niewygodna. Przez długi czas wykorzystywano ją jako składzik i na ścianach pozostały plamy i głębokie rysy w miejscach, gdzie trzymano pudła i metalowe tuby z mapami.

Sala – podobnie jak cała szkoła – była stara, lecz bynajmniej nie malownicza. Nie miała w sobie nic z sielankowej nostalgii obrazów Normana Rockwella. Niegdysiejsze wysokie sklepienia zostały obniżone nierówno położoną izolacją akustyczną, która od góry skróciła okna o jedną trzecią. Na szarych prętach wypuszczonych przez dziury w sufitowych płytkach zawisły rury jarzeniówek. Parkiet – dawniej regularnie pastowany i idealnie gładki – do tego stopnia zniszczył się i poroższczał, że w deszczowy dzień człowiek bał się zdjąć przemoczone buty i chodzić po nim boso.

Dwadzieścia osiem różowo-brązowych plastikowych stolików wypełniało przestrzeń przeznaczoną dla trzech rzędów ławek z ubiegłego stulecia. Były dostatecznie stare, żeby ich nachylone blaty doczekały się mnóstwa rytów i zadrapań, a paskudne grube nogi wyżłobiły nowe dziury w podłodze. Nie dało się położyć na ławce ołówka, żeby natychmiast głośno się z niej nie sturlał. Ilekroć uczeń podnosił blat, żeby sięgnąć po podręcznik, po klasie niósł się zgrzyt metalu i głuchy plask spadających na podłogę zeszytów.

Ze wszystkich wysoko umieszczonych okien otwierało się tylko jedno, tak bardzo były wypaczone. We wrześniu poprzedniego roku, kiedy długo utrzymywały się temperatury powyżej trzydziestu stopni i buty uczniów zapadały się w rozgrzanym asfalcie na boisku, w dusznym, niedającym się wywietrzyć wnętrzu ledwie dało się wytrzymać.

Mierząca cztery stopy długości tablica była z prawej strony pęknięta; przy jakiejś okazji Kennan wykorzystał to pęknięcie do zilustrowania lekcji o uskoku San Andreas. Pierwszego dnia w pracy odkrył, że w sali nie ma kredy, linijki, globusa ani półek na książki, jest za to tylko jedna gąbka, jedna rozwijana mapa (sprzed drugiej wojny światowej) oraz zegar na zawsze znieruchomiały na godzinie pierwszej dwadzieścia trzy. Trzeciego września zamówił ścienny zegar i pod koniec stycznia doczekał się jego instalacji przy drzwiach do klasy. Ponieważ jednak nie był to fabrycznie nowy egzemplarz, często się zatrzymywał i Kennan nauczył się trzymać na biurku tani budzik, którego tykanie rozbrzmiewało w tle wszystkich innych dźwięków w klasie. Zdarzało mu się go używać do zasygnalizowania końca sprawdzianu albo czasu przeznaczonego na samodzielne czytanie podręcznika. W przeddzień przerwy bożonarodzeniowej nastawił budzik na drugą, by obwieścić koniec lekcji i początek świątecznego przyjęcia. Inne klasy zarezerwowały na tę imprezę tylko ostatnie dwadzieścia minut zajęć i choć Kennan został upomniany przez dyrektora za niezapoznanie się z regulaminem szkolnym, incydent ten potwierdził podejrzenia większości uczniów, że fajnie jest być w klasie pana Kennana.

Z tamtego okresu w jego pamięci zapisały się przede wszystkim zatęchłe, słabo oświetlone podziemia domu towarowego Reardona przy Water Street, gdzie w pewien późny wieczór w podupadającym sklepiku z tysiącem i jeden drobiazgow szukał prezentów dla swoich czwartoklasistów. Wybierał po kolei tanie pierścionki, słoje z płynem do puszczania baniek, żołnierzyki, szybowce z balsy, modele do sklejania (każdy prezent miał konkretnego adresata), a potem w domu pakował je do białego rana.

Powyszczerbiane ściany okleił obrazkami i plakatami, wśród nich ilustrowaną mapą Bostonu, która przez trzy lata wisiała w jego pokoju w akademiku. Co trzy tygodnie zmieniał zawartość tablicy korkowej: w tej chwili przedstawiała

ogromną mapę planety zwanej Ogrodem, na której zostały zaznaczone kolejne wydarzenia z Opowieści.

Nie mógł nic poradzić na unoszący się w powietrzu odorek gnijącego tynku i nieczystości, tak jak nie był w stanie nic zrobić z brzęczącymi i migającymi jarzeniówkami. Kupił za to na pchlim targu stary fotel, pożyczył dywan od właściciela mieszkania, które wynajmował, i każdego dnia o godzinie trzynastej dziesięć – tuż po przerwie obiadowej i tuż przed lekcją angielskiego – zasiadał w fotelu naprzeciw dwadzieściorga siedmiorga uczniów stłoczonych w wyłożonym dywanem kącie sali i podejmował przerwana gawędę.

Gernisavien i Dobby wydali ostatnie dwa kredyty na bilety wstępu na wielką arenę, na której Raul miał się potykać z Niezwyciężonym Dzierzbą. Dookoła rozciągały się mroczne zaułki i spadziste dachy legendarnego Carvnału. Przepisnęli się w tłumie przez tunel wejściowy i znaleźli w amfiteatrze, gdzie w świetle setek pochodni na trybunach kładły się najdziwniejsze cienie.

Wokół okrągłej areny zgromadzili się przedstawiciele wszystkich ras zamieszkujących Ogród – a właściwie wszystkich, które nie uległy zagładzie przy okazji stawiania oporu złym Czarnoksiężnikom: zakapturzeni druidzi, długoręcy nadrzewni mieszkańcy Wielkiej Puszczy, gromada futrzaków w jaskrawopomarańczowych szatach, liczni roześmiani, pokrzykujący i syczący jaszczurzy żołnierze, krępy bagienny lud oraz setki mutantów. W nocnym powietrzu mieszały się dziwne odgłosy i jeszcze dziwniejsze zapachy. Przekrzykujący zgiełk handlarze sprzedawali smażone skrzydełka gwarzyków i zimne piwo. Na arenie ekipa sprzątająca zagrabiła piaskiem wysychające kałuże krwi w miejscach, w których poprzedni uczestnicy Igrzysk Śmierci ponieśli porażkę w starciu z Dzierzbą.

– Dlaczego Raul musi walczyć? – zapytała Gernisavien, kiedy zajęli miejsca na chropowatej ławce.

– To jedyny sposób, żeby zdobyć tysiąc kredytów na podróż Podniebnym Galeonem na południe – odparł półgłosem Dobby, szarpiąc się ze swoją fioletową peleryną, której poję przygniótł siedzący obok wysoki mutant. – Wyruszymy jutro z samego rana.

– Nie moglibyśmy po prostu dalej pójść? – nie ustępowała neokotka. Jej ogon nerwowo poruszał się w tę i z powrotem. – Albo popłynąć tratwą?

– Raul już to tłumaczył. – Dobby zniżył głos do szeptu. – Czarnoksiężnicy wiedzą, że jesteśmy w Carvnału, na pewno obstawili już bramy i przystań. Poza

tym te ich latające platformy doścignęłyby nas, gdybyśmy uciekali piechotą albo płynęli na tratwie. Raul ma rację: to jedyne wyjście.

– Ale przecież Dzierzba jest niepokonany. – zapytała markotna Gernisavien. –

W tym rzecz. Nie da się wygrać z genetycznie zmodyfikowaną maszyną do zabijania z czasów wojen z Czarnoksiężnikami. – Zmrużyła oczy, jakby światło pochodni boleśnie ją oślepiało.

– To wszystko prawda... – przytaknął Dobby – ...ale Raul wcale nie musi go pokonać, żeby wygrać tysiąc kredytów. Wystarczy, że przetrwa z nim trzy minuty na arenie.

– Komuś się to udało? – spytała Gernisavien łamiącym się szeptem.

– No... wydaje mi się...

Dobiegający z dołu jazgot fanfar zagłuszył słowa Dobby'ego. Gwar ścichł. Pochodnie zapłonęły jeszcze jaśniej. Z jednej strony szerokiej areny ciężka brona uniosła się i zniknęła w szczelinie w murze.

Co to jest brona?

To taka wielka, ciężka krata ze szpikulcami od dołu.

Wszyscy popatrzyli na ciemny otwór w ścianie. Zapadła cisza tak głęboka, że wyraźnie było słychać skwierczenie pochodni. A potem z tunelu wynurzył się Dzierzba.

Miał około siedmiu i pół stopy wzrostu i lśnił jak wypolerowana stal. Z różnych miejsc gładkiego metalicznego egzoszkieletu wyrastały ostre jak brzytwa, zakrzywione kolce. Łokcie i kolana, osłonięte pierścieniami naturalnego pancerza, również były opatrzone krótkimi szpikulcami. Długi kolec sterczał mu nawet ze środka czoła, tuż powyżej czerwonych, wielofasetowych, płonących jak ogniste rubiny oczu. Ramiona miał zakończone szponiastymi dłońmi, których pięć zakrzywionych metalowych ostrzy zaciskało się i otwierało z tak wielką prędkością, że tworzyły rozmazaną plamę. *Ciach-ciach*, trzaskały. *Ciach-ciach*.

Dzierzba wyszedł na środek areny – powoli, szarpanym krokiem, niczym kanciasty posąg, który uczy się chodzić. Uniósł łeb, kłapnął bojowo dziobem i powiódł czerwonymi ślepiami po tłumie jakby szukał w nim przyszłych ofiar.

W ułamku sekundy cisza i spokój poszły w zapomnienie: rozległy się krzyki, pohukiwania, gwizdy, w stronę Dzierzby poleciały różne drobne przedmioty – a on przez cały czas stał nieruchomo, na pozór nieświadomy zgiełku i całej tej kanonady. Dopiero gdy ciśnięty z trybun duży arbuź miał go trafić w głowę, raczył się poruszyć. Ale co to był za ruch! Dzierzba uskoczył dwadzieścia stóp w bok tak błyskawicznie, że na moment stał się absolutnie niewidzialny.

Tłum umilkł ogarnięty nabożnym lękiem.

Znów zabrzmiały fanfary, otworzyły się wysokie drewniane wrota i na plac wyszedł pierwszy uczestnik wieczornej sesji walki. Był nim kamienny olbrzym, do złudzenia przypominający tego, który gonił Dobby'ego w Mgielnych Górach, tyle że jeszcze od tamtego większy: miał co najmniej dwanaście stóp wzrostu i wyglądał jak jedna wielka bryła mięśni.

– Mam nadzieję, że nie pokona Dzierzby i nie sprzątnie Raulowi nagrody sprzed nosa – mruknął Dobby.

Gernisavien posłała mu spojrzeenie pełne dezaprobaty.

Niespełna dwadzieścia sekund później było po wszystkim. W jednej chwili przeciwnicy stali naprzeciw siebie w świetle pochodni, w następnej zaś Dzierzba znalazł się na środku areny, a kamienny olbrzym w kilku miejscach jednocześnie; niektórymi częściami jego ciała jeszcze wstrząsały drgawki.

Po nim przyszedł czas jeszcze na czterech innych uczestników. Dwaj z nich – słusznie wybuczani przez publikę – przyszli popełnić samobójstwo, trzecim był pijany jaszczurzy żołnierz z kuszą energetyczną, a czwartym wojowniczy mutant w pancerzu, uzbrojony w topór dwa razy większy od Gernisavien. Żaden nie przetrwał nawet minuty.

A potem fanfary zaanonsowały Raula, który cwałem wpadł na arenę. Gernisavien patrzyła przez palce, jak przystojny centaur, od pasa w górę wysmarowany olejkim i błyszczący w blasku pochodni, wychodzi Dzierzbie na spotkanie. Był uzbrojony tylko w swoją myśliwską włócznię i lekką tarczę... Chociaż nie: na rzemieniu zawieszonym na szyi miał jeszcze małą buteleczkę.

– A to co? – zdziwiła się Gernisavien; nawet jej samej własny głos wydał się drżący i zrezygnowany.

– Elixir, którego recepturę znalazłem w Ludzkich Ruinach – odparł Dobby, nie odrywając wzroku od wydarzeń na arenie. – Mam nadzieję, że bogowie byli mi łaskawi i dobrze go przygotowałem.

Dzierzba ruszył do ataku.

Droga Whitney,

zgadza się, miałaś rację: ten rejon to najprawdziwszy siódmy krąg odludnej pustki. Czasem, kiedy schodzę ulicą do miasteczka (mój tutejszy „dom” – o ile umeblowany pokój w ceglanej ruderze można nazwać domem – stoi na wzgórzu), zdarza mi się rzucić okiem na Missouri. Przypominam sobie wtedy, jak cudowne dni spędzaliśmy razem na przylądku podczas przerwy wiosennej na ostatnim roku studiów. Pamiętasz, jak wybraliśmy się na konną przejażdżkę, znad zatoki

nadciągnęła burza i Granat się spłoszył? (I jak musieliśmy... ehm... przeczeć burzę w hangarze na łodzi?).

Cieszę się, że jesteś zadowolona z pracy w biurze senatora. Czy wszystkie dziewczyny z Wellesley awansują prosto na takie stanowiska, czy jednak większość ląduje w Szkole Katie Gibbs dla Przyszłych Sekretarek? (Przepraszam za ten żarcik, ktoś, kto tak jak ja utknął w Fajkowej Stolicy Świata, nie powinien pierwszy rzucać kamieniem. Wiedziałaś o tym, że każda fajka z pianki morskiej na zachodniej półkuli pochodzi z tego miasteczka? Mam dowody: dwucalowy osad białego pyłu na parapecie okna i masce samochodu!).

Rzadko bywam w St. Louis – to jakieś pięćdziesiąt mil w jedną stronę, a moje volvo od ponad miesiąca stoi unieruchomione. Poszła uszczelka przy głowicy, a w tej okolicy na takie części zamiennie czeka się około dziesięciu lat; i tak mogę mówić o szczęściu, że znalazłem warsztat wyposażony w metrycznie wyskalowane narzędzia. Ale trzy tygodnie temu pojechałem do Wielkiego Miasta autobusem: wyruszyłem w piątek prosto po szkole i wróciłem w niedzielę wieczorem w samą porę, żeby zdążyć zaplanować lekcje na nowy tydzień i wpaść w deprechę. Niewiele przez ten czas zobaczyłem, nie licząc trzech filmów w kinach i mnóstwa księgarni. No i wreszcie zaliczyłem wycieczkę do Gateway Arch. (Spokojnie, nie zamierzam Cię zanudzać szczegółami). Najlepsza w tym całym wypadzie była możliwość nacieszenia się wygodami dobrego hotelu, w którym spędziłem te dwie noce.

Odpowiadając na Twoje pytanie: nie do końca żałuję, że wyjechałem na zachód robić magisterkę w St. Louis. Program studiów był w porządku (jedenaście miesięcy od licencjata do magistra – trudno przebić taką ofertę), nie przewidziałem tylko, że będę zbyt biedny, żeby wyjechać z tego przeklętego stanu wcześniej niż po roku uczenia w jakiejś szkółce. Zresztą nawet i to by mi nie przeszkadzało, gdybym znalazł pracę w Webster Groves albo University City, ale... Fajkowa Stolica Świata? To miejsce i jego mieszkańcy są jak z filmu Uwolnienie.

Ale mniejsza z tym: to tylko rok, a jeśli później zatrudni mnie Hovane Acad albo Experimental School (widziałaś się ostatnio z Fent-worthem?), to taki rok może być bezcennym doświadczeniem zawodowym.

Chciałabyś dowiedzieć się czegoś więcej o moich uczniach, tak? Co właściwie można powiedzieć o gromadce beztróskich czwartoklasistów? O niektórych wybrykach Szalonego Donalda już Ci pisałem. Gdyby w tej zapadłej dziurze działały jakiegokolwiek specjalne programy edukacyjne albo wyrównawcze, Donald uczestniczyłby w nich wszystkich. A tak pozostaje mi tylko złapać go na łąso i pilnować, żeby nikomu nie zrobił krzywdy. Zobaczmy zatem, kto jeszcze nam został...

Monica: miejscowa dziewięcioletnia seksbomba. Leci na mnie, ale gdyby nie wypaliło, zadowolony się Craigiem Stearsem z szóstej klasy.

Sara: uroczy dzieciak. Drobną, przesłodką, z sercowatą buzią i kręconymi włosami. Lubię ją. Jej matka zmarła w zeszłym roku, mam wrażenie, że mała potrzebuje trochę sympatii ekstra.

Brad: klasowy błazen. Głupszy od Donalda, o ile to w ogóle możliwe. Dwa razy zimował. (Tak, tak, tutaj dzieci powtarzają klasy. A także dostają klapsy). Nie sprawia problemów z dyscypliną, to po prostu wielki tłuk w ogrodniczkach, ostrzyżony pod garnek.

Teresa: spodobałaby Ci się. Uwielbia konie! Ma nawet własnego wałacha, którego prezentuje na pokazach w naszym stanie i w Illinois. Obawiam się tylko, że to raczej taka koniara na pokaz; angielskiego siodła nie rozpoznałaby nawet gdyby ją w nim posadzić. Zawsze przychodzi do szkoły w kowbojkach, a w schowku w ławce trzyma zgrzebło.

Są jeszcze Chuck i Orville(!), William-mówcie-mi-Bill i Theresa (to już druga), Bobby Lee, Alice i jej siostra-bliźniaczka Agnes itp. itd.

Ostatnim razem wspomniałem Ci już o Terry'm Besterze, ale teraz chciałbym szerzej o nim opowiedzieć. To mały brzydal z przodozgrzyzem, cofniętym podbródkiem i włosami, które wiecznie opadają mu na oczy; matka musi go chyba strzyć nożycami do żywopłotu. Przez cały rok chodzi w jednej i tej samej brudnej koszuli w kratę, buty ma dziurawe, a w jednym odłamał się obcas. Wyobrażasz sobie? Dzieciak żywcem wyjęty z Drogi tytoniowej!

Terry jest moim ulubieńcem. Kiedy pierwszego dnia coś im tłumaczyłem przy tablicy, wymachując przy tym ręką w typowy dla mnie teatralny sposób, Terry (który w przeciwieństwie do większości chłopców siedzi z przodu, w pierwszej ławce) rzucił się na płask na podłogę. Już miałem się na niego zdenerwować, że błaznuje, gdy zobaczyłem jego minę: był śmiertelnie przerażony. Stało się dla mnie oczywiste, że regularnie obrywa w domu i odruchowo zrobił unik.

Mam czasem wrażenie, że z uporem godnym lepszej sprawy ucieleśnia wszystkie stereotypy związane z ubogim dzieckiem. Taszczy nawet ze sobą zmajstrowany w domu przyborek pucybuta i dorabia sobie po parę groszy, czyszcząc buty tutejszych prostaczków przed Dew Drop Inn i Berringer's Bar and Grill, gdzie jego stary przesiaduje całymi dniami.

Dobra, wystarczy tej dygresji. Chłopak dużo czasu spędza w moim towarzystwie. Często pojawia się u mnie na werandzie z tyłu domu o piątej trzydziści, szóstej po południu. Regularnie proponuję mu wtedy, żeby został na kolację – chociaż kiedy zastrzegę się, że nie mam czasu, jestem zajęty, muszę pisać czy coś, to nie ma do mnie żalu i po prostu przychodzi następnego dnia. Czasem kiedy się zaczytam, zapominam o jego obecności, aż robi się dziesiąta,

jedenasta wieczorem. Rodzice kompletnie się nie interesują tym, gdzie się podziewa ani o której wraca do domu. Kiedy wróciłem z weekendu w St. Louis, stary, dobry Terry siedział już na schodkach z tym swoim niedorzecznym niezbędnikiem pucybuta. Nie mam pewności, ale nie jest wcale wykluczone, że siedział tak od piątku wieczór.

W ostatni weekend zupełnie spokojnie opowiedział mi historię, od której włosy stanęły mi dęba. Powiedział, że rok temu, kiedy był w trzeciej klasie, „mama i tata okropnie się pokłócili”. W końcu pijany ojciec wyszedł na werandę, żeby powrzeszczeć na sąsiadów, a wtedy mama zamknęła drzwi na klucz. Stary się wściekł, nie mogąc wrócić do domu, i zaczął się odgrażać, że ich wszystkich pozabija. Terry tulił swoją sześciolletnią siostrzyczkę, mama krzyczała i płakała, aż w końcu stary kopniakiem wyważył drzwi. Uderzył matkę w twarz, a dzieci wywłókł z domu i zaciągnął do pickupa. Potem przewiózł je Sawmill Road do pobliskiego lasu narodowego imienia Boone’a, tam wyrzucił z samochodu i ściągnął strzelbę ze stelaża. (Tutaj dosłownie każdy wozi broń w samochodzie, Whit. Zastanawiam się nad zainstalowaniem takiego stelaża w volvo!).

Wyobraź sobie teraz, jak Terry mi to opowiedział. Co pewien czas robił przerwę, żeby odgarnąć włosy z oczu, ale poza tym... Równie dobrze mógłby mi streszczać fabułę jakiegoś filmu w telewizji.

No więc ojciec ciągnie ośmioletniego Terry’ego i jego młodszą siostrę między drzewa, a tam każe im uklęknąć i modlić się do Boga i przebaczenie, ponieważ musi ich zastrzelić. Wymachiwał przy tym dwururką, aż Cindy, siostrzyczka Terry’ego, „po prostu posikała się w majtki”. Ostatecznie zamiast strzelać, stary poczłapał kawałek w głąb lasu i tam przez parę minut klął jak szewc i wygrażał niebu. A potem wrócił, wsadził dzieciaki z powrotem do auta i zawiózł do domu. Matka nie wniosła zarzutów.

Widuję pana Bestera w miasteczku. Przypomina mi tego gościa... jakżeż on się nazywał... z ekranizacji Zabić drozda... Wiesz, o kogo mi chodzi, o tego farmera-rasistę, którego zabija Boo Radley... (Poczekaj, sprawdzę). Bob Ewell!

Rozumiesz więc, dlaczego pozwalam Terry’emu przesiadywać u mnie. Przyda mu się jakiś pozytywny męski wzorzec, a przy okazji sensowny dorosły, z którym można pogadać i przy okazji czegoś się dowiedzieć. Zastanowiłbym się poważnie, czy by go nie adoptować, gdyby coś takiego wchodziło w grę.

Teraz już wiesz co nieco o życiu drugiej połówki. To jeden z powodów, dla których ten rok jest dla mnie taki ważny – nawet jeśli przy okazji czuję się, jakbym siedział w czyścicu. Cząstka mnie nie może się doczekać powrotu do Ciebie, oceanu i prawdziwego miasta, gdzie ludzie mówią poprawną angielszczyzną i gdzie możesz wejść do drogerii, zamówić mrożony koktajl mleczny i nikt nie będzie na Ciebie krzywo patrzył. Ale jest też druga cząstka,

które zdaje sobie sprawę, jak ważny jest ten rok zarówno dla mnie, jak i dla tych dzieciaków, na które mój pobyt tutaj może wpłynąć. Już sama ustna tradycja przekazu, którą kultywuję poprzez opowiadanie im wymyślonej historii, jest czymś, z czym inaczej by się nie zetknęły.

No dobrze, kończy mi się papier, poza tym dochodzi pierwsza w nocy, a jutro rano do szkoły. Pozdrów całą rodzinę i pogratuluj senatorowi dobrej roboty. Tak trzymać. Przy odrobinie szczęścia (i naprawionej uszczelce pod głowicą) zobaczymy się w połowie czerwca.

Ściskam. Pisz, proszę. W tych missouryjskich lasach czuję się okropnie samotny.

Twój Paul

Ogromny Podniebny Galeon płynął wśród wysoko spiętrzonych stratocumulusów oświetlanych ostatnimi różowymi promieniami zachodzącego słońca. Raul, Dobby i Gernisavien stali na pokładzie i patrzyli, jak wielka słoneczna kula powoli tonie w warstwach chmur w dole. Kapitan Kokus wykrzykiwał rozkazy do swoich szympansich marynarzy uwijających się wśród lin i żagli wysoko w górze. Czasem odwracał się i półgłosem wydawał polecenia bosmanowi, który powtarzał je przez metalową rurę głosową w głąb statku. Gernisavien odczuwała delikatne fluktuacje w niewidocznych zbiornikach z płynem antygravitacyjnym.

W końcu światło dnia zgasło, zamigotały pierwsze gwiazdy i dwa mniejsze księżyce wystrzeliły ponad powłokę chmur. Niewidoczni w ciemności żeglarze pozapalali latarnie na topach masztów i nokach rei. Spiętrzone wieżyce chmur utraciły resztki swojej poświaty i Dobby zasugerował, żeby zejść pod pokład i przygotować się do uczyty z okazji wiosennej równonocy.

Cóż to była za uczta! Długi stół w kajucie kapitańskiej ugiął się pod ciężarem wykwintnych przysmaków i rzadkich trunków. Podano soczystą bizonią pieczeń z Północnych Stepów, miecznika z Zatoki Południowej i lodowe dzwonowoce z odległego Archipelagu Równikowego. Trzydzieścioro gości, wśród nich dwójka posepnych druidów, jadło i weseliło się jak nigdy przedtem. Stewardzi pilnowali, by w kieliszkach nie brakło wina i wkrótce toasty popłynęły równie obficie jak sam napój. W pewnym momencie Dobby wstał i zaproponował toast na cześć kapitana Kokusa i jego wspaniałego statku; nazwał przy tym starego włochatego wilka morskiego „człekokształtnym

bratem”, ale zająknął się przy tej frazie i ku ogólnej uciechce musiał zacząć od początku. W rewanżu kapitan wypił zdrowie nieustraszonego tria, wychwalając odwagę i triumf Raula w Igrzyskach Śmierci w Carvnału. Nikt nie wspomniał o niegodnej ucieczce Podniebnego Galeonu z wieży cumowniczej tuż po przyjęciu na pokład ostatniej trójki pasażerów, którym po piętach deptały dwa oddziały uzbrojonych jaszczurów. Biesiadnicy klaskali i wiwatowali.

Potem rozpoczął się Bal Równonocy. Uprzątnięto nakrycia, zwinięto obrus, sam stół został zdemontowany i w częściach wyniesiony z kajuty. Goście stanęli w półkolu na najniższym pokładzie, przyjęli dolewki wina. Okrętowa orkiestra zaczęła się szykować do występu.

Kiedy wszystko zostało przygotowane, kapitan Kokus zaklaskał w dłonie. Zapadła cisza.

– Jeszcze raz oficjalnie witam wszystkich państwa na pokładzie *Łaskawego zefiru* – zadudnił basem. – Przyjmijcie, proszę, najlepsze życzenia z okazji święta równonocy. A teraz... tańczmy!

Klasnął po raz ostatni, latarnie przygasły, orkiestra zagrała, potężne drewniane żaluzje na brzuchu statku rozsunęły się i tylko kryształowe dno oddzielało pasażerów od bezdennej otchłani nieba. Wśród ogólnych „achów” i „ochów” wszyscy instynktownie cofnęli się znad przepaści, po czym natychmiast wybuchnęli śmiechem, odpowiedzieli oklaskami i rozpoczęły się tańce.

Podniebny Galeon sunął z wdziękiem po napowietrznych rzekach nocy. Gdyby spojrzeć nań z góry, widziałoby się tylko latarnie obrysowe, a słyszało westchnienia i trzepotanie wiatru w żaglach oraz rzadkie okrzyki „Droga czysta!” z bocianiego gniazda. Za to widziany od dołu statek pławił się w powodzi blasku i rozbrzmiewał melodiami tak starymi, że miały ponoć pochodzić z legendarnej Starej Ziemi. Leśne nimfy i półludzie kręcili piruety pięć tysięcy stóp nad okrytymi całunem nocy wzgórzami. W pewnym momencie trzeźwa Gernisavien znalazła się w zgoła niedystyngowanej pozycji: tańczyła z centaurem. Raul unosił ją wysoko w mocarnych ramionach, wybijając kopytami własny rytm na odpornej na zarysowania kryształowej posadzce.

Zanim uczta dobiegła końca, nadciągnęła burza. Kapitan kazał przygasić światła i wszyscy patrzyli, jak pioruny rozdzierają burzowe chmury pod ich stopami. Po chwili ciszy orkiestra zagrała *Hymn Równonocy*. Gernisavien – ku własnemu zaskoczeniu – złapała się na tym, że ze łzami w oczach dołączyła do chóru głosów śpiewających tę starą, sentymentalną balladę.

A potem biesiadnicy udali się na spoczynek, potykając się po drodze na nagle rozchybotanych korytarzach. Nawet srożący się powietrzny sztorm nie przeszkodził większości zmordowanych pasażerów w zaśnięciu. Dobby

wyciągnął się na wznak, z rozrzuconymi ramionami, położył fioletowy beret obok siebie na poduszce i chrapał potężnie przez uchylone w uśmiechu małpie usta. Gernisavien, która uznała, że koja jest dla niej za duża, zwinęła się do snu w otwartej szufladzie, która na przemian chowała się lekko i wysuwała w rytm powolnego kołysania statku. Raul nie mógł zasnąć: zajrzał do przyjaciół, upewnił się, że śpią, po czym wyszedł na pokład i, drżąc na chłodnym wietrze, patrzył, jak pierwszy fałszywy brzask muska kotłujące się chmury.

Dręczyły go niewesołe myśli. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie przechwycą ich maszyny latające Czarnoksiężników, to za parę dni znajdą się nad Zatoką Południową, skąd w cztery, pięć dni powinni pieszo dotrzeć do transportalu. Tyle że już teraz znaleźli się stanowczo za blisko Czarnoksiężskiej Twierdzy i mieli niewielkie szanse na przeżycie do końca tygodnia.

Poklepał zatknięty za pas sztylet i patrzył, jak wstaje nowy dzień.

Pan Kennan stał na asfaltowym boisku wśród dokazujących czwartoklasistów i cieszył się przyjemnym wiosennym dniem. Było ciepło i właściwie nie potrzebował wojskowej kurtki, o którą dzieci zawsze chętnie wypytywały, ale narzucił ją mimo to i do kompletu włożył sportową czapkę z daszkiem. Od czasu do czasu uśmiechał się bez powodu i drapał po brodzie. Do licha, dzień był naprawdę piękny!

Nastrój uczniów odzwierciedlał otaczające ich zewsząd obietnice bliskiego lata. Małe boisko, które przez długie, ponure zimowe miesiące było zaledwie smętnym miejscem do ćwiczeń, nagle stało się najlepszym miejscem na ziemi. Wszędzie leżały porzucone kurtki i swetry, a dzieci huśtały się na drabinkach, ścigały do skraju placu i z powrotem, grały w kickball przy ceglany urwisku szkolnego gmachu. Donalda i Orville'a bez reszty pochłoneło pławienie jakiegoś patyczka w mętnej kałuży. Nawet Terry poddał się ogólnemu nastrojowi i ganiał wokół placu z Billem i Bradem. Kennan usłyszał, jak tłumaczy Bradowi:

– Ty będziesz Dobbym, ja Raulem i razem będziemy walczyć ze szczuropajakami.

I odbiegli w odległy kąt boiska. Bill próbował protestować – Kennan domyślał się, że nie przypadła mu do gustu dziewczynska rola neokotki, mimo że miał ją objąć na krótko, na ostatnie dziesięć minut przerwy.

Wziął głęboki wdech i znów się uśmiechnął. Miał wrażenie, że jego życie staje i znów zaczyna płynąć po długich miesiącach mroźnej samotności. Kto by pomyślał, że w Missouri (Nie wchodziło czasem w skład Konfederacji? A może

tylko chciało wejść?) bywają takie zimne, szare, niekończące się zimy? Było pięć dni z takimi opadami śniegu, że odwołano lekcje. Po pierwszych dwóch i następującym po nich weekendzie wstrząśnięty Kennan zdał sobie sprawę, że przez cztery dni z nikim nie rozmawiał. Przyszliby go szukać, gdyby zmarł? Znaleźliby go w wynajętym pokoju, opartego o sklecone z byle czego biurko, wśród rękopisów i stojących na półkach milczących paperbacków? Teraz uśmiechał się na tę myśl, ale w najczarniejsze zimowe dni wcale nie było mu do śmiechu.

Piłka uciekła graczom przy ścianie i przyturlała się do Kennana, otoczonego – jak zwykle – wianuszkami wielbiących go dziewczynek. Teatralnym gestem podniósł piłkę i odrzucił ją pokrzykującemu łapaczowi. Nie trafił: poleciała w bok i odbiła się od okna ulokowanej w suterenie sali plastycznej.

Odwrócił się i spojrzał z zachwytem na kwitnące jabłonie na sąsiednim podwórku. Na środku ścieżki kiełkowała świeża trawa. W powietrzu unosiła się rzeczna woń: Missouri płynęła zaledwie cztery przecznice od szkoły. Jeszcze tylko trzynaście dni nauki! Wypatrywał końca roku szkolnego z mieszaniną nieśmiałego smutku i bezgranicznego uniesienia. Nie mógł się doczekać, kiedy się stąd wyrwie, oczami wyobraźni widział już swój samochód – świeżo zmartwychwstały, wypakowany paroma kartonami książek i drobiazgów osobistych – pędzący na wschód drogą międzystanową numer 70 w ciepłych promieniach letniego słońca. Myślał o nieśpiesznej ucieczce ze Środkowego Zachodu, o ciągnącej się na pozór bez końca strefie kukurydzianych pól, wzmożonym ruchu na Pennsylvania Turnpike, skróceniu odległości między miastami, znajomych oznaczeniach zjazdów w Massachusetts, zapachu oceanu... Ale to przecież była jego pierwsza klasa. Nigdy nie zapomni tych uczniów, tak jak oni nie zapomną jego. Wyobrażał sobie, jak przekazują dzieciom i wnukom długą, epicką historię, którą specjalnie dla nich wymyślił. W ostatnich tygodniach zaczynał nawet igrzać z myślą, że mógłby zostać w Missouri na kolejny rok.

Sara oddzieliła się od grupki dziewcząt chodzących za nim krok w krok, wzięła go pod rękę i spojrzała na niego jak rasowa kokietka. Uśmiechnął się, pogłaskał ją z roztargnieniem po zaczesanych z przedziałkiem włosach, po czym oddalił się na kilka kroków, wyjął z kieszeni zmięty list i po raz dziesiąty przeczytał wybrane fragmenty. Po chwili schował go i ruszył na północ, w stronę rzeki, kiedy nagle został zatrzymany przez eksplozję zgiełku dobiegającą od strony graczy w kickball. Zirytowany spojrzał na zegarek i plastikowym gwizdkiem dał sygnał do zakończenia przerwy. Dzieci zgarnęły porzucone ubrania i pobiegły ustawiać się w szeregu.

Nad Zatoką Południową było znacznie cieplej. Raul, Gernisavien i Dobby szli wzdłuż wybrzeża w stronę legendarnego portalu. Wedle starożytnej mapy, którą Dobby wiele miesięcy wcześniej znalazł w Ludzkich Ruinach, cel ich podróży powinien znajdować się w odległości kilku dni marszu na zachód. Gernisavien nosiła na szyi klucz wyniesiony z archiwum w Carvnału i opłacony śmiercią ich starego druha Fenna. Jeśli Stare Księgi nie kłamały, klucz mógł aktywować dawno uspijony portal i ponownie włączyć Ogród w Sieć Światów, a wówczas tyrania okrutnych Czarnoksiężników wreszcie dobiegłaby końca.

Cień Czarnoksiężników towarzyszył im od początku tej wędrówki na zachód. Na północy ciągnęły się poszczerbione Góry Zęborogie, a tam, w którejś z mrocznych dolin, stała budząca grozę Czarnoksiężska Twierdza.

Kryjąc się pod osłoną bujnej tropikalnej roślinności, trójka przyjaciół czujnie popatrywała w niebo w poszukiwaniu latających platform Czarnoksiężników. Gernisavien zachwycała się palmami osiagającymi dwieście stóp wysokości.

Pod wieczór trzeciego dnia rozbili obóz przy ujściu niewielkiej rzeki spływającej do Morza Południowego. Rozwieszony przez Dobby'ego pod drzewami namiot marszczył się i wydymał na wiejącym od morza wietrze. Raul upewnił się, że jedwabna płachta będzie niewidoczna z powietrza, po czym zasiedli do posiłku, na który złożył się suchy prowiant. Byli zgodni, że rozpalanie ognia nad zatoką byłoby zbyt ryzykowne i wystarczą im suchary i suszona wołowina ze spiżarni *Łaskawego zefiru*.

Tropikalny zachód słońca wyglądał niesamowicie. Gwiazdy zdawały się eksplodować na nocnym niebie. Dobby pokazał im Południowego Łuczniaka, konstelację niewidoczną z ich rodzinnych stron na północny kontynent, i Gernisavien zakłóło w sercu z tęsknoty. Żeby odegnać smutek, zaczęła bawić się zawieszonym na szyi starym kluczem i wyobrażać sobie dreszcz emocji, jaki wywoła ponownie otwarcie łączności portalowej z setką planet. Ciekawe, przy których z tych gwiazd istniały inne światy. Inne ludy.

– Trudno uwierzyć, że nasza podróż dobiega końca, prawda? – zagadnął Dobby, jakby czytał jej w myślach.

Raul wstał, przeciągnął się i oddalił na mały zwiad nad rzeczką.

– Co rusz przypominają mi się przepowiednie tamtego futrzaka – odparła Gernisavien. – Pamiętasz? W nadrzewnym domu Tartuffela?

Dobby pokiwał masywnym łbem. Nie dało się zapomnieć przerażającej wizji przeszłości, jakie podsunął im ten osobliwy stwór.

– Większość się sprawdziła – mruknął. – Nawet spotkanie z Dzierzbą mamy już za sobą.

– Większość tak, ale mój sen nie. Nie ten z mnóstwem Czarnoksiężników w tym okropnym małym pomieszczeniu.

Rzeczywiście, ze wszystkich wróżb przyszłości to właśnie sen neokotki był najbardziej przerażający i złowieszczy. I najrzadziej o nim rozmawiali.

Leżała przypięta do stalowego stołu, unieruchomiona i bezradna, otoczona przez przygarbionych, zakapturzonych Czarnoksiężników. Najwyższy z nich występował naprzód i oblany krwistoczerwoną poświatą powoli, powoli odsuwał kaptur...

Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

Jakby szukając pretekstu do zmiany tematu, Dobby wstał i zaczął się rozglądać.

– Gdzie Raul? – zapytał.

Jego uwagę przykuł wschód dwóch księżyców ponad dżunglą, ale po chwili zdał sobie sprawę, że przecież księżyce nie wschodzą tak wcześnie...

– Uciekaj! – krzyknął i pchnął zdezorientowaną neokotkę w kierunku drzew.

Za późno.

Ryk latających platform rozdarł mrok. Napowietrzne maszyny cięły powietrze ognistymi lancami, od których drzewa stawały w płomieniach. Gernisavien – powalona na ziemię, z przypaloną sierścią i długimi brwiami – widziała zakapturzonych Czarnoksiężników i słyszała wrzask skaczących na ziemię jaszczurzych wojowników.

Jak na zdeklarowanego tchórza, Dobby walczył dzielnie. Uchylił się przed pierwszym pchnięciem piki, złapał jej drzewce i wyrwał ją z łap jaszczura, po czym dźgnął zaskoczonego gada prosto w gardziel i odwrócił się na spotkanie pięciu następnych. Powalił dwóch, trzeciego uniósł w powietrze w potężnych ramionach, gdy cios zadany od tyłu powalił go na ziemię.

Gernisavien skoczyła mu z krzykiem na pomoc, ale zanim zdążyła zrobić pięć kroków, w górze zamajaczyła wysoka łuskowata sylwetka i coś uderzyło ją w głowę. Przez następne kilka minut nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Otrząsnęła się już po tym, jak razem z Dobbym zostali załadowani na dwie platformy, które wzbijały się w powietrze.

I wtedy rozległ się porywający dźwięk, w przeszłości wielokrotnie przyprawiający ją o dreszcze: słodkie, czyste, donośne tony wojennego rogu Raula, pięć dźwięcznych nut jak wyzwanie rzucone wrogowi wśród bitewnego zgiełku i trzasku płomieni.

Raul galopował przez polanę z nastawioną do ataku włócznią, wzniesioną tarczą i bojowym zawołaniem Klanu Centaura na ustach. Jaszczury padały jak

kręgle. Jeden Czarnoksiężnik wystrzelił w jego stronę słup ognia, ale Raul zasłonił się tarczą ze świętego metalu. Jego długa włócznia pękła po tym, jak nadział na nią jednocześnie trzy jaszczury usiłujące chować się za sobą nawzajem. Odrzucił ją, dobył zabójczego miecza, powtórzył swój okrzyk bojowy i wszedł prosto w sforę syczących, uzbrojonych w miecze jaszczurów.

Platforma, którą leciała Gernisavien, zadygotała i zatrzymała się na wysokości koron drzew. Zakapturzony Czarnoksiężnik przy sterach chrapliwym głosem wydał rozkaz i trzydzieści jaszczurów strzeliło z kusz. Głośnemu wizgowi tnących powietrze pierzastych bełtów odpowiedziały okrzyki bólu jaszczurów, tak samo jak centaur rażonych zabójczymi pociskami. Serce Gernisavien na moment przestało bić, gdy co najmniej sześć bełtów utkwilo w piersi i bokach Raula. Potężny centaur osunął się na stos jaszczurzych ciał, których zielone ogony i łuskowate ręce dygotały w przedśmiertnych drgawkach.

Neokotka wydała przenikliwy, żałobny krzyk gniewu, ale w tej samej chwili Czarnoksiężnik wyrznął ją pięścią w głowę i odpłynęła w błogosławioną ciemność.

20 maja, czwartek

Dziś cieplej, temperatura przez cały dzień utrzymywała się powyżej 25 stopni. Wydaje się, że wieczór trwa bez końca.

Po południu posiedziałem trochę w bibliotece. Wysłałem CV jeszcze w trzy nowe miejsca: do Phillips-Exeter, Latin School i Green Mtn. Whitney na razie milczy w sprawie Exp. Sch. Formularze wysłałem jej prawie dwa tygodnie temu, miała porozmawiać z drem Fentworthem od razu po ich otrzymaniu.

Kupiłem u pułkownika Sandersa kurczaka na wynos. Okolica naprawdę się ożywiła, przez otwarte okno słyszę okrzyki dzieciaków bawiących się głośno na boisku szkolnym przy Piątej Ulicy. Niby już po dziewiątej, ale wcale nie jest jeszcze ciemno. Późnym wieczorem zdarza mi się słyszeć basowy pomruk silników barek płynących w górę rzeki, a potem szum fal omywających betonowe pale na przystani przy Locust Street.

Rozmawiałem z panem Eppetem i dr North (zast. kier.) o nowym roku szkolnym. Gdybym chciał (mało prawdopodobne), mogę liczyć na przedłużenie umowy. Inni nauczyciele krążą wokół mojego pokoju niczym sępy. Pani Kyle przykleiła taśmą tabliczkę ze swoim nazwiskiem na mojej szafce. Pani Reardon (zachłanna stara krowa; skupiłaby się lepiej na prowadzeniu sklepu męża i wrzeszczeniu na dzieciaki, żeby nie czytały komiksów) zaklepała sobie mój

fotel, globus (ten sam, który dostaliśmy dopiero w marcu) i regalik na książki i nie może się doczekać, kiedy wreszcie zniknę. (W następnym roczniku znów będą mieli tylko dwie czwarte klasy). Po moim odejściu szkoła będzie się mogła spokojnie osunąć w mroki wieków średnich. (Nic dziwnego, że TC i inni nazwali fundację Fundacją Menopauzalną).

Głośna syrena znad rzeki. I dzwonki na barkach. Przypominają mi krowie dzwonki na masztach łódeczek kołyszących się na kotwicy w Yarmouth.

Opowieść rozwija się zgodnie z planem. Donna, Sara i Alice dziś się popłakały. (Niektórzy chłopcy również, ale próbowali to ukryć). Ulży im, kiedy wysłuchają poniedziałkowego odcinka. Jeszcze nie pora, żeby staruszek Raul umierał, jego śmierć musi nastąpić w zgodzie z najświetniejszą epicką tradycją. Opowieść będzie dla dzieciaków świetną lekcją o przyjaźni, lojalności i honorze. Owszem, zakończenie zapowiada się smutno: Raul poświęci się, żeby ratować pozostałych; będzie powstrzymywał Czarnoksiężników, aż jego przyjaciółom uda się uruchomić bramę teleportacyjną. Mam nadzieję, że ostatni odcinek, w którym Gernisavien z Dobbym sprowadzą ludzi z powrotem na Ogród, żeby ci spuścili manto Czarnoksiężnikom, trochę podniesie dzieciaki na duchu. Finał będzie spektakularny.

Muszę to spisać, po prostu muszę! Może teraz, latem.

Całkiem się już ściemniło. Latarnia na wysokości mojego okna na piętrze prześwieca przez liście klonu. Zerwał się lekki wiatr. Przejdę się chyba nad rzekę, a po powrocie jeszcze trochę popracuję.

Gernisavien obudził zimny wiatr chłoszczący ją po twarzy. Dziewięć platform powietrznych unosiło się ponad górami, których szczyty lśniły bielą w świetle gwiazd. Powietrze było bardzo rozrzedzone. Jedna jej ręka zwisała z platformy; gdyby neokotka przeturlała się na bok, upadek z wysokości kilkuset stóp na pewno okazałby się śmiertelny.

Nieopodal majaczyły zarysy pozostałych platform, słabo widoczne na tle gwiazd. Na każdej znajdował się zakapturzony Czarnoksiężnik, nigdzie natomiast nie było widać Dobby'ego.

Kiedy Czarnoksiężnik na jej platformie syknął coś do sterującego nią jaszczura, spojrzała w przód. Kierowali się w stronę góry, która wyrastała przed nimi niczym ułamany ząb. Widząc, że jaszczur nie próbuje zmienić kursu, Gernisavien zdała sobie sprawę, że przy obecnej prędkości za niespełna pół minuty roztrzaskają się o lód i skały. Przygotowała się do skoku, ale jaszczur

w ostatniej chwili spokojnie dotknął jednego z przycisków na panelu i platforma zaczęła zwalniać.

Fragment skalnej ściany przesunął się w głąb góry, odsłaniając wlot ogromnego tunelu rozświetlonego blaskiem czerwonym jak świeżo przelana krew. Platforma wleciała do środka, ściana z tyłu wróciła na swoje miejsce. Gernisavien stała się więźniem w Czarnoksiężskiej Twierdzy.

W sobotni poranek pan Kennan zabrał Sarę, Monicę i Terry'ego na całodniową wycieczkę. Terry nie był zachwycony towarzystwem dwóch chichoczących dziewczyn, ale usiadł na przednim fotelu samochodu i z najwyższą obojętnością, jakby był właścicielem pojazdu, ignorował dobiegające z tyłu niemądre szeptki. Przejechali na drugi brzeg rzeki do lasu imienia Daniela Boone'a. Pan Kennan sypał żartami jak rękawa, dziewczynki chichotały za każdym razem, gdy zwrócił się do nich, a Terry odpowiadał w swój ten charakterystycznie beznamiętny sposób, przeciągając zgłoski.

Zaparkowali blisko placu piknikowego i przez godzinę łazili wśród głązów i drzew. Po tym czasie pan Kennan posłał Terry'ego do samochodu, skąd chłopak wrócił z wiklinowym koszem piknikowym. Przyniósł w nim kupione wcześniej przez nauczyciela w supermarkecie kanapki, napoje w puszkach, torebkę chrupek kukurydzianych i paczkę oreo. Usiedli na wysokiej skałce i zjedli w przyjaznym milczeniu. Kennan jak zwykle nie mógł się nadziwić, jak wielki apetyt potrafią mieć tacy mali ludzie.

Wczesnym popołudniem wrócili przez most i ruszyli na północ drogą stanową, która niedługo potem skręciła na zachód, wzdłuż rzeki. Po czternastu milach znaleźli się w Hermann, malowniczym niemieckim miasteczku, które zachowało cały wiktoriański urok, jaki pobliskie osiedla albo z czasem utraciły, albo też nigdy go nie miały. Trwał *Maifest* i Kennan zafundował dzieciakom przejażdżkę na rzeźącym diabelskim młynie oraz najprawdziwsze czekoladowe lody w kafejce. Kobiety w kolorowych wiejskich strojach tańczyły ze starszymi mężczyznami, którzy – odziani w *Lederhosen* – wyglądali sympatycznie absurdalnie. Usadowiona na białym podeście orkiestra grała żwawe polki.

Zbliżała się pora kolacji, gdy Kennan rozwiózł podopiecznych do domów. Monica tak długo marudziła, aż pozwolił jej usiąść z przodu zamiast Terry'ego. Taki układ nikogo nie urządził: Terry z Sarą siedzieli w lodowatym milczeniu, a Monica wzdragała się nerwowo, gdy tylko Kennan coś do niej powiedział lub choćby na nią spojrział. W końcu pod pretekstem przerwy na siku zajechali na

stację benzynową i na ostatnie osiem mil podróży przywrócono pierwotne rozstawienie.

Pożegnawszy się zdawkowym „Dziękujemy-bardzo-świetnie-się-bawiłyśmy”, dziewczynki pobiegły do swoich domów. Kennan odczekał, aż Monica zniknie mu z oczu, westchnął teatralnie i zwrócił się do ostatniego ze swoich pasażerów:

– No, Terry, to dokąd teraz? Może wpadniemy na kolację do Dog’N’Suds?

O dziwo, chłopiec miał własny pomysł.

– A może na smażoną rybę?

Kennan na śmierć zapomniał o tej możliwości: doroczne wspólne smażenie ryb na publicznym terenie wypoczynkowym przy hotelu Elk’s Lodge, trzy mile za miastem, uchodziło w okolicy za wielkie wydarzenie.

– W porządku – powiedział. – Będzie smażona rybka.

Zjechało się pół miasteczka. Przy stołach pod dwoma ogromnymi namiotami biesiadnicy objadali się smażonym sumem, frytkami i coleslawem. Kilka zdezelowanych atrakcji z wesołego miasteczka rozstawiło się w wysokiej trawie przy parkingu. Można było zjeść kawałek domowego ciasta z prowizorycznego straganu, porzucić piłką do celu, czyli obciążonych butelek po mleku, albo wziąć udział w loterii, w której nagrodą był kolorowy telewizor. Na boisku do baseballa dobiegał końca turniej męskich drużyn softballowych. Na łące dalej od drogi dwie drużyny strażaków-ochotników celowały z sikawek do podwieszanej na linie beczki, przepychając ją to w jedną stronę, to w drugą ku uciesze gromadki widzów.

Kennan z Terryem usiedli przy długim stole i zjedli suma. Przeszli się wśród kramów; mieszkańcy miasteczka witali nauczyciela, zwracając się do niego po imieniu, a on rozpoznawał mniej więcej co dziesiątego z nich. Obejrżeli kawałek meczu, który przeciągnął się do zachodu słońca. Pozapalały się porozwieszane wszędzie sznury lampek. Karuzela wygrywała w kółko swoje cztery melodyjki przywodzące na myśl dźwięki organów parowych. Wśród drzew na skraju łąki mrugały świetliki. Paru przebiegających chłopaków zawołało coś w przelocie do zaskoczonego Terry’ego. Kennan wcisnął mu w dłoń dwa dolary i Terry też popędził, żeby pobawić się razem z nimi.

Obejrzał początek następnego meczu, rozgrywanego już w żółtym świetle lamp, po czym wrócił do namiotu po piwo. Natknął się tam na Kay Bennett, psycholog ze szkoły okręgowej. Usiedli, żeby porozmawiać. Kennan zamówił obojgu po drugim piwie. Kay przyjechała z Kalifornii dwa lata temu i czuła się tak samo jak on uwięziona na tym missouryjskim zadupiu. Zabrali plastikowe kubki z piwem i oddalili się od świateł. Szerokie ścieżki łączyły Elk’s Lodge z rozrzuconymi wśród drzew letnimi domkami. Chodzili po tych drózkach i patrzyli na wschodzący nad łąką księżyc w pełni. Dwa razy napatoczyli się na

migdałających się w mroku licealistów – i dwa razy zawrócili, wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia i znaczące uśmiechy. Stojąc obok młodej kobiety w blasku księżycy, Kennan czuł narastające podniecenie.

Później, jadąc do domu, ze złości aż grzmotnął dłonią w kierownicę. Że też nie poznali się z Kay wcześniej; przecież ta zima mogła wyglądać zupełnie inaczej!

Wrócił do siebie, wyciągnął butelkę chivas regal, usiadł przy stole w kuchni i zaczął czytać Voltaire'a. Lekki wietrzyk zawiewał przez moskitierę. Dwa drinki później Kennan wziął prysznic i wczłogał się do łóżka. Zrezygnował z robienia wpisu w dzienniku i z uśmiechem wspominał udany dzień.

– Szlag! – zaklął i usiadł na łóżku.

Ubrał się pośpiesznie, darował sobie skarpetki, a na górę piżamy narzucił nylonową wiatrówkę. Księżyc świecił tak jasno, że nawet po tutejszej krętej drodze mógłby jechać bez świateł. Parking był pusty, łąkę żłobiły głębokie koleiny. Jarmarczne urządzenia jeszcze nie zniknęły, ale zostały już poskładane i przygotowane do załadunku na przyczepy. Z ulgą stwierdził, że majacząca w cętkach księżycowego blasku łąka jest pusta – dopóki nie dostrzegł samotnej sylwetki w górnym rzędzie trybuny.

Z bliska zobaczył ślady łez na brudnej od kurzu twarzy chłopca. Stanął na niższym stopniu trybuny, chciał coś powiedzieć, ale żadne słowa nie chciały mu przyjść do głowy i tylko wzruszył ramionami.

– Wiedziałem, że pan wróci – powiedział Terry. Jego głos brzmiał pogodnie. – Wiedziałem.

Raul przeżył. Z wysiłkiem wygrzebał się spod stosu jaszczurzych ciał. Ocalała go jaskrawo zdobiona koszula, którą dostał od Fenna w Wierzchołkach Drzew. Nie zdejmował jej od Carvnału. „To coś więcej niż ozdoba”. Tak to ujął mały futrzak? Rzeczywiście, musiała być czymś więcej niż ozdobą: żaden z sześciu wystrzelonych z kusz bełtów nie zdołał jej przebić. Bez wątpienia była o wiele skuteczniejsza od luźno tkanych kolczug, w których wystąpiły piętrzące się dookoła – teraz już martwe – jaszczury.

Stanął na czterech nogach i zrobił kilka niepewnych kroków. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Czuł ból przy oddychaniu. Obmacał sobie tułów, podejrzewając pęknięcie żebra.

Nieważne. Przeszedł się po polanie i w pierwszej kolejności odszukał swój łuk, a następnie zebrał wszystkie zdatne do użytku strzały. Znalazł krótki miecz,

który stracił po tym, jak rozplątał nim tarczę, hełm i czaszkę jaszczura. Jego klanowa włócznia była strzaskana. Odłamał od niej święty metalowy grot i wrzucił go do kołczanu. Uzbroiwszy się najlepiej, jak się dało, podniósł jeszcze długą lancę jednego z wrogów i pogalopował na skraj polany.

Palmy jeszcze dymiły, platformy musiały się oddalić całkiem niedawno. A on wiedział, dokąd poleciały.

Na północy skrzyły się wysokie szczyty Zęborogów. Krzywiąc się lekko z bólu, przewiesił tarczę i łuk przez plecy i swobodnym, zwawym galopem ruszył ku góróm.

Noc. Chmary podekscytowanych owadów otaczają rtęciowe latarnie. Kennan stoi w budce telefonicznej obok niedużego sklepu spożywczego. Sklep jest zamknięty, światła pogaszone, uliczka pusta. W ciemności słycać tylko jego głos.

– Tak, Whit, dostałem...

– Wiem, że to... mam świadomość, jak trudno jest się umówić z Fentworthem...

– Oczywiście, że mogę, ale to nie takie proste. Nie tylko mam... przede wszystkim wiąże mnie umowa, w której jest zapisane...

– Te ostatnie dni będą bardzo ważne...

– I co powiedział?

– Posłuchaj, ja naprawdę nie rozumiem, jaka to różnica, czy spotkam się z nim teraz, czy po jego powrocie w sierpniu. Jeżeli to on ma decydować o obsadzeniu tego stanowiska, to przed jego powrotem i tak nikogo nie przyjmą, prawda? Gdybym mógł tak to załatwić, żeby...

– Serio? Aha. Jeszcze przed jego wyjazdem, tak? No tak, teraz to widzę... Mhm.

– Nie, Whit, to bardzo ważne, że tam będziesz. Rzecz w tym, że... no... nie stać mnie na bilet lotniczy. Zwłaszcza że potem musiałbym tu jeszcze wrócić po rzeczy.

– No tak, tak, to by miało sens, ale nie mogę sobie odpuścić tych ostatnich paru... Nie wiem. Chyba tak. Czemu pytasz? Rany, Whitney, przecież już byłaś w Europie... dlaczego nie możesz... nie no, poważnie, dlaczego nie powiesz rodzicom, że dołączysz do nich dopiero pod koniec czerwca albo...

– Naprawdę? Bez rodziców? A co z tą... Jak jej tam? Mówię o gosposi... o właśnie, Millie. Do kiedy?

- Szlag... Owszem, to rzeczywiście brzmi dobrze.
- Nie, nie, nie, Whitney, ja naprawdę to doceniam. Nie masz pojęcia, jak wiele dla mnie znaczy...
- Aha. Mhm. Tak, oczywiście, ale... trudno to wytłumaczyć... Posłuchaj, jutro jest piątek, tak? Potem poniedziałek mamy wolny, bo to Memorial Day, zostają wtorek, środa i czwartek... Nie, już nie... sprawozdania, wypisywanie świadectw, takie tam... Nie dałoby się tego odwlec dosłownie o tydzień?
- Aha. No dobrze. Tak, rozumiem. A gdybym do jutra sobie to wszystko przemyślał? Hmm? Tak będzie dobrze?
- Wiem o tym, wiem... Ale chyba jest uchwytany w sobotę?
- No dobrze, zadzwonię jutro... w piątek wieczorem... i dam znać. Nie no, bez przesady. Jestem może biedny, ale nie aż tak. Nie chcę, żeby twoi rodzice pokrywali koszt... Posłuchaj, zadzwonię koło dziewiątej. U was to będzie... która? Jedenasta?
- Mogłabyś przekręcić do niego w sobotę i powiedzieć, że przyjdę w środę. A jak nie, to mogę po prostu czekać i liczyć, że coś innego się pojawi. Mhm, mhm... w takim razie... no dobrze... Zastanowię się, w porządku? Nie no, jasne. Oczywiście, że będę to miał na uwadze.
- Posłuchaj, kończą mi się ćwierćdolarówki... No. Koło dziewiątej... znaczy, jedenastej... Nie. Ja też. Naprawdę miło cię usłyszeć. Tak, jasne. Pogadamy jutro. Mhm. Ja też się nie mogę doczekać. Tak samo. Trzymaj się.

Schwytyany przy próbie ucieczki Dobby został zakuty w łańcuchy i powieszony na ścianie. Przypięta do stołu Gernisavien nie widziała, czy jej przyjaciel jeszcze oddycha. W czerwonym świetle wyglądał jak żywcem obdarty ze skóry. W krwawym półmroku poruszały się wysokie postaci w ciemnych opończach. Kiedy Czarnoksiężnicy byli zwróceny do niej plecami, szarpnęła się w metalowych okowach opinających nadgarstki i kostki. Nic z tego, stał ani drgnęła. Neokotka rozluźniła mięśnie i przyjrzała się metalowemu stołowi, do którego ją przypięto. Po bokach gładkiej powierzchni znajdowały się otwory i rynienki odpływowe. Zastanowiła się przez moment, do czego mogą służyć... i natychmiast tego pożałowała. Serce biło jej tak szybko, jakby miało wyskoczyć z piersi.

Przynajmniej wczorajsza nieudana ucieczka Dobby'ego odwróciła uwagę strażników na tyle, żeby Gernisavien zdążyła podnieść rękę do szyi, zdjęć klucz i go połknąć.

Najwyższa z zakapturzonych postaci wynurzyła się z cienia i stanęła przy stole w snopie czerwonego światła. Powoli odrzuciła kaptur.

Gernisavien ze zgrozą patrzyła na okrytą zachodzącymi na siebie łuskami skórę, na twarz przypominającą głowę modliszki, ogromne oczy jak kałuże zgęstniałej krwi i ociekające gęstym śluzem kły.

Czarnoksiężnik powiedział coś, czego nie zrozumiała, i uniósł kościstą, łuskowatą dłoń. W ohydnych szponach trzymał skalpel...

Niecałe pół mili od tego miejsca Raul z mozołem piął się w górę wśród wysokich zasp. Ślizgał się na oblodzonych skałach i dwukrotnie omal nie zsunął się w przepaść: tylko sile potężnych ramion zawdzięczał ocalenie. Tutaj upadek oznaczałby pewną śmierć.

Koszula od Fenna chroniła górną część jego tułowia, ale ziąb był okrutny. Stopniowo tracił czucie w dłoniach i zdawał sobie sprawę, że jeśli jeszcze raz się pośliznie, już się nie wyratuje. Na domiar złego słońca zaczynało zachodzić. A on nie przetrwa kolejnej nocy na tej wysokości.

Ach, żeby wreszcie znaleźć wejście!

Zaczynał popadać w rozpacz, gdy nagle z dołu dobiegł stukot spadającego kamienia i – zaraz potem – stłumione przekleństwo. Podkraść się ostrożnie na skraj śnieżnego nawisu i spojrzeć z góry na dwójkę jaszczurzych strażników: stali niecałe trzydzieści stóp od niego przy metalowych drzwiach, pomalowanych na biało, żeby nie odróżniały się od ośnieżonego zbocza. Mieli na sobie obszyte futrem białe kurtki z kapturami i gdyby nie hałas, którego narobili, Raul nigdy by ich nie zauważył.

Słońce zaszło. Zimny wiatr powiał nad stokiem i smagnał boki centaura kryształkami lodu. Raul przykucnął w śniegu i przemarzniętymi dłońmi sięgnął po łuk i strzały.

Roztaczający się z posiadłości widok na rzekę został w znacznej mierze przesłonięty przez późnowiosenne listowie drzew, ale z szerokich drzwi na werandę byłoby doskonale widać chłopca i mężczyznę idących pod górę po intensywnie zielonej trawie. Szli powoli. Mężczyzna mówił, chłopiec patrzył na niego.

Mężczyzna usiadł na trawie i dał chłopcu znać, żeby zrobił to samo. Chłopiec pokręcił głową i zrobił dwa kroki wstecz. Mężczyzna znów coś powiedział i rozłożył ręce. Rozcapierzywszy dłonie, pochylił się w życzliwym, zapraszającym geście, na co chłopak cofnął się o kolejne dwa kroki. W końcu mężczyzna wstał, a wtedy chłopiec okręcił się na pięcie i zaczął pośpiesznie schodzić ze wzgórza. Mężczyzna ruszył za nim, ale zatrzymał się po paru krokach, widząc, że chłopiec puścił się biegiem.

Po niecałej minucie chłopiec zniknął za zakrętem torów. Mężczyzna został sam na wzgórzu.

Kennan wjechał w wąską przecznicę i zatrzymał się naprzeciw domu Terry'ego. Długo siedział bez ruchu, z rękami na kierownicy. Kiedy w końcu sięgnął do klamki, pan Bester – bez koszuli, w samych workowatych ogrodniczkach – wynurzył się z domu i zszedł z boku werandy na podwórko. Kiedy schylił się, żeby wyciągnąć coś spod budynku, światło załśniło na jego siwym zaroście. Kennan znieruchomiał, odczekał jeszcze chwilę i odjechał.

O drugiej w nocy wciąż pakował książki do kartonów. Kiedy przechodził przed otwartym oknem z moskitierą, wydało mu się, że coś słyszy po drugiej stronie ulicy. Odstawił stosik książek, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz: olśniewający blask latarni, cienie liści na chodniku.

– Terry?

Nikt mu nie odpowiedział, cienie się nie poruszyły. Wrócił do przerwanego zajęcia.

Zamierzał wyjechać w niedzielę z samego rana, ale zanim skończył pakować samochód, dochodziła dziesiąta. Zrobiło się osobliwie zimno, z ołowianych chmur pokapywał deszcz. Właściciela nie zastał w domu (był pewnie w kościele), więc zostawił mu klucz w skrzynce na listy.

Dwa razy przejechał się po mieście, w tym cztery razy obok szkoły, zanim w końcu zaklął pod nosem i skręcił na zachód, w stronę międzystanowej.

Na drodze numer 55 ruch był niewielki, większość samochodów jechała z włączonymi światłami. Od czasu do czasu deszcz ochlapywał szybę. Przed St. Louis Kennan zatrzymał się, żeby coś zjeść. Kelnerka poinformowała go, że spóźnił się na śniadanie, wziął więc hamburgera i kawę. Pilnując skomplikowanych rozjazdów przed mostem na Missisipi, przegapił Gateway Arch. Rzeka była równie szara i wzburzona jak niebo.

W Illinois volvo skierowało się międzystanową siedemdziesiątką na wschód i od tej pory rytm podróży wyznaczały szum opon na mokrym asfalcie i pośpieszny metronom wycieraczek. Dźwięki te szybko wprawiły Kennana w przygnębienie. Włączył radio i z zaskoczeniem usłyszał ryk silników i wiwaty tłumu: nadawano relację z Indy 500. Słuchał, jadąc wśród mijających go w deszczu wielkich ciężarówek. Nie minęło pół godziny, gdy spiker w Indianapolis zaczął się rozwódzić nad ciągnącymi z zachodu chmurami burzowymi. Kennan wyłączył radio. Było praktycznie pewne, że wyścig zostanie przerwany.

W ciszy jechał dalej na wschód.

Kiedy we wtorek po Memorial Day czwartoklasiści pana Kennana weszli gęsiego do swojej sali, za biurkiem nauczyciela zastali panią Borcharding. Znali ją wszyscy, bo w przeszłości nieraz przychodziła na zastępstwo, a niektórych z nich uczyła regularnie w pierwszej klasie, w ostatnim roku przed przejściem na emeryturę.

Pani Borcharding była ogromną masą tłuszczu, zmarszczek i brodawek. Ciało na rękach powyżej jej łokci zwisało bezwładnie – albo trzęsło się i trzepotało, gdy gestykulowała. Obrzmiałe nogi rozsadzały pończochy kompresyjne. Ramiona, dłonie i twarz miała obficie usiane plamami wątrobowymi, a cała emanowała dyskretnym odorkiem rozkładu, który szybko rozprzestrzenił się po sali. Dzieci usiadły w ławkach, złożyły dłonie na blatach i w milczeniu patrzyły na stwora za biurkiem.

– Pan Kennan musiał pilnie wyjechać – powiedziała pani Borcharding głosem tak bardzo gardłowym, jakby nie należał do istoty ludzkiej. – O ile mi wiadomo, ktoś w jego rodzinie zachorował. Tak czy inaczej, przez te trzy ostatnie dni roku szkolnego to ja będę waszą nauczycielką. Chciałabym, żeby jedno była od początku jasne: oczekuję, że wszyscy bez wyjątku będziecie ciężko pracowali. Nie interesuje mnie, czy do końca roku zostały trzy dni, czy trzysta. Nie interesuje mnie również, czy wcześniej pracowaliście tak ciężko, jak

powinniście. Macie nie szczędzić wysiłków do momentu, gdy w czwartkowe popołudnie zostaniecie zwolnieni do domów. Wasze świadectwa są już wypisane, ale niech wam się nie wydaje, że możecie swobodnie błaznować. Pan Eppet upoważnił mnie do zmiany wystawionych ocen, jeżeli tylko uznam to za stosowne, w tym także do zmiany ocen decydujących o promocji do następnej klasy. Nadal istnieje więc możliwość, że ktoś z was będzie musiał powtarzać rok. Czy są pytania? Nie ma? Doskonale. Wyjmijcie zatem podręcznik do ćwiczeń z arytmetyki.

Podczas porannej przerwy dzieci obstąpiły Terry'ego, domagając się informacji. On jednak milczał jak głaz, opierając się falom ciekawości i desperacji, a jedyna nowina, jaką ostatecznie zechciał się podzielić, sprawiła, że dzieciaki zaczęły trajkotać z ożywieniem jak gromada statystów w melodramatycznej zbiorowej scenie na filmie.

Musiało nadejść popołudnie, zanim ktoś nabrał dość odwagi, by stawić czoło pani Borchering: naturalnie była to Sara, bo któżby inny? Ćwiczyli pisanie, gdy zalegającą w sali gęstą ciszę przerwał jej cieniutki głosik, piskliwy i natarczywy jak bzyczenie pszczoły. Pani Borchering wysłuchała jej, zmarszczyła brwi, po czym przeniosła marsowe spojrzenie na pierwszą ławkę. Sara przez ten czas wróciła na swoje miejsce.

– Terry Bester.

– Słucham, psze pani?

– Taaak... Sally mówi, że... hmm... jest coś, czym chciałbyś się z nami podzielić – zaczęła pani Borchering. Uczniowie zachichotali, wychwyciwszy omyłkę w imieniu Sary, ale natychmiast ucichli, gdy świdrujące oczka pani Borchering omiotły klasę w poszukiwaniu źródła śmiechów. – No dobrze. Ponieważ widzę, że nie możecie się doczekać, proponuję mieć z głowy tę... opowieść. Potem będziemy mogli bez przeszkód przejść do nauki o społeczeństwie.

– Nie, psze pani – zaoponował cicho Terry.

– Słucham?

Nauczycielka zmierzyła chłopca przeciągłym, surowym spojrzeniem, gotowa poderwać się z krzesła przy najmniejszej oznace dalszego oporu. Terry siedział jednak grzecznie, z rękami złożonymi na zeszycie. Jediną widoczną oznaką jego impertynencji były stanowczo zaciśnięte usta.

– Byłoby dobrze załatwić tę sprawę od razu – powiedziała pani Borchering.

– Nie, psze pani – powtórzył Terry i pośpiesznie mówił dalej, zanim wstrząśnięta gruba dama zdążyła cokolwiek wykrztusić: – Mam to opowiedzieć w ostatni dzień. Czyli w czwartek. Tak mi powiedział.

Pani Borcharding spiorunowała go wzrokiem, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, kłapnęła nimi głośno, po czym zaczęła jeszcze raz:

– Wykorzystamy na to waszą czwartkową przerwę lekcyjną. Ci z was, którym na niej nie zależy, mogą zostać w klasie i posłuchać. Reszta będzie się bawić na boisku.

– Dobrze, psze pani – zgodził się Terry i wrócił do przerwanych ćwiczeń.

Upalny środowy poranek emanował gęstą atmosferą lata. Dzieci weszły do klasy z nadzieją w oczach, która jednak zaraz zgasła na widok usadowionej za biurkiem masywnej sylwetki pani Borcharding. Rzadko wstawiała z krzesła i dzieciom również zakazywała wychodzenia z ławek, jakby ich bezruch miał korelować z jej martwością. Wprowadzone przez pana Kennana karty zadań i idea pracy w zespołach poszły w zapomnienie.

Na każdej przerwie Terry był oblegany przez koleżanki i kolegów dopraszających się o ujawnienie choćby najdrobniejszego szczegółu. O dziwo, ten przypływ zainteresowania wcale nie sprawiał mu przyjemności. Zasywywał się w najbardziej odludnych kątach boiska i rzucał kamykami w płot.

W czwartek rano rozeszła się plotka, jakoby poprzedniego wieczoru widziano volvo pana Kennana przy Main Street: Monica Davis, która jadła kolację w centrum, w Embers Restaurant, była święcie przekonana, że widziała, jak przejeżdżał. Sara obdzwoniła z tą informacją wszystkich kolegów, bez sprzeciwu przyjmując bury od zirytowanych rodziców, którzy nie byli zachwyceni porannymi telefonami od czwartoklasistki. Piętnaście po ósmej – trzy kwadrans przed dzwonkiem na lekcje – większość klasy zgromadziła się już na boisku. Bill zgłosił się na ochotnika, żeby wejść do szkoły i przeprowadzić zwiad.

Wrócił po trzech minutach. Jeden rzut oka na jego przygnębioną minę wystarczył, żeby większość domyśliła się, co powie.

– I co? – zapytał Brad.

– Borcharding – odparł Bill.

– Może po prostu jeszcze nie przyjechał – zasugerowała Monica. Mało kto jej jednak uwierzył i przygasła pod krytycznymi spojrzeniami kolegów.

Kiedy nadeszła pora zajęcia miejsc w ławkach, rzeczywistość siedziała już za biurkiem w tej samej opiętej sukience z fioletowego perkalu, którą miała na

sobie we wtorek. Dzień przy otwartych oknach włókł się z tym niemożliwym do opisanego rozleniwieniem, jakie zdarza się wyłącznie w ostatnim dniu roku szkolnego. Wypełniony intensywną pracą poranek irytował tym silniej, że boleśnie kontrastował z pustką panującą poza tym w szkole – większość uczniów udała się na klasowe pikniki. Pan Kennan dawno już przedstawił swój plan na ten dzień: mieli się wyprawić aż do Riverfront Park i spędzić całusieńki dzień „na grze w softball i objadaniu się dobrymi rzeczami”, konkretne dzieciaki zaofiarowały się, że przyniosą konkretne smakołyki... Teraz jednak nie mogło być o tym mowy. Kiedy uczniowie podnosili wzrok znad zeszytów, żeby wysłuchać kolejnego polecenia pani Borcharding, oczy ich wszystkich wyrażały to samo: kielkującą w głowach świadomość, że świat nie jest stabilny, a rzeczywistość kryje w sobie pułapki, w które można wpaść bez ostrzeżenia. Była to lekcja, którą dzieci instynktownie znały już wcześniej, ale były na tyle niemądre, by tymczasowo o niej zapomnieć, gdy otoczył je ochronny pierścień magii.

Dzień doczołgał się w końcu do południa. Zjedli lunch w niemal pustej stołówce – poza nimi była tam jeszcze tylko jedna pierwsza klasa, która została w szkole za karę, i pięcioro śliniących się uczniów klasy specjalnej pod opieką panny Carter.

Dobiegające z boiska wesole okrzyki były dziwnie stłumione. Nikt nie zagadywał Terry’ego. Jeżeli miał tremę, to zupełnie nie było tego po nim widać, kiedy stał oparty o słup do tetherballu z rękami założonymi na piersi.

Po południu zdali wypożyczone podręczniki (Brad i Donald musieli zapłacić karę za zgubione i uszkodzone egzemplarze) i siedzieli cicho jak myszki, gdy pani Borcharding sporządzała ich spis. Wiedzieli, że ostatnie półtorej godziny w szkole będzie przeznaczona na czyszczenie ławek, zdejmowanie plakatów ze ścian i wykładanie półek na książki świeżym papierem. Wiedzieli, że wszelkie te działania są całkowicie zbyteczne, ponieważ za tydzień albo dwa woźni i tak wyniosą wszystko z sali i posprzątają ją od nowa. Wiedzieli również, że pani Borcharding będzie zwlekać do ostatniej chwili z wydaniem im świadectw – i do ostatniej chwili sugerować, że niektórzy mogą nie zdać, a już z pewnością nie zasługują na promocję. Wiedzieli także i to, że wszyscy zdadzą.

Pięć po drugiej pani Borcharding wstała ciężko zza biurka i zmierzyła wzrokiem dwadzieścioro siedmioro dzieci siedzących w osobliwie schludnych ławkach. Wysokie stosy książek otaczały uczniów jak ochronne barykady z worków z piaskiem.

– No dobrze – powiedziała. – Możecie wyjść na przerwę.

Nikt się nie poruszył – nikt poza Bradem, który wstał, spojrział zdumiony na siedzących kolegów, po czym uśmiechnął się głupkowato i usiadł z powrotem.

Pani Borchering poczerwieniała, chciała coś powiedzieć, ugryzła się w język i ciężko opadła na fotel.

– Terry? Zdaje się, że masz nam coś do powiedzenia – wysapała. Spojrzała na zegar ścienny (który nie działał), a potem na budzik, który dzieci potajemnie nakręcały, żeby nie przestał chodzić. – Masz trzynaście minut, młody człowieku. Postaraj się nie zmarnotrawić całej przerwy.

– Dobrze, psze pani – powiedział Terry.

Wstał, podszedł do podłużnej tablicy korkowej i wyciągniętą ręką wskazał ręką narysowane markerem zębate pasmo gór na południowym wybrzeżu kontynentu. Nic nie powiedział. Dzieci w milczeniu pokiwały głowami. Terry opuścił rękę i wyszedł na środek klasy. Jego sztruksowe spodnie szurały cicho przy każdym kroku: *szur-szur, szur-szur*.

Stanął zwrócony twarzą do klasy. Przez okna wpadały leniwe podmuchy ciepłego powietrza, buczenie owadów i odległe krzyki z boiska. Terry odchrząknął. Wargi miał zbielełe, ale głos – choć cichy i wysoki – nie drżał mu ani trochę.

Raul stał trochę wyżej od dwójki strażników pilnujących wejścia do tego miejsca, gdzie Czarnoksiężnicy trzymali Dobby'ego i Gernisavien. Pamiętacie, to było wtedy, jak ten wysoki Czarnoksiężnik wziął nóż, żeby – kto wie – może rozpruć brzuch Gernisavien i wyciągnąć klucz. Ale nieważne. Palce Raulowi zamarzały, ale wiedział, że musi zabić jaszczury naprawdę prędko, bo drugiej szansy nie będzie. Padał śnieg, w dodatku szybko się ściemniało.

Jaszczury siedziały przykucnięte i coś tam mamrotały między sobą. Miały na sobie takie super grube kurtki i Raul wiedział, że musi dobrze trafić, bo inaczej strzała się nie przebije. Zwłaszcza jeśli pod spodem nosili zbroje.

No więc wyciągnął dwie strzały z kołczanu. Jedną wbił w śnieg przed sobą, a drugą założył na cięciwę. Ręce ma odrętwiałe, jakby nosił grube łapawice, a przecież wcale ich nie nosi. Boi się trochę, bo stracił czucie w palcach, a jak strzała wyfrunie za wcześnie, to tamci się zorientują. Ale stara się o tym nie myśleć, tylko napina łuk, napina tak do końca, nie? Pamiętacie, to jest taki specjalny łuk, przekazywany w rodzie Raula z ojca na syna. Raul dostał go od swojego staruszka, który był wielkim wodzem wszystkich centaurów, i nikt poza Rauliem nie potrafi naciągnąć tego łuku.

Ale on potrafi. A potem jeszcze musi go tak przytrzymać, kiedy celuje. Mięśnie mu zamarzają, przez moment cały się trzęsie, ale wtedy bierze głęboki,

taki naprawdę głęboki wdech i trzyma... trzyma łuk zupełnie nieruchomo... i celuje w pierwszego jaszczura, tego bliżej drzwi. Zrobiło się już naprawdę ciemno, ale dookoła drzwi jest trochę takiej czerwonej poświaty.

Szszszu! Raul wypuszcza pierwszą strzałę i od razu wyciąga ze śniegu drugą, zakłada ją na cięciwę i napina łuk. Pierwszy jaszczur – ten przy drzwiach, nie? – wydaje taki zabawny cichy dźwięk, kiedy strzała trafia go w gardło i przechodzi na wylot. Drugi patrzy akurat w inną stronę i kiedy się odwraca, żeby zobaczyć, co się dzieje... *Szszszu!* Jemu też już strzała sterczy z karku. Przewraca się, spada z półki przed drzwiami i leci, leci w dół, aż na lód dwie mile w dole. Ale żaden nie wydaje dźwięku.

Raul schodzi z góry, trochę się ślizga, trochę zjeżdża na wszystkich czterech nogach, ale idzie prosto do drzwi. To są takie naprawdę duże drzwi, metalowe, bez klamki, w ogóle bez niczego, no i są zamknięte. Ale pierwszy jaszczur, ten, co teraz leży martwy na śniegu, ma przy sobie kółko z kluczami, i tych kluczy, dużych takich, jest tam ze szesnaście. I jeden z nich pasuje do tych drzwi. Dobrze, że to nie ten jaszczur spadł w przepaść.

Raul wsuwa klucz do zamka, drzwi przesuwają się na bok i za nimi widać taki długi, prosty tunel, oświetlony czerwonym światłem i trochę straszny. Raul wchodzi do tunelu, ale albo coś zrobił nie tak, albo gdzieś tam jest elektroniczne oko, w każdym razie nagle zaczynają dzwonić dzwonki, jakby alarm.

– Trudno – mruczy sobie pod nosem Raul. – Stało się.

Rozpędza się i galopuje tunelem przed siebie. Przewiesił już łuk przez plecy i wyjął miecz.

Pamiętacie, Gernisavien leżała przypięta do metalowego stołu i Czarnoksiężnik pochylał się nad nią, żeby rozciąć jej brzuch i wyjąć klucz do portalu? Wyjął nóż, taki jak używają lekarze, super ostry, że można by nim masło kroić, i stał nad nią i się zastanawiał, gdzie najpierw ciąć, kiedy rozdzwoniły się te wszystkie dzwonki.

– To Raul! – krzyczy Dobby, który wisi w łańcuchach na ścianie i jeszcze żyje.

Na to ten Czarnoksiężnik się odwraca, ale tak naprawdę szybko, pstryka przełącznikami i włącza się całe mnóstwo telewizorów. Na jednych widać biegnących jaszczurzych żołnierzy, na innych dwóch Czarnoksiężników, którzy się rozglądają dookoła, a na jednym jest Raul, który biegnie korytarzem. Czarnoksiężnik mówi coś po czarnoksiężnicku do innych gości w długich szatach w tym pokoju i wszyscy wybiegają. Dobby i Gernisavien zostają sami, ale są związani i nic nie mogą zrobić, tylko patrzeć na te telewizory.

A Raul wybiega zza zakrętu i nagle staje przed nim banda jaszczurów, i oni mają kusze, a on tylko swój miecz. Za to oni są bardziej zaskoczeni od niego,

więc on tylko opuszcza głowę i szarżuje i zanim tamci zdążą naładować kusze i w ogóle, on już jest między nimi i sieka mieczem, aż w powietrzu latają jaszczurze głowy, ogony i inne kawałki.

Gernisavien widzi to wszystko w telewizji i razem z Dobbym dopingują Raula i tak dalej, ale widzą, że na korytarzach jest pełno jaszczurów, a poza tym pojawiają się też Czarnoksiężnicy. No więc Dobby zaczyna się szarpać w łańcuchach, tak z całej siły. Jego ręce są silniejsze niż by się mogło wydawać. Pamiętajcie, jak wtedy podtrzymał kawałek nadrzewnego domu Tartuffela.

– Co ty robisz? – pyta się go Gernisavien.

– Chcę się do tego dorwać! – Dobby pokazuje stół zastawiony butelkami i próbkami i różnymi chemicznymi rzeczami, przy którym pracowali Czarnoksiężnicy.

– Ale po co? – pyta się go znowu Gernisavien.

– To paliwo nukelarne – mówi Dobby. – A to niebieskie to antygravitacja, taka jak do latającego galeonu. Gdyby je ze sobą zmieszać...

I Dobby ciągnie i ciągnie, aż ukazują mu się na głowie wszystkie żyły. W końcu jeden łańcuch pęka i Dobby wisi już tylko na jednej ręce. Jest za bardzo zmęczony, żeby dalej się szarpać.

– Czekaj no... – mówi Gernisavien, która patrzy w telewizor.

Raul zabijał jaszczury na prawo i lewo, aż był już nie więcej jak sto stóp od tego pokoju, w którym trzymali Gernisavien i Dobby'ego, ale on o tym nie wie. Nagle pojawia się czterech albo pięciu Czarnoksiężników i mają te swoje ogniowe karabiny, i Raul ledwie zdąża zasłonić się tarczą, ale i tak spaliło mu włosy i część grzywy, i wszystkie strzały. I łuk po tacie też mu spaliło.

Więc Raul się cofa i wie, że będą próbowali mu zagrozić drogę ucieczki, bo widzi, jak bocznymi korytarzami już pędzą jaszczury, więc w końcu odwraca się i galopuje najszybciej jak się da. Głównym tunelem biegną za nim Czarnoksiężnicy i on wie, że jak tylko wyjdzie im na strzał, to będzie po nim. Dlatego przystaje, podnosi znalezioną kuszę i strzela od czasu w ich stronę, żeby ich trochę powstrzymać.

I nagle jest w tej wielkiej hali, w której Czarnoksiężnicy trzymają swoje latające platformy. Podbiega, przeskakuje przez barierkę i ląduje na takiej jednej platformie i patrzy na przyrządy. Naciska jeden guzik i ściana podjeżdża do góry: to są drzwi w zboczu. Raul wygląda na dwór i widzi świeże powietrze, gwiazdy i całą resztę. a potem się odwraca i widzi, że we wszystkich drzwiach do sali jest pełno jaszczurów, w dodatku już biegną Czarnoksiężnicy z karabinami i w ogóle, i Raul wie, że jak zostanie, to nie da rady uniknąć wszystkich strzałów. Bardziej niż śmierci boi się tego, że zostanie naprawdę mocno ranny i będzie musiał zostać tutaj, skuty jak Gernisavien i Dobby.

Więc tak naciska te różne guziki jeden za drugim, aż w końcu latająca platforma zaczyna latać. Czarnoksiężnicy walą do niego z ogniowych karabinów, ale Raul już wylatuje w noc i nie mogą dobrze wycelować, bo on odlatuje takim jakby zygzakiem.

Zamknięci w swojej sali Gernisavien i Dobby oglądają to wszystko w telewizji. Dobby zawsze ma taką trochę smutną minę, ale teraz wygląda jakby jeszcze smutniej niż zwykle.

– Dasz radę uwolnić drugą rękę? – pyta się go Gernisavien.

Ale Dobby tylko kręci głową, że nie. Nie ma się o co zaprzec.

Gernisavien pamięta, że klucz ma cały czas w brzuchu. I wie, że Czarnoksiężnicy chcą go użyć, żeby przedostać się na te wszystkie inne planety w Sieci Światów. Ludzie by z nimi walczyli i może udałoby im się wygrać, ale to by było okropnie trudne, no bo Czarnoksiężnicy by ich wzięli z zaskoczenia i w ogóle. Gernisavien przypomina sobie te wszystkie sytuacje, jak rozmawiali o tym, że dotrą do portalu i potem razem będą odwiedzać różne planety i spotykać różnych ludzi.

– Fajnie było, nie? – pyta ją Dobby.

– No – zgadza się Gernisavien. I jeszcze mówi: – Dawaj. Zrób to.

Dobby wie, o co jej chodzi. Uśmiecha się i ten jego uśmiech jest taki jakby jednocześnie smutny i wesoły. I wtedy wyciąga się na całą długość i sięga tak naprawdę daleko, że aż staje w poprzek na ścianie. Na korytarzu słychać kroki Czarnoksiężników, więc Dobby zaczyna wymachiwać prawą ręką, tą z luźnym łańcuchem, i wali nim w to nuklearne paliwo i inne rzeczy na stole, i je rozbija, rozwała, i one się mieszają i w ogóle.

Raul jest pięć albo sześć mil stamtąd, kiedy widzi, jak góra wybucha. Czubek jej po prostu odpadł i ona cała tak jakby się podniosła w powietrze, jak wulkan. Na szczęście Raul jest odpowiednio daleko i wysoko, bo inaczej wybuch by go rozerwał na kawałki. Ale wiedział, kto to zrobił i dlaczego.

Nie wiem, co jeszcze sobie myślał, ale wiedział, że został zupełnie sam. Trochę jeszcze tak polatał, a w dole przelewała się lava i iskry strzelały w powietrze. A on już nie ma już dokąd lecieć. Sam nie uruchomi portalu; tylko Dobby wiedział, jak to zrobić, a Gernisavien miała klucz.

Długo jeszcze tak krążył po ciemku, aż w końcu zawrócił platformę i odleciał. I to już jest koniec.

Było całkiem cicho. Dzieci – nieruchome, jak wykute z kamienia – odprowadziły wzrokiem Terry’ego, który wrócił do swojej ławki. Jego sztruksowe spodnie szurały *szur-szur*. Kiedy usiadł, parę dziewczyn zaczęło szlochać. Wielu chłopców zwiesiło głowy albo podniosło blaty ławek, żeby ukryć łzy.

Pani Borchering nie wiedziała, co robić. Spojrzała na zegar na ścianie, ze złością przeniosła wzrok na budzik, wzięła go do ręki i pokazała wszystkim.

– Zobacz, co zrobiłeś, młody człowieku! – burknęła. – Zmarnowałeś całą przerwę i przez ciebie jesteśmy teraz spóźnieni ze sprząaniem. No, do roboty wszyscy. Pucować ławki!

Uczniowie przetarli oczy, westchnęli ciężko i posłusznie podjęli się ostatniego zadania stojącego pomiędzy nimi i wolnością.

Wstęp do „Dwóch minut czterdziestu pięciu sekund”

Jedną z moich ulubionych osób w branży wydawniczej – a może i na całym świecie – jest Ellen Datlow, redaktorka beletrystyki w „Omni”. Przez pewien czas nazywali ją Matką Cyberpunku, ale wydaje mi się, że mylili ją z Matką Teresą.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie z informacją, że zamierza zamówić dla „Omni” kilka króciutkich opowiadań z gatunku horror SF, i pytaniem, czy byłbym zainteresowany.

– Powiedz mi, Ellen, czy chodzi o to, żeby zapłacić trzy tysiąki za siedmiu albo ośmiu autorów, zamiast wykładać taką kasę na jedną większą rzecz?

– Naturalnie – usłyszałem w odpowiedzi.

– Dzięki temu będziecie mogli powiedzieć, że wydrukowaliście w jednym numerze aż osiem utworów zamiast marnej jednej sztuki, na którą zgodziło się szefostwo? – indagowałem.

– No oczywiście. Jakżeby inaczej?

– I dzwonisz do mnie, bo wiesz, że jestem tani, piszę szybko i praktycznie modlę się do odcisków twoich stóp na ziemi?

– Otóż to. Poza tym zalegasz z opłatami za bankiet sprzed dwóch lat, kiedy na World Fantasy Con zaprosiliśmy cię do stołu „Omni”. Pomyślałam, że zamiast ci teraz płacić, odliczę tamten dług i pomogę ci wyjść na prostą.

– Wchodzę w to – powiedziałem.

Ellen postawiła tylko jeden warunek: pozostali autorzy (ich opowiadania już dostała, ale zrobiło się miejsce na jeszcze jedno po tym, jak składacz przestawił reklamę prezerwatyw) napisali horrory, które były tylko horrorami i niczym więcej.

– Zapomnieli, że to miało być połączenie horroru z SF – wyjaśniła. – Oczekuję horroru high-tech.

– Horror high-tech – powtórzyłem. – Jasna sprawa. Zrobi się.

Rozłączyłem się, odpaliłem komputer, rozruszałem zwinne palce nad klawiaturą, wyłączyłem komputer i zadałem sobie pytanie:

– Co to jest horror high-tech, do cholery?

Teraz już wiem. *Dwie minuty czterdzieści pięć sekund* to właśnie horror high-tech.

Jako przypis powinienem wspomnieć, że przy okazji pracy nad tym opowiadaniem przez dobre kilkanaście godzin wisiałem na telefonie, dyskutując z prawnikami „Omni”. Oto fragment zapisu jednej z takich rozmów:

PRAWNIK OMNI: Czy to opowiadanie naprawdę jest o katastrofie Challengera?

JA: Naturalnie. To opowiadanie naprawdę jest o katastrofie Challengera.

PO: Nie, wcale nie jest o katastrofie Challengera.

JA: Ależ oczywiście, że nie jest o katastrofie Challengera. O czym wobec tego jest?

PO: To oczywiste. Rozgrywa się w alternatywnej rzeczywistości, w której pewien niewymieniony z nazwy prom kosmiczny eksplodował, być może na skutek domniemanych zaniedbań niewymienionej z nazwy i/lub fikcyjnej korporacji, która w niczym nie przypomina żadnej korporacji, osoby i/lub planety w naszym wszechświecie. Zga-dza się?

JA: No... Tak. To właśnie miałem na myśli.

PO: Jeszcze jedno. Będzie pan musiał zmienić roboczy tytuł.

JA: Ależ naturalnie! To się da zrobić. Ale dlaczego?

PO: Naszym zdaniem tytuł *Piosenka miłosna dla J. M*rt*na Th**k*la* byłby... ehm... nieroztropny.

JA: Rozumiem. Co powiecie w takim razie na *Dzień, w którym korporacyjna chciwość i nadużycia władzy zabiły siedmioro naszych astronautów i prawie zamordowały nasz program kosmiczny*?

PO: Zastanowimy się nad tym. Będziemy w kontakcie.

Epilog do przypisu:

Niedawno Ellen Datlow wybrała *Dwie minuty czterdzieści pięć sekund* do drugiej edycji *The Year's Best Fantasy*, dorocznej antologii współtworzonej z Terryem Windlingiem. Opatrzyła opowiadanie wstępem, w którym pisze między innymi tak:

Krótką, przejmującą opowieść o winie i wyrzutach sumienia, oparta po części na głośnym wydarzeniu z naszej niedawnej przeszłości – katastrofie promu kosmicznego

Challenger.

A teraz przepraszam bardzo, ale muszę wyjść. Telefon dzwoni, facet z pozwem w garści dobija się do drzwi, a na podwórku za moim domem właśnie wylądował helikopter wielkiej korporacji.

Dwie minuty czterdzieści pięć sekund

Roger Colvin zamknął oczy. Stalowa barierka zabezpieczająca opadła mu w poprzek ud i kolejka górską rozpoczęła wspinaczkę na pierwsze wzniesienie. Słyszał grzechotanie grubego łańcucha i poskrzypywanie stalowych kółek. Ktoś za jego plecami zaśmiał się nerwowo. Colvin miał lęk wysokości, serce tłukło mu się boleśnie o żebra. Patrzył na świat pomiędzy rozcapierzonych palców.

Przed nim stromo wznosiły się metalowe szyny ułożone na białej drewnianej konstrukcji. Siedział w pierwszym wagoniku. Odjął ręce od twarzy i z całej siły zacisnął dłonie na zabezpieczającej go stalowej belce. Poczował zebrane na niej pokłady starego cudzego potu. W drugim wagoniku ktoś zachichotał. Colvin odwrócił głowę, tylko na tyle, żeby spojrzeć nieco w bok od toru.

Znajdowali się już bardzo wysoko, ale kolejka nadal się wspiniała. Centrum obsługi gości i parkingi kurczyły się w oczach, pojedynczy ludzie stali się niemal niedostrzegalni, ich zbiorowiska upodobniły się do kolorowych dywanów, a wszystko razem rozplątywało się w regularnej mozaice ulic i świateł. Z tej wysokości widział już całe miasto. Całe hrabstwo. Wagonik z metalicznym klekotem piał się coraz dalej. Niebo stało się ciemnogrnatowe. Okryty delikatną mgiełką widnokrąg ewidentnie się zakrzywił. Colvin zdał sobie sprawę, że znaleźli się nad powierzchnią jeziora: światło mieniło się na odległych o całe mile falach widocznych w dole, pomiędzy elementami drewnianego rusztowania. Zamknął oczy, gdy kolejka zagłębiła się na moment w zimne tchnienie chmury, a potem otworzył je gwałtownie, usłyszawszy zmianę dźwięku wydawanego przez łańcuch. Stromizna malała, aż w końcu tor stał się poziomy. Znaleźli się na szczycie.

A potem z niego spadli.

Dalej niczego nie było. Szyny zakrzywiały się ku dołowi i urywały w powietrzu.

Wagonik runął w dół. Colvin jeszcze mocniej ścisnął belkę zabezpieczającą i otworzył usta do krzyku. Zaczęli spadać.

– No, najgorsze za nami.

Otworzył oczy i zobaczył Billa Montgomery'ego, który właśnie podawał mu drinka. Powietrze z sykiem płynęło z wentylatora nad jego głową, w tle dudniły

basowo silniki gulfstreama.

Przyjął oferowaną mu szklaneczkę, przymknął nawiew i wyjrzał przez okno. Zostawili już w tyle lotnisko Logan International i w dole rozpoznał plażę Natansket, zatokę, rozsypane na wodzie białe trójkąciki żagli i rozpościerający się dalej ocean. Cały czas się wznosili.

– Wiesz, Roger, cholernie się cieszymy, że tym razem postanowiłeś lecieć z nami – mówił dalej Montgomery. – Cała ekipa znowu razem! Super sprawa. Jak za dawnych czasów.

Uśmiechnął się. Trzej pozostali mężczyźni unieśli szklanki jak do toastu.

Colvin sączył wódkę i przez chwilę bawił się trzymanym na kolanach kalkulatorem. Odetchnął głęboko. Zamknął oczy.

Lęk wysokości zawsze mu dokuczał. Miał sześć lat, kiedy zleciał ze stryszku w stodole i spadał, spadał – zdawałoby się – bez końca; czas rozciągnął się niemożliwie, ostre szpikulce wideł wybiegały mu na spotkanie, aż w końcu wylądował bez tchu, z prawym policzkiem i okiem przyciśniętymi do słomy, zaledwie o trzy cale chybiwszy kolców.

– Najwyższy czas, żeby firmę spotkało coś dobrego – powiedział Larry Miller. – Dwa i pół roku złej prasy w zupełności wystarczy. Fajnie będzie zobaczyć jutrzejszy start. Zacząć wszystko od nowa.

– Dobrze mówi! – poparł go Tom Weiscott. Południe jeszcze nie minęło, a on już zdążył za dużo wypić.

Colvin uśmiechnął się i otworzył oczy. Włącznie z nim na pokładzie samolotu było czterech wiceprezesów; tylko Weiscott nadal zajmował stanowisko dyrektora. Colvin oparł policzek o szybę i patrzył na przepływającą w dole zatokę Cape Cod. Przypuszczał, że znajdują się w tej chwili na wysokości jedenastu, dwunastu tysięcy stóp. Gulfstream cały czas szedł w górę.

Wyobraził sobie budynek o wysokości dziewięciu mil. Do windy wsiada się wprost z wyłożonego dywanem korytarza na ostatnim piętrze. Winda ma szklaną podłogę. Widoczny przez nią szyb opada cztery tysiące sześćset pięter w dół. Na każdym piętrze świecą halogeny, które zbiegają się w czarnym powietrzu coraz ciaśniej, aż wreszcie rozpływają się w powodzi światła daleko w dole.

Podnosi głowę w samą porę, żeby zobaczyć, jak lina pęka z trzaskiem. Spada. Bezskutecznie próbuje się czepiać wewnętrznych ścian windy, które tymczasem stały się równie śliskie jak szklana podłoga. Mija w pędzie kolejne światła, kilka mil pod sobą widzi już betonowe dno szybu: maciupęńki siny kwadracik wznosi się, pędzi mu na spotkanie, gotowy go zmasakrować. Colvin krzyczy i parska śliną, która – spadając z tą samą prędkością – zawisa przed nim w powietrzu. Światła mkną coraz szybciej. Siny kwadrat rośnie.

Wziął sobie drinka, wstawił szklanekę w okrągły uchwyt w podłokietniku fotela i wrócił do swoich obliczeń.

Spadaniem przedmiotów w polu grawitacyjnym rządzą ściśle prawa matematyczne, określone nie mniej precyzyjnie niż wektory sił i prędkości spalania w paliwach stałych i ładunkach profilowanych, których projektowaniem Colvin zajmował się od dwudziestu lat. Jednakże podobnie jak ilość tlenu wpływa na intensywność procesu spalania, tak gęstość powietrza wiąże się z tempem spadania ciała. Dlatego prędkość graniczna zależy nie tylko od ciężenia, lecz także od ciśnienia atmosferycznego, rozkładu masy oraz powierzchni spadającego obiektu.

Przymknął powieki, jakby zamierzał się zdrzemnąć, i zobaczył to samo, co oglądał za każdym razem, kiedy udawał, że śpi: skłębiona biała chmura rozlewająca się coraz szerzej i szerzej jak animowany pokłatkowo przekrzywiony stratocumulus na tle granatowego nieba, brunatnoczerwony rdzeń płomienia tetratlenku diazotu, oraz – ledwie widoczny poniżej dwóch pojawiających się właśnie smug kondensacyjnych z rakiet pomocniczych – koziółkujący, niewyraźny, kanciasty dziobowy odcinek kadłuba z pokładem załogowym. Nawet na najlepszych zbliżeniach nie było widać szczegółów: nienaruszonej hermetycznej kabiny załogowej noszącej z prawej strony ślad osmalenia po tym, jak liznął ją płomień oddzielającej się w niekontrolowany sposób rakiety pomocniczej. Kabina koziółkowała w spadku swobodnym, wlokąc za sobą kable, przewody i kawałki kadłuba niczym pępowinę i skrawki błon płodowych. We wcześniejszych przekazach nie było widać takich detali, ale Colvin je zobaczył, zdołał ich nawet dotknąć – później, po miażdżącym zderzeniu z bezlitosnym błękitnym morzem. Rozprutą powłokę porosły malutkie pąkle. Colvin wyobrażał sobie mrok i ziąb na końcu tego upadku. I żerujące w głębinie drobne rybki.

– Roger? – zagadnął go Steve Cahill. – Gdzie się nabawiłeś strachu przed lataniem?

Colvin wzruszył ramionami i dopił wódkę.

– Nie wiem.

Latał w Wietnamie (nie lubił skróconej formy ‘Nam ani slangowego „in-country”), o którym w dalszym ciągu wolał myśleć jak o prawdziwym miejscu, a nie chorobliwej przypadłości. Jako eksperta od ładunków profilowanych i materiałów pędnych wysłano go w przybrzeżny rejon doliny Bong Son, żeby sprawdził, dlaczego C-4 z pewnej konkretnej partii dostaw nie wybuchła, jak należy, w ładunkach podkładanych przez Armię Republiki Wietnamskiej. W ich hueyu odpadła główna nakrętka mocująca wirnik i pozbawiony napędu śmigłowiec spadł w dżunglę z wysokości dwustu osiemdziesięciu stóp, przedarł

się przez blisko stustopową warstwę zbitej roślinności i ostatecznie znieruchomiał dziesięć stóp nad ziemią, odwrócony do góry płozami i spętany lianami w tej pozycji. Pilot zgiął przeszyty na wylot gałęzią, która przebiła podłogę kabiny. Drugi pilot roztrzaskał sobie czaszkę o przednią szybę. Strzelec pokładowy wypadł z maszyny, przy upadku złamał kark i dzień później zmarł. Colvin wyszedł z tego ze skręconą kostką.

Spojrzał w dół, kiedy przelatywali nad Nantucket: osiemnaście tysięcy stóp i w dalszym ciągu się wznosili. Wiedział, że wysokość przelotowa dla ich maszyny to trzydzieści dwa tysiące stóp – wyraźnie mniej niż czterdzieści sześć tysięcy, zwłaszcza przy braku pionowo skierowanego wektora ciągu. Zresztą i tak kluczowa pozostawała powierzchnia.

W dzieciństwie, w latach pięćdziesiątych, jego uwagę zwróciło zdjęcie w „starym” „National Enquirerze” przedstawiające kobietę, która skoczyła z Empire State Building i spadła na dach samochodu. Nogi miała skrzyżowane w kostkach w niemal niedbalej pozie, w jednej pończosze ziała dziura na paluchu. Dach samochodu spłaszczył się i zapadł prawie jak gigantyczny puchowy materac dostosowujący się do kształtu ciała śpiącej na nim osoby. Głowa kobiety wyglądała jak zanurzona głęboko w miękkiej poduszce.

Znów pochylił się nad kalkulatorem. Kobieta skacząca z Empire State Building znajdowałaby się w powietrzu przez całe czternaście sekund, zanim osiągnęłaby poziom ulicy. Człowiek zamknięty w metalowej skrzynce i spadający z wysokości czterdziestu sześciu tysięcy stóp spadałby przez dwie minuty i czterdzieści pięć sekund, zanim uderzyłby o wodę.

O czym myślała? O czym myśleli tamci?

Przeciętna piosenka popowa albo rockowa trwa około trzech minut, pomyślał. To odpowiednia długość, w sam raz, żeby opowiedzieć jakąś historię, a zarazem dostatecznie krótka, żeby słuchacz nie zdążył się znudzić.

– Cholernie się cieszymy, że jesteś z nami – powtórzył Bill Mont-gomery.

– Psiakrew! – szepnął Colwinowi do ucha dwadzieścia siedem miesięcy wcześniej, na korytarzu przed salą telekonferencyjną w siedzibie firmy. – Jesteś z nami czy przeciwko nam?!

Telekonferencja do złudzenia przypominała seans spirytystyczny. Siedzieli w mrocznych pokojach w odległości setek albo tysięcy mil od siebie i porozumiewali się głosami, które jakby płynęły znikąd.

– Więc tak to wygląda u nas z pogodą – dobiegło z Centrum Kosmicznego imienia Kennedy’ego. – Jaka decyzja?

– Dostaliśmy wasz fax – odpowiedział głos z Ośrodka Lotów Kosmicznych imienia Marshalla. – Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy rozważyć odwołanie startu z powodu tak błahej anomalii. Zapewnialiście nas, że

sprzęt jest perfekcyjnie zabezpieczony. Podobno można by nim grać w piłkę, tak mówiliście.

Phil McGuire, szef zespołu inżynierskiego w ekipie projektowej Colvina, niespokojnie wiercił się w fotelu.

– Nic nie rozumiecie, prawda? – spytał teraz nazbyt głośno. Czteroprzewodowe aparaty do telekonferencji wychwytywały najłżejsze szmery i miały głośniki zainstalowane tuż przy fotelach. – Problemem jest zbieżność niskich temperatur z wysokim prawdopodobieństwem wyładowań elektrycznych w tej warstwie chmur. Podczas ostatnich pięciu startów odnotowaliśmy przejściowe zakłócenia w przewodach, które łączą detonatory profilowanych liniowo ładunków C-12B oddzielających rakiety pomocnicze z antenami systemu bezpieczeństwa...

– Przejściowe zakłócenia, które jednak nie wykraczały poza dozwolone granice parametrów startowych, zgadza się? – powtórzył głos z Kennedy'ego.

– No... tak – przytaknął McGuire. Brzmiał, jakby zaraz miał się rozpląkać. – Ale mieszczą się w tych granicach tylko dlatego, że stale podpisujemy jakieś warunkowe zgody i od nowa definiujemy te parametry! A tak naprawdę zwyczajnie nie wiemy, dlaczego detonatory w raketach pomocniczych i zewnętrznym zbiorniku paliwa rejestrują przepływ prądu, mimo że nie wysłano im polecenia aktywacji. Roger przypuszcza, że coś w przewodach albo jakiś składnik samego C-12 może powodować wyładowanie elektrostatyczne, które symuluje sygnał aktywujący... Rany, Roger, weź sam im powiedz.

– Panie Colvin? – zabrzmiało ponaglenie z Marshalla.

Colvin odkaslnął.

– Obserwujemy to od pewnego czasu – przyznał. – Wstępne dane sugerują, że w temperaturze poniżej minus dwóch stopni Celsjusza osad tlenku cynku na C-12B może generować fałszywy sygnał... pod warunkiem wystąpienia odpowiednio silnego wyładowania elektrostatycznego... teoretycznie...

– Ale na razie wciąż brakuje nam zweryfikowanych danych, tak? – upewnił się głos z Marshalla.

– Tak – przyznał Colvin.

– I potwierdzał pan warunkową gotowość do startu podczas ostatnich trzech misji?

– Tak.

– No dobrze – zabrzmiał głos z Kennedy'ego. – Wysłuchaliśmy inżynierów z Beaunet-HSC. Proponuję zapoznać się teraz z opinią kierownictwa.

Bill Montgomery ogłosił pięciominutową przerwę i szefostwo projektu spotkało się na korytarzu przed salą.

– Psiakrew! Jesteś z nami, czy przeciwko nam?!

Colvin odwrócił wzrok.

– To nie są żarty! – warknął Montgomery. – Dział ładunków profilowanych przyniósł firmie dwieście piętnaście milionów zysku w ujęciu rocznym. Miałeś w tym sukcesie ogromny udział, Rogerze, a teraz odnoszę wrażenie, że jesteś gotowy spuścić go w kiblu z powodu jakichś tam zdawkowych danych telemetrycznych, które nie znaczą absolutnie nic w porównaniu z robotą, jaką odwaliliśmy jako zespół! Za parę miesięcy zwolni się stanowisko wiceprezesa. Nie spieprz tego, nie trać głowy jak ten histeryk McGuire.

– Gotowi? – padło z Kennedy’ego po upływie pięciu minut.

– Jestem za – powiedział wiceprezes Bill Montgomery.

– Za – powiedział wiceprezes Larry Miller.

– Za – powiedział wiceprezes Steve Cahill.

– Za – powiedział dyrektor Tom Weiscott.

– Za – powiedział dyrektor Roger Colvin.

– Doskonale – powiedział głos z Kennedy’ego. – Przekażę waszą rekomendację dalej. Szkoda, że nie będziecie panowie mogli być jutro obecni przy starcie.

– Hej! – zawołał Bill Montgomery ze swojego miejsca przy oknie. Colvin spojrzał w jego stronę. – Chyba widzę Long Island.

– Bill? – zagadnął go Colvin. – Ile firma zarobiła w tym roku na przeprojektowaniu C-12B?

Montgomery napił się i rozprostował nogi. Wnętrze gulfstreama było bardzo przestronne.

– Jakieś... czterysta milionów, Rog. Tak przypuszczam. A co?

– Czy NASA rozważała poważnie możliwość zwrócenia się do kogoś innego po tym... no wiesz, po tym wszystkim?

– Żartujesz? – prychnął Tom Weiscott. – Do kogo mieliby pójść? Trzymamy ich za jaja. Przez parę miesięcy coś tam kombinowali, ale potem grzecznie wrócili na klęczkach. Jesteś najlepszym w kraju specem od zabezpieczających ładunków profilowanych i paliw hipergolowych, Rog.

Colvin pokiwał głową, przez chwilę coś liczył na kalkulatorze, po czym znów przymknął oczy.

Stalowa barierka zabezpieczająca trzymała go w poprzek ud, a wagonik, którym jechał, z metalicznym szcękiem wspinał się coraz wyżej i wyżej. W rozrzedzonym powietrzu hurgot kół o szyny przeszedł w wątły piskliwy zgrzyt. Kolejka wspięła się na wysokość sześciu mil.

„W razie spadku ciśnienia w kabinie ze schowków w suficie automatycznie wypadną maski tlenowe. Należy dokładnie zakryć maską nos i usta i oddychać normalnie”.

Zerknął spomiędzy palców w przód, na przerażającą stromiznę kolejki górskiej. Wyraźnie wyczuwał przybliżający się szczyt i ziejącą za nim pustkę.

Malutkie paczuszki zawierające maskę i butlę z tlenem nosiły nazwę PPEI, Pakietów Powietrznych do Ewakuacji Indywidualnej. Z dna oceanu wyłowiono PPEI czterech z pięciu członków załogi. Wszystkie cztery zostały uruchomione. Z pięciominutowego zapasu powietrza zużyto dwie minuty i czterdzieści pięć sekund.

Wierzchołek pierwszego wzniesienia na torze kolejki był coraz bliżej. Rozległ się metaliczny zgrzyt, wagonikiem szarpnęło, kolejka pokonała szczyt i wypadła z szyn. Pasażerowie w dalszych wagonikach zaczęli krzyczeć i krzyczeli przez cały czas.

Colvin pochylił się gwałtownie i ze wszystkich sił uczeplił barierki zabezpieczającej. Kolejka runęła w dziewięciomilową pustkę. Otworzył oczy.

Rzut oka przez okno gulfstreama potwierdził, że zainstalowane przez niego wąskie ładunki profilowane odcięły lewe skrzydło z precyzją chirurgicznego skalpela. Prędkość, z jaką koziołkowali, sugerowała, że pozostały odłamek skrzydła uniemożliwił osiągnięcie maksymalnej prędkości granicznej. Dwie minuty czterdzieści pięć sekund, plus minus cztery sekundy.

Sięgnął po kalkulator, ale ten unosił się swobodnie w kabinie poza jego zasięgiem, zderzając się z butelkami, szklankami, poduszkami i ciałami, które nie były przypięte pasami bezpieczeństwa. Krzyk był ogłuszający.

Dwie minuty czterdzieści pięć sekund. To dużo czasu, można przemyśleć wiele spraw. Być może – tylko być może – po dwóch i pół roku, w czasie których śnił za każdym razem, kiedy zasypiał, tym razem zdąży się zdrzemnąć bez żadnych snów.

Zamknął oczy.

Wstęp do „Trupiej otuchy”

Niektórzy z czytelników mogą wiedzieć, że opowiadanie *Trupia otucha* później przerodziło się w opasłą powieść o tym samym tytule.

Od zawsze podchodzę z dystansem do opowiadań bądź nowel, które ewoluują do postaci powieści. Zastanawiam się: „Czyżby opowieść była niekompletna?” albo: „Czy ta powieść nie jest po prostu rozwłeczeniem krótszego utworu?”.

W tym przypadku mogę odpowiedzieć na te pytania.

Opowiadanie *Trupia otucha* jest odrębnym studium psychologicznym tego, w jaki sposób władza absolutna prowadzi do absolutnego zepsucia. Powieść *Trupia otucha* – całe pół miliona słów, które się na nią składają – to moja ostateczna analiza wpływu takiej władzy na ludzi, którzy nie chcą być jej ofiarami.

Uważam, że niniejsza opowieść zasługuje na odrębne istnienie... i uwagę czytelników... nie tylko dlatego, że jest zaczątkiem czegoś większego, ale także ze względu na swoją czystą, nierozcieńczoną naturę.

To szkocka bez wody ani lodu.

To trucizna bez odtrutki.

Pijcie do dna.

Miłej zabawy.

Trupia otucha

Nina zamierzała przypisać sobie śmierć Beatlesa, Johna.

Uważałem, że to w wyjątkowo złym guście.

Rozłożyła na moim mahoniowym stoliku album z chronologicznie uporządkowanymi wycinkami z gazet, aktami zgonu, które stanowiły zapis jej wszystkich Żerowań. Uśmiech Niny Drayton był promienny jak zawsze, ale w jej bladoniebieskich oczach nie było ani krztyny ciepła.

– Powinnyśmy zaczekać na Williego – powiedziałam.

– Oczywiście, Melanie. Masz rację, jak zawsze. Wygłupiłam się. Przecież znam zasady.

Nina wstała i zaczęła krążyć po pokoju, bezwiednie dotykając mebli, cicho zachwycając się ceramicznymi statuetkami i gobelinami.

W tej części domu kiedyś mieściła się szklarnia, ale obecnie wykorzystywałam ją jako szwalnię. Zielone rośliny wciąż łapały poranne światło, które za dnia czyniło to pomieszczenie ciepłym i przytulnym, ale po nadejściu zimy pokój stał się zbyt chłodny, by korzystać z niego po zmroku. Zresztą nie podobało mi się poczucie, że ciemność napiera ze wszystkich stron na szyby.

– Uwielbiam ten dom – oznajmiła, po czym odwróciła się i uśmiechnęła do mnie. – Nawet się nie domyślasz, jak bardzo zawsze czekam na powrót do Charleston. Powinniśmy organizować tutaj wszystkie nasze spotkania.

Wiedziałam, jak bardzo Nina nienawidzi tego miasta i domu.

– Williemu będzie przykro – zauważyłam. – Wiesz, jak bardzo lubi chwalić się swoim domem w Beverly Hills... i swoimi nowymi dziewczynami.

– Oraz chłopakami – odrzekła Nina ze śmiechem.

Pomimo wszystkich zmian i mrocznych nut, które się w niej pojawiły, jej śmiech prawie nie ucierpiał. Wciąż był chrapliwym i dziecięcym śmiechem, który po raz pierwszy usłyszałam tak dawno temu. Wtedy mnie do niej przyciągnął – samotną nastolatkę, która garnęła się do ciepła innej osoby jak ćma do świecy. Teraz tylko wywoływał dreszcze na plecach i wzbudzał we mnie jeszcze większą czujność. W ciągu dziesięcioleci płomień Niny przywabił już wystarczająco wiele ciem.

– Poślę po herbatę – powiedziałam.

Pan Thorne przyniósł napar w mojej najlepszej porcelanie Wedgwood. Nina i ja siedziałyśmy w powoli przesuwających się kwadratach słonecznego światła i cicho rozmawiałyśmy o nieistotnych sprawach: wymieniałyśmy ignoranckie komentarze dotyczące gospodarki, odnosiłyśmy się do książek, których jedna z nas nie czytała, i z żalem komentowałyśmy brak klasy u ludzi, których obecnie spotyka się w samolotach. Ktoś, kto patrzyłby na nas z ogrodu, mógłby uznać, że patrzy na starzejącą się, ale wciąż atrakcyjną siostrzenicę, która odwiedziła swoją ulubioną ciocię. (Nie dopuszczałam myśli, że ktoś mógłby wziąć nas za matkę i córkę). Ludzie zazwyczaj uznawali mnie za dobrze i stylowo ubraną. Rzeczywiście, wydawałam mnóstwo pieniędzy na wełniane spódnice i jedwabne bluzki sprowadzane ze Szkocji oraz Francji. Ale przy Ninie zawsze czułam się niemodna.

Tego dnia miała na sobie elegancką jasnoniebieską sukienkę, która musiała kosztować kilka tysięcy dolarów, jeśli właściwie rozpoznawałam projektanta. Kolor stroju sprawiał, że jej karnacja wyglądała jeszcze bardziej nieskazitelnie niż zazwyczaj, i podkreślał błękit jej oczu. Jej włosy posiwiały, podobnie jak moje, ale jakimś cudem wyglądała dobrze z długimi lokami spiętymi pojedynczą kłamrą. Wyglądała młodzieńczo i szykownie, a ja miałam wrażenie, że moje krótkie, sztuczne kędziory lśnią od niebieskiej farby.

Niewiele osób podejrzewało, że byłam o cztery lata młodsza od Niny. Czas był dla niej łaskawy. Poza tym częściej Żerowała.

Odstawiła filiżankę i spodek, po czym znów zaczęła bez celu krążyć po pomieszczeniu. Takie oznaki zdenerwowania nie były w jej stylu. Przystanęła przed oszkloną gablotą wystawową. Przesunęła wzrokiem po Hummelach i kawałkach cyny, po czym znieruchomiała z zaskoczoną miną.

– Na niebiosa, Melanie. Pistolet! Cóż za dziwne miejsce na starą broń palną!

– To pamiątka rodowa – wyjaśniłam. – Colt Peacemaker z czasów tuż po Wojnie Stanów. Dosyć drogi. Masz rację, to głupie miejsce na taki eksponat, ale nie mam w domu innej gabloty z zamkiem, a pani Hodges często przyprowadza ze sobą wnuki...

– Chcesz powiedzieć, że jest naładowany?

– Nie, oczywiście, że nie – skłamałam. – Ale dzieci nie powinny się bawić takimi rzeczami... – dodałam bez przekonania.

Nina pokiwała głową, ale nawet nie starała się ukryć pogardliwego uśmiechu. Podeszła do południowego okna i wyjrzała na ogród.

Niech ją szlag. Fakt, że nie rozpoznała tego pistoletu, wiele mi o niej powiedział.

Gdy został zabity, Charles Edgar Larchmont był moim mężczyzną od dokładnie pięciu miesięcy i dwóch dni. Nie ogłosiliśmy tego oficjalnie, ale zamierzaliśmy się pobrać. Te pięć miesięcy stanowiło wierne odbicie tamtych czasów – naiwnych, pełnych flirtu, do przesady oficjalnych i romantycznych. Przede wszystkim romantycznych, i to w najgorszym znaczeniu tego słowa: oddanych przesłodzonym bądź mdłym ideałom, do jakich mogą dążyć tylko niedojrzali ludzie lub społeczeństwa. Byliśmy dziećmi, które bawiły się naładowaną bronią.

Nina, która wtedy nosiła nazwisko Hawkins, również miała chłopaka – wysokiego, nieco niezdarnego, ale szlachetnego Anglika nazwiskiem Roger Harrison. Pan Harrison poznał ją w Londynie rok wcześniej, podczas pierwszych etapów Wielkiej Trasy Hawkinsów. Wysoki Anglik oznajmił, że stracił dla Niny głowę – kolejny absurd tamtych czasów – i postanowił podążyć w ślad za nią do kolejnych europejskich stolic, ale w końcu – otrzymawszy ostrą reprimendę ze strony ojca Niny (pozbawionego wyobraźni drobnego modysty, który stale przejmował się swoim wątpliwym statusem społecznym) – wrócił do Londynu, by „uporządkować swoje sprawy”. Kilka miesięcy później pojawił się w Nowym Jorku, gdy Ninę właśnie odsyłano do domu ciotki w Charleston, by położyć kres jej kolejnemu flirtowi. Niezrażony niezdarny Anglik pojechał za nią na południe, stosując się do reguł i ograniczeń tamtych czasów.

Byliśmy barwną grupą. Następnego dnia po tym, jak poznałam Ninę podczas czerwcowego balu u kuzynki Celi, całą czwórką popłynęliśmy wypożyczoną łódką w górę rzeki Cooper, żeby urządzić piknik na Daniel Island. Roger Harrison, zawsze poważny i uroczysty, stanowił idealną przeciwwagę dla lekceważącego poczucia humoru Charlesa. Jednakże Rogerowi najwyraźniej nie przeszkadzały nasze radosne żarty i wkrótce wspomógł nas swoim osobliwym śmiechem.

Nina była zachwycona. Obaj panowie okazywali jej względy, i chociaż Charles nigdy nie krył, że to mnie przede wszystkim darzy uczuciem, wszyscy rozumieli, że Nina Hawkins była jedną z tych młodych dam, które stale znajdują się w centrum męskiej uwagi w każdym towarzystwie. Zresztą kręgi towarzyskie Charleston nie były ślepe na wdzięki całej naszej czwórki. Przez dwa miesiące tamtego odległego lata żadne przyjęcie nie mogło być uznane za kompletne, żadna wyprawa za właściwie zaplanowaną, a żadne wydarzenie za udane, jeśli nie uczestniczyła w nim nasza czwórka wesołych żartownisiów. Nasza radosna dominacja na młodzieńczej scenie towarzyskiej była tak wyraźna, że kuzynki

Celia i Loraine namówiły swoich rodziców, by dwa tygodnie wcześniej wybrali się na swoje doroczne sierpniowe wakacje w Maine.

Nie jestem pewna, kiedy Nina i ja wpadłyśmy na pomysł pojedynku. Być może podczas jednej z długich upalnych nocy, gdy jedna z nas nocowała u drugiej. Leżałyśmy razem w łóżku, tłumiąc śmiech, gdy szelest wykrochmalonych mundurków zdradzał obecność naszych czarnoskórych pokojówek, które przemierzały ciemne korytarze. W każdym razie ten pomysł w naturalny sposób wynikał z romantycznych nastrojów tamtych czasów. Wizja Charlesa i Rogera pojedynkujących się z jakiegoś abstrakcyjnego honorowego powodu związanego z nami dwiema, wzbudzała w nas uczucia, w których dziś rozpoznaję prostą formę seksualnego podniecenia.

Byłoby to całkowicie niewinne, gdyby nie nasza Zdolność. Tak skutecznie manipulowałyśmy męskim zachowaniem – czego w tamtych czasach od nas oczekiwano i do czego nas zachęcano – że nie podejrzewałyśmy, iż w przekładaniu naszych kaprysów na działania innych ludzi jest cokolwiek niezwykłego. Parapsychologia była wtedy w powijakach i ograniczała się do słuchania stuków i szeptów podczas salonowych seansów. W każdym razie zabawiałyśmy się w taki sposób przez kilka tygodni, aż w końcu któraś z nas – a może obie – użyła Zdolności, by przekuć nasze fantazje w rzeczywistość.

W pewnym sensie było to nasze pierwsze Żerowanie.

Nie pamiętam przyczyny kłótni, być może poszło o świadomie błędną interpretację któregoś z żartów Charlesa. Nie przypominam sobie także, kogo Charles i Roger poprosili o zostanie sekundantami podczas ich nielegalnego starcia. Pamiętam za to pełną bólu i zagubienia minę Rogera Harrisona podczas tamtych kilku dni. Była to karykatura ciężkiej apatii, oszołomienie człowieka, który nie z własnej winy znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Pamiętam Charlesa i jego gwałtowne wahania nastroju – wybuchy wesołości, okresy ciemnego gniewu oraz łzy i pocałunki w noc poprzedzającą pojedynek.

Niezwykłe wyraźnie pamiętam piękno tamtego poranka. Mgły unosiły się nad rzeką i rozpraszały promienie wschodzącego słońca, gdy jechaliśmy na miejsce pojedynku. Pamiętam, jak Nina ścisnęła moją dłoń z porywczym podekscytowaniem, które czułam w ciele niczym porażenie prądem.

Cała reszta wspomnień z tamtego ranka się ulotniła. Pod wpływem intensywności pierwszego, podświadomego Żerowania dosłownie straciłam przytomność, gdy ogarnęły mnie fale strachu, podniecenia, dumy – oraz *męskości* – emanujące z naszych ukochanych, którzy mierzyli się ze śmiercią w tamten uroczy poranek. Pamiętam, jak zaszokowała mnie świadomość, że to się dzieje naprawdę, gdy szłam po wydeptanych w trawie śladach ich wysokich butów. Ktoś odliczał kroki. Jak przez mgłę pamiętam ciężar pistoletu w dłoni –

chyba dłoni Charlesa, nigdy nie będę tego całkowicie pewna – oraz sekundę lodowatej jasności umysłu tuż przed tym, gdy wybuch zerwał naszą więź, a ostra woń prochu przywróciła mnie do rzeczywistości.

Zginął Charles. Nigdy nie zapomnę niesamowitej ilości krwi, która wylewała się z niewielkiego okrągłego otworu w jego piersi. Biała koszula zabarwiła się na karmazynowo, zanim do niego dobiegłam. W naszych fantazjach nie było krwi. Nie było także Charlesa, który kołysał głową i toczył ślinę na swoją zakrwawioną pierś, błyskając białkami oczu, które przypominały dwa jajka osadzone w czaszce.

Roger Harrison szlochał, gdy Charles wydał z siebie ostatnie urywane tchnienie na tamtym niewinnym polu.

Nie pamiętam niczego z kolejnych pełnych chaosu godzin. Następnego ranka w swojej materiałowej torbie pośród własnych rzeczy znalazłam broń Charlesa. Dlaczego zachowałam jego rewolwer? Jeśli pragnęłam zatrzymać jakąś pamiątkę po swoim poległym kochanku, dlaczego wybrałam ten obcy kawałek metalu? Dlaczego wyjęłam z jego martwych palców symbol naszego bezmyślnego grzechu?

Fakt, że Nina nie rozpoznała tego rewolweru, wiele mi o niej powiedział.

– Przyszedł Willi.

Przybycia naszego gościa nie oznajmił pan Thorne, ale „kopistka” Niny, paskudna panna Barrett Kramer. Wygląd Kramer był równie mało kobiecy jak jej nazwisko: krótko ostrzyżone czarne włosy, szerokie barki i puste, agresywne spojrzenie, jakie utożsamiałam z lesbijkami i przestępcami. Wyglądała na trzydzieści kilka lat.

– Dziękuję, Barret, moja droga – odrzekła Nina.

Razem wyszliśmy powitać Williego, ale pan Thorne już go wpuścił, więc spotkaliśmy się w holu.

– Melanie! Wyglądasz cudownie! Podczas każdego naszego spotkania wyglądasz młodziej. Nino!

Zmiana w głosie Williego była wyraźnie słyszalna. Mężczyźni wciąż tracili głowę, gdy ponownie spotykali Ninę po okresie rozłąki. Pojawiły się uściski i pocałunki. Sam Willi sprawiał wrażenie bardziej rozwiązłego niż kiedykolwiek. Miał na sobie kunsztownie skrojony płaszcz z alpaki, a sweter z golfem skutecznie zakrywał zmarszczki na jego podgardlu, ale kiedy zerwał z głowy modną czapkę do jazdy samochodem, potargał długie kosmyki siwych włosów,

które zaczesywał do przodu, by ukryć powiększającą się łysinę. Twarz miał poczerwieniałą z podniecenia, ale przyczyniały się do tego także popękane naczynka na nosie i policzkach, świadczące o nadużywaniu trunków i narkotyków.

– Drogie panie, chyba już poznałyście moich wspólników, Rona Reynoldsa i Jensena Luhara?

Obaj mężczyźni dołączyli do tłumu w moim wąskim holu. Pan Reynolds był chudym blondynem, który szczerzył w uśmiechu idealnie kształtne zęby. Pan Luhar był olbrzymim czarnoskórym o nieokrzesanej twarzy, który pochylał się do przodu z posępną, zbolaną miną. Byłam pewna, że Nina i ja nigdy nie spotkałyśmy tych konkretnych kompanów Williiego. Ale to nie miało znaczenia.

– Może przejdziemy do salonu? – zaproponowałam.

Kiedy nasza niezdarna procesja dotarła do celu, usiedliśmy na grubo wyściełanych fotelach wokół gregoriańskiego stolika, który należał do mojej babki.

– Poprosimy o więcej herbaty, panie Thorne.

Panna Kramer uznała to za sygnał do wyjścia, ale ludzie Williiego wciąż stali niepewnie przy drzwiach i przestępowali z nogi na nogę, zerkając na kryształy, jakby bali się, że mogą coś potłuc poprzez samą swoją obecność. Nie zdziwiłabym się, gdyby tak się stało.

– Jensen! – Willi strzelił palcami.

Czarnoskóry zawahał się, a następnie przyniósł drogą skórzaną aktówkę.

Willi postawił ją na stole i otworzył zatrzaski krótkimi szerokimi palcami.

– Poproście służącego pani Fuller o coś do picia.

Kiedy mężczyźni wyszli, Willi pokręcił głową i uśmiechnął się do Niny.

– Przepraszam za nich, moja kochana.

Nina położyła dłoń na jego rękawie. Nachyliła się z wyrazem wyczekiwania na twarzy.

– Melanie nie pozwoliła mi rozpocząć Gry bez ciebie. Czy to podłe z mojej strony, że chciałam zacząć bez ciebie, mój drogi Willi?

Willi zmarszczył czoło. Po pięćdziesięciu latach wciąż się stroszył, gdy nazywano go Willim. W Los Angeles mówiono na niego Wielki Bill Borden. Kiedy wracał do ojczystych Niemiec – co działo się rzadko ze względu na związane z tym zagrożenia – znów stawał się Wilhelmem von Borchertem, panem na mrocznych włościach i mistrzem polowań. Ale Nina ochrzciła go Willim, gdy poznali się w Wiedniu w 1925 roku, i wciąż tak go nazywała.

– Zaczynaj, mój drogi Willi – powiedziała. – Ty pierwszy.

Dawniej podczas naszych spotkań zawsze pierwsze kilka dni spędzaliśmy na rozmowach i opowiadaniu o tym, co nowego wydarzyło się w naszym życiu.

Teraz nie mieliśmy czasu nawet na krótką pogawędkę.

Willi pokazał zęby i wyjął z aktówki gazetowe wycinki, notesy oraz stertę kaset. Kiedy tylko rozłożył je na blacie, pan Thorne przyniósł herbatę oraz album z wycinkami Niny ze szwalni. Willi szybko zrobił nieco miejsca na stole.

Na pierwszy rzut oka można było dostrzec pewne podobieństwa między Willim Borchertem i panem Thorne'em, ale to było złudne wrażenie. Choć obaj mężczyźni mieli rumianą karnację, u Williego była ona skutkiem ekscesów i emocji, których pan Thorne nie doświadczał od wielu lat. Plackowata łysina Williego przypominała skórę parchatej łasicy, a ten ukrywał ją ze wstydem, podczas gdy głowa pana Thorne'a była gładka i pozbawiona zmarszczek. Trudno było sobie wyobrazić, że pan Thorne kiedykolwiek miał włosy. Obaj mężczyźni mieli szare oczy – powieściopisarz mógłby je nazwać zimnymi – ale chłód w oczach pana Thorne'a brał się z obojętności oraz jasności umysłu, która wynikała z całkowitego braku trosk i niespokojnych myśli. Oczy Williego były lodowate jak wietrzna zima nad Morzem Północnym i często zasnuwały je zasłony wszechogarniających emocji – dumy, nienawiści, zamiłowania do bólu i zniszczenia.

Willi nigdy nie nazywał wykorzystywania naszej Zdolności „Żerowaniem” – tylko ja myślałam o tym w takich kategoriach – ale czasami wspominał o Łowach. Być może myślał o mrocznych lasach swojej ojczyzny, gdy tropił swoje ofiary na sterylnych ulicach Los Angeles. Zastanawiałam się, czy śnił o lasach. Czy wspominał zielone myśliwskie kurtki, aplauz służących, krew tryskającą z ciała umierającego dzika? A może pamiętał tupot wojskowych butów na bruku i łomot pięści jego poruczników, którzy dobijali się do drzwi? Być może wciąż kojarzył swoje Łowy z mroczną europejską nocą pieców, którą pomagał nadzorować.

Ja nazywałam to Żerowaniem, a Willi Łowami. Nigdy nie słyszałam, by Nina jakoś to nazywała.

– Gdzie masz magnetowid? – spytał Willi. – Nagrałem wszystko na taśmy.

– Och, Willi – odrzekła Nina z frustracją. – Znasz Melanie. Jest taka staroświecka. Wiesz, że nigdy nie kupiłaby magnetowidu.

– Nie mam nawet telewizora – odparłam.

Nina się roześmiała.

– Niech to szlag – mruknął Willi. – Nieważne. Mam też zapiski. – Zdjął gumki recepturki z kilku małych czarnych notesów. – Po prostu nagrania byłyby lepsze. Stacje telewizyjne z Los Angeles nadawały mnóstwo materiałów o Dusicielu z Hollywood, a ja zmontowałem... Ach! Mniejsza z tym.

Wrzucił kasety do teczki i gwałtownie ją zamknął.

– Dwadzieścia trzy – powiedział. – Dwadzieścia trzy od naszego ostatniego spotkania przed rokiem. Wydaje się, że minęło mniej czasu, prawda?

– Pokaż nam – poleciła Nina. Pochyliła się, a jej niebieskie oczy lśniły. – Zastanawiałam się nad tym od chwili, gdy zobaczyłam wywiad z Dusicielem w *Sixty Minutes*. On był jednym z twoich, Willi? Sprawiał wrażenie tak...

– *Ja, ja*, był mój. To nikt szczególny. Spokojny szary człowiek. Był ogrodnikiem u jednego z moich sąsiadów. Pozostawiłem go przy życiu, żeby policja mogła go przesłuchać i pozbyć się wszelkich wątpliwości. W przyszłym miesiącu powiesi się w swojej celi, kiedy prasa przestanie się nim interesować. Ale to jest ciekawsze. Tylko popatrzcie. – Willi pchnął kilka lśniących czarno-białych zdjęć. Dyrektor z NBC zamordował pięcioro członków swojej rodziny i utopił w basenie aktorkę z opery mydlanej, gdy ta go odwiedziła. Potem wielokrotnie dźgnął się nożem i napisał krwią na ścianie łazienki „50 PROCENT”.

– Wspominasz dawne sukcesy, Willi? – spytała Nina. – „ŚMIERĆ ŚWINIOM” i tak dalej?

– Nie, psia krew. Myślę, że należą mi się punkty za ironię. Dziewczyna miała utonąć w serialu. Taka scena znajdowała się w zarysie scenariusza.

– Ciężko było go Użyć? – Tym razem to ja zadałam pytanie. Wbrew sobie czułam ciekawość.

Willi uniósł jedną brew.

– Nieszczęśliwie. Był alkoholikiem i zażywał mnóstwo kokainy. Niewiele z niego zostało. Poza tym nienawidził swojej rodziny. Tak jak większość ludzi.

– Być może większość ludzi w Kalifornii – odparła Nina sztywno.

Zaskoczył mnie ten komentarz. Wiele lat temu ojciec Niny popełnił samobójstwo, rzucając się pod trolejbus.

– Gdzie nawiązałeś kontakt? – spytałam.

– Na przyjęciu. Jak zwykle. Kupował kokę od reżysera, który zrujnował jeden z moich...

– Musiałeś powtarzać kontakt?

Willi zmarszczył czoło. Zapanował nad gniewem, ale poczerwieniał na twarzy.

– *Ja, ja*. Widziałem się z nim jeszcze dwa razy. Raz tylko patrzyłem z samochodu, jak gra w tenisa.

– Dodatkowe punkty za ironię – zgodziła się Nina. – Ale tracisz punkty za wielokrotny kontakt. Gdyby był tak pusty, jak mówisz, powinieneś móc go Użyć już po jednym dotknięciu. Co jeszcze masz?

Miał to, co zwykle. Żalose morderstwa w biednych dzielnicach. Dwa zabójstwa w rodzinie. Samochodową stłuczkę, która przerodziła się w śmiertelnośc strzelaninę na autostradzie.

– Byłem w tłumie – rzekł Willi. – Nawiązałem kontakt. Facet miał pistolet w schowku.

– Dwa punkty – odrzekła Nina.

Willi zachował najlepsze na koniec. Dawną dziecięcą gwiazdę spotkał dziwny wypadek. Mężczyzna wyszedł ze swojego mieszkania w Bel Air, pozostawiając odkręcony gaz, a po powrocie zapalił zapałkę. W pożarze zginęły jeszcze dwie osoby.

– Zaliczamy ci tylko jego – orzekła Nina.

– *Ja, ja.*

– Masz całkowitą pewność? To naprawdę mógł być wypadek.

– Nie bądź śmieszna – zachnął się Willi i zwrócił się w moją stronę. – Jego bardzo trudno było Użyć. Był niezwykle silny. Zablokowałem u niego wspomnienie o odkręceniu gazu. Musiałem utrzymywać go w takim stanie przez dwie godziny. Potem zmusiłem go, by wszedł do pomieszczenia. Próbował się bronić przed zapaleniem zapałki.

– Trzeba było nakłonić go do użycia zapalniczki – podsunęła Nina.

– W zeszłym roku rzucił palenie – warknął Willi.

– Tak – przyznała Nina z uśmiechem. – Pamiętam, jak opowiadał o tym u Johnny'ego Carsona.

Nie wiedziałam, czy Nina żartuje.

We troje oddawaliśmy się rytuałowi przyznawania punktów. Nina najwięcej mówiła. Willi był na zmianę przygaszony i wylewny. W pewnej chwili poklepał mnie po kolanie i ze śmiechem poprosił o wsparcie. Nic nie odpowiedziałam. W końcu dał za wygraną, podszedł do barku i napełnił szklanekę bourbonem z karafki ojca. Wieczne słońce posyłało ostatnie poziome promienie przez witraże w oknach wykuszowych, oblewając Williego czerwonym blaskiem, gdy stał obok dębowej komody. Jego oczy przypominały czerwone węgielki osadzone w krwawej masce.

– Czterdzieści jeden – odezwała się Nina w końcu. Energicznie podniosła głowę i pokazała kalkulator, jakby ten potwierdzał jakiś obiektywny fakt. – Naliczyłam czterdzieści jeden punktów. A ty, Melanie?

– *Ja* – przerwał jej Willie. – Może być. A teraz sprawdźmy, jak tobie poszło, Nino. – Mówił beznamiętnym, pustym głosem. Nawet Willi częściowo stracił zainteresowanie Grą.

Zanim Nina zdążyła zacząć, wszedł pan Thorne i oznajmił, że podano kolację. Zgromadziliśmy się w jadalni, gdzie Willi nalał sobie kolejną szklaneczkę bourbona, a Nina z frustracją wymachiwała rękami, niezadowolona, że nam przerwano. Usiedliśmy przy długim mahoniowym stole, a ja wzięłam na siebie rolę gospodyni. Zgodnie z wieloletnią tradycją rozmowy o Grze były zakazane

przy kolacji. Podczas jedzenia zupy rozmawialiśmy o nowym filmie Williego oraz nowym sklepie w sieci butików Niny. Wyglądało na to, że comiesięczny felieton Niny w „Vogue” miał zostać zlikwidowany, ale jakiś prasowy syndykat był zainteresowany jego przejęciem.

Moi goście zachwycali się pieczoną szynką, ale osobiście uważałam, że pan Thorne nieco przesadził ze słodkością sosu. Zanim skończyliśmy mus czekoladowy, ciemność wypełniła okna. Światło odbijające się od żyrandola tańczyło na włosach Niny, a ja obawiałam się, że moja fryzura lśni jeszcze bardziej niebiesko niż zazwyczaj.

Nagle z kuchni dobiegł jakiś odgłos. Zza drzwi wahadłowych wyłoniła się twarz potężnego czarnoskórego mężczyzny. Miał minę ciekawskiego dziecka, a czyjeś białe dłonie trzymały go za zgarbione barki.

– ...po cholere siedzisz tutaj jak przeklęty... – Białe dłonie pociągnęły go do tyłu, tak że zniknął nam z oczu.

– Przepraszam panie. – Willi otarł usta materiałową serwetką i wstał. Mimo upływu lat wciąż poruszał się z gracją.

Nina dźgnęła widelcem czekoladę. Z kuchni dobiegło pojedyncze ostre polecenie, po którym rozległ się odgłos uderzenia. To był trzask ciosu wymierzonego męską dłonią – ostry i surowy jak wystrzał z małokalibrowego karabinu. Podniosłam wzrok na pana Thorne’a, który stał przy mnie i zbierał deserowe naczynia.

– Poprosimy o kawę, panie Thorne. Dla nas wszystkich.

Pokiwał głową i posłał mi łagodny uśmiech.

Franz Anton Mesmer wiedział o tym, nawet jeśli tego nie rozumiał. Podejrzewam, że sam musiał dysponować niewielkim okruczem Zdolności. Współcześni pseudonaukowcy zbadali i nazwali to zjawisko, pozbawiając je mocy i myśląc się co do jego zastosowań i pochodzenia, tak że stało się tylko cieniem tego, co odkrył Mesmer. Nie mieli pojęcia, na czym polega Żerowanie.

Załamuje mnie obserwowany współcześnie rozkwit przemocy. Czasami ulegam rozpacz i wpadam w beznadziejną otchłań, którą poeta Gerard Manley Hopkins nazwał trupią otuchą. Patrzę na amerykańską rzeźnię, na przypadkowe ataki na papieży, prezydentów oraz inne niezliczone ofiary i zastanawiam się, czy po świecie chodzi więcej osób ze Zdolnością, czy może ta krwawa jatka stała się naszym stylem życia.

Wszyscy ludzie karmią się przemocą i wykorzystują władzę przeciwko innym. Ale niewielu posmakowało – tak jak my – władzy absolutnej. Niewiele osób spośród tych pozbawionych Zdolności zna rozkosz, jaką daje odebranie ludzkiego życia. Bez Zdolności nawet ci, którzy karmią się życiem, nie są w stanie zachwycić się przyływem emocji w drapieźcy i ofierze, poczuć euforii napastnika, który przekroczył wszelkie zasady i systemy kar, oraz dziwnej, niemal seksualnej uległości ofiary w obliczu ostatecznej prawdy, gdy znikają wszelkie szanse i wizje przyszłości, a możliwości zostają wymazane w akcie całkowitej władzy nad drugim człowiekiem.

Załamuje mnie współczesna przemoc, jej bezosobowa natura i swoboda, która uczyniła ją dostępną dla tak wielu. Miałam telewizor, ale sprzedałam go w trakcie wojny w Wietnamie. Tamte ocenzurowane urywki śmierci – tak dalekie za sprawą obiektywu kamery – nic dla mnie nie znaczyły. Ale jestem przekonana, że znaczyły coś dla otaczającego mnie bydła. Kiedy wojna dobiegła końca, a wraz z nią cowieczne relacje połączone z podliczaniem zwłok, ludzie zaczęli się domagać nowych dawek przemocy, a ekrany kin oraz ulice tego słodkiego, konającego państwa dostarczyły im ją w dużych ilościach i podłej jakości. Doskonale znam to uzależnienie.

Nie rozumieją sedna sprawy. Kiedy patrzą na brutalną śmierć, mogą poczuć zaledwie żałosne, nieczyste zagubienie. Ale dla tych spośród nas, którzy Żerują, śmierć może się stać sakramentem.

– Moja kolej! Moja kolej! – Głos Niny wciąż przywodził na myśl damę, która właśnie wypełniła karnet na czerwcowym balu u kuzynki Celii.

Wróciliśmy do salonu. Willi dopił kawę i poprosił pana Thorne'a o brandy. Czuję się zażenowana jego zachowaniem. Pozwalanie sobie w towarzystwie najbliższych współników na takie spontaniczne zachowania z pewnością było objawem słabnięcia Zdolności. Nina najwyraźniej niczego nie zauważyła.

– Uporządkowałam je – oznajmiła.

Otworzyła album z wycinkami na opustoszałym blacie stolika, a Willi zaczął uważnie je przeglądać. Od czasu do czasu o coś pytał, najczęściej po prostu pomrukiwał z uznaniem. Ja także przytakiwałam, chociaż nie słyszałam o żadnej z tych ofiar. Oczywiście nie licząc Beatlesa. Nina zachowała tę opowieść na koniec.

– Dobry Boże, Nino, to twoja sprawka? – Willi był niemal rozgniewany.

Żerowania Niny zazwyczaj ograniczały się do samobójstw przy Park Avenue albo małżeńskich kłótni zakończonych strzałami z małych kobiecych pistoletów. Takie surowe przypadki były raczej w stylu Williego. Może Willi poczuł, że Nina wkroczyła na jego terytorium.

– To znaczy... bardzo ryzykowałeś, czyż nie? To było takie... cholera... publiczne.

Nina roześmiała się i odłożyła kalkulator.

– Willi, kochanie, przecież właśnie na tym polega Gra.

Willi podszedł do barku i ponownie napełnił kieliszek brandy. Wiatr uderzał gołymi gałęziami o witrażowe okno wykuszowe. Nie lubię zimy. Nawet na Południu odciska piętno na duszy.

– Czy ten facet... jak on się nazywał... przypadkiem nie kupił broni na Hawajach? – spytał Willi z drugiej strony pokoju. – To mi wygląda na jego własną inicjatywę. Skoro już wcześniej śledził gościa...

– Willi, kochanie. – Głos Niny był równie lodowaty jak wiatr kołyszący gałęziami. – Nikt nie twierdzi, że on był zrównoważony. O ilu z twoich można tak powiedzieć? Ale sprawiłam, że to się wydarzyło, skarbie. Wskazałam miejsce i czas. Nie dostrzegasz ironii w moim wyborze miejsca? Po kawale, jaki wywinęliśmy tamtemu reżyserowi filmu o czarnej magii kilka lat temu? Przecież to było żywcem przeniesione ze scenariusza...

– No nie wiem – odparł Willi.

Ciężko opadł na kanapę, rozchlapując brandy na drogą sportową marynarkę. Nawet tego nie zauważył. Światło lampy odbijało się od jego łysiejącej czaszki. Wieczorem wyraźniej było widać starcze plamy oraz ścięgna na szyi ukrytej pod golfem.

– No nie wiem. – Popatrzył na mnie i nagle uśmiechnął się, jakbyśmy wspólnie uczestniczyli w jakimś spisku. – Może było tak jak w wypadku tamtego pisarza, prawda, Melanie? Całkiem możliwe.

Nina spuściła wzrok na swoje dłonie. Zacisnęła pięści, a czubki jej zadbanych palców pobielały.

Wampiry umysłu. Tak pisarz zamierzał zatytułować swoją książkę.

Czasami zastanawiam się, czy naprawdę cokolwiek by napisał. Jak on się nazywał? Miał takie rosyjskie nazwisko.

Willi i ja otrzymaliśmy telegramy od Niny: PRZYJEDŹCIE SZYBKO JESTEŚCIE POTRZEBNI. To wystarczyło. Następnego ranka wsiadłam na

pokład samolotu do Nowego Jorku. Leciłam głośnym śmigłowym Constellation, a sporą część podróży spędziłam na zapewnianiu nadgorliwej stewardessy, że niczego nie potrzebuję i czuję się dobrze. Najwyraźniej uznała, że jestem czyjąś babcią i pierwszy raz lecę samolotem.

Willi zdołał przybyć na miejsce dwadzieścia minut przede mną. Nina była roztrzęsiona i bliska hysterii. Dwa dni wcześniej była na przyjęciu na Manhattanie – nie była aż tak roztrzęsiona, by nie opowiedzieć nam, jakie sławy się tam pojawiły – gdzie przy stoliku z fondue poznała pewnego młodego pisarza i wdała się z nim w szczerą rozmowę. Opisała go jako nieco niechlujnego mężczyznę z rzadką bródką, który nosił grube okulary oraz sztruksową sportową marynarkę i starą kraciastą koszulę. Takich ludzi podobno regularnie widywało się na udanych przyjęciach w tamtych czasach. Nina miała na tyle wyczucia, by nie nazywać go bitnikiem, ponieważ to określenie już odeszło do lamusa, ale nikt jeszcze nie znał słowa „hipis”, które zresztą niespecjalnie do niego pasowało. Był jednym z tych pisarzy, którzy ledwie wiążą koniec z końcem – przynajmniej obecnie – sprzedają krew i piszą powieści na podstawie seriali telewizyjnych. Alexander jakiś tam.

Mężczyzna postanowił napisać książkę – podobno pracował nad nią już od dłuższego czasu – o tym, że za dużą częścią morderstw tak naprawdę stoi niewielka grupka zabójców o nadnaturalnych zdolnościach, którzy wykorzystują innych ludzi do popełniania obrzydliwych czynów. Nazwał ich „wampirami umysłu”.

Stwierdził, że jeden z wydawców już zainteresował się zarysem książki i zaproponował Alexandrowi podpisanie umowy, pod warunkiem, że autor zmieni tytuł na *Czynnik zombie* i doda więcej scen erotycznych.

– No i co z tego? – zachnął się zniesmaczony Willi. – Leciłem po to przez pół kontynentu? Może sam kupię ten pomysł i nakręcę na jego podstawie film.

Uznaliśmy to jednak za wystarczający pretekst, by porozmawiać z Alexandrem podczas naprędce zorganizowanego przyjęcia, które Nina wyprawiła następnego wieczoru. Nie wzięłam w nim udziału. Według Niny przyjęcie było nieudane, ale Willi miał okazję pogawędzić z młodym niedoszłym powieściopisarzem. Żałosny Alexander tak bardzo marzył o współpracy z Billem Bordenem, producentem *Paryskich wspomnień*, *Trojga na huśtawce* oraz co najmniej dwóch innych do bólu przeciętnych filmów, które tamtego lata wyświetlano w kinach samochodowych, że wyznał, iż książka na razie ma postać szczytanego zarysu i kilkunastu stron notatek.

Mimo tego Alexander był pewien, że może dostarczyć panu Bordenowi gotowy tekst w ciągu pięciu tygodni, może nawet trzech, jeśli poleci do Hollywood, by zaznać właściwego kreatywnego pobudzenia.

Później tamtego wieczoru rozważaliśmy możliwość odkupienia praw do ekranizacji przez Williego, ale Willi chwilowo nie miał pieniędzy, a Nina nalegała. Ostatecznie młody pisarz przeciął sobie tętnicę udową żyłką i z krzykiem pobiegł jedną z wąskich uliczek w Greenwich Village, gdzie skonał. Nie sędzę, żeby ktokolwiek kłopotał się przeglądaniem jego niechlujnych notatek.

– Może było tak, jak w wypadku tamtego pisarza, *ja*, Melanie? – Willi poklepał mnie po kolanie.

Pokiwałam głową.

– On był mój, a Nina próbowała przypisać sobie całą zasługę – ciągnął Willi. – Pamiętacie?

Ponownie pokiwałam głową. Tak naprawdę pisarz nie należał ani do Niny, ani do Williego. Specjalnie nie poszłam na przyjęcie, żeby później spotkać się z młodzieńcem, nie wzbudzając jego podejrzeń. Pamiętam, że siedziałam w nadmiernie rozgrzanym wnętrzu delikatesów naprzeciwko jego bloku mieszkalnego. To wcale nie było trudne. Skończyło się tak szybko, że niemal nie poczułam Żerowania. Po chwili znów zdałam sobie sprawę z krztuszących się grzejników i woni salami, gdy ludzie pośpieszyli do drzwi, żeby sprawdzić, kto tak krzyczy. Pamiętam, że powoli dopiłam herbatę, by nie musieć wychodzić z lokalu przed odjazdem karetki.

– Bzdura – odparła Nina. Pośpiesznie liczyła coś na kalkulatorze. – Ile punktów? – Popatrzyła na mnie, a ja na Williego.

– Sześć – odrzekł, wzruszając ramionami.

Nina z namaszczaniem podliczyła punkty.

– Trzydzieści osiem – oznajmiła i westchnęła teatralnie. – Znowu wygrałeś, Willi. A raczej znów mnie pokonałeś. Teraz musimy wysłuchać Melanie. W ogóle się nie odzywasz, kochanie. Pewnie masz dla nas jakąś niespodziankę.

– Właśnie, teraz twoja kolej na zwycięstwo – dodał Willi. – Minęło już kilka lat.

– Nie mam nikogo – odrzekłam.

Spodziewałam się erupcji pytań, ale ciszę zakłócało tylko tykanie zegara na kominku. Nina odwróciła wzrok i patrzyła na coś, co kryło się w cieniu w kącie pokoju.

– Nikogo? – powtórzył Willi.

– Był... ktoś – odezwałam się w końcu. – Ale to się stało przypadkiem. Nakryłam go, kiedy okradał pewnego staruszka... ale to był czysty przypadek.

Willi był wyraźnie pobudzony. Wstał, podszedł do okna, odwrócił stare krzesło o prostym oparciu i usiadł na nim okrakiem ze skrzyżowanymi rękami.

– Co to ma znaczyć?

– Rezygnujesz z Gry? – spytała Nina, oglądając się na mnie.

Pozwoliłam, żeby jej pytanie posłużyło za odpowiedź.

– Dlaczego? – burknął Willi.

Gdybym wychowała się w czasach, w których młodym damom wolno było wzruszać ramionami, z pewnością bym to zrobiła. Ale tylko przesunęłam palcami wzdłuż wyobrazonego szwu na spódnicy. To Willi zadał pytanie, ale kiedy w końcu odpowiedziałam, patrzyłam w oczy Ninie.

– Jestem zmęczona. To już za długo trwa. Chyba się starzę.

– Zestarzejesz się znacznie bardziej, jeśli porzucisz Łowy – zauważył Willi. Jego ciało, głos, czerwona maska twarzy, wszystko świadczyło o z trudem powstrzymanym gniewie. – Mój Boże, Melanie, już wyglądasz starzej! Wyglądasz strasznie. Właśnie po to urządzamy Łowy, kobieto. Przejrzyj się w lustrze! Chcesz umrzeć jako staruszka, tylko dlatego, że jesteś znużona Używaniem? Ach! – Willie wstał i odwrócił się do nas plecami.

– Bzdura! – Głos Niny był silny, pełen pewności siebie i władczości. – Melanie jest zmęczona, Willi. Bądź dla niej miły. Wszyscy czasem przez to przechodzimy. Pamiętam, jak ty się zachowywałeś po wojnie. Wyglądałeś jak zbity pies. Nie chciałeś wychodzić ze swojego żalosego mieszkanka w Baden. Nawet kiedy już pomogłyśmy ci się dostać do New Jersey, stale byłeś ponury i uzalałeś się nad sobą. To Melanie wymyśliła Grę, żebyś poczuł się lepiej. Dlatego zamilcz! Nigdy nie mów zmęczonej i przygnębionej damie, że wyglądasz strasznie. Słowo daję, Willi, czasami straszny z ciebie *Schwachsinniger*. A do tego gbur pierwszej wody.

Spodziewałam się różnych reakcji na moje wyznanie, ale tej bałam się najbardziej. To oznaczało, że Nina również zmęczyła się Grą i była gotowa przenieść ją na kolejny poziom.

Z pewnością tak było.

– Dziękuję ci, Nino, moja droga – odrzekłam. – Wiedziałam, że zrozumiesz.

Pocieszająco dotknęła mojego kolana. Poczułam chłód jej białych palców przez wełnianą spódnice.

Moi goście nie chcieli zostać na noc. Nalegałam. Protestowałam. Zaznaczałam, że ich pokoje są gotowe, a pan Thorne już przygotował pościel.

– Następnym razem – obiecał Willi. – Następnym razem, Melanie, skarbie. Spędzimy razem cały weekend, jak dawniej. Albo tydzień!

Willi był w znacznie lepszym nastroju, odkąd obie wypłaciłyśmy mu po tysiąc dolarów nagrody. Trochę się wzbraniał, ale byłam uparta. Uspokoił się, kiedy pan Thorne przyniósł czek wystawiony na Williama D. Bordena.

Ponownie poprosiłam, by został, ale twierdził, że ma nocny lot do Chicago. Musiał spotkać się z pewnym słynnym pisarzem w sprawie scenariusza. Kiedy ścisnął mnie na pożegnanie, a jego kompani stali w holu za moimi plecami, na chwilę ogarnęło mnie przerażenie.

Ale w końcu wyszli. Blondyn błysnął białymi zębami, a czarnoskóry skinął głową, co uznałam za pożegnanie. Wkrótce zostałyśmy tylko we dwie.

Nina i ja byłyśmy same.

Nie do końca. Panna Kramer stała obok Niny na końcu korytarza. Pan Thorne krył się za wahadłowymi drzwiami kuchni. Zostawiłam go tam.

Panna Kramer zbliżyła się o trzy kroki. Na chwilę wstrzymałam oddech. Pan Thorne położył dłoń na drzwiach. Potem potężna brunetka podeszła do szafy, wyjęła płaszcz Niny i pomogła jej się ubrać.

– Na pewno nie zostaniesz?

– Nie, kochanie. Obiecałam Barrett, że dzisiaj wieczorem pojedziemy do Hilton Head.

– Przecież już późno...

– Mamy rezerwację. Ale dziękuję, Melanie. Będziemy w kontakcie.

– Tak.

– Mówię poważnie, moja droga. Dokładnie rozumiem, co czujesz, ale musisz pamiętać, że Gra wciąż jest ważna dla Williego. Musimy znaleźć sposób na zakończenie jej w taki sposób, by nie zranić jego uczuć. Może odwiedzimy go na wiosnę w Karinhall, czy jak on nazywa to swoje ponure bawarskie lokum. Wyprawa na kontynent doskonale ci zrobi.

– Tak.

– Odezwę się, kiedy tylko zamknę sprawę nowego sklepu. Musimy spędzić trochę czasu razem, Melanie... tylko we dwie... jak za dawnych lat. – Jej usta pocałowały powietrze obok mojego policzka. Przez kilka sekund mocno ścisnęła moje przedramiona. – Do widzenia, kochanie.

– Do widzenia, Nino.

Odniosłam kieliszek po brandy do kuchni. Pan Thorne odebrał go ode mnie bez słowa.

– Niech się pan upewni, że dom jest bezpieczny – poleciłam.

Pokiwał głową i poszedł sprawdzić zamki oraz system alarmowy. Była dopiero dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć, ale byłam bardzo zmęczona. Starość, pomyślałam. Wspięłam się po szerokich schodach – być może najbardziej efektownej części domu – i przebrałam się do snu. Rozpętała się burza, a zimne krople deszczu bębniły o szybę w smutnym rytmie.

Pan Thorne zajrzał do mnie, kiedy szcztokowałam włosy, żałując, że nie są dłuższe. Odwróciłam się w jego stronę. Sięgnął do kieszeni swojej ciemnej marynarki. Kiedy cofnął dłoń, błysnęło w niej wąskie ostrze. Pokiwałam głową. Schował ostrze i zamknął za sobą drzwi. Słuchałam jego cichnących kroków, gdy zmierzał do fotela w holu, gdzie miał spędzić całą noc.

Mam wrażenie, że w nocy śniły mi się wampiry. A może myślałam o nich przed zaśnięciem i jakiś fragment tych myśli pozostał ze mną do rana. Ze wszystkich strachów, które człowiek sam sobie narzucił, ze wszystkich żałosnych potworów tylko mit o wampirze ma w sobie nieco godności. Tak jak ludzie, na których żeruje, wampir również musi zaspokajać swoje mroczne żądze. Ale w odróżnieniu od lichej ludzkiej ofiary, wampir w swych plugawych działaniach kieruje się jedynym celem, który może je usprawiedliwiać – dążeniem do prawdziwej nieśmiertelności. Jest w tym coś szlachetnego. A także smutnego.

Przed zaśnięciem wspominałam tamto odległe lato w Wiedniu. Znów ujrzałam Williego za młodu – rumianego blondyna, który pękał z dumy, że może towarzyszyć dwóm niezależnym amerykańskim damom.

Pamiętam wysokie sztywne kołnierze i krótkie sukienki, które Nina pomogła uczynić modnymi w tamto lato. Pamiętam przyjazne odgłosy zatłoczonych *Biergartens* i tańczące cienie liści przed gazowymi lampami.

Pamiętam kroki na mokrym bruku, okrzyki, odległe gwizdnięcia i ciszę.

Willi miał rację, zestarzałam się. Ostatni rok odcisnął na mnie większe piętno niż cała poprzednia dekada. Ale nie Żerowałam. Pomimo głodu, pomimo starzejącego się odbicia w lustrze, pomimo mrocznych żądz, które kierowały naszym życiem przez tyle lat, nie Żerowałam.

Zasnęłam, próbując przypomnieć sobie nazwisko tamtego pisarza. Zasnęłam głodna.

Obudziło mnie jaskrawe światło słońca przeświecające przez gołe gałęzie. To był jeden z tych krystalicznie czystych, podnoszących na duchu zimowych dni, które sprawiają, że życie na Południu jest znacznie mniej przygnębiające niż radzenie sobie z jankeską zimą. Pan Thorne uchylił okno, kiedy przyniósł mi tacę ze śniadaniem. Sącząc kawę, słyszałam dzieci bawiące się na dziedzińcu. Kiedyś pan Thorne przynosił mi także poranną gazetę, ale już dawno uznałam, że czytanie o występkach i skandalach świata bezcześnie piękno poranka. Tak naprawdę coraz mniej interesowałam się sprawami ludzi. Przez dwanaście lat obywałam się bez gazet, telefonu czy telewizora i nie zauważyłam żadnych szkodliwych skutków, jeśli nie uznamy rosnącego samozadowolenia za coś złego. Uśmiechnęłam się, wspominając, jak rozczarowany był Willie, gdy okazało się, że nie może odtworzyć swoich kaset. Był taki dziecinny.

– Dziś jest sobota, prawda, panie Thorne? – Kiedy skinął głową, poleciłam gestem, by zabrał tacę. – Dzisiaj wyjdziemy z domu. Na spacer. Może zrobimy sobie wycieczkę do fortu. Potem zjemy kolację w Henry's i wrócimy do domu. Mam kilka spraw do załatwienia.

Pan Thorne zawahał się i lekko zatoczył, kiedy wychodził z pokoju. Znieruchomiałam w trakcie wiązania szlafroka. Pan Thorne nie zwykł poruszać się niezdarnie. Uświadomiłam sobie, że on także się starzeje. Wyrównał tacę i naczynia, skinął głową i oddalił się w stronę kuchni.

Nie zamierzałam pozwolić, by myśli o starzeniu się niepokoily mnie w taki piękny poranek. Czulałam w sobie przypływ świeżej energii i determinacji. Wieczorne spotkanie niezbyt się udało, ale mogło być znacznie gorzej. Byłam szczerą wobec Niny i Williego w kwestii rezygnacji z Gry. Wiedziałam, że w nadchodzących tygodniach i miesiącach zaczną – przynajmniej Nina – rozważać konsekwencje mojej decyzji, ale zanim zdążą zareagować, razem bądź osobno, mnie już dawno tutaj nie będzie. Czekają na mnie nowe (oraz stare) tożsamości na Florydzie, w Michigan, Londynie, południowej Francji, a nawet New Delhi. Michigan na razie odpadało. Odzwyczaiłam się od surowego klimatu. New Delhi natomiast już nie było tak otwarte na cudzoziemców, jak przed wojną, gdy przez chwilę tam pomieszkiwałam.

Nina miała rację w jednej sprawie – powrót do Europy dobrze mi robi. Stęskniłam się za świetlistymi krajobrazami i serdecznymi manierami wieśniaków mieszkających w pobliżu mojego starego letniego domu na przedmieściach Toulonu.

Powietrze na dworze było orzeźwiająca. Miałam na sobie prostą sukienkę z drukowanej tkaniny i wiosenny płaszcz. Lekki artretyzm w prawej nodze dokuczał mi, gdy schodziłam na parter, ale podpierałam się starą laską ojca. Młody czarnoskóry służący sporządził ją dla niego tamtego lata, gdy

przeprowadziliśmy się z Greenville do Charleston. Uśmiechnęłam się, wychodząc na ciepłe podwórze.

Pani Hodges pojawiła się w swoich drzwiach. Jej wnuczki bawiły się z koleżankami wokół wyschniętej fontanny. Przez dwieście lat podwórze dzieliły między siebie trzy ceglane budynki. Tylko mój dom nie został podzielony na drogie kamienice ani eleganckie mieszkania.

– Dzień dobry, pani Fuller.

– Dzień dobry, pani Hodges. Piękny dzień.

– Rzeczywiście. Wybiera się pani na zakupy?

– Tylko na spacer. Dziwię się, że pan Hodges nie wyszedł na dwór. Zawsze pracuje na podwórku w soboty.

Pani Hodges zmarszczyła czoło, gdy jedna z dziewczynek przebiegła pomiędzy nami. Jej koleżanka z piskiem pomknęła za nią, powiewając połami swetra.

– Och, George już jest na przystani.

– W dzień?

Często z zaciekawieniem patrzyłam, jak pan Hodges wychodzi do pracy wieczorami w starannie wyprasowanym mundurze, z siwymi włosami sterczącymi spod czapki i czarnym pojemnikiem na lunch pod pachą.

Pan Hodges był ogorzały i krzywonogi niczym podstarzały kowboj. Należał do tych mężczyzn, którzy stale szykują się do przejścia na emeryturę, ale zdają sobie sprawę, że bezczynność byłaby dla nich wyrokiem śmierci.

– O tak. Jeden z czarnoskórych, który pracował na dziennej zmianie w magazynie, zrezygnował, więc poprosili George'a, żeby go zastąpił. Mówiłam mu, że jest za stary, by pracować cztery noce w tygodniu i jeszcze wracać do pracy w weekend, ale wie pani, jaki George jest.

– Proszę go pozdrowić – odpowiedziałam.

Dziewczynki biegające wokół fontanny działały mi na nerwy.

Pani Hodges odprowadziła mnie do bramy z kutego żelaza.

– Wyjeżdża pani na wakacje, pani Fuller?

– Zapewne tak, pani Hodges. Bardzo możliwe.

Po chwili pan Thorne i ja ruszyliśmy chodnikiem w stronę baterii artyleryjskiej. Kilka samochodów powoli jechało wąskimi ulicami, a turyści przyglądali się domom w starej dzielnicy, ale dzień był błogi i spokojny. Zobaczyłam maszty jachtów i łodzi, jeszcze zanim wyszliśmy na Broad Street, skąd było widać wodę.

– Niech pan kupi dla nas bilety, panie Thorne – poprosiłam. – Chciałabym odwiedzić Fort Sumter.

Jak większość ludzi, którzy mieszkają niedaleko popularnej atrakcji turystycznej, przez wiele lat nie zwracałam na nią uwagi. Dziś odwiedzałam fort z sentymentu, powoli godząc się z myślą, że będę musiała wyjechać z tych okolic na zawsze. Planowanie przeprowadzki to jedno, ale stawienie czoła jej nieuchronności to zupełnie inna para kaloszy.

Nie było zbyt wielu turystów. Prom odbił od przystani i wypłynął na spokojne wody zatoki. Ciepłe promienie słońca i miarowy szum dieslowego silnika sprawiły, że na chwilę się zdrzemnęłam. Obudziłam się, kiedy przybijaliśmy do brzegu wyspy, w cieniu mrocznej sylwetki fortu.

Przez chwilę przemieszczałam się razem z grupą turystów, rozkoszując się grobową ciszą na niższych poziomach oraz bezmyślnym śpiewnym głosem młodej przewodniczki. Ale kiedy dotarliśmy do muzeum, gdzie czekały na nas zakurzone dioramy i tandetne przeźrocza, wspięłam się na zewnątrz mury. Kazałam panu Thorne'owi zaczekać na szczycie schodów i wyszłam na umocnienia. Zobaczyłam tam tylko dwie inne osoby – młodą parę z tanim aparatem fotograficznym i niemowlęciem w nosidełku, które wyglądało na niewygodne.

To była przyjemna chwila. Z zachodu nadciągała burza, która malowała ciemne tło dla wciąż rozświetlonych słońcem kościelnych iglic, ceglanych wież i gołych gałęzi. Nawet z odległości kilku kilometrów widziałam ludzi spacerujących po kładce wzdłuż baterii artyleryjskiej. Podmuchy wiatru poprzedzały ciemne chmury, gnając spienione fale, które rozbijały się o kołyszący się prom i drewnianą przystań. W powietrzu unosiła się woń rzeki, zimy i wieczornego deszczu.

Nietrudno było wyobrazić sobie taki sam dzień w dawnych czasach. Pociski spadały na fort, aż jego wyższe poziomy zmieniły się w ochronną warstwę gruzu. Ludzie wiwatowali na dachach za baterią. Jaskrawe barwne sukienki i jedwabne parasolki z pewnością rozwścieczały jankeskich artylerzystów. W końcu jeden z nich strzelił ponad zatłoczonymi dachami. Wynikłe z tego oszołomienie musiało zabawnie wyglądać z tego punktu widokowego.

Moją uwagę zwrócił jakiś ruch w dole. Coś sunęło przez szarą wodę – coś ciemnego i cichego jak rekin. Wróciłam do rzeczywistości, gdy rozpoznałam okręt podwodny „Polaris”, stary, ale najwyraźniej wciąż sprawny, który bezgłośnie przecinał mroczną wodę. Fale kłębiły się i wirowały ponad kadłubem, gładkim jak ciało morświna, i ześlizgiwały się na boki, tworząc białe ślady. Na ciemnej wieżycy stało kilku mężczyzn. Byli ubrani w grube płaszcze i naciągnęli czapki na uszy. Na szyi jednego z nich, zapewne kapitana, wisiała nieprawdopodobnie duża lornetka. Kapitan wskazał coś za Wyspą Sullivana. Wbiłam w niego wzrok. Kiedy nawiązałam z nim kontakt, obraz na obrzeżach

mojego wzroku zaczął się rozmywać. Dźwięki i doznania docierały do mnie jakby z wielkiej odległości.

Napięcie. Rozkosz słonej mgiełki, bryzy z północy i północnego zachodu. Nerwowe myśli o zapieczętowanych rozkazach pod pokładem. Świadomość piaszczystej płycizny na bakburcie.

Wzdrygnęłam się, kiedy ktoś podszedł do mnie od tyłu. Kropki migoczące na obrzeżach mojego pola widzenia zniknęły, gdy się obróciłam.

To był pan Thorne. Przy moim boku. Nieproszony. Otworzyłam usta, żeby rozkazać mu wrócić na szczyt schodów, ale nagle zobaczyłam, z jakiego powodu się zbliżył. Młodzieniec, który robił zdjęcia swojej bladej żonie, szedł w moją stronę. Pan Thorne postanowił go zatrzymać.

– Przepraszam państwa. Czy pani albo pani mąż zechcielibyście zrobić nam zdjęcie?

Skinęłam głową, a pan Thorne wziął do ręki aparat, który sprawiał wrażenie malutkiego w jego długich palcach. Dwa zdjęcia wystarczyły, by młoda para uznała, że ich obecność została odpowiednio zachowana dla potomności. Młodzieniec wyszczerzył się idiotycznie i pokiwał głową. Niemowlę zaczęło płakać, gdy poczuło podmuch zimnego wiatru.

Obejrzałam się na okręt podwodny, ale ten już odpłynął, a jego szara wieżyczka zmieniła się w cienki pasek łączący morze z niebem.

Już prawie wróciliśmy do miasteczka, a prom zaczął zawijać do przystani, gdy nieznajoma powiedziała mi o śmierci Williego.

– Cóż za koszar, nieprawdaż? – Gadatliwa staruszka wyszła za mną na odsłoniętą część pokładu.

Chociaż wiatr był nieprzyjemnie chłodny, a ja dwukrotnie próbowałam uciec przed jej paplaniną, głupia kobieta najwyraźniej wzięła mnie na cel podczas ostatniego etapu wycieczki. Nie zniechęciły jej ani moja małomówność, ani groźna obecność pana Thorne'a.

– To musiało być okropne – ciągnęła. – W całkowitej ciemności i w ogóle.

– Słucham? – Mroczne przeczucie skłoniło mnie do zadania pytania.

– Mówię o katastrofie lotniczej. Nie słyszała pani? To musiało być straszne, tak wpaść do bagna. Rano powiedziałam córce...

– Jakiej katastrofie? Kiedy? – Staruszka lekko się skrzywiła pod wpływem mojego ostrego głosu, ale bezmyślny uśmiech nie zniknął z jej ust.

– Wczoraj w nocy. Rano powiedziałam córce...

– Gdzie? O jaki samolot chodzi? – Pan Thorne zbliżył się, kiedy usłyszał ton mojego głosu.

– O ten wczorajszy z Charleston – odpowiedziała drżącym głosem. – Wszystko jest opisane w gazecie w saloniku. Czy to nie straszne? Osiemdziesiąt pięć osób. Powiedziałam córce...

Zostawiłam ją przy relingu. Obok baru z przekąskami leżała zmięta gazeta, a pod czterowyrzowym nagłówkiem znajdowały się nieliczne detale dotyczące śmierci Williego. Lot numer 417 do Chicago wystartował z międzynarodowego portu lotniczego w Charleston osiemnaście minut po północy. Dwadzieścia minut później wybuchł w powietrzu, niedaleko miasta Columbia. Kawalki kadłuba i części ciał pasażerów spadły na bagno Congaree, gdzie znaleźli je nocni rybacy. Nikt nie ocalał. Federalna Administracja Lotnictwa, Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu i FBI wszczęły śledztwo.

Usłyszałam głośny szum w uszach i musiałam usiąść, żeby nie zemdleć. Poczułam, że pocą mi się dłonie, którymi przytrzymywałam się zielonej winylowej tapicerki. Mijali mnie ludzie zmierzający do wyjść.

Willi nie żyje. Zamordowany. Nina go zabiła. Przez chwilę, oszołomiona, rozważałam możliwość, że to wszystko wyszukany spisek, a Nina i Willi chcą mnie przekonać, że pozostało tylko jedno zagrożenie. Ale to niemożliwe. Nie miałoby powodu. Gdyby Nina włączyła Williego w swoje plany, nie musieliby się uciekać do tak absurdalnych machinacji.

Willi nie żyje. Jego szczątki leżały rozrzucone w cuchnącym bagnie. Bez trudu potrafiłam sobie wyobrazić jego ostatnie chwile. Pewnie leżał na wygodnym fotelu w pierwszej klasie z drinkiem w dłoni i szeptał coś do jednego ze swoich gburowatych kompanów. Potem nastąpił wybuch. Wrzaski. Nagła ciemność. Gwałtowne przechylenie i ostatni upadek ku zapomnieniu. Zadrzałam i przytrzymałam się metalowego podłokietnika krzesła.

Jak Nina tego dokonała? Raczej nie użyła któregoś z jego ludzi. Nie wykraczałoby to poza jej możliwości, zwłaszcza w obliczu słabnącej Zdolności Williego, ale nie miałyby ku temu żadnego powodu. Mogła wykorzystać dowolną osobę na pokładzie. Nie byłoby to łatwe. Przygotowanie bomby wymaga nie lada kunsztu. Nie wspominając o wysiłku wymaganym, by zablokować wszelkie dotyczące jej wspomnienia, oraz niemal niewiarygodnym wyczynie, jakim było Użycie kogoś, gdy siedzieliśmy razem, popijając kawę i brandy.

Ale Nina była do tego zdolna. Tak, to możliwe. No i moment, w którym to się wydarzyło. To mogło oznaczać tylko jedno.

Ostatni turyści opuścili kajutę. Poczułam lekki wstrząs, gdy przybiliśmy do przystani. Pan Thorne stał przy drzwiach.

Wybór wczorajszej nocy oznaczał, że Nina postanowiła pozbyć się nas jednocześnie. Z pewnością zaplanowała to na długo przed naszym spotkaniem i moim bojaźliwym wyznaniem dotyczącym rezygnacji. Ależ musiała być rozbawiona. Nic dziwnego, że zareagowała tak wspaniałomyślnie! Ale popełniła jeden poważny błąd. Rozprawiając się w pierwszej kolejności z Willim, postawiła wszystko na jedną kartę, zakładając, że nie dowiem się o tym, zanim zdąży się zwrócić przeciwko mnie. Wiedziała, że nie mam dostępu do najnowszych wiadomości i rzadko opuszczam dom. Mimo wszystko to nie w jej stylu pozostawiać cokolwiek przypadkowi. Czyżby uznała, że całkowicie straciłam Zdolność i to Willi stanowił większe zagrożenie?

Pokręciłam głową, wychodząc na szare popołudniowe światło. Wiatr chłostał mnie przez cienki płaszcz. Trap rozmazywał mi się przed oczami i uświadomiłam sobie, że mam w nich łzy. Z powodu Williiego? Był pompatycznym i słabym starym głupcem. Z powodu zdrady Niny? Być może to tylko przez zimny wiatr.

Na ulicach starej dzielnicy niemal nie było pieszych. Gołe gałęzie drzew stuknęły o siebie przed oknami eleganckich domów. Pan Thorne trzymał się blisko mnie. Lodowate powietrze wywoływało ukłucia artretyzmu w mojej prawej nodze, aż po biodro. Mocniej wsparłam się na lasce ojca.

Jaki będzie jej następny ruch? Przystanąłam. Kawałek gazety niesiony wiatrem na chwilę owinał się wokół mojej kostki.

W jaki sposób mnie zaatakuje? Nie z daleka. Była gdzieś w miasteczku. Wiedziałam o tym. Chociaż to możliwe, by Użyć kogoś na odległość, wymaga to dobrej, niemal intymnej znajomości z tą osobą, a po zerwaniu kontaktu jego ponowne nawiązanie jest praktycznie niemożliwe. Żadne z nas nie wiedziało, dlaczego tak jest. Teraz to nie miało znaczenia, ale myśl o tym, że Nina wciąż jest gdzieś w pobliżu, sprawiła, że szybciej biło mi serce.

A więc nie na odległość. Kogokolwiek wykorzysta do ataku na mnie, będę mogła go zobaczyć. Znałam Ninę na tyle dobrze, by to wiedzieć. Śmierć Williiego z pewnością była najmniej osobistym przypadkiem Żerowania, ale to była czysto techniczna operacja. Nina postanowiła wyrównać ze mną stare rachunki, a Willi stał się przeszkodą, drobnym, ale realnym zagrożeniem, które musiała najpierw wyeliminować. Podejrzewałam, że w ocenie Niny śmierć, którą zgotowała Williemu, była aktem miłosierdzia, niemal oznaką czułości. Ze mną tak nie będzie. Czuję, że Nina będzie chciała, bym zdawała sobie sprawę, że to ona stoi za atakiem. W pewnym sensie jej próżność będzie stanowiła ostrzeżenie. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Kusiło mnie, żeby natychmiast wyjechać. Mogłabym poprosić pana Thorne'a, by wyciągnął audi z magazynu, i w ciągu godziny znaleźlibyśmy się poza

zasięgiem wpływów Niny. Za kilka godzin moglibyśmy rozpocząć nowe życie. Oczywiście w domu pozostały różne ważne przedmioty, ale fundusze, które zgromadziłam w innych miejscach, pozwoliłyby na odkupienie większości z nich. To nawet lepiej, pozostawić wszystko za sobą, gdy odrzuca się dawną tożsamość.

Nie. Nie mogłam wyjechać. Jeszcze nie.

Z przeciwnej strony ulicy mój dom sprawiał wrażenie mrocznego i złowieszczego. Czy opuściłam rolety na drugim piętrze? Jakiś cień poruszył się na podwórzu i po chwili zauważyłam, jak wnuczka pani Hodges przebiega razem z koleżanką od jednych drzwi do drugich. Stałam na krawężniku, stukając laską ojca o czarną korę drzewa. Wiedziałam, że takie wahanie nie jest mądre, ale już dawno nie musiałam podejmować decyzji pod wpływem stresu.

– Panie Thorne, niech pan sprawdzi dom. Proszę zajrzeć do wszystkich pokoi i szybko wrócić.

Zerwał się zimny wiatr, gdy patrzyłam, jak czarny płaszcz pana Thorne'a zlewa się z mrokiem podwórza. Czułam się straszliwie odsłonięta. Co chwilę rozglądałam się po ulicy, wypatrując ciemnych włosów panny Kramer, ale dostrzegłam tylko młodą kobietę pchającą dziecięcy wózek.

Rolety na drugim piętrze gwałtownie się podniosły i za szybą błysnęła biała twarz pana Thorne'a. Po chwili się odwrócił, pozostawiając ciemny prostokąt okna. Wzdrygnęłam się pod wpływem okrzyku dobiegającego z podwórza, ale to tylko dziewczynka – jak ona miała na imię? – wołała swoją koleżankę. Kathleen, właśnie tak. Dziewczęta usiadły na krawędzi fontanny i otworzyły pudełko krakersów w kształcie zwierzątek. Przez chwilę uważnie się im przypatrywałam, a potem się odprężyłam. Nawet uśmiechnęłam się nieznacznie, myśląc o swoim paranoicznym zachowaniu. Rozważałam bezpośrednio Użycie pana Thorne'a, ale zniechęciła mnie myśl, że zostanę na ulicy całkowicie bezbronna. Kiedy jest się z kimś w kontakcie, zmysły nadal działają, ale są bardzo przytłumione.

Szybciej. Posłałam tę myśl niemal bezwiednie. Dwaj brodaci mężczyźni szli chodnikiem po mojej stronie ulicy. Podeszłam do swojej bramy. Mężczyźni śmiali się i wymachiwali rękami. Jeden na mnie popatrzył. *Szybciej.*

Pan Thorne wyszedł z domu, zamknął za sobą drzwi i przeciął podwórze. Jedna z dziewczynek coś do niego powiedziała i wyciągnęła pudełko z krakersami, ale ją zignorował. Mężczyźni po przeciwnej stronie ulicy wciąż się zbliżali. Pan Thorne wręczył mi duży klucz do drzwi wejściowych, który wrzuciłam do kieszeni płaszcza. Posłałam mu ostre spojrzenie. Pokiwał głową, a jego łagodny uśmiech nieświadomie zakpił z mojej niepewności.

– Jest pan pewien? – spytałam. Ponownie przytaknął. – Sprawdził pan wszystkie pomieszczenia? – Skinął głową. – Alarm? – Skinął głową. –

Zajrzał pan do piwnicy? – Skinięcie głową. – Żadnych śladów? – Pan Thorne pokręcił głową.

Wyciągnęłam rękę w stronę metalowej bramy, ale się zawahałam. Z nerwów miałam ściśnięte gardło. Byłam żalostną staruszką, zmęczoną i obolałą z zimna, ale nie mogłam się zmusić do jej otworzenia.

– Idziemy. – Przeszłam na drugą stronę ulicy, pośpiesznie oddalając się od domu. – Zjemy kolację w Henry's i wrócimy później.

Tylko że wcale nie skierowałam się w stronę starej restauracji; oddalałam się od domu ogarnięta ślepą, bezcelową paniką. Dopiero kiedy dotarliśmy do nabrzeża i ruszyliśmy wzdłuż baterii artyleryjskiej, zaczęłam się uspokajać.

Nie widziałam nikogo innego. Kilka samochodów jechało ulicą, ale każdy, kto chciałby się do nas zbliżyć, musiałby pokonać szeroką połąć pustej przestrzeni. Szare chmury wisały nisko i mieszały się ze spienionymi falami na wzburzonej zatoce.

Świeże powietrze i słabnące wieczorne światło otrzeźwiły mnie i odzyskałam jasność umysłu. Cokolwiek planowała Nina, z pewnością moja całodniowa nieobecność pokrzyżowała jej szyki. Wątpiłam, aby zdecydowała się zostać, gdyby czuła, że coś jej grozi. Poleciałaby do Nowego Jorku, podczas gdy ja drżałabym na pomoście. Rano otrzymałabym od niej telegram. Niemal wyobrażałam sobie jego treść: MELANIE, CZY TO NIE STRASZNE CO SPOTKAŁO WILLIEGO? POTWORNIE SMUTNE. WYBIERZESZ SIĘ ZE MNĄ NA POGRZEB? POZDRAWIAM, NINA.

Zaczęłam sobie uświadamiać, że moje wahanie brało się z pragnienia powrotu do ciepłego i wygodnego domu. Dotychczas bałam się zrzucić ten stary kokon, ale teraz wreszcie mogłam to zrobić. Mogłam poczekać w bezpiecznym miejscu, aż pan Thorne przyniesie z domu jedyną rzecz, której nie mogłam zostawić. Potem wyprowadzi samochód z magazynu, a zanim telegram Niny do mnie dotrze, będę daleko stąd. To Nina będzie bała się własnego cienia przez następne miesiące i lata. Uśmiechnęłam się i zaczęłam układać w myślach niezbędne polecenia.

– Melanie.

Gwałtownie się obejrzałam. Pan Thorne nie odzywał się od dwudziestu ośmiu lat. Ale teraz przemówił.

– Melanie.

Jego twarz wykrzywił sztywny uśmiech, tak że widziałam wszystkie jego zęby. W prawej dłoni trzymał nóż. Na moich oczach ostrze się rozłożyło. Popatrzyłam w jego puste szare oczy i już wiedziałam.

– Melanie.

Długie ostrze zatoczyło obszerny łuk. Nie mogłam go powstrzymać. Przecięło rękaw płaszcza i skierowało się w stronę mojego boku. Ale kiedy się obróciłam, moja torebka również się przemieściła. Ostrze rozerwało skórę i pomieszana zawartość torebki, przebiło płaszcz i skaleczyło mnie ponad najniższym zębem po lewej stronie. Torebka ocaliła mi życie.

Uniosłam ciężką laskę ojca i uderzyłam pana Thorne'a prosto w lewe oko. Zatoczył się, ale nie wydał z siebie żadnego odgłosu. Ponownie zamachnął się nożem, ale zdążyłam się cofnąć o dwa kroki, a on miał zamglony wzrok. Chwyciłam laskę obiema rękami i zadałam niezdamy cios zza pleców. O dziwo znów wcelowałam w oczodoł. Cofnęłam się o kolejne trzy kroki.

Krew spływała po lewej stronie twarzy pana Thorne'a, a uszkodzone oko wysunęło się na policzek. Sztywny uśmiech nie znikał. Pan Thorne podniósł głowę, lewą ręką powoli oderwał oko przy wtórze cichego trzasku szarej materii i wrzucił je do wody zatoki. Ruszył w moją stronę. Odwróciłam się i rzuciłam do ucieczki.

A raczej próbowałam uciec. Ból prawej nogi sprawił, że po dwudziestu krokach musiałam zwolnić do marszu. Po piętnastu kolejnych pośpiesznych krokach straciłam dech i miałam wrażenie, że serce za chwilę mi pęknie. Czułam wilgoć na swoim lewym boku i mrowienie – jakby ktoś przyłożył mi do skóry kostkę lodu – w miejscu, w którym dotknęło mnie ostrze. Obejrzałam się i stwierdziłam, że pan Thorne zbliża się szybciej niż byłam w stanie się poruszać. Normalnie byłby w stanie wyprzedzić mnie po czterech krokach, ale trudno jest zmusić do biegu kogoś, kogo się używa. Zwłaszcza jeśli ciało tej osoby doznaje szoku i urazów. Ponownie się obejrzałam i niemal poślizgnęłam się na chodniku. Pan Thorne szeroko się uśmiechał. Krew płynęła z pustego oczodołu i plamiła mu zęby. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego.

Ruszyłam w dół schodów, kurczowo przytrzymując się balustrady, żeby nie upaść. Zeszłam po krętej kładce, a następnie wspięłam się asfaltową ścieżką na ulicę. Latarnie migotały, kiedy je mijałam. Za moimi plecami pan Thorne pokonał stopnie dwoma skokami. Pośpiesznie idąc ścieżką, dziękowałam Bogu, że na rejs włożyłam buty na niskim obcasie. Co by pomyślała osoba obserwująca ten osobliwy pościg rozgrywający się w zwolnionym tempie pomiędzy dwojgiem starszków? Ale nikt nas nie obserwował.

Skreśliłam w jedną z bocznych uliczek. Zamknięte sklepy, puste magazyny. Gdybym poszła w lewo, dotarłabym do Broad Street, ale po prawej stronie, w odległości pół przecznicy, z ciemnego sklepu wyłoniła się jakaś postać. Ruszyłam w jej stronę. Już nie mogłam biec i byłam bliska omdlenia. Wywołane artretyzmem skurcze w nodze bolały bardziej niż byłam to w stanie sobie

wyobrazić, i bałam się, że upadnę na chodnik. Pan Thorne znajdował się dwadzieścia kroków za mną i szybko zmniejszał dystans.

Człowiekiem, do którego się zbliżałam, był wysoki szczupły czarnoskóry mężczyzna w brązowej nylonowej kurtce. Niósł pudełko, w którym znajdowały się oprawione zdjęcia w kolorze sepii. Zerknął na mnie, a następnie popatrzył ponad moim ramieniem na zjawę, która znajdowała się o dziesięć kroków za mną.

– Hej! – Mężczyzna zdążył wykrzyknąć tę pojedynczą sylabę, zanim sięgnęłam ku niemu swoim umysłem i *pchnęłam*.

Drgnął jak nieumiejtanie trzymana marionetka. Opadła mu szczęka, oczy zmętniały i skoczył obok mnie w chwili, gdy pan Thorne próbował chwycić mnie za tył płaszcza.

Pudełko wyleciało w powietrze, a szkło rozbiło się o ceglany chodnik. Długie brązowe palce sięgnęły w stronę białego gardła. Pan Thorne odtrącił napastnika ciosem na odlew, ale ten nie ustępował i obaj mężczyźni zawirowali jak niezdarni tancerze. Dotarłam do wylotu ulicy i oparłam się twarzą o chłodne cegły, żeby nieco się otrzeźwić. Koncentracja wymagana do Użycia tego nieznanego nie pozwalała mi na luksus choćby sekundy odpoczynku.

Popatrzyłam na dwóch zataczających się wysokich mężczyzn i powstrzymałam absurdalną chęć, by parsknąć śmiechem.

Pan Thorne wbił nóż w brzuch swojego przeciwnika, wyszarpnął go i ponownie uderzył. Czarnoskóry próbował chwycić paznokciami nienaruszone oko pana Thorne'a. Jego silne zęby kłapały, szukając krtani. Niewyraźnie poczułam, że zimne ostrze po raz trzeci wniknęło w ciało, ale serce wciąż biło, więc mężczyzna mógł mi się przydać. Skoczył, opasał pana Thorne'a nogami i zacisnął szczęki na jego muskularnej szyi. Paznokcie znaczyły białą skórę krwawymi śladami. Walczący mężczyźni runęli na ziemię.

Zabij go. Palce wciąż szukały oka, ale pan Thorne uniósł lewą dłoń i złamał chudy nadgarstek. Zwiotczące palce dalej się poruszały. Z ogromnym wysiłkiem oparł przedramię o pierś przeciwnika i poderwał go z ziemi, jak ojciec podrzucający dziecko. Zęby wyrwały kawałek ciała, ale nie zadały istotnych obrażeń. Pan Thorne wcisnął między nich ostrze noża i poruszył nim w górę, w lewo, a następnie w prawo. Drugie cięcie rozplatało gardło przeciwnika i krew trysnęła na nich obu. Nogi niższego z mężczyzn dwukrotnie drgnęły i pan Thorne odepchnął go. Odwróciłam się i pośpiesznie ruszyłam ulicą.

Znów znalazłam się w świetle, w słabnącym wieczornym blasku, i uświadomiłam sobie, że zawędrowałam w ślepą uliczkę. Tuż przy wodach zatoki wznosiły się magazyny i pozbawione okien metalowe ściany portowych

budynków. Ulica skręcała w lewo, ale była ciemna, opustoszała i zdecydowanie zbyt długa, żebym spróbowała nią pójść.

Obejrzałam się i zauważyłam czarną sylwetkę, która szła w ślad za mną.

Spróbowałam nawiązać kontakt, ale niczego nie wyczułam. Niczego. Pan Thorne był jak dziura w powietrzu. Postanowiłam, że później będę się martwiła, jak Nina tego dokonała.

Boczne drzwi prowadzące na przystań były zamknięte na klucz. Główne wejście znajdowało się w odległości niemal stu metrów i z pewnością również było zamknięte. Pan Thorne dotarł do wylotu ulicy i zaczął się za mną rozglądać. W słabym świetle jego ubrudzona twarz była niemal czarna. Ruszył w moją stronę chwiejnym krokiem.

Uniosłam laskę ojca, rozbiłam dolną szybę w oknie i sięgnęłam do środka pomiędzy ostrymi kawałkami szkła. Wiedziałam, że jeśli okno jest zamknięte na górny albo dolny rygiel, jestem martwa. Na szczęście zamontowano na nim prostą klamkę z zasuwką. Palce ślizgały mi się na zimnym metalu, ale zasuwka przesunęła się w tej samej chwili, gdy pan Thorne znalazł się za moimi plecami. Szybko weszłam do środka i zamknęłam za sobą okno.

Wewnątrz było bardzo ciemno. Zimno biło od betonowej posadzki i słyszałam odgłosy unoszących się na falującej wodzie przycumowanych łodzi. W odległości pięćdziesięciu metrów światło wylewało się z okien biura. Miałam nadzieję, że włączy się alarm, ale budynek najwyraźniej był zbyt stary, a przystań zbyt biedna na takie zabezpieczenia. Ruszyłam w stronę światła, gdy przedramię pana Thorne'a rozbiło pozostałości szyby. Ręka się cofnęła. Potężny kopniak wyłamał górny zawias, rozszepiając drewno wokół zasuwki. Popatrzyłam w stronę biura, ale od niemożliwie dalekich drzwi dobiegał tylko odgłos radiowej paplaniny.

Kolejny kopniak. Obróciłam się w prawo i weszłam na dziób kołyszącego się jachtu. Po pięciu krokach znalazłam się w niewielkiej zakrytej przestrzeni, która pełniła rolę przedniej kajuty. Zamknęłam za sobą lekką klapę i wyjrzałam przez poplamiony pleksiglas.

Trzeci kopniak pana Thorne'a wyważył drzwi, które zawisły na długich pasach pękniętego drewna. Ciemna sylwetka mężczyzny wypełniła wejście, a światło dalekiej latarni zabłysło na ostrzu w jego prawej dłoni.

Proszę. Proszę, usłysz hałas. Ale w biurze nikt się nie poruszył, dobiegały do mnie tylko metaliczne głosy z radia. Pan Thorne zrobił cztery kroki, zatrzymał się, a następnie wszedł na pokład pierwszej łodzi. Była to łódka z silnikiem przyczepnym, a on już po kilku sekundach wyskoczył na brzeg. Druga łódka miała niewielką kajutę. Rozległ się trzask, kiedy pan Thorne kopnięciem otworzył malutki właz, a po chwili wrócił na kładkę. Mój jacht był ósmy

w kolejności. Zastanawiałam się, dlaczego pan Thorne nie słyszy walenia mojego serca.

Zmieniłam pozycję i wyjrzałam przez okno na sterburcie. Zmatowiały pleksiglas rozbijał światło na pojedyncze promienie i wzory. Dostrzegłam czyjeś białe włosy, a radio przełączyło się na inną stację. Głośna muzyka odbiła się echem w pomieszczeniu. Prześlizgnęłam się do drugiego iluminatora. Pan Thorne właśnie schodził z czwartej łódki.

Zamknęłam oczy, zmusiłam się do uspokojenia nierównego oddechu i spróbowałam przypomnieć sobie niezliczone wieczory, gdy patrzyłam na krzywonożą postać idącą ulicą. Pan Thorne skończył inspekcję piątej łódki, dłuższego jachtu z kilkoma mrocznymi niszami, i wrócił na kładkę.

Zapomnij o kawie w termosie. Zapomnij o krzyżówce. Idź to sprawdzić!

Szósta w kolejności była mała motorówka. Pan Thorne tylko na nią zerknął i nie wszedł na pokład. Siódma była niska żagłówka ze złożonym masztem. Kokpit okryto grubym brezentem, który pan Thorne rozciął nożem. Zakrwawione dłonie odciągnęły materiał niczym całun. Mężczyzna wyskoczył na kładkę.

Zapomnij o kawie. Idź to sprawdzić! Natychmiast!

Pan Thorne wszedł na dziób mojej łodzi. Poczułam, jak zakołysała się pod wpływem jego ciężaru. Nie miałam gdzie się ukryć. W kajucie był tylko malutki schowek pod siedzeniem, zdecydowanie zbyt mały, by się do niego wcisnąć. Odwiązałam płócienne paski, którymi poduszka była przymocowana do ławki. Mój nierówny oddech odbijał się echem w małej przestrzeni. Zwinęłam się do pozycji płodowej i położyłam za poduszką w chwili, gdy noga pana Thorne'a przesunęła się za iluminatorem na sterburcie. *Teraz.* Nagle jego twarz wypełniła wąskie pleksiglasowe okienko tuż obok mojej głowy. Niemożliwie szeroki uśmiech stał się jeszcze szerszy. *Teraz.* Pan Thorne stanął przed okrytym żaluzjami wejściem do kajuty.

Teraz. Teraz. Teraz.

Mój prześladowca przykucnął przy drzwiach. Spróbowałam podeprzeć je nogami, ale moja prawa noga odmówiła posłuszeństwa. Pan Thorne przebił pięścią cienkie deszczułki i chwycił mnie za kostkę.

– Hej, ty tam!

To był drżący głos pana Hodgesa. Snop światła z jego latarki skierował się w naszą stronę.

Pan Thorne napał na drzwi. Moja lewa noga boleśnie się zgięła. Jego lewa dłoń mocno trzymała moją kostkę, a prawa dłoń z nożem wsunęła się do środka przez otwierający się właz.

– Hej! – krzyknął pan Hodges, a ja wykonałam pchnięcie za pomocą umysłu. Bardzo mocne. Staruszek się zatrzymał. Upuścił latarkę i odpiął pasek zabezpieczający rękojść rewolweru.

Pan Thorne ciął nożem i prawie wytrącił mi z rąk poduszkę, a strzepy gąbki wypełniły kajutę. Ostrze zahaczyło o czubek mojego małego palca.

Zrób to. Teraz. Zrób to.

Pan Hodges chwycił rewolwer obiema rękami i strzelił. Pocisk pomknął gdzieś w ciemność, a huk odbił się echem od betonu i wody. *Blżej, ty głupcze. Rusz się!*

Pan Thorne znów napał na właz i wcisnął się do środka. Puścił moją kostkę, ale niemal natychmiast ponownie wsunął uwolnioną dłoń do kajuty i spróbował mnie chwycić. Zapaliłam światło na suficie. Ciemność patrzyła na mnie z głębi pustego oczodołu mężczyzny. Światło wpadające przez roztrzaskane żaluzje malowało żółte paski na jego okaleczonej twarzy. Przesunęłam się w lewo, ale jego dłoń, zaciśnięta na moim płaszczu, ścigała mnie z ławki. Pan Thorne ukląkł i uwolnił prawą rękę, szykując się do pchnięcia nożem.

Teraz! Drugi strzał trafił go prawe biodro. Pan Thorne stęknął, a siła uderzenia odepchnęła go do tyłu, tak że usiadł na pokładzie. Mój płaszcz się rozdarł, a guziki zagrzechotały na podłodze.

Ostrze noża zdążyło uderzyć w gródź obok mojego ucha.

Pan Hodges niepewnie wszedł na dziób łodzi, niemal się przewrócił, a następnie zaczął się powoli przesuwać na sterburtę. Przygniotłam rękę pana Thorne'a włazem, ale cały czas zaciskał dłoń na moim płaszczu i ciągnął mnie w swoją stronę. Upadłam na kolana. Ostrze rozdarło gąbkę i rozcięło mój płaszcz. Pozostałość poduszki wypadła mi z rąk. Skłoniłam pana Hodgesa, by odsunął się o metr i oparł broń o dach kajuty.

Pan Thorne cofnął ostrze i uniósł je jak szpadę matadora. Wyczułam milczący okrzyk triumfu, który wylał się z zaplamionych zębów niczym trujący opar. Światło szaleństwa Niny płonęło za pojedynczym wytrzeszczonym okiem.

Pan Hodges strzelił. Pocisk rozerwał kręgosłup pana Thorne'a i wpadł do szpigatu na bakburcie. Pan Thorne wygiął się do tyłu, rozłożył ręce i padł na pokład jak wielka ryba wyciągnięta z wody. Nóż upadł na podłogę kajuty, a sztywne białe palce uderzały bezwładnie o pokład. Zmusiłam pana Hodgesa, żeby się zbliżył, przyłożył lufę do skroni pana Thorne'a tuż nad jedynym okiem i ponownie pociągnął za spust. Huk wystrzału był przytłumiony i głuchy.

W łazience biura znajdowała się apteczka. Postawiłam staruszkę przed drzwiami, a sama obandażowałam sobie mały palec i zażyłam trzy aspiryny.

Mój płaszcz był w strzępach, a krew zaplamiła sukienkę. Sukienka nigdy specjalnie mi się nie podobała – uważałam, że wyglądam w niej niemodnie – ale płaszcz należał do moich ulubionych. Miałam potargane włosy, upstrzone małymi, wilgotnymi kawałkami szarej materii. Ochłapałam twarz wodą i spróbowałam wyszczotkować włosy. Co dziwne, wciąż miałam swoją podartą torebkę, chociaż duża część zawartości wypadła. Przełożyłam klucze, portfel, okulary do czytania i chusteczki higieniczne do dużej kieszeni płaszcza i schowałam torebkę za sedesem. Już nie miałam laski ojca, ale nie pamiętałam, gdzie ją upuściłam.

Ostrożnie wyjęłam ciężki rewolwer z zaciśniętej dłoni pana Hodgesa. Staruszek nadal miał wyciągniętą rękę i zakrzywione palce. Po kilku sekundach zmagania udało mi się wysunąć bębenek. Pozostały w nim dwa niewystrzelone pociski. Stary głupiec chodził z w pełni naładowanym rewolwerem! „Zawsze zostawiaj pustą komorę pod kurkiem”. Tego mnie nauczył Charles tamtego radosnego lata dawno temu, gdy broń stała się pretekstem do wycieczek na wyspę, gdzie Nina i ja ćwiczyłyśmy strzelanie, zaśmiewając się nerwowo i piskliwie, wtulając się w naszego niezmiernie poważnego nauczyciela i pozwalając, by podtrzymywał nam ręce. „Zawsze trzeba liczyć pociski”, pouczał Charles, gdy opierałam się o niego i niemal omdlewałam, wdychając słodką, męską woń mydła do golenia i tytoniu, jaką wydzielał tamtego ciepłego, jasnego dnia.

Podczas gdy oddawałam się wspomnieniom, pan Hodges nieznacznie się poruszył. Otworzył usta, z których wysunęła się proteza. Zerknęłam na jego znoszony skórzany pas, ale nie miał przy nim zapasowych pocisków i nie miałam pojęcia, gdzie je trzyma. Zajrzałam do jego umysłu, ale niewiele zostało z kłębowiska myśli, nie licząc odtwarzanej w pętli sceny przyłożenia lufy do głowy pana Thorne’a, wybuchu i...

– Chodź – powiedziałam. Poprawiłam okulary na nieobecnej twarzy pana Hodgesa, schowałam rewolwer do kabury i pozwoliłam wyprowadzić się z budynku.

Na zewnątrz było bardzo ciemno. Szliśmy od latarni do latarni. Pokonaliśmy sześć przecznic, zanim gwałtowne dygotanie staruszkę przypomniało mi, że zapomniałam mu powiedzieć, by włożył płaszcz. Wzmocniłam mentalny uścisk i przestał się trząść.

Dom wyglądał tak samo jak... mój Boże... zaledwie czterdzieści pięć minut wcześniej. Nie świeciły się w nim żadne światła. Wpuściłam nas na podwórze i poszukałam kluczy w wypchanej kieszeni. Płaszcz luźno wisiał na mnie,

a zimne wieczorne powietrze dawało mi się we znaki. Zza rozświetlonych okien po drugiej stronie podwórza dobiegał śmiech dziewczynek, a ja starałam się pośpieszyć, żeby Kathleen nie zobaczyła, jak jej dziadek wchodzi do domu.

Pan Hodges wszedł jako pierwszy z rewolwerem w dłoni. Kazałam mu zapalić światło, zanim sama weszłam do środka.

Salon był pusty i nienaruszony. Światło żyrandola w jadalni odbijało się od wypolerowanych powierzchni. Na chwilę usiadłam na reprodukcji fotela Williamsburg i czekałam, aż serce mi się uspokoi. Nie kazałam panu Hodgesowi opuścić kurka w rewolwerze. Jego ręka zaczynała drżeć z wysiłku. W końcu wstałam i ruszyliśmy korytarzem do konserwatorium.

Panna Kramer wypadła zza wahadłowych drzwi kuchennych i zamachnęła się ciężkim żelaznym pogrzebaczem. Pistolet wystrzelił niegroźnie w wypolerowaną podłogę, gdy ręka staruszka złamała się pod wpływem uderzenia. Broń wypadła ze zwiotczących palców, a panna Kramer uniosła pogrzebacz, by zadać drugi cios.

Odwróciłam się i pobiegłam z powrotem korytarzem. Za sobą usłyszałam przypominający trzask pękającego melona odgłos pogrzebacza trafiającego pana Hodgesa w czaszkę. Zamiast wybiec na podwórze, wspięłam się po schodach. To był błąd. Panna Kramer również pomknęła na górę i dotarła do sypialni zaledwie kilka sekund po mnie. Zauważyłam jej rozszerzone, oszalałe oczy i uniesiony pogrzebacz, zanim zatrzasnęłam i zamknęłam na zasuwkę ciężkie drzwi. Brunetka zaczęła się na nie rzucać, ale grube dębowe płyty nawet nie drgnęły. Potem usłyszałam odgłos metalu uderzającego o drzwi i ramę. Raz za razem.

Przeklinając swoją głupotę, odwróciłam się w stronę znajomego pokoju, ale nie znalazłam w nim niczego, co mogłoby mi pomóc, nawet telefonu. Nie było nawet garderoby, w której mogłabym się schować, tylko wiekowa szafa. Szybko podeszłam do odsuwanej okna i je otworzyłam. Moje krzyki zwróciłyby uwagę ludzi, ale ten potwór wcześniej dostałby się do środka. Panna Kramer już podważała krawędzie drzwi. Wyjrzałam na zewnątrz, zobaczyłam cienie w oknie naprzeciwko i zrobiłam to, co musiałam.

Dwie minuty później ledwie zarejestrowałam trzask drewna pękającego wokół zasuwki. Usłyszałam daleki zgrzyt pogrzebacza napierającego na krnąbrną metalową płytę. Drzwi otworzyły się do środka.

Panna Kramer była złana potem. Miała rozwarte usta, a ślina spływała jej po brodzie. Jej oczy wyglądały nieludzko. Żadna z nas nie słyszała cichych kroków tenisówek na schodach za jej plecami.

Idź dalej. Podnieś go. Odciągnij do tyłu – aż do końca. Użyj obu rąk. Wyceluj.

Coś ostrzegło pannę Kramer. A raczej Ninę, ponieważ panna Kramer już nie było. Brunetka odwróciła się i zobaczyła małą Kathleen, która stała na górnym

stopniu z ciężką bronią dziadka, odbezpieczoną i wycelowaną. Druga dziewczynka była na podwórzu i wołała swoją koleżankę.

Tym razem Nina wiedziała, że musi się uporać z zagrożeniem. Panna Kramer podniosła pogrzebacz i skręciła w korytarz w chwili, gdy pistolet wystrzelił. Odrzut zrzucił Kathleen ze schodów, a nad lewą piersią panny Kramer rozkwitł czerwony bukiet. Choć jej ciało się obróciło, zdołała chwycić lewą ręką balustradę i pomknęła w dół schodów w ślad za dzieckiem. Uwolniłam dziesięciolatkę spod swojej kontroli, zanim spadł na nią grad ciosów zadawanych pogrzebaczem. Podeszłam do szczytu schodów. Musiałam to zobaczyć.

Panna Kramer podniosła wzrok znad swojego straszliwego dzieła. Na jej zbryzganej twarzy widać było tylko białka oczu. Jej męska koszula była przesiąknięta jej własną krwią, ale kobieta wciąż się poruszała i była sprawna. Lewą ręką podniosła pistolet. Szerzej otworzyła usta, z których wydobył się odgłos przypominający szum pary tryskającej ze starego kaloryfera.

– Melanie... – Zamknęłam oczy, gdy istota ruszyła w moją stronę po schodach.

Koleżanka Kathleen wpadła przez otwarte drzwi, szybko przebierając nóżkami. Pokonała schody sześcioma susami i zarzuciła pannie Kramer na szyję cienkie blade ręce.

Obie przewróciły się do tyłu, na Kathleen, po czym spadły na sam dół szerokich schodów, na wypolerowaną drewnianą podłogę.

Wyglądało na to, że dziewczynka tylko trochę się posiniaczyła. Zeszłam do niej i odsunęłam ją na bok. Na jednym z jej policzków rozlewała się niebieska plama, a na rękach i czole miała skaleczenia. Mrugała oszołomionymi niebieskimi oczami.

Panna Kramer skręciła kark. Po drodze podniosłam pistolet i odkopnęłam pogrzebacz. Głowę miała wykrzywioną pod nienaturalnym kątem, ale wciąż żyła. Była sparaliżowana i poplamiła posadzkę moczem, ale wciąż mrugała i obscenicznie szczękała zębami. Musiałam się pośpieszyć. Z kamienicy Hodgesów dobiegały dorosłe głosy. Drzwi na podwórze były szeroko otwarte. Zwróciłam się do dziewczynki.

– Wstań – poleciłam, a ona zamrugała i z trudem się podniosła.

Zamknęłam drzwi i zabrałam brązowy płaszcz przeciwdeszczowy z wieszaka. Potrzebowałam zaledwie minuty, by przełożyć do niego zawartość swoich kieszeni i odrzucić podarte wiosenne wdzianko. Głosy nawoływały z podwórza.

Uklęknęłam przy pannie Kramer, chwyciłam jej twarz obiema dłońmi i na siłę zacisnęłam jej szczęki. Jej oczy uciekły do góry, ale potrząsnęłam jej głową, aż

pojawiły się tęczęwki. Nachyliłam się nad nią, tak że zetknęłyśmy się policzkami. Mój szept był głośniejszy od krzyku.

– Idę po ciebie, Nino.

Upuściłam jej głowę na posadzkę i szybko przeszłam do konserwatorium, mojej szwalni. Nie miałam czasu przynieść klucza z góry, więc chwyciłam krzesło Windsor i roztrzaskałam szybę w gablocie. Kieszeń mojego płaszcza z trudem pomieściła jej zawartość.

Dziewczynka wciąż stała w korytarzu. Wręczyłam jej pistolet pana Hodgesa. Jej lewa ręka zwisała pod dziwacznym kątem i zaczęłam się zastanawiać, czy jednak się nie połamała. Rozległo się pukanie do drzwi i ktoś szarpnął gałkę.

– Tędy – szepnęłam i poprowadziłam dziewczynkę do jadalni.

Przeszliśmy nad ciałem panny Kramer i przecięliśmy ciemną kuchnię, podczas gdy walenie w drzwi przybierało na sile, a następnie wyszliśmy na ulicę i zanurzyliśmy się w mroku.

W tej części starej dzielnicy znajdowały się trzy hotele. Jednym był drogi, a zarazem skromny motel oddalony o dziesięć przecznic, wygodny, lecz komercyjny. Odrzuciłam go natychmiast. Drugi był niewielkim, ale przytulnym pensjonatem oddalonym zaledwie przecznicę od mojego domu. Było to przyjemne, choć niezbyt wyszukane miejsce, na jakie zapewne bym się zdecydowała podczas wizyty w innym mieście. Również je odrzuciłam. Trzeci hotel znajdował się dwie i pół przecznicy dalej. Była to stara posiadłość przy Broad Street, przekształcona w niewielki absurdalnie drogi hotel z antykami w każdym pokoju. Właśnie tam się udałam. Dziewczynka pośpiesznie szła u mojego boku. Wciąż trzymała pistolet, ale kazałam jej zdjąć sweter i nakryć broń. Bolała mnie noga i często wspierałam się na małej, kiedy szybko przemierzałyśmy ulicę.

Kierownik Mansard House mnie rozpoznał. Lekko uniośł brew, widząc mój zaniedbany wygląd. Dziewczynka stanęła kilka metrów ode mnie w przedsionku, na wpół ukryta w cieniu.

– Szukam przyjaciółki – odezwał się pogodnym tonem. – Pani Drayton.

Kierownik zaczął coś mówić, ale zaraz zamilkł, nieświadomie zmarszczył czoło, a po chwili znów się odezwał.

– Przykro mi, ale nie mieszka tutaj nikt o takim nazwisku.

– Być może zameldowała się pod swoim panińskim nazwiskiem – zasugerowałam. – Nina Hawkins. To starsza kobieta, ale bardzo atrakcyjna.

Kilka lat młodsza ode mnie. Ma długie siwe włosy. Być może zameldowała ją jej przyjaciółka... młoda ciemnowłosa dama nazwiskiem Barret Kramer...

– Nie, przykro mi – odrzekł kierownik dziwnie beznamietnym głosem. – Nie mieszka tutaj nikt o takim nazwisku. Czy chciałaby pani zostawić wiadomość, na wypadek gdyby pani przyjaciółka pojawiła się później?

– Nie – odparłam. – Żadnych wiadomości.

Wprowadziłam dziewczynkę do holu, a następnie powędrowaliśmy korytarzem prowadzącym do toalet i bocznych schodów.

– Przepraszam – odezwałam się do mijanego portiera. – Może pan będzie mógł mi pomóc.

– Słucham panią. – Przystanął, rozdrażniony, i odgarnął do tyłu długie włosy.

Wiedziałam, że nie będzie łatwo. Jeśli nie chciałam stracić dziewczynki, musiałam działać szybko.

– Szukam przyjaciółki – powiedziałam. – To starsza pani, ale całkiem atrakcyjna. Ma niebieskie oczy i długie siwe włosy. Podróżuje z młodą kobietą o ciemnych kręconych włosach.

– Nikt taki się tutaj nie zameldował, proszę pani.

Mocno chwyciłam go za przedramię. Puściłam dziewczynkę i skupiłam się na młodzieńcu.

– Jesteś pewien?

– Pani Harrison – odpowiedział, patrząc na coś za moimi plecami. – Pokój dwieście siedem. Po północnej stronie.

Uśmiechnęłam się. Pani Harrison. Dobry Boże, jaka Nina była głupia. Dziewczynka nagle cicho jęknęła i ciężko oparła się o ścianę. Podjęłam szybką decyzję. Czasem lubię myśleć, że kierowało mną współczucie, ale potem przypominam sobie, że jej lewa ręka była bezużyteczna.

– Jak masz na imię? – spytałam małą, delikatnie głaszcząc ją po włosach. Wodziła wokół wzrokiem wyraźnie oszołomiona. – Twoje imię – powtórzyłam.

– Alicia – odezwała się szeptem.

– W porządku, Alicio. Chcę, żebyś teraz wróciła do domu. Pośpiesz się, ale nie biegnij.

– Boli mnie ręka – poskarżyła się. Usta zaczęły jej drżeć. Ponownie dotknęłam jej czoła i *pchnęłam*.

– Idziesz do domu – powiedziałam. – Ręka cię nie boli. Niczego nie będziesz pamiętała. To jak sen, który zapomnisz. Idź do domu. Pośpiesz się, ale nie biegnij. – Odebrałam jej pistolet, ale nie odwinęłam go ze swetra. – Pa, pa, Alicio.

Zamrugnęła i ruszyła przez hol w stronę drzwi. Wręczyłam broń portierowi.

– Schowaj go pod kamizelką – poleciłam.

– Kto tam? – spytała Nina lekkim tonem.

– Albert, proszę pani. Portier. Pani samochód stoi przed hotelem i mogę już znieść pani bagaże.

Rozległ się szcęk otwieranego zamka i drzwi uchyliły się na długość łańcucha. Albert zamrugał pod wpływem jasnego światła, uśmiechnął się wstydliwie i odgarnął włosy do tyłu. Przywarłam do ściany.

– Dobrze. – Zdjęła łańcuch i cofnęła się od drzwi. Kiedy się odwróciła i zaczęła zamykać walizkę, weszłam do pokoju.

– Witaj, Nino – odezwałam się łagodnie.

Wyprostowała plecy, ale nawet ten ruch wykonała z gracją. Zauważyłam ślad na pościeli w miejscu, w którym leżała. Powoli się odwróciła. Miała na sobie różową sukienkę, której nigdy wcześniej nie widziałam.

– Witaj, Melanie. – Uśmiechnęła się. Jej oczy miały kolor najłagodniejszego i najczystszej błękitu, jaki widziałam.

Kazałam portierowi wyjąć pistolet pana Hodgesa i wycelować. Miał pewną rękę. Odciągnął kurek. Nina skrzyżowała ręce na piersiach. Cały czas patrzyła mi w oczy.

– Dlaczego? – spytałam.

Nina lekko wzruszyła ramionami. Przez chwilę sądziłam, że się roześmieje. Nie zniosłabym tego – tego chrapliwego, dziecinnego śmiechu, który tyle razy mnie dotknął. Zamiast tego zamknęła oczy. Nie przestawała się uśmiechać.

– Dlaczego pani Harrison? – spytałam.

– No cóż, kochana, czułam, że jestem mu coś winna. Biedny Roger. Czy mówiłam ci, jak umarł? Nie, oczywiście, że nie. A ty nigdy nie pytałaś, moja droga Melanie. – Otworzyła oczy.

Zerknęłam na portiera, ale ręka nawet mu nie drgnęła. Wystarczyło, żeby nieco mocniej nacisnęła na spust.

– Utonął, moja droga – ciągnęła Nina. – Biedny Roger rzucił się z pokładu parowca... jak on się nazywał?... tego, który zabierał go z powrotem do Anglii. To takie dziwne. Przecież dopiero co napisał do mnie list, w którym obiecał małżeństwo. Czy to nie strasznie smutna historia, Melanie? Jak sądzisz, dlaczego zrobił coś takiego? Pewnie nigdy się nie dowiemy.

– Pewnie nie – odrzekłam. Bez słowa poleciłam portierowi pociągnąć za spust.

Nic się nie stało.

Pospiesznie zerknęłam w prawo. Młodzieniec odwracał głowę w moją stronę. *Nie kazałam mu tego zrobić.* Sztywna wyciągnięta ręka zaczęła się kierować

w moją stronę. Pistolet przesuwiał się gładko jak chorągiewka na dachu poruszana wiatrem.

Nie! Napięłam się tak, że ścięgna uwidoczniły się na mojej szyi. Młodzieniec zaczął się obracać wolniej, ale nie zatrzymał się i lufa wkrótce znalazła się przed moją twarzą. Nina się roześmiała. Ten dźwięk zabrzmiał bardzo głośno w niewielkim pokoju.

– Żegnaj, Melanie, moja droga – powiedziała i ponownie parsknęła śmiechem. Skinęła głową do portiera.

Wpatrywałam się w czarny otwór, gdy opadał kurek.

Pusta komora. Potem kolejna. I jeszcze jedna.

– Żegnaj, Nino – powiedziałam, wydając z kieszeni płaszcz przeciwdeszczowego długi pistolet Charlesa.

Wybuch wstrząsnął moim nadgarstkiem i wypełnił pokój sinym dymem.

Niewielki otwór, mniejszy od dziesięciocentówki, ale także idealnie okrągły, pojawił się na samym środku czoła Niny. Przez krótką chwilę stała, jakby nic się nie stało. Potem przewróciła się do tyłu, odbiła od wysokiego łóżka i runęła twarzą na podłogę.

Odwróciłam się do portiera i podmieniłam jego bezużyteczną broń na wiekowy, ale dobrze zachowany rewolwer. Po raz pierwszy zauważyłam, że chłopak był niewiele młodszy od Charlesa. Miał włosy niemal identycznego koloru. Nachyliłam się i delikatnie pocałowałam go w usta.

– Albercie, zostały cztery pociski – wyszeptalam. – Zawsze należy liczyć amunicję, prawda? Idź do holu. Zabij kierownika. Zastrzel jeszcze jedną osobę, która będzie najbliżej. Włóż lufę do ust i pociągnij za spust. Jeśli pistolet nie wystrzeli, pociągnij jeszcze raz. Dopóki nie znajdziesz się w holu, trzymaj broń w ukryciu.

Wyszliśmy na gwarny korytarz.

– Zadzwońcie po karetkę! – zawołałam. – Wydarzył się wypadek. Niech ktoś zadzwoni po karetkę!

Kilka osób rzuciło się wykonać moje polecenie. Omdlałam i oparłam się o jakiegoś białowłosego dżentelmena. Ludzie zaczęli się kłębić, niektórzy zaglądali do pokoju i pokrzykiwali. Nagle z holu dobiegły trzy wystrzały. Korzystając z zamieszania, zbiegłam po tylnych schodach i opuściłam budynek wyjściem przeciwpożarowym.

Minął jakiś czas. Jestem tutaj bardzo szczęśliwa. Mieszkam teraz na południu Francji, pomiędzy Cannes i Toulonem, ale – na szczęście – niezbyt blisko St. Tropez.

Rzadko wychodzę z domu. Henri i Claude robią dla mnie zakupy w wiosce. Nigdy nie chodzę na plażę. Od czasu do czasu wybieram się do rezydencji w Paryżu albo do swojego domu we Włoszech, na południe od Pescary, nad Morzem Adriatyckim. Ale nawet te wyjazdy stają się coraz rzadsze.

Na wzgórzach za moim domem znajduje się opuszczone opactwo. Czasami chodzę tam, żeby posiedzieć i porozmyślać pośród kamieni i dzikich kwiatów. Myślę o izolacji, abstynencji i o tym, jakie to okrutne, że jedna jest zależna od drugiej.

Czuję się młodsza. Powtarzam sobie, że to dzięki klimatowi i wolności, a nie tamtemu ostatniemu Żerowaniu. Ale czasami śnię o znajomych ulicach Charleston i tamtejszych ludziach. To sny o głodzie.

Czasem budzi mnie śpiew, gdy dziewczęta z wioski przechodzą obok naszego domu w drodze do mleczarni. W takie dni cudownie ciepłe słońce świeci na białe kwiatki rosnące pomiędzy ruinami opactwa, a mnie wystarcza, że mogę tam być i dzielić z nimi słońce i ciszę.

Ale bywają dni – zimne i mroczne, gdy z północy nadciągają chmury – kiedy przypominam sobie cichy okręt podwodny, który jak rekin przecinał ciemne wody zatoki, i zastanawiam się, czy abstynencja, którą sobie narzuciłam, nie okaże się bezużyteczna. Zastanawiam się, czy ci, o których śnię w izolacji, oddadzą się własnemu potężnemu i ostatecznemu Żerowaniu.

Dzisiaj jest ciepło. Jestem szczęśliwa. Ale zarazem jestem sama. I bardzo, bardzo głodna.

**czas wszystek, świąty
wszystkie**

Poszukiwania Kelly Dahl

I Chiaroscuro

Obudziłem się rankiem w obozie i zauważyłem, że autostrada do Boulder zniknęła, na niebie nie ma smug kondensacyjnych, a liście osik przybrały złoty jesienny kolor, mimo że powinien być środek lata. Jednakże po podróży jeepem przez sześć kilometrów lasu i skalistych grani do podstawy Flatironów to widok morza śródlądowego sprawił, że autentycznie zamarłem.

– Niech to szlag – mruknąłem. Wysiadłem z jeepa i podszedłem do krawędzi urwiska.

Tam, gdzie powinny być pogórze i równiny, aż po horyzont i zapewne dalej ciągnęło się wielkie morze. Ospale fale pluskały na błotnistym brzegu. W miejscu, gdzie jeszcze wczoraj u podstaw piaskowcowego masywu Flatironów wznosiły się przypominające kamienne pudełka budynki Narodowego Centrum Badań Atmosferycznych, teraz były tylko porośnięte krzewami bagna i błotniste zatoczki. Po Boulder nie pozostał żaden ślad. Nie widziałem ani oazy drzew, ani niskich budynków. Autostrada 36 nie wiła się znajomym szlakiem na południowy wschód, w kierunku Denver. Wszystkie drogi zniknęły. Wzniesienia Denver zniknęły. Samo Denver zniknęło. Na wschodzie, północy i południu, tak daleko, jak okiem sięgnąć, widniało tylko morze śródlądowe. Miało szaroniebieski kolor, jak jezioro Michigan w latach mojej młodości, jego fale poruszały się leniwie, a słaby plusk kojarzył się raczej z dużym jeziorem niż z hukiem fal prawdziwego oceanu.

– Niech to szlag – powtórzyłem i wyciągnąłem remingtona z futerału ustawionego za siedzeniem kierowcy.

Używając dwudziestokrotnego powiększenia, przyjrzałem się wąwozom biegnącym między Flatironami ku bagnetom i brzegowi. Nie było tam żadnych dróg ani ścieżek, nawet wydeptanych przez zwierzęta. Postawiłem stopę na niskim głazie i wsparłem rękę na kolanie, starając się ustabilizować lunetę, po czym przesunąłem ją powoli od prawej ku lewej, trzymając się długiego, ciemnego pasa brzegu.

Ślady stóp w błocie. Jedna osoba. Wiodły od wąwozu zaczynającego się pod miejscem, w którym stałem, na czymś, co kiedyś będzie nosiło nazwę Flagstaff Mountain, aż do małej łodzi wiosłowej wyciągniętej na piasek. W łodzi nie było nikogo. Ślady od niej nie odchodziły.

Moje spojrzenie przyciągnęła nagle ruchoma plama koloru w odległości kilkuset metrów od brzegu. Uniosłem karabinek, starając się wycelować w podskakujący żółty kształt. Tuż za płycznami kołysała się boja.

Opuściłem remingtona i zbliżyłem się o krok do krawędzi. Nie miałem szans zjechać na dół jeepem. W najlepszym razie musiałbym poświęcić wiele godzin albo i dni na torowanie sobie drogi przez gęsty las sosen żółtych i wydmowych, porastających wąwóz. W dodatku musiałbym używać wyciągarki, by pokonywać wielkie głązy i niemal pionowe odcinki. Zabieranie pojazdu nie miałyby sensu. Zejście na dół na piechotę trwałoby jednak co najmniej godzinę. Ale po co? – zadałem sobie pytanie. Łódź i boja z pewnością były kolejnymi zmyłkami. Jeszcze jednym żartem Kelly Dahl. Albo próbuje wywabić mnie na wodę, gdzie byłbym łatwym celem.

– Niech to szlag – powtórzyłem po raz trzeci i ostatni.

Schowałem karabinek do futerału, wyciągnąłem niebieski plecak, upewniłem się, że racje żywnościowe, butelki z wodą i trzydziestka ósemka są na miejscu, poprawiłem nóż Ka-bar w pochwie u pasa, żeby móc go wyciągnąć jednym ruchem, wsparłem futerał karabinka o zgięcie w łokciu, po raz ostatni spojrzałem na jeepa i jego zawartość, po czym ruszyłem w długą drogę na dół.

Kelly, robisz się niechlujna, pomyślałem, ślizgając się po błotnistym stoku. Osiki służyły mi jako uchwyty. Nic się nie trzyma kupy. Spieprzyłaś to, tak samo jak wczorajszy trias.

To morze śródlądowe mogło pochodzić z kilku różnych er – na przykład późnej kredy albo środkowej jury – ale w tej pierwszej erze, jakieś siedemdziesiąt pięć milionów lat temu, wielkie morze śródlądowe sięgałoby znacznie dalej na zachód, aż poza Utah, a Góry Skaliste, które widziałem trzydzieści kilometrów na zachód stąd, dopiero rodziłyby się z pozostałości pacyficznych wysp rozproszonych na oceanie pokrywającym Kalifornię. Skalne wyniosłości Flatironów, górujące nade mną, istniałyby tylko jako miękka warstwa skał macierzystych. Natomiast gdyby chodziło o środkową jurę, prawie sto milionów lat wcześniejszą, byłoby to ciepłe, płytkie morze, sięgające od Kanady aż po brzeg ciągnący się przez północną część Nowego Meksyku. Na południe stąd byłoby wielkie słone jezioro, a błotniste obszary południowego Kolorado i północnego Nowego Meksyku tworzyłyby wąski przesmyk długości niemal trzystu kilometrów, dzielący od siebie te dwa zbiorniki wodne. Część

środkowego Kolorado, w której obecnie się znajdowałem, byłaby wyspą, ale nie byłoby na niej żadnych gór ani Flatironów.

Wszystko spieprzyłaś, Kelly. Dałbym ci dopuszczającą minus. Odpowiedzi nie było. Cholera, to za wysoka ocena. Niedostateczną. Nadal cisza.

Flora i fauna również się nie zgadzały. W jurze okolicę, przez którą schodziłem w dół, zamiast osik i sosen porastałyby wysokie, smukłe drzewa przypominające sagowce, ozdobione licznymi płatkami oraz szyszkami, a podszycia nie tworzyłyby jałowce, przez które się przedzierałem, lecz egzotyczne skrzypy zimowe, o liściach przypominających liście bananowców. W późnej kredzie flora wyglądałaby bardziej znajomo – niskie drzewa o szerokich liściach i wyniosłe iglaki – ale wszędzie pełno by było wspaniałych tropikalnych kwiatów przypominających wielkie magnolie. Ich woń unosiłaby się w wilgotnym, gorącym powietrzu.

Nie było ani gorąco, ani wilgotno. Typowa jesienna pogoda w Kolorado. Widziałem jedynie pastelowe kwiaty małych kaktusów.

Fauna również się nie zgadzała. W dodatku była nudna. Dinozaury istniały zarówno w kredzie, jak i w jurze, a jedyne zwierzęta, jakie widziałem tego pięknego poranka w pobliżu szczytów Flatironów, to kilka kruków, trzy jelenie wirginijskie oraz grupka susłów o złocistych futrach. Dopóki nie zobaczę plezjozaura wystawiającego cienką szyję z wody na dole, będę przekonany, że morze śródładowe przeniesiono do naszej ery. Przy kilku poprzednich okazjach, gdy pościg zaprowadził mnie do dawnych epok, poczułem się nieco rozczarowany. Chętnie zobaczyłbym dinozaura, choćby tylko po to, żeby się przekonać, czy Spielberg i jego specjaliści od animacji komputerowej prawidłowo odtworzyli ruchy tych stworzeń.

Kelly, robisz się niechlujna, pomyślałem raz jeszcze. Leniwa. Albo kierujesz się sentymentami i poczuciem estetyki zamiast zadbać o szczegóły. Brak odpowiedzi mnie nie zaskoczył.

Zawsze była ekscentryczna, ale dwukrotnie byłem jej nauczycielem i nie zauważyłem u niej zbytnej skłonności do sentymentalizmu.

Nie płakała, kiedy porzuciłem ją w szóstej klasie, by pracować w liceum – pomyślałem. Większość dziewczynek płakała. Kelly Dahl miała wtedy jedenaście lat. Nie okazywała też zbytnej emocji, kiedy uczyłem ją angielskiego. Ile miała wtedy lat? Siedemnaście.

A teraz próbowała mnie zabić. To również nie świadczyło o sentymentalizmie.

Wyszedłem z lasu u końca wąwozu i podążyłem za ludzkimi śladami w błocie. Morze śródładowe mogło pochodzić z jury albo z kredy, ale osoba, która tędy przechodziła, nosiła sportowe buty, sądząc po podeszwach, służące do

biegania. Czy to jest watt? Tak myślę, Morze Niobrara było wystarczająco duże, żeby mieć pływy.

W łodzi nie było nic poza dwoma wiosłami, prawidłowo wciągniętymi do środka. Rozejrzałem się wkoło, wyjąłem karabinek, by lepiej przyjrzeć się urwiskom, ale nie zauważyłem tam żadnych zagrożeń. Wrzuciłem plecak do łodzi, położyłem remingtona na kolanach i powiosłowałem ku żółtej boi.

Po cichu spodziewałem się strzału, podejrzewałem jednak, że nie zdążę go usłyszeć. Choć niedawno Kelly kilkakrotnie zmarnowała szansę, z pewnością dobrze strzelała. Gdy postanowi mnie zabić – a w tej chwili z pewnością byłem bardzo łatwym celem – będzie to mogła zrobić z dowolnego miejsca położonego na urwiskach Flatironów. Z pewnością trafi za pierwszym razem. Będę miał szansę tylko pod warunkiem, że strzał nie okaże się śmiertelny i zdążę użyć remingtona.

Zalewał mnie pot. Karabinek leżał na ławeczce za mną. Pomimo jesiennego chłodu moja koszula zrobiła się zupełnie mokra. Na tym białym jak kreda morzu byłem tylko ruchomym celem. Roześmiałem się ochryple, uświadamiając sobie własną głupotę.

Pokaż, co potrafisz, dziewczyno. Za skałami Flagstaff Mountain coś odbiło się w blasku słońca. Celownik optyczny? Przednia szyba mojego jeepa? Nie zmieniłem rytmu ruchu wiosł, żeby to sprawdzić. Pokaż, co potrafisz, dziewczyno. Nic nie mogłoby być gorsze od tego, co sam dla siebie zaplanowałem.

Żółta „boja” była w rzeczywistości plastikowym słoikiem po wybielaczu. Przywiązano do niego linkę. Pociągnąłem za nią. Do jej końca przymocowano butelkę po winie, obciążoną kamykami i zatkaną korkiem. W środku był list.

BANG. MAM CIĘ.

W dniu, gdy postanowiłem popełnić samobójstwo, zaplanowałem i przygotowałem wszystko, a potem zrealizowałem swój plan. Po co zwlekać?

O ironio, zawsze gardziłem samobójstwem i samobójcami. Papą Hemingwayem i innymi mu podobnymi, tymi, którzy włożyli sobie do ust lufę strzelby firmy Boss i pociągnęli za spust, zostawiając zwłoki u podstawy schodów, gdzie znajdzie je żona, i sufit pełen odłamków czaszki, które usuną wynajęci sprzątacze... no cóż, zawsze uważałem, że to niesmaczne pobłażanie sobie. Byłem przegrywem, pijakiem i popaprańcem, ale nikt nigdy nie musiał po mnie sprzątać, nawet w najgorszych dniach mojego alkoholizmu.

Trudno jednak wymyślić jakiś sposób, który pozwoliłby skończyć ze sobą bez pozostawiania śladów. Wejść do oceanu jak James Mason w filmie *Narodziny gwiazdy* z roku 1954? To byłoby niezłe, pod warunkiem, że silny prąd morski uniesie nasiąknięte wodą ciało albo załatwią się z nim rekiny. Ja jednak mieszkam w Kolorado, a utopienie się w jednym z tutejszych maleńkich zbiorników wodnych byłoby w najlepszym razie żałosne.

Wszystkie domowe sposoby – gaz, trucizna, powieszenie, przedawkowanie pigułek nasennych, strzelba schowana w szafce – pozostawiały kogoś z problemem Hemingwaya. Co więcej, nie znoszę melodramatycznych gestów. Uważam, że to wyłącznie mój interes, jak i dlaczego postanowię odejść. Rzecz jasna, mojej byłej żony nic by to nie obeszło, a moje jedyne dziecko nie żyje i wstyd mu już nie grozi, ale na świecie nadal pozostało kilku moich przyjaciół z dawnych dobrych dni, którzy mogliby się poczuć zdradzeni, gdyby wiadomość o mojej śmierci nadeszła naznaczona czarnym piętnem samobójstwa. Przynajmniej lubię sobie wyobrażać, że tak by było.

Wystarczyły mi niecałe trzy piwa w Bennigan's na Canyon Boulevard, by znaleźć rozwiązanie. Przygotowania i wykonanie planu wymagały jeszcze mniej czasu.

Do nielicznych rzeczy, jakie mi zostały po rozwodzie z Marią, należały jeep i sprzęt turystyczny. Nawet kiedy piłem, od czasu do czasu wybierałem się – nie zawiadamiając o tym nikogo – między wzgórze i obozowałem w pobliżu Peak to Peak Highway albo w lesie narodowym w Left Hand Canyon. Właściwie nie przepadam za ludźmi obozującymi poza miastem. Nie znoszę typków szczyjących się niszczeniem krajobrazu kołami swoich wehikułów albo skuterami śnieżnymi, a także idiotów na motocyklach, zatruwających głośną hałasem oraz spalinami. Nieraz zmuszałem jeepa do maksymalnego wysiłku, by rozbić obóz gdzieś daleko, gdzie nie będę słyszał radia ani silników samochodowych, ani nie będę musiał oglądać tłustego dupska jakiegoś winnebaggo.

Są tu szyby kopalniane. Większość z nich jest pozioma. Wgryzają się w stok góry około stu metrów, nim kończą się rumowiskiem albo wypełnia je woda. Niektóre jednak są lejami krasowymi albo korytarzami, w których nad starym szybem osunęła się ziemia. Inne są głębokimi pionowymi szybami, dawno już porzuconymi. Ich dno może znajdować się nawet sto metrów w dole, gdzie pośród skał i wody bytują jakieś oślizłe stworzenia.

Wiedziałem, gdzie można znaleźć taki szyb. Był głęboki, a jego szeroki wlot z łatwością mógłby pochłonąć mnie razem z jeepem. Znajdował się wysoko nad kanionem za Sugarloaf Mountain, daleko od drogi. Na drzewach umieszczono tablice z ostrzeżeniami, ale ktoś jadący jeepem o zmierzchu albo ciemną nocą

z łatwością mógłby do niego wpaść, jeśli był totalnym durniem. Albo znanym pijakiem.

Wieczorem siódmego lipca opuściłem Bennigan's, zabrałem obozowy ekwipunek z mieszkania na Trzydziestej Ulicy i ruszyłem na północ autostradą 36. Przez jakieś pięć kilometrów jechałem pośród wzgórz, aż wreszcie skręciłem na zachód, w Left Hand Canyon. Mimo że musiałem pokonać kilka kolejnych kilometrów trudną terenową trasą, byłem przekonany, że dotrę do szybu przed ósmą wieczorem. Będzie jeszcze wystarczająco jasno, bym mógł zrobić to, co konieczne.

Pomimo trzech piw byłem trzeźwy. Nie upiłem się naprawdę poważnie od prawie dwóch miesięcy. Byłem alkoholikiem i wiedziałem, że to nie znaczy, że wychodzę z nałogu. Po prostu nie przekraczałem granicy i cierpiałem z tego powodu.

Chciałem jednak owej nocy być prawie trzeźwy. Podobnie jak byłem prawie trzeźwy – tylko dwa piwa, być może trzy – tego wieczoru, gdy furgonetka przekroczyła linię na autostradzie 287 i uderzyła w hondę, zabijając Allana na miejscu i wysyłając mnie do szpitala na trzy tygodnie.

Kierowca furgonetki przeżył, oczywiście. Zbadali mu krew i okazało się, że miał podwyższony poziom alkoholu. Dostał wyrok w zawieszeniu i zabrali mu prawo jazdy na rok. Odniosłem poważne obrażenia, a do tego jego wina była tak oczywista, że nikt nie sprawdzał poziomu alkoholu w mojej krwi. Nigdy się nie dowiem, co by się stało, gdybym zareagował szybciej niż byłem w stanie to zrobić po tych dwóch czy trzech piwach.

Tym razem chciałem dokładnie wiedzieć, co robię. Zatrzymałem jeepa na krawędzi szerokiego na sześć metrów otworu, przełączyłem tryb na 4WD low i wjechałem na wał otaczający czarny krąg otworu.

Zrobiłem to. Nie wahałem się ani chwili. Duma mnie nie opuściła i nie napisałem jakiegoś bezsensownego listu pożegnalnego do nie wiadomo kogo. Nawet o tym nie pomyślałem. Zdjąłem z głowy bejsbolówkę, otarłem z czoła warstewkę potu, przełączyłem tryb i wjechałem na ziemny wał niczym pitbull atakujący dupę listonosza.

Wrażenie było niemal takie, jakbym wjechał na drugie wzniesienie kolejki górskiej w parku rozrywki Elitch Gardens. Miałem ochotę unieść ręce i wrzeszczeć wniebogłosy. Nie zrobiłem tego jednak. Zaciskałem dłonie na kierownicy, gdy przód jeepa zanurzył się w ciemności, jakbym wjeżdżał do tunelu. Nie włączyłem reflektorów. Widziałem tylko blade zarysy głazów, zbutwiałych belek oraz warstw granitu. Nie krzyczałem.

W ciągu kilku ostatnich dni próbowałem sobie przypomnieć wszystko, co tylko mogłem, na temat Kelly Dahl w czasach, gdy byłem jej nauczycielem w szóstej klasie, wszystkie rozmowy i kontakty między nami. Większość wspomnień jednak się zamazała. Uczyłem prawie dwadzieścia sześć lat, szesnaście w szkole podstawowej, a resztę w liceum. Twarze i nazwiska stapiają się ze sobą. Nie dlatego, że dużo wtedy piłem. Kelly była w moim ostatnim roczniku szóstoklasistek i naprawdę nie miałem wówczas problemów z alkoholem. Miałem wiele problemów, ale innego rodzaju.

Pamiętam, że zauważyłem ją już pierwszego dnia. Wszyscy nauczyciele godni tej nazwy natychmiast zwracają uwagę na tych, którzy mogą przysparzać kłopotów, tych którzy chcą się wyróżnić, lizusów, błaznów i wszelkie stereotypy występujące w szkole podstawowej. Kelly Dahl nie pasowała do żadnego z nich, ale z pewnością przyciągała uwagę. Fizycznie nie było w niej niczego niezwykłego – w wieku jedenastu lat zaczęła tracić dziecięcy tłuszcz, uwidaczniała się struktura kostna jej twarzy, ciemne włosy opadały jej do ramion i zwisały nieco w strąkach. W przeciwieństwie do innych dziewczynek nie wiązała ich w warkocze ani nie przydawała im puszystości suszarką. Prawdę mówiąc, otaczała ją lekka aura zaniedbania i ubóstwa. W latach osiemdziesiątych nauczyciele aż za dobrze poznali to wrażenie, nawet w bogatym Boulder County. Jej z reguły za małe ubrania rzadko prano i były charakterystycznie zmięte, jak coś wyciągniętego rano z kosza na brudną bieliznę albo z dna szafki. Włosy – jak już wspominałem – również rzadko myła. Z reguły utrzymywały je na miejscu tanie plastikowe spinki. Zapewne nosiła je od drugiej klasy. Miała żółtawą cerę, typową dla dzieci spędzających mnóstwo czasu przed telewizorem – choć później się dowiedziałem, że w jej przypadku nie było to prawdą. Była najbardziej niezwykłym ze wszystkich zjawisk, dzieckiem, które nigdy w życiu nie oglądało telewizji.

Bardzo niewiele z moich wyobrażeń na jej temat okazało się prawdą.

Tym, co przyciągnęło moją uwagę już tego pierwszego dnia, były jej oczy – szokująco zielone, zdumiewająco inteligentne i zaskakująco czujne, kiedy nie ukrywały się za zasłoną znudzenia albo za jej nawykiem odwracania wzroku, gdy tylko się do niej zwrócono. Pamiętam te oczy i lekko drwiący ton delikatnego dziecięcego głosu, gdy tego pierwszego dnia kilka razy ją o coś zapytałem.

Pamiętam, że czytałem tego dnia jej akta – z zasady nigdy tego nie robiłem, dopóki nie spotkałem dziecka. Zapewne sprawdziłem je dlatego, że moją uwagę przyciągnęły staranna dykcja i lekko ironiczny ton głosu Kelly, tak bardzo kontrastujące z jej wyglądem. Zgodnie z tymi informacjami Kelly Dahl mieszkała w osiedlu przyczep kempingowych na zachód od torów – w miejscu,

z którego wywodziła się większość problemów trapiących naszą szkołę – z rozwiedzioną matką oraz ojczymem. Do akt dołączono żółtą kartkę z zawiadomieniem, pochodzącą z czasów, gdy Kelly była w drugiej klasie. Napisano na niej, że do tego czasu prawa do opieki nad Kelly miał biologiczny ojciec, ale sąd nakazał zabrać dziewczynkę z tamtej rodziny z powodu pogłosek o maltretowaniu. Znalazłem informację od lokalnego pracownika opieki społecznej, który odwiedził dom, i między linijkami biurokratycznego bełkotu wyczytałem, że matka również jej nie chciała, ale podporządkowała się orzeczeniu sądu. Biologiczny ojciec pozbył się dziewczynki z wielką chęcią. Najwyraźniej była to jedna ze spraw o uwolnienie się od prawa do opieki, pod hasłem: „Ty się nią zajmij, ja mam własne życie!”. Bardzo wielu moich uczniów musiało przejść przez coś takiego. Matka przegrała, i to jej wciśnięto Kelly. Żółta kartka zawierała typowe w takich przypadkach ostrzeżenie, że nie wolno pozwolić, by dziewczynka opuściła teren szkoły z biologicznym ojcem albo rozmawiała z nim przez telefon, a gdyby zauważono, że kręci się on w okolicach szkoły, należało natychmiast zawiadomić kierownika oraz policję. Zbyt wiele naszych dzieci miało w aktach podobne ostrzeżenia.

Notatka napisana pośpiesznie przez nauczyciela Kelly z czwartej klasy informowała, że jej „prawdziwy ojciec” zginął w wypadku samochodowym poprzedniego lata i zawiadomienie należy zignorować. Kolejna wiadomość, nabazgrana u podstawy kartki napisanej na maszynie przez pracownika socjalnego, mówiła, że „ojczym” Kelly Dahl jest typowym konkubentem, obecnie na zwolnieniu warunkowym po obrabowaniu sklepu spożywczego w Arvada.

To były typowe akta.

Ale w małej Kelly Dahl nie było nic normalnego. W kilku ostatnich dniach intensywnie usiłowałem sobie przypomnieć wszystkie nasze kontakty w czasie siedmiu miesięcy tego skróconego roku szkolnego oraz ośmiu miesięcy, które spędziliśmy razem w liceum. Zdumiewa mnie, jak bardzo dziwny był to czas. Zdarza się, że ledwie mogę sobie przypomnieć nazwiska i twarze innych szóstoklasistów z tego rocznika albo naburmuszone oblicza o pięć lat starszych licealistów. Pamiętam tylko ciągle chudnącą twarz Kelly Dahl, jej zdumiewająco zielone oczy oraz cichy głos – pełen ironii w wieku jedenastu lat, a sarkastyczny i wyzywający, gdy miała ich szesnaście. Być może po dwudziestu sześciu latach pracy w zawodzie nauczyciela, po setkach jedenastolatków, szesnastolatków, siedemnastolatków i osiemnastolatków, których uczyłem – co było dla mnie źródłem wielu cierpień – przekonałem się, że Kelly Dahl była moją jedyną prawdziwą uczennicą.

A teraz próbowała mnie wykończyć. A ja ją.

II Pentimento

Obudziło mnie ciepło ognia na mojej twarzy. Nagle poczułem, że spadam. Pamiętałem ostatnie chwile świadomości, gdy wjechałem jeepem do szybu i runąłem w ciemność. Spróbowałem unieść ręce, chcąc znowu złapać za kierownicę, ale związane mi je za plecami. Siedziałem na czymś twardym. Nie na siedzeniu jeepa, tylko na ziemi. Wszędzie panowała ciemność, poza błyskiem ognia przed moimi oczami. Piekło? – pomyślałem, choć nawet w najmniejszym stopniu nie wierzyłem w tę hipotezę, nawet jeśli założyć, że nie żyłem. Poza tym płomień, który widziałem, był ogniskiem otoczonym pierścieniem kamieni.

Głowa mnie bolała, a echo tego bólu wypełniało resztę ciała. Kręciło mi się w niej, jakbym nadal spadał w jeepie na dno szybu. Spróbowałem ocenić sytuację. Znajdowałem się pod gołym niebem, siedziałem na ziemi i nadal miałem na sobie to samo ubranie, co w chwili próby samobójczej. Było ciemno i dwa metry przede mną paliło się duże ognisko.

– Niech to szlag – powiedziałem na głos. Wszystko mnie bolało, jakbym miał kaca. Znowu spieprzyłem sprawę. Upiłem się i spieprzyłem sprawę. Tylko sobie wyobraziłem, że wjechałem do tego szybu. Niech to chuj.

– Niczego pan nie spieprzył – dobiegł z ciemności przede mną wysoki, cichy głos. – Naprawdę pan do niego wjechał.

Poderwałem się nagle i zacząłem się odwracać, by sprawdzić, kto do mnie mówi, ale nie mogłem swobodnie poruszać głową. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że mam sznury na klatce piersiowej. Przywiązano mnie do czegoś, być może do pniaka albo do głazu. Spróbowałem sobie przypomnieć, czy tę ostatnią myśl wypowiedziałem na głos. Głowa bolała mnie koszmarne.

– To bardzo ciekawy sposób na popełnienie samobójstwa – kontynuował kobiecy głos. Byłem pewien, że to kobieta. Głos miał w sobie coś niepokojąco znajomego.

– Gdzie pani jest? – zapytałem.

Mój głos zabrzmiał ochryple. Odwróciłem głowę tak daleko, jak tylko mogłem, ale ujrzałem jedynie lekkie poruszenie w cieniu za moimi plecami. Kobieta krążyła tuż za granicą światła ogniska. Siedziałem oparty o niski gład. Moją klatkę piersiową łączyło z nim pięć pętli sznura. Czułem kolejny sznur, krępujący z tyłu moje nadgarstki.

– Nie chce pan zapytać, kim jestem? – zabrzmiał dziwnie znajomy głos. – Żeby mieć to z głowy?

Przez krótką chwilę milczałem. Głos i jego lekko drwiący ton były tak bardzo znajome, że miałem pewność, iż potrafię sobie przypomnieć, do kogo należą, zanim będę musiał o to zapytać. Ktoś znalazł mnie pijanego w lesie i związał. Po

co? Maria mogłaby to zrobić, gdyby była gdzieś blisko, ale wyjechała do Gwatemali z nowym mężem. Były też dawne kochanki, które nie lubiły mnie tak bardzo, że mogłyby mnie związać i porzucić w lesie – a nawet gorzej – ale ten głos nie należał do żadnej z nich. Oczywiście, w zeszłym roku czy w dwóch ostatnich budziłem się u boku wielu nieznanym kobiet... a kto powiedział, że muszę znać tę osobę? Równie prawdopodobne było, że jakaś wariatka znalazła mnie w lesie, uświadomiła sobie, że jestem pijany i mogę być skłonny użyć przemocy – kiedy jestem kompletnie zalany, często krzyczę i recytuję poezję – i postanowiła mnie skrępować. To miałoby sens, gdyby nie to, że nie przypominałem sobie, żebym się upił, bóle, które czułem, nie przypominały typowego kaca, a poza tym, po co nawet szalona kobieta miałaby mnie związać? Co więcej, pamiętałem, jak wjechałem tym pierdolonym jeepem do szybu.

– Poddaje się pan, panie Jakes? – zapytał głos.

Pan Jakes. Ten szczególny ton. Dawna uczennica...

Potrząsnąłem głową z bólu, starając się pomyśleć. Ten ból był inny niż kacowy, gorszy i głębszy.

– Proszę mi mówić Roland – zaproponowałem ochrypłym głosem. Mrużyłem powieki oślepionych płomieniami oczu, starając się znaleźć chwilę na zastanowienie.

– Nie mogłabym, panie Jakes – sprzeciwiła się Kelly Dahl. Weszła w światło i przykucnęła między mną a ogniskiem. – Jest pan panem Jakesem i nie potrafiłabym zwracać się do pana inaczej. Poza tym Roland to głupie imię.

Skinąłem głową. Poznałem ją natychmiast, mimo że minęło sześć albo siedem lat, odkąd widziałem ją po raz ostatni. W liceum ufarbowała sobie włosy na mroźny blond i ostrzygła się na punka, prawie na irokeza. Nadal były krótko i nierówno ostrzyżone, koloru fałszywego blondu z ciemnymi odrostami, ale nie miały już nic wspólnego z punkiem. Kiedy miała jedenaście lat, jej oczy były wielkie i błyszczące, a w wieku siedemnastu lat zrobiły się jeszcze większe i pełne znużonego narkotykowego blasku. Teraz były po prostu duże. Cienie pod oczami, nieodłączne w liceum, zniknęły, choć mógł to być efekt światła ogniska. Nie była tak koścista i chuda jak w tamtych czasach – już nie tylko skóra i kości, jakby koka, crack, czy co tam właściwie wtedy brała, wyżerało ją od środka. Nadal jednak była tak szczupła, by trzeba było poszukać wzrokiem piersi, żeby się upewnić, że jest kobietą. Tej nocy włożyła dzinsy, buty robocze, luźną flanelową koszulę na ciemny podkoszulek, a na głowie miała czerwoną chustę. W blasku ognia jej policzki i czoło wydawały się bardzo różowe. Krótkie włosy wysuwały się spod chusty nad uszami. W prawej dłoni trzymała od niechcienia duży nóż. Przykucnęła przede mną.

– Cześć, Kelly – odezwałem się.

- Cześć, panie Jakes.
- Chcesz mnie rozwiązać?
- Nie.

Zawahałem się. W jej głosie nie słyszało się dawnego tonu przekomarzającego się dziecka. Rozmawialiśmy ze sobą jak dwie dorosłe osoby. Ona miała dwadzieścia parę lat, a ja ponad pięćdziesiąt, prawie sto.

- Ty mnie związałaś, Kelly?
- Jasne.
- A po co?
- Za parę minut się pan dowie, panie Jakes.
- W porządku.

Spróbowałem się odprężyć, oprzeć wygodnie o głaz, jakby wjeżdżanie jeepem do szybu i grożenie nożem przez dawną uczennicę było dla mnie czymś codziennym. Czy rzeczywiście grozi mi nożem? Trudno to było określić. Trzymała go swobodnie, ale jeśli nie zamierzała przeciąć mi więzów, to po co właściwie go potrzebowała? Kelly zawsze była uczuciowa, niezwykła, niezrównoważona. Zadałem sobie pytanie, czy nie oszalała całkowicie.

– Nie całkowicie, panie Jakes. Ale niewiele mi brakuje. Tak przynajmniej myśleli ludzie... kiedy jeszcze byli jacyś ludzie.

Zamrugalem ze zdziwienia.

- Czytasz w moich myślach, Kelly?
- Jasne.

– W jaki sposób? – zapytałem. Być może moja próba samobójcza okazała się nieudana i ta scena była tylko majakiem uszkodzonego mózgu, a w rzeczywistości pograżyłem się w śpiączce i leżałem w jakimś szpitalu. Albo na dnie szybu.

– *Mu* – odpowiedziała Kelly Dahl.

– Słucham?

– *Mu*. Niech mi pan nie wmawia, że nie pamięta.

Pamiętałem. To było, gdy uczyłem ją w liceum... nie, w szóstej klasie. Chińskie słowo *mu*. Na podstawowym poziomie znaczy po prostu „tak”, ale na głębszym mistrz zen często posługuje się nim, gdy uczeń zada mu głupie, bezsensowne albo oparte na błędnych założeniach pytanie, na które nie da się odpowiedzieć, na przykład „czy pies ma naturę Buddy?”. Mistrz może jedynie odpowiedzieć *mu*, co znaczy, mówię „tak”, ale myślę „nie”, a właściwa odpowiedź powinna brzmieć „cofnij to pytanie”.

– No dobra – zgodziłem się. – W takim razie powiedz mi, dlaczego mnie związałaś.

– *Mu* – odpowiedziała Kelly Dahl i wyprostowała się. Klinga jej noża błyszczała w blasku ognia.

Wzruszyłem ramionami, choć ciasne więzy raczej pozbawiły ten ruch wdzięku.

– W porządku – odrzekłem. Byłem zmęczony, przerażony, zdezorientowany i zły. – Pierdolę to.

Jeśli potrafisz czytać w moich myślach, przeczytaj to, cholerna neurotyczko. Wyobraziłem sobie uniesiony środkowy palec. A teraz usiądź na nim i poobrać się trochę.

Kelly Dahl parsknęła śmiechem. Kiedy była w szóstej klasie, śmiała się bardzo rzadko, ale to był ten sam charakterystyczny dźwięk, który kilkakrotnie słyszałem wtedy. Dziki, ale nie do końca szalony, miły, lecz stanowczo zbyt ostry, by można go było nazwać słodkim.

A teraz przykucnęła przede mną, celując klingą długiego noża prosto w moje oczy.

– Jest pan gotowy rozpocząć grę, panie Jakes?

– Jaką grę?

Nagle zaschło mi w ustach.

– Będę zmieniała niektóre rzeczy – oznajmiła w odpowiedzi. – Niektóre zmiany mogą się panu nie spodobać. W takim przypadku będzie pan musiał mnie znaleźć i powstrzymać.

Oblizalem wargi. Podczas jej krótkiej przemowy nóż był całkowicie nieruchomy.

– W jaki sposób?

– Powstrzymać mnie. Zabić, jeśli okaże się to konieczne. Powstrzymać.

Niech to szlag. Biedna dziewczyna jest szalona.

– Być może – przyznała. – Ale gra będzie ciekawa.

Pochyliła się nagle ku mnie i przez oszłamiającą chwilę myślałem, że chce mnie pocałować, ale ona wsunęła ostrze na płask pod sznury i pociągnęła lekko. Guziki puściły. Czubek stalowego ostrza dotknął podstawy mojej szyi.

– Ostrożnie...

– Psst – wyszeptała Kelly Dahl i pocałowała mnie lekko. Jej dłoń przesunęła się szybko od lewej do prawej i sznury się rozstały, jak przecięte skalpelem.

Kiedy się odsunęła, wstałem... spróbowałem wstać... ale moje nogi były uśpione i zatoczyłem się do przodu. Wpadłbym w ognisko, gdybym nie wsparł się niezgrabnie na ramionach i dłoniach, równie nieczułych jak kłody leżące w płomieniach.

– Niech to szlag – wymamrotałem. – Cholera, Kelly, to nie było bardzo...

Udało mi się podźwignąć na kolana i skierowałem się w jej stronę, odwracając się tyłem do ogniska.

Zobaczyłem, że rozpalono je na polanie na paśmie wzgórz. Nie poznawałem tego miejsca, ale z pewnością znajdowało się daleko od szybu, do którego wjechałem. Dostrzegłem w mroku kilka głazów, a nad sosnami lśniła Droga Mleczna. Mój jeep stał w odległości około sześciu metrów. Nie zauważyłem żadnych uszkodzeń, ale było ciemno. Pojawił się wietrzyk i gałęzie sosen kołysały się lekko. Słyszałem cichy szum i czułem intensywną woń igliwia.

Kelly Dahl zniknęła.

Kiedy byłem na studiach nauczycielskich – niedawno zakończyłem służbę w armii i nie miałem pojęcia, dlaczego postanowiłem wybrać ten zawód, pomijając fakt, że nie potrafiłem sobie wyobrazić żadnego zajęcia, które bardziej by się różniło od dźwigania plecaka przez wietnamską dżunglę – jedno z podstępnych pytań zadawanych przez egzaminatorów brzmiało: „Czy chce pan być mędrcelem na scenie, czy przewodnikiem u boku?”. Miało to znaczyć, że są dwa rodzaje nauczycieli – „mędrce”, zachowujący się jak amfory pełne wiedzy, którą od czasu do czasu przelewali do pustych naczyń, jakimi byli uczniowie, oraz „przewodnicy”, prowadzący uczniów ku wiedzy przez podsycanie ich ciekawości i żądzy poznania. Rzecz jasna, poprawna odpowiedź brzmiała, że nauczyciel powinien być „przewodnikiem”, nie narzucać dziecku własnej wiedzy, lecz prowadzić je do poznania samego siebie.

Wkrótce jednak przekonałem się, że nauczanie sprawia mi przyjemność tylko wtedy, gdy gram rolę mędrca. Wylewałem wiedzę, fakty, spostrzeżenia, pytania, wątpliwości i wszystko inne, czym dysponowałem, prosto ze swej przepełnionej amfory do około dwudziestu pięciu pustych naczyń. Najprzyjemniej było uczyć szóstoklasistów, bo ich naczyń nie wypełniły jeszcze tworzone przez społeczeństwo szczyiny łośia oraz czysta dezinformacja.

Na szczęście nie brakowało tematów, którymi byłem szczerze zainteresowany i o których co nieco wiedziałem, i czułem niewinne pragnienie podzielenia się tą wiedzą z uczniami: moją pasją były historia i literatura, kochałem astronautykę i lotnictwo, w college’u zapoznałem się z ekologią, uwielbiałem interesującą architekturę, umiałem rysować i opowiadać historie, fascynowały mnie dinozaury i geologia, lubiłem pisać, bardzo dobrze radziłem sobie z komputerami, nienawidziłem wojny, lecz jednocześnie miałem obsesję na punkcie militariów, na własne oczy widziałem wiele odległych miejsc na

świecie, kochałem podróże i pragnąłem zobaczyć wszystkie takie miejsca, miałem dobre wycucie kierunku, wypaczone poczucie humoru, głęboko fascynowało mnie życie historycznych postaci, takich jak Lincoln, Churchill, Hitler, Kennedy albo Madonna, miałem skłonność do dramatyzowania, miłość do muzyki skłaniała mnie na przykład do tego, że kazałem wszystkim uczniom szóstej klasy położyć się w parku po drugiej stronie ulicy w ciepły wiosenny albo jesienny dzień, zabierałem ze szkoły dwudziestometrowy przedłużacz, żeby podłączyć swój odtwarzacz stereo do gniazdka w pobliżu parkowych toalet. Dźwięki Vivaldiego, Beethovena, Mozarta albo Rachmaninowa często irytowały innych nauczycieli, którzy potem skarżyli się, że musieli zamykać okna w klasach, żeby nie rozpraszać uczniów...

Te pasje wystarczyły, bym mógł pozostać mędrcom na scenie przez dwadzieścia sześć lat. *Niektóre z tych lat były dobre* – jak głosił napis, który widziałem na czyimś nagrobku.

Jeden z incydentów powiązanych z Kelly Dahl wydarzył się podczas tygodnia zajęć ekologicznych dla szóstoklasistów, który ogłosiły władze szkolne w czasach, gdy miały jeszcze pieniądze na organizowanie wycieczek. W rzeczywistości mieliśmy lekcje poświęcone ekologii na wiele tygodni przed wycieczką, ale uczniowie najlepiej zapamiętali trzy dni spędzone w starym domu we Front Range w Górach Skalistych. Władze szkolne nazwały te trzy dni i dwie noce spędzone na zajęciach w terenie Okresem Budowania Świadomości Ekologicznej, ale uczniowie i nauczycieli woleli nazwę ekotydzień.

Pamiętam ciepły dzień późnego września, kiedy zawiozłem w góry klasę Kelly Dahl. Dzieciaki nocowały w starym, przewiewnym domu. Poszliśmy na wycieczkę i godzinę przed obiadem zaprowadziłem je do odległego o niespełna pół kilometra żeremia, żeby zrobić testy pH wody i zaliczyć występ mędrca od nauki. Pokazałem im wierzbówkę porastającą przebudowany przez bobry brzeg – *Epilobium angustifolium* dodałem, ponieważ nigdy nie wahałem się urozmaicać wywodu łacińskimi nazwami, a następnie kazałem im znaleźć trochę pustych nasion tej rośliny na brzegu albo na nieruchomej tafli wody. Pokazałem im złote liście osiki i wyjaśniłem dlaczego się trzęsą – górna powierzchnia liścia otrzymuje za mało światła dla fotosyntezy i dlatego liść jest połączony z łodyżką pod kątem pozwalającym mu drzeć, dzięki czemu obie strony mogą otrzymywać światło. Opowiedziałem też, że osiki klonują się za pośrednictwem korzeni i rozległy gaj, który widzieliśmy, w pewnym sensie jest jednym organizmem. Pokazałem im późne astry i dzikie chryzantemy, w ostatnich dniach, zanim zabójcze wiatry zimy położą im kres aż do wiosny, i kazałem dzieciom szukać czerwonych liści pięciorników, poziomek i geraniów.

W tej właśnie chwili, gdy zainteresowane dzieci otoczyły mnie kręgiem, pokazując palcami leżące na ziemi czerwone liście i ciężkie od galasów gałęzie, Kelly Dahl zapytała:

– Dlaczego musimy się uczyć tego wszystkiego?

Pamiętam, że westchnąłem.

– Masz na myśli nazwy tych roślin? – zapytałem.

– Tak.

– Nazwa jest instrumentem, który naucza – odpowiedziałem, przywołując cytaty z Platona, na który powoływałem się już nieraz – i służy do rozpoznawania natury rzeczy⁵.

Kelly Dahl skinęła lekko głową i spojrzała prosto na mnie. Jej zdumiewająco zielone oczy ostro kontrastowały z tanią kurtką i sztruksowymi spodniami ze sklepu z używaną odzieżą.

– Ale nie można nauczyć się wszystkiego – zauważyła tak cicho, że inne dzieci musiały się pochylać, żeby usłyszeć jej głos, zagłuszany przez szum łagodnego wietrzyku, który przed chwilą się pojawił. To była jedna z rzadkich chwil, gdy cała klasa skupiała się na czymś, co powiedziano.

– Nie można się nauczyć wszystkiego – zgodziłem się. – Ale jeśli nauczymy się choć trochę, możemy bardziej cieszyć się naturą.

Kelly Dahl potrząsnęła głową. Niemal niecierpliwie, pomyślałem wówczas.

– Nie rozumie pan – stwierdziła. – Jeśli nie rozumie pan całości, nie rozumie pan nic. Natura to... wszystko. Wszystko pomieszane ze sobą. Nawet my jesteśmy jej częścią, zmieniamy ją przez sam fakt swego istnienia i przez to, że próbujemy ją zrozumieć...

Przerwała. Gapiłem się na nią ze zdumieniem. Z pewnością po raz pierwszy podczas trzech tygodni, które spędziliśmy razem, słyszałem, by to dziecko powiedziało tak wiele za jednym razem. W dodatku wszystko to było absolutnie słuszne, choć – jak wtedy sądziłem – nie miało wielkiego związku ze sprawą.

Milczałem przez chwilę, próbując sformułować odpowiedź zrozumiałą dla wszystkich dzieci.

– Chciałam powiedzieć... – podjęła Kelly, najwyraźniej bardziej poirytowana własną nieumiejętnością jasnego sformułowania swych myśli niż moją niezdolnością ich zrozumienia – ...że jeśli nauczymy się tylko trochę, to będzie tak, jakbyśmy podarli ten obraz, o którym opowiadał pan we wtorek... ten z kobietą...

– Monę Lizę – podpowiedziałem.

– Tak. Jakbyśmy podarli Monę Lizę na drobne kawałeczki i rozdali każdemu po jednym, żeby mógł nacieszyć się obrazem i zrozumieć go.

Znowu przerwała i zmarszczyła lekko brwi. Nie wiedziałem, czy martwi się metaforą, której użyła, czy faktem, że w ogóle zabrała głos.

Na dłuższą chwilę w osikowym gaju przy źeremiu zapadła cisza. Przyznaję, że zabrakło mi słów.

– A co twoim zdaniem powinniśmy zrobić zamiast tego, Kelly? – zapytałem wreszcie.

Wycofała się w siebie tak głęboko, że w pierwszej chwili myślałem, że mi nie odpowie.

– Zamknąć oczy – rzekła jednak cicho po chwili.

– Co? – zdziwiłem się, nie słysząc jej wyraźnie.

– Zamknąć oczy – powtórzyła Kelly Dahl. – Jeśli chcemy patrzeć na to wszystko, moglibyśmy przynajmniej używać czegoś innego niż wielkie słowa.

Wszyscy zamknęliśmy oczy bez słowa komentarza – grupa z reguły krnąbrnych szóstoklasistów i ja. Po dziś dzień pamiętam bogactwo doznań z kilku następnych minut: przypominający toffi i terpentynę zapach żywicy sosen żółtych, kojarzącą się lekko z ananasami woń dzikiego rumianku, słodczy suchych, zakurzonych liści osik, równie słodki aromat rozkładu płynący od łąkowych grzybów, takich jak *lactarius* i *russula*, ostry odór wodnej roślinności pochodzący od rżęsy na stawie, a pod tym wszystkim ciepły aromat ogrzanej słońcem ziemi i sosnowych igieł pod naszymi stopami. Pamiętam promienie słońca ogrzewające mi twarz, dłonie i skryte w dżinsach nogi, choć od tego wrześnieowego popołudnia minęło już wiele lat. Dźwięki z tych kilku minut przypominam sobie z niezwykłą wyrazistością: cichy plusk wody spływającej po skleconej z patyków i błota tamie bobrów, szelest suchych powojników i postukiwanie kruchych łodyg goryczki na wietrze, odległy werbel dzięcioła w lesie od strony Mount Meeker i – tak nagły, że aż wstrzymałem oddech – łopot skrzydeł bernikli kanadyjskich, których stado pojawiło się nagle nisko nad wodą i, nie wydając z siebie żadnego odgłosu, skręciło na południe, w stronę autostrady i znajdujących się w jej okolicy większych zbiorników wodnych. Myślę, że nikt z nas nie otworzył oczu, nawet gdy gęsi przeleciały tuż nad nami. Nie chcieliśmy, żeby czar prysł. To był nowy świat, a Kelly Dahl stała się – niewątpliwie choć niewytłumaczalnie – naszą przewodniczką po nim.

Do wczorajszego dnia w ogóle nie pamiętałem o tej chwili.

Rankiem następnego dnia po tym, jak mnie związała, Kelly Dahl zniecka zaatakowała mojego jeepa.

Czekałem do wschodu słońca, nim podjąłem próbę znalezienia drogi powrotnej do Boulder. Noc była zbyt ciemna, las za gęsty, a głowa znowu mnie bolała, by spróbować zjechać z góry po ciemku. Poza tym mógłbym wpaść do szybu, pomyślałem.

Rankiem głowa ciągle mnie bolała, a las nadal był gęsty. Nigdzie nie widziałem śladów opon jeepa. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób Kelly zdołała przenieść go w to miejsce. Jednak przynajmniej widziałem samochód i byłem w stanie go prowadzić. Było na nim mnóstwo uszkodzeń i zadrapań – wgnieciony błotnik, łuszczący się lakier i długa rysa na prawych drzwiach, ale wszystko to były stare rany. Po upadku do głębokiego na sto metrów szybu nie pozostał żaden ślad. Kluczyki tkwiły w stacyjce, portfel nadal miałem w tylnej kieszeni spodni, a sprzęt turystyczny leżał z tyłu samochodu. Kelly Dahl mogła być szalona, ale nie była złodziejką.

Potrzebowałem około godziny, by dotrzeć do szybu, do którego wczoraj wjechałem, i prawie trzech kolejnych, by wrócić do Boulder. Znalazłem się cholernie daleko za Sugarloaf Mountain i Gold Hill, na północny wschód od Jamestown, prawie przy Peak to Peak Highway. Nie miałem pojęcia, dlaczego Kelly Dahl zawlokła mnie tak daleko... chyba że cały upadek do szybu był halucynacją i w rzeczywistości znalazła mnie gdzie indziej. To jednak nie miałyby sensu. Postanowiłem zapomnieć o tej zagadce do chwili, gdy będę mógł wrócić do domu, wziąć prysznic, łyknąć parę tabletek aspiryny, nalać sobie trochę szkockiej i zacząć nowy dzień.

Powinienem był się zorientować, że coś nie jest w porządku, na długo przed dotarciem do Boulder. Gdy wydostałem się z lasu i ruszyłem na wschód szosą w Left Hand Canyon, zauważyłem, że nie jadę po asfalcie, lecz po pełnym łat betonie. Restauracja Greenbriar położona u wylotu kanionu, w miejscu, gdzie szosa spotyka się z autostradą 36, wyglądała dziwnie. Spoglądając wstecz, uświadamiam sobie, że parking był mniejszy, wejście i drzwi pomalowano na inny kolor, a w miejscu, gdzie od wielu lat był kwietny ogród, rosła wielka topola. Podczas krótkiej jazdy na południe do Boulder zaobserwowałem też inne drobiazgi – pas awaryjny autostrady 36 był za wąski, fabryka Beechcraft, po stronie wzgórz od autostrady wyglądała na czynną, mimo że stała pusta od dziesięcioleci. Ale ponieważ dręczył mnie ból głowy i cały czas rozmyślałem o Kelly Dahl i mojej spieprzonej próbie samobójczej, nie zauważyłem żadnego z tych szczegółów.

Na autostradzie nie było żadnego ruchu. Ani jednego samochodu osobowego, furgonetki ani rowerzysty. To ostatnie było szczególnie niezwykle, ponieważ ci fani obcisłych strojów pojawiają się tam każdego pogodnego dnia w roku. Tym

razem nie było nikogo. Te dziwne fakty nie przyciągały jednak mojej uwagi, dopóki nie znalazłem się na North Broadway w Boulder.

Ani jeden samochód nie jechał. Mnóstwo ich parkowało przy krawężnikach, ale wszystkie były puste. Nie widziałem żadnych rowerzystów ani pieszych na chodnikach. Dopiero gdy znalazłem się blisko centrum handlowego dla pieszych na Pearl Street, uświadomiłem sobie, że miasto jest całkowicie opustoszałe.

Jezu Chryste, pomyślałem. Może wybuchła wojna jądrowa... i wszystkich ewakuowano.

Potem sobie przypomniałem, że zimna wojna się skończyła a rada miejska Boulder kilka lat temu, z powodów nieznanych reszcie ludzkości, postanowiła zignorować plany ewakuacji na wypadek wojny. Radni z Boulder lubili uchwalać podobne rzeczy, na przykład ogłosili miasto strefą bezatomową, co zapewne oznaczało, że lotniskowce wyposażone w broń jądrową przestaną zawijać do miejscowego portu. Zapewne nie zarządzono by ewakuacji, nawet gdyby doszło do stopienia rdzenia w odległej o dziesięć kilometrów fabryce broni jądrowej. Większość politycznie poprawnych obywateli Boulder wolałaby udać się na demonstrację przeciwko skażeniu niż się ewakuować.

W takim razie gdzie są wszyscy? Po dotarciu do centrum handlowego dla pieszych na Pearl Street zwolniłem maksymalnie.

Centrum zniknęło. Nie było drzew, ogrodów na wzgórzach, gustownych wyłożonych cegłą ścieżek, klombów, żebraków, budki z hot dogami Freddy'ego, skateboardzistów, ulicznych muzyków, handlarzy narkotyków, ławek, kiosków ani budek telefonicznych. Wszystko to ulotniło się bez śladu.

Ale sama Pearl Street nadal istniała. Wyglądała tak, jak w czasach, zanim wypełniły ją wyłożone cegłami ścieżki, klomby i uliczni muzycy. Skręciłem w lewo i powoli ruszyłem pustym bulwarem, zauważając drogerie, sklepy z ubraniami i tanie restauracje tam, gdzie jeszcze niedawno były drogie butiki, markety z pamiątkami i salony z lodami firmy Häagen-Dazs. Tak właśnie wyglądała Pearl Street, gdy przybyłem do Boulder we wczesnych latach siedemdziesiątych. Zwyczajna ulica, na której czynsze wynosiły tyle, że mogli sobie na nie pozwolić zwyczajni najemcy.

Po chwili uświadomiłem sobie, że to rzeczywiście jest Pearl Street z wczesnych lat siedemdziesiątych. Minąłem Fred's Steakhouse, do którego czasem chodziliśmy w piątki z Marią na steki, gdy udało się nam zaoszczędzić trochę pieniędzy. Fred skapitulował przed czynszami centrum handlowego dla pieszych... kiedy? ...co najmniej piętnaście lat temu. Było też stare kino, w którym wyświetlano *Szepty i krzyki* Bergmana. Zamknięto je co najmniej dziesięć lat temu. Nie pamiętałem, w którym roku nakręcono *Szepty i krzyki*, ale

miałem wrażenie, że widzieliśmy je z Marią, zanim przenieśliśmy się do Boulder, po zwolnieniu mnie z wojska w sześćdziesiątym dziewiątym.

Nie będę wyliczał dalszych anomalii. Stare samochody przy krawężnikach, antyczne znaki drogowe, antywojenne graffiti na murach oraz znaki „stop”. Jechałem do swego mieszkania na Trzydziestej Ulicy tak szybko, jak tylko mogłem, ledwie zauważając, że Crossroad Mall na końcu Canyon Boulevard jest na miejscu, ale znacznie mniejszy niż przedtem.

Budynku, w którym mieszkałem, nie było w ogóle.

Podniosłem się z siedzenia kierowcy i przez chwilę gapiłem się na pola, drzewa i stare garaże, stojące w miejscu, gdzie powinien być mój kompleks apartamentowców. Miałem ochotę krzyczeć. Nie chodziło o to, że zniknęło moje mieszkanie, ubrania, czy kilka pamiątek z życia, które zostawiłem już za sobą – zdjęcia z Marią, na które nigdy nie spoglądam, stare softballowe trofea, plakietka dla finalisty konkursu na nauczyciela roku w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Straciłem wszystkie butelki szkockiej.

Nagle uświadomiłem sobie, że to wyjątkowo głupia reakcja, i wyruszyłem na poszukiwania sklepu z alkoholem. Szybko trafiłem na stary rodzinny sklepik na Dwudziestej Ósmej, tam, gdzie jeszcze wczoraj była minigaleria. Wszedłem do środka przez otwarte drzwi, krzyknąłem, nie zdziwiłem się, gdy nikt nie odpowiedział, wziąłem sobie trzy butelki „Johnnie Walkera”, zostawiłem na ladzie trochę banknotów – mogłem być szalony, ale nie byłem złodziejem – i ruszyłem na pusty parking, żeby się napić i wszystko przemyśleć.

Muszę przyznać, że właściwie nie próbowałem tego wyprzeć. Z jakiegoś powodu wszystko się zmieniło. Nie rozważałem poważnie możliwości, że umarłem albo, że to było jak „utracony rok” w serialu „Dallas” przed kilku laty i ocknę się z Marią pod prysznicem, Allan będzie się bawił w swoim pokoju, a moja posada nauczyciela będzie bezpieczna. Odzyskam całe swe życie. Nie, to wszystko było rzeczywiste – moje zaszpane życie i to dziwne... miejsce. To było Boulder, ale takie, jak dwadzieścia pięć lat temu. Byłem wstrząśnięty, gdy sobie uświadomiłem, że jest tak małe i prowincjonalne.

A także puste. Nad Flatironami krążyły jakieś wielkie ptaki drapieżne, ale Boulder nadal pozostawało martwe. Spokoju nie mąciły nawet odległe odgłosy ruchu ulicznego ani huk odrzutowców. Ich brak uświadomił mi, jak bardzo oczywiste wydają się te dźwięki mieszcuchowi takiemu jak ja.

Nie wiedziałem, czy to było jakieś popaprane przypadkowe zaburzenie czasoprzestrzennego kontinuum, jakaś awaria infundybuły chronosynklastycznej. Podejrzywałem jednak, że tak nie jest. Podejrzywałem, że wszystko to ma coś wspólnego z Kelly Dahl. Taki etap osiągnęły moje

spekulacje w chwili, gdy wypilem pierwszą połowę pierwszej butelki „Johnnie Walkera”.

I wtedy zadzwonił telefon. To był stary aparat na wrzucane monety, na murze sklepu z alkoholem dwadzieścia kroków ode mnie. Nawet cholerne telefony się zmieniły. Na obudowie widniała nazwa Bell Telephone, a nie U.S. West czy jakiejś konkurującej z nią firmy. W metalu wytłoczono stare logo Bella. Obudziło to we mnie dziwną nostalgię.

Pozwoliłem, żeby telefon zadzwonił dwanaście razy, nim wreszcie postawiłem butelkę na masce jeepa i podszedłem nieśpiesznie do aparatu. Może dzwonił Bóg, chcąc mi wyjaśnić, że nie żyję, ale zasłużyłem tylko na otchłań, ponieważ ani w niebie, ani w piekle mnie nie chciano.

– Halo?

Mój głos mógł zabrzmieć trochę śmiesznie. Z pewnością brzmiał tak dla mnie.

– Cześć, panie Jakes.

To była Kelly Dahl, oczywiście. Nie spodziewałam się, że usłyszę głos Boga.

– Co słychać, dziewczyno?

– Mnóstwo ciekawych rzeczy – odpowiedział cichy, wysoki głos. – Jest pan już gotowy rozpocząć grę?

Zerknąłem na butelkę, żałując, że nie przyniosłem jej tu ze sobą.

– Grę?

– Nie poluje pan na mnie.

Odłożyłem słuchawkę, podszedłem do jeepa, pociągnąłem łyk i powoli wróciłem do telefonu.

– Jesteś tam, dziewczyno?

– Tak.

– Nie obchodzą mnie twoje gry. Nie chcę na ciebie polować, zabić cię ani mieć z tobą cokolwiek do czynienia. *Comprendé?*

– *Oui.*

To była kolejna gra, w którą bawiliśmy się z Kelly, kiedy była w szóstej klasie. Zaczynaliśmy zdania w jednym języku, przechodziliśmy do drugiego, a wreszcie kończyliśmy je w trzecim. Nigdy nie zapytałem jej o to, jak to możliwe, że w tak młodym wieku opanowała podstawy co najmniej sześciu języków.

– W porządku – podjąłem. – Zostawiam cię. Uważaj na siebie, dziewczyno. I trzymaj się z dala ode mnie, do chuja ciężkiego. *Ciao.*

Odłożyłem gwałtownie słuchawkę i przyglądałem się jej ostrożnie przez co najmniej dwie minuty. Telefon już nie zadzwonił.

Drugą butelkę położyłem na podłodze jeepa, żeby się nie potłukła, i ruszyłem na północ Dwudziestą Ósmą Ulicą, aż wreszcie dotarłem do Diagonal – czteropasmowej autostrady prowadzącej na północny wschód do Longmont, a potem biegnącej wzdłuż szeregu miasteczek we Front Range. Pierwszym, co zauważyłem, był fakt, że autostrada jest dwupasmowa. Kiedy ją poszerzyli? Gdzieś w latach osiemdziesiątych... potem uświadomiłem sobie, że trasa kończy się niespełna pół kilometra od Boulder. Dalej na północny zachód nie było nic. Nie tylko autostrady, lecz również gospodarstw rolnych, pól, zakładów Celestial Seasonings, fabryki IBM, torów kolejowych. Nie było nawet budynków, które stały tam już we wczesnych latach siedemdziesiątych. Tylko wielka rozpadlina głębokości co najmniej pięciu metrów, a szerokości dziesięciu. Wyglądało to tak, jakby trzęsienie ziemi pozostawiło po sobie szczelinę oddzielającą autostradę i Boulder od prerii porośniętej bylicą i niską trawą. Rozpadlina ciągnęła się na północny zachód i południowy wschód tak daleko, jak mogłem okiem sięgnąć. Przedostanie się przez nią jeepem wymagałoby wielu godzin pracy.

– *Sehr gut* – powiedziałem. – Punkt dla Kelly.

Zawróciłem jeepa i wróciłem Dwudziestą Ósmą Ulicą do punktu wyjścia. Zauważyłem po drodze, że skrótu, jakim była Foothills Highway, jeszcze nie wybudowano. Minąłem miasto i pojechałem autostradą 36 do Denver.

Szczelina zaczynała się w tym samym miejscu, w którym kończyła się autostrada, i najwyraźniej biegła na zachód aż do Flatironów.

– Rewelacja – rzekłem do bezchmurnego nieba. – Rozumiem, w czym rzecz. Ale nie sądzę, bym chciał tu zostać. Tak czy inaczej, dziękuję.

Mój jeep jest stary i brzydki, ale użyteczny. Kilka lat temu zainstalowałem z jego przodu wyciągarkę. Wokół jej bębna owinięto sześćdziesiąt metrów liny. Włączyłem ją, zdjąłem bęben, owinałem linę wokół solidnego wspornika mostu w odległości około dziesięciu metrów od brzegu rozpadliny i zacząłem przygotowania do zjazdu po zboczu pochylonym pod kątem pięćdziesięciu stopni. Nie byłem pewien, czy uda mi się wjechać na stok po drugiej stronie, nawet w trybie 4D low, ale pomyślałem sobie, że zastanowię się nad tym, jak już znajdę się na dole. Gdyby doszło do najgorszego, wespnę się z powrotem na górę, znajdę gdzieś spychacz i utworzę sobie drogę wyjścia z pułapki. Wszystko będzie lepsze niż grać w grę Kelly Dahl zgodnie z jej zasadami.

Gdy przejechałem tylnymi kołami jeepa przez krawędź, zawisłem nad rozpadliną i tylko lina powstrzymywała mnie przed upadkiem, usłyszałem pierwszy strzał. Kula rozbiła przednią szybę i oderwała prawą wycieraczkę, która poleciała w górę w dwóch częściach. Na mgnienie oka zamarłem

w bezruchu. Nie wiercie, kiedy wam mówią, że odruchy nabyte na wojnie nigdy nie znikają.

Druga kula zbiła prawy reflektor i wyszła na zewnątrz przez błotnik. Nie wiem, gdzie trafiła trzecia, ponieważ te dawno nabyte odruchy w końcu wróciły i wybiegłem z samochodu, szukając osłony na stromym zboczu. Wtuliłem twarz w pył, a moje palce rozpaczliwie poszukiwały uchwytu. Wystrzeliła siedem razy – ani przez chwilę nie wątpiłem, że to Kelly Dahl – i każda kula spowodowała jakieś straty. Zniszczyła lusterko wsteczne, przedziurawiła dwie opony albo rozbiła dwie flaszki czerwonego Johnniego Walkera, które schowałem pod siedzeniem, owinięte w moją koszulę. Pragnę wierzyć, że to ostatnie trafienie było przypadkowe.

Czekałem prawie godzinę, nim wreszcie wyczołgałem się z rozpadliny. Przyjrzałem się odległym budynkom, wypatrując szalonej kobiety z bronią w ręku, po czym wciągnąłem na górę jeepa o dwóch przebitych oponach i zakląłem na widok potłuczonych butelek. Zmieniłem prawe przednie koło na zapasowe, które miałem, i ruszyłem do miasta, by odnaleźć sklep z oponami na Pearl Street, o ile już tam był. Na parkingu przy skrzyżowaniu Dwudziestej Ósmej z Arapaho zauważyłem jednak nowego jeepa. Zatrzymałem się obok niego i zdjąłem jedno z jego kół z nowymi terenowymi oponami, doszedłem jednak do wniosku, że moja zapasowa opona jest w kiepskim stanie, a tylne wyglądałyby chujowo na tle nowych na przodzie, więc w końcu wymieniłem wszystkie cztery koła. Pewnie mógłbym uruchomić nowego na styk i oszczędzić sobie wysiłku oraz przekleństw w upalnym lipcowym słońcu, nie zrobiłem tego jednak. Jestem sentymentalny.

Wczesnym popołudniem dojechałem do starego sklepu sportowego Gart Brothers i wybrałem sobie remingtona z lunetą o dwudziestokrotnym powiększeniu, rewolwer kalibru .38, nóż Ka-bar, jakie ceniono w Wietnamie, i tyle amunicji do obu broni, że wystarczyłoby mi jej do stoczenia małej wojny. Następnie wybrałem się do starego sklepu z artykułami z demobilu na rogu Pearl Street i Czternastej Ulicy, gdzie zaopatrzyłem się w buty, skarpetki, maskującą kamizelkę myśliwską, racje żywnościowe, nowy piecyk gazowy firmy Coleman, dodatkową lornetkę, ubranie przeciwdeszczowe lepsze od tego, które miałem w starym plecaku, mnóstwo nylonowej liny, nowy śpiwór, dwa kompas, nową czapkę myśliwską, w której zapewne wyglądałem jak stuprocentowy pojeb, a także jeszcze więcej amunicji do remingtona. Tym razem nie zostawiłem na ladzie pieniędzy. Miałem wrażenie, że właściciel już tu nie wróci. Ja zapewne również nie.

Pojechałem do sklepu z alkoholem na Dwudziestej Ósmej, ale półki były puste. Setki butelek, które były tu jeszcze przed trzema godzinami, po prostu

zniknęły. Tak samo wyglądała sytuacja w czterech kolejnych sklepach, które sprawdziłem.

– Ty suko – warknąłem pod adresem pustej ulicy.

Odezwał się telefon w starej oszklonej budce po drugiej stronie ulicy. Nie przestawał dzwonić, więc wyjąłem z futerału rewolwer Police Special kalibru .38 i załadowałem go powoli. Telefon umilkł po trzecim strzale, gdy trafiłem w sam środek budki.

Odezwał się następny, po przeciwnej stronie ulicy.

– Posłuchaj, ty mała suko – odezwałem się, gdy tylko uniosłem słuchawkę. – Zgodzę się na twoją grę, jeśli tylko dasz mi coś do picia.

Tym razem naprawdę liczyłem na to, że po drugiej stronie słuchawki jest Bóg.

– Jeśli mnie pan znajdzie i powstrzyma, będzie pan mógł mieć tyle alkoholu, ile dusza zapragnie, panie Jakes.

– Wszystko będzie tak samo jak przedtem?

Zadając to pytanie, rozejrzałem się, niemalże spodziewając się, że zobaczę ją w sąsiedniej budce.

– Tak – zapewniła Kelly. – Będzie pan nawet mógł wrócić między wzgórza i znowu wjechać do szybu. Tym razem pana nie powstrzymam.

– To znaczy, że naprawdę tam wjechałem? Czy umarłem? Czy jesteś moją karą?

– *Mu* – odpowiedziała. – Pamięta pan dwie wycieczki w eko-tydzień?

– Stacja uzdatniania wody i Trail Ridge Road – stwierdziłem po chwili zastanowienia.

– Bardzo dobrze – pochwaliła mnie. – Znajdzie mnie pan w wyżej położonym z tych dwóch miejsc.

– Czy drogi na zachód biegną... – zacząłem pytać, ale usłyszałem w słuchawce sygnał.

III Palimpsest

W dniu, gdy zaskoczyłem Kelly w pobliżu górskiej osady Ward, omal mnie nie zabiła. Zastawiłem na nią zasadzkę, przypominając sobie szkolenie ze starych dobrych czasów Wietnamu. Czekałem cierpliwie w miejscu, gdzie droga biegnąca przez Left Hand Canyon wiała się do Peak to Peak Highway. Są tylko trzy drogi prowadzące do wododziału kontynentalnego z tej części Front Range i wiedziałem, że Kelly wybierze najkrótszą.

W starej remizie w Ward znalazłem piłę mechaniczną. Sama osada, rzecz jasna, była pusta, ale nim jeszcze Kelly Dahl porwała mnie w to miejsce, nigdy

nie mieszkało więcej niż stu ludzi – w większości hipisów pozostałych po latach sześćdziesiątych. Stare miasteczko górnicze zmieniło się w złomowisko pełne porzuconych samochodów, nieukończonych domów, stosów drewna na opał, wysypisk śmieci oraz kopuł geodezyjnych. Urządziłem zasadzkę na serpentynie nad osadą. Ściąłem dwie sosny żółte, by zablokować drogę, i czekałem w osikowym gaju.

Bronco Kelly Dahl pojawił się na szosie późnym popołudniem. Zatrzymała się, wysiadła z samochodu, popatrzyła na zwalone drzewa, a potem spojrzała prosto na mnie, gdy wyłoniłem się zza drzewa i ruszyłem ku niej. Remingtona zostawiłem w jeepie, rewolwer zatknąłem za pas pod kurtką, a nóż Ka-bar miałem w pochwie.

– Kelly! – zawołałem. – Porozmawiajmy.

Sięgnęła do wnętrza bronco i wyjęła stamtąd potężny łuk, zrobiony z jakiegoś ciemnego kompozytu. Nim zdążyłem powiedzieć coś więcej, nałożyła strzałę na cięciwę i wystrzeliła. To była myśliwska strzała ze stalowym grotem, wyposażonym w zadziory, by zadawał maksymalne obrażenia. Przeleciała pod moim lewym ramieniem, rozdzierając kurtkę i kalecząc ukryte pod nią ciało, po czym wbiła się w pień osiki kilka centymetrów za mną.

Przez moment stałem przyszpilony, jak owad w gablocie. Mogłem jedynie gapić się na to, jak Kelly nakłada na cięciwę kolejną strzałę. Nie wątpiłem, że tym razem trafi mnie w sam środek mostka. Nim zdążyła wystrzelić, sięgnąłem za pas, wyszarpnąłem rewolwer i zacząłem strzelać na oślep. Schowała się za swoim samochodem. Uwolniłem się, zostawiając na pniu strzępy kurtki, i padłem na ziemię za zwaloną kłodą.

Po chwili usłyszałem silnik bronco, ale nie wyjrzałem z ukrycia, aż samochód zawrócił i pomknął z powrotem ku Ward i wnętrzu kanionu.

Musiałem wrócić do Boulder – tym razem była to wersja z wczesnych lat osiemdziesiątych, ale tak samo pusta – po bandażu i antybiotyki. Miałem rany na żebrach i na wewnętrznej powierzchni ramienia. Zaczynają się już zablizniać, ale nadal mnie boli, kiedy chodzę albo głęboko oddycham.

Teraz zawsze noszę ze sobą remingtona.

Nawet po tym, jak uczyłem po pijanemu przez dwa lata, władze szkolne nie miały odwagi mnie zwolnić. Nasza umowa ramowa mówiła, że ponieważ mam posadę z gwarancją zatrudnienia, nadużycia służbowe i rażące zaniedbania muszą być potwierdzone przez jednego lub więcej administratorów, a ja muszę

otrzymać co najmniej trzy szanse poprawy i na każdym etapie trzeba zachować właściwą procedurę prawną. Okazało się, że kierownik szkoły i miejscowy dyrektor do spraw szkół średnich byli zbyt tchórzliwi, by postawić mi zarzuty. Nie miałem ochoty przyjmować szansy poprawy, a wszyscy byli zbyt zajęci, by wykombinować coś, co pozwolił mi ukryć przed spojrzeciami innych albo pozbyć się mnie bez potrzeby przejmowania się procedurami. Na koniec kurator nakazał dyrektorze do spraw szkolnictwa podstawowego – siwowłosej doktor Maxine Millard – przyłapać mnie wymaganą liczbę razy, udzielić mi przepisowych ostrzeżeń i dać szanse poprawy, a na koniec załatwić formalności potrzebne, by się mnie pozbyć.

Wiedziałem, w które dni doktor Max zjawi się w szkole, i mogłem wziąć zwolnienie albo przynajmniej nie przychodzić do pracy pijany bądź na kacu, ale pomyślałem sobie: pierdolić ich, niech robią, co chcą. I zrobili to. Odebrali mi gwarancję zatrudnienia i zwolnili z pracy trzy lata i dwa dni przed tym, nim mogłem się ubiegać o przejście na wcześniejszą emeryturę.

Nie brakuje mi samej pracy, tylko kontaktu z dziećmiakami, nawet z garbiącymi się, pryszczatymi i nieprzystosowanymi społecznie nastolatkami. O dziwo, małe dzieci z wcześniejszych lat, kiedy uczyłem w podstawówce, pamiętam jeszcze wyraźniej. I bardziej za nimi tęsknię.

Mędrzec bez sceny nie jest mędrcelem – czy to pijany, czy trzeźwy.

Dzisiaj rano podążyłem śladem opon Kelly Dahl wąską, żwirową drogą biegnącą w dół stoku Flagstaff Mountain, znalazłem się w miejscu, gdzie powinien być Chautauqua Park i przekonałem się, że Boulder zniknęło, po czym wróciłem do morza śródlądowego. Tym razem jednak daleko od brzegu ujrzałem wielką, skalistą wyspę. Można było do niej dotrzeć jedynie po długiej grobli, ledwie wystającej nad ruchome piaski. Ze skał wyspy wyrastało kamienne miasto, a z miasta sterczała ogromna katedra. Na szczycie najwyższej z jej wież stał Michał Archanioł. Unosił wysoko miecz i mocno wspierał zakutą w stal stopę na wijącym się rozpaczliwie diable. Na stopie przysiadł kogut, symbolizujący wieczną czujność.

– Jezu, Kelly – mruknąłem, jadąc groblą za śladami opon. – To się robi trochę zbyt wymyślne.

To była Mont Saint-Michel, oczywiście, ze wszystkimi witrażowymi oknami i żeliwnymi balustradami. Niejasno przypominałem sobie, że pokazywałem swoim szóstoklasistom slajdy z wyspy. Dwunastowieczny zamek wzbudził moje

zainteresowanie poprzedniego lata, gdy pojechaliśmy tam z rodziną. Marii się nie spodobało, ale Allan wpadł w zachwyty. Kupowaliśmy wszystkie książki na ten temat, jakie tylko mogliśmy znaleźć, i poważnie rozważaliśmy możliwość budowy modelu ufortyfikowanej katedry z drewna balsa.

Stare bronco Kelly Dahl parkowało przed bramą. Wziąłem remingtona, wprowadziłem nabój do komory, wszedłem do środka i ruszyłem brukowaną drogą. Moje kroki niosły się echem. Zatrzymałem się i spojrzałem za siebie, na szanice Flatironów lśniące w blasku słońca Kolorado. Wytężyłem słuch, mając nadzieję, że usłyszę odgłos jej kroków, przebijający się przez plusk leniwych fal. Z góry dobiegały jakieś dźwięki.

Katedra była pusta, ale na centralnym ołtarzu położono cienką książeczkę z grubego welinu, oprawną w skórę. Wziąłem ją w rękę i zacząłem czytać.

*Ço sent Rollánz que la mort le trespent
Desuz un pin i est alez curanz
Sur l'erbe verte si est suchiez adenz
Desuz lui met s'espre e l'olifant
Turnat sa teste vers la paiene gent.*

To był francuski wiersz z jedenastego wieku. Pamiętałem go z ostatniego roku w college'u. Tłumaczeniem takich właśnie rzeczy zajmowałem się w ostatnich miesiącach przed tym, nim wzięli mnie do wojska i wysłali na drugi koniec świata, żebym zabijał niskich Azjatów.

*Roland czuje, że śmierć go bierze całego
Z głowy zstępuje do serca
Biegnie rycerz pędem na szczyt góry
położył się na zielonej murawie, twarzą do ziemi.
Pod siebie kładzie swój miecz i róg.
Obrócił głowę ku zgrai pogan⁶.*

Odłożyłem książkę.

– Czy to miała być groźba, dziewczyno?! – zakrzyknąłem w mrok katedry.

Odpowiedziały mi tylko echa.

Tekst na następnej stronie rozpoznałem jako pochodzący od trzynastowiecznego poety nazwiskiem Thibaut de Blason:

Nus hom ne puet ami reconforte

*Se cele non ou il a son cuer mis.
Pour ce m'estuet sovent plaindre et plourer
Que nus confors ne me vient, ce m'est vis,
De la ou j'ai tote ma remembrance.
Pour biens amer ai sovent esmaiance
A dire voir.
Dame, merci! donez moi esperance
De joie avoir.*

Potrzebowałem trochę czasu, ale wreszcie doszedłem do wniosku, że to mam.

*Nie ma wytchnienia w udęce
Tylko tam, gdzie serce znalazło schronienie
Dlatego tylko szeptem daję wyraz swej męce
Mojego bólu nie tknęło wytchnienie
W miejscu, gdzie całą swą radość zebrałem.
Przez prawdziwą miłość jedynie cierpiałem
Tak często się dzieje.
Łaski, pani! O łaskę błagałem,
Daj mi nadzieję.*

– Kelly! – zawołałem, kierując wzrok na wypełniającą katedrę cienie. – Nie chcę mieć nic wspólnego z takim syfem!

Odpowiedzi nie było. Uniosłem remingtona i wystrzeliłem jeden pocisk w wielki witraż naprzeciwko ołtarza przedstawiający Matkę Boską. Kiedy wyszedłem, katedrę nadal wypełniały echa strzału i sypiących się na posadzkę odłamków szkła.

Cisnąłem oprawną w skórę książeczkę w ruchome piaski i ruszyłem w drogę powrotną.

Kiedy wróciłem ze szpitala po wypadku, w którym zginął Allan, przekonałem się, że Maria opróżniła pokój naszego jedenastoletniego syna ze wszystkich jego rzeczy, a nasze mieszkanie z jego zdjęć i pamiątek po nim. Ubrania zniknęły, podobnie jak plakaty, fotosy, cały bałagan na biurku i stare modele statków ze Star Treka, zawieszane na czarnych nitkach w jego pokoju. Na łóżku nie leżała już kołdra wyszyta w koniki na biegunach, którą uszyła dla chłopca miesiąc przed jego przyjściem na świat. Łóżko było całkowicie puste, podobnie jak

ściany i szafa, jakby jego pokój był sterylną sypialnią w koszarach czekającą na przybycie nowych rekrutów.

Nie było żadnych nowych rekrutów.

Maria oczyściła też wszystkie albumy ze zdjęć Allana. To było tak, jakby nasz jedenastoletni syn po prostu nigdy nie istniał. Zniknęło zbiorowe zdjęcie, które stało na komodzie w naszej sypialni, i te przyczepione magnesami do drzwi lodówki. W szufladzie w gabinecie nie było już zdjęcia portretowego zrobionego w piątej klasie, a jedynie pudełko po butach z fotografiami z czasów niemowlęcych. Nigdy się nie dowiedziałam, czy oddała ubrania, zabawki i sprzęt sportowy Armii Zbawienia, ani czy spaliła zdjęcia, czy raczej je pogrzebała. Nie chciała o tym mówić. W ogóle nie wspominała o Allanie. Gdy poruszałem ten temat, w jej oczach pojawiał się uparty, nieobecny wyraz. Wkrótce sobie uświadomiłem, że nie ma sensu nawet próbować.

To było lato po tym, jak po raz ostatni uczyłem szóstoklasistów. Allan był rok młodszy niż Kelly Dahl. Miałyby teraz dwadzieścia dwa lata, ukończyłyby college i szukałyby własnej drogi w życiu. Bardzo trudno mi sobie to wyobrazić.

Jechałem za Kelly aż do Trail Ridge Road, ale porzuciłem jeepa, gdy zaczęła się tundra. Trail Ridge Road nie istniała. Nigdzie nie dawało się dostrzec żadnego śladu ludzkiej obecności. Za linią drzew była tylko tundra, ciągnąca się bez końca. Kiedy wynurzyłem się zza osłony drzew, zrobiło się piekielnie zimno. Gdy rankiem obudziłem się w swym obozie, miałem wrażenie, że jest późna jesień. Niebo miało barwę ołowiu, a w dolinach kłębiły się chmury, ukrywające przed wzrokiem moreny boczne. Pasemka chmur wspinały się po stokach gór, jakby mgła miała macki. Chłód był porażający. Przeklinałem siebie za to, że nie wziąłem rękawiczek. Zacisnąłem dłonie w pięści i schowałem je w kieszeniach kurtki. Wsparty na moich przedramionach remington był zimny i ciężki.

Mijając ostatnie z karłowatych drzewek na granicy lasu, próbowałem przypomnieć sobie ich nazwę.

Krummholz. Głos Kelly Dahl zabrzmiał niemal w moim uchu. *To znaczy „drzewa elfów” albo „krzywe drzewa”*.

Opadłem na jedno kolano na zamrzniętym mchu, unosząc remingtona. Otaczała mnie otwarta tundra. W promieniu stu metrów ode mnie nie było nikogo. Przesunąłem spojrzeniem po granicy drzew. Niektóre gałęzie były tak wielkie, że mogłyby się ukryć za nimi człowiek. Nic się tam nie poruszało.

Uwielbiam te wszystkie tundrowe nazwy, których nas pan nauczył – ciągnął głos Kelly w moim umyśle. Robiła to przedtem już kilka razy. Piżmowół arktyczny, nornik łąkowy, żaba borealna, skalnica rozłogowa, terasy soliflukcyjne, kuklik, świstak żółto brzuchy, wieczna zmarzlina, depresja niwacyjna, pardwa mszarna, turzyca przydymiona...

Uniosłem wzrok i rozejrzałem się po targanej wiatrem tundrze. Nic tu się nie ruszało. Myliłem się jednak, sądząc, że nie ma tu żadnych śladów ludzkiej obecności. Przez pokrytą wieczną zmarzliną tundrę biegła dobrze wydeptana ścieżka, wiodąca ku przełęczy. Ruszyłem w tamtą stronę.

– Myślałem, że nie znosisz fachowych terminów – powiedziałem.

Karabinek opierał się o moje przedramię, w każdej chwili gotowy do użytku. Klatka piersiowa i wewnętrzna strona ramienia nadal bolały mnie w miejscach, gdzie głęboko zraniła mnie strzała.

Lubię poezję. Jej głos zabrzmiał w moim umyśle, nie w moim uchu. Jedynym prawdziwym dźwiękiem był szum wiatru. Ale głos również był realny.

Panie Jakes, czy pamięta pan ten kawałek Roberta Frosta o poezji, który nam pan czytał?

Znajdowałem się dwieście metrów od granicy obszaru porośniętego karłowatymi drzewkami. Trzysta metrów nad nią, po mojej lewej stronie leżało kilka głązów wielkich jak domy. Mogła się tam ukrywać. Czułem, że jest blisko.

– Który wiersz? – zapytałem.

Nie chodzi o wiersz, tylko o wstęp Frosta do jednej z jego księzek. Mówił o ścieżce, jaką prowadzi nas wiersz.

– Nie pamiętam – odparłem.

Pamiętałem. Podzieliłem się tym cytatem z uczniami liceum kilka tygodni przedtem, nim Kelly Dahl przerwała naukę i uciekła.

Frost powiedział, że przyjemność płynąca z wiersza powinna płynąć z tego, jak sam siebie opowiada. Powiedział, że wiersz zaczyna się zachwytem, a kończy mądrością. I że z miłością powinno być tak samo.

– Hmm – mruknąłem, poruszając się szybko przez tundrę. Dyszałem ciężko i mój oddech zamieniał się w parę w zimnym powietrzu. Ścisnąłem remingtona w obu dłoniach, zapominając o zimnie. – Powiedz mi coś więcej.

Niech pan się zatrzyma na moment. Głos Kelly Dahl zabrzmiał bezbarwnie w moim umyśle.

Zatrzymałem się. Od głązów dzieliło mnie niespełna pięćdziesiąt metrów, ścieżka, którą szedłem, biegła przez trawiaste tereny. Kiedyś Indianie z plemion Ute i Paunisów korzystali z niej, by przekraczać wododział. Ścieżka wyglądała na niedawno używaną, jakby Ute przed chwilą zniknęli za siodłem przełęczy przede mną.

Nie sądzę, by tę ścieżkę stworzyli Indianie – rozległ się w moim umyśle cichy głos Kelly Dahl. Niech pan spojrzy w dół.

Opuściłem wzrok. Nadal trudno mi było oddychać i kręciło mi się w głowie z powodu wysokości i adrenaliny. W luce między dwiema niskimi skałami rośla

jakaś roślina. Wicher niósł ze sobą gęste tumany śniegu. Temperatura spadła chyba do minus trzydziestu stopni albo i niżej.

Niech pan się przyjrzy uważnie.

Nadal dysząc ciężko, opadłem na jedno kolano na stoku. Gdy głos Kelly Dahl rozległ się znowu, wykorzystałem tę okazję, by wprowadzić nabój do komory remingtona.

Widzi pan te małe rowki w glebie, panie Jakes? Wyglądają jak ślady płóz biegnące przez tundrę? Pamięta pan, jak opowiadał nam o nich?

Pokręciłem głową. Cały ten czas kąciłem oka wypatrywałem ruchów. Rzeczywiście nie pamiętałem. Zainteresowanie alpejską ekologią wypaliło się we mnie razem z innymi pasjami. Nie pozostał nawet najmniejszy węgielek.

– Opowiedz mi – poprosiłem, jakby usłyszenie echa mentalnego głosu Kelly mogło odkryć przede mną jej pozycję.

Początkowo to były nory wykopane przez gofferniki brunatne. – W jej cichym głosie zabrzmiało lekkie rozbawienie. – Gleba jest tutaj tak twarda i skalista, że nawet dżdżownice nie kopią w niej tuneli, ale gofferniki brunatne potrafią zrobić płytkie nory. Po odejściu gofferników nory zajmują mniejsze norniki ławkowe. Widzi pan miejsca, w których ich stopy wygładziły ziemię? Niech pan się przyjrzy uważnie, panie Jakes.

Położyłem się na miękkim mchu, kładąc od niechcienia karabinek przed sobą, jakbym po prostu nie chciał, żeby mi przeszkadzał. Lufa była wymierzona w głazy nade mną. Jeśli coś tam się poruszy, zobaczę to przed upływem dwóch sekund. Przeniosłem spojrzenie na pozostałości nory goffernika, której sklepienie się zawaliło. Rzeczywiście wyglądały jak ślad płozy sań, jeden z setek podobnych śladów przecinających tę część tundry. Jak odsłonięty przed gołym niebem labirynt bądź tekst w jakimś niepojętym alfabecie, pozostawionym przez obcych.

Norniki korzystają z tych tras zimą – wyjaśniła Kelly Dahl. – Pod śniegiem. Na wierzchu widzimy tylko olbrzymie zasy i pusty, sterylny świat. Ale pod śniegiem krążą norniki zajęte swoimi sprawami. Wykorzystują zapasy trawy zebrane jesienią, wyzerają środki roślin poduszkowych i podgryzają korzenie. A gdzieś w pobliżu gofferniki nadal kopią.

Obok głazów pojawiło się coś szarego. Pochyliłem się nad pozostałościami nor, zbliżając się do remingtona. Śnieg nagle zaczął sypać gęściej, pokrywając tundrę całunem, który to się podnosił, to opadał.

Wiosną – kontynuował w mojej głowie cichy głos Kelly Dahl – wyloty tych wszystkich nor wysuwają się spod topniejących zasp. Długie wyniosłości, które w ten sposób powstają, nazywają się ozami i wiją się niczym brązowe węże, które można znaleźć absolutnie wszędzie. Uczył nas pan, że pojedynczy goffernik

brunatny potrafi w jedną noc wykopać tunel długości ponad trzydziestu metrów i w ciągu roku przerzuca do dwudziestu ton ziemi na hektar.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. Od szarych głazów oddzieliła się równie szara sylwetka. Wstrzymałem oddech, trzymając palec na spuście.

To fascynujące, nieprawdaż, panie Jakes? W tundrze istnieje jeden widzialny zimowy świat – zimny, niegościnnie i niemożliwy do zniesienia – ale większość bezbronnych zwierząt tworzy sobie drugi świat pod powierzchnią. Świat, w którym mogą przetrwać. W dodatku są one niezbędne dla ekologii. Przesuwają podglebie w górę i zakopują rośliny, które pod ziemią szybciej ulegają rozkładowi. Wszystko ze sobą harmonizuje.

Pochyliłem się jeszcze niżej, jakbym chciał wtulić twarz w roślinę, uniosłem karabinek jednym płynnym ruchem, wycelowałem w szarą postać i wystrzeliłem. Postać upadła.

– Kelly? – wydyszałem, biegnąc przez tundrę od jednej terasy soliflukcyjnej do drugiej.

Odpowiedzi nie było.

Nie spodziewałem się, że cokolwiek znajdę pod głazami, ale upadła dokładnie w tym miejscu, w którym widziałem ostatni ruch. Tętnicza krew była czerwona, boleśnie jaskrawa, jedyny żywy kolor, niemal szokujący w brunatnej, bezbarwnej tundrze. Kula trafiła ją tuż pod prawym okiem, nadal otwartym i pełnym pytań. Domyślałem się, że samica karibu była już dojrzała, ale jeszcze nie w pełni dorosła. Płatki śniegu padały na jej szary bok i szybko topniały na różowym, wysuniętym języku.

Nadal dysząc ciężko, wyprostowałem się i obróciłem wkoło, przyglądając się skałom, tundrze, szaremu niebu i chmurom wypływającym z zimnych dolin poniżej.

– Kelly?

Odpowiedział mi tylko wiatr.

Spojrzałem w dół. W dogasającym blasku czarnego oka karibu kryła się wiadomość.

Tutaj można umrzeć.

Po raz ostatni widziałem Kelly Dahl w świecie rzeczywistym, tym drugim świecie, na meczu koszykówki. Nie znosiłem koszykówki – podobnie jak wszystkich szkolnych sportów i ich oszalałych kibiców – ale jako nauczyciel angielskiego zajmowałem niezbyt wysoką pozycję w hierarchii służbowej

i w związku z tym musiałem uczestniczyć w organizacji meczów. Byłem bileterem. Dzięki temu mogłem przynajmniej sobie pójść jakieś dwadzieścia minut po rozpoczęciu meczu, kiedy zamykali wejście.

Pamiętam, że wyszedłem z sali gimnastycznej w mroźną ciemność. Oficjalnie była wiosna, ale w Kolorado zima naprawdę kończy się blisko końca maja albo nawet później. Nagle zauważyłem znajomą sylwetkę, zmierzającą Arapaho w przeciwną stronę. Kelly Dahl nie pojawiała się w szkole już od kilku dni. Krążyły plotki, że się przeprowadziła. Popędziłem za nią truchtem, omijając plamy gołoledzi, i dogoniłem ją na światłach przecznicy na wschód od szkoły.

Odwróciła się, jakby nie była zaskoczona, że mnie widzi. Jakby się spodziewała, że spróbuję ją dogonić.

– Cześć, panie Jakes. Co się dzieje?

Oczy miała bardziej czerwone niż zwykle, a twarz zapadniętą i bladą. Inni nauczyciele byli pewni, że bierze narkotyki, a ja w końcu z niechęcią doszedłem do tego samego wniosku. W wychudłej twarzy kobiety, którą spotkałem tamtej nocy, zostało bardzo niewiele z jedenastoletniej dziewczynki, którą pamiętałem.

– Byłaś chora, Kelly?

Odważemniła moje spojrzenie.

– Nie. Po prostu nie chodziłam do szkoły.

– Wiesz, że Van Der Mere zadzwoni do twojej matki.

Kelly Dahl wzruszyła ramionami. Jej kurtka była stanowczo za cienka na tak zimną noc.

Kiedy rozmawialiśmy, nasze oddechy dzieliły nas od siebie niczym zasłona.

– Ona wyjechała – oznajmiła.

– Dokąd? – zapytałem. Wiedziałem, że to nie mój interes, ale niepokój o to dziecko wypełniał mnie niczym lekkie mdłości.

Znowu wzruszyła ramionami.

– Przyjdiesz do szkoły w poniedziałek? – zapytałem.

Kelly Dahl nawet nie mrugnęła.

– Już tam nie wrócę.

Pamiętam, że w tamtej chwili pożałowałem, iż przed rokiem rzuciłem palenie. Dobrze by było zapalić papierosa i zaciągnąć się, zanim coś powiedziałem.

– Niech cię chuj, Kelly.

Blada dziewczyna przytaknęła.

– Może pójdziemy gdzieś, żeby o tym porozmawiać?

Pokręciła głową. Obok nas przemknął samochód i skręcił na szkolny parking. Spóźnieni kibice wrzeszczeli głośno. Żadne z nas nie spojrzało w tamtą stronę.

– Może pójdziemy... – zacząłem znowu.

– Nie – przerwała mi. – Pan i ja mieliśmy już swoją szansę, panie Jakes.

Zmarszczyłem brwi, przyglądając się jej w zimnym świetle lamp.

– Nie rozumiem.

Przez długą chwilę byłem pewien, że Kelly nie powie już nic więcej, że zaraz się odwróci i zniknie w mroku. Ale ona zaczerpnęła głęboko tchu, a potem powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Pamięta pan rok... siedem miesięcy... kiedy był pan moim nauczycielem w szóstej klasie, panie Jakes?

– Oczywiście.

– Pamięta pan, że niemal czciłam ziemię, po której pan stąpał... przepraszam za ten banał.

Tym razem to ja musiałem zaczerpnąć tchu.

– Posłuchaj, Kelly, mnóstwo dzieci w szóstej klasie, zwłaszcza dziewczynki...

Uciszyła mnie machnięciem ręki, jakbyśmy mieli za mało czasu na takie sformalizowane rozmowy.

– Chciałam tylko powiedzieć, że był pan jedyną osobą, z którą mogłabym wtedy porozmawiać, panie Jakes. W samym środku tego, co się wtedy działo... moja matka, Carl... podczas tej szalonej, popierdolonej zimy myślałam, że jest pan najpewniejszym, najbardziej realnym elementem całego wszechświata.

– Carl... – zacząłem.

– Chłopak mojej matki – przerwała mi Kelly swym cichym głosem. – Mój... ojczym.

Słyszałem silną ironię w jej głosie, ale słyszałem też coś innego, nieskończenie bardziej smutnego i bolesnego.

Postąpiłem pół kroku w jej stronę.

– Czy on...

Kelly Dahl uśmiechnęła się półgębkiem w zimnym świetle.

– Och, tak. Robił to. Codziennie. Nie tylko podczas roku szkolnego, ale i przez większą część poprzednich wakacji.

Odwróciła wzrok w stronę ulicy.

Nagle zapragnąłem ją objąć. Widziałem w niej dziewczynkę, a nie wychudłą kobietę. Mogłem jednak tylko zaciskać dłonie w pięści, coraz silniej i silniej.

– Kelly, nie miałem pojęcia...

Nie słuchała mnie ani na mnie nie patrzyła.

– Wtedy nauczyłam się odchodzić. Znajdować inne miejsca.

– Inne miejsca... – zacząłem, nie rozumiejąc.

Nadal na mnie nie spoglądała. Jej punkowy irokez i włosy w paski wyglądały żałośnie w zimnym świetle.

– Zrobiłam się bardzo dobra w przechodzeniu w inne miejsca. Pomogło mi wszystko, czego nas pan uczył. Opisywał je pan tak dokładnie, że łatwo mi było wszystkie sobie wyobrazić. A co mogłam zobaczyć, to mogłam odwiedzić.

Moje wnętrzości wypełnił chłód. To dziecko potrzebowało pomocy psychiatry. Przypomniałem sobie wszystkie inne chwile, gdy kierowałem dzieci do pedagoga szkolnego, psychologa albo opieki społecznej. Za każdym razem dawało to bardzo niewiele albo wręcz nic. Dziecko musiało wrócić do koszmaru, od którego na moment się uwolniło.

– Kelly, może...

– Mało brakowało, bym panu powiedziała – ciągnęła Kelly Dahl. Jej usta były wąskie i białe. – W tamtym tygodniu w kwietniu zdobyłam się już na odwagę. – Z jej ust wyrwał się jakiś cichy dźwięk. Uświadomiłem sobie, że to śmiech. – Cholera, próbowałam zebrać odwagę przez cały rok szkolny. Pomyślałam sobie, że jest pan jedyną osobą na świecie, która może mnie wysłuchać... może uwierzyć... może coś zrobić.

Czekałem, aż powie coś więcej. Z odległej o jeden kwartał sali gimnastycznej dobiegały odgłosy aplauzu.

Kelly Dahl wreszcie na mnie spojrzała. W jej zielonych oczach błyszczało coś szalonego.

– Pamięta pan ten dzień, kiedy zapytałam, czy mogę zostać po lekcjach, żeby z panem porozmawiać?

Zmarszczyłem brwi. Po chwili musiałem pokręcić głową. Nie przypominałem sobie niczego takiego.

Znowu się uśmiechnęła.

– To było tego samego dnia, gdy powiedział nam pan, że odchodzi. Że przyjął pan pracę w liceum. Potrzebowali nowego nauczyciela, bo pani Webb umarła. Dodał pan, że do końca roku zastąpi pana inny nauczyciel. Nie sądzę, by spodziewał się pan, że cała klasa tak się tym przejmie. Pamiętam, że większość dziewczynek płakała. Ale ja nie.

– Kelly, nie...

– Nie pamięta pan, że chciałam się z panem zobaczyć po lekcjach. – Jej głos przeszedł w pełen ironii szept. – Ale to było w porządku, bo i tak pan z nami nie został. Nie wiem, czy pan to sobie przypomina, ale nie byłam jednym z dzieciaków, które uściskały pana na pożegnanie po niespodziewanym przyjęciu pożegnalnym, które urządziły w następnym piątek.

Przez krótką chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Odgłosy aplauzu ucichły.

– Dokąd odchodzisz, Kelly?

Obrzuciła mnie spojrzeniem tak pełnym pasji, że poczułem ukłucie strachu. Nie byłem jednak pewien, czy boję się o siebie, czy o nią.

– W inne miejsce – odpowiedziała. – Daleko stąd.

– Przyjdź w poniedziałek do szkoły. Porozmawiamy. – Podeszedłem bliżej. – Nie musisz być na lekcji. Wystarczy, że przyjdiesz do pokoju wychowawczego. Proszę.

Uniosłem ręce, ale powstrzymałem się i jej nie dotknąłem.

Kelly Dahl nie oderwała ode mnie spojrzenia.

– Żegnaj, panie Jakes.

Odwróciła się, przeszła na drugą stronę ulicy i zniknęła w mroku.

Pomyślałem wtedy, że mógłbym pójść za nią, ale byłem zmęczony i obiecałem Allanowi, że następnego dnia rano wybierzemy się do Denver po karty baseballowe, a w dodatku za każdym razem, gdy wracałem do domu później po jakimś szkolnym wydarzeniu, Maria była pewna, że byłem z inną kobietą.

Pomyślałem wtedy, że mógłbym pójść za Kelly Dahl, ale tego nie zrobiłem.

W poniedziałek nie przyszła do szkoły. We wtorek zadzwoniłem do jej domu, ale nikt nie odebrał telefonu. W środę opowiedziałem pani Van Der Mere o naszej rozmowie i tydzień później na osiedlu przyczep kempingowych zjawili się ludzie z opieki społecznej. Przyczepę porzucono. Matka Kelly i jej chłopak wyprowadzili się stamtąd na miesiąc przed tym, nim Kelly Dahl przestała chodzić do szkoły. Od czasu meczu koszykówki nikt nie widział dziewczyny.

Po miesiącu, gdy nadeszła wiadomość, że matkę Kelly Dahl znaleziono zamordowaną w North Platte w stanie Nebraska, a jej chłopak, Carl Reems, przyznał się do winy po aresztowaniu w Omaha, większość nauczycieli doszła do wniosku, że Kelly również padła ofiarą morderstwa, mimo że chronologia temu przeczyła.

Okolo miesiąca w Boulder wisiały plakaty ze zdjęciami siedemnastolatki, ale Reems przeczył, by ją zabił, aż do chwili, gdy skazano go za zamordowanie Patricii Dahl. Policja zapewne doszła do wniosku, że Kelly stała się kolejnym bezdomnym dzieckiem, a była już za duża, by jej twarz mogła się pojawić na kartonach z mlekiem. Najwyraźniej nie miała też żadnych krewnych, którzy mogli być zainteresowani zbadaniem sprawy.

Wczesnym latem furgonetka przekroczyła środkową linię na autostradzie, Allan zginął, a moje życie się skończyło.

Znajduję Kelly Dahl przez pomyłkę.

Spędziłem już całe tygodnie, miesiące, w tym miejscu. W tych miejscach. Rzeczywistość to pościg, a potwierdzeniem jej realności jest broda, jaka mi wyrosła, jelenie i karibu. które zabijam dla mięsa, ból w moim boku i ramieniu,

gdy rana zabliznia się powoli, coraz większa sprawność moich nóg, płuc oraz ciała, ponieważ codziennie pozostaję w ruchu przez dziesięć do czternastu godzin, poszukując Kelly Dahl.

I znajduję ją przez pomyłkę.

Wracałem do Front Range, po tym, jak podążałem jej tropem na południe prawie do Tunelu Eisenhowera. Zgubiłem ją na cały dzień i cienie wieczoru dopadły mnie na południe od Nederland na Peak to Peak Highway. Ponieważ rankiem mogło się okazać, że czas i miejsce znowu się zmienia i autostrada zniknie, zatrzymałem się na polu kempingowym służby leśnej – oczywiście nie było tam ludzi ani pojazdów – rozbiłem namiot, napełniłem butelki wodą i upiekłem nad ogniskiem trochę dziczyzny. Byłem przekonany, że kilka ostatnich dni spędziłem w krajobrazie lat siedemdziesiątych, w którym znalazłem się na początku całej tej historii. Drogi i infrastruktura pozostały na miejscu, ale ludzie zniknęli i zaczynała się prawdziwa jesień. Liście osik unosiły się w powietrzu jak złote konfetti, a wieczorne wiatry zrobiły się zimne.

Znajduję Kelly Dahl dlatego, że się zgubiłem.

Kiedyś się przechwalałem, że nigdy się nie gubię. Poczucie kierunku nie zawodziło mnie nawet w najgęstszej sosnowej puszczy. Orientacja w lesie przychodzi mi z łatwością. Nawet najdrobniejszy punkt informacyjny pomaga mi natychmiast znaleźć drogę, jakbym miał wewnętrzny kompas, który nigdy nie myli się o więcej niż dwa albo trzy stopnie. Nawet w pochmurny dzień słońce pozwala mi określić kierunek. Nocą gwiazdy umożliwiają mi zorientowanie się w jednej chwili.

Ale nie tamtego wieczoru. Opuszczam puste pole kempingowe i przez około półtora kilometra idę w górę przez gęsty las, by zobaczyć, jak słońce zachodzi na północ od Arapahoe i na południe od Mount Audubon. Zmierzch nie trwa zbyt długo. Księżyc nie widać. Na wschód od Front Range, gdzie powinny być światła Denver i miast satelitów, panuje całkowita ciemność. Pojawiają się chmury, zasłaniające nocne niebo. Zwracam się w stronę pola kempingowego, schodzę ze wzniesienia i włączę na następne, pewien, że ta droga jest krótsza. Po dziesięciu minutach uświadamiam sobie, że zabłądziłem.

Mimo że zgubiłem się w lesie bez karabinka oraz kompasu i mam tylko nóż Ka-bar w pochwie u pasa, nie czuję się zaniepokojony. Przynajmniej nie w pierwszej chwili. Po dziewięćdziesięciu minutach, gdy znajduję się głęboko w gęstym lesie sosen wydmowych, dokąd zewsząd jest bardzo daleko, a niebo na górze jest tak samo czarne, jak otaczająca mnie puszcza, zaczynam się denerwować. Włożyłem tylko sweter na flanelową koszulę, a nim nadejdzie ranek, może padać śnieg. Myślę o swojej parce i śpiworze, które zostały na polu

kempingowym, o drewnie na opał położonym w kręgu kamieni i o gorącej herbacie, którą zamierzałem wypić przed położeniem się spać.

– Ty idioto – mówię do siebie, gdy złącząc po ciemku ze stoku, omal nie wpadam na płot z drutu kolczastego.

„Ty idioto”, powtarzam w myślach, przełaząc z wysiłkiem przez płot. Z pewnością w pobliżu pola kempingowego nie było podobnych ogrodzeń. Zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem się gdzieś schować i poczekać na świt.

W tej właśnie chwili zauważyłem ognisko Kelly Dahl.

Ani przez chwilę nie wątpiłem, że to jej ognisko. Przebywałem tu już wystarczająco długo, by wiedzieć, że oprócz mnie jest jedną żywą osobą w naszym wszechświecie. Bezgłośnie przedarłem się przez ostatnie dwadzieścia metrów chaszczy dzielących mnie od polany. To rzeczywiście była Kelly Dahl. Siedziała w kręgu rzucanego przez ognisko blasku i wpatrywała się w trzymaną w dłoniach harmonijkę. Sprawiała wrażenie zatopionej w myślach.

Czekam przez kilka minut, spodziewając się pułapki. Pozostaje pogrążona w kontemplacji blasku ogniska odbijającego się w chromowanej powierzchni instrumentu. Twarz ma nieco spaloną słońcem. Nadal ma na sobie trapery, szorty i grubą bluzę – ten sam strój, który widziałem trzy dni temu, tuż po opuszczeniu Mont Saint-Michel. Jej potężny łuk myśliwski z jakiegoś kompozytu z ery kosmicznej, wyposażony w strzały o stalowych grotach, leży gotowy do użytku, wsparty o kłodę, na której usiadła.

Być może wydaję jakiś dźwięk. A może po prostu jest świadoma mojej obecności. Bez względu na powód unosi nagle wzrok. Widzę, że jej głowa zwraca się ku drzewom, wśród których się ukrywam.

W jedną sekundę podejmuję decyzję. Dwie sekundy później pędzę już przez spowitą mrokiem przestrzeń dzielącą nas od siebie, pewien, że zdąży unieść łuk, naciągnąć cięciwę i przeszyć mi serce. Ona jednak zwraca się w stronę łuku dopiero w ostatnim momencie, gdy wpadam na nią, pokonując skokiem ostatnie dwa metry. Przewracam ją na bok, łuk i strzały ulatują w ciemność po jednej stronie kłody, a ja i Kelly przetaczamy się obok ogniska na drugą stronę.

Chyba nadal jestem silniejszy od niej, ale ona jest szybsza i nieporównanie zręczniejsza. Myślę jednak, że jeśli będę działał szybko, to nie będzie miało znaczenia.

Przetaczamy się dwa razy i nagle znajduję się nad nią. Odtrącam jej dłonie i wyciągam z pochwy nóż Ka-bar. Próbuje uderzyć nogą, ale przygniatam ją własną, a drugą przesuwam w bok i zaciskam obie, ściskając jej nogi między własnymi dzięki sile ud. Jej dłonie szarpią mi sweter, a paznokcie sięgają ku

twarży, ale dzięki lewej ręce i ciężarowi górnej części ciała unieruchamiam jej ręce między nami. Następnie pochylam się i przysuwam nóż do jej gardła.

Na mgnienie oka, gdy hartowana stal dotyka pulsującego ciała jej szyi, wszelki ruch zamiera. Jest tylko mój przygniatający ją ciężar i wspomnienie szalonej samotności. Oboje dyszymy ciężko. Wiatr nad nami unosi w ciemność skry z ogniska oraz liście osik. Kelly Dahl szeroko otwiera zielone oczy, jest zaskoczona, ale nie czuje strachu. Czeka. Nasze twarze dzieli od siebie zaledwie kilkanaście centymetrów.

Przesuwam nóż, cofając ostrą krawędź od jej gardła, pochylam się niżej i całuję ją delikatnie w policzek. Następnie odsuwam twarz, by móc skupić się na jej oczach.

– Wybacz, Kelly – szepczę i staczam się z niej, opierając prawą rękę o kłodę, na której siedziała.

Kelly Dahl rzuca się na mnie w mgnieniu oka, skacze w bok, płynnym ruchem, który zawsze sobie wyobrażałem, ale nigdy go nie widziałem, jak atak pantery. Siada mi okrakiem na piersi i uciska przedramieniem moją tchawicę. Drugą ręką łapie mnie za nadgarstek i uderza nim o pień, Chwyta nóż, wypadający mi z dłoni. Ostrze dotyka mojego gardła. Nie mogę opuścić podbródka na tyle, by je zobaczyć, ale czuję jego dotyk. Ostra jak skalpel krawędź przecina napiętą skórę nad moją tchawicą. Patrzę prosto w oczy Kelly Dahl.

– Znalazł mnie pan – mówi, wbijając nóż w moje ciało i przesuwał go w bok w precyzyjnym ruchu zabójcy.

Spodziewam się, że z mojej tętnicy szyjnej wypłynie strumień krwi, ale czuję lekkie szczypanie, jak po goleniu brzytwą. A także dotyk zimnego powietrza na nietkniętej skórze szyi. Przełykam ślinę.

Kelly Dahl ciska nóż w ciemność w ślad za łukiem. Unieruchamia silnymi dłońmi moje ręce nad głową, po czym wspiera swój ciężar na łokciach po obu moich stronach.

– Znalazł mnie pan – szepcze i pochyla twarz nad moją twarzą.

To, co dzieje się później, nie jest jasne. Być może mnie całuje, być może całujemy się nawzajem, ale czas nagle przestaje być ciągły, niewykluczone więc, że nie dochodzi do żadnych pocałunków. Jedno jest jasne i pozostanie dla mnie jasne aż do ostatnich chwil mojego życia. W tej ostatniej sekundzie, nim sekundy przestają następować jedna po drugiej, unoszę ręce, by zdjąć ciężar ciała kobiety z jej łokci. Kelly Dahl rozluźnia się z czymś, co może być westchnieniem. Ciepło jej twarzy miesza się z ciepłem mojej twarzy w chwili bardziej intymnej niż wszelkie pocałunki. Jej ciało spoczywa na moim i nagle, w jakiś niewytłumaczalny sposób, Kelly opuszcza się dalej. Skóra dotyka skóry, ciało

dotyka ciała, a nawet więcej, wchodzi we mnie a ja wchodzę w nią w sposób wykraczający poza seks. Wnika we mnie jak duch przenikający stałą materię, powoli i zmysłowo, ale bez świadomego wysiłku, rozpuszcza się we mnie, jej postać pozostaje dotykalna, ale miesza się z moją, jakby składające się na nas atomy były gwiazdami w zderzających się galaktykach, które mijają się bez fizycznego kontaktu, ale na zawsze zmieniają układ całości.

Nie przypominam sobie, żebyśmy coś mówili. Pamiętam tylko trzy westchnienia – Kelly Dahl, moje oraz westchnienie wiatru rozpraszającego ostatnie iskry ogniska, które w jakiś sposób zdołało się dopalić, gdy czas się zatrzymał.

IV Palinodia

Kiedy się ocknąłem – sam – natychmiast sobie uświadomiłem, że wszystko się zmieniło. Światło i powietrze były inne niż przedtem. Ja również byłem inny. Od wielu lat nie czułem się tak ściśle powiązany ze swymi zmysłami. To było tak, jakby zniknęła jakaś bariera dzieląca mnie od świata.

Ale świat również był inny. Wyczułem to natychmiast. Był bardziej realny. Bardziej trwały. Ja czułem się pełniejszy, ale świat wydawał się bardziej spoisty.

Jeep czekał na polu kempingowym. Namiot był tam, gdzie go zostawiłem. Były też inne namioty, inne pojazdy. Inni ludzie. Małżeństwo w średnim wieku jedzące śniadanie obok swego winnebago przywitało mnie przyjaznym machaniem rąk. Nie potrafiłem się zdobyć na to, by im odpowiedzieć.

Kiedy ładowałem namiot na jeepa, podszedł do mnie strażnik leśny opiekujący się kempingiem.

– Nie zauważyłem, jak pan wczoraj przyjechał – oznajmił. – Nie ma pana na liście. To będzie siedem dolarów. Chyba że chce pan zostać drugi dzień. To będzie kolejne siedem. Górna granica to trzy dni. Tego lata mamy tu mnóstwo ludzi.

Spróbowałem coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie. Ku swemu lekkiemu zaskoczeniu przekonałem się, że w moim portfelu nadal są pieniądze. Wręczyłem mu dziesięciodolarowy banknot, a on wydał mi resztę.

– Jaki mamy teraz miesiąc?! – zawołałem za nim, kiedy odchodził.

Zatrzymał się z uśmiechem.

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, nadal był lipiec.

Skinąłem głową na znak podziękowania. Nie trzeba mi było wyjaśniać nic więcej.

Po powrocie do mieszkania wziąłem prysznic i włożyłem nowe ubranie. Wszystko wyglądało tak, jak wczoraj, kiedy wyjechałem. W szafce w kuchni były cztery butelki whisky. Ustawiłem je na ladzie i zacząłem wylewać zawartość do zlewu. Uświadomiłem sobie jednak, że w ogóle nie czuję potrzeby picia, i ustawiłem je z powrotem na miejscu.

Najpierw pojechałem do szkoły podstawowej, w której uczyłem przed tak wielu laty. Nauczyciele i uczniowie wyjechali na wakacje, ale część pracowników została na miejscu, by obsługiwać letnie kursy. Kierownik był nowy, ale jego sekretarka, pani Collins, mnie pamiętała.

– Pan Jakes – przywitała mnie. – Ledwie pana poznałam z tą brodą. Jest z nią panu do twarzy. Stracił pan na wadze i jest pan opalony. Był pan na wakacjach?

– Można by tak powiedzieć – odpowiedziałem z uśmiechem.

Akta nadal tam były. Obawiałem się, że przeniesiono je do okręgowego archiwum albo podążyły za uczniami do szkół wyższego stopnia, ale zasady wymagały przechowywania najważniejszych danych i zakładania nowych teczek od siódmej klasy.

Dane wszystkich uczniów z mojej ostatniej szóstej klasy wciąż przechowywano w pokoju na dole, ich teczki butwiały razem ze zdjęciami – błyszczące oczy, aparaty ortodontyczne, niemodne fryzury sprzed dziesięciu lat. Byli tam wszyscy. Wszyscy oprócz Kelly Dahl.

– Kelly Dahl – powtórzyła pani Collins, gdy wróciłem z piwnicy i zapytałem o nią. – Kelly Dahl. To dziwne, panie Jakes, ale nie przypominam sobie dziecka o takim nazwisku. Kelly Daleson, ale to było kilka lat przed pana odejściem. I Kevin Dale... ale to było kilka lat przed pana przybyciem. Czy był tu długo? Może przenieśli go z innej szkoły, chociaż pamiętam większość...

– Była – poprawiłem ją. – To była dziewczynka. Uczyła się tu parę lat.

Pani Collins zmarszczyła brwi, jakbym znieważył jej zdolności zapamiętywania.

– Kelly Dahl – powtórzyła raz jeszcze. – Nie sędzę, panie Jakes. Pamiętam większość uczniów. Dlatego zasugerowałam panu Penbroke'owi, że to ustrojstwo nie jest potrzebne... – Wskazała lekceważąco stojący na biurku komputer. – Jest pan pewien, że ta dziewczynka była w jednej z pana szóstych klas... może poznał ją pan w liceum albo... później? – Wydęła usta na myśl, że niebezpiecznie zbliżyła się do *faux pas*.

– Nie – zaprzeczyłem. – Poznałem ją, zanim mnie wywalili. Poznałem ją tutaj. Tak przynajmniej sądziłem.

Pani Collins przyglądała palcami niebieskie włosy.

– Mogę się mylić, panie Jakes – powiedziała tonem wykluczającym taką możliwość.

Akta w liceum potwierdziły jej opinię. Nigdy nie było żadnej Kelly Dahl. Zarządca osiedla przyczep kempingowych nie przypominał sobie trojga podobnych osób. W gruncie rzeczy jego pamięć i dokumenty potwierdzały, że przyczepę, którą zapamiętałem jako należącą do Dahlów, od roku 1975 wynajmowała ta sama starsza wiekiem para. W „The Boulder Daily Camera” nie mieli mikrofilmowych zapisów artykułu o zamordowaniu Patricii Dahl, a dzięki telefonom do North Platte i do Omaha dowiedziałem się, że w ciągu ostatnich dwunastu lat nie aresztowano nikogo o nazwisku Carl Reems.

Siedziałem na tarasie w swym mieszkaniu i obserwowałem letni zachód słońca nad Flatironami, pogrążony w myślach. Kiedy zachciało mi się pić, woda z lodem zaspokajała moje pragnienie. Myślałem o jeepie i o sprzęcie turystycznym, czekających na parkingu. Z tyłu pojazdu leżał karabinek remington i trzydziestka ósemka w niebieskim futerale. Nigdy w życiu nie miałem takiej broni.

– Kelly – wyszeptalem wreszcie. – Tym razem naprawdę udało ci się uciec.

Wyjąłem portfel i przyjrzałem się jednemu zdjęciu Allana, które ocalało przed czystką Marii. Mała fotografia zrobiona, kiedy był w piątej klasie. Po chwili schowałem ją do portfela, odłożyłem go na miejsce i poszedłem spać.

Minęły tygodnie. Potem dwa miesiące. Lato w Kolorado przeszło we wczesną jesień. Dni robiły się coraz krótsze, ale za to przyjemniejsze. Po trzech trudnych rozmowach kwalifikacyjnych zaproponowano mi pracę w prywatnej szkole w Denver. Miałem uczyć szóstoklasistów. Zнали przebieg mojej kariery, ale najwyraźniej doszli do wniosku, że zmieniłem się na lepsze. Ostatnią rozmowę kwalifikacyjną odbyłem w piątek. Obiecali, że zadzwonią w sobotę.

Dotrzymali słowa. Kiedy proponowali mi pracę, w ich głosach słyszałem szczerze zadowolenie. Być może wiedzieli, że oznacza to dla mnie nowy start. Nowe życie. Moja odpowiedź ich zaskoczyła.

– Dziękuję, ale nie – oznajmiłem. – Zmieniłem zdanie.

Uświadomiłem sobie, że nie mógłbym już uczyć jedenastolatków. Przypominaliby mi Allana i Kelly Dahl.

Zapadła pełna szoku cisza.

– Być może chciałby pan dostać jeszcze jeden dzień na zastanowienie – zasugerował dyrektor szkoły, pan Martin. – To ważna decyzja. Mógłby pan zadzwonić do nas w poniedziałek.

Już chciałem odpowiedzieć „nie”, wytłumaczyć mu, że już podjąłem decyzję, lecz nagle usłyszałem w umyśle głos: *Niech pan nie decyduje dzisiaj. Proszę zaczekać do poniedziałku.*

Umilkłem na chwilę. Od czasu pożegnania z Kelly Dahl nieraz słyszałem w umyśle podobne echa.

– Panie Martin – odezwałem się wreszcie. – To może być dobry pomysł. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zadzwonię do pana w poniedziałek rano.

W niedzielę rano kupiłem „New York Timesa” w sklepie z papierosami Eads, zjadłem późne śniadanie, obejrzałem wiadomości o jedenastej na ABC, skończyłem czytać „New York Times Books Review” i o pierwszej po południu zszedłem do jeepa. Był piękny jesienny dzień i jazda przez Left Hand Canyon i dalej trudną terenową trasą zajęła mi niespełna godzinę.

Na bezchmurnym niebie pełno było smug kondensacyjnych, widocznych za jesiennymi liśćmi osik. Zatrzymałem jeepa w odległości trzech metrów od wylotu szybu.

– Dziewczyno – powiedziałem, stukając palcami w kierownicę. – Raz ty znalazłaś mnie, a raz ja znalazłem ciebie. Czy moglibyśmy teraz zrobić to wspólnie?

Czułem się głupio, mówiąc do siebie. Nie dodałem już nic więcej. Wrzuciłem pierwszy bieg i wcisnąłem gaz do dechy. Maską skierowała się ku górze. Gdy samochód podskoczył na krawędzi otworu, ujrzałem żółte liście, błękitne niebo i białe smugi. Potem pole widzenia przede mną wypełniła czarna czeluść.

Wcisnąłem hamulec obiema nogami. Jeep wpadł w poślizg, podskoczył i nieco obrócił się w lewo. Kiedy się zatrzymał, jego prawe przednie koło zwisało nad przepaścią. Drżąc lekko, cofnąłem się o niespełna metr, wysiadłem i oparłem o samochód.

Nie w ten sposób. Nie tym razem. Nie wiedziałem, czy to tylko moja myśl. Miałem nadzieję, że nie.

Podszedłem do krawędzi, zajrzałem w otchłań i cofnąłem się.

Minęły miesiące. Przyjąłem pracę w Denver. Kocham ją. Uwielbiam przebywanie z dziećmi. Cieszę się, że znowu czuję się żywy. Ponownie stałem się mędrcom na scenie, ale tym razem scena jest spokojniejsza.

Nadal niepokoją mnie złe sny. Nie sny o Kelly Dahl, ale te, które śnią się jej. Budzę się z koszmarów o tym, jak Carl przychodzi do mojego pokoiku w przyczepie, albo jak próbuję porozmawiać z matką, ale ona pali papierosa i w ogóle mnie nie słucha. Przebudzenia są jeszcze gwałtowniejsze, gdy śni mi się, że się budzę, czując, jak ciężka dłoń Carla zamyka mi usta, a jego cuchnący oddech owiewa moją twarz.

W tych chwilach czuję się najbliższy Kelly Dahl. Siedzę na łóżku, spływa po mnie pot, a serce wali mi gwałtownie. Wyczuwam jej obecność. Lubię sobie wyobrazać, że dla niej te sny są egzorcyzmem, a dla mnie spóźnioną ofertą miłości i pomocy.

Nie sposób opisać uczucia, które dzieliliśmy z Kelly Dahl tej ostatniej nocy w jej świecie... w naszym świecie. Zderzające się ze sobą galaktyki. Tak chyba wtedy to nazwałem, a później obejrzałem teleskopowe zdjęcia tego zjawiska: setki miliardów gwiazd mijających się w niewielkiej odległości, gdy wielkie spiralne skupiska przenikają się nawzajem i oddziałują na siebie za pośrednictwem grawitacji i zmieniają się na zawsze, mimo że same gwiazdy nie zderzają się ze sobą. To trochę przypomina coś, co przeżyłem tamtej nocy, ale nie wyjaśnia tego, co wydarzyło się później – świadomości, że zmieniłem się na zawsze, że wypełniły mnie umysł, serce i wspomnienia innej osoby, na zawsze kładąc kres mojej samotności. Nie sposób opisać świadomości, że jest się nie tylko dwiema osobami, lecz czterema – nami tutaj i prawdziwymi nami, gdy spotykamy się w tym alternatywnym miejscu, do którego uciekamy.

To nie jest mistyczne przeżycie. Nie jest religijne. To nie przyszłe życie. Po prostu życie.

Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale w niektóre dni, na boisku, w ciepły zimowy dzień, kiedy promienie słońca wydają się dotykalne, a na zachodzie widać lśniące turnie wododziału kontynentalnego, jakby były odległe o metry, a nie o wiele kilometrów, zamykam oczy i pozwalam sobie słyszeć wiatr zamiast głosów bawiących się dzieci, wówczas echa tej drugiej rzeczywistości, która jest oddzielna, ale równa naszej, stają się słyszalne.

Nie widzę już Flatironów, a polna droga prowadzi teraz do niskich klifów nad brzegiem morza śródziemnego. Daglezje, sosny żółte i sosny wydmowe zniknęły, wąska droga wiję się przez tropikalny las złożony z paproci o wysokości dwudziestu metrów i kwitnących sagowców wielkości małych sekwoi. Drzewa iglaste przypominające cedry szeroko rozpościerają konary, a na jednym gatunku drzewa, którego nie potrafię zidentyfikować, widać skupiska nasion kształtu wielkich pędzli do golenia. W wilgotnym, niemal oszałamiająco gęstym powietrzu unoszą się wonie eukaliptusów, magnolii, czegoś przypominającego kwitnące jabłonie, jaworów, a także wiele innych, bardziej egzotycznych. Słysząc bzyczenie owadów, a gdy jeep zbliża się do wybrzeża, głęboko w lesie paproci na prawo ode mnie miota się coś bardzo wielkiego.

Tam, gdzie powinny być Flatirony, niebo odbija się w przybrzeżnych błotach i lagunach. Wszystko wydaje się bardziej wyraziste i szczegółowe, niż pamiętam to z poprzednich wizyt. Morze ciągnie się daleko na wschód, a fale na nim są silne i miarowe. Droga prowadzi do grobli biegnącej przez zalewany pływami obszar ku Mont Saint-Michel, miastu-katedrze. Jego wysokie mury lśnią w blasku późnopołudniowego słońca.

W pewnym momencie zatrzymuję się na grobli i sięgam po lornetkę, by przyjrzeć się murom i blankom.

Ford bronco stoi zaparkowany przed bramą. Kelly Dahl przystanęła na szczycie najwyższego muru, nieopodal wejścia do katedry, wysoko na skalnej wyspie. Ma na sobie czerwoną bluzę, zauważam też, że włosy nieco jej odrosły. W szklach mojej lornetki z pewnością odbija się blask słońca, bo Kelly uśmiecha się lekko i macha do mnie ręką, mimo że dzieli nas od siebie jeszcze jakieś czterysta metrów.

Chowam lornetkę do futerału i jadę dalej. Po mojej prawej stronie, w jednym z głębokich basenów pływowych, długoszyi plezjozaur, być może z grupy elasmozaurów, unosi głowę wyposażoną w liczne zęby przypominające kosz do łapania ryb, kieruje krótkowzroczne spojrzenie na miejsce, z którego dobiega odgłos silnika jeepa, po czym znowu zanurza się w mrocznej wodzie. Zatrzymuję się na moment, by obserwować zmarszczki rozchodzące się po tafli, ale głowa już się nie pojawia.

Za mną, tam, gdzie kiedyś były – czy raczej będą – Flatirony i Boulder, coś rzuca głośnym rykiem wyzwanie w lesie sagowców i paproci.

Skupiam uwagę na czerwonym punkciku wysoko na murach cudu, jakim jest Mont Saint-Michel, wyobrażając sobie, że w jakiś sposób widzę wyraźnie Kelly, nawet bez lornetki. Naciskam gaz i ruszam naprzód.

Sieroty z Helisy

Ogromny statek wynurzył się z przestrzeni Hawkinga w zmieszonym czerwono-białym blasku gwiazdy podwójnej. Sześćset osiemdziesiąt cztery tysiące trzystu obywateli Widmowej Helisy Amoieta'a spało głębokim kriogenicznym snem, podczas gdy pięć SI kierujących statkiem odbyło szybką naradę. Napotkawszy niezwykle zjawisko, cztery z nich bez wahania zgodziły się wyprowadzić statek z nadprzestrzeni, teraz jednak rozgorzała ożywiona dyskusja – trwająca dobre kilka mikrosekund – na temat dalszych działań.

W świetle odległych słońc układu podwójnego statek wyglądał przepięknie: białoczerwona poświata spowijała kilometrowej długości maszynę i trzy tysiące kapsuł hibernacyjnych rozmieszczonych na końcach długich, rozchodzących się promieniście wysięgników, które przypominały szprychy stu ogromnych kół rozstawionych w równych odstępach na centralnie umieszczonej osi kadłuba. Koła wirowały z ogromną prędkością, co upodabniało je do gigantycznych, rozmazujących się w ruchu wiatraków; kapsuły na ich obwodzie mknęły tak szybko, że zlewały się w migotliwe obręcze odbijające czerwono-białe lśnienie. Eneanie zaprojektowali statek w taki sposób, że koła nie były dokładnie prostopadłe względem osi statku: pierwsze odchyliło się w stronę rufy, następne – nieco większe – ku dziobowi, kolejne znów do tyłu, i tak dalej, na przemian. „Szprychy” sąsiednich kół zachodziły na siebie, tak że pędzące po ich obwodzie kapsuły mijały się o włos, z mikrosekundowym zapasem. Kiedy statek leciał w ten sposób, jego nazwa – *Helisa* – nie budziła wątpliwości: obserwator, który ujrzałby go z odległości kilkuset kilometrów, musiałby przyznać, że do złudzenia przypomina podwójną helisę ludzkiego DNA opromienioną światłem podwójnej gwiazdy.

Wszystkie SI zgodziły się co do tego, że należy przede wszystkim wciągnąć kapsuły hibernacyjne do wnętrza kadłuba. Najpierw olbrzymie szprychy zmieniły kąt nachylenia i w miejsce spiralnie skręconego łańcucha DNA pojawiło się sto odrębnych kół, każde z trzydziestoma coraz wolniej obracającymi się ramionami. Karbonitowe wysięgniki zwalniały bieg, aż wreszcie na ich końcach wyraźnie uwidoczniły się jajowate kapsuły. Kiedy ramiona znieruchomiały, cofnęły się w głąb kadłuba i każda kapsuła spoczęła

w przeznaczonym dla niej zagłębieniu poszycia, niczym jajko w miętko wyłożonym gniazdku.

Helisa morfowała osiem warstw pokrycia ochronnego, osłaniając wciągnięte w kadłub wysięgniki i kapsuły. Upodobniła się do smukłej strzały – w pobliżu wypukłego trójkątnego dzioba mieścił się mostek z centrum dowodzenia, na rufie zaś potężna jednostka napędu nadświetlnego i jeszcze większe silniki jądrowe. SI jednogłównie postanowiły obrać kurs na małą białą gwiazdę typu G8, hamować z dość przeciętnym przeciążeniem czterystu g oraz wzmocnić ekrany ochronne, czyli otoczyć statek polem siłowym dwudziestej klasy. Wprawdzie w żadnym z dwóch układów nie wykryły bezpośredniego zagrożenia dla statku, ale czerwony olbrzym – zgodnie z przewidywaniami – wypluwał ogromne masy gwiazdnego pyłu i śmiecia. Ta spośród SI, która szczyciła się największą ostrożnością i umiejętnościami nawigacyjnymi, ostrzegła, że trajektoria wejściowa w układzie typu G8 powinna z daleka omijać punkt L_1 Roche'a, w którym powstają potężne zaburzenia heliosfery. Następnie wszystkie pięć SI zajęło się wykreślaniem kursu, który pozwoliłby uniknąć najgorszych zawirowań. Przed magnetohydrodynamicznymi falami uderzeniowymi chroniło wprawdzie skutecznie nawet pole klasy trzeciej, ale mając pod opieką sześćset osiemdziesiąt cztery tysiące trzysta istot ludzkich, żadna SI nie chciała podejmować zbędnego ryzyka.

Ich następna decyzja była jednogłówna i nieunikniona. Znając powód zbcoczenia z kursu i wejścia w układ G8, musiały obudzić ludzi. Saigyo, który nadzorował listę personelu, znał grafik dyżurów i charakterystyki psychologiczne pasażerów, a poza tym zadał sobie trud osobistego poznania każdego z sześciuset osiemdziesięciu czterech tysięcy trzystu mężczyzn, kobiet i dzieci na pokładzie, zastanawiał się przez kilka sekund, zanim wybrał dziewięcioro ludzi, którym należy przerwać sen.

Po przebudzeniu Dem Lia nie czuła ani śladu otępienia typowego dla użytkowników starych komór kriogenicznych. Wypoczęta i w świetnej formie usiadła na leżance hibernacyjnej i odebrała z mechanicznego wysięgnika tradycyjną szklaną soku pomarańczowego.

– Sytuacja awaryjna? – spytała. Jej głos brzmiał dźwięcznie i naturalnie, jakby właśnie zbudziła się po solidnie przespanej nocy.

– Nie ma zagrożenia dla statku ani misji – uspokoił ją Saigyo. – Wystąpiła natomiast pewna ciekawa anomalia. Odebrano starą transmisję radiową z układu,

w którym moglibyśmy uzupełnić zapasy. Statek funkcjonuje bez zarzutu, podobnie jak wszystkie układy podtrzymania życia. Wszyscy mają się dobrze.

– Jak bardzo oddaliliśmy się od ostatniego sprawdzonego układu?

Dem Lia dopiła sok i przywdziała kombinezon ozdobiony szmaragdowozielonym paskiem na lewym ramieniu i na turbanie. Tradycyjnym strojem członków Helisy były wprowadzie pustynne burnusy w kolorach Widma Amoiete'a – każdy z rodów wybierał sobie barwę, którą darzył szczególnym szacunkiem – lecz na statku, gdzie często panowało zerowe ciążenie, szaty tego rodzaju zupełnie się nie sprawdzały.

– Sześć tysięcy trzysta lat świetlnych – odrzekła SI.

– Ile czasu minęło od naszego ostatniego przebudzenia? – spytała cicho Dem Lia, starając się nie okazywać zdumienia. – Jak długo trwa podróż? Jaki mamy całkowity dług czasowy?

– Od ostatniego przebudzenia minęło dziewięć lat czasu pokładowego. Dług czasowy wyniósł sto dwa lata. Lot trwa trzydzieści sześć lat czasu pokładowego, a całkowity dług czasowy względem zamieszkaanej przez ludzi przestrzeni kosmicznej wynosi czterysta jeden lat, trzy miesiące, tydzień i pięć dni.

Dem Lia potarła dłonią kark.

– Ile osób budzicie?

– Dziewięć.

Pokiwała głową, postanawiając nie tracić więcej czasu na pogawędkę z SI. Powiodła wzrokiem po z górą dwustu hermetycznych sarkofagach, w których spali jej rodzina i przyjaciele, i korzystając z głównego przenośnika, udała się na mostek, gdzie miała spotkać pozostałą ósemkę.

Eneanie na prośbę ludzi z Widmowej Helisy Amoiete'a zaprojektowali centrum dowodzenia w taki sposób, by przypominało mostek dawnych liniowców kosmicznych – albo okrętów morskich, jakich używano na Starej Ziemi przed hidżrą. Panująca na nim stała grawitacja wyraźnie określała, gdzie jest „dół”, a gdzie „góra”. Jadąc przenośnikiem, Dem Lia z zadowoleniem zauważyła, że wewnętrzne pole siłowe zostało ustawione na wygodnym poziomie jednego g.

Średnica samego mostka wynosiła około dwudziestu pięciu metrów. Oprócz centrów sterowania systemami statku znajdował się na nim stół (umieszczony na środku i – rzecz jasna – okrągły), przy którym teraz zbierali się przebudzeni pasażerowie. Popijali kawę, jak zwykle przerzucając się niewinnymi żartami na

temat marzeń sennych z długiej hibernacyjnej nocy. Wszędzie dookoła w ścianach półkulistej kopuły znajdowały się okna – naturalnie nie prawdziwe, szklane, tylko ekrany, na których obraz w mgnieniu oka mógł zostać powiększony albo wygaszony. Złudzenie jednak było całkowite. Dem Lia stała przez chwilę nieruchomo, podziwiając obce konstelacje gwiazd i widok ku rufie, na pozornie nieskończenie długi kadłub *Helisy*. Przyćmiony filtrami płomień hamujących silników jądrowych sięgał na osiem kilometrów w kierunku wyraźnie widocznego układu podwójnego: mniejszej białej gwiazdy i czerwonego olbrzyma.

Dem Lia skupiła się na zgromadzonych przy stole ludziach. Spotykali się często w dwuletnim okresie prowadzonych pod okiem enean przygotowań do lotu, ale żadnego z nich naprawdę bliżej nie znała. Znaleźli się w liczącym niespełna tysiąc osób gronie wybrańców, którzy mieli być w razie potrzeby budzeni z kriogenicznej śpiączki.

Automatycznie zwróciła uwagę na barwy, jakie nosili. Obok niej zasiadło czterech mężczyzn i cztery kobiety. Jedna z kobiet miała takie same szmaragdowozielone wypustki na turbanie i skafandrze, tak że Dem Lia nie potrafiła stwierdzić, komu przypadnie dowództwo: czy jej, czy może jej młodszej partnerce. Oczywiście o wszystkim miało zdecydować głosowanie. Jednakże szmaragdowe pasmo w widmie poematu Amoieta'a i w społeczeństwie *Helisy* oznaczało zdolności przywódcze, wrażliwość na siły natury, obycie z techniką oraz dążenie do ocalenia zagrożonych form życia – a tak daleko od zamieszkaną przez ludzi przestrzeni wszyscy uchodźcy z *Helisy* mogli uchodzić za gatunek zagrożony. Zakładano więc, że w sytuacji awaryjnej właśnie demokratycznie wybrani zieloni obejmą dowództwo.

Poza młodą rudowłosą przedstawicielką zielonych imieniem Res Sandre miejsca przy stole zajęli: Patek Georg Dem Mio, mężczyzna z czerwonym paskiem na kombinezonie; Den Soa, kobieta z białymi wypustkami na stroju, którą Dem Lia знаła z symulacji dyplomatycznych; Jon Mikail Dem Alem, mężczyzna z czarną opaską; Oam Rai, starsza kobieta z żółtym paskiem, która, jak pamiętała Dem Lia, świetnie radziła sobie z prowadzeniem statku; Peter Delen Dem Tae, siwowłosy mężczyzna z niebieskimi oznaczeniami, psycholog; Kem Loi, ładna dziewczyna z fioletowym prążkiem na rękawie, bez wątpienia specjalistka od astronomii; i Samel Ria Kem Ali, lekarz z pomarańczowym paskiem, zwany w skrócie doktorem Samem. Dem Lia parokrotnie z nim rozmawiała.

Po ogólnej prezentacji zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w leżący za oknami układ podwójny. Biała gwiazda typu G8 niemal ginęła im z oczu w jaskrawym płomieniu z dysz silników jądrowych.

– No dobrze, statku – odezwał się w końcu Patek Georg. – Czekamy na wyjaśnienia.

Z rozmieszczonych na mostku głośników dobiegł łagodny głos Saigyo:

– Mieliliśmy właśnie rozpocząć poszukiwania planet podobnych do Ziemi, gdy czujniki kazały nam zainteresować się tym układem.

– Gwiazdą podwójną? – spytała z niedowierzaniem Kem Loi. – Chyba nie chodzi o tego czerwonego olbrzyma?

Mieszkańcy Widmowej Helisy Amoiete'a bardzo precyzyjnie określili parametry świata, jaki chcą znaleźć: krążąca wokół gwiazdy typu G2 planeta z niebieskimi wodami, przyjemnym zakresem temperatur, około dziewiątki w starej skali Solmewa – krótko mówiąc: prawdziwy raj. Na poszukiwania mieli dziesiątki tysięcy lat świetlnych i tysiące zwykłych. I naprawdę spodziewali się go znaleźć.

– W układzie czerwonego olbrzyma nie ma ani jednej planety – przyznał ugodowym tonem Saigyo. – Wedle naszych szacunków gwiazda ta była żółtobiałym karłem typu G2...

– Jak Sol – mruknął Peter Delen, niebieski siedzący po prawej stronie Dem Lii.

– Zgadza się – przytaknął Saigyo. – Bardzo podobnym do słońca Starej Ziemi. Mniej więcej trzy i pół miliona standardowych lat temu znajdowała się na normalnym etapie spalania wodoru, gdy stała się niestabilna i rozszerzyła się gwałtownie, przechodząc w stadium czerwonego olbrzyma. Przy tej okazji wchłonęła wszystkie planety znajdujące się w układzie.

– Jak bardzo zwiększyła swoją średnicę? – spytała Res Sandre, druga zielona.

– W przybliżeniu o jedną i trzy dziesiąte jednostki astronomicznej.

– Czy na pewno żadna planeta nie ocalała? – spytała Kem Loi. Fioletowi w Helisie specjalizowali się w tworzeniu wszelkiego rodzaju skomplikowanych struktur, grze w szachy, analizie bardziej złożonych aspektów stosunków międzyludzkich oraz w astronomii. – Skoro czerwony olbrzym sięga niewiele poza orbitę hipotetycznych odpowiedników Starej Ziemi czy Hyperiona, jakieś gazowe olbrzymy albo zimne skalne planety powinny znaleźć się poza jego zasięgiem.

– Może po dalszych orbitach krążyły tylko nieduże planetoidy, które zostały odepchnięte przez rozprzestrzeniające się ciężkie cząstki? – zasugerował Patek Georg, czerwony, czyli typowy pragmatyk.

– A może w ogóle nie powstały tu żadne planety – mruknęła smutno Den Soa, dyplomatka. – Przynajmniej nikt by nie zginął, gdy nastąpiła ekspansja słońca.

– Dlaczego kierujemy się w stronę białej gwiazdy, Saigyo? – zapytała Dem Lia. – Czy możesz nam przedstawić jej parametry?

Nad stołem wyświetliły się obrazy, trajektorie i kolumny cyfr.

– Co to jest? – zdziwiła się starsza kobieta, żółta Oam Rai.

– Orbitalny pierścień leśny – wyjaśnił Jon Mikail Dem Alem. – Taki szmat drogi, tyle lat i jakiś zabytkowy statek osiedleńczy Wygnańców nas uprzedził.

– Jak to: uprzedził? – zdumiała się Res Sandre. – Przecież w tym układzie nie ma ani jednej planety. Prawda, Saigyo?

– Tak, proszę pani.

– Myśleliście o tym, żeby uzupełnić w pierścieniu zapasy? – domyśliła się Dem Lia. Podczas rejsu w nieznane *Helisa* z założenia unikała światów rządzonych przez enean, Pax albo Wygnańców.

– Las jest tam wyjątkowo bujny – zauważył Saigyo. – Nie dlatego jednak zostaliście obudzeni. Ktoś w samym pierścieniu lub bardzo blisko niego nadaje sygnał alarmowy w starym paśmie komunikacyjnym Hegemonii. Sygnał ten jest bardzo słaby, ale odebraliśmy go w odległości dwustu dwudziestu ośmiu lat świetlnych. I nadal odbieramy.

Wszyscy pogrążyli się w rozmyślaniach. *Helisa* wyruszyła w swój długi rejs mniej więcej osiemdziesiąt lat po Wspólnej Chwili, która stała się punktem zwrotnym i początkiem nowej ery w historii ludzkości. Wcześniej przez trzysta lat zamieszkanym przez ludzi kosmosem rządził manipulowany przez dostojników kościelnych Pax. Wygnańcy z tego pierścienia musieli natomiast przegapić nie tylko rządy Kościoła, ale i większą część wcześniejszej tysiącletniej epoki Hegemonii. Do tego dochodził ponad czterystuletni dług czasowy *Helisy*. Jeżeli Wygnańcy trafili do tego układu podwójnego podczas hidzry, czyli masowego eksodusu ze Starej Ziemi u zarania dziejów Hegemonii, niewykluczone, że od ponad półtora tysiąca lat nie mieli kontaktu z ludźmi.

– To bardzo ciekawe – przyznał Peter Delen Dem Tae. Niebieski pasek na jego ramieniu świadczył o głębokiej znajomości psychologii i antropologii.

– Saigyo, odtwórz nam sygnał, który odbieracie – poprosiła Dem Lia.

Rozległ się szum, seria trzasków i gwizdów, a wśród nich prawdopodobnie dwa odfiltrowane elektronicznie słowa, wypowiedane po angielsku z akcentem z dawnej Sieci.

– Co to znaczy? – zapytała Dem Lia. – Nie słyszę za dobrze.

– Pomóżcie nam – odparła SI.

Saigyo mówił z lekkim azjatyckim akcentem, przez co zwykle wydawał się nieco rozbawiony, teraz jednak jego głos brzmiał bezbarwnie i śmiertelnie poważnie.

Ludzie przy stole spojrzeli po sobie w milczeniu. Wyruszając w podróż, obywatele Widmowej Helisy Amoiete'a postawili sobie za cel zostawić daleko w tyle całą zamieszkaną przez ludzi przestrzeń kosmiczną. W ten sposób

mogliby realizować własne pomysły i odnaleźć swoje przeznaczenie bez ingerencji enean. Wygnańcy byli zaś niczym innym, jak tylko kolejnym odłamkiem ludzkiej społeczności. W towarzystwie sprzymierzonych z nimi templariuszy usiłowali pokierować swoją ewolucją i dostosować się genetycznie do życia w otwartym kosmosie, tworząc przy tym lasy orbitalne i kuliste gwiazdodrzewa, w których zamykali całe słońca.

– Na ile szacujecie liczbę Wygnańców zamieszkujących pierścieni? – zapytała Den Soa. Przeszedłszy szkolenie białych, reprezentowałyby zapewne Helisę w razie bezpośredniego kontaktu.

– Siedemset milionów na mierzącym trzydzieści stopni wycinku lasu, który widać po tej stronie słońca – odparła SI. – Jeżeli pierścień jest równomiernie zaludniony, liczba jego mieszkańców z pewnością idzie w miliardy.

– Czy zarejestrowano jakiś ślad obecności Akerataelich albo zeplinów? – zainteresował się Patek Georg. Przedstawiciele tych dwóch ras obcych, współpracujący w okresie Upadku Hegemonii z Wygnańcami i templariuszami, mieli swój udział w powstaniu wszystkich gwiazdodrzew i lasów orbitalnych.

– Nie. Zwróćcie jednak uwagę na środkowy monitor i wyświetlony na nim leśny pierścień. Dzieli nas od niego jeszcze sześćdziesiąt trzy jednostki astronomiczne. Obraz jest powiększony dziesięć tysięcy razy.

Wszyscy przenieśli wzrok na główny ekran, na którym las widniał tak blisko, jakby dzieliło ich od niego zaledwie kilka tysięcy kilometrów: rozróżniali zieleni liści, żółci i brąz gałęzi i spleciony z wielu konarów pień, który zniknął poza kadrem. W tle świeciła biała gwiazda typu G8.

– Coś jest z nim nie tak – zauważyła Dem Lia.

– Ta właśnie anomalia w połączeniu z sygnałem alarmowym sprawiła, że postanowiliśmy was obudzić – stwierdził zamyślnym głosem Saigyo. – Ten orbitalny pierścień leśny nie jest dziełem Wygnańców ani templariuszy.

Doktor Samel Ria Kem Ali gwizdnął przez zęby.

– Las orbitalny będący dziełem obcych, ale zamieszkały przez Wygnańców, potomków ludzi.

– Odkąd znaleźliśmy się w układzie, dokonaliśmy jeszcze jednego odkrycia – ciągnął Saigyo.

Na ekranie z lewej strony pojawił się obraz maszyny – statku kosmicznego, z pewnością, tak jednak wielkiego i niezgrabnego, że wymykał się wszelkim próbom sensownego opisu. U dołu ekranu wyświetlił się wizerunek *Helisy* w tej samej skali: miała kilometr długości, potwór był natomiast co najmniej tysiąckroć większy, masywny, pękaty i brzydki. Czarny jak węgiel owadzi korpus łączył w sobie najgorsze cechy owocu ewolucji i tworu sztucznego. W samym środku szerokiego cielska widniało coś na kształt zaopatrzonej

w stalowe zęby paszczyki: otwór o nieregularnych krawędziach, w którym osadzono na pozór niekończące się rzędy szczypiec, ostrzy i pił tarczowych.

– Wygląda jak maszynka do golenia dla samego Pana Boga – stwierdził Patek Georg Dem Mio. Głos drżał mu lekko, nieco niweczając zamierzony ironiczny efekt.

– Akurat – mruknął pod nosem Jon Mikail Dem Alem. Czarna opaska wskazywała, że specjalizuje się w obsłudze systemów podtrzymywania życia. Wychowywał się na wielkich farmach Vitus-Gray-Balianusa B. – Już prędzej piekielna żniwiarka.

– Gdzie jest teraz?

Dem Lia nie skończyła jeszcze pytania, gdy Saigyo naniósł na ekran przewidywany kurs *Helisy* w głąb układu. Ohydna machina nadlatywała znad płaszczyzny ekliptyki. Znajdowała się w tej chwili około dwudziestu ośmiu jednostek astronomicznych przed nimi i ostro hamowała, chociaż daleko jej było do przeciążeń, jakim podlegała *Helisa*. Kierowała się wprost na orbitalny las Wygnańców. Wykres trajektorii nie pozostawiał cienia wątpliwości: przy zachowaniu obecnego tempa hamowania miała dotrzeć do pierścienia za dziewięć dni standardowych.

– Może to dlatego nadali sygnał alarmowy – stwierdziła oschle Res Sandre.

– Gdyby coś takiego zbliżało się do mojego domu, wrzeszczałabym tak, że na dwieście lat świetlnych byłoby mnie słyhać i bez radia – dodała młoda biała, Den Soa.

– Skoro namierzyliśmy ten sygnał z odległości dwustu dwudziestu ośmiu lat świetlnych... – mówił w zamyśleniu Patek Georg – ...to albo ta maszyna bardzo wolno wchodzi w układ, albo...

– Albo już wcześniej go odwiedziła – dokończyła Dem Lia. Poleciała Saigyo wyłączyć ekrany i zostawić ich samych na mostku. – Czy możemy teraz podzielić się rolami i obowiązkami, ustalić priorytety i podjąć wstępne decyzje? – zaproponowała półgłosem.

Siedzący przy stole z powagą pokiwali głowami.

Osoba z zewnątrz, nieobeznana z kulturą Widmowej Helisy, miałyby spore kłopoty ze zrozumieniem wydarzeń, które rozegrały się w ciągu następnych pięciu minut. Po dwóch minutach siedzące przy stole osoby porozumiały się we wszystkich istotnych kwestiach, mimo iż tylko niewielka część dyskusji toczyła się przy użyciu słów – świetnie sprawdzało się wypracowane na przestrzeni

czterech stuleci połączenie drobnych gestów, języka ciała, uproszczonych komunikatów werbalnych i potakujących bądź przeczących ruchów głową.

Rodzice i dziadkowie pasażerów *Helisy* na własnej skórze poznali znaczenie dyscypliny i jasnej struktury dowodzenia: pół miliona ich rodaków zginęło w krótkiej, lecz zacieklej wojnie z siłami Paksu na Vitus-Gray-Balianusie B, a dalsze sto tysięcy w potyczkach z paksowskimi niedobitkami, które jakieś trzydzieści lat później napadły na ich planetę, mordując i grabiąc.

A jednak dziewięcioro przebudzonych chciało jednogłośnie wybrać dowódcę, a później równie zgodnie podejmować dalsze decyzje.

Podporządkowali się Dem Lii, która dysponowała prawem głosu decydującego; mogła nim nawet unieważnić osiągniętą ugodę. Druga z zielonych, Res Sandre, wolała nadzorować pracę silników i sterów, mając do pomocy małomówną SI imieniem Basho. Zamierzała wykorzystać czas spędzony w przestrzeni fizycznej na odnowienie zapasów.

Nikt nie był zaskoczony, gdy mężczyzna z czerwonym paskiem na ubraniu, Patek Georg, przyjął stanowisko szefa sił bezpieczeństwa. Odpowiadał zarówno za potężne systemy obronne statku, jak i za przebieg ewentualnego spotkania z Wygnańcami. Tylko Dem Lia miała prawo anulować jego postanowienia w zakresie użycia broni.

W gestii Den Soi, młodej kobiety z białymi wypustkami na skafandrze, znalazły się systemy łączności i kwestia nawiązania kontaktu dyplomatycznego. Poprosiła Petera Delena Dem Tae, by dzielił z nią to zadanie, a on przystał na jej propozycję. Jego przygotowanie psychologiczne obejmowało między innymi egzopsychobiologię teoretyczną.

Doktor Sam miał czuwać nad zdrowiem wszystkich pasażerów *Helisy*, a gdyby doszło do spotkania z Wygnańcami i templariuszami, zająć się badaniem zmian biologiczno-ewolucyjnych w ich organizmach.

Mężczyzna z czarnym paskiem, Jon Mikail Dem Alem, przejął kontrolę nad systemami podtrzymywania życia. Miał nie tylko nadzorować działanie układów zainstalowanych na *Helisie*, ale także przygotować odpowiednie warunki, gdyby mieli gościć Wygnańców na pokładzie.

Oam Rai, mistrzyni szachowa i najstarsza z dziewięciorga obudzonych, zgodziła się nadzorować pracę pozostałych systemów statku i zajęła stanowisko głównego doradcy u boku Dem Lii.

Specjalizująca się w astronomii Kem Loi miała kierować wszystkimi czujnikami dalekiego zasięgu, było jednak widać, że wolny czas chętnie wykorzystywałaby do zbadania samej gwiazdy podwójnej.

– Czy ktoś z was zwrócił uwagę, jakiego starego znajomego przypomina ta biała gwiazda? – spytała.

– Tau Ceti – odparła bez namysłu Res Sandre.

Kem Loi skinęła głową.

– Widzieliście też anomalię w położeniu pierścienia lasu.

Nikt nie miał wątpliwości: Wygnańcy wybierali słońca typu G2 i lokowali lasy orbitalne w odległości około jednej jednostki astronomicznej od nich. Tymczasem ten pierścień okalał słońce w odległości równej zaledwie trzydziestu ośmiu setnym jednostki astronomicznej.

– Centralna Tau Ceti krąży po prawie identycznej orbicie – powiedział Patek Georg.

W dawnych czasach Centralna Tau Ceti była główną planetą i stolicą Hegemonii. Później, pod rządami Paksu, podupadła i straciła na znaczeniu, dopóki w ostatnich dniach potęgi Kościoła miejscowa kardynał nie zbuntowała się przeciw osłabionemu papieżowi. Wówczas to większość odbudowanych na planecie miast została zrównana z ziemią. Kiedy osiemdziesiąt lat później *Helisa* opuszczała zaludnione przez ludzi rejony kosmosu, eneanie na nowo zaludniali Tau Ceti i przywracali jej dawną świetność: odtwarzali piękne klasyczne budowle w rozległych posiadłościach, przeobrażali wypalone promieniami laserowych lanc ruiny w Arkadię. Eneańską Arkadię.

Dokonawszy podziału obowiązków, dziewięcioro siedzących przy stole pasażerów przedyskutowało możliwość obudzenia swoich bliskich. Ponieważ podstawą rodziny w Widmowej Helisie Amoiete'a była triada, czyli związek małżeński trojga ludzi – dwóch mężczyzn i kobiety bądź mężczyzny i dwóch kobiet – a większość triad na statku miała również dzieci, sprawa nie przedstawiała się prosto. Jon Mikail omówił ewentualne zmiany w systemie podtrzymywania życia – w gruncie rzeczy dość błahe – po czym wszyscy zgodzili się, że obecność członków rodzin tylko skomplikowałaby proces decyzyjny. Postanowiono zatem nie przerywać im hibernacji, robiąc wyjątek dla męża i żony Den Soi. Młoda dyplomatka przyznała, że czułaby się pewniej, mając u boku dwoje ukochanych; pozostali przychylni się do jej prośby, sugerując zarazem delikatnie, że małżonkowie nie powinni pojawiać się na mostku bez wyraźnego powodu. Den Soa z ochotą przystała na ten warunek i przywołany Saigyo od razu przystąpił do budzenia pary jej najbliższych. Dzieci nie mieli.

Następnie wszyscy zajęli się najważniejszym problemem.

– Czy na pewno chcemy zbliżyć się do pierścienia i wmieszać w sprawy Wygnańców? – zapytał Patek Georg. – Zakładając oczywiście, że sygnał alarmowy jest wciąż aktualny.

– W dalszym ciągu nadają go na wszystkich częstotliwościach – potwierdziła Den Soa, podłączona już bezpośrednio do systemów łączności statku. Przeniosła

wzrok na swój wirtualny monitor. – A ten latający potwór nie zbacza z kursu.

– Nie wolno nam zapominać, że po drodze mamy unikać kontaktu z potencjalnie niebezpiecznymi osiedlami ludzkimi.

Res Sandre odpowiedziała mu uśmiechem.

– Rzeczywiście, kiedy planowaliśmy rejs, mieliśmy na myśli wszystkie planety Paksu, Wygnańców i enean – przyznała. – Ale nikt nie podejrzewał, że spotkamy ludzi, czy też ich potomków, osiem tysięcy lat świetlnych poza granicami skolonizowanego kosmosu.

– Mimo to nie możemy wykluczyć możliwości zagrożenia – upierał się Patek Georg. – Dla wszystkich.

Dobrze rozumieli znaczenie słów dowódcy sił bezpieczeństwa. Kolor czerwony w Widmowej Helisie symbolizował odwagę, zdecydowane przekonania polityczne i pasje artystyczne, ale także współczucie dla wszelkich żywych istot. Wiedzieli, że kiedy Patek Georg mówi „dla wszystkich”, ma na myśli nie tylko niemal siedemset tysięcy pogrążonych we śnie pasażerów, ale także samych Wygnańców i templariuszy. Sterujące własną ewolucją sieroty ze Starej Ziemi, rzucone daleko poza zasięg cywilizacji, na co najmniej tysiąc lat – jeśli nie więcej – wymknęły się poza ramy ludzkiej historii. Nawet przelotny kontakt mógł się teraz okazać zabójczy dla ich kultury.

– Polecimy tam i zobaczymy, czy możemy im pomóc... a przy okazji spróbujemy uzupełnić zapasy – powiedziała Dem Lia łagodnym, lecz nie znośnym sprzeciwu tonem. – Saigyo? Ile czasu potrzebujemy, żeby zejść na odległość pięciu tysięcy kilometrów od pierścienia? Najszybciej, jak to możliwe, ale bez przeciążania wewnętrznych pól siłowych.

– Trzydzieści siedem godzin – odparła SI.

– Czyli o ponad siedem dni wyprzedzimy tę paskudną maszynę – stwierdziła Oam Rai.

– Kurczę, przecież ona może być dziełem samych Wygnańców – wtrącił doktor Sam. – Powiedzmy, że zbudowali ją, żeby bezpiecznie podróżować do czerwonego olbrzyma, nie martwiąc się zaburzeniami heliosfery.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne – odparła młoda Den Soa.

– W każdym razie zauważyli nas – poinformował Patek Georg, również podłączony do aparatury statku. – Saigyo... Włącz, proszę, okna. I daj takie samo powiększenie jak poprzednio.

Nagle mostek zalało światło gwiazd, blask dwóch bliskich słońc i lśnienie splecionego z masywnych konarów lasu orbitalnego, który zakrzywił się i zniknął poza ekranem, niby gigantyczna fasola z bajki. Coś jednak zmieniło się w tym obrazie.

– Czy to transmisja w czasie rzeczywistym? – spytała szeptem Dem Lia.

– Tak – odparł Saigyo. – Musieli dostrzec płomień naszych dysz jądrowych, kiedy weszliśmy w układ. Teraz lecą nam na spotkanie.

Od leśnego pierścienia oddzieliły się tysiące, dziesiątki tysięcy jaśniejących punkcików i rozedrganych smug światła, które teraz na podobieństwo świetlików i migotliwej pajęczyny oddalały się od spowitych obłokiem atmosfery splotów gigantycznych liści i gałęzi. Miriady świetlnych cętek leciały wprost ku *Helisie*.

– Czy możesz jeszcze trochę powiększyć obraz? – poprosiła Dem Lia. Zwróciła się wprost do Saigyo, ale Kem Loi, podłączona do sieci optycznej statku, zareagowała wcześniej.

Leciały ku nim świetlne motyle o rozpostartych na sto, dwieście, pięćset kilometrów skrzydłach. Skrzydła te trzepotały w podmuchach wiatru słonecznego i motyle unosiły się w polu magnetycznym małej białej gwiazdy. Skrzydlatych aniołów – czy może demonów – światła były jednak nie tysiące, nie dziesiątki, lecz setki tysięcy. Co najmniej setki tysięcy.

– Miejmy nadzieję, że nie są do nas wrogo nastawieni – rzekł Patek Georg.

– Przede wszystkim miejmy nadzieję, że zdołamy się z nimi porozumieć – wyszeptała młoda Den Soa. – To znaczy... Nie wiemy przecież, jak pokierowali swoją ewolucją przez ostatnie półtora tysiąca lat.

Dem Lia zastukała ręką w stół – lekko, łagodnie, ale tak, że wszyscy wyraźnie ją usłyszeli.

– Proponuję porzucić czcze spekulacje i nadzieje i przygotować się na spotkanie, do którego dojdzie za... – Zawiesiła głos.

– Dwadzieścia siedem godzin i osiem minut, jeśli Wygnańcy będą dalej przemieszczać się w naszym kierunku – dokończył posłusznie Saigyo.

– Res Sandre, zacznij już ze swoją SI pracować nad tym, żebyśmy, kończąc hamowanie, nie usmażyli Wygnańców resztkami płomieni z dysz – mówiła dalej Dem Lia. – Byłby to nader kiepski wstęp do kontaktu dyplomatycznego.

– Jeżeli jednak mają wobec nas wrogie zamiary, napęd jądrowy byłby naszą najlepszą bronią przeciw... – zaprotestował Patek Georg.

– Nie ma mowy o wojnie z Wygnańcami, dopóki ich motywy nie będą dla nas jasne – przerwała mu stanowczo Dem Lia. – Pateku, sprawdź działanie wszystkich systemów obronnych statku. Dopóki nie porozmawiamy w cztery oczy, nie życzę sobie dalszych publicznych dyskusji na temat działań ofensywnych z naszej strony.

Patek Georg w milczeniu skłonił głowę.

– Czy są jeszcze jakieś pytania? – spytała Dem Lia. – Czy ktoś chce coś dodać?

Dziewięcioro przebudzonych wstało od stołu i udało się na stanowiska.

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin z okładem Dem Lia niewiele spała. Stała teraz wprost w układzie, do którego wlecieli, niczym olbrzymka górująca nad zawieszoną parę metrów od jej ramienia gwiazdą typu G8. Pleciony warkocz orbitalnego lasu miała na wyciągnięcie ręki i bez wysiłku mogłaby go objąć palcami. Na wysokości jej piersi setki tysięcy utkanych ze światła migotliwych skrzydeł zbiegały się wokół *Helisy*, której słabnący od jakiegoś czasu płomień dysz jądrowych zgasł już zupełnie. Dem Lia stała swobodnie pośrodku otchłani kosmosu: zbudowany przez obcych las znajdował się na wysokości jej pasa, a konstelacje i rozmyte galaktyki otaczały ją ze wszystkich stron.

Nagle obok niej pojawił się Saigyo, przybrawszy swoją zwykłą wirtualnej rzeczywistości postać i pozę: buddyjski mnich – jakby żywcem wzięty z dziesiątowiecznego klasztoru – siedział po turecku tuż ponad płaszczyzną ekliptyki, zachowując pełen szacunku dystans paru metrów od Dem Lii. Był bez koszuli i boso. Wydatny brzusek uzupełniał dobroduszny wizerunek, jaki tworzyła krągła twarz, zmrużone oczy i zaczerwienione policzki.

– Wygnańcy w locie są tacy piękni – wymruczała Dem Lia.

– Widać stąd, że w rzeczywistości unoszą się na heliosferycznych falach uderzeniowych, posuwając się wzdłuż linii sił pola w magnetosferze. Stąd bierze się to ich niezwykle przyspieszenie.

– Słyszałam o tym, ale nigdy nie widziałam na własne oczy – przyznała Dem Lia. – Czy mógłbyś...

W jednej chwili układ, w którym się znajdowali, wypełniła płatanina linii sił pola magnetycznego wybiegających z białej gwiazdy, z początku zakrzywionych, dalej prostych i rozmieszczonych w regularnych odstępach niczym zaporą automatycznego ognia laserowego. Niezwykły złożony wzór wykreślony był w przestrzeni kosmicznej na czerwono; niebieskie linie odzwierciedlały niezliczone wiązki promieniowania kosmicznego, które trafiały do układu ze wszystkich zakątków galaktyki. Zbiegały się z liniami sił pola i posuwały wzdłuż nich spiralnym torem, niczym walczące z prądem rzeki łososie, które za wszelką cenę chcą złożyć ikrę w trzewiach słońca. Dem Lia zwróciła uwagę, że pole magnetyczne u obu biegunów gwiazdy jest poskręcane i odkształcone, dzięki czemu odbija większość promieniowania, które w przeciwnym wypadku gładko posuwałoby się wzdłuż linii prostych. Przyszła jej do głowy inna metafora: wyobraziła sobie plemniki przedzierające się ku płonącemu oślepiającym blaskiem jaju, spychane na bok przez słoneczne

wichury i zawirowania magnetosfery, odrzucane falami uderzeniowymi, które przebiegały po liniach sił pola, jakby ktoś szarpał za drugi koniec linii.

– Niespokojnie tu – zauważyła na widok trajektorii, po których podążali Wygnańcy.

Szybowali, ślizgali się i dawali nieść falom jonów, polu magnetycznemu i promieniom z głębi kosmosu. Zachowywali pozycję i kierunek dzięki utkanym z czystej energii skrzydłom, które – wypełniane wiatrem słonecznym – mieniły się delikatną poświatą. Elektromagnetyczna wichura popychała ich to w przód, to lekko w tył, to znów z impetem w przód, gdy mocniejsze podmuchy doganiały poprzednie, wolniejsze fronty falowe i tworzyły falę uderzeniową – chwilowe tsunami pędziło najpierw na zewnątrz, ku granicom układu, by zaraz cofnąć się w stronę białej gwiazdy, niczym gigantyczna fala, która omywa plażę, a potem wraca do morza.

Wygnańcy na pozór bez wysiłku radzili sobie w tym natłoku kształtów, czerwonych linii magnetycznych, żółtych smug jonów, niebieskich śladów promieni kosmicznych i zmiennych widm zderzających się frontów falowych. Dem Lia sięgnęła wzrokiem dalej, gdzie falująca heliosfera czerwonego olbrzyma stykała się ze wzburzoną heliosferą białej gwiazdy, jakby wielokolorowy, fosforyzujący ocean rozbijał się z hukiem o urwiska równie barwnego kontynentu wrzającej energii. To było naprawdę niespokojne miejsce.

– Przejdź w normalny tryb wyświetlania – zakomenderowała i w polu jej widzenia znów znalazły się gwiazdy, pierścień leśny, trzepoczący skrzydłami Wygnańcy i wolno lecąca *Helisa*. Zarówno statek, jak i mieszkańcy lasu musieli zostać znacznie powiększeni, żeby mogła ich widzieć. – Poproś inne SI, żeby tu przybyły, Saigyo.

Uśmiechnięty mnich uniósł brwi w zdumieniu.

– Wszystkie naraz?

– Tak.

Pojawiły się wkrótce – nie natychmiast i nie jednocześnie, lecz w krótkich, wyraźnych odstępach.

Pierwsza przybyła lady Murasaki. Była jeszcze niższa niż niepozorna Dem Lia. Na widok jej oryginalnego kimona w stylu sprzed trzech tysięcy lat Dem Lii zaparło dech w piersi. Jakież niewyobrażalne piękno uchodziło na Starej Ziemi za oczywiste, pomyślała.

Lady Murasaki ukloniła się grzecznie i wsunęła drobne dłonie w rękawy kimona. Twarz miała pomalowaną na biało, usta i oczy mocno podkreślone, a długie czarne włosy ułożone w tak niezwykły sposób, że Dem Lia, która niemal całe życie chodziła krótko ostrzyżona, nie próbowała nawet wyobrazić

sobie, ile pracy wymaga mycie, układanie, czesanie, zaplatanie i upinanie takiej masy.

Sekundę później po przeciwnej stronie wirtualnego obrazu *Helisy* w pustą przestrzeń wkroczył Ikkuyu – ta SI wybrała starą personę dawno nieżyjącego poety zen: wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat, był wyższy niż przeciętny Japończyk i zupełnie łysy. Czoło położyły mu zmarszczki licznych zmartwień, za to rozczapierzające się w kącikach błyszczących oczu kurze łapki świadczyły o skłonności do śmiechu. Przed startem Dem Lia sprawdziła w bankach pamięci statku zapisy dotyczące tego żyjącego w piętnastym stuleciu mnicha, poety, muzyka i mistrza kaligrafii. Wynikało z nich, że dożywszy siedemdziesiątki, Ikkuyu zakochał się w niewidomej śpiewaczce młodszej od niego o blisko, czterdzieści lat. Wśród młodych mnichów wybuchł skandal, gdy sprowadził ukochaną do świątyni, by mogli razem zamieszkać. Dem Lia z miejsca go polubiła.

Następny przybył Basho – ekspert od haiku przybrał postać chudego, niezgrabnego wieśniaka z siedemnastowiecznej Japonii w stożkowym kapeluszu i sandałach na drewnianej podeszwie. Pod paznokciami jak zawsze miał trochę ziemi.

Ryokan wdzięcznym krokiem zajął miejsce w kręgu. Miał na sobie piękne szaty w olśniewającym odcieniu błękitu, wykończone złotą nicią. Długie włosy związał w kucyk.

– Prosiłam was wszystkich o przybycie tu ze względu na złożoną naturę zbliżającego się spotkania z Wygnańcami – zaczęła stanowczym tonem Dem Lia. – Z zapisu w dzienniku pokładowym wiem, że jedno z was sprzeciwiło się wyjściu z przestrzeni Hawkinga i próbie reakcji na sygnał alarmowy.

– Ja byłem przeciw – zgłosił się Basho. Mówił nowoczesnym, postpaksowskim angielskim, ale i tak jego głos brzmiał szorstko i gardłowo, jak mowa samuraja.

– Dlaczego?

– Zaprogramowane priorytety nie uwzględniały takiej możliwości. – Basho uczynił nieokreślony gest. – Uznałem, że potencjalne niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie, korzyści zaś zbyt małe, jeśli wziąć pod uwagę nasze główne zadanie: znalezienie planety nadającej się do kolonizacji.

Dem Lia wskazała ręką rój zbliżających się do statku Wygnańców. Dzielilo ich już tylko kilka tysięcy kilometrów. Od ponad jednego dnia standardowego na wszystkich częstotliwościach radiowych zapewniali załogę *Helisy* o swoich pokojowych zamiarach.

– Czy nadal uważasz, że to zbyt ryzykowne?

– Tak – odparł Basho.

Dem Lia zmarszczyła brwi i pokiwała głową. Brak porozumienia wśród Samodzielnych Inteligencji w ważnych kwestiach zawsze był deprymujący, ale to po to przecież eneanie po rozpadzie TechnoJądra podarowali im autonomię. Dlatego też znajdowało się ich na pokładzie pięć i mogły głosować.

– Wy zaś stwierdziliście, że możemy podjąć takie ryzyko, czy tak?

– Dostrzegliśmy doskonałą okazję do uzupełnienia zapasów żywności i wody – odparła lady Murasaki cichym, nieśmiałym głosem. – Uznaliśmy, że sami powinniście rozważyć implikacje kulturowe ewentualnego spotkania i podjąć stosowne działania. Oczywiście do czasu wyjścia z nadprzestrzeni nie wykryliśmy olbrzymiego statku kosmicznego, który znajduje się w układzie. Gdybyśmy wiedzieli o jego istnieniu, nasza decyzja mogłaby być inna.

– Mamy do czynienia z autentyczną kulturą Wygnańców, przemieszanych zapewne z liczną populacją templariuszy, którzy od zarania Hegemonii prawdopodobnie nie mieli kontaktu z ludzką cywilizacją – przypomniał z entuzjazmem Ikkuyu. – Niewykluczone, że ze wszystkich uczestników hidzry właśnie oni zapuścili się najdalej w kosmos. Ze wszystkich ludzi. Możemy się od nich wiele nauczyć.

– Do spotkania zostało już tylko parę godzin. – Zniecierpliwiona Dem Lia pokiwała głową. – Słyszeliście, co mówią przez radio: pozdrawiają nas i chcą porozmawiać. Odpowiedzieliśmy grzecznie i uprzejmie. Mówimy na tyle podobnymi dialektami, że koraliki translacyjne poradzą sobie z nimi w rozmowie na żywo. Skąd jednak mamy wiedzieć, czy Wygnańcy naprawdę przybywają w pokoju?

Ryokan odchrząknął.

– Powinienem chyba w tym miejscu przypomnieć, że przez ponad tysiąc lat tak zwane wojny z Wygnańcami były efektem prowokacji: najpierw ze strony Hegemonii, potem Paksu. Mieszkający w swoich pierwotnych siedzibach w głębokim kosmosie Wygnańcy nigdy nie mieli wrogich zamiarów. Do tej odległej kolonii nie dotarły zaś nawet odległe echa tych konfliktów.

Saigyo, usadowiony wygodnie na niewidzialnej grzędzie, zachichotał donośnie.

– Ja zaś przypomnę, że podczas prawdziwej wojny z Paksem ci pokojowo nastawieni, przystosowani do życia w próżni ludzie nauczyli się budować liniowce, okręty bojowe ze zmodyfikowanym napędem Hawkinga, broń plazmową, a nawet obsługiwać zdobyczne uzbrojenie wyposażone w napęd Gedeona. – Machnął ręką. – Przeskanowaliśmy wszystkich tych, którzy się do nas zbliżają: żaden nie ma broni, nawet marnej drewnianej włóczni.

– Kem Loi zapoznała mnie z pewnymi śladami astronomicznymi, które sugerują, że ich zakotwiczony przy pierścieniu statek kolonizacyjny szybko

zerwał się z uwięzi, zapewne w kilka miesięcy, najdalej lat, od przybycia – rzekła Dem Lia. – W układzie nie ma asteroid, a obłok Oörta jest rozproszony i znajduje się tak daleko, że nie mogą się do niego dostać. Można wręcz przypuszczać, że nie znają metalu i nie rozwinęli żadnych gałęzi przemysłu.

– Za pozwoleniem... – wtrącił zatroskany Basho. – Nie mamy pewności, że tak w istocie jest. Wygnańcy potrafili zmodyfikować własne ciała w taki sposób, że generują skrzydła energetyczne o rozpiętości setek kilometrów. Kiedy dostatecznie zbliżą się do statku, mogliby teoretycznie wykorzystać połączone oddziaływanie skrzydeł do przełamania naszego pola ochronnego i zaatakować *Helisę*.

– Zginać od ciosów anielskich skrzydeł... – Dem Lia się zadumała. – Cóż za ironia.

Samodzielne Inteligencje milczały.

– Kto z was bezpośrednio współpracuje z Patekiem Georgiem Dem Mio przy ustalaniu strategii obronnej?

– Ja – odezwał się Ryokan.

Dem Lia wiedziała o tym wcześniej, ale i tak ucieszyła się w duchu, że nie zgłosił się Basho. Jeden paranoik – Patek Georg – w takim mieszanym zespole w zupełności wystarczy.

– Jakie są zalecenia Pateka Georga przed spotkaniem? – zapytała Ryokana bez ogródek.

SI wahała się tylko przez ledwie zauważalny ułamek sekundy. Wszystkie Samodzielne Inteligencje rozumiały znaczenie dyskrecji i lojalności wobec swoich ludzkich współpracowników, ale znały też swoje powinności i rolę dowódcy na statku.

– Patek Georg zamierza rozszerzyć pole ochronne dwudziestej klasy, tak by otaczało statek w promieniu stu kilometrów – odparł cicho Ryokan. – Broń energetyczna w stanie gotowości zostanie wycelowana we wszystkich uprzednio namierzonych trzysta dziewięć tysięcy dwustu pięciu Wygnańców.

Dem Lia minimalnie uniosła brwi.

– Ile czasu potrzebujemy, żeby ostrzelać z laserów ponad trzysta tysięcy celów?

– Dwie i sześć dziesiątych sekundy.

Dem Lia pokręciła głową.

– Ryokanie, powiedz, proszę, Patekowi Georgowi, że rozmawiałeś o tym ze mną i że chcę, aby zachowano dotychczasowy zasięg pola, czyli jeden kilometr od kadłuba. Można utrzymać moc pola, niech Wygnańcy zobaczą, że jest klasy dwudziestej, tak będzie dobrze. Broń nie namierzy ich jednak od razu; przypuszczalnie widzą również nasze wiązki celownicze. Możecie z Patekiem

Georgiem przeprowadzić taką liczbę symulacji spotkania, jaka pozwoli wam uzyskać poczucie bezpieczeństwa, ale nie wolno wam włączać zasilania broni i aparatury celowniczej bez mojego wyraźnego rozkazu.

Ryokan skłonił się posłusznie. Basho zaszurał nogami w wirtualnych sandałach, ale się nie odezwał.

Lady Murasaki na wpół przesłoniła twarz wachlarzem.

– Ufasz im.

– Nie do końca. – Dem Lia się nie uśmiechnęła. – Nigdy bez reszty nie ufam obcym. Ryokanie, chcę, żebyście z Patekiem Georgiem przygotowali pole siłowe do szybkiej reakcji. Jeżeli choćby jeden Wygnaniec spróbuje przebić je skoncentrowaną plazmą ze skrzydeł słonecznych, natychmiast ma zostać wzmocnione do klasy trzydziestej piątej i rozszerzone do pięciuset kilometrów.

Ryokan bez słowa skinął głową.

– Całą masę Wygnańców czeka wtedy szybka przejażdżka, proszę pani. – Ikkuyu się uśmiechnął. – Osobiste zasilanie i system podtrzymywania życia nie wytrzymają zapewne takiego wstrząsu, a już z całą pewnością na wyhamowanie pędu będą potrzebowali z pół jednostki astronomicznej.

– To już ich problem. – Dem Lia skinęła głową. – Nie sądzę wszakże, by do tego doszło. Dziękuję wam za rozmowę.

Wszystkie sześć postaci zniknęło z przestrzeni wirtualnej.

Spotkanie przebiegło spokojnie i okazało się bardzo owocne.

Pierwsze pytanie, jakie Wygnańcy nadali dwadzieścia godzin wcześniej, brzmiało:

– Czy jesteście z Paksu?

Z początku Dem Lia i jej podwładni nie posiadali się ze zdumienia – zakładali przecież, że ci Wygnańcy stracili kontakt z ludzką cywilizacją na długo przed powstaniem Paksu. Dopiero po chwili odezwał się Jon Mikail Dem Alem:

– Wspólna Chwila. To musiała być Wspólna Chwila.

Spojrzeli po sobie w milczeniu. Zdawali sobie sprawę, że doświadczenie Wspólnej Chwili podczas męczeństwa Enei stało się udziałem wszystkich ludzi w cywilizowanym kosmosie. Jej śmierć z rąk sług Paksu i TechnoJądra odbiła się rezonansowo daleko w Pustce, Która Łączy; jej myśli, wiedza i wspomnienia poniosły się w głąb kwantowej materii wszechświata po niciach, które tylko empatia wprawia w drżenie. Na krótką chwilę wszyscy wygnańcy ze Starej

Ziemi zostali zjednoczeni. Czy to możliwe, że i ci Wygnańcy to poczuli? Tysiące lat świetlnych od Pacem?

I nagle Dem Lia zdała sobie sprawę, jak naiwnie rozumują. Wspólna Chwila – która nastąpiła niemal pięćset lat wcześniej – była przecież odczuwalna w najdalszych zakątkach kosmosu. Pustka, Która Łączy, kwantowe medium przenikające wszechświat, rozciągała się wszędzie, dosięgając obcych ras i kultur, także tych, z którymi ludzie przy obecnym stanie techniki nie mogli nawiązać kontaktu. We Wspólnej Chwili pierwszy świadomy ludzki głos dołączył do chóralnej, empatycznej rozmowy istot rozumnych, która rozbrzmiewała już od dwunastu miliardów lat. Eneanie mówili Dem Lii, że większość tych istot dawno wyginęła lub wyewoluowała znacznie ponad swoją pierwotną formę, lecz ich wspomnienia wciąż wibrują w Pustce.

Rzecz jasna, Wygnańcy przed pięcioma wiekami również doświadczyli Wspólnej Chwili.

– Nie, nie jesteśmy z Paksu – nadano odpowiedź z *Helisy*. – Przed około czterystu laty Pax został praktycznie unicestwiony.

– Czy macie na pokładzie wyznawców nauki Enei?

Dziewięcioro ludzi przy stole westchnęło ciężko. Wygnańcy wyczekiwali zapewne rozpaczliwie jakiegoś eneańskiego posłańca, proroka, który przywiózłby im dobrodziejstwo sakramentu DNA Enei, żeby sami mogli stać się eneanami.

– Nie – brzmiała odpowiedź. – Nikogo takiego nie ma.

Dalej przesłano Wygnańcom garść informacji na temat Widmowej Helisy Amoiete'a i streszczono dzieje współpracy z eneanami przy budowie i adaptacji statku do dalekiej podróży.

Na chwilę w eterze zapadła cisza, a potem Wygnańcy wysłali kolejne pytanie:

– Czy jest na pokładzie ktoś, kto osobiście znał Eneę lub jej ukochanego, Raula Endymiona?

Pasażerowie na mostku popatrzyli po sobie bez słowa. Dopiero Saigyo, siedzący po turecku na podłodze, nieco dalej od stołu, przerwał milczenie:

– Nikt z pasażerów nie spotkał się z Eneą. Z należącej do Helisy rodziny, która ukrywała Raula Endymiona, kiedy zachorował, i pomogła mu uciec z Vitus-Gray-Balianusa B, dwoje małżonków zginęło w wojnie z Paksem: Dem Ria, jedna z kobiet, oraz mężczyzna, Alem Mikail Dem Alem. Syn, którego mieli z tego związku, Bin Ria Dem Loa Alem, również zginął podczas bombardowania. Córka Alema Mikaila z pierwszej triady zaginęła i została uznana za zmarłą. Druga z kobiet, Dem Loa, przeżyła. Kilka tygodni po Wspólnej Chwili przyjęła sakrament i stała się eneanką. Mocą własnego umysłu opuściła Vitus-Gray-Balianusa B i nigdy już nie wróciła na macierzystą planetę.

Dem Lia i jej podwładni czekali bez słowa, wiedząc, że SI nie przemawiałaby tak długo, gdyby historia nie miała dalszego ciągu.

Saigyo pokiwał głową.

– Okazało się jednak, że ich nastoletnia córka, Ces Ambre, którą uznano za zaginioną po masakrze cywilnej ludności w bazie Bombasino, ocalała. Wraz z ponad tysiącem innych obywateli Widmowej Helisy trafiła na statek kosmiczny i została przewieziona na St. Theresę, do ostatniego bastionu wojsk Paksu. Tam otrzymała krzyżoształt i została wskrzeszona jako ponownie narodzona chrześcijanka. Przeżyła dziewięć lat w garnizonie pod opieką straży kościelnej, zanim eneanie wyzwolili planetę i Dem Loa dowiedziała się, że jej córka wciąż żyje.

– Spotkały się? – spytała ze łzami w oczach Den Soa, dyplomatką. – Czy Ces Ambre wyzwoliła się od krzyżoształtu?

– Tak, spotkały się. Na wieść o odnalezieniu córki Dem Loa przeniosła się na St. Theresę. Ces Ambre pozwoliła eneanom wydobyć z jej ciała krzyżoształt, ale nie przyjęła od matki sakramentu i sama do nich nie przystała. Z jej akt wynika, że chciała wrócić na Vitus-Gray-Balianusa B i na własne oczy ujrzeć pozostałości kultury, w której się wychowała. Przez prawie sześćdziesiąt lat standardowych mieszkała tam i pracowała jako nauczycielka. Przyjęła błękitne barwy, tak jak jej rodzice.

– Nacierpiała się pod krzyżoształtem, ale nie została eneanką – mruknęła z niedowierzaniem Kem Loi.

– I jest z nami na pokładzie – powiedziała Dem Lia. – Zahibernowana.

– Zgadza się – przytaknął Saigyo.

– Ile miała lat, gdy zaczynaliśmy rejs? – zapytał Patek Georg.

– Dziewięćdziesiąt pięć standardowych – odrzekł z uśmiechem Saigyo. – Ale tak jak my wszyscy, osiadłszy na planecie, w pełni korzystała z dobrodziejstw eneańskiej medycyny. Z wyglądu i psychiki przypomina raczej kobietę po sześćdziesiątce.

Dem Lia potarła z namysłem policzek.

– Saigyo, proszę obudzić obywatelkę Ces Ambre. Den Soa, czy możesz być przy niej, kiedy się obudzi, i przedstawić jej sytuację, zanim staniemy twarzą w twarz z Wygnańcami? Bardziej interesuje ich ktoś, kto znał męża Enei, niż cała Widmowa Helisa.

– Przyszłego męża – poprawił ją nieco pedantyczny z natury Jon Mikail. – Podczas krótkiego pobytu na Vitus-Gray-Balianusie B Raul Endymion nie był jeszcze mężem Enei.

Den Soa rozpromieniła się.

– To będzie dla mnie zaszczyt towarzyszyć Ces Ambre do czasu spotkania z Wygnańcami.

Mrowie Wygnańców zatrzymało się pięćset kilometrów od statku, na pokład zaś przybyło troje ambasadorów. Przez radio ustalono, że bez trudu zniosą ciężenie równe jednej dziesiątej g . W uroczej oranżerii przykrytej przezroczystą kopułą, która znajdowała się nieco powyżej mostku i bliżej rufy, ustawiono więc pole siłowe na dziesiątą część przyciągania ziemskiego, zainstalowano stosowne oświetlenie i siedzenia. Pasażerowie *Helisy* zgodnie uznali, że łatwiej będzie im rozmawiać, jeżeli zachowają choć symboliczne rozróżnienie „góry” i „dołu”; Den Soa dodała, że Wygnańcy powinni dobrze się czuć w zielonym, pełnym roślin pomieszczeniu. Statek morfował służę w górnej części szklistego bąbla i teraz wszyscy śledzili wolne zbliżanie się dwóch skrzydlatych sylwetek i jednej mniejszej, odzianej w przezroczysty kombinezon i holowanej przez dwie pierwsze. W orbitalnym lesie Wygnańcy oddychali czystym tlenem, toteż powietrze w oranżerii dostosowano do ich preferencji. Kiedy przeszli przez służę i zajęli przygotowane dla nich miejsca, Dem Lia zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo jest podekscytowana; zastanawiała się tylko, czy to wpływ bogatszej w tlen atmosfery, czy po prostu niezwykłych okoliczności.

Siedząc w fotelach, Wygnańcy bacznie przypatrywali się pięciorgu siedzącym naprzeciwko nich delegatom *Helisy*. Oprócz Dem Lii przy stole zasiedli Den Soa, Patek Georg, psycholog Peter Delen Dem Tae i Ces Ambre, przystojna kobieta o krótko przystrzyżonych siwych włosach. Ręce trzymała złożone na podołku. Uparła się, że wystąpi w tradycyjnej niebieskiej szacie z kapturem; zgodziła się jednak spiąć ją w kilku strategicznych punktach rzepem, dzięki czemu poły materii nie falowały swobodnie w powietrzu.

Przybysze stanowili interesującą mieszalinę typów. Z lewej strony, na najbardziej skomplikowanym fotelu antygravitacyjnym, zasiadł jeden z Wygnańców w pełni przystosowanych do życia w otwartym kosmosie. Podróżnik – bo tak został przedstawiony – miał niemal cztery metry wzrostu i Dem Lia poczuła się przy nim jeszcze niższa niż zwykle. Obywateli *Helisy* zawsze cechowała krępa, zwarta budowa ciała, wynikająca nie – jak można by oczekiwać – ze stuleci spędzonych w zwiększonej grawitacji, lecz bezpośrednio z ich dziedzictwa genetycznego. Zresztą Podróżnik pod wieloma innymi względami różnił się od przeciętnego człowieka: jego ramiona i nogi przypominały raczej długie, chude wypustki wyrastające ze szczupłego tułowia,

a palce miały dobre dwadzieścia centymetrów długości. Każdy centymetr kwadratowy skóry, która pod chłodzącą membraną ciśnieniową sprawiała wrażenie niemal zupełnie nagiej, był osłonięty generowanym przez jego ciało polem siłowym. Pole to – w istocie wzmocniona wersja naturalnej ludzkiej aury – pozwalało mu bez trudu znosić skrajnie niegościnne warunki przestrzeni kosmicznej. Wystający znad i spod ramion grzebień kostny tworzył rusztowanie, na którym wspierały się rozpostarte skrzydła, gdy w próżni łapał w nie słoneczny wiatr i pola magnetyczne. Również jego twarz daleko odbiegała od przeciętnej twarzy ludzkiej: wąskie jak szparki ciemne oczy kryły się za wypukłymi błonami migawkowymi, w miejscu uszu na płaskiej czaszce miał delikatną siateczkę, skrywającą zapewne odbiornik fal elektromagnetycznych, usta zaś były wąziutką, ledwie zarysowaną i pozbawioną warg szczeliną – Podróżnik porozumiewał się ze światem dzięki znajdującym się pod skórą karku gruczołom radiowym.

Wiedząc o tym, przedstawiciele Helisy zaopatrzyli się w dyskretne odbiorniki i mikrofony do subwokalizacji, które poza wychwytywaniem słów Podróżnika pozwalały im komunikować się – w wąskim szyfrowanym pasmie – z pokładowymi SI.

Drugi z Wygnańców również częściowo przystosował się do życia w próżni, wciąż jednak bardzo przypominał człowieka. Miał wprawdzie trzy metry wzrostu, był chudy i wątły, ale nie okalała go podobna do ektoplazmy membrana ani własne pole siłowe, a twarz i oczy miał normalne, wyraźnie wykształcone. Był zupełnie pozbawiony owłosienia i posługiwał się starym angielskim z początków Sieci, prawie bez obcego akcentu. Nazywał się Keel Redt i nosił tytuł Drzewomistrza; nie ulegało wątpliwości, że wybrano go na oficjalnego rzecznika grupy, a może nawet jej faktycznego przywódcę.

Po jego lewej ręce zasiadła templariuszka – młoda, drobna kobieta o nieco azjatyckich rysach twarzy, bezwłosej czaszce i charakterystycznych dla templariuszy ogromnych oczach. Ubrana była w tradycyjny brązowy płaszcz z kapturem. Przedstawiła się jako Prawdziwy Głos Drzewa Reta Kasteen. Miała cichy, osobliwie melodyjny głos.

Po dokonaniu oficjalnej prezentacji Dem Lia zwróciła uwagę, że goście natarczywie przyglądają się Ces Ambre, która odpowiedziała im przyjaznym uśmiechem.

– Jak to się stało, że zapuściliście się tak daleko na takim statku? – zapytał Keel Redt.

Dem Lia wyjaśniła mu motywy decyzji o założeniu nowej kolonii Widmowej Helisy Amoiete'a z dala od zaludnionych obszarów kosmosu, na co zareagował

oczywistym pytaniem o pochodzenie ich kultury. W kilku zdaniach streściła dzieje Helisy.

– Jeżeli dobrze rozumiem... – wtrąciła Reta Kasteen, templariuszka – ...cała wasza struktura społeczna wywodzi się z opery, z dzieła napisanego ku uciesze ludzi, które wykonano tylko jeden raz i to ponad sześćset lat temu.

– Nie cała – odparła Den Soa. – Każda kultura rozwija się i adaptuje do zmiennych warunków, nasza również. Faktem jest jednak, że podwaliny filozoficzne naszego społeczeństwa zostały zawarte w owym niepowtarzalnym wykonaniu dzieła filozofa, kompozytora i poety holistycznego w jednej osobie, Halpula Amoiete’a.

– A co sam... poeta sądził o tworzeniu społeczeństwa na podstawie jego jedyne multimedialnego dzieła? – spytał Drzewomistrz.

Pytanie było dość delikatnej natury, ale Dem Lia uśmiechnęła się tylko i odrzekła:

– Tego się nigdy nie dowiemy. Miesiąc po przedstawieniu obywatel Amoiete zginął podczas wspinaczki w górach. Pierwsze społeczności oparte na *Widmowej Helisie* zaczęły powstawać dopiero dwadzieścia lat po jego śmierci.

– Oddajecie cześć temu człowiekowi? – pytał dalej Keel Redt.

– Nie – odpowiedziała mu Ces Ambre. – Nigdy nie usiłowaliśmy deifikować Halpula Amoiete’a, mimo że nadaliśmy naszej zbiorowości jego imię. Szanujemy jednak wartości i cele ludzkiej egzystencji, jakie przekazał nam przez swą sztukę w tamtym jednym jedynym przedstawieniu. Staramy się je realizować w życiu.

Drzewomistrz z zadowoleniem skinął głową.

W słuchawce Dem Lii zabrzmiał cichy głos Saigyo:

– Cały czas nadawany jest przekaz audio i wideo z tej rozmowy. Wygnańcy na zewnątrz statku odbierają go wąską koherentną wiązką i przekazują dalej, do pierścienia orbitalnego.

Dem Lia powiodła wzrokiem po trójce siedzących przed nią delegatów, po czym popatrzyła na Podróżnika. Jego oczy były całkowicie ukryte pod przypominającymi gogle spolaryzowanymi membranami, które upodabniały go do owada. Saigyo podążył za wzrokiem Dem Lii.

– Tak – przytaknął. – To on nadaje.

Dem Lia złączyła czubki palców i przytknęła dłonie do ust, żeby lepiej ukryć subwokalizowane słowa:

– Podsluchujesz ich przekaz?

– Oczywiście. Jest bardzo prymitywny: tylko obraz i dźwięk, żadnych wydzielonych podkanałów z danymi. Nie ma też transmisji w drugą stronę, ani od Wygnańców w pobliżu statku, ani z pierścienia.

Dem Lia leciuteńko skinęła głową. Skoro *Helisa* nagrywała całą konferencję – rejestrując dyskretnie obraz holograficzny w pasmie widzialnym i w podczerwieni, rezonans magnetyczny funkcji mózgowych i korzystając z kilkunastu innych trybów obserwacji – nie powinna winić Wygnańców, że robią to samo. Nagle aż się zaczerwieniła: podczerwień, elektromagnetyczna wiązka skanująca, zdalny rezonans magnetyczny... Człowiek przystosowany do życia w kosmicznej próżni – o ile Podróżnik był jeszcze człowiekiem – musiał zdawać sobie sprawę, czym jest bombardowany: na co dzień oglądał przecież wiatr słoneczny i linie sił pola magnetycznego, widział pojedyncze jony w próżni, wyczuwał fotony promieniowania kosmicznego.

– Wyłącz wszystkie sensory w oranżerii – subwokalizowała. – Zostaw tylko holokamery.

Saigyo bez słowa wykonał jej polecenie.

Podróżnik zamrugął, jakby nagle zgasły oślepiające reflektory wycelowane do tej pory w jego twarz, a potem przeniósł wzrok na Dem Lię i skłonił się lekko. Wąskie wargi, oddzielone od świata zewnętrznego ektoplazmatyczną membraną i migotliwą poświatą pola siłowego, drgnęły w czymś, co uznała za lekki uśmiech.

– ...tak że ominęliśmy łączące się z wolna w Sieć układy i mniej więcej w tym samym czasie, gdy powstawała Hegemonia, opuściliśmy znany człowiekowi obszar kosmosu – mówiła właśnie templariuszka. – Wkrótce po zakończeniu hidzry wylecieliśmy z układu Centaura. Templariusze przyłączyli się do nas na Bożym Gaju, a potem statek systematycznie wynurzał się z nadprzestrzeni, tak że w regularnych odstępach czasu otrzymywaliśmy z komunikatorów informacje na temat kształtującej się właśnie Sieci. Lecieliśmy dalej.

– Dlaczego dotarliście aż tak daleko? – zapytał Patek Georg.

– To proste – odparł Drzewomistrz. – Statek się zepsuł. Przez całe wieki trzymał nas w komorach kriogenicznych, ignorując układy nadające się do zbudowania orbitalnego pierścienia leśnego. Zdał sobie sprawę z własnej pomyłki dopiero wówczas, gdy tysiąc dwustu pasażerów zmarło w komorach hibernacyjnych, nieprzystosowanych do tak długich lotów. Spanikował i zaczął wyskakiwać z przestrzeni Hawkinga w każdym napotkanym układzie. Oczywiście trafiał w ten sposób na zupełnie przypadkowe gwiazdy, przy których albo nie wyżyłyby żaden las orbitalny, albo które byłyby zabójcze dla nas, Wygnańców. Z zapisów w jego bankach pamięci wiemy, że niewiele brakowało, a zostałyby na dobre w układzie podwójnym złożonym z czarnej dziury i pożeranego przez nią czerwonego olbrzyma.

– Dysk akrecyjny byłby przepiękny – zauważyła Den Soa z wątlým uśmieszkiem na ustach.

Drzewomistrz również odpowiedział jej uśmiechem.

– Owszem. I moglibyśmy go podziwiać przez parę tygodni, może miesięcy, zanim by nas zabił. W każdym razie statek zachował resztki zdrowego rozsądku i wykonał jeszcze jeden skok. Tym razem szczęście mu dopisało, gdyż znalazł miejsce idealne: ten oto układ podwójny. W heliosferze białej gwiazdy czujemy się znakomicie, a las był już na miejscu.

– Ile czasu upłynęło od waszego przybycia? – zaciekała się Dem Lia.

– Dwieście trzydzieści kilka lat standardowych – nadał w odpowiedzi Podróżnik.

Templariuszka pochyliła się w fotelu i kontynuowała opowieść:

– Pierwsze, co odkryliśmy, to że struktura tutejszego pierścienia nie ma nic wspólnego z biogenetyką opracowaną na Bożym Gaju i wykorzystywaną do budowy naszych sekretnych, cudownych gwiazdodrzew. Jego DNA jest nam tak obce i działa w tak niezwykły sposób, że wszelkie manipulacje z naszej strony groziłyby zagładą całego lasu.

– Mogliście przecież opleść go własnym pierścieniem – stwierdziła Ces Ambre. – Albo spróbować ukryć go we wnętrzu gwiazdodrzewa.

Prawdziwy Głos Drzewa Reta Kasteen pokiwała głową.

– Otóż to. Wzięliśmy się więc do pracy. Zaczęliśmy od różnicowania protogenetycznych ośrodków wzrostu, założonych zaledwie kilkaset kilometrów od zacumowanego statku, gdy... – Umilkła, jakby szukała właściwych słów.

– Przybył Niszczyciel – dokończył za nią Podróżnik.

– Czy, mówiąc o Niszczycielu, masz na myśli statek, który w tej chwili zbliża się do waszego pierścienia? – zapytał Patek Georg.

– Ten sam – odparł Podróżnik drogą radiową, choć trudno było oprzeć się wrażeniu, że splunął przy tych słowach.

– To potwór z otchłani piekielnych – zawtórował mu Drzewomistrz.

– Zniszczył wasz statek – dopowiedziała Dem Lia.

To dlatego nie mieli metalu, a wokół leśnego pierścienia obcych nie wyrósł drugi, będący dziełem templariuszy.

Podróżnik pokręcił głową.

– Pożarł nasz statek – poprawił ją. – A razem z nim dwadzieścia osiem tysięcy kilometrów lasu: wszystkie liście, owoce, strąki tlenowe, korzenie wodne... Nawet nasze ośrodki wzrostu.

– W tamtych czasach było wśród nas znacznie mniej Wygnańców, którzy potrafili żyć w otwartym kosmosie – mówiła dalej Reta Kasteen. – Próbowali ratować innych, ale i tak tysiące naszych rodaków przypłaciły życiem pierwszą

wizytę Niszczyciela, Pożeracza, Machiny... Rzeczywiście mamy dla niej wiele imion.

– To statek z piekła rodem – dodał Keel Redt, a Dem Lia zdała sobie nagle sprawę, że określenie to w jego ustach nabiera niemal dosłownego znaczenia. Zupełnie jakby nienawiść wobec maszyny stała się źródłem kultu religijnego.

– Jak często was nawiedza? – spytała Den Soa.

– Co pięćdziesiąt siedem lat – odrzekła templariuszka. – Dokładnie, co do dnia.

– Przybywa z układu czerwonego olbrzyma?

– Tak – nadał Podróżnik. – Z piekielnej gwiazdy.

– Skoro znacie jego trajektorię, to czy nie możecie z wyprzedzeniem przewidzieć, które sektory lasu ulegną... zniszczeniu? – wtrąciła Dem Lia. – Zostaną pożarte? Czy nie moglibyście zrezygnować z kolonizowania ich? Albo przynajmniej w porę ich ewakuować? Przecież większość pierścienia i tak pewnie jest niezamieszkała, skoro ma on powierzchnię pół miliona Starych Ziemi czy Hyperionów.

Keel Redt ponownie się uśmiechnął.

– Właśnie teraz, na tydzień przed przybyciem do lasu, Niszczyciel nie tylko kończy cykl hamowania, ale też wykonuje serię skomplikowanych manewrów, które zaprowadzą go do zamieszkałej części pierścienia. Zawsze tak jest. Przed stu czterema laty trafił do strefy strąków tlenowych, gdzie mieszkało ponad dwadzieścia milionów Wygnańców, którzy nie w pełni przystosowali się do życia w próżni: mieli własne łodygi transportowe, pomosty, wieże, platformy wielkości całych miast i sztucznie wyhodowane ośrodki mieszkalne, których mozolna konstrukcja trwała z górą sześćset lat standardowych.

– Wszystko zostało zniszczone – dodała smutno Reta Kasteen. – Pożarte. Zżęte.

– Czy dużo było ofiar? – spytała cicho Dem Lia.

Podróżnik pokręcił głową.

– Miliony żyjących w próżni Wygnańców przybyły swoim tlenowym rodakom na ratunek. Zginęło niespełna sto osób.

– Czy próbowaliście się porozumieć z... tą maszyną? – zapytał Peter Delen Dem Tae.

– Wielokrotnie. – Głos Rety Kasteen drżał z emocji. – Próbowaliśmy radia, wiązki komunikacyjnej, masera, nielicznych holoprzełożników, jakie nam jeszcze zostały... Ludzie Podróżnika próbowali tysiącami skrzydeł odbijać światło i nadawać komunikaty prostym matematycznym kodem.

Delegaci Helisy czekali w milczeniu.

– Nic z tego – rzekł bezbarwnym głosem Drzewomistrz. – Przybywa, wybiera zamieszkały fragment pierścienia, a potem go pochłania. Nigdy nie udało nam się uzyskać odpowiedzi.

– Doszliśmy do wniosku, że jest całkowicie zautomatyzowany i bardzo, bardzo stary – ciągnęła Reta Kasteen. – Może mieć miliony lat. Jest zapewne kierowany programem, który powstał podczas budowy pierścienia. Pożera ogromne jego segmenty: pień, konary, naczynia wypełnione wytworzoną w lesie wodą, a potem wraca do układu czerwonego olbrzyma, by po latach znów się pojawić.

– Z początku przypuszczaliśmy, że wokół czerwonej gwiazdy krąży jakaś planeta – nadał Podróżnik. – Że kryje się przed naszym wzrokiem po drugiej stronie swojego słońca, a jej mieszkańcy zbudowali pierścień jako źródło pożywienia. Stało się to zapewne na długo przed tym, jak gwiazda znalazła się w fazie czerwonego olbrzyma, natomiast maszyna przybywa tu regularnie i dokonuje żniw. Ale nie, nie ma tam żadnej planety. Teraz zakładamy, że Niszczyciel działa bez niczyjej kontroli, ślepo wykonuje wiekowy program i wycinając las, bez powodu niszczy nasze osiedla. Jeżeli nawet ktoś mieszkał na orbicie czerwonej gwiazdy, dawno opuścił tę okolicę.

Dem Lia pożałowała nagle, że nie ma wśród nich astronoma. Wiedziała, że Kem Loi znajduje się na mostku, śledząc spotkanie na ekranach monitorów.

– Zbliżając się do waszego układu, nie widzieliśmy żadnych planet – przyznała. – To mało prawdopodobne, żeby świat, na którym rozwinęło się życie, przetrwał przemianę słońca typu G2 w czerwonego olbrzyma.

– Nie zmienia to faktu, że Niszczyciel za każdym razem przelatuje bardzo blisko jego powierzchni – rzekł Drzewomistrz. – Może więc istnieć tam jakiś ośrodek mieszkalny sztucznego pochodzenia, jakaś stacja kosmiczna albo wydrążona asteroida; środowisko, którego mieszkańcom pierścień jest niezbędny do życia. Nawet to jednak nie usprawiedliwia rzezi, jakiej dokonuje maszyna.

– Ktoś, kto był w stanie zbudować taki statek, mógł równie dobrze opuścić układ, nim słońce osiągnęło następny etap ewolucji – powiedział w zamyśleniu Patek Georg i przeniósł wzrok na Podróżnika. – Czy próbowaliście go zniszczyć?

Pod osłoną membrany bezwargie usta rozciągnęły się w szerokim, gadzim uśmiechu.

– Wielokrotnie; zginęły przy tym tysiące naszych dzielnych braci. Maszyna jest zaopatrzona w system obronny, który spopiela nas promieniami laserów, gdy znajdziemy się w odległości około stu tysięcy kilometrów.

– Może to zwykła osłona przeciw meteorytom – podsunęła Dem Lia.

Uśmiech Wygnańca stał się wprost przerażający.

– Nawet jeśli się nie mylisz, jest przy tym bardzo skuteczna jako broń. W ostatnim ataku zginął mój ojciec.

– Czy próbowaliście polecieć do czerwonego olbrzyma? – zainteresował się Peter Delen.

– Nie mamy już statku – przypomniała templariuszka.

– Ale niektórzy z was mają skrzydła – upierał się psycholog, przeliczając w pamięci, ile czasu zajęłaby taka podróż: całe lata, może nawet dziesięciolecia, ale nie więcej niż trwa życie przeciętnego Wygnańca.

Podróżnik machnął w poziomie ręką, tnąc dłonią powietrze.

– W heliosferze występują za duże turbulencje – wyjaśnił. – Jednak i tego próbowaliśmy: setki razy wyruszały ekspedycje do czerwonej gwiazdy, ale w najlepszym razie wracały tylko niedobitki. Sześć waszych standardowych lat temu mój brat poniósł śmierć w takiej próbie.

– A sam Podróżnik został okrutnie poraniony – dodała Reta Kasteen. – Odleciało sześćdziesięciu ośmiu najlepszych próżniowców; wróciło tylko dwóch. Trzeba było całego kunsztu medycznego, jakim jeszcze dysponujemy, by uratować Podróżnika. Dwa lata spędził w strąku leczniczym.

Dem Lia odchrząknęła i zapytała:

– Czego od nas oczekujecie?

Obaj Wygnańcy i templariuszka pochylili się w fotelach. Keel Redt przemówił w imieniu wszystkich:

– Jeżeli w układzie czerwonego olbrzyma nie pozostała żadna zamieszкана planeta, o czym my jesteśmy przekonani, a wy również skłaniacie się ku takim wnioskom, to zabijcie Niszczyciela. Zniszczcie go, przerwijcie tę bezrozumną, niepotrzebną, niekończącą się rzeź. Wynagrodzimy was najlepiej, jak potrafimy: damy wam żywność, owoce i tyle wody, ile zapagniecie; udostępnimy wam naszą zaawansowaną technikę genetyczną; podzielimy się z wami wiedzą o sąsiednich układach gwiazdnych. Zrobimy wszystko, czego sobie zażyczycie.

Przedstawiciele Helisy popatrzyli po sobie.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, my czworo opuścimy was na krótką chwilę, żeby to przedyskutować – zabrała głos Dem Lia. – Ces Ambre z przyjemnością dotrzyma wam towarzystwa.

Drzewomistrz uniósł obie ręce.

– Oczywiście. Czujemy się tu znakomicie, a możliwość rozmowy z czcigodną M. Ambre, kobietą, która spotkała męża Enei, będzie dla nas prawdziwą rozkoszą.

Dem Lia zauważyła, że młoda templariuszka jest szczególnie przejęta tą możliwością.

– Kiedy wrócicie, poznamy waszą odpowiedź, tak? – upewnił się Podróżnik.

Jego delikatne, dziwnie zbudowane ciało i twarz z olbrzymimi powiekami przyprawiały Dem Loę o dreszcze. Oto miała przed sobą stworzenie, które żywi się światłem; Podróżnik czerpał w ten sposób dość energii, by rozpościerać mierzące setki kilometrów skrzydła, zasilać własny zamknięty obieg powietrza i wody i żyć w próżni, w skrajnych temperaturach i silnym promieniowaniu. Rodzaj ludzki przebył naprawdę daleką drogę, odkąd na Starej Ziemi, w Afryce, pojawiły się pierwsze człowiekowate.

A jeżeli im odmówimy, pomyślała Dem Loa, trzysta tysięcy rozwścieczonych Wygnańców, tak jak on przystosowanych do życia w kosmosie, opadnie nasz statek jak Hawajczycy, którzy wyładowali swoją złość na kapitanie Cooku, gdy przyłapał ich na wyciąganiu gwoździ z poszycia jego statku. Nie dość, że zginął, biedaczysko, okrutną śmiercią, to później jego ciało zostało wypatroszone, poćwiartowane, ugotowane i spalone.

Ledwie ta myśl przemknęła jej przez głowę, zdała sobie sprawę, że to bzdura. Intuicja podpowiadała jej jednoznacznie, że Wygnańcy nie zaatakują *Helisy*.

A gdyby nawet, myślała dalej, nasze lasery unicestwią ich wszystkich w dwie i sześć dziesiątych sekundy.

Z poczuciem winy i obrzydzenia, wywołanym własną podejrzliwością, pożegnała się z Wygnańcami i templariuszką, po czym wraz z pozostałą trójką zjechała windą na mostek.

– Widziałaś go? – wykrztusiła Prawdziwy Głos Drzewa Reta Kasteen. – Widziałaś męża Enei?

– To było dawno temu – odparła z uśmiechem Ces Ambre. – Miałam wtedy czternaście lat standardowych. Wędrował z planety na planetę, korzystając z sieci transportali, i z powodu choroby musiał na kilka dni zatrzymać się w domu drugiej triady mojego ojca. Miał kamienie nerkowe. Żołnierze Paksu aresztowali go i trzymali pod kluczem, czekając, aż ktoś przybędzie, żeby go przesłuchać. Moi rodzice pomogli mu uciec. Wszystko trwało tylko kilka dni, a wydarzyło się dawno, dawno temu. – Jeszcze raz się uśmiechnęła. – Poza tym nie zapominajcie, że wtedy nie był jeszcze mężem Enei. Nie przyjął sakramentu jej DNA; nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jakie znaczenie dla przyszłości rasy ludzkiej mogą mieć jej krew i jej nauki.

– Ale ty go widziałaś – nalegał Keel Redt.

– Tak. Leżał przykuty do łóżka moich rodziców i głównie majaczył w gorączce.

Reta Kasteen przysunęła się bliżej.

– Czy otaczała go jakaś... aura?

– O, tak! – zachichotała Ces Ambre. – Przynajmniej do czasu, aż moi rodzice porządnie go wyszorowali. Był w podróży od ładnych paru tygodni.

Wygnańcy i templariuszka byli wyraźnie rozczarowani.

Ces Ambre pochyliła się i musnęła dłonią kolano Rety Kasteen.

– Przepraszam za te żarty. Wiem, jak istotną rolę odegrał Raul Endymion w naszej historii, ale upłynęło tyle czasu... Wiele się wtedy działo na Vitus-Gray-Balianusie B, a ja byłam zwykłą zbuntowaną nastolatką. Marzyłam tylko o tym, żeby wyrwać się z Helisy i w najbliższym mieście Paksu przyjąć krzyżokształt.

Tym razem troje rozmówców aż się od niej odsunęło; dwie twarze, z których dało się coś wyczytać, zdradzały bezbrzeżne zdumienie.

– Chciałaś przyjąć tego... pasożyta? Chciałaś go mieć w swoim ciele?!

Dzięki Wspólnej Chwili wszyscy ludzie w całym kosmosie ujrzeni – czy raczej poczuli i poznali – pełne, rzeczywiste znaczenie „krzyżokształtu nieśmiertelności”, pasożytniczego splotu tkanki dającego fizyczne oparcie Sztucznym Inteligencjom z TechnoJądra. SI wykorzystywały do woli moc neuronów i synaps w ciałach swoich nosicieli, często stymulując układ nerwowy do bardziej twórczej pracy przez uśmiercenie ciała. Wtedy to bowiem, na kilka mikrosekund przed śmiercią, komórki nerwowe pracują na najwyższych obrotach. Później Kościół, korzystając z techniki udostępnionej mu przez TechnoJądro, wskrzeszał ciało, a pasożytniczy krzyżokształt z każdym zgonem i zmartwychwstaniem rozwijał się i wzmacniał.

Ces Ambre wzruszyła ramionami.

– Wtedy był dla mnie symbolem nieśmiertelności i szansą wyrwania się z naszej małej wioski. Chciałam stać się obywatelką prawdziwego świata, świata Paksu.

Jej rozmówcy tylko patrzyli na nią z niedowierzaniem.

Ces Ambre rozchyliła poły szaty, odsłaniając fragment zaczynającej się tuż nad mostkiem blizny po usuniętym przez enean krzyżokształcie.

– Zostałam wprowadzona na jedną z planet, gdzie Pax nadal był silny. Dziewięć lat żyłam z krzyżokształtem na piersi. – Mówiła tak cicho, że dyplomaci ledwie ją słyszeli. – Większość z tych dziewięciu lat przypadła na czasy po Wspólnej Chwili, a więc po ujawnieniu planów TechnoJądra, które zmierzało do zniewolenia nas tym ohydztwem.

Prawdziwy Głos Drzewa Reta Kasteen ujęła jej starczą dłoń w obie swoje.

– A jednak po wyzwoleniu nie chciałaś przystać do enean – zauważyła. – Woliałaś wrócić do swojego ludu i jego starej kultury.

Ces Ambre się uśmiechnęła. W jej oczach wezbrały łzy i nagle jakby przybyło jej lat.

– Czuję, że jestem im to winna. Za to, że opuściłam ich w najtrudniejszych chwilach. Ktoś musiał zadbać o zachowanie kultury Widmowej Helisy; wojny tyle nam zabrały... A gdy eneanie zaproponowali, żebyśmy się do nich przyłączyli, straciliśmy jeszcze więcej. Trudno jest odmówić komuś, kto chce uczynić cię bogiem.

Chrząknięcie Podróżnika zabrzmiało jak trzask zakłóceń.

– Poza Niszczycielem tego właśnie obawiamy się najbardziej. W naszym pierścieniu nie ma już nikogo, kto pamiętałby Wspólną Chwilę, chociaż zachowaliśmy świadomość jej szczegółów: wspaniałe odkrycie empatii, siły spajającej Pustkę, Która Łączy, i pewność Enei, że jej następcy będą potrafili przenosić się siłą woli do dowolnego miejsca we wszechświecie. Powstał u nas Kościół Enei, który szybko zyskiwał zwolenników, a teraz należy do niego czwarta część populacji, która porzuciła dziedzictwo templariuszy i Wygnańców.

Ces Ambre potarła w zadumie potarła policzek. Uśmiechnęła się.

– Od razu widać, że nie dotarł do was żaden prawdziwy eneanin. Musicie pamiętać, że Enea nalegała, by po jej śmierci nie powstał żaden „Kościół Enei”, by nie oddawano jej czci i nie próbowano jej beatyfikować. Wśród myśli, którymi podzieliła się z nami we Wspólnej Chwili, ta była jedną z najważniejszych.

– Wiemy o tym – przyznała Reta Kasteen. – Nie mając jednak dostatecznej wiedzy i możliwości wyboru, społeczeństwa często zwracają się ku religii. Dlatego właśnie możliwość, że wieziecie na pokładzie jakiegoś eneanina, napełniła nasze serca zarazem entuzjazmem, jak i obawą.

– Eneanie nie podróżują na statkach – zauważyła Ces Ambre.

Dyplomaci pokiwali głowami.

– Jeżeli taki dzień nadejdzie, każdy templariusz i Wygnaniec sam w swoim sumieniu podejmie decyzję – zakomunikował Podróżnik. – Ja zawsze będę wolał unosić się na falach wiatru słonecznego.

Czworo delegatów Helisy wróciło do oranżerii.

– Postanowiliśmy wam pomóc – oznajmiła Dem Lia. – Ale musimy się śpieszyć.

Nie mogło być nawet mowy o tym, żeby Dem Lia, któreś z ośmiorga jej towarzyszy albo któraś z pięciu pokładowych Samodzielnych Inteligencji

zaryzykowali bezpośrednią konfrontację z Niszczycielem, Żniwiarzem czy jak tam Wygnańcy nazywali swoją nemezis z piekła rodem. Nieprzypadkowo trzy tysiące kapsuł hibernacyjnych wiozących sześćset osiemdziesiąt cztery tysiące trzystu mieszkańców Vitus-Gray-Balianusa B miało owalny kształt: należało obchodzić się z nimi jak z jajkiem, a nie wysyłać w sam środek bitwy kosmicznej.

Samodzielne Inteligencje już rozważały możliwe konsekwencje bliskiego spotkania z zabójczym statkiem. Walkę w kosmosie dało się swobodnie prowadzić na dystans dwudziestu ośmiu jednostek astronomicznych. Wprawdzie pełną promień tradycyjnej lancy laserowej czy wiązka naładowanych cząstek potrzebowałyby około dwustu minut na pokonanie tej odległości, ale już statki Hegemonii, a potem także Paksu i Wygnańców, uzbrajano w pociski hiperkinetyczne, które leciały do celu w przestrzeni Hawkinga, a potem wynurzały się z niej i eksplodowały, zanim radar zdążył zapowiedzieć ich przybycie. Skoro „żniwiarka” kursowała po regularnym torze z prędkością podświetlną, było mało prawdopodobne, żeby miała na pokładzie głowice hiperkinetyczne. Jednakże określenie „mało prawdopodobne” już mnóstwo razy przynosiło zgubę strategom i żołnierzom.

Na prośbę inżynierów Widmowej Helisy eneanie przebudowali statek w taki sposób, by miał prawdziwie modułową konstrukcję. Po dotarciu do wymarzonej utopijnej planety krążącej wokół idealnej gwiazdy miał podzielić się na części, którym przeznaczono role sond, statków powietrznych, lądowików, okrętów podwodnych i stacji orbitalnych. Każda z trzech tysięcy kapsuł mogła samodzielnie lądować i stać się zalążkiem odrębnej kolonii, aczkolwiek planowano osadzić je na ziemi blisko siebie, po dokładnym zbadaniu okolicznego terenu. Kiedy *Helisa* wyśle już na powierzchnię wszystkie moduły, sondy, promy, mostek i rdzeń jądrowy, w przestrzeni kosmicznej pozostanie tylko jednostka napędu Hawkinga z zespołem robotów konserwacyjnych, które utrzymają ją w idealnym stanie przez całe wieki, jeśli nie tysiąclecia.

– Wystrzelimy sondę bliskiego zasięgu i zbadamy tego Niszczyciela – zapowiedziała Dem Lia.

Miała na myśli jeden z mniejszych modułów, przystosowany raczej do lotów w próżni niż w atmosferze. Mały stateczek miał pewne możliwości morfowania powłoki, a w porównaniu z innymi, bardziej pokojowymi elementami *Helisy*, był uzbrojony jak okręt wojenny.

– Czy możemy lecieć z wami? – zapytał Keel Redt. – Nikt z naszej rasy, kto zbliżył się do tej maszyny bardziej niż na sto tysięcy kilometrów, nie przeżył.

– Ależ oczywiście! – odparła Dem Lia. – W sondzie jest dość miejsca dla trzydziestu, może nawet czterdziestu pasażerów, tymczasem od nas polecą tylko

troje. Nastawimy wewnętrzne pole siłowe na jedną dziesiątą g i przygotujemy odpowiednio fotele.

Sonda przypominała jeden ze starych liniowców gwiazdnych, kiedy pędziła na spotkanie obcej maszyny z przeciążeniem równym dwieście pięćdziesiąt g . Wewnętrzne pole siłowe było dla bezpieczeństwa wielokrotnie zdublowane, a zewnętrzne nastawione na maksimum, czyli klasę dwunastą. Za sterami statku siedziała Dem Lia. Den Soa usiłowała na wszelkie możliwe sposoby – od prymitywnych fal radiowych po modulowane wiązki tachionowe – skontaktować się z olbrzymią machiną i przesłać jej informację o pokojowych zamiarach sondy. Bez skutku. Patek Georg Dem Mio był podłączony do wirtualnej sieci obronno-ofensywnej oplatającej jego fotel. Pasażerowie siedzieli z tyłu niewielkiego mostku i obserwowali przebieg wydarzeń. Saigyo postanowił im towarzyszyć: postawna, holograficzna sylwetka mnicha z obnażonym torsem siedziała na pulpicie przy głównym iluminatorze. Dem Lia pilnowała, żeby nie kierować się bezpośrednio na potworną maszynę – na wypadek, gdyby była zaopatrzona w jakieś prymitywne systemy obrony antymeteoritowej. Poruszając się po wytyczonej trajektorii, sonda powinna przelecieć nad płaszczyzną ekliptyki i minąć Niszczyciela w odległości kilkudziesięciu tysięcy kilometrów.

– Namierza nas radarem – zameldował Patek Georg, kiedy, zbliżywszy się na odległość sześciuset tysięcy kilometrów, zaczęli gładko hamować. – Pasywnym. Nie włącza systemów celowniczych broni; to chyba naprawdę najzwyczajniejszy radar. Nie dowie się w ten sposób, czy na pokładzie sondy są żywe istoty.

– Saigyo? – odezwała się cicho Dem Lia. – Kiedy znajdziemy się w odległości dwustu tysięcy kilometrów, zmień kurs tak, żebyśmy mogli przechwycić ten statek.

Korpulentny mnich skinął głową.

Jakiś czas później silniki główne i manewrowe sondy zagrały w innym rytmie, gwiazdna przestrzeń za iluminatorami obróciła się i obraz gigantycznej żniwiarki wypełnił główny ekran. Przy takim powiększeniu miało się wrażenie, że od kadłuba statku dzieli ich zaledwie pięćset kilometrów. Machina była niewiarygodnie niezgrabna i zupełnie nieprzystosowana do lotów w atmosferze. W przedniej części kadłuba, w przypominającej ogromne szczęki obudowie, znajdowały się nieprzeliczone stalowe zęby i wirujące ostrza, sam kadłub zaś wyglądał jak wrak starej kosmicznej stacji załogowej, do którego przez setki lat

bez ładu i składu doczepiano nowe moduły, pokryty w dodatku niekształtnymi naroślami, guzami i sterczącymi włóknami.

– Odległość: sto osiemdziesiąt trzy tysiące kilometrów – zameldował Patek Georg. – Zbliża się.

– Patrzcie, jaki jest poczerniały – wyszeptała Den Soa.

– I zniszczony – dodał przez radio Podróżnik. – Nikt z nas nie oglądał go z tak bliska. Spójrzcie na te setki kraterów w pokrywającej go sadzy. Wygląda jak prastary czarny księżyc bez końca bombardowany meteorytami.

– Ale naprawiany – mruknął ponuro Keel Redt. – Bo wciąż działa.

– Odległość: sto dwadzieścia tysięcy kilometrów – odezwał się ponownie Patek Georg. – Zbliża się.

– Jakie mamy zabezpieczenia? – spytała Dem Lia.

– Uaktywnione pole siłowe klasy dwunastej, wielokrotnie zdublowane – odparł Saigyo. – Włączone ekrany przeciwlaserowe. Pociski hiperkinetyczne w gotowości. Maksymalna moc osłon plazmowych. Kontrpociski uzbrojone i pod absolutną kontrolą.

Ostatnie słowa SI oznaczały, że albo rozkaz odpalenia pocisków będzie pochodził od Dem Lii i Pateka Georga jednocześnie, albo, gdyby pasażerowie sondy ponieśli śmierć, Saigyo sam je wystrzeli.

– Odległość: sto pięć tysięcy kilometrów – oznajmił Patek Georg. – Względna prędkość: sto metrów na sekundę. Namierzyły nas kolejne trzy radary.

– Są ślady innych transmisji? – spytała Dem Lia.

– Nie – odpowiedziała jej Den Soa siedząca przy własnej konsoli wirtualnej. – Ta maszyna jest praktycznie ślepa i głucha, jeśli nie liczyć tego prymitywnego radaru. Ani śladu życia na pokładzie. Komunikacja wewnętrzna świadczy o tym, że ma pewną... inteligencję, ale nie jest to prawdziwa SI. Raczej komputery, materialne komputery połączone w sieć.

– Materialne komputery! – Dem Lia nie zdołała ukryć zdziwienia. – To znaczy krzem... układy scalone... technologia z epoki kamienia łupanego?

– Albo niewiele nowsza – przytaknęła Den Soa. – Odbieramy też ślady zapisu magnetycznych pamięci bąbelkowych, ale nic ponad to.

– Sto tysięcy kilometrów... – Patek Georg urwał w pół zdania. – Strzela do nas.

Zewnętrzne pole siłowe rozbłysło na ułamek sekundy.

– Kilkanaście laserów małej mocy i dwie lance – zakomunikował Patek Georg, śledzący starcie w przestrzeni wirtualnej. – Bardzo słabe. Nie przebiłyby pola siłowego pierwszej klasy.

Znów zamigotała osłona energetyczna sondy.

– Ta sama kombinacja, nieco niższa energia strzałów.

Kolejny błysk.

– Jeszcze słabsze strzały. Chyba robi, co może, i szybko traci zapasy energii. To na pewno zwykły system obrony przeciwmeteorowej.

– Obyśmy tylko nie przesadzili z tą pewnością siebie – upomniała go Dem Lia. – Warto jednak sprawdzić, na co go stać.

– Chcecie go zaatakować!? – Den Soa nie kryła wzburzenia.

– Chcemy sprawdzić, czy w ogóle możemy go zaatakować – poprawiła ją Dem Lia. – Patek, Saigo... Wycelujcie jedną lancę w górny róg tego wybrzuszenia, tutaj... – Piórem laserowym wskazała poznaczoną kraterami czarną wypustkę, która mogła być dwukilometrowej wysokości radiatorem. – I jeden pocisk hiperkinetyczny...

– Ależ, Dem Lio! – zaprotestowała Den Soa.

Dem Lia spojrzała na nią i przytknęła palec do ust.

– I jeden pocisk hiperkinetyczny bez głowicy plazmowej w dolną przednią krawędź kadłuba statku, na skraju otworu – dokończyła.

Patek Georg przekazał jej polecenie Samodzielnym Inteligencjom. Współrzędne celów zostały wyświetlone na monitorze i potwierdzone.

Niemal natychmiast błysnął promień lancy, wypalając w skrzydle radiatora siedemdziesięciometrowej średnicy otwór.

– Statek uruchomił pole siłowe klasy zero przecinek sześć – stwierdził Patek Georg. – To chyba szczyt jego możliwości obronnych.

Chwilę potem pocisk hiperkinetyczny wszedł w słabe pole siłowe jak w masło, przebił sześćdziesięciometrową warstwę poczeriałego metalu i wyrwał postrzępiony otwór w „paszczy” żniwiarki. Wszystko odbyło się w absolutnej ciszy. Pasażerowie sondy obserwowali rozszerzającą się wolno, hipnotycznie chmurę odłamków w miejscu, gdzie rakieta trafiła w kadłub, i deszcz szczątków spomiędzy szczęk maszyny. Nie było żadnej reakcji.

– Gdybyśmy nie zdjęli głowicy plazmowej i wycelowali w brzuch potwora, mielibyśmy teraz przed sobą tysiąc kilometrów eksplodującej żniwiarki – mruknęła Dem Lia.

Drzewomistrz pochylił się tak mocno, że zatrzymały go dopiero pasy bezpieczeństwa zabezpieczające przed wypadnięciem z fotela; mimo niskiej grawitacji wszystkie siedzenia wyposażono w podobny mechanizm.

– Proszę – powiedział, napierając lekko na uprząż i poduszki powietrzne. – Zabijcie ją od razu. Powstrzymajcie rzeź.

Dem Lia obróciła się w fotelu.

– Jeszcze nie teraz – odparła, patrząc na obu Wygnańców i templariuszkę. – Najpierw wrócimy na *Helisę*.

– Czas ucieka – przypomniał Podróżnik. Z tonu jego głosu niczego nie dało się wyczytać.

– To prawda, ale i tak upłynie całe sześć dni, nim żniwiarka dotrze do pierścienia – przyznała Dem Lia.

Sonda coraz szybciej oddalała się od czarnego, podziurawionego kraterami i świeżo zranionego potwora.

– Nie zamierzacie zatem jej zniszczyć? – spytał ostro Drzewomistrz, gdy wracali na pokład *Helisy*.

– Jeszcze nie – odparła Dem Lia. – Maszyna może wciąż być potrzebna istotom, które ją stworzyły.

Młoda templariuszka była bliska łez.

– Przecież wasze czujniki, znacznie bardziej wyrafinowane niż teleskopy, jakimi my dysponujemy, potwierdziły, że w układzie czerwonego olbrzyma nie ma żadnych planet – zauważyła.

Dem Lia pokiwała głową.

– Sami zwróciliście nam uwagę, że mogą tam istnieć osiedla orbitalne, zamknięte miasta, wydrążone asteroidy... – przypomniała. – Badania, które przeprowadziliśmy, były powierzchniowe i niepełne, nasz statek chciał przede wszystkim wytyczyć bezpieczną trajektorię podejścia do pierścienia, a nie studiować układ czerwonego olbrzyma.

– Prawdopodobieństwo znalezienia takiego osiedla jest minimalne – stwierdził oschle Keel Redt. – Czy mimo to zaryzykujecie życie milionów naszych ludzi?

W uchu Dem Lii zabuczał cichutki głos Saigyo:

– Samodzielne Inteligencje analizują scenariusze ewentualnego ataku milionów Wygnańców. Mogliby użyć połączonej mocy skrzydeł słonecznych i próbować zaszkodzić *Helisie*.

Dem Lia nie odrywała wzroku od Drzewomistrza.

– Statek oczywiście poradziłby sobie z nimi... – mówił dalej Saigyo – ...ale istnieje całkiem poważna możliwość, że zostałyby przy tym uszkodzony.

– Polecimy *Helisą* do układu czerwonego olbrzyma – poinformowała Wygnańców i templariuszkę Dem Lia. – Jeżeli zechcecie udać się tam z nami, będziecie mile widzianymi gośćmi.

– Ile czasu zajmie taka ekspedycja? – zapytał Podróżnik.

Dem Lia przeniosła wzrok na Saigyo.

– Dziewięć dni przy maksymalnym obciążeniu silników jądrowych – odrzekł mnich. – To niebezpieczny manewr. Przy tak małej odległości od gwiazdy nie będzie czasu na to, by poszukać oznak życia na wszystkich asteroidach.

Wygnańcy pokręcili głowami, a Reta Kasteen naciągnęła kaptur głębiej na oczy.

– Jest jeszcze inna możliwość – powiedziała Dem Lia.

Wskazała wypełniającą główny ekran *Helisę*. Tysiące skrzydlatych Wygnańców rozstąpiły się, gdy sonda zwolniła, weszła w pole siłowe macierzystego statku i przygotowała się do cumowania.

Zebrali się w oranżerii, by podjąć ostateczną decyzję: dziesięcioro ludzi (dwoje małżonków Den Soi również zaproszono do udziału w spotkaniu, lecz woleli zostać w swojej kabine), pięć SI i troje przedstawicieli mieszkańców orbitalnego lasu. Podróżnik w dalszym ciągu transmitował przebieg obrad na zewnątrz, do trzystu tysięcy Wygnańców zebranych w pobliżu statku i miliardów w pierścieniu.

– Oto jak przedstawia się sytuacja – zaczęła Dem Lia. W oranżerii było cicho jak makiem zasiał. – Jak wszyscy wiecie, *Helisa* jest wyposażona w zmodyfikowany przez eneańskich specjalistów napęd Hawkinga. Nasza podróż w przestrzeni nadświetlnej narusza wprawdzie materię Pustki, Która Łączy, ale wyrządza jej tysiąckroć mniejsze szkody niż dawne statki Hegemonii i Paksu. Eneanie zezwolili nam na tę podróż. – Niska kobieta w ozdobionym zielenią turbanie przerwała i spojrzała kolejno na Wygnańców i templariuszkę. – Dotarcie do układu czerwonego olbrzyma zajęłoby nam...

– Potrzebujemy czterech godzin, żeby osiągnąć prędkość relatywistyczną i punkt translacji – dokończyła Res Sandre. – Potem sześć godzin potrwa wyhamowanie po skoku. Zostaną nam dwa dni na poszukiwanie życia w układzie, a później wejdziemy w taki sam dziesięciogodzinny cykl powrotny. W ten sposób, nawet uwzględniając ewentualne opóźnienia, *Helisa* wróci tutaj dwa dni przed tym, jak Niszczyciel zacznie żniwa. Jeżeli w układzie czerwonej gwiazdy nie znajdziemy śladów życia, wyślemy sondę, która go zniszczy.

– Ale... – Keel Redt uśmiechnął się ironicznie, zupełnie po ludzku, chociaż twarz miał ponurą.

– Ale w tak ciasnym układzie podwójnym niebezpiecznie jest używać napędu Hawkinga – zgodziła się Dem Lia. – Skoki na małe odległości i bez tego są

niezwykle trudne, biorąc zaś pod uwagę masę pyłu i odłamków z czerwonego olbrzyma...

– Owszem. Byłoby to wysoce nierozważne – nadał drogą radiową Podróżnik.
– W moim klanie z pokolenia na pokolenie przekazuje się wiedzę inżynierską. Dlatego wiem, że żaden dowódca statku osiedleńczego Wygnańców nie zaryzykowałby skoku nadprzestrzennego w obrębie takiego układu.

Prawdziwy Głos Drzewa Reta Kasteen patrzyła to na jedno, to na drugie z rozmówców.

– Macie przecież potężne silniki jądrowe...

Dem Lia skinęła głową.

– Basho, ile czasu trwałoby zbadanie układu czerwonej gwiazdy przy maksymalnym obciążeniu napędu atomowego?

– Lot w jedną stronę zająłby trzy i pół dnia – odparła wychudzona SI. – Dwa dni na badania, trzy i pół dnia z powrotem.

– Nie da się skrócić przelotu? – wtrąciła Oam Rai, żółta. – Może zredukować margines bezpieczeństwa? Dać wyższą moc silników?

– Dziewięciodniową podróż zaplanowano przy założeniu, że wszelkie marginesy bezpieczeństwa zostaną zignorowane, a silniki będą pracować na sto dwanaście procent mocy nominalnej – odparł Saigyo i smętnie pokręcił głową. – To niemożliwe.

– Wracając do napędu Hawkinga... – przypomniała Dem Lia i wszyscy zebrani wstrzymali oddech, poza Podróżnikiem, który od urodzenia nie oddychał w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Z następnym pytaniem Dem Lia zwróciła się do SI: – Jakie jest prawdopodobieństwo katastrofy, jeżeli użyjemy napędu Hawkinga?

Lady Murasaki zrobiła krok naprzód.

– Zarówno skok w nadprzestrzeń, jak i wyjście z niej nastąpią niebezpiecznie blisko obszaru Roche'a – stwierdziła. – Prawdopodobieństwo całkowitego zniszczenia *Helisy* oceniamy na dwa procent, uszkodzenia pewnych elementów statku na osiem procent, a uszkodzenia sieci kapsuł hibernacyjnych i układu podtrzymywania życia na sześć.

Dem Lia przeniosła wzrok na Wygnańców i templariuszkę.

– Sześcioprocentowe ryzyko zagłady setek... nie, tysięcy naszych śpiących krewnych i przyjaciół, których przysięgaliśmy strzec do czasu zakończenia podróży. Dwa procent szans, że cała nasza kultura zostanie przy tej próbie unicestwiona.

Podróżnik smutno zwiesił głowę.

– Nie wiem, jakie usprawnienia wprowadzili w wyposażeniu statku wasi eneańscy przyjaciele – nadał. – Uważam jednak, że dane SI są zaniżone.

W naszym układzie gwiazdnym nie można wykonać skoku hawkingowskiego.

Cisza, jaka zapadła po jego słowach, przeciągała się w nieskończoność.

– Mielibyśmy zatem zniszczyć dla was żniwiarkę, nie wiedząc, czy jej działanie nie jest niezbędne dla przetrwania żywych istot w układzie czerwonego olbrzyma – odezwała się wreszcie Dem Lia. – Może nawet całej nieznaney nam rasy, jakkolwiek mało wyda się to prawdopodobne. Nie możemy jednak tak postąpić; nasz kodeks moralny tego zabrania.

– Rozumiemy to – przyznała ledwie słyszalnym głosem Reta Kasteen.

– Moglibyśmy polecieć do czerwonego olbrzyma, korzystając z napędu jądrowego – ciągnęła Dem Lia. – Musielibyście wówczas przetrwać jeszcze jeden najazd Niszczyciela, ale gdyby okazało się, że w układzie nie ma oznak życia, po powrocie stamtąd bezzwłocznie zniszczylibyśmy maszynę.

– Niewielkie to pocieszenie dla tysięcy czy milionów tych, którzy przy tym ostatnim pogromie tracą domy – rzekł Keel Redt.

– Żadne pocieszenie – przytaknęła Dem Lia.

Podróżnik wstał z fotela i wyprostował się na całą wysokość, unosząc się lekko nad podłogę.

– To już nie wasze zmartwienie – oznajmił. – Nie ma powodu, żebyście ryzykowali życie swojego ludu. Dziękujemy, że zechcieliście rozważyć...

Dem Lia podniosła rękę, przerywając jego przemowę.

– Teraz będziemy głosować – oznajmiła. – Zdecydujemy, czy dokonać skoku hawkingowskiego do układu czerwonego olbrzyma i wrócić tu na czas, by rozprawić się z Niszczycielem. Jeżeli natkniemy się tam na przedstawicieli obcej rasy, może uda nam się z nimi porozumieć w ciągu dwóch dni, jakie spędzimy w układzie; oni z kolei mogliby przeprogramować swoją maszynę. Zgadza się co do tego, że szansa przypadkowego „pożarcia” waszego statku osiedleńczego przy pierwszej wizycie Niszczyciela była bliska zeru; skoro machina systematycznie nawiedza skolonizowane przez was obszary pierścienia, który, przypomnę, ma powierzchnię pół miliona większą od powierzchni Hyperiona, prawdopodobnie jest zaprogramowana w ten sposób, by eliminować nienaturalne przerosty lasu albo szkodniki.

Troje przedstawicieli Wygnańców pokiwało głowami.

– Decyzję musimy podjąć jednogłośnie – kontynuowała Dem Lia. – Jeżeli choć jedna osoba się sprzeciwi, nie użyjemy napędu Hawkinga.

Saigyo, który dotąd siedział po turecku na stole, zeskoczył z blatu i stanął obok czterech pozostałych SI.

– Dla porządku dodam, że wszystkie pięć Samodzielnych Inteligencji opowiedziało się przeciwko manewrowi z użyciem napędu Hawkinga – powiedział.

– W porządku. – Dem Lia skinęła głową. – Ja zaś dla porządku dodam, że przy tego rodzaju decyzjach głos SI nie jest brany pod uwagę. Tylko obywatele Widmowej Helisy Amoiete’a i ich przedstawiciele mogą decydować o swoim losie. – Zwróciła się do pozostałych dziewięciorga ludzi: – Czy mamy użyć napędu Hawkinga? Tak czy nie? Bierzemy na siebie odpowiedzialność za los tysięcy naszych rodaków. Ces Ambre?

– Tak. – Odziana w błękit kobieta była równie spokojna jak jej zdumiewająco łagodne, błyszczące oczy.

– Jon Mikail Dem Alem?

– Tak – odparł zduszonym głosem ekspert od systemów podtrzymywania życia. – Tak.

– Oam Rai?

Kobieta z złotym pasem na rękawie zawahała się. Nikt lepiej od niej nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia, jakie skok mógł oznaczać dla statku. Przyjęcie dwuprocentowego ryzyka zniszczenia *Helisy* musiało być dla niej makabryczną, hazardową zagrywką. Przytknęła palce do ust.

– Ważą się tu losy dwóch cywilizacji – powiedziała sama do siebie. – Być może nawet trzech.

– Oam Ria? – powtórzyła Dem Lia.

– Tak.

– Kem Loi?

– Tak. – Głos młodej astronom zadrżał lekko.

– Patek Georg Dem Mio?

Odpowiedzialny za bezpieczeństwo statku Patek Georg, czerwony, uśmiechnął się szeroko.

– Tak – powiedział. – Jak się mówi: do odważnych świat należy.

– Wypowiadasz się w imieniu ponad sześciuset tysięcy ludzi – upomniała go poirytowana Dem Lia. – Oni mogliby nie pochwalać twojej lekkomyślności.

– Jestem za – powtórzył niewzruszony Patek Georg.

– Doktor Samel Ria Kem Ali?

Lekarz był równie niezdecydowany, co Patek nieustraszony.

– Muszę przyznać... Tyle w tym niewiadomych... – Rozejrzał się. – Tak. Trzeba się upewnić.

– Peter Delen Dem Tae? – spytała Dem Lia psychologa z niebieskimi wypustkami na ubraniu, który nerwowo ogryzał ołówek. Teraz spojrzawszy nań, uśmiechnął się i odłożył go na stół.

– Tak – odrzekł.

– Res Sandre?

Przez ułamek sekundy w oczach młodszej zielonej Dem Lia dostrzegła opór, może nawet cień złości. Przygotowała się w głębi ducha na odmowę i kazanie, które zaraz potem musiałyby nastąpić.

– Tak – rzekła Res Sandre. – To nasz moralny obowiązek.

Pozostała jeszcze tylko jedna osoba.

– Den Soa?

Najmłodsza ze wszystkich Den Soa musiała odkaszlnąć, zanim się odezwała:

– Tak. Musimy się rozejrzeć.

Wszyscy popatrzyli na przewodzącą obradom Dem Lię.

– Ja głosuję za – powiedziała. – Saigyo, maksymalne przyspieszenie do punktu translacji. Kem Loi, ty, Res Sandre i Oam Rai określicie optymalny punkt translacji do wewnątrz układu, tak żeby najłatwiej było przeprowadzić poszukiwania życia na orbicie czerwonego olbrzyma. Drzewomistrzu Redt, Podróżniku, Prawdziwy Głosie Drzewa Reto Kasteen... Jeżeli wolicie poczekać tutaj na nasz powrót, przygotujemy wam służbę; jeśli zaś chcecie udać się z nami, wiedzcie, że wyruszamy bez chwili zwłoki.

Keel Redt przemówił, nie tracąc czasu na naradę z pozostałą dwójką:

– Chcielibyśmy lecieć z wami, obywatelko Dem Lia.

Skinęła głową.

– Podróżniku, przekaz swoim rodakom, by odsunęli się na bezpieczną odległość. Wzbijemy się wprawdzie ponad płaszczyznę ekliptyki i skierujemy poza układ, ale płomień z dysz silników jądrowych sięgnie daleko i będzie gorący jak oddech smoka.

– Już to zrobiłem – nadał w odpowiedzi Wygnaniec. – Nie mogą się doczekać tego widowiska.

– Miejmy nadzieję, że spektakl nie wymknie się nam spod kontroli – mruknęła Dem Lia.

Helisa wyszła z pierwszego skoku prawie bez szwanku – awarii uległo jedynie kilka mało znaczących systemów pomocniczych – i z odległości trzech jednostek astronomicznych od powierzchni czerwonego olbrzyma rozpoczęła badanie układu. Przeznaczono na nie dwa dni, ale poszukiwania zakończyły się po niespełna dwudziestu czterech godzinach.

Nie znaleziono ukrytych planet, planetoid, wydrążonych asteroid, przekształconych komet ani sztucznych ośrodków mieszkalnych. Nie natrafiono na żaden ślad życia w układzie. Kiedy przed dobrymi trzema milionami lat jądra

helu we wnętrzu słońca typu G2 zaczęły wypalać się na węgiel, w zewnętrznej powłoce gwiazdy trwała jeszcze synteza helu z wodoru. Powstające przy tym atomy tlenu i węgla dodatkowo zasilają te reakcje i gwiazda zmienia się w czerwonego olbrzyma.

Planety z pewnością nie przetrwały przemiany słońca – jeżeli nawet wcześniej krążyły wokół gwiazdy jakiegoś olbrzyma gazowe albo globy skaliste, zostały przez nią wchłonięte, a silne promieniowanie i wyrzucane przez słońce masy pyłu praktycznie wyczyściły układ z odłamków większych niż drobne żelazowo-niklowe meteoryty.

– To wszystko – podsumował Patek Georg.

– Czy mam wydać rozkaz powrotu do punktu translacji? – upewniła się Res Sandre.

Specjalne fotele dla wysłanników Wygnańców przeniesiono na mostek. Nikomu nie przeszkadzało obniżenie ciężenia do jednej dziesiątej normalnej wartości, gdyż poza Ces Ambre wszyscy obywatele Helisy spoczywali na leżankach sterowniczych, w różnym stopniu sprzężeni z aparaturą pomiarową statku. Podczas poszukiwań dyplomaci rzadko się odzywali i teraz również bez słowa spojrzeli na kierującą operacją Dem Lii.

Zamyślona Dem Lia oparła podbródek na zaciśniętej pięści.

– Jeszcze nie.

W trakcie poszukiwań okrążyli czerwonego olbrzyma i zbliżyli się do niego na odległość jednej jednostki astronomicznej.

– Czy zaglądaliście też do wnętrza gwiazdy, Saigyo? – zapytała.

– Pobraliśmy próbki – zabrzmiał łagodny głos Samodzielnej Inteligencji. –

Materiał typowy dla czerwonego olbrzyma w tym stadium ewolucji. Jasność około dwóch tysięcy razy wyższa niż drugiej gwiazdy w układzie podwójnym. Pobraliśmy też próbki z wnętrza, ale nie znaleźliśmy w nich nic niezwykłego. Bez wątplenia dochodzi tam do syntezy węgla, mimo iż jądra helu silnie odpychają się nawzajem.

– Jaka jest temperatura powierzchni gwiazdy?

– Około trzech tysięcy kelwinów. Czyli mniej więcej połowa tego, co wtedy gdy była gwiazdą typu G2.

– Mój Boże – wyszeptała Kem Loi, podłączona do sieci przyrządów astronomicznych. – Czy masz na myśli...

– Przeskanujcie gwiazdę radarem głębokościowym – poleciła Dem Lia.

Niespełna dwadzieścia minut później na ekranie pojawił się holograficzny obraz radarowy.

– Skalna planeta – oznajmił Saigyo. – Wciąż krąży po swojej orbicie i jest o jedną piątą mniejsza od Starej Ziemi. Widać dna oceanów i wyschnięte koryta

rzek.

– Przypominała pewnie Ziemię, dopóki rozszerzające się słońce nie wysuszyło mórz i nie odparowało atmosfery – zauważył doktor Samel. – Niech Bóg ma w opiece wszystkich, którzy tam mieszkali.

– Na jakiej głębokości w troposferze gwiazdy leży ta planeta? – spytała Dem Lia.

– Niecałe sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów – odrzekł Saigo.

Dem Lia pokiwała głową.

– Maksymalna moc pól siłowych – zakomenderowała spokojnie. – Odwiedzmy ją.

To jest jak pływanie pod powierzchnią czerwonego morza, przyszło jej na myśl, gdy zbliżali się do skalistej planety. W górnych warstwach atmosfery czerwonego olbrzyma szalała zawierucha, a z głębin magnetosfery wyciągały się ku *Helisie* macki huraganów energetycznych. Pole siłowe żarzyło się czerwono mimo dołączenia do kadłuba trzydziestu mikrowłókien, pełniących funkcję radiatorów i ciągnących się za statkiem na długości stu sześćdziesięciu tysięcy kilometrów.

Przez godzinę *Helisa* okrążyła w odległości niespełna dwudziestu tysięcy kilometrów skorupę planety, która kiedyś mogła przypominać Starą Ziemię lub Hyperiona. Niezliczone czujniki bezustannie sondowały jej powierzchnię.

– Jak gruda żużlu – powiedział Jon Mikail Dem Alem.

– Gruda tętniąca życiem – oznajmiła Kem Loi, nadzorująca pracę większości sensorów. Wyświetliła na ekranie holograficzny obraz z radaru głębokościowego. – Setki tuneli pod powierzchnią, całe podziemne oceany wody i co najmniej trzy miliardy rozumnych istot. Nie mam pojęcia, czy są humanoidalne, ale mają maszyny, środki transportu i mieszkają w przypominających ule miastach. Widać nawet port, do którego raz na pięćdziesiąt siedem lat przybija żniwiarka.

– A my wciąż nie możemy się z nimi porozumieć? – spytała Dem Lia.

Helisa nadawała proste formuły matematyczne, wykorzystując w tym celu wszystkie zainstalowane na pokładzie urządzenia komunikacyjne, od maserów po generatory wiązek tachionowych. Udało się nawet uzyskać coś w rodzaju odpowiedzi.

– To modulowane fale grawitacyjne – wyjaśnił Ikkuyu. – Nie mają jednak nic wspólnego z naszymi matematycznymi transmisjami. Widać, że odbierają

sygnały z *Helisy*, ale ich nie rozumieją, my zaś nie potrafimy rozszyfrować impulsów grawitonowych.

– Ile czasu zajęłoby opracowanie wspólnego alfabetu?

– Co najmniej kilka tygodni. – Ikkuyu posmutniał. – Bardziej prawdopodobne jest jednak kilka miesięcy, może nawet lat. – Popatrzył po twarzach rozczarowanych ludzi i Wygnańców i rozłożył bezradnie ręce. – Przykro mi. Do tej pory ludzie tylko dwukrotnie zetknęli się z obcymi rasami i w obu wypadkach to one znalazły sposób na to, by się z nami porozumieć. Te... istoty... są nam zupełnie obce. Zbyt mało nas łączy.

– Nie możemy tu dłużej zostać – uprzedziła siedząca za pulpitem sterowniczym Res Sandre. – Z wnętrza gwiazdy nadciąga silna burza magnetyczna, a poza tym nie nadążamy z odprowadzaniem ciepła. Musimy się wycofać.

Nagle Ces Ambre, która miała wprawdzie osobny fotel, ale nie przydzielono jej żadnych obowiązków, zerwała się z miejsca, zemdląła z jękiem i wolno osunęła się na podłogę.

Pierwszy doskoczył do niej doktor Sam, chwilę później obok stanęły Dem Lia i Den Soa.

– Niech wszyscy zostaną na stanowiskach – poleciła Dem Lia.

Ces Ambre otworzyła niebieskie oczy.

– Są tacy inni... zupełnie inni niż my... oddychają tlenem, ale inaczej niż Seneszaje... modułarne ciała... wiele umysłów... takie delikatne...

Dem Lia podtrzymała jej głowę.

– Możesz się z nimi porozumieć? – spytała wprost. – Przesyłać im obrazy?

Ces Ambre skinęła słabo głową.

– Prześlij im wizję żniwiarki i Wygnańców w pierścieniu – poleciła jej Dem Lia. – Pokaż, jakie straty wyrządza machina w obszarach zamieszkanym. Pokaż im, że Wygnańcy są... jak ludzie. Że są istotami rozumnymi. Osiedlili się w orbitalnym lesie, ale nie czynią mu krzywdy.

Ces Ambre jeszcze raz kiwnęła głową i zamknęła oczy. Jej ciałem wstrząsnął szloch.

– Jest im... ogromnie... przykro – wyszeptała. – Maszyna nie przywozi... obrazów... tylko żywność, powietrze... i wodę... jej program... przewiduje... tak jak podejrzewałaś, Dem Lio... eliminację szkodników. Jest im niezmiernie... niezmiernie przykro... że są winni śmierci Wygnańców. Proponują... zbiorowe samobójstwo... eksterminację całej ich rasy... jeśli taka pokuta... byłaby stosownym... zadośćuczynieniem.

– Ależ nie! – Dem Lia ścisnęła mocniej jej dłonie. – Nie, nie, powiedz im, że to nie będzie konieczne. – Ujęła Ces Ambre za ramiona, patrząc jej w oczy. – To

będzie trudne, ale musisz ich zapytać, czy mogą przeprogramować żniwiarkę. Przekazać jej, żeby omijała osiedla Wygnańców.

Tym razem Ces Ambre zamknęła oczy na długą chwilę; Dem Lia miała nawet wrażenie, że na chwilę przestała oddychać, ale zaraz znów uniosła powieki.

– To jest możliwe: już zaczęli przysyłać nowe dane do programu.

– Odbieramy modulowane impulsy grawitonowe – oznajmił Saigyo. – W dalszym ciągu nie możemy ich rozszyfrować.

– Nie musimy znać tego szyfru. – Dem Lia odetchnęła z ulgą. Pomogła Ces Ambre wstać i zaprowadziła ją na fotel. – Wystarczy, że je zarejestrujemy i po powrocie przekazemy Niszczycielowi. – Jeszcze raz uścisnęła dłoń Ces Ambre. – Możesz przekazać im nasze podziękowania i pożegnanie?

– Już to zrobiłam – odparła starsza kobieta z uśmiechem. – Najlepiej, jak potrafiłam.

– Saigyo, zabieraj nas stąd w diabły – rozkazała Dem Lia. – Maksymalne przyśpieszenie do punktu translacji.

Statek bez uszczerbku przetrwał powrotny skok do układu gwiazdy typu G8. Niszczyciel zmienił już kurs i zmierzał ku zamieszkanym obszarom pierścienia, ale Den Soa przesłała mu zapis grawitonowy, zanim jeszcze *Helisa* wyhamowała lot po wyjściu z przestrzeni Hawkinga. Olbrzymia machina odpowiedziała niezrozumiałym ciągiem impulsów i posłusznie skrzyła ku bardziej odległym, pustym okolicom orbitalnego lasu. Podróżnik odebrał i przekazał na statek holograficzną transmisję ze świętujących miast, platform, straków, konarów i wież, po czym wyłączył swój nadajnik.

Zgromadzili się w oranżerii. Żadna z SI nie pojawiła się na spotkaniu, żadna też nie rejestrowała jego przebiegu. Ludzie, Wygnańcy i templariuszka usiedli w kręgu. Wszyscy odwrócili wzrok ku Ces Ambre, która jako jedyna miała zamknięte oczy.

– Te istoty... z planety... – przemówiła cicho Den Soa. – Musiały zbudować las na orbicie, zanim ich gwiazda zmieniła się w czerwonego olbrzyma. Zbudowali też żniwiarkę. Dlaczego po prostu... nie odlecieli?

– Ta planeta była... i jest... ich domem – wyszeptała Ces Ambre. – Jak dzieci... nie chcieli opuszczać domu rodzinnego... Poza nim jest ciemno... Ciemno i pusto. Kochają... swój dom.

Otworzyła oczy i słabo się uśmiechnęła.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam, że jesteś eneanką? – spytała Dem Lia.

Ces Ambre mocno zacisnęła zęby, a jej szczęki zarysowały się wyraźnie pod skórą.

– Nie jestem eneanką. Po znalezieniu mnie na St. Teresie, Dem Loa, moja matka, udzieliła mi sakramentu Enei. Za pośrednictwem własnej krwi, rzecz jasna. Sama uznałam, że nie chcę korzystać ze zdolności, jakie daje sakrament; postanowiłam nie iść w ślady enean, lecz zostać w Helisie.

– Ale przecież porozumiewałaś się telepatycznie z... – wtrącił Patek Georg.

– To nie telepatia. – Ces Ambre pokręciła głową. – To łączność... z Pustką, Która Łączy. Dzięki czystej empatii słyszy się rozbrzmiewające w niej głosy żywych i umarłych z różnych miejsc i czasów. Zna się cudze wspomnienia. –

Dziewięćdziesięciopięcioletnia kobieta o wyglądzie osoby o trzydzieści lat młodszej przytknęła dłoń do czoła. – To bardzo męczące. Tyle lat usiłowałam nie słuchać głosów... nie przyłączać się do wspomnień... Dlatego właśnie hibernacja przynosi takie... wytchnienie.

– A co z innymi eneańskimi umiejętnościami? – spytała łagodnie Dem Lia. – Próboweś podróżować tak jak oni?

Nie odejmując dłoni od oczu, Ces Ambre pokręciła głową.

– Nie chciałam zgłębiać eneańskich sekretów – odparła znużona.

– Mogłabyś jednak to zrobić, gdybyś tylko chciała. – Głos Den Soi wyrażał nabożne zdumienie. – Mogłabyś zrobić krok w pustkę i w ułamku sekundy znaleźć się na Vitus-Gray-Balianusie B, Hyperionie, Centralnej Tau Ceti albo Starej Ziemi, prawda?

Ces Ambre opuściła rękę.

– Ale tego nie zrobię – odparła.

– Czy udasz się w dalszą podróż z nami, pogrążona w kriogenicznym śnie? – zapytała Res Sandre. – W podróż do nowej kolonii Widmowej Helisy?

– Tak.

W tym jednym słowie Ces Ambre zawarła zarówno niezłomne postanowienie, jak i wyzwanie dla wątpiących.

– Jak mamy o tym powiedzieć innym? – zaniepokoił się Jon Mikail Dem Alem. – Z eneanką, nawet potencjalną eneanką w naszej kolonii... wszystko się zmieni.

Dem Lia wstała.

– Korzystając z ostatnich chwil, w których jako wybrany przez was dowódca dysponuję pełnią władzy, mogłabym wydać stosowny rozkaz, obywatele. Zamiast tego proszę was jednak o głosowanie. Uważam, że decyzja o tym, czy zdradzić naszym rodakom naturę... daru Ces Ambre, powinna należeć tylko do niej samej. I gdy dotrzemy na miejsce, podejmie ją w wybranym przez siebie momencie. – Przeniosła wzrok na Ces Ambre. – Albo wcale, jeśli taka będzie jej

wola. – Powiodła wzrokiem po siedzących w kręgu obywatelach Helisy. – My zaś nie zdradzimy jej tajemnicy. Tylko Ces Ambre będzie miała takie prawo. Kto jest za, niech podniesie rękę.

Decyzja zapadła jednogłośnie.

Dem Lia zwróciła się następnie do Wygnańców i templariuszki, którzy również wstali.

– Saigyo zapewnił mnie, że ta część naszej rozmowy nie została przekazana poza statek.

Podróżnik skinął głową.

– A co z zapisem kontaktu Ces Ambre z obcymi za pośrednictwem Pustki, Która Łączy?

– Został zniszczony – nadał w odpowiedzi czterometrowy Wygnaniec.

Ces Ambre podeszła bliżej.

– Wciąż jednak potrzebujecie mojej krwi... – stwierdziła. – Sakramentalnego DNA Enei. Chcecie mieć wybór.

Drzewomistrzowi Keelowi Redtowi trzęsły się ręce.

– To nie my zadecydujemy o rozpowszechnieniu informacji i udzieleniu sakramentu... – rzekł. – Siedem Rad musi zebrać się na tajnym posiedzeniu, skonsultować się z Kościołem Enei albo...

Było widać, że myśl o tym, że miliony czy miliardy Wygnańców miałyby na zawsze opuścić pierścień i przenieść się w inne, dowolnie wybrane miejsce we wszechświecie, sprawia mu ból. Jego kosmos miał się nieodwracalnie zmienić.

– My troje nie mamy jednak prawa nikomu go odmawiać – dodał.

– Nie śmieliśmy prosić... – dodała Prawdziwy Głos Drzewa Reta Kasteen.

Ces Ambre pokręciła głową i skinęła na doktora Samela. Lekarz podał templariuszce wstrząsoodporną fiolkę z odrobiną krwi.

– Przed chwilą ją pobrałem – powiedział.

– Sami musicie zdecydować – dodała Ces Ambre. – Każdy może przyjąć ten dar. Każdy boryka się z tym przekleństwem.

Keel Redt długo oglądał fiolkę, zanim ostrożnie, wciąż drżącymi dłońmi umieścił ją w bezpiecznym schowku, w zakamarku swojego pancerza energetycznego.

– Ciekawe, co się teraz wydarzy – powiedział.

– To nawet brzmi jak porzekadło ze Starej Ziemi – zauważyła z uśmiechem Dem Lia. – Chińskie przekleństwo: „Obyś żył w ciekawych czasach”.

Saigyo morfował służy w kadłubie statku i dyplomaci opuścili oranżerię, by wrócić do orbitalnego lasu w towarzystwie setek tysięcy świetlistych istot, zmagając się z wiatrem słonecznym i mknąc po magnetosferycznych liniach sił pola, niczym statki niesione rwącym prądem blasku.

– Jeżeli nie macie nic przeciwko temu... – Ces Ambre uśmiechnęła się. – Wrócę teraz do komory kriogenicznej i pójdę spać. To było długie kilka dni.

Dziewięcioro obudzonych na początku ludzi postanowiło odczekać, aż *Helisa* wejdzie bezpiecznie w przestrzeń Hawkinga, i dopiero wtedy udać się na spoczynek. Nie opuścili jeszcze układu gwiazdy typu G8 – statek nabierał szybkości, wzniósłszy się ponad płaszczyznę ekliptyki – gdy Oam Rai gestem wskazała im zwrócone ku rufie okno.

– Spójrzcie – powiedziała.

Wygnańcy wylegli w kosmos, by się z nimi pożegnać: miliardy utkanych z czystej energii skrzydeł migotały w słonecznym blasku.

Wystarczył jeden dzień w przestrzeni Hawkinga, by po naradzie z Samodzielnymi Inteligencjami ustalić, że kadłub jest w doskonałym stanie, wirujące wysięgniki i kapsuły hibernacyjne funkcjonują bez zarzutu, statek wrócił na kurs i wszystko przebiega zgodnie z planem. Jeden po drugim obywatele Helisy wracali do swoich komór kriogenicznych – najpierw Den Soa z małżonkami, po niej następni. W końcu także Dem Lia udała się na spoczynek. Usiadła na leżance.

– Saigyo – powiedziała rozkazującym tonem.

Przed nią zmaterializował się niski, korpulentny mnich buddyjski.

– Czy wiedziałeś o tym, że Ces Ambre jest eneanką?

– Nie wiedziałem, Dem Lio.

– Jak to? W bankach pamięci statku znajdują się pełne dane genetyczne i medyczne każdego pasażera. Musiałeś wiedzieć.

– Nie, Dem Lio. Zapewniam cię, że charakterystyka medyczna Ces Ambre mieści się w standardowych granicach przewidzianych dla obywateli Widmowej Helisy. Nie ma w niej żadnej wzmianki o eneańskim DNA w organizmie. Nie wskazuje na to również jej charakterystyka psychologiczna.

Dem Lia zmarszczyła brwi.

– Czyżby sfalszowała zapis? Albo sama Ces Ambre, albo jej matka mogły tego dokonać.

– To możliwe, Dem Lio.

Dem Lia wyciągnęła się na leżance i oparła na łokciu.

– Czy ty albo któraś z pozostałych SI wiecie coś o tym, żeby na pokładzie *Helisy* byli jacyś inni eneanie, Saigyo?

– Nie.

– Enea nauczała, że ewolucja przebiega w określonym kierunku – mruknęła Dem Lia z uśmiechem, bardziej sama do siebie niż pod adresem SI. – Przepowiadała, że nadejdzie dzień, w którym cały wszechświat się zazieleni. Różnorodność jest jedną z najlepszych strategii ewolucyjnych.

Saigyo pokiwał głową.

Dem Lia położyła się wygodnie.

– Uważaliśmy, że eneanie okazali nam niezwykłą hojność, pomagając zachować naszą kulturę... Razem zbudowaliśmy statek, żeby rozpocząć poszukiwania nowej planety do skolonizowania. Założę się, że w podobny sposób pomogli przedstawicielom setek innych małych kultur wyrwać się z zamieszkanego kosmosu i udać w podróż w nieznane. Zależy im na różnorodności; cenią sobie Wygnańców i wszystko, co odmienne. Chcą, żeby jak najwięcej z nas rezygnowało z ich boskiego daru. – Dem Lia spojrzała na mnicha, który jak zwykle łagodnie się uśmiechał. – Dobranoc, Saigyo. Opiekuj się statkiem.

Zamknęła komorę kriogeniczną, która natychmiast uruchomiła cykl hibernacyjny.

– Bądź spokojna, Dem Lio – odrzekł mnich.

Kobieta już spała.

Statek spokojnie przemierzał przestrzeń Hawkinga, wysięgniki z kapsułami kreśliły podwójną helisę w powodzi fałszywych barw i rozedrganych czterowymiarowych form, które zastąpiły gwiazdy.

SI wyłączyły wewnętrzne pole siłowe, przetworniki atmosfery i wszystkie światła. *Helisa* mknęła przed siebie w całkowitej ciemności.

Pewnego dnia, około trzech miesięcy po opuszczeniu układu podwójnego, zabuczały wentylatory, włączyło się oświetlenie i wróciła sztuczna grawitacja. Sześćset osiemdziesiąt cztery tysiące trzystu kolonistów smacznie spało.

Nagle w korytarzu łączącym mostek z pierwszym kręgiem kapsuł hibernacyjnych pojawiły się trzy sylwetki. Środkowa z nich miała ponad trzy metry wzrostu, czworo ramion, kolczasty pancerz i była cała opleciona lśniącem drutem kolczastym. Jej wielościenne oczy świeciły czerwono. Nie poruszała się.

Z lewej strony stał mężczyzna w wieku czterdziestu paru lat, o kręconych, lekko siwiejących włosach. Miał ciemne oczy i regularne rysy twarzy, był mocno opalony i ubrany w niebieską koszulę z miękkiej bawełny, zielone szorty i sandały. Skinął kobiecie głową i ruszył w stronę mostku.

Kobieta była starsza od niego; nawet eneańska kuracja nie mogła w pełni zamaskować jej podeszłego wieku. Miała na sobie prostą, nieskazitelnie błękitną szatę. Przeszła przez jedne z drzwi prowadzących do wysięgników, wjechała windą na koniec trzeciego z nich i zeszła korytarzem – w którym panowało normalne ciśnienie – do kapsuły hibernacyjnej. Przystanąwszy przy jednej z oplecionych czujnikami komór, starła dłonią szron z przezroczystej pokrywy.

– Ces Ambre – powiedziała cicho Dem Loa. Powiodła palcem po lodowatym plastiku, kilka centymetrów nad poźłobionym zmarszczkami policzkiem córki. – Śpij dobrze, kochanie, śpij dobrze.

Na mostku wysokiego mężczyznę otaczały hologramy Samodzielnych Inteligencji.

– Witaj, Petyrze, synu Enei i Endymiona – odezwał się Saigyo i skłonił się lekko.

– Dziękuję ci, Saigyo. Jak się macie?

SI odpowiedziały mu w sposób wykraczający daleko poza granice języka i matematyki. Petyr pokiwał głową, zmarszczył lekko brwi i oparł dłoń na ramieniu Basho.

– Jesteś wzburzony, Basho. Czy chcesz, bym załagodził konflikt w twoim wnętrzu?

– Tak, Petyrze – odparł wysoki wieśniak w stożkowym kapeluszu i ubłoconych, drewnianych sandałach. – Proszę.

Petyr przytulił go i na chwilę obaj przymknęli oczy. Kiedy odstąpili od siebie, poważny zwykle Basho uśmiechnął się szeroko.

– Dziękuję, Petyrze.

Człowiek przysiadł na skraju stołu.

– Zobaczmy może, dokąd lecimy.

Na środku mostku pojawił się holograficzny sześcian o boku czterech metrów. W jego wnętrzu migotały dające się rozpoznać gwiazdy, trasa długiego rejsu *Helisy* była zaznaczona na czerwono. Trajektoria wybiegała naprzód niebieską, przerywaną linią – wprost ku jądro galaktyki.

Petyr wstał i włożył rękę w holomapę. Dotknął niewielkiej gwiazdy, leżącej nieco na prawo od planowanego kursu i ta część sześcianu została automatycznie powiększona.

– Warto byłoby po drodze zerknąć na ten układ – stwierdził z łagodnym uśmiechem. – Ładne słońce typu G2. Czwarta planeta w układzie ma około siedmiu i sześciu dziesiątych w starej skali Solmewa. Miałyby więcej, ale rozwinęły się na niej pewne paskudne wirusy i bardzo drapieżne zwierzęta. Nad wyraz drapieżne.

– To sześćset osiemdziesiąt pięć lat świetlnych stąd – zauważył Saigyo. – Plus korekta kursu: czterdzieści trzy lata świetlne. Niedaleko.

Petyr skinął głową.

Lady Murasaki przesłoniła wachlarzem mocno umalowaną twarz. Uśmiechnęła się prowokacyjnie.

– Czy kiedy tam dotrzemy, Petyrsan, paskudne wirusy jakimś cudem znikną?

Petyr wzruszył ramionami.

– Większość z nich tak, moja pani. Większość z nich – odparł i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Drapieżnych zwierząt za to nie zabraknie. – Podał kolejno rękę każdej z SI. – Uważajcie na siebie. I na naszych przyjaciół.

Wrócił do korytarza, gdzie czekała na niego potworna trzymetrowa postać zbudowana z chromu i cierni. Dem Loa z szelestem sukni przyłączyła się do nich.

– Wszyscy gotowi? – spytał Petyr.

Dem Loa kiwnęła głową.

Syn Enei i Raula Endymiona oparł dłoń na korpusie monstrem, tuż obok zakrzywionego, długiego na piętnaście centymetrów kolca. Wszyscy troje bezgłośnie zniknęli.

Sztuczna grawitacja wyłączyła się, przetworniki atmosfery umilkły, światła pogasły i *Helisa* w absolutnej ciszy poleciała dalej, dokonując minimalnych korekt kursu.

Dziewiąty dzień miesiąca aw

Trzydzieści dni przed ostatnim faksowaniem postludzie urządzili przyjęcie pożegnalne na Archipelagu Nowojorskim. Zjawilo się na nim wielu z dziewięciu tysięcy stu czternastu dawnych ludzi. Większość po prostu się przefakowała, ale niektórzy przybyli w świetlistych półprzezroczystych biozeppelinach, które połączyły się linami z wieżą cumowniczą Empire State Building, inni przyplłynęli w ogromnych kałamarnicopodobnych podwodnych, około pięciuset najbardziej pozbawionych wyobraźni zadowolilo się wyremontowanym QE2, a garstka przyleciała bądź przyplłynęła sonikami, które sami przystosowali do swych potrzeb.

Pinchas i Petra przefakowali się drugiego wieczoru pięciodniowej fety. Mieli nadzieję, że będzie tam Savi, ale jej sygnał bliskosieciowy się nie odezwał, a fizyczne poszukiwania na archipelagu nie przyniosły rezultatu. Pinchas i Petra byli rozczarowani, ale i tak spędzili kilka godzin na przyjęciu.

Cały archipelag był skąpany w blasku. Poza podświetlonym Empire State Building oraz innymi historycznymi wieżowcami wyrastającymi z mrocznych wód były jeszcze skupiska świeczkokul, unoszących się między bagiennymi drzewami iglastymi i nad porośniętymi lasem paproci kanałami, świąteczne żarówki palące się wewnątrz QE2 i nad nim, w miejscu, gdzie przycumował do Chrysler Building. Scenerię oświetlał również blask meduzowatych zeppelinów na górze i statków podwodnych na dole, a race eksplodowały w niemal nieustannych salwach barw i hałasu. Wysoko nad fajerwerkami zarówno pierścień E, jak i pierścień P przechodziły przez wszystkie możliwe kolory widma – a także niektóre z tych, których ludzie nie widzieli – by uczcić pierwszą z tysiąca imprez poprzedzających ostatnie faksowanie.

– Niezła stypa – zauważył Pinchas.

Petra ścisnęła jego ramię.

– Przestań. Obiecałeś.

Skinął głową i wziął sobie kieliszek zimnego wina od przechodzącego obok służka. Oboje z Petrą krążyli po niewielkim kwadracie powiększonego tarasu widokowego Empire State Building, przepuszczając grupy tych, którzy przybyli tu zeppelinami, schodzące po krętych żeliwnych schodach z platformy

cumowniczej. Wszyscy sprawiali wrażenie uradowanych, poza garstką nieuniknionych wojniksów, widocznych tu i ówdzie. Wyglądały jak ślepe skarabeusze z zardzewiałego żelaza i garbowanej skóry.

Pinchas wylał część swego wina na skorupę jednego z nich.

– Jesteś pijany? – zapytała Petra.

– Niestety, nie. – Zacisnął pięść i walnął jajowatego wojniksa. Rozległ się głuchy dźwięk. – Szkoda, że te cholerstwa nie mają oczu.

– A co by ci to dało?

– Wsadziłbym w jedno kciuk któremuś z nich.

Zapukał środkowym palcem w chitynową, czarną jak heban skorupę. Rozległo się głuche echo.

Wojniks zrobił to, co zawsze robią wojniksy. Zignorował ich.

Postczłowiek w iteracji znanej Petrze i Pinchasowi jako Mojra podleciała ku nim, unosząc się nad tłumem. Mojra miała na sobie złotą wyjściową suknię, a krótko ostrzyżone siwe włosy podkreślały delikatną budowę czaszki.

– Moi drodzy, czy bawicie się absolutnie cudownie?

– Absolutnie – zgodziła się Petra.

– Cudownie – poparł ją Pinchas.

Spojrzał na Mojrę, nie po raz pierwszy w ponad dwóch stuleciach swego życia zadając sobie pytanie, dlaczego wszyscy postludzie są kobietami.

Mojra parsknęła swobodnym śmiechem.

– Świetnie. Świetnie. Później dostarczy nam rozrywki iluzjonista Dahoni. Jak rozumiem, ma zamiar spowodować, że QE2 zniknie. Jeszcze raz.

Znowu się roześmiała.

Petra pociągnęła z uśmiechem łyk mrożonego wina.

– Szukamy naszej przyjaciółki. Savi.

Mojra wahała się przez moment. Pinchas zadał sobie pytanie, czy wie, z kim rozmawia. W ciągu stuleci spotkali się ze sobą może ze dwadzieścia razy. A przynajmniej tak sądził Pinchas, opierając się na teorii, że iterację znaną jako Mojra zawsze wybierała ta sama postczłowiek. Zwróciła się jednak do nich „moi drodzy”, podsycając w ten sposób stare paranoidalne przekonanie, że dla postludzi wszyscy dawni ludzie wyglądają tak samo.

– Savi, historyczka kulturowa? – zapytała Mojra, niszcząc w ten sposób tę teorię. – Zaproszono ją, rzecz jasna, ale nie otrzymaliśmy od niej potwierdzenia. Pamiętam, że była twoją bliską przyjaciółką, Petro. I twoją także, Pinchasie. Kiedy się zjawi, na pewno zawiadomię ją, że tu jesteście.

Pinchas skinął głową i dopił wino. Zapomniał na chwilę, że z jego atrakcyjnej, lecz mało wyrafinowanej twarzy homosapa te konstrukty z łatwością potrafią wszystko wyczytać. Komu potrzebna telepatia?

– Rzeczywiście, komu – zgodziła się Mojra i znowu się roześmiała.

Dotknęła jego ramienia, pogłaskała Petrę po policzku, skinęła na służka niosącego tacę z ciepłymi przekąskami i oddaliła się, unosząc się w powietrzu.

– Nie ma jej tutaj – stwierdził Pinchas.

Petra skinęła głową, spoglądając na wewnętrzną powierzchnię swej dłoni.

– Nie ma sygnału, nie ma punktu komunikacyjnego, nie ma śladu faksowego ani wiadomości dla nas, na daleko- czy na bliskosieci. Wiesz, że lubi chwile samotności, ale zaczynam się o nią martwić.

– Może przyśpieszyła ostatnie faksowanie? – zasugerował Pinchas.

Petra obrzuciła go znaczącym spojrzeniem.

– No dobra – odparł, unosząc otwartą dłoń w przeproszającym geście. – To nie było śmieszne.

– Nie było – zgodziła się Petra.

Dopiła wino i odstawiła kieliszek na poręcz tarasu obserwacyjnego. W odległości kilku metrów stał na niej jakiś człowiek, gotowy skoczyć na bungee do ciemnej wody, trzydzieści pięter niżej. Petra odwróciła się plecami do tłumu, odliczającego przed skokiem.

– Znajdźmy ją – zaproponowała.

Pinchas skinął głową i ujął rękę kobiety. Wyfaksowali się.

Savi znowu się śniło, że ciągnie sanie.

Przewracała się z boku na bok i miotała przez sen w swej wypełnionej niebieskim blaskiem lodowej jaskini. Promienniki podczerwieni i gruby termoizolator chroniły ją przed zamrożeniem. Śniły się jej zimne lodowce, nagie klify, papka z sucharów zmieszanych z pemikanem i mężczyźni o brudnych twarzach, odziani w stroje z grubego płótna i wełny, ciągnący niewiarygodnie ciężkie sanie przez wyżyny płaskowyż na Antarktydzie.

Śniły się jej szkicownik Wilsona i wyrzeźbione przez wiatr zastrugi. Miotła się przez sen i przewracała się z boku na bok w swej wypełnionej niebieskim blaskiem lodowej jaskini. Śniło się jej obozowanie w miejscu, gdzie powiewała wystrzępiona norweska flaga na czarnym tle, widok śladów nart, wiodących na południe, ku oddalonemu o kilka kilometrów biegunowi. Śnili się jej Oates, Evans, Bowers i Scott, niski mężczyzna, ledwie widoczny w sypiącym śniegu i blasku słońca odbijającym się od lodu. Podejrzewała, że wszystko to śni się jej z punktu widzenia Edwarda Wilsona. Nigdy nie widziała jego twarzy ani sylwetki, mimo że ciągle prześladowały ją strony z jego dziennika i szkicownika.

Obudziła się, ale pozostała w całkowitym bezruchu. Czowała, że serce wali jej szybko i wsłuchiwała się w ciszę, maconą tylko cichym skrzypieniem jej bryły lodu, niesionej na północ przez prąd morski.

Odleciała z domu przed tygodniem, ale przedtem przez długi czas przeglądała zdjęcia orbitalne wykonane w podczerwieni, aż wreszcie zdecydowała się na tę górę lodową z powodu jej wielkości i solidności. Oddzieliła się już od paku lodowego bez końca krążącego wzdłuż Lodowca Szelfowego Rossa w południowej części Morza Rossa. Miała około stu metrów długości i trzy razy mniej jej wysokości wystawało nad ciemną powierzchnię morza. Była stabilna, jej zasadnicza część zanurzała się głęboko. Na górnej powierzchni znajdowały się płaskie miejsca i bez trudu posadziła sonik na jednym z nich. Następnie umieściła tam maszyny i zapasy, które zamówiła w pierścieniu P albo znalazła w ruinach McMurdo.

Spodziewała się, że najtrudniejszym zadaniem będzie wyrzeźbienie jaskiń, drabin oraz tuneli wielkim palnikiem, okazało się jednak, że to było najłatwiejsze. A przynajmniej najlepiej się przy tym bawiła. Dwadzieścia metrów pod powierzchnią góry lodowej – pamiętała, by wiercić głęboko, a potem zakręcać ku górze, by stworzyć pułapki na zimne powietrze, i pomagała sobie ręcznymi narzędziami do cięcia, by ukształtować stopnie, szczeble oraz poręcze – znalazła naturalną, krętą szczelinę w lodzie. Podążyła nią dalsze pięćdziesiąt metrów w dół, oddalając się od niej dopiero wtedy, gdy stała się zbyt wąska.

Oświetliła jaskinie żarkułami i pałeczkami halogenowymi z własnymi źródłami zasilania. Światło słońca nie docierało tak głęboko w czeluść antarktycznej zimy. Najtrudniej było zaciągnąć meble i zapasy do groty mieszkalnej, wypalonej w najgłębszym sercu góry lodowej, poniżej poziomu morza. Dzięki promiennikom podczerwieni udało się jej ogrzać otaczającą przestrzeń, nie topiąc jednocześnie swojego domu. Spała na piance, termoizolatorze oraz futrze i bawiła się swymi starymi maszynami i dokumentami.

Jak miała w zwyczaju, gdy robiła sobie urlop od świata, zablokowała wszystkie połączenia sieciowe i faksowe, które była w stanie zablokować. Teraz jednak, gdy chwila ostatniego faksowania była już blisko, miała dodatkowe powody do zastanowienia. Sprawdzała zawartość twardych dysków i pergaminowych dokumentów. Gdy groziła jej klaustrofobia, wychodziła w lodową noc, sprawdzała pokryty szronem sonik, podkręcała ogrzewacz i przyglądała się dalekosieciowej gadaninie, nie biorąc w niej udziału. W ostatnich dniach, gdy ogarnął ją niepokój, coraz częściej po prostu wypalała kolejny tunel, powiększając swój wypełniony błękitną poświatą lodowy labirynt.

Sny dawały jej się we znaki. Zaczęły się, nim rozpoczęła urlop. Biorąc pod uwagę jej zawód oraz zainteresowania, nie powinna być zaskoczona. Niepokoila ją jednak ich intensywność. Wiedziała, jak się skończyła tamta ekspedycja, i wyglądało na to, że zbliża się do tej chwili, a każda jej noc odpowiada ich dniowi. Zostało już niewiele czasu.

Petra i Pinchas wyobrażali sobie, że przefaksują się do przedsionka Savi. Każdy dawny człowiek, który posiadał dom bądź mieszkanie, miał też przedsionek faksowy. Z zaskoczeniem przekonali się jednak, że system bezpieczeństwa faksowego dodał do eleganckiej szaty Pinchasa i wyjściowej sukni Petry warstwę molekularnego termoizolatora, a także kaptury, przyłbice, reflektory czołowe oraz ogrzewcze przewody powietrzne.

I bardzo dobrze. W przedsionku było ciemno i przerażająco zimno.

– Co to, do licha? – zdziwił się Pinchas.

Nigdy dotąd nie był w domu Savi na Mount Erebus, mimo że byli kochankami przez dobre kilka lat, nim przeniosła się w to miejsce. Wiedział jednak, że z pewnością nie porzuciłaby domu na pastwę żywiołów tylko dlatego, że wyjechała na wakacje.

Petra wskazała głową na drzwi wejściowe. Były otwarte. Pinchas pierwszy wszedł do środka, czując się jak intruz. W domu Savi pełno było mebli i wyszabrowanych dóbr. Niektóre sterty sięgały prawie do niskiego sufitu. Dom był długi i miał wiele pięter. Zbudowano go ze starożytnych modułów mieszkalnych i jeszcze starszych mieszkań wykopanych w tym, co zostało z McMurdo, stolicy Republiki Antarktydy. Petra i Pinchas potrzebowali około dwudziestu minut, by sprawdzić wszystkie miejsca.

Petra znalazła włącznik światła, ale ukryte we wnękach lampy się nie zapaliły. Najwyraźniej Savi odcięła dopływ energii. Ale dlaczego?

Pinchas znalazł pałeczki halogenowe i ich jasny blask wzmocnił światło reflektorów czołowych. Sprawdzali kolejno wszystkie pomieszczenia. Długie okna o potrójnych szybach z pewnością zapewniały wspaniały widok na antarktyczne lato. Dom ulokowano wysoko na zboczach wulkanu i okna wychodziły na północ. Teraz jednak za oszronionym szkłem była jedynie ciemność. Pokoje mieszkalne wyglądały przyjemnie i były mniej zagracone niż reszta domu. Petra powiedziała, że ma wrażenie, iż brakuje niektórych mebli. Odwiedzała tu kilkakrotnie Savi, kiedy to one były kochankami. Nie miała jednak pewności.

Długie, wąskie warsztaty, biblioteki oraz magazyny sprawiały surrealistyczne wrażenie w blasku reflektorów – okruchy lodu unoszące się w powietrzu, powierzchnie pokryte szronem i grubą warstwą śniegu. Wszystko było zimne w dotyku, pomimo molekularnego termoizolatora rękawic.

Pinchas dotknął kilku gładkich czarnych brył wielkości trylobitów, które leżały na stole.

– Co to jest? – zapytał.

– Komputery DNA – wyjaśniła Petra. – Chyba z wczesnego dwudziestego pierwszego wieku. Savi wykopała je w wysypiskach w McMurdo.

Pomimo niesamowitego wyglądu tego miejsca Pinchas nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Komputery miały kiedyś skorupy? Były fizycznymi obiektami?

– Tak – potwierdziła Petra. – Popatrz. – Wrócili do centralnego modułu mieszkalnego. Petra uniosła kilka czytników oraz oprawionych książek i uniosła płachtę nowoczesnego pergaminu. – To jest pismo Savi.

– Umiesz czytać? – zapytał z podziwem Pinchas.

– Nie – przyznała. – Ale poznaję jej charakter pisma. Wiem, że gdybyśmy naprawdę to przeczytali, dodalibyśmy drugie pogwałcenie prywatności do pierwszego, ale...

– Ale to może być list do nas... czy raczej do ciebie – stwierdził Pinchas.

Przesunął dłoń nad pergaminem, gotowy uruchomić funkcję czytania i pozwolić, by po jego górnej kończynie przepłynęły złociste słowa.

Petra złapała go za nadgarstek.

– Nie! Nie rób tego.

Zaskoczony Pinchas opuścił rękę.

Widoczna pod przyłbicą twarz kobiety miała zawstydzony wyraz.

– Przyszło mi na myśl... no wiesz, że jeśli uruchomisz funkcję czytania, treść będzie musiała przejść przez któryś z pierścieni, a to...

Jej głos ucichł.

Pinchas spojrzał na nią z zasepioną miną.

– To bliskie paranoi, czyż nie tak?

– Pewnie masz rację – przyznała Petra. – Ale wolałabym, żebyśmy znaleźli dawnego człowieka, który umie czytać i mógłby to nam przetłumaczyć.

– Znasz kogoś takiego?

Petra znowu spojrzała na pergamin i skinęła głową.

– Uczonego nazwiskiem Graf. Dobrze zna Savi. Razem pracowali przy wykopaliskach w Paryżu. Mogę się z nim skontaktować. Weźmiemy to ze sobą.

Złożyła pergamin i wcisnęła go do kieszeni przez membranę termoizolatora.

– Uważam, że powinniśmy poczekać, zanim go przeczytamy – odezwał się Pinchas. – Zostało nam jeszcze trzydzieści dni. Dajmy jej czas, żeby wróciła, zanim zaczniemy czytać jej prywatne notatki.

– W porządku – zgodziła się Petra. – Zaczekamy dwa tygodnie, nim pójdziemy z tym do Grafa. Ale jeśli Savi nie wróci, być może to pozwoli nam poznać przyczyny.

Przez krótką chwilę oboje stali bez ruchu w mroźnej pustyni salonu Savi.

– Myślisz, że stało się jej coś złego? – zapytał wreszcie mężczyzna.

– A co mogłoby się jej stać? – odparła Petra z wymuszonym uśmiechem. – Gdyby doszło do poważnego wypadku, mielibyśmy zapis odbudowy. Kiedy zapytaliśmy dalekosieć, odpowiedzieli nam, że wszystko z nią w porządku.

– Wolałbym, żeby nam powiedzieli, gdzie można ją znaleźć – poskarżył się Pinchas.

– Prywatność – przypomniała mu.

Tym razem oboje nie mogli powstrzymać uśmiechu. Petra raz jeszcze rozejrzała się i oboje przefaksowali się na północ.

Oates zginął pierwszy. Wszyscy to wiedzą. A przynajmniej wszyscy to wiedzieli w czasach, gdy historia miała jeszcze dla kogokolwiek znaczenie. Tak myślała Savi, gdy do ostatniego faksowania zostało piętnaście dni. Ze snu zrezygnowała kilka dni wcześniej.

Oates opuścił namiot Scotta nocą piętnastego marca tysiąc dziewięćset dwunastego roku.

„To ja wyjdę na chwilę, może to trochę potrwać”⁷ – oznajmił.

Scott, Bowers i Wilson wiedzieli, że ich coraz słabszy towarzysz wyruszył w śnieżycę po śmierć. Nie próbowali go powstrzymać. Wszyscy trzej mieli umrzeć czternaście dni później, dwudziestego dziewiątego marca, kilkanaście kilometrów od Składu Jednej Tony i ratunku.

Dopóki Scott zachowywał siły, nie przestawał pisać notatek i listów. Bronił planu ekspedycji. Wysławiał odwagę i męstwo towarzyszy. Ostatnie słowa, które zapisał, brzmiały: „Na Boga, zajmijcie się naszymi bliskimi”⁸.

Napisał też krótki list pożegnalny do swego przyjaciela, sir J.M. Barriego, autora *Piotrusia Pana*. Okazało się, że to Scott i jego ludzie byli Zagubionymi Chłopcami.

Sny Savi stały się złowrogie i zimne. Dlatego zdecydowała, że nie będzie już śniła. Siedziała w ocieplonej komorze w sercu góry lodowej, łykała środki

przeciwsenne i piła jeden kubek czarnej kawy za drugim. Przeglądała swoje notatki i starożytne zapisy komputerowe, poszukując informacji i atakując, ale następnie potwierdzając wyciągnięte przez siebie wnioski. Sytuacja wyglądała fatalnie.

Miała jednak ukrytą broń. Dosłownie. Pistolet był czarny i brzydki, brzydota cechującą wyłącznie masowo produkowane artefakty postindustrialnego stulecia. Wystrzeliła z niego na zboczach Mount Erebus, a potem drugi raz, na pogrążonej w mroku powierzchni góry lodowej. Po naciśnięciu spustu broń wydawała z siebie głośny ryk. Gdy Savi wystrzeliła z niej po raz pierwszy, wypuściła ją ręk i nie ponawiała prób przez wiele tygodni. Teraz jednak lubiła trzymać w rękach ciężki czarny przedmiot. Uspokajał ją. Miała też pudełka z zapasowymi nabojami.

Gdy do ostatniego faksowania zostały dwa tygodnie i jeden dzień, postanowiła, że czas już, by wtajemniczyła w swe plany przyjaciół, zwłaszcza Pinchasa i Petrę. Opuszczając swe komory ukryte wewnątrz góry lodowej, nie wyłączyła światła i ogrzewania. Doszła do wniosku, że to może być dobre miejsce na tajne spotkania jej kadry. Wyszła w ciemność i wyjął wicher, po czym ruszyła w stronę sonika, trzymając się linki prowadzącej. Sonik zniknął.

Poczuła w ustach smak żółci i strachu, zdołała jednak stłumić to wrażenie. Popełniła błąd. Sformatowała wehikuł z myślą o trzytygodniowym użyciu, nie sądząc, że będzie nieobecna aż tak długo, i po upływie tego czasu sonik po prostu odleciał, by poddać się recyklingowi w jednej ze stacji zaopatrzeniowych.

Wróciła do wypełnionych niebieską poświatą komór, żeby się zastanowić. Mimo niedawno odkrytej niechęci do faksowania doszła do wniosku, że nie ma cierpliwości czekać, aż nowy sonik zostanie sfabrykowany i przyleci tutaj. Aktywowała funkcję faksowania i wyobraziła sobie Mantuę. Nic się nie wydarzyło.

Przez dłuższą chwilę nie była nawet w stanie myśleć. Potem, w ataku paniki, jakiej nigdy nie zaznała w ciągu dwustu lat życia, spróbowała się połączyć z daleko- i bliskosiecią. Żadnej odpowiedzi. Cisza.

Drżąc gwałtownie, usiadła na pięknym perskim dywanie, położyła sobie czarny pistolet na kolanach i spróbowała się zastanowić.

W jednym z lodowych korytarzy za jej plecami poruszył się jakiś cień. Lód zachrząścił pod podkutymi buciorami.

Savi odwróciła się błyskawicznie.

– Oates? – zawołała. – Oates?

Pomimo letniego upału i wilgoci – Mantuę otaczały liczne jeziora i kanały – niektórzy z dawnych ludzi lubili to miasto i zbierali się w nim od czasu do czasu. Czternaście dni przed ostatnim faksowaniem Pinchas, Petra oraz czwórka ich znajomych jedli kolację pod gołym niebem na Piatta Erbe. Na białym obrusie ustawiono *agnoli*, *tortelli di zucca*, *insalata di cappone*, *risotto* oraz *costoletta d'agnello al timo*. Zupa z żab smakowała wszystkim, podobnie jak świeże, musujące lambrusco, które popijali z butelek. Było około jedenastej wieczorem i z kamieni brukowych wypłynął nagromadzony za dnia żar. Płóciennymi baldachimami poruszał chłodzący wietrzyk. Wysoko na niebie wisiał księżyc w pierwszej kwadrze, często zasłaniany przez pierścień P. Z pobliskich wież dobiegało gruchanie gołębi.

Graf pochylił się nad kartą pergaminu. Był smagłym mężczyzną o zadbanej brodzie, jednym z nielicznych dawnych ludzi nadal mających zarost na twarzy. Kiedy marszczył brwi, jak robił to w tej chwili, można go było wziąć za jednego z dawno nieżyjących Gonzagów, których przedstawione na freskach portrety nadal zdobiły mury pobliskiego Pałacu Książęcego.

– Potrafisz to przeczytać? – zapytała Petra.

– Pewnie, że potrafię – obruszył się Graf. – Ale zrozumienie może być trudniejsze.

– Jesteśmy w praktyce pewni, że to przedrubikonowy angielski – stwierdził Pinchas.

Graf pogłaskał się po brodzie i skinął głową.

– W większej części.

– W imię nieba, przeczytaj to na głos – zażądała Hannah, aktualna partnerka Grafa.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To raczej list niż notatka – odparł i zaczął czytać.

1) *Wojniks = Ms. Voynicha?*

2) *P nie faksują. XX w. maszyny faksowe używały oryg.*

3) *Mojra? Atlantyda?*

4) *Żydzi. Rubikon. Tel Awiw.*

5) *Jesteśmy jebanymi Elojami.*

6) *Kadosz. Haram asz-Szarif.*

7) *Itbah al-Jahud.*

– Poddaję się – oznajmił Stephen, który przed chwilą przefaksował się z Helsinek ze swoim partnerem Fromem. – Nigdy nie radziłem sobie z zagadkami.

– „Jesteśmy jebanymi Elojami” – zacytowała Hannah. – Czy słowo „jebanymi” jest tu użyte dosłownie, czy w przenośni?

– A co ważniejsze, kim są „Elojowie”? – dodał Pinchas.

Graf znał odpowiedź na to pytanie. Opowiedział im o historii o podróży w czasie napisanej przez H.G. Wellsa.

– Rewelacja – stwierdził Frome. – Tak czy inaczej, to zdanie nie jest zbyt pochlebne dla nas wszystkich. Być może chodziło o to, że wszyscy kochankowie Savi byli zbyt bierni.

Pinchas i Petra wymienili spojrzenia. Nawet Graf zamrugał i oderwał wzrok od pergaminu.

– A jeśli my wszyscy jesteśmy Elojami, to kto jest Morlokami? – kontynuował Frome, nieświadomy ich reakcji. – Postludzie?

– Nie zauważyłam, by w ciągu ostatnich dwóch stuleci zjedli kogoś z nas – odparła Petra, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Co więcej, postludzie są wegetarianami – dodał Graf.

– Co znaczy Ms. Voynicha? – zainteresował się Pinchas.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli.

– Sprawdź to – zaproponował wreszcie Graf. Uniósł otwartą dłoń, ale Petra go powstrzymała, oplatając drobne palce wokół jego nadgarstka.

– Myślę, że nie powinniśmy przywoływać żadnych funkcji związanych z notatką Savi, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne – rzekła cicho, rozglądając się wkoło, by się upewnić, że w pobliżu nie ma służków ani wojniksów, które mogłyby ją usłyszeć. – Czy nie ma żadnego innego sposobu, żeby to sprawdzić?

– Mam w Berlinie bibliotekę złożoną z fizycznych książek – odpowiedział Graf. – Później w niej tego poszukam.

– Czy Ms. to nie był honorowy tytuł nadawany kobietom w czasach przedrubikonowych? – zapytał Frome. – Tym, które nie wyszły za mąż, tak?

– Coś w tym rodzaju – przyznał Graf. – Ale to może być też skrót od „manuskrypt”.

– Czy ktoś ma jakiegokolwiek pojęcie, o co mogło chodzić Savi w tym punkcie mówiącym o Mojrze i Atlantydzie?

Pozostała piątka albo pociągnęła łyk lambrusco, albo zjadła kolejny kąsek. Nikt nie zgłaszał żadnej opinii.

– Nigdy nie byłam w Atlantydzie – odezwała się wreszcie Hannah.

Okazało się, że żadne z nich nigdy tam nie było. Atlantyda raczej nie zaliczała się do miejsc często odwiedzanych przez dawnych ludzi.

– Podejrzewam, że „P nie faksują” znaczy, że postludzie nie faksują – stwierdziła Petra. – Ale po co miałyby to zapisywać? Wszyscy o tym wiedzą.

– Ciekawy jest fragment, który następuje dalej – zauważył Pinchas. – Co on właściwie znaczy, Graf?

– „XX w. maszyny faksowe używały oryg.” – przeczytał uczoney.

– „Oryg.”? – zdziwił się Stephen.

– To zapewne skrót od „oryginałów” – wyjaśnił Pinchas. – Słyszałem o maszynach faksowych. One umożliwiały przesłanie pisanych dokumentów w postaci cyfrowej, nim jeszcze powstał pierwszy internet. Na długo przed czasem, gdy pierwsze udane kwantowe faksowanie zapożyczyło ten termin.

– Mam wrażenie, że używano ich nawet po powstaniu internetu – dodał Graf.

– Ale oryginalne mechaniczne urządzenia faksowe po prostu kopiowały fizyczne, spisane na papierze źródło. Po wysłaniu elektronicznego duplikatu, oryginalny dokument nadal istniał. Ale co z tego wynika?

– Może Savi chciała przez to powiedzieć, że postludzie przechowują gdzieś oryginały nas wszystkich? – zasugerowała Petra. – Ciała zamrożone jak lody na patyku, odmrażane i poddawane lobotomii, by sprawić im przyjemność. Może nasze oryginały służą im jako niewolnicy. Seksualni niewolnicy.

Przy stoliku rozległy się nerwowe śmiechy.

– To by było dobre – odezwała się Hannah. – Z pewnością lepsze niż ostatnie faksowanie. Bałam się, że na wieczność pozostanę neutrinami. Mówią, że wyprowadzą nas z trybu transmisji za dziesięć tysięcy lat, gdy już przywrócą Ziemię do stanu, w jakim pragną ją mieć, ale kto ich tam wie? A w ten sposób, jeśli strumień neutrin zginie gdzieś bez śladu, będą mogli po prostu odmrozić oryginał. Nie mam nic przeciwko byciu seksualną niewolnicą... tyle że wszyscy postludzie to kobiety, a ja nie czuję pociągu do kobiet.

Zamiast śmiechu jej słowa wywołały milczenie.

– Myślałem, że dość dobrze znam przedrubikonowy angielski, ale w ogóle nie rozumiem, o co chodzi w punkcie szóstym i siódmym.

Graf pokiwał głową.

– Część z tego jest po hebrajsku – wyjaśnił cicho. – Myślę, że „kadosz” znaczy tutaj „święty”. Być może. „Haram asz-Szarif” i „Itbah al-Jahud” są po arabsku. „Haram asz-Szarif” to miejsce w Jerozolimie. Wzgórze Świątynne. Tam, gdzie kiedyś stała Kopia na Skale.

– Czy Kopia na Skale nie zburzono w czasach demencji? – zapytał Frome.

Graf skinął głową.

– Przedtem na tej skale stały Pierwsza i Druga Świątynia. W gruncie rzeczy zbliżamy się do dnia zwanego Tisza be-Aw, gdy Żydzi tradycyjnie opłakiwali te wydarzenia. W ten dzień wydarzyło się bardzo wiele smutnych rzeczy.

Petra zabrała pergamin z rąk uczonego i zmarszczyła brwi, patrząc na pismo, którego nie potrafiła przeczytać.

– Może właśnie dlatego Savi napisała... jak to było? „Żydzi. Rubikon. Tel Awiw”?

– Tak – zgodził się Graf. – O ile sobie przypominam, pierwsze przypadki rubikonu zanotowano w okolicy dnia Tisza be-Aw. Wielu ludzi wierzyło, że wirus wyciekł z...

– O Jezu – przerwała mu Hannah. – To stare fałszywe oskarżenie przeciwko Żydom. Nawet ja słyszałam o micie mówiącym, że wirus rubikonu wydostał się z laboratorium w Tel Awiwie. To kłamstwo było produktem lat demencji.

Graf wzruszył ramionami.

– Skąd mamy to wiedzieć? Nie żyliśmy w tamtych czasach, a postludzie z pewnością nic o tym nie mówią. Jeśli to prawda, wszyscy z nas, całe dziewięć tysięcy z kawałkiem, pochodzą od Żydów.

– I wszyscy jesteśmy bezpłodni – dodała z goryczą Hannah. – I co z tego? Garstka Żydów miała rzadki gen chroniący przed rubikonem, ale jego skutek uboczny uczynił ich potomków bezpłodnymi. I nawet transkrypcyjne sztuczki nie mogą nic na to poradzić. Wszyscy też pochodzimy od jakichś afrykańskich hominidów, ale to nie znaczy, że mamy jakiegokolwiek pojęcie o kulturze afrykańskich plemion. Żydzi byli po prostu... plemieniem. Prymitywną kulturą. Dawno o nich zapomniano.

– Nie do końca – sprzeciwił się Graf, wlepiając w nią wzrok. Między tymi dwojgiem było sporo gniewu, niezwiązanego z obecną dyskusją.

– Być może kwestia żydowska jest motywem – zasugerował Pinchas. – To znaczy powodem.

Wszyscy popatrzyli na niego. Płócienne paski nad nimi zaszeleściły na wzmagającym się wietrze. Księżyc i pierścienie zniknęły za chmurami.

– Motywem czego? – zapytała Petra, ignorując bardziej umiarkowane słowo, które wybrał. – Masowego morderstwa? Czy ostatnie faksowanie to nowa, udoskonalona wersja Auschwitz?

Wszyscy siedzący przy stoliku zrozumieli aluzję. Nawet w tej postrubikonowej, posthistorycznej, postpiśmiennej epoce pewne słowa zachowały swą moc.

– Jasne, jasne – odezwał się Frome, próbując zbyć to śmiechem. – Sześćset albo siedemset milionów postludzi to wszystko... jak się nazywali wrogowie Żydów?

– Ich imię było legion – odparł cicho Graf.

– Arabowie – kontynuował Frome, jakby go nie usłyszał. – Wszyscy postludzie to Arabowie. Albo... Jak tam się nazywali, Petro? Naziści, wszyscy postludzie mają w swych milionach orbitalnych bunkrów swastyki i płaskoskany Hitlera.

Hannah się nie uśmiechnęła.

– Kto wie? Żaden dawny człowiek nigdy tam nie był. W pierścieniach mogą mieć wszystko.

Petra pokręciła głową.

– Nic z tego nie ma sensu. Nawet gdyby Savi cierpiała na kliniczną paranoję, musi wiedzieć, że w ciągu ostatnich trzech stuleci postludzie mogli nas wyeliminować w każdej chwili. Za każdym razem, gdy się faksujemy, jesteśmy całkowicie zdani na ich łaskę i niełaskę. Gdyby chcieli... nas zabić... nie musieliby podawać nam daty ostatniego faksowania.

– Chyba że pragną nas również torturować – zauważyła Hannah.

Pięcioro pozostałych pokiwało głowami i umilkło, gdy służki zabierały ich talerze, a potem przyniosły kawę, *gelato* i *tartufo*.

Pinchas odchrząknął.

– A ten ostatni kawałek? Itbah al-Jahud? Mówisz, że to też jest po arabsku?

– Tak – potwierdził Graf. – To znaczy „zabić Żydów”.

To było niemożliwe, ale światła i grzejniki w grotach w górze lodowej przestawały działać.

Nie wyłączyły się wszystkie jednocześnie. Żarkule i pałeczki halogenowe przygasały powoli, a promienniki podczerwieni z każdym dniem dawały coraz mniej ciepła. Niektóre urządzenia nadal funkcjonowały. Miała wystarczająco wiele światła, żeby widzieć, i tyle ciepła, że mogła przetrwać, ale musiała walczyć z coraz głębszą ciemnością i chłodem, by zachować przytomność i jasność umysłu. Zastanawiała się, czy na zewnątrz świat się kończył i produkcja energii spadała do zera.

Na sen poświęcała tylko krótkie, ryzykowne chwile. Z reguły nadal śniło się jej ciągnięcie sań, ale coraz częściej przebywała w namiocie z Bowersem i Scottem. Oatesa już z nimi nie było. Kiedy się budziła, czuła zimno tak samo jak we śnie, ale słyszała też zawodzenie wichru, czuła zapach dymu i wielorybiego tłuszczu. Dzielila z pokonanymi podróżnikami również przytłaczające zmęczenie. Nawet gdy była w pełni świadoma, jej jaskinie i korytarze wypełniało zawodzenie wichru. I nadal była wykończona.

Ktoś był we wnętrzu góry lodowej razem z nią.

Z początku była pewna, że to halucynacje, ale odgłos kroków stał się teraz bardziej słyszalny i coraz częściej dostrzegała jakieś ruchy kącikiem oka. Pomyślałaby, że odwiedzają ją wojniksy, gdyby nie fakt, że wojniksy nie

poruszały się ani nie wydawały żadnych dźwięków. Często zadawała sobie pytanie, czym są naprawdę ci intruzi, których postłudzie nazywali „chronosyntetycznymi artefaktami” albo „temporalnymi sprzecznościami”. Jednakże ledwie dostrzegalne sylwetki zawsze czające się w cieniach były niskie i spowite w płótno, a nie wysokie, ślepe i pokryte skorupami.

W lodzie z pewnością jednak kryło się coś zamrożonego. Savi znalazła to trzynaście dni przed ostatnim faksowaniem. Coś mrocznego, ale materialnego, widocznego dwa metry pod powierzchnią lodu w korytarzu, który wyrzeźbiła wzdłuż naturalnej szczeliny. Zobaczyła to w blasku latarki.

Codziennie wypalała teraz nowe tunele – wielki palnik nadal działał – ale nie chciała torować w ten sposób drogi do tajemniczego obiektu. Miał on w przybliżeniu kształt piramidy i był mniej więcej połowy wielkości jej utraconego sonika. Wydawał się jednak zmięty, jego forma była niemal przypadkowa. Ten widok niepokoił Savi.

12 listopada 1912 roku, gdy zbliżało się kolejne antarktyczne lato, grupa poszukiwaczy mająca ustalić, jaki los spotkał ludzi Scotta, znalazła ich namiot. Gdy Apsley Cherry-Garrard, doświadczony polarnik, który omal nie wyruszył na biegun ze Scottem, znalazł jego namiot, byli z nim dwaj towarzysze, Atkinson i Dimitri. To był „zwykły wzgórek”, z którego sterczała bambusowa tyczka wysokości metra. Zaczęli kopać.

„Bowers i Wilson leżeli w śpiworach” – napisał Cherry-Garrard w swym dzienniku. „Scott lewą rękę położył na ciele swojego starego przyjaciela Wilsona. Między głową śpiwora a brezentem podłogi leżała zielona saszetka, w której trzymał dziennik. W środku znajdowały się brązowe zeszyty. Obok niej znaleźliśmy listy”.

Później:

„W ogóle ich nie ruszaliśmy. Wyciągnęliśmy tyczki namiotu, który ich nakrył. Na wierzchu wzniesiliśmy kopiec”⁹.

Namiot znajdował się prawie trzysta kilometrów na południe od miejsca, w którym w roku 1912 znajdowała się bariera oddzielająca Lodowiec Szelfowy Rossa od morza. Jednakże od dnia, gdy Atkinson i Cherry-Garrard nakryli namiotem trzy ciała, lód nieustannie posuwał się w stronę McMurdo Sound.

Savi roześmiała się w głos ze swoich myśli. To był absurd. Mimo że nie miała dostępu do funkcji matematycznych, wiedziała, że namiot musiał dotrzeć do granicy lodowca szelfowego przed wieloma stuleciami. Bez względu na to, jak głęboko był pochowany pod kumulującym się lodem i śniegiem, dawno już zniosło go na Ocean Południowy, gdzie przepadł bez śladu. Znowu się roześmiała.

Gdzieś w głębi lodowych tuneli, jakby w odpowiedzi, rozległ się śmiech mężczyzny.

Pinchas i Petra mieli na głowie inne problemy niż zastanawianie się nad miejscem pobytu Savi. Dwa tygodnie przed ostatnim faksowaniem zmieniły się w ciąg pożegnalnych przyjęć, których należało uniknąć, przyjaciół, z którymi trzeba było się pożegnać, miejsc, które powinno się odwiedzić przed końcem, oraz uczuć wymagających uporządkowania. Nadal czekali na powrót Savi i nie zrezygnowali z amatorskich wysiłków detektywistycznych mających ustalić znaczenie jej tajemniczych notatek, ale na obu tych frontach nic się nie wydarzyło.

– Ciekawość najwyraźniej nie jest cechą Elojów – stwierdziła Petra, tylko po części ironicznie. Być może słowa o „jebanych Elojach” zraniły Petrę i Pinchasa, zniechęcając ich do poszukiwań dawnej kochanki.

Graf połączył się z nimi następnego dnia po kolacji w Mantui. W swojej bibliotece złożonej z fizycznych książek nie znalazł nic na temat „Ms. Voynicha”. Wyznał, że w związku z tym zwrócił się do dalekosieciowych archiwów. Tam również nie odniósł sukcesu. Pod jego drzwiami nie pojawili się jednak uzbrojeni postludzie, by zapytać, dlaczego interesuje się tą sprawą. Jediną reakcją, z jaką się spotkał, były szczerze przeprosiny konstruktu bibliotekarskiego, który nie zdołał znaleźć żadnego odniesienia.

Siedem dni przed ostatnim faksowaniem Pinchas zabrał Petrę na pożegnalny lot sonikiem, nad Rezerwatem Północnoamerykańskim. Urządzili sobie piknik w Adirondack, zrobili zdjęcia dinozaurów żyjących na bagnach Środkowego Zachodu, wylądowali, by popływać w wolnej od drapieżników części Centralnego Morza Śródlądowego, a potem zjedli kolację nieopodal Three Heads.

Dni były bardzo długie, znaleźli też więc czas, by wdrapać się na Harney Peak od samej podstawy. Oboje byli w świetnej formie fizycznej, ale zdyszali się, nim weszli na skalisty szczyt. Widoki były wspaniałe. Słońce zbliżało się już do horyzontu daleko na zachodzie. Kilka kilometrów na północny wschód było widać trzy ocalałe głowy Mount Rushmore. Dalej na wschód ciągnęły się płonące białym ogniem Badlands, między ich wyniosłościami zalegały głębokie, czarne cienie. Jeszcze dalej tafla morza śródlądowego lśniła ciemnozielonym blaskiem.

Pinchas wyjął z plecaka butelki z wodą i kilka pomarańczy. Wiedzieli, że półmrok o tej porze roku trwa tu długo, nie przejmowali się więc tym, jak zejść na dół. Zjedli pomarańcze, podziwiając światło dnia przechodzące w jednolitą złotą lunę.

– Wiesz, dlaczego chciałem tu przyjść? – zapytał Pinchas.

– Środek wszechświata. Tak powiedział Czarny Łoś. Savi cię tu kiedyś przyprowadziła. Mnie też.

Pinchas spojrział na pierścienie, poruszające się majestatycznie na południowy wschód od nich po ciemniejącym niebie Dakoty Południowej.

– Tak – potwierdził. – Oczywiście Czarny Łoś dodał też, że każde miejsce, w którym znajdziemy prawdziwą wizję, może być środkiem wszechświata.

Petra oblizwała lepkie palce i schowała skórki pomarańczy do zewnętrznej kieszeni ich plecaka. Gdy spojrzała na Pinchasa, jej ciemne oczy miały głęboki wyraz.

– A czy ty ją znalazłeś?

– Tak – potwierdził i pocałował ją.

Trzy dni przed ostatnim faksowaniem kilkuset dawnych ludzi spotkało się na Wielkiej Rafie Koralowej na pożegnalnym grillu. Po posiłku oddalili się na wydmy, przylądki i prywatne półwyspy, by pić piwo i obserwować wschód księżyca. Pinchas i Petra znaleźli się w grupie około dziesięciu starych znajomych.

– Żałujecie czegoś? – zapytał z zamyśleniem w głosie mężczyzna imieniem Abe.

– Osobiście czy jako przedstawiciele gatunku, który ma wyginąć? – odparła drwiąco ciemnowłosa piękność imieniem Barbara.

– Zacznijmy od gatunku – zaproponował Abe z powagą w głosie.

Zapadła cisza, maćona tylko szumem wiatru i łoskotem grzywaczy. Po chwili usłyszeli śmiechy dobiegające od odległej o kilkaset metrów grupy ludzi, którzy kąpali się nago w przyboju. Osłaniały ich służki, które unosiły się nad wodą, wypatrując rekinów.

– Żałuję, że nigdy nie poleciliśmy w kosmos – odezwał się wreszcie smagły mężczyzna imieniem Kile. – No wiecie, że nie znaleźliśmy obcego życia ani nic w tym rodzaju.

– Może postłudzie to zrobili, tylko nam nie powiedzieli – zasugerował Pinchas.

Kile pokręcił głową.

– Nie sędzę. Nie są tym zainteresowani. Długi czas przeszukiwałem archiwa, ale... niczego nie znalazłem. A teraz już nigdy się tego nie dowiemy.

Kobieta imieniem Sarah uniosła szklankę z piwem.

– A może wojniksy to prawdziwi obcy? – zapytała, starając się skierować rozmowę na lżejsze tory. – Kosmici?

– Nie, nie, nie – sprzeciwił się niski, brodaty mężczyzna imieniem Caleb. – To temporalne sprzeczności i chronosyntetyczne artefakty.

Wszyscy się roześmiali i napięcie nieco zelżało.

– Jeśli postłudzie mówią prawdę i rzeczywiście przywrócą nas do życia za dziesięć tysięcy lat, co waszym zdaniem się zmieni? – podjęła Sarah.

– Prawie wszystko, do cholery – warknął sławny sportowiec imieniem William. – Ich celem jest wyeliminowanie wszystkich eksperymentów z roku demencji i odtworzenie oryginalnych roślin oraz zwierząt. Mam wrażenie, że zamierzają nawet przywrócić klimat do punktu, w którym się znajdował... no cóż, kiedyś tam. Zanim to wszystko się zaczęło.

– Stracimy sagowcowe lasy, prymitywne iglaki jak *Araucarius*, jeziora alkaliczne, zastrzaliny, paprocie drzewiaste, żółwie... – zaczął Caleb.

– Nie – przerwał mu Abe. – Żółwie istniały już przed rubikonem.

– ...nie wspominając już o tenontozaurach, mikrowenatorach, kamptozaurach, tyranozaurach, haplokantozaurach – ciągnął Caleb.

– Kit z nimi – skwitował rumiany mężczyzna imieniem Pol. – Nigdy nie lubiłem cholernych dinozaurów. Dwa razy omal mnie nie zjadły. Wypijmy za ich szybką zagładę.

Uniósł piwo i pozostali podążyli za jego przykładem.

– Macie jeszcze jakieś żale? – zapytał Abe.

– Osobiste czy dotyczące gatunku?

– Tym razem osobiste.

Zapadła cisza. Wreszcie Petra wstała.

– Jeśli mamy zamiar mówić o takich sprawach, będziemy potrzebowali znacznie więcej piwa. Zaraz wracam.

Jeden dzień przed ostatnim faksowaniem Pinchas i Petra przefaksowali się na izraelskie wybrzeże. Pinchas zamówił wielki pojazd z napędem na cztery koła. Odebrali go w stacji zaopatrzeniowej w ruinach starego nadbrzeżnego miasta

Cezarea. Przejechali przez lukę w zawalonym murze przybrzeżnym, po czym ruszyli dalej, do basenu Morza Śródziemnego.

– Zastanawiam się, czy postłudzie pozbędą się Tamy i całej tej odzyskanej ziemi – odezwała się w pewnej chwili Petra.

– Sądzę, że tak – odparł Pinchas.

Podczas jazdy rzadko się odzywali. Na trudniejszym terenie stoków basenu posuwali się naprzód zygzakami, omijając głazy, szczeliny i wraki statków często sterczące ze skalistej gleby. Niżej pojawiły się polne drogi, biegnące po niezliczonych polach uprawianych przez służki, i dzikie sagowcowe lasy. Wygląd całego basenu silnie kojarzył się z czasami demencji. Oboje czuli przebiegające im po skórze ciarki. Atlantyda nie była lepsza. Jadąc przez ulice – puste oprócz nieuniknionych wojniksów – Petra zasugerowała, że porzucone miasto postłudzi przypomina trójwymiarową wersję obwodu drukowanego.

– Co to jest obwód drukowany? – zapytał Pinchas.

– Coś, co Savi pokazała mi przed laty – odpowiedziała Petra i porzuciła temat.

W pobliżu centralnego węzła miasta znaleźli kilka jajowatych wahadłowców. Pinchas przyjrzał się najbliższemu z nich i zadał sobie pytanie, co by się stało, gdyby oboje z Petrą zdołali jakoś dostać się do środka i rozkazali pojazdowi, by wrócił z nimi do pierścienia E. Był pewien, że nic. Wszyscy już się nauczyli, że technologie dawnych ludzi i postłudzi nie mieszają się ze sobą zbyt dobrze.

Główny węzeł miał postać tysiąca krótkich nieregularnych płyt. Niektóre z nich wieńczyła fioletowa energia albo przechodziły z jednej fazy do drugiej i z miejsca na miejsce jak ogromne elektrony, którymi w rzeczywistości były. Widok był imponujący, lecz Pinchasowi ani Petrze nie wydawał się piękny. Był obcy.

Mojra spotkała ich na nieregularnych stopniach przed wejściem do struktury.

– To miło, że się zjawiliście, moi drodzy – rzekła. Kilku innych postłudzi poruszało się w cieniach węzła albo chodziło po przewodach z brązu znajdujących się dalej.

– Zawiadomiłaś nas, że wiesz coś o miejscu, gdzie znajduje się Savi – oznajmiła Petra.

Mojra skinęła głową.

– Czy chcielibyście najpierw czegoś się napić? Zjeść obiad?

Petra pokręciła głową i czekała na dalsze słowa.

– Waszą przyjaciółkę znaleziono w wydrążonej górze lodowej na południe od Falklandów – podjęła Mojra. – Zabrała tam ze sobą sprzęt potrzebny do podtrzymania życia, ale góra się rozpadała, cieliała, wokół niej. Miała szczęście, że ją znaleźliśmy.

Pinchas zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem. Dlaczego po prostu się stamtąd nie wyfaksowała? Czy wszystko z nią w porządku?

Mojra skinęła głową i otarła pot z czoła. Jej siwe włosy miały tylko jakieś dwa centymetry długości, ale i tak lśniły srebrzystym blaskiem w intensywnym świetle śródziemnomorskiego słońca.

– Fizycznie nic jej się nie stało – zapewniła. – Ale najwyraźniej przeżyła coś, co kiedyś zwano załamaniem nerwowym. Neurologiczny kolaps fali stojącej osobowości.

– Co ty gadasz? – warknęła Petra. – Takie rzeczy nam się nie zdarzają.

– Pewnie, że się zdarzają, moja droga – sprzeciwiła się Mojra. – Wszystkim dawnym ludziom zagrażają neurologiczne i psychologiczne problemy. To skutki przedłużonego życia. Stres, napięcie i zmartwienia prowadzą do takich skutków częściej niż ci się zdaje. Moi drodzy, nie zaprojektowano was do tak długiego życia.

– Gdzie ona jest? – zapytał Pinchas. – Gdzie jest teraz Savi?

Mojra uniosła palec.

– W macierzy faksu, oczywiście. Poddaje się ją transkrypcyjnej naprawie. Zapewniam, że po powrocie będzie zdrowa i szczęśliwa.

Petra zaczerpnęła tchu.

– Czy przechowujecie... oryginały?

– Oryginały czego, moja droga?

– Ciał – wyjaśniła Petra. – Oryginały dawnych ludzi. Savi. Pinchasa. Mnie.

Mojra roześmiała się swobodnie.

– Nie, nie, moja droga. Jedyne oryginały, jakie przechowujemy, to oryginalne stany kwantowe. Z pewnością to rozumiecie. A nawet one nie są „oryginalne”. Zaktualizowane wspomnienia i fale stojące osobowości zmieniają się z każdą mikrosekundą, nie wspominając już o kolejnych faksowaniach. Nie, moja droga, nie ma żadnych ukrytych oryginałów.

– Kiedy Savi wróci? – zapytał Pinchas. – Czy możemy się dzisiaj z nią zobaczyć?

– Obawiam się, że nie – odparła Mojra. – Naprawa transkrypcyjna będzie ukończona dopiero po dwóch albo trzech dniach.

– Myślałam, że zmiany stanu kwantowego są natychmiastowe – sprzeciwiła się Petra z podejrzliwością w głosie.

– W zasadzie są, moja droga. Ale organiczna rekonstrukcja wymaga czasu. Wasza przyjaciółka dołączy do was za kilka dni.

– Za kilka dni nas już nie będzie.

Choć nie było to zamiarem Petry, w jej głosie zabrzmiała płaczliwa nuta.

Mojra pokręciła głową.

– Nieprawda, moja droga. Nadal będziecie istnieć, ale w modulowanym stanie kwantowym. Będziecie absolutnie bezpieczni w pętli Möbiusa strumienia neutrinowego. A Savi będzie tam z wami. Z pewnością rozumiesz, że nie będziecie czuli upływu czasu. Dla wszystkich was będzie to trwało krócej niż mgnienie oka, nawet jeśli u nas minie dziesięć tysięcy nudnych lat.

– Ty tak mówisz – odparł Pinchas.

– Tak – potwierdziła Mojra i uśmiechnęła się do nich.

Pinchas i Petra wrócili do wehikułu i pojechali z powrotem na izraelskie wyżyny.

Rankiem dnia ostatniego faksowania Petra i Pinchas nurkowali w Morzu Czerwonym, tuż obok wielkiego muru. U pasów mieli odstraszacze wielkości dłoni, na wypadek gdyby zainteresowały się nimi ryby młoty albo inne rekiny pływające w ogrzanych słońcem wodach, ale przyciągnęli jedynie uwagę koralowców oraz innych miękkich stworzeń kołyszących się lekko na zmiennych prądach morskich.

Później kochali się na miękkim piasku, jeden raz, a potem drugi. Gdy było już po wszystkim, położyli się obok siebie. Jak mieli w zwyczaju, Pinchas wsparł głowę na lewej piersi Petry, a jej palce lekko ugniatały jego miękkiego teraz penisa i mosznę. Rozmawiali ze sobą szeptem.

– Czy wierzysz post... no wiesz, w kwestii Savi? – zapytała Petra. Jej palce znały go doskonale.

Zamknął oczy. Czuł odległą, przypominającą jodynę woń wodorostów oraz znacznie bliższy zapach skóry i słodkiego potu Petry.

– Sam nie wiem – odparł. – Właściwie mnie to nie obchodzi.

– No cóż, jutro się dowiemy – odparła Petra.

Pinchas pocałował jej sutek.

– Tak. Jutro.

– Jeśli będzie jakieś jutro – wyszeptała.

– Tak – potwierdził mężczyzna i przytulił policzek do jej piersi. Jego penis poruszył się i zeszywniał w jej dłoni.

– Dobrze niebo – odrzekła Petra.

Uścisnęła go mocniej i pocałowała, gdy jego twarz zbliżyła się do jej twarzy.

– Tak – wydyszał jej do ucha.

Ostatnie faksowanie zaplanowano tuż po zachodzie słońca na Bliskim Wschodzie. Oczywiście wszystkich dawnych ludzi na Ziemi miano przefaksować w tej samej chwili. Wielu z nich miało zamiar urządzić pożegnalne przyjęcia, ale większość postanowiła spotkać to wydarzenie w samotności albo – jak Petra i Pinchas – we dwoje z ukochaną osobą.

Oboje przefaksowali się do Jerozolimy na kolację. Pinchas był tu już kiedyś, ale Petra nie. Miasto było całkowicie opustoszałe, pomijając służki, które przygotowały im pyszną kolację w King David Hotel, na zachód od murów Starego Miasta. Oprócz służków były tu także wojniksy. Cała masa wojniksów.

Jarzyne były świeże i dobrze przygotowane, a baranina doskonała, lecz żadne z nich nie poświęcało zbytnej uwagi jedzeniu. Od czasu do czasu chwyтали się za ręce.

Po kolacji, gdy czerwone słońce wisiało nisko na zachodnim niebie, nad drogą do Gazy, weszli przez Bramę Jafy do Starego Miasta. Unikając ulicy Dawida i innych głównych tras, Pinchas i Petra ruszyli razem przez labirynt Byłej Dzielnicy Chrześcijańskiej i Byłej Dzielnicy Muzułmańskiej. Targowiska ich obu kryły się w głębokim cieniu, ale w pobliżu Bazyliki Grobu Świętego Petra i Pinchas wyszli z cieni i przeszli przez starożytny most skapani w różowym blasku.

– Przeszli w chwale po pajęczynowym moście – rzekła bardzo cicho Petra.

– Co to znaczy?

– To jakieś proroctwo. Savi opowiedziała mi o nim przed wieloma dziesięcioleciami – wyjaśniła kobieta. – Jakiś mit o przybyciu do Jerozolimy w dzień końca świata. Nie pamiętam, czy był chrześcijański, muzułmański czy żydowski. To nie ma znaczenia.

Ujęła jego dłoń i razem ruszyli w stronę Haram asz-Szarif.

– Lepiej się pośpieszmy – odezwał się Pinchas, spoglądając nerwowo na pierścienie nakładające się na siebie na bezchmurnym niebie. Miasta orbitalne stawały się coraz jaśniejsze w blasku promieni zachodzącego słońca.

W poza tym opustoszałym mieście było zdumiewająco wiele wojniksów. Zmierzając do Muru Zachodniego, Pinchas i Petra musieli omijać nieruchome, zardzewiałe skorupy. Do ostatniego faksowania zostało pięć minut.

Wybiegli truchtem na otwartą przestrzeń na placu przed Ha-Kotel ha-Ma'arawi i zamarli w bezruchu, nadal trzymając się za ręce.

Na placu zapaliły się światła, mimo że zmierzch jeszcze nie zapadł. Na dole, wypełniając przestrzeń dzielącą ich od Muru Zachodniego stały setki, może

nawet tysiące wojniksów. Wszystkie zwracały się w stronę Kotel. W stronę samego Muru.

– Chodź – powiedział Pinchas.

Jego pierś i gardło wypełniła dziwna, intensywna niecierpliwość. Ujął Petrę za rękę i poprowadził ją w dół po schodach, ku milczącemu, nieludzkiemu tłumowi.

Drogę zablokował im unoszący się w powietrzu służek. Jego ręce, wyglądające jak u postaci z komiksu, szarpały uparcie za rękaw Pinchasa. Mężczyzna go zrozumiał. Przyjął z rąk służka papierową jarmułkę i włożył ją na głowę. Służek ich przepuścił.

Pinchas znowu się zatrzymał.

– Popatrz – rzekł, unosząc dłoń. Jego głos drżał. Do ostatniego faksowania została minuta.

– Wiem – odparła Petra. – Jest ich bardzo dużo. Nigdy nie widziałam tylu naraz...

– Nie – przerwał jej Pinchas i wyciągnął rękę.

Wzgórze Świątynne nie było już puste. Kiedy poprzednio odwiedził Jerozolimę, były tam tylko gruzy Kopuły na Skale oraz meczetu al-Aksa. Teraz na szczycie wznoszono masywną budowlę z białego jerozolimskiego kamienia. Na jej coraz wyższych ścianach roilo się od wojniksów.

– Niech to szlag – wyszeptał Pinchas. – Odbudowują świątynię.

– Kto? – zdziwiła się całkowicie zdezorientowana Petra.

Nim Pinchas zdążył jej odpowiedzieć, wszystkie widoczne wojniksy – tysiące zebranych na placu, setki skupionych u podstawy muru i jeszcze więcej tych, które zajęły pozycje na odbudowywanej świątyni – zwróciły się ku dwojgu dawnych ludzi.

Dźwięk, który wtedy zabrzmiał, nie był prawdziwym hałasem. Z pewnością nie był mową ani żadnym rodzajem głosu, z jakim kiedykolwiek spotkali się Pinchas albo Petra, lecz raczej modulowanym pomrukiem, wypełniającym ich ciała i niosącym się echem w ich czaszkach za pośrednictwem jakiegoś koszmarnego przewodnictwa kostnego. Był tak donośny, że mógłby być głosem Boga, z pewnością jednak nie pochodził od Niego.

Trzydzieści sekund przed ostatnim faksowaniem hałas obalił Petrę i Pinchasa na kolana. Zakryli dłońmi uszy w bezużytecznej próbie powstrzymania przerażających słów. Krzyczeli z bólu na kolanach w obecności tysięcy ślepych, lecz gapiących się na nich wojniksów. Przenoszący się przez kości pomruk stawał się coraz głośniejszy w ich wnętrzu i wokół nich.

– Itbah al-Jahud!

Savi, nadal uwięziona w swej górze lodowej, odczytywała czas ze świetlistej tarczy zegarka. Kilka minut przed chwilą ostatniego faksowania doszła do wniosku, że pora działać.

Za pomocą wielkiego palnika utorowała sobie drogę z biegnącego wzdłuż szczeliny tunelu do pochowanego w lodzie namiotu. Posuwała się jednak naprzód bardzo ostrożnie.

Oczywiście to był namiot. Zapadł się, ale boczny nacisk lodu niemalże przywrócił mu oryginalny kształt piramidy. Gdy Savi całkowicie stopiła lód wokół niego, odniosła wrażenie, że namiot się powiększa. Wbiła hak lodowy w dach nowej jaskini i zapięła karabinek na szczycie starodawnego namiotu, by unieść tkaninę za pomocą haka, przywracając namiotowi kształt, jaki kiedyś nadawała mu bambusowa tyczka.

Tylko jedna pałeczka halogenowa jeszcze działała, ale Savi zabrała ją ze sobą, razem z termoizolatorem i dziennikiem, wchodząc w czarny wylot namiotu. Zapomniany pistolet leżał w jednej z porzuconych jaskiń. Do ostatniego faksowania zostały dwie minuty.

Bowers, Wilson i Scott wyglądali dokładnie tak, jak opisał ich Cherry-Garrard. Wiedziała, że to niemożliwe – upłynęło zbyt wiele lat – ale nie miała czasu na przejmowanie się takimi sprawami. Zrobiła sobie miejsce między ciałami Bowersa i Wilsona, wcisnęła się w nie i otworzyła dziennik na ostatniej stronie. Podświadomie oczekiwała, że w takiej ciasnocie będzie cieplej, ale zamrożone trupy tylko kradły jej ciepło. Niewielka przestrzeń, ogrzana na krótką chwilę przez palnik, stygła szybko. Cuchnęło tu jak w chłodni służącej do przechowywania mięsa. Savi była kiedyś w takiej, bardzo dawno temu. Nadal pozostała historyczką w wystarczającym stopniu, by zauważyć, że – zgodnie z tym, co napisał Cherry-Garrard – w twardych jak skała ciałach nie widziało się żadnych oznak sugerujących, że polarnicy wzięli przed śmiercią morfinę z medycznych zapasów Wilsona. Wokół ich zapadniętych oczu nie było ciemnych kręgów.

Dłoń Savi drżała z zimna, lecz mimo to kobieta zdołała unieruchomić rysik na wystarczająco długą chwilę, by napisać: „Zawsze byliśmy Zagubionymi Chłopcami. To nie byli postłudzie. To zawsze była kwestia...”.

Przestała pisać i roześmiała się w głos. Schowała rysik do kieszeni termokombinezonu i wsunęła zimne jak lód dłonie pod pachy. Nie przestawała się śmiać. Kogo próbowała oszukać? Znała tylko jednego dawnego człowieka, który potrafiłby odczytać jej ostatnią notatkę bez przywoływania funkcji. Był nim uczony imieniem Graf, a on zniknie za... trzydzieści sześć sekund.

Ostatnia pałeczka halogenowa już dogasała, ale nadal rzucała krąg słabego, niezdrowego światła i Savi mogła widzieć.

Wilson, Scott i Bowers otworzyli oczy.

Savi zrobiła jedyne, co dawny człowiek mógł zrobić w podobnej sytuacji.

– Jebać to – powiedziała na głos. – Jebać to wszystko.

Znowu się roześmiała.

Na K2 z Kanakaredesem

Przełęcz Południowa Mount Everestu, 8000 metrów

Gdybyśmy nie postanowili aklimatyzować się przed wejściem na K2, obozując potajemnie obok znaku wysokości 8000 metrów na Mount Evereście, głupiej górze, do której żaden szanujący się alpinista nawet już się nie zbliża, nie przyłapałoby nas i nie musielibyśmy zabierać na prawdziwą wspinaczkę kosmity, a wtedy nie mogłoby dojść do tego, co wydarzyło się później. Ale zrobiliśmy to, przyłapali nas i doszło.

Cóż w tym nowego? Wszystko to jest stare jak teoria chaosu. Nawet najlepsze plany, i tak dalej. Jakby wspinaczom trzeba było o tym mówić.

Zamiast ruszyć prosto do bazy Concordia u podstawy K2, nasza trójka wsiadła do małego antygrawu o obniżonej wykrywalności i poleciała na północny wschód, prosto do *bergeschrund* lodowca Khumbu na wysokości 7000 tysięcy metrów. To znaczy prawie prosto, bo musieliśmy od czasu do czasu wykonywać zygzaki, żeby pozostać w zasięgu radaru Syndykatu Hongkońskiego i uniknąć wykrycia przez śmierdzącą stertę japońskiego gówna z prefabrykatów znaną jako hotel Everest Base Camp (4500 amerykańskich dolarów za noc, nie licząc opłaty za wstęp do Himalajów i za wynajęcie antygrawu).

Wylądowaliśmy niepostrzeżenie (a przynajmniej tak nam się zdawało), upewniliśmy się, że wehikuł jest odpowiednio zabezpieczony przed lodospadami, serakami oraz trasami lawin, zostawiliśmy go w trybie maskującym i rozpoczęliśmy treningową wspinaczkę w stylu alpejskim, by dotrzeć na Przełęcz Południową. Pogoda była piękna. Warunki doskonałe. Wspinaczka szła nam świetnie. To była najgłupsza rzecz, jaką nasza trójka w życiu zrobiła.

Późnym popołudniem trzeciego dnia dotarliśmy na Przełęcz Południową, wąską, nieprzyjazną, wietrzną szczelinę pełną lodu i głazów, wciśniętą między stoki Lhotse i Mount Everestu. Aktywowaliśmy małe inteligentne namioty, połączyliśmy je ze sobą, zakotwiczyliśmy głęboko w pokrytej lodem skale i zapisaliśmy ich kolor jako biały, żeby ukryć je przed niepożądanymi spojrzeciami.

Nawet podczas pięknego, późnoletniego himalajskiego wieczoru, jakim cieszyliśmy się tamtego dnia, pogoda na Przełęczy Południowej była paskudna. Prędkość wiatru jest tam statystycznie większa niż w okolicach szczytu Mount Everestu. Każdy alpinista, który zna wysokie góry, wie, że jeśli widzi stosunkowo płaski obszar wolny od śniegu, oznacza to wiatry o sile huraganu. Pojawiły się one zgodnie z planem o zachodzie słońca trzeciego dnia. Nasz plan przewidywał, że spędzimy dwie noce na Przełęczy Południowej, a potem zejdziemy na dół, polecimy do Concordii i rozpoczniemy legalną wspinaczkę na K2. Nie mieliśmy zamiaru wspiąć się na Mount Everest wyżej niż Przełęcz Południowa. Po co mielibyśmy to robić?

Przynajmniej widoki nie są tu już tak paskudne, odkąd Syndykat oczyścił Mount Everest i Przełęcz Południową, usuwając odpadki gromadzące się przez ponad stulecie – stare liny, strzępy niezliczonych namiotów, tony zamrożonych ludzkich odchodów chyba z milion porzuconych butli tlenowych oraz kilkaset trupów. W dwudziestym wieku Mount Everest stał się odpowiednikiem dawnego szlaku oregońskiego. Porzucano tam wszystko, co tylko można było porzucić. W tym również martwych towarzyszy alpinistów.

Tamtego wieczoru widok był całkiem niezły. Na wschodzie przełęcz opada o jakieś 1200 metrów, przechodząc na obszary należące kiedyś do Tybetu, a potem o dalsze 2100 metrów, do Kotła Zachodniego. Wieczorem na wysokie części Lhotse i na całą widoczną zachodnią część Mount Everestu padły złote promienie słońca. Minęło wiele minut, nim przełęcz skryła się w cieniu. Wtedy temperatura w naszym obozie spadła o jakieś czterdzieści pięć stopni. Jak mawiają wędrowcy, na niebie nie było ani jednej chmurki. Ośmiotysięczniki lśniły w swej chwale, pola śnieżne gorzały pomarańczowym blaskiem w świetle słońca. Gary i Paul leżeli w otwartym wejściu do namiotu, nadal mając na sobie termoizolujące kombinezony, i obserwowali pojawiające się na niebie gwiazdy, drżąc na potężnym wichrze. Tymczasem ja krzątałem się wokół piecyka, gotując zupę. Życie było piękne.

– Hej wy, w namiocie! – rozległ się nagle niewiarygodnie wzmocniony głos.

Omam się nie zlałem w kombinezon. Całą zupę wylałem na śpiwór Paula.

– Kurwa – warknąłem.

– Niech to szlag – dodał Gary, przyglądając się, jak czarny antygraw ze świecącymi znakami ONZ i włączonymi potężnymi reflektorami opada łagodnie na niewielkie głązy niespełna sześć metrów od namiotu.

– Dorwali nas – stwierdził Paul.

Pokój Hillary'ego, Szczyt Świata, 8849 metrów

Dwa lata więzienia w pływającym więzieniu Syndykatu Hongkońskiego nie byłyby tak upokarzające jak nakaz wejścia do obracającej się restauracji na szczycie Mount Everestu. Wszyscy trzej protestowaliśmy. Gary najgłośniej, ponieważ był najstarszy i najbogatszy, ale czterech oenzetowskich ochroniarzy siedzących w antygrawie po prostu ścisnęło służbowe uzi, nie odzywając się ani słowem do chwili, gdy wehikuł zaparkował w restauracyjnym śluzogarażu i ciśnienie się wyrównało. Wyszliśmy z niego z niechęcią i z jeszcze większymi oporami podążyliśmy za innymi ochroniarzami do zamkniętej, pogrążonej w mroku restauracji. Nasz zmysł słuchu był całkowicie wytracony z równowagi. Spokojnie obozowaliśmy sobie na wysokości 8000 metrów, a po niedługiej chwili znaleźliśmy się w miejscu, gdzie panowało standardowe dla linii lotniczych ciśnienie odpowiadające wysokości 1500 metrów nad poziomem morza. To było bolesne, mimo że załoga antygrawu zadbała o wyrównanie ciśnień, okrążając Mount Everest przez dziesięć minut.

Gdy zaprowadzono nas do Pokoju Hillary'ego i usiedliśmy przy jedynym oświetlonym stoliku w całej restauracji, odczuwaliśmy ból, ale również byliśmy wściekli.

– Siadajcie – rozkazała sekretarz stanu, Betty Willard Bright Moon.

Usiedliśmy. Wysokiej kobiety o ostrych rysach, pochodzącej z plemienia Czarnych Stóp, nie sposób było pomylić z nikim innym. Wszyscy komentatorzy zgadzali się, że jest najtwardszą i najbardziej interesującą osobowością w całej administracji prezydenta Cohena. Czterech amerykańskich marines w mundurach polowych, którzy stali za nią w cieniu, tylko wzmacniało i tak już imponującą aurę autorytetu, która ją otaczała. Wszyscy trzej usiedliśmy, Gary najbliżej ciemnej ściany okiennej – naprzeciwko sekretarz Bright Moon, Paul obok niego, a ja najdalej od centrum. Z reguły wspinaliśmy się w takiej kolejności.

Na blacie drogiego stołu z drewna tekowego przed sekretarz Bright Moon leżały trzy niebieskie aktówki. Nie mogłem przeczytać nalepek na nich, ale raczej nie wątpiłem, co zawierają: dossier #1: Gary Sheridan, lat 49, pracujący tylko na część etatu, były prezes SherPath International, wiele adresów na całym świecie, pierwsze miliony zarobił w wieku siedemnastu lat podczas dawno minionej i rzadko opłakiwanej giełdowej bańki internetowej, rozwiedziony (cztery razy), ma wiele zainteresowań, ale pierwsze miejsce wśród nich zajmuje alpinizm; dossier #2: Paul Ando Hiraga, lat 28, pasjonat narciarstwa, zawodowy przewodnik, jeden z najlepszych wspinaczy skalnych i lodowych na świecie, kawaler; dossier #3: Jake Richard Pettigrew, zamieszkały w Boulder w stanie Colorado, żonaty, troje dzieci, nauczyciel matematyki w liceum, niezły, ale nienadzwyczajny alpinista, mający na koncie tylko dwa ośmiotysięczniki, oba

dzięki pomocy Gary'ego i Paula, którzy zapraszają go na swe wyprawy już od sześciu lat z rzędu. Pan Pettigrew nadal nie potrafi uwierzyć w szczęście, które go spotkało, gdy się okazało, że ma przyjaciela gotowego zasponsorować jego udział w ekspedycjach wysokogórskich, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że zarówno Gary, jak i Paul są znacznie lepszymi i bardziej doświadczonymi wspinaczami od niego. Być może jednak w aktach wspomniano również o tym, że w ciągu kilku ostatnich lat Jake, Paul i Gary stali się bliskimi przyjaciółmi, którzy ufają sobie nawzajem do tego stopnia, że wspólnie zakradli się nielegalnie do Rezerwatu Himalajskiego, by aklimatyzować się przed wspinaczką życia.

A może niebieskie teczki zawierały jakieś biurokratyczne papiery Departamentu Stanu, niemające nic wspólnego z nami.

– Dlaczego zawlekliście nas tutaj? – zapytał Gary, ze wszystkich sił starając się panować nad głosem. – Jeśli Syndykat Hongkoński chce nas wsadzić do pierdła, to proszę bardzo, ale ani wy, ani ONZ nie macie prawa wozić nas nigdzie, gdzie nie chcemy się znaleźć. Nadal jesteśmy obywatelami amerykańskimi...

– Obywatelami amerykańskimi, którzy złamali zasady Syndykatu Hongkońskiego dotyczące rezerwatu oraz prawa Organizacji Narodów Zjednoczonych o ochronie miejsc o historycznym znaczeniu – warknęła sekretarz Bright Moon.

– Mamy ważne pozwolenie... – zaczął Gary. Jego czoło poniżej granicy krótko ostrzyżonych białych włosów zrobiło się bardzo czerwone.

– Na wspinaczkę na K2, zaczynając się za trzy dni – przerwała mu sekretarz stanu. – Wasza ekipa wygrała loterię Syndykatu. Wiemy o tym. Ale to pozwolenie nie upoważnia was do wkraczania na teren Rezerwatu Himalajskiego, przelotów nad nim ani do wtargnięcia na Mount Everest.

Paul zerknął na mnie. Pokręciłem głową. Nie miałem pojęcia, co jest grane. Nawet gdybyśmy ukradli cały Mount Everest, nie skłoniłoby to sekretarz Betty Willard Bright Moon do lotu na drugi koniec świata i siedzenia w ciemnej obracającej się restauracji tylko po to, by dać nam po nosie.

Gary wzruszył ramionami i rozsiadł się wygodniej.

– Czego pani od nas chce? – zapytał.

Sekretarz Bright Moon otworzyła najbliższą z niebieskich aktówek i podsunęła nam zdjęcie. Wszyscy pochyliliśmy się nad nim.

– Robal? – zapytał Gary.

– Wolą określenie „Słuchacz” – odparła sekretarz stanu. – Ale „modliszkopająk” również jest do przyjęcia.

– Czego mogą od nas chcieć?

– Ten robal pragnie przyłączyć się do waszej wspinaczki na K2 – wyjaśniła sekretarz Bright Moon. – A rząd Stanów Zjednoczonych, działając na spółkę z łącznikiem ze Słuchaczami i Radą Współpracy ONZ postanowił mu... albo jej... na to pozwolić.

Paulowi opadła szczeka. Gary splótł dłonie za głową i wybuchnął głośnym śmiechem. Ja tylko gapiłem się na nią. Jakimś cudem pierwszy odzyskałem zdolność mowy.

– To niemożliwe – oznajmiłem.

Sekretarz Betty Willard Bright Moon skierowała na mnie spojrzenie ciemnych, pozbawionych wyrazu oczu.

– Dlaczego?

W normalnej sytuacji połączenie osobowości i pozycji tej kobiety z jej spojrzeniem uciszyłyby mnie natychmiast, ale jej propozycja była po prostu absurdalna. Wyciągnąłem ręce przed siebie, ustawiając dłonie wewnętrznymi powierzchniami ku górze. Niektóre sprawy są zbyt oczywiste, by je wyjaśniać.

– Robale mają sześć nóg – zacząłem wreszcie. – Wyglądają, jakby ledwie mogły chodzić. Mamy się wspiać na drugą najwyższą górę na świecie. I najokrutniejszą z nich.

Sekretarz Bright Moon nawet nie mrugnęła.

– Roba... modliszkopajaki całkiem sprawnie poruszają się po swojej enklawie na Antarktydzie – zauważyła pozbawionym wyrazu głosem. – Czasami chodzą też na dwóch nogach.

Paul prychnął pogardliwie. Gary nadal trzymał dłonie za głową. Cofnął ramiona, przyjmując zrelaksowaną postawę, ale w jego oczach pojawił się twardy błysk.

– Zakładam, że jeśli robal wyruszy z nami na wspinaczkę, obciążycie nas odpowiedzialnością za jego bezpieczeństwo i dobrostan – oznajmił.

Sekretarz Bright Moon zwróciła głowę w jego stronę, ruchem gładkim jak u sowy.

– To słuszne założenie. Bezpieczeństwo Słuchaczy zawsze jest dla nas priorytetem.

Gary opuścił ręce i pokręcił głową.

– To niemożliwe. Powyżej ośmiu tysięcy metrów nikt nie może pomóc nikomu.

– Dlatego nazywają te wysokości strefą śmierci – dodał Paul gniewnym głosem.

Bright Moon zignorowała go, nadal wpatrując się w Gary'ego. Jej życie od wielu dziesięcioleci wypełniały władza, negocjacje i polityczne przepychanki. Świetnie wiedziała, kto jest naszym przywódcą.

– Możemy uczynić wspinaczkę bezpieczniejszą – zapewniła. – Telefony, możliwość natychmiastowego wezwania antygrawu, specjalne łącza...

Gary raz jeszcze pokręcił głową.

– To będzie wspinaczka bez telefonów i bez możliwości ewakuacji medycznej.

– To absurd... – zaczęła sekretarz stanu.

– Tak to się robi – przerwał jej Gary. – Tak postępują w naszych czasach prawdziwi alpiniści. Jest też coś, czego nigdy nie robimy. Nie odwiedzamy tej pierdolonej restauracji.

Wskazał pogrążony w mroku Pokój Hillary’ego na prawo od nas, obejmując tym gestem cały obracający się wokół osi Szczyt Świata. Jeden z marines zamrugął, usłyszawszy wulgaryzm.

Ale sekretarz Bright Moon tego nie zrobiła.

– W porządku, panie Sheridan. Telefony i ewakuacja za pomocą antygrawu są nienegocjowalne. Zakładam jednak, że o wszystkich pozostałych kwestiach możemy rozmawiać.

Gary milczał prawie minutę.

– Przypuszczam, że jeśli się nie zgodzimy, zamienicie nasze życie w piekło.

Sekretarz stanu uśmiechnęła się bledziutko.

– Podejrzewam, że możecie się przekonać, że już nigdy nie dostaniecie wiz na zagraniczne ekspedycje. Możecie też wkrótce mieć kłopoty z podatkami. Zwłaszcza pan, panie Sheridan, biorąc pod uwagę fakt, że księgi pańskiej korporacji są bardzo... skomplikowane.

Gary odwzajemnił jej uśmiech. Przez moment mogło się wydawać, że ta rozmowa sprawia mu przyjemność.

– A jeśli się zgodzimy... – zaczął powoli, niemalże cedząc słowa – ...co będziemy z tego mieli?

Bright Moon skinęła głową i jeden z jej ludzi, stojący po lewej, otworzył drugą aktówkę, po czym wyjął z niej kolorowe zdjęcie i przesunął je ku nam po blacie. Wszyscy trzej pochyliliśmy się nad nim. Paul zmarszczył brwi. Minęła dłuższa chwila, zanim się zorientowałem, co przedstawiono na fotografii. Jakiś czerwonawy wulkan tarczowy.

– Mars – rzekł cicho Gary. – Olympus Mons.

– Jest ponad dwa razy wyższy niż Mount Everest – stwierdziła sekretarz Bright Moon.

– Dwa razy? – powtórzył ze śmiechem Gary. – Cholera, kobieto, on jest ponad trzy razy wyższy. Około dwudziestu siedmiu kilometrów wysokości i pięciuset czterdziestu średnicy. Sama kaldera ma osiemdziesiąt pięć kilometrów

szerokości. Jezu, nawet klif otaczający cały wulkan jest wyższy od Everestu. Pionowa ściana z nawisem wysoka na dziesięć kilometrów.

Bright Moon wreszcie mrugnęła, usłyszawszy „cholera, kobieto”. Zadałem sobie pytanie, kiedy ostatnio ktoś odezwał się w ten sposób do sekretarza stanu. Po chwili jednak się uśmiechnęła.

– I co nam z tego? – zapytał Gary. – Program marsjański zdechł. Stchórzeliśmy, tak samo jak siedemdziesiąt pięć lat temu z programem Apollo. Niech mi pani nie wmawia, że możecie nas tam wysłać. Nie mamy już nawet potrzebnej technologii.

– Robale ją mają – odparła sekretarz Bright Moon. – Jeśli zgodzicie się, żeby syn mówcy modliszkopajaków wspiął się z wami na K2, Słuchacze gwarantują, że dostarczą was na Marsa przed upływem dwunastu miesięcy. Najwyraźniej sama podróż trwa tylko dwa tygodnie w jedną stronę. Zaopatrzą was też w niezbędny sprzęt. Kombinezony ciśnieniowe, oddycharki, i tak dalej.

Wszyscy trzej wymieniliśmy spojrzenia. Nie musieliśmy o tym dyskutować. Skierowaliśmy wzrok na zdjęcie. Po chwili Gary znowu spojrzał na Bright Moon.

– Co musimy zrobić poza pozwoleniem mu, by nam towarzyszył?

– Postarać się, żeby przeżył, o ile tylko to możliwe.

Gary pokręcił głową.

– Słyszała pani, co powiedział Paul. Powyżej ośmiu tysięcy metrów nie możemy zagwarantować przeżycia nawet samym sobie.

Skinęła głową.

– Ale gdybyśmy dodali proste urządzenie do jednego z waszych palmlogów, zwykły sygnał alarmowy, to pozwoliłoby nam szybko ewakuować modliszkopajaka, gdyby wystąpił problem związany z chorobą albo obrażeniami, bez narażania... prawowitości... waszej wspinaczki.

– Czerwony guzik alarmowy – stwierdził Gary.

Wszyscy trzej wymieniliśmy spojrzenia. Ten pomysł był odrażający, lecz na swój sposób rozsądny. Poza tym, gdyby robala z jakiegoś powodu od nas zabrano, moglibyśmy kontynuować wspinaczkę i nadal zachować szansę na Olympus Mons.

– Co jeszcze? – zapytał Gary.

Sekretarz Bright Moon splotła dłonie i spuściła na moment wzrok. Gdy go uniosła, w jej oczach pojawiła się szczerść.

– Wiedzą panowie, jak niewiele modliszkopajaki mówią nam... jak niewiele swej technologii nam udostępniły.

– Dali nam antygrawy – sprzeciwił się Gary.

– Tak jest – zgodziła się Bright Moon. – W zamian za enklawę na Antarktydzie. Ale słyszeliśmy jedynie wzmianki o innych cudach, którymi mogliby się z nami podzielić. Wędrujących arkach kosmicznych, lekarstwie na raka, darmowej energii. Ale Słuchacze tylko... no cóż, słuchają. Pierwszy raz o coś nas poprosili.

Wszyscy trzej czekaliśmy, aż usłyszymy coś więcej.

– Chcę, żebyście nagrywali wszystko, co powie ten syn mówcy podczas wspinaczki – podjęła sekretarz Bright Moon. – Zadawajcie mu pytania. Słuchajcie jego odpowiedzi. Zaprzyjaźnijcie się z nim, jeśli to możliwe. To wszystko.

Gary pokręcił głową.

– Nie chcemy żadnych drutów. Musimy nosić termoosłony – ciągnął, nim Bright Moon zdążyła się sprzeciwić. – Molekularne membrany cieplne. Nie chcemy umieszczać drutów na nich ani pod nimi.

Sekretarz Bright Moon wyglądała, jakby miała ochotę rozkazać marines zastrzelić Gary’ego, a zapewne również wyrzucić Paula i mnie przez okno. Tyle, że tego okna nie dawało się otworzyć. Cała cholerna restauracja była hermetycznie zamknięta.

– Ja to zrobię – zaoferowałem się.

Gary i Paul spojrzeli na mnie ze zdziwieniem. Przyznaję, że sam czułem się zaskoczony.

– Czemu by nie? Moi rodzice umarli na raka. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby odkryto lekarstwo. Możecie wszyć przewody w moją wierzchnią parkę. Albo mogę użyć funkcji nagrywania w palmlogu. Będę nagrywał robalą, kiedy tylko dam radę, a inne rozmowy streszczę w palmlogu. No wie pani, jakbym prowadził dziennik.

Sekretarz Betty Willard Bright Moon wyglądała, jakby do gardła podeszła jej żółć. Mimo to skinęła głową, najpierw do nas, a potem do towarzyszących jej marines. Żołnierze okrążyli stół, by odprowadzić nas do oenzetowskiego antygrawu.

– Chwileczkę – odezwał się Gary, zanim nas odprowadzono. – Jak ten robal się nazywa?

– Kanakaredes – odpowiedziała sekretarz stanu, nawet na nas nie spoglądając.

– Brzmi jak greckie imię – zauważył Paul.

– Bardzo w to wątpię – odparła sekretarz Bright Moon.

Obóz bazowy pod K2, 5000 metrów

Spodziewałem się, że zobaczę coś w rodzaju latającego spodka – mniejszą wersję wahadłowca, w którym robale wylądowały pod gmachem ONZ dziewięć lat temu. Wszyscy jednak przybyli wielkim, jaskrawoczerwonym antygrawem firmy Daimler Chrysler. Gary i Paul wyszli z namiotu, w którym przechowywaliśmy zapasy, sprawdzając je po raz kolejny.

Sekretarz Bright Moon rzecz jasna nie zjawiała się, by nas pożegnać. Nie rozmawialiśmy z nią od czasu spotkania w Szczycie Świata, trzy dni temu. Z wehikułu wysiadł łącznik ze Słuchaczami, William Grimes, z dwoma pomocnikami, a także dwa robale, jeden nieco większy od drugiego. Mniejszy modliszkopajak miał plecak z jakiegoś przezroczyściego, bąbelkowego materiału, ulokowany w przypominającym literę V zagłębieniu grzebienia grzbietowego, gdzie główna część ciała łączyła się z przedtułowiem.

Wszyscy trzej ruszyliśmy przez usiane głazami pole w stronę pięciu gości. Po raz pierwszy spotkałem żywych obcych – tylko nieliczni widzieli ich na własne oczy – i przyznaję, że czułem się nieco zaniepokojony. Za nimi, na górze, tumany śniegu i chmury wirowały wokół grani i szczytu K2. Jeśli nawet modliszkopajaki pachniały dziwnie, nie miałem szans tego poczuć, bo silny wicher dał zza naszych pleców.

– Panie Sheridan, panie Hiraga, panie Pettigrew, czy mogę wam przedstawić mówcę Słuchaczy Aduradake’a oraz jego... syna... Kanakaredesa? – odezwał się biurokrata, Grimes.

Wyższy z dwóch robali wyprostował tę swoją dziwną rękę czy może przednią nogę, uniósł krótkie przedramię na sposób modliszki i podał Gary’emu trójpalcą dłoń. Gary ją uściśnął. Paul ją uściśnął i ja ją uściśnąłem. Wydała mi się bezkostna.

Niższy robal przyglądał się temu. Para głównych oczu była czarna i nie sposób było z nich cokolwiek wyczytać, a mniejsze boczne oczy kryły się pod opadającymi powiekami i sprawiały wrażenie sennych. Stworzenie – Kanakaredes – nie podało nam rąk do uściśnięcia.

– Mój gatunek dziękuje wam za to, że zgodziliście się, by Kanakaredes towarzyszył wam podczas tej ekspedycji – rzekł mówca Aduradake.

Nie wiem, czy robale używają wszczepionych syntezatorów mowy – nie sądzę, żeby tak było – ale angielski w jego wykonaniu brzmiał jak seria starannie modulowanych trzasków i westchnień. Zrozumiały, ale dziwny, bardzo dziwny.

– Nie ma za co – odparł Gary.

Biurokraci z ONZ sprawiali wrażenie, że chcieliby dodać coś jeszcze, być może wygłosić jakieś mowy, ale mówca Aduradake obrócił się na tylnych nogach i ruszył z powrotem ku opuszczonej rampie antygrawu. Ludzie popędzili

za nim. Nim minęło pół minuty, wehikuł stał się tylko czerwoną kropką na błękitnym niebie na południu.

Wszyscy czterej milczeliśmy przez krótką chwilę, wsłuchując się w wiatr świszczący w ocalałych serakach lodowca Godwin-Austen oraz w niszach między głazami.

– Przywiozłeś cały syf, o którym pisaliśmy ci w mejlu? – zapytał wreszcie Gary.

– Tak – zapewnił Kanakaredes. Jego przedramiona obróciły się w górnych panewkach. Długa, modliszkowata kość udowa uniosła się w górę i do tyłu, a trzeci segment obrócił się w dół, pozwalając kosmicie dotknąć miękką dłońią plecaka, który miał na grzbiecie. – Przywiozłem cały ten syf, o którym pisaliście mi w mejlu.

Jego trzaski i westchnienia brzmiały identycznie, jak produkowane przez drugiego robala.

– Kompatybilny inteligentny namiot firmy North Face? – zapytał Gary.

Istota przytaknęła. Tak przynajmniej odczytałem ruch jej szerokiej, wyposażonej w dziób głowy. Gary najwyraźniej odniósł takie samo wrażenie.

– Racje na dwa tygodnie?

– Tak – potwierdził Kanakaredes.

– Mamy sprzęt wspinaczkowy dla ciebie – ciągnął Gary. – Grimes mówi, że wszystko to jest ci znane. Raki, pętle, węzły, liny wspinaczkowe, czekany, mały. Że wspinałeś się już kiedyś.

– Na Erebusa – wyjaśnił Kanakaredes. – Ćwiczyłem tam przez kilka miesięcy.

– K2 trochę się różni od Erebusa – stwierdził z westchnieniem Gary.

Wszyscy umilkliśmy na chwilę. Wicher targał moimi długimi włosami, zasłaniając mi twarz. Wreszcie Paul wskazał lodowiec otaczający łukiem obóz bazowy i wznoszący się ku wschodniej stronie K2, i dalej, ku tylnej stronie Broad Peak. Widziałem lodospad w miejscu, gdzie lodowiec styka się z Żebrem Abruzzi na K2. Żebro – droga pierwszej w ogóle próby zdobycia szczytu, a także pierwszej udanej – było drugą trasą rezerwową, na wypadek gdyby próba wejścia przez północno-wschodnią grań i wschodnią ścianę się opóźniała.

– No wiesz, moglibyśmy przelecieć nad lodowcem i zacząć wspinaczkę od podstawy Żebra Abruzzi, na poziomie pięciu tysięcy pięciuset metrów – poinformował kosmitę Paul. – W ten sposób nie narażalibyśmy się na niebezpieczeństwa związane ze szczelinami, ale prawdziwa wspinaczka powinna zaczynać się tutaj.

Kanakaredes milczał. Dwoje jego centralnych oczu miało przezroczyste membrany, ale nigdy nie mrugały. Wpatrywały się tylko w Paula bez wyrazu. Dwoje pozostałych kierowało się Bóg wie gdzie.

Odniosłem wrażenie, że powinienem coś powiedzieć. Cokolwiek. Odchrząknąłem.

– Jebać to – skwitował Gary. – Marnujemy dzień. Spakujmy się i ruszajmy.

Obóz pierwszy, północno-wschodnia grań, około 5600 metrów

Nazywają K2 „okrutną górą”, nadają jej też ze sto innych nazw, a wszystkie one wyrażają szacunek. To góra zabójca, pochłonęła więcej ofiar na liczbę podjętych prób niż jakikolwiek inny szczyt w Himalajach albo Karakorum. Nie jest jednak złośliwa. Jest po prostu esencją góry, czymś w stylu zen – twarda, wysoka i przypominająca piramidę, gdy widzi się ją z południa, jak na rysunku dziecka przedstawiającym wyidealizowany Matterhorn – stroma, wyszczerbiona, o ostrych jak noże graniach, dręczona ciągłymi lawinami i niewiarygodnymi burzami, a jej szczyt, na którym nie da się oddychać, nieustannie owiewa prąd strumieniowy. Żadne wysilone sentymenty ani personifikacje nie mogłyby nikogo przekonać, że tę górę cokolwiek obchodzą ludzkie nadzieje albo ludzkie życie. Na sposób, którego nie da się wyrazić słowami, i byłoby politycznie niepoprawne choćby wyrażenie takiej sugestii, K2 to głęboko męska góra. Jest wiecznie obojętna i absolutnie bezlitosna. Himalaiści od z górą stulecia kochali ją, triumfowali nad nią i ginęli na niej.

Teraz na nas przyszła kolej, by się przekonać, w którą stronę obróci się koło fortuny.

Widzieliście kiedyś, jak chodzą modliszkopajaki? Oczywiście wszyscy oglądaliśmy je w HDTV albo VirP – Jezu, jest cały kanał satelitarny poświęcony wyłącznie nim – ale z reguły są to tylko krótkie urywki, zrobione długoogniskowym obiektywem, albo statyczne ujęcia przedstawiające ich mówcę stojącego gdzieś z jakimiś politycznymi ważniakami. Ale czy kiedykolwiek obserwowaliście, jak któryś z nich chodzi przez dłuższy czas?

Jeśli ktoś przechodzi przez górną część lodowca Godwin-Austen pod wysoką na tysiąc metrów pionową ścianą, którą jest wschodnia powierzchnia K2, ma przed sobą dwie możliwości. Może trzymać się blisko krawędzi lodowca, gdzie prawie nie ma szczelin, i narażać się na poważne niebezpieczeństwo lawiny albo trzymać się środka, gdzie może się natknąć na ukrytą szczelinę i pokrywa śniegu oraz lodu załamie się nagle pod jego stopami. Każdy himalaista godny tego miana wybierze drogę ze szczelinami, jeśli tylko istnieje choć najmniejsze niebezpieczeństwo lawiny. Umiejętności i doświadczenie mogą pomóc w starciu

ze szczelinami, ale gdy nadchodzi lawina, nie zostaje nic więcej jak tylko modlitwa.

Żeby wspiąć się na lodowiec, musieliśmy ubezpieczyć się linami. Zastanawialiśmy się z Garym i z Paulem nad tym, czy uwzględnić również robala, ale gdy dotarliśmy do części, gdzie natknięcie się na szczeliny było najbardziej prawdopodobne, a właściwie nieuniknione, nie mieliśmy wyboru. Gdybyśmy pozwolili Kanakaredesowi iść dalej bez liny, to równałoby się morderstwu.

Jedno z pierwszych pytań, jakie nasunęły się nam wszystkim, gdy prawie dziesięć lat temu wylądowały robale, brzmiało: „Czy noszą ubrania?”. Teraz wiemy już, że tego nie robią. Ich osobliwe połączenie chitynowego egzoszkieletu osłaniającego główną część ciała z warstwami różnych błon na jego miękkich fragmentach skutecznie zastępuje wszelkie sztuczne osłony. To jednak nie znaczy, że publicznie odsłaniają narządy płciowe. Modliszkopajaki teoretycznie są istotami zróżnicowanymi płciowo – samcami i samicami – ale nigdy nie słyszałem, by jakiś człowiek widział genitalia robala, i uwierzcie mi, żaden z naszej trójki nie chciał być pierwszy.

Niemniej obcy noszą pasy albo uprząże z narzędziami, gdy jest to konieczne. Kanakaredes miał swój dziwny bąbelkowy plecak, w którym trzymał sprzęt wspinaczkowy. Gdy tylko ruszyliśmy w drogę, wydobyl z niego uprząż i założył ją na masywną, niemalże opancerzoną górną część swego ciała, w której znajdują się panewki rąk i środkowych nóg. Posługiwał się też metalowym czekanem normalnej wielkości, ściskając jego zakrzywioną górną część w trzech bezkostnych palcach. Robał wyposażony w tak prozaiczne obiekty jak uprząż wspinaczkowa z czerwonego nylonu, karabinki i czekan wyglądał dziwnie, ale to właśnie miał ze sobą.

Gdy nadszedł czas, przypięliśmy linę z pajęczego jedwabiu do karabinków, ustawiając się w tej samej kolejności co zawsze, tyle że zamiast na tyłek Paula idącego w górę przede mną musiałem godzinami gapić się brnącego dziesięć kroków przede mną Kanakaredesa.

Słowo „brnąć” nie oddaje sprawiedliwości sposobowi poruszania się robali. Wszyscy widzieliśmy, jak balansują, chodząc na środkowych nogach, prostują grzbiet i unoszą głowę, aż stają się wystarczająco wysokie, by spojrzeć niskiemu ludzkiemu mężczyźnie prosto w oczy. Ich przednie kończyny bardziej przypominają wtedy prawdziwe ręce niż odnóża modliszki. Podejrzewam jednak, że robią to właśnie w tym celu – żeby bardziej przypominać ludzi podczas swych rzadkich publicznych wystąpień. Do tej pory Kanakaredes stał na dwóch nogach tylko w chwili, kiedy oficjalnie przedstawiono go nam w obozie bazowym. Gdy ruszyliśmy w drogę, jego głowa przesunęła się w dół i ku

przodowi, V dzielące jego główną część ciała od przedtułowia poszerzyło się, a modliszkowate przednie kończyny wyciągnął przed siebie, jakby był człowiekiem niosącym przed sobą dwie tyczki. Poruszanie się na czterech nogach przychodziło mu z łatwością.

Ale, Jezu, jak to dziwnie wyglądało. Oczywiście wszystkie kończyny robali mają po trzy stawy, ale już po kilku minutach podążania za tym akurat robalem przez lodowiec Godwin-Austen zdałem sobie sprawę, że te stawy nigdy nie zginają się jednocześnie w tym samym kierunku. Jedna z modliszkowatych przednich kończyn mogła zgiąć się w dół w obu stawach, by Kanakaredes mógł wbić czekan w lód, a jednocześnie druga zgięła się w pierwszym stawie w przód, a w drugim w tył i kosmita drapał się po swym dziwnym dziobie. Tymczasem środkowe kończyny poruszały się jak u konia, tyle że ich dolna, najkrótsza część zamiast kopytem kończyła się pokrytą chityną, ale delikatną... cholera, bo ja wiem, kopytostopą. A tylne nogi, te, których panewki znajdowały się u podstawy miękkiego przedtułowia... to od ich widoku kręciło mi się w głowie, gdy patrzyłem, jak robal wspina się przede mną przez miękki śnieg. Chwilami kolana obcego – pierwsze stawy, ułożone w dwóch trzecich długości nóg, licząc od góry – unosiły się wyżej niż jego grzbiet. W innych momentach jedno tylne kolano zgięło się do przodu, a drugie do tyłu, a dolne stawy zachowywały się jeszcze dziwniej.

Po pewnym czasie przestałem się zastanawiać nad konstrukcją istoty i po prostu podziwiałem to, z jaką swobodą porusza się na stromym, pokrytym śniegiem i lodem stoku. Wszyscy trzej niepokoił się małą powierzchnią stóp robala – pseudokopyta w kształcie litery V były mniejsze niż bosa ludzka stopa – i zastanawialiśmy się, czy będziemy musieli wyciągać modliszkopajaka z każdej zasy po drodze na szczyt. Okazało się jednak, że Kanakaredes radzi sobie całkiem nieźle. Zapewne przyczyną był fakt, że robal ważył najwyżej siedemdziesiąt kilogramów i ten ciężar rozkładał się na cztery stopy – a czasami na sześć, gdy zatykał czekan za uprzęż i posuwał się w górę na sześciu kończynach. Prawdę mówiąc, na górnej części lodowca to on dwa czy trzy razy pomagał mi wygramolić się z zasy.

Po południu, gdy blask słońca odbijał się w misie lodowca, zrobiło się diabelnie gorąco. Nasza trójka nastawiła termoosłonę na minimum i zdjęła zewnętrzne warstwy parki, żeby się ostudzić. Robalowi gorąco najwyraźniej nie przeszkadzało, choć bez sprzeciwów zatrzymywał się, gdy robiliśmy przerwę na odpoczynek, pił wodę ze swojej butelki, kiedy my to robiliśmy, i jadł coś, co wyglądało jak dachówka zrobiona ze skompresowanych psich kup, kiedy my jedliśmy batony proteinowe (które również wyglądały jak dachówki zrobione ze skompresowanych psich kup, jeśli się nad tym zastanowić). Jeśli nawet tego

pierwszego długiego dnia na lodowcu Kanakaredes cierpiał z powodu przegrzania bądź zimna, w żaden sposób tego nie okazał.

Na długo przed zachodem słońca, padł na nas cień góry. Trzech z naszej czwórki podkreśliło termoosłony i ponownie wciągnęło parki. Zaczął sypać śnieg. Nagle od wschodniej ściany K2 oddzieliła się potężna lawina. Runęła na stok za nami, zasypując część lodowca, przez którą wspinaliśmy się przed zaledwie godziną.

Wszyscy zamarliśmy w bezruchu, czekając, aż łoskot ucichnie. Nasze ślady na skrytym w cieniu śniegu – biegnące niemal w prostej linii przez ostatnie około półtora kilometra, w ciągu których zyskaliśmy mniej więcej trzysta metrów wysokości – na odcinku kilkuset metrów wyglądały jak wytarte olbrzymią gumką.

– Ja pierdołę – mruknąłem.

Gary pokiwał głową. Dyszał lekko, ponieważ przez większość popołudnia to on torował drogę. Odwrócił się, postąpił jeden krok i zniknął.

W ciągu ostatnich godzin ten, który szedł pierwszy, przed każdym krokiem sprawdzał grunt czekanem, by się upewnić, że nie ma przed sobą tylko cienkiej warstewki śniegu pokrywającej szczelinę. Gary posunął się naprzód dwa kroki, nie robiąc tego, i runął w otchłań.

W jednej chwili był na miejscu, jego czerwona parka rysowała się wyraźnie na tle lodu i białego śniegu na grani, która była już tak blisko. A w następnej go nie było.

Potem Paul również zniknął.

Nikt nie krzyknął ani nie zareagował niewłaściwie. Kanakaredes natychmiast znieruchomiał w postawie pełnej autoasekuracji, wbił czekan głęboko w lód i dwukrotnie owinął linę wokół niego, nim w przybliżeniu dziesięciometrowy odcinek między nim a Paulem zdążył się rozwinąć całkowicie. Ja postąpiłem tak samo, ze wszystkich sił wbijając raki w podłoże. Byłem przekonany, że przepaść pochłonie najpierw robala, a potem mnie.

Ale tak się nie stało.

Lina napięła się, lecz nie pękła. Liny z pajęczyny genetycznie zmodyfikowanych pajaków nie pękają prawie nigdy. Czekan Kanakaredesa wytrzymał, podobnie jak sam robal, który wbił go w lód. We dwóch powstrzymaliśmy upadek towarzyszy. Odczekaliśmy pełną minutę, zachowując sztywną postawę, by się upewnić, że również nie stoimy na wąskiej powłoce śniegu nad otchłanią. Po chwili stało się oczywiste, w którym miejscu znajduje się krawędź rozpadliny.

– Trzymaj ich mocno – wydyszałem, odpiąłem się i poczołgałem naprzód, by zajrzeć w czarną przepaść.

Nie mam pojęcia, jak głęboka była rozpadlina. Trzydzieści metrów? Trzysta? Paul i Gary wisieli na linach, ten pierwszy zaledwie niespełna pięć metrów poniżej krawędzi. Wyglądało na to, że nic mu nie grozi. Oparł się plecami o niebieskozielony lód i zacisnął mały. Te zaciskowe urządzenia były nieporównanie lżejsze i mocniejsze od używanych w czasach naszych dziadków, ale poza tym niczym się od nich nie różniły. Dzięki nim zdoła się wspiąć na górę o własnych siłach, pod warunkiem, że lina wytrzyma, a jemu uda się włożyć pętle na nogi.

Gary był w gorszej sytuacji. Wisiał kilkanaście metrów niżej, głową w dół pod lodowym nawisem, tak że światło padało wyłącznie na jego tyłek i raki. Wyglądało na to, że może mieć kłopoty. Jeśli, spadając, uderzył głową o lód...

Nagle usłyszałem jego przekleństwa. Niewiarygodne epitety i krzyki niemalże stłumione przez szczelinę, ale niosące się głębokim echem, ponieważ Gary kierował swe przekleństwa prosto w podbrzusze lodowca. To mnie upewniło, że nic mu się nie stało. Upłynęło tylko około minuty, nim Paul dotarł do krawędzi za pomocą mała i wygramolił się na zewnątrz, ale ustawienie Gary'ego głową do góry i przeprowadzenie go nad nawis, by mógł zrobić użytek z własnych mała, trwało trochę dłużej i wymagało sporo wysiłku.

Wtedy właśnie się przekonałem, jak cholernie silny jest robal. Myślę, że mógłby wyciągnąć nas trzech z tej szczeliny, nawet gdybyśmy stracili przytomność. W sumie jakieś dwieście siedemdziesiąt kilogramów. Zapewne wystarczyłoby do tego tylko jedna z tych chudych, modliszkowatych przednich kończyn, wyglądających na prawie pozbawione mięśni.

Gdy Gary wreszcie wydostał się na powierzchnię i wyplątał z lin, uprząży oraz mała, ruszyliśmy ostrożnie wokół szczeliny. Tym razem ja szedłem przodem i sprawdzałem drogę czekaniem, jak ślepiec w dolinie pełnej brzytw. Wreszcie znaleźliśmy odpowiednie miejsce na założenie obozu bazowego, niedaleko podstawy północno-wschodniej grani. Rankiem będziemy musieli pokonać tylko krótką drogę, by dostać się na północno-wschodnią grań, która zaprowadzi nas na wschodnią ścianę samej K2. Znaleźliśmy ostatnie miejsce, na które jeszcze padały promienie słońca, odłączyliśmy linę od karabinków, zwaliliśmy na ziemię trzydziestopięciokilogramowe plecaki i przez chwilę po prostu dyszeliliśmy, zanim zabraliśmy się do rozbijania obozu.

– Kurewsko dobry początek całej posranej, jebanej wyprawy – warknął Gary w przerwach między łykami wody z butelki. – Wlazłem w cholerną, popierdoloną, zasyfioną szczelinę jak jakiś nieudaczny, poжебany, skurwysyński wycieczkowiec.

Spojrzałem na Kanakaredesa. Któż mógłby cokolwiek wyczytać z twarzy robala? Niekończące się usta, z ich wyniosłościami wyglądającymi jak

halloweenowe lampy i ostrymi krawędziami, otaczały dwie trzecie głowy od przypominającej dziób ssawki niemalże do początku guzowatego grzebienia czaszkowego i zawsze wyglądały na uśmiechnięte. Czy teraz uśmiechały się bardziej niż zwykle? Trudno mi było to ocenić, a nie miałem ochoty go o to pytać.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Modliszkopajak wyciągnął małe urządzenie – coś przypominającego nasze palmlogi w kartach kredytowych – i zapisywał coś w nim, błyskawicznie poruszając trzema palcami. Leksykon, pomyślałem. Albo tłumaczył, albo zapisywał wybuch Gary’ego, który z pewnością był imponującym strumieniem inwektyw. Obelżywe słowa nadal płynęły z jego ust i nic nie wskazywało na to, by miały przestać. Zapewne będą wisiąły nad lodowcem Godwin-Austen niczym sina chmura jeszcze przez wiele lat.

Życzę ci szczęścia, jeśli spróbujesz użyć takiego słownictwa na jednym z przyjęć organizowanych dla was przez ONZ, pomyślałem, gdy Kanakaredes skończył notować i schował palmlog do plecaka.

Kiedy Gary wreszcie się zamknął, wymieniliśmy uśmiechy z Paulem, który nie odezwał się ani słowem od chwili, gdy wpadł do szczeliny. Następnie zajęliśmy się rozmieszczaniem inteligentnych namiotów, śpiworów oraz piecyków, zanim zapadł mrok, przynosząc ze sobą do obozu pierwszego głęboki, księżycowy chłód.

Obóz drugi, między krawędzią a stokiem lawinowym, około 6000 metrów

Prowadzę te notatki dla ludzi z Departamentu Stanu, a także dla wszystkich, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś o robalach – o technologii modliszkopajaków, powodach, dla których przybyli na Ziemię, ich kulturze oraz religiach – o wszystkim, o czym z jakiegoś powodu nic nam nie powiedzieli w ciągu minionych dziewięciu i pół roku.

No cóż, to jest zapis wszystkich rozmów między przedstawicielami obu naszych gatunków, które przeprowadzono ostatniej nocy w obozie pierwszym...

Gary: *Hmm... Kan... Kanakaredesie? Pomyśleliśmy, że moglibyśmy połączyć nasze trzy namioty, ugotować trochę zupy i wcześniej położyć się spać. Czy masz jakiś problem z tym, żeby twój namiot pozostał dziś odrębny? Na tym polu śnieżnym wystarczy miejsca.*

Kanakaredes: *Nie mam z tym problemu.*

Tyle wyszło z wypytywania robala.

Powinniśmy zająć dziś wyżej. Mieliśmy za sobą długi, dobry dzień wspinaczki, ale nadal znajdowaliśmy się na dolnej części północno-wschodniej grani. Musimy się bardziej starać, jeśli mamy bezpiecznie wejść na szczyt tego pagórka i wrócić na dół w ciągu dwóch tygodni, jakie nam przydzielono.

Całe to gadanie o „obozie pierwszym” i „obozie drugim”, które zapisuję w tym dzienniku, to stare terminy z ubiegłego stulecia, gdy ataki na ośmiotysięczniki wymagały dosłownie całych armii mężczyzn i kobiet. Podczas pierwszej amerykańskiej wyprawy na Mount Everest w roku 1963 zapasy musiało nieść ponad dwustu ludzi. Niektóre szczyty miały kształt piramidy, ale logistyka zawsze przybierała taką postać. Chciałem przez to powiedzieć, że dziesiątki ludzi taszczyły nieprzeliczone tony zapasów – szerpowie (zarówno tragarze, jak i wspinacze) w Himalajach, a tutaj, w Karakorum, głównie ludzie z plemienia Balti. Liczne grupy dźwigały na plecach cały ten ciężar w górę, pracując w systemie sztafetowym, by rozbić obozy zdolne wytrzymać do końca wspinaczki, utorować drogę i oznaczyć ją, umieścić poręczówki wzdłuż dosłownie kilometrów zbocza, co pozwalało ekipom himalaistów posuwać się coraz wyżej i wyżej, aż po wielu tygodniach, a niekiedy nawet miesiącach, nieliczna garstka najlepszych i najfartowniejszych wspinaczy – powiedzmy sześciu, czterech, dwóch czy nawet tylko jeden spośród dziesiątków tych, którzy wyruszyli w drogę – miała szansę zaatakować szczyt z najwyżej położonego obozu – z reguły szóstego, choć zdarzało się też, że siódmego albo i więcej – startując gdzieś w strefie śmierci, powyżej ośmiu tysięcy metrów. „Atak” na górę był wówczas dobrym określeniem, ponieważ zdobycie jej wymagało całej armii.

Gary, Paul, robal i ja wspinaliśmy się w alpejskim stylu. To oznaczało, że nieśliśmy ze sobą wszystko, czego potrzebowaliśmy, z początku dźwigając wielki ciężar, który z czasem stawał się coraz mniejszy. Zmierzaliśmy prosto do szczytu, zamierzając wspiać się na niego co najwyżej w tydzień. Nie rozbijaliśmy serii stałych obozów, mieliśmy tylko tymczasowe pola dla naszych inteligentnych namiotów, utworzone z lodu i śniegu, przynajmniej do chwili, gdy dotrzemy do miejsca, z którego postanowimy ruszyć do ostatecznego ataku na szczyt. Wtedy zostawimy namioty oraz sprzęt i ruszymy w górę pełni nadziei, modląc się do swoich bogów – a kto wie, w jakich bogów może wierzyć Kanakaredes – o to, by pogoda nie pogorszyła się nagle, kiedy znajdziemy się w strefie śmierci, żebyśmy nie zgubili drogi, schodząc po ciemku do obozu, a także o to, by nic poważnego nie przytrafiło się któremuś z nas podczas ostatniego podejścia, ponieważ na tej wysokości naprawdę nie możemy pomagać

sobie nawzajem. Krótko mówiąc, będziemy modlić się jak jasna cholera o to, żebyśmy niczego nie spierdolili.

Zakładając, że zdołamy posuwać się w miarowym tempie ku szczytowi tego pagórka. Dzisiaj byliśmy zbyt wolni.

Zaczęliśmy wcześniej, zwinęliśmy obóz pierwszy w kilka minut, spakowaliśmy wszystko zgrabnie i wspinaliśmy się szybko. Pierwszy szedłem ja, potem Paul, po nim robał, a na końcu Gary. Na wysokości 7100 metrów był stromy, ostry jak nóż trawers – najtrudniejszy odcinek drogi przez północno-wschodnią grań. Chcieliśmy przed nastaniem nocy rozbić bezpieczny obóz na jego początku. Niestety nie mieliśmy szczęścia.

Jestem pewien, że udało mi się dzisiaj nagrać niektóre komentarze Kanakaredesa, ale to głównie monosylaby, nieujawniające żadnych wielkich tajemnic robali. Brzmia mniej więcej tak:

– Kana... Kanaka... hej, K, czy zapakowałeś dodatkowy piecyk?

– Tak.

– Czy możemy zrobić przerwę na obiad?

– To byłoby niezłe.

I Gary:

– Kurwa, zaczyna się śnieg!

Jeśli się nad tym zastanowić, nie sędzę, żeby modliszkopajak zaczął jakąkolwiek rozmowę. Wszystkie trzaski i westchnienia zapisane na palmlogu są odpowiedziami K na nasze pytania. A wszystkie przekleństwa pochodzą od nas.

Okolo południa śnieg zaczął sypać intensywnie.

Do tej chwili wszystko szło dobrze. Nadal posuwałem się naprzód pierwszy, zużywając kalorie w straszliwym tempie, ponieważ torowałem na stromym stoku drogę dla pozostałych. Wspinaliśmy się niezależnie, niepołączeni linami. Gdyby któryś z nas się pośliznął albo wbił raki w skałę zamiast w lód, musiałby sam powstrzymać swój upadek za pomocą czekana. Gdyby tego nie zrobił, czekałaby go wspianała przejażdżka po lodzie, jakieś trzysta metrów w dół, a potem skok w otwartą przestrzeń, ku położonemu ponad kilometr niżej lodowcowi.

Najlepiej było o tym nie myśleć, tylko po prostu cały czas zwracać uwagę na ścianę i bez względu na zmęczenie uważać, gdzie wbija się raki. Nie miałem pojęcia, czy Kanakaredes boi się wysokości – zapisałem sobie w pamięci, żeby go o to zapytać – ale jego styl wspinaczki był ostrożny i staranny. „Raki”, którymi się posługiwał, były przystosowane do budowy jego ciała – ostre kolce z czegoś przypominającego plastik przytroczone do dziwnych stóp w kształcie grotu strzały – ale uważał, gdzie je wbija, i sprawnie posługiwał się czekaniem. Tego dnia wspinał się na dwóch nogach. Tylne kończyny skrzyżował na

uniesionym przedtułowiu i nikt by ich nie zauważył, gdyby nie wiedział, gdzie patrzeć.

O dziesiątej trzydzięci albo jedenastej rano wspięliśmy się już tak wysoko, że wyraźnie widzieliśmy Staircase Peak, położony na północny wschód od K2. Jego wschodnia grań wygląda jak schody zbudowane dla jakiegoś hinduistycznego olbrzyma. Tę górę niekiedy nazywa się też Skyang Kangri. Była piękna. Lśniła oślepiająco w blasku słońca na tle nadal jasnego nieba na wschodzie. Daleko w dole widzieliśmy lodowiec Godwin-Austen opadający wzdłuż podstawy Skyang Kangri aż do Windy Gap, które leżało na wysokości 5800 metrów. Sięgaliśmy też wzrokiem znacznie dalej, aż do brązowych wzgórz w miejscu, które kiedyś należało do Chin, a teraz stało się częścią mitycznego kraju zwanego Sinkiangiem, o który walczyli żołnierze Hongkongu i rozmaitych chińskich watażków.

Ważniejszy dla naszej sprawy był w tej chwili jednak widok tego, co znajdowało się przed nami, na zachodzie w kierunku pięknego, lecz niemalże śmiesznego masywu K2, z jego ostrą jak nóż granią, do której mieliśmy nadzieję dotrzeć przed zachodem słońca. Pomyślałem, że w tym tempie nie powinno nam to sprawić trudności, ale zaraz potem spojrzałem w górę.

– Kurwa, zaczyna się śnieg! – zawołał właśnie w tej chwili Gary.

Z południa i z zachodu niepostrzeżenie dla nas napłynęły chmury. Po dziesięciu minutach otoczyły nas ze wszystkich stron. Śnieg sypał gęsto. Musieliśmy zbić się w ciasną grupkę na stromym stoku, by nie stracić się nawzajem z oczu. Rzecz jasna, stromy, lecz stosunkowo łatwy do sforsowania, pokryty śniegiem stok zmienił się w nieprzystępną ścianę lodu. Przez kilka minut widzieliśmy nad nią pas ostrych skał, ale wkrótce chmury pozbawiły nas widoczności na resztę dnia.

– Pierdolę to wszystko – warknął Paul, gdy zebraliśmy się u podstawy stoku.

Masywna, zakończona dziobem głowa Kanakaredesa zwróciła się powoli w jego stronę. Czarne oczy kosmity przyglądały mu się z uwagą, jakby się zastanawiał, czy coś tak biologicznie nieprawdopodobnego w ogóle jest możliwe. O nic jednak nie zapytał, a Paul nie udzielił mu żadnych wyjaśnień.

To właśnie on – najlepiej z naszej trójki potrafiący się wspinać po lodzie – torował nam drogę przez następne pół godziny. Wbijał czekan w niemal pionową ścianę lodu, a potem uderzał mocno kolcami na końcach buta, podciągał się silnym prawym ramieniem, uderzał drugą stopą, wyciągał czekan i wbijał go ponownie.

To podstawowa metoda wspinaczki, niezbyt trudna, ale wyczerpująca na wysokości prawie sześciu tysięcy metrów – dwa razy wyżej niż granica, od której antygrawy i komercyjne linie lotnicze są zobowiązane wyrównywać

ciśnienie w kabinach. Co więcej to czasochłonny sposób, zwłaszcza że połączyliśmy się linami i asekurowaliśmy idącego przodem Paula.

Był już ponad dwadzieścia metrów nad nami i posuwał się naprzód ostrożnie przez pas skał, gdy nagle seria niewielkich kamieni posypała się na nas z góry.

Nie mieliśmy gdzie się schować. Każdy z nas był przytwierdzony do kawałka lodu, na którym wspieraliśmy nogi. Mogliśmy jedynie wcisnąć się w ścianę i czekać. Ja uniknąłem uderzenia, od plecaka Gary'ego odbił się kamień wielkości pięści, ale Kanakaredes dwukrotnie oberwał większymi pociskami – raz w górną lewą nogę, rękę, czy jak to tam zwał, a drugi raz w wydatny grzebień grzbietowy. Odgłos brzmiał tak, jakby kamienie uderzały o dachówki.

– Pierdolę to wszystko – oznajmił wyraźnie K, gdy kolejne kamienie sypały się wokół niego.

Kiedy kanonada się skończyła i Paul przestał wykrzykiwać w dół przeprosiny, a Gary obelgi w górę, pokonałem odległość około dziesięciu kroków dzielącą mnie od K, który nadal wciskał się w lodową ścianę. Wysoko unosił prawą modliszkowatą kończynę, czekan i raki nadal były mocno wbite w lód.

– Jesteś ranny? – zapytałem, bojąc się, że będziemy musieli nacisnąć czerwony guzik i ewakuować robala, co całkowicie zniszczyłoby naszą wspinaczkę.

Kanakaredes pokręcił powoli głową – nie tyle po to, by zaprzeczyć, ile żeby sprawdzić swój stan. Ten widok niemalże sprawił mi ból. Masywna głowa i uśmiechnięty dziób kosmity obróciły się o dwieście siedemdziesiąt stopni w jedną, a potem w drugą stronę. Przedramię jego wolnej przedniej kończyny również obróciło się w niewiarygodny sposób, a miękka dłoń delikatnie poklepała i obmacała grzebień grzbietowy.

Trzask. Westchnienie. Trzask.

– Wszystko w porządku.

– Od tej chwili Paul będzie ostrożniejszy na skalnym pasie.

– To by było dobre.

Paul rzeczywiście był ostrożniejszy, ale skała była zwietrzała i doszło do jeszcze kilku osunięć. Na szczęście nikt więcej nie oberwał. Minęło jakieś dziesięć minut, nim Paul posunął się ponad dwadzieścia metrów w górę, dotarł do szczytu grani, znalazł dobry punkt asekurowania i zawołał nas do siebie. Gary, który nadal był na niego wkurzony – bardzo nie lubił, kiedy sypały się na niego kamienie zrzucone przez kogoś innego – ruszył w drogę pierwszy. Kanakaredes podążał jakieś dziesięć metrów za nim. Technika wspinaczki robala była podręcznikowa – może niezbyt efektowna, ale skuteczna. Ja szedłem ostatni, starając się trzymać wystarczająco blisko, żeby zobaczyć spadające kamienie, gdy już znajdziemy się na skalnym pasie.

Kiedy wszyscy wspięliśmy się wreszcie na północno-wschodnią grań i ruszyliśmy dalej w górę, widoczność była bliska zeru, temperatura spadła o jakieś trzydzieści stopni, pokrywa śniegu była gruba, miękka i zdradziecka, i słyszeliśmy też schodzące lawiny, nawet jeśli ich nie widzieliśmy – zarówno na wschodniej ścianie K2, jak i na grani, po której się posuwaliśmy, przed nami i za nami, gdzieś we mgle. Cały czas byliśmy połączeni linami.

– Witajcie na K2! – zawołał Gary, który zajął pozycję na czele.

Jego parka, kaptur, gogle i goły podbródek połączyły się w groźnie wyglądającą pokrytą soplami masę, w większej części przesłoniętą przez niesiony wichrem śnieg.

– Dziękuję – odpowiedział K swym składającym się z syków i trzasków głosem. Miałem wrażenie, że słyszę w nim bardziej formalny ton. – To wielka przyjemność tu być.

Obóz trzeci – pod serakiem na szczycie grani u początku trawersu, 7100 metrów

Siedzieliśmy tu pełne trzy dni i noce, a teraz zbliżała się czwarta noc. Kuliliśmy się w namiotach, jedliśmy batony proteinowe i gotowaliśmy zupę – której nie da się niczym zastąpić – a do tego wyczerpywaliśmy energię w piecykach, by uzyskać wodę ze śniegu, a każdy z nas stawał się coraz słabszy i bardziej nerwowy z powodu wysokości i braku ruchu. Przez całe trzy doby wiatr wiał nieustannie i trwała burza śnieżna. Właściwie to przez cztery doby, jeśli liczyć wspinaczkę z obozu drugiego. Wczoraj Gary i Paul – który szedł pierwszy po niewiarygodnie stromej grani – próbowali utorować drogę przez trawers podczas śnieżycy. Zamierzali zainstalować poręczówki, nawet gdyby to oznaczało, że będziemy musieli dotrzeć na szczyt tylko z tymi linami, które mieliśmy w kieszeniach. Nie udało się im i musieli zawrócić po trzech godzinach spędzonych w śnieżnej burzy. Kiedy wrócili, pokrywała ich skorupa lodu i byli bliscy odmrożeń. Minęły ponad cztery godziny, nim Paul wreszcie przestał dygotać, mimo że termoosłona i regulowany inteligentny strój podnosiły temperaturę jego ciała. Jeśli szybko nie pokonamy tego trawersu – bez względu na burzę – nie będziemy się musieli martwić o to, z czym podejmiemy próbę wejścia na szczyt. Nie będzie żadnej próby.

Nie jestem nawet pewien, w jaki sposób dwa dni temu udało się nam wspiąć z obozu drugiego na tę wąską skalną półkę. Nasz robal wyraźnie dotarł do granicy swych możliwości, pomimo dodatkowej pary nóg i większej siły. Postanowiliśmy, że na kilka ostatnich godzin wspinaczki połączymy się linami,

żeby K nie zleciał nagle w dół. Naciśnięcie czerwonego guzika na palmlogu niewiele by pomogło, gdybyśmy po przybyciu antygrawu musieli powiedzieć ekipie z ONZ, że Kanakaredes zleciał na lodowiec Godwin-Austen, leżący półtora kilometra niżej.

– Panie mówco obcych, niestety straciliśmy pańskiego dzieciaka. Ale może pan zdrapać go z powierzchni lodowca, a potem sklonować albo coś.

Nie, tego byśmy nie chcieli.

Ostatecznie skończyliśmy pracę po zapadnięciu zmroku. Nasze reflektory czołowe świeciły. Liny połączyliśmy karabinkami z uprężkami i przytwierdziliśmy śrubami lodowymi do stoku, by wichura nie uniosła nas w czarną pustkę, a następnie wyrąbaliśmy czekanami półkę wystarczająco dużą, by można było rozbić na niej namiot. Miejsca starczyło tylko dla połączonej grupy inteligentnych namiotów, trzy metry od pionowej ściany i około trzynastu metrów od szlaku lawin, bezpośrednio pod serakiem wielkości dwupiętrowego budynku, który w każdej chwili mógł się oderwać od ściany i zabrać nas ze sobą razem z namiotem. To nie było dobre miejsce nawet na dziesięciominutowy postój, nie wspominając już o trzech dobach podczas wysokogórskiego huraganu. Nie mieliśmy jednak wyboru. W innych miejscach były tylko ostre jak nóż granie albo szlaki lawin.

Choć zdecydowanie wolałbym, żeby było inaczej, wreszcie mieliśmy czas porozmawiać. Nasze połączone ze sobą namioty miały kształt zgniecionego krzyża z małym obszarem centralnym o średnicy może z sześćdziesięciu centymetrów, przeznaczonym do gotowania i rozmów. Miejsca było wystarczająco wiele, by każdy z nas mógł się wycofać do swej małej gondoli, w której mogliśmy zwinąć się w kłębek i zasnąć. Półka, którą wykuliśmy dla siebie pod serakiem, była za mała i niewystarczająco płaska, by starczyło jej dla nas wszystkich. Mnie przypadła jedna z opadających części. Głowę miałem wyżej niż stopy, było tu na tyle płasko, że mogłem zasnąć, lecz jednocześnie tak pochyło, że osuwałem się co pewien czas, i budziłem, sięgając po czekan, by powstrzymać upadek. Ale mój czekan był na zewnątrz, razem z innymi, pokryty coraz grubszą warstwą śniegu i twardym jak kamień lodem. Wokół niego, i wokół całego namiotu, kilkakrotnie owinęliśmy trzydzieści metrów liny z pajęczego jedwabiu. Mam wrażenie, że użyliśmy też dwunastu śrub lodowych, by przytwierdzić się do wąskiej półki.

Nic z tego by nam nie pomogło, gdyby serak nagle oddzielił się od ściany, stok się przesunął albo wiatr raptem postanowił zdmuchnąć z góry całą naszą linę, czekany, śruby, namiot, ludzi oraz robala.

Oczywiście dużo spaliśmy. Paul zabrał ze sobą softbooka, do którego załadował kilkanaście powieści oraz sporo czasopism i wszyscy

przekazywaliśmy go sobie z rąk do rąk. Nawet K poświęcił trochę czasu na czytanie. Pierwszego dnia nie rozmawialiśmy ze sobą zbyt wiele, ponieważ próby przekrzywienia wichru oraz hałasu śniegu i gradu bębniącego o namiot kosztowały mnóstwo wysiłku. Z czasem jednak nawet spanie się nam znudziło i postanowiliśmy spróbować rozmów. Z początku mówiliśmy głównie o wspinaczce i szczegółach technicznych. Omawialiśmy trasę. Wymienialiśmy argumenty za i przeciw podjęciu bezpośredniej próby ataku na szczyt, gdy tylko miniemy trawers i znajdziemy się u stóp ośnieżonej kopuły u podstawy wieńczącej górę piramidy. Gary był zwolennikiem bezpośredniego finiszu bez względu na wszystko, ale Paul zalecał ostrożność i być może próbę dalszego trawersowania do Żebra Abruzzi, będącego najczęściej wybieraną drogą na szczyt. Kanakaredes i ja tylko ich słuchaliśmy. Drugiego i trzeciego dnia zaczęliśmy jednak zadawać robalowi osobiste pytania.

– Przylecieliście z Aldebarana, tak? – odezwał się Paul drugiego popołudnia śnieżycy. – Ile czasu wam do zajęto?

– Pięćset lat – odpowiedział nasz robal. Żeby zmieścić się w swojej części namiotu musiał zgiąć wszystkie odnoża co najmniej dwa razy. Na pewno było mu raczej niewygodnie.

Gary zagwizdał. Nigdy nie poświęcał większej uwagi informacjom o modliszkopajkach przekazywanym przez media.

– Żyjesz już tak długo, K? Pięćset lat?

Kanakaredes wydał z siebie cichy gwizd. Zaczynałem podejrzewać, że jest on ekwiwalentem śmiechu.

– Mam tylko dwadzieścia trzy wasze lata, Gary – odpowiedział. – Urodziłem się na statku, tak samo jak moi rodzice, ich rodzice i tak dalej. Nasza długość życia jest w przybliżeniu równa waszej. To była... chyba nazywacie to wędrującą arką. – Przerwał na chwilę, bo wicher stał się absurdalnie szybki i głośny. – Nim dolecieliśmy na Ziemię, nie znałem innego domu niż statek – podjął, gdy trochę się uspokoiło.

Paul i ja wymieliliśmy spojrzenia. Nadszedł czas, by zacząć wypytywanie robala, dla ojczyzny, rodziny i sekretarz Bright Moon.

– Zatem po co... Słu... Słuchacze... wyruszyli w podróż aż na Ziemię?

Robale już kilkakrotnie odpowiadały publicznie na to pytanie, ale ich odpowiedź zawsze brzmiała tak samo i nigdy nie miała zbyt wiele sensu.

– Bo jesteście.

To była ta sama odpowiedź, co zwykle. Zapewne nam schlebiała, zwłaszcza że ludzie zawsze uważali się za ośrodek wszechświata, ale i tak trudno było dopatrzeć się w niej sensu.

– Ale po co poświęciliście tyle stuleci, by się z nami spotkać? – nie ustępował Paul.

– Po to, żeby nauczyć was słuchać – odparł K.

– Słuchać czego? – zapytałem. – Was? Modliszkopajaków? Jesteśmy zainteresowani słuchaniem. Uceniem się od was. Będziemy słuchali.

Kanakaredes powoli pokręcił masywną głową. Przyjrząwszy się jej z bliska, uświadomiłem sobie, że bardziej przypomina ona głowę ptaka albo dinozaura niż owada.

– Nie nas. – Trzask, syk. – Pieśni waszego świata.

– Pieśni naszego świata? – powtórzył Gary niemal obcesowo. – Chodzi wam o to, że powinniśmy bardziej cieszyć się życiem? Zwolnić tempo i wachać róże? Taki tam syf?

Druga żona Gary’ego interesowała się medytacją transcendentálną. Myślę, że właśnie dlatego się z nią rozwiódł.

– Nie – zaprzeczył K. – Chodzi o to, żeby słuchać dźwięku swego świata. Nakarmiliście swe morza. Uświęciliście swój świat. Ale nie słuchacie.

Tym razem na mnie przyszła kolej, by zamącić sprawę jeszcze bardziej.

– Nakarmiliśmy swe morza i uświęciliśmy swój świat – powtórzyłem. Cały namiot zadrżał pod wpływem nagłego powiewu, a potem się uspokoił. – Jak właściwie to zrobiliśmy?

– Umierając, Jake – wyjaśnił robal. Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. – Stając się częścią waszych mórz i waszego świata.

– Czy umieranie ma coś wspólnego ze słyszeniem pieśni? – zapytał Paul.

Oczy Kanakaredesa były doskonale okrągłe i absolutnie czarne. Jednakże gdy patrzył na nas w blasku jednej z latarek, nie widzieliśmy w nich groźby.

– Kiedy jesteście martwi, nie możecie słyszeć pieśni – odpowiedział za pomocą gwizdów i trzasków. – Ale nie możecie mieć pieśni, dopóki wasz gatunek nie będzie recyklingował swych atomów i cząsteczek w waszym świecie przez miliony lat.

– A czy słyszycie tutaj tę pieśń? – zapytałem. – To znaczy na Ziemi?

– Nie – odparł robal.

Postanowiłem spróbować bardziej obiecującego podejścia.

– Daliście nam technologię antygrawów i to z pewnością wywołało cudowne zmiany – ciągnąłem. Gówno prawda, pomyślałem. Bardziej mi się podobało, kiedy samochody nie mogły latać. Przynajmniej korki w Górach Skalistych w stanie Kolorado, gdzie mieszkałem, były wtedy dwuwymiarowe. – Ale...

zastanawiamy się... no wiesz... kiedy Słuchacze podzielą się z nami innymi swoimi tajemnicami.

– Nie mamy żadnych tajemnic – sprzeciwił się Kanakaredes. – Przed przybyciem na Ziemię nawet nie znaliśmy tego pojęcia.

– W takim razie nie tajemnicami – dodałem pośpiesznie. – Nowymi technologiami, wynalazkami, odkryciami...

– Jakimi odkryciami? – zapytał K.

Zaczerpnąłem tchu.

– Przydałoby się lekarstwo na raka.

Kanakaredes wydał z siebie głośny trzask.

– Tak, rzeczywiście by się przydało – wydyszał po chwili. – Ale to choroba waszego gatunku. Dlaczego nie wynaleźliście na nią lekarstwa?

– Próbowaliśmy – odpowiedział Gary. – To trudne zadanie.

– Tak – zgodził się Kanakaredes. – To trudne zadanie.

Postanowiłem dać sobie spokój z subtelnnością.

– Nasze gatunki muszą się uczyć od siebie nawzajem – oznajmiłem głosem być może nieco donośniejszym, niż było potrzeba, by przekrzyczeć wiatr. – Ale wy jesteście bardzo skryci. Kiedy zaczniemy naprawdę ze sobą rozmawiać?

– Gdy nauczycie się słuchać – odparł K.

– Czy dlatego wyruszyłeś z nami na tę wspinaczkę? – zapytał Paul.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – odparł robal. – Ale to jest jeden z powodów, obok potrzeby zrozumienia.

Spojrzałem na Gary'ego. Leżał na brzuchu, jego głowę dzieliło od niskiego dachu namiotu zaledwie kilkanaście centymetrów. Wzruszył lekko ramionami.

– Czy na waszym świecie macie góry? – zapytał Paul.

– Uczono mnie, że nie.

– To znaczy, że on jest podobny do Bieguna Południowego, na którym macie swoją enklawę?

– Nie jest aż tak zimno – odpowiedział Kanakaredes. – I zimą nigdy nie robi się aż tak ciemno. Ale ciśnienie powietrza jest podobne.

– To znaczy, że jesteś zaaklimatyzowany do wysokości kilku tysięcy metrów nad poziomem morza?

– Tak – potwierdził modliszkopająk.

– Zimno ci nie przeszkadza? – zapytał Gary.

– Czasami jest dokuczliwe – przyznał robal. – Ale ewolucja wyposażyła nasz gatunek w podskórną warstwę, która pozwala regulować temperaturę, podobnie jak wasze termoosłony.

Teraz na mnie przyszła kolej, by zadać pytanie.

– Jeśli na waszym świecie nie ma gór, to dlaczego chciałeś wspiąć się z nami na K2?

– A dlaczego wy chcieliście to zrobić? – odpowiedział pytaniem Kanakaredes. Obrócił gładko głowę, spoglądając kolejno na każdego z nas.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Może nie do końca cisza, bo hałas wichru i sypiącego się śniegu brzmiał tak, jakbyśmy obozowali pod włączonym silnikiem odrzutowca, ale przynajmniej nikt z ludzi się nie odzywał.

Kanakaredes zgiął wszystkie sześć kończyn, a następnie znowu je wyprostował. Wyglądało to niepokojąco.

– Chyba spróbuję teraz zasnąć – oznajmił i zamknął połą dzielącą jego niszę od naszych.

Wszyscy trzej zbliżyliśmy głowy do siebie i zaczęliśmy szeptać.

– Gada jak cholerny misjonarz – wysyczał Gary. – Całe to pieprzenie o „słuchaniu pieśni”.

– Mamy pecha – poskarżył się Paul. – To nasz pierwszy kontakt z pozaziemską cywilizacją i spotkaliśmy cholernych świadków Jehowy.

– Na razie nie wręczył nam żadnych traktatów – zauważyłem.

– Tylko zaczekaj – wyszeptał Gary. – Pewnego dnia wdrapiemy się na szczyt tego pagórka, jeśli ta jebana nawałnica nam na to pozwoli, wykończeni, próbujący zaczerpnąć powietrza, którego tam nie ma, przemarznięci jak skurwysyn, i wtedy robał zacznie nam wręczać egzemplarze modliszkopajęcej Strażnicy.

– Psst – zganił go Paul. – K może nas usłyszeć.

W tej samej chwili wiatr uderzył w namiot z taką siłą, że wszyscy próbowaliśmy wbić paznokcie w hiperpolimerową podłogę, by powstrzymać namiot przed zsunięciem się z niepewnej półki w przepaść. Gdyby doszło do najgorszego, wszyscy krzyknęlibyśmy „Otwieraj!” ile sił w płucach, tkanina inteligentnego namiotu złożyłaby się i stoczylibyśmy się ze stoku w termoosłonach, po czym złapali za czekany, by powstrzymać upadek. Tak przynajmniej wyglądało to w teorii. W rzeczywistości, gdyby półka się przesunęła albo liny z pajęczonego jedwabiu pękły, niemal na pewno znaleźlibyśmy się w powietrzu, nim zdążylibyśmy się zorientować, co się stało.

– Jeśli oderwiemy się od półki, będę przeklinał jak skurwysyn aż do chwili, gdy spadniemy na lodowiec! – zawołał Gary, gdy wiatr nieco przycichł i znowu słyszeliśmy się nawzajem.

– Może to właśnie jest pieśń, o której mówił K – zasugerował Paul i zamknął swoją połą.

Ostatnia uwaga tego dnia: modliszkopajęki chrapią.

– Mój ochronkowy brat również słucha teraz burzy w pobliżu waszego Bieguna Południowego – oznajmił nagle Kanakaredes popołudniem trzeciego dnia. – Ale znajduje się w... bardziej bezpiecznym i wygodnym miejscu niż nasz namiot.

Popatrzyłem na dwóch pozostałych ludzi. Wszyscy trzej unieśliśmy brwi.

– Nie wiedziałem, że zabrałeś ze sobą telefon, K – odezwałem się.

– Nie zabrałem.

– Radio? – zapytał Paul.

– Nie.

– Podskórny międzygalaktyczny komunikator ze Star Treka? – zasugerował Gary.

Po trzech dniach spędzonych w namiocie jego sarkazm zaczynał mnie irytować, podobnie jak zwyczaj zbyt powolnego przeżuwania batonów proteinowych. Przyszło mi na myśl, że jeśli znowu dopuści się któregoś z tych wykroczeń, mogę go zabić.

K zagwizdał bardzo cicho.

– Nie – zapewnił. – Rozumiem waszą tradycję, która zabrania zabierania urządzeń komunikacyjnych na takie ekspedycje.

– W takim razie skąd wiesz, że twój... jak to było... ochronkowy brat... przeżywa teraz burzę? – zapytał Paul.

– Stąd, że to mój ochronkowy brat – wyjaśnił K. – Urodziliśmy się o tej samej godzinie i nasze geny są w zasadzie identyczne.

– Jesteście bliźniakami – stwierdziłem.

– To znaczy, że macie zdolność telepatii? – zainteresował się Paul.

Kanakaredes pokręcił głową. Jego ssawka niemalże dotykała łopoczącej na wietrze ściany namiotu.

– Nasi uczeni uważają, że coś takiego jak telepatia nie istnieje. Dla żadnego gatunku.

– W takim razie skąd... – zacząłem.

– Mój brat i ja często wpadamy w rezonans na tej samej częstotliwości pieśni świata i wszechświata – odparł K. To było jedno z najdłuższych zdań, jakie kiedykolwiek usłyszałem z jego ust. – Podobnie jak wasze jednojajowe bliźnięta. Często nawet dzielimy te same sny.

Robale śnią. Zapisałem sobie w pamięci, by potem zarejestrować tę informację w palmtopie.

– A czy twój ochronkowy brat wie, co czujesz w tej chwili?

– Sądzę, że tak.

- A co właściwie czujesz? – zapytał Gary, stanowczo zbyt powoli żując baton proteinowy.
- W tej chwili strach – odparł Kanakaredes.

Ostra grań za obozem trzecim – około 7200 metrów

Świt czwartego dnia przyniósł nam piękną pogodę.

Spakowaliśmy się i ruszyliśmy wzdłuż trawersu, nim pierwsze promienie słońca padły na grań. Było zimno jak w psiarni.

Wspominałem już, że ta część drogi była zapewne technicznie najtrudniejsza, przynajmniej zanim dotrzemy do szczytowej piramidy, była też jednak najpiękniejsza i najbardziej zachwycająca. Możecie obejrzeć zdjęcia, na których zobaczycie, jak absurdalnie stroma jest ta część trasy, lecz nawet to nie uświadomi wam, jak bardzo odślonięci się czuliśmy. Północno-wschodnia grań pięła się w górę serią łukowatych, pokrytych śniegiem, ostrych jak nóż grzbietów. Stoki po obu ich stronach opadały w dół niemal pionowo.

Gdy tylko weszliśmy na grań, obejrzeliliśmy się na gigantyczny serak wiszący nad zdeptanym obszarem naszego obozu trzeciego. Zauważyliśmy, że po intensywnych opadach i gwałtownych wichrach trwającej cztery doby burzy stał się większy, mocniej zdeformowany i ewidentnie bardziej niestabilny niż przedtem. Nie musieliśmy nic mówić, by sobie uświadomić, że mieliśmy wielkie szczęście. Nawet Kanakaredes wyraźnie się cieszył z tego, że udało mu się stamtąd wydostać.

Po pokonaniu sześćdziesięciu metrów trawersu ruszyliśmy w górę po ostrzu noża. Ośnieżona grań była tak wąska, że mogliśmy usiąść na niej na chwilę – i robiliśmy to – jak na kalenicy bardzo stromego dachu.

Niezły dach. Po prawej stronie opadał setki metrów w dół ku terenom należącym ongiś do Chin, natomiast nasze lewe nogi – w przypadku Kanakaredesa aż trzy – zwisały nad byłym terytorium Pakistanu. W dwudziestym wieku himalaiści żartowali w tym punkcie, że potrzebują paszportów, ale nigdzie nie widzą pograniczników. W dzisiejszych czasach, gdy mamy antygrawy, hongkońska latająca kanonierka z Sinkiangu albo indyjski skoczek myśliwski mogłyby się tu pojawić w każdej chwili, zawisnąć pięćdziesiąt metrów od nas i strącić nas z grani. Jednakże nikt z nas nie przejmował się tą perspektywą. Obecność Kanakaredesa zapewniała nam bezpieczeństwo.

To był najtrudniejszy dotąd odcinek wspinaczki i nasz modliszkopajęczy przyjaciel musiał się mocno natrudzić, by dotrzymać nam kroku. Ostatniej nocy

dyskutowaliśmy o tym szeptem z Garym i Paulem, gdy K zasnął, i doszliśmy do wniosku, że ta część drogi jest zbyt stroma, byśmy mogli wszyscy połączyć się jedną liną. Postanowiliśmy, że będziemy się wspinać dwójkami. Paul był oczywistym kandydatem na partnera K, choć gdyby któryś z nich spadł z trawersu, było niemal pewne, że drugi runie z nim w przepaść. To samo dotyczyło jednak idących przodem Gary'ego i mnie. Tak czy inaczej, dawało to jakieś zabezpieczenie, choćby nawet niewielkie.

Blask słońca przesunął się w dół stoku, ogrzewając nas. Przeszliśmy z jednej strony grzbietu na drugą, trzymając się najlepszej drogi. Staraliśmy się omijać odcinki tak strome, że śnieg się ich nie trzymał, nie tylko dlatego, że były niemal pionowe, lecz również z uwagi na fakt, że skała niemal zawsze była tam zwietrzała i krucha. Chcieliśmy wspiąć się jak najwyżej, nim śnieg stanie się luźniejszy, ogrzany blaskiem słońca, co zmniejszy użyteczność raków.

Uwielbiałem listę narzędzi, którymi się posługiwaliśmy: kotwice śnieżne, haki, szable śnieżne, śruby lodowe, karabinki, mały. Kochałem też precyzję naszych ruchów, zachowaną mimo ciężkich oddechów i oszołomienia – nieodłącznie towarzyszących wysiłkowi na wysokości prawie ośmiu tysięcy metrów. Gary wbijał raki w śnieg i lód, a czasami również w skałę, posuwając się naprzód krok po kroku, zabezpieczając się w trzech punktach, nim wyrwał czekan, by wbić go nieco wyżej. Stałem na maleńkiej półce, którą wyrzeźbiłem dla siebie w śniegu, asekurowując Gary'ego aż do chwili, gdy dotarł do końca długiego, sześćdziesięciometrowego odcinka liny. Wtedy unieruchamiał swą linę za pomocą kotwicy, haka, szabli albo śruby i asekurował się, a ja ruszałem w górę, ku błękitnemu niebu, wbijając haki w ścianę śniegu, wznoszącą się niemal pionowo na odcinku około dwudziestu metrów nade mną.

Jakieś sto metrów za nami Paul i Kanakaredes robili to samo. Paul szedł przodem, a K go asekurował, a potem zamieniali się rolami i Paul odpoczywał, aż robał go dogonił.

Równie dobrze moglibyśmy przebywać na innych planetach. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Każdy haust powietrza poświęcaliśmy na dyszenie oraz precyzyjne lokowanie stóp oraz narzędzi.

Ekipa dwudziestowiecznych himalaistów mogłaby poświęcić wiele dni na pokonanie tego trawersu. Wiązałoby poręczówki, wracaliby do namiotów w obozie trzecim, by coś zjeść i się przespać, i pozwalaliby, żeby inna grupa torowała drogę następnego dnia. Nas nie było stać na takie luksusy. Musieliśmy pokonać trawers za pierwszym podejściem i ruszyć dalej w górę, dopóki utrzymywała się piękna pogoda. W przeciwnym razie mielibyśmy przesrane.

Byłem tym zachwycony.

Po jakichś pięciu godzinach spędzonych na trawersie uświadomiłem sobie, że wokół mnie latają motyle. Spojrzałem na znajdującego się sześćdziesiąt metrów nade mną Gary'ego. On również gapił się na motyle – maleńkie barwne plamki tańczące w powietrzu na wysokości siedmiu kilometrów nad poziomem morza? Co, do licha, pomyśli o tym Kanakaredes? Czy uzna, że to zupełnie zwyczajne wydarzenie na tej wysokości? Kto wie, może i tak było. Ludzie za rzadko wspinali się tak wysoko, byśmy mogli mieć pewność. Pokręciłem głową i wróciłem do wbijania czekana oraz raków w niemal pionową ścianę.

Było późne popołudnie i promienie słońca padały na nas poziomo, gdy wszyscy czterej wreszcie zeszliśmy z ostrego jak nóż grzbietu na końcu trawersu. Grań nadal była tu przerażająco stroma, ale stała się na tyle szeroka, że mogliśmy na niej stanąć i spojrzeć z góry na ślady zostawione przez nas na grzbiecie. Choć wspinam się od wielu lat, nadal trudno mi było uwierzyć, że jesteśmy w stanie je pozostawić.

– Hej! – zawołał Gary. – Jestem jebanym olbrzymem!

Machał rękami, spoglądając na Sinkiang i lodowiec Godwin-Austen wiele kilometrów w dół.

To wpływ wysokości, pomyślałem. Będziemy musieli podać mu środek uspokajający, związać go w śpiworze i zanieść w dół tą samą drogą, którą tu przyszliśmy, jak brudną bieliznę.

– Chodź! – zawołał do mnie głosem zniekształconym przez rzadkie powietrze. – Zostań olbrzymem, Jake.

Nadal machał rękami. Obejrzałem się za siebie. Paul i Kanakaredes również podskakiwali, krzyczeli i machali rękami, choć ostrożnie, by nie spaść z szerokiej tylko na trzydzieści centymetrów grani. K poruszał modliszkowatymi przednimi kończynami w sześciu kierunkach jednocześnie, obracając nimi we wszystkich stawach, a jego bezkostne pałce wiły się jak wielkie larwy. To był naprawdę zdumiewający widok.

Wszyscy oszaleli, pomyślałem. Odbiło im z braku tlenu. Nagle skierowałem spojrzenie w dół, w kierunku wschodnim.

Na lodowiec i sąsiednie góry padały nasze cienie, długie na wiele kilometrów. Uniosłem rękę. A potem je opuściłem. Mój cień padający na ciemną linię grani zrobił to samo. Miał chyba z piętnaście kilometrów wysokości.

Skakaliśmy, krzyczeliśmy i machaliśmy rękami, aż wreszcie słońce skryło się za Broad Peak i nasze ogromne cienie zniknęły na zawsze.

***Obóz szósty – wąska półka na ośnieżonej kopule
u podstaw szczytowej piramidy, 8000 metrów***

Nie było już rozmów ani słuchania piosenek. Nie było podskakiwania, krzyczenia ani machania rękami. Tlenu było za mało, by oddychać albo myśleć, nie wspominając już o wygłupianiu się.

W ciągu trzech ostatnich dób rozmawialiśmy ze sobą bardzo niewiele. Wspinaliśmy się po coraz szerszej północno-wschodniej grani do podstawy ośnieżonej kopuły, a potem po samej kopule. Cały czas utrzymywała się dobra pogoda – niewiarygodne o tak późnej porze roku. Warstwa śniegu była gruba z powodu burzy, która unieruchomiła nas w obozie trzecim, ale torowaliśmy drogę na zmianę. To bardzo męczące nawet na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza, a powyżej siedmiu tysięcy pięciuset wręcz odbiera zdolność myślenia.

Nocami nawet nie chciało nam się łączyć namiotu. Po prostu wykorzystywaliśmy swoje segmenty jak płachty biwakowe. Jedliśmy tylko jeden ciepły posiłek na dobę – superodżywczą zupę gotowaną na jednym piecyku (drugi zostawiliśmy na dole, poniżej trawersu, razem ze wszystkim, co nie miało się nam przydać podczas ostatnich trzech albo czterech dni wspinaczki). Nocami gryźliśmy zimne batony proteinowe, nim zapadliśmy w nerwowy półsen na kilka godzin, by o trzeciej albo czwartej rano obudzić się znowu i ruszyć w dalszą drogę w świetle lamp.

Wszystkim trzem ludziom dokuczały straszliwe bóle głowy i wysokościowa głupota. W najgorszym stanie był Paul – być może z powodu strachu przed odmrożeniem, które zagroziło mu podczas pierwszej próby pokonania trawersu. Kasłał mocno i poruszał się ospale. Nawet K zwolnił. Na tej wysokości wspinał się z reguły na dwóch nogach i czasami potrzebował minuty albo i więcej, by zrobić kolejny krok.

Większość gór w Himalajach ma granie prowadzące do samego szczytu. Ale nie K2. Północno-wschodnia grań kończyła się wielką ośnieżoną kopułą, sześćset metrów poniżej szczytu.

Wspięliśmy się na nią – powoli głupio, ospale i oddzielnie. Nie używaliśmy lin ani asekuracji. Gdyby któryś z nas spadł i się zabił, to byłaby samotna śmierć. Nic nas to nie obchodziło. Powyżej legendarnej granicy ośmiu tysięcy metrów wszyscy zapadamy się w siebie, a często nawet siebie tracimy.

Nie zabraliśmy ze sobą tlenu ani nawet lekkich masek osmotycznych udoskonalonych w ostatnim dziesięcioleciu. Mieliśmy jedną taką maskę, na wypadek gdyby któryś z nas znalazł się w stanie krytycznym z powodu obrzęku płuc albo czegoś jeszcze gorszego, ale zostawiliśmy ją powyżej obozu czwartego razem z piecykiem, większą częścią lin oraz innymi nadmiarowymi zapasami. Wtedy wydawało się nam, że to dobry pomysł.

Ale teraz nie mogłem myśleć o niczym poza oddychaniem. Każdy ruch – każdy krok – wymagał więcej powietrza niż go miałem, więcej tlenu, niż było go w moim organizmie. Paul był chyba w jeszcze gorszym stanie, chociaż jakoś się trzymał. Gary poruszał się miarowo, ale chwilami jakiś gest albo przerwa zdradzały, że dręczą go bóle głowy oraz dezorientacja. Rankiem, zanim opuściliśmy obóz szósty, dwukrotnie zwymiotowałem. Nocami budziliśmy się nagle po zaledwie minucie albo dwóch minutach półsnu i rozpaczliwie próbowaliśmy zaczerpnąć tchu, łapiąc się za klatki piersiowe, jakby coś ciężkiego leżało na nich, próbując nas udusić.

Rzeczywiście coś próbowało tu nas zabić. A właściwie wszystko. Byliśmy wysoko w strefie śmierci, a K2 nawet w najmniejszym stopniu nie obchodziło, czy przeżyjemy.

Dobra pogoda nadal się utrzymywała, ale był już najwyższy czas na powrót wichury i śnieżyca. Był koniec sierpnia. W każdej chwili nieustająca burza mogła unieruchomić nas tu na wiele tygodni, uniemożliwiając nam zarówno dalszą wspinaczkę, jak i odwrót. Mogliśmy tu umrzeć z głodu. Zacząłem myśleć o czerwonym guziku w palmlogu.

Opowiedzieliśmy o nim Kanakaredesowi, kiedy gotowaliśmy zupę w obozie piątym. Modliszkopajak poprosił, żebyśmy pokazali mu ten dodatkowy palmlog, a potem wyrzucił go w ciemność za wejściem do namiotu, by spadł w przepaść.

Gary przyglądał się naszemu robalowi przez dłuższą chwilę. Wreszcie uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę. K wyprostował modliszkowatą kończynę, obrócił ją w stawie, otoczył trzema palcami dłoń Gary'ego i uścisnął ją.

Wtedy ten gest wydawał mi się piękny i bohaterski, ale teraz wolałbym odzyskać ten cholerny czerwony guzik.

Wstaliśmy tuż po pierwszej trzydziści w nocy, ubraliśmy się i zaczęliśmy gotować wodę na ostatni posiłek przed próbą wejścia na szczyt. Nikt z nas i tak nie spał, a każda dodatkowa godzina spędzona w strefie śmierci zwiększała ryzyko tragicznej porażki. Poruszaliśmy się jednak bardzo powoli. Wydawało się, że samo wciągnięcie butów zajęło nam kilka godzin, a poprawienie raków trwało całą wieczność. Opuściliśmy namioty gdzieś o trzeciej nad ranem. Zostawiliśmy je w obozie szóstym. Jeśli przeżyjemy, wrócimy do nich.

Było niewiarygodnie zimno. Nawet termoosłony i inteligentne parki nie wystarczały. Gdyby wiał wiatr, nie moglibyśmy ruszyć w drogę.

Zaczęliśmy to, co zwykle nazywamy bezpośrednim atakiem – wejście na szczyt albo klęska – mimo że nasz oryginalny plan B przewidywał, że gdyby bezpośredni atak okazał się niewykonalny, spróbujemy trawersowania wokół szczytu K2 aż do najstarszej drogi na szczyt, Żebra Abruzzi, położonego na

północnym zachodzie. Chyba wszyscy trzej podejrzewaliśmy, że sprawa skończy się na Abruzzi. Większość naszych poprzedników wspinających się północno-wschodnią granią – nawet legendarny Reinhold Messner, być może największy himalaista dwudziestego wieku – była zmuszona zmienić trasę i wybrać łatwiejsze Żebro Abruzzi, zamiast narażać się na klęskę w bezpośrednim ataku.

Wczesnym popołudniem dnia, w którym mieliśmy dokonać ataku na szczyt, bezpośredni atak wydał się niemożliwy, podobnie jak trawersowanie do Abruzzi. Warstwa śniegu była tak gruba, że nie mieliśmy szans się przez nią przedostać. Lawiny schodzą tamtędy kilka razy na godzinę. A nad nami śniegu jest jeszcze więcej. Mieliśmy przejebane.

Dzień zaczął się dobrze. Nad niemal pionową kopułą śnieżną, w której wyrąbaliśmy półkę na tyle szeroką, że można było zrobić na niej obóz szósty, zaczynało się wielkie pole śnieżne, pnące się coraz wyżej ku czarnemu, rozgwieżdżonemu niebu, by wreszcie przerodzić się w ścianę. Pięliśmy się po nim w górę straszliwie powoli. Każdy z nas zostawiał odrębny ślad i wszyscy pogrążaliśmy się w swoich myślach. Gdy dotarliśmy do końca śnieżnego pola, robiło się już jasno.

Przed sobą mieliśmy pionową ścianę lodu, wysoką na co najmniej czterdzieści pięć metrów. Dosłownie pionową, niech to szlag. Wszyscy czterej staliśmy pod nią w blasku poranka. Trzej z nas pocierali gogle, gapiąc się na urwisko jak idioci. Wiedzieliśmy, że je tu znajdziemy, ale nie spodziewaliśmy się czegoś tak diabelnie trudnego.

– Pójdę pierwszy – wydyszał Paul. Ledwie trzymał się na nogach.

Wspiął się na to skurwysyństwo klasyczną metodą, używając sprzętu tylko do asekuracji. Wbijał w ścianę śruby i haki, a potem przywiązywał do nich to, co zostało z naszej liny. Pozostała trójka podążyła za nim powoli i bez zastanowienia. Szedłem ostatni, tuż za K. Paul był półprzytomny.

Za lodowym urwiskiem zaczynał się odcinek skały tak stromej, że śnieg nie mógł się na niej utrzymać. Sprawiała wrażenie zmurszałej i zdradliwej. Każdy zdrowy na umyśle wspinacz trawersowałby przez pół dnia, by uniknąć takiego kruchego syfu.

Dzisiaj jednak nie mogło być mowy o trawersach. Stary lód był pokryty warstwami miękkiego śniegu i wszelkie próby przesunięcia się w bok niemal z pewnością spowodowałyby lawinę.

– Teraz ja poprowadzę – zaproponował Gary, nadal przyglądając się skale nad nami. Ścisnął głowę w obu dłoniach.

Wiedziałem, że z nas trzech to właśnie on najbardziej cierpi z powodu bólów głowy w strefie śmierci. Wiedziałem, że od czterech albo pięciu dni za każdym

jego słowem i oddechem kryły się ukłucia stalowych igieł wbijających się mu w czaszkę.

Skinąłem głową i pomogłem Paulowi wstać. Gary zaczął się wspinać na dolne warstwy kruszącej się skały.

Późnym popołudniem dotarliśmy do górnego końca skalnego pasa. Wiatr się wzmaga. Z niemal pionowej ściany przed nami porywa tumany śniegu. Nie widzimy szczytu. Nad wąskim żlebem, który wznosi się niczym komin do lodowatego piekła, zaczyna się pole śnieżne szczytowej piramidy. Znajdujemy się powyżej granicy 8200 metrów.

K2 ma 8611 metrów wysokości.

Ostatnie czterysta metrów równie dobrze mogłoby być mierzone w latach świetlnych.

– Ja utoruję drogę w górę żlebu – słyszę własny głos.

Pozostali nawet nie kiwają głowami, tylko po prostu czekają, aż ruszę przed siebie. Kanakaredes wspiera się na swym czekaniu. Nigdy nie widziałem u niego takiej pozy.

Po pierwszym kroku do żlebu zapadam się w śnieg powyżej kolan. To katastrofa. Mógłbym się rozplakać, ale łyzy natychmiast zamarzyłyby na wewnętrznej powierzchni moich gogli i oślepiły mnie. Nie jestem w stanie zrobić następnego kroku. Nie mogę nawet oddychać. Głowa boli mnie tak okropnie, że obraz tańczy i zamazuje mi się przed oczami. Wycieranie gogli nic na to nie pomaga.

Unoszę czekan, wbijam go w śnieg metr wyżej i unoszę prawą nogę. A potem lewą. I znowu prawą.

Pole śnieżne na piramidzie nad żlebem, prawie 8500 metrów

Późne popołudnie. Gdy wejdziemy na szczyt, będzie już prawie ciemno. Jeśli na niego wejdziemy.

Wszystko zależy od śniegu, który widzimy nad nami na tle niewiarygodnie ciemnoniebieskiego nieba. Jeśli śnieg jest twardy – niepodobny do sięgającej ud brei, przez którą torowałem nam drogę przez cały żleb – będziemy mieli szansę, nawet schodząc ze szczytu po ciemku.

Ale jeśli śnieg będzie głęboki...

– Ja poprowadzę – odezwał się Gary, przesuwał mały plecak i brnąc powoli naprzód, by zastąpić mnie na czele.

Na szczycie żlebu znajduje się pas skalny i gdy Gary z niego zejdzie, stanie na śniegu albo wpadnie w niego. Jeśli powierzchnia jest twarda, będziemy mogli iść po niej, pomagając sobie rakami w ciągu kilku ostatnich godzin wspinaczki na szczyt, którego nadal nie widać.

Próbuję się rozejrzeć. Dosłownie pod swymi stopami, niewiarygodnie daleko, widzę ostrą jak nóż grań, a jeszcze niżej grań, na której rozbiliśmy obóz drugi, a wiele kilometrów za nią łukowatą, pokrytą zmarszczkami rzekę lodowca Godwin-Austen oraz niejasne wspomnienie obozu bazowego i formy życia – porosty, wrony, kępy trawy dostrzegalne w miejscach, gdzie lodowiec topniał. Po drugiej stronie ciągnie się Karakorum, białe turnie wznoszące się ku niebu niczym kły, bardziej odległa część pasma łącząca się z Himalajami oraz samotna góra rysująca się na tle firmamentu. Jestem za głupi, by zgadnąć, która to. Czerwone wzgórza Chin płoną w gęstej mgiełce nadającej się do oddychania atmosfery, sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od nas.

– W porządku – mówi Gary. Schodzi ze skały na pole śnieżne.

I zapada się w miękki śnieg po pas.

Jakimś cudem znajduje siłę, by przeklinać tak głęboki śnieg i wszystkich bogów, którzy go tu umieścili. Robi kolejny krok w górę.

Śnieg jest tu jeszcze głębszy. Gary zapada się weń prawie po pachy. Bije pole śnieżne czekaniem, okłada je ukrytymi w grubych rękawicach dłońmi.

Śnieg i K2 ignorują go.

Osuwam się na kolana na zwiertzałej skale, wspierając się na czekanie. Nie dbam o to, czy towarzysze usłyszą moje łkanie ani czy zamarzające łyzy zakleją mi powieki. Wyprawa jest skończona.

Kanakaredes powoli przeciąga segmentowane ciało przez ostatnie trzy metry żlebu. Mija Paula, który wymiotuje pod głazem, mija moją klęczącą sylwetkę, zmierzając do ostatniego odcinka nienaruszonej powierzchni, za dziurą w śniegu zrobioną przez Gary'ego. Zatrzymuje się przed nią.

– Przez pewien czas ja poprowadzę – mówi modliszkopająk.

Zatyka czekan w uprząży. Obniża przedtułów. Jego tylne nogi zginają się i rozpościerają na boki, a ręce – przednie nogi – obracają się w dół i do przodu.

Kanakaredes rzuca się w głęboki śnieg niczym olimpijski pływak i mija Gary'ego, który ugrzązł po pachy w miękkim puchu.

Robal – nasz robal – miota się w śniegu, okłada go przednimi kończynami, tworzy w nim przejścia podkulonymi palcami, ubija opancerzonym górnym segmentem ciała, płynie przez niego, poruszając wszystkimi sześcioma kończynami.

Nie ma szans robić tego zbyt długo. To niemożliwe. Nic żyjącego nie może mieć w sobie tyle energii i woli. Do szczytu zostało dwieście, może dwieście

pięćdziesiąt metrów.

K pływaniem, kopaniem i walką kieruje sobie drogę dziesięć metrów w górę stoku. Dwadzieścia metrów. Trzydzieści.

Podnoszę się na nogi. Moje skronie wypełnia pulsujący ból. Wyczuwam wokół obecność niewidzialnych wspinaczy, duchów unoszących się we mgle cierpienia i dezorientacji, wypełniającej strefę śmierci. Przechodzę obok Gary'ego i zaczynam posuwać się naprzód, podążam za K, brnąc przez skruszoną barierę śniegu.

Szczyt K2, 8611 metrów

Wchodzimy na szczyt jednocześnie, ramię w ramię. Wszyscy czterej. Ostatnia grań jest wystarczająco szeroka, by na to pozwolić.

Na wielu ośmiotysięcznikach spotyka się przewieszki. Po straszliwym wysiłku wspinacz często próbuje postawić ostatni krok do zwycięstwa i spada półtora kilometra w dół. Nie wiemy, czy na K2 również są przewieszki. Podobnie jak wielu tych, którzy wspinali się na szczyt przed nami, jesteśmy zbyt zmęczeni, by nas to obchodziło. Kanakaredes nie jest już w stanie chodzić ani nawet stać po tym, jak przez dwieście metrów torował nam drogę przez śnieg. Przez jakieś trzydzieści ostatnich metrów niesiemy go we dwóch z Garym, wsuwając ręce pod pachy jego modliszkowatych ramion. Ze zdumieniem przekonuję się, że jest bardzo lekki. Cała ta energia i duch ważą najwyżej czterdzieści pięć kilogramów.

Na szczycie nie ma przewieszek. Nie spadamy.

Pogoda się utrzymuje, mimo że słońce zachodzi. Jego ostatnie promienie nas ogrzewają, ciepło przenika przez parki i termoosłony. Firmament ma niebieską barwę głębszą niż błękit, znacznie głębszą niż topaz i nieporównanie głębszą niż ultramaryna. Być może ten odcień nie ma żadnej nazwy.

Widzimy krzywiznę powierzchni Ziemi na dole. Zza horyzontu wystają dwie turnie, pola lodowe ich szczytów lśnią pomarańczowo w blasku zachodzącego słońca. Są bardzo daleko na północny wschód od nas, zapewne gdzieś w chińskim Turkiestanie. Na południe od nas ciągnie się labirynt szczytów i krętych lodowców, składający się na Karakorum. Widzę perfekcyjny zarys szczytu Nanga Parbat – Gary, Paul i ja wspięliśmy się na niego przed sześciu laty – a nieco bliżej Gaszerbrum. U naszych stóp – dosłownie – widać Broad Peak. Kto by pomyślał, że jego szczyt widoczny z góry jest tak szeroki i płaski?

Wszyscy czterej leżymy na wąskim wierzchołku, może z sześćdziesiąt centymetrów od krawędzi przepaści na północ od nas. Nadal obejmuję

Kanakaredesa. Udaję, że powstrzymuję go przed upadkiem, ale w rzeczywistości w równym stopniu trzymam się jego.

Modliszkopajak wydaje z siebie trzaski, syki i piski. Potrząsa dziobem i próbuje raz jeszcze.

– Przepraszam... – dyszy, powietrze przepływa z sykiem przez nozdrza w jego dziobie. – Co, zgodnie z tradycją, powinniśmy teraz zrobić? Czy jest jakaś ceremonia przewidziana na tę chwilę? Jakiś rytuał?

Spoglądam na Paula, który najwyraźniej wychodzi z bezwładu, jaki go ogarnął. Potem obaj patrzymy na Gary’ego.

– Najważniejsze to nie spieprzyć sprawy i nie stracić życia – odpowiada ten, dysząc ciężko. – Więcej wspinaczy ginie podczas zejścia niż po drodze na górę.

Kanakaredes zastanawia się przez chwilę nad tymi słowami.

– Tak, ale musi być jakiś rytuał do wykonania na szczycie...

– Zdjęcie bohaterów... – dyszy Paul. – Musimy mieć... zdjęcia bohaterów...

Nasz kosmita kiwa głową.

– Czy... ktoś... ma... jakieś urządzenie zapisujące obrazy? Aparat? Ja nie mam.

Popatrzyliśmy na siebie nawzajem z Garym i Paulem, pokleпалиśmy się po kieszeniach parek i wybuchnęliśmy śmiechem. Na tej wysokości zabrzmiało to jak kaszel trzech chorych fok.

– No cóż, nie będzie zdjęć – podsumowuje Gary. – W takim razie musimy wyciągnąć flagi. Zawsze zabieraj ze sobą flagę na szczyt, tak brzmi ludzka dewiza.

Od wygłoszenia tak długiego tekstu Gary’emu zakręciło się w głowie i musiał na dłuższą chwilę schować ją między kolanami.

– Nie mam flagi – przyznaje Kanakaredes. – Słuchacze nigdy nie mieli niczego w tym rodzaju.

Słońce zachodzi już na dobre, jego ostatnie promienie przedostają się przez szczeliny w łańcuchu górskim na zachodzie. Czerwonawopomarańczowe światło pada na nasze głupio uśmiechnięte twarze, rękawice, gogle i pokryte lodową skorupą parki.

– My też nie przynieśliśmy flagi – mówię.

– To dobrze – mówi K. – Czy nie ma nic więcej, co powinniśmy zrobić?

– Tylko zejść na dół żywi – odpowiada Paul.

Wstajemy razem, chwiejąc się lekko na nogach, opieramy się o siebie nawzajem, podnosimy czekany, które przedtem rzuciliśmy na lśniący w promieniach słońca śnieg, i wracamy po własnych śladach na pogrążone w cieniu pole śnieżne.

Lodowiec Godwin-Austen, około 5300 metrów

Potrzebowaliśmy tylko czterech i pół doby, wliczając w to dzień odpoczynku w dawnym obozie trzecim, po dolnej stronie ostrego jak nóż trawersu.

Cały ten czas utrzymywała się dobra pogoda. Do obozu szóstego, poniżej ściany lodu, wróciliśmy dopiero o trzeciej w nocy po dniu spędzonym na szczycie po udanym wejściu, ale dzięki brakowi wiatru nasze ślady pozostały widoczne nawet w świetle lampy i nikt się nie pośliznął ani nie ucierpiał z powodu odmrożenia.

Później schodziliśmy szybko. Wyruszyliśmy w drogę tuż po świcie, by przed zmierzchem dotrzeć do obozu czwartego po górnej stronie ostrej jak nóż grani... i nim bogowie K2 zmienią zdanie i ześlą burzę, która uwięzi nas w strefie śmierci.

O dziwo, do jedyne go incydentu na dolnych stokach góry doszło na stosunkowo łatwym, ośnieżonym stoku poniżej obozu drugiego. Nasza czwórka torowała sobie drogę w dół, niepołączona linami. Wszyscy zatopiliśmy się w myślach i w całkiem przyjemnej mgiełce wyczerpania, tak często zdarzającej się pod koniec wspinaczki, gdy K nagle utracił równowagę – być może potknął się o jedną ze swych tylnych nóg, choć później temu przeczył – i padł na brzuch, a przynajmniej na dolny fragment pokrywającej górną część ciała skorupy. Jego sześć kończyn rozpostarło się szeroko, a czekan wypadł mu z rąk. Modliskopajak rozpoczął zjazd w dół, który na odcinku pierwszych stu metrów mógłby być całkowicie nieszkodliwy. Dalej jednak znajdowało się pionowe urwisko, opadające ku położonemu sto metrów niżej lodowcowi.

Na szczęście Gary znajdował się trzysta metrów przed nami. Wbił czekan w lód, owinął się liną, bezbłędnie wymierzył czas, rzucił się na brzuch, wyciągnął rękę i złapał za trzy palce Kanakaredesa, gładko jak akrobata podczas pokazów na trapezie. Lina napięła się mocno, czekan pozostał na miejscu, a człowiek i modliskopajak zakołysali się dwa i pół raza, jakby znajdowali się na końcu wahadła. To był koniec dramatu. Następnego dnia K musiał schodzić w dół lodowca bez czekana, ale jakoś sobie z tym poradził. Dowiedzieliśmy się, w jaki sposób robale okazują zawstydzenie – jego potyliczne grzebienie przybrały ciemnopomarańczowy kolor.

Gdy wreszcie zeszliliśmy z grani, połączyliśmy się linami, by zejść po lodowcu i jednogłośnie postanowiliśmy, że będziemy się trzymać blisko wschodniej ściany K2. Wcześniejsza burza śnieżna ukryła wszystkie rozpadliny, ale od siedemdziesięciu dwóch godzin nie słyszeliśmy ani nie widzieliśmy żadnej lawiny. Blisko wschodniej ściany było mniej szczelin, natomiast lawina mogła nas zaskoczyć na lodowcu wszędzie. Trzymanie się blisko ściany mogło się

wiązać z pewnym ryzykiem, pozwoli nam jednak zejść z lodowca i opuścić zagrożony lawinami teren dwa razy szybciej, niż gdybyśmy schodzili środkiem lodowca, cały czas wystrzegając się szczelin.

– Może powinniśmy porozmawiać o sprawie Olympus Mons, K – odezwał się nagle Gary, gdy pokonaliśmy już dwie trzecie drogi w dół i wyraźnie widzieliśmy jaskrawoczerwone namioty obozu bazowego na skale na dole, poniżej lodowca.

– Tak – zgodził się robił złożonym z trzasków i syków głosem. – Z niecierpliwością czekałem na tę chwilę i mam nadzieję, że być może...

Usłyszeliśmy lawinę, nim ją zobaczyliśmy. To było tak, jakby z góry, ze ściany K2, zmierzało ku nam kilka pociągów towarowych.

Wszyscy zamarliśmy w bezruchu, starając się wypatrzeć śnieżny ślad lawiny w daremnej nadziei, że zejdzie z lodowca gdzieś daleko od nas. Schodziła w dół przez *bergeschrund* czterysta metrów bezpośrednio nad nami, z każdą chwilą nabierając prędkości. Wyglądała jak białe tsunami. Jej huk był ogłuszający.

– Uciekajcie! – zawołał Gary.

Wszyscy popędziliśmy w dół, nie przejmując się tym, że możemy wpaść w bezdenne szczeliny. Nie dbaliśmy o to, chcieliśmy tylko, wbrew wszelkiej logice, prześcignąć ścianę śniegu, lodu i głazów schodzącą na nas z szybkością prawie stu kilometrów na godzinę.

Pamiętam, że byliśmy powiązani ostatnim kawałkiem naszej liny. Schodziliśmy oddaleni od siebie o około osiemnastu metrów, przywiązawszy linę do uprzęży. To nie miało znaczenia dla Gary'ego, Paula i mnie, ponieważ wszyscy biegliśmy w tym samym kierunku i mniej więcej z tą samą szybkością, ale później widziałem modliszkopająki poruszające się z pełną prędkością – wykorzystują do tego wszystkie sześć kończyn, a ich dłonie przekształcają się w dodatkową parę płaskich stóp – i wiem, że K mógłby włączyć wysokie obroty i biec cztery razy szybciej od nas. Być może zdołałby umknąć przed lawiną, nim jej południowa granica nas doścignęła. Być może.

Nie próbował tego zrobić. Nie przeciął liny. Uciekał razem z nami.

Południowy koniec lawiny dopadł nas, uniósł w górę i pochłoniął, pozrywał niezniszczalne liny z pajęczego jedwabiu, znowu cisnął nami w górę i ponownie połknął, poniósł nas na poprzesywany szczelinami obszar u podstawy lodowca i rozdzielił na zawsze.

Waszyngton

Trzy miesiące później, gdy siedziałem w poczekalni sekretarz stanu, miałem czas zastanowić się nad całą tą sprawą.

Pieśń pojawiła się przed dwoma miesiącami i od tego czasu słyszą ją wszyscy, którzy mieszkają na planecie, nawet robale. Jej złożoność i piękno narastają z każdą chwilą. O dziwo, Pieśń nie odwraca naszej uwagi. Zajmujemy się swoimi sprawami. Pracujemy, rozmawiamy, jemy, oglądamy HDTV, uprawiamy miłość i śpimy, ale ona zawsze towarzyszy nam w tle, gdy tylko ktoś chce jej posłuchać.

To niewiarygodne, że dotąd jej nie słyszeliśmy.

Nikt już nie nazywa naszych gości robalami, modliszkopająkami ani Słuchaczami. Wszyscy, we wszystkich językach, mówią o nich Przynosiciele Pieśni.

A tymczasem oni ciągle nam powtarzają, że wcale nie przynieśli Pieśni, tylko nauczyli nas jej słuchać.

Nie mam pojęcia, jak i dlaczego ocalałem, podczas gdy wszyscy pozostali zginęli. Pływanie na wierzchu śnieżnej lawiny jest teoretycznie możliwe, ale prawda wygląda tak, że nikt z nas nie miał szansy tego spróbować. Szeroka na niemal kilometr fala, ściana śniegu i głazów po prostu zalała nas i pochłonęła, a potem wypluła tylko mnie, z powodów znanych być może wyłącznie K2. Choć zapewne nawet sama góra tego nie wie.

Znaleźli mnie, nagiego i poranionego, dobrze ponad kilometr od miejsca, w którym doścignęła nas lawina. Gary'ego, Paula i Kanakaredesa nie udało się odszukać.

Ratunkowy antygraw dotarł na miejsce po trzech minutach – z pewnością przez cały czas byli gotowi do interwencji – ale po dwudziestu godzinach głębokiego sondowania i poszukiwań za pomocą sonaru, gdy marines i biurokraci byli gotowi usunąć dolną trzecią część lodowca za pomocą laserów, jeśli okaże się to konieczne, by odnaleźć ciała moich przyjaciół, zabronił im tego Aduradake, który, jak się okazało, jest i ojcem, i matką Kanakaredesa.

– Zostawcie ich tam, gdzie są – polecił podenerwowanym biurokratom z ONZ oraz zasepionym marines. – Zginęli razem na waszym świecie i powinni pozostać razem w jego objęciach. Dołączyli do swej części Pieśni.

Pieśń zaczęła się jakiś tydzień później. A przynajmniej wtedy usłyszeliśmy ją po raz pierwszy.

Asystent Bright Moon wychodzi na korytarz i przeprasza wylewnie za to, że musiałem czekać – sekretarz stanu była z prezydentem – i prowadzi mnie do jej gabinetu.

Stoimy tam i czekamy.

Widywałem mecze futbolowe rozgrywane na obszarach mniejszych niż to pomieszczenie.

Po minucie Bright Moon wchodzi do środka przez inne drzwi i prowadzi mnie ku dwóm zwróconym ku sobie kanapom zamiast do niewygodnego krzesła za jej olbrzymim biurkiem. Każe mi usiąść naprzeciwko siebie, upewnia się, czy nie chcę kawy ani innych poczęstunków, odsyła asystenta skinieniem głowy, ponownie składa mi kondolencje z powodu śmierci przyjaciół (była na uroczystości żałobnej, na której przemawiał prezydent), i rozmawia ze mną przez jakąś minutę o tym, jak cudowne stało się życie, odkąd Pieśń połączyła nas wszystkich. Następnie przez kilka minut wypytuje mnie z wrażliwością i współczuciem o mój powrót do zdrowia (jest pełny), stan umysłu (nadal jestem wstrząśnięty, ale czuję się już lepiej), hojny zasiłek, który mi przyznano (już go zainwestowałem), a na koniec o plany na przyszłość.

– Dlatego prosiłem o to spotkanie – mówię. – Obiecano nam wyprawę na Olympus Mons.

Gapi się na mnie ze zdziwieniem.

– Na Marsie – dodaję niepotrzebnie.

Sekretarz Betty Willard Bright Moon kiwa głową i siada wygodniej na kanapie. Strzepuje jakieś niewidoczne kłaczki z granatowej spódnicy.

– Ach tak – mówi. Jej głos nadal brzmi przyjemnie, ale słyszę w nim teraz nutę twardości, którą pamiętam z naszego spotkania na Szczycie Świata. – Przynosiciele potwierdzili, że zamierzają dotrzymać tej obietnicy.

Czekam.

– Czy zdecydował pan, kim mają być pana partnerzy? – pyta, wyjmując obrzydliwie drogiego, mikroskopijnie cienkiego platynowego palmloga, jakby zamierzała robić notatki, by pomóc spełnić moją zachciankę.

– Tak – odpowiadam.

Tym razem to Bright Moon musi czekać, aż powiem coś więcej.

– Chcę, żeby to był brat Kanakaredesa – dodaję. – Jego... ochronkowy brat.

Szczęka Betty Willard Bright Moon omal nie opada. Bardzo wątpię, by zareagowała w ten sposób na czyjekolwiek słowa w ciągu swej trzydziestoletniej kariery zawodowej negocjatorki, najpierw jako uczona z Harvardu, niemająca w zwyczaju brać jeńców, a ostatnio jako sekretarz stanu.

– Mówi pan poważnie – stwierdziła.

– Tak.

– Czy pragnie pan zabrać kogoś więcej, poza tym akurat roba...
Przynosicielem?

– Nikogo więcej.

– Czy jest pan pewien, że ten ochronkowy brat w ogóle istnieje?

– Jestem pewien.

– Skąd pan wie, że jest gotowy zaryzykować życie, żeby wspiąć się na wulkan na Marsie? – pyta. Na powrót przybiera swój pokerowy wyraz twarzy. –

No wie pan, Olympus Mons jest wyższy niż K2. I zapewne bardziej niebezpieczny.

Prawie się uśmiecham, słysząc tę wiadomość, ale nie do końca.

– Zgodzi się – zapewniam.

Sekretarz Bright Moon pośpiesznie zapisuje coś w palmlogu, a potem się waha. Mimo że wyraz jej twarzy jest całkowicie neutralny, dostrzegam, że zastanawia się, czy zadać pytanie, którego może nie mieć okazji zadać później.

Do licha, wiedza o fakcie, że usłyszę to pytanie, i niemożność zdecydowania, jak na nie odpowiedzieć, sprawiły, że nie odwiedziłem jej już przed miesiącem, gdy postanowiłem, że to zrobię. Później jednak przypomniałem sobie, co powiedział mi Kanakaredes, kiedy go zapytałem, dlaczego robale pokonały tak długą drogę, by nas odwiedzić. Czytał Mallory'ego i rozumiał Gary'ego, Paula oraz mnie. Rozumiał pewną cechę naszego gatunku, której ta kobieta nigdy nie zrozumie.

Postanawia zadać pytanie.

– Dlaczego... – zaczyna. – Dlaczego chce się pan wspiąć na tę górę?

Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, choć wiem, że nigdy mnie nie zrozumie, i bez względu na to, że od tej chwili będzie mnie uważała za okropnego palanta, nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Bo jest.

Koniec grawitacji

Historia napisana z myślą o przeniesieniu na ekran

Ponad jedenaście kilometrów nad arktyczną pokrywą lodową Normanowi Rothowi śni się, że unosi się na wodzie.

Ma cztery, może pięć lat i ojciec uczy go pływać w oceanie, w pobliżu domku letniskowego na Long Island. Roth unosi się na plecach w słonej wodzie i zmusza się do rozluźnienia mięśni w pewnym uścisku ojcowskich ramion. Fale uderzają o brzeg i chłopiec uspokaja nerwowy oddech, dostosowując go do ich rytmu.

– Spokojnie – mówi mu ojciec. – Utrzymuj się na powierzchni. Niech ocean wykona pracę za ciebie. Teraz cię puszczę.

Robi to, ale trzyma ręce blisko, gotowy złapać dziecko, gdyby zaczęło tonąć. Chłopiec utrzymuje się na powierzchni, kołysze się na falach, mocno zaciska powieki, wyciąga chude ręce i szeroko rozstawia nogi na powierzchni wody. Nie otwierając oczu, uśmiecha się z przerażenia i radości. Szum fal jest bardzo głośny.

Roth otwiera oczy. Odgłos fal zmienia się w dźwięk powietrza przechodzącego przez klimatyzację w przyciemnionej kabinie pierwszej klasy boeinga 747. Nie jest już dzieckiem, lecz znużonym mężczyzną w średnim wieku. Pociera powieki, reguluje klimatyzację i znowu zamyka oczy.

Nieoświetlona sala w szpitalu. Najwyraźniej jest w tym samym wieku, co w samolocie. Siedzi przy łożu śmierci ojca. Jest środek nocy. Staruszek jest w śpiączce już od wielu dni. Zmęczony Norman Roth siedzi sam w półmroku i słucha wysiłonego oddechu ojca. Jego dźwięk nie różni się zbyt od szumu fal na dawno zapomnianej plaży na Long Island. Spogląda na zegarek, ledwie widoczny w słabym świetle.

Wtem jego ojciec siada wyprostowany na łóżku. Oczy ma szeroko otwarte, wpatruje się w jakiś punkt położony za nogami łóżka. W jego oczach nie widać strachu, lecz zainteresowanie. Bardzo intensywne zainteresowanie.

Zaskoczony Roth pochyla się ku ojcu i obejmuje jego wychudzone z powodu raka barki.

– Tato?

Ojciec ignoruje go, nadal wpatrując się w to samo miejsce. Powoli unosi prawą rękę, wskazując coś, co tam się znajduje.

Roth kieruje spojrzenie we wskazane miejsce. Niczego tam nie ma. Szum fal jest bardzo głośny.

Roth na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie. Wita go atrakcyjna kobieta, która przedstawia się jako doktor Wasylisa Iwanowa. Będzie jego łączniczką i tłumaczką na czas pobytu. Gdy ściskają sobie dłonie, twarz mężczyzny nagle traci wszelki wyraz.

– Czy coś się stało, panie Roth?

– Nie, nie... to nic. Po prostu pani mi kogoś przypomina.

Roth nigdy w życiu nie powiedział żadnej kobiecie czegoś takiego.

Wasylisa uśmiecha się niepewnie.

– Przypomina mi pani kogoś bardzo mocno, ale nie potrafię określić kogo – kontynuuje Roth, uśmiechając się smutno. – Może to jet lag. Albo po prostu starość.

– Może i tak – odpowiada Wasylisa. – Tak czy inaczej to dla nas zaszczyt, że tak znany autor postanowił nas odwiedzić, by napisać o naszym programie. Laureat amerykańskiej nagrody Pulitzera, który prawie że otrzymał Nagrodę Nobla.

– Prawie robi różnicę – odparł Roth pełnym znużenia głosem.

– Słucham?

– To tylko takie głupie powiedzenie. Świetnie pani mówi po angielsku. Jest pani z Energii czy pracuje dla Rosyjskiej Agencji Kosmicznej?

Tym razem to Wasylisa uśmiecha się bez śladu wesołości.

– Właściwie to byłam oficerem medycznym w TsUP-ie. Po deorbitacji Mira liczbę oficerów medycznych w agencji zredukowano. Wołałam przeniesienie do administracji od opuszczenia programu. Zgłosiłam się na ochotnika, żeby być pana przewodniczką.

– W zupie? – dziwi się Roth.

Kobieta wyjaśnia mu skrót oznaczający kontrolę naziemną Rosyjskiej Agencji Kosmicznej.

Wychodzą w sypiący śnieg. Czeka na nich mercedes z kierowcą.

– Był pan już kiedyś w Rosji, panie Roth?

– Proszę mi mówić Norman. Tak, ale tylko raz. We wczesnych latach osiemdziesiątych, na konferencji literackiej.

– I czy pana zdaniem dużo się tu zmieniło? – pyta Wasylisa, gdy samochód włącza się do ruchu ulicznego.

Roth wygląda przez okno. Samochodów jest znacznie więcej niż podczas jego pierwszej wizyty, prawie dwadzieścia lat temu. Mercedesy i inne luksusowe pojazdy zagranicznej produkcji mkną pasami szybkiego ruchu. Potem jednak odrywa spojrzenie od jezdni i widzi stalinowskie bloki, pokryte śniegiem pola oraz porzucone place budów.

– Zmieniło? I tak, i nie.

– Pojedziemy do hotelu National, żeby mógł pan... jak to się mówi... rozgościć się w apartamencie – wyjaśnia Wasylisa, gdy zbliżają się do miasta. – Czuje się pan zmęczony? Chciałby pan się przespać?

– Czuję się zmęczony, ale nie będę mógł zasnąć. Tutaj jest rano. Zaczekam do wieczoru, by przystosować się do miejscowego czasu.

– W takim razie może chciałby pan zobaczyć TsUP?

– Proszę bardzo – godzi się Roth. – Obejrzyjmy zupeł.

Roth w jasno oświetlonym gabinecie redaktorskim w „New York Times Magazine”.

– Norman, bardzo nas ekscytuje ten kawałek, który masz dla nas napisać, ale czuję się głupio, prosząc cię, byś spędził Boże Narodzenie w Moskwie.

Roth wzrusza ramionami.

– A co mam do roboty w Boże Narodzenie?

– Jeśli cię to pocieszy, pod koniec tygodnia będziesz gościem na wielkim przyjęciu noworocznym na dacy jednego z kosmonautów – mówi redaktor prowadzący Barney Koeppe. – Będą tam wszyscy, z którymi powinieneś porozmawiać. Podobno na liście gości jest sam Gorbaczow.

– A niech to – mówi Roth. – Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego uznałeś, że jestem odpowiednim kandydatem do napisania tego artykułu, Barney. Nic mnie nie obchodzi program kosmiczny i nie mam o nim bladego pojęcia. Wysyłasz humanistę, Żyda, antybiznesowego liberała i technicznego analfabetę do jaskini postmarkszystowskich, hiperkapitalistycznych technomaniaków, którzy w dodatku mogą być antysemitami. Dlaczego?

– Pamiętasz książkę Mailera o lądowaniu na Księżycu? *Na podbój Księżyca*?

– Niejasno. To było trzydzieści lat temu.

– No więc Mailer również nie miał pojęcia o programie kosmicznym, ale był świetnym pisarzem i napisał rewelacyjny reportaż.

– Aha – zgodził się Roth. – Ale ludzie byli zainteresowani lądowaniem na Księżycu, a Międzynarodowa Stacja Kosmiczna i Rosyjska Agencja Kosmiczna nikogo nie obchodzą.

– Dlatego ten artykuł jest taki ważny, Norman. Pora spojrzeć na badania kosmosu z innego punktu widzenia. Albo w ogóle dać sobie z nimi spokój. Fundusze na NASA znowu obcięto. Agencja rozważa redukcję wszystkiego, w tym również udziału Rosji w projekcie budowy stacji kosmicznej. Co więcej, Rosjanie są w bardziej ponurym nastroju niż kiedykolwiek, odkąd w zeszłym roku musieli zrzucić Mira do oceanu. Wszyscy są wkurzeni na wszystkich, a teraz Rosjanie planują wysłać w kosmos kolejnego płacącego turystę, a administratorzy NASA wpadli w histerię z tego powodu.

– Nawet nie pamiętam nazwiska pierwszego turysty, którego wysłali.

– Denis Tito – przypomniał mu redaktor. – Zapłacił im dwadzieścia milionów baksów. Jednym z twoich zadań będzie zorientować się, ile wybuli ten nowy facet.

– To też Amerykanin?

– Tak. Jakieś cudowne dziecko z Wall Street, z matematycznym wykształceniem. Podobno brakuje mu paru klepek. Autentyczny świr. Chce przez cały czas lotu obserwować górne powierzchnie chmur.

Roth wzrusza ramionami.

– To wygląda na niezły pomysł. Lepsze to niż torturowanie muszek owocowych czy czym tam właściwie zajmują się astronauty na orbicie.

Redaktor obejmuje go ramieniem.

– Dobrze się czujesz, Norman?

– Pewnie, że tak. Czemu pytasz?

– No wiesz, masz za sobą długą chorobę ojca i jego śmierć w zeszłym miesiącu. A w sierpniu zrobili ci bajpasy. Wiem od Johna, że nie sypiasz dobrze. Już od dłuższego czasu, jeszcze przed operacją serca. Nie warto umierać za pieprzony artykuł.

– Nie mam zamiaru lecieć na cholerną stację kosmiczną, Barney. Płaciecie mi za to, żebyście poleciał do Rosji i pogadał z idiotami, którzy to robią.

Gmach Rosyjskiej Agencji Kosmicznej jest masywny i przypomina mauzoleum. Zbudowano go na przedmieściach Moskwy, na północ od centrum.

Jadąc ponurą boczną ulicą prowadzącą do centrum, mercedes wiozący Rotha i Wasylisę podskakuje na wybojach i musi omijać odcinki, na których zaczęto kłaść nawierzchnię, lecz później porzucono to zadanie po jednej stronie drogi.

Wnętrze TsUP jest wietrznym, wilgotnym labiryntem, mrocznym i pełnym ech. Wasylisa wyjaśnia, że większości świateł się nie zapala, żeby zaoszczędzić na rachunkach za prąd. Nieliczni technicy i administratorzy, których mijają na korytarzach, mają na sobie grube swetry albo płaszcze. Gdy wchodzą do pomieszczenia kontroli naziemnej, o nogi Rotha ocierają się dwa koty.

– Pozwalacie tu trzymać koty?

– Jak inaczej poradzilibyśmy sobie z myszami? – odpowiada pytaniem Wasylisa.

Kobieta przedstawia go dyrektorom lotów, zastępcom dyrektorów lotów, oficerom medycznym, kontrolerom lotów, kosmonautom, byłym kosmonautom, członkom kadry kierowniczej Energii, administratorom TsUP, kilku palącym papierosa za papierosem inżynierom oraz portierowi. Nikt, nawet portier, nie poświęca mu więcej niż kilku sekund potrzebnych, by ucisnąć rękę, nim wróćą do swoich rozmów albo papierosów. Nikt nie zajmuje się pracą. Na największym ekranie na przeciwległej ścianie widać stację kosmiczną, powoli okrążającą Ziemię. Jest teraz nad Południowym Pacyfikiem. Na jednej z konsol stoi wielki model nieodżałowanego Mira. Modeli Międzynarodowej Stacji Kosmicznej nie ma.

– Obecnie stacją kieruje amerykańskie Centrum Lotów Kosmicznych w Houston – wyjaśnia Wasylisa. – TsUP kierowało pierwszą misją, kiedy był tylko jeden moduł.

– W takim razie czym się zajmują rosyjscy kontrolerzy lotów? – pyta Roth.

Kobieta macha z wdziękiem rękami.

– Zapewniają komunikację. Planują kolejny start Sojuza i misję bezzałogowego statku Progress. Utrzymują kontakt z rosyjskim kosmonautą przebywającym na stacji. Nadzorują niektóre z eksperymentów naukowych.

Roth patrzy na nią i czeka.

– Brakuje nam Mira – przyznaje w końcu Wasylisa.

Gdy zbliża się świt, Norman Roth leży w łóżku w zimnym pokoju w moskiewskim hotelu. Śni mu się Mir.

Widzi go tak, jakby znajdował się w batyskafie zbliżającym się do zatopionego wraku, być może *Titanica*. Woda jest czarna, a blask reflektorów

tworzy jedynie wąskie wiązki, przesywające zimne prądy morskie. Widać w nich wodorosty, ławice brzydkich ryb i unoszący się w wodzie ił. Jedynym dźwiękiem jest chrapliwy odgłos oddechu Rotha. I nagle z mroku wyłania się Mir. Przed śluzami wraku, jego portami dokowania i nieczynnymi panelami słonecznymi unoszą się półprzezroczyste morskie stworzenia.

Roth zbliża swój batyskaf do kadłuba, mijając uszkodzony moduł naukowy Spiekr oraz moduł bazowy, w którym mieszkali, jedli i spali kosmonauci oraz astronauta. Widzi okrągły iluminator. Blask reflektorów pada na niego i wnika do środka.

Kieruje się ku niemu biała twarz. Twarz młodej dziewczyny. Chrapliwy oddech Rotha milknie nagle pod wpływem szoku. Dziewczyna otwiera oczy. Nagle pojawia się druga twarz. Jej oczy nie kierują się na Rotha, lecz na coś, co znajduje się za nim. To jego ojciec.

Roth budzi się głośnym westchnieniem i łapie się za klatkę piersiową.

Lot do Bajkonuru pasażerskim odrzutowcem Tu-134 trwa niewiele ponad dwie godziny. Poza doktor Wasylisą Iwanową i Normanem Rothem leci nim tylko trójka pasażerów. Roth z zaskoczeniem dowiaduje się, że centrum rosyjskiego programu kosmicznego nie znajduje się w Rosji, lecz w sąsiednim kraju, Kazachstanie, nieopodal umierającego Jeziora Aralskiego. Przewodniczka i tłumaczka wyjaśnia mu, że po upadku Związku Radzieckiego Borys Jelcyn miał sporo szczęścia, że udało mu się wynegocjować wynajem izolowanej bazy wojskowej i połączonego z nią miasta, które przez ponad trzy dziesięciolecia było ściśle tajnym miejscem startu radzieckich rakiet i centrum kosmicznej chwały ZSRR.

Początkowo Wasylisa nie chce opowiadać o sobie, ale Roth stopniowo przełamuje jej opory. Jej rodzice byli uczonymi – matka matematyczką, a ojciec filozofem. Ukończyła studia medyczne, a następnie zrobiła doktorat z mechaniki orbitalnej w bardzo młodym wieku i jeden z czołowych członków Akademii Nauk wytypował ją do programu kosmicznego.

– Chciała pani zostać oficerem medycznym – stwierdza Roth.

– Nie, nie – zaprzecza Wasylisa. – Już od dzieciństwa pragnę zostać kosmonautką. Ale mimo że jestem doktorem medycyny kosmicznej, przeszedłam szkolenie, nauczyłam się pilotować samoloty o wysokich osiągnięciach i znakomicie opanowałam skoki ze spadochronem, nie mogę polecieć w kosmos. To prawda, że w ciągu czterdziestu lat Rosjanie pozwolili na to tylko czterem ludziom

z doktoratem, ale i tak mogłabym mieć szansę polecieć na Mir albo na Międzynarodową Stację Kosmiczną, gdyby nie jeden fakt. Nie potrafię oddać moczu – tak się mówi, panie Roth, oddać? – na koło autobusu.

Roth gapi się na nią, próbując zrozumieć, na czym polega żart.

Wasyliśa ponownie wykonuje dłońmi gest odpowiadający wzruszeniu ramion.

– To prawda. Metafora, ale jednocześnie prawda. Rozumie pan, zanim kosmonauci polecą w przestrzeń, na Mir, Sojuzem, czy na jakąkolwiek inną misję, odbywa się ceremonia pożegnalna. Dobrze mówię? Ceremonia? Tak? Uroczysta ceremonia pod hangarem, w którym włożą skafandry. Generał wygłasza mowę, a technicy i reporterzy biją mu brawo. Potem kosmonauci wsiadają do autobusu i jadą do rakiety.

– Tak – zgadza się Roth. – Myślę, że na Cape Canaveral wygląda to mniej więcej tak samo, pomijając przemówienie generała.

Wasyliśa kiwa głową.

– Po ceremonii reporterzy i ważnicy wskakują do swojego autobusu i jadą na miejsce startu, żeby kontynuować uroczystości po przybyciu załogi, ale drugi autobus zatrzymuje się w połowie drogi i wszyscy kosmonauci wychodzą i szczają – to jest wulgarne określenie na oddawanie moczu, tak? – rozpinają skafandry i szczają na tylne prawe koło autobusu.

– Ale po co? – dziwi się Roth. Tu-134 zakręca nad Jeziorem Aralskim i zaczyna opadać ku Bajkonurowi. – Czy to jakiś przesąd?

– Zgadza się – odpowiada Wasyliśa. – Nasz kosmiczny święty, Jurij Gagarin, zrobił to w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym, przed pierwszym lotem w kosmos, i teraz wszyscy kosmonauci muszą robić to samo.

– Ale były też kobiety kosmonautki.

Wasyliśa po raz kolejny wykonuje swój gest.

– Tak. Trzy Rosjanki poleciały w kosmos. Walentyna Tierieszkowa w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, Swietłana Sawicka, która dwa razy odwiedziła stację Salut w latach osiemdziesiątych, i Jelena Kondakowa, która była inżynierem pokładowym na stacji Mir, a potem poleciała też waszym wahadłowcem.

– Trzy kobiety w ciągu ponad czterdziestu lat – zauważa Roth. – Zastanawiam się, ile było amerykańskich astronautek.

– Trzydzieści dwie – odpowiada pośpiesznie Wasyliśa. – W tym również Eileen Collins, która dowodziła wahadłowcem. Żadna rosyjska kobieta nigdy nie dowodziła misją. Pierwszą z nich, Tierieszkową, wysłano w kosmos po to, by mogła... pewnie trzeba powiedzieć „spłodzić potomstwo” z kosmonautą, żeby kierownictwo radzieckiego programu miało możliwość sprawdzić, jak promieniowanie kosmiczne wpływa na dzieci poczęte poza Ziemią. Nie potrafiła

nawet pilotować samolotu, nie wspominając już o statku kosmicznym. Była tylko biologicznym ładunkiem.

– Ale dwie pozostałe kosmonautki z pewnością grały bardziej aktywną rolę – mówi Roth, uśmiechając się mimo woli.

Wasyliśa uśmiecha się smutno.

– Może czytał pan książkę Walentina Lebiediewa *Diary of a Cosmonaut*? Lebiediew dowodził lotem na stację Salut w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim. Swietłana Sawicka była wtedy inżynierem pokładowym.

– Niestety nie – odpowiada Roth, nie przestając się uśmiechać. – Leży na moim stoliku nocnym, ale jeszcze do niej nie doszedłem.

Wasyliśa kiwa głową, nie zauważając tej delikatnej próby ironii.

– Walentin Lebiediew napisał: „Po sesji komunikacyjnej zaprosiliśmy inżyniera pokładowego Swietłanę Sawicką do zastawionego stołu, daliśmy jej fartuch w niebieskie kwiatki i powiedzieliśmy: »Posłuchaj, Swieta, jesteś pilotką i kosmonautką, ale przede wszystkim pozostajesz kobietą. Czy zrobisz nam dziś ten zaszczyt i zgodzisz się nas obsługiwać?«”.

– Auć – mówi Roth.

– Co to znaczy „auć”? – pyta Wasyliśa.

– Że coś jest bolesne.

Kobieta kiwa głową.

– Być może za bardzo upodabnam się do amerykańskiej feministki. Co by zrobiła amerykańska astronautka, gdyby amerykański astronauta wręczył jej fartuch w kwiatki w wahadłowcu albo na stacji kosmicznej?

– Zdzieliłaby go w nos – odpowiada Roth.

– W warunkach nieważkości to byłby... interesujący problem z zakresu newtonowskiej balistyki – mówi Wasyliśa. – Ale tak, na tym właśnie polega zasadnicza różnica między amerykańskimi a rosyjskimi kobietami. Rosjanki niezbyt lubią feminizm. Ale z drugiej strony nie latają w kosmos tak często.

– A co z tą trzecią kobietą, o której pani wspomniała? Kondakową? Mówiła pani, że była na Mirze.

– Tak – potwierdza Wasyliśa. – Po tym, jak została sekretarką dyrektora lotów Walerego Rumina, a potem jego żoną.

– Auć.

– Widzę, że „auć” to bardzo użyteczne słowo.

Roth kiwa głową i pociera opadające powieki. Pilot Tu-134 oznajmia lakonicznie po rosyjsku, że trzeba złożyć stoliki i wyprostować oparcia foteli. Tak przynajmniej domyśla się Roth. Słowa pilota równie dobrze mogłyby znaczyć, że właśnie odpadły oba skrzydła.

– Chce pani powiedzieć, że istnieje u was męska sitwa, uniemożliwiająca pani zostanie kosmonautką.

– Tak – zgadza się Wasylisa, po czym odgarnia włosy za prawe ucho. Roth dobrze już zna ten gest. – Istnieje u nas męska sitwa i wszyscy kosmonauci są jej członkami. Ale chcę też powiedzieć, że fajnie by było móc oddać mocz na oponę autobusu, mając na sobie skafander kosmiczny.

Bajkonur to miasto i kosmodrom. Wasylisa wyjaśnia, że większość Rosjan nadal nazywa przemysłowe miasto i sąsiadującą z nim bazę Lenińskiem, mimo że oficjalnie zmieniono jego nazwę, a prawdziwy Bajkonur był wioską położoną ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód stąd. Dodaje też, że był to typowy dla czasów zimnej wojny podstęp wymyślony przez Chruszczowa. Chciano w ten sposób przekonać świat, że ZSRR buduje bazę raketową w pobliżu Bajkonuru, a potem umieścić ją zupełnie gdzie indziej. W roku 1955, gdy nie było jeszcze satelitów szpiegowskich, takie sztuczki mogły być skuteczne.

Bez względu na ich nazwy zarówno miasto, jak i baza na pierwszy rzut oka wydają się Rothowi zimne i opustoszałe. Nie ma tu drzew ani wzgórz, które zapewniłyby osłonę przed wiatrem dmącym przez szeroki na tysiąc kilometrów step. Samo miasto wydaje się dziwnie puste, w budynkach mieszkalnych nie palą się światła, a na ulicach widzi się bardzo niewiele samochodów. Gdy Roth wspomina o brązowawoczerwonym pyłe unoszącym się na wietrze, Wasylisa wyjaśnia, że pochodzi on z nad wyschniętego Jeziora Aralskiego i jest w nim pełno pestycydów, które zabiły życie w akwenu.

– Robotnicy i inni mieszkańcy Lenińska są przekonani, że ten pył przyczynia się do śmierci ich i ich dzieci – dodaje.

– Czy to prawda? – pyta Roth.

– Myślę, że tak.

Sam kosmodrom przypomina Rothowi bazę wojskową w znacznie większym stopniu niż Centrum Kosmiczne imienia Johna Kennedy'ego, które odwiedził tylko raz, trzy lata temu. W gruncie rzeczy kompleks na Cape Canaveral kojarzył mu się raczej z Disney Worldem – taka atrakcja dla turystów obejmująca między innymi audioanimatroniczne manekiny naśladujące od dawna nieobecnych kontrolerów lotów w niektórych ze zrekonstruowanych budynków – niż z poważnym kosmodromem. Bajkonur jest rzeczowy i realistyczny, lecz jednocześnie przygnębiający niczym skutym lodem dziewiąty krąg piekła.

Wartownicy prowadzą ich od dobrze strzeżonej bramy do gabinetu rosyjskiego majora. Major ściska dłoń Rotha, mówi coś szybko do Wasylisy po rosyjsku – Roth dowiaduje się, że oficer nie zna angielskiego – a potem prowadzi ich do nieogrzewanego samochodu i rozpoczynają szybki objazd całego kompleksu. Kierowcą jest poborowy żołnierz. Major siedzi z przodu i cały czas mówi. Roth – siedzący z tyłu z Wasylisą – rozumie tylko przetłumaczone fragmenty tego monologu. Zawiera on mnóstwo danych statystycznych. Z początku próbuje zapisywać to wszystko w małym notesie, ale nie jest w stanie nadażyć. Major nie robi przerw na zadawanie pytań i Roth w końcu chowa notes, by skupić się na oglądaniu kolejnych hangarów, budynków administracyjnych, ponuro wyglądających koszar oraz starych kompleksów startowych z popękaną betonową nawierzchnią i rdzewiejącymi suwnicami. Roth z zaskoczeniem widzi sterty śmieci – kosmicznych śmieci – spoczywające tu i ówdzie w przestrzeniach między budynkami i przy ulicach – stare zbiorniki na paliwo, owiewki ładunku użytecznego oraz wielkie fragmenty rakiet. Wasylisa wyjaśnia, że to stopnie starych rakiet N-1, używanych kiedyś do lotów na Księżyc. Nawet tory kolejowe prowadzące do dawnych kompleksów startowych pokrywa gruba warstwa rdzy.

Zatrzymują się przed jakimś budynkiem. Wasylisa mówi mu, że to hotel Kosmonauta, w którym mieszkały przed startem załogi Mira i Saluta. Samochód parkuje, kierowca otwiera drzwi i wchodzi do budynku, prowadzeni przez majora w zielonym wojskowym płaszczu. W pustym holu na parterze świszcze wiatr, wdzierający się do środka przez szpary w oknach. Major pokazuje im ośrodek medyczny, który przypomina Rothowi małą izbę chorych na Harvardzie. Przed kilkudziesięcioma laty spędził w niej tydzień, wracając do zdrowia po dyfteryście. Wreszcie docierają do holu na pierwszym piętrze, do którego najwyraźniej zmierzali. Na ścianach wiszą zdjęcia poważnych, lekko niedogolonych mężczyzn. Wasylisa wyjaśnia, że to wszystko kosmonauci. Major nie przyprowadził ich tu jednak dla fotografii.

Po obu stronach drzwi, od podłogi aż po sufit, jest pełno nabazgranych mazakiem podpisów. Roth gapi się na napisane cyrylicą autografy, starając się okazać zainteresowanie. W głosie majora pojawia się ton szacunku. Wasylisa powtarza nazwiska niektórych kosmonautów. Roth nigdy nie słyszał o żadnym z nich, ale posłusznie unosi mały aparat, robi kilka zdjęć i kiwa głową. Major powtarza ten gest, a potem wracają do samochodu i jadą do budynku administracyjnego.

– Chciałby pan zobaczyć coś więcej? – pyta Wasylisa, gdy kierowca odwozi ich do bramy. – Jako administrator TsUP mogę panu pokazać to i owo. Co chciałby pan zobaczyć, panie Roth? Normanie?

– Pewnie filozofa – odpowiada pisarz.

Kobieta obrzuca go zdziwionym spojrzeniem.

– Filozofa?

– Staram się zrozumieć, jaki jest powód tego wszystkiego – wyjaśnia Roth i zatacza krąg ręką, wskazując na kompleksy startowe, hangary, centra projektowe, tory kolejowe, pasy startowe, pokryte śniegiem pola i budynki mieszkalne. – Nie chodzi mi o powody związane z wyścigiem kosmicznym czy dumą narodową. Ani nawet o motywy kosmonautów. Chodzi mi o ludzkie powody. Myślę, że muszę porozmawiać z filozofem, by choć zbliżyć się do ich zrozumienia.

– Z filozofem – powtarza Wasylisa. A potem się uśmiecha.

Roth myśli, że staruszek ma dobrze ponad siedemdziesiąt lat. Mieszka w pokoiku na zapasy w podziemiach bunkra pod spękany betonem starego kompleksu startowego.

W pokoiku nie ma okien. Ogrzewa go grzejnik naftowy własnej roboty, służący również jako piec kuchenny. Pod ścianami leżą setki książek. Z fragmentu zbiornika paliwowego zrobiono stół, krzesła są przerobionymi fotelami kosmonautów z dawnych Sojuzów, a ze stojącego na metalowym stole roboczym radia zmontowanego z zapasowych części elektronicznych płynie muzyka klasyczna.

Na twarzy i ramionach staruszka widać ślady paskudnych poparzeń, jedno ucho jest bezkształtne, nie ma włosów, pomijając siwą szczecinę na naznaczonej bliznami twarzy. To jednak są stare blizny, zintegrowały się już ze zmarszczkami oraz bruzdami wywołanymi podeszłym wiekiem. Brakuje mu większości zębów, lecz mimo to uśmiecha się co chwila, gdy Wasylisa przestawia ich sobie i kiedy później nalewa gościom wódki.

Ma na imię Wiktor, ale Wasylisa – którą nazywa „księżniczką żar-ptaka”, głaszcząc ją po policzkach – dodaje że od dziesięcioleci wszyscy mówią na niego „Niczewo”. Rotha dziwi ten przydomek. Pamięta go z czasów wizyty w Związku Radzieckim, prawie dwadzieścia temu. Dosłownie to forma słowa „nic”, ale jego znaczenie podsumowuje typowe dla Rosjan podejście, które najlepiej wyrazić słowami „nieważne”, „nic się na to nie poradzi” albo „daj mi spokój”. Wtedy właśnie, gdy Roth przybył na lotnisko, by odlecieć do domu, dowiedział się, że dziś nie ma żadnych lotów. Agencja, linie lotnicze i Związek

Pisarzy dały mu bilet na niewłaściwy dzień. Słowo *niczewo* było jedynym komentarzem, jaki usłyszał na lotnisku.

Stary Niczewo nalewa wódki wszystkim trojgu. Kardiochirurg kazał Rothowi unikać alkoholu, ale pisarz wie, że w Rosji żadna konwersacja nie może się obyć bez wódki, wypija więc dwa kieliszki, nim mogą zacząć rozmawiać.

Głos staruszka jest lekko ochrypliwy, gładki i łagodny, a ciche symultaniczne tłumaczenie Wasylisy zlewa się w jedno z ciepłą aurą płynącą z piecyka i wódki.

– Być może zastanawia się pan, skąd się wzięły te blizny – mówi Niczewo, unosząc pomarszczone dłonie, by dotknąć twarzy, szyi i spalonego ucha. – Dorobiłem się ich kilkaset metrów stąd, w październiku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Miałem wtedy trzydzieści dwa lata i pracowałem ku chwale ojczyzny pod przewodnictwem Chruszczowa, pod rozkazami marszałka Mitrofana Niedielina i dzięki geniuszowi naczelnego konstruktora Korolowa. Dzisiaj jestem stróżem... nie, nawet nie stróżem, a złomiarzem i szabrownikiem pracującym dla Energii... ale wtedy byłem sierżantem w wojskach rakietowych i technikiem. To były cudowne czasy... nie uśmiechaj się, moja droga Wasyliso. Naprawdę były cudowne. Czy twój przyjaciel amerykański pisarz, zna rosyjskie powiedzenie *nasze łuczsze*? Nasze jest najlepsze. No cóż, wtedy nasze rzeczywiście było najlepsze. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym pierwsi wystrzeliliśmy sztucznego satelitę. Pierwsi wysłaliśmy sondę, która okrążyła Księżyc i zrobiła zdjęcia jego tajemniczej drugiej strony, tak? Pierwsi wysłaliśmy na orbitę psa. Potem mężczyznę. A po nim kobietę. Pierwsi wylądowaliśmy na Marsie. Pierwsi wylądowaliśmy na Wenus. Pierwsi wyszliśmy w otwartą przestrzeń. Pierwsi zbudowaliśmy stację kosmiczną. Starego Saluta, jeszcze przed Mirem, moja droga. I pierwsi utrzymywaliśmy ludzką obecność w kosmosie przez miesiące, a nawet lata! Ale blizny. Tak jest, obiecałem opowiedzieć panu o bliznach. Był październik roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego i naczelną konstruktor zbudował ogromną rakieta. Miała polecieć na Marsa, zanieść tam ładunek, zanieść kawałek Związku Radzieckiego, nim jeszcze pierwszy człowiek poleciał w kosmos. Ciekłe paliwo. Wiele stopni. Wielkie silniki. Przyjechali ważniacy z Biura Politycznego i z Armii Czerwonej. Odliczanie jak zwykle było bardzo ekscytujące... siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, a potem... nic. Rakieta nie odpaliła. Naczelną konstruktor skonsultował się z inżynierami. Inżynierowie skonsultowali się z technikami. Technicy skonsultowali się z Panem Bogiem. Generałowie oznajmili, że rakieta jest bezpieczna, ale trzeba spuścić z niej paliwo i rozebrać ją na części, by rozwiązać problem i przygotować ją do ponownego startu. Żołnierze i technicy nie chcieli wracać do kompleksu. Ja nie odmówiłem, ale inni tak. Bali się, że rakieta może eksplodować, bo proces spuszczenia paliwa jest trudny. Uznałem

ich za tchórzy. Naczelnym konstruktor i generałowie również. Żeby udowodnić, że nie ma żadnego zagrożenia, marszałek Niedielin rozkazał ustawić składane krzesła w cieniu rakiety. Sam marszałek, a także inni generałowie, inżynierowie i administratorzy – wszyscy poza naczelnym konstruktorem, który był zajęty – usiedli na składanych krzesłach nieopodal płetw wielkiej rakiety. Moim zadaniem było jeżdżenie w kółko mikrobusem, by wozić tych wszystkich ważniaków z budynku administracji do kompleksu startowego. Ich obecność miała przekonać techników i robotników, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, i skłonić ich do powrotu do pracy. Udało się. Obsługa naziemna wróciła do pomp i na stanowiska, by spuścić paliwo z gigantycznej rakiety. Pompowali tlenki azotu i hipergoliczne paliwo do zbiorników. Oczywiście, doszło do eksplozji. Gdybyście mieli wtedy satelity szpiegowskie, jak dzisiaj, moglibyście pomyśleć, że to wybuch bomby atomowej. Marszałek Niedielin zginął na miejscu, razem ze stu sześćdziesięcioma innymi osobami. Zmienili się w parę, coś mniej niż popiół, unieśli się w atmosferę jak ogień, jak plazma, jak dym, jak opary dusz. Byłem niespełna pół kilometra od miejsca wybuchu, jechałem w stronę rakiety, wioząc ostatnią grupę notabli do ich składanych krzesel i śmierci. Wybuch rozbił przednią szybę i cisnął stopione szkło w moją twarz, a następnie zdmuchnął mikrobus prosto do zbiornika retencyjnego, zmienił większą część wody w parę, stopił opony i zabił przeważającą część pasażerów.

Niczewo się uśmiecha, odsłaniając nieliczne pozostałe zęby, i nalewa wszystkim wódki. Wypijają ją.

– Ale sześć miesięcy później, moja droga Wasyliso – kontynuuje – wystrzeliliśmy towarzysza Gagarina w kosmos z kompleksu startowego nadal osmalonego po wybuchu i zapomnieliśmy o całej tej sprawie. Od tego kwietniowego dnia zawsze mieliśmy ludzi przebywających w kosmosie albo czekających na wystrzelenie. A teraz, moja droga Wasyliso, twój amerykański przyjaciel wygląda jak *maładiec*. Dobry chłopak.

Roth uśmiecha się, słysząc, że nazywają go chłopakiem.

– Powiedz mu, że możemy porozmawiać jak *dusza dusze* – dodaje Niczewo.

Wasyliśa nie przetłumaczyła tej frazy, i Roth prosi ją o wyjaśnienie. Zatyka kosmyk włosów za ucho w geście, który zdążył już pokochać.

– To znaczy szczerze – odpowiada. – Czasami mówimy też *po duszom*. Otworzyć przed kimś duszę.

Niczewo kiwa głową, uśmiecha się i znowu nalewa wszystkim wódki.

Podczas powrotnego lotu do Moskwy, Roth jest pijany, ale spokojny. Spogląda na Wasyliśę oświetloną blaskiem słońca padającego do środka przez okno samolotu i myśli o tym, co powiedział mu stary Niczewo.

Pytanie, które mu zadał, brzmiało następująco:

– Po co ludzie chcą lecieć w kosmos? Co tam na nas czeka? Co nami kieruje, pomijając chciwość, nacjonalizm, pragnienie chwały i żądę przygód?

Wasyliśa przetłumaczyła jego słowa powoli i uważnie, najwyraźniej starając się dokładnie wyrazić ich sens.

Niczewo kiwnął głową i znowu nalał wódki.

– Wszystkie te motywacje nie są prawdziwym powodem, dla którego musimy to zrobić – odpowiedział stary mężczyzna. – Tutaj wszystko się kończy. Musimy wyruszyć w drogę.

– Co się kończy? – zapytał Roth, zaniepokojony, że staruszek będzie mu opowiadał jakieś bzdury o zniszczeniu ziemskiego środowiska, o tym, że ludzie muszą znaleźć nową planetę i takie tam pieprzenie.

Niczewo poruszył dłońmi w geście przypominającym gest Wasyliśy.

– Wyszliśmy z morza na ląd, ale zbyt długo już na nim czekamy. Śnimy o morzu. Mamy wspomnienia o naszym nowym morzu, o unoszeniu się w nim, o prawdziwej wolności, o tym, kim byliśmy, zanim wygnano nas na ląd. Jesteśmy gotowi wrócić do morza.

– Do morza? – powtarza Roth, zastanawiając się, czy Niczewo nie jest bardziej pijany, niż na to wygląda. Albo ma demencję.

Staruszek unosi rękę, wskazując na dach swojego bunkra.

– Do większego morza. Prawdziwego oceanu kosmosu. Dzieciństwo człowieka, spędzone tutaj, już się skończyło... małe narody, małe wojny, małe nienawiści, mali dyktatorzy, małe swobody... wszystko to się skończyło.

Niczewo się uśmiechnął.

– Tam... w górze... też będą narody, wojny, nienawiści, dyktatorzy i swobody... ale większe. Znacznie większe. Wszystko stanie się większe, gdyż nasz gatunek wyruszy na to nowe morze, by już nigdy nie powrócić.

– Jakie wspomnienia? – zapytał Roth. – Jak możemy mieć wspomnienia o miejscu, w którym większość z nas nigdy nie była? I nigdy nie będzie?

– Kosmos, pozbawiony grawitacji wszechświat poza naszą wąską, masywną, kamienną płycizną, to nasza prawdziwa *rodina* – Niczewo już się nie uśmiecha. – Prawdziwa ojczyzna. ZSRR to smutne wspomnienie, ale *rodina* nadal żyje w naszych sercach. Podobnie jak wspomnienie o ojczyźnie, którą jest kosmos. Śnimy o unoszeniu się w macicy, o otaczającym nas biciu serca, o wolności, jaką cieszymy się przed narodzinami, a być może również po śmierci. Nasz gatunek pragnie pływać w tym nowym morzu.

Ponownie wskazał w górę.

– Wszystko to tam jest. Nowe morze, ocean, jakim jest kosmos. Nieliczni z nas przekroczyli barierę ognia i przerażenia, by w nim pływać... część z nich utonęła po drodze albo podczas powrotu... ale większość wróciła bezpiecznie. Wróciła, ale jest niema. Nie wysyłaliśmy tam poetów, artystów ani filozofów. – Znowu się uśmiechnął. – Złomiarzy też nie. – Uśmiech zniknął. – Ale musimy nakarmić nasze morza.

– Nakarmić nasze morza? – zapytała Wasylisa, tłumacząc to pytanie dla Rotha.

– Nakarmić nasze morza – powtórzył staruszek. – Kiedy pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta z naszego gatunku zostaną pochowani w morzu kosmosu, będziemy mogli powiedzieć, że wróciliśmy do domu. Że to nasza nowa *rodina*.

Podziękowali mu, Wasylisa go uściskała, a potem wyszli na korytarz bunkra. Byli spóźnieni na lot powrotny. Roth wielokrotnie dziękował staruszkowi, posługując się nielicznymi rosyjskimi słowami, jakie znał.

– To nic – odparł ten, machając na pożegnanie poparzoną dłonią. – Niczewo.

– Wiem już, kogo mi przypominasz – oznajmił Wasylisie następnego poranka przy śniadaniu.

Nocą czuł ból w piersi z powodu podróży, wódki i napięcia nerwowego. Obudził się pośrodku marzenia sennego i, dysząc gwałtownie, sięgnął po tabletki nitrogliceryny. Zastanawiał się, czy to właśnie jest chwila, w której jego serce zatrzyma się na zawsze. Pod wpływem szoku przypomniał sobie swój sen, który był wspomnieniem, i rano opowiedział go Wasylisie.

Kiedy Norman Roth ma jedenaście lat, jego rodzina wynajmuje – jak każdego lata od czasu jego narodzin – mały letni domek po spokojnej stronie Long Island. Wakacje spędzają tu z reguły Żydzi z klasy średniej, i chłopiec zawsze sam kąpał się w morzu, ale w tym roku sąsiedni domek wynajmuje nowa rodzina, Klugmanowie, która ma dwunastoletnią córkę.

W normalnej sytuacji Norman zignorowałby dziewczynkę, ale nie ma tu żadnego z jego kolegów i chłopak czuje się samotny. Dlatego spędza cały czas z nią – z Sarah – z początku z oporami, ale z czasem z nadzieją na prawdziwą przyjaźń.

Chłopiec i dziewczynka – ona na granicy wieku dojrzewania, ale dla niego zostało jeszcze kilka lat. Bawią się razem w wyblakłych kostiumach kąpielowych i szortach, jeżdżą na rowerach, szukają muszelek, żeglują na małej

łodzi *Sunbird*, z której pozwala im korzystać ojciec Normana, chodzą do pobliskiego prowincjonalnego kina, w deszczowe dni rysują razem w pustych hangarach na łodzi, a gdy noce są bezchmurne, leżą razem na wydmach i obserwują gwiazdy. Oddalona dwadzieścia metrów od brzegu tratwa przybrzeżna jest dla nich miejscem spotkań, klubem oraz domkiem letniskowym.

W połowie sierpnia, gdy początek roku szkolnego jest ciemną chmurą właśnie wyłaniającą się zza horyzontu, Norman i Sarah stają się nierozłączni.

Ostatniej nocy na plaży, zanim wyruszą w podróż powrotną do swoich miast, swoich dzielnic i swoich odrębnych szkół, Sarah ujmuje dłonie Normana i oboje klękają na zimnym piasku. Nad latarnią morską świeci księżyc w pełni. Fale pluskają cicho o brzeg. Dzwonki na małych łodziach i większe dzwony na bojach rozbrzmiewają w ich rytm.

Sarah go całuje. Jest tak zaskoczony, że może tylko gapić się na nią. Sarah ujmuje jego twarz w zimne od fal dłonie i całuje go jeszcze raz.

Z powagą, nie śmiejąc się, Sarah wstaje i wysuwa się z wyblakłego kostiumu kąpielowego. Odwraca się – bliźniacze pasy białej skóry na jej łopatkach i plecach lśnią blado w blasku księżyca – wchodzi do wody i płynie w stronę tratwy.

Chłopiec waha się tylko mgnienie oka, zanim wstaje i ściąga spodenki. Na jego nieskazitelnie gładką skórę pada blask księżyca.

Na kołyszącej się lekko tratwie oboje kładą się na plecach, zwracając stopy w przeciwnych kierunkach. Mokre czubki ich głów stykają się ze sobą. Mężczyzna we wspomnieniu widzi nagiego chłopca i dziewczynkę z góry, jakby unosił się w powietrzu. On jest jeszcze dzieckiem, ale jej piersi są już bladymi wypukłościami, lśniącymi w blasku księżyca, a jej niewidoczne krocze maskują ciemne plamki.

Przez długi czas nie rozmawiają ze sobą. Wreszcie dziewczynka unosi ręce i kieruje na oślep dłonie ku tyłowi niczym gestykująca baletnica. Chłopiec również unosi ręce, wpatrzony w księżyc. Ich palce spotykają się i splatają ze sobą.

– Do następnego lata – mówi dziewczynka. Jej cichy głos ledwie przebija się przez fale.

– Do następnego lata – obiecuje chłopiec.

– Panie Roth – mówi Wasylisa przy śniadaniu – jest pan romantykiem.

– Gdyby czytała pani moje powieści albo słyszała o moich trzech byłych żonach, wiedziałaby pani, że tak nie jest – odpowiada Roth.

– Czytałam pańskie powieści – informuje go Wasylisa z lekkim uśmieszkiem. – I czytałam artykuły o pańskich trzech byłych żonach. – Przerywa na moment. – Gdyby tę historię z dzieciństwa opowiadał Rosjanin, nie miałaby szczęśliwego zakończenia.

– Nie ma go – zapewnia Roth.

Opowiada jej o tym, jak chłopiec spędził zimę. Nie wymienili adresów i nie obiecali, że będą do siebie pisać. Postanowili zachować swoją przyjaźń na letnie chwile, na plażę i wodę. Mówi o miesiącach oczekiwania, o dosłownie bolesnych nadziejach bliskich obłędu, o tygodniach, a potem dniach dzielących go od chwili, gdy obie rodziny miały przybyć do domków letniskowych na wyspie.

Chłopiec biegnie do domu Klugmanów, gdy tylko wysiądzie z samochodu kombi, należącego do jego rodziny. Wali w drzwi z siatką przeciw owadom. Nie otwiera ich jednak matka Sarah, lecz jakaś nieznajoma kobieta.

– Ach, Klugmanowie – mówi. – Zrezygnowali z przyjazdu tutaj. Zimą spotkała ich tragedia i już tu nie wrócą. Ich córka zmarła na zapalenie płuc.

– To bardzo rosyjskie – przyznaje Wasylisa. – Ale dlaczego przypominam panu tę dziewczynkę? Czy wyglądam jak ona?

– Z pewnością nie – odpowiada Roth.

– A może mówię jak ona?

– Też nie.

– Czy w takim razie wyobraża pan sobie, że Sarah zrobiłaby doktorat, gdyby żyła? Albo chciałaby zostać kosmonautką?

– Nie. Nie wiem tego.

Roth unosi ręce i nagle sobie uświadamia, że to nieudolna imitacja wdzięcznego gestu Wasylisy.

Gdy opuszcza rękę na blat, kobieta sięga ku niemu i kładzie dłoń na jego dłoni.

– W takim razie rozumiem – mówi.

Dnia poprzedzającego wielkie noworoczne przyjęcie, dwa dni przed planowanym odlotem Rotha, wiozą ich do odległego godzinę drogi na północny wschód od Moskwy Centrum Wyszkozenia Kosmonautów imienia J. Gagarina. Wszyscy w TsUP i w NASA nazywają je Gwiezdnym Miasteczkiem.

– Norman – odzywa się Wasylisa, gdy zjeżdżają z głównej szosy i jadą pustą, dwupasmową drogą przez sosnowo-brzozowy las. – Czytałam twoje książki. Są bardzo mroczne. Jeden z naszych recenzentów nazwał twoją ostatnią powieść „kabałą o śmierci”. Być może właśnie dlatego zawsze były tak popularne w Rosji.

Roth śmieje się cicho.

– A może lubią je dlatego, że są życiowym przesłaniem ateisty, doktor Iwanowa? Jestem Żydem, ale również ateistą. Moje powieści są płynącym z głębi serca krzykiem na obojętny wszechświat, niczym więcej.

Wasylisa kręci głową.

– Sowiecki reżim mógł pozwolić na ich wydanie z uwagi na ateistyczne sentymenty, ale obecnie są bardziej popularne niż kiedykolwiek, a Rosja śmierdzi teraz kadzidłem.

Roth znowu się śmieje.

– Chyba nie podejrzewasz mnie o skrywany sentymentalizm, Wasyliso? Albo o potajemne upodobanie do duchowości?

– O sentymentalizm nie, ale o duchowość raczej tak.

Roth tylko kręci głową i spogląda przed siebie. Zbliżają się do głównej bramy Gwiezdnego Miasteczka.

Mijają wartowników oraz wysoką srebrną bramę i nadal jadą przez las. Po chwili wyjeżdżają na miejski plac, gdzie stoi wielki pomnik Gagarina. Za placem ciągną się domy mieszkalne o dziwnie amerykańskim wyglądzie. Wasylisa mówi, że rzeczywiście zbudowali je Amerykanie, dla astronautów przygotowujących się tutaj do lotu na Mira. Następnie mijają garbaty budynek, w którym mieści się największa wirówka na świecie, i widzą przelotnie aleję Bohaterów – zaskakująco skromny zielony pasaż, pozbawiony pomników i obecnie pokryty śniegiem – po czym zatrzymują się przed Muzeum Kosmonautów.

Wasylisa wskazuje na zaparkowane tam samochody z rządowymi tablicami rejestracyjnymi, opatrzonymi numerami od 1 do 125. Oficjalne tablice oznaczają też kolejność, w jakiej ich właściciele polecili w kosmos.

Kierowca otwiera drzwi. Roth i Wasylisa przechodzą szybko przez śnieg do pogrążonego w półmroku muzeum. Zostawiają płaszcze w szatni, zerkają na wielki mural przedstawiający Jurija Gagarina i wchodzą na piętro, gdzie znajduje się wystawa poświęcona pierwszemu kosmonaucie. Jego popiersie strzeże

zakurzonych gablot z pamiątkami po nim. Wasylisa tłumaczy mu treść tabliczek i podpisów, wyjaśniając, że ostatnia seria eksponatów pochodzi z wraku samolotu, w którym zginął Gagarin podczas rutynowego lotu treningowego w marcu roku 1968, siedem lat po jego trwającym sto osiem minut locie orbitalnym. Roth widzi spalone zdjęcie naczelnego konstruktora Korolowa, spalony portfel Gagarina, w którym je nosił, jego nadpalone prawo jazdy, a nawet fiolkę wypełnioną prochem i popiołami.

– Nie uważasz, że to trochę upiorne? – pyta Roth.

– Nie znam tego słowa, Norman. Co to znaczy „upiorne”?

– Mniejsza z tym.

Idą dalej w głąb muzeum, aż wreszcie docierają do gabloty, w której znajdują się kombinezony oraz zdjęcia pierwszych trzech kosmonautów, którzy zamieszkali na pierwszej radzieckiej stacji kosmicznej – Salut – w roku 1971.

– „Salut” znaczy oddanie honorów, zgadza się? – pyta Roth.

– Zgadza się.

– A komu właściwie oddawała honory ta stacja?

– Jurijowi Gagarinowi, oczywiście.

Wasylisa tłumaczy mu napis umieszczony obok fotografii trzech mężczyzn. Misja kosmonautów Georgija Dobrowolskiego, Władysława Wołkowa i Wiktora Pacajewa była wielkim sukcesem. Przeprowadzili wiele badań w stanie nieważkości i każdego wieczoru demonstrowali Rosjanom w telewizji swój dobry humor. Wejście w atmosferę odbyło się bez incydentów, a lądowanie na rosyjskim stepie przebiegło zgodnie z planem, pomijając niespodziewane przerwanie łączności radiowej pod sam koniec. Gdy jednak otworzono kapsułę, okazało się, że wszyscy trzej kosmonauci nie żyją. Podczas wejścia w atmosferę zepsuł się zawór, powietrze uciekło w przestrzeń i wszyscy trzej udusili się w swych fotelach.

– Nakarmiliśmy nasze morza – mówi Wasylisa.

Roth kręci głową.

– Niczewo chciał powiedzieć, że musimy zostawić swych umarłych w kosmosie, zanim to nowe morze będzie nakarmione.

– Być może.

Za tym eksponatem znajduje się coś, co wygląda jak zwyczajny gabinet, ale w rzeczywistości jest dokładną repliką gabinetu Jurija Gagarina, w chwili gdy kosmonauta opuścił go rankiem przed ostatnim lotem 27 marca roku 1968. Wskazówki zegara zatrzymano na godzinie 13:01, o której nastąpiła katastrofa. Na biurku leży kalendarz otwarty na tej dacie, a także nieukończone listy i notatki służbowe.

Wasylisa wskazuje biurko.

– Każdy kosmonauta albo grupa kosmonautów zostawia swoje nazwiska w wielkiej brązowej księdze w dniu wylotu w kosmos. – Kobieta mówi szeptem w tym uświęconym miejscu. – Nawet ci, którzy lecą na Międzynarodową Stację Kosmiczną.

Roth spogląda na nią. Kiedy Wasylisa patrzy na księgę, ma w oczach łzy. Zauważa jego spojrzenie.

– Myślisz, że jestem sentymentalna, tak?

– Nie – zaprzecza Roth. – Uduchowiona.

Rothowi śni się, że przebywa na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej i unosi się w półmroku. Drugi astronauta, mężczyzna, śpi, uwięziony w czymś w rodzaju cienkiego śpiwora, który pozwala mu zachować wyprostowaną pozycję. Jego ręce unoszą się swobodnie przed nim, nadgarstki są zgięte, a palce poruszają się jak wodorosty w prądzie morskim.

Rotha zaskakuje głośny szum wentylatora, a także to, że wewnątrz modułu jest czysto funkcjonalne, urządzone po spartańsku i pełne ostrych kątów. Czuje lekki zapach ozonu, potu oraz oleju maszynowego. Przekonuje się, że może się poruszać bezgłośnie, jeśli odbija się nogą od jakiegoś unieruchomionego przedmiotu, i płynie głową naprzód przez właz do sąsiedniego modułu, nawet nie wyciągając rąk. Jest tam okno i Roth przez nie wygląda. Obok ciemnego wykrzyknika panelu słonecznego widzi wiszącą w przestrzeni Ziemię.

Stacja zbliża się do linii wschodzącego słońca. Obwódka planety rozbłyskuje intensywnym blaskiem. Przez mgnienie oka Roth widzi cienką warstwę atmosfery podświetloną jasno niczym odwrócony menisk. Potem słońce wyłania się zza łukowatej granicy świata i jego blask pada na górne powierzchnie tysięcy chmur unoszących się nad mrocznym morzem.

Nagle uświadamia sobie, że ma trudności z oddychaniem. Powietrze jest zbyt rzadkie. Wirując w warunkach mikrogravitacji, zdaje sobie sprawę, że słyszy nieustanny, złowrogi syk. Jego tonacja staje się coraz wyższa, ale głośność maleje, w miarę jak atmosfera robi się coraz rzadsza. Z modułu ucieka powietrze.

Gwałtownie zaczerpuje tchu i obraca się w stanie nieważkości, ale odepchnął się od grodzi i znajduje się daleko od nieruchomych obiektów. Wymachuje bezradnie kończynami i koziółkuje w coraz rzadszym powietrzu, nie mogąc dotrzeć w bezpieczne miejsce.

Budzi się, czując dotyk zimnej dłoni na nagiej klatce piersiowej. Mruga, by usunąć powidoki snu, i rozgląda się po pokoju hotelowym. Ciemność mąci jedynie blade światło księżyca, wnikające do środka przez szczeliny między grubymi zasłonami. Wasylisa ma na sobie tylko niebieską zapasową piżamę Rotha. Siada na krawędzi łóżka. Na szyi ma lekarskie słuchawki, a jej dłoń spoczywa na piersi mężczyzny.

– Co jest?

Próbuje usiąść, ale zaskakująco silne palce kobiety popychają go z powrotem na łóżko.

Dotyk słuchawek na jego ciele jest zimny. Wasylisa odkłada instrument na nocny stolik, ale znowu dotyka jego skóry, przebiegając dwoma palcami wzdłuż wielkiej blizny w kształcie krzyża na nagiej piersi, a następnie sięga do długiej blizny na lewej nodze, skąd wycięto mu żyłę.

– Pamiętasz kolację? – pyta bardzo cicho. Na zegarze jest godzina trzecia dwadzieścia osiem.

– Nie – szepcze Roth, ale zaraz ją sobie przypomina.

Zjedli późną kolację w jadalni hotelu National. Wtedy właśnie poczuł ból w klatce piersiowej. Sięgnął po tabletkę nitrogliceryny i włożył ją sobie pod język, ale natychmiastowa ulga nie nadeszła. Niejasno przypomina sobie, że Wasylisa pomogła mu wyjść z ogromnej jadalni, podtrzymawała go w windzie, otworzyła drzwi pokoju, a potem... niejasne obrazy... chłodny dotyk igły, niejasne wspomnienie Wasylisy wsuwającej się pod kołdrę obok niego.

– Ech, Boże. Nie w ten sposób chciałbym pójść z tobą do łóżka.

Wasylisa uśmiecha się i zapina guziki koszuli jego piżamy.

– Ja też nie, Norman. Zastanawiałam się, czy nie zabrać cię do szpitala, ale jestem pewna, że to był tylko poważny atak dusznicy, a nie zawał serca. Twoje serce brzmi dobrze, ciśnienie się ustabilizowało, a tętno przez cały czas było w porządku.

Unosi kołdrę i koc, po czym znowu kładzie się obok niego.

– Myślę, że obudziłeś się z powodu koszmaru.

Norman odwraca się i spogląda na nią w blasku księżyca.

– To był tylko sen. – Nagle przypomina sobie przerażający syk tlenu uciekającego ze stacji kosmicznej. – Koszmar – przyznaje. Ponownie spogląda na świecąca tarczę zegara.

– To ostatni dzień przed Nowym Rokiem – szepcze Wasylisa. – Pewnie wiesz, że w Rosji to bardzo ważne święto. Połączenie waszego Bożego Narodzenia, Nowego Roku i jeszcze innych świąt.

– Tak.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że moi rodzice byli uczonymi? Filozofem i matematyczką?

– Tak.

– Ale, podobnie jak większość Rosjan, byli przesądni. Matka nauczyła mnie w ostatni dzień starego roku wkładać pod poduszkę trzy paski papieru. To stary zwyczaj. Na jednym pasku pisze się „dobry rok”, na drugim „zły rok”, a na trzecim „średni rok”. Po północy sięga się pod poduszkę i wyciąga jeden pasek.

Roth się uśmiecha. Sięga ręką nad Wasylisą i bierze w rękę mały notes leżący na stoliku oraz srebrny długopis. Wyrzywa pustą kartkę i rozrywa ją na trzy paski. Na pierwszym pisze „rok z Wasylisą”, na drugim „rok bez Wasylisy”, a trzeci zostawia pusty.

– Kuisz los, Norman.

Roth składa trzy paski i chowa je pod poduszkę, którą dzielą teraz ze sobą.

– Jesteś przesądna, doktor Iwanowa – mówi i całuje ją bardzo powoli.

Gdy pocałunek się kończy, Wasylisa odsuwa głowę od mężczyzny, by móc skupić wzrok na jego twarzy.

– Nie – szepcze. – Jestem uduchowiona. I sentymentalna.

Przyjęcie odbywa się na dacy kosmonauty Wiktora Afanasjewa, nieopodal Moskwy. Wasylisa wyjaśnia Rothowi, że Afanasjew był ostatnim dowódcą załogi Mira i to on dosłownie zgasił światło na stacji 28 sierpnia 1999 roku.

– Wiktor to mój przyjaciel – kontynuuje. – Mówi mi, że od chwili deorbitacji Mira ma dziwne sny.

– Jakie sny? – pyta z zainteresowaniem Roth.

Wasylisa rozkłada dłonie.

– Śni mu się, że spotyka się z załogą Mira pod wodą, jakby stacja była *Titanikiem* albo jakimś innym zatopionym statkiem z przeszłości. Opowiada, że czasami widuje twarze umarłych, których znał, spoglądające na niego z Mira.

Roth nigdy dotąd nie opowiadał jej o swoim śnie. Odwraca się i gapi na nią ze zdumieniem. Jadą wąską szosą, pośród drzew i śniegu.

Zjawiają się na miejscu wcześniej, o piątej po południu, ale jest już ciemno, w dacy zgromadziło się kilkadziesiąt osób, a stoły wewnątrz dużego, pięknie udekorowanego budynku uginają się od jedzenia – kiełbasa, sery, jarzyny, dip, kawałki ryby, góry kawioru, rozmaite *zakuski* w takiej ilości, że właściwie można by się obyć bez zasadniczych dań, zupy, sałatki, steki wołowe, a wszystko

to otoczone niezliczonymi butelkami wódki i szampana. Mimo to gospodarz i jego przyjaciele stoją na dworze, przy grillu – choć według oceny Rotha temperatura wynosi dobrze poniżej minus dwudziestu stopni. Pieką szaszłyk – kebab z baraniny – opowiadają kawały, śmieją się i piją wódkę.

W ciągu kilku następnych godzin Rotha przedstawiają ponad stu ludziom. Popełnia typowy dla Amerykanów błąd, starając się zapamiętać tylko pierwsze imiona bez imion ojcowskich, które pomogłyby mu jakoś usystematyzować tę lawinę imion i twarzy. Niemniej udaje mu się zapamiętać część osób: kosmonauta Siergiej i jego żona Jelena; Tamara, atrakcyjna moskiewska jasnowidząca, która przewidziała niemal katastrofalne problemy, jakie miała misja Wasilija Cyblijewa (według Wasylisy podała nawet datę przyszłej kolizji stacji z dostarczającą zaopatrzenie rakieta); Wiktor, palący papierosa za papierosem białowłosego zastępcę dyrektora lotów; inżynier pokładowy Pawieł („Pasza”); kosmonauta Aleksandr („Sasza”); jego żona Ludmiła oraz córki Natasza i Jewgienia; dyrektor lotów Władimir; psycholog z TsUP Rostisław, któremu Wasylisa i inni mówią „Steve”; duet kosmonautów Jurij i Jurij; kosmonauta Wasilij („Wasia”) i jego żona Łarisa, i tak dalej, i tak dalej.

Oprócz kosmonautów i ich rodzin oraz kontrolerów i dyrektorów lotów z TsUP są tu również sławni ludzie – ważni rosyjski politycy, amerykański kongresmen (Roth wie, że to paskudny typek), kilka osób z NASA, dwóch astronautów i jeden był astronauta (żaden z nich nie przyszedł z żoną, ale jeden przyprowadził swoją dziewczynę, Rosjankę), grupa rosyjskich poetów i pisarzy (w chwili, gdy przedstawiają im Rotha, wszyscy są już kompletnie pijani), druga jasnowidząca – znacznie mniej atrakcyjna niż Tamara, którą spotkał przedtem – amerykański reżyser pragnący przelecieć się na Międzynarodową Stację Kosmiczną, rosyjski oficer łypiący na wszystkich spode łba, niemiecki reżyser najwyraźniej znający wszystkich obecnych, rosyjska aktorka – niewiarygodnie piękna i zdumiewająco głupia – oraz pies o najbardziej współczującym spojrzeniu ze wszystkich żywych istot, jakie Roth w życiu spotkał.

W salonie ustawiono wielki telewizor z plazmowym ekranem. Pokazywano na nim wieczorne przygotowania na Placu Czerwonym, a także relacje CNN z radosnego przywitania Nowego Roku na placu Tienanmen i w innych miejscach.

Roth od czasu do czasu dotyka bolącej piersi – gdy Wasylisa się oddali, a nikt inny na niego nie patrzy – i wędruje po domu, przez cały wieczór trzymając w dłoni ten sam kieliszek niewypitej wódki, ścisnąca dłonie, rozmawia z tymi, którzy mówią po angielsku, słucha szeptanych przez Wasylisę tłumaczeń tekstów piosenek oraz rozmów.

Noc robi się coraz ciemniejsza, a przyjęcie coraz bardziej hałaśliwe. Północ jest coraz bliżej.

Trzech kosmonautów siedzi na oszklonej werandzie, debatując z powagą po rosyjsku o doświadczeniach przeżywanych podczas startu i wejścia na niską orbitę wokółziemską. Roth przypomina sobie skrócone historie każdego z nich, które wyszeptała mu Wasylisa:

Anatolij Arstebarski był w kosmosie tylko raz. Lot był udany, ale potem znalazł sobie bardziej lukratywne zajęcie; Siergiej Krikałow był być może najbardziej doświadczonym z nadal czynnych kosmonautów. Był na Mirze, na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej i leciał wahadłowcem; Wiktor Afanasjew, ich dzisiejszy gospodarz i ostatni dowódca Mira, jest człowiekiem, którego czasami dręczą złe sny, tym, którego Roth wyobraża sobie jako kapitana kosmicznego *Titanica*. Roth ściska w dłoni kieliszek i słucha niskich męskich głosów oraz cichego szeptu Wasylisy, pośpiesznie tłumaczącej słowa kosmonautów.

Anatolij: To jest jak narodziny. Najpierw jest długie oczekiwanie, klaustrofobia, ciemność, słyszane z oddali dźwięki – bulgotania pomp glikolu, brzęczenie i tykanie zasilaczy, ledwie wykrywalne szepty dobiegające ze świata zewnętrznego, a potem trauma, bolesne przeciążenie, przerażająca wibracja i nagły hałas, a na koniec wyjście w światło i kosmos.

Siergiej: Nonsens. To jest jak seks. Długie oczekiwanie, czasami bardziej ekscytujące niż samo wydarzenie. Gra wstępna, niekończące się, frustrujące symulacje. Potem przygotowania. Leżenie na wygodnych meblach. Podniecające odliczanie. Tętno przyśpiesza, zmysły się nastroją. Wreszcie nadchodzi eksplozja spełnienia. Wytrysk energii i głośny krzyk: o Boże... Już! Już! Później nadchodzi cisza i chłodne objęcia przestrzeni. A gdy już jest po wszystkim, chce się to zrobić jeszcze raz.

Wiktor: Co za głupoty. Start jest jak śmierć. Odpalenie to uwolnienie się od ciała, oddzielenie ducha od materii. Sięgamy ku granicom, jak tonący, który wyciąga ręce do powierzchni morza, jak dusza uwalniająca się od brzemienia ciała. Ale gdy już dotrzemy do tej powierzchni, znajdziemy za nią tylko próżnię. Porzucamy wszystko i wszystkich, których znaliśmy lub kiedykolwiek mogliśmy poznać. Wyrzekamy się życia, zamieniamy je na zimną, milczącą sterylność kosmosu. A gdy silniki gasną, cierpienia i ból się kończą, bariera między życiem

a śmiercią zostaje przełamana i duch wreszcie może zjednoczyć się z kosmosem, ale jest samotny... tak bardzo samotny.

Wszyscy trzej kosmonauci milczą przez długą chwilę. Wreszcie wybuchają śmiechem i Wiktor nalewa wszystkim wódki.

Roth zostaje sam na nagle opustoszałym ganku. Zauważa w blasku księżyca starego mężczyznę idącego przez pokryty śniegiem trawnik. Widziany przez oszronione szyby staruszek przypomina raczej zjawę niż realnego człowieka – biały strój, białe włosy, biały zarost i biała, lśniąca twarz. Unosi ręce niczym wyobrażenie Chrystusa. Brnie przez śnieg, kierując otwarte dłonie oraz twarz ku nocnemu niebu. Roth stawia kieliszek na stole, gotowy pośpieszyć z pomocą staruszkowi, a przynajmniej przekonać się, czy wizja jest realna. W tej samej chwili na werandę wracają Wiktor Afanasjew, Siergiej Krikałow i Wasylisa.

– Ach, to stary Dmitrij Dmitrijewicz, sąsiad Wiktora – wyjaśnia Siergiej, świetnie mówiący po angielsku. Szkolił się w Houston, leciał wahadłowcem i spędził miesiące na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. – Mieszka w dozorcowce na sąsiedniej dacy i często tu przychodzi. Latem nie ma z nim kłopotów, ale Wiktor obawia się, że w noce takie jak dzisiejsza staruszek może zamarznąć na śmierć.

– Co mówi do nieba? – pyta Wasylisa. – Czy ma demencję?

– Być może – odpowiada Wiktor, wkładając puchową kurtkę i wełnianą czapkę, wiszące na kołku przy tylnych drzwiach. – Krzyczy do nieba, bo jego syn był kosmonautą, który nie wrócił.

– Jest teraz na górze? – pyta Roth z zaskoczoną miną. – Czy zginął tam?

– Syn starego Dmitrija jest biznesmenem w Omsku – wyjaśnia z uśmiechem Wiktor. – Staruszek lunatykuje. Śni i chodzi w snach. Wybaczcie mi, proszę.

Wychodzi na dwór, i Roth, Siergiej oraz Wasylisa obserwują przez oszronione szkło, jak Wiktor odprowadza Dmitrija Dmitrijewicza między nagimi drzewami i znika im z oczu.

Magnetofon kasetowy gra głośną wojskową muzykę. Trzydziestu albo czterdziestu Rosjan w przegrzonym salonie śpiewa chóralnie słowa piosenki. Wasylisa podchodzi do Rotha i staje obok niego.

– To nieoficjalny hymn kosmonautów – szepcze i zaczyna po cichu tłumaczyć słowa:

Ziemię można oglądać przez okno

*Jak syn tęskni za matką
My tęsknimy za Ziemią, bo jest tylko jedna
Za to gwiazdy są coraz bliższe,
Lecz nadal pozostają zimne
I podobnie jak w mrocznych czasach
Matka czeka na syna, a Ziemia na synów.
Nie śnimy o ryku silników na kosmodromie
Ani o tym lodowatym błękitcie
Śnimy o trawie, trawie obok domu
Zielonej, zielonej trawie.*

Kiedy piosenka się kończy, Rosjanie biją brawo samym sobie.

Godzinę przed północą Roth spotyka amerykańskiego milionera, Toma Esterhazy'ego, mającego być następnym płacącym „turystą”, wysłanym przez Rosjan na międzynarodową Stację Kosmiczną. Esterhazy, który pije tylko butelkowaną wodę, wyjaśnia, że był matematykiem pracującym w Los Alamos i w Santa Fe Complexity Institute, zanim zarobił miliony na wykorzystaniu nowych twierdzeń z zakresu matematycznej teorii chaosu do gry na giełdzie.

– Rynek to po prostu kolejny skomplikowany system nieustannie chwiejący się na krawędzi chaosu. – Esterhazy mówi cicho, ale Roth słyszy go wyraźnie, mimo że goście robią się coraz bardziej hałaśliwi. – Jak Hyperion, księżyc Saturna. Jak dynamika zmarszczek na fladze łopoczącej na wietrze albo unosząca się w powietrzu smużka papierosowego dymu.

Młodszy mężczyzna wskazuje na tuman dymu, unoszący się w powietrzu niczym obłok.

– Ale nie można zarobić setek milionów dolarów na analizie zmarszczek na fladze albo dymu papierosowego – zauważa Roth.

Esterhazy wzrusza ramionami.

– Można, jeśli ktoś jest wystarczająco inteligentny.

Roth postanawia zabawić się w reportera.

– Ile pan ma zapłacić Energii i Rosyjskiej Agencji Kosmicznej za tę wycieczkę?

Młody milioner ponownie wzrusza ramionami.

– Pewnie mniej więcej tyle samo co Denis Tito. To nie ma znaczenia.

Nieźle jest móc powiedzieć, że dwadzieścia milionów dolarów nie ma znaczenia, myśli Roth.

– Co zamierza pan robić przez cztery dni pobytu na górze? – pyta.

– Patrzeć na chmury.

Pisarz zaczyna się śmiać. Jego redaktor z „New York Timesa” powtarzał jakiś żart o tym, że Esterhazy zamierza oglądać chmury. Nagle jednak uświadamia sobie, że milioner mówi poważnie.

– Płaci pan tyle pieniędzy tylko po to, żeby zobaczyć chmury?

Esterhazy kiwa głową, nadal zachowując całkowitą powagę. Pochyla się ku Rothowi.

– Moją specjalnością jest fraktalna analiza granic skomplikowanych systemów znajdujących się w stadium destabilizacji. Chmury są najlepszym przykładem takiego systemu. Kiedy pracowałem w Nowym Meksyku, często wybierałem się na konferencje naukowe, żeby móc popatrzeć na chmury z samolotu. W samych konferencjach nie uczestniczyłem, chciałem po prostu się przelecieć. Gdy dowiedzieli się o tym w laboratorium w Los Alamos, przestali mnie na nie wysyłać. Później, kiedy wzbogaciłem się na Wall Street, kupiłem learjeta, żebyśmy mogli latać nad chmurami.

Roth kiwa głową. To kompletny świr, myśli. Nic dziwnego, że Rosjanie nami gardzą.

– Czy widok na chmury ze stacji kosmicznej rzeczywiście będzie lepszy niż z odrzutowca? – pyta.

Esterhazy patrzy na niego, jakby to Roth był szaleńcem.

– Pewnie, że tak. Będę mógł obserwować wzorce obejmujące wiele dziesiątków tysięcy kilometrów kwadratowych. Ogromne połacie cirrusów i stratocirrusów nad południowym Pacyfikiem. Cumulusy tworzące się dwadzieścia kilometrów nad Uralem. To z pewnością będzie lepsze. Jedyne w swoim rodzaju.

Roth kiwa głową z powątpiewaniem.

Esterhazy mocno ściska jego ramię.

– Mówię poważnie. Niech pan sobie wyobrazi, że jest matematykiem, który próbuje zrozumieć wszechświat dzięki obserwacji fal morskich, zwyczajnych fal na oceanie, ale może je pan obserwować tylko z głębokości stu pięćdziesięciu metrów pod wodą. To byłoby szaleństwo, nieprawdaż? Ale tak właśnie wyglądają obserwacje fraktalnej złożoności z powierzchni planety pokrytej atmosferą. Żyjemy na dnie studni.

– Mamy satelity meteorologiczne... – zaczyna Roth.

Esterhazy kręci głową.

– Nie, nie, nie. Wszelka matematyka, a już zwłaszcza ta, która dotyczy systemów złożonych i teorii chaosu jest w mniej więcej siedemdziesięciu procentach intuicyjna. To nie żmudne tworzenie coraz doskonalszych przybliżeń

pozwała mi zrozumieć dynamikę czoła fali, jaka objawia się na giełdzie. Pewnego dnia byłem tam ze znajomym maklerem, po prostu gapiliśmy się na ekrany, na wielką tablicę, na pojawiające się wciąż nowe cyfry i na bazgraninę facetów na dole, gdy nagle objawiła mi się funkcja fraktalnej powtarzalności, której potrzebowałem. Żeby w ten sposób zrozumieć fraktalną dynamikę chmur, na ich granicach, muszę zobaczyć chmury. Wszystkie. Ujrzyć całość. Poczuc dynamikę systemu. Po prostu zobaczyć. Cztery dni nie wystarczą, ale zawsze to jakiś początek.

– Musi pan na chwilę stać się Bogiem – stwierdza Roth.

– Tak – potwierdza Esterhazy. – To nie wystarczy, ale to będzie jakiś początek.

Kilka minut przed północą Roth wychodzi na zimny, oszklony ganek po swój kieliszek wódki i widzi, że Dmitrij Dmitrijewicz znowu krąży po ośnieżonym trawniku.

Idzie ku drzwiom, żeby zawołać Wasylisę albo gospodarza, ale waha się, widząc, że goście gromadzą się wokół Wiktora w zatłoczonym salonie, śpiewając razem w ostatnich minutach starego roku. Wasylisy nigdzie nie widać.

Wraca do podwójnych drzwi, działających jak śluza chroniąca przed skąpanym w blasku księżyca chłodem, wkłada na głowę futrzaną czapkę pozostawioną przez Wiktora i wychodzi w lodowatą noc.

Szeroki stok opadający ku zamarzniętemu jezioru lśni niebieskawo w blasku księżyca. Chmury i tumany śniegu zniknęły. Blask gwiazd i księżyca wypełnia niebo tak całkowicie, że Roth wpatruje się w nie ponad minutę, nim wraca do poszukiwań staruszka.

Widzi go. Dmitrij stoi jakieś dwadzieścia metrów w dół stoku od domu, mała postać na skraju brzozonego lasu. Pokrywa śniegu pęka z traskiem pod półbutami Rotha.

Pisarz otwiera usta, by wykrzyczeć imię staruszka, ale powietrze jest tak zimne, że wdziera się w głąb jego piersi niczym próżnia. Roth wciąga je gwałtownie i łapie się za klatkę piersiową. Koncentruje się na oddychaniu, pokonując ostatni pas skąpanego w niebieskim blasku śniegu dzielący go od Dmitrija. Staruszek jest odwrócony do niego plecami, wpatruje się w niebo widoczne za gałęziami brzoź. Wcześniej miał na sobie workowate spodnie i sweter, ale teraz jest ubrany w długie, białe szaty, przypominające Rothowi całun.

Pisarz zatrzymuje się na odległość wyciągniętego ramienia od starszego mężczyzny. Coś przesuwa się po polu gwiazd niczym rzucony na nie diament – być może satelita, lecący wysoko wojskowy samolot albo nawet sama stacja kosmiczna. Nie jest pewien, czy można ją zobaczyć z Moskwy.

Roth opuszcza wzrok i w tej samej chwili starszek zwraca się ku niemu.

To jego ojciec.

Roth unosi rękę do piersi. Jego ojciec, jakby w odpowiedzi, unosi swoją. W pierwszej chwili Roth jest pewien, że ojciec go dotknie, dotknie jego twarzy, dotknie bolącego serca syna, ale jego ręka nadal się unosi, aż wreszcie długi palec wskazuje jakiś punkt na niebie, położony nad pisarzem i za jego plecami.

Roth zaczyna się odwracać. Nagle słyszy ogłuszający ryk, a powietrze wypełnia jasność, otaczająca go i wchodząca w niego. Zaciska mocno powieki i zasłania uszy dłońmi, ale blask i huk przebijają się przez te zasłony i pochłaniają go bez reszty.

Płomienie hipergolowych paliw mieszających się ze sobą, silników pomocniczych na paliwo stałe, głównych silników wahadłowca oraz potrójnych silników pomocniczych Sojuza eksplodujących energią.

Dźwięk. Ryk niezliczonych milionów ergów i dzuli, energii eksplodującej w noc, w jedną sekundę, w jedną milionową sekundy. Ryk Saturna V, płomienie wypływające jednocześnie z pięciu silników. Ryk Energii, ryk wybuchu marsjańskiej rakiety z 1960 roku. Kontrolowany ryk trzystopniowej księżycowej rakiety N-1.

Upadł, ale nie spada. Unosi się w powietrzu półtora metra nad ziemią, przesuując się w bok. Ojciec go podtrzymuje obiema rękami.

– Spokojnie – mówi. – Utrzymuj się na powierzchni. Niech ocean wykona pracę za ciebie. Teraz cię puszcę.

Robi to, ale delikatnie.

Rotha znowu otacza ryk płomieni oraz wibracja. Trzyma się lewą ręką za prawe ramię. Hałas wydaje mu się uciskiem, a płomienie bólem. Potem jednak słucha polecenia ojca, uspokaja się i rozkłada szeroko ramiona. Leży na plecach, czując, że grawitacja uwalnia go ze swych objęć.

Pozwala, by ryk silników zaniósł go ku niebu. Bajkonur zostaje daleko w dole, wygląda jak ośnieżona szachownica, Floryda też zostaje daleko w dole, przypomina wyciągnięty palec. Zielone przybrzeżne wody ustępują miejsca ultramarynie głębokiego morza.

Wznosi się razem z rykiem, napędzany nim. Przemyka przez pasma wysoko położonych chmur, czując, że ciśnienie powietrza i wpływ przyciągania ziemskiego się zmniejszają, aż wreszcie niebo robi się czarne, a gwiazdy lśnią stałym, niemrugającym blaskiem.

– Norman. Norman!

Słyszysz głos przebijający się przez ryk. Wie, że to Wasylisa, czuje z oddali, że wsparła jego głowę na swoim kolanie i rozerwała mu koszulę, ale potem głos niknie, pochłonięty przez ryk i płomień.

Silniki pomocnicze na paliwo stałe odpadają od rakiety.

Najpierw oddziela się pierwszy stopień, czarno-biały metalowy pierścień lśniący jasno w blasku słońca koziółkuje ku błękitnej, usianej plamkami bieli krzywiźnie Ziemi na dole.

Brzeg jego świata staje się łukiem, niebiesko-żółtym bułatem graniczącym z czernią kosmosu. Roth słyszy odległe głosy, jak szeptane rozkazy bądź błagania przekazywane przez źle nastrojone słuchawki. Wie, że musi trzymać oczy zamknięte, jeśli chce zobaczyć to wszystko. Mimo to próbuje je otworzyć, ale w tej samej chwili odpala drugi stopień, płomień powraca i Rotha unieruchamia przeciążenie.

– Przynieś z samochodu moją torbę. Szybko!

Roth słyszy te słowa po rosyjsku, ale rozumie je bez trudu. To bardzo dziwne, że języki były kiedyś jak ściany, uniemożliwiające zrozumienie. Teraz znalazł się bardzo wysoko i może spoglądać nad każdą ścianą.

Hałas, płomień i przeciążenie kończą się równie nagle, jak się zaczęły.

Roth unosi się swobodnie, wszystkie kończyny ma rozpostarte. Wygina górną część ciała i obraca się w przestrzeni, spoglądając z góry na miejsce, w którym przed chwilą był. W którym zawsze był.

Leci ku wschodzącemu słońcu. Daleko w dole przesuwają się orszaki białych chmur przypominających owce wędrujące po błękitnej łące. Z lądu ku słońcu wyciąga się półwysep – palec boga rozdzielający zielone morze. Po nocnej stronie linii granicznej wysokie na dwadzieścia kilometrów stratocumulusy rozświetlają ich własne wewnętrzne błyskawice.

– Odsuń się... igła... w serce...

Roth sięga po niewidzialne słuchawki, zmęczony odległymi głosami, przypominającymi brzęczenie owadów. Niech TsUP i Houston wydają rozkazy. Nie musi ich słuchać. Cisza otacza go niczym woda napływająca do pomieszczenia.

Blask słońca przenika łuk świata, jego promienie wypełniają ciekłą warstwę atmosfery niczym sztylet ze złotego płomienia, a następnie opuszczają Ziemię i oddalają się w czarną przestrzeń, niosąc ze sobą żar reakcji termojądrowej, z której się zrodziły. Roth przekonuje się, że przestrzeń kosmiczna nie jest cicha. Gwiazdy syczą i trzeszczą. Słyszał to już przedtem dzięki nagraniom z radioteleskopów, ale teraz przekonuje się, że również śpiewają. Słyszysz chór perfekcyjnych głosów, śpiewających w języku przypominającym łacinę. Wyteżają

słuch, by zrozumieć, co mówią mu te piękne, nieziemskie głosy, ale znaczenie ich słów wymyka się poza zasięg jego pojmowania. Roth unosi się na ogłuszającej fali promieni gorejącego słońca, czuje pojedyncze fotony uderzające w jego nagą skórę, widzi fale przyboju wiatru słonecznego uderzające o pulsujące, oddychające fałdy magnetosfery Ziemi. Uświadamia sobie, że kosmos wcale nie jest pusty. Wypełniają go fale pływowe grawitacji, potężne fale uderzeniowe światła, splątane, żywe i nieustannie się poruszające linie pól magnetycznych – a wszystko to na tle widzialnego i słyszalnego chóru gwiazd.

Gdzieś, naprawdę bardzo daleko, znowu słychać odliczanie – pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... po rosyjsku i po angielsku... ludzie zaczynają śpiewać, śmiać się i krzyczeć. Roth słyszy muzykę. Nadszedł Nowy Rok.

Rozpościera ramiona i niemalże jest gotowy pozwolić, by wiatr słoneczny zaniósł go dalej, wyżej i głębiej w śpiewający kosmos, na zawsze poza zasięg ziemskiej grawitacji, ale ma jeszcze coś do zrobienia.

– Oddychaj, Norman. Norman!

Ponownie wytrząsa głos z uszu, ale sięga pod poduszkę. Trzy złożone paski papieru nadal tam są. Wybiera jeden. Unosi zaciśniętą pięść i otwiera palce.

Żeby przeczytać, co jest napisane na pasku, musi otworzyć oczy. Płacze, zaciskając powieki, na myśl, że nigdy już nie zobaczy cudu oddalającej się Ziemi, nie poczuje ojcowskiego uścisku wschodzącego Słońca i dotyku zimnego globu Księżyca, nie usłyszy i nie zrozumie chóru gorejących gwiazd, śpiewających w paśmie promieni X.

Musi się jednak dowiedzieć, którą przyszłość wybrał.

Norman Roth otwiera oczy.

miłość i śmierć

Łóżko entropii o północy

„O, miłości, ty absolutny władco życia i śmierci”.

Richard Crashaw (1613–1649),
„Hymn do św. Teresy”

„Nie, nie, nie, nigdy”.

William Szekspir,
„Król Lear”

Właśnie wydostaliśmy się z Denver i ruszyliśmy na zachód w piątkowym szczycie. Kiedy pokonaliśmy pierwsze duże wzniesienie, Caroline zapytała, po co jest rampa awaryjnego hamowania, a wtedy ja zobaczyłem naczepę stojącą na wschodnim zjeździe. Pomyślałem, że kierowca po prostu jechał za szybko jak na pięciokilometrowy odcinek nachylony pod kątem sześciu stopni, ale następnego ranka w Breckenridge ujrzałem zdjęcia wraku na pierwszych stronach „Denver Post” i „Rocky Mountain News”; kierowca ciężarówki przeżył, jednak w toycie camry, którą zepchnął na betonową ścianę oporową, zginęły trzy kobiety.

Powiedziałem wtedy Caroline, do czego służą rampy awaryjnego hamowania, i potem wypatrywaliśmy ich w czasie godzinnej jazdy do małego ośrodka narciarskiego.

– Wygląda strasznie – stwierdziła Caroline, patrząc na stromy żwirowy podjazd. – Ciężarówki często się psują?

Przed trzema miesiącami, w maju, Caroline skończyła sześć lat, ale była przedwcześnie rozwinięta, zarówno jeśli chodzi o słownictwo, jak i strach przed światem o zbyt wielu ostrych krawędziach. Jeśli wierzyć Kay i innym, to ja przyczyniłem się do obudzenia w niej tego niepokoju.

– Nie – skłamałem. – Bardzo rzadko.

Breckenridge w sierpniu nie jest najbardziej ekscytującym miejscem, do którego zabrałbym córkę po tym, jak nie widziałem jej kilka miesięcy. Mała miejscina narciarska była bardziej „prawdziwa” niż Vail czy Aspen, ale poza

kilkoma drogimi sklepami i jedną Wendy – przebraną za stary wiktoriański dom, ale oferującą menu odpowiednie dla dzieci – nie było tam w lecie dużo do roboty. Planowałem rozbić się z namiotem na piątkową noc, ale po trzech miesiącach suchego upału ten weekend w Kolorado okazał się zimny, wietrzny i deszczowy. Znalazłem dla nas mały apartament z kuchenką w chacie tuż pod trasami narciarskimi i tamtego wieczoru obejrzelśmy w małym telewizorze *Wojnę światów* George’a Pala.

Kładąc tamtej nocy Caroline na małej rozkładanej kanapie w części jadalnej, podczas gdy deszcz hałaśliwie tryskał z rynien, nie mogłem nie zauważyć, jak bardzo jest podobna do Kay. W ciągu pięciu miesięcy, odkąd obie przeniosły się do Denver, Caroline schudła, a w miarę jak znikał dziecięcy tłuszcz jej twarz zaczęła nabierać eleganckiej struktury kostnej takiej jak u Kay. Jej brązowe włosy były krótsze, niewiele dłuższe od włosów matki, kiedy poznałem ją latem po powrocie z Wietnamu i uderzyłem w ciężarówkę pepsi. Ciemne oczy Caroline błyszczały taką samą wrażliwą inteligencją jak u Kay, a ja zauważyłem, że w taki sam sposób jak ona kładzie policzek na dłoni zamiast na poduszce.

Wielką tragedią rozłąki z dziećmi w ich wczesnych latach, nawet krótkiej, jest to, że kiedy wracasz, one są innymi ludźmi. Może to zawsze jest prawdą, w każdym wieku. Nie wiem.

– Tatusiu, możemy pojechać rano obejrzeć Alpine Slide?

– Jasne, dzieciaku. Jeśli pogoda się poprawi.

Żałowałem, że wziąłem z lobby ulotki. Byłoby wszystko w porządku, gdyby nie to, że Caroline nauczyła się czytać, zanim skończyła pięć lat. A tak przeczytała na głos entuzjastyczne opisy Alpine Slide z każdej z pięciu broszurek „Co robić w Breckenridge”. Stwierdzenie, że mniej niż entuzjastycznie odnosiłem się do tego, żeby śmigać w dół górskiego zbocza, byłoby dużym niedopowiedzeniem.

– Ten film o Marsjanach był głupi, prawda, tatusiu?

– Jasne, że tak.

– To znaczy, że jeśli oni byli tacy mądrzy, żeby budować statki kosmiczne, byłiby dostatecznie mądrzy, żeby wiedzieć o robakach, prawda?

– Oczywiście.

Nigdy o tym nie myślałem. *Wojna światów* była pierwszym nedisnejowskim filmem, który widziałem – miałem pięć lat, kiedy wszedł na ekrany w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim – i przez całą drogę z Rialto ścisnąłem rękę starszego brata. „Widziałeś druty przytrzymujące te głupie marsjańskie maszyny?” – spytał Rick, pewnie po to, żeby złagodzić mój strach, ale ja tylko zamrugnąłem w szarej chicagowskiej zamieci i mocniej ścisnąłem jego dłoń w rękawiczce. Później przez wiele miesięcy spałem niespokojnie i nie mogłem

patrzeć w nocne niebo z podestu trzeciego piętra, żeby nie zobaczyć meteorytowych śladów atakujących marsjańskich cylindrów. Lata później, kiedy przeprowadziliśmy się do małego miasteczka trzydzieści mil od Peorii, pocieszałem się, że Marsjanie najpierw zaatakowałyby duże miasta, dając nam, ludziom ze wsi, dość czasu na popełnienie samobójstwa, zanim skierują na nas swoje promienie cieplne. Później, kiedy moje lęki przeniosły się z Marsjan na wojnę nuklearną, wykorzystałem tę samą logikę, żeby odnaleźć spokój ducha.

– Dobranoc, tatusiu – powiedziała Caroline, kładąc policzek na dłoni.

– Dobranoc, skarbie.

Poszedłem do drugiego pokoju, przymknąłem drzwi i próbowałem czytać ostatni zbiór opowiadać Raymonda Carvera. Po jakimś czasie poddałem się i tylko słuchałem deszczu.

Nigdy za bardzo nie lubiłem ojca Kay – był inżynierem budownictwa, zanim przeszedł na emeryturę, i nadal miał czarno-białe poglądy na każdą sprawę – ale zaskoczył mnie, odwiedzając w klinice, gdy przechodziłem odwyk i leczyłem po załamaniu, które przeszedłem po mojej separacji z Kay.

– Kay mówi, że codziennie patrzyłeś, jak Caroline idzie do szkoły, i czekałeś na nią, kiedy z niej wychodziła – powiedział staruszek. – Myślałeś o tym, żeby ją porwać?

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

– Przecież wiesz, Calvinie. Po prostu upewniałem się, że u niej wszystko w porządku.

Pokiwał głową.

– I prawie uderzyłeś panią, która opiekowała się Caroline, kiedy Kay pracowała.

Wzruszyłem ramionami, żałując, że nie mam na sobie czegoś innego niż piżama i szlafrok.

– Wozila w wanie Caroline i inne dzieci bez zapiętych pasów.

Calvin mi się przyjrzał.

– Czego się boisz, Bobby?

– Entropii – odparłem bez zastanowienia.

Calvin lekko zmarszczył brwi i potarł policzki.

– Minęło cholernie dużo czasu od wykładów z fizyki w college’u, ale czy entropia to nie po prostu energia, której nie można zmusić do pracy?

– Tak – potwierdziłem zdumiony, że rozmawiam o tym z ojcem Kay. – Ale również miara nieuporządkowania. I pewność, że wszystko, co może się spieprzyć, się spieprzy. To siła stojąca za działaniem prawa Murphy’ego.

– Most Brooklyński – rzucił Calvin.

– Co?

– Jeśli entropia cię przeraża, Bobby, pomyśl o Moście Brooklyńskim.

Pokręciłem głową. Zaboląło. Trzeźwość była przereklamowana.

– John Roebling i jego syn zaprojektowali ten most, żeby przetrwał – powiedział Calvin. – Zbudowano go w tysiąc osiemset siedemdziesiątym, kiedy ruch był dziesięć razy mniejszy od dzisiejszego, ukończono lata przed tym, jak przejechał po nim pierwszy samochód, ale policzono wszystkie obciążenia, a wszystkie tolerancje pomnożono przez pięć albo dziesięć, i spójrz na niego dzisiaj. Kilka lat temu przeprowadzili jego kompletną inspekcję i uznali, że potrzeba jedynie nowej warstwy farby.

– Wspaniale – rzuciłem wtedy. – Gdyby się było mostem.

Po wyjściu z kliniki pojechałem do Nowego Jorku. Moją przykrywką było to, że jadę na rozmowy z Centurionem, spółką matką Prairie Midland, na temat przeniesienia z powrotem w okolice Denver, ale w rzeczywistości pojechałem obejrzeć most. Zastanawiałem się, czy pomnożyłem tolerancje życia Caroline o czynnik pięć, dziesięć czy większy i w ten sposób zmieniłem rzeczy, które powinny rosnąć w słońcu, w cegłę i żelazo.

Głupi pomysł. Niedaleko podstawy mostu był świetny bar, ale przed powrotem do hotelu wypłem tylko piwo.

Deszcz ustał po północy, ale silny wiatr nadal dmuchał z górskich szczytów, a ja byłem wdzięczny za dodatkowe koce leżące na półce. Kilka razy chodziłem spojrzeć na Caroline. Miała się dobrze, wyciągnięta w jednej z tych niesamowitych pozycji, w których lubią spać sześciolatki. Poprawiłem na niej kołdrę i koc i wróciłem do prób zaśnięcia.

Jedną z moich ulubionych spraw z Pomarańczowego Archiwum było roszczenie farmera McDonalda i jego syna Clema. Oczywiście nie były to ich prawdziwe nazwiska. Nie wiem, co zrobię, jeśli kiedyś wezmę się do zebrania tych przypadków w książkę czy coś w tym rodzaju. Nazwiska ubezpieczonych tak często pasują idealnie do ich historii – na przykład rozpustnego dentysty z Salem w Oregonie, doktora Dicka – że nie potrafię sobie wyobrazić, że je zmieniam. Ponadto, żeby nacieszyć się tymi aktami, tak jak ja się cieszyłem

przez te wszystkie lata, musielibyście czytać je w całości, razem z raportami policyjnymi, formularzami likwidatorów szkód, szkicami sytuacyjnymi wypadków, zeznaniami ofiar, powodów, głównych uczestników i świadków.

Co jakiś czas powraca do mnie echo tamtych spraw o odszkodowanie, kiedy po strzelaninie albo czymś takim wypowiada się w telewizji zastępca szeryfa, funkcjonariusz policji stanowej albo ktoś inny. Odrywałem wtedy Kay od książki i kazałem jej patrzeć.

– Eee... mniej więcej w tym czasie... – mówił do kamery gruby zastępca szeryfa. – Eee... domniemany podejrzany opuścił pojazd i ruszył dalej pieszo... eee... w szybkim tempie, aż ja i funkcjonariusz Fogerty zauważyliśmy podejrzanego i przystąpiliśmy do zatrzymania go. Wtedy...eee... podejrzany stawiał fizyczny opór, który razem z funkcjonariuszem Fogertym skutecznie przełamaliśmy.

– To znaczy, że oszust wyskoczył z samochodu i uciekał, aż się kurzyło, dopóki ci dwaj go nie dopadli i nie wdeptali w ziemię – tłumaczyłem na użytek Kay.

Ona uśmiechała się posłusznie i mówiła:

– Bobby, każda pseudoprofesja i poziom biurokracji ma swój wskaźnik nowomowy i pustosłowia.

– Na przykład? – Jedyne stałe prace, jakie w życiu miałem, to wojsko i ubezpieczenia. Chodziło w nich o to samo.

– Weźmy moją działkę – mówiła Kay. – Edukację. To, czego brakuje nam w kategoriach technicznych, nadrabiamy beżużytecznym żargonem. Dziecko nie może być opóźnione, trzeba je nazywać dzieckiem z trudnościami w uczeniu się. Nie możemy zatrudnić koordynatora, żeby zajął się narastającym problemem porzucania szkoły, tylko dajemy ogłoszenie, że szukamy „nauczyciela do zadań specjalnych dla uczniów rezygnujących z nauki”. Zamiast dawać korepetycje wolno uczącemu się dziecku, tworzymy wymyślne „niezależne profile edukacyjne dla nieautonomicznych uczniów”. Zamiast grup dla zdolnych musimy tworzyć programy TAG.

– Taa – mówiłem, wskazując ekran, na którym nasza miejscowa, atrakcyjna euroazjatycka prezenterka zajęła miejsce tłustego zastępcy szeryfa. – Ale gliniarze mówią tak cudownie głupio.

W każdym razie farmer McDonald naprawiał dach stodoły, kiedy doszło do wydarzeń, których dotyczyło wspomniane wcześniej roszczenie odszkodowawcze w związku z wypadkiem samochodowym.

„Chwileczkę”, powiecie. „Ubezpieczenie samochodowe? Podczas naprawiania dachu stodoły?”. Zaczekajcie i posłuchajcie.

Pracowałem wtedy w oregońskim oddziale Praire Midland. Farmer McDonald miał gospodarstwo czterdzieści osiem kilometrów na południowy wschód od Portland. Pamiętam, że padało, kiedy pojechałem, żeby dokonać oględzin i odebrać zeznania. W moich wspomnieniach zawsze padało w Oregonie.

W każdym razie pan McDonald wykonał mniej więcej jedną trzecią prac po północnej stronie stodoły, kiedy zrobił się trochę nerwowy z powodu coraz większej stromizny dachu. Zszedł na dół, znalazł długi kawałek liny, wszedł z powrotem na górę, obwiązał się bezpiecznie jej jednym końcem i ruszył wyżej, żeby drugi koniec przymocować do czegoś solidnego. Uznał, że wieżyczka jest zbyt przegniła, a piorunochrony i wiatrowskazy za cienkie. Wtedy zobaczył na podwórzu przy domu swojego dorosłego syna Clema, więc przerzucił linę przez kalenicę i kazał mu przywiązać ją do czegoś „naprawdę solidnego”, a następnie wrócił na północną stronę dachu, żeby dokończyć układanie gontów.

Clem ważył jakieś sto trzydzieści kilogramów i dużo się uśmiechał, kiedy przeprowadzałem z nim wywiad. Nie miałem wątpliwości, że Kay uznałaby go za „osobę ze znacznymi trudnościami w uczeniu się” i przyznała mu najwyższy „profil”, jaki może dostać „nieautonomiczny uczeń”. Clem był jedną z porażek programu „nauki specjalnej dla porzucających szkołę”. Przydałaby mu się również kąpiel.

Clem zastosował podwójny pólszytyk, żeby przymocować linę do tylnego zderzaka ich pickupa GM rocznik 1975, zaparkowanego między tylnym gankiem a kurnikiem. Następnie poszedł do swoich zajęć.

Pani McDonald wyszła z domu około dziewiętnastu minut później, wsiadła do samochodu i ruszyła do miasta po zakupy.

Nie dotarła do miasteczka. Według raportu miejscowego szeryfa: „...W tym momencie małżonka pana McDonalda została zatrzymana przez pana Floyda J. Howella, pracownika USPS około czterech kilometrów od domostwa McDonaldów przy County Road 483, który w tamtym momencie jechał obok pani McDonald i udało mu się przekazać, poprzez różne werbalne i niewerbalne komunikaty, że pani McDonald ciągnie coś za swoim pojazdem i powinna zatrzymać się przy pierwszej sposobności”.

Prairie Midland, moja firma, w końcu zapłaciła. W ostatecznym orzeczeniu sąd musiał wziąć pod uwagę niezaprzeczalny fakt, że pan McDonald był w chwili wypadku przywiązany do ubezpieczonego przez nas pojazdu. Jeśli dobrze pamiętam, ugoda obejmowała wymianę wieżyczki, którą farmer McDonald zabrał ze sobą w drogę na dół. Musieliśmy również zapłacić za dokończenie robót dachowych.

Rano było zimno, ale burza minęła, więc Caroline i ja zjedliśmy śniadanie w Wendy i pojechaliśmy pod Peak 8, gdzie znajdowała się Alpine Slide.

– Och, tatusiu, wygląda super.

– Uhm.

– Żałujesz, że nie ma mamusi?

– Mmmm – zamruczałem.

W miesiącach po separacji nie przestawałem żałować, że Kay nie ma przy każdym nowym doświadczeniu, ale wreszcie do tego przywykłem, tak jak przywyka się do brakującego zęba. Chciałem, żeby Kay tutaj teraz była i pomogła mi wymyślić dobry sposób na utrzymanie Caroline z dala od cholernej Alpine Slide.

– Możemy nią zjechać?

– Wygląda trochę strasznie – powiedziałem.

Caroline pokiwała głową i przez minutę przyglądała się górskiemu zbocz.

– Tak, trochę – przyznała. – Ale nie sądzę, żeby Scout się bał.

– Nie – zgodziłem się. Mojemu synowi na pewno by się spodobało. Oczywiście dla Scouta świetna zabawa byłaby wtedy, gdyby ktoś zamknął go w kartonowym pudle i zrzucił z połowy góry. – Co powiesz na to, żebyśmy chwilę pochodzili i się rozejrzeli?

Zjeżdżalnia była otwarta od niecałej pół godziny, ale parking został zapełniony już w dwóch trzecich, a stały strumień dzieci i dorosłych ustawiał się w kolejce do budki z biletami i do wyciągów. Były ich dwa: coś, co nazywało się Super Wyciąg Kolorado, trzyosobowe kanapy, które jechały do restauracji Vista Haus znajdującej się na wysokości trzech i pół tysiąca metrów, i mniejszy dwuosobowy Alpine Slide, który docierał na niecałe półtora kilometra w górę bardziej stromego zbocza. Już mogliśmy usłyszeć zgrzyt hamulców i krzyki pokonujących ostatnie zakręty betonowego koryta. Nie widziałem szczytu zjeżdżalni wśród drzew. Większy widokowy wyciąg był prawie pusty, kiedy statecznie sunął nad zboczem, które w jasnym porannym świetle wyglądało na prawie pionowe.

– Może pojedziemy tym większym? – zaproponowałem. – Mielibyśmy świetny widok.

– Eee, nie – powiedziała Caroline. – Wolę Slide.

Moja córka jęczała najmniej ze wszystkich sześciolatek, jakie znałem, ale teraz była tego niebezpiecznie blisko.

– Zobaczmy, jak bardzo.

Dołączyliśmy do kolejki posuwającej się w stronę okienka z biletami. Mimo ostrego górskiego słońca powietrze było chłodne, a wiatr jeszcze je schładzał. Caroline i ja mieliśmy na sobie dzinsy i bluzy, ale większość rodzin wokół nas trzęsła się w szortach i koszulkach, jakby ogłaszała: „Na Boga, jest sierpień, jeszcze lato, a my jesteśmy na wakacjach”. Nad Peak 8 zaczęły się pojawiać chmury. Bilety kosztowały cztery dolary za dorosłego i dwa pięćdziesiąt za dziecko. Kilka miesięcy wcześniej, kiedy Caroline miała pięć lat, jeździłaby za darmo.

Znowu spojrzałem na Alpine Slide. Na stoku narciarskim ułożono równolegle dwie kręte betonowe rynny. Po obu stronach ograniczały je cienkie płotki biegnące zygzakiem w dół po stromym zboczu niczym brązowe błyskawice. Nie widziałem początku zjeżdżalni, ale widoczni i słyszalni byli saneczkarze, kiedy wpadali na jej ostatnią część, a kolorowe sanie sunęły wysoko na nachylonych zakrętach. Większość zjeżdżających wrzeszczała.

– Proszę, tatusiu.

– Myślę – powiedziałem świadomy, że wstrzymuję kolejkę.

Kobieta za szybą spojrzała na mój dziesięciodolarowy banknot i powiedziała:

– Jeśli będzie pan chciał zjechać więcej niż jeden raz, taniej kupić jeden specjalny pięciozjazdowy bilet.

– Pewnie tylko raz – odparłem.

– Dwa przejazdy za sześć dolarów dla pana i dwa po cztery dolary dla dziewczynki wyjdzie taniej.

– Tylko jeden przejazd – powtórzyłem ostrzej, niż zamierzałem.

– To się nosi na szyi – wyjaśniła Caroline, przekładając przez głowę elastyczną obrozę biletu, kiedy szliśmy do wyciągu.

Moja była za ciasna. Wżynała mi się w gardło jak garota. Kolejka do wyciągu okazała się krótsza, niż sądziłem.

Prairie Midland było firmą wysokiego ryzyka. Nasi ubezpieczeni płacili więcej z powodu kiepskiej historii kierowcy, niewywiązywania się ze zobowiązań, przestępstw, prowadzenia pojazdów pod wpływem alkoholu albo stu innych powodów. Każdy w tym kraju może się ubezpieczyć, jeśli ma pieniądze. Dzień po tym, jak pijany zmiotł szkolny autobus i zabił dwadzieścia siedem osób, mógł dostać polisę w Prairie Midland albo w dwudziestu innych firmach takich jak my. Ten kraj opiera się na samochodach. Nie możemy pozwolić, żeby konsumenci siedzieli w domu.

Jakiś czas po tym, jak przeniosłem się ze State Farm do Prairie Midland, gdy jechałem gdzieś z Kay i widziałem menela grzecznie wymiotującego do rynsztoka albo bezdomną konwersującą z niebem, mówiłem z dumą:

– Nasi ubezpieczeni. Pewnie w drodze na spotkanie Mensy.

Nie zamierzałem wchodzić w biznes ubezpieczeniowy. W szkole średniej chciałem zostać komikiem, może stand-uperem. Moimi ulubionymi byli wczesny Bill Cosby i Jonathan Winters. Cosby był wtedy zabawny. Nie zamienił swojego dziecięcego humoru na wszystkie te dziecinne, znaczące uśmiechy, robienie min i samozadowolenie, które u niego teraz czasami widuję, kiedy włączam telewizor.

Jonathan Winters był jeszcze lepszy, naprawdę szalony geniusz. Znałem na pamięć całe monologi z jego wczesnych albumów. Czasami mój brat Rick nie chciał robić jakiejś głupiej rzeczy, którą sobie wymyśliłem – jak zeskakiwanie na rowerach z trzymetrowej rampy albo czekanie na Hendlemann's Trestle, aż jadący na południe pociąg z czwartej dziesiąt zagwiżdże na zakręcie – mówiłem jak Jonathan Winters:

– Więc dobrze, senatorze, proszę uciekać, wracać do samochodu. Sam nie dam dojść do głosu Ace'owi.

W college'u już nie chciałem być komikiem, ale nie chciałem również być nikim innym. Wybrałem kursy sztuk wyzwolonych, protestowałem przeciwko wojnie i spędzałem nadmierną ilość czasu na próbach uprawiania seksu. W Wietnamie czasami myślałem o tym, jakiej pracy poszukam, kiedy wrócę do świata, ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek rozważał ubezpieczenia. Tam również dużo czasu spędzałem na myśleniu o seksie.

Kiedyś policzyłem, że w czasie sześciu miesięcy i dwunastu dni mojej skróconej wycieczki po nieistniejącej, nieodżałowanej Republice Wietnamu nigdy nie dotarłem dalej niż jedenaście kilometrów od miejsca, w którym pierwszy raz wylądowałem na lotnisku Tan Son Nhut pod Sajgonem. W żargonie moich towarzyszy broni, którzy naprawdę zapuszczali się daleko, byłem TGDT – tchórzem grzejącym dupę na tyłach. Odpowiadało mi to w tamtym czasie. I przypuszczam, że nadal tak jest, chociaż czasami o tym myślę.

W każdym razie to dość zabawne, że nigdy nie pomyślałem o tym, żeby zająć się ubezpieczeniami samochodowymi, odkąd ojciec zrobił to wiele lat temu. Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień o spędzaniu czasu razem jest to, że jadę z nim na oględziny – podejrzewam, że niedaleko poza krąg podmiejskich leśnych rezerwatów otaczających Chicago, ale mnie się wydawało, że to dzicz – i bawię się w jednym z wraków, podczas gdy on bada drugi.

Pamiętam, jak siedziałem na siedzeniu pasażera i przeglądałem książeczkę, którą znalazłem na podłodze. To był „Bambi”. Pamiętam, że strona, na której

Bambi spotyka Flower, była pomięta i wilgotna od brązowych plam. W lusterku wstecznym zobaczyłem owalną dziurę, w którą góra mojej cztero- czy pięcioletniej czaszki wpasowałaby się idealnie.

W tamtych czasach nikt nie myślał o pasach bezpieczeństwa w samochodach. Pamiętam, że na początku lat sześćdziesiątych leciałem gdzieś z tatą i ludzie nie wiedzieli, jak zapinać pasy w samolocie. Ojciec kupił pasy do naszego chryslera w magazynie Związku Automobilowego i wszyscy uważali nas za wariatów.

Pamiętam, że samochód z książeczką o Bambim to było renault. Importowane samochody były dość rzadkie w latach pięćdziesiątych. Ten wyglądał jak krucha zabawka. Kierunkowskaz urwał mi się w ręce, kiedy się nim bawiłem. Nie powiedziałem tacie.

Większość spraw z Pomarańczowej Kartoteki należała do mnie, ale niektóre przysyłali mi inni agenci i ludzie z terenu, kiedy dowiedzieli się, że ją prowadzę.

Jedną z moich ulubionych mniej więcej w czasie, kiedy urodził się Scout, była sprawa parkingu Safewaya. Kay i ja właśnie przeprowadziliśmy się z Indianapolis do Denver, żeby być bliżej jej rodziny. Nie byłem jeszcze kierownikiem działu likwidacji szkód ubezpieczeniowych i sam musiałem przeprowadzić oględziny.

Będę ich nazywał pan Casper i pani Casper. Żona była zbudowana jak ponadwymiarowy pocisk do haubicy, ubrany we wzorzystą sukienkę.

Casper był wysoki i chudy, w grubych okularach, muszce i szelkach dekadę przed tym, jak stały się modne dzięki filmowi *Wall Street*, o nerwowych ustach, długich, niespokojnych palcach i wyglansowanych butach florsheim na stopach jak u Ichaboda Crane'a.

Para właśnie opuściła supermarket Safeway na przedmieściu Denver Littleton i podeszła do samochodu, żeby postawić zakupy na tylnym siedzeniu czterodrzwiowego plymoutha rocznik 1978, ubezpieczonego w Prairie Midland. Casper niósł dwie torby produktów spożywczych, pani Casper otworzyła drzwi od strony kierowcy i sięgnęła do środka, żeby odblokować tylne drzwi, przez cały czas mówiąc coś do męża. Parking był zatłoczony. Casper odsunął się trochę, stojąc plecami do swojego samochodu, kiedy żona otwierała drzwi.

Jak to najwyraźniej ma w zwyczaju los w naszej branży, zaparkowany obok nich ford bronco również był ubezpieczony przez naszą agencję, choć Prairie Midland jest na tyle mała, że ubezpiecza tylko jeden na tysiąc samochodów jeżdżących po drogach. Naszego klienta, chwilowo bezrobotnego pracownika budowlanego, nie było w bronco. Podobnie jak drugiej osoby z tej rodziny objętej naszą polisą (jego konkubiny). Fordem przyjechał – rzekomo bez wiedzy naszych ubezpieczonych – jego czternastoletni syn Bubba, który bezbłędnie wybrał akurat ten moment, żeby wrzucić wsteczny i z rykiem wyjechać

z miejsca parkingowego, przejeżdżając przy tym po stopach Caspera prawym tylnym i oboma przednimi kołami.

Casper krzyknął i rzucił warte osiemdziesiąt sześć dolarów zakupy. Bronco odjechał. Obolały Casper oparł się o własny samochód, trzymając się tylko dzięki sile swoich rąk.

– To, co zrobiłam później, przysięgam, zrobiłam dlatego, że byłam zdenerwowana – powiedziała mi później jego żona w swoim zeznaniu. A mianowicie zatrasnęła tylne drzwi. Na palcach męża.

Ból nie jest zabawną rzeczą, ale odbieranie zeznań Caspera w małym domku w Littleton było jedną z najbardziej bolesnych rzeczy, jakie kiedykolwiek robiłem. Pan Casper miał grubo obandażowane stopy, oparte o puf. Osiem palców dłoni było unieruchomionych. Nie wydawało się, żeby obchodził go kierowca bronco – który nadal, sześć dni po wypadku, nie dotarł do domu – ale nie mógł przestać mówić o swojej żonie.

– Jeśli ta suka wróci, uduszę ją! – zapowiedział, wymachując łubkami.

Zebrałem tyle informacji, ile mogłem, i wyszedłem. Zatrzymałem się na rogu ulicy i chwyciłem skrzynki pocztowej, aż minął najgorszy atak śmiechu. Obraz Caspera duszącego kogokolwiek sztywnymi, szeroko rozstawionymi palcami w szynach, to było więcej, niż mogłem znieść.

Caroline nigdy wcześniej nie siedziała na wyciągu krzeselkowym, tak że mieliśmy niezręczną chwilę przy wsiadaniu. Musiałem wciągnąć ją na siedzenie, żeby się nie zsunęła. Żująca gumę nastolatka z obsługi nie pomogła, tylko wygłaszała jakiś niezrozumiały monolog, kiedy wrzucała dwie pary plastikowych sań na tył kanapy.

Jechaliśmy w górę zbocza sześć albo dziewięć metrów nad skałami i brązowym ścierniskiem. Korzystałem z wyciągów zimą, kiedy stoki były białe i stwarzały złudzenie ośnieżonej miękkości; teraz przypominało to jazdę kołyszącą się huśtawką gankową, zawieszoną dziesięć metrów nad skałami i kikutami drzew.

Caroline była zachwycona.

– Jest tak cicho. Spójrz, tatusiu, pręgowiec.

– Suseł – poprawiłem, przez cały czas obejmując ją prawym ramieniem.

Alpine Slide była dłuższa, niż sądziłem. Widzieliśmy w dole dorosłych i młodzież pędzących torami. Ich sanie ze zgrzytem ocierały się o betonowe boki. Ręce ścisnęły jakieś drążki, oczy były szeroko otwarte, pęd powietrza

szarpał włosy i koszulki, ale nikt nie wyglądał na szczególnie przerażonego. Kiedy patrzyliśmy, mocno zbudowany mężczyzna o rudych włosach akurat pędził w dół rynną, pochylony, z czujnym wzrokiem i dłońmi na drążku niczym pilot myśliwca próbujący wyjść z lotu nurkowego. Jego sanie ostro weszły w zakręt i groźnie zahurkotały o samą krawędź betonowej osłony, jakby zastanawiały się nad pofrunięciem w przepaść. Klin niebieskiego plastiku i stali zachwiał się, zatrząsł, opadł z powrotem w wyżłobienie i pomknął dalej w dół, aż zniknął nam z widoku.

Było dziwne, że Kay, która dorastała w Kolorado, nigdy nie nauczyła się jeździć na nartach. Żartowała, że jest dwunastu niejeżdżących miejscowych, którzy co tydzień spotykają się zimą w grupach wsparcia. Gwen, moja była sekretarka, wychowała się w najbardziej płaskiej części Indiany, ale uwielbiała narty. Kiedyś, wychodząc w piątek wcześniej, powiedziała mi, że umarł jej ojciec.

– Byliśmy w New Hampshire w długi weekend, tata właśnie pokonał naprawdę trudną trasę z podwójnym czarnym rombem i stał na dole dumny jak paw. Nagle zdejmuję gogle, na jego twarzy pojawia się wyraz zaskoczenia, a on robi się blady jak papier, pochyla się na kijkach jak skoczek, aż nosem prawie dotyka śniegu. Potem pada ciężko. Tony, mój chłopak, który był ze mną w tamten weekend, i ja zaczęliśmy się śmiać. Ale tata po prostu tam leżał. Kiedy go odwróciliśmy, jego twarz była prawie czarna, miał spuchnięty język i był zimny był jak kamień, i martwy. Ale jak powiedziałam mamie przez telefon tamtego wieczoru, odszedł szczęśliwy.

Pojechałem na narty z Gwen. Nie w tamten weekend, tylko później. Powiedziałem Kay, że mam konferencję w Louisville i lecę do Vermont czy Utah. Gwen była miłą osobą pod mnóstwem drobnych względów – płakała, kiedy zdechła złota rybka w biurowym akwariu – ale pewnie nigdy nie można by o niej powiedzieć, że potrzebuje jednego z programów dla zdolnych i utalentowanych, o których opowiadała mi Kay.

– Trzymaj się, dzieciaku – powiedziałem, biorąc Caroline za rękę, kiedy zbliżaliśmy się do końca trasy.

Wyciąg nie zwolnił wyraźnie, kiedy dotarliśmy do rampy, żująca gumę nastolatka na tym końcu była bardziej zajęta zdejmowaniem sań z haka niż pomocą dla pasażerów, więc Caroline i ja wyskoczyliśmy, niemal się potknęliśmy, ale sami uciekliśmy ze strefy zagrożenia.

O ścianę stały oparte inne sanie z nazwami takimi jak: Skywalker, X-15 i Błyskawica namalowanymi na spodach. Wybrałem jedno i dołączyłem do krótszej z dwóch kolejek na szczycie Slide.

– Sama zjadę, tatusiu?

– Nie tym razem – odpowiedziałem. Ścisnąłem jej rękę. Na tej wysokości było zimniej. Nad górskim grzbietem zbierały się chmury. – Spróbujmy razem.

Caroline pokiwała głową i odwzajemniła uścisk dłoni. Kolejka przed nami się skróciła.

Od czasu, kiedy Scout był dostatecznie duży, żeby stać na własnych nogach, rzucał się na oślep w stronę moją albo Kay, ufając, że go złapiemy. Caroline nigdy tego nie robiła. Nawet przy noszeniu na barana jest ostrożna, ostrzega swojego „konia”, żeby nie upadł do tyłu albo się nie potknął. Scout uwielbiał, żeby podrzucać go wysoko i łapać – nawet jako małe dziecko – a kiedy kilka lat temu zobaczyłem pierwsze sceny *Świata według Garpa*, musiałem się roześmiać. Caroline chciała być tulona, kołysana, obejmowana... chroniona.

Kay i ja nie lubiliśmy myśleć, że to po prostu różnica między chłopcem a dziewczynką. Mówiliśmy, że to kwestia osobowości, różnic między ludźmi, ale się zastanawiam. Kilka ostatnich lat było gorszych.

Wierzcie, w co chcecie, ale ja wiem dokładnie, jak wygląda śmierć. To ciężarówka z czarnymi bokami przewożąca pepsi.

Latem, kiedy wróciłem z Wietnamu, mieszkałem w Indianapolis i przyjmowałem insulinę na cukrzycę, której nie wykryto ani nie zdiagnozowano, zanim trafiłem do szpitala polowego w Tan Son Nhut, i z powodu której zwolniono mnie ze służby kilka miesięcy wcześniej. Mieszkałem z trzema innymi facetami, w tym dwoma sanitariuszami z Wietnamu, którzy poszli na studia medyczne. Nasz dom wyglądał jak scenografia do „MASH”, filmu, a nie serialu telewizyjnego. Wszyscy przez większość czasu nosiliśmy bojówki i szarooliwkowe podkoszulki, a dwaj z nas spali na pryczach z demobilu wojskowego. Wszyscy byliśmy luzakami Donaldami Sutherlandami i mądralami Elliottami Gouldami, a trawka i alkohol były rzeczą oczywistą. Wszyscy czterej jeździliśmy motocyklami.

Pierwszy wypadek drogowy, jaki widziałem – miałem cztery lata i jechaliśmy Route 66 z Chicago – był motocyklowy z ofiarami śmiertelnymi. Pamiętam jedyny w swoim rodzaju dźwięk, kiedy człowiek i motor uderzyli w lewe tylne skrzydło studebakera, gdy jednocześnie wjechali na skrzyżowanie. Od tamtej

pory byłem na miejscu śmierci co najmniej trzydziestu motocyklistów, czytałem szczegóły kilkuset wypadków i sam zaliczyłem z tuzin własnych wywrotek. Kiedy pierwszy raz jechałem motorem, zatrzymałem się na stacji Conoco. Radziłem sobie dobrze, póki nie zjechałem na parking, żeby zawrócić – nadal jadąc szybko na trzecim biegu – i po prostu zapomniałem, gdzie są hamulce. Miałem trzynaście lat. Trzech starych przyków wyszło ze stacji, kiedy rąbnąłem w ścianę. Stali nade mną, kiedy leżałem pod bakiem i obracałem rączkami nowej maszyny 250cc należącej do Ricka. W końcu jeden z nich splunął i powiedział:

– Co jest, chłopaku? – Usta miał pełne tytoniu i mówił z zaśpiewem z Illinois.
– Nie umiesz na tym jeździć?

Ale do czasu ciężarówki pepsi jeździłem przez lata; na motorze siedziałem więcej razy niż za kółkiem samochodu. Nawet w Wietnamie kupiłem kawasaki od żołnierza piechoty morskiej, który wracał do domu.

Tak więc pewnego dnia w Indianapolis jechałem hondą 450 mojego współlokatora – mój motor był w warsztacie – kierując się na zachód 38 Street, kilka kilometrów na północ od toru żużlowego. Jadący przede mną van econoline bez okien z tyłu zwolnił zaraz po tym, jak ruszył ze światła na rogu 38 i High School Road. Pochyliłem się i przyśpieszyłem, żeby go wyprzedzić lewym pasem, naprawdę dałem gazu, jak się robi po kilku latach zdobywania pewności siebie na motorze przed pierwszym poważnym upadkiem. Jakby zostawiając w tyle wszystkie kupy żelastwa blokujące ruch, można było pozbyć się uczucia niższości i kruchości, które budziły w nas te właśnie kupy żelastwa na szosie.

W każdym razie musiałem pędzić siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt na godzinę, kiedy wymijałem econoline. I wtedy odkryłem powód, dla którego tamten zwolnił.

Wyjeżdżający ze stacji Shella furgon z pepsi został zablokowany przez ruch uliczny, tak że nie mógł skręcić na pasy biegnące na wschód. Był biały i masywny jak metalowy nosorożec, ze starą naklejką Pepsi na boku. Wysokie stojaki były pełne butelek. Zajmował cały lewy pas i większość prawego, a resztę wypełniał niebieski chevy jadący przed econoline. Van był zieloną ścianą po mojej prawej stronie. Metr po mojej lewej samochody pędziły w przeciwnym kierunku, kabina ciężarówki wystawała prawie dwa metry na ich pas. Za mną camarro dał po hamulcach.

Zwykle, kiedy ma się wątpliwości, kładzie się motor najłagodniej, jak się da, licząc się z niewielkimi otarciami i mając nadzieję, że będzie dobrze. Zawsze nosiłem kask – nawet w czasach głupoty – i zwykle wysokie buty i skórzane spodnie, ale była połowa sierpnia. Miałem na sobie trampki, ucięte bojówki i standardowy oliwkowy podkoszulek.

Wydawało się, że spód ciężarówki pepsy jest obniżony – tłumiki, obudowa skrzyni biegów, niskie stopnie, rury, zęby, diabli wiedzą co – a ona przesuwała się wolno, pełzła, nie dość szybko, żeby usunąć mi się z drogi, ale na tyle szybko, żebym wyraźnie ujrzał obraz lewych tylnych podwójnych kół toczących się po tym, co zostanie ze mnie i z hondy mojego kolegi, kiedy wsunę się pod spód tego złomu. W Wietnamie nazywaliśmy takie ciężarówki dwuipółtonówkami. Teraz miałem pod jedną taką zginąć. Postanowiłem zachować pion. Nie sądzę, żebym na tyle mocno nacisnął hamulce, by zostawić ślady. Teraz widziałem jedynie lewe przednie koło ciężarówki, które znajdowało się powyżej mojej głowy. Uznałem, że ono będzie bardziej miękkie niż stal, i prosto na nie się skierowałem.

Oczywiście nie był to linearny proces myślowy. Wypadki, które dają czas na myślenie, nie są prawdziwymi wypadkami. Ale wszyscy, którzy schránili, spojrzeli w oczy śmierci i przeżyli, pamiętają wszystko z całkowitą jasnością: surrealistyczne spowolnienie czasu i rozciągnięcie go do niemal nieskończoności. Jestem przekonany, że ostatnie gasnące myśli w mózgach umierających ofiar dotyczą właśnie tego fenomenu, niemal bolesnej ostrości percepcji i zdumienia tym wszystkim. Jest tak, jakby gwałtowna śmierć była astronomiczną czarną dziurą, a wejście do niej powodowało całe to spowolnienie czasu, wielorakie światy i rozciągnięcie przestrzeni, o którym mówią goście tacy jak Stephen Hawking. I jeszcze pięcioliterowe słowa. Pewien mój znajomy z zespołu badania wypadków lotniczych w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa Transportu powiedział mi kiedyś, że z setek taśm z rejestratorów rozmów w kokpicie, które przesłuchał po tragediach, tylko w nielicznych nie było pięcioliterowego przekleństwa wykrzyzanego w ostatnich sekundach.

W każdym razie z rykiem wyminąłem econoline, zobaczyłem ciężarówkę Pepsy, powiedziałem: „O, kurwa” i w nią rąbnąłem.

Elizabeth Kubler-Ross i wszyscy inni gustujący w makabrze dają nam krzepiące opowieści o zmarłych, którzy wędrują długimi tunelami, widzą światło, słyszą znajome głosy i czują życzliwe ciepło.

Gówno prawda.

Śmierć to ciężarówka pepsy i żadnej ucieczki. Umieranie to „trach!”, uczucie, że to największy na świecie niefort i nagłe wyrwanie ze wszystkiego. Jak wyjęcie za kark marionetki z pudełka. Jak zrzucenie figury szachowej z szachownicy przez wściekłego gracza. Łupnięcie, szarpnięcie i koniec.

Dick Pennington, jeden z moich współlokatorów, akurat był na dyżurze w izbie przyjęć, kiedy mnie przywieziono, i siedział przy mnie, kiedy następnego ranka odzyskałem przytomność.

– Bobby... – powiedział łagodnie, tym specjalnym tonem, którego używają wobec pacjentów w szpitalu metodystów – ...wyglądasz jak nieszczęście.

Cieszyłem się, że nie Kurt ma dyżur. To on był współlokatorem, którego hondę właśnie skasowałem.

Sto osiemdziesiąt szwów na prawej nodze, sześćdziesiąt trzy na lewej. Liczne pęknięcia prawej ręki. Wstrząśnienie mózgu. Złamany obojczyk. Kiedy kilka tygodni później poznałem Kay na koncercie Simona i Garfunkela, doszło do tego, bo nic nie widziała przez te wszystkie moje gipsy, klamry i bandaże.

Lata później, kiedy dyskutowałem z nią o zaletach stanowych praw dotyczących kasków, Kay zaskoczyła mnie opinią, że od motocyklistów nie powinno się wymagać noszenia kasków ani innego wyposażenie ochronnego. Zwykle Kay nie była taka jak Ralph Nader w tego rodzaju sprawach, więc musiałem ją zapytać dlaczego.

– Idioci są usuwani z puli genowej – odpowiedziała ze śladem uśmiechu na twarzy. – Motocykliści są tak bliscy siły selekcji naturalnej, jak się da w cywilizowanym społeczeństwie.

Nadal jeździłem od czasu do czasu. Nigdy nie zabrałem Scouta na motocykl i nawet mi się nie śniło, żebym pozwolił Caroline na przejażdżkę.

Dzieciak pracujący na szczycie Slide nie żuł gumy, ale usta miał otwarte, a mięśnie jego szczęki poruszały się lekko, jakby ćwiczył.

– Razem? – spytał z tonem lekkiej dezaprobaty.

– Tak.

Umieściłem sanie w wyźłobieniu toru, wcisnąłem się do nich i posadziłem Caroline między swoimi kolanami. Sanie przed nami zniknęły, nastolatkiwie za nami niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę.

– Taa, no dobrze, jeździliście na tym wcześniej? – zapytał dzieciak, który tam pracował. Nie czekał na odpowiedź. – Dobra, proszę pociągnąć ten drążek, żeby sprawdzić hamulce, tak, dobrze, do przodu się przyśpiesza, do tyłu zwalnia. Nie najeżdżać na poprzednie sanie, a kiedy na dole całkiem się zatrzymają, trzeba szybko wysiadać. W porządku? Jazda!

Klepnął mnie w plecy. Caroline wypełniła miejsce utworzone przez moje ręce i nogi, dłonie trzymała pod moimi na drążku. Pomknęliśmy w dół.

Przyczyną wielu wypadków jest nadmierna ostrożność. Jedno z moich najwcześniejszych roszczeń z Pomarańczowej Kartoteki pochodziło z czasów, kiedy zacząłem działać w tej branży i pracowałem w State Farm w Indianapolis.

Kay nadal uczyła wtedy w szkołach publicznych, a konkretnie w małej szkole średniej w miasteczku Brownsburg jakieś szesnaście kilometrów od naszego domu, a ja jeździłem po całym stanie i oglądałem wraki. Jezu, byliśmy szczęśliwi z jakiegoś powodu.

Do tej konkretnej szkody – do diabła, po prostu użyję ich prawdziwego nazwiska – doszło przy skrzyżowaniu międzystanowej I-70, I-645 i 74, niedaleko lotniska. Pan i pani Johnson oboje przeszli na wcześniejszą emeryturę, żeby zrealizować swoje życiowe marzenie o podróżowaniu po Ameryce przez rok albo dwa, zanim osiądą na Florydzie, w Arizonie czy gdziekolwiek. Wzięli ze sobą osiemdziesięcioletnią matkę pana Johnsona, uznawszy, że kiedy nadejdzie czas, żeby umieścić ją w domu opieki, po prostu zostawią ją w jakimś miłym miejscu i ruszą w dalszą podróż. Problem polegał na tym, że zarówno pan, jak i pani Johnson nienawidzili prowadzić samochodu i od ponad dekady nie oddalali się od swojego schludnego podmiejskiego domu ranczerskiego na więcej niż czterdzieści kilometrów.

Kupili porządny sprzęt podróżny – największy produkowany wtedy kamper zamontowany na pickupie GM, który mógłby zaciągnąć sześć ton na księżyc i z powrotem. Pani Johnson powiedziała mi później, że kupiliby dom na kółkach, pełnowymiarowy RV, ale w salonie „wyglądał na zbyt duży i potężny”. W rezultacie zrezygnowali z labradora na rzecz pitbula.

Nigdy nie sprawdzili mocy swojego nowego pojazdu. Kiedy zobaczyłem GM po jego przyholowaniu, drogomierz pokazywał czternaście kilometrów, z czego dwanaście kilometrów było odległością od dealera samochodowego. Wjazd na I-465 znajdował się dwa kilometry od domu Johnsonów.

Pan Johnson prowadził i radził sobie dobrze, aż dotarł do początku krętej rampy wjazdowej i się zatrzymał. Pani Johnson, która obserwowała ruch z siedzenia pasażera, powiedziała, że można jechać. Pan Johnson nie ruszył. Nie ufał prawemu zewnętrznemu lusterku pickupa. Martwił się, czy pojazd ma odpowiednie przyśpieszenie. Trudniej się go prowadziło niż jego forda crown victoria.

Johnsonowie i ich nowy kamper stali na dole wjazdu, podczas gdy ruch na południowych pasach międzystanowej się nasilił i za nimi utworzył się korek aż do Morris Street. Zaczęły wyć klaksony. Pan Johnson później przyznał, że spociał się w swojej nowej koszulce JC Penney.

– Wygląda lepiej! – zawołała pani Johnson.

Miała na myśli, jak wyjaśniła później, że na autostradzie chyba się rozluźni, kiedy przejedzie następna grupa szybko pędzących samochodów.

Pan Johnson nie czekał, żeby usłyszeć więcej. Nie sprawdziwszy lusterek, dodał gazu, zalał silnik, uruchomił go ponownie i włączył się do ruchu

z szybkością, którą patrol autostradowy stanu Indiana ocenił później na jedenaście do czternastu kilometrów na godzinę.

Co najmniej trzem samochodom na skrajnym lewym pasie udało się zmienić pas. Dwa z tych pojazdów zetknęły się z co najmniej trzema innymi, co spowodowało mały łańcuch stłuczek, ale to nieistotne, bo żaden z nich nie był ubezpieczony w State Farm. Ostatni pojazd w tym konkretnym skupisku nie miał czasu ani miejsca na żaden manewr. Był to osiemnastokołowiec z przyczepą dzierżawiony przez firmę Mother's Own Baked Goods z Saginaw w Michigan. Za każdym razem, kiedy słyszałem głos pana Johnsona w nagraniu na taśmę zeznaniu pod przysięgą, mówiący o „tym cholernym tirowcu z Mother”, słyszałem coś innego.

Kierowca tira był w trasie od dziewięciu godzin i jechał około stu dwudziestu kilometrów na godzinę, kiedy zobaczył ponadwymiarowy kamper Johnsonów zajeżdżający mu drogę.

– To cholerstwo wyskoczyło z boku i prawie zatrzymało się przede mną – mówił później. – Widziałem paralityków poruszających się szybciej niż ten stary pierdziel.

Pasy po prawej stronie ciężarówki były pełne zderzających się ze sobą samochodów. Lewy pas był zakorkowany przez samochody, które nagromadziły się na wjeździe za Johnsonami. Tirowiec zrobił to, co mógł, i trąbiąc, skreślił na prawo najbardziej, jak się dało, żeby nie zmiażdżyć volvo rocznik 78.

Ryk klaksonu zbliżającej się ciężarówki miał wpływ na naszych ubezpieczonych. Pan Johnson gwałtownie zatrzymał kamper. Pani Johnson krzyknęła.

Kabina ciężarówki wyminęła pojazd Johnsonów, jedynie odrywając prawe zewnętrzne lusterko. Przyczepie prawie się udało. Była to kwestia centymetrów.

Policjant stanowy, z którym później rozmawiałem przy drinkach w Lounge 911 przy Washington Street, powiedział:

– Tir rozpruł kampera jak wielki pieprzony otwieracz puszkę tuńczyka. Najczystsza autostradowa operacja chirurgiczna, jaką w życiu widziałem.

Johnsonowie byli wstrząśnięci, ale cali. Usłyszeli dźwięk – „coś jakby gigantycznego otwieracza do puszek”, stwierdziła pani Johnson – poczuli silną wibrację i odwrócili się w samą porę, by zobaczyć, jak ciężarówka i część ich własnego kampera mijają ich z prawej strony.

– Wtedy przypominałam sobie o mamie – zeznała później pani Johnson.

Przewożenie pasażerów w holowanej mieszkalnej części kampera jest wbrew prawu stanu Indiana. Johnsonowie zeznali, że o tym nie wiedzieli. Wiedzieli tylko, że starszą panią rozboleła głowa, że zamierzała przespać kilka pierwszych

godzin podróży i że nie zapłacili trzydziestu dwóch tysięcy dolarów, żeby mama siedziała z nimi w kabinie przez całą podróż po Ameryce.

Mamy nie było z nimi w kabinie. Nie było jej również w żadnych z czterech łóżek kampera, w części jadalnej ani na żadnym z siedzeń. Starsza pani Johnson wybrała akurat ten moment, żeby skorzystać z łazienki.

Ten rodzaj kamperów był wyposażony w chemiczną toaletę umieszczoną w osobnym, prefabrykowanym metalowym segmencie wstawianym w prawy tylny róg pojazdu na ostatnim etapie produkcji.

– Ten pieprzony mały wychodek po prostu gładko się stamtąd wysliznął – powiedział policjant stanowy w Lounge 911. – Jedyne, co z niego zostało, to drzwi. Tir zakręcił nim jak jednym z tych żyroskopów, którymi mój dzieciak kiedyś się bawił w czasie świąt.

– Mama – powiedział pan Johnson, kiedy jego matka i toaleta minęły go, wirując z szybkością, którą później oceniono na niewiele mniejszą niż prędkość tira.

Kierowca volvo rocznik 78 zeznał później:

– Widziałem dwie chude, białe nogi sterczące poziomo. Myślę, że ona miała na stopach te różowe, puchate pantofle, jakie noszą starsze panie, ale ja zobaczyłem jedynie różowo-białą plamę, kiedy ta cała rzecz podskakując, sunęła autostradą.

Osiemdziesiąt siedem metrów. Wiem, że to nie przesada, bo sam przeszedłem ten odcinek z drogomierzem, podczas gdy policjant stanowy siedł obok mnie, a jego partner zatrzymał ruch na tym pasie. Przez jakiś czas na tym fragmencie I-465 na pasie awaryjnym stał zaparkowany samochód policji drogowej i co rusz jakiemuś nowemu kierowcy opowiadano tę historię.

Nie znam rezultatu tego roszczenia, bo przeprowadziliśmy się do Denver niedługo potem. Wiem, że kierowca tira pozwał State Farm, my pozwaliśmy firmę Mother, kilku innych właścicieli pojazdów pozwało Johnsonów, pan i pani Johnson pozwali kierowcę tira, a – i to było najlepsze – mama pozwała swojego syna i jego żonę nie tylko o zapłacenie rachunków za leczenie złamanego biodra i żeber, ale również za „lekkomyślne narażenie na niebezpieczeństwo i dotkliwy wstyd będący wynikiem publicznego upokorzenia”.

Myślę, że sprawy nadal są w sądach.

Caroline i ja jechaliśmy Slide tak wolno, jak się dało bez zatrzymania sań. Czyli dostatecznie szybko. Stok miał nachylenie czterdziestu stopni albo więcej

przez większość trasy, a my musieliśmy na prostych odcinkach pędzić czterdzieści pięć kilometrów na godzinę. Ta szybkość jest do pominięcia w samochodzie, ale odczuwa się ją w trzewiach, kiedy pędzi się w dół z boczka z tyłkiem pięć centymetrów nad betonem. Nastolatki jadący za nami krzyczeli, żebyśmy przyśpieszyli. Zignorowałem ich i skupiłem się na hamowaniu przed następnym zakrętem, żeby nie wyrzuciło nas zbyt wysoko.

– Jak ci się podoba?! – zawołałem do Caroline, przekrzykując wiatr i huk rolek pod saniami.

– Uwielbiam to! – okrzyknęła moja córka. Jej włosy smagały moją brodę.

Ostatni ciąg zakrętów, mniejsza stromizna, brak drzew i zahamowaliśmy na długim, poziomym odcinku na dole stoku. Pomogłem Caroline wstać i wysiąść, wygramoliłem się niezdarnie i wyjąłem duże sanie z rynny. Nastolatki nas minęły, garbiąc się i coś burcząc.

– Jeszcze raz, tatusiu? – zapytała Caroline. – Proszę.

– Nie ma mowy. – Sztuką jest wiedzieć, kiedy być twardym.

– Sześć pięćdziesiąt, proszę – powiedziała kobieta za szybą. – Mówiłam, że byłoby taniej kupić specjalny na dwa przejazdy za dziesięć dolarów.

Martwe ciała trzymano w GPM-1, głównej powierzchni magazynowej w Tan Son Nhut. W bazie była kostnica i druga przenośna chłodnia przy głównym hangarze, ale to w GPM-1 ciała czekały przed ostatnim przygotowaniem i lotem do domu. Niektórzy idioci z batalionu nazywali go Hiltonem albo Odprawą dla Głupich Zjebów.

Wielu młodych ludzi, których przygotowywałem do wysłania z Wietnamu do domu, było ofiarami wypadków. Niektóre z nich miały związek z walką albo bronią, ale za większość odpowiadały jeepy, ciężki sprzęt albo te cholerne motorowery, które widziało się wszędzie w Sajgonie i poza nim. Prairie Midland zbiłaby fortunę, sprzedając polisy w Wietnamie.

Pamiętam, jak wezwano mnie z przyczepy, którą wykorzystywałem jako biuro, żebym spojrzął na ciało dzieciaka, który wygłupiał się z kumplami, udając, że przyczepiają materiał wybuchowy C-4 do transportera opancerzonego. Dzieciak położył się i udawał, że mociuje granaty do gąsienic toczącego się pojazdu, co, jak powiedział jego kolega, widzieli na filmie *Darby's Rangers*, a wtedy południowowietnamski kierowca stwierdził, że ma dosyć. Siedem ton opancerzonego pojazdu przejechało, cofając się, po młodym komandosie. Na wzmocnionym asfalcie, nie na błocie.

Nie spojrziałem na ciało, ale pamiętam, że worek na zwłoki wyglądał na pusty jak mój pokrowiec z tylko jednym garniturem w środku. Później, przy robocie papierkowej zauważyłem, że dzieciak miał zostać wysłany do Princeville w Illinois, małego miasteczka kilka mil od Elmwood, w którym mieszkałem po tym, jak przenieśliśmy się z Chicago.

Właśnie w Elmwood po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że naprawdę kiedyś umrę. To był sobotni wieczór pod koniec sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, zaledwie kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. Miałem dwanaście lat, szedłem do siódmej klasy i zapomniałem o zaświadczeniu lekarskim potrzebnym na lekcje wychowania fizycznego w gimnazjum, choć gimnazjum to było jedynie kilka nowych klas upchniętych w tej samej podstawówce, do której wcześniej chodziłem. Mimo to nie można było zapisać się do siódmej klasy, jeśli nie miało się tego zaświadczenia.

Nie mam pojęcia, jak ani dlaczego w późne sobotnie popołudnie udało mi się zobaczyć z jedynym lekarzem w naszym miasteczku, ale tego dokonałem. W tamtych czasach było dziwnie. Lekarze nawet przychodzili do chorych do domu.

Ten konkretny doktor uciekł z Węgier dwa lata wcześniej. Wtopił się w życie w Elmwood, tyle że ubierał się cudacznie, pachniał naprawdę dziwnie, cesał się osobliwie, wyglądał inaczej i mówił tak, że prawie nikt nie potrafił go zrozumieć. Był również podłym draniem. Nazywał się doktor Viskes, ale wszystkie dzieciaki w miasteczku mówiły na niego doktor Groźny.

Pamiętam, że dostałem kilka zastrzyków – takich staromodnych z tępymi igłami, które potem wracały do autoklawu. Podejrzewam, że doktor Viskes używał ich, aż były zbyt tępe, żeby przebić skórę. W każdym razie byłem w drodze do War Memorial Park na darmowy seans.

Jedyne kino w Elmwood – na czterdzieści sześć miejsc – było latem zamknięte, bo Don i Deede Ewaltowie, właściciele, zawsze jechali do swojej chaty nad Big Pine Lake w Minnesocie. Ale ich syn Harmon, choć był wziętym dentystą w Peorii, niemal godzinę jazdy od Elmwood, tradycyjnie przywoził szesnastocmilimetrowy projektor i pojemniki z najnowszymi filmami, żeby wyświetlać je za darmo na białym płóciennym ekranie rozciągniętym przed podium dla orkiestry w Memorial Park. Rodziny piknikowały na kocach albo oglądały z samochodów zaparkowanych przy krawężniku i było to nieskończenie przyjemniejsze doświadczenie niż pójście do kina Ewaltów.

Był to ostatni darmowy seans tego lata, ja śpieszyłem się na niego po badaniu lekarskim, z obolałymi rękami i w ogóle, i wtedy nagle dotarło do mnie, że umrę.

Prawdopodobnie nie wtedy. Może nie tamtej nocy. Ale któregoś dnia. W nieunikniony sposób. Nieodwołalnie.

Poczułem się jak znokautowany. Straciłem oddech, zatoczyłem się do tyłu i usiadłem na niskim kamieniu w pobliżu miejsca, gdzie trawa stykała się z asfaltem Third Street. Słyszałem ścieżkę dźwiękową filmu rysunkowego wyświetlanego na darmowym seansie przecnicę dalej.

Śmierć była realna. Była nieunikniona. Wszyscy to wiedzieliśmy i udawaliśmy, że to akceptujemy, ale nikt w nią nie wierzył. Ja nie wierzyłem. Śmierć była czymś, co odpychaliśmy od siebie w taki sam sposób jak myśli o zaplanowanej wizycie u dentysty albo nowym roku szkolnym po lecie wolności. Coś mogło się wydarzyć i zmienić bieg rzeczy... oddalić wizytę w gabinecie dentystycznym... były następne wakacje.

Ale śmierć istniała. Opuściłem czoło na kolana, spojrzałem na swoje trampki i próbowałem oddychać.

Jeden z dni tygodnia, które spędzałem beztrąsko, kiedyś stanie się tym dniem. Dniem, w którym umrę. To musiał być jeden z tych siedmiu dni. Który? Sobota? Umieranie w sobotę wydawało się niesprawiedliwe. Niedziela? Poniedziałek? Wtorek? Środa? Środa... mój ulubiony serial w telewizji, *Man Into Space* z Williamem Lundiganem, leciał w środy wieczorem. Czwartek? Piątek?

Magazyn i kwatera główna naszego batalionu administracyjnego mieściły się po przeciwnej stronie lotniska niż cywilne i wojskowe terminale. Odlatujące C-130 i C-5A kołowały z głównego hangaru, przecinały początek głównego pasa startowego, jakby szykowały się do odlotu, a potem kołowały na naszą stronę lotniska i tam przyjmowały na pokład prawdziwy ładunek.

W magazynie w Tan Son Nhut było zawsze bardzo gorąco. Stalowe skrzynie transportowe były hermetycznie zaplombowane i szczelne, ale w powietrzu zawsze czuło się słodką woń rozkładu. Przypominał mi on cysterne, która wieczorem przejeżdżała ulicami Elmwood.

Lata po swoim powrocie z Wietnamu zacząłem myśleć o tym miejscu jak o kolejnym wypadku, jakby całe Stany Zjednoczone były fordem fairlane albo buickiem regal, a Wietnam ścianą albo drzewem, które znalazło się na drodze, kiedy uwaga kierowcy była skierowana gdzie indziej. Albo może wrakiem w wyniku prowadzenia pod wpływem alkoholu. Kogo to teraz obchodzi? Drobną szkodą. Do diabła, wszyscy wiedzą, że co roku zabijamy na autostradzie tylu Amerykanów, ilu udało się nam unicestwić w ciągu dekady wysiłków w Wietnamie. Tylko że nie wznosimy czarnych ścian, żeby upamiętnić ofiary wypadków drogowych. Ani nie zwozimy wszystkich ciał do jednego magazynu.

Tamtej nocy w Elmwood dwanaście lat przed GPM-1 siedziałem przez jakiś czas na kamieniu, aż uczucie, że dostałem cios w splot słoneczny, minęło. Ale

nie zniknęło wrażenie, że coś zmieniło się na zawsze.

W końcu wstałem, otrzepałem dzinsy, rozmasowałem bolące ramiona i przeszedłem resztę drogi na ostatni darmowy seans lata.

Jadąc wyciągiem krzeselkowym na początek naszego drugiego zjazdu, Caroline spytała:

– Tatusiu, wierzysz w Boga?

– Mmm? – zamruczałem. Obserwowałem, jak nad Peak 8 pojawia się i rozbudowuje ciemny cumulus.

– Wierzysz w Boga? Mamusia nie wierzy, a Carrie z naszej ulicy chyba tak.

Odchrząknąłem. Przećwiczyłem odpowiedź na to straszne pytanie tyle razy w ciągu ostatnich kilku lat, że gdyby wydrukować ją w całości, mogłaby posłużyć jako program przewidzianych na cały semestr zajęć z filozofii połączonych z kursem religioznawstwa.

– Nie – powiedziałem. – Chyba nie.

Caroline pokiwała głową. Zbliżaliśmy się do końca trasy wyciągu.

– Ja też chyba nie, przynajmniej po tym, co Carrie mówi o Bogu, ale czasami o tym myślę.

– O Bogu?

– Niezupełnie – odparła Caroline. – O tym, że jeśli nie ma Boga, to nie ma nieba, a jeśli nie ma nieba... to gdzie jest Scout?

Zbliżaliśmy się do platformy wysiadkowej. Nastolatek z obsługi był zajęty rozmową z dwiema nastoletnimi dziewczynami z obsługi.

– Daj mi rękę – powiedziałem do Caroline, kiedy zbliżyliśmy się do niebezpiecznej strefy. – I nie puszczaj.

Nie było żadnego roszczenia, ale przyjmijmy, że było. Nazwijmy tę rodzinę Rodziną X. Pan i pani X, syn w wieku pięciu i pół roku i niespełna czteroletnia córka.

Przeprowadzka z Indianapolis do Oregonu była dobra dla pana i pani X. Ojciec został niezależnym likwidatorem szkód po latach pracy dla dużej firmy. Matka zamierzała wykorzystać swój nowy stopień, żeby uczyć w miejscowym college'u zamiast w szkołach publicznych. Dzieci nie mogły się doczekać

większego podwórka, lasu w pobliżu, jeziora w okolicy, nowych przyjaciół, wszystkich tych rzeczy, których nie mogą się doczekać dzieci.

Nowy dom znajdował się na przedmieściu Portland o nazwie Lake Oswego i zarówno dom, jak i przedmieście były piękne. Zadbane podwórko, gęsty las, rozkosz po latach w prawie pustynnym Kolorado. Za głównym domem stał mały budynek, w którym pan X zamierzał urządzić swoje biuro. Nigdy z niego nie skorzystał.

Jak bywa ze wszystkich wypadkami, zmiana jednej z setki drobnych decyzji pomogłaby ich uniknąć. I jak bywa ze wszystkimi wypadkami, nic nie pomogło.

Pan X był zajęty w domu z ludźmi od przeprowadzek, ale znalazł czas, by powiedzieć dzieciom, że mogą się bawić w ogrodzie na tyłach, ale mają trzymać się z daleka od ciężarówky z meblami. Pani X była w sypialni w drugim końcu domu, nadzorowała rozpakowywanie. Jak później powiedziała, sądziła, że dzieci są na frontowym podwórku.

Przy poprzednim kursie jeden z tragarzy wyjął nowy rower syna i zostawił go na podjeździe. Chłopiec właśnie dostał dwudziestocalowy pojazd, bo wyrósł z szesnastocalowego. Był stworzony do kółek. Przyjaciele mówili, że chłopiec ma oczy i włosy ojca. Ale brawurowa odwaga była jego własna.

Dwoje dzieci wyszło z ogrodu i chłopiec zobaczył nowy dwukołowiec czekający na niego tuż za werandą. Pobiegł do niego w tej samej chwili, kiedy kierowca cofnął ciężarówkę – jakieś pół metra – żeby ustawić się w lepszej pozycji do wyniesienia pianina.

To krzyk Caroline powiedział mi, że coś jest nie w porządku. Kiedy wyszedłem z domu, pomyślałem, że coś się przydarzyło kierowcy – klęczał przy ciężarówce i szlochał histerycznie. Caroline już wtedy milczała, ale ja pobiegłem wzrokiem za jej przerażonym spojrzeniem i zobaczyłem, co się stało.

Scout nie został przejechany. Tył ciężarówky ledwo go musnął albo tak się wydawało przez chwilę, aż poczułem straszliwą miękkość pod włosami u podstawy jego czaszki. Podniosłem go, nie myśląc, odwróciłem się w stronę domu i z powrotem, jakbym zamierzał zbiec podjazdem i zanieść go do szpitala. Trzymałem go na rękach, aż zjawiała się Kay, zobaczyła, jak poważna jest sytuacja, i wbiegła do domu, żeby zadzwonić na pogotowie, a potem wróciła i odgarnęła włosy z twarzy Scouta, podczas gdy ja stałem, trzymając go na rękach. Nadal go kołysałem, kiedy przyjechał ambulans.

Pamiętam, że Kay w którymś momencie otoczyła ramieniem kierowcę, jakby to on potrzebował pocieszenia. Przez sekundę jej za to nienawidziłem. Nadal nienawidzę.

Ubezpieczyciel firmy przeprowadzkowej zaproponował później odszkodowanie w gotówce. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. Jakby to miało

znaczenie.

– Mogę zjechać sama?

– Nie jestem pewien, dzieciaku. Musisz bardzo mocno ciągnąć drążek do tyłu, żeby zwolnić, kiedy sanie już ruszą. Nie jestem pewien, czy jesteś dostatecznie silna, żeby to zrobić sama.

– Proszę, tatusiu. Będę ostrożna.

– Pozwól mi chwilę pomyśleć, Caroline.

– Okay, proszę ruszać – zawołał chłopak z obsługi.

Za nami nie było nikogo. Zauważyłem po raz pierwszy, że wyciąg krzesełkowy przestał wwozić ludzi na górę, prawdopodobnie dlatego, że zbierały się nad nią ciemne chmury.

– Tatusiu?

– Dobrze. – Wsadziłem ją do niebieskich sań. Moja córka wyglądała w nich na bardzo małą.

Sam wciągnąłem pomarańczowe sanie do rynny i wgramoliłem się do nich. Pracownik znudzonym tonem powtórzył swoją litanie i klepnął Caroline w plecy. Ona obejrzała się raz, przesunęła drążek do przodu i ruszyła w dół stromego spadku. Za późno uświadomiłem sobie, że powinienem jechać przed nią, żeby ją spowolnić, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

Serce mi dudniło. Pochyliłem się i ruszyłem za nią.

Kiedy byłem w klinice, prawie co noc miałem ten sam sen. Może to była medytacja.

Śniło mi się, że stoję przed klasą i uczę ją geometrii, wskazując wykres namalowany na czerwonej ścianie. Był to odwrócony stożek. Pokazałem koło znajdujące się na jego wierzchołku.

– Średnica jest wyrażona w jednostkach potencjału – powiedziałem. – Obwód w jednostkach dostępnych wyborów. Przy narodzinach wartości obie są prawie nieskończone.

Przesunąłem wskaźnik spiralą w dół po zewnętrznej stronie stożka.

– Wyobraźcie sobie, że pionowa odległość składa się z jednostek czasu, które odpowiadają również jednostkom wyboru na malejącym obwodzie – mówiłem

dalej. – W miarę jak mija czas, w miarę jak rośnie liczba dokonywanych wyborów, jest oczywiste, że jest w ten sposób eliminowana prawie nieskończona liczba alternatywnych wyborów.

Wskaźnik przesuwiał się w dół po stożku.

– Proszę zauważyć, jak szybko spadek przez czas i coraz mniejszy zestaw wyborów prowadzą nas tutaj. – Postukałem w najniższy punkt stożka. – Pozostały czas: zero. Pozostałe wybory: zero. Potencjał, z którego można czerpać: zero. – Zrobiłem pauzę. – To jest oczywiście wykres życia.

Caroline nie używa hamulca zbyt często. Jedziemy w dół znacznie szybciej niż za pierwszym razem. Krzyczę do niej, żeby zwolniła. Za nami błyskawice. Grzmot niemal ginie pośród hurgotu naszych sań. Staram się dogonić córkę.

Ona jedzie o wiele za szybko.

Dużo śmiertelnych wypadków autostradowych z udziałem jednego samochodu to samobójstwa. Policja pisze czasem w raporcie: „niewyjaśnione”, „utrata panowania nad kierownicą” albo „owad w pojeździe spowodował utratę kontroli przez kierowcę”, ale ja podejrzewam, że częściej jest to połączenie dużej szybkości, podpory wiaduktu i nagłego uświadomienia sobie okazji. Zabójstwo również jest popularne. Całkiem sporo skomplikowanych spraw w Prairie Midland było przypadkami samochodowych zabójstw, których nie można udowodnić.

Moja ostatnia sprawa w Oregonie kwalifikowała się do Pomarańczowej Kartoteki i dotyczyła kobiety, która śledziła męża do domu jego kochanki, czekała całą noc, a potem pojechała za nim do pracy. Kiedy mąż wyszedł na lunch, ona z rykiem silnika przemknęła przez parking i dwa pasy ruchu, żeby go przejechać swoim taurusem rocznik 87.

Mąż był czujniejszy niż większość ludzi. Zobaczył pędzący samochód i wskoczył z powrotem w drzwi obrotowe. Żona nie mogła zatrzymać taurusa i wbiła się nim w ścianę.

Ani nasz ubezpieczony, ani jego żona nie zostali ranni. Pozew złożył czterdziestosześcioletni programista, który pracował w biurze w suterenie. Jedna z cegieł ze ściany zniszczonej przez samochód przebiła podwieszany sufit

i uderzyła informatyka prosto w czoło. Poszkodowany żąda miliona dwustu tysięcy dolarów. Jeśli sprawa trafi do sądu, prawdopodobnie dostanie dużą część tej kwoty. Ci, którzy mówią, że Ameryka nigdy nie stanie się socjalistyczna, przeoczą fakt, że nasz system prawny już odkrył sposób na redystrybucję bogactwa w tym kraju.

Przez kilka pierwszych miesięcy nie było tak źle – Caroline potrzebowała mnie przynajmniej wtedy, gdy w nocy budziła się z krzykiem – ale w końcu zrozumiałem, że muszę odejść.

Odprowadzałem ją rano do szkoły, choć już z nimi nie mieszkałem. Czasami siedziałem w parku po drugiej stronie ulicy i patrzyłem w okna jej klasy, próbując dostrzec czubek głowy córki. Odbierałem ją pod koniec każdego dnia i szedłem z nią do domu, a później wracałem samochodem, żeby obserwować dom. Czasami wracałem, żeby zostać na kilka dni albo tygodni, ale wiedziałem, że niemożliwe jest chronienie ich naprawdę, kiedy tam jestem. Żeby zobaczyć, co się dzieje, trzeba być na zewnątrz, blisko, ale na zewnątrz.

Caroline i ja jesteśmy sami na Alpine Slide. Ona nie zwalnia, więc staram się przyśpieszyć, żeby ją dogonić. Tak naprawdę nic nie mogę zrobić. Jesteśmy w osobnych saniach. Ale jeśli ona się rozbije, jeśli wypadnie z toru, jeśli przeleci przez murek, będę tam, żeby za nią podążyć.

Ona ogląda się, kiedy wypadamy z zagajnika osik, których liście połyskują na tle czarnego nieba. Krzyczę do niej, żeby zwolniła, wiedząc, że moje słowa zginą na wietrze.

Niedługo przed tym, jak wszystko się rozpadło, poszedłem na jedno z wydziałowych przyjęć Kay. Nigdy tak naprawdę nie lubiłem jej kolegów ze szkół publicznych. Kolegów z college'u lubiłem jeszcze mniej.

Tego wieczoru jakiś dupek w przepiśowym mundurku, składającym się z tweedowej marynarki ze skórzanymi łatami na łokciach, zapytał mnie, czym się zajmuję, a ja odpowiedziałem, że entropią.

– Ciekawe – powiedział dupek, poprawiając babcine okulary. – Uczę fizyki. Może nasze zainteresowania się pokrywają.

– Wątpię – rzuciłem. Zdążyłem wypić kilka szkockich, odkąd przyszedłem na przyjęcie, ale nic nie czułem. – Zajmuję się tym tylko wtedy, gdy entropia wstaje z łóżka o północy.

Drugi dupek, którego niejasno kojarzyłem jako dziekana Kay, bez zaproszenia dołączył do rozmowy.

– Jaka interesująca fraza – zauważył, a jego akcent przywiódł mi na myśl kogoś z Brooklynu, kto spędził wiele lat w Anglii. – Pańska?

– Hm – mruknąłem zachwycony, że mogę zawstydzić tych gości. – Szekspira.

Słyszałem to zdanie w jakiejś sztuce Szekspira, na której byłem w college’u, i utkwiło mi ono w pamięci. Byłem pewien, że to Szekspir.

– Och, wątpię – powiedział dupek numer dwa, uprzejmie się śmiejąc.

– Może pan sobie wątpić, ile chce – rzuciłem, nagle zły. – Szekspir to napisał. Nic nie poradzę, że nie zna pan klasyki.

Fizyk poprawił okulary. Głos miał cichy, ale ja byłem pewien, że słyszę w nim samozadowolenie.

– To zgrabne zdanie, ale nie wydaje się prawdopodobne, żeby ukuł je Szekspir. Pojęcie entropii nie istniało w szesnastym wieku.

– Może to było jakieś inne słowo? – wtrącił dupek z wydziału anglistyki.

– Albo inny autor? – podsunął fizyk.

– To był Szekspir – oświadczyłem, starając się wymyślić jakąś błyskotliwą ripostę na poziomie uczelnianym, żeby ich z nią zostawić. Zdecydowałem się rzucić szklaneczkę whisky na podłogę i wymaszerować z pokoju.

Spędziłem cztery miesiące na czytaniu sztuk Szekspira, zaczynając od *Hamleta* i *Makbeta* – które pamiętałem z wykładów – a potem przechodząc do innych. Odkryłem coś interesującego. W większości jego tak zwanych komedii były tragedie i zdecydowanie komedie – choćby krótkie – w jego najgorszych tragediach.

W końcu znalazłem. W *Królu Henryku IV*, część I, akt II, wers 328. Tylko że on brzmiał: „Co robi powaga nie w łóżku o północy?”.

Cóż, do diabła z tym, podsumowałem tak filozoficznie, jak zdołałem.

Jesteśmy niżej niż w połowie Slide i nie widać żadnych oznak, żeby Caroline zwalniała. Na zakrętach jedziemy wysoko po bandzie, wpadamy na odcinki proste i jeszcze wyżej pokonujemy jeszcze ostrzejsze zakręty. To jak saneczkarstwo na betonie.

Nasza szybkość rośnie, w miarę jak zjeżdżamy coraz niżej. Boję się ostatniej części trasy.

Pomarańczowa Kartoteka narodziła się w Indianapolis, kiedy zająłem się sprawą Johnsonów i kilkoma innymi i nie mogłem znaleźć dla nich teczek. Jakaś tymczasowa sekretarka – chyba Gwen – zamówiła parę absurdalnie pomarańczowych, więc wyjąłem jedną z kosza i schowałem akta do szuflady.

Teraz są bardzo grube.

Dwa tygodnie temu, zanim wyjechałem z Oregonu, żeby jeszcze raz spróbować w Kolorado, dwa samochody jechały w przeciwnych kierunkach wąską drogą powiatową niedaleko wybrzeża. Napływa gęsta mgła. Nie ma linii środkowej. Facet jadący na południe bmw rocznik 88 postanawia odkręcić szybę i wystawić głowę na zewnątrz, żeby lepiej widzieć, a facet jadący na północ audi rocznik 87 postanawia zrobić to samo...

W zeszłym tygodniu Tom zadzwonił z pozwem dentysty doktora Dicka, który w porze lunchu zabrał kochankę na długą przejażdżkę swoim nowiutkim jaguarem ze składanym dachem i skórzaną tapicerką... Cholera.

Większość wypadków jest taka, jak ten, który mijaliśmy wczoraj z Caroline. Rozbite szkło lśniące w świetle latarek. Rzeczy rozrzucone na zboczach. Ciała pod prześcieradłami, nadal uwięzione w imadle z poskręcane go metalu albo leżące na poboczu w niemożliwych pozycjach. Więcej krwi, niż można sobie wyobrazić. U Scouta było mało krwi. Zauważyłem, że kiedy go trzymałem, pocieszałem się tym faktem, nawet kiedy on stygł w moich ramionach.

Caroline jedzie bardzo, bardzo szybko, ale ja jestem cięższy i ją doganiam. Przód moich sań niemal dotyka tyłu jej pojazdu. Ona jest bardzo skupiona na tym, co robi, ogarnięta ekstazą kontrolowanej szybkości. Mocno koncentruje się na zbliżającym się zakręcie. Kiedy go pokonujemy, nasze sanie dzielą centymetry. Widzę, że Caroline się uśmiecha, policzki ma zarumienione.

Wypadki są jak śmierć. Czeka ją na nas wszędzie. Nieuniknione. Nieuchronne. Można planować do woli, one rzucają wyzwanie naszym planom.

Ale zaczynam dostrzegać różnicę między grawitacją i entropią. Zawartość Pomarańczowej Kartoteki to sama prawda, ale Pomarańczowa Kartoteka to

kłamstwo. Moje kłamstwo.

– Hej, tatusiu! – Caroline ogląda się przez ramię i macha do mnie, a potem skupia uwagę z powrotem na drążku, szykując się do następnej serii zakrętów.

Minęło dużo czasu, odkąd widziałem ją taką szczęśliwą.

Macham do niej, kiedy nie patrzy, i przyciągam do siebie drążek, zwalniając lekko. Odległość między nami się powiększa.

Gromada durnych fundamentalistów pikietuje i rozdaje ulotki przy szkole średniej w pobliżu miejsca, gdzie mieszkają Kay i Caroline. Gdzie ja wkrótce może będę mieszkał. W zeszłym roku, mówi Kay, chodziło o zatrudnianie „świeckich humanistów”. W tym roku o to, że jakiś nauczyciel przedmiotów ścisłych nabrał dość pewności w swojej profesji, by powiedzieć dzieciakom, że według wszelkich badań życie na Ziemi to przypadek, że jeśli weźmie się kocioł pierwotnej zupy i dostatecznie nim potrząśnie, a nawet trochę zamrozi, otrzyma się związki organiczne. Wystarczy pozwolić, by te związki oddziaływały ze sobą dostatecznie długo, i dostaje się życie.

Oto życie przez duże Ż.

Fundamentaliści są oburzeni, że coś tak uświęconego i ważnego jak Życie może być przypadkiem. Chcą, żeby było ono rezultatem rozkazu, planu, projektu, prostego, uporządkowanego, dobrze opracowanego projektu stworzonego przez bóstwo, które, jak tata Kay, obliczyłoby wszystkie wartości graniczne i pomnożyło je przez współczynnik bezpieczeństwa pięć albo dziesięć.

Pieprzyć ich. Wypadki się zdarzają. My jesteśmy jednym z nich. Ale nasza miłość nie jest przypadkiem. Ani radość z naszych wspólnych dni. Ani niepokój o siebie nawzajem, strach przed ostrymi krawędziami, kiedy nasze dzieci uczą się chodzić.

Ale, tak jak Scout, czasami musimy być dzielni i rzucać się przed siebie na oślep, wiedząc, że ktoś, kogo kochamy, jest tam i nas złapie, jeśli będzie mógł.

Caroline jest teraz daleko przede mną. Jej żółta bluza jest bardzo jasna, kiedy moja córka śmiga po zakrętach i pędzi na prostych odcinkach.

Przyciągam drążek, zwalniam do statecznej szybkości, która pasuje do mojego nastroju. Chcę się rozglądać na boki, patrzeć na mijający mnie krajobraz. Może już nigdy więcej nie znajdę się na tej konkretnej górze.

Słyszę przed sobą szczęśliwy śmiech Caroline i miłość, którą do niej czuję, rozrasta się do bolesnych rozmiarów. Nie mam nic przeciwko bólowi. Przegoniliśmy burzę, ale słyszę, że niebo grzmi, i czuję wilgotny dotyk na policzkach.

Jesteśmy niżej, niż zdawałem sobie sprawę. Widzę teraz dno, ale jesteśmy od niego dostatecznie daleko, żeby nacieszyć się jazdą. Caroline teraz prawie leci. Poświęca chwilę, żeby unieść rękę w moją stronę, a potem patrzy przed siebie. Na chwilę tracę ją z oczu, kiedy jedzie przez zagajnik, ale mam pewność, że pojawi się znowu, i tak się dzieje, dużo niżej na górskim stoku, niebiesko-żółta plama, jej sanie w doskonałej równowadze między grawitacją a szybkością, jej duch w doskonałej równowadze między kontrolą a radością.

Wiedząc, że ona nie patrzy, unoszę rękę i macham.

A potem znowu.

Śmierć w Bangkoku

*Raz na dziesięć tysięcy wcieleń pojawia się taka
kobieta –
by obdarzać największą przyjemnością.*

Lecę z powrotem do Azji późną wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego, zostawiając jedno Miasto Aniołów, które właśnie egzorcyzmowało swoje złe duchy w orgii łupienia i ognia, i przybywając do drugiego, gdzie krwawe demony zbierają się na horyzoncie jak monsunowe chmury. Moje rodzinne miasto Los Angeles miesiąc wcześniej stanęło w płomieniach i pograżyło się w szaleńczej grabieży; Bangkok – nazywany przez miejscowych Krung Thep, Miastem Aniołów – szykuje się do rzezi swoich dzieci przy Pomniku Demokracji.

Wszystko to jest dla mnie nieistotne. Mam własne krwawe porachunki do wyrównania.

W chwili gdy wychodzę z klimatyzowanych krypt Międzynarodowego Lotniska Don Muang w Bangkoku, wszystko do mnie wraca: upał, wilgotność taka, że powietrze wydaje się płynne, smród dymu węglowego, zanieczyszczeń przemysłowych i otwartych ścieków dziesięciu milionów ludzi zmieniających atmosferę w koktajl dostatecznie gęsty, żeby dało się ją pić. Upał, wilgotność i tropikalne słońce łączą się i sprawiają, że oddychanie staje się wysiłkiem fizycznym, jakby próbowało się wdychać tlen przez koc nasączony naftą. Lotnisko znajduje się dwadzieścia pięć kilometrów od centrum miasta.

Czuję się podniecony, że tam jestem.

– Doktor Merrick? – pyta szofer w liberii.

Kiwam głową. Czeka na mnie żółty mercedes z hotelu Oriental. Dzisiaj nie ma malowniczej drogi do Bangkoku, chyba że płynie się sampanem do serca miasta. Dojazd do starej części stolicy jest teraz czystym kapitalistycznym szaleństwem: korki, azjatyckie pałace, które tak naprawdę są centrami handlowymi, przemysłowy bałagan, nowe estakady autostradowe, żelbetowe wieżowce, reklamy zachwalające japońską elektronikę, ryk motocykli i stały łoskot młotów pneumatycznych na budowach. Podobnie jak we wszystkich nowych azjatyckich megalopolis Bangkok codziennie burzy się i odbudowuje

jak w amoku, a zachodnie miasta, takie jak Nowy Jork, wydają się przy nim odwieczne jak piramidy.

Dostrzegam Silom Road, pełną ludzi, ale dziwnie pustą i letargiczną w porównaniu ze zwykłym ścisaniem oszalałych tłumów. Zerkam na zegarek. Jest ósma w piątkowy wieczór czasu Los Angeles; jedenasta rano w sobotę tutaj, w Bangkoku. Silom Road odpoczywa, czeka na wieczorne ekscytacje, które emanują z dzielnicy rozrywek Patpong niczym zapach suki w rui, woń natarczywa jak mieszanka egzotycznych perfum, nasienia i miedzianej nuty krwi.

Śpieszę przez uprzejme powitania, ukłony *wais* i miłą rejestrację hotelu Oriental, może najlepszego na świecie, i chcę jedynie dotrzeć do swojego apartamentu, prysznic i udawanego snu, leżeć i patrzeć na tekowo-tynkowany sufit, aż blask słońca zgaśnie i zacznie się noc. Ciemność ożywi to konkretne Miasto Aniołów albo przynajmniej wprawi jego cielsko w powolny, erotyczny ruch.

Kiedy jest naprawdę ciemno, wstaję, wkładam ubranie wybrane na ulice Bangkoku i wychodzę w noc.

Pierwszy raz widziałem Bangkok dwadzieścia dwa lata wcześniej, w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego. Tres i ja wybraliśmy Bangkok na nasz cel zagranicznego siedmiodniowego urlopu R&R, który się nam należał. Właściwie nie znam wielu trepów, którzy wtedy nazywali to R&R. Wielu mówiło S&N: seks i narkotyki. Żonaci oficerowie wykorzystywali urlop, żeby spotkać się z żonami na Hawajach, ale pozostałym armia proponowała duży wybór celów od Tokio po Sydney. Wielu z nas wybierało Bangkok z czterech powodów: po pierwsze, łatwo było tam dotrzeć i nie zmarnować dużo czasu na podróż; po drugie, tani seks; po trzecie, tani seks; i po czwarte, tani seks.

Prawdę mówiąc, Tres wybrał Bangkok z innych powodów, a ja podążyłem za nim, ufając jego osądowi, podobnie jak wtedy, gdy ruszaliśmy na bojowy patrol rozpoznawczy. Tres – Robert William Tindale III – był jedynie rok starszy ode mnie, ale wyższy, silniejszy, bystrzejszy i zdecydowanie lepiej wykształcony. Ja rzuciłem college Midwestern po trzecim roku i objąłem się, aż wessał mnie pobór. Tres skończył Kenyon College z wyróżnieniem, a potem zaciągnął się do piechoty, zamiast iść na studia magisterskie. Jego przydomek pochodził od hiszpańskiego słowa oznaczającego „trzy” i było wymawiane jak „trej”. Większość z naszego plutonu miała ksywki – moja to Prick z powodu ciężkiego

radia PRC-25, które nosiłem w czasie swojej krótkiej kariery operatora radiotelefonu – ale Tres przyszedł do nas już ze swoim przydomkiem.

Tres bardzo interesował się kulturami azjatyckimi i miał talent do języków. Był jedynym trepem w kompanii, który naprawdę umiał mówić po wietnamsku. Większość z nas myślała, że *beaucoup* to wietnamskie słowo i czuła się bardzo mądra, znając *di di mau* i kilkanaście innych zniekształconych miejscowych zwrotów. Tres mówił po wietnamsku, choć trzymał ten fakt w tajemnicy przed innymi oficerami poza naszym własnym podpułkownikiem.

– Nie pozwolę, żeby zrobili ze mnie maszynistkę albo oficera – mówił mi. – Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żeby zmienili mnie w jakiegoś zasranego śledczego.

Tres nigdy nie studiował tajskiego, ale szybko się uczył.

– Powiedz mi, jak po tajsku jest „laska” – poprosiłem go w czasie lotu z Sajgonu do Bangkoku.

– Nie wiem – odpowiedział Tres. – Ale ręczna robota to *shak mao*.

– Bez jaj.

– Bez jaj – zapewnił Tres. Czytał książkę i nawet nie podniósł wzroku. – To znaczy „ciągnąć sznurek latawca”.

Przez chwilę myślałem o tym obrazku. Transportowiec obniżał wysokość, trzęsąc się i przebijając przez chmury w stronę Bangkoku.

– Chyba zostanę przy lasce – stwierdziłem.

Nie skończyłem jeszcze dwudziestu lat i tylko raz spróbowałem seksu oralnego, z dziewczyną z college’u, która najwyraźniej również nigdy wcześniej tego nie robiła. Ale byłem pełen hormonów i pozy macho, którą podłapałem w plutonie, nie wspominając o czystej adrenalinie, że po sześciu miesiącach nadal jestem żywy.

– Zdecydowanie laska.

Tres tylko mruknął i nadal czytał. To była zakurzona książka o tajskich zwyczajach, mitologii, religii albo czymś takim.

Teraz sobie uświadamiam, że gdybym wiedział, co on czyta i dlaczego wybrał Bangkok, pewnie nie wysiadłbym z samolotu.

Parkingowy, windziarz, konsjerż i główny portier hotelu Oriental nie unoszą brwi na widok moich pogniecionych chinosów i poplamionego bezrękawnika. Za trzysta pięćdziesiąt dolarów amerykańskich za noc goście mogą nosić, co

chę. Konsjerż jednak do mnie podchodzi, żeby porozmawiać, zanim opuszczę klimatyzowaną czystość hotelu.

– Doktorze Merrick... – mówi cicho – ...jest pan świadomy... hmm, napięć, które obecnie panują w Bangkoku?

Kiwam głową.

– Rozruchy studenckie? Przewrót wojskowy?

Konsjerż się uśmiecha i kłania lekko, najwyraźniej wdzięczny, że nie musi edukować *faranga* w kwestii dla niego kłopotliwej.

– Tak, proszę pana. Wspominam o tym tylko dlatego, że chociaż problemy koncentrują się w pobliżu uniwersytetu i Grand Palace, były pewne... zajścia na Silom Road.

Ponownie kiwam głową.

– Ale jeszcze nie ma godziny policyjnej – mówię. – Patpong nadal jest otwarty.

Konsjerż uśmiecha się bez śladu lubieżności.

– O, tak, proszę pana. Patpong i nocne kluby są otwarte. Miasto jest otwarte.

Nietrudno to zauważyć, kiedy tam docieram. Wąskie uliczki łączące Silom i Suriwong są pełne tanich neonowych szyldów: „Cudowny masaż”, „Obfitość cipek”, „Go-Go”, „Seks na żywo”, „Super dziewczyny”, „Cipki na żywo!” i mnóstwo innych. Alejki Patpongu są na tyle wąskie, że służą wyłącznie pieszym, ale ryk trójkątowych tuk-tuków dobiegający z bulwarów stanowi stałe tło dźwiękowe dla rockandrollowej muzyki, która dudni w głośnikach i wylewa się z otwartych drzwi.

Młodzi mężczyźni albo kobiety – czasami trudno to stwierdzić w androginicznej Tajlandii – zaczynają szarpać mnie za rękaw i wskazywać drzwi w chwili, kiedy skręcam w uliczkę zwaną Patpong One.

– Mister, najlepszy pokaz seksu na żywo, najlepsze cipki.

– Hej, mister, tutaj najładniejsze dziewczyny, najlepsze ceny.

– Chcesz zobaczyć najładniejsze ogolone cipki? Poznać najładniejsze dziewczyny?

– Chcesz dziewczyny? Nie? Chcesz chłopców?

Idę dalej, ignorując łagodne pociągnięcia za rękaw. Ostatnie pytanie usłyszałem, kiedy wszedłem na ulicę zwaną Patpong Two. Nocna strefa jest podzielona na trzy regiony: Patpong One obsługuje hetero, Patpong Two oferuje rozkosze zarówno hetero, jak i gejom, a Patpong Three jest cały gejowski. Patpong Two nadal jest dla heteroseksualistów, ale większość barów ma uśmiechniętych chłopców i dziewczyny.

Zatrzymuję się przed barem o nazwie Pussy Deluxe. Mały człowieczek z jedną ręką i twarzą niebieską w świetle migającego neonu podchodzi i wręcza mi długą

plastikową kartę.

– Cipkowe menu? – pyta tonem kelnera z eleganckiej restauracji.

Biorę brudny plastik i go studiuję: „Cipki bananowe”, „Cipki coca-cola”, „Cipki pałeczki”, „Cipki brzytwy”, „Pałace cipki”.

Kiwam głową i wchodzę do nocnego klubu. Jednooki maître d’ zabiera mi kartę.

Klub jest mały i zadymiony, z czterema barami rozmieszczonymi wokół surowej sceny. Dziewczyna na podium – wygląda na nie więcej niż szesnaście czy siedemnaście lat – jest wygięta do tyłu, tak że czubek jej głowy niemal dotyka szorstkiego drewna sceny, a ręce i nogi utrzymują ją w pozycji kraba. Jest naga, ma ogolone krocze. Kolorowe światła przebijają się przez dym i padają na nią niczym miękkie lasery. Środek sceny jest obrotowy, dziewczyna jest wygięta w łuk, podczas gdy jej ciało wiruje, tak żeby wszyscy mogli zobaczyć wyeksponowane genitalia. W wargi sromowe ma wetknięty zapalony papieros. W miarę jak scena się obraca w stronę każdej sekcji baru, dym wydobywa się z jej wulwy, jakby dziewczyna paliła. Od czasu do czasu któryś z pijanych klientów bije brawo.

Większość mężczyzn w barze to Tajowie, ale jest też wielu *farangów*: aroganckich Niemców w khaki z przylizanymi włosami, Brytoli zwracających większą uwagę na drinki niż na dziewczynę na scenie, co jakiś czas marszczący brwi i mrużący oczy za okularami Chińczyk z Hongkongu i kilku tłustych Amerykanów z nietkniętymi drinkami i wytrzeszczonymi gałami.

Podchodzę do dużego baru i zajmuję pusty stółek. Odwrócona do góry nogami twarz dziewczyny przesuwają się metr ode mnie. Jej oczy są otwarte, ale niewidzące. Małe piersi wydają się niewiele większe od zgrubień. Mogę policzyć jej żebra.

Jakaś młoda Tajka przysuwa się bliżej, tak że jej lewa pierś dotyka mojego nagiego przedramienia przez cienką bawełnę topu. Choć nie jest starsza od dziewczyny, której genitalia obracają się w naszą stronę, wygląda na starszą z powodu ciężkiego makijażu, połyskującego trupim kolorem w niebieskim świetle.

– Mam na imię Nok! – dziewczyna przekrzykuje muzykę. – Ty jak się nazywasz?

Jest tak blisko, że czuję słodki zapach talku i potu pośród dymu papierosowego. Tajowie należą do najczystszych ludzi na świecie, kąpią się kilka razy dziennie. Ignorując jej pytanie, mówię:

– Nok znaczy ptak. Jesteś ptakiem, Nok?

Jej oczy się rozszerzają.

– Mówisz po tajsku? – pyta po tajsku.

Nie pokazuję, że rozumiem.

– Jesteś ptakiem, Nok? – pytam ponownie.

Ona wzdycha i mówi po angielsku:

– Tak, jestem spragnionym ptakiem. Kupisz mi drinka?

Kiwam głową i barman jest przy nas ułamek sekundy później, nalewa jej najdroższą „whiskey” w lokalu. Oczywiście jest w niej dziewięćdziesiąt osiem procent herbaty.

– Jesteś ze Stanów? – pyta ona, a w jej czarnych oczach pojawia się cień ożywienia. – Bardzo lubię Stany.

Odgarniam jej z oczu długie włosy i sączę piwo.

– Jeśli jesteś ptakiem, jesteś *khai long*? – mówię. Ten zwrot oznacza „mały zagubiony kurczak”, ale często używamy go wobec ulicznych dziewczyn w Bangkoku.

Nok odchyła głowę do tyłu i krzyżuje ramiona, jakbym ją spoliczkował. Zaczyna się odwracać, ale ja chwytam jej chude ramię i przyciągam ją z powrotem do siebie.

– Dokończ whiskey – mówię.

Nok wydyma usta, ale pije herbatę. Patrzymy na jej przyjaciółkę, której bezwłosy srom znowu obraca się w naszą stronę. Papieros wypalił się aż do obnażonych warg. Sączę piwo, zastanawiam się – nie po raz pierwszy – jak ludzkie istoty potrafią zmienić najbardziej intymne widoki w najbardziej groteskowe. W ostatniej sekundzie, zanim papieros ją oparzy, dziewczyna sięga w dół, wyjmuje go, zaciąga się właściwymi ustami, rzuca niedopałek między scenę a bar i podnosi się z pozycji jogina. Tylko jeden czy dwóch mężczyzn siedzących przy barze bije brawo. Dziewczyna zeskakuje ze sceny, a starsza Tajka, również naga, wchodzi na obracającą się platformę, kuca i rozkłada cztery brzytwy na żyletki, żeby widownia je zaaprobowała.

Odwracam się z powrotem do Nok.

– Przepraszam, że zraniłem twoje uczucia – mówię. – Jesteś bardzo ładnym ptakiem. Chciałabyś mi pomóc zabawić się dzisiaj?

Nok zmusza się do uśmiechu.

– Chciałabym, żebyś się dzisiaj zabawił. – Udaje, że marszczy brwi, jakby właśnie o czymś pomyślała. – Ale pan Diang... – wskazuje skinieniem głowy stojącego w cieniu chudego Taja o włosach ufarbowanych na rudo – ...będzie bardzo zły na Nok, jeśli Nok nie będzie pracować przez całą zmianę. Muszę mu płacić, jeśli mam iść się bawić.

Kiwam głową i wyjmuję gruby zwitek bahtów, na które wymieniłem dolary na lotnisku.

– Rozumiem – mówię, oddzielając cztery banknoty po pięćset bahtów, prawie osiemdziesiąt dolarów.

W Bangkoku nawet najwyższej klasy dziwki barowe brały tylko dwieście albo trzysta bahtów, ale rząd to zepsuł kilka lat temu, wypuszczając banknot pięćsetbahtowy. Proszenie o resztę wydaje się niskie, więc teraz większość dziewczyn bierze pięćset za numer, a kolejne pięćset płaci swoim panom Diangom.

Dziewczyna patrzy w stronę starego mężczyzny o rudych włosach, a on ledwo zauważalnie kiwa głową.

Nok uśmiecha się do mnie.

– Tak, mam miejsce do zabawy.

Zabieram pieniądze z powrotem.

– Pomyślałem, że moglibyśmy spróbować znaleźć jeszcze kogoś do zabawy – mówię. Kątem oka widzę, że kobieta na scenie wkłada sobie ostrza.

Nok się krzywi. Spędzanie wieczoru z innymi dziewczynami zmniejszy jej zysk.

– *Sakha hue din* – mówi cicho.

Ja uśmiecham się i pytam:

– Co to znaczy?

– To znaczy, że masz dużo zabawy z Nok, która bardzo cię lubi – odpowiada z uśmiechem.

Tak naprawdę ten zwrot jest skróconą wersją powiedzenia z północy, które brzmi: „Twój kutas leży na ziemi, ja go depczę jak węża”. Uśmiecham się z aprobatą dla jej uprzejmości.

– Te pieniądze będą oczywiście tylko dla ciebie – mówię, kładąc dwa tysiące bahtów bliżej jej ręki. – Będzie więcej, jeśli znajdziemy odpowiednią dziewczynę.

Nok na mnie zerka, uśmiechając się teraz szerzej.

– Masz jakąś dziewczynę na myśli? Znajomą czy kogoś, kogo ja znajdę? Dobrą przyjaciółkę, która też bardzo cię kocha?

– Kogoś, o kim wiem – odpowiadam i zaczerpuję tchu. – Słyszałaś o kobiecie o imieniu Mara? Albo może o jej córce Tanie?

Nok zamiera i przez chwilę jest ptakiem – wystraszonym, schwytanym ptakiem. Próbuje się odsunąć, ale ja nadal trzymam jej ramię.

– *Na!* – krzyczy głosem małej dziewczynki. – *Na, na...*

– Jest więcej pieniędzy – mówię, przesuwając bahty w jej stronę.

– *Na!* – krzyczy Nok ze łzami w oczach.

Pan Diang robi szybki krok do przodu i kiwa głową na dwóch wielkich Tajów stojących przy drzwiach. Mężczyźni przedzierają się przez tłum w naszą stronę

jak rekiny przez płytką wodę.

Puszczam ramię Nok, a ona wślizguje się w tabun gości. Unoszę ręce dłońmi na zewnątrz, bramkarze zatrzymują się pięć kroków ode mnie. Starzec o rudych włosach wskazuje głową drzwi, a ja skinieniem potwierdzam gotowość do wyjścia.

Są inne miejsca na mojej liście. Czyjaś miłość do pieniędzy będzie większa niż strach przed Marą. Może.

Dwadzieścia dwa lata wcześniej Patpong istniał, ale amerykańscy żołnierze piechoty nie mogli sobie na niego pozwolić. Rząd tajski i armia amerykańska wspólnie wybrukowali dzielnicę czerwonych latarni, tanich barów, tańszych hoteli i salonów masażu na New Petchburi Road, kilometry od bardziej biznesowego Patpongu.

Pierwszego dnia i pierwszej nocy w Bangkoku z Tresem odkryłem, czym są bary no hands. Jedzenie było podłe, alkohol zbyt drogi, ale atrakcja polegająca na tym, że dziewczyny nas karmiły i przystawiały kieliszki do ust, okazała się niezapomniana. Między podsuwaniem nam kąsków i napojów one się przymilały, mrugały do nas, przesuwwały długimi paznokciami po wnętrzach naszych ud. Trudno było pogodzić to wszystko z faktem, że dwadzieścia cztery godziny wcześniej targaliśmy plecaki po czerwonych gliniastych zboczach dżungli w dolinie A Sau.

W każdym razie piliśmy i lajdaczyliśmy się w dzielnicy czerwonych latarni przez czterdzieści osiem godzin. Tres i ja wzięliśmy osobne pokoje, żeby móc sprowadzać dziewczyny, i tak robiliśmy. Cena za wieczór seksualnych przysług była niższa niż ta, którą zapłaciłbym za skrzynkę zimnego piwa w sklepie w bazie wojskowej, czyli niewielka. Za T-shirt albo dzinsy wręczone naszym dziewczynkom moglibyśmy kupić sobie na tydzień *mia chao*, „żony do wynajęcia”. One nie tylko pieprzyły się albo robiły loda na rozkaz, ale również prały nasze ubrania, sprzątały pokoje hotelowe, gdy my wychodziliśmy, żeby szukać innych dziewczyn.

Trzeba pamiętać, że to był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty. O AIDS jeszcze wtedy się nikt nie słyszał. Och, armia kazała nam zawsze nosić przy sobie gumki i oglądać dziesiątki filmów ostrzegających przed chorobami wenerycznymi, ale największym zagrożeniem dla naszego zdrowia była sajgońska róża, niebezpieczna odmiana syfilisu przywleczona do kraju przez amerykańskich żołnierzy. Jednak nasze dziewczyny były młode i głupie. Teraz

sobie uświadamiam, że nawet nas nie prosiły, żebyśmy zakładali gumki. Może myślały, że urodzenie dziecka *faranga* to szczęście i w jakiś cudowny sposób przeniesie je do Stanów. Nie wiem. Nie pytałem.

Ale po czterech z siedmiu dni naszego urlopu nawet atrakcja w postaci taniej tajskiej marihuany i jeszcze tańszego seksu trochę zbladła. Robiłem to, bo Tres to robił; naśladowanie go stało się dla mnie formą przetrwania na tym zadupiu.

Ale Tres chciał czegoś więcej. I ja za nim podążyłem.

– Dowiedziałem się o czymś czadowym – powiedział wieczorem czwartego dnia. – Naprawdę świetnym.

Pokiwałem głową. Tang, moja mała *mia chao* grymasiła, że chce wyjść ze mną na kolację, ale ja ją zignorowałem i poszedłem spotkać się z Tresem w barze.

– Potrzeba będzie na to trochę pieniędzy – uprzedził. – Ile masz?

Pogrzebałem w portfelu. Tang i ja wypaliliśmy w pokoju parę tajskich skrętów, więc wszystko było trochę świecące i przekrzywione.

– Kilkaset bahtów – powiedziałem.

Tres pokręcił głową.

– Potrzebne będą dolary. Może czterysta albo pięćset.

Wytrzeszczyłem oczy. Nie wydaliśmy nawet ułamka tej kwoty w ciągu całego naszego urlopu. Nic w Bangkoku nie kosztuje więcej niż parę dolców.

– To jest coś specjalnego – powiedział. – Naprawdę specjalnego. Nie mówiłeś mi czasem, że przywiozłeś ze sobą trzysta dolców, które przysłał ci wujek?

W milczeniu pokiwałem głową. Pieniądze były schowane w trampku na dnie mojego worka.

– Chciałem kupić mamie coś wyjątkowego – wybąkałem. – Jedwab, kimono albo coś... – Umilkłem, czując się niezręcznie.

Tres się uśmiechnął.

– To spodoba ci się bardziej niż kimono dla mamy. Bierz pieniądze. Pośpiesz się.

Pośpieszyłem się. Kiedy zszedłem na dół, przy drzwiach czekał z Tresem młody Taj.

– Johnny, to jest Maladung – przedstawił go Tres. – Maladung, to jest Johnny Merrick. W plutonie nazywamy go Prick.

Maladung posłał mi ironiczny uśmieszek.

Zanim zdążyłem wyjaśnić, że „prick” mówimy na radio PRC-25 i że taszczyłem je przez półtora miesiąca, zanim znaleźli większego radiotelefonistę, Maladung skinął do nas głową i poprowadził w noc. Dojechaliśmy tuk-tukiem do rzeki. Oficjalnie szeroka rzeka, która płynęła aż z Himalajów i przecinała

serce starego Bangkoku, nazywała się Chao Phraya, ale ja zawsze słyszałem, jak miejscowi mówią na nią Mae Nam albo „Rzeka”.

Wysiedliśmy na ciemne molo i Maladung warknął jakieś słowa do człowieka, który stał w długiej, wąskiej łodzi, wyglądającej jak zwykły cień pod pomostem. Mężczyzna coś odpowiedział, a Tres rzucił:

– Daj mi banknot stubahtowy, Johnny.

Zapłacił Maladungowi, a ten machnął ręką w stronę dziobu wąskiej łodzi. Teraz wiem, że nazywają je „taksówkami z długim ogonem” i są ich setki do wynajęcia. Swoją nazwę wzięły od długiego wału napędowego, na którym był zamontowany normalnej wielkości silnik samochodowy. Zauważyłem tamtej nocy, że wał jest tak dobrze wyważony, że nasz kierowca mógł wyjąć go z wody jedną ręką, jakby ciężki silnik nic nie ważył.

Bangkok jest miastem małych kanałów albo *klongów*. Ruszyliśmy w dół rzeki obok świąteł hotelu Oriental, o którym Tres i ja słyszeliśmy, ale w życiu nie moglibyśmy sobie na niego pozwolić. Przepłynęliśmy pod ruchliwym mostem autostradowym. Nasza taksówka z długim ogonem przemknęła przed ogromnym promem, a potem skręciła w *klong* nie szerszy od wąskich zaułków w dzielnicy Patpong. Mały kanał był całkiem czarny, nie licząc słabego blasku lamp na przycumowanych sampanach albo bambusowych budowlach wiszących nad wodą jak chaty na palach. Nasz kierowca zapalił własną czerwoną latarnię i powiesił ją na sztormrelingu na rufie, ale nie miałem pojęcia, jak inne łodzie unikały kolizji z nami, kiedy z rykiem silnika pokonywaliśmy ślepe zakręty i przepływaliśmy pod niskimi mostami. Czasami byłem pewien, że płócienny dach naszej taksówki uderzy w spód uginających się konstrukcji, ale kiedy Tres i ja odruchowo pochyłaliśmy głowy, łódź o centymetry omijała butwiejące drewno. Kilka innych wodnych taksówek wyprzedziło nas z rykiem niczym hałaśliwe duchy, a podniesiona przez nie woda przelała się przez dziób naszej i ochlapała nam kolana. Popatrzyłem na Tresa, kiedy mijaliśmy słabo oświetlony sampan. On uśmiechał się szeroko, a jego spojrzenie było dzikie.

Pół godziny albo więcej płynęliśmy przez te kręte, wąskie, jednokierunkowe *klongi*. Smród ścieków był tak silny, że oczy mi łzawiły. Kilka razy słyszałem głosy dochodzące z ciemnych, przechylonych sampanów, które ciągnęły się wzdłuż kanału jak wraki pełne wody.

– Ludzie w nich mieszkają – wyszeptałem do Tresa, kiedy mijaliśmy czarne skupisko walących się szop i na pół zatopionych sampanów, które zwięzały *klong* do takiego stopnia, że nasz samobójczy kierowca musiał zwolnić.

Tres nie odpowiedział.

Kiedy już byłem pewien, że kierowca zgubił się w labiryncie kanałów, dotarliśmy na otwartą wodę otoczoną z obu stron opuszczonymi magazynami na

palach i tyłami wypalonych chat. Ujrzałem duży dziedziniec na wodzie, ukryty przed ulicami miasta i publicznymi kanałami. Na środku tego wodnego placu cumowało kilka barek i czarnych sampanów, a ja widziałem słabe światła pozycyjne innych taksówek o długich ogonach, przywiązanych do najbliższego drewnianego stateczku.

Przewoźnik wyłączył silnik, tak że wśliznęliśmy się do prowizorycznego doku w ciszy tak nagłej, że rozboleły mnie uszy.

Właśnie sobie uświadomiłem, że dok to tylko platforma z beczek po oleju i desek przywiązanych do sampana, kiedy przez poszarpaną dziurę w płóciennym boku łodzi wyszli dwaj mężczyźni i stanęli chwiejnie na deskach, patrząc, jak przybijamy do pomostu. Nawet w ciemności dostrzegłem, że obaj są zbudowani jak zapaśnicy albo bramkarze. Bliższy z tych dwóch warknął coś do nas po tajsku.

Maladung odpowiedział, a wtedy jeden z mężczyzn wziął naszą cumę, podczas gdy drugi odsunął się na bok, żebyśmy mogli wspiąć się na małą platformę. Wsiadłem z taksówki pierwszy, zobaczyłem słaby blask lampy sączącej się przez poszarpany otwór i już miałem w niego wejść, kiedy jeden z mężczyzn dotknął mojej piersi trzema palcami, silniejszymi niż całe moje ramię.

– Najpierw trzeba zapłacić – wysyczał Maladung z taksówki.

„Za co?” – chciałem zapytać, ale Tres nachylił się do mnie i wyszeptał:

– Daj mi te trzysta dolców, Johnny.

Mój wujek przysłał mi pieniądze w nowiutkich pięćdziesiątkach. Dałem je Tresowi, a on wręczył dwa banknoty Maladungowi, a cztery pozostałe mężczyźnie stojącemu bliżej na pomoście.

Dwaj bramkarze odsunęli się na bok i ręką pokazali mi wejście. Właśnie się pochyliłem, żeby zmieścić się w niskim otworze, kiedy usłyszałem ozywający silnik naszej łodzi. Wyprostowałem się w samą porę, by zobaczyć, jak czerwona latarnia znika w wąskim *klongu*.

– Cholera – zakląłem. – Jak teraz wrócimy?

– Będziemy się tym martwić później – powiedział Tres głosem zdławionym od czegoś silniejszego niż zwykłe napięcie. – Chodźmy.

Spojrzałem na poszarpany otwór, który najwyraźniej prowadził do korytarza łączącego serię sampanów i barek. Dolatywały z niego silne zapachy i stłumiony dźwięk, jakby gdzieś na końcu tego tunelu oddychało duże zwierzę.

– Naprawdę chcemy to zrobić? – wyszeptałem do Tresa. Dwaj Tajowie stali na pomoście nieruchomo jak rzeźby chińskich lwów-psów, które strzegą wejść do ważnych budynków w całej Azji. – Tres?

– Tak. Chodź.

Przepchnął się obok mnie i wcisnął w otwór. Przyzwyczajony do tego, że trzymam się go na patrolach, nocnych zasadzkach i zwiadach, pochyliłem głowę i podążyłem za nim.

Patrzę na pokaz seksu na żywo w Pussy Galore, kiedy otaczają mnie cztery Tajowie. Pokaz jest typowy dla Bangkoku: młoda para pieprzy się na dwóch harleyach-davidsonach wiszących na drutach nad centralną sceną. Ta dwójka odbywa stosunek od ponad dziesięciu minut. Na ich twarzach nie ma udawanej namiętności, ale ciała wprawnie demonstrują kopulację każdemu kątowni baru. Wydaje się, że dla widowni większą atrakcją niż pieprzenie się jest szansa, że tych dwoje spadnie z podwieszonych motocykli.

Ignoruję pokaz i wypytuję barmankę o imieniu Lah, podczas gdy Tajowie mnie otaczają. Lah znika w tłumie. W barze jest ciemno, ale cztery mężczyźni noszą okulary przeciwsłoneczne. Piję łyk cienkiego piwa i nic nie mówię, kiedy tamci przysuwają się bliżej.

– Nazywasz się Merrick? – pyta najniższy. Jego twarz jest chuda jak ostrze siekiery i naznaczona trądzikiem albo dziobami po ospie.

Kiwam głową.

Dziobaty zbliża się o krok.

– Rozpytywałeś o kobietę o imieniu Mara?

– Tak.

– Chodź – mówi tamten.

Nie stawiam oporu. W piątkę wychodzimy z baru w formacji klina. Na zewnątrz między mną a przysadzistym mężczyzną po mojej lewej stronie powstaje odstęp, więc mogę rzucić się do ucieczki, jeśli tak postanowię. Nie postanawiam. Na początku alejki stoi zaparkowana ciemna limuzyna, człowiek po mojej prawej stronie otwiera tylne drzwi. Kiedy to robi, widzę perłową rękojeść rewolweru wetkniętego za jego pasek.

Wsiadam na tylne siedzenie. Dwaj najwyżsi mężczyźni zajmują miejsca po moich bokach. Patrzę, jak dziobaty siada na miejscu pasażera, a człowiek z rewolwerem sadowi się za kierownicą. Limuzyna rusza bocznymi ulicami. Wiem, że jest trochę po trzeciej rano, ale *soi* nadal są dziwnie puste tak blisko Patpongu. Z początku widzę, że jedziemy na północ, równoległe do rzeki, ale potem tracę poczucie kierunku w labiryncie wąskich uliczek. Tylko ciemne szyldy z chińskimi napisami pomagają mi się zorientować, że jesteśmy na północ od Patpongu w okolicy znanej jak Chinatown.

– Unikaj Sanam Luang i Ratchadamnoen Klang – mówi po tajsku dziobaty do kierowcy. – Armia strzela dzisiaj do protestujących.

Zerkam na prawo i widzę pomarańczową poświatę płomieni nad dachami. Ponad szumem klimatyzacji słychać daleki, niemal cichy terkot wystrzałów z broni ręcznej.

Zatrzymujemy się w okolicy pełnej opuszczonych budynków. Nie ma tutaj ulicznych latarni i tylko pomarańczowy blask ognia odbity od niskich chmur pozwala mi zobaczyć, że ulica kończy się na pustych parcelach i na pół zdemolowanych magazynach. Wyczuwam rzekę gdzieś tam w ciemności.

Dziobaty odwraca się i kiwa głową. Taj po mojej prawej stronie otwiera drzwi i wywleka mnie za bezrękawnik. Kierowca zostaje w samochodzie, podczas gdy pozostali trzej ciągną mnie głębiej w cieniu blisko rzeki.

Zaczynam mówić, ale mężczyzna za mną wsuwa palce w moje włosy i mocno odchyła mi głowę do tyłu. Trzeci chwytą mnie za ręce, a trzymający moje włosy przytyka ostrze sztyletu do mojej szyi. Twarz dziobatego nagle pojawia się tak blisko, że czuję rybę i piwo w jego oddechu.

– Dlaczego wypytujesz o kobietę o imieniu Mara z córką o imieniu Tana? – pyta po tajsku.

Mrugam zdziwiony. Ostrze przecina skórę tuż pod jabłkiem Adama. Moja głowa zostaje odciągnięta do tyłu tak mocno, że prawie nie mogę oddychać.

– Dlaczego wypytujesz o kobietę o imieniu Mara z córką o imieniu Tana? – powtarza po angielsku dziobaty.

Mój głos jest niewiele więcej jak chrapliwym gulgotem.

– Mam coś dla nich. – Próbuję uwolnić prawą rękę, ale trzeci mężczyzna przytrzymuje mój nadgarstek.

– W lewej kieszeni – wykrztuszam.

Dziobaty waha się tylko sekundę, a potem szarpnięciem rozchyła mi kamizelkę i szuka ukrytej kieszeni. Wyciąga z niej dwadzieścia banknotów.

Znowu czuję jego oddech na mojej twarzy, kiedy śmieje się cicho.

– Dwadzieścia tysięcy dolarów? Mara nie potrzebuje dwudziestu tysięcy dolarów. Nie ma żadnej Mary – kończy po angielsku, a do człowieka z nożem rzuca po tajsku: – Zabij go.

Robili to już wcześniej. Pierwszy mężczyzna odchyła moją głowę jeszcze bardziej do tyłu, drugi gwałtownie ciągnie moje ręce w dół, a dziobaty odsuwa się przezornie. Zanim nóż przetnie moje gardło, z trudem wydobywam z siebie trzy słowa:

– Spójrz jeszcze raz.

Czuję napięcie mięśni dłoni i ramienia człowieka trzymającego nóż, ale ospowaty rozkazująco podnosi rękę. Ostrze przejeżdża dostatecznie mocno po

mojej skórze, żeby krew zmoczyła kołnierz koszuli i bezrękawnik, ale nie zagłębia się bardziej. Niski Taj podnosi banknot wysoko, łąpie na niego w słabym świetle, a potem zapala zapalniczkę. Mamrocze coś pod nosem.

– Co? – pyta trzeci mężczyzna po tajsku.

Dziobaty odpowiada w tym samym języku.

– To obligacja na okaziciela na dziesięć tysięcy dolarów. To wszystko są obligacje na dziesięć tysięcy dolarów. Dwadzieścia.

Pozostali dwaj Tajowie z sykiem wypuszczają powietrze.

– Jest ich więcej – mówię po tajsku. – Dużo więcej, Ale muszę się zobaczyć z Marą.

Stoimy bez ruchu przez co najmniej minutę, zanim dziobaty chrząka, ostrze zostaje opuszczone, moje włosy uwolnione, a my wracamy do limuzyny.

Szedłem za Tresem przez tunel wycięty w łukowatych płóciennych dachach sampanów.

Kilku Tajów na nas zerknęło, kiedy weszliśmy na krytą barcę, a potem odwróciło wzrok, najwyraźniej uznawszy, że *farangom* pozwolono tu wejść.

Potem ich uwaga kieruje się z powrotem na prowizoryczną scenę znajdującą się na środku barki. Stoję tam, mrugając w gęstej chmurze dymu papierosowego i marihuanowego. Scena ma dwa metry na półtora, oświetlają ją tylko dwie syczące lampy zawieszane na wspornikach. Jest pusta z wyjątkiem dwóch kobiet robiących sobie nawzajem minetę. Surowe ławki biegną czterema rzędami wokół sceny, a dwudziestu paru Tajów postrzegam jako ciemne kształty pośród dymu.

– Co... – zaczynam, ale Tres ucisza mnie i prowadzi do pustej ławki po naszej lewej stronie.

Do kobiety na scenie dołączają dwaj chudzi Tajowie, właściwie chłopcy, którzy ignorują kobiety doprowadzające się pieszczotami nawzajem do ekstazy.

Miałem dość uciszania. Nachyliłem się do Tresa i powiedziałem:

– Dlaczego, do diabła, musimy płacić trzysta dolarów, skoro możemy to obejrzeć za parę dolców w każdym barze przy New Petchburi Road?

Tres tylko kręci głową.

– To tylko wstęp, Johnny – szepcze. – Rozgrzewka. Zapłaciliśmy za główny pokaz.

Dwóch mężczyzn przed nami odwróciło się, marszcząc brwi, jakbyśmy robili za dużo hałasu w kinie. Na scenie dwaj chłopcy skończyli przygotowania i zajęli

się dwiema młodymi kobietami i sobą nawzajem. Kombinacje były skomplikowane.

Usiadłem i skrzyżowałem nogi. W Wietnamie nie nosiliśmy bielizny, bo powodowała grzybicę krocza i jak wielu trepów pozbyłem się zwyczaju noszenia jej nawet w cywilnych ubraniach na urlopie. Jednak tamtej nocy żałowałem, że nie włożyłem szortów pod lekkie bawełniane spodnie. Wydawało się, że widoczny wzwód w obecności tyłu innych mężczyzn jest w złym tonie.

Czwórka młodych ludzi na scenie przez następne dziesięć minut eksplorowała różne kombinacje. Kiedy doszli, niemal jednocześnie – kobiety mogły udawać, ale nie było wątpliwości, że orgazmy mężczyzn są prawdziwe – trochę nasienia spadło na pierś jednej z Tajek, a jej koleżanka rozsmarowała wytrysk drugiego chłopca na pośladkach pierwszego. Biseksualne zabawy wprawiały mnie w zakłopotanie i jednocześnie ekscytowały. Wtedy nie rozumiałem siebie dobrze.

Skończywszy występ, czwórka młodych ludzi po prostu wstała i wyszła przez drzwi tunelu w przeciwną stronę. Klienci nie bili brawa. Scena była pusta przez kilka minut, ale potem wszedł na nią niski Taj ubrany w czarną jedwabną koszulę i spodnie i powiedział coś cichym, poważnym głosem. Dwa razy wychyciłem słowo Mara. W pomieszczeniu nagle dało się wyczuć napięcie.

– Co on... – zacząłem.

– Ciii – uciszył mnie Tres ze wzrokiem utkwionym w scenie.

– Pieprzyć to. – Zapłaciłem za to gównem. Zasłużyłem na to, żeby wiedzieć, co dostaję za swoje pieniądze. – Co to jest Mara?

Tres westchnął.

– Mara to *phanyaa mahn*, Johnny. Księżę demonów. Wysłał swoje trzy córki: Aradi, niezadowolenie; Tanę, pożądanie, i Rakę, miłość, żeby kusily Buddę. Ale Budda wygrał.

Łypnąłem przez dym na pustą scenę i powoli kołyszącą się lampę.

– Więc Mara to mężczyzna?

Tres pokręcił głową.

– Nie, kiedy duch *phanyaa mahn* łączy się z *naga* w demoniczno-ludzkim wcieleniu

Popatrzyłem na Tresa. Od przyjazdu do Bangkoku wypaliliśmy trochę dobrego towaru – tajskie skręty były tutaj prawie za darmo – ale on najwyraźniej brał więcej, niż powinien. Zauważył mój wzrok i uśmiechnął się lekko.

– Mara to część świata, który umiera, Johnny... zasada śmierci. Rzecz, której boimy się bardziej niż Wietkongu, kiedy jesteśmy na nocnym patrolu. *Naga* to rodzaj boga węża, który jest związany z wodą. Rzeką. Może odbierać albo dawać życie. Kiedy duch *naga* zostanie dany komuś opętanemu przez moc

phanyaa mahn – Marę – demon może stać się kobietą albo mężczyzną. Ale zapłaciliśmy za to, by zobaczyć kobietą Marę, która podobno jest *phanyaa mahn naga kio*. To się zdarza raz na dziesięć tysięcy wcieleń.

– Co to jest *kio*? – spytałem szeptem. Miałem złe przeczucie, że przepuściłem trzysta dolców na nic.

– *Kio* to... ciii. – syknął Tres, wskazując scenę.

Wyszła na nią kobieta. Była ubrana w tradycyjne tajskie jedwabie i niosła dziecko. Rysy jej twarzy były ostre, niemal męskie, włosy tworzyły wokół niej aureolę ze splątanej czerni. Była starsza niż czwórka aktorów, których widzieliśmy wcześniej, ale i tak miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Dziecko kwiliło i szarpało jedwab na drobnych piersiach kobiety. Zauważyłem, że Tajowie obecni w pomieszczeniu kłaniają się lekko. Niektórzy składali dłonie w tradycyjnym geście pozdrowienia *wai*. Wydawało się dziwne, że w ten sposób witają aktorkę. Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na Tresa, ale on również robił gest *wai*. Pokręciłem głową i przeniosłem wzrok z powrotem na scenę. Większość mężczyzn zgasła papierosy, ale na barce było tyle dymu, że patrzyło się jak przez mgłę.

Kobieta uklękła na deskach. Dziecko leżało nieruchomo w jej ramionach. Mężczyzna w czarnym jedwabiu wszedł na scenę i powiedział coś cichym, beznamiętnym głosem.

Zapadła długa cisza. W końcu z pierwszego rzędu wstał tłusty Taj, odwrócił się, żeby spojrzeć na tłumek, a potem zszedł na scenę. Wszyscy jednocześnie wypuścili powietrze z płuc, a ja poczułem że napięcie w pokoju przenosi się na inny obiekt, ale nie opada.

– Co? – wyszeptałem.

Tres pokręcił głową i pokazał palcem. Tłusciuch podawał gruby zwitek bahtów mężczyźnie w czerni.

Jakby na dany znak wróciły dwie kobiety, które wcześniej widzieliśmy. Były ubrane w ceremonialne szaty, a ja skojarzyłem je z tajskim tańcem, który widziałem na zdjęciach. Każda miała wysokie, spiczaste nakrycie głowy, dziwne naramienniki, bluzkę i spodnie ze złotego jedwabiu. Zacząłem się zastanawiać, czy zapłaciłem trzysta dolarów, żeby obejrzeć, jak czwórka ludzi uprawia seks w ubraniach.

Na scenę weszli dwaj chłopcy w kostiumach, niosąc ozdobne krzesło. Bałem się, że pokażą jeszcze więcej gejowskiego i lesbijskiego seksu, ale oni jedynie postawili krzesło i zniknęli. Dwie dziewczyn zaczęły rozbierać tłustego mężczyznę, podczas gdy kobieta o imieniu Mara patrzyła w pustkę, nie zwracając uwagi na niego, na jego pomocnice ani na widownię.

Rozebrawszy klienta w niemal rytualny sposób i odłożywszy jego ubranie, dziewczyny pchnęły go na krzesło. Widziałem pot zbierający się na górnej wardze i piersi mężczyzny. Jego nogi drżały lekko. Jeśli zapłacił za jakiś rodzaj erotycznej usługi, z pewnością nie był w nastroju do zabawy. Jego kutas skurczył się tak, że prawie zniknął, a moszna wyglądała, jakby zmniejszyła się do wielkości orzecha.

Dziewczyny pochyliły się i zaczęły nad nim pracować rękami i ustami. Zajęło to chwilę, ale znały się na rzeczy, tak że w ciągu paru minut kutas tłusciocha był twardy i uniesiony na tyle wysoko, że żołądź prawie dotykała brzucha. Tymczasem Mara nadal wpatrywała się w pustkę, dziecko wierciło się lekko w jej ramionach. Kobieta wydawała się obojętna do granic katatonii.

Moje serce zaczęło łomotać. Bałem się, że zamierzają coś zrobić dziecku, i ta myśl przyprawiła mnie o mdłości. Jeśli Tres wiedział, że będzie w tym brało udział niemowlę...

Zerknąłem na niego, ale on patrzył na Marę, z wyrazem twarzy, który mógł być mieszanką strachu i naukowej ciekawości. To wszystko było dziwaczne.

Dwie dziewczyny wyszły. Na scenie zostali tłusty mężczyzna z umiarkowaną erekcją i kobieta z dzieckiem. Mara powoli odwróciła się do klienta, a gra świateł sprawiła, że jej oczy zalśniły żółto. Na barce nagle zrobiło się aż za cicho, jakby wszyscy przestali oddychać.

Mara wstała, zrobiła trzy kroki w stronę mężczyzny i opadła na kolana. Była na tyle daleko, że musiała się pochylić, żeby położyć rękę na wzwodzie klienta. Zauważyłem, że jej paznokcie są bardzo czerwone i bardzo długie. Erekcja tłusciocha zaczęła wyraźnie słabnąć, a ja widziałem, że jego jaja unoszą się, jakby chciały się ukryć pod osłoną cielską.

Wydawało się, że Mara się uśmiecha na ten widok. Pochyliła się jeszcze bardziej, nadal trzymając niemowlę, i otworzyła usta.

Spodziewałem się seksu oralnego, ale jej głowa nie zbliżyła się bardziej niż na czterdzieści pięć centymetrów do genitaliów mężczyzny. Zamiast tego jej język wysunął się pomiędzy ostrych, idealnie białych zębów, aż dotknął podbródka. Oczy grubasa były teraz bardzo szeroko otwarte, a jego ręce i brzuch trzęsły się lekko. Erekcja wróciła.

Mara pokręciła głową, jakby rozluźniała szyję, a jej język nadal się wysuwał. Piętnaście centymetrów. Potem dwadzieścia. Po chwili trzydzieści centymetrów mięsistego języka wystawało z jej otwartych ust niczym różowa żmija rozwijająca się z ciemnego gniazda.

Czterdzieści pięć albo pięćdziesiąt centymetrów grubego języka ułożyło się na udzie mężczyzny i zaczęło owijać się wokół jego kutasa. Próbowałem przełknąć ślinę i stwierdziłem, że nie mogę. Próbowałem zamknąć oczy

i stwierdziłem, że moje powieki odmawiają posłuszeństwa. Oddychałem ciężko, z otwartymi ustami. Po prostu patrzyłem.

Język Mary otoczył nieobrzezany penis grubego mężczyzny, ściągnął napletek. Światło lampy odbiło się od różowej wilgoci i zalśniło w miejscu, gdzie język zwilżył erekcję.

Z ust wysunęło się więcej języka, jego czubek spiralą opuszczał się w dół niczym sondująca głowa węża o grubym ciele. Tłuszcioch zamknął oczy, kiedy wąż całkowicie oplótł trzon, a wąski koniec mięsistej wstęgi, chwiejąc się i kołysząc, zbliżył się do ściśniętych jąder. Rzęsy Mary również były opuszczone, ale zobaczyłem błysk bieli i żółci pod ciężkimi powiekami, kiedy biodra mężczyzny zaczęły się ruszać.

Widok tego wilgotnego języka w żółtym świetle lampy był straszny – przypominający o mdłości – lecz nie on okazał się najgorszy. Najgorsze były rany, które na nim dostrzegłem: owalne szczeliny w mięsistej wewnętrznej części, jakby ktoś wziął bardzo ostry skalpel i zrobił serię bezkrwawych nacięć o długości centymetra.

Ale to nie były nacięcia. Nawet w słabym świetle widziałem, że mięsiste bruzdy pulsują, zamykają się i otwierają z własnej woli niczym otwory gębowe głodnych ukwiałów falujących na łagodnych pływach. Potem język owinał się mocniej wokół wyprostowanego penisa, a ja zobaczyłem niemal perystaltyczne skurcze, kiedy wstęga różowawego ciała ciągnęła i zaciskała się, zaciskała i ciągnęła. Mara zamknęła usta i odchyliła głowę do tyłu jak wędkarz, który złapał rybę na haczyk, a tłuszcioch jęknął w ekstazie. Ścisnął poręcze krzesła i zaczął gwałtowniej pompować biodrami, z oczami na pół otwartymi, ale najwyraźniej niewidzącymi niczego oprócz czerwonej fali przyjemności.

Język Mary coraz bardziej zaciskał zwoje. Tłusty mężczyzna nadal poruszał biodrami, jego twarz poczerwieniała. Oczy były otwarte, ale dostrzegałem tylko białka. Główka kutasa, widoczna w świetle lampy, wydawała się tak nabiegła krwią, że bliska pęknięcia. Gruby język przesunął się po nim.

Mężczyzna znalazł się, teraz to wiem, w ostatnich stadiach procesu ejakulacji: skurcze mięśni, utrata świadomej kontroli nad mięśniami twarzy, do czterdziestu oddechów na minutę, zaczerwienienie skóry i gwałtowne ruchy bioder. Gdyby ktoś zmierzył mu puls, stwierdziłby, że jego serce bije w tempie od stu do stu siedemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę. Ciśnienie skurczowe i rozkurczowe wzrosło. Wtedy myślałem po prostu, że to orgazm.

Mara opuściła głowę, jakby zwijała wysunięty język. Oczy miała teraz otwarte i bardzo żółte. Dwanaście albo więcej centymetrów języka nadal było owiniętych wokół kutasa mężczyzny, kiedy Mara zbliżyła czerwone usta do jego pachwiny.

Taj nadal wił się w orgazmie. Żaden dźwięk nie dobiegał od strony dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn zgromadzonych w zadymionym pokoju. Jęki tłuściocha były jedynym odgłosem. Jego orgazm ciągnął się i ciągnął, o wiele dłużej, niż zwykle trwa ejakulacja. Twarz Mary opadała i się unosiła, a wtedy widzieliśmy, że jej język jest ciasno owinięty wokół nadal twardego członka.

– Jezu Chryste – wyszeptałem.

Teraz wiem, że ustąpienie wzwodu jest szybkie i mimowolne. W ciągu sekund po wytrysku penis zaczyna dwuetapowy powrót do dawnej wielkości, który zaczyna się od utraty pięćdziesięciu procent erekcji w ciągu pierwszych trzydziestu sekund. Nawet jeśli zostaje trochę przekrwienia – utrzymanie masztu, jak nazwałbym to w czasie służby w Wietnamie – nie jest to ani nie może być pełna erekcja jak przed ejakulacją.

Taj nadal miał pełny wzwód. Widzieliśmy go za każdym razem, kiedy usta Mary unosiły się ponad jej zwiniętym językiem. Wydawało się, że mężczyzna ma atak padaczki. Jego ręce i nogi biły dziko, oczy wywróciły się w głąb czaszki, usta były otwarte, po brodzie i podgardlu ciekła ślina. Taj wciąż dochodził. Minęły minuty – pięć, dziesięć. Przesunąłem dłonią po twarzy, aż zrobiła się tłusta od potu. Tres oddychał przez usta i patrzył z przerażeniem.

W końcu Mara się odsunęła.

Jej język odwinął się z kutasa Taja i wsunął z powrotem między jej wargi jak na zwijarce. Grubas wydał ostatni jęk i zsunął się z krzesła; jego penis w erekcji nadal dźgał puste powietrze.

– Chryste Wszehmocny – wyszeptałem z ulgą, że już jest po wszystkim.

Nie było po wszystkim.

Wargi Mary były nabrzmięte, policzki wypchane jak sekundę wcześniej. Przez chwilę miałem przed oczami obraz jej ust wypełnionych ogromnym, zwiniętym językiem i niemal zwróciłem lunch w tamtej zadymionej ciemności.

Mara bardziej odchyliła głowę do tyłu, a ja zauważyłem, że jej czerwone wargi robią się jeszcze czerwieńsze, jakby w jakiś sposób udało się jej nałożyć grubą warstwę lśniącej pomadki w czasie seksu oralnego. Potem jej usta otworzyły się trochę bardziej i czerwień zsunęła się z warg, ściekła po brodzie i wylała na złotą jedwabną bluzkę.

Krew. Zrozumiałem, że jej policzki i usta były pełne krwi; obsceniczny język był od niej napęczniały. Ona połknęła ją z powrotem i coś w rodzaju uśmiechu wygładziło jej ostre rysy.

Zwalczyłem mdłości, opuściłem głowę i pomyślałem: Teraz to już koniec. Już po wszystkim.

Nie było po wszystkim.

Przez całe niekończące się fellatio dziecko leżało na lewym ramieniu Mary, zasłonięte przez jej głowę i udo tłusciocha. Ale teraz zobaczyłem, że niemowlę chwyta małymi rączkami bluzkę poplamioną krwią. Gdy kobieta jeszcze bardziej odchyliła głowę do tyłu, jakby zlizywała krew z ust niczym dobre wino, dziecko zaczęło przyciągać się do jej piersi małymi piąstkami ściskającymi złoty jedwab, otwarte usteczka szukały.

Popatrzyłem na Tresa i stwierdziłem, że nie jestem w stanie mówić, więc spojrziałem z powrotem na scenę. Tajscy chłopcy znieśli z niej nieprzytomnego mężczyznę, tak że w świetle lampy została tylko Mara z jej niemowlęciem. Dziecko nadal się dźwigało, aż dotknęło policzkiem twarzy matki. Pomyślałem o filmie, na którym małe kangurzątko, na pół uformowane, niemal jak embrion, wspinało się po futrze matki w podróży na śmierć i życie z kanału rodowego do torby.

Dziecko zaczęło lizać policzek i usta matki. Zobaczyłem, jaki długi jest jego język, jak wiję się po brodzie i wargach Mary niczym różowy robak. Próbowałem zamknąć oczy albo odwrócić wzrok.

Nie mogłem.

Wydawało się, że Mara wyszła z transu, uniosła dziecko do twarzy i przytknęła usta do jego usteczek. Zobaczyłem, że dziewczynka szeroko otwiera buzię, potem jeszcze szerzej, i pomyślałem o piskletach domagających się jedzenia.

Mara zwymiotowała krew w otwarte usta dziecka. Widziałem, że jego policzki się napełniają, gardło pracuje, kiedy dziewczynka starała się przełknąć nagłą obfitość gęstego płynu. Cały proces był zadziwiająco schludny, niewiele ciężkiej krwi wylało się na złotą szatę dziecka czy na jedwab Mary.

Przed moimi oczami zatańczyły plamy. Opuściłem głowę na dłoń. W pokoju nagle zrobiło się gorąco, pole mojego widzenia bardzo się zwężyło. Czoło miałem lepkie. Obok mnie Tres wydał jakiś dźwięk, ale nie przestał patrzeć na scenę.

Kiedy uniosłem wzrok, dziecko prawie skończyło jeść. Widziałem jego długi język zlizujący resztki zwróconego pokarmu z ust i policzków matki.

Lata później natknąłem się w „Scientific American” na artykuł zatytułowany: „Dzielenie się pokarmem u nietoperzy wampirów”, opisujący altruistyczne zachowania między członkami stada. Wampiry podobno mogą zdechnąć z głodu, jeśli w ciągu sześćdziesięciu godzin nie przyjmą posiłku składającego się z dwudziestu do trzydziestu mililitrów krwi. Okazuje się, że po właściwej stymulacji – lizanie pod skrzydłami i wokół warg – dawca wymiotuje krew tylko dla tych współtowarzyszy, którzy bez krwawego posiłku zdechliby w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ten system wzajemnej wymiany sprzyja

przetrwaniu, twierdził autor artykułu, bo pozwala beneficjentowi poszukać krwi następnej nocy, a zabiera on jedynie taką ilość krwi, która wystarczyłaby dawcy na dwanaście godzin.

Ale to rysunek mniejszego nietoperza liżącego usta dawcy, splecionych skrzydeł, otworów gębowych o wąskich wargach przysuwających się do siebie w krwawym pocałunku, sprawił, że zwymiotowałem do biurowego kosza na śmieci dwadzieścia lat po tamtej nocy w Bangkoku.

Pamiętam, że wyciągnąłem stamtąd Tresa, mam niewyraźne wspomnienie, że wciskam zwitek bahtów w ręce kierowcy taksówki z długim ogonem czekającej przy pomoście. Pamiętam, że szedłem sam do swojego pokoju i zamykałem drzwi na klucz. Tang, moja *mia chao*, zniknęła i byłem za to wdzięczny. Pamiętam, że gapilem się na wolno obracający się wentylator godzinę przed świtem i chichotałem, wymyślając tłumaczenie. W przeciwieństwie do Tresa nigdy nie byłem dobry w językach, ale wszystko nagle stało się dla mnie oczywiste. *Phanyaa mahn naga kio*. Jeśli *phanyaa mahn* to Mara, księżka demonów, a *naga* to demon-wąż, wtedy *kio* mogło oznaczać tylko jedno: wampira.

Zachichotałem i poczekałem, aż wzejdzie słońce, by móc zasnąć.

Miasto nadal płonie, a ja słyszę wystrzały z broni automatycznej, z której wojska rządowe zabijają studentów, kiedy czterej mężczyźni zabierają mnie do Mary. Limuzyna przejeżdża przez rzekę, rusza na południe wzdłuż brzegu przeciwnego do tego, na którym stoi hotel Oriental, i zatrzymuje się na wysokim wzniesieniu w pobliżu mostu autostradowego. Dziobaty prowadzi nas do zewnętrznej windy, wciska guzik, a my z hurgotem ruszamy w nocne powietrze. Winda nie ma ścian, tak że widzę rzekę i miasto po jej drugiej stronie z oniryczną wyrazistością, kiedy wznosimy się ponad trzydzieści pięter w gęste nocne powietrze. Rzeka jest pusta jak nigdy; tylko kilka promów walczy z ciemnym prądem. W okolicy Grand Palace i uniwersytetu płomienie rozjaśniają noc.

Docieramy na jeden z górnych poziomów i toporna widna zatrzymuje się ze zgrzytem. Drzwi się rozsuwają, dziobaty pokazuje mi gestem, żebym wysiadł. Gdzieś nad nami spawarka sypie iskrami. We współczesnym Bangkoku budowa trwa nawet w nocy. Wieżowiec nie ma ścian, tylko przezroczysty plastik zawieszony na belkach, oddzielający cementowe powierzchnie jedną od drugiej.

Gorący wiatr szeleści plastikiem z dźwiękiem podobnym do trzepotu skórzastych skrzydeł.

Z dźwigarów zwisają lampy robocze, więcej lamp widać przez plastikowe ściany po naszej lewej stronie. W pięciu idziemy w stronę światła i dźwięku. W wejściu – rodzaju tunelu z szeleszczących płacht – trzej goryle zostają z tyłu, a dziobaty unosi plastik, pokazuje, żebym wszedł pierwszy, i idzie za mną.

W otwartej przestrzeni, gdzie na zakurzonej cementowej podłodze położono drogi perski dywan, stoi kilkanaście składanych krzeseł. Wisząca lampa jest tak osłonięta, że w pomieszczeniu jest więcej cieni niż światła. Na składanych krzesłach siedzi sześciu mężczyzn, sami Tajowie w eleganckich smokingach, ale ja patrzę tylko na dwie kobiety siedzące po drugiej stronie w ciężkich rattanowych fotelach. Starsza może być w moim wieku albo trochę starsza; dobrze się zestarzała. Jej włosy nadal są czarne, ale teraz modnie zaczesane do góry. Azjatycka twarz nie jest pomarszczona, policzki i broda nadal są wyraźnie zarysowane i tylko pewna węzlastość szyi i rąk wskazuje, że przekroczyła czterdziestkę. Ma na sobie drogi strój z czarnego i czerwonego jedwabiu. Na czerwonym stanie wisi naszyjnik ze złota i diamentów, kontrastujący z czernią.

Młodsza kobieta siedząca obok niej jest zdecydowanie piękniejsza. O oliwkowej skórze, ciemnych oczach, lśniących włosach, ściętych krótko według najnowszej zachodniej mody, z długą szyją i dłońmi pełnymi gracji, nawet kiedy leżą spokojnie. Ta młoda kobieta jest piękna w sposób niedostępny dla żadnej aktorki czy modelki. Widać, że jest świadoma swojej urody i jednocześnie na nią obojętna.

Wiem, że patrzę na Marę i jej córkę Tanę.

Dziobaty podchodzi do nich i pada na kolana w taki sposób, w jaki Tajowie okazują szacunek rodzinie królewskiej, wykonuje dopracowany gest *wai*, a następnie podaje Marze mój zwitek dwudziestu obligacji, nie podnosząc głowy. Ona mówi coś cicho, a on odpowiada z szacunkiem.

Mara odkłada pieniądze na bok i patrzy na mnie. W jej oczach odbija się żółty blask osłoniętej lampy.

Dziobaty mężczyzna podnosi wzrok, przywołuje mnie skinieniem głowy i wyciąga rękę, żeby ściągnąć mnie na kolana. Ja przyklękam z własnej woli, zanim on chwyci mnie za rękaw. Spuszczam głowę i patrzę na stopy Mary w pantoflach.

– Wiesz, o co prosisz? – pyta ona wytwornym tajskim.

– Tak – odpowiadam po tajsku. Mój głos jest mocny.

Mara ściąga wargi.

– Skoro o mnie wiesz, musisz wiedzieć, że już nie świadczyć tej... usługi – mówi bardzo cicho.

– Tak. – Skłaniam głowę z szacunkiem.

Ona czeka w milczeniu, a ja sobie uświadamiam, że to ponaglenie.

– Czcigodna Tana – mówię w końcu.

– Podnieś głowę – rozkazuje Mara. Do córki szepcze, że mam *jai ton*, gorące serce.

– *Jai ban dee* – odpowiada Tana z uśmiechem.

– Poznanie mojej córki będzie kosztowało trzysta tysięcy – mówi Mara. Nie ma śladu zachęty do negocjacji w jej głosie. Cena jest ostateczna.

Kiwam głową z szacunkiem, sięgam do ukrytej kieszeni z tyłu bezrękawnika i wyjmuję z niej sto tysięcy dolarów w gotówce i obligacjach.

Jeden z ochroniarzy bierze pieniądze, a Mara lekko kiwa głową.

– Kiedy chcesz, żeby to się stało? – pyta bezbarwnym tonem. W jej oczach nie ma znużenia ani zainteresowania.

– Teraz – mówię. – Dziś w nocy.

Starsza kobieta patrzy na córkę. Skinienie Tany jest prawie niedostrzegalne, ale w tych lśniących brązowych oczach coś jest, może głód.

Sześciu mężczyzn pochyla się z roziskrzonym wzrokiem.

Tres i ja spotkaliśmy się następnego ranka na śniadaniu w tanim lokalu niedaleko rzeki. Mówiliśmy cicho, z zakłopotaniem, niemal jak wtedy, gdy zginął ktoś z plutonu i przez jakiś czas nikt nie chciał wymawiać jego imienia, chyba że w formie żartu. My nie żartowaliśmy.

– Widziałeś kutasa tego gościa... potem? – wyszeptał Tres. – Miał te ranki. Jak ślady, które raz widziałem, kiedy byłem ratownikiem na Cape i jeden facet wpłynął na meduzę.

Napiłem się zimnej kawy i skupiłem na tym, żeby nie drzeć.

Tres zdjął okulary i pomasaował oczy. Wyglądał, jakby też nie spał.

– Johnny, chciałeś zostać medykiem. Ile krwi ma w sobie ludzkie ciało?

– Nie wiem.

On nałożył okulary w drucianych oprawkach z powrotem na nos.

– Myślę, że jakieś pięć albo sześć litrów – powiedział. – Zależnie od rozmiarów człowieka.

Pokiwałem głową, choć nie potrafiłem wyobrazić sobie, ile to jest jeden litr. Lata później, kiedy zaczęto sprzedawać drinki w litrowych butelkach, zawsze wyobrażałem ich sobie pięć albo sześć, wypełnionych ilością krwi, którą codziennie nosimy w żyłach.

– Wyobraź sobie orgazm, kiedy ejakulujesz krwią – wyszeptał Tres.

Zamknąłem oczy.

Tres dotknął mojego nadgarstka.

– Nie, pomyśl o tym, Johnny. Tamten gość jeszcze żył, kiedy go wynosili. Ci faceci nie płaciliby mnóstwa dolców, gdyby wiedzieli, że to ich zabije.

Naprawdę? Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że ktoś może się pieprzyć, jeśli to oznacza pewną śmierć. W pewnym sensie tamto objawienie z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego przygotowało mnie do życia w latach dziewięćdziesiątych.

– Ile krwi mógłby ktoś stracić i przeżyć bez transfuzji? – zapytał szeptem Tres.

Poznałem po jego tonie, że nie spodziewał się ode mnie odpowiedzi, a jedynie myślał na głos, jak to robił zawsze, kiedy planowaliśmy zasadzkę.

Wtedy nie znałem odpowiedzi, ale od tamtej pory miałem okazję poznać ją wiele razy, zwłaszcza w czasie rezydentury na oddziale ratunkowym. Ranni ludzie tracili około litra krwi i sami dochodzili do siebie. Po utracie więcej niż jednej szóstej krwi ofiara umiera. Z transfuzją można było stracić czterdzieści procent objętości krwi i mieć nadzieję na wyzdrowienie.

Wtedy o tym nie wiedziałem i nie byłem ciekawy. Próbowałem wyobrazić sobie ejakulację krwią w czasie orgazmu trwającego minuty zamiast sekund. Tym razem zdrząłem.

Tres przywołał kelnera i zapłacił rachunek.

– Zbieram się. Muszę pojechać taksówką do Western Union.

– Po co? – spytałem. Byłem tak senny od upału, że w gorącym, gęstym powietrzu moje słowa zabrzmiały jak bełkot.

– Przysłali mi trochę pieniędzy ze Stanów – odpowiedział Tres.

Usiadłem prosto, już nie senny.

– Po co?

Tres znowu zdjął okulary i je wyczyścił. Jego jasne oczy wyglądały na krótkowzroczne i zagubione.

– Wracam dzisiaj wieczorem, Johnny. Nie spodziewam się, że pójdziesz ze mną, ale tam wracam.

Kobiety skończyły mnie rozbierać i istota o imieniu Tana podchodzi bliżej, ale nagle wszystko się zatrzymuje. To Mara dała znak.

– O czymś zapomnieliśmy. – Po raz pierwszy mówi po angielsku i robi wdzięczny, ale ironiczny gest. – W dzisiejszych czasach trzeba bardziej uważać. Przepraszam, że nie poprosiłyśmy o to wcześniej. – Zerka na córkę, a ja widzę drwiący półuśmiech na obu twarzach. – Obawiam się, że musimy poczekać do jutrzejszej nocy, żeby można przeprowadzić testy. – Mara wzdycha i przechodzi na tajski.

Potrafię dostrzec, że obie odgrywały te scenę wiele razy. Mogę tylko zgadywać, że prawdziwym powodem jest rozpalenie pożądania, żeby podwyższyć cenę.

Ja też się uśmiecham.

– Do karty zdrowia? – pytam. – Dla jednej z klinik, by potwierdziły, że w tym miesiącu nie mam HIV?

Tana siedzi z wdziękiem na dywanie obok mnie. Teraz przesuwają się w moją stronę, uśmiecha drwiąco i wydyma wargi.

– To godne pożalowania – mówi głosem delikatnym jak kryształowe dzwoneczki wietrzne. – Ale konieczne w tych strasznych czasach.

Kiwam głową. Widziałem statystyki. Epidemia AIDS późno zaczęła się w Tajlandii, ale w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym – za niecałe pięć lat od tej chwili – sto pięćdziesiąt tysięcy Tajów miało umrzeć na tę chorobę. Trzy lata później, w roku dwutysięcznym, z pięćdziesięciu sześciu milionów miało się zarazić pięć milionów, a co najmniej milion umrzeć. Postęp logarytmiczny jest nieubłagany. Tajlandia – ze swoją śmiertelnością kombinacją wszechobecnych prostytutek, promiskuityzmu i niechęci do kondomów – będzie rywalizować z Ugandą jako retrowirusowa strefa śmierci.

– Wyślecie mnie do jednej z miejscowych klinik, które wykonują tysiąc niedokładnych testów na HIV tygodniowo – mówię spokojnie, jakbym był przyzwyczajony do siedzenia nago między dwiema pięknymi, w pełni ubranymi kobietami i widownią złożoną z obcych mężczyzn w smokingach.

Mara rozkłada smukłe palce, tak że jej długie czerwone paznokcie lśnią w świetle.

– Jest niewiele możliwości – szepcze.

– Może ja mam jedną – mówię i sięgam po bezrękawnik złożony starannie na kupce moich rzeczy.

Wyjmuję trzy dokumenty i podaję je Tanie. Dziewczyna na nie patrzy, marszcząc się ładnie, i podaje je matce. Domyślam się, że nie potrafi czytać po angielsku, może nawet po tajsku.

Mara patrzy na dokumenty. Są to certyfikaty z dwóch dużych szpitali w Los Angeles i kliniki uniwersyteckiej, że moja krew jest regularnie sprawdzana i wolna od zakażenia HIV. Każdy dokument jest podpisany przez kilku lekarzy

i ma pieczętkę danej instytucji. Papier, na którym napisano zaświadczenia, jest gruby, kremowy i drogi. Zaświadczenia mają datę z poprzedniego tygodnia.

Mara patrzy na mnie zmrużonymi oczami. W uśmiechu obnaża małe, ostre zęby i tylko koniuszek języka.

– Skąd mamy wiedzieć, że są ważne?

Wzruszam ramionami.

– Jestem lekarzem. Chcę żyć. Łatwiej byłoby przekupić tajskiego lekarza, żeby dostać zaświadczenie o stanie zdrowia, gdybym chciał oszukiwać. Nie mam powodu oszukiwać.

Mara znowu zerka na papiery, uśmiecha się i je oddaje.

– Pomyślę o tym – mówi.

Pochyliam się na krzesło.

– Ja też ryzykuję.

Mara unosi brew.

– Jak to?

– Krwawienie dziąseł – mówię po angielsku. – Otwarta rana w jej ustach.

Mara reaguje nieznacznym, drwiącym uśmiechem, jakbym powiedział żart. Tana obraca swoją doskonałą twarz w stronę matki.

– Co on powiedział? – pyta po tajsku. – Ten *farang* mówi bez sensu.

Mara ją ignoruje.

– Nie masz się czymś martwić – zapewnia mnie.

Kiwa głową.

Tana zaczyna mnie pieścić.

Zabieranie broni na urlop było wbrew przepisom, ale w tamtych czasach lotniska nie miały wykrywaczy metali ani poważnej ochrony. Wyjeżdżając z kraju, wielu z nas brało ze sobą noże albo pistolety. Ja wziąłem trzydziestkę ósemkę z długą lufą, którą wygrałem w pokera od czarnego dzieciaka nazwiskiem Newport Johnson trzy dni przed tym, jak nadepnął na Skaczącą Betty. Kiedy Tres wyszedł z hotelu tamtej drugiej nocy, wyjąłem pistolet z worka, sprawdziłem, czy jest naładowany, i usiadłem w zamkniętym na klucz pokoju w samych bojówkach. Popijając szkocką, słuchałem ulicznych hałasów i obserwowałem powolny obrót łopat wentylatora nad moją głową.

Tres wrócił koło czwartej rano. Słyszałem przez ścianę, jak tłucze się po pokoju i łazience przez kilka minut. Potem wróciłem do łóżka i zamknąłem oczy. Miałem nadzieję, że teraz uda mi się zasnąć. Jego krzyk obudził mnie i wyrwał

z łóżka. Z trzydziestką ósemką w dłoni popędziłem boso korytarzem, zabębniłem do jego drzwi, otworzyłem je i wszedłem do pokoju.

Paliło się tylko światło w łazience, rzucało wąski pas fluorescencyjnego blasku na gołą podłogę i skotłowane łóżko. Na podłodze ujrzałem krew i szlak z podartego płótna również przesiąkniętego krwią. Wyglądało to jak, jakby Tres podarł prześcieradło, żeby zrobić z niego bandażę. Zrobiłem krok w stronę łazienki, usłyszałem jęk w ciemności łóżka i obróciłem się z pistoletem przy boku.

– Johnny? – Głos był suchy, łamiący się, bez życia.

Zbliżyłem się i włączyłem małą lampkę przy łóżku.

Tres był nagi, nie licząc podkoszulka. Leżał na zakrwawionym materacu, otoczony pasami płótna przesiąkniętymi krwią. Jego rzucone na podłogę spodnie były czarne od zaschniętej krwi. Tres zakrywał krocze rękami. Paznokcie miały krwawe obwódki.

– Johnny? – wyszeptał. – To się nie zatrzyma.

W wolno płynących wodach Wietnamu żyje pijawka, która specjalizuje się w wwiercaniu się w cewkę moczową mężczyzn brodzących w wodzie. Gdy już mocno usadowi się w penisie, zaczyna wyjadać go od środka, aż puchnie do wielkości połowy męskiej pięści. Wszyscy słyszeliśmy o tym cholerstwie. Myśleliśmy o nim za każdym razem, kiedy wchodziliśmy do strumienia albo na pole ryżowe, czyli kilkanaście razy dziennie.

Kutas Tresa wyglądał, jakby w środka tkwiła pijawka. Nie, gorzej. Poza tym, że był spuchnięty i zaogniony, pokrywała go seria małych uszkodzeń, jakby ktoś wziął maszynę do szycia z grubą igłą i wyszył rząd stygmatów na jego genitaliach. Ranki krwawiły obficie.

– Nie mogę tego zatrzymać – wyszeptał Tres.

Jego twarz była blada i lepka od potu. Widziałem takie twarze u rannych tuż przed tym, jak odpływali na fali szoku.

– Chodź – powiedziałem, otaczając go ramieniem. – Jedziemy do szpitala.

Tres się odsunął i padł z powrotem na poduszki.

– Nie, nie, nie. Tylko zatrzymaj to krwawienie.

Wyciągnął coś spod poduszki, a ja zobaczyłem, że to nóż Ka-bar z czarnym ostrzem, którego używał na nocnych patrolach. Podniosłem swoją trzydziestkę ósemkę i przez sekundę w pokoju panowała cisza przerywana jedynie szumem łopat wentylatora.

W końcu zachichotałem. To było wariactwo. Znajdowaliśmy się setki kilometrów od Wietnamu i wojny, ja z pistoletem, Tres z komandoskim nożem, gotowi rzucić się na siebie i pozabijać nawzajem. To było popieprzone.

Odłożyłem pistolet.

– Przywiozłem ze sobą zestaw pierwszej pomocy. Pójdę po niego.

Tres teraz siedział nakryty zakrwawionym prześcieradłem. Podąłem mu bandażem i wytarłem pot z twarzy.

– Zastanawiam się, dlaczego nie przestaje krwawić – powiedział.

Pokręciłem głową. Wtedy nie wiedziałem. Teraz wiem.

Wampiry i niektóre pijawki wydzielają ten sam antykoagulant: hirudynę. Wydzielina nietoperza znajduje się w jego ślinie, pijawki produkują ją w jelitach i rozsmarowują na powierzchni rany. Rana się nie zamyka i krew płynie swobodnie, dopóki pijawka chce jeść. Wampiry mogą ssać krew z szyi konia albo krowy przez wiele godzin i często wracają z innymi nietoperzami, żeby kontynuować posiłek.

Tres po jakimś czasie zasnął, a ja siedziałem na rozchwianym krześle przy oknie, obserwując drzwi i trzymając trzydziestkę ósemkę na kolanach. Myślałem o zmuszeniu Maladunga, żeby znowu zabrał mnie do Mary, a potem zastrzeleniu jego i kobiety. I dziecka, dodałem w myślach.

Zasnąłem, rozważając możliwości. Kiedy się obudziłem, w pokoju było ciemno. Wentylator nadal obracał się leniwie, ale dźwięki za oknem zmieniły natężenie na nocne. Pościel była przesiąknięta świeżą krwią, na podłodze widniała krew, łazienka była zarzucona zakrwawionymi ręcznikami, ale Tres zniknął.

Wypadłem na korytarz i zbiegłem po schodach do lobby, zanim sobie uświadomiłem, jaki widok muszę sobą przedstawiać: oczy szaleńca, bosa, z gołą pierśią, w bojówkach umazanych krwią, z trzydziestką ósemką w ręce. Tajskie dziwki i ich alfonsi ledwo na mnie spojrzeli.

Niemal dogoniłem Tresa. Zobaczyłem go na tym samym pomoście, z którego odpływaliśmy dwie noce wcześniej. Niewyraźną postacią, która mu towarzyszyła, musiał być Maladung. Właśnie wsiedli do taksówki, kiedy wpadłem na molo. Łódź ruszyła z rykiem silnika.

Tres mnie zobaczył. Wstał i niemal wypadł z przyspieszającej łodzi. Uniósł rękę w moim kierunku, z rozpostartymi palcami, jakby sięgał do mnie przez piętnaście metrów otwartej wody. Usłyszałem, jak krzyczy do kierowcy:

– *Yout! Phuen young mai ma! Yout!*

Czego wtedy nie zrozumiałem, ale teraz tłumaczę jako:

– Stój! Mój przyjaciel jeszcze nie wsiał! Stój!

Zobaczyłem, że Maladung ciągnie go z powrotem na łódź. Trzymałem bezużyteczny pistolet, kiedy taksówka podskakiwała na wodzie i znikła za barką płynącą w górę rzeki. Potem pojawiła się na chwilę jako odległa lampa, zanim zniknęła na dobre w *klongu* po drugiej stronie Chao Phraya.

Wiedziałem, że nigdy więcej nie zobaczę Tresa żywego.

Mara spuszcza wzrok, kiedy Tana przysuwa usta do mojej pachwiny. Nie ma pieśczoły językiem. Jeszcze nie. Młoda kobieta używa ust, żeby doprowadzić mnie do pełnej erekcji.

Choć mężczyźni dużo mówią i piszą o rozkoszach seksu oralnego, zawsze jest lekka dwuznaczność w męskiej reakcji na fellatio. Dla niektórych usta są zbyt słabo związane z płcią, żeby podświadomość mogła się zrelaksować i cieszyć aktem. Dla innych to niekontrolowana intensywność doznań powoduje niepokój pośród kaskady przyjemności. Dla wielu chodzi o nieproszoną myśl o ostrych zębach. Na szczęście męski organ jest tak prostym mechanizmem bodziec-reakcja, jak natura na to pozwala. Usta Tany są miękkie i wprawne; moje podniecenie jest nieuniknione.

Zamykam oczy i staram się nie myśleć o mężczyznach w smokingach. Ktoś przygasił górne światło, więc tylko iskry ze spawarki pracującej dwa piętra wyżej oświetlają scenę i wnętrza moich powiek stroboskopowymi pulsami. Mara coś szepcze, a ja nagle czuję zimno, kiedy ciepłe usta Tany się odsuwają. Szok z powodu chłodnego powietrza trwa tylko sekundę, zanim wraca inna wilgoć.

Otwieram oczy na tyle, by zobaczyć język Tany wysuwający się z jej ust, oplatający się wokół mnie. Błyski iskiek sprawiają, że jej cętkowany język wygląda bardziej na fioletowy niż różowy. Dostrzegam pulsujące na nim szpary niczym otwory gębowe. Odcinam się od tych myśli, zanim przyjdą mi do głowy przyssawki pijawek i minogów. Przez lata szkoliłem się, żeby sprostać tej chwili.

Uczucie jest bardziej jak wstrząs elektryczny niż oparzenie meduzy. Gwałtownie nabieram powietrza i zamykam oczy. Tana patrzy na mnie przez kurtyne rżęs. Impuls się powtarza, pędzi wzdłuż wrażliwego systemu nerwowego prącia prosto do podstawy kręgosłupa, a potem do ośrodka przyjemności w mózgu. Znowu zamykam oczy i jęczę. Moja moszna kurczy się z rozkoszy. Spirala łagodnych wstrząsów mknie przez ciało i wraca do penisa jak delikatnie poruszająca się dłoń w aksamitnej rękawicze. Moje biodra zaczynają się unosić mimo woli.

Serce dudni mi tak dziko, że wydaje się, że ten dźwięk zastąpił wszystkie inne odgłosy we wszechświecie. W czasie rozbrzmiewa echo do rytmu z moim własnym pulsem. Oddzielne, drobne wstrząsy w pachwinie narastają, tworząc razem idealną spiralę przyjemnych doznań. Jest tak, jakbym pieprzył słońce. Kiedy moje biodra zaczynają poruszać się na serio, a ręce szukają głowy Tany, żeby przysunąć to ciepło bliżej, odległa część mojego umysłu zauważa klasyczne symptomy początku orgazmu i zastanawia się nad tachykardią, miotonią i hiperwentylacją.

Sekundę później wszelkie resztki klinicznej świadomości znikają pośród nowej, silniejszej fali czystej rozkoszy. Język Tany się kurczy, ciągnie od podstawy moszny do żołądki penisa, zaciska się, kurczy i rozluźnia, zaciska i rozluźnia. Wstrząsy elektryczne stają się jednym zamkniętym obwodem doznań niemal nie do zniesienia.

Ejakuluję, prawie tego nie zauważając, tak wielkie jest teraz ciśnienie. Spod trzepoczących powiek widzę nasienie kapiące niczym wstęga białych płatków na włosy i ramiona Tany. Jej język nie przestaje pracować ani na chwilę. Jej oczy są teraz żółte jak u Mary. Orgazm mija bez ulgi od narastającego napięcia. Moje serce wysila się, żeby pompować więcej krwi do nabrzmiałego organu.

Tak! – nakazuję, kiedy moja głowa odchyła się do tyłu, szyja napręża, twarz wykrzywia. Tak! Wybieram to, co do czego nie mam teraz żadnego wyboru.

Sekundę później dochodzę. Krew tryska z koniuszka mojego penisa, oblewa twarz i piersi Tany. Ona chciwie opuszcza głowę, żeby nie uronić ani kropli. Moje biodra się poruszają, kiedy nadal pulsuję. Chwila trwa i trwa.

Zbliża się Mara.

To tajaska policja przysłała po mnie tuż po wschodzie słońca następnego ranka dwadzieścia dwa lata temu. Myślałem, że zostanę aresztowany za włóczenie się po hotelowych korytarzach aż do wczesnych godzin, wykrzykiwanie nie wiadomo do kogo i wymachiwanie odbezpieczoną trzydziestką ósemką. Zamiast aresztować, zawieźli mnie do Tresa.

Kostnica w Bangkoku była mała i niedostatecznie chłodzona. Zapach przypominał mi sad, w którym zbyt wiele opadłych owoców zgniło na słońcu. Nie było metalowych szaf ani wysuwanych noszy jak na amerykańskich filmach. Tres leżał na stalowej płycie, tak jak inne ciała w małym pomieszczeniu. Nie zakryli mu twarzy. Wyglądał bezbrinnie bez okularów.

– On jest taki... biały – powiedziałem do jedyne go policjanta, który mówił po angielsku.

– Znalaziono go w rzece – odpowiedział człowiek w białej kurtce i koalicjce.

– On nie utonął. – To nie było pytanie.

Policjant pokręcił głową.

– Pański przyjaciel stracił dużo krwi. – Dotknął brody Tresa dłonią w białej rękawiczce i przekręcił jego głowę, tak że mogłem zobaczyć ranę od noża biegnącą od lewego ucha do jabłka Adama.

Wypuściłem powietrze z płuc i oparłem się o stalowy blat.

– To nie rana od noża go zabiła – stwierdził inspektor, zsuwając prześcieradło niżej.

Ograny płciowe Tresa zostały brutalnie i całkowicie usunięte. Efekt był raczej taki jak u Kena, na którego ktoś wylał lakier do paznokci.

Inspektor zbliżył się i chwycił moje przedramię – czy to żeby mnie podtrzymać, czy żeby uniemożliwić ucieczkę. Nie wiem.

– Sądzimy, że to jest, jak to mówicie, gejowska sprawa. Kłótnia między pedałami. Widywaliśmy już wcześniej takie obrażenia. Zawsze to sprawa gejowska. Zazdrość.

– Gejowska sprawa – powtórzyłem.

Inspektor puścił moją rękę.

– Wiemy, że nie było tam pana w czasie, kiedy on został zamordowany, szeregowy Merrick. Właściciel łodzi z przystani Phulong widział, jak pan krzyczy w stronę łodzi, która zabrała kaprała Tindale'a. Kierownik hotelu zaświadczy, że wrócił pan kilka minut później, upił się i był widziany i słyszany przez całą noc. Nie mógł być pan obecny przy tym, jak mordowano kaprała, ale czy ma pan jakieś pojęcie, kto to zrobił? Pańska armia będzie chciała wiedzieć.

Uniosłem prześcieradło, naciągnąłem je na ciało Tresa i się odsunąłem.

– Nie – powiedziałem. – Nie mam pojęcia.

Mara oblizuje wargi swojej córki. Ich ramiona są przyciągnięte do boków, dłonie zwinięte jak sparaliżowane. Wyobrażam sobie nietoperze wampiry zwisające z zimnego sklepienia jaskini, z ciasno zwiniętymi skrzydłami i aktywnymi tylko wargami i językami.

Tana odchyła głowę i ciężki czerwony płyn skapuje z jej nabrzmiąłych warg do czekających ust matki. Wyraźnie słyszę chlupanie, siorbanie i przelknięcie. Język Tany nie poluźnił uścisku, ja nadal mam spazmy. Moje serce pracuje z wysiłkiem. Przed oczami robi mi się ciemno i już dłużej nie widzę, jak one się dzielą i pożywiają, a jedynie słyszę odgłosy.

Mięśnie mojej twarzy nadal są unieruchomione w miotonicznym mimowolnym grymasie. Uśmiechnąłbym się, gdybym mógł.

Znalazłem Maladunga jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego, niedługo po ukończeniu szkoły medycznej. Mały alfons przeszedł na emeryturę bogaty i wrócił do miasta na północy Chiang Mai. Zapłaciłem tajskiemu detektywowi, którego wynająłem za pierwszą ratę odziedziczonych pieniędzy i spędziłem dwa dni na śledzeniu Maladunga, zanim go zgarnąłem. Był żonaty, miał dwóch dorosłych synów i dziesięcioletnią córkę.

Szedł do małego sklepiku, który prowadził w starej części miasta, kiedy podjechałem do niego jeepem, pokazałem mu automat dziewięć milimetrów i powiedziałem, żeby wsiadał. Zawiozłem go za miasto (na wieś), do małego domu, który wynająłem. Obiecałem mu, że przeżyje, jeśli powie mi wszystko, co wie.

Myślę, że powiedział mi wszystko, co wiedział. Mara i jej córka zniknęły z widoku i występowały teraz tylko dla bardzo bogatych. Tresa został zabity ze zwykłej ostrożności. On i ja byliśmy pierwszymi Amerykanami, których dopuszczono do Mary, i oni obawiali się konsekwencji, jeśli wieść o jej wyczynach dotrze do plutonu. Planowali zabić mnie tamtej nocy, ale wysłani w tym celu dwaj mężczyźni zobaczyli, że jestem pijany i wrzeszczę na hotelowym korytarzu, zauważyli pistolet i zdecydowali, że tego nie zrobią. Kiedy wysłano innych, ja już wróciłem do Sajgonu.

Maladung przysięgał, że dowiedział się o zabójstwie Tresa dopiero po fakcie. Przysięgał. Nie mieściło mu się w głowie, że *phanyaa mahn naga kio* zrobi krzywdę *farangowi* po wykonaniu zamówionej usługi. Przystawiłem browning do jego czoła i kazałem mu opowiedzieć pod groźbą śmierci, co zwykle spotyka tych, którzy korzystają z usług Mary.

Maladung trząsał się jak starzec.

– Umierają – powiedział po tajsku i powtórzył po angielsku. – Najpierw tracą duszę. – Użył określenia *khwan hai*. „Ich dusza motyla odlatuje”. – A potem wycieka z nich duch życia, *winjan*. Wracają i wracają, aż umierają. – Mówił drżącym głosem. – Ale tak wybierają.

Opuściłem pistolet.

– Wierzę ci, Maladung. Nie wiedziałeś, że zabiją Tresa.

Potem szybko podniosłem browninga i dwa razy strzeliłem mu w głowę.

Tej samej jesieni zacząłem szukać Mary.

Otwieram oczy i mężczyzn w smokingach nie ma, Tana siedzi nade mną na krześle obok matki, a dwie młode kobiety kończą czyszczenie mnie i ubieranie.

Czuję bandażę pod spodniami. Wydaje mi się, że noszę pieluchę. Moja pachwina jest mokra od krwi, ale nie zwracam uwagi na dyskomfort, bo pulsująca przyjemność wypełnia mnie jak echo pięknej muzyki.

– Pan Noi informuje mnie, że masz więcej pieniędzy – mówi cicho Mara.

Kiwam głową, zbyt słaby, żeby się odezwać. Wszelka myśl o zaatakowaniu tej kobiety jest teraz wykluczona, nawet gdybym nie wiedział, że jej ludzie czekają tuż za łopoczącym plastikiem. Mara i Tana są źródłami nieskończonej przyjemności. Nie mógłbym teraz nawet pomyśleć o skrzywdzeniu ich, o przerwaniu tego, co się ma wydarzyć w następne noce.

– Limuzyna odbierze cię jutro o północy z twojego hotelu – mówi Mara. Daje znak palcami i czterej mężczyźni wchodzą, żeby mnie zabrać.

Jestem lekko zaskoczony, że nie mogę iść bez pomocy.

Ulice są puste i ciche jak grób. Nawet strzelanina się skończyła. Na północy nadal widać pomarańczowe płomienie. Zamykam oczy i rozkoszuję się blednącą ekstazą, kiedy wiozą mnie z powrotem do Orientala.

Nie sądzę, żebym w Wietnamie wiedział, że jestem gejem. Brałem miłość, którą czułem do Tresa, za inne rzeczy: lojalność wobec kolegi, podziw, nawet męskie uczucie, które trepy powinny żywić do siebie nawzajem na wojnie. Ale to była miłość.

Nigdy nie wyszedłem z szafy. Nie publicznie. W szkole medycznej nauczyłem się, jak szukać najbardziej dyskretnych barów i nawiązywać jak najbardziej dyskretne chwilowe kontakty. Później, kiedy moja praktyka się rozwijała, a ja stawałem się osobą publiczną, nauczyłem się ograniczać swoje polowania do rzadkich nocy w miastach odległych od domu w Los Angeles. I umawiałem się z kobietami. Tym, którzy zastanawiali się, dlaczego się nie ożeniłem, wystarczyło spojrzeć na moją praktykę, by zrozumieć, że nie mam czasu na domowe życie.

I nadal ścigałem Marę i Tanę. Dwa razy w roku leciałem do Tajlandii, uczyłem się języka i miast, dwa razy w roku moi płatni detektywi mówili mi, że kobiety zniknęły. Dopiero dwa lata temu, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, pojawiły się znowu, zmuszone do przyjmowania drogich zleceń, bo potrzebowały pieniędzy.

Nic wtedy nie mogłem zrobić. Im więcej dowadywałem się o Marze, Tanie i ich zwyczajach, tym bardziej byłem pewny, że nigdy nie zbliżę się do nich z bronią. Potem, zaledwie sześć miesięcy temu, wróciły pewne wyniki i po kilku

godzinach niemal histerycznego gniewu zrozumiałem, że do moich rąk trafiły odpowiednie środki.

Zacząłem układać plany.

– Dzień dobry, panie Merrick – mówi młody tajski boj w lobby. Uprzejmie ignoruje mój zakrwawiony kołnierzyk i rozchełstany wygląd.

Uśmiecham się i czekam, aż drzwi windy się zamkną, po czym chwytam mosiężną poręcz i staram się ustać prosto. Czuję, że bandaże przeciekają przez spodnie. Tylko długi bezrękawnik zasłania krew.

W swoim pokoju kąpię się, smaruję ranki specjalną maścią, którą przywiozłem, wstrzykuję sobie koagulant, kąpię się znowu, wkładam świeżą piżamę i kładę się do łóżka. Za kilka minut robi się jasno. Za czternaście godzin zapadnie ciemność, a ja wrócę do Mary i jej córki.

W Chiang Mai, gdzie dziwki są tanie, a młodzi mężczyźni świętują wejście w dorosłość, kupując seks, siedemdziesiąt dwa procent najbiedniejszych prostytutek w mieście ma w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym pozytywny wynik testu na HIV.

W barach i seksklubach wzdłuż Patpongu kondomy są rozdawane za darmo przez mężczyznę w czerwono-niebiesko-złotym kostiumie superbohatera. Nazywa się Kapitan Kondom i jest zatrudniony przez Stowarzyszenie Rozwoju Społecznego PDA. PDA jest dzieckiem senatora Mechaia Viravaidayi, ekonomisty i członka Komitetu WHO do spraw AIDS. Mechai poświęcił tyle czasu, energii i pieniędzy, żeby promować używanie kondomów, że gumki są powszechnie nazywane w Bangkoku *mechai*. Prawie nikt ich nie używa. Mężczyźni odmawiają ich wkładania, a kobiety się tego nie domagają.

Jedna na każde pięćdziesiąt osób w Tajlandii zarabia na życie, sprzedając seks.

Myślę, że komputerowe prognozy na rok dwutysięczny są błędne. Myślę, że ponad pięć milionów Tajów będzie zarażonych i dużo ponad milion umrze. Myślę, że ciała wypełnią *klongi* i rynsztoki w *soi*. Myślę, że tylko bogaci i bardzo, bardzo ostrożni unikną tej zarazy.

Mara i Tana były do niedawna bardzo bogate. I bardzo ostrożne. Tylko potrzeba, by znowu być bogatymi, uczyniła je nieostrożnymi.

Moje dokumenty poświadczające negatywny wynik testu na HIV zostały oczywiście sfalszowane. To nie było trudne. Wyniki laboratoryjne są prawdziwe: tylko daty i nazwiska zostały zmienione, zanim skserowałem je na oficjalnych formularzach i dodałem pieczątki. Pracuję na wydziałach wszystkich trzech instytucji, których pieczątki i formularze pożyczyłem.

W ciągu sześciu miesięcy, odkąd dostałem pozytywny wynik, plan zmienił się z intrygi w nieuniknioność.

One są potworami, Mara i jej dziecko, ale nawet potwory stają się nieostrożne. Nawet potwory można zabić.

Na suficie mojego drogiego klimatyzowanego apartamentu w hotelu Oriental nie ma wentylatora. Kiedy pierwsze blade promienie świtu wkradają się na tekowo-tynkowy sufit mojego pokoju, zadowolam się wyobrażeniem sobie wolno obracających się łopat i tym obrazem kołyszę się do snu.

Uśmiecham się, gdy wyobrażam sobie zbliżającą się noc i następną. Widzę starszą kobietę oblizującą usta młodszej, a potem szeroko otwierającą paszczę na kaskadę krwi. Mojej krwi. Krwi śmierci.

Nim zasnąłem, ukołysany lekiem, który zażyłem, i ostatecznym obrotem spraw, wspominam historię, którą tak wiele lat temu opowiedział mi Tres, o kuszeniu Buddy przez trzy córki Maru: Aradi, niezadowolenie, Tanhę, pożądanie i Rakę, miłość. I teraz wiem, że w swoim życiu ulegałem wszystkim trzem aż nazbyt ludzkim demonom, ale że jedynym, któremu warto ulec, jest Raka. Miłość.

Starając się teraz zasnąć, przywołuję obraz, który podtrzymywał mnie przez te wszystkie lata i przez ostatnie miesiące.

Wyobrażam sobie, jak Tres zdejmuje okulary i zerka na mnie, mrużąc oczy, jego twarz jest po chłopięcemu bezbronna, policzki miękkie, jak tylko mogą być policzki kochanka. I on mówi do mnie:

– Wracam, Johnny. Wracam dzisiaj.

A ja biorę jego dłoń. I mówię z absolutnym przekonaniem:

– Ja też idę.

Znalazłszy miejsce, do którego tak długo starałem się wrócić, uśmiecham się, a potem pogrążam we śnie i wybaczeniu.

Sypiając z zębatymi kobietami

Posłuchaj mnie. Zamierzam powiedzieć ci coś ważnego.

Nigdy wcześniej nie opowiadałem tej historii. Nie sądzę, żebym miał czas i energię powtórzyć ją, zanim umrę. Zatem wysłuchaj mnie, jeśli chcesz ją poznać.

Po pierwsze, muszę rozwinąć ten tobołek. Widziałem, jak na niego zerkasz, kiedy mówiłem do twojej maszyny przez te kilka ostatnich tygodni. Byłeś uprzejmy i nie pytałeś mnie, co to jest, choć ten płócienny tłumok musiał wzbudzić twoją ciekawość. Ostatecznie jest wielkości człowieka. Widziałem, jak na niego patrzysz, kiedy opisywałem, że *wičaśa wakan* taki jak ja jest zwijany jak mumia w czasie ceremonii *yuwipi*, i wiem, że musiałeś się zastanawiać, czy może ten szalony starzec ma trupa innego *wičaśa wakan* siedzącego w kącie jego chaty.

Nie, to nie jest człowiek. Patrz teraz, kiedy będę go rozwijał.

Pod płótnem, które widzisz, jest siedem niewyprawionych skór, przewiązanych. Zdejmę je.

Pod niewyprawionymi skórąmi jest skóra bawola.

Pod bawolą skórą jest skóra jelenia. Czujesz, jaka jest miękka mimo wieku? Została nawilżona do takiej miękkości w ustach mojej prababki. Teraz weź te rzemienie i odwiąż jelenią skórę.

Pod jelenią skórą jest czerwona flanela.

Pod czerwoną flanelą jest niebieska flanela. To ostatnia warstwa. Usiądź teraz, a ja zgaszę wszystkie światła oprócz świecy na stole. Zdejmę niebieską flanelę.

Widzę twoje rozczarowanie. Dwie stare fajki, myślisz. Mylisz się i niepotrzebnie jesteś rozczarowany.

Członkowie mojego plemienia Siuksów Lakota mogą czekać całe życie, żeby zobaczyć którąś z tych fajek, i nawet wtedy mogą być rozczarowani. Można je wyjmować tylko w najświętszych i najważniejszych chwilach. Możesz się zastanawiać, dlaczego odwijam je teraz, przed *Wasicun* takim jak ty... do tego ignoranckim *Wasicun*.

Odpowiedź brzmi: jesteś ignorancki, ale nie głupi jak większość *Wasicun*. Masz sekretarkę, a ona weźmie słowa, które wypowiadam do twojego magnetofonu, i przepisze je dokładnie tak, jak je mówię. To ważne. Opowiedziałbym tę historię *takoja* – mojemu tłustemu i rozpieszczonemu prawnukowi – ale jego oczy i uszy są zapchane ekskrementami telewizji *Wasicun*, którą on ogląda sześć godzin każdego dnia. Mój drugi *takoja*, prawdziwy wnuk, jest w więzieniu w Rapid City. Nawet gdyby tam nie siedział, jego umysł i *nagi* – duch – zostały zniszczone przez alkohol.

Zatem tu, w rezerwacie, nie ma nikogo, kto miałby cierpliwość, rozum albo mądrość, żeby wysłuchać tej opowieści, zrozumieć ją i wykorzystać, żeby zostać *wičaša wakan* – świętym człowiekiem – albo *waayatan*, jasnowidzem, który widzi przyszłość. Nie teraz. Nie w tych złych czasach, które *Wasicun* dali nam do zjedzenia, a my je przełknęliśmy jak głupi koń pokrzywy, które ranią mu żołądek i go zabijają.

Ale któregoś dnia ktoś z Lakotów może przeczyta tę historię w twojej ignoranckiej wersji. I może zrozumie. Więc zamknij się i słuchaj.

Fajka, na którą patrzysz, to *Ptehinčala Huhu Canunpa* – Kościana Fajka z Cielęcia Bizona. Jest w moim rodzie Itazipcho z narodu Siuksów od piętnastu pokoleń. Te czerwone rzeczy wiszące z niej to pióra orła; a to skóry ptasie i małe skalpy. Widzę twoją reakcję. Tak, może to skalpy dzieci *Wasicun*, ale podejrzewam, że po prostu Paunisów. Paunisi zawsze mieli małe głowy, bo mieli małe mózdzki.

Mówi się, że strażnicy fajki zawsze dożywają stu lat, a ty wiesz, że ja urodziłem się przed początkiem tego stulecia.

Ta druga to nasza święta plemienna fajka. Widzisz tę czerwoną główkę? Jest zrobiona ze specjalnego kamienia, który pochodzi z kamieniołomu w jedynym takim miejscu na świecie. Po urwiskach, gdzie wydobywa się ten kamień, przegoniono bizona. Teraz jest w nim jego krew. Ale nie z powodu krwi bizona ta fajka jest święta dla naszego ludu.

Kamień fajkowy jest ciałem ludu Siuksów. Nie mam na myśli tego, co nazywacie metaforą. Czerwony kamień główki naprawdę jest ciałem ludu Siuksów.

Prawie osiemdziesiąt pięć lat temu wszedłem pierwszy raz do kościoła katolickiego – ta mała misyjna kaplica na równinach zniknęła jeszcze przed wielkim kryzysem – i pamiętam swój wstrząs, kiedy usłyszałem, jak kapłan

wyjaśnia nam ideę eucharystii. „To jest ciało Chrystusa”, powiedział za pośrednictwem nawróconego Siuksa Brule, który powtarzał nam jego słowa. „Oto jego ciało, które spożywamy”.

Pamiętam szok mojej rodziny, kiedy tamtej nocy rozmawialiśmy o tym w naszym szałasie. Wiedzieliśmy, że *Wasicun* są chciwi – samo słowo określające białego człowieka oznacza „tłusty złodziej” – ale nie wiedzieliśmy, że są kanibalami. Nie wiedzieliśmy, że jedzą ciało swojego boga i piją jego krew.

I wtedy odezwał się *tunkashila*. Mój dziadek był bardzo stary i bardzo mądry, był *wičaśa wakan* i *waayatan*, a niektórzy mówią, że oprócz tego, że był uzdrawiaczem i jasnowidzem, był również *wapiya*, czarownikiem. Pamiętam, że miał na skórze głowy i na czole długie białe znamię, prawie jak bliznę, i że to znamię było częścią jego *wakan*, świętej mocy. Kiedy mówił, słuchano go. Ja też słuchałem tamtej nocy.

– Ta rzecz, którą powiedział kapłan *Wasicun*, nie jest zła – powiedział mój *tunkashila*. – Może ciało ich boga jest zamieniane w chleb, tak jak ciała naszego ludu są zamieniane w kamień fajkowy. Może krew ich boga jest zamieniana w wino, tak jak krew naszego ludu płynie do nas przez plemienną fajkę i *Ptehinčala Huhu Canunpa*. Te rzeczy nie są złe. To nie jest kanibalizm, tak jak w historiach, które opowiadała mi babka o *Kangi Wicasha*, Wronach. Nie będziemy tego osądzać.

Tamtej nocy starcy pokiwali głowami i splunęli, a ja zrobiłem to samo.

Ale trzymam teraz przed tobą te fajki i mówię ci, że dotykając ich kamiennych główek, dotykam ciała mojego ludu. Paląc plemienną fajkę, mieszam swoją krew z krwią wszystkich Siuksów, którzy byli przede mną.

I jeszcze jedno. Kiedy będę opowiadał ci tę historię, będę palił fajkę. Gdybym skłamał, paląc ją, umarłbym. To fakt. Pomyśl o tym, kiedy będę ci opowiadał tę historię.

Teraz mnie słuchaj. Nic nie mów. Ne zadawaj pytań. Tylko słuchaj.

Po pierwsze, muszę ci wytłumaczyć, dlaczego opowiadam ci tę historię po tylu latach nieopowiadania jej.

W zeszłym miesiącu mój wnuk – nie wnuk z więzienia w Rapid City, tylko syn córki mojej nieżyjącej trzeciej żony – zaprosił mnie do swojej przyczepy w pobliżu Deadwood, żebym obejrzał film na kasecie. To była wielka sprawa. Było tam kilka jego córek, pólsiostra i pięcioro innych moich krewnych. Wszyscy chcieli zobaczyć, jak ich stary *tunkashila* zareaguje na film. Było tak,

jakby dawali mi wielki prezent za to, że nadal żyję, kiedy powinienem już być martwy.

Film, który oglądaliśmy, nosił tytuł *Tańczący z wilkami*. Został nakręcony jakiś czas temu i w Rapid City była wielka premiera, na którą przyjechało z rezerwatu wiele osób, ale ja wtedy byłem w szpitalu z zapaleniem płuc i przegapiłem całe to zamieszanie. Tak więc mój wnuk Leonard Sweetwater wydał przyjęcie z *Tańczącym z wilkami*, żebym nie umarł, nie obejrzawszy tej wspaniałej rzeczy, która została zrobiona dla naszego ludu.

Cóż, wyszedłem w połowie kasety. Leonard i inni myśleli, że idę jedynie oddać mocz w krzakach – co nadal wolę robić, zamiast używać wygódek czy zamkniętych toalet – ale tak naprawdę poszedłem do domu, do którego miałem jakieś sześćdziesiąt pięć kilometrów.

Ten film sprawił, że miałem ochotę zwymiotować. I zwymiotowałem, choć może z powodu zepsutych burrito, które podał Leonard przed puszczeniem taśmy.

Moje wnuki robiły dużo szumu z powodu tego, że dużo dialogów w filmie było po lakotańsku, choć kiedy usłyszałem, jak mówią, to było straszne – dokładnie tak samo głupio brzmi angielski, kiedy ktoś z zagranicy zapamiętuje słowa, a nie zna ich znaczenia albo nie rozumie, gdzie należy zaakcentować jakąś sylabę. Przypomniał mi się Bela Lugosi, mówiący po angielsku w starym filmie o Draculi. Tylko że Lugosi miał być cudzoziemcem, a ci ludzie mieli być Lakotami mówiącymi w swoim własnym języku!

Ale to nie ten idiotyzm z językiem sprawił, że wyszedłem. Chodziło o pogardę.

Tamtego wieczoru po zwymiotowaniu płakałem w czasie długiego marszu, zanim Leonard i inni się zorientowali, że idę do domu, i przyjechali po mnie pickupami. Płakałem, bo moi własni potomkowie mogli pomyśleć, że film pokazuje nasz lud, jakby taki właśnie był. Myślę, że ktoś, kto zrobił taki film, jest łasicą i że ten film powinien nosić tytuł *Tańczący z łasicami*. Gwiazdor filmowy, który go wymyślił, wyreżyserował i w nim zagrał, jest łasicą. Myślę, że zagrał w tym filmie powolną i głupią łasicę i zamiast się nad nim rozpływać, dawać mu dom, dobre imię takie jak *Tańczący z Wilkami* i kobietę, nawet schwytaną kobietę *Wasicun*, moi przodkowie powinni go zignorować. Albo, gdyby się upierał, żeby przyjeżdżać, powinni uciąć mu jaja.

Zwymiotowałem, a potem płakałem, bo mój własny lud nie dostrzegł pogardy w tym filmie. To pogarda, którą tylko całkowity zwycięzca może okazywać całkowicie pokonanemu.

Z początku *Wasicun* bali się Indian z równin. W początkach naszych kontaktów byli na naszej łasce. Potem, kiedy liczba *Wasicun* rosła, a ich strach

równoważyła chciwość naszej ziemi, znienawidzili nas. Ale przynajmniej była to nienawiść wzmocniona przez szacunek.

Mizdrzący się, kochający pokój, ekologicznie doskonali idioci, których zobaczyłem sportretowanych jako Siuksów Lakota w tym poronionym filmie, mogli istnieć tylko w głowie kalifornijskiego surfera *Wasicun*, takiego jak ten, kto zrobił film. To było protekcyjne. Pełne pogardy, która może pochodzić z braku strachu albo szacunku dla ludzi, którzy kiedyś z powodzeniem ucinali jaja twoim przodkom. To była protekcyjna arogancja kogoś, kto może dać tylko litość, bo ona nic nie kosztuje.

Kiedy szedłem do domu tamtej nocy, przypomniała mi się gra, w którą bawiłem się jako dziecko. Nazywała się *isto kicicastakapi* i polegała na żuciu owoców głogu, wypluwaniu ich na dłonie i rzucaniu komuś w twarz. Zwykle razem z pestkami było dużo śliny.

Ten film było *isto kicicastakapi Wasicun*. Tylko ślina i pestki owoców rzucone w twarz. Nie było w nim nic prawdziwego, nic ważnego.

A więc słuchaj. W tej historii nie ma żadnego głupiego uśmiechania się, blond surferów *Wasicun*. Wszystkie postacie są *Ikče Wičaśa* – wymawiane Ikcze Wiczasa, prawdziwe, wolne ludzkie istoty – ludzie, których wy nazywacie Siuksami.

W każdym razie słuchaj.

Dawno temu w naszym plemienu urodził się chłopiec, a jego imię brzmiało Hoka Ushte, co oznaczało Kulawy Borsuk. Został tak nazwany, bo tamtej nocy, kiedy się urodził, do obozu przykuśtykał borsuk i zostawił odchody przed tipi, w którym matka Kulawego Borsuka zaczynała zmagania z kijem porodowym.

Teraz musisz zrozumieć, że borsuk to zwierzę uważane za bardzo *wakan*, święte, pełne tajemniczej mocy. Kościany penis borsuka był używany jako szydło, co jest trochę ironiczne, zważywszy na kłopoty, w które w późniejszym wieku miał wpędzić Hoka Ushtë jego własny penis. Borsuk jest również silnym zwierzęciem, zwłaszcza kiedy siedzi w swojej norze. Gdy już się w niej znajdzie, nawet trzech ludzi nie potrafi go wyciągnąć. Dziadek opowiedział mi kiedyś historię o tym, jak trzech młodych mężczyzn z naszego plemienia wracało do zimowego obozu w okolicy Mini Sose, Błotnistej Rzeki, którą *Wasicun* nazwali Missouri, w pobliżu miejsca, gdzie pewnego dnia miały powstać Agencja Cętkowanego Ogona i Rezerwat Pine Ridge, kiedy zauważyli borsuka uciekającego do swojej nory. Młody wojownik Cętkowany Ogon, później znany

jak Złamana Ręka, rzucił się w pościg, bo właśnie zamienił kuce swojego brata na nowiutką linę *Wasicun* i chciał ją wypróbować. Złapał borsuka na łąso, zanim ten wskoczył do dziury. Obaj przyjaciele pomagali mu ciągnąć, ale borsuk wchodził coraz głębiej. Złamał rękę Cętkowanego Ogonu w trzech miejscach i wyrwał mu ramię ze stawu. Jakoś w czasie tej walki zdradliwa lina *Wasicun* oplątała się wokół koni trzech wojowników i choć Cętkowanemu Ogonowi i jego dwóm przyjaciołom udało się ją puścić, wszystkie trzy konie zostały wciągnięte do borsuczej nory. Ku swojemu przerażeniu wojownicy słyszeli kwiki koni przez godzinę albo więcej, kiedy borsuk kolejno chwycił w zęby ich pyski i miażdżył je siłą szczęk.

Tamtego dnia Cętkowany Ogon stracił swoje imię. Już zawsze był później znany jako Złamana Ręka – bo wymówienie słów „Stracił łąso i Konie przez Borsuka” po lakońsku trwałoby zbyt długo – ale nikt w pleminiu nigdy nie zapomniał, że Cętkowany Ogon stracił te konie i nową linę. Taka jest prawda, a ja opowiadam to tylko dlatego, żebyś wiedział, dlaczego szanujemy zarówno *wakan*, jak i zwierzęcą siłę borsuka.

Z borsukiem wiąże się jeszcze jedna interesująca rzecz. Jeśli po zabiciu go otworzysz i spojrzysz na swoje odbicie w sadzawce zwierzęcej krwi, zobaczysz siebie, jak będziesz wyglądał w chwili śmierci. Mój przyjaciel tego spróbował, kiedy byłem chłopcem, i zobaczył tylko swoje chłopięce odbicie. Stwierdził, że magia nie zadziałała, ale niecały miesiąc później został kopnięty w głowę przez konia i umarł tego samego dnia. Nigdy nie chciałem spojrzeć na swoje odbicie w krwi borsuka, ale gdybym wtedy to zrobił, zobaczyłbym starą twarz, którą teraz widzisz, i mógłbym się stać dzielnym wojownikiem, astronautą albo kimś innym – wiedząc, że nie umrę, dopóki się nie zestarzeję – zamiast lęklwym *wičaša wakan*, którym postanowiłem zostać.

W każdym razie Hoka Ushte – Kulawy Borsuk – miał potężne imię od urodzenia, ale wydawało się, że nie ma w nim niczego szczególnego. Dorastał i nie wykazywał specjalnych zdolności. Był *takoja* jak większość chłopców, rozpieszczonym wnukiem, i wykazywał znacznie więcej zainteresowania zabawą niż wypełnianiem tych nielicznych obowiązków, których wymagało się od naszych młodzieńców w czasach przed szkołami i rezerwatem. Jego ulubionymi zabawami wiosną było *mato kiciyapi*, w której rzuca się ostre źdźbła trawy w siebie nawzajem, aż komuś polecą krew, zimą *pre-hes-te*, w której przesuwają się po lodzie upierzony kij, a latem zespołowa gra Złap Ich za Włosy i Kopnij. Nie, Hoka Ushte nie wykazywał specjalnej siły ani zdolności, kiedy był niedorostkiem.

Musisz pamiętać, że wszystkie te rzeczy, o których ci opowiadam, wydarzyły się w złotych czasach po tym, jak Kobieta Bizon dała nam świętą fajkę, a po

Wakan Tanka obdarowała nas koniem, ale zanim *Wasicun* zaczęli przewyższać liczebnie bizona na równinach, które były naszym domem.

To było przed *Pehin Hanska Kasata*, to znaczy starciem w proch Długich Włosów na Greasy Grass, czyli przed zabiciem Custer'a nad Little Big Horn w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym.

To było przed strasznym Traktatem z Fort Laramie z tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego, który sprawił, że *Ikče Wičaśa*, prawdziwy wolny człowiek, przestał być wolny. To znaczy przed rokiem, kiedy *Wicasun* kazali nam żyć w rezerwacie.

Myślę, że to był rok Kiedy Przyprawdzili Jeńców albo tysiąc osiemset czterdziesty trzeci według czasu *Wicasun*. Wiem to, bo ojciec Hoka Ushte był stary, miał czterdzieści cztery lata, kiedy chłopiec się urodził. Ojciec Hoka Ushte miał na imię Śpi przy Strumieniu i urodził się w roku, kiedy Umarło Wiele Ciężarnych Kobiet, co odpowiada waszemu rokowi tysiąc siedemset dziewięćdziesiątemu dziewięciemu. Bardziej zdumiewający był zaawansowany wiek matki Hoka Ushte. Kobieta Trzech Chmur podobno urodziła się albo w roku Kiedy Końskie Włosy Się Skręciły, czyli tysiąc osiemset czwartym, albo w roku, Kiedy Machali Nad Sobą Końskimi Ogonami, tysiąc osiemset piątym, i była starowinką w wieku trzydziestu ośmiu albo trzydziestu dziewięciu zim, kiedy chłopiec się urodził.

Hoka Ushte był ich jedynym dzieckiem. Oboje rodzice, jak mi mówiono, sądzili, że dziecko, które im dano tak późno, będzie bardzo ważne, ale żadne z nich nie przeżyło, żeby zobaczyć, jak ich syn zaczyna mówić. Tej samej zimy roku Kiedy Przyprawdzili Jeńców Kobieta Trzech Chmur wyszła z tipi w czasie zamieci i znaleziono ją potem zamarznąłą na śmierć. Śpi przy Strumieniu mimo zaawansowanego wieku opuścił obóz następnego lata, przechwalając się, że idzie rzucić wyzwanie Paunison, i nigdy więcej go nie widziano.

Hoka Ushte został wychowany przez dziadków i wszystkie kobiety w wiosce na zepsutego *takoja*, którego opisałem ci wcześniej.

Ale w pewnym sensie wszyscy *Ikče Wičaśa* byli *takoja* w tamtych czasach. Mam na myśli to, że te czasy były obfite i łatwe, przeszłość istniała tylko w opowieściach, a przyszłość tylko w snach i mimo bólu, strachu, trudności i śmierci życie było pełne i proste. Nie istniały granice dla wędrówek *Ikče Wičaśa*, a my naprawdę mieszkaliśmy w *maka sitomni*, na całym świecie, we wszechświecie.

Ale to tylko tło tej historii. Sama historia zaczyna się, kiedy Hoka Ushte ma siedemnaście lat i zaczyna *hanblečeya*, poszukiwanie wizji, która zmieni jego samego i jego lud na zawsze.

Teraz zatrzymaj taśmę i pisz. Słowo, które słyszysz, to *hanblechia*, ale chcę, żebyś je zobaczył: *han ble če ya*. Ważne jest, żeby je znać.

„Imię jest narzędziem nauki i rozróżniania natur”. Wiesz, jaki mądry *wičaša wakan* to powiedział?

Nie, nie Czarny Łoś. Nazywał się Sokrates. Teraz zapisz to słowo. *Hanblečeya*. Dobrze. I słuchaj dalej.

Kiedy Hoka Ushte miał siedemnaście lat, niektórzy starzy mężczyźni w plemienu chcieli nazwać go Pień Sosny, bo jego narząd do robienia dzieci zawsze sterczał sztywno i wysoko, jak sosny wydmowe, które ścinamy na nasze tipi. Hoka Ushte się tego wstydził, ale był namiętym chłopcem. W przeciwieństwie do innych młodych mężczyzn, którzy woleli jeździć konno, mocować się i planować kradzieże koni Paunisów albo Wron, Hoka Ushte wybierał kręcenie się po obozie i obserwowanie młodych dziewcząt. Miał szczęście, że nie nazwali go Polującym na Dziewczyny.

Teraz muszę ci powiedzieć, że w małym obozie takim jak ten, w którym dorastał Hoka Ushte, nigdy nie było wielu *winčičalas*, atrakcyjnych dziewczyn, w których chłopiec się zakochuje. Ale trafiła się jedna taka *winčičalas*, a jej imię brzmiało Biegnące Cielę. Piętnaście lat, słodka twarz i długie czarne włosy, które nabłyszczała tłuszczem. Biegnące Cielę byłaby zdobyczą dla każdego dumnego wojownika, a tym bardziej dla takiego nieopierzonego młodzieńca jak Kulawy Borsuk. Ale to Hoka Ushte przez większość czasu miał oko na Biegnące Cielę.

Teraz muszę ci powiedzieć dwie inne rzeczy o spotykaniu się i seksie wśród mojego ludu w czasach przed rezerwatami. Po pierwsze, jesteśmy bardzo nieśmiali w takich sprawach. Mamy nawet słowo na tę nieśmiałość – *wistelkiya* – które oznacza zarówno wstydlivość w związku z samym aktem, jak i strach przed kazirodztwem. To ta druga rzecz budzi w nas niepokój. Nasze plemiona nigdy nie były duże, rozumiesz, a obozy były jeszcze mniejsze i nasi przodkowie widzieli skutki chowu wsobnego. Stąd wzięły się wszystkie tabu związane z łączeniem się w pary. Stąd nasza *wistelkiya* w całej tej kwestii.

Po drugie, trudno teraz opisać, jak niewiele było wtedy prywatności. Rodziny spały razem we wspólnych tipi, więc dzieci dorastały, widząc i słysząc, jak ojciec i matka kopulują jak psy w kącie albo pod futrami, ale za złe maniery było uważane podglądanie, a za jeszcze gorsze robienie tego przy starszych dzieciach. Hoka Ushte, wychowany przez starych dziadków, prawdopodobnie nigdy nie

widział zwierzęcia o dwóch grzbietach. Również nigdy w życiu nie był sam na sam z dziewczyną. Życie młodych *Ikče Wičaśa* wyglądało tak, że chłopcy spędzali je wśród chłopców, a dziewczyny wśród dziewczyn; z wyjątkiem wspólnego przenoszenia obozu, szukania drewna na opał albo pieczenia mięsa bizona płcie były rozdzielone.

Zatem Hoka Ushte robił, co mógł, żeby zbliżyć się do Biegnącego Cielęcia, czyli głównie kręcił się przy strumieniu jak myśliwy tropiący przebiegłą zdobycz. Zrozumiał, że wcześniej czy później każda kobieta z wioski szła nad wodę, żeby napełnić bukłak. Tak więc Hoka Ushte ukrywał się w krzakach przy strumieniu i czekał od wschodu do zachodu słońca, aż Biegnące Cielę przyjdzie sama, żeby napełnić worek. Czasami dziewczyna przychodziła ze swoją gwałtowną matką Głośną Kobieta, a Kulawy Borsuk po prostu czekał za juką, topolą albo jałowcem, drapał się po nodze i wyglądał głupio. A nawet kiedy Biegnące Cielę zjawiała się sama nad strumieniem, jedyne, co potrafił zrobić, to wyskakiwać z krzaków i uśmiechać się do niej. Czasami Biegnące Cielę odpowiadała mu uśmiechem, ale kiedy indziej go ignorowała i napełniała bukłak. Potem Hoka Ushte zostawał, żeby znowu drapać się po nodze i wyglądać głupio.

W końcu Hoka Ushte znudził się czekaniem przy strumieniu i wyglądaniami głupio, więc postanowił zakraść się do tipi.

Wejście do domu dziewczyny może teraz wydawać się prostym rozwiązaniem dla *Wasicun*, ale wymagało od Hoka Ushte całej odwagi. Ojciec Biegnącego Cielęcia miał na imię Stojący Pusty Róg i słynął z wybuchowego usposobienia. Większość ludzi przypuszczała, że ta wybuchowość jest rezultatem życia z Głośną Kobieta, ale jego gwałtowność i tak była legendarna. Jednak Hoka Ushte najbardziej się bał, że zakradając się do tipi, obudzi samą Głośną Kobieta, a ona opowie wszystko innym kobietom z wioski.

Matki Siuksów nie traktowały lekko molestowania ich córek. Gdyby Hoka Ushte był wojownikiem mieszkającym samodzielnie i został przyłapany, kobiety mogłyby spalić jego tipi, kiedy będzie w nim spał. Albo podciąć ścięgna jego koniowi. Ponieważ Hoka Ushte nadal mieszkał z dziadkami i nie miał konia, drżał na myśl o tym, co mogłyby zrobić Głośna Kobieta i jej przyjaciółki.

Ale jego namiętność do *winčičalas* była silniejsza od strachu.

W bezksiężycową noc w Księżycu, Kiedy Wracają Kaczki – to znaczy w kwietniu – Hoka Ushte wymknął się z namiotu dziadków i okrążył obóz, pilnując, żeby trzymać się z dala od miejsca, gdzie trzymano konie, aż dotarł do tipi Stojącego Pustego Rogu. Na szczęście namiot jego ukochanej stał na skraju obozu, więc Kulawy Borsuk nie musiał szukać takiej drogi, żeby ominąć psy, które by na niego czekały, gdyby skradał się przez środek obozu... bo choć

znał wszystkie z imienia, a one znały jego, w nocy psy są nerwowe i od razu szczekają na kogoś, kto skrada się jak łasica między chatami.

Hoka Ushte słyszał opowieści dziadka i innych wojowników o tym, jak zakradali się do obozów Paunisów i Szoszonów, żeby coś im ukraść, więc teraz wykorzystał te umiejętności, żeby odciągnąć od żerdzi klapę ze skóry bizona z tyłu tipi Biegnącego Cielęcia i wsunąć głowę do środka.

Na zewnątrz powietrze było rześkie i zimowe, w środku jak zwykle unosiły się oddechy śpiących, gęsty dym z ogniska i swojski zapach futer niewietrzonych od długiego czasu. Głośna Kobieta nie była najporządniejszą czy najpracowitszą z kobiet. Tak jak nauczył się z opowieści wojowników, Hoka Ushte wsunął głowę pod ścianę tipi i nie oddychał ani się nie ruszał, aż wypatrzył wszystkie śpiące postacie. Stojący Pusty Róg rozpoznał od razu po głośnym chrapaniu. Głośna Kobieta mówiła i pokrzykiwała nawet we śnie i za każdym razem, kiedy jej ostry głos wypełniał ciemność, Hoka Ushte drżał na myśl o obudzeniu jej. Biegnące Cielę spała spokojnie, a kiedy oczy Kulawego Borsuka przyzwyczyły się do mroku, zobaczył jej blade ramiona i czarne włosy lśniące lekko w odrobinie światła gwiazd wpadającego przez otwór dymowy.

Hoka Ushte wypuścił powietrze z płuc i wziął oddech, zanim zemdłał. Chrapanie i mówienie przez sen nie cichło. Głośna Kobieta prychnęła coś pogardliwie do ludzi ze swojego snu, a potem przewróciła się na drugi bok, ciągnąc ze sobą ciężkie futra i przytykając twarz do przeciwległej ściany tipi. Hoka Ushte wziął to za zaproszenie i wpełzł do środka, przesuwając swój chudy zadek pod ciężką skórą bizona tak cicho, jak zdołał. Znowu wstrzymując oddech, podpełzł metr czy półtora w stronę Biegnącego Cielęcia. Zobaczył, że nakryta futrem dziewczyna nie ma na sobie nic oprócz luźnej koszuli, a oba jej chude ramiona są nagie. Jego serce biło tak głośno, że był pewien, że obudzi wszystkich w obozie. Wyciągał rękę, by jej dotknąć, kiedy Stojący Pusty Róg przestał chrapać, sapnął i usiadł na legowisku.

Hoka Ushte znieruchomiał i próbował zmienić się w stos skór bizona. Serce raniło jego żebra, tak mocno łomotało.

Stojący Pusty Róg wstał w ciemności, odrzucił futra, otworzył klapę tipi i wyszedł na zewnątrz. Hoka Ushte słyszał, jak mężczyzna oddaje mocz. Brzmiało to tak, jakby sikał bizon. Chwilę później ojciec Biegnącego Cielęcia wrócił do chaty i naciągnął na siebie skóry. Hoka Ushte znajdował się wtedy nie dalej niż dwa metry od niego, ale głowę miał opuszczoną, nogi podwinęte, dłonie schowane, żeby nie padało na nie światło gwiazd. I modlił się żarliwie do *Wakan Tanka*, żeby stary wojownik nie wyczuł dodatkowego ciała w namiocie i nie wypatroszył go jak jelenia, zanim sprawdzi, kim jest intruz.

Stojący Pusty Róg znowu zaczął chrapać.

Hoka Ushte odczekał kilka minut, zanim odważył się poruszyć. Jakby wyczuwając jego niecierpliwość, Biegnące Cielę odwróciła się w jego stronę i skopała z siebie skórzane okrycie. Jej oddech był słodki i szybki na jego policzku, kiedy Hoka Ushte nachylił się i pomyślał: Ona nie śpi! Wita mnie.

Obliział nagle wyschnięte wargi i lewą rękę przysunął do jej nogi. Drugą trzymał uniesioną, żeby zakryć jej usta przy pierwszej próbie krzyku. Hoka Ushte dotknął uda ukochanej. Skóra tam była bardziej miękka, niż sobie wyobrażał, mięśnie bardziej sprężyste, niż mu się śniło. Biegnące Cielę wydała senne westchnienie, ale nie krzyknęła. Hoka Ushte omal nie zemdłał z przyływu namiętności i strachu przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Przesunął dłoń wyżej, po wewnętrznej stronie silnego mięśnia udowego. Lekka koszula wędrowała w górę, w miarę postępów jego nadgarstka i ręki. Zatrzymała się dopiero, kiedy palce znalazły się centymetry od ciepłej pachwiny Biegnącego Cielęcia. Całe ciało Hoka Ushte drżało z podniecenia. Tylko jego ręka była pewna i nieruchoma, palce miał sztywne jak jego sterczący narząd do robienia dzieci.

W końcu Hoka Ushte nie mógł dłużej czekać. Przysunął palce bliżej źródła całego tego ciepła, pewny, że Biegnące Cielę się obudzi, jeśli śpi, krzyknie, jeśli już się obudziła. Ale ona się nie obudziła ani nie krzyknęła, tylko zamruczała sennym głosem, która brzmiała zbyt niewyraźnie, żeby być udawanym.

Hoka Ushte zapomniał oddychać. Dotykał *winyan shan* kobiety po raz pierwszy w życiu. Z podniecenia omal nie krzyknął, ale przygryzł dolną wargę, aż popłynęła krew. Cała jego uwaga była teraz skupiona na czubkach palców, kiedy badały ten nowy fenomen.

Hoka Ushte był zaskoczony, odkrywając, że dziewczęce włosy Biegnącego Cielęcia nie są tam takie miękkie i kręcone, jak sobie wyobrażał, ale długie i niemal splecione jak warkocze. Przesunął ręką po jej pachwinie i zaskakująco sztywnych włosach i stwierdził, że ciągną się one do dolnej części uda i rzeczywiście są zaplecione. To go zaskoczyło i podnieciło prawie nie do zniesienia, aż nagle przysłała mu do głowy lodowata myśl i zabiła podniecenie, nim eksplodował.

Z kiełkującym podejrzeniem, które sprawiło, że jego już drżące palce zadrżały jeszcze mocniej, Hoka Ushte przeniósł rękę z pachwiny *winčičalas* na jej talię pod luźną koszulą.

Tam również były włosy, owinięte wokół talii dziewczyny jak uprzęż.

Hoka Ushte od razu zrozumiał, że został oszukany. Powędrował ręką niżej, znalazł warkocz ciągnący się między teraz złączonymi nogami dziewczyny, pomacał wzdłuż długich włosów i stwierdził, że biegną one spod koszuli do brzegu futrzanego okrycia i dalej, na podłogę tipi. Hoka Ushte na nich leżał.

Poczuł, że warkocz ciągnie się przez całą przestrzeń do spania. Prosto do Głośnej Kobiety.

Matka Biegnącego Cielęcia go przechytrzyła. Wykorzystała starą sztuczkę matek *Inče Wičása*: przywiązała linę z końskiego włosa do talii córki i przewlekła ją między jej nogami. Koniec był zapewne przywiązany do kostki Głośnej Kobiety. Hoka Ushte zabrał drżącą rękę, wiedząc, że najmniejszy nacisk na warkocz z końskiego włosa może obudzić starą kobietę, która leżała teraz podejrzenie cicho. Może już nie spała i ścisnęła nóż do skórowania.

Hoka Ushte poczuł jeszcze ciepło Biegnącego Cielęcia na palcach, zanim się cofnął. Z nieskończoną ostrożnością zabrał swój ciężar z plecionej liny i odsunął się od śpiącej dziewczyny, tak jak kiedyś cofał się przed grzechotnikiem zwiniętym na dużej skale, na której uciął sobie drzemkę.

Całą wieczność zabrało mu dotarcie do otworu, przez który wszedł, a dwie wieczności zebranie odwagi, żeby unieść klapę i znowu się pod nią prześliznąć. Szelest skórzanej ściany tipi brzmiał w jego uszach jak łoskot stada spłoszonych bizonów. Hoka Ushte ukucnął na zewnątrz i starał się odzyskać oddech, kiedy przy sąsiednim tipi zaczął szczekać pies. Kulawy Borsuk zapomniał o sztuce skradania się, popędził na skraj wioski, zsunął się po brzegu do strumienia i ukrył przy jednej z topoli. Siedział tam, aż zaczęło świtać, więc mógł wrócić ukradkiem do tipi dziadków, jakby wychodził tylko na chwilę, żeby oddać mocz.

Przez ten czas ciało i umysł Hoka Ushte szalały z niezaspokojonej żądz. To była bardzo długa noc.

Wcześniej następnego ranka dziadek Hoka Ushte, *tunkashila* Jastrząb Dobry Głos, wszedł do tipi, obudził chłopca, trącając go mokasynem i powiedział:

– Wstawaj! Szykuj się. Idziemy zobaczyć się ze Stojącym Pustym Rogiem.

Cóż, możesz sobie wyobrazić, jaki przerażony był Hoka Ushte. Był pewien, że ojciec Biegnącego Cielęcia znalazł rano jego ślady i wiedział o jego wizycie w tipi. Choć bał się Stojącego Pustego Rogu, odkrył, że bardziej boi się Głośnej Kobiety. Cały obóz żartował, jakie żałosne życie ma Stojący Pusty Róg z powodu zrzędlivego głosu swojej żony, i teraz Hoka Ushte wyobraził sobie róg żółwicy przyczepiony do jego własnego przez resztę życia. Wlokąc się za swoim *tunkashila* przez kurz do namiotu Biegnącego Cielęcia, nie potrafił znaleźć wyjścia ze swojej hańby innego niż samobójstwo albo wygnanie.

Tipi Stojącego Pustego Rogu zostało sprzątnięte, a na ceremonialnych skórkach zasiedli dwaj mężczyźni i chłopiec o zawstydzonej twarzy. Nie było

śladu Głośnej Kobiety, nie licząc misek gorącej *pejuta sapa*, którą ona najwyraźniej przygotowała i którą teraz Stojący Pusty Róg poczęstował Jastrzębia Dobry Głos i Kulawego Borsuka. *Pejuta sapa* była „czarnym lekarstwem”, gęstym, gorzkim napojem, który *Ikče Wičaśa* czasem kupowali od *Wasicun*. Mimo że kawa była mocna i paskudna w smaku, była uważana za *wakan* przez niektórych Siuksów – zaraz po *mni waken*, świętej wodzie, whiskey – i w czasach przed tym, jak *Wasicun* rozpełzli się po całych równinach niczym wszy po bawolej skórze, *pejuta sapa* była naprawdę rzadkością. Hoka Ushte był zaskoczony tą hojnością, ale potem zrozumiał, że taka ceremonialność musi poprzedzać straszliwą burę.

Ceremonialność jeszcze wzrosła, kiedy po wypiciu *pejuta sapa* Stojący Pusty Róg napełni fajkę *kinnikkinnik* i ją zapalił. I znowu Hoka Ushte był zaskoczony, kiedy włączono go w ten rytuał dorosłych. Doszedł do wniosku, że to jedynie wstęp do strasznej kary, którą zaraz dostanie. Czarne lekarstwo i silny tytoń sprawiły, że zakręciło się w jego zmęczonej głowie. Uznał, że jest zbyt bojaźliwy i znużony, żeby iść na wygnanie na resztę życia. Zabije się.

– Hoka Ushte! – zaczął Stojący Pusty Róg głosem tak ostrym i tak donośnym, że chłopiec niemal uniósł się nad kocem. – Myślę, że znasz moją córkę Biegnące Ciele?

Kulawy Borsuk zdołał jedynie powiedzieć:

– *Ohan*. – Tak. Inne słowa uciekły mu z głowy. Nie miał żadnego usprawiedliwienia.

– *Washtay* – rzekł Stojący Pusty Róg, głęboko zaciągnął się fajką i podał ją Jastrzębiowi Dobremu Głosowi. – To dobrze. Więc wiesz, dlaczego twój *tunkashila* i ja cię tutaj wezwaliśmy?

Hoka Ushte mógł tylko zamrugać.

Użyję noża do skórowania, pomyślał. Jest ostrzejszy i otworzy dużą żyłę szybciej i z mniejszym bólem.

– Biegnące Ciele robi się za stara, żeby być bez męża – powiedział Stojący Pusty Róg. – Czas, żeby wyszła za mąż i dała wnuki swojej matce i mnie. To właśnie mówiłem Jastrzębiowi Dobremu Głosowi wiele razy. Zgodziliśmy się, że byłbyś dobrym mężem dla mojej córki.

Tym razem Hoka Ushte nie zdołał nawet zamrugać.

Stojący Pusty Róg nadal łypał na niego groźnie.

– I zeszłej nocy śniłeś mi się, Hoka Ushte.

Oczy chłopca pozostały otwarte. Wydawało mu się, że już nigdy nie zamruga.

– Śniło mi się, że wróciłem do mojej chaty w zimowy wieczór i ty tam byłeś z moją córką i z dwojgiem moich wnucząt. Dziś rano poszedłem zobaczyć się z Dobrym Grzmotem i nasz *wičaśa wakan* mówi, że ten sen mógł być wizją.

Mówi, że nie jestem *waayatan*, ale że ten sen mógł być *wakinyanpi*. Mówi, że to dobra rzecz.

Hoka Ushte zdołał poruszyć głową, tak że teraz patrzył na dziadka. Jastrząb Dobry Głos zaciągał się dymem z fajki. Jego oczy były zmrużone do szparek. Hoka Ushte spojrział z powrotem na Stojący Pusty Róg. Mój teść? Nagle wyobraził sobie Głośną Kobieta jako swoją teściową, mieszkającą w tym samym tipi. Na szczęście wśród *Ikče Wičša* rozmawianie z teściową albo dostrzeganie jej obecności w jakikolwiek sposób jest tabu. Kolejny rezultat *wistelkiya*, strachu przed kazirodztwem, być może. Ale w tamtej chwili dla Hoka Ushte mile widziane tabu.

– *Pilmaya* – wykrztusił Hoka Ushte głosem taki cienkim i drżącym jak witka wierzby w czasie letniej burzy. – Dziękuję bardzo.

I od razu uświadomił sobie, jak głupio to zabrzmiało.

Stojący Pusty Róg wykonał niecierpliwy gest.

– Nie rozumiesz. Jastrzębiu Dobry Głosie?

Dziadek Hoka Ushte wydmuchał chmurę dymu i spojrział na swojego *takoja*.

– Stojący Pusty Róg i Głośna Kobieta są gotowi na wnuka – powiedział wolno. – Dziecka do rozpieszczania, psucia i robienia z *takoja* drugiego siebie. Biegające Ciele jest gotowa na męża... – Zrobił pauzę, jakby Hoka Ushte potrafił dostrzec to, co oczywiste.

Kulawy Borsuk pokiwał głową i nic nie powiedział.

Jastrząb Dobry Głos westchnął i stwierdził cicho:

– Ale ty nie jesteś gotowy, żeby być mężem.

Chłopiec próbował to zrozumieć.

Jastrząb Dobry Głos niecierpliwie podrapał się po policzku.

– Nie zostałeś wojownikiem ani dobrym myśliwym, ani młodym mężczyzną zainteresowanym sprawami plemienia. Nie masz koni, skór ani orlich piór. Nigdy nic nie ukradłeś wrogom ani nie śmiałeś się w twarz przeciwnikom, którzy chcieli zabrać twój skalp.

Twarz Hoka Ushte się wyciągnęła. Jastrząb Dobry Głos mówił dalej szybko, jakby chciał złagodzić swoje słowa.

– Wiesz, że nie żądamy od wszystkich naszych młodych mężczyzn, żeby byli wojownikami albo bohaterami, Kulawy Borsuku. Wiemy, że to, o czym marzysz i co masz w sercu, określi, jakim człowiekiem będziesz... – Położył sękatą dłoń na ramieniu chłopca. – Wiesz, że szanujemy nawet tych, którzy urodzili się, żeby być *winkte*...

– Nie jestem *winkte*! – krzyknął Hoka Ushte, w końcu dotknięty do żywego.

Winkte to mężczyzna, który ubierał się i zachowywał jak kobieta. Niektórzy szeptali, że mają oni organy zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Choć byli uważani

za *wakan* i dobrze im płacono za nadawanie dzieciom sekretnych imion mocy, żaden szanujący się wojownik Lakota nie chciałby nim być.

– Nie jestem *winkte* – powtórzył Hoka Ushte silnym głosem.

– Nie, nie jesteś *winkte* – zgodził się Jastrząb Dobry Głos. – Ale kim jesteś, wnuku?

Hoka Ushte pokręcił głową.

– Nie rozumiem twojego pytania, dziadku.

Jego *tunkashila* wziął głęboki wdech.

– Postanowiłeś nie dołączyć do żadnej grupy wojowników, nie jeździć na wyścigi konne, nie uczyć się, jak być dobrym myśliwym, żeby pomagać plemieniu... Pomyślałeś o tym, co mógłbyś zrobić, żeby być odpowiednim mężem dla Biegnącego Cielęcia? Trzeba to rozstrzygnąć, żeby mój przyjaciel i *kola* Stojący Pusty Róg mógł właściwie zdecydować o przyszłości swojej córki.

Hoka Ushte spojrział na dziadka i ojca swojej ukochanej. Nie wiedział, że ci dwaj złożyli przysięgi *kola*; zawiązali skórzane rzemyki na nadgarstkach, żeby stać się tak bliskimi przyjaciółmi, jakby byli jedną osobą. Hoka Ushte uświadomił sobie, że jego nocna próba dokonania przestępstwa w namiocie Stojącego Pustego Rogu byłaby przestępstwem przeciwko jego własnemu *tunkashila*. Zamknął oczy z wdzięczności, że Głośna Kobieta zawiązała warkocz z końskiego włosa na talii córki.

– No więc? – ponaglił go Stojący Pusty Róg.

Hoka Ushte zrozumiał, że obaj mężczyźni czekają na odpowiedź, która zadecyduje o przyszłości jego i Biegnącego Cielęcia. Miał pusty umysł.

Starcy patrzyli na niego oczami łzawiącymi od dymu *kinnikkinnik*.

– Miałem sen... – zaczął Hoka Ushte.

Mężczyźni lekko się pochylili. Sny były ważne dla *Ikče Wičaśa*.

Hoka Ushte kręciło się w głowie z powodu nieprzespanej nocy, przerażenia, tytoniu i mocnej *pejuta sapa*.

– Miałem sen, w którym wyruszyłem na *hanblečeya* i zostałem *wičaśa wakan*

– powiedział Hoka Ushte. Mimo pewności w głosie niemal zemdłał z zaskoczenia, kiedy usłyszał słowa, które wyszły z jego ust.

Stojący Pusty Róg ze zdziwienia odchylił głowę do tyłu i spojrział pytająco na Jastrzębia Dobry Głos.

– *Wičaśa wakan* – wymamrotał. – Dobry Piorun starzeje się i zwraca się do wewnątrz, zwłaszcza, odkąd jego żona umarła z gorączki zeszłej zimy. *Hanblečeya*, żeby zobaczyć, czy ten młody człowiek jest powołany do tego, żeby zostać *wičaśa wakan*. – Stojący Pusty Róg odchrząknął i podał fajkę Hoka Ushte. – *Washtay!*

Jastrząb Dobry Głos popatrzył na palącego wnuka, a potem sam sięgnął po fajkę. Jego pomarszczona twarz złagodniała w wyrazie niebezpiecznie zbliżonym do uśmiechu.

– *Washtay* – zgodził się. – To jest dobre. *Hecetu*. Niech tak będzie.

Wcześniej następnego ranka, kiedy oddechy koni były widoczne w zimnym powietrzu, a szczekanie psów brzmiało niemal boleśnie w jego uszach, Hoka Ushte powlókł się do tipi jedyne w obozie świętego człowieka, niosąc dar w postaci tytoniu *kinnikkinnik* w specjalnym woreczku. Po podzieleniu się dymem z plemiennej fajki, której *wičaša wakan* był strażnikiem, Dobry Piorun w końcu spojrzał na chłopca.

– *Hiyupo*, powiedz mi, dlaczego tu jesteś.

Hoka Ushte przełknął ślinę i opowiedział świętemu człowiekowi o swoim planie, żeby pójść na *hanblečeya* i przekonać się, czy zostanie powołany do tego, żeby zostać świętym człowiekiem.

Dobry Piorun na niego łypnął.

– To dla mnie zaskakujące, Hoka Ushte. Przez wszystkie siedemnaście lat, jakie cię znam, nigdy nie zadawałeś mi pytań, nie przychodziłeś do mojego tipi, żeby mówić o rzeczach *wakan*, ani nie zwracałeś uwagi na rytuały, które odprawiałem dla twoich dziadków. Skąd ten nagły pomysł, żeby iść na *hanblečeya*?

Hoka Ushte przełknął ślinę, zanim odpowiedział.

– Sen, *ate*. – Nazwał Dobrego Pioruna „ojcem” z szacunku.

Wičaša wakan przeszył młodzieńca wzrokiem.

– Sen? Opowiedz mi swój sen.

Hoka Ushte znowu przełknął ślinę i splótł fragmenty różnych snów, żeby stworzyć przekonującą senną wizję. Nie kłamał. Niezupełnie. Okłamywanie *wičaša wakan* w czasie palenia plemiennej fajki oznaczało narażanie się na natychmiastową śmierć z rąk Grzmiących Istot.

Kiedy chłopiec skończył, Dobry Piorun nadal na niego łypał.

– Więc śniło ci się, że jesteś w wysokim miejscu, z chmur wyszedł koń i powiedział ci, że duchy chcą z tobą rozmawiać? Czy to jest twój sen, Hoka Ushte?

Kulawy Borsuk wziął głęboki wdech.

– *Ohan*.

Święty starzec pomasaował brodę.

– To nie jest sen, który wysłałby mnie na *hanblečeya*, kiedy byłem w twoim wieku... – Popatrzył na chłopca. – Ale z drugiej strony czasy się zmieniają... sny się zmieniają. Żaden z innych młodych mężczyzn nie miał snów, które skierowałyby ich na ścieżkę *wičaša wakan*. – Dotknął ramienia Hoka Ushte. – Wiesz, czego będzie od ciebie wymagać *hanblečeya*?

Kulawy Borsuk przygryzł wargę.

– Wiem, że muszę pościć przez cztery dni, *ate* – powiedział. – I że będzie szłaś potów...

– Nie, nie – przerwał mu Dobry Piorun, odkładając świętą fajkę. – Trzeba zrobić pewne rzeczy. Pytałem cię, czy wiesz jakie.

Hoka Ushte nie odpowiedział.

– Gdy już będziesz przygotowany i miejsce będzie przygotowane, będziesz musiał myśleć tylko o zobaczeniu wizji – rzekł Dobry Piorun głosem nagle silniejszym i dźwięczniejszym, niż Hoka Ushte pamiętał. – Musisz opróżnić umysł ze wszystkich innych rzeczy. Nie myśleć o jedzeniu. Nie myśleć o *winčičalas*...

Hoka Ushte nie zamrugał.

– Musisz myśleć tylko o wizji – ciągnął Dobry Piorun. – Musisz podarować dym *čanšaša* Duchowi Wschodu, potem Duchowi Północy, a jeśli te duchy nie ześlą ci wizji, musisz wtedy podarować dym Duchowi Zachodu, a jeśli on nie obdaruje cię wizją, musisz zrobić to samo z Duchem Południa.

– *Ohan*... – zaczął Hoka Ushte.

– Zamknij się – przerwał mu Dobry Piorun. – Jeśli te duchy nie odpowiedzą, a ty pościłeś i medytowałeś, jak należy, przez dwa z twoich czterech dni, wtedy ofiarujesz dym Duchowi Ziemi, a jeśli ten duch nie ześle ci wizji, musisz złożyć dymną ofiarę *Wakan Tanka*, samemu Wielkiemu Duchowi nieba... ale tylko jeśli będziesz pewny, że inne duchy nie odpowiedziały. Czy to jasne?

Hoka Ushte skłonił głowę.

– Nie zniechęcaj się, jeśli będziesz długo czekał, zanim otrzymasz wizję – powiedział Dobry Piorun. – Duchy się nie śpieszą. Kiedy zobaczysz wizję, więcej nie błagaj duchów, tylko wróć tutaj, a my wyjaśnimy ci jej znaczenie.

Hoka Ushte lekko skinął głową, nadal pochyloną.

– Jeśli nie będziesz miał wizji, będziemy rozczarowani, ale jeśli uznamy, że wizja jest nie do przyjęcia, okryjesz się hańbą, a twoi dziadkowie cię wydziedziczą, a ty staniesz się wstydem plemienia... – uprzedził Dobry Piorun ostrym głosem.

Hoka Ushte podniósł wzrok, z nadal opuszczoną głową. Pomarszczona twarz Dobrego Pioruna była groźna jak chmura burzowa.

– Albo jeśli byłeś taki głupi, żeby kłamać, że miałeś wizję... – ciągnął *wičaśa wakan* – ...wtedy skończy się na tym, że będziemy ci doradzać rzeczy, których duchy od ciebie nie chcą... a to zaszkodzi tobie i wszystkim, którzy cię znają.

Hoka Ushte zamknął oczy i pożałował, że w ogóle zapragnął Biegnącego Cielęcica.

Dobry Piorun dotknął jego opuszczoną głowę. Chłopiec podskoczył.

– Nawet jeśli będziesz miał prawdziwą wizję, sprawy mogą nie potoczyć się dobrze dla ciebie albo plemienia – powiedział starzec. – Jeśli, na przykład, będziesz śnił o Grzmiących Istotach i w twoje wzgórze trafi piorun, kiedy będziesz na *hanblečeya*, wtedy natychmiast staniesz się *heyoka*, klaunem, przekorą...

Wstrząśnięty Hoka Ushte otworzył oczy. Kiedy był mały, w obozie żył *heyoka*. Imię świętego błazna brzmiało Oddaje Mocz do Rogu i choć się go bano i szanowano – klauni ostatecznie byli *wakan* – uważano go za *onsika*. Żałosnego. W środku zimy, kiedy wszyscy siedzieli w chatkach przy ogniu i kulili się pod grubymi futrami, *heyoka* Oddaje Mocz do Rogu wędrował przez zasy w samej przepasce biodrowej i skarżył się na upał. Latem, kiedy Hoka Ushte i inni chłopcy pływali nago w strumieniu, *heyoka* trząsał się pod futrami i narzekał na zimno. Hoka Ushte pamiętał bzdury, jakie mamrotał Oddaje Mocz do Rogu, i pamiętał, jak jego babcia powtarzała: „On mówi wstecz i tylko duchy go rozumieją. Przecież jest *heyoka*”.

Ostatni raz Hoka Ushte widział Oddaje Mocz do Rogu, kiedy ten pojechał na równiny – tyłem na koniu – i nigdy nie wrócił. Kulawy Borsuk pamiętał, jak jego dziadek szeptał w tamtym tygodniu do babci, że obóz stracił *wakan*, ale zyskał spokój.

– *Heyoka?* – powtórzył Hoka Ushte i lekko uniósł brodę.

Oczy Dobrego Pioruna były lekko zamglone.

– Albo *Wakan Tanka* może cię powołać, żebyś był świętym mężem innym niż *wičaśa wakan* taki jak ja – powiedział cicho. – Mógłbyś zostać uzdrawiaczem, robić *yuwipi* i ciasno owijać się kocami w ciemności, żeby duchy mogły cię znaleźć. Albo mógłbyś zostać *waayatan*, jasnowidzem, i dawać plemieniu *wakinyanpi*, które określa nasz los. Albo mógłbyś *pejuta wičaśa*, stać się człowiekiem od ziół i robić leki. Albo...

Dobry Piorun zrobił pauzę, a jego twarz spochmurniała.

– Może zostaniesz powołany, żeby być *wapiya*, czarownikiem, i będziesz strzelał do choroby *waanazin*. Albo może będziesz najbardziej niebezpiecznym rodzajem czarownika, *wokabiyeya*, który leczy czarami, *wihmunge*, i własnym oddechem wysysa choroby wprost z umierającego człowieka.

Hoka Ushte pokręcił głową.

– Nie, *ate*, ja tylko chcę być normalnym *wičaša wakan* jak ty, ożenić się z Biegnącym Cielęciem i prowadzić proste życie.

Wzrok świętego człowieka odzyskał klarowność. Dobry Piorun spojrział na Hoka Ushte, jakby był zaskoczony, że widzi go w swoim tipi.

– Twoje życzenia nie mają nic wspólnego z tym, co się wydarzy. Przyjdź do mnie jutro i przynieś więcej tytoniu. Zaczniemy przygotowania do twojej *hanblečeya*.

W następnych dniach Hoka Ushte i Dobry Piorun robili rzeczy konieczne, żeby przygotować chłopca do wyprawy w poszukiwaniu wizji. Ponieważ Dobry Piorun był jedynym świętym człowiekiem w obozie, a inne obozy *Ikče Wičaša* znajdowały się zbyt daleko, żeby wezwać innych *wičaša wakan*, Dobry Piorun wyznaczył starszych plemienia, takich jak: *tunkashila* Hoka Ushte Jastrzębia Dobry Głos, jednorękiego starca Drewniany Kubek, *biota hunka* Próbuje Być Wodzem, *eyapah* albo herolda Grzmiące Dźwięki i starych wojowników Trudno Trafić i Ściganego Przez Pająki, żeby pomogli chłopcu w czasie jego *hanblečeya*. Razem nadzorowali *inipi* Hoka Ushte, czyli pierwszą ceremonię w szałasie potów.

Najpierw Kulawy Borsuk ściął dwanaście białych wierzb, wsadził tyczki w ziemię, w kręgu o średnicy stu osiemdziesięciu centymetrów, przeplótł je, tworząc kopułę, i nakrył ją skórą, futrami i liśćmi. Potem wykopał dziurę pośrodku szałasu, a z wygarniętej ziemi usypał ścieżkę, żeby duchy mogły po niej wejść do szałasu potów. Na końcu ścieżki Hoka Ushte zrobił mały pagórek *unci*, jak nazywał babcie, bo Dobry Piorun właśnie tak nauczył go myśleć o całej Ziemi: Babka.

Tymczasem jego prawdziwa babcia była zajęta. Nucąc cicho, wycięła czterdzieści małych kwadratów ciała z ramienia i ułożyła je w grzechotce *wagmuha* razem z kamieniami *yuwipi*, małymi skamieniałościami, które mrówki gromadziły w mrowisku.

Drewniany Kubek, Próbuje Być Wodzem i Ścigany Przez Pająki zaprowadzili Hoka Ushte do strumienia, który płynął z gór, i nadzorowali zbieranie przez niego *sintkala waksu*, specjalnych kamieni z drobnymi „paciorkowymi” wzorami, które pokazywały, że można ich bezpiecznie użyć w szałasie potów. One nie pękały ani nie wybuchały, kiedy wylewano na nie wodę, gdy jarzyły się od gorąca. Dobry Piorun spojrział na kamienie, które wybrał Hoka Ushte,

i orzekł, że są dobre. *Tunkan*, duch starego, twardego kamienia, który był obecny przy stworzeniu, dotknął tych *sintkala waksu*.

Wszystko to zrobiono prawie pół dnia jazdy od obozu, bo *hanblečeya* Hoke Ushte miała się odbyć w *Paha Sapa*, świętych Czarnych Górach, i starcy próbowali ułatwić mu sprawę, żeby nie miał daleko do szałasów potów i z powrotem. Na ten czas stary wojownik Próbuje Być Wodzem pożyczył Kulawemu Borsukowi swojego konia, tak że po raz pierwszy chłopiec poczuł się jak mężczyzna, kiedy jechał przez prerię, a wiatr szarpał jego warkocze. Rozkoszując się zainteresowaniem starszyny i aprobującymi spojrzeniami kobiet z obozu, łącznie z Biegnącym Cielęciami, która teraz zawsze obserwowała go kątem oka, żałował, że wcześniej nie wpadł na pomysł z poszukiwaniem wizji.

W końcu szałas potów był gotowy, w zachodniej ścianie wycięto otwór – Dobry Piorun ostrzegł, że wschodnie wejście było tylko dla *heyoka* – i ustawiono kije do podtrzymywania świętej plemiennej fajki. Dobry Piorun położył czaszkę bizona niedaleko wejścia, a wokół niej sześć tytoniowych darów na szczęście. Potem na samą ceremonię *inipi* przyszli starzy mężczyźni.

W szałasie potów wszyscy byli nacy i z początku to speszyło Kulawego Borsuka. Nie przywykł do oglądania starszych bez ubrań, a tylko w ich własnej spoczonej skórze. Sam również nagi, nie czuł się przy nich swobodnie. Ale wkrótce intymność małego szałasów i para sprawiły, że zapomniał o skrępowaniu.

Dziadek Jastrząb Dobry Głos nie wszedł do szałasów, tylko zamknął klapę z zewnątrz, kiedy wszystkie nagrzane kamienie były na miejscu. W ten sposób Hoka Ushte utknął w *inipi* razem z Dobrym Piorunem, Ściganym Przez Pajaki, Próbuje Być Wodzem, Drewnianym Kubkiem, Trudnym Do Zabicia i Grzmiącymi Dźwiękami.

Mężczyźni śpiewali: *Thunkashila, hi-yay, hi-yay*, aż trzęsła się ziemia. Wdychali parę i dym ze świętej fajki. Cztery razy otwierali klapę, żeby wpuścić chłodne powietrze i światło do szałasów, cztery razy lali wodę na kamienie i cztery razy palili tytoń zmieszany z korą czerwonej wierzby. I przez cały ten czas dawali rady Hoka Ushte, a on słuchał z takim skupieniem, jakie zdołał z siebie wykrzesać. Było bardzo gorąco, bardzo ciemno, a tytoń był bardzo mocny.

W końcu Dobry Piorun odłożył fajkę i rzekł:

– *Mitakuye oyasin*.

Co znaczy: „Wszyscy moi krewni, każdy, wszyscy z nas”. Jastrząb Dobry Głos otworzył klapę szałasów z zewnątrz, starcy wypełzli na światło jak nowo narodzone dzieci i *inipi* się skończyła.

Potem Hoka Ushte wyruszył do *Paha Sapa* sam, żeby szukać swojej wizji.

Muszę ci to powiedzieć: wizje nie są łatwe. Niektórzy mężczyźni z *Ikče Wičaśa* czekają całe życie i nigdy ich nie mają. Inni tylko jedną... ale resztę życia spędzają posłuszni tej jednej wizji.

Hoka Ushte nie wiedział, co myśleć o wizjach, kiedy ukucnął w jamie wysoko na grani w *Paha Sapa*. Był nagi, nie licząc pięknego koca, który dała mu babka, żeby owinął się nim w czasie szukania wizji. Nie miał broni, nie licząc fajki, którą pożyczył mu Dobry Piorun, i grzechotki, w której niósł czterysta pięć świętych kamieni i małe skrawki ciała babki, wydające cichy odgłos, kiedy poruszał ręką. Był zmęczony i trochę ogłupiały od dymu i pary *inipi*, ale czuł się bardzo czysty, jakby ktoś wyszorował go starannie z zewnątrz i w środku. Był głodny, ale wiedział, że nie może jeść ani pić przez następne dziewięćdziesiąt sześć godzin. Cztery dni.

Albo krócej, jeśli wizja pojawi się wcześniej.

Hoka Ushte próbował się modlić, ale jego umysł był pełen obrazów Biegnącego Cielęcia. Jego palce pamiętały ciepło jej pachwiny, zanim dotknął sznura. Nawet wspomnienie końskiego włosia go podniecało. Czuł się tak pusty i czysty, że podniecenie wydawało się niemal wizją samą w sobie, kiedy jego *che*, narząd do robienia dzieci, poruszał się niemal z własnej woli.

Tamtego pierwszego dnia i wieczoru w *Paha Sapa* wiał zimny wiatr Księżycy. Kiedy Wracają Kaczki, chorągiewki łopotały i miotaly się na końcach kijów wbitych w ziemię wokół miejsca wybranego przez Hoka Ushte, a on garbił się w swojej płytkiej jamie wizji i usilnie starał się modlić do odpowiednich duchów, ale nadal prześladowały go jedynie obrazy nóg Biegnącego Cielęcia, jej ud i lśniących czarnych włosów. Po zmroku powietrze zrobiło się jeszcze zimniejsze, kwietniowy wiatr niósł zapach śniegu. Hoka Ushte skulił się i próbował opróżnić umysł ze wszystkiego oprócz właściwych myśli, zgodnie z radami mądrych starców w szalasie potów.

Przed świtem Kulawy Borsuk zasnął głęboko, zwinięty w kłębek na ziemi swojej jamy wizji. *Wagmuha* wypadł mu z ręki z cichym grzechotem świętych kamieni i kawałków ciała babki. Ani zimny wiatr, ani cichy dźwięk go nie obudziły.

Potem Hoka Ushte przyśniło się coś takiego: zobaczył siebie śpiącego w jamie wizji z gwiazdami drżącymi w zimnym nocnym powietrzu. Między wybranym przez niego miejscem a gwiazdami był wielki głaz osadzony w świętej ziemi na zboczu góry. I kiedy tak patrzył z dziwnego miejsca poza własnym ciałem, ten gigantyczny głaz uwolnił się i zaczął toczyć się po stoku w stronę jego śpiącej postaci.

Hoka Ushte wrzasnął, ale jego śpiące ja się nie obudziło, bo krzyk był jak gwizd *wanagi*, ducha: cienki i wcale niepodobny do prawdziwego krzyku człowieka. A głaz pędził po zboczu w stronę jego skulonej i nic nierozumiejącej postaci, aż jedyne, co obserwujący Hoka Ushte mógł zrobić, to zamknąć oczy, żeby nie widzieć, jak jego śpiące ja jest miażdżone. Ale *nagi*, czyli jego duchowa postać, nie miała powiek, żeby je zamknąć, więc Hoka Ushte był zmuszony patrzeć, co się wydarzy.

Głaz zatrzymał się centymetry od śpiącego Hoka Ushte. Potem dobiegł głos, od głazu, od górskiego zbocza, od drzew i nawet od wiatru: *Odejdź, mały człowieku. Odejdź i zostaw to miejsce w spokoju. Dzisiaj nie ma tu dla ciebie wizji.*

Hoka Ushte obudził się gwałtownie. Prawie świtało. Głaz znajdował się we właściwym miejscu daleko na górskim stoku, duży kształt na tle błędnego nieba, a jedynym dźwiękiem był szum wiatru wśród sosen. Ale Hoka Ushte był wstrząśnięty wizją o braku wizji. Wstał, ciasno otulił kocem nagie ciało i poszedł na zbocze, starając się jednocześnie zachować ciepło i się rozbudzić.

Przez cały następny dzień słońce i wiatr były łagodne dla Hoka Ushte, ale nie pojawiły się inne wizje, a on rozważał, czy nie wrócić do Dobrego Pioruna i pozostałych z opowieścią o swojej nie-wizji. Postanowił, że tego nie robi. Pamiętał słowa Dobrego Pioruna o plemienu rozczarowanym, jeśli nie będzie wizji, ale i o mężczyźnie okrytym hańbą, jeśli wizja będzie nie do przyjęcia, a Hoka Ushte nie mógł się zdecydować, w której kategorii wizji o nie-wizji się znalazł. W każdym razie postanowił zostać, aż przyjdzie do niego lepsza wizja.

Gdy zapadła druga noc, po półtora dnia z czterech język Hoka Ushte był spuchnięty z pragnienia, brzuch bolał go z głodu. Wiatr był jeszcze zimniejszy tej drugiej nocy i Kulawy Borsuk sądził, że w ogóle nie zaśnie. Jednakże krótko przed wschodem słońca, kiedy mgły zaczęły unosić się z kanionu i oplatać białymi mackami drzewa porastające górski grzbiet, Hoka Ushte miał następujący sen:

Znowu był czystym duchem *nagi* i znowu unosił się nad miejscem, gdzie leżało jego uśpione ciało, dygoczące z zimna. Tym razem nie było żadnego głazu, ale Hoka Ushte zauważył, że pomiędzy drzewami w stronę jego śpiącej postaci zmiernają ciemne kształty. Te kształty poruszały się we mgle, aż ukazały się w formie niedźwiedzia – większego, niż Hoka Ushte kiedykolwiek widział albo sobie wyobrażał – pumy, jelenia – nie pierwszego lepszego jelenia, tylko *taha topta sapa*, świętego jelenia z czarnym pasem na pysku i pojedynczym ostrym rogiem wyrastającym z czoła – i borsuka. Widok borsuka dodał mu otuchy, ale Hoka Ushte szybko stwierdził, że to zwierzę nie jest kulawe i że ma nieprzyjemny wyraz pyska. Wyglądało jednocześnie na rozgniewane i głodne.

Hoka Ushte chciał krzyknąć do swojego śpiącego ja, żeby się obudziło i uciekało, ale już wiedział, że głos *nagi* jest zbyt słaby, żeby kogokolwiek czy cokolwiek obudzić. Tak więc Hoka Ushte patrzył.

Niedźwiedź, puma, jelen i borsuk powoli zbliżali się do śpiącego chłopca. Niedźwiedź był tak duży, że jedno uderzenie jego wielkiej łapy oderwałoby mu głowę. Puma była tak groźna, że jedno zaciśnięcie masywnych szczęk zgruchotałoby kości, tak że wypłynąłby z nich szpik. Róg jelenia był taki ostry, że przeszłyby śpiącego Hoka Ushte jak strzała myśliwego wątrobę bizona. A borsuk wyglądał na tak zaciekłego, że gdyby chwycił skórę na twarzy pechowego człowieka, zerwałby ją jednym pociągnięciem, podobnie jak babka ściągała śliską skórę z brzucha królika szykowanego do garnka.

Ale centymetry od śpiącego Siuksa zwierzęta się zatrzymały i znowu dobiegł głos ze wszystkich stron: *Odejdź, mały człowieku. Zostaw to miejsce w spokoju. Dzisiaj nie ma tu dla ciebie wizji.*

I wtedy Hoka Ushte obudził się z drżącym sercem, *lila čante xica*, przerażony *ocin xica*, rozwścieczonymi zwierzętami. Usiadł, owinał się kocem, sięgnął po fajkę, którą pożyczył mu Dobry Piorun, wolną ręką ścisnął *wagmuha* i czekał, aż wszędzie słońce i go ogrzeje, doda odwagi. Został i pościł cały długi dzień. I siedział tam nadal, kiedy znowu zapadła ciemność.

Noc była bardzo ciemna, żadnego księżycy, chmury zasłaniające gwiazdy, cichy śnieg topniejący w zetknięciu z górskim zboczem. Hoka Ushte zasnął wiele godzin przed tym, jak słońce obiecało rozjaśnić niebo.

Tym razem z jeszcze większą klarownością zobaczył siebie w jamie wizji i przez długi czas istniał tylko ten widok: chłopiec śpiący z fajką w zgięciu łokcia i z grzechotką w dłoni. Wyglądał jak dziecko, nawet w swoich oczach, i zastanawiał się, dlaczego poszedł na to głupie poszukiwanie wizji.

Potem ziemia wokół jamy poruszyła się i zafalowała, i zanim *nagi* zdołało krzyknąć ostrzeżenie śpiącemu Hoka Ushte, dół wypełnił się grzechotnikami. Dziesiątkami grzechotników, może setkami. Stare samce dłuższe od mężczyzny, krótkie i tłuste samice napęczniałe od jaj i jadu i niezliczone dzieci nie dłuższe od chłopięcego przedramienia, ale już uzbrojone w kły i grzechotki.

Tym razem Hoka Ushte obudził się gwałtownie i stwierdził, że sen nie zniknął wraz z otwarciem przez niego oczu. Był pokryty węzami. One były prawdziwe. Syczały, grzechotały, pluły i niemożliwie rozdziawiały paszcze centymetry od jego przerażonych oczu.

To twoja ostatnia szansa, mały człowieku, dobiegł głos, który Hoka Ushte tak dobrze znał ze swoich snów. *Odejdiesz z tego miejsca i zostawisz je w spokoju?*

Hoka Ushte niemal krzyknął: *Ohan!* i niemal wyskoczył z jamy rojącej się od węży, ale w ostatniej sekundzie przypomniał sobie, jaką hańbę będzie to

oznaczało dla jego dziadków i starców, którzy wyprawili go na *hanblečeya*. Zatem zamiast krzyknąć: „Tak!”, zamknął oczy, zacisnął zęby i gotowy umrzeć powiedział: „Nie!”.

Kiedy otworzył oczy, węże zniknęły. Chmury się rozwiały i na wszystko padało światło gwiazd. Było tak jasne, że Hoka Ushte czuł je na swojej skórze. Zamknął oczy. I zasnął.

W końcu przyszła prawdziwa wizja.

Hoka Ushte wrócił do szałasów potów, tak jak mu kazano. Czekali tam na jego powrót dwaj młodzi chłopcy i kiedy jeden pobiegł do obozu, żeby sprowadzić starszyznę, drugi rozpałił ogień, żeby nagrzać kamienie. Późnym rankiem sześciu starszych siedziało nago w parze i dymie i słuchało, jak Kulawy Borsuk opowiada o swoich przeżyciach.

Z początku Hoka Ushte myślał o tym, żeby nie mówić o swoich wizjach niewizjach, ale zanim wrócił z *Paha Sapa* do szałasów potów, postanowił powiedzieć całą prawdę i tylko prawdę.

Starcy siedzący w kręgu w szałasie potów chrząkali, kiedy Hoka Ushte opisywał sny o spadającym głazie i gniewnych zwierzętach, a kiedy dotarł do tej części, gdy walczył z grzechotnikami, które kazały mu odejść, sześciu mężczyzn wykrzyknęło jednocześnie:

– *Haye!*

– Ale wtedy przyszła do mnie wizja – powiedział Hoka Ushte. – Chyba.

Dobry Piorun podał mu fajkę, a kiedy młodzieniec się nią zaciągnął, stary *wičaša wakan* rzekł:

– *Washtay*. Opowiedz nam, *wičaša*.

I Hoka Ushte opisał swoją wizję tymi słowami:

– Kiedy grzechotniki zniknęły, byłem roztrzęsiony. Zamknąłem oczy i wtedy przyśnił mi się ten sen. Najpierw śniło mi się, że nie śpię, a jakiś głos powiedział do mnie: „Hoka Ushte, idź na szczyt góry. *Yuhaxcan cannonpa*. Weź swoją fajkę. Twoja fajka jest *wakan*. *Taku woecon kin iyuha el woilagyape lo. Ehantan najin oyate maka sitomniyan cannonpa kin he uywakanpelo*. Ona jest używana do robienia wszystkich rzeczy. Odkąd stojący ludzie znaleźli się na całej ziemi, fajka jest *wakan*”. Więc zabrałem fajkę na szczyt góry. A szczyt mojej góry wydawał się teraz dużo wyższy, niż zapamiętałem. I widziałem całe *Paha Sapa*, jakbym patrzył z *mahpiya*, z chmur. Ale widziałem również rzeczy z bliska... *hehaka*, łosia w lesie, ptaki na gałęziach, bobry w strumieniu, nawet owady

w trawie... było tak, jakbym dostał oczy *wanbli*, orła. Potem moimi nowymi oczami orła zobaczyłem *winy an*, kobietę, daleko w dolinie w *Paha Sapa*, ale wyraźnie widziałem jej czarne włosy, niezaplecione, z wyjątkiem kawałka warkocza po lewej stronie, związanego rzemykiem, a jej suknia była z białej koziej skóry i świeciła tak jasno, że przypomniała mi się opowieść dziadka o *Ptesan-Wi*, Kobięcie Białym Bizonie, która dała nam pierwszą *chanunpa* i która nauczyła ludzi wszystkiego, od używania fajki po modlitwę...

W tym momencie sześciu starszych poruszyło się, odchrząknęło, spojrzało po sobie przez parę i dym, bo Kobieta Biały Bizon była najświętszą ze wszystkich świętych istot, które ukazały się *Ikče Wičása*. Ale starcy zachowali milczenie i pozwolili Hoka Ushte mówić dalej.

– Jednak nie sądzę, żeby to była Kobieta Biały Bizon, z powodów, które wyjaśnię później we śnie – ciągnął Kulawy Borsuk, nie zwracając uwagi na czujny wzrok starców. Był zatopiony we własnej opowieści. – Ale podążyłem za nią wzrokiem, aż weszła do jaskini głęboko w *Paha Sapa*. A potem wydarzyła się dziwna rzecz... – Chłopiec zamknął oczy, jakby próbował wyraźniej ujrzeć obraz ze snu. – Zobaczyłem, że *Paha Sapa* zaczynają drzeć, jakby były futrem bizona, które wytrzepuje jakaś kobieta. Zobaczyłem, że drzewa się gną, ptaki fruwały, skały spadają do kanionów. Zobaczyłem, że strumienie przestają płynąć, kiedy ziemia się podniosła, a potem opadła z powrotem pod nurt rzeki. Zobaczyłem, jak toczą się duże głazy, w ziemi otwierają się pęknięcia...

Wydawało się, że sześciu starych mężczyzn przestało oddychać, czekając na dalsze słowa Hoka Ushte.

– ...a potem, trudno to opisać, ale ziemia rozłożyła się wzdłuż grzbietów, jakby Babka Ziemia rodziła, i z gleby wysunęły się cztery ogromne kamienne głowy, aż zrobiły się wyższe niż góra, znad której to wszystko obserwowałem. Ich kamienne oczy patrzyły na mnie, a ja patrzyłem na nie swoimi orlimi oczami. I myślę, że to były głowy *Wasicun*...

Dobry Piorun odchrząknął.

– Dlaczego myślisz, że to byli *Wasichu*? – zapytał, używając innego słowa określającego Tłustych Złodziei, białych ludzi.

Hoka Ushte zamrugał, jakby otrząsał się ze snu.

– Nigdy nie widziałem *Wasicun*, ale *tunkashila* Jastrząb Dobry Głos opisał ich, że czasami mają włosy na twarzy, a dwie z tych kamiennych głów je miały... jedna na brodzie, druga pod nosem, jak małe skrzydło wróbla.

Sześciu starych mężczyzn spojrzało po sobie i odchrząknęło.

– W tych kamiennych twarzach było również coś, co mnie przestraszyło w taki sposób, jak przerażało mnie wołanie babci „choź-do-tipi-juź-wieczór, kiedy krzyczała: *Hoka Ushte, istima ye, Wasicun anigni kte*...

Starzy wojownicy się uśmiechnęli. Oni też słyszeli swoje matki i babcie, nakazujące dzieciom wracać i iść spać albo straszące, że przyjdą biali ludzie i je zabiorą do swoich domów. Dzieci nie bały się *wanagi*, duchów, ani *ciciye* czy zjaw *siyoko*, ale groźba *Wasicun* zawsze działała.

– Pomyślałem więc, że te wielkie kamienne głowy, które urodziły się w *Paha Sapa*, to *Wasicun*. Ale to nie koniec mojego snu. – Hoka Ushte zaczął się wiercić, jakby nie miał ochoty opowiadać dalej.

Starcy czekali.

– Potem śniło mi się, że zszedłem do doliny i ruszyłem do jaskini, do której weszła tamta piękna kobieta – powiedział Hoka Ushte zduszonym głosem. –

I był w niej ogień, który oświetlał suche miejsce z pięknymi białymi futrami rozłożonymi na podłodze...

Mężczyźni znowu chrząknęli na myśl o białych skórah бизона. Hoka Ushte nie zwrócił na nich uwagi.

– ...a na jelenim rogu osadzonym w ścianie wisiała suknia ze lśniącej białej kozłowej skóry i... – Hoka Ushte oblizał wargi i wziął oddech. – I na tych futrach przy ogniu spały trzy piękne kobiety. Były nagie, ich skóra lśniła niemal pomarańczowo w blasku ognia, a włosy były takie błyszczące, że odbijały światło.

Znowu umilkł.

– Mów dalej – rzucił surowo Dobry Piorun.

– Tak, *ate*. W moim śnie wszedłem cicho do jaskini i ukląknę na futrze przy trzech śpiących kobietach, a one się nie obudziły. Ja... cieszyłem się patrzeniem na ich piersi i gładką skórę, ale nie byłem pewien, którą wybrać, żeby to z nią zrobić, bo byłem pewien, że ta, z którą... z którą...

– *Tawiton* – powiedział stary Trudno Zabić. – Pieprzyć. – Stary wojownik nie miał czasu na subtelności.

– *Ohan* – potwierdził Hoka Ushte. – Byłem pewien, że ta, z którą będę *tawiton*, obudzi się, krzyknie i obudzi pozostałe dwie. Postanowiłem więc wybrać najpiękniejszą z tych trzech, ale one były... były jak jedna i ta sama kobieta. – Kulawy Borsuk zrobił pauzę i otarł pot ściekający mu z czoła i nosa.

Oinikaga tipi, szalas potów, był bardzo gorący i zadymiony, tak że kręciło mu się w głowie, jakby nadal latał nad *Paha Sapa* w swoim śnie, a sześciu starców pochylających się ku niemu w parnej ciemności było tylko przedłużeniem obrazów z jego snu. W tym momencie był również pewien, że jego sen jest jedynie kolejną z brudnych fantazji i nigdy nie zostanie dobrze przyjęty. Albo gorzej. Tę wizję zesłały mu *wakinyan*, Grzmiące Istoty, a on spędzi resztę życia jako żalony *heyoka*.

Ale Kulawy Borsuk nie widział, co innego mógłby zrobić, jak tylko mówić dalej.

– Kiedy już miałem wybrać kobietę, usłyszałem dźwięk. To był cichy, zgrzytający, skrobiący dźwięk. Pochyliłem się i zrozumiałem, że dochodzi on z... z...

– Mów dalej! – rozkazał Próbuje Być Wodzem.

– Z *winyafi sha* każdej kobiety – wyszeptał Hoka Ushte. – Z jej seksu. Ze wszystkich ich seksów...

Kilku starych mężczyzn odchyliło głowy do tyłu, jakby Hoka Ushte nasikał na ceremonialne kamienie. Ścigany Przez Pająki położył dłoń na oczach. Dobry Piorun zachował beznamietną twarz.

– Mów dalej.

– Nachyliłem się niżej... – powiedział Hoka Ushte; pot lał się teraz z niego obficie – ...i zobaczyłem, że włosy najbliższej kobiety są bardzo miękkie, a wargi jej *winyan shan* pełne, miękkie i lekko rozchylone...

Chłopiec energicznie pokręcił głową, żeby strząsnąć pot z oczu. Uświadomił sobie, że jego przyszłość zależy od tej wizji i że starcy muszą być teraz wściekli i wstrząśnięci. Mimo wstydlowości wobec płci przeciwnej *Ikče Wičša* nie byli pruderyjni – zarówno mężczyźni, jak i kobiety cieszyli się we własnym kręgu sprośnymi opowieściami i wulgarnymi żartami – ale Hoka Ushte nigdy nie słyszał o takiej wizji jako o części *hanblečeya*. Nie miał jednak innego wyjścia, jak brnąć dalej.

– A w środku, między wargami jej *winyan shan*, zobaczyłem lśniące zęby – wyszeptał.

– Zęby! – wykrzyknął Trudno Zabić z obrzydzeniem na starej twarzy. – Hnnrrrh! – zaryczał jak rozgniewany niedźwiedź.

– Zęby – potwierdził Hoka Ushte. – Spojrzałem na seks pozostałych dwóch kobiet i one też miały zęby. Widziałem je. Słyszałem, jak zgrzytają cicho, jak mój dziadek zębami we śnie.

Dobry Piorun wylał więcej wody na kamienie. Para zasyczała i zakłębiła się wokół nich.

– To cały sen?

– Z którą zrobiłeś *tawiton*? – spytał gderliwie Trudno Zabić.

– Nie wiem. – Hoka Ushte odpowiedział najpierw na drugie pytanie. – Wiedziałem, że muszę wybrać i że to ważne, żebym był z tylko jedną kobietą, ale potem w moim śnie znowu znalazłem się na zewnątrz, w niebie, nad *Paha Sapa*, i patrzyłem na kamienne twarze groźnych *Wasicun* swoimi orlimi oczami. I zerwał się wiatr, a ten wiatr był głosem, który powiedział...

– Co? – ponaglił go Grzmiące Dźwięki swoim głębokim głosem herolda.

– Skończ – rozkazał Drewniany Kubek. Kikut jego ręki uciętej przez Szoszonów prawie trzy dekady wcześniej połyskiwał niemal różowo w świetle rozżarzonych kamieni.

– Głos powiedział, że muszę wybrać jedną i tylko jedną – odparł Hoka Ushte. – I że muszę patrzeć jedynie okiem serca. I ten głos powiedział, że nie wolno mi tego zrobić, póki nie zostaną oczyszczony przez Grzmiące Istoty i nie narodzę się po raz drugi.

Starcy zamamrotali do siebie.

– Jest coś więcej? – zapytał Dobry Piorun.

– Tak. Głos powiedział, że po tym, jak narodzę się po raz drugi, otrzymam dar od *Wasichu*, z którego uleciał duch.

Trudno Zabić prychnął.

– Dostać dar od martwego białego człowieka? To nie ma sensu.

Hoka Ushte pokiwał głową.

– Gdybyś pieprzył którąś z tych kobiet, straciłbyś kutasa – zaburczał Trudno Zabić. Spojrzał między nogi Hoka Ushte. – Ale to musiał być twój *nagi che*, duchowy kutas.

– Myślę, że te trzy kobiety były tylko jedną, a ona była *winyan sni* – stwierdził Próbuje Być Wodzem. – Kobieta-która-nie-jest-kobietą.

Ścigany przez Pajaki otworzył usta, ale Dobry Piorun dotknął jego ramienia i go powstrzymał:

– Cisza! Chłopiec nie jest *tanyersi yaguna*. Nie jest całkiem skończony. Mów dalej, Kulawy Borsuku.

– Zamierzałem tylko powiedzieć, że na koniec mojego snu zobaczyłem ludzi wychodzących z jaskini, w której byłem. Jaskini, do której weszła jedna kobieta, a trzy spały. – Głos Hoka Ushte był matowy ze zmęczenia. – Widziałem, jak wychodzicie wy i moi dziadkowie, wszyscy z naszego obozu i inni: Oglala, Lakota. Brule, Miniconjou, chyba Sans Arc i Yanktonai, sądząc po piórach. Wrony, Susuni, Shahiyela. Było wiele plemion i kiedy ludzie z każdego narodu wychodzili, dołączali do innych i roili się jak mrówki na kamiennych twarzach *Wasicun*. I wtedy się obudziłem, *ate*, ale zanim opuściłem swój sen, zobaczyłem, że kamienne twarze kruszą się jak nagromadzony piasek w suchym korycie rzeki. A potem wszyscy *Ikče Wičša* i inne plemiona rozeszły się wśród drzew *Paha Sapa*... a potem się obudziłem i nie zobaczyłem już nic więcej.

Starcy nie odzywali się po tym, jak Hoka Ushte przestał mówić, ale w końcu Dobry Piorun rzekł:

– Mój synu, myślę, że to była wizja, i myślę, że to nie była wizja *wakinyan*, nie wezwanie od Grzmiących Istot, ale chcę, żebyś teraz przysiągł, że ta wizja

była prawdziwa. Przysięgnij na ból śmierci z rąk samych Grzmiących Istot i pamiętaj, że trzymasz fajkę.

Hoka Ushte nie zamrugał.

– *Na ecel lila wakinyan agli – wakinyan namahon* – przysięgł.

Nie było błyskawicy i Grzmiące Istoty go nie zniszczyły.

Dobry Piorun pokiwał głową.

– *Washtay*. Wracaj do obozu i tipi swojego dziadka i się prześpij. My, sześciu starców, porozmawiamy o tym wszystkim i zobaczymy, czy zrozumiemy. – Wziął fajkę z ręki Hoka Ushte. – *Mitakuye oyasin*. Wszyscy moi krewni.

I ceremonia dobiegła końca.

Hoka Ushte poszedł do domu z dziadkiem, zjadł trochę zupy swojej babki, choć nie miał apetytu po czterech dniach postu, wypił dużo wody, przespał kilka godzin, obudził się po południu, wycieńczony i oszołomiony, a potem przespał jeszcze piętnaście godzin. Dobry Piorun i inni starcy wrócili do obozu następnego ranka. Jastrząb Dobry Głos poszedł porozmawiać z *wičaśa wakan*, a Hoka Ushte siedział przy wejściu do tipi dziadka i czekał, żeby usłyszeć, jaki kierunek obierze reszta jego życia.

Jastrząb Dobry Głos i Dobry Piorun wrócili razem kilka godzin później, a serce Hoka Ushte zamarło na widok ich ponurych twarzy.

Dziadek położył kościstą dłoń na jego ramieniu.

– Starsi nie byli w stanie się zgodzić, co oznacza twoja wizja – powiedział. –

Dobry Piorun uda się do Bear Butte, żeby znaleźć innych *wičaśa wakan*, żeby pomogli mu zrozumieć to wszystko.

Ramiona Hoka Ushte opadły.

– *Heya!* – Dziadek uderzył go w ramię. – Oni są pewni, że to prawdziwa wizja.

– A ja jestem pewien, że nie od Grzmiących Istot – wtrącił Dobry Piorun. – Nie jesteś *heyoka*.

Hoka Ushte się rozpromienił.

– Święci mężowie *Ikče Wičaśa* z Yanktonai, Oohenunpa, Hunkpapa i Miniconjou spotykają się na świętej górze w kształcie niedźwiedzia na północy *Paha Sapa* – wychrypiął Dobry Piorun. – Dołączę do nich.

Hoka Ushte zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz, że święci mężowie tych plemion tam się spotykają, *ate?* – W wiosce od miesięcy nie było gońców ani gości.

Dobry Piorun skrzyżował ramiona.

– Jestem *wičaša wakan*. – Jego ton stał się trochę lżejszy. – Jeśli twoja wizja oznacza, że masz zostać świętym człowiekiem, ty również zrozumiesz te rzeczy pewnego dnia, Kulawy Borsuku. *Heceutu!* Teraz ruszam.

Zjawiła się duża część obozu, żeby zobaczyć, jak stary Dobry Piorun z dwoma adoptowanymi wnukami, Tłustym Koniem i Czeka nad Wodą, wyrusza w swoją misję. Jazda do Bear Butte miała potrwać dwa dni i mogło minąć kilka kolejnych, zanim inni święci mężowie znajdą czas, żeby spotkać się z Dobrym Piorunem, by zrozumieć znaczenie jego wizji. Tymczasem Hoka Ushte zajął się własnymi sprawami w obozie, ale wkrótce zauważył, że zmieniła się postawa wobec niego. Wojownicy w jego wieku, którzy traktowali go z pewną pogardą za to, że do nich nie dołączył, teraz uprzejmie kiwali mu głową albo zatrzymywali się, żeby porozmawiać; stare kobiety uśmiechały się do niego otwarcie, a młode żony zerkały na niego kątem oka. Biegnące Cielę też kiwała mu głową i uśmiechała się, kiedy szła z bukłakiem do strumienia. Hoka Ushte uświadomił sobie, że oni wszyscy już nie patrzą na siedemnastoletniego młodzieńca, ale na przyszłego świętego człowieka obozu.

Tak działo się przez dwa dni nieobecności Dobrego Pioruna. I mogłoby trwać do powrotu prawdziwego *wičaša wakan*, gdyby Stojący Pusty Róg i Głośna Kobieta nie zaczęli wstępnego świętowania małżeństwa córki z młodym mężczyzną, który właśnie odbył swoją *hanblečeya*.

Zaczęła Głośna Kobieta, mówiąc wszystkim, że jej córka wyjdzie za Hoka Ushte, gdy tylko Dobry Piorun wróci, żeby związać rzemienie. Kiedy babka Kulawego Borsuka cmoknęła na tę nowinę, chłopiec zapytał:

– Nie jesteś zadowolona, babciu?

Stara kobieta nie oderwała wzroku od swojego zajęcia, przepychania sztydłem ścięgien przez skórę.

– To niewłaściwa rzecz. Dziewczyna od dwóch miesięcy nie poszła do *isnati*.

Hoka Ushte się zarumienił i opuścił wzrok, tak był poruszony. Nie mógł uwierzyć, że jego babka mówi o *isnati*. Czas kobiecego krwawienia był uważany zarówno za święty, jak i przerażający. Kobieta musiała się izolować przez cztery dni *isnati*, głównie z powodu strachu innych przed jej mocą, a nie dlatego, że był jakiś sens w jej przepędzaniu. Hoka Ushte nie rozumiał *isnati*, ale nawet on wiedział, że kobieta w tym czasie może zabić grzechotnika, plując na niego. *Wičaša wakan*, który próbował leczyć kobietę w czasie *isnati*, mógł przypadkiem zabić siebie i ją, tak wielka była wtedy kobieca moc.

Te rzeczy Hoka Ushte rozumiał, ale nie miał pojęcia, dlaczego to problem, że Biegnące Cielę od dwóch księżyców nie była *isnati*. Czy to nie było dobrze? Postanowił zignorować uniki babki i skupić się na nowo zyskanej popularności.

Kiedy Głośna Kobieta rozgłosiła wieść, że jej córka i wnuk Jastrzębia Dobrego Głosu wkrótce się pobiorą, jej mąż Stojący Pusty Róg skomplikował sprawę, robiąc *otuhan*. W czasie *otuhan* dumny ojciec rozkłada koc i rozdaje z niego cenne dary, żeby uhonorować dziecko. W tym wypadku zwykle gburowaty Stojący Pusty Róg oddał swój drugi najlepszy nóż, osłonę na łuk z jeleniej skóry, najlepszą derkę na konia i inne rzeczy, żeby uczcić przyszłe małżeństwo.

Hoka Ushte zaczął odczuwać niepokój. Rzeczy działały się zbyt szybko.

Jego nerwowość wzrosła czwartego dnia, kiedy Stojący Pusty Róg wydał ucztę i nazwał Hoka Ushte gościem honorowym. Zaproszona została większość mężczyzn z wioski. Stojący Pusty Róg jeszcze bardziej podkreślił ważność uczyty, głównym daniem czyniąc zupę z psa. Poświęcenie dla innego człowieka dobrego przyjaciela takiego jak pies było uważane niemal za *wakan*. Oczywiście Stojący Pusty Róg nie miał własnego psa i musiał kupić szczeniaka od Wysokiego Konia, syna Ściganego Przez Pająki, ale liczył się pomysłem.

Uczta trwała przez dużą część czwartej nocy od wyjazdu Dobrego Pioruna, ale Hoka Ushte był zbyt zdenerwowany, żeby się nią cieszyć. Ledwo się uśmiechnął, kiedy sześciu wojowników dobrało się w dwa zespoły do zawodów w jedzeniu jelit bizona, w których każda drużyna zaczyna od przeciwnego końca długiego sznura surowych wnętrzności i żuje je, przesuwając się w stronę środka. Starsi wojownicy wrzeszczeli, kiedy współzawodniczący wojownicy musieli się zatrzymać i beknać po posiłku złożonym z na pół przetrawionej i całkowicie sfermentowanej trawy wypełniającej jelita. Później, kiedy przyszła kolej na zupę, Hoka Ushte trafiła się głowa szczeniaka. Było to uważane za szczęście i bardzo dobry znak dla przyszłego małżeństwa, ale wrażenie Kulawego Borsuka, że to wszystko jest przedwcześnie, uczyniło go bardziej nerwowym niż wdzięcznym. Docenił jednak posiłek. Zupa z psa zawsze była dla niego przysmakiem, a głowa szczeniaka okazała się pyszna.

Następnego ranka wrócił Dobry Piorun ze swoimi adoptowanymi wnukami i skończyły się celebracje. Rozgniewany *wičaša wakan* wezwał Hoka Ushte i większość starszych z wioski na spotkanie po południu w jego tipi. Gdy dokonano stosownych ofiar i puszczono w ruch fajkę, święty człowiek rzekł:

– Inni *wičaša wakan* czekali na mnie w Bear Butte. Prorok Pije Wodę miał wizję mojego przyjazdu z ważną wiadomością. Od razu udaliśmy się do szalasu potów. Oprócz proroka Pije Wodę byli tam *wičaša wakan* Drzazga, Brat Garbusa, Odmawia Odejścia, Ognisty Piorun i Święty Czarny Ogon Jelenia.

W tym momencie mężczyźni obecni w tipi Dobrego Pioruna głośno wciągnęli powietrze, bo byli to najsłynniejsi święci mężowie *Ikče Wičaša*.

– Opowiedziałem im o wizji Hoka Ushte, a oni palili i medytowali – ciągnął Dobry Piorun monotonnym głosem. – Po kilku godzinach ją zrozumieliśmy.

Cisza w tipi była gęsta jak dym.

– Wizja Kulawego Borsuka jest prawdziwa i ważna – powiedział święty człowiek tonem nadal zagniewanym. – Pije Wodę potwierdza, że to sen *wakinyanpi*... że Hoka Ushte został wybrany na *waayatan*, na proroka, żeby zanieść wieść wszystkim ludom *Ikče Wičaśa*.

Hoka Ushte położył dłonie na futrze pod sobą, żeby siedzieć prosto. Od dymu kręciło mu się w głowie, tak że był bliski omdlenia. Zobaczył, że jego dziadek mruga zaskoczony, a Stojący Pusty Róg nadyma się z ważności. Będę *wičaśa wakan*, pomyślał chłopak. Biegące Ciele będą miały świętego człowieka za męża.

Dobry Piorun wciągnął dym z plemiennej fajki, jakby wzmacniał się przed tym, co musiał powiedzieć.

– Wizja Hoka Ushte jest prawdziwym spojrzeniem z *cante ista*. Z oka serca. Ona oznacza, że *Wasichu*, *Wasicun*, pewnego dnia nas najadą. Tłusci Złodzieje zabiorą nasze życie na równinach, zabiorą bizony, zabiorą naszą broń, ukradną *Paha Sapa*, nasze święte Góry Czarne. Kamienne głowy *Wasicun* właśnie to oznaczają. *Tunkan*, duch kamienia, który był obecny przy stworzeniu i który daje nam *Inyan*, święte skały, zesłał nam wizję. Nie ma przed nią ucieczki. Czas *Ikče Wičaśa* jako prawdziwych wolnych ludzi prawie się skończył...

Mężczyźni w tipi wykrzyczeli swój gniew i niezgodę, nie zważając na maniery i przerywając Dobremu Piorunowi.

– Nie! – krzyczeli i mamrotali: *sica!* – źle! – a jeden wojownik szepnął, że Dobry Piorun jest *witko*, szalony.

– Cisza! – rzekł święty człowiek i choć nie podniósł głosu, całe tipi zadrżało od siły jego rozkazu. W nagłej ciszy powiedział: – To nie jest dobra wiadomość, ale prawda. Przez cały dzień inni święci mężowie i ja szukaliśmy swoich wizji, mając nadzieję wbrew nadziei, że *Iktome* albo Kojot nas oszukują, doprowadzają do głupoty fałszywymi wizjami. Ale głos *Wakan Tanka* był słyszany przez każdego z nas... to jest prawda. *Wasicun* zabiorą nasze życie, konie, wolność i przyszłość. Wielkie kamienne głowy to przepowiadają. Życie prawdziwych wolnych ludzi, jakie znamy, będzie skończone. Starte. Ale... – Dobry Piorun uniósł rękę, żeby uciszyć pomruki. – Ale jest pewna nadzieja w wizji Hoka Ushte.

Sam Hoka Ushte był w tym momencie ledwo świadomy. Wydawało się, że straszna wiadomość, którą przyniósł, i spojrzenia innych mężczyzn znajdują się na końcu długiego tunelu. Położył dłonie mocniej na ziemi, żeby się nie przewrócić.

– Kobieta z wizji to nie Kobieta Biały Bizon, ale pochodzi z tego samego miejsca co Kobieta Biały Bizon i może być jej siostrą – ciągnął święty człowiek.

Na końcu swojego ciemnego tunelu Hoka Ushte pomyślał zamroczony: *Ale w moim śnie były trzy kobiety, ate.*

Dobry Piorun odwrócił głowę. Spojrzenie jego starych czarnych oczu wpiło się w Kulawego Borsuka.

– We śnie były trzy kobiety, ale tak naprawdę jest tylko jedna... siostra Kobiety Biały Bizon w lśniącej szacie. Pozostałe dwie kobiety z jaskini oznaczają złe strony tego ducha, złe strony, które chcą nas ukarać, a prawdziwa siostra Kobiety Biały Bizon przyniesie nam ratunek.

Skąd będę wiedział, która kobieta nas uratuje? – Hoka Ushte już wierzył, że stary święty człowiek czyta w jego myślach.

Dobry Piorun odchrząknął i rozejrzał się po kręgu czerwonoookich mężczyzn.

– Ognisko we śnie Hoka Ushte to *peta-owihankeshni*, ogień bez końca, ten sam, który był podtrzymywany w tej plemiennej fajce, odkąd Kobieta Bizon odwiedziła nas dawno temu. Obecność tego płomienia we śnie jest dobra. Oznacza, że *Ikče Wičaśa* przetrwają i będą przekazywać płomień z pokolenia na pokolenia. Jeśli Kulawy Borsuk dokona właściwego wyboru...

Jak, ojcze? – zapytał w myślach Hoka Ushte, już rozumiejąc, że ten wybór należy do niego i że los jego ludu znajduje się w jego słabych rękach. *Jak?*

– Dym z ogniska we śnie Hoka Ushte to był oddech *tunkashila*, i to jest dobre – ciągnął święty człowiek, najwyraźniej nie słysząc rozpaczliwych myśli chłopca. – To żywy oddech Dziadka Tajemnicy. – Odwrócił się i znowu spojrział na Hoka Ushte. – I jeśli wybierzesz właściwie, koniec snu będzie taki, jaki zobaczyłeś: prawdziwi wolni ludzie znowu będą wolni. *Wasicun* zostaną przewróceni i rozsypią się w proch tak jak ich kamienne głowy w twoim śnie. Bizon wróci, *Paha Sapa* będą należeć do ludzi, którzy je kochają, a *Ikče Wičaśa* będą znowu chodzić swoimi drogami w świetle słońca.

Wszyscy popatrzyli na Hoka Ushte, ale to Jastrząb Dobry Głos zapytał:

– Kiedy to się stanie, ojcze?

Dobry Piorun zamknął oczy, jakby był zmęczony.

– Wybór musi zostać dokonany za życia tego chłopca. Wiek Kamiennych Głów zacznie się za życia naszych dzieci. Nasz powrót z jaskini wygnania... – Starzec westchnął. – Nie wiem. Nie mogliśmy zajrzeć tak daleko w ten sen ani w przyszłość.

– Księżycy? – rzucił Bez Tipi, dzielny wojownik, który nigdy nie był zbyt bystry.

Ścigany Przez Pająki prychnął.

– W czasach naszych dzieci – powtórzył. – Lata, *ate?*

Dobry Piorun nadal miał zamknięte oczy.

– Może setki lat. Może sto setek. Może nigdy. – Otworzył oczy. – To zależy od wyboru Hoka Ushte.

Młody mężczyzna spojrział z powrotem w te wszystkie oczy: wstrząśnięte, oskarżające, ciekawe, gniewne. Chciał powiedzieć: „Nie wybrałem tej wizji”.

– Ale jego dziadek i ja wybraliśmy dla niego żonę – odezwał się Stojący Pusty Róg. – Będzie nią Biegnące Ciele.

Dobry Piorun machnął lewą ręką.

– To nie będzie Biegnące Ciele. Ten sen pokazuje to jasno.

Stojący Pusty Róg wstał, zaklął, uderzył w ścianę tipi i powiedział:

– Ale ja urządziłem Wielkie Rozdawanie!

Zobaczył stanowczość w oczach Dobrego Pioruna i w gniewie wyszedł z tipi.

Hoka Ushte westchnął. Teraz zrobił sobie wroga z najbardziej gwałtownego mężczyzny w obozie. A wszystko dlatego, że jego narząd do robienia dzieci chciał stać prosto jak pień sosny.

– Możemy coś zrobić? – zapytał Trudno Zabić. – Co ludzie mogą zrobić, żeby zmienić tę wizję?

Spojrział na Kulawego Borsuka, a chłopiec usłyszał niewypowiedziane pytanie: *Dać ten wybór komuś innemu?*

– Nie – uciał Dobry Piorun.

Hoka Ushte oblizał wargi i odezwał się po raz pierwszy.

– Muszę iść na następną *hanblečeya, ate?*

– Nie – powtórzył Dobry Piorun. – Ale inni święci mężowie i ja uważamy, że powinieneś mieć czas *oyumni*.

Hoka Ushte przygryzł wargę. *Oyumni* nie było poszukiwaniem wizji, a jedynie czasem wędrówki. Poczul się smutny i przerażony na myśl o opuszczeniu obozu i dziadków.

Potem, mimo że w sercach siedzących tam mężczyzn było tysiąc pytań i dziesięć razy więcej w przerażonym sercu Hoka Ushte, Dobry Piorun odłożył fajkę i rzekł:

– *Mitakuye oyasin*. Wszyscy moi krewni.

I narada dobiegła końca.

Hoka Ushte nie spał następnej nocy. Wszyscy w obozie patrzyli na niego dziwnie po ceremonii wyjaśniania wizji z Dobrym Piorunem. Nawet dziadkowie spoglądali na chłopca, jakby przyszedł dziwny duch, żeby z nimi zamieszkać. To

wszystko jest tylko złym snem, pomyślał Hoka Ushte, ale kiedy się obudził następnego ranka, spojrzenia nadal były, ciężar odpowiedzialności nadal spoczywał na jego barkach, a wizja nie była snem.

Później tego ranka dziadek znalazł go siedzącego na skale w pobliżu strumienia i powiedział:

– Jesteś dziś po południu zaproszony na posiłek do tipi Stojącego Pustego Rogu.

Hoka Ushte poczuł, że jego serce przyspiesza.

– Muszę iść, dziadku? Stojący Pusty Róg przeraża mnie swoim gniewem.

Jastrząb Dobry Głos zrobił gest ręką.

– Stojącego Pustego Rogu nie ma. Wyjechał dziś rano, żeby polować na bizona. Jest bardzo zły.

Hoka Ushte poczuł falę szczęścia.

– Czy to Biegnące Cielę mnie zaprosiła?

Dziadek wzruszył ramionami.

– Głośna Kobieta dała mi zaproszenie. Nie wiem, czy jej córka tam będzie.

Hoka Ushte zgarbił się na myśl o posiłku ze starą kobietą o ostrym dziobie.

– Muszę iść?

– Tak – powiedział dziadek. – I ubierz się porządnie. Włóż koszulę z koralikami i frędzlami na rękawach.

Dwie godziny później Hoka Ushte pojawił się w tipi Stojącego Pustego Rogu. Miał na sobie najlepszy strój z koralikami i frędzlami na rękawach. Stojącego Pustego Rogu nie było. Biegnącego Cielęcia nigdzie nie było widać. Tylko Głośna Kobieta siedziała przy garnku i kroїła warzywa. Pokazała mu gestem futro rozłożone przy ogniu i się uśmiechnęła. Hoka Ushte nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział, jak staruszka się uśmiecha.

– Jestem zaszczyczona, że poszukiwacz wizji przyjął moje zaproszenie – powiedziała kobieta, nadal się uśmiechając.

Hoka Ushte poczuł się zakłopotany. Czy ona była sarkastyczna? Kobiety *Ikče Wičáša* są znane ze swojego sarkazmu i ostrych języków. A żaden język nie był ostrzejszy niż język tej wiedźmy. A może próbowała mu się przypodobać, teraz, kiedy był sławny?

– Twoje zaproszenie to dla mnie zaszczyt – rzekł Hoka Ushte, decydując się na uprzejmość.

Głośna Kobieta nadal się uśmiechała i nadal kroїła rzepeę. Używała dużego noża do skórowania.

– Co gotujesz? – zapytał uprzejmie.

– Zgadnij.

– *Timpsila* – powiedział Hoka Ushte, ponieważ widział, że do garnka trafia tylko rzepa.

– Nie. – Głośna Kobieta wrzuciła ostatnie kawałki rzepy do wrzącego wywaru. – Zgaduj jeszcze raz.

Hoka Ushte pomasaował policzek.

– *Wojapi?* – Lubił zupę z jagód, ale nigdy wcześniej nie jadł jej z rzepą.

Głośna Kobieta uśmiechnęła się, ale pokręciła głową.

– Nie. Ale to będzie *It la washtay*. Bardzo dobre. Chcesz zgadywać znowu czy mam ci powiedzieć?

– Powiedz – zdecydował Kulawy Borsuk. Czuł się skrępowany przy tej kobiecie.

– To *itka*, zupa jajeczna.

– Aha – mruknął Hoka Ushte. *Zupa jajeczna?*

Głośna Kobieta wstała, a jej uśmiech stał się szerszy.

– Tak, twoje *itka* – zanuciła. – Twoje jaja. Twoje *susu*. Twoje jaja. – I skoczyła na Hoka Ushte z dzikim okrzykiem.

Chłopiec miał tyle przytomności umysłu, żeby złapać ją za nadgarstek, zanim opadł na niego nóż do skórowania. Oboje potoczyli się po futrach i gołej ziemi. Głośna Kobieta syczała i wrzeszczała jak Grzmiąca Istota, a Hoka Ushte zaciskał zęby i walczył o to, żeby zachować *susu*. Głośna Kobieta przecięła klapkę jego przepaski biodrowej, a on uderzył ją mocno pięścią w szczękę. Głośna Kobieta poleciała do tyłu, nóż pofrunął, obracając się, w wysoką trawę, a ona padła ciężko na ognisko, wrzasnęła i odtoczyła się na futra bizona. Żar nadal jarzył się na jej włosach i koszuli z jeleniej skóry.

Niedobry sposób traktowania teściowej, pomyślał Hoka Ushte, otrzepując się z kurzu. Nie, teraz to już nie moja teściowa.

Wrócił do tipi dziadków. *Tunkashila* i *unci kunshi* czekali na niego na zewnątrz. Babcia miała łzy w oczach.

– Chyba wyruszę teraz na *oyumni* – oznajmił Hoka Ushte.

Oboje pokiwali głowami. Dziadek miał już przygotowanego konia. Łuk, strzały, nóż, sakiewka z lekami i zapasowe mokasyny leżały zawinięte w tobołek na końskiej derce. Babcia dała mu worek z *papa* i *wasna*, jedzeniem na podróż.

– *Toksha ake wacinyanktin ktelo* – powiedział dziadek, dotykając jego przedramienia. *Zobaczymy się znowu*.

Hoka Ushte uściskał dziadków, wskoczył na konia i wyjechał z obozu pod spojrzeniami wielu ludzi. Uznał, że będzie najlepiej, jeśli znajdzie się daleko, kiedy Głośna Kobieta się ocknie; najlepiej, żeby był jeszcze dalej, gdy Stojący Pusty Róg wróci z polowania na bizona.

I w ten sposób Hoka Ushte rozpoczął swój *oyumni*. Czas wędrówki.

W porządku, widzę, że zmieniasz taśmę, i wiem, że to nie będzie nagrane, ale chcę ci coś wyjaśnić, kiedy będziesz grzebał w tej maszynie.

Kiedy opisuję świat, w który Hoka Ushte pojechał samotnie, może rozpoznasz niektóre miejsca, ponieważ znasz te części Dakoty Południowej. Ale mylisz się. Góry Czarne, które Hoka Ushte odwiedził w czasie *hanblečeya*, nie są tymi, przez które dzisiaj możesz przejechać. I nie dlatego, że nie było wtedy żadnych kamiennych głów, miast, autostrad, rancz, ogrodów zoologicznych z grzechotnikami, pracowni wypychania zwierząt, sklepów z indiańskimi pamiątkami, kasyn ani kempingów. Nie, *Paha Sapa* były innym miejscem. *Wasicun* przynoszą coś więcej niż gówniane sklepiki z pamiątkami i ogrodzenia z drutu kolczastego, przynoszą ciemność i kiepski zapach, zasłaniający słońce, które świeciło na Góry Czarne, kiedy Hoka Ushte miał swoją wizję.

Równiny i skaliste pustkowia, które Hoka Ushte ma odwiedzić w mojej opowieści, też nie są takimi równinami i skalistymi pustkiewiczami, po których mogłeś jeździć. Nie chodzi tylko o to, że dzisiaj Wysokie Równiny są podzielone, ogrodzone płotami i przecięte drogami powiatowymi, krajowymi i międzystanową, ani że są zaśmiecone miasteczkami *Wasichu*, gównianymi osiedlami albo domkami kempingowymi ciągnącymi się wzdłuż autostrady, podobnie jak pustymi puszkami lśniącymi w słońcu.

Nie, różnica nie polega na tym, że świat wtedy był pusty, a dzisiaj jest pełen śmieci Tłustego Złodzieja. Tak. Świat, przez który Hoka Ushte jechał na koniu majowego popołudnia tak dawno temu, był rzadko zaludniony – człowiek mógł jechać przez wiele dni, nie widząc śladu innego człowieka – ale z pewnością nie był pusty.

Na stepach żyły wtedy bizona, nadal liczone w milionach, kiedy Hoka Ushte był młodym człowiekiem, i zwierzęta: wilki i jelenie jeszcze nieprzepędzone z prerii, niedźwiedzie zapuszczające się daleko od swoich górskich legowisk, orły szybujące na niebie, borsuki w norach wzdłuż rzek, grzechotniki i jaszczurki, jedna wielka metropolia nieświszczuków z populacją większą niż dzisiejsze Rapid City, i oczywiście były muchy, owady, koniki polne, takie jak *ptewoyake*, które zdradzały *Ikče Wičaśa*, gdzie może znaleźć bizona.

Ale świat był pełen nie tylko zwierząt. Hoka Ushte wjechał na tereny rojące się od wrogich ludów.

Wasicun, tak, ale on nigdy nie widział Tłustego Złodzieja i bał się ich tak, jak można bać się zjaw. Potworna wiadomość z jego snu sprawiła, że biali ludzie stali się dla niego jeszcze bardziej nierealni. Bardziej realni byli inni Indianie,

którzy obozowali gdzieś tam za horyzontem albo czatowali na samotnego wędrowca. Były inne odgałęzienia *Ikče Wičása*: Oglalowie, Miniconjou, Siuksowie Brule. I byli tacy, którzy na miejscu oskalpowaliby chłopca Lakota: Susuni, których wy nazywacie Szoszonami, Shahiyela, Czejenowie Kangi Wicasha albo Wrony, którzy czasami byli przyjaciółmi i sojusznikami, a często śmiertelnymi wrogami. I Niebieskie Chmury, których wy nazywacie Arapaho. Byli starsi wrogowie, tacy jak: Omaha, Oto, Winnebago i Missouri, których ziemie *Ikče Wičása* ukradli albo próbowali ukraść, zanim Hoka Ushte się urodził. I byli Paunisi i Ponca, których ziemie próbowaliśmy ukraść w czasach, które Hoka Ushte znał. Paunisi byli dupolizami, a dupy, które postanawiali lizać, należały do *Wasicun*, nawet wtedy. W zamian za całowanie dup Tłustych Złodziei Paunisi zabijali *Ikče Wičása* muszkietami, a nawet strzelbami, które dali im konni żołnierze *Wasichu*.

Oprócz Paunisów były Trzy Plemiona: Madnan, Hidatsa i Arikara. Nienawidziły naszego ludu z całą pasją, odkąd ukradliśmy im ziemię, zabilismy ich wojowników i spaliliśmy ich wioski w czasie ekspansji na zachód. A dalej, na zachód, Hoka Ushte wiedział, mieszkali Santee, Yankonai i Hunkpapa, z których wszyscy regularnie wysyłali wojowników na wschód i na południe, żeby zabić tyłu *Ikče Wičása*, ilu tylko spotkają.

A z gór, żeby polować na równinach, przybywali Ute, Płaskogłowi i Pend d'Oreille i choć może nie mieli odwagi, by najeżdżać wioski Lakotów, zabiliby samotnego Lakotę, by pokazać, jacy są groźni. Hoka Ushte wiedział, że dla każdego wojownika z okolicznych dwunastu plemion jego skalp byłby prawdziwym trofeum do zawieszenia na włóczni.

A wszystkie te plemiona, które wymieniłem, i wiele z tych, których nie zdążyłem wymienić, bały się Czarnych Stóp. I kiedy Czarne Stopy byli zajęci wyrzynaniem Rzecznych Wron, Assinboin, Grosventre, Cree, Równinnych Ożibwejów i wielkich Odżibwejów – Czipewejów – w roku *oyumni* Hoka Ushte nie byli zbyt zajęci, żeby zrezygnować z zarżnięcia samotnego Lakoty, który ledwo potrafił używać łuku.

Hoka Ushte wiedział, że pusta ziemia nie jest pusta. Ale to nie jest największa różnica między tym, co on wtedy widział, a tym, co dzisiaj ty byś zobaczył albo każdy inny *Wasicun*.

Kraina, przez którą jechał Hoka Ushte, była pełna życia bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić. *Wonija waken*, samo powietrze żyło. Oddech ducha. Odnowa. *Tunkan. Inyan*. Skały były żywe. I święte. Burze, które przesuwały się nad prerią, były *Wakinyan*, hałasem ducha piorunów i znakiem Grzmiących Istot. Kwiaty kwitnące w niekończących się trawach świadczyły o dotyku *Tatuskansa*, poruszającego się ducha, przyśpieszającej mocy. W rzekach mieszkaly *Unktehi*,

jednocześnie potwory i duchy. W nocy Hoka Ushte słyszał wycie kojotów i myślał o Kojocie, który by go oszukał, gdyby mógł. Pajęcza sieć na drzewie oznaczała wiadomość od *Iktome*, człowieka pajaka, jeszcze większego oszusta niż Kojot. A wieczorami, kiedy wszystkie inne duchy były ciche, a na niebie nie było światła i chmur, właśnie wtedy Hoka Ushte słyszał oddech Dziadka Tajemnicy i samego *Wakan Tanka*. Nocami, kiedy gwiazdy ciągnęły się od horyzontu po horyzont i na całym świecie nie było żadnych świateł ani odbić, żeby przyćmić ich chwałę, Hoka Ushte mógł prześledzić ścieżkę swojego życia, wiedząc, że kiedy umrze, jego duch będzie podróżował na południe wzdłuż Drogi Mlecznej.

Zatem świat nie był pusty.

Widzę twoje szkliste oczy. Widzę niecierpliwość w ułożeniu twojego ciała.

Ale chcę, żebyś zrozumiał. Świat był inny dla Hoka Ushte.

No dobrze. Włącz maszynę.

Przez pierwsze dwa dni wędrówki Hoka Ushte jechał na koniu dziadka na wschód, a potem na południe przez trawiaste równiny, zwrócony plecami do *Paha Sapa* i bardziej wrogich plemion, które, jak wiedział, żyły na zachodzie. W nocy nie rozpałał ogniska, tylko jadł *papa* i *wasna* przygotowane dla niego przez babkę: suszone mięso wymieszane z jagodami i łojem. Jedzenie na podróż. Trzeciego dnia zastrzelił z łuku królika i upiekł go nad ogniem tak małym, że, gdyby to była zima, łatwo mógłby skulić się nad nim z kocem, żeby ukryć blask żaru. Królik był twardy i nie smakował tak jak doskonałe mięso, które przyrządzała jego babka.

Trzeciej nocy stracił konia.

Stało się to w następujący sposób. Przez cały dzień jechał skrajem suchego i niebezpiecznego miejsca, które znał jako *Mako Sicha*, a które wy znaacie jako Badlands. Hoka Ushte nie podobało się to miejsce: sam kurz, skały, faliste pasma górskie i wijące się koryta rzeczne pozostałe po dawnych powodziach – ale jeszcze bardziej nie podobały mu się historie, które o nim słyszał. To suche miejsce było polem bitwy między *Wakinyan Tanka*, wielkim ptakiem prowadzącym burzę z piorunami, a *Unktehi*, którego inni nazywają *Uncegila*, wielkim wodnym potworem, wypełniającym kiedyś rzekę Missouri od końca do końca. Zanim bitwa się skończyła, *Unktehi* utopiła większość prawdziwych wolnych ludzi i tylko wojna totalna między *Wakinyan* i jego małymi ptakami burzy a *Unktehi* i jej małymi wodnymi potworami uratowała resztki *Ikče Wičaśa*.

Tak więc trzeciej nocy Hoka Ushte spętał konia w stosunkowo osłoniętym miejscu z dala od Badlands, upiekł żyłastego królika i otulił się kocem, żeby spędzić kolejną noc niespokojnego snu. Ale zanim wstał *hanhepi-wi*, nocne słońce, niebiesko-czarna ściana burzy przetoczyła się przez prerię, zasłaniając gwiazdy i grzmiać jak starożytna bestia z opowieści Dobrego Pioruna. Kiedy Hoka Ushte usiadł z myślą, żeby uspokoić konia, powietrze nagle wypełniła *wakangeli*, cuchnąca elektryczność powodowana przez burzę, niecałe pół kilometra dalej z nieba do ziemi przeleciała błyskawica, a koń jego dziadka uwolnił się z niewprawnie nałożonych pęt i popędził w stronę Badlands.

Hoka Ushte zerwał się na nogi i krzyknął, ale koń go nie słyszał. Obaj pędzili przez prerię oświetlaną przez eksplozje nadciągającej burzy. Koń wkrótce zostawił sapiącego chłopca daleko z tyłu. Hoka Ushte zobaczył zwierzę po raz ostatni, kiedy zniknęło w górze *arroyo* tuż przed tym, jak zaczął padać deszcz.

Kulawy Borsuk zawahał się na skraju *Mako Sicha*, myśląc, że byłoby mądrzej wrócić do obozu i przeczekać burzę przed wejściem w te strome wąwozy i cienie. Wiedział jednak, że jeśli to zrobi, nigdy więcej nie zobaczy konia dziadka. Słowo Lakotów określające konia jest dość nowe, bo koń był wtedy u *Ikče Wičaśa* dopiero od kilku pokoleń. *Sunka wakan* oznaczało „święty pies” i nadal uważano to zwierzę za święte z powodu jego ważności. Hoka Ushte nie mógłby wrócić do domu, gdyby stracił konia Jastrzębia Dobrego Głosu.

Wkroczył do Badlands, kiedy burza uderzyła z całą siłą. Księżyc już wcześniej zniknął, ale teraz ciemność była gęsta i całkowita. Hoka Ushte pomyślał o ceremonii *yuwipi*, w czasie której święty człowiek jest zawijany ciasno w koce i futra i zostawiany w ciemnym miejscu, żeby duchy mogły go znaleźć.

Z początku deszcz był jedynie lodowatym smaganiem po twarzy i przemoczonym ubraniu, ale wkrótce ulewa zrobiła się tak straszna, że Hoka Ushte nie mógł ustać prosto. Ukląkł w głębokim błocie i wodzie. Błyskawice następowały po sobie tak szybko, że oczy chłopca nie potrafiły przyzwyczaić się do ciemności ani do światła, a on równie dobrze mógłby być ślepy. Grzmot pioruna następował po grzmocie i stał się rozdzierającym uszy dźwiękiem ogromnego dziobu i pazurów *Wakinyan Tanka*, krzykami Grzmiących Istot. Wąwozy, żleby i *arroyo* stały się groźnym labiryntem, z którego Hoka Ushte nie potrafiłby znaleźć wyjścia, nawet gdyby był w stanie iść w czasie tej potwornej burzy. Powietrze wypełniła *wakangeli*, włosy chłopca stanęły dęba.

Po kilku minutach Hoka Ushte zrozumiał, że zginie, jeśli tam zostanie. Woda w wąskim *arroyo* podnosiła się szybko, spływała strumieniami z wysokiego, skalistego miejsca w głębi *Mako Sicha*. Hoka Ushte zerknął w górę na lodowaty wodospad; wydawało mu się, że grań znajduje się sto metrów w górze. Jej

poszarpany brzeg rysował się na tle nieba przecinanego błyskawicami. Kiedy tak patrzył, wielkie żółte strzały uderzały w głązy wzdłuż grzbietu. Gdyby się tam wspiał, pioruny z pewnością trafiłyby go i zabiły. Gdyby został tam, gdzie był, z pewnością utonąłby w podnoszącej się wodzie.

Hoka Ushte zaczął gramolić się po stromym zboczu. Kiedy wielkie kawały błota odrywały się od skał, ześlizgiwał się i spadał w ryczący w dole potok. Woda sięgała mu powyżej pasa, kiedy ostatni raz wydostał się z wąwozu. Stromy stok był labiryntem strumyczków i błotnych wodospadów. Deszcz zmienił się w grad i chłostał twarz i ramiona Hoka Ushte. Chłopiec czuł się tak, jakby *Wakinyan* kamienował go na śmierć.

W końcu Hoka Ushte musiał użyć noża. Wbijał jego ostrze głęboko w zbocze, żeby znaleźć uchwyt w śliskim błocie. Miał wrażenie, że próbuje zadźgać ziemię na śmierć, podczas gdy niebo próbowało zabić go lodowatymi pięściami. Grad poszarpał jego ubranie, rozerwał jelenią skórę i ciało. Warkocze były rozplecione, zlepione włosy zasłaniały mu oczy, krew płynęła ze skroni i czoła. Hoka Ushte nie mógł otworzyć oczu i uświadomił sobie, że dotarł na szczyt urwiska, dopiero kiedy już nie było górskiego zbocza, żeby zatapiać w nim ostrze.

Kulawy Borsuk leżał okrakiem na wąskiej grani jak na wierzgającym koniu zjawie. Wypuścił nóż i zanurzył palce głęboko w błocie, a twarz w mokrej glebie i zapierał się palcami stóp, podczas gdy wiatr go spychał, a grad nadal chłostał. Pioruny uderzały w setki miejsc wokół niego. W pewnym momencie Hoka Ushte uniósł krwawiącą twarz do eksplodującego nieba i zawył jak wilk, z obnażonymi zębami, rzucając wyzwanie *Wakinyan*, żeby zrobili to najgorsze.

Wtedy niebo otworzyło się jeszcze bardziej, grad urósł do wielkości pięści, a Hoka Ushte nie czuł już nic więcej.

Kiedy się obudził, pomyślał, że może niebo go zabiło. Potem zerknął na idealny błękit, zobaczył wokół siebie góry białe jak sól i żleby, które już zaczynały wysychać w porannym słońcu, usłyszał ciurkanie strumieni w dole i uświadomił sobie, że jeszcze nie jest w drugim świecie, do którego chodzą duchy. Wiedział, że tam kolory są ciemne, słońce nigdy nie świeci jaśniej niż w mglisty dzień, dźwięki są przytłumione. Hoka Ushte usiadł na grani i spojrzał na siebie ze zdumieniem.

Był nagi. Powodzi i gradu nie przetrwała nawet przepaska biodrowa. Na jego brązowym ciele widniały setki siniaków i tysiące zadrapań. Jęknął głośno, kiedy

przesunął nogi, ale następne jęki stłumił. Mógł nie należeć do grupy wojowników, ale był członkiem *Ikče Wičása* i musiał odpowiednio się zachowywać.

Jego nóż zniknął. Co więcej, ziemia na grani została wypłukana przez nocną ulewę, tak że nie zostało na niej nic oprócz dziwnie regularnych kamieni, które wcześniej leżały pod warstwą gleby. Hoka Ushte ruszył w stronę skraju Badlands, skacząc z jednego foremnego kamienia na drugi.

Pokonał ich kilkaset, zanim sobie uświadomił, że są zbyt regularne. Kiedy się obejrzał, nadal mrużąc oczy w blasku słońca odbijającego się od białych skał, od razu zrozumiał, że nie stąpa po kamieniach.

Hoka Ushte stał na jednym z zaokrąglonych kręgów wielkiego, odsłoniętego kręgosłupa: lśniącym, białym grzbiecie czegoś dawno pogrzebanego w *Mako Sicha*, a teraz częściowo odkrytego przez gwałtowną nocną ulewę. Od razu zrozumiał, że stoi na *Unktehi... Uncegila...* starożytnej bogini wężu, która przegrała bitwę z *Wakinyan Tanka* wieki temu, kiedy skały były młode.

Odsłonięty kręgosłup ciągnął się kilometry w głąb Badlands i znikał w miejscu, gdzie zakrywały go inne fałdy albo białe skały, które też mogły być kośćmi.

Hoka Ushte zaczął drżeć. *Unktehi* była *wakan*, ale ten rodzaj świętości miał więcej mocy, niż zdołałby sobie z nią poradzić święty człowiek *Ikče Wičása*, a tym bardziej siedemnastoletni chłopiec. Hoka Ushte czuł moc *wakan* płynącą w górę jego bosych stóp, jakby elektryczność *wakangeli* z poprzedniej nocy zgromadziła się w wyblakłych kościach ciągnących się pod nim. Zerknął w stronę skraju Badlands znajdującego się nadal pół kilometra dalej, a potem ze strachem obejrzał się przez ramię, jakby *Unktehi* mogła wstać, a jej ciało zmaterializować się wokół starych kości, z wężowymi zębami wielkości gór, oczami płonącymi bardziej niż słońce.

Kusiło go, żeby zsunąć się po stromym stoku z wyeksponowanych kości-głazów, ześliznąć do ocienionego wąwozu, gdzie wysychały pozostałości ulewy. Ale brodzenie w tym błocie i podążanie krętymi *arroyo* zajęłoby godziny, gdyby się nie zgubił albo nie ubłocił do pasa.

Hoka Ushte zamknął oczy, pomyślał o swojej wizji, powstrzymał drżenie nóg i nadal skakał z kręgu na krąg, wchłaniając moc, która płynęła przez jego stopy i kostki, nogi i pachwiny. Kiedy dotarł na step i zszedł z ostatniej białej kości w miejscu, gdzie wielki szkielec zagłębiał się w ziemi, poczuł, że mrowi go całe ciało, a mięśnie drgają, jakby był *yuwipi* wypełnionym duchową mocą. Wiele siniaków zniknęło, większość zadrapań się wygoiła.

Po zrobieniu dwustu kroków po stepie Hoka Ushte się obejrzał. W *Mako Sicha* lśniły tylko białe skały i biały piasek.

Nie mógł znaleźć swojego obozowiska. Zginęły nie tylko jego koń i nóż, ale powódź porwała albo zatopiła łuk, strzały, futro, koc, krzemienie, zapasowe ubrania i jedzenie, które zaoszczędził. Po godzinie poszukiwań Hoka Ushte się poddał i ruszył na wschód.

Nagi, z mięśniami nadal drżącymi od energii *wakan*, utykający, kiedy bosymi stopami następował na kaktus albo jukę, a kiedy Badlands najpierw zblakły za nim, a potem zniknęły, szedł w stronę horyzontu po idealnie płaskim świecie.

Zobaczył ich najpierw jako nieustannie się zmieniającą czterogłową istotę, która wyłoniła się z rozedrganego powietrza późnym popołudniem. Hoka Ushte był pewien, że to jeden z potworów, przed którymi przestrzegała go babka – *ciciye* albo *siyoko*. Nigdzie nie było miejsca do ukrycia się, step ciągnął się w nieskończoność we wszystkie strony, zresztą Hoka Ushte i tak nie miał zamiaru się ukrywać. Stał i czekał, aż potwór się do niego zbliży.

Czterogłowe monstrum nie było ani *ciciye*, ani *siyoko*, a jedynie koniem, na którym jechało trzech młodych mężczyzn. Hoka Ushte zrozumiał, że ci wojownicy z innego plemienia są prawdopodobnie bardziej niebezpieczni niż potwór, ale nadal stał w miejscu. Kiedy podjechali bliżej, zobaczył, że koń jest wyczerpany i spieniony, a trzech młodzieńcy nie są starsi od niego. Ich twarze były pomalowane w barwy wojenne, a kiedy zobaczyli Hoka Ushte, wydali okrzyki, unieśli pałki i skierowali utrudzonego wierzchowca w jego stronę.

To dobry dzień, żeby umrzeć, pomyślał Hoka Ushte, ale ta opinia wojownika była jedynie pustym zwrotem. On nie chciał umierać, a jego serce dudniło. Jeszcze bardziej niż umierać nie chciał umierać nagi i bezbronny z rąk Szoszonów albo Wron, którzy nie byli dostatecznie dorośli, żeby każdy miał swojego konia.

Nie byli Szoszonami ani Wronami. Hoka Ushte zobaczył farbę na twarzach, usłyszał okrzyki, kiedy się zbliżyli, i rozpoznał ich jako *Ikče Wičaśa*, choć ich prymitywny dialekt wskazywał na Siuksów Brule. Hoka Ushte zobaczył teraz, że są młodszy od niego; najstarszy nie miał więcej niż piętnaście lat. Trzej chłopcy przerwali swoje dzikie bojowe okrzyki i zatrzymali konia dziesięć kroków od nagiego Hoka Ushte. Przez minutę panowała cisza, z wyjątkiem chrapliwego oddechu konia i grania pasikoników w trawie.

– *Hoka hey!* – zawołał w końcu najstarszy chłopiec. – Jesteś ludzką istotą?

Hoka Ushte spojrzął na siebie i zrozumiał, że musi wyglądać bardziej przerażająco niż oni: nagi, podrapany, zakrwawiony.

– Tak – odparł i powiedział, jak nazywają się jego plemię i ród.

Najstarszy chłopiec zeskoczył z konia i ruszył przed siebie z nadal wyciągniętą pałką, jakby jednak zamierzał stoczyć pojedynek z tą dziwną zjawą. Dotknąwszy Hoka Ushte, cofnął się i uniósł dłoń.

– Jestem Zmieniający się w Orła, syn Ucina Wiele Nosów. To moi przyjaciele Kilka Ogonów i Próbuje Kraść Konie.

Hoka Ushte popatrzył na chłopców, a oni jedynie odwzajemnili spojrzenie.

– Wczoraj zabiliśmy dwoje Szoszonów i od tamtej pory ściga nas pięćdziesięciu Szoszonów na koniach. – W głosie chłopca pobrzmiwały jednocześnie duma i strach.

Hoka Ushte spojrzał na wschód, ale nie zobaczył pięćdziesięciu Szoszonów. Mgielka na horyzoncie mogła być chmurą kurzu.

– Polowaliśmy, kiedy trafiliśmy na Szoszona, który rozbijał obóz niedaleko Białej Rzeki – powiedział Zmieniający się w Orła. – Był ze swoją kobietą i chłopcem w wieku pięciu albo sześciu lat. Kiedy nas zobaczył, wskoczył na konia, wciągnął na niego chłopca i odjechał, zostawiając kobietę. Zabiliśmy ją i ruszyliśmy w pościg, choć mieliśmy tylko tego jednego konia... – Zmieniający się w Orła wskazał rżące zwierzę, jakby było przedmiotem dumy.

Hoka Ushte pomyślał, że koń zaraz padnie.

– Kiedy próbował przeprowić się przez rzekę, wpakowaliśmy w niego dwie strzały, on spadł z konia, a my dopadliśmy go w rzece. – Zmieniający się w Orła uniósł zakrwawiony skalp. – Umarł dobrze. Przepłynęliśmy rzekę, żeby dogonić jego konia i chłopca, ale dziecko trzymało się mocno grzywy, a koń był szybszy od naszego. Ścigaliśmy ich przez godzinę, aż pokonaliśmy wzgórze i zobaczyliśmy go w dolinie z Szoszonami. Oni ruszyli za nami. Zgubiliśmy ich na jakiś czas niedaleko rzeki. Teraz znowu są za nami. – Zmieniający się w Orła z dumą dotknął piersi.

Hoka Ushte nerwowo spojrzał na wschód. Mgielka zdecydowanie była chmurą kurzu i znajdowała się bliżej.

– Dokąd jedziecie?

Zmieniający się w Orła przygryzł wargę.

– Nasz obóz jest gdzieś między tym miejscem a rzeką, ale przegapiliśmy go w nocy. Nie możemy wrócić. Jedziemy do *O-ana-gazhee*. Schronienia.

Hoka Ushte pokiwał głową. *O-ana-gazhee* było wysokim miejscem w *Mako Sicha*, gdzie nieliczni wojownicy mogliby odeprzeć armię Szoszonów. Ale znajdowało się ono wiele kilometrów dalej. Nie było szansy, żeby ten wyczerpany koń umknął grupie wojowników na ścieżce wojennej. Ci chłopcy już byli martwi.

Zmieniający się w Orła podszedł bliżej i przemówił prawie szeptem, żeby jego przyjaciele nie mogli go usłyszeć.

– Nie boję się umrzeć, ale będę tęsknił za dziewczyną, która ma na imię Widzi Białą Krowę. Obiecałem jej, że zdobędę trofea i do niej wrócę. – Chłopiec spojrział na Hoka Ushte niemal z żalem. – Jeśli Szoszoni cię nie zabiją, chciałbym, żebyś powiedział Widzi Białą Krowę, że wrócę do niej, jeśli będę mógł.

Hoka Ushte zamrugął.

Zmieniający się w Orła odsunął się i rzucił głośniej:

– To dobry dzień, żeby umrzeć.

Wskoczył na konia. Dwaj chłopcy siedzący za nim wyglądali na bardzo młodych i bardzo wystraszonych.

– *Hoka hey!* – wykrzyknął Zmieniający się w Orła i wbił pięty w żebra konia.

Zwierzę było zbyt zmęczone, żeby galopować, lecz ruszyło kłusem.

Hoka Ushte obserwował ich, jak oddalają się wolno na zachód, a potem spojrział na wschód. Chmura kurzu była teraz wyraźnie widoczna. Kulawy Borsuk się zawahał, po czym ruszył w jej stronę.

Gdyby trawa była wysoka, Hoka Ushte mógłby się w niej ukryć, ale otaczała go sucha ziemia porośnięta niskimi roślinami. Wzrok sięgał na kilometry i nie trafiał na żadne duże skały, żadne drzewa, żadne wysokie juki. Chmura kurzu dotarłaby do niego, nawet gdyby biegł. Jediną widoczną nieregularnością był ślad lekkiego zagłębienia między nim a grupą Szoszonów. Hoka Ushte ruszył w jego stronę z rezygnacją skazańca. Wiedział, że nie ma znaczenia, że nie jest jednym z tych trzech, którzy zabili kobietę i mężczyznę; skalp każdego Lakoty mógł ułagodzić gniew Szoszonów. Hoka Ushte odruchowo dotknął rozpuszczonych, skołtunionych włosów.

Jeźdźcy właśnie stawali się widoczni na wschodzie, kiedy Hoka Ushte dotarł do suchego łożyska rzeki. Nie było ono głębokie ani szerokie, niecałe dwanaście kroków w szerokość, bez wody i roślin. Koryto nie wiło się dostatecznie, żeby stanowić kryjówkę, ale Hoka Ushte i tak do niego wskoczył. Miał jeszcze minutę albo dwie, zanim tamci go zauważą. Czuł dudnienie kopyt na ziemi.

Hoka Ushte przeszedł dwadzieścia kroków na północ, potem dwadzieścia na południe, usłyszał oddechy koni i okrzyki Szoszonów, zanim dostrzegł dziurę po wschodniej stronie koryta. Była mała. Prawdopodobnie nora borsuka. To podsunęło mu pomysł.

Hoka Ushte był szczupły. Słyszając, że tętent koni jest coraz bliższy, zaczął rozgrzebywać dziurę rękami, poszerzać ją tak, żeby zmieściły się jego stopy i nogi. Wtedy podciągnął się na odsłoniętym korzeniu i wcisnął nogi w otwór. Udało mu się to tylko dzięki temu, że był nagi, śliski od potu i bez broni.

Jego biodra szorowały o skałę i ziemię, ale w końcu wsunęły się głębiej w zwężającą się norę. Górna część ciała nadal pozostawała na pełnym widoku. Szoszoni nie mogli go przegapić. Ziemia trzęsa się od łoskotu końskich kopyt. Kulawy Borsuk przycisnął ręce do boków, palcami zaczął drapać korzenie i małe kamyki, rozpaczliwie starając się zrobić więcej miejsca. Jego ciało wsunęło się głębiej, aż z piaszczystej gleby wystawały tylko barki i głowa.

Słyszał krzyki szoszońskich wojowników, sapanie koni.

Skupił się na tym, żeby stać się mniejszym, cieńszym, bardziej śliskim. Z wielkim trudem i rozdrapywaniem już i tak podrapanej skóry wcisnął się jeszcze głębiej, aż z zewnątrz była widoczna tylko jego głowa, stercząca jak górna część ciała wielkiego czarnego pająka. Hoka Ushte nie mógł zejść głębiej. Choć się wił, nie mógł wsunąć ramion, nóg ani pleców nawet na długość palca głębiej.

Pierwszy z koni Szoszonów był teraz niemal nad nim.

Hoka Ushte potrząsnął głową, żeby pokryć lśniące czarne włosy piaskiem i szarym pyłem.

Pierwszy koń dotarł do koryta rzeki i zatrzymał się bezpośrednio nad nim. Hoka Ushte czuł dudnienie kopyt i ciężar zwierząt na swoich plecach. Nadjechało więcej koni, zatrzymały się nad nim i wzdłuż wschodniego brzegu. Luźny piasek posypał się z góry na jego włosy spod grzebiących nóg. Hoka Ushte zacisnął zęby i zamknął oczy, czując, że Szoszoni patrzą na niego teraz, wskazują dzidami, szykują się do zejścia na ziemię. Rozległy się gardłowe okrzyki.

Hoka Ushte zaśpiewałby pieśń śmierci, ale nigdy żadnej nie skomponował. Żałował tych wszystkich godzin zmarnowanych na czekanie przy strumieniu, żeby zobaczyć Biegnące Cielę. Wojownik Lakotów, teraz sobie uświadomił, powinien zajmować się ważniejszymi rzeczami.

Takimi jak przygotowania do śmierci.

Pierwszy Szoszon wydał mrozący krew w żyłach wrzask i wskoczył na koniu do wąskiego koryta rzeki tuż nad wystającą głową Hoka Ushte. Grudy ziemi spadły na chłopca, przydużyły go, wypełniły mu usta.

Hoka Ushte oparł się odruchowi, żeby walczyć, krztusić się, dławić, krzyczeć. Wstrzymał oddech. Kiedy więcej koni przeskoczyło nad nim, na jego głowę spadło więcej ziemi, niemal go grzebiąc. Całe ciało Kulawego Borsuka napięło się, skóra głowy zaczęła mrowić, kiedy czekał, aż strzała, dzida albo topór wbiją się w jego wyeksponowaną czaszkę.

A potem odjechali. Hoka Ushte wypluł piasek, wystawił głowę, aż znalazł dość powietrza do oddychania. Próbował się uwolnić. Nie było to łatwe, a nagła

fala czystej paniki nie pomagała. W tym momencie tylko wcześniejszy strach przed śmiercią od ostrzy Szoszonów powstrzymał go od krzyku o pomoc.

Cienie się wydłużyły na rzeczne koryta, zanim się uwolnił. Był tak wyczerpany, że przez jakiś czas mógł tylko leżeć na białym piasku i dyszeć. Był pokryty krwią, gliną i piachem. Gdyby Szoszoni wtedy wrócili, jego nagłe pojawienie się mogłoby tak ich przerazić, że być może nie zabiliby go od razu. Ale nie wrócili.

Było prawie ciemno, kiedy Hoka Ushte na drżących nogach wyszedł z koryta rzeki. Wiedział, że największy sens ma pójście na wschód albo na północ, z dala od Szoszonów i ich zdobyczy, ale był ciekawy. Ruszył o zmierzchu szerokim śladem końskich kopyt, przekonując samego siebie, że jest dostatecznie ciemno, by zdołał ukryć się w niskiej trawie, gdyby jeźdźcy tędy wracali.

Znalazł trzech młodych Siuksów niedługo po tym, jak weszło nocne słońce i rzuciło mleczną poświatę na ziemię. Gwiazdy świeciły jasno, Droga Mleczna była wyraźna mimo księżycy.

Szoszoni złapali chłopców niedaleko koryta rzeki. Koń Siuksów leżał tam, gdzie upadł i zdechł. Nie było na nim żadnych śladów. Wiele tropów prowadziło na północny zachód. Trzej Lakoci leżeli w odległości ramienia od siebie nawzajem.

Najmłodszy, ten którego Zmieniający się w Orła przedstawił jako Próbuje Kraść Konie, miał szoszońską strzałę w karku. Jego pierś i brzuch nosiły ślady po kilkunastu innych strzałach. Ręce były szeroko rozłożone jak w geście zdumienia, otwarte oczy chwytaly blask księżyca, podobnie jak biała kość nagiej czaszki. Chłopiec o imieniu Kilka Ogonów wyglądał jak od stóp do głów skąpany w soku z czerwonych jagód. Oprócz skalpu Szoszoni zabrali jego palce, język i serce.

Zmieniający się w Orła leżał kawałek dalej od tamtych dwóch i coś w jego postawie świadczyło, że naprawdę walczył ze swoimi zabójcami. Jego gardło było rozplątane od ucha do ucha, poszarpana szczelina jakby uśmiechała się do Hoka Ushte. Oprócz skalpu i języka Szoszoni odcięli Zmieniającemu się w Orła uszy, dłonie, narząd do robienia dzieci i jądra. Jedno oko patrzyło z miejsca odległego o kilka kroków, nadziane na koniec kolca juki.

Hoka Ushte odwrócił się, łapiąc powietrze. Kiedy już mógł normalnie oddychać, obejrzał się, chcąc zaśpiewać dla nich pieśń śmierci, pomóc im w drodze na południe, ale nie znał stosownej ceremonii.

Pewnego dnia, kiedy zostanie *wičaśa wakan*, obiecał sobie, będę potrafił robić te rzeczy.

Odwrócił się i ruszył na wschód w blasku księżyca.

Znaleźli go dzień, noc i jeszcze jeden dzień później. Hoka Ushte nie spał ani nie jadł przez ten czas. Nie znalazł dla siebie broni ani czegoś do ubrania. Jego rany były zaognione, skóra spalona od słońca i gorączki, a on skupiał się na głosach, które szeptały w jego głowie. Szedł, aż już nie mógł dłużej iść, a potem stał w jednym miejscu, aż nogi już nie były w stanie go utrzymać. Nie był świadomy, że upadł, i miał niejasne wrażenie, że próbuje się wspiąć na urwisko samej ziemi. Kiedy otoczyli go jeźdźcy, dostrzegł tylko duże obiekty przesłaniające słońce. Był pewien, że to duchy, które przyszły, żeby zanieść go na południe, i zdziwił się, kiedy przemówił po lakotańsku z akcentem Brule.

Kiedy obudził się jakiś czas później, leżał pod miękkimi kocami. Wieczorne słońce wpadało przez skórę tipi i miało tę bogatą żółtą barwę, którą uwielbiał jako dziecko w namiocie swoich dziadków. Przez chwilę myślał, że to wszystko mu się śni w gorączce – czuł zimny pot, który następował po takiej gorączce – ale wtedy pochyliła się nad nim stara, beznosa kobieta, powiedziała coś do drugiej starej, beznosej kobiecie w szorstkim dialekcie Brule, a Hoka Ushte zrozumiał, że nic z tego nie było snem.

Oprócz dwóch kobiet bez nosów była w tipi trzecia, młodsza, o twarzy nietkniętej, ale surowej. Nachyliła się nad nim i rzekła:

– Więc żyjesz.

Hoka Ushte nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Wszystkie trzy kobiety wyszły z namiotu, a Hoka Ushte już zapadał w sen, kiedy do tipi wszedł przysadzisty mężczyzna o dzikiej twarzy.

– Czy to Szoszoni cię rozebrali, zabrali ci broń, ukradli konia i zostawili krwawiącego na stepie? – zapytał ostro.

Hoka Ushte przez chwilę mógł się tylko gapić.

– Nie, to zrobiła burza. Szoszoni mnie nie widzieli. – Umilkł na chwilę. – Ty jesteś Ucina Wiele Nosów.

Duży mężczyzna łypnął na niego groźnie i dotknął noża.

– Skąd wiesz?

– Spotkałem twój syna Zmieniającego się w Orła – odparł Hoka Ushte. Ucina Wiele Nosów wypuścił powietrze z płuc.

– On żyje?

– Nie.

Duży mężczyzna zadrżał, jakby otrzymał potężny cios.

– Szoszoni?

– Tak.

– Pozostali dwaj... Kilka Ogonów i Próbuje Kraść Konie...

– Nie żyją.

Ucina Wiele Nosów wolno pokiwał głową.

– To wyjaśnia gwizdanie ducha... Powiedz mi swoje imię i nazwę plemienia i wyjaśnij, dlaczego jesteś nagi, zakrwawiony i sam.

Hoka Ushte to zrobił. Wspomnił tylko, że wędrował, po tym jak miał wizję. Duży mężczyzna nie zapytał go o wizję.

– Możesz nas zaprowadzić do ciała mojego syna? – zapytał Ucina Wiele Nosów.

– Chyba tak.

– Rano? Gdy tylko wzejdzie słońce?

Hoka Ushte czuł straszliwą słabość po tym, co przeszedł, i po gorączce, ale przypomniał sobie okaleczone ciało Zmieniającego się w Orła, leżące bez ozdób i nieuhonorowane tam, gdzie zwierzęta mogły się nim żywić, nie wiedząc, kim był ten człowiek.

– Dzisiaj – powiedział. – Zaprowadzę was tam, zanim wzejdzie nocne słońce.

Ucina Wiele Nosów najwyraźniej rozważał propozycję.

– Nie. Nie możemy zostawić kobiet samych, kiedy dzisiaj w nocy przyjdzie *wanagi*. Zaprowadzisz nad do Zmieniającego się w Orła, kiedy duch odejdzie.

Potem zostawił Hoka Ushte samego, a on zaczął się zastanawiać, czy trochę nie pospać.

Później, kiedy zapadała ciemność, do tipi weszła kobieta o surowej twarzy z zupą dla niego. Przedstawiła się szorstko jako Czerwony Grad. Jedząc gęsty rosół, Hoka Ushte spróbował rozmowy.

– Tamte dwie kobiety... te ze szparami zamiast nosów... czy to siostry?

– Nie – odpowiedziała Czerwony Grad. – To inne żony Ucina Wiele Nosów.

Hoka Ushte zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Czy one... czy to była... – Starą karą Lakotów za cudzołóstwo żony było ucięcie nozdrzy albo całych nosów. Ale Hoka Ushte nie wiedział, jak wyrazić się delikatnie. – Czy to dlatego, że one... – Płatał się niezręcznie.

– Tak – pomogła mu Czerwony Grad. – Ucina Wiele Nosów miał pięć żon i tylko jedna... ja... zachowałam nos. Inne twierdziły, że są niewinne, ale on jest zazdrosnym mężczyzną.

Hoka Ushte przełknął kawałek mięsa z zupy.

– Dość zjadłeś? – zapytała Czerwony Grad, biorąc od niego miskę, zanim zdążył odpowiedzieć. – Muszę iść. Robi się ciemno. Nie wolno mi być w tipi sam na sam z tobą.

I kobieta o surowej twarzy zniknęła, zanim Hoka Ushte zdążył powiedzieć: *pilamaye*.

Hoka Ushte obudził się w ciemności na dźwięk gwizdania i szczekanie wielu psów. Od razu wiedział, że to duch, o którym wspomniał Ucina Wiele Nosów.

Gwizdanie było przyjemne, urzekające, piękne. Sprawilo, że Hoka Ushte usiadł z dudniącym sercem i chciał za nim podążyć, choć wiedział, że ono nie jest przeznaczone dla niego. Psy ujadaly jak oszalałe. Hoka Ushte pomacał wokół siebie, szukając noża, przypomniał sobie, że go zgubił, zobaczył, że ktoś włożył mu nową przepaskę biodrową. Potem wymknął się z namiotu, żeby znaleźć źródło tej pięknej muzyki.

W obozie Brule paliły się ogniska. Trzydzieści albo czterdzieści tipi lśniło mlecznie i łagodnie w blasku nocnego słońca. Psy przestały szczekać, ale obnażały zęby. Gwizdanie dochodziło ze skraju obozu znajdującego się niedaleko tipi Ucina Wiele Nosów. Hoka Ushte ruszył w stronę dźwięku, kiedy nagle silne ramiona chwyciły go i pociągnęły w dół.

Ucina Wiele Nosów i pół tuzina innych mężczyzn kucało za zwałonym pniem i spoglądało zza niego w stronę samotnego tipi rozstawionego na trawie. Duży człowiek pokazał gestem Kulawemu Borsukowi, żeby był cicho. Nagle wysoki cień przesunął się nad prerią w stronę namiotu i gwizdanie stało się głośniejsze.

– *Wanagi* – wyszeptał Hoka Ushte.

Ucina Wiele Nosów pokiwał głową.

– To duch Zmieniającego się w Orła. Przyszedł po swoją *winčičalas*.

– Widzi Białą Krowę – powiedział cicho Hoka Ushte. – Mówił mi.

Wysoki cień teraz okrążał tipi. Ramiona miał bardzo długie, nogi sunęły w powietrzu, stopami nie dotykając ziemi. W miejscu, gdzie ocalało jedno oko, widniała poświata; drugi oczodół był ciemny. Hoka Ushte zadrżał, kiedy przypomniał sobie gałkę oczną na pędzie juki.

– Mój syn nauczył się czarów od swojego wuja – wyszeptał Ucina Wiele Nosów ze smutkiem w głosie. – Jego głos to *siyotanka*.

Hoka Ushte chrząknął. Słyszał o flecie wydającym magiczny dźwięk. Każda dziewczyna, która go usłyszała, szła za flecistą i zakochiwała się w nim. Gwizdanie *wanagi* stało się teraz głośniejsze i bardziej zniewalające. Hoka Ushte zobaczył, że klapa tipi się odchyła i na światło księżyca wychodzi młoda kobieta. To musiała być Widzi Białą Krowę.

– Teraz! – rzucił Ucina Wiele Nosów.

Dwunastu wojowników wyskoczyło z ukrycia, zaczęło krzyczeć i hałasować.

Duch skoczył wyżej w powietrze, zatrzymał się jak spłoszony jelen, a potem zakręcił jak dym na wietrze. Wojownicy pobiegli do namiotu Widzi Białą Krowę, nadal wrzeszcząc. Gwizdanie brzmiało teraz mniej jak flet, a bardziej jak

wiatr. Hoka Ushte dołączył do krzyków i wymachiwania rękami, gdy zauważył, że święty człowiek z czarnym *taha topta sapa* pasem na twarzy grzechocze świętą tykwą *wagmuha*, żeby odstraszając ducha.

Obracający się cień nagle skrzył się jak wir piaskowy, a potem rozpadł na tysiąc części i rozwił w blasku księżycy niczym czarny kurz. Gwizdanie przycichło do echa, a potem ucichło całkowicie.

– Dzisiaj odszedł – powiedział *wičaša wakan*.

Wojownicy poszli uspokoić Widzi Białą Krowę i jej matkę. Ucina Wiele Nosów podszedł do Hoka Ushte.

– Tak było zeszłej nocy i poprzedniej. Właśnie tak się dowiedzieliśmy, że mój syn nie żyje. Teraz idziemy go pogrzebać.

Dwudziestu wojowników przyprowadziło konie, ktoś pomógł osłabionemu Hoka Ushte dosiąść wierzchowca. Potem wszyscy ruszyli na nocną prerię.

Zanim znaleźli ciała, było późne przedpołudnie. Padlinożercy dobrali się do chłopców, pozbawili ich oczu i dużej części twarzy. Ucina Wiele Nosów przeszył strzałą padlinożernego ptaka, który szarpał wątrobę jego syna i był zbyt tłusty, żeby odfrunąć.

Mężczyźni przywieźli pnie sosny na *travois* i teraz pocięli je na platformy pogrzebowe. Matka Zmieniającego się w Orła dała im wcześniej jego najlepszą wojenną koszulę i specjalne mokasyny z podeszwami ozdobionymi paciorkami we wzory świata duchów. Ubrali w nie ciało chłopca, a krewni Kilku Ogonów i Próbuje Kraść Konie zrobili to samo ze swoimi zmarłymi. W końcu trzy ciała zostały położone na pogrzebowych rusztowaniach, święty człowiek, którego imię brzmiało Oko Bizona, wypowiedział stosowne słowa i podarował fajkę duchom. W południe ceremonia się skończyła i dwudziestu wojowników oraz Hoka Ushte wsiedli na konie i odjechali.

– To nie jest droga do waszego obozu – stwierdził Kulawy Borsuk, kiedy się zorientował, że kierują się na zachód w stronę *Mako Sicha*.

Ucina Wiele Nosów tylko chrząknął i zaczął malować na ciele barwy wojenne.

Zrozumiawszy, że to wyprawa wojenna, Hoka Ushte powiedział:

– Nie mam broni.

– To nie twoja walka – odparł siwowłosy wojownik jadący obok Ucina Wiele Nosów. – Ale musisz rozpoznać Szoszonów, którzy zabili naszych chłopców.

Hoka Ushte pomyślał o tym, jak się ukrywał z twarzą w ziemi, kiedy konie Szoszonów nad nim przeskakiwały. Nic nie powiedział.

Po zapadnięciu nocy dotarli na skraj Badlands. Brule rozbili obóz, a zwiadowcy rozjechali się, żeby nadal tropić Szoszonów. Mieli nadzieję, że znajdą w nocy obóz wroga, zbliżą się cicho i napadną na niego z pierwszym brząskiem. Brule, podobnie jak inni Lakoci, nie lubili walczyć w nocy.

Nie znaleźli obozu. Przez cały następny dzień podążali tropem, ale duża grupa Szoszonów rozdzieliła się na cztery albo pięć mniejszych i ich ślady prawie zginęły na skalistych pustkowiach na południe od *Mako Sicha*. Po kolejnym dniu polowania Hoka Ushte był zmęczony, głodny – jedli tylko *wasna* i zimne mięso małych zwierząt, które zabili – i nie mógł się doczekać powrotu do własnych poszukiwań. Nikt go nie zapytał, ale on uważał, że przede wszystkim Zmieniający się w Orła i jego przyjaciele nie powinni byli zabijać Szoszonki i jej męża. Nie podzielił się tą opinią z Ucina Wiele Nosów.

Czwartego dnia dwaj zwiadowcy wrócili do obozu wojennego. Byli bardzo podnieceni. Hoka Ushte słuchał trajkotania w dialekcie Brule i zrozumiał, że zwiadowcy znaleźli *Wasichu*, a nie Szoszonów. Jego puls przyśpieszył na myśl o zobaczeniu prawdziwego Tłustego Złodzieja, ale powiedział do Oka Bizona:

– Nie szukacie zemsty na Szoszonach?

Święty człowiek na niego łypnął.

– Szoszonci pewnie są już teraz za górami. Dokonamy zemsty tam, gdzie ją znajdziemy.

Oddział dotarł dalej na zachód, dalej, niż plemię Hoka Ushte lubiło się zapuszczać z powodu miejsca *Wasicun*, które Lakotowie nazywali Piney Creek Fort, a Tłusci Złodzieje Fort Philip Kearny, ale właśnie niedaleko tego miejsca Ucina Wiele Nosów i jego wojownicy zastawili pułapkę.

W tej grupie prawdziwym wodzem był Leworęczny Rumak, ale Ucina Wiele Nosów był dowódcą wojennym i układał plany bitew. Wysłał swojego białowłosego przyjaciela Orła, Którego Rozpościera Skrzydła i sześciu innych, żeby zwabili *Wasichu* na południe do strumienia. To było zadanie dla wojowników i wojownicy głośno domagali się, żeby ich wybrać. Hoka Ushte nie zgłosił się na ochotnika, bo nadal nie był pewny, co to ma wspólnego z jego własną wędrówką i dlaczego zabicie żołnierzy *Wasicun* pomści śmierć Zmieniającego się w Orła. Nic nie powiedział.

Podczas gdy Orzeł, Którego Rozpościera Skrzydła i jego ludzie zwabiali oddział *Wasichu* na południe drwinami i zaczepkami, Ucina Wiele Nosów rozstawił swoich wojowników w zasadzce wzdłuż północnej strony Piney Creek. Hoka Ushte dostał zadanie pilnowania koni w topolowym zagajniku po północnej

stronie wzgórza, aż *Wasicun* znajdą się w odpowiednim miejscu. Spomiędzy drzew dobiegały krzyki i strzały, ale nic nie widział.

Plan się powiódł. Dwudziestu dziewięciu żołnierzy *Wasicun* i wóz, który eskortowali z fortu, rzuciło się w pościg za Orłem, Który Rozpościera Skrzydła i jego towarzyszami, ale zabiło tylko jednego z nich, Wysokiego Zabójcę Wron. Ocalałych sześciu Brule ruszyło w stronę rzecznej doliny. Na koniec białowłosey wojownik kazał swoim ludziom zsiąść z koni i poprowadzić je, jakby były wyczerpane, żeby zwabić żołnierzy nad rzekę.

Gdy *Wasichu* znaleźli się blisko rzeki w miejscu, gdzie była za głęboka na bród i za szybka, żeby dało się ją łatwo przepłynąć, Ucina Wiele Nosów i jego ludzie napadli ich ze strzelbami, pistoletami i łukami. Dwaj Brule zginęli – Jedna Strona, który dostał strzał w oko i zmarł natychmiast, i Dzielne Serce, który, postrzelony w brzuch, umierał dwa dni – ale wszystkich dwudziestu dziewięciu *Wasichu* zostało zabitych w krzyżowym ogniu.

Jak mówiłem, Hoka Ushte nie widział, co się działo, ale zszedł do rzeki, gdy strzelanina ucichła, i zobaczył Tłustych Złodziei po raz pierwszy. Kiedy dotarł na miejsce, większość z nich była naga, ale kilku nadal miało na sobie niebieskie koszule i spodnie. Pierwszy *Wasicun*, na którego trafił Hoka Ushte, był chłopcem nie starszym od Kilku Ogonów. Strzały przeszły jego udo, brzuch i szyję, ale to kula w pierś go zabiła. Hoka Ushte ukląkł w zdumieniu na widok tego *Wasicun*. Włosy chłopca były jasnorude, a jego skóra tak biała, że przypominała Kulawemu Borsukowi ciało białej żaby. Oczy Tłustego Złodzieja były duże, szeroko otwarte i bardzo niebieskie. Hoka Ushte patrzyłby dłużej na ten dziwny widok, ale Brule o imieniu Kopiaący Niedźwiedź podszedł do niego i powiedział:

– Jego skalp jest mój. Ja go zabiłem. – To było wyzwanie, ale Hoka Ushte tylko się cofnął i pozwolił wojownikowi zabrać trofeum.

Wokół ciał dwóch zabitych krążył żółty pies.

– To pies *Wasichu*! – zawołał Kopiaący Niedźwiedź zajęty rudowłosym chłopcem. – Ale go nie zabiliśmy. Jest zbyt miły. Zabierzemy go i wyszkolimy na domowego.

Wasichu leżący w pobliżu wozu byli martwi i nadzy, a ich kończyny poskręcane w dziwnych pozycjach. Ludzie Ucina Wiele Nosów palili się do tego, żeby wrócić do koni, i niewiele zrobili z ciałami, nie licząc uderzeń pałkami, zabrania strzał i skalpów. Hoka Ushte zauważył, że Tłusci Złodzieje są brzydzy z tymi owłosionymi twarzami, owłosionymi ciałami, skórą jak brzuch ryby, ale byli to sami mężczyźni – mężczyźni z brzuchami, zadkami i narzędziami do robienia dzieci jak u prawdziwych ludzkich istot.

To wóz zainteresował Hoka Ushte. Słyszał o takich *travois* z kołami, ale nigdy żadnego nie widział. Ten był nakryty białym płótnem, a kiedy Hoka Ushte

pochylił się, żeby zajrzeć do środka, nagle wysunęła się z niego twarz umierającego chłopca-żołnierza *Wasichu*, jakby Tłusty Złodziej zamierzał go ugryźć.

Hoka Ushte krzyknął i cofnął się o krok, ale *Wasicun* wyciągnął rękę z czymś metalowym, potem to coś upuścił i umarł. Hoka Ushte bez namysłu chwycił tę metalową rzecz. Była cięższa niż nóż, ale bezużyteczna jako broń. Miała dwie cienkie metalowe rączki zamiast jednej rękojeści i żadnej powierzchni tnącej czy tłukącej. Hoka Ushte stwierdził, że poruszając rączkami może sprawić, że metalowe szczęki otwierają się i zamykają. Było oczywiste, że to narzędzie *Wasichu* do ściskania albo wyciągania rzeczy.

Dar będzie dany przez Tłustego Złodzieja, z którego uleciał duch. Słowa z jego wizji. Hoka Ushte wsunął dziwne narzędzie pod przepaskę biodrową i wsiadł na konia, którego pożyczył mu Ucina Wiele Nosów.

– Wracamy – powiedział wódz Brule. – Jesteśmy bogaci w konie i zemstę. *Wasicun* obwinia Szoszonów i ich zemsta będzie nasza.

Hoka Ushte pokiwał głową i powiedział:

– Jestem zadowolony, że Zmieniający się w Orła i jego przyjaciele zostali pomszczeni. Ale teraz muszę ruszać dalej.

Ucina Wiele Nosów zmarszczył brwi.

– Kulawy Borsuku, moje żony i ja mieliśmy nadzieję, że zamieszkas z nami i ożenisz się z Widzi Białą Krowę.

Hoka Ushte zamrugał. Widział dziewczynę tylko przelotnie, kiedy duch śpiewał jej serenadę. Dlaczego wszyscy próbowali go ożenić?

– To bardzo by mnie ucieszyło, ale wizje z mojej *hanblečeya* domagają się, żebym ruszał dalej. – Zsiadł z pożyczonego białego konia.

– Zatrzymaj konia w prezencie – wspaniałomyślnie powiedział Ucina Wiele Nosów. – Nazywa się Can Hanpi, biały sok drzewa – to, co *Wasichu* nazywają cukrem – i został ukradziony przez samego Zmieniającego się w Orła.

– *Pilamaye, ate.* – Hoka Ushte uklonił się w podziękowaniu.

Ucina Wiele Nosów skinął ręką i Orzeł, Który Rozpościera Skrzydła podszedł z nożem, łukiem, strzałami i dodatkowym kocem dla Hoka Ushte. Wódz Leworęczny Rumak wręczył mu dziwną rzecz: większą od tykwy, zapieczętowaną, chlupoczącą w środku i gładką w dotyku. To była rzecz *Wasichu*.

– To słój świętej wody – powiedział Ucina Wiele Nosów, używając określenia *mni ivaken*, które Lakotowie nadawali alkoholowi.

Hoka Ushte ostrożnie wziął tę rzecz, znając jej moc i niebezpieczeństwo.

Leworęki Rumak obnażył zęby.

– W wozie *Wasichu* jest dwanaście innych słoików. Pij ostrożnie. To coś wpuszcza duchy, czy je zapraszasz, czy nie.

Hoka Ushte znowu podziękował skinieniem głowy, wojownicy krzyknęli: „*Hoka hey!*” i pogalopowali z powrotem na północny wschód, a Hoka Ushte zawrócił białego konia i ruszył na południe i zachód, z dala od tego miejsca śmierci.

Pasma Bighorn było obszarem, na którym polowali Górskie Wrony, Szoszoni, Północni Czejeni i Północni Arapaho, a nawet grupy Siuksów Oglala, ale tych posępnych gór nie kontrolowała żadna z tych grup i niewielu wojowników zapuszczało się w nie samotnie. Hoka Ushte to zrobił, unikając rzek, wzdłuż których forty *Wasichu* leżały jak korale nanizane na bawole jelito. Jego koń Can Hanpi z łatwością przepłynął rzekę Powder mimo jej lodowatego zimna i wspinał się równym tempem na wzgórza nad Otter Creek, Forest Creek i Willow Creek, aż już nie było żadnych strumieni, tylko resztki zimowego śniegu. Noce były zimne w najwyższych miejscach, tak że Hoka Ushte kulił się pod jednym kocem, który dali mu Brule. Gwiazdy świeciły tak jasno, że wydawało się, że nie mrugają. Hoka Ushte nikogo nie widział.

Przez trzy dni nie kłopotał się polowaniem ani jedzeniem, pił tylko po kilka łyków z małych potoków, które wypływały spod lodu. Było tak, jakby pościł i oczyszczał się przed ceremonią w szalasię potów albo przed wizją *yuwipi*, choć nie planował takich ceremonii. Po prostu nie czuł głodu.

Czwartego dnia znalazł tipi rozstawione na długiej skalnej grani omiecionej ze śniegu przez wiatr, który rzadko przestawał wiać na tych wysokościach. Poniżej grani ciągnęły się góry i doliny; równiny były ciemną półką widoczną na wschodzie. Wcześniej koń się nie skarżył, nawet gdy Hoka Ushte wprowadzał go do lodowatej rzeki albo jechał przez zaspy sięgające jego brzucha, ale teraz Can Hanpi odmówił zbliżenia się na mniej niż sto kroków do prymitywnego tipi.

Hoka Ushte zostawił konia, wziął łuk i garść strzał i ruszył przez grań. Trzy kobiety obserwowały go, kiedy się zbliżał.

Dwie zerkające zza klapy poszarpanego tipi były młodymi kobietami z jego wizji: może bliźniaczkami, niemal na pewno siostrami. Miały suknie z białej skóry owczej, ich czarne włosy lśniły, twarze były tak pogodne i niepomarszczone jak powierzchnia snu. Trzecia, zdaje się ich matka, wyglądała jak istota z koszmaru.

Stara wiedźma miała twarz całą w zmarszczkach, brodawkach i czyrakach. Jedno oko było białe i ślepe, drugie łypało złowrogo na Kulawego Borsuka. Spod brudnożółtych posiwiałych włosów miejscami przeświecała łuskowata skóra głowy. Zamiast sukni nosiła niewykończony futro jakiegoś zwierzęcia o pomarańczowawej sierści i paskudnym zapachu. Plecy staruszki były wykrzywione jak karłowate drzewa rosnące wzdłuż tej surowo traktowanej grani.

– Witaj – odezwała się jedna z młodych kobiet, odsuwając się od tipi i nie zważając na surowe spojrzenie matki. Wzięła Hoka Ushte za rękę i poprowadziła do namiotu.

– Jesteś z dala od domu, młody *Wičaśa*. Zostań, zjedz z nami i spędź u nas noc.

Hoka Ushte pokiwał głową, ale się nie uśmiechnął. Wiedział, że to część jego wizji i że jeśli nie wybierze właściwej kobiety tej nocy, umrze. A wraz z jego śmiercią przepadnie ostatnia szansa jego ludu na zatriumfowanie nad plagą *Wasicun*, która wkrótce przetoczy się przez świat jak starożytny potop w czasach *Wakinyan* i *Unktehi*.

Dwie kobiety usiadły razem z nim, a stara wiedźma zaczęła gotować zupę z jakiegoś cuchnącego mięsa. Słońce już zachodziło, kiedy ją jedli. Wiatr porywał iskry i ciskał je na ciemne góry rozpościerające się w dole i w ciemniejące niebo, aż wydawało się, że to obozowe ognisko usiało niebo gwiazdami.

Było zupełnie ciemno, kiedy Hoka Ushte skończył zupę. Zauważył, że żadna z kobiet nie je, więc również nie tknął mięsa, a jedynie wypił trochę rosółu. Smakował paskudnie. Kiedy ostatnie iskry uleciały w niebo i tylko światło gwiazd odbijało się w oczach dwóch ładnych sióstr, Hoka Ushte wstał i zrobił ruch, jakby zamierzał odejść.

Obie młode kobiety dotknęły jego ramienia, a wiedźma łypnęła na niego zdrowym okiem. Ich uścisk był bardzo silny.

– Ja tylko idę spętać konia na noc i zabrać koc – rzekł. – Zaraz wracam. Zostawiam strzały i łuk, żeby wam pokazać, że wrócę.

Siostry się uśmiechnęły, ale jedna z nich poprosiła:

– Pozwól mi pójść ze sobą.

Nie opuściła szerokiego kręgu skały omiecionej ze śniegu, ale Can Hanpi pokazał białka oczu i cofnął się, kiedy kobieta się zbliżyła. Hoka Ushte uspokoił go najlepiej, jak umiał, dobrze go spętał, zabrał ze sobą koc i inne rzeczy do zniszczonego tipi.

Przechodząc przez skałę, młoda kobieta znowu chwyciła jego ramię i wyszeptwała:

– Bądź ostrożny, dzielny chłopcze. Moja siostra i matka nie są z tej ziemi. One jedzą mężczyzn.

Hoka Ushte udał zaskoczenie.

– Jak to robią? – zapytał szeptem, świadomy jej silnej dłoni na swoim ramieniu.

Zęby pięknej kobiety zaśniły w blasku gwiazd.

– Jeśli będziesz kochał się z moją siostrą, ona ma zęby w ukrytym miejscu. One cię przytrzymają, aż moja matka cię zabije, wypuści z ciebie krew i płyny, powiesi cię w worku na urwisku za tipi.

Hoja Ushte się zatrzymał.

– Jak to możliwe?

Dziewczyna zrobiła wdzięczny gest, a Kulawy Borsuk zauważył jej długie paznokcie.

– Moja matka i siostra są kuzynkami *Iktome*, człowieka pająka. One nie lubią ludzkich istot... chyba że na kolację.

Hoka Ushte zerknął w stronę tipi. Piękna siostra i straszna matka były jedynie cieniami w pobliżu wystygłego żaru ogniska.

– A ty... – wyszeptał.

Dziewczyna opuściła głowę.

– Ja też jestem kuzynką *Iktome* i mam... za dużo zębów... ale nie jestem zła. – Dotknęła jego dłoni. – Zaufaj mi.

Hoka Ushte pokiwał głową.

– *Pilamaye* – powiedział.

Wydawało się, że nocne słońce weszło pod nimi, tak wysoko był skraj urwiska, na którym stało tipi. Wiatr teraz wzmógł się do wycia. Stara kobieta udała się na swoje futra, ale siostry czekały tuż przy klapie. Jedna z nich na niego skinęła.

– Chwilę – powiedział. – Muszę jeszcze wyjść.

Zauważył, że jego łuk i strzały zniknęły gdzieś w namiocie. Dotknął pleców pod koszulą, żeby namacać nóż, który dał mu Ucina Wiele Nosów.

Piękne siostry patrzyły na siebie i czekały.

Hoka Ushte obszedł tipi, przeciął omiataną wiatrem skałę, dotarł na skraj urwiska i wysikał się w noc. Wiatr był chłodny na jego *che*. Jak zęby.

Hoka Ushte zadrzał, obejrzał się przez ramię, a potem ukląkł szybko, żeby zerknąć za skalny występ. Wisiały tam rzędy jedwabnych worków przymocowanych do skały jakąś kleistą substancją. W nikłym świetle Hoka Ushte zdołał dostrzec jedynie parę rzeczy przeświecających przez sieć: tu palec, tam obnażone zęby, tu pusty oczodół, dalej strzępek białego ciała.

Kulawy Borsuk wstał, poprawił przepaskę biodrową i odwrócił się z powrotem do tipi. Jedna siostra pojawiła się za nim w ciemności. Nie mógł być pewien, ale pomyślał, że to nie ta, która rozmawiała z nim wcześniej.

– Moja siostra coś ci powiedziała – wyszeptała nagle.

– Tak.

Dotknęła jego nagiego ramienia.

– To nie ja chwytam kochanka i trzymam go ukrytymi zębami, aż moja matka go zarżnie. Chcę stąd odejść. To moja siostra dzieli upodobanie naszej matki do ludzkiego mięsa i ludzkiej krwi. Uwierz mi, a razem je przechytrzymy i odejdziemy, póki jesteśmy żywi.

Hoka Ushte pokiwał głową.

– Jak twoja matka zabija?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Widziałeś jej plecy? To tak naprawdę długi ogon z wieloma kolcami. Kiedy jesteś uwięziony w *winyan shan* mojej siostry, krzyczysz z bólu, stara kobieta rozwija ten ogon i rozrywa nim twoje ciało.

Hoka Ushte próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. Dziewczyna dostrzegła jego spojrzenie.

– Twój koń już jest wypatroszony – wyszeptała. – Stara kobieta to zrobiła, kiedy ty tutaj sikałeś. Nie mógłbyś ich dogonić. – Dotknęła jego pleców, postukała palcami w małe ostrze. – Twoja jedyna nadzieja to, że je zabijesz, kiedy najmniej spodziewają się ataku. Wybierz mnie na pierwszą kochankę, a ja się postaram, żeby moje małe zęby nie zrobiły ci krzywdy.

Hoka Ushte wyrwał ramię z jej potężnego uścisku.

– Skąd będę w ciemności wiedział, że to ty?

– Dotknę twojego policzka, o tak – wyszeptała, unosząc palce do jego twarzy. – Potem, kiedy zaczniemy robić zwierzę o dwóch grzbietach, krzyknij, jakbym chwyciła twój narząd zębami. Kiedy po ciebie przyjdą, zabij je.

– Tak – wyszeptał Kulawy Borsuk, choć jego słowa równie dobrze mogły zginąć we wzmagającym się wietrze. – Idź przede mną.

Jej oczy załśniły. Nocne słońce nadal wznosiło się zimne i białe w ciemnej otchłani pod nimi.

– Naprawdę nie możesz uciec.

– Wiem, że to prawda – powiedział Hoka Ushte. – Idź. Ja zaraz przyjdę.

Kiedy dziewczyna stała się kolejnym cieniem obok tipi, Hoka Ushte zacisnął pięści, uniósł je do nieba i wyszeptał:

– *Wakan Tanka, onshimalaye...* O, Wielki Duchu, ulituj się nade mną.

Wiatr zaświstał wokół niego jak słodka melodia fletu w obozie Brule, głos szepnął w umyśle Hoka Ushte: *Zaufaj swojej wizji.*

Chłopiec pokiwał głową, opuścił pięści i wszedł do tipi.

W szałasie było bardzo ciemno – brakowało nawet otworu dymowego, a gruba skóra odcinała blask księżyca – powietrze cuchnęło. Hoka Ushte zaczekał, aż oczy mu się przyzwyczają do mroku, ale nadal widział tylko brzydką matkę skuloną w najdalszym końcu i dwie siostry jako ciemne postacie blisko klapy tipi. Położył swój koc między ich futrami.

– Co to za rzecz? – zapytała szeptem jedna z dziewczyn, kiedy, gładząc koc, namacała zgrubienie.

– Prezent – odszepnęła Hoka Ushte i wyjął słoje świętej wody *Wasichu*.

Odkorkował go i podał najbliższemu cieniowi, ale dziewczyna go nie przyjęła, jakby się bała, że to trucizna.

– Popatrz. – Hoka Ushte wziął łyk *mni waken*. Woda piekła straszliwie i smakowała jak najgorsze lekarstwo, które babka kazała mu połknąć, ale udało mu się nie zakrztusić ani nie wymiotować. – Masz – powtórzył, podając jej tykwę *Wasichu*.

– Nie – powiedziała jedna z sióstr, biorąc słoje i go odstawiając. – Nie jesteśmy spragnione. Chodź do łóżka.

Hoka Ushte potarł policzek. Nie udało mu się jedyny plan: uspić siostry świętą wodą *Wasichu*, a potem rozprawić się z wiedźmą.

Silne ręce pociągnęły go na koc. Hoka Ushte poczuł słodki zapach dziewczęcego ciała. Jeden z cieni uniósł się nad nim i ściągnął z niego koszulę. Inne ręce zdjęły mu mokasyny i zaczęły sunąć w górę po udach. Hoka Ushte ukrył w dłoni mały nóż chwilę przed tym, jak niewidzialne ręce ściągnęły z niego przepaskę biodrową. Siostry były teraz jak cień *wanagi* Zmieniającego się w Orła, ich dwie postacie płynęły i wymieniały się nad nim i obok niego. Hoka Ushte wciąż zerkał na wiedźmę, ale ona była jedynie błyszczącym okiem owiniętym w futra po drugiej stronie tipi.

Patrz cante ista, powiedział jego sen.

Okiem serca.

Cztery dłonie pieściły jego pierś i zebra. Ostre paznokcie przesunęły się po policzku, w dół szyi do obojczyka. Ciepły, słodki oddech musnął ucho.

Jedna z nich musi kłamać. I jeśli moja hanblečeya nie była kłamstwem, jedna z nich musi być dobra. Musi być matką naszej rasy. Potomkinią Białej Kobiety Bizona. One nie mogą obie kłamać.

Poczuł, że siostry rozbierają się obok niego. Ich skóra pachniała *wahpewastemna*, słodkimi perfumami używanymi przed ważnymi ceremoniami. Tym i czymś zdecydowanie bardziej piżmowym i podniecającym.

Hoka Ushte poczuł, że robi się podniecony mimo strachu. Nagie piersi dziewczyn dotykały teraz jego przedramienia i boku. Jedna z nich zsunęła się niżej, tak że jej oddech musnął mu udo.

Wizja.

Pot naoliwił ich ciała. W tipi było bardzo ciemno, ale on mógł dostrzec czarne włosy na ich głowach i między nogami, blask odbitego światła gwiazd w ich oczach, na ustach i zębach. Rozległ się zgrzytający dźwięk, jakby małych zębów ocierających się o siebie, ale Hoka Ushte nie mógł znaleźć jego źródła.

Jedna z sióstr pomasowała jego *che*, tak że jeszcze bardziej się wyprostował, a druga przesuwiała piersiami po jego nagiej piersi. Przetaczały się po nim jak bawiące się wydry.

– Jestem gotowa – wyszeptała jedna, ciągnąc jego rękę do swojej pachwiny.

Hoka Ushte poczuł wilgoć, zanim cofnął dłoń. Czy wśród tej śliskości była ostrość?

– Teraz, proszę, teraz – wyszeptała ta sama siostra, a może druga. Obie przyciągały go do siebie.

Twarda dłoń objęła jego jądra, potem przesunęła się na nabrzmiąły czubek jego narządu.

– Teraz – ponaglił go ten sam głos. A może drugi.

Palce dotknęły jego policzka. Jedna dziewczyna przetoczyła się na plecy, pachnąca słodko skóra i pot, rozłożyła nogi, a druga otarła się o niego i pomogła mu się unieść, kładąc silną rękę w dole jego pleców. Hoka Ushte poczuł jedne piersi spłaszczające się pod nim, drugie na swoim ramieniu. Uświadomił sobie, że już nie ma w ręce noża. Jego *che* przesunął się po śliskim brzuchu dziewczyny, poczuł sprężystą miękkość jej dolnych włosów. Ręce sięgnęły, żeby go naprowadzić.

Wizja. Były trzy siostry. Ta, która nie mówiła, była tą, której głos słyszałem.

Hoka Ushte próbował się odtoczyć. Ręce przytrzymały go w miejscu, a drugie brutalnie złapały jego *che* i przyciągnęły go do dziewczyny leżącej pod nim. Słyszał zęby szczękające w oczekiwaniu.

Kulawy Borsuk cofnął się, kopnął, usłyszał syk i warknięcie frustracji, a potem obie siostry zaroily się na nim, z szeroko rozłożonymi nogami, silne. Razem wytoczyli się przez klapę namiotu na światło gwiazd. Hoka Ushte widział teraz dolne zęby, lśniące i kłapiące przy jego wyprostowanym członku. Twarze sióstr już nie były piękne, a one zmieniły się w coś czarnego i pajęczego. Za dużo błyszczących oczu łypało na niego.

Jedna z sióstr wtoczyła się na niego z sykiem triumfu. Druga drapała jego wrażliwe miejsca długimi paznokciami, wciskając go w siebie. Hoka Ushte widział, że kręgosłup drugiej siostry z trzaskiem się uwalnia z jej pleców i wyrastają na nim kolce jak na ogonie skorpiona.

Hoka Ushte wyciągnął rękę, namacał kawał niespalonego polana, wsunął je pod swoje udo i pchnął w górę.

Kobieta siedząca nad nim warknęła, a jej *winyan shan* chwyciła polano i zaczęła je gryźć jak pies kij. Spomiędzy spoconych ud posypały się drzazgi. Siostry wrzasnęły triumfalnie, a ten krzyk nie był ludzki.

Hoka Ushte odtoczył się, kopiąc siostrę zajętą polanem. Druga skoczyła na niego z taką siłą, że oboje wpadli z powrotem do ciemnego tipi. Zęby w ustach dziewczyny kłapnęły przy jego szyi, podczas gdy te drugie zadrapały mu udo. Hoka Ushte trafił wyciągniętą dłonią na rękojeść noża ukrytego pod futrem, zamachnął się nim i poczuł, jak ostrze wchodzi głęboko między uniesione nad nim łuskowate piersi. Dziewczyna zasyczała, zaczęła się miotać, krzyknęła raz i umarła. Stoczyła się z niego z nadal tkwiącym w jej ciele nożem.

Jej siostra wypełniła wejście do tipi. Kolczasty ogon uderzał w przód i w tył, rozrywał płótno namiotu, wpuszczał do środka blask gwiazd. Hoka Ushte uświadomił sobie, że tipi obłożono warstwami ludzkiej skóry. Przetoczył się przez zwalone żerdzie i łopoczącą skórę na stos futer z ludzkich włosów. Dziewczyna ukucnęła jak pająk z żądłem skorpiona.

Hoka Ushte usiadł na czymś ostrym, namacał pod futrem ukradzione strzały, podniósł ich pęk, wiedząc, że nie ma czasu na szukanie łuku. Dziewczyna już prawie przy nim była, ręce, nogi, wijący się ogon.

Zamiast próbować ucieczki, Hoka Ushte skoczył i wbił pęk strzał głęboko w błyszczące oczy stwora. Potem odtoczył się, żeby uniknąć drgającego ogona.

Pająk-skorpion wrzasnął tak głośno, że krzyk przez minuty odbijał się echem od gór. Potem, z pękiem kamiennych grotów w oczach, popędził na oślep, potknął się o żerdzie zawałonego tipi, wstał i runął z urwiska w miejscu, gdzie wisały worki.

Hoka Ushte popędził nad jego skraj, by się upewnić, że stwór tam nie wisi, ale w blasku księżyca zobaczył, że ten spadł trzysta metrów w dół. Jego wrzask i echo tego wrzasku stopiły się ze sobą w straszliwej harmonii. Kiedy potwór uderzył w skały, cisza wydawała się bardzo głośna.

Chłopiec wrócił chwiejnie do przewróconego tipi, przeszukał futra, aż znalazł łuk i jedną strzałę, a potem cofnął się, kiedy grubo okutana wiedźma wyszła powoli z ruin namiotu.

– Stój – wychrypiał Hoka Ushte, podnosząc łuk.

– Nie zamierzam zrobić ci krzywdy – dobiegł spod futer gruby głos.

– Wierzę ci – powiedział Hoka Ushte. – Ale nie podchodź bliżej.

Stara kobieta się zatrzymała. Hoka Ushte usiadł ze skrzyżowanymi nogami i zwolnił cięciwę łuku. Przez chwilę sprawdzał, czy ciemna postać się nie zbliża.

– Kim jesteś? – zapytał cicho, gdy księżyc przebył połowę drogi do poranka.

– Jestem *winyan sni* – powiedziała jednooka wiedźma. – Kobieta-która-nie-jest-kobietą. Jestem siostrą i kuzynką Kobiety Biały Bizon, która odwiedziła nasz lud jakiś czas temu. Spójrz. – Sękata ręką dotknęła wystygłego żaru. Ogień skoczył w górę.

– To niczego nie dowodzi – stwierdził Hoka Ushte. – Istoty *Iktome*, które zabiłem, z pewnością potrafiły robić takie sztuczki *wapiya*.

– Tak – westchnęła wiedźma. – I nie ma sposobu, by ci udowodnić, że ten płomień to ta sama iskra, którą moja siostra-kuzynka dała twojemu ludowi, *peta-owihankeshni*. Ogień bez końca.

Hoka Ushte spojrział na płomień i nic nie mówił przez jakiś czas. W końcu rzekł:

– Skoro byłaś z Kobieta Biały Bizon, jak trafiłaś tutaj... – Wskazał głową zwałone tipi.

– Byłam bardzo piękna i bardzo rozwiązała w miejscu duchów – odpowiedziała chrapliwym głosem wiedźmy. – *Lila hinknatunpi s'a*. Miałam wielu mężów. Sprawiałam, że mężczyźni przy mnie stawali się opętani... *ivicayuknaxkin*. Opętani pożądaniem. Jeden z tych mężczyzn był człowiekiem pajakiem *Iktome*. Kiedy się nim zmęczyłam i go wyrzuciłam, oddał mnie swoim siostram pajęczycom. To nie one przyciągały tutaj mężczyzn, tylko ja... *lyuhawica yuknaxkinyanpi*... To ja sprawiałam, że ci, którzy znajdowali się blisko, kończyli opętani.

– Ja nie jestem opętany – warknął Hoka Ushte.

Wiedźma pokazała w uśmiechu jeden ząb.

– Jesteś od czasu swojej wizji. Ale to nie magia opętania cię tutaj przyciągnęła, tylko *teriyaku*... to, że mnie kochasz.

Hoka Ushte próbował się roześmiać – wiedźma była tobołem zmarszczek, brodawek, czyraków i starego kobiecego ciała... Ale nie mógł się zaśmiać. Uświadomił sobie, że to miłość stała za jego wizją i że to ona go tutaj doprowadziła. Odłożył łuk i podszedł bliżej.

– Jeśli mnie dotkniesz, nie będę odpowiedzialna za to, co się stanie – uprzedziła wiedźma.

– Ja też nie – powiedział Hoka Ushte i delikatnie dotknął starej istoty.

I w tym momencie zobaczył ją oczami serca. Stara wiedźma już nie była wiedźmą, tylko najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. Zamiast zbutwiałych szmat miała na sobie suknię z oślepiająco białej owczej skóry. Jej

usta były miękkie i śliczne, skóra tysiąc razy piękniejsza niż u zwodniczych istot, które próbowały go oszukać, jej oczy piękne i głębokie pod ciężkimi rzęsami, a włosy jak żywe w blasku gwiazd. Jej pocałunek trwał i trwał, aż Hoka Ushte wziął ją na ręce i zaniósł na swój koc. Tam rozwiązał rzemyki jej sukni i zsunął ją po ciepłej skórze. Piersi dziewczyny były doskonałe, pępek jak łagodny wzgórek. Położył na nim policzek.

Przyciągnęła jego twarz do swojej.

– Nie, Hoka Ushte – wyszeptała. – W jednej rzeczy jestem taka jak kuzynki pająka.

Przesunęła jego palce do swojej *winyan shan*. Była wilgotna z podniecenia, ale nie to chciała mu pokazać. On ostrożnie rozchylił delikatne wargi i wyczuł tam małe zęby.

– Wychodziłam za wielu mężczyzn, bo żaden nie mógł mnie mieć, kiedy odkrywał...

– Cii – uciszył ją Hoka Ushte, badając palcami. – To można naprawić.

Dziewczyna westchnęła z namiętności. Zwinęła mu palce w pięść.

– Tak, jeśli je wybijesz...

– Co? – Hoka Ushte pogłaskał ją po włosach wolną ręką. – I zrobię ci krzywdę? Nigdy.

Kuzynka Kobiety Biały Bizon odwróciła twarz do koca.

– Więc nigdy nie możemy...

Hoka Ushte sięgnął po tykwę ze świętą wodą *Wasichu*, tam, gdzie ukryła ją dziewczyna pająk.

– Wypij to – powiedział. – A kiedy alkohol w ciebie wejdzie, żebyś czuła mniejszy ból, wtedy ja użyję daru *Wasichu*.

– Daru? – powtórzyła dziewczyna.

Jej oczy się rozszerzyły, kiedy Hoka Ushte wyjął ze zrolowanego koca szczypcę żołnierza Tłustego Złodzieja.

I tak kuzynka Kobiety Biały Bizon, dziewica, znana później mojemu ludowi jako Ta, Która Się Uśmiecha, została pierwszą kochanką Kulawego Borsuka i jego jedyną żoną. A kiedy przybyła do naszego obozu, zwołano wielkie spotkanie świętych mężów i potwierdzono, że ona będzie matką dzieci, których dzieci kiedyś wyprowadzą *Ikče Wičaśa* z jaskini ciemności z powrotem na prawdziwy świat.

A później, kiedy ta historia została opowiedziana, mój pradziadek przyznał, że gdy wyrwał zęby rosnące w niewłaściwym miejscu, zostawił jeden mały ze względu na cudowne doznania, jakie wywoływał. Mój dziadek, o którym już wspomniałem w tej opowieści, był pierwszym synem Hoka Ushte i Tej, Która Się Uśmiecha, a blizna na jego głowie i czole – ślad po tym jednym małym ząbku – stała się *wakan*, źródłem jego mocy, kiedy został świętym człowiekiem, jasnowidzem i czarownikiem.

Nigdy nie poznałem swojego pradziadka, ale słyszałem, że on i moja prababka dożyli bardzo późnego wieku i byli szanowani przez wszystkie prawdziwe, wolne ludzkie istoty. Byli bardzo szczęśliwi i zostali w szczególny sposób pobłogosławieni, bo umarli, zanim cały ich świat znalazł się pod cieniem *Wasicun*. I umarli, wierząc, że któregoś dnia wizja Hoka Ushte się spełni i że ten cień zostanie podniesiony.

Widzę twoją minę. Widzę twoje wątpliwości. Ale nigdy nie wątp, że ta historia jest prawdziwa. I wiem, że ja nigdy nie wątpiłem, że wizja *hanblečeya* mojego pradziadka kiedyś okaże się prawdziwa. Możesz teraz zabrać swoją maszynę i odejść. Historia się skończyła. Zostało powiedziane to, co musiało być powiedziane.

Mówią, że ostatnie słowa mojego starego pradziadka do umierającej żony brzmiały: *Toksha ake čante ista wacinyanktin ktelo*. Zobaczą cię znowu okiem mojego serca.

I w to również nie wątpię.

Zatem do widzenia. *Mitakuye oyasin*. Wszyscy moi krewni. To koniec.

Flashback

Carol obudziła się, zobaczyła światło poranka – prawdziwego poranka, poranka w czasie rzeczywistym – i musiała oprzeć się pokusie, żeby zażyć ostatnią dwudziestominutową fiolkę flashbacku. Zamiast tego przewróciła się, naciągnęła kołdrę na głowę i próbowała odzyskać sny, zamiast pozwolić, by dopadła ją trzęsionka czasu rzeczywistego. Nie podziałało. Zeszłej nocy w porze kładzenia się spać odtworzyła trzy godziny z drugiej podróży na Bermudy z Dannym, a potem jej sny były chaotyczne i niepowiązane ze sobą. Jak życie.

Carol poczuła, że niepokój czasu rzeczywistego uderza w nią jak zimna fala; nie miała pojęcia, co może przynieść ten dzień – śmierć albo zagrożenie dla jej rodziny, wstyd, ból – nieprzewidywalność. Przycisnęła ramiona do piersi i zwinęła się w ciasny kłębek. Nie pomogło. Dygot nie ustawał. Wcześniej nieświadomie otworzyła szufladę nocnego stolika i wzięła do ręki ostatnią fiolkę, zanim zauważyła trzy puste leżące na podłodze obok łóżka. Odłożyła dwudziestominutową ampułkę na stół i poszła przepędzić zimne dreszcze gorącym prysznicem. Odkręcając wodę, krzyknęła do Vala, żeby wstawał. Zobaczyła otwarte drzwi pokoju ojca i wiedziała, że jest na nogach od paru godzin. Jak zawsze zjadł płatki i wypił kawę przed wschodem słońca, a potem krzątał się po garażu, zanim wrócił, żeby zrobić świeżą kawę dla niej i grzanek dla Vala.

Jej ojciec nigdy nie zażywał flashbacku, kiedy inni byli w domu. Ale Carol zawsze znajdowała ampułki w garażu. Starszy pan odtwarzał trzy do sześciu godzin dziennie. Zawsze trzy do sześciu godzin z tych samych piętnastu minut, Carol wiedziała. Zawsze próbował zmienić to, co było niemożliwe do zmiany.

Zawsze próbował umrzeć.

Val miał piętnaście lat i był nieszczęśliwy. Tego ranka, kiedy zgarbiony przywłókł się do stołu, miał na sobie interaktywny T-shirt Yamato, czarne dżinsy i okulary VR nastawione na losowe nakładki. Nie odzywał się, kiedy wylewał mleko na płatki i pił sok pomarańczowy.

Jego dziadek przyszedł z garażu i zatrzymał się w drzwiach. Miał na imię Robert. Żona i przyjaciele zawsze nazywali go Bobby. Nikt już więcej tak do niego nie mówił. Starszy pan miał nieco zagubiony, lekko płaczkliwy wyraz

twarży, który wynikał z wieku albo flashbacku, albo jednego i drugiego. Teraz skupił wzrok na wnuku i odchrząknął, ale Val nie podniósł wzroku, a Robert nie potrafił stwierdzić, czy chłopak jest podłączony do tu i teraz, czy do wirtualnej rzeczywistości migającej w okularach.

– Ciepły dzisiaj dzień – powiedział Robert. Jeszcze nie wychodził na zewnątrz, ale większość dni w L.A. była ciepła.

Val coś mruknął i nadal gapił się na pudełko z płatkami.

Starszy pan nalał sobie kawy i podszedł do stołu.

– Wczoraj dzwonił pedagog szkolny. Powiedział, że w zeszłym tygodniu wagarowałeś przez kolejne trzy dni.

To przyciągnęło uwagę wnuka. Val uniósł głowę, zsunął okulary na nos i spytał:

– Mówiłeś mamie?

– Zdejmij okulary. – To nie była prośba.

Val dezaktywował przesył danych, zdjął gogle VR, schował je do kieszonki T-shirtu i czekał.

– Nie mówiłem – rzekł w końcu dziadek. – Powinienem, ale tego nie zrobiłem. Jeszcze.

Val usłyszał groźbę w głosie dziadka.

– Nie ma powodu, żeby młody chłopak jak ty musiał marnować czas na flashback. – Głos Roberta był chrapliwy z powodu wieku i łamał się z gniewu.

Val odchrząknął i odwrócił wzrok.

– Mówię serio, do diabła – warknął dziadek.

– Opowiedz mi o nieużywaniu flashbacku. – Ton Vala ociekał sarkazmem.

Robert zrobił krok do przodu z zaczerwienioną twarzą i zaciśniętymi pięściami, jakby zamierzał uderzyć wnuka. Val zmierzył go wzrokiem, a dziadek przystanął i próbował się opanować. Gdy znowu się odezwał, w jego głosie brzmiała wymuszona łagodność.

– Mówię poważnie, Val. Jesteś za młody, żeby spędzać czas na odtwarzaniu...

Val zsunął się z krzesła, chwycił torbę sportową i otworzył drzwi.

– Co ty wiesz o byciu młodym? – rzucił.

Dziadek zamrugał, jakby został spoliczkowany. Otworzył usta, ale zanim zdążył wymyślić, co odpowiedzieć, chłopak wyszedł.

Chwilę później zjawiła się Carol i nalała sobie kawy.

– Val już poszedł do szkoły?

Robert tylko skinął głową, patrząc na drzwi.

Robert patrzy w dół, widzi swoje własne ręce ściskające bok ciemnej limuzyny i od razu wie, gdzie i kiedy jest. Upalny dzień jak na listopad. Jego spojrzenie przenosi się z okien w górze na tłum – tylko dwa rzędy na tym odcinku ulicy – a potem z powrotem na okna. Od czasu do czasu zerka na tył głowy, którą ma przed sobą w otwartym lincolnie.

Lancer wygląda dzisiaj na zrelaksowanego, myśli.

Słyszy własne myśli jak radio włączone na dalekiej stacji – głośność trochę większa niż szept. Myśli o otwartych oknach i powolności kolumny samochodów.

Zeskakuje ze stopnia i z łatwością biegnie na swoją pozycję w pobliżu lewego tylnego zderzaka niebieskiego lincolna Lancera, podczas gdy jego wzrok pozostaje utkwiony w tłumie i w oknach nad ulicą. Jego bieg jest swobodny i lekki; trzydziestodwuletnie ciało jest w doskonałej kondycji. Na odcinku dwóch przecznic dzielnica się zmienia – żadnych wysokich budynków, więcej pustych parceli i małych sklepów, tłum już nie stoi po obu stronach trasy – Robert zostaje z tyłu i wchodzi na lewy stopień pierwszego samochodu ochrony.

– Zamęczysz się – mówi Bill McIntyre ze swojego miejsca na stopniu.

Robert uśmiecha się szeroko do drugiego agenta i widzi swoje odbicie w okularach przeciwsłonecznych Billa. Jestem taki młody, myśli po raz tysięczny, podczas gdy jego uwaga skupia się na oknach budynku znajdującego się przed nimi. Słyszy siebie, jak myśli o trasie, w miarę jak przesuwają się tabliczki z nazwami ulic: Main i Market.

Skacz teraz! – krzyczy bezgłośnie do siebie. *Puszczaj się teraz! Biegnij teraz.*

Gotuje się z frustracji, kiedy ignoruje wewnętrzne okrzyki. Młody Robert rozważa bieg na tył lincolna, ale niskie budynki i rzednące tłumy przekonują go, żeby został na stopniu samochodu.

Nie! Ruszaj! Przynajmniej się zbliż.

Głowa Roberta odwraca się od tłumów w stronę niebieskiego lincolna. On przygotowuje się na widok znajomej szopy kasztanowych włosów. Jest. Potem Lancer znika, kiedy wzrok Roberta kieruje się w lewo. Jest tam otwarty teren: trawiasty pagórek i trochę drzew.

Robert wie co do sekundy, kiedy zeskoczy ze stopnia, ale próbuje napiąć mięśnie, żeby zrobić to wcześniej. Nie działa. Zeskakuje w tej samej chwili co zawsze.

Dobiegnięcie do lincolna zajmuje tylko kilka sekund. Uwagę Roberta przyciąga mała grupka kobiet wrzeszczących coś, czego nigdy nie potrafił zrozumieć. Glen i inni w samochodzie też obracają głowy w prawo. Cztery kobiety trzymają małe aparaty brownie i krzyczą do pasażerów lincolna. On ocenia je w ciągu trzech sekund i uznaje za niegroźne, ale zna każdą z tych

twarży dokładniej, niż pamięta twarz zmarłej żony. Kiedyś, w latach dziewięćdziesiątych, zobaczył starszą kobietę przechodzącą przez ulicę w śródmieściu Los Angeles i od razu wiedział, że to jest ta trzecia na prawo od krawężnika, którą widział trzydzieści dwa lata wcześniej.

Teraz... wskakuj na stopień lincolna! – rozkazuje sobie.

Zamiast tego wyciąga rękę, uderza w zapasową oponę niebieskiego lincolna jak na pożegnanie i czeka na następny wóz. Z przodu motocykliści i pierwszy samochód skręcają w prawo z Main na Houston, nie ciskając czterech pasażerów na oparcia. Robert wraca na stopień samochodu ochrony.

Spójrz w górę!

Patrząc w lewo, Robert widzi, że na wiadukcie, pod którym za chwilę będzie przejeżdżać kawalkada, zebrali się robotnicy kolejowi. Przeklina pod nosem i myśli: niedbalstwo. Wszystkie trzy pojazdy skręcają powoli w Elm Street. Robert pochyla się do otwartego okna i mówi:

– Most kolejowy... ludzie.

Siedzący z przodu dowódca Emory Roberts już ich zobaczył i sięga po przenośne radio. Robert macha do stojącego na wiadukcie funkcjonariusza w żółtym płaszczu nieprzemakalnym i gestykuluje do niego, żeby oczyścił most. Policjant odmachuje.

– Cholera – rzuca Robert.

Ruszaj teraz! – rozkazuje sobie.

Niebieski lincoln przejeżdża pod billboardem Hertza z wielkim zegarem. Jest dokładnie 12:30.

– Nieźle – mówi Bill McIntyre. – Parę minut spóźnienia to wszystko. Będziemy na miejscu za pięć minut.

Robert patrzy na wiadukt kolejowy. Robotnicy trzymają się z dala od jego brzegu. Gliniarz w żółtym płaszczu stoi między nimi a poręczą. Robert odpręża się trochę i zerka w prawo na duży ceglany budynek, który właśnie mijają. Pracownicy na przerwie obiadowej machają ze schodów i krawężnika.

Proszę... drogi Jezu, proszę... ruszaj teraz.

Robert ogląda się na wiadukt. Funkcjonariusz w żółtym płaszczu macha, podobnie robotnicy. Dwaj mężczyźni w długich prochowcach stoją na podejździe mostu i nie machają. Policjanci w cywilu albo ludzie Goldwatera, myśli Robert. A jego umysł wrzeszczy. *Teraz! Biegnij teraz!*

– Środkowy do bazy. Pięć minut do celu. – Emory Roberst rozmawia przez radio z Martem.

Robert jest zmęczony. Poprzedniego dnia w Fort Worth jeszcze długo po północy grał w pokera z Glenem, Billem i paroma innymi. Dzisiejszy upał jest przytłaczający. Robert potrząsa prawym ramieniem, żeby odkleić mokrą koszulę

od skóry. Słyszy, jak Jack Ready mówi coś z drugiej strony samochodu. Patrzy na niego. Ludzie machają i krzyczą radośnie z chodnika. Trawa jest tutaj dużo bardziej zielona niż w Waszyngtonie.

Jakiś dźwięk.

Ruszaj! Jeszcze jest czas!

Chryste, słyszy swoje myśli. Jeden z tych cholernych robotników odpalił detonator szynowy.

Robert patrzy przed siebie, widzi róż kobiecej sukienki, widzi, jak Lancer unosi ramiona, łokcie wysoko, dłonie na szyi.

Stopy Roberta uderzają w ziemię, kiedy echo pierwszego wystrzału nadal odbija się od budynku do budynku. Pędzi po gorącym chodniku, jego serce dudni. Za nim samochód ochrony przyśpiesza, a potem musi ostro hamować. Zdumiewające, niewiarygodne, ale mimo wszystkich procedur i szkoleń kierowca lincolna zwolnił. Słysząc kolejny trzask. Jeden z policjantów z eskorty patrzy na swój motocykl, jakby to on wystrzelił.

Mijają niecałe trzy sekundy. Robert rzuca się stroną bagażnika lincolna.

Dźwięczy trzeci wystrzał.

Robert widzi i słyszy uderzenie. Głowa Lancera pełna zdrowych kasztanowych włosów rozpada się w mgiełce różowej krwi i białej tkanki mózgowej. Kawałek czaszki prezydenta, zaskakująco różowy jak wnętrze arbuza, szybuje łukiem w powietrzu i ląduje na bagażniku lincolna, więźnie w kole zapasowym.

Lewa ręka Roberta złapała metalowy uchwyt, lewa stopa jest na stopniu, kiedy lincoln w końcu przyśpiesza. Stopa się zsuwa, samochód go wlecze. Robert jest teraz połączony z nabierającym szybkości pojazdem jedynie zdrętwiałymi palcami lewej dłoni. Słyszy swoje myśli, że raczej zginie, niż puści uchwyt.

To teraz nie ma znaczenia, myśli sobie. Nie ma znaczenia.

Nie do wiary, ale kobieta w różowym wpełza na bagażnik. Robert myśli, że ona próbuje go dosięgnąć, pomóc mu, ale wtedy uświadamia sobie z przerażeniem, że ona sięga po fragment czaszki zaklinowany w kole zapasowym. Nadludzkim wysiłkiem wyciąga prawą rękę i chwyta jej dłoń. Kobieta nieruchomieje, jej oczy robią się szkliste... a potem pomaga mu wciągnąć się na bagażnik pędzącej limuzyny.

Za późno. Wszystko za późno.

Robert pcha ją na zbryzganą tapicerkę, potem na podłogę odkrytego samochodu. Nakrywa ciałem ją i drugą osobę z tylnego siedzenia. Jedno spojrzenie potwierdza to, co już wiedział w chwili, kiedy usłyszał uderzenie trzeciej kuli.

Samochód pędzi teraz, kiedy już jest za późno. Motocykliści torują drogę, ich klaksony ryczą.

Za późno.

Robert szlocha. Wiatr porywa jego łzy. Szlocha przez całą drogę do szpitala Parkland.

Honda Carol była tego ranka tylko do połowy naładowana, czy to z powodu kolejnego spadku napięcia w nocy, czy jakiegoś problemu z bateriami samochodu. Miała nadzieję i modliła się, żeby chodziło o spadek napięcia. Nie mogła sobie pozwolić na więcej napraw.

Prądu było akurat tyle, żeby dojechała do pracy i z powrotem.

Dojazd do I-5 był zakorkowany. Jak zawsze Carol miała ochotę zjechać na prawie pusty pas dla VIP-ów i przemknąć obok zatoru. Tego pasa używało tylko kilka lexusów i acura omeg, ich szoferzy o stoickich twarzach, japońskie twarze na tylnych siedzeniach, pochylone nad papierami albo powerbookami.

Byłoby warto przejechać z kilometr albo dwa z dużą szybkością, zanim gliniarze mnie zatrzymają, pomyślała.

Sunęła do przodu razem z resztą wolno jadących pojazdów, obserwując, jak wskaźnik naładowania stale spada. Przypuszczała, że korek jest spowodowany zwykłą naprawą pasa albo mostu, ale kiedy dotarła do zjazdu na Santa Monica, zobaczyła nissana voltaire, a wokół niego wozy policji autostradowej. Wynoszono z niego kierowcę. Jego oczy były otwarte i wyglądało na to, że oddycha, ale nie reagował, kiedy wtaczali go na tył karetki.

Flashback, pomyślała Carol. Coraz więcej ludzi z niego korzystało, nawet kiedy tkwili w korkach. Jakby przypomniano jej o tej możliwości, otworzyła torebkę i wyjęła z niej dwudziestominutową fiolkę. Gdyby jej honda była w pełni naładowana, mogłaby przed pójściem do pracy zatrzymać się u swojego dostawcy przy Whittier Boulevard. A tak musiała polegać na swoim zapasie, który trzymała w biurku.

Carol była prawie trzydzieści minut spóźniona, kiedy wjechała do garażu w kompleksie Civic Center, ale i tak zjawiała się jako pierwsza z czterech protokolantek sądowych. Wyłączyła silnik, przez chwilę rozważała podłączenie kabla do ładowania mimo wyższych cen, w końcu postanowiła wrócić do domu na prądzie, który jej został, otworzyła drzwi, a potem je zamknęła.

Jej szefowie byli przyzwyczajeni do spóźnień protokolantek. Szefów prawdopodobnie też jeszcze nie było. Nikt już nie zjawiał się punktualnie.

Pewnie miała pół godziny do czterdziestu minut, nim zacznie się prawdziwa praca.

Carol uniosła do nosa dwudziestominutową fiolkę, skupiła się na przywołaniu konkretnego wspomnienia, tak jak nauczył ją Danny, kiedy pierwszy raz korzystała z flashbacku, i otworzyła wieczko. Rozszedł się zwykły słodki, ostry zapach, a potem znalazła się w jakimś innym miejscu.

Danny wchodzi z patio i obejmuje ją od tyłu, kiedy ona nalewa sok przy ladzie. Jego ręce wsuwają się pod jej frotowy szlafrok. Jaskrawe karaibskie światło wlewa się przez okna i otwarte drzwi ich bungalowu.

– Hej, rozleję przez ciebie – mówi Carol, trzymając szklanekę z sokiem nad ladą.

– Chcę, żebyś rozlała – mruczy Danny. Muska nosem jej kark.

Carol odchyła się do tyłu w jego ramionach.

– Czytałam gdzieś, że kiedy mężczyźni tulą kobiety w kuchni, jest to kolejna forma męskiej dominacji – mówi ona ochryplym szeptem. – Coś w rodzaju odruchu Pawłowa, żeby zatrzymać nas w kuchni...

– Zamknij się – mówi on. Zsuwa szlafrok z jej ramion i nadal muska ją nosem.

Carol zamyka oczy. Jej ciało nadal nosi wspomnienie ostatniej nocy, kiedy się kochali. Ręce Danny'ego przesuwają się teraz na przód szlafroka, rozwiązują pasek, rozchylają poły.

– Musisz się spotkać z kupcami za trzydzieści minut – przypomina cicho Carol z nadal zamkniętymi oczami. Unosi dłoń do jego policzka.

Danny całuje jej szyję dokładnie w miejscu, gdzie uderza puls.

– To daje nam całe piętnaście minut – szepcze. Jego oddech jest delikatny na jej ciele.

W wirze doznań Carol się poddaje.

Pod wysokim przesłaniem mostu kolejowego, tuż pod miejscem, gdzie betonowe kratownice łączyły się niczym przypory jakiejś gotyckiej katedry, Coyne wręczył Valowi półautomatyczny pistolet kalibru 32. Gene D. i Sully zagwizdali i wydali inne odgłosy aprobaty.

– To jest narzędzie – powiedział Coyne. – Ty musisz sprawić, żeby reszta się wydarzyła.

– Sprawić, żeby reszta się wydarzyła – powtórzył Gene D.

– To jest tylko narzędzie – dorzucił Sully.

– No, dalej, wypróbuj go. – Ciemne oczy Coyne’a błyszcząły.

Wszyscy trzej chłopcy byli biali, ubrani w podarte T-shirty i poszarpane dzinsy średniej klasy. Ich buty fuzzy logic nie były dość nowe, drogie ani modne, by pokazać, że chłopcy są członkami któregoś z gangów getta.

Ręce Vala drżały lekko, kiedy obracał pistolet w rękach i go przeładowywał. Pocisk leżał w komorze. Val puścił zamek i uniósł broń, trzymając palec na osłonie spustu.

– Nie ma znaczenia kto – wyszeptał Coyne.

– W ogóle nie ma znaczenia – powtórzył za nim z chichotem Sully.

– Lepiej nie wiedzieć – zgodził się Gene D.

– Ale trzeba zrobić rozpiarduchę, żeby mieć jazdę – powiedział Coyne. – Trzeba robić, co należy, chłoptasiu.

– Robota zrobiona, nerwy zszargane. – Sully się zaśmiał.

Val spojrział na przyjaciół, a następnie wsunął pistolet za pasek i naciągnął na niego T-shirt.

Gene D. przybił mu piątkę i postukał go po głowie.

– Lepiej sprawdź bezpiecznik, dziecińco. Nie chcesz odstrzelić sobie interesu, zanim zrobisz swoje.

Czerwony na twarzy Val wyjął pistolet, kliknął bezpiecznik i schował broń z powrotem za pasek.

– Dzisiaj jest ten dzień! – wrzasnął Sully do nieba i zjechał na plecach z długiej betonowej skarpy.

Echo jego okrzyku odbiło się od betonowych ścian i dźwigarów.

Zanim Gene D. i Coyne poszli w jego ślady, klepnęli Vala po plecach.

– Przy następnym flashu, chłopcze, będziesz już Flashmanem.

Wrzeszcząc, aż echo nałożyło się na okrzyki w czasie rzeczywistym, trzej chłopcy zsunęli się po śliskiej pochyłości.

Robert mieszkał z córką, ale miał również sekretny adres. Tylko sześć przecznic od ich skromnego podmiejskiego domu, przy starej ulicy rzadko uczęszczanej od Krachu Infrastruktury, stał tani motel VR, który obsługiwał przyjezdnych z prowincji i nielegalnych imigrantów. Robert wynajmował tam

pokój. Blisko swojego dostawcy flashbacku. I z jakiegoś powodu czuł się mniej winny, kiedy tam odtwarzał przeszłość.

Poza tym motel miał łącze telemetryczne z opcjami nostalgii dla swoich stałych klientów i kiedy Robert używał gogli VR – czyli ostatnio rzadko – przywoływał wystrój z wczesnych lat sześćdziesiątych. W jakiś sposób pomagało to w przeniesieniu.

Wykorzystał resztki limitu na karcie, żeby kupić dwanaście piętnastominutowych fiolek za zwykłą cenę dolar za minutę. Między jego domem a norą VR handel odchodził na każdej przecznicy. Robert schował dwa sześciopakki w folii bąbelkowej do kieszeni i ruszył do motelu szurającym krokiem starego człowieka.

Dzisiaj włączył gogle. Wygląd pokoju był zgodny z wyobrażeniem dekoratora wnętrz o elegancji rodem z Holiday Inn z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Stolik kawowy w kształcie nerki przed niską skandynawską kanapą; lampy stojące i wiszące w stylu art deco; na ścianach obrazy dzieci o sarnich oczach na czarnym tle i zdjęcia Elvisa. Egzemplarze *Life* i *Saturday Evening Post* rozłożone na stoliku do kawy. Za panoramicznym oknem park stalowych i szklanych wieżowców górujących nad drzewami. Wielkie samochody z Detroit sunące po autostradzie, pomruk silników o spalaniu wewnętrznym i nostalgiczny ryk w tle. Wszystko nowe, czyste i plastikowe. Nie pasował tylko silny odór gnijących śmieci.

Robert prychnął i zdjął gogle. Pokój miał ściany z gołych pustaków, z mebli jedynie łóżko polowe, na którym leżał, i surowe konstrukcje z drutów zajmujące przestrzeń, gdzie powinien stać stół i kanapa. Nie było żadnego okna. Smród śmieci sączył się przez przewody wentylacyjne i spod odrapanych drzwi.

Robert z powrotem nałożył gogle i rozerwał folię bąbelkową. Wyglądając przez okno na dodge'e, fordys i chevrolety z lat pięćdziesiątych, przywołał upalny dzień w Dallas i żar samochodowego metalu pod dłońmi, aż był pewien, że włączą się właściwe synapsy pamięciowe.

Uniósł piętnastominutową fiolkę do nosa i otworzył wieczko.

Carol miała protokołować zeznanie w biurze prokuratora okręgowego o dziesiątej, ale zajmujący się sprawą zastępca prokuratora siedział w swoim boksie i do dziesiątej dwadzieścia odtwarzał ulubioną wyprawę na ryby, stary świadek spóźniał się pół godziny, wspólnik z biura obrońcy w ogóle się nie zjawił, technik wideo miał inne zadanie o jedenastej, a ratownik medyczny, który

zgodnie z prawem musiał być obecny przy flashbacku zadzwonił i powiedział, że utknął w korku. W końcu świadek został zwolniony, a Carol schowała sprzęt.

– Pieprzyć to – rzucił Dale Fritch, młody zastępca prokuratora okręgowego. –

Starsza pani i tak nie zgodziłaby się na flashback. Cała ta sprawa jest popieprzona.

Carol skinęła głową. Świadek, który nie chciał się zgodzić na przesłuchanie bezpośrednio po flashbacku, albo kłamał, albo był jakimś religijnym fanatykiem. Starsza czarna kobieta, od której próbowali odebrać zeznanie, nie była religijną fanatyczką. Choć przesłuchania z flashbackiem nie miały znaczenia prawnego, żadna ława przysięgłych nie uwierzyłaby świadkowi, który odmówił odtworzenia wydarzeń. W procesach karnych nagrane zeznania z flashbackiem niemal zastąpiły zeznania na żywo.

– Jeśli ją wezwę, żeby zeznawała na żywo, będą wiedzieli, że kłamię – powiedział Dale Fritch, kiedy zatrzymali się przy automacie do kawy. – Flash może uzależniać i szkodzić naszej produktywności, ale wiemy, że nie kłamię.

Carol wzięła podany kubek kawy, wsypała do niego cukier.

– Czasami kłamię.

Fritch uniósł brew.

Carol wyjaśniła flashbacki swojego ojca.

– Chryste, twój tata był w służbach specjalnych i chronił JFK? Świetna sprawa.

Carol napiła się gorącej kawy i pokręciła głową.

– Nie był. To jest ta dziwna część. Agent, który wskoczył na tył samochodu Kennedy’ego pięćdziesiąt lat temu, nazywał się Clint Hill. Miał trzydzieści parę lat, kiedy prezydent został zastrzelony. Mój tata był do emerytury rzeczoznawcą ubezpieczeniowym. Chodził jeszcze do szkoły średniej, kiedy Kennedy zginął.

Dale Fritch zmarszczył brwi.

– Ale flashback tylko pozwala ożywić własne wspomnienia...

Carol ścisnęła kubek.

– Tak. Chyba że jesteś obłąkany albo cierpisz na alzheimera. Albo jedno i drugie.

Zastępca prokuratora pokiwał głową, ssąc mieszadełko do kawy.

– Słyszałem o schizofrenikach, którzy mają fałszywe wspomnienia, ale... – Nagle podniósł wzrok. – Hej, Carol... przepraszam...

Carol próbowała się uśmiechnąć.

– W porządku. Specjaliści nie sądzą, żeby tata miał schizofrenie, ale nie zareagował na leki na alzheimera...

– Ile ma lat? – spytał Fritch, zerkając na zegarek.

– Właśnie skończył siedemdziesiąt – odpowiedziała Carol. – W każdym razie nie wiedzą, dlaczego on ma te fałszywe flashbacki. Jedyne, co potrafią robić, to radzić mu, żeby nie brał narkotyku.

Fritch się uśmiechnął.

– A on stosuje się do ich rad?

Carol wyrzuciła pusty kubek.

– Tata jest przekonany, że wszystko w kraju jest dzisiaj gówniane, bo nie dość szybko znalazł się między Johnem Kennedym a kulą. Uważa, że jeśli dotrze tam chwilę wcześniej, Kennedy przeżyje dwudziesty drugi listopada i historia się naprawi.

Zastępca prokuratora wstał i poprawił krawat.

– Cóż, ma rację co do jednego – powiedział, wrzucając kubek do kosza. – Kraj jest w gównianym stanie.

Val stał naprzeciwko swojej szkoły i zastanawiał, czy wejść, żeby sprzątnąć pana Loehra, nauczyciela historii. Powody, żeby tego nie zrobić, były jasne: 1) szkoła miała wykrywacze metali przy wszystkich wejściach i ochroniarzy na korytarzach, 2) nawet gdyby wszedł i to zrobił, złapaliby go. Co to byłaby za zabawa z odtwarzaniem, gdyby robił to w rosyjskim gułagu? Val nie znał czasów, w których nadmiaru amerykańskich więźniów nie wysyłano do Republiki Rosyjskiej, zatem szansa, że odsiedzi wyrok w syberyjskim gułagu, nie wydawała mu się dziwna. Kiedyś, gdy dziadek wspomniał, że nie zawsze tak było, Val uśmiechnął się szyderczo i rzucił:

– Cholera, kto by pomyślał, że Ruscy będą musieli sprzedawać miejsca w więzieniach?

Dziadek nie odpowiedział.

Teraz Val poprawił trzydziestkę dwójkę za paskiem i człapiąc, skierował się w stronę pasażu handlowego nad międzystanową. Sztuka polegała na tym, żeby wybrać kogoś przypadkowego, załatwić go i wyrzucić pistolet gdzieś, gdzie go nie znajdą, a potem się wynosić. Oglądałby telewizję, kiedy w wieczornych wiadomościach powiedzieliby o kolejnej bezsensownej strzelaninie, która, jak podejrzewała policja, miała związek z flashbackiem.

Val włączył okulary, żeby w czasie rzeczywistym oglądać nagie nakładki na wszystkie mijane kobiety, i przyśpieszył kroku.

Carol czeka, aż podjedzie po nią jej chłopak z ogólniaka. Sprawdza falbaniastą bluzkę w stylu Madonny, by się upewnić, że dezodorant działa, i potem stoi na rogu, przestępując z nogi na nogę i obserwując ruch uliczny. Widzi, jak prawie nowe camaro rocznik 93 Neda lawiruje wśród samochodów i zatrzymuje się z piskiem opon. Potem wciska się na tylne siedzenie obok Kathi.

Jak zawsze w tym flashbacku Carol podziwia swój widok w lusterku wstecznym, by się upewnić, że z makijażem wszystko w porządku. Jej włosy są podgolone, ufarbowane i ułożone w kolce, w lewym uchu ma trzy sztuczne diamenty; rzęsy i kredka do oczu sprawiają, że wygląda jak postać z kreskówki. Oprócz szoku na widok siebie młodej i śmiałej Carol czuje w sobie energię młodości. Czuje lekkość kroków, jędrność piersi i mięśni, entuzjizm. Co więcej, czuje chaotyczny ślizg własnych myśli, tak inny w swoim energetycznym optymizmie od ich codziennego wleczenia się w przyszłości-teraźniejszości. Podobnie jest z jej wyglądem we wtedy-teraz.

Kathi papie, ale Carol wyłącza się z harmidru i jedynie chłonie widok przyjaciółki. Dziewczyna odpadła w ostatniej klasie, krótko potem zniknęła z oczu, a później z myśli Carol aż do jesieni dziewięćdziesiątego ósmego, kiedy się okazało, że Kathi zginęła w wypadku samochodowym gdzieś w Kanadzie. Jak zawsze Carol doznaje przyływu ciepłych uczuć do starej przyjaciółki i musi walczyć z bezsensownym pragnieniem, by ją ostrzec, żeby nie jechała ze swoim chłopakiem do Vancouver. Zamiast tego słyszy własny głos paplający o tym, kto do kogo napisał liścik tamtego dnia w szkole. Czuje przyśpieszone bicie serca i rumieniec na twarzy, kiedy celowo unika rozmowy z nieznanym chłopcem z przedniego siedzenia pasażera.

Ned z rykiem silnika włączył się do ruchu, zajechał drogę vanowi villagerowi i zmienił pasy niemal na chybił trafił. Teraz odwraca się i pyta:

– Hej, Carol, dziecino, zamierzasz ignorować mojego przyjaciela przez cały dzień czy co?

Carol unosi podbródek.

– Zamierzasz przedstawić mi swojego przyjaciela czy co?

Ned prychnął. Sądząc po wyziewach, zdaje się, że pił.

– Carol, ten przystojniak to Danny Rogallo. Jest z West High. Danny, poznaj Carol Hearn. To przyjaciółka Kathi i zna naszą drużynę futbolową... Eee, jak to się mówi? Intymnie. O, cholera.

Ned musi ostro zahamować i zmienić pas, żeby ominąć ciężarówkę, która nagle zwalnia.

Carol leci do przodu, zapiera się obiema rękami o tył fotela nowego chłopaka i patrzy na niego. Danny odwrócił się i uśmiechnął albo na powitanie, albo

z zakłopotania jazdą Neda. Carol słyszy swoje myśli, że chłopak jest przystojny jak Tom Cruise – z uśmiechu, fryzury sportowca i kolczyka w uchu.

– Hej, przystojniaku – słyszy własne słowa.

Uśmiech Danny’ego się poszerza.

– Hej, ty – mówi nowy chłopak, nadal odwrócony na siedzeniu w jej stronę.

Carol wie, że to dokładnie połowa wspomnienia i że następna wielka chwila nadejdzie, kiedy ich dłonie zetkną się przypadkowo na schodach ruchomych w centrum handlowym.

– Środkowy do bazy. Pięć minut do celu.

Robert patrzy na przednie siedzenie i widzi, że Emory Roberts odkłada radio i pisze coś w raporcie ze swojej zmiany. Odkleja przepoconą koszulę od ramienia, a potem patrzy w prawo, gdy Jack Ready mówi coś ze swojego stopnia po drugiej stronie samochodu.

Słysząc jakiś dźwięk.

Ruszaj, do diabła. Ruszaj! Masz prawie dwie sekundy. Wykorzystaj je!

Jego wzrok wraca do wiaduktu kolejowego, a on słyszy swoje myśli: *Chryste, jeden z tych cholernych robotników odpalił detonator szynowy.*

Ramiona Lancera unoszą się niemal komicznie. Dłonie wędrują do szyi, tak że z tyłu wydaje się, jakby ciągnęły się w linii prostej od barków i kończyły w łokciach.

Robert czuje, że zeskakuje ze stopnia. Wreszcie.

Biegnie w stronę niebieskiego lincolna. W samochodzie za nim słysząc niewyraźną paplaninę. Robert musi się skupić w czasie dziesiątków flashbacków, żeby odróżnić głos Emory’ego Roberta rozkazujący Jackowi Ready’emu wrócić na stopień i krzyk Dave’a Powersa, przyjaciela Lancera, jadącego w wozie tajnych służb bez szczególnego powodu:

– Prezydent chyba został postrzelony!

Teraz to wszystko jest hałasem tła w czasie rzeczywistym – nieodróżnialnym od ech wystrzałów czy łopotu skrzydeł gołębia – kiedy on usilnie stara się dosięgnąć tyłu odkrytego lincolna, ze wzrokiem utkwionym w kasztanowej głowie Lancera.

Lancer zaczyna się osuwać.

Lincoln niewytłumaczalnie zwalnia.

Robert rzuca się do uchwytu bagażnika.

Rozbrzmiewa kolejny strzał.

Głowa Lancera eksploduje różową chmurą.

– Cholera – powiedział Robert, szlochając.

Przez sekundę nie wiedział, gdzie jest – wystrój z lat sześćdziesiątych, ruch uliczny za motelowym oknem – ale potem uniósł rękę, żeby wytrzeć łzy, trafił na zestaw VR i sobie przypomniał.

– Cholera – powtórzył szeptem, zrywając gogle.

Niemal pusty pokój cuchnął śmieciami i pleśnią. Robert uderzył pięściami w łóżko polowe i się rozplakał.

Val minął stare centra handlowe, wszystkie zabite deskami albo przerobione na więzienia, a potem wspiął się po drewnianym rusztowaniu na nieduży pasaż przy autostradzie.

Nazywano je galeriami handlowymi i były to jedyne galerie, jakie Val znał w swoim krótkim życiu, ale nawet on wiedział, że w rzeczywistości były to zaledwie pchle targi na estakadowych odcinkach międzystanowej, opuszczone po Wielkim Krachu z dwa tysiące ósmego. Dzisiaj pół kilometra albo więcej kolorowych płócien falowało i łopotało na wietrze; cygańscy handlarze zjawili się tłumnie. Val dołączył do południowych tłumów kupujących i zrozumiał, dlaczego Coyne i Gene D. nalegali, żeby swojej flashbackowej strzelaniny dokonał tutaj; mógł w jednej sekundzie wtopić się w tłum, było mnóstwo schodów w dół, którymi mógł uciec, a labirynt roztrzaskanych betonowych płyt i słupów na zawalonej części autostrady stanowił idealne miejsce, żeby pozbyć się pistoletu.

Idąc białym pasem między brezentowymi straganami, Val oglądał nowe japońskie i niemieckie towary i udawał, że patrzy na stare ruskie i amerykańskie gówno z recyklingu. Japońskie VR i interaktywny sprzęt były spoko, choć on wiedział, że są całe generacje za technicznymi zabawkami, które mogły kupować japońskie i niemieckie dzieciaki. Problem z telewizją, zwłaszcza interaktywną, polegał na tym, że dawała posmak tego, jak żyje druga połowa, ale nie pokazywała, jak można się tam dostać. Matka Vala mówiła, że tak zawsze było z telewizją – że w czasach jej dzieciństwa, czyli mrocznych wiekach zacofania, Afrykanie i Latynosi z getta to samo czuli w związku z programami, które

pokazywały dobrobyt białych Amerykanów z klasy średniej. Vala kompletnie nie obchodziło, jak było w czasach jego matki; po prostu chciał mieć nowy japoński sprzęt.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj Val chciał jedynie użyć trzydziestki dwójki, pozbyć się jej i się stąd wynosić.

Coyne i Gene D. przysięgali, że nie ma we wszechświecie lepszej rzeczy niż odtwarzanie, jak się kogoś załatwiło. Sully też to przysięgał, ale Val nie wierzył w nic, co mówił ten chłopak. Oprócz flashbacku Sully brał crack, anielski pył i turbometę, a Val żywił pogardę zwykłego miłośnika flashbacku do kogoś preferującego stare dragi. Mógł jednak tylko patrzeć, kiedy tamci trzej używali trzydziestominutowych fiolek, żeby przeżywać na nowo swoje strzelaniny. Ich twarze się rozluźniały w tym idiotycznym, marzycielskim wyrazie jak u flashbackowców, a potem osuwali się i wpadali w drgawki, a ich gałki oczne poruszały się pod zamkniętymi powiekami jak w fazie REM. Val widział, jak Coyne podnieca się seksualnie, kiedy zbliżał się do części wspomnień ze strzelaniną. Gene D. powiedział, że załatwienie kogoś jest lepsze we flashbacku niż w czasie rzeczywistym, bo człowiek dostaje cały ten przypływ adrenaliny i fizyczny haj, a jednocześnie wie – wiesz ty, oglądający to wszystko – że nie zostanie złapany.

Val dotknął pistoletu przez luźną koszulkę i zaczął się zastanawiać. Nie cieszył go flashback z gwałtu na tamtej hiszpańskiej dziewczynie, tak jak obiecywał Coyne; jej krzyki, zapach strachu, podczas gdy Sully ją trzymał, za każdym razem przyprawiały go o mdłości. Tak więc po dwóch czy trzech wspólnych odtworzeniach tamtego numeru Val nabrał zwyczaju przypominania sobie czegoś innego – na przykład, jak on i Coyne w wieku siedmiu lat ukradli kasetę na pieniądze starego Weimarta – zamiast na nowo przeżywać gwałt.

Ale Coyne mówił, że nie ma to jak flashback z załatwienia kogoś. Nie ma takiej rzeczy.

Pasaż handlowy na wolnym powietrzu był pełen przedpołudniowych kupujących i flashbackowych wagarowiczów. Val zauważył, że coraz więcej ludzi nie chodzi do pracy; czas rzeczywisty kolidował ze wspomnieniami. Zastanawiał się, czy z tego powodu śmieci zawsze tak wysoko gromadzą się wzdłuż chodników, poczta rzadko jest dostarczana i wydaje się, że nikt nic nie robi, chyba że Japończycy przyjeżdżają na kontrolę.

Val wzruszył ramionami. To naprawdę nie miało znaczenia. Teraz liczyło się tylko to, żeby kogoś sprzątnąć, wyrzucić pistolet i wynosić się stąd. Oddalając się spacerkiem od budek z japońskimi i niemieckimi towarami w stronę ruskich straganów, poczuł, że jego serce przyśpiesza na samą myśl o tym, co ma się wydarzyć.

Zaczął rozumieć, jak trzeba to zrobić. Ten odcinek pasażu w pobliżu zawałonego fragmentu autostrady był mniej zatłoczony niż główna część, ale nadal panował tu dostatecznie duży ruch, żeby Val mógł strzelić i wynieść się stąd niezauważony. Dostrzegł wąskie alejki między budami. Po wejściu do jednej z tych alejek mógł widzieć kupujących, nie będąc widzianym przez nich albo przez sprzedawców z prowizorycznych namiotów. Val wyjął zza paska mały półautomat i trzymał go luźno przy boku. Teraz przyszedł czas na wybór...

Kobieta po sześćdziesiątce przechodziła od straganu do straganu, zerkając nad dwuogniskowymi okularami na ruskie towary i ikony rozłożone na ladach. Val oblizwał wargi i opuścił pistolet. Stara wyglądała za bardzo jak jego babka na zdjęciach, które widział.

Dwaj geje w panoramicznych goglach VR spacerowali ramię w ramię, śmiejąc się z topornego ruskiego sprzętu i wykorzystując każdy wybuch śmiechu jako pretekst, żeby się uściskać. Jeden z mężczyzn trzymał dłoń w kieszeni dzinsów drugiego.

Wyglądali na dobry cel. Val uniósł pistolet. A potem zobaczył pudle. Każdy z gejów miał ujadającego pieska na smyczy. Myśl o tych psach szczekających i skaczących dokoła po tym, jak zastrzeli gościa, nie była sympatyczna. Val schował pistolet za plecami i dalej się rozglądał.

Starszy mężczyzna szedł wzdłuż lad, zwracając szczególną uwagę na ruskie badziewie. Gość był łysy i miał plamy wątrobowe, nie nosił okularów VR ani gogli, ale coś w jego workowatym ubraniu i wodnistych oczach przypominało Valowi dziadka.

Uniósł pistolet, odbezpieczył go i zrobił pół kroku pod powiewający płócienny daszek. *Strzel, odejź powoli, wyrzuć pistolet na betonowy gruz w dole, wsiądź do autobusu...* – powtarzał w myślach instrukcje Coyne'a. Jego serce dudniło niemal boleśnie, kiedy unosił małą trzydziestkę dwójkę i celował wzdłuż krótkiej lufy.

Rozległ się strzał, stary mężczyzna gwałtownie uniósł głowę. Wszyscy patrzyli w stronę, gdzie poszli dwaj geje z pudłami. Stary odsunął się od lady i gapił razem z innymi, kiedy rozległy się krzyki i kroki.

Val opuścił pistolet drżącymi rękami i wyszedł spod daszka, by popatrzeć.

Kobieta o siwych włosach, w dwuogniskowych okularach, leżała bezwładnie na białym środkowym pasie alejki. W stronę drugiego końca pasażu biegł dzieciak, miał nie więcej niż dwanaście albo trzynaście lat. Jego skórzana kurtka powiewała. Jeden z gejów opadł na jedno kolano i krzyknął, żeby dzieciak się zatrzymał. Drugi gej pokazywał odznakę tłumowi i wrzeszczał, żeby wszyscy się cofnęli, a ten, który klęczał, ścisnął w obu rękach plastikową rurkę. Val rozpoznał czarny przedmiot z setek interaktywnych filmów: pneumatyczny uzi-

940. Nie miał wątpliwości, że błazeńskie panoramiczne gogle VR podawały taktyczne informacje i namiary celu. Gliniarz po raz ostatni kazał dzieciakowi się zatrzymać. Chłopak znajdował się prawie przy schodach i nawet się nie obejrzał. Dwa pudle szarpały się na smyczach i szczekały histerycznie.

Uciekający w końcu obejrzał się przez ramię w chwili, gdy gliniarz strzelił. Uzi wydało dźwięk jak świst sprężonego powietrza we wskaźniku ciśnienia w oponach, kurtka chłopaka eksplodowała czarną chmurą skórzanych pasków, kiedy kilkaset szklanych i stalowych mikrostrzałek trafiło w cel. Dzieciak upadł jak szmaciana lalka, jego własna bezwładność i uderzenie chmury igiełek wypchnęły ciało za linowe ogrodzenie. Strzępy skórzanej kurtki nadal spadały z estakady jak konfetti, kiedy tłum popędził obok gliniarzy i histerycznych pudli, żeby pogapić się na ciało leżące dziewięć metrów niżej.

Val wziął głęboki wdech, wsunął trzydziestkę dwójkę za pasek, naciągnął na niego podkoszulek i poszedł wolno do drugich schodów. Nogi tylko lekko mu się trzęsły.

Carol wyszła z flashbacku spotkania z Dannym i zobaczyła, że Dale Fritch czeka przy drzwiach jej boksu. Nie miała pojęcia, jak długo tam stał. W ciągu ostatnich kilku lat prywatność stała się koniecznością i wszyscy, którzy korzystali z flashbacku, szanowali potrzebę czasu i przestrzeni u innych ludzi. Teraz Carol zerknęła w małe lusterko, które trzymała w szufladzie biurka, sprawdziła makijaż i szybko przeczesła szczotką włosy, zanim otworzyła drzwi.

Zastępca prokuratora wydawał się niespokojny.

– Carol... ee... właśnie się zastanawiałem, czy... miałabyś jutro czas na specjalny projekt.

Carol uniosła brew. Pracowała z Frankiem przy wielu zeznaniach i była sądową protokolantką w wielu procesach, na których on się pojawiał, ale aż do ich dzisiejszej porannej rozmowy o jej ojcu nie sądziła, żeby kiedykolwiek powiedzieli sobie coś osobistego.

– Specjalny projekt? – powtórzyła, zastanawiając się, czy to coś w rodzaju podrywu.

Wiedziała, że zastępca prokuratora jest żonaty i ma dwoje małych dzieci, i sądziła, że jego jedyną namiętnością jest ta, o której czasami mówił: łowienie pstrągów.

Dale obejrzał się przez ramię, wszedł do pustej sali konferencyjnej i przywołał ją gestem ręki. Carol czekała, aż on zamknie drzwi.

– Wiesz, że prowadziłem dochodzenie w sprawie morderstwa Hayakawy? – zagał cicho.

Carol pokiwała głową. Pan Hayakawa był ważnym doradcą korporacyjnym w okręgu L.A. i wszyscy w hrabstwie wiedzieli, że to śledztwo było... żeby użyć słowa, którego prokurator okręgowy nadużywał... wrażliwe.

– Cóż... – ciągnął Dale, przeczesując dłonią blond włosy. – Mam świadka, który przysięga, że strzelanina nie była rozbojem, jak ją zaklasyfikowali gliniarze. Przysięga, że jest związana z narkotykami.

– Z narkotykami? – powtórzyła Carol. – Masz na myśli kokę?

Dale przygryzł dolną wargę.

– Flashback.

Carol omal się nie roześmiała.

– Flashback? Hayakawa mógł kupić flashback na rogu każdej ulicy w tym mieście. Tak jak każdy inny. Dlaczego mieliby go zabijać za flashback?

Dale Fritch pokręcił głową.

– Zabili go, bo on go dostarczał i ktoś nie zgadzał się co do ilości. A przynajmniej tak twierdzi mój informator.

Carol nie ukrywała sceptycyzmu.

– Dale... – po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu – ...Japończycy nie pozwalają na używanie flashbacku. U nich jest za to obligatoryjna kara śmierci.

Zastępca prokuratora skinął głową.

– Mój informator mówi, że Hayakawa był częścią sieci dostaw. Mówi, że Japończycy opracowali narkotyk i...

Carol prychnęła.

– Flashback został pierwszy raz zsyntetyzowany w Chicago. Pamiętam, że czytałam o nim, zanim trafił na ulice.

– On mówi, że opracowali go Japończycy i od ponad dekady go nam wciskają – ciągnął Fritch. – Posłuchaj, Carol, wiem, że to brzmi wariacko, ale potrzebuję dobrej protokolantki, która potrafi milczeć, aż udowodnię, że ten informator jest szalony albo... W każdym razie, możesz zrobić to jutro?

Carol wahała się tylko przez sekundę.

– Jasne.

– Możesz to zrobić w czasie przerwy na lunch? Musimy spotkać się z tym gościem w kawiarni po drugiej stronie miasta. On ma paranoję jak diabli.

Carol uśmiechnęła się lekko.

– Cóż, skoro uważa, że demaskuje jakiś wielki międzynarodowy spisek, rozumiem dlaczego. Jasne, zwykle przynoszę własny lunch. Spotkamy się w twoim biurze o dwunastej.

Dale Fritch się zawahał.

– Moglibyśmy spotkać się na zewnątrz... powiedzmy na rogu południowej strony garażu? Nie chcę, żeby ktoś z biura o tym wiedział.

Carol uniosła brew.

– Nawet pan Torrazio?

Bert Torrazio był prokuratorem okręgowym, politycznym nominatem burmistrza i jego japońskich doradców. Nikt, nawet protokolanci, nie uważali, że Torrazio jest kompetentny.

– Zwłaszcza Torrazio – powiedział Fritch z naciskiem. – To całe dochodzenie jest nieoficjalne, Carol. Jeśli Bert coś zwietrzy, Hizzoner i wszyscy japońscy finansiści ze śródmieścia rzucają się na mnie jak muchy na gówno... Przepraszam za język.

Carol się uśmiechnęła.

– Będę na rogu w południe.

Na chłopięcej twarzy zastępcy prokuratora odmalowały się ulga i wdzięczność.

– Dzięki, Carol. Doceniam to.

Carol poczuła się jak idiotka, że pomyślała o podrywie. Tak czy inaczej, nie myślała o Dannym przez całą jazdę do domu. Wjechała do garażu ze wskaźnikiem naładowania baterii pokazującym zero.

Robert dostrzegł problem, gdy tylko Val wrócił do domu. Nastolatek często był maniakalny, częściej depresyjny albo rozkojarzony z powodu uczucia dyslokacji powodowanego przez flashback, ale Robert nigdy nie widział wnuka tak przygnębionego jak tego wieczoru. Val wparował do domu, kiedy on i Carol odgrzewali kolację w mikrofalówce, i poszedł prosto do swojego pokoju. W czasie kolacji nie rozmawiali – co nie było niezwykle – ale przez cały posiłek twarz Vala błyszczała od potu, a oczy strzelały na prawo i lewo, jakby czekał, aż zadzwoni telefon. Telewizor był włączony, jak mieli w zwyczaju, żeby zamaskować brak rozmowy, a Robert zauważył, że chłopak uważnie ogląda lokalne wiadomości, co było bardziej niż niezwykle. Nie miało precedensu.

Robert zobaczył, że chłopiec poprawia się na krześle i gwałtownie unosi głowę, kiedy prezenterka zaczęła opisywać strzelaninę w pasażu handlowym na I-5.

– ...ofiara została zidentyfikowana jako Jennifer Lopato, lat sześćdziesiąt cztery, z Glendale. Rzecznik wydziału policji Los Angeles Heather Gonzalez

mówi, że nie ustalono żadnego motywu strzelaniny, a władze podejrzewają, że to kolejne morderstwo związane z flashbackiem. W tym jednak wypadku domniemany strzelec został przyłapany na gorącym uczynku przez dwóch policjantów niebędących na służbie, którzy odpowiedzieli ogniem. CNN uzyskało oficjalny zapis z kamery pistoletu. Ostrzegamy, że materiał, który państwo zaraz obejrzycie, jest bardzo realistyczny...

Robert obserwował Vala oglądającego filmik. O ile potrafił stwierdzić, patrząc na ekran, zapis nie różnił się od zarejestrowanych przez kamerki nocnych rzezi, wypełniających wiadomości w dzisiejszych czasach. Ale Val wydawał się zahipnotyzowany obrazami. Z otwartymi ustami gapił się, jak młody chłopak pędzi przez tłum, nie reaguje na okrzyki policjantów, żeby się zatrzymać, a potem zostaje posiekany przez chmurę strzałek. Jego wnuk tylko zamknął usta, przełknął ślinę i odwrócił się z powrotem do stołu po minucie wypowiedzi ludzi na temat złych doniesień z wojny w Chinach.

Carol chyba nie zauważyła reakcji syna. Jej wzrok był skierowany do wewnątrz, jak zwykle w tych czasach.

Jesteśmy wszyscy na flashbacku, nawet kiedy nie jesteśmy na flashbacku. Robert poczuł zawrót głowy, jak często mu się zdarzało, kiedy myślał o swoich własnych doświadczeniach, a po nim jeszcze gorszą falę odrazy do samego siebie. Do swojej rodziny. Do Ameryki.

– Coś nie w porządku, tato? – zapytała Carol, patrząc znad kubka kawy. Jej oczy nadal miały roztargniony wyraz, ale jednocześnie marszczyła brwi z troski.

– Nie – odparł jej ojciec, unosząc rękę w stronę Vala. – Ja tylko... – Umilkł. Gdy popadł w zadumę, wnuk wstał od stołu. Robert nawet nie wiedział, czy wrócił na górę, czy wyszedł z domu. – Nic. – Niezręcznie poklepał córkę po ręce. – Nic złego.

Lata temu otoczyli siatką kładkę dla pieszych, żeby ludzie nie rzucali ciężkich przedmiotów albo siebie na dwanaście pasów autostrady biegnącej w dół, potem – kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych strzelaniny przybrały epidemiczne rozmiary – nakryli ją grubym pleksiglasem, który miał zatrzymywać kule. Nie zatrzymywał – o czym, świadczyły dziesiątki dziur po pociskach, zarówno nadlatujących, jak i wylatujących, które potrzaskały plastik wzdłuż całej długości tunelu – ale na tyle psuł celność, że strzelcy woleli korzystać z innych stanowisk snajperskich nad międzystanową. Do tego czasu

oczywiście większość ludzi uznała, że każdy jadący nieopancerzonym samochodem zasługuje na kulkę.

Jednakże za życia Vala zaburzeni weterani wojen najemnych w Azji czy Ameryce Południowej zaczęli rzucać z kładek granaty odłamkowe i innych typów, więc mosty dla pieszych znowu zostały obudowane i zabezpieczone, tym razem spawanymi stalowymi drzwiami na obu końcach, żeby ludzie w ogóle tam nie wchodzili. Gangi wywierciły otwory w stalowych płytach i używały długich, ciemnych kładek jako miejsca spotkań i swoich prywatnych salonów flashbacku. Było tam bardzo ciemno i Val musiał użyć okularów VR jako gogli noktowizyjnych, żeby znaleźć Coyne'a, Gene'a D. i Sully'ego wśród ciemnych postaci kiwających głowami, sprzedających i kupujących.

Val wyjął trzydziestkę dwójkę zza paska i położył ją na dłoni.

– Nie mogłeś tego zrobić, co? – spytał cicho Coyne, zabierając pistolet. W okularach VR był jasnozieloną postacią z pulsującą białą rurką w ręce.

Val otworzył usta, żeby opowiedzieć o dzieciaku i gliniarzach pedałach, ale się nie odezwał.

Sully prychnął zde gustowany, ale zielona postać, która była Coyne'em, pchnęła go, tak że chłopak umilkł. Coyne oddał pistolet.

– Zatrzymaj go, stary. Jak ta suka z południa... jak jej tam było, mówiła w tym w starym filmie? „Jutro też będzie dzień”.

Val zamrugał. Ktoś zapalił papierosa w moście-tunelu i ten koniec przęła rozbłysnął białym światłem. Kilkanaście głosów krzyknęło, żeby duppek zgasił to pieprzone światło.

– Tymczasem... – powiedział Sully, otaczając Vala ramieniem – ... zdobyliśmy trochę świetnego flasha...

Val znowu zamrugał.

– Flash to tylko flash, dupku.

Sully prychnął znowu, a Coyne położył dłoń na plecach Vala. Val poczuł, że kontakt z Coyne'em i Gene'em D. przyciąga go jak pętla zarzucona na pierś, tak że trudno mu było oddychać.

– Flash to tylko flash – wyszeptał Coyne. – Ale ten ma, sam nie wiem, jakiś rodzaj pobudzającego feromonowego gówna w sobie, więc jeśli odtwarzasz, jak pieprzysz kogoś, jak wtedy tę latynoską dziwkę, robisz się twardy, jakby to był twój pierwszy raz.

Val pokiwał głową, choć nie rozumiał. Flash to flash. Jak można doświadczyć więcej, niż się doświadczyło za pierwszym razem? Poza tym nigdy nie miał orgazmu, chyba że zabawiał się ze sobą i nie lubił tego wspominać. Ale pokiwał głową i pozwolił, żeby Coyne i Gene D. pociągnęli go do miejsca, gdzie trochę

światła przedostawało się przez jedną ze szczelin w zaczernionym pleksiglasie i rozlewało się po brudnym betonie jasno jak płynny metal.

Gene D. wyjął cztery jednogodzinne fiolki. Val próbował wymyślić, co mógłby odtworzyć. Większość jego wspomnień była żalosna. Nigdy nie powiedziałby tego innym, ale często, kiedy mówił, że odtwarza gwałt na tamtej Latynosce, w rzeczywistości przeżywał na nowo mecz Małej Ligi, w którym zagrał, gdy miał osiem lat. To był pierwszy i ostatni rok, kiedy grał, bo, jak potem odkrył, żaden z chłopaków nie uważał, że baseball jest super. O ile Val wiedział, nikt już nie grał w Małej Lidze... brak pieniędzy. Pieprzony dług Reagana. Wysłanie pieprzonej armii, żeby walczyła w pieprzonych wojnach japońskich, nie zbliżył ich ani trochę do spłacenia odsetek od pieprzonych japońskich pożyczek.

Val nic z tego nie rozumiał. Po prostu wiedział, że wszystko to gówno. Sięgnął po sześćdziesięciminutową fiolkę, ale Coyne przyciągnął go bliżej i szepnął mu ochryple do ucha:

– Jutro, stary, pójdziemy z tobą i pomożemy ci załatwić sprawę, żebyś mógł wspominać...

Val pokiwał głową, odsunął się i podniósł fiolkę do nosa. Gra w Małej Lidze nie pojawiała się, kiedy próbował ją zwizualizować. Zamiast tego przypominał sobie czas, kiedy był pełnym gówniarzem – trzy, może cztery lata – i matka brała go na kolana, żeby mu czytać. Pomyślał, że tak się działo, nim zaczęła brać flash. Zasypiał na jej kolanach, ale nie tak mocno, żeby nie słyszeć słów, które czytała, powoli i równo.

Czując się jak największy na świecie cienias i cipowaty nerd, Val zatrzymał to wspomnienie i otworzył fiolkę.

Robert nie lubił interaktywnej telewizji, ale kiedy Carol leżała już w łóżku i kiedy był pewien, że Val wyszedł, włączył CNN i uzyskał dostęp do osoby prezenterki. Atrakcyjna euroazjatycka twarz uśmiechnęła się do niego.

– Tak, panie Hearnś?

– Strzelanina w dzisiejszych wiadomościach wieczornych – powiedział krótko. Nie lubił rozmawiać z wygenerowanymi osobami.

Prezenterka uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Który segment, panie Hearnś? Wiadomości są nadawane co godzinę i...

– Dziewiętnasta – powiedział Robert i zmusił się do tego, by trochę się odprężyć. – Proszę. – Poczul się głupio.

Prezenterka się rozpromieniła.

– Czy to ma być zastrzelenie pana Colfaxa, pana Mendeza, pana Roosevelta, pana Ketteringa, małego Richardsona, pani Dozois, niezidentyfikowanego Haitańczyka, pana Inga, pani Lopato...

– Lopato. Zastrzelenie Lopato.

– Tak – powiedziała prezenterka i zniknęła, kiedy ekran wypełniła czołówka.

– Życzy pan sobie oryginalnego komentarza?

– Nie.

– Poszerzonego komentarza?

– Nie. Żadnego dźwięku.

– Czas rzeczywisty czy zwolnione tempo?

Robert się zawahał.

– Zwolnione tempo, proszę.

Kamera pistoletu zaczęła nagrywać. Na dolny prawy róg kadru było nałożone logo CNN. Robert oglądał wstępnie zmontowany natłok obrazów: najpierw ofiara, kobieta o kilka lat młodsza od niego, leżąca w kałuży własnej krwi, jej okulary w pobliżu, potem kamera unosi się w górę, tłum ludzi w zwolnionym tempie wskazuje ciało, a potem biegnącą postać. Kamera najechała na postać i prawą kolumnę obrazu wypełniły dane celu. Robert uświadomił sobie, że widzi to, co gliniarze widzieli przez swoje telemetryczne gogle. Było oczywiste, że uciekający chłopak ma nie więcej niż dwanaście albo trzynaście lat.

Potem w prawej kolumnie błysnęło światółko namierzenia celu i rój strzałek, wyraźnie widocznych na maksymalnie zwolnionym obrazie, rozszerzył się jak halo lodowych kryształków, aż prawie zasłonił uciekającego dzieciaka.

Kurtka chłopca eksplodowała aureolą skórzanych strzępów.

Tył jego głowy zmienił się w zwolnionym tempie w chmurę włosów, skóry, czaszki i mózgu.

Kawałek czaszki na bagażniku, pomyślał Robert, czując, że wyslizguje się z czasu rzeczywistego. Zmusił się do powrotu.

Chłopiec upadł, tył jego głowy zniknął, strzałki w wytrzeszczonych oczach i twarzy. Potem z impetem prześliznął się pod sznurową barierką i zniknął. Obraz z kamery pistoletu znieruchomiał i zgasł. Logo CNN powiększyło się, aż wypełniło kadr, a na ekranie wyświetliły się ostrzeżenia przed naruszeniem praw autorskich. Sekundę później prezenterka wróciła i czekała cierpliwie.

– Puść to jeszcze raz – powiedział Robert. Jego głos był zachrypnięty.

Tym razem zatrzymał obraz po pięciu sekundach, kiedy kamera zostawiła ofiarę, ale zanim uchwyciła biegnącego chłopca.

– Dalej... zatrzymaj.

Zmrożone tableau pokazywało dwoje czy troje dorosłych wskazujących coś palcami. Jedna kobieta miała usta otwarte do krzyku. To cień w cieniu alejki między dwoma namiotami zainteresował Roberta.

– Przybliź tamto... nie... tamto. Trochę w lewo. Stop. Dobrze. Możesz teraz to wyostrzyć?

– Oczywiście, panie Hearn – dobiegł sztuczny głos prezenterki.

Kiedy piksele zaczęły na nowo układać się w coś, co mogło być ludzkim kształtem, biała plama wyostrzyła się w rozpoznawalną twarz, Robert pomyślał: *Jezu, gdyby mieli to w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim zamiast filmu Zaprudera...*

Potem wszystkie myśli zniknęły, kiedy obraz się ustalił.

– Chcesz dalszego wyostrzenia? – spytał ktoś gładkim głosem. – Za to będzie dodatkowa interaktywna opłata.

– Nie – powiedział Robert. – Zatrzymaj obraz przez minutę.

Oczywiście patrzył na twarz wnuka. Val trzymał pistolet pionowo, z lufą zaledwie kilka centymetrów od swojej twarzy. Wyraz przerażenia i fascynacji trochę przypominał minę dziadka.

Robert usłyszał wstukiwanie kodu do zamka tylnych drzwi i dzwonek zatwierdzenia taniego alarmu. Val wszedł przez kuchnię.

– Wyłącz – polecił Robert i ekran zrobił się czarny.

Val był z powrotem w swoim łóżku o drugiej nad ranem, ale napięcie dnia nie pozwalało mu zasnąć. Znalazł dwudziestominutowe fiołki i zażył pierwszą.

Ma cztery lata i są jego urodziny. Tatuś nadal z nimi mieszka. Są w mieszkaniu przy Lankershim, a przyjaciel Vala z naprzeciwka, pięcioletni Samuel, je z nimi kolację, bo to jest szczególny dzień.

Val siedzi na wysokim drewnianym krześle, które mamusia kupiła w sklepie z niemalowanymi meblami i udekorowała je malunkami zwierząt specjalnie dla niego, kiedy wyrósł z dziecięcego fotelika. Choć ma cztery lata, uwielbia wysokie krzesło, które pozwala mu patrzeć przez stół w oczy tatusiowi. Teraz blat jest zaśmiecony resztkami jego specjalnej kolacji... okruchami hot dogów, kawałkami czerwonej galaretki, chipsami... ale talerz tatusia jest czysty, jego krzesło puste.

Drzwi się otwierają, wchodzi dziadek i babcia. Jak zawsze w czasie tego flashbacku Val jest wstrząśnięty nie tylko faktem, że jego babcia żyje i nie jest zniszczona przez raka, ale tym, jaki żywy i młody wydaje się dziadek, choć to

wspomnienie ma niewiele ponad dziesięć lat. Czas daje ludziom w dupsko, myśli nie po raz pierwszy.

– Wszystkiego najlepszego, dzieciaku – mówi jego nagle odmłodniały dziadek, mierzwiąc mu włosy.

Babcia pochyla się i go całuje, a jego otacza zapach świeżych fiołków. Czując szczęście swojego młodszego ja i niecierpliwość, żeby już dostać prezenty, obserwujący Val wie, że szafa, w której staruszek trzyma kilka jej sukienek, nadal zachowuje resztki tego zapachu. Zastanawia się, czy dziadek w ogóle kiedyś przykłada te sukienki do twarzy, żeby go poczuć. Czasami, kiedy stary idzie na wycieczkę do swojego flashbackowego motelu, Val to robi.

Val patrzy, jak jego własne pulchne ręce bawią się prezentami, i słucha chichotu Samuela. Wtedy nie zwracał na to uwagi, ale teraz aż nazbyt jasno słyszy fragmenty pośpiesznej kuchennej rozmowy...

– Obiecał wrócić dzisiaj do domu punktualnie – mówi mamusia. – Obiecał.

– Może jednak podamy tort. – Głos babci jest kojący jak zapamiętany dotyk albo faktura.

– Przyjęcie urodzinowe jego własnego syna... – Głos Roberta jest gniewny.

– Podajmy ciasto! – mówi pogodnie babcia.

Val i Samuel przerywają zabawę, kiedy lampy gasną. Nagle świat jest rozjaśniony przez głębszy, bogatszy blask, kiedy matka wnosi tort z czterema wielkimi świeczkami. Wszyscy śpiewają „Sto lat”.

Val jest teraz dostatecznie duży, by rozumieć, że jeśli pomyśli życzenie i zdmuchnie wszystkie świece, to ono się spełni. Mama tego nie powiedziała, ale on podejrzewa, że jeśli nie zdmuchnie wszystkich świeczek za pierwszym razem, życzenie się nie spełni.

Zdmuchuje je. Samuel, dziadek, babcia i mama biją brawo. Właśnie zaczęli kroić tort, kiedy drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi tata z czerwoną twarzą i rozpiętą kurtką. Niesie dużego wypchanego misia z czerwoną wstążką na szyi.

Mały Val nie patrzy na prezent. Patrzy na twarz mamusi i nawet obserwujący piętnastoletni Val podziela jego strach, co może na niej zobaczyć.

Wszystko jest w porządku. Reakcja mamusi to nie gniew, tylko ulga. Jej oczy się iskrzą, jakby znowu zapalono świece.

Tatusz całuje go i podnosi, drugim ramieniem obejmuje mamusię i we trójkę ściskają się nad zaśmieconym stołem. Dziadziuś i babcia znowu śpiewają „Sto lat”, jakby tym razem to było naprawdę, ramię tatusia jest silne, łyzy na policzkach mamy wydają się w porządku, bo ona jest szczęśliwa, wszyscy są szczęśliwi, mały Val wie, że życzenia się... spełniają, i przytula policzek do szyi taty, wdycha słodką mieszaninę płynu po goleniu i świeżego powietrza, a dziadziuś mówi...

Val wyszedł z dwudziestominutowego odtwarzania, poczuł smród gnijących śmieci i usłyszał dźwięk syren. Gdzieś w okolicy zaterkotały wystrzały z broni ręcznej. W górze zadudniły policyjne helikoptery, ich reflektory przebiły się bielą przez ciemność i wlały przez jego okno jak biała farba.

Val przekręcił się i naciągnął poduszkę na głowę, starając się nie myśleć o niczym, próbując odzyskać wspomnienie, włączyć je w swoje sny.

Jego twarz natrafiła na coś twardego i zimnego. Pistolet.

Val usiadł ogarnięty mdłościami, przez chwilę trzymał w rękach naładowany półautomat, potem wsunął go pod materac obok egzemplarzy *Penthouse'a*. Jego serce dudniło. Z kieszeni dzinsów leżących na podłodze wyjął następną dwudziestominutową fiolkę i zerwał zatyczkę, niemal za szybko, bo musiał skupić się na wspomnieniu, żeby temprolin mógł dotrzeć do właściwych neuronów, pobudzić właściwe synapsy.

Ma cztery lata i są jego urodziny. Samuel wrzeszczy, matka szykuje ciasto w kuchni, na stole panuje bałagan z okruchów niedojedzonych hot dogów, czerwonej galaretki i chipsów.

Brzęczy dzwonek u drzwi, wchodzą dziadek i babcia...

Carol patrzy, jak Danny wychodzi z niebieskiej wody i biegnie do niej po białym piasku plaży. Jest przystojny, smukły, opalony po pięciu dniach na słońcu i uśmiecha się szeroko. Rzuca się na koc obok niej, a Carol czuje, jak jej serce pęcznieje z miłości i szczęścia. Ujmuje jego mokre palce.

– Danny, powiedz, że zawsze będziemy się kochać.

– Zawsze będziemy się kochać – mówi on szybko, ale tym razem zamknięta we własnym świecie i bardziej spostrzegawcza Carol widzi szybkie spojrzenie spod długich rzęs, spojrzenie, które mogło być oceniające albo lekko drwiące.

W tamtym czasie Carol czuje tylko szczęście. Przewraca się na plecy, pozwala, żeby mocne bermudzkie słońce pomalowało ją swoim żarem. Danny powiedział, że na tych wakacjach są zwolnieni od martwienia się o warstwę ozonową i raka skóry, a Carol uszczęśliwiona się zgodziła. Kładzie dłoń na

plecach Danny'ego, czuje schnące tam krople morskiej wody. Swawolnie i tylko trochę zaborczo wsuwa palce pod tył jego elastycznych spodenek. Podstawa jego kręgosłupa i szczyty pośladków są bardzo zimne.

Czuje, że on się porusza i przesuwa lekko na kocu.

– Chcesz iść do pokoju? – szepcze Danny.

Plaża jest prawie pusta, a Carol wyobraża sobie, jak to by było kochać się w słońcu.

– Za minutę – mówi.

Sunąc na fali swoich własnych doznań, Carol z czasu rzeczywistego rozumie prosty fakt: mężczyźni wracają we wspomnieniach do swoich ulubionych seksualnych epizodów – Carol wie to z ich rozmów – podczas gdy większość kobiet podróżuje wstecz, żeby na nowo doświadczyć czasów, kiedy bliskość i szczęście były największe. To nie oznacza, że ona unika seksualnych epizodów – za chwilę ona i Danny pójdą do swojego pokoju i przez następne trzydzieści minut będą dostatecznie namiętni, żeby ktoś chciał to odtwarzać – ale chwilami, które wzywają ją z powrotem przez czas, są takie jak ta, kiedy ma pewność, że jest kochana, a poczucie bliskości jest niemal równie wyczuwalne jak żar tropikalnego słońca.

Carol odwraca głowę i unosi rękę do twarzy na pozór po to, by osłonić się przed prażącym słońcem, ale tak naprawdę, żeby zerknąć z bliska na twarz Danny'ego. Ma zamknięte oczy. Kropelki wody lśnią na jego rzęsach. Uśmiecha się lekko.

Drań wziął ze sobą fiolkę flashbacku na tę wycieczkę. Pokaże mi ją ostatniego wieczoru, wyjaśni, jak to działa, zaproponuje, żebyśmy wrócili do swoich pierwszych seksualnych kontaktów – z kimś innym! Tamtą ostatnią noc zmienił w coś w rodzaju trójkąta.

Carol próbuje stłumić te myśli i gniew z czasu rzeczywistego, podczas gdy tamta Carol przesuwa palcami po oczach na pozór po to, żeby zetrzeć piasek, ale w rzeczywistości wyciera łzy szczęścia.

Funkcjonariusz policji w żółtym płaszczu nieprzemakalnym macha na kawalkadę, a Robert chce, żeby go zwolnili. Na szczęście gliniarz stoi między robotnikami a balustradą, więc nikt nie powinien mieć możliwości, żeby coś rzucić. Robert zerka na prawo na ludzi jedzących lunch na schodach żółtego budynku, który stoi dokładnie w miejscu, gdzie droga skręca w lewo wokół

trawiastego placu w stronę wiaduktu. Machają. Robert widzi, że wszystko jest tam w porządku, i patrzy z powrotem na zbliżający się wiadukt.

Ruszaj! Teraz! Zeskakuj i biegnij!

Stoi na lewym stopniu samochodu. Jest bardzo gorąco.

– Środkowy do bazy – mówi przez radio ich dowódca Emiory Roberts. – Pięć minut do celu.

Robert wyobraża sobie cel, ogromną halę targową, w której Lancer ma przemówić do setek teksańskich biznesmenów. W czasie rzeczywistym Robert czuje swoje zmęczenie upałem.

Zignoruj to. Ruszaj teraz!

Ostry dźwięk płoszy gołębie krążące nad placem.

Chryste, jeden z tych cholernych robotników odpalił detonator szynowy. Krzyczy ponad tymi myślami, próbując się zmusić do tego, by rozpoznać zagrożenie. Wszystkie lata szkolenia i doświadczenie spieprzone przez dwie sekundy niezrozumienia. Ale dopiero kiedy patrzy przed siebie, widzi ramiona Lancera unoszące się w oczywistym geście ofiary postrzału, młody agent się rusza.

Sprint przez przerwę między dwoma pojazdami nie mógłby być szybszy. Robert sięga po metalowy uchwyt w chwili, kiedy trzeci strzał trafia prezydenta.

Jezu. Uderzenie jest sekundę przed tym, jak słyszę wystrzał. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem.

Głowa Kennedy'ego rozpada się w chmurze różowej krwi i białej tkanki.

Robert chwytą metalowy uchwyt i wskakuje na stopień w chwili, kiedy ciężki lincoln pędzi z rykiem dalej. Jego stopa ześlizguje się z metalu, a on jest na pół wleczony przez przyśpieszający samochód.

Kobieta w różowym wpełza na bagażnik w histerycznym wysiłku, żeby uratować część czaszki Lancera, tak że nikt nie może zobaczyć tego, co ona właśnie zobaczyła.

Robert bez powodzenia próbuje zamknąć oczy, żeby nie musieć oglądać następnej minuty horroru.

Val wyszedł i wrócił przed śniadaniem. Przy kawie Carol przyłapała się na tym, że dla odmiany rozmawia z ojcem.

– Dzisiaj masz sesję u terapeuty, tato, prawda?

Robert chrząka.

– Idziesz, tak? – Carol usłyszała rodzicielski ton w swoim głosie, ale nie mogła nic na to poradzić.

Kiedy tak się dzieje, że stajemy się rodzicami swoich rodziców? – zastanawiała się.

Kiedy stają się zniedołężniali, neurotyczni albo na tyle bezradni, że musimy, brzmiała jej własna odpowiedź.

– Czy kiedyś jakąś przegapiłem? – spytał ojciec trochę płaczącym tonem.

– Nie wiem – powiedziała Carol, patrząc na zegarek.

Robert prychnął.

– Wiedziałybyś. Zadzwoniliby do ciebie z tego cholernego programu terapeutycznego, zostawili wiadomość i wydzwaniali, aż skontaktowałybyś się osobiście. To jak z wagarami w szkole... – Starszy pan umilkł.

Carol podniosła wzrok.

– Val znowu opuścił lekcje?

Ojciec zawahał się, a potem wzruszył ramionami.

– Czy to ma znaczenie? Od czasu, kiedy byłem dzieckiem, szkoły to tylko miejsca, gdzie trzyma się pióra.

– Do diabła – wyszeptała Carol. Wypłukała kubek do kawy i wcisnęła go do zmywarki. – Dzisiaj wieczorem z nim porozmawiam.

– Dużo dziś pracy? – zapytał ojciec, jakby bardzo chciał zmienić temat.

– Mmmm – mruknęła Carol, wkładając płaszcz.

Protokołowanie zeznania dla Dale'a Fritch'a w czasie lunchu, pomyślała nagle. Prawie całkiem o tym zapomniała po nocnych flashbackach. Może po spotkaniu z nim i jego szalonym informatorem mogłaby kupić parę flashbacków w afrykańskiej części miasta, zanim wróci do pracy. Została jej tylko jedna trzydziestominutowa fiołka.

Hondzie została jedna czwarta prądu. Dość, żeby dotrzeć do pracy, ale nie było mowy, żeby wróciła do domu, nie płacąc wyższej ceny za ładowanie w Civic Center. To oznaczałoby droższą robociznę w warsztacie.

– Cholera – rzuciła, kopiąc wgnieciony bok dziewięcioletniego rzęcha. Świetny początek dnia.

Wjeżdżała na autostradę, kiedy sobie przypomniała, że nie pożegnała się z ojcem.

– Te tunele są zajebiste – stwierdził Coyne. – Długa jazda autobusem, ale zdecydowanie są świetne. Mówiłeś, że jak znalazłeś wejście?

– Moja mama pokazała mi je kilka lat temu, kiedy zaczęła pracować w Civic Center – odpowiedział Val. – Kiedyś było w nich mnóstwo galerii i innego gówna. Prowadzili nimi więźniów, zanim je zamknęli po Wielkim Krachu.

Sully i Gene D. byli pod wrażeniem i mieli trochę niepewne miny. Ich kroki odbijały się echem w ociekających wodą korytarzach. Nie było żadnych świateł, ale okulary VR wzmacniały słabą poświatę padającą z kratek wentylacyjnych.

– Mówisz, że to się ciągnie od Civic Center, gdzie pracuje twoja stara, do Pueblo Park po drugiej stronie sto jedyński? – spytał Coyne.

– Tak.

Zatrzymali się przy zabitej deskami witrynie, żeby zapalić i puścić w krąg butelkę wina. W ich okularach płomyki rozbłysły jak bomby zapalające.

– Myślę, że powinieneś załatwić Japońca – wypalił Coyne.

Val gwałtownie uniósł głowę.

– Japońca?

Coyne, Sully i Gene D. uśmiechali się szeroko.

– Załatwić Japońca – zanucił Sully.

Val spojrział na Coyne'a.

– Dlaczego Japońca?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Byłoby spoko.

– Japońcy mają fioła na punkcie bezpieczeństwa – stwierdził Val. – Mają od groma ochroniarzy.

Coyne się wyszczerzył.

– Tym lepiej. Wszyscy możemy na ciebie patrzeć, stary, a potem się tym jarać.

Val poczuł, że jego serce łomocze.

– Nie, mówię serio. – Miał nadzieję, że jego głos nie jest taki błagalny i roztrzęsiony jak on. – Mama mówi, że japońscy doradcy, którzy przychodzą do burmistrza albo prokuratora okręgowego, mają pierdolca na punkcie bezpieczeństwa. Zawsze jeżdżą z ochroniarzami. Ona mówi, że zamykają cały ruch przy Civic Center, kiedy przyjeżdżają Kasai, Morozumi albo Harada, bo...

– Val umilkł, ale dopiero kiedy sobie uświadomił, że powiedział za dużo. O wiele za dużo.

Coyne nachylił się bliżej. Wzmocnienie obrazu sprawiało, że jego szczupłą twarz jaśniała.

– Bo wtedy nikt nie może się zbliżyć, prawda, stary? – Wskazał tunel. – Ale my możemy, co nie?

– Nikt nie wie, kiedy burmistrz i jego oswojeni Japońcy złożą wizytę – powiedział Val, słysząc skomlenie w swoim głosie i nienawidząc go. – Naprawdę. Przysięgam.

– A twoja stara nie wie? – zapytał Gene D. Jego głos odbijał się echem w ciemności. – Ona jest tam ważniaczką, co nie?

Val zacisnął pięści, ale Coyne je chwycił.

– Ona nic nie wie – powiedział Val. – Nigdy. Naprawdę.

– Hej, wyluzuj, stary. – Coyne klepnął go po ramieniu. – Wierzymy ci. Wszystko w porządku. Mamy cały czas świata, dzieciно. Nie ma pośpiechu. –

Twarz Coyne'a wyglądała demonicznie we wzmocnionym świetle. – Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi, tak? A to jest świetna miejscówka. Nasz własny klub, tyle że bez gangów, no wiesz. – Po raz ostatni poklepał Vala po ramieniu i uśmiechnął się do pozostałych. – Japoniec byłby spoko, ale nieważne, kim gość będzie, dopóki kogoś nie załatwisz, żebyśmy mogli przeżywać. Mam rację czy nie mam racji?

Potem usiedli i palili w ciemności.

Carol kupiła trzy fiołki flashbacku od jednego z urzędników z biura prokuratora okręgowego, żeby jakoś przetrwać, i spędziła poranek, protokołując zeznania w sprawach cywilnych dla kilkunastu prawników, którzy korzystali z tamtejszych biur. Zawsze była zadowolona, kiedy pracowała dla prywatnych firm, bo to oznaczało dodatkowe pieniądze za sprzedawanie im kopii protokołów.

Kilka innych protokolanek się nie zjawilo – jak zwykle – ale ona się dowiedziała, że jedna z nich, Sally Carter, której Carol nie znała zbyt dobrze, jest w domu, bo właśnie dotarła do niej wiadomość, że jej mąż zginął w walkach w okolicach Hongkongu. Było zwykle cmokanie i narzekanie, że Ameryka nie ma interesu, żeby toczyć wojny dla japońskich albo chińskich watażków, ale w końcu wszyscy przyznawali, że kraj potrzebuje pieniędzy i że jest niewiele towarów innych niż amerykańska technika wojenna i mięso armatnie, które Japonia albo Wspólnota Europejska byłyby gotowe kupować.

Nieobecność Sally Carter oznaczała dla Carol więcej pracy i sprzedanych protokołów zeznań.

O jedenastej spojrzała na szufladę biurka, gotowa ukraść mufinkę z torby z lunchem, ale przypomniała sobie, że nie zapakowała dzisiaj lunchu, a potem przypomniała sobie powód. Uśmiechnęła się na myśl o swoim potajemnym

rendez-vous z zastępcą prokuratora okręgowego. O jedenastej piętnaście zadzwonił Danny.

Aparat najwyraźniej był słabo oświetlonym płatnym telefonem w jakimś barze, a jakość obrazu była kiepska: Danny wyglądał jak jasna plama wśród cieni. Ale znajoma plama. I jego głos się nie zmienił.

– Carol, wyglądasz świetnie, dziecino. Naprawdę dobrze.

Carol nie odpowiedziała. Nie mogła mówić. Minęło osiem i pół roku, odkąd ostatni raz widziała Danny’ego albo z nim rozmawiała.

– No, tak – powiedział Danny szybko, żeby wypełnić ciszę. – Jestem w L.A. od paru dni. Mieszkam teraz w Chicago, wiesz... i pomyślałem sobie... to znaczy miałem nadzieję... to znaczy... cholera. Carol, zjesz ze mną dzisiaj lunch? Proszę. To dla mnie bardzo ważne.

Nie, pomyślała Carol. Absolutnie nie. Nie zostawia się tak po prostu Vala i mnie, bez żadnego listu, żadnego wyjaśnienia, żadnej pomocy, a potem nie dzwoni po ośmiu latach i nie mówi, że chce się zjeść ze mną lunch. Absolutnie nie. Nie.

– Tak – usłyszała siebie i poczuła się, jakby była w jednym ze swoich flashbacków. Zastanawiała się, czy wspomina tę chwilę z jakiejś smutnej przeszłości. – Gdzie? Kiedy?

Danny podał jej nazwę baru w śródmieściu, w którym jadal, kiedy przenieśli się do Los Angeles piętnaście lat temu i wykradali na przerwy obiadowe, żeby pobyć ze sobą.

– Powiedzmy... za dziesięć minut?

Carol wiedziała, że jeśli weźmie hondę, może nie wystarczy jej prądu, a ona zostanie bez auta w głównianej części miasta. Musiała pojechać autobusem.

– Dwadzieścia minut.

Jasna plama, która była Dannym, pokiwała głową. Carol pomyślała, że widzi uśmiech.

Rozłączyła się, ale przez minutę trzymała palce na przycisku, jakby go pieściła. Potem ruszyła się, żeby poprawić makijaż, i zbiec na dół do autobusu.

– Środkowy do bazy. Pięć minut do celu.

O, kurwa. Pieprzyć to wszystko. Robert jest zde gustowany. Po latach wie, co się nie wydarzy. To jak masturbacja bez orgazmu.

Oczy ma zamknięte... albo się stara. Nie można odciąć flashbackowych obrazów bez straszliwego wysiłku woli. Ludzie krzyczą i machają na zielonej

trawie po jego lewej stronie.

Robert próbuje uciec, wrócić do innego czasu, innej pamięci... ale gdy raz się zaczęło, nie ma ucieczki z flashbackowego epizodu. Suną w stronę wiaduktu kolejowego.

Rozlega się dźwięk. Gołębie wlatują do kanionu nad placem.

To na nic. Bez sensu. Beznadziejne.

Trzy sekundy później zeskakuje z samochodu i pędzi sprintem w stronę niebieskiego lincolna.

Beznadziejne. Żadne ćwiczenie woli nie może sprawić, żeby poruszał się szybciej. Czas i pamięć są niezmiennie.

To nawet nie jest moje pieprzone wspomnienie. Jestem szalony. Kay, tęsknię za tobą.

Drugi strzał. Robert rzuca się do stopnia i metalowego uchwytu. Trzeci wystrzał.

Stara się nie patrzeć, ale obrazu eksplodującej głowy prezydenta nie da się wymazać z pamięci.

Dwadzieścia lat później pięćdziesiąt procent ankietowanych Amerykanów pamiętało, że widziało zabójstwo na żywo w telewizji. Ale nigdy nie było tego w telewizji. Minęły prawie dwa lata, zanim pokazano ocenzurowane fragmenty filmu Zaprudera, a potem tylko zdjęcia w czasopiśmie „Life”. Przed flashbackami wspomnienia kłamały... odtwarzaliśmy je na zawołanie. Cholera, Kennedy został wybrany jedynie czterdziestoma paroma procentami głosów, ale dziesięć lat po jego śmierci siedemdziesiąt dwa procent ankietowanych ludzi odpowiedziało, że głosowało na niego.

Wspomnienia kłamią.

Robert wpycha żonę prezydenta z powrotem do samochodu, zauważa szaleństwo w jej szeroko otwartych oczach, ale rozumie jej determinację, żeby odzyskać kawałek czaszki. Wszystko naprawić.

Idę poszukać Vala. Upewnić się, że nie robi czegoś głupiego.

Pcha kobietę z powrotem na siedzenie i strzeże jej i ciała Lancera przez całą drogę do szpitala Parkland. Poczucie beznadziei zalewa go jak fala przyływu.

Val i jego przyjaciele obserwowali wjazd na I-5 z dachu budynku opuszczonego po Wielkim Krachu. Val trzymał oburącz trzydziestkę dwójkę, opierając ją o krawędź dachu. Samochody sunęły cicho. Słysząc było tylko szum opon na mokrej nawierzchni. Przez ostatnią godzinę padało.

– Mógłbym poczekać, aż przyjedzie lexus, i wtedy go rozwalić – powiedział Val.

Coyne spojrzał na niego zdeglustowany.

– Tą pukawką? Do pasa dla VIP-ów jest trzydzieści metrów. Nie mógłbyś trafić nawet pieprzonego samochodu, nie mówiąc o Japońcu na tylnym siedzeniu.

– Poza tym ich samochody mają najlepsze opancerzenie, jakie istnieje – wtrącił Gene D. – Pierdolona trzydziestka nie przebiłaby ich pierdolonych przednich szyb.

– Tak – potwierdził Sully.

– Pierdolony pistolet iglicowy nie zrobiłby stąd krzywdy japońskiemu lexusowi – dodał Gene D.

Val opuścił broń.

– Pomyślałem, że byłoby najlepiej, żeby... wyświetlać przypadkowe rzeczy, które zrobiliśmy.

Coyne potarł kostkami krótkie włosy Vala.

– Teraz Japoniec jest najlepszą rzeczą, stary.

Val odchylił się do tyłu, zostawiając pistolet na występie. Woda zbierała się na zapadającym się asfaltowym dachu.

– Ale to może potrwać dni... tygodnie...

Coyne uśmiechnął się szeroko, zgarpnął pistolet z półki i podał go Valowi.

– Hej, mamy czas, co nie, stary?

Sully i Gene D. mruknęli twierdząco.

Val się zawahał, a potem wziął pistolet. Znowu zaczęło padać, więc pobiegli się schronić. Val nie widział, że dziadek obserwuje ich z drugiej strony ulicy. Kiedy opuścili budynek kilka minut później, żaden nie zauważył, że starszy pan podąża za nimi w stronę rzeki.

Padło, kiedy Carol dotarła do baru przy San Julian. Wpadła do środka z gazetą nad głową i stała przez minutę, mrugając w półmroku. Kiedy zbliżył się do niej mocno zbudowany mężczyzna, cofnęła się o krok, zanim go rozpoznała.

– Danny.

On ujął jej dłonie i odłożył mokrą gazetę na stolik.

– Carol, Chryste, dobrze wyglądasz. – Uściskał ją niezdarnie.

Carol nie mogła powiedzieć tego samego o byłym mężu. Danny przybrał na wadze – co najmniej czterdzieści pięć kilogramów – a jego rysy i znajome ciało

zniknęły w tym nadmiarze. Większość blond włosów wypadła, skórę głowy znaczyły brązowe plamy jak u jej ojca. Jego skóra była ziemista, oczy miał podkrążone, policzki obwisłe. Danny posapywał cicho. To, co wzięła za złe oświetlenie i kiepską jakość obrazu w telefonie, było w rzeczywistości cieniami i zniekształceniami samego Danny'ego.

– Mam nasz stary boks – powiedział.

Nie puszczać jej rąk, zaprowadził ją w kąt na tyłach baru. Carol nie pamiętała, żeby mieli tutaj swoje miejsce, i nigdy nie odtwarzała tego wspomnienia.

Na stole stała do połowy opróżniona szklaneczka whisky. Sądząc po zapachu, kiedy Danny ją całował, zdążył wypić więcej niż jedną kolejkę.

Siedzieli i patrzyli na siebie przez stolik. Przez minutę żadne się nie odzywało. Bar był prawie pusty o tej porze dnia. Barman i jakiś mężczyzna w obszarpanym płaszczu przeciwdeszczowym sprzecali się z personą sprawozdawcy sportowego widoczną w starym telewizorze nad rzędem butelek. Carol spuściła wzrok i uświadomiła sobie, że Danny nadal trzyma jej rękę. Poczowała się dziwnie, jakby nerwy w jej dłoniach nie przesyłały bodźców dotykowych.

– Jezu, Carol, naprawdę wyglądasz świetnie – odezwał się w końcu Danny. – Naprawdę.

Carol skinęła głową i czekała.

Danny dokończył szkocką, zamówił następną, dając znak barmanowi, spojrzał na Carol i wziął jej lekkie pokręcenie głową za odmowę. Dopiero kiedy dostał pełną szklaneczkę, znowu przerwał ciszę. Potok słów zalał Carol, uwalniając ją od konieczności mówienia.

– Boże, Carol, jestem tu... w czymś w rodzaju podróży służbowej... i uświadomiłem sobie, cóż, zastanawiałem się... Czy ona nadal pracuje w pałacu sprawiedliwości? I byłaś na liście. W każdym razie pomyślałem... no wiesz, dlaczego nie? Więc... Chryste, mówiłem ci, jak świetnie wyglądasz? Pięknie. Nie żebyś zawsze nie była fantastyczna. Zawsze uważałem, że jesteś fantastyczna. Ale, hej, sama o tym wiesz. W każdym razie pewnie rozumiesz, o co mi chodzi? Ile to czasu? Cztery albo pięć lat od tamtego razu... Tak czy tak, teraz jestem w Chicago. Już nie w Caldwell Banker. Przez jakiś czas sprzedawałem luksusowe elektryki, ale... wiesz... rynek na nie siadł. Zostawiłem to we właściwym momencie. Więc na czym to stanąłem? Jestem w Chicago... na terapii głębokiego wzorca... pomyślałem, że może cię to zainteresuje.

Danny się roześmiał. Był to dziwny, zgrzytliwy dźwięk, aż dwaj mężczyźni przy barze obejrzelili się, a potem wrócili do swojej sprzeczki ze sprawozdawcą

sportowym. Danny dotknął jej palców, znowu ujął jej dłonie, jakby były parą rękawiczek, o których zapomniał. Potem odłożył je na porysowany blat. Sięgnął po drinka.

– Więc w każdym razie, ta terapia... słyszałaś o niej? Nie? Jezu, myślałem, że wszyscy w Kalifornii słyszeli... w każdym razie jest w Chicago taki bystry gość, doktor... wiesz, ma doktorat z terapeutycznego wykorzystania flashbacku... i ma coś w rodzaju, no, aśramy, to jest to słowo. Ludzie z poważnymi sprawami do przepracowania mieszkają tam i płacą jedną dziesiątą dochodów... właściwie to trochę więcej niż jedna dziesiątą, bo potrzebne jest pełnomocnictwo pisemne, ale to nie jest sprawa z rodzaju tygodniowych turnusów. Mieszkamy tam, a terapia głębokiego wzorca... tak to się nazywa, jest czymś w rodzaju naszej pracy. To całodzienna sprawa.

– Używanie flashbacku – wtrąciła Carol.

Danny uśmiechnął się szeroko, jakby mu bardzo ulżyło i był pod wrażeniem głębi jej zrozumienia.

– Właśnie. Racja. Doskonale. Pewnie wszystko o tym wiesz... jest z milion takich ośrodków w słonecznej Kalifornii. Ale, tak, zajmujemy się tym od ośmiu do dziesięciu godzin dziennie... oczywiście pod ścisłym nadzorem doktora Singha. Albo wyznaczonych przez niego doradców-terapeutów. Nie jest tak, no wiesz, jak używałem towaru, kiedy byliśmy razem... – Potarł policzki, a Carol usłyszała chrzęst zarostu pod jego dłonią. – Wiem, że wtedy za bardzo się wygłupiałem. Mam na myśli, że teraz rzadko wracam do nastoletniego seksu. To tylko... no wiesz... to po prostu nie jest ważne, biorąc pod uwagę całokształt terapeutycznego doświadczenia, rozumiesz?

Carol odgarnęła z czoła kosmyk wilgotnych włosów.

– A co jest ważne? – zapytała.

– Co? – Danny dokończył szkocką i próbował zwrócić na siebie uwagę barmana. – Przepraszam, dziecino. Co mówiłaś?

– Co jest ważne, Danny?

Danny poczekał na dolewkę, a potem uśmiechnął się błogo.

– Dostałem szansę na prawdziwy przełom, dziecino. Doktor Singh mówi, że dotarłem do punktu, gdzie mogę wszystko odwrócić. Ale...

Carol dobrze znała ten ton. Nic nie powiedziała.

Danny znowu ujął jej dłonie i pomasaował je, jakby były zimne. To jego ręce były zimne.

– Ale potrzebuję trochę pomocy... – zaczął.

– Pieniądzy – domyśliła się Carol.

Danny puścił jej dłonie i zacisnął pięść. Carol zauważyła, jak pulchna, biała i słaba jest jego ręka, jakby mięśnie zastąpił tłuszcz. Albo kremowe nadzienie,

pomyślała. Jak w tych bawarskich pączkach z kremem, które lubił.

– Nie tylko pieniędzy – wychrypiął Danny. – Pomocy. Jestem gotowy zrobić krok do całkowitej reintegracji, a doktor Singh mówi...

– Całkowitej reintegracji? – powtórzyła Carol. Brzmiało to jak nowy pakiet oprogramowania telemetrycznego do okularów VR, który chciał kupić Val.

Uśmiech Danny'ego był protekcyjny.

– Tak. Całkowita pamięć. Kompletna reintegracja dawnego życia z samoświadomością, którą osiągnąłem w czasie pobytu w aśramie. To jak... no wiesz, jak przerabianie instalacji gazowej w samochodzie na prąd albo metan. Jest w aśramie trochę ludzi, którzy są na etapie, w którym mogą reintegrować swoje dawne życie, ale... Jezu, no wiesz... czuję, że będę miał szczęście, jeśli poradzę sobie z obecnym. – Znowu zaśmiał się zgrzytliwie.

Carol pokiwała głową.

– Potrzebujesz pieniędzy na flashback, którego użyjesz w tej... terapii – stwierdziła. – Ile? Jaka dawka? – Jej głos zdradziłby niemal całkowity brak ciekawości, gdyby Danny zwracał na to uwagę.

– No... – zaczął Danny, najwyraźniej podekscytowany myślą, że ma szansę. – Całkowita reintegracja jest... no wiesz... całkowita. Już upłynniłem wszystko, co miałem... mieszkanie w Lakeshore, elektrycznego chryslera, kilka akcji, które zostawił mi Wally... ale będę potrzebował dużo więcej, żeby... – Umilkł, kiedy zobaczył wyraz jej twarzy. – Hej, Carol, to nie jest jednorazowa zapłata. To jak... no wiesz, hipoteka albo raty za samochód. To wcale nie jest dużo, kiedy weźmie się pod uwagę cały okres, o którym mówimy, i...

– Mówisz o flashbacku z całego życia – powiedziała Carol.

– Cóż... no wiesz... mam na myśli... tak.

– Totalna reintegracja. Masz czterdzieści cztery lata, Danny, i zamierzasz odtworzyć całe swoje życie.

Danny się wyprostował i wysunął brodę do przodu w postawie, którą Carol pamiętała jako wojowniczą. Zważywszy na to, jaki teraz był blady, gruby i sflaczały, sprawiał trochę żalodne wrażenie.

– Łatwo wyśmiewać kogoś, kto jest gotowy na bezbronność – obruszył się Danny. – Próbuję wyprostować swoje życie.

Carol zaśmiała się cicho.

– Będziesz miał osiemdziesiąt osiem, kiedy skończysz flashback.

Danny nachylił się, jakby zamierzał podzielić się z nią jakimś sekretem. Jego głos był mokry i intymny.

– Carol, mamy tylko jedno życie. Najważniejsze w nim jest to, gdzie będziemy, kiedy się skończy.

Carol wstała.

– Nie ma wątpliwości, gdzie ty będziesz, Danny. Będziesz splukany.

Odeszła od stolika.

– Hej... – krzyknął Danny, nie wstając. – Zapomniałem spytać... Jak Val?

Carol wyszła na deszcz, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest przystanek autobusowy, i bez zastanowienia ruszyła w stronę Civic Center.

Val i jego przyjaciele leżeli na stalowej przyporze wiaduktu piętnaście metrów nad betonowym korytem rzeki, kiedy Coyne nagle się wyprostował, chwycił Vala za ramię i wykrzyknął:

– Bingo! Masz okulary podłączone do wiadomości? – zapytał, kiwając głową i uśmiechając się do czegoś, co widział w VR.

– Wiadomości? – powtórzył Val. – Jaja sobie robisz?

Coyne zdjął okulary.

– Nie robię sobie jaj, stary. Właśnie dostaliśmy Japońca.

Val poczuł, że jego serce zamiera.

– Dostaliśmy Japońca, dostaliśmy Japońca – zanucił Sully.

– Co się dzieje? – zapytał Gene D, wychodząc z dziesięciominutowego flashu.

Po wyrzuceniu w jego dzinsach Val domyślił się, że przyjaciel znowu wspominał gwałt na latynoskiej dziewczynie.

– Wiadomości. – Coyne się wyszczerzył. – Wielkie poruszenie w Civic Center. Burmistrz udał się tam ze swoim japońskim doradcą Morozumim.

– Civic Center – powtórzył Val. – Moja mama tam pracuje.

Coyne pokiwał głową.

– Z First Street wchodzimy do tego zajebistego tunelu, który nam pokazałeś. Robimy swoje na placu przy Temple Street, zabieramy stamtąd dupska przez tunel do parku Pueblo, a potem robimy *didi mau* autobusem. Pieprzonego gnata zostawiamy w pieprzonym tunelu.

– Nie uda się – powiedział Val, szukając w myślach powodów, dlaczego się nie uda.

Coyne wzruszył ramionami.

– Może nie. Ale to będzie dobry sposób, żeby się przekonać.

– Nie uda się – powtórzył Val jak mantrę, idąc za pozostałymi.

Robert od lat nie czuł się bardziej żywy niż wtedy, gdy szedł za chłopcami do przegubowego autobusu i do niego wsiadał. Jego krok był lżejszy, wzrok bystrzejszy, a on czuł się, jakby oczyścił głowę z pajęczyn. Stanął z przodu drugiej części autobusu i zaglądał przez harmonijkowe drzwi do części Vala, by się upewnić, że nie przegapi, kiedy chłopcy wysiądą.

Robert zastanawiał się, czy terapeuta miał rację i jego flashbackowe obsesje są rezultatem poczucia klęski, że nie ochronił żony przed ostatnim nawrotem raka.

– Jest pan świadomy, że ponad pięćdziesiąt lat po śmierci prezydenta Kennedy’ego tysiące ludzi ma obsesję na punkcie teorii spiskowych, których nigdy nie udowodniono – powiedział mu program.

– Nie wierzę w spiski – wymamrotał Robert.

Persona brodatego terapeuty uśmiechnęła się z interaktywnego telewizora zamontowanego na ścianie.

– Nie, ale uporczywie pograża się pan w tej obronnej fantazji.

Robert usilnie się starał, żeby nie wpaść w gniew. Nic nie powiedział.

– Pańska żona umarła... Ile lat temu? – zapytał terapeuta.

Robert wiedział, że program to wie.

– Sześć.

– A jak dawno temu kraj obchodził pięćdziesiątą rocznicę zabójstwa prezydenta?

Robert poczuł gniew z powodu upartej oczywistości tej linii pytań. Ale obiecał Carol i pracownikowi Medicaid, że odbędzie terapię.

– Pięć lat temu.

– A flashbackowa obsesja...

– Około pięciu lat temu. – Robert westchnął. Spojrzał na zegarek. – Mój czas się kończy.

Brodata persona... Robert sądził, że to persona, nigdy nie był pewien... pokazała białe zęby.

– Bobby, to moja kwestia.

Chłopcy wysiedli z autobusu przy ruinach starego budynku federalnego, a Robert ruszył za nimi.

Przez całą drogę powrotną do Civic Center w deszczu Carol rozglądała się nowymi oczami. Patrzyła na trzymetrowe stosy worków ze śmieciami, na opuszczone sklepy, nienaprawione szkody po Wielkim Krachu sprzed lat, na

slogany w udawanym japońskim, reklamujące tanią rekreacyjną elektronikę, kamery bezpieczeństwa, zaparkowane przy krawężnikach tanie elektryki ze złowieszczymi pulsującymi hologramami agencji ochrony, ludzi o szarych twarzach, śpieszących się gdzieś z opuszczonym wzrokiem, jak na filmach wideo z Europy Wschodniej i Rosji, które oglądała, kiedy była dzieckiem... Wszystko to pasowało do tłustej, nieciekawej twarzy Danny'ego i jego płaczliwego tonu egocentryka.

Zabiorę Vala i tatę i przeniesiemy się do Kanady, pomyślała. To nie był kaprys, tylko najsilniejsze postanowienie od lat.

Albo do Meksyku. Gdzieś, gdzie połowa populacji nie jest przez cały czas naćpana flashem.

Carol wystawiła twarz na deszcz. Przestaną używać tego gówna. Zmuszę Vala i tatę, żeby przestali.

Próbowała sobie przypomnieć, jak wyglądał ten kraj, kiedy była małym dzieckiem i patrzyła na życzliwą, ojcowską twarz prezydenta Reagana w starym telewizorze. Doprowadziłeś nas do bankructwa na zawsze, ty życzliwy, stary dupku. Dzieci mojego dziecka nigdy nie spłacą tego długu. I za co... za wygranie zimnej wojny i stworzenie Republiki Rosyjskiej, żeby mogła z nami konkurować w kupowaniu japońskich i europejskich towarów? Nie możemy sobie na nie pozwolić. I wszyscy staliśmy się zbyt głupi i zbyt leniwi, żeby produkować własne.

Po raz pierwszy Carol zrozumiała, dlaczego używanie flashu jest w Japonii karane śmiercią... w kraju, w którym nie było kary śmierci przez sześćdziesiąt lat. Po raz pierwszy zrozumiała, że kultura albo naród musiały zdecydować, czy patrzeć w przód, czy pozwolić sobie na leżenie i czekanie na śmierć.

Całkowita reintegracja. Matko Chrystusa.

Carol szła przez ponad godzinę, kiedy sobie uświadomiła, że deszcz ustał, ale jej policzki nadal są mokre. Przeżyła szok, kiedy skręciła za róg w pobliżu Civic Center i zatrzymali ją agenci ochrony. Pokazała torebkę w dwóch punktach, została przeszukana, a potem zbliżyła się do północnego wejścia, gdzie stały limuzyna burmistrza i kilka opancerzonych lexusów w kordonie policyjnych.

Była już na górze i została sprawdzona przez kolejnych dwóch ludzi z ochrony, kiedy jedna z kobiet z sekretariatu przybiegła do niej ze łzami płynącymi po twarzy.

– Carol, słyszałaś? To straszne. Biedny Dale.

Carol się od niej uwolniła, weszła do swojego boksu i podłączyła telefon do wiadomości. Biuletyn został powtórzony chwilę później. Zastępca prokuratora okręgowego L.A. Dale Fritch, Japończyk Hiroshi Nakamura i pięć innych osób

zostali zabici w śródmiejskiej kawiarni. Pokazano zwykły montaż scen z miejsca zbrodni. Carol usiadła ciężko.

Światelko jej telefonu służbowego mrugało. Carol w odrętwieniu wyłączyła wiadomości i odsłuchiwała pocztę głosową.

– Carol, szkoda, że się nie spotkaliśmy, ale wszystko w porządku. – Obraz chłopięcej twarzy Dale’a Fritch’a był lekko zniekształcony z powodu kiepskiego płatnego wideotelefonu. – Hiroshi mówił przy mnie bardziej swobodnie, a ja mu wierzę. Myślę, że Japończycy wciskają nam ten towar od lat dziewięćdziesiątych. Myślę, że to coś większego niż skandal z EC Payback, większego niż Watergate... cholera, większego niż Wielki Krach. Hiroshi ma dyski, dokumenty, notatki, listy płac... – Fritch obejrzał się przez ramię. – Posłuchaj, Carol, muszę do niego wracać. Nie przyjdę dziś po południu. Możesz wziąć swój sprzęt i spotkać się ze mną w... ee... powiedzmy w Holiday Inn... o siedemnastej trzydzieści? Będzie warto, zapewniam. Okay. I nie mów o tym nikomu, dobrze? Widzimy się o siedemnastej trzydzieści. Ciao.

Carol przez minutę patrzyła na swój telefon, a potem przegrała wiadomość na świeżą płytę, schowała ją do kieszeni i włączyła wiadomości. Reporter nadający na żywo stał przed restauracją, z której wywożono ciała na noszach. „...Policja wie jedynie, że zastępca prokuratora okręgowego Fritch był w restauracji nieoficjalnie, kiedy trzech mężczyźni w czarnych maskach narciarskich weszli i otworzyli ogień, jak opisał jeden świadek z »karabinów iglicowych wojskowego typu, jakie widuje się w filmach«. Zastępca prokuratora Fritch i pozostali zginęli na miejscu. Japońska ambasada nie wydała komentarza co do tożsamości mężczyzny, który był z Fritchem, ale źródło z CNN bliskie ambasady informuje, że Japończyk to Hiroshi Nakamura, przestępca poszukiwany przez tokijską policję. Źródła w LAPD spekulują, że Nakamura mógł spotkać się z zastępcą prokuratora Fritchem, żeby wysondować wymiar sprawiedliwości co do ugody w zamian za obietnicę, że nie dojdzie do ekstradycji. Te same źródła twierdzą, że zdarzenie ma wszelkie cechy zabójstwa dokonanego przez jakuzę. Jakuzę, jak może państwo pamiętać, to najgroźniejsza japońska organizacja przestępcza i rosnący problem w nowym...”.

– Carol? – odezwał się ktoś za nią. – Mogłabyś przyjść na chwilę do mojego gabinetu? – Bert Torrazio stał w drzwiach z dwoma agentami ochrony w cywilnych ubraniach.

Burmistrz i jego doradca pan Morozumi siedzieli w skórzanych fotelach po drugiej stronie biurka prokuratora okręgowego. Carol skinęła im głową, choć nie dokonano żadnej prezentacji.

– Bert, zaprowadzisz mnie do biura Dale’a? – odezwał się burmistrz. – Chciałbym złożyć kondolencje jego personelowi.

Wyszli wszyscy oprócz Carol, dwóch japońskich agentów ochrony i Morozumiego. Prawnik wyglądał nienagannie w garniturze Sartori, szarym krawacie i z zadbanymi siwymi włosami. Skromny zegarek Japońskiej Agencji Kosmicznej, który musiał kosztować co najmniej trzydzieści tysięcy dolarów, był jego jedynym ustępstwem na rzecz ekstrawagancji. Pan Morozumi skinął głową i agenci wyszli.

– Wróciła pani z lunchu trzy minuty za wcześnie, pani Rogallo – stwierdził Japończyk. – Poproszę płytę.

Carol wahała się tylko przez sekundę, zanim wręczyła mu CD. Morozumi uśmiechnął się lekko, wsuwając srebrny krążek do kieszeni marynarki.

– Oczywiście wiedzieliśmy, że pan Fritch do kogoś zadzwonił, ale przestarzałemu sprzętowi komunikacyjnemu w tym mieście udało się wysłedzić rozmowę parę sekund temu. – Morozumi wstał i podszedł do fikusa stojącego przy oknie. – Pan Torrazio powinien lepiej dbać o swoje rośliny – mruknął.

– Dlaczego? – zapytała Carol. Po co zabijać Dale'a? Po co wciskać ludziom narkotyki przez dwadzieścia lat?

Pan Morozumi uniósł głowę. Słońce odbiło się od jego okrągłych okularów. Dotknął liścia fikusa.

– To oznaka niechlujności nie dbać o żywe istoty znajdujące się pod czyjąś opieką – stwierdził.

– Co będzie dalej? – zapytała Carol. Kiedy Morozumi nie odpowiedział, dodała: – Ze mną.

Mały człowieczek odkurzył następny liść i potarł palce, żeby je oczyścić.

– Mieszka pani ze swoim dzieckiem Valentine'em i swoim ojcem, który obecnie przechodzi terapię. Pani były mąż Daniel nadal żyje i... sędzę, że w tym momencie odwiedza wasze piękne miasto.

Carol poczuła się tak, jakby zimne palce zamknęły się wokół jej serca i gardła.

– Odpowiadając na pani pytanie... – ciągnął pan Morozumi – ... przypuszczam, że nadal będzie pani wykonywała swoją świetną pracę w pałacu sprawiedliwości, a pan Torrazio będzie z pani zadowolony. Od czasu do czasu może będę miał okazję pogawędzić z panią, żeby usłyszeć o zdrowiu i sytuacji pani rodziny.

Carol nic nie powiedziała. Skupiła się na tym, żeby stać i się nie chwiać.

Pan Morozumi wyciągnął chusteczkę higieniczną z pudełka stojącego na biurku prokuratora, wytarł nią palce i rzucił zużytą na podkładkę Berta Torrazio. Jakby na sygnał, do gabinetu weszli burmistrz, prokurator okręgowy i ludzie z ochrony. Torrazio spojrzął na Carol i pytająco uniósł brwi.

Pan Morozumi odwrócił wzrok, jakby Torrazio miał okruchy na górnej wardze.

– Mieliśmy uroczą pogawędkę, ale teraz czas wracać do pracy – powiedział i wyszedł ze swoimi ochroniarzami.

Burmistrz uściskał dłoń Torrazio, skinął głową Carol i oddalił się pośpiesznie, żeby dogonić procesję.

Carol i prokurator okręgowy patrzyli na siebie przez pełną minutę, a potem ona odwróciła się na pięcie i wróciła do swojego boksu. Szafka na akta była pusta, a jej telefony i komputer wymieniono. Carol usiadła i spojrzała na dowcip rysunkowy, który cztery lata wcześniej przykleiła taśmą do matowej szyby swojego boksu. Rysunek przedstawiał sądową protokolantkę, wściekle stukającą w klawisze, podczas gdy świadek i prawnik krzyczą na siebie, sędzia stuka młotkiem, oskarżony wrzeszczy na świadka, obrońca oskarżonego na niego, a dwóch sędziów przysięgłych na siebie nawzajem. Kobieta stojąca za protokolantką mówi do przyjaciółki: „Ona jest dobrą pisarką, ale jej intrygi nie są zbyt wiarygodne”.

Podziemne centrum handlowe kończyło się kratą wentylacyjną między terenem zielonym a Civic Center. Coyne przyniósł łom. Chłopcy zobaczyli przed sobą mały tłumek dziennikarzy najeżony kamerami wideo i mikrofonami parabolicznymi. Miejscowi reporterzy wykrzykiwali pytania do burmistrza i jego japońskiego prawnika, kiedy ci dwaj schodzili po schodach do limuzyny. Val znajdował się sześć metrów od VIP-ów. Przewód wentylacyjny był otwarty i czekał sześć metrów za nim. Ludzie z ochrony zignorowali wcześniej przeszukanych przedstawicieli prasy i skupili się na obserwowaniu budynków i gapiów powstrzymywanych po drugiej stronie małego placu.

– Zrób to – powiedział Coyne. – Teraz.

Val wziął pistolet i go odbezpieczył.

Burmistrz zatrzymał się, żeby odpowiedzieć na wykrzywane pytanie, a potem pomachał komuś stojącemu w wejściu do Civic Center. Zgodnie z protokołem pan Morozumi czekał przy otwartych drzwiach limuzyny, aż burmistrz skończy.

Val uniósł pistolet. Od głowy Japończyka dzieliło go mniej niż cztery i pół metra. Lufa pistoletu wyglądała jak jeszcze jeden obiektyw wysunięty w stronę małego kręgu VIP-ów. Val nie był świadomy, że Coyne, Sully i Gene D. odsuwają się i znikają w przewodzie wentylacyjnym.

Robert ledwo zdołał wydostać się z otworu. Myślał, że stracił wszystkie siły, kiedy wstał, otrzepał rdzę i suche liście ze spodni, ale wtedy zobaczył Vala, zobaczył pistolet, zobaczył, że on jest bliżej celu niż jego wnuk, i bez namysłu pobiegł przed siebie, nie wahając się ani przez sekundę.

Val nacisnął spust. Nic się nie wydarzyło. Zamrugął i odblokował bezpiecznik. Ponownie uniósł pistolet, kiedy jeden z kamerzystów stojących obok niego krzyknął:

– Hej!

Robert pędził co sił w nogach w stronę czarnej limuzyny. Żeby ustawić się między Valem a burmistrzem, musiałyby przeskoczyć nad bagażnikiem. Zrobił to, zapominając o swoim wieku, zapominając o artretyzmie, zapominając o wszystkim z wyjątkiem imperatywu, żeby zdążyć, nim chłopiec znowu pociągnie za spust.

Val zobaczył dziadka w ostatniej sekundzie i nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy staruszek wskoczył na bagażnik limuzyny, prześliznął się po nim i wylądował między burmistrzem a Japończykiem. Ludzie z ochrony skoczyli na pana Morozumi i popchnęli go w dół. Burmistrz został sam z ustami nadal otwartymi do odpowiedzi na pytanie.

Zrobiłem to! – pomyślał Robert, wiedząc, że znajduje się między Valem a burmistrzem, wiedząc, że każda kula przeznaczona dla tego drugiego będzie musiała go przeszyść. Tym razem się udało...

Dwaj japońscy agenci ochrony ukucnęli, wycelowali broń i strzelili do Roberta z odległości czterech i pół metra. Prawie w tej samej chwili trzeci agent przeciągnął serią z automatu po grupie reporterów. Val i trzej kamerzyści padli na ziemię.

Burmistrz i pan Morozumi zostali wepchnięci do limuzyny i odjechali, zanim tłum zaczął krzyczeć. Ani burmistrz, ani jego prawnik nie odnieśli żadnych ran.

Ciało Vala zabrano do kostnicy policyjnej, ale Carol pozwolono zobaczyć ojca.

– Nie będzie wiedział, że pani tu jest – uprzedził lekarz. Jego głos był obojętny. – Uszkodzenia neurologiczne są zbyt duże. Jest pewna aktywność mózgu, ale bardzo ograniczona. Obawiam się, że to tylko kwestia tego, na jak długo wystarczy aparatura podtrzymująca życie. Może godziny. Najwyżej dni.

Carol pokiwała głową i usiadła na krześle obok łóżka. Nie dotknęła ręki ojca. Pokój oświetlały tylko monitory.

Pokój jest oświetlony tylko przez monitory urządzeń medycznych. Goście nie sądzą, żeby Robert słyszał to, co mówią, ale może słyszy.

– Jest taki już od jakiegoś czasu – mówi pielęgniarka do córki odwiedzającej prezydenta i jej syna.

– Mój ojciec nie potrzebuje niczego oprócz najlepszej opieki – mówi córka Lancera.

Wyrosła na piękną kobietę. Jej syn ma trzy albo cztery lata i odziedziczył strzechę zdrowych kasztanowych włosów po ojcu. Mały chłopiec bierze w rączki palce Roberta. Nie boi się pokoju szpitalnego, kroplówek ani monitorów. Już tu był wcześniej.

Carol siedzi przy łóżku ojca do trzeciej nad ranem, kiedy wchodzi technik, odłącza maszyny i zabiera jego ciało.

Gdy jest po wszystkim, ona nadal siedzi w ciemnym pokoju. Ma otwarte oczy, ale nic nie widzi. Po jakimś czasie uśmiecha się, wyjmuje trzydziestominutową fiolkę, unosi ją niemal z szacunkiem do nosa i otwiera wieczko.

Wielki kochanek

Prolog redakcji

Zamieszczony poniżej tajny dziennik z czasów wojny, napisany przez poetę Jamesa Edwina Rooke'a, „odkryto” w Imperial War Museum we wrześniu roku 1988. W rzeczywistości dziennik prawidłowo ujęto w katalogu jako jeden z tysięcy pamiętników z czasów wielkiej wojny, znalezionych przez muzeum bądź podarowanych mu niemal siedemdziesiąt lat wcześniej. Niestety, mały notes błędnie umieszczono razem z biurokratycznym chłamem niezbyt interesującym dla uczonych i ten stan utrzymywał się przez długie dziesięciolecia. Jednakże po „odkryciu” dziennik stał się dla historyków czymś, co śmiało możemy określić jako sensację.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jego autorem rzeczywiście jest James Edwin Rooke. Udało się potwierdzić, że to jego charakter pisma. Wiersze, w większości w początkowym stadium tworzenia, zidentyfikowano jako pełne wersje niektórych z najślawniejszych fragmentów umieszczonych w zbiorze poezji Jamesa Edwina Rooke'a „Wiersze z okopów”, wydanym w roku 1921 przez Faber and Faber Ltd w Londynie. Co więcej, choć dziennika nie podpisano, a tani notes prawie niczym nie różnił się od setek innych, znalezionych w punktach opatrunkowych, przy poległych albo na samym polu bitwy, wiele fragmentów dziennika „podpisano” pośpiesznie nakreślonym Q, które okryło się sławą dzięki okładce wydania „Wierszy z okopów” z roku 1936.

Chociaż nie można wątpić w autentyczność dziennika, to jego pojawienie się wywołało szok i niedowierzanie, z wielu różnych, głębokich powodów.

Po pierwsze, już przedtem odnaleziono i wydano inny dziennik Rooke'a („Wspomnienia oficera piechoty: dziennik znad Sommy Jamesa Edwina Rooke'a” opublikowany w roku 1924 przez wydawnictwo George Falkner & Sons) i choć znajdowały się w nim drastyczne fragmenty opisujące życie w okopach, ton całości był bardziej umiarkowany i często pełen ironicznego humoru, tak typowego dla wspomnień oficerów z tamtych czasów. W gruncie rzeczy większość tamtego dziennika stanowiły zwięzłe notatki służbowe z nielicznymi tylko wtrętami o charakterze osobistym, mogącymi wzbudzić

zainteresowanie każdego poza historykami literatury bądź wojskowości, specjalizującymi się w tym okresie.

Z pewnością nic w nim nie przypominało szokującego materiału zawartego w nowo odkrytym dzienniku.

Po drugie, trzeba było uwzględnić prawa spadkobierców Rooke'a i skonsultować się z żyjącymi członkami jego rodziny. Redakcja pragnie podziękować pani Eleanor Marsh z Tunbridge za jej uprzejmą zgodę na opublikowanie niniejszego dziennika.

Na koniec pozostaje kwestia samej treści. Przez większą część stulecia wydawało się, że nic nie zagrozi reputacji Jamesa Edwina Rooke'a jako poety i człowieka. Choć uczciwość naukowa wymaga ujawnienia wszystkiego, drastyczna zmiana obrazu postaci tak ważnej dla dumy Wielkiej Brytanii i brytyjskiej tradycji literackiej nie jest czymś, co można traktować lekko. Dlatego opublikowanie tego pierwszego wydania tajnego dziennika znad Sommy opóźniło się o kilka lat. Redakcja obawiała się, że może on zaszkodzić wizerunkowi oraz literackiemu dziedzictwu sławnego „poety z okopów” i dlatego dołożono wszelkich starań, by potwierdzić autentyczność dziennika.

Gdy jednak osiągnięto te cele i starannie rozważono wpływ nowych informacji na pamięć o jednym z najważniejszych poetów stulecia, to uczciwość badacza wymagała opublikowania dziennika bez żadnych poprawek ani skrótów.

Sam notes ucierpiał od kontaktu z wodą, narażenia na straszliwe środowisko, które opisuje jego treść, oraz nieuniknionego rozkładu spowodowanego przez siedemdziesiąt lat przechowywania w dalekich od ideału warunkach Imperial War Museum. Co więcej, brakuje w nim kilku stron. Niewykluczone, że wyrwał je sam autor. Wiele fragmentów skreślono albo zamazano markerem. Część z nich udało się odzyskać dzięki zastosowaniu rozmaitych metod wykorzystujących promienie X, inne prawdopodobnie utraciliśmy na zawsze.

Ponieważ minęło wiele lat i od czasu owych straszliwych miesięcy nad Sommą w roku 1916 w kulturze zaszły głębokie zmiany, pozwoliłem sobie na kilka przypisów od redakcji, mających przybliżyć pewne kwestie współczesnemu czytelnikowi. W miejscach, gdzie tekst jest nieczytelny bądź niejednoznaczny, umieściłem najlepszą rekonstrukcję, na jaką było mnie stać. Tam również dodałem przypisy.

Poza tymi kilkoma ingerencjami redakcji poniższe słowa pochodzą wyłącznie od dwudziestoosmioletniego porucznika Jamesa Edwina Rooke'a z Kompanii C Nr 4237, 13. Batalionu (służbowego) Brygady Strzelców.

Richard Edward Harrison III

Cambridge
Grudzień 1992

Sobota, 8 lipca, godzina 8.15

Ponieważ w zeszłym tygodniu, podczas wielkiej ofensywy, byłem tu jako obserwator i potrafiłem znaleźć drogę w niekończącym się labiryncie okopów, ostatniej nocy rozkazano mi poprowadzić całą Brygadę Strzelców z linii Tara–Usna na nasz odcinek frontu pod la Boisselle. Przyjąłem ten rozkaz bez sprzeciwów, pomimo faktu, że w minionym tygodniu zaszły tam poważne zmiany. La Boisselle padło i obecnie znajduje się po stronie nieprzyjaciela, a w związku z tym odcinek niemieckich okopów, które rankiem 1 lipca z tak wielkim hukiem wysadziliśmy w powietrze, jest obecnie tylko gigantycznym kraterem na naszej nowej pierwszej linii. (Gdy piszę te słowa, krater zmienia się w masowy grób naszych towarzyszy z 34. Dywizji. Zaledwie tydzień temu widziałem, jak ruszali do szturmów z tak ogromną odwagą i tak niewielkim skutkiem. Ich ciała leżały na ziemi niczyjej aż do poranka dnia ataku i tylko dzięki uzyskanym wówczas postępom i zdobyciu la Boisselle naszym żołnierzom udało się dotrzeć do drutów kolczastych w miejscu, gdzie większość poległych spoczywała od poprzedniej soboty).

Przybyliśmy na miejsce o dziesiątej wieczorem. Lał deszcz. Nie mieliśmy czasu się przespać ani zjeść porządnego posiłku, ponieważ rozkazano nam pochować przed wschodem słońca zabitych. Pułkownik wyjaśnił oficerom, że za dnia ostrzeliwano ekipy pogrzebowe i dlatego trzeba będzie zrobić to nocą. Ja i inni oficerowie zwołaliśmy podoficerów ze swoich kompanii i przekazaliśmy im to wyjaśnienie. Podoficerowie niczego nie tłumaczyli żołnierzom, po prostu rozkazali im wyleźć z błotnistych wnęk i zakamarków, w których się skryli pod ociekającymi wodą plandekami, bądź przerwać nocne picie herbaty i zabrać się do tej obrzydliwej roboty.

W tutejszych okopach koszmarnie trudno się zorientować, nawet za dnia. Były dezorientującym labiryntem jeszcze przed pośpiesznym natarciem sprzed dwóch dni i dołączeniem następnych. Ostatniej nocy, w ulewnym deszczu, odnalezienie drogi w tej plątanie niemalże wykraczało poza ludzkie możliwości. Mimo to poprowadziłem ekipy pogrzebowe do starych niemieckich okopów, cały czas żywiąc nadzieję, że nie opuścimy naszego sektora i nie natkniemy się na żywych szkopów. Nie mogłem zrobić wiele poza nadzorowaniem wyciągania z kłębów drutu kolczastego trupów w mundurach koloru khaki. Rzecz jasna, w niezliczonych lejach po pociskach leżało więcej

ciał, ale doszedłem do wniosku, że nocą, podczas ulewy, lepiej będzie nie ruszać ich z miejsca. W tych lejach mogliby utonąć żywi. Umarli mogli w nich jeszcze chwilę pozostać.

Cała linia frontu cuchnie śmiercią i rozkładem. Mój nowy mundur zdążył już przesiąknąć tym smrodem. On nigdy nie znika i moi kumple z Trzydziestej Czwartej, którzy siedzą tu od chwili, gdy zastąpili Francuzów, twierdzą, że nie sposób w pełni się do niego przyzwyczaić. Rzecz jasna, pośród wypełnionych trupami lejów i obwieszonych nimi drutów kolczastych na obszarze, który jeszcze wczoraj był ziemią niczyją, było gorzej.

Nasze ekipy ostrożnie posuwały się naprzód w migotliwym blasku rac i rozbłyskach nieustannego ognia dział. Ani niemieccy, ani nasi artylerzyści nie przerwali pojedynku, który rozpoczęła wczorajsza bitwa (straciliśmy trzynastu ludzi na odcinku zaledwie mili od Tara–Usna do położonych tuż za linią frontu okopów. Nawet jeśli ciemność zapewniała nam ochronę przed snajperami, z pewnością niwelowały ją skutki cięższego ostrzału artyleryjskiego).

Tylko na naszym krótkim odcinku na drutach kolczastych wisiały setki ciał. Powiedziałem podoficerom, by rozkazali ludziom skupić się na nich i ignorowali zabitych leżących w lejach i w dawnych niemieckich okopach. Rzecz jasna, oprócz Brytyjczyków spoczywały tam też setki poległych Niemców. Razem z dwoma pozostałymi porucznikami doszliśmy do wniosku, że łatwiej będzie odróżnić ich od siebie za dnia.

Sama procedura była stosunkowo prosta. Każda ekipa składała się z ludzi, którzy wyciągali z drutu kolczastego zwłoki towarzyszy, często zostawiając na miejscu ich kawałki, tych, którzy zbierali nieśmiertelniki, noszowych dźwigających trupy do leja, a na koniec tych, którzy gromadzili broń i inny nadający się do odzyskania sprzęt. Ciała po prostu ciskano do krateru, bez żadnych słów pożegnania bądź innych formalności. Widziałem w czerwonym blasku rac, jak kilku poległych – niektórych z nich mogłem poznać podczas tygodnia, kiedy służyłem jako łącznik z 34. Dywizją – staczało się powoli, niemal komicznie po mokrym od deszczu zboczu. Nikogo nie próbowano zidentyfikować. Później sprawdzi się nieśmiertelniki i wyśle odpowiednie listy.

Ciała toczyły się w dół bardzo powoli, grzęznąc w kredzie i błocie, nim dotarły do zielonej kałuży na dnie, z której buchał odrażający odór rozkładu. W pewnej chwili pocisk uderzył w skraj leja w miejscu, gdzie sześciu mężczyzn zdejmowało trupy z noszy. Kawałki niedawno jeszcze żywych i tych, którzy nie żyli już od dłuższego czasu, posypały się razem w głodną paszczę leja. Dwóch rannych próbowano odprowadzić do punktu opatrunkowego (nie mam pojęcia, czy tym, którym zlecono to zadanie, w ogóle udało się tam trafić), natomiast

szczątki pozostałych członków ekipy (a przynajmniej tyle z nich, ile udało się znaleźć) wsypano do leja razem z ciałami, którymi przed chwilą się zajmowali.

Rozkazano nam zająć położone przed nami okopy, lecz one również były masowymi grobami.

*Brzęk łopat pogłębiających płytki okop.
Pełno tu trupów o zielonych gnijących nogach
W butach z cholewami, ciał pełzających pośród
Płynów i pni, twarze zwrócone w dół. Grzęznące
w błocie,
Niczym zdeptane worki, słabo wypełnione piaskiem;
Nagie, mokre pośladki, skłębione włosy;
Wypukłe, kostropate głowy
Śpią w oblepiającym je mule.
[1]*

Muszę wspomnieć o tym, dlaczego zacząłem pisać ten nowy, prywatny dziennik.

Wiem, że zginę tutaj, nad Sommą. Jestem tego pewien.

Wiem też teraz, że jestem tchórzem.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy, podczas szkolenia w Auxi-le-Château, a także przedtem, na kwaterze w Hannescamps, podejrzewałem, że moja nerwowość oraz upodobanie do poezji świadczą o braku odwagi. Powtarzałem sobie jednak, że po prostu brak mi doświadczenia, że to zwyczajna trema, niepokój młodszego oficera, mającego dopiero wyruszyć na front.

Ale teraz wiem lepiej.

Jestem tchórzem i nic – ani król i ojczyzna, ani nawet konieczność ratowania domu, rodziny i cywilizacji zachodniej przed śliniącym się Hunem – nie są dla mnie czymś, za co warto by było oddać życie.

Zbliżał się świt i odesłałem już ostatnią ekipę pogrzebową – sierżanta Jowetta, kaprała Neweya, Bobby’ego Wooda, Franka Bella oraz kilku innych chłopaków, którzy pracowali w firmie WH Smith w Nottingham i zaciągnęli się razem – a potem spróbowałem wrócić przez ciąg transzei do dowództwa batalionu. Droga przez te krzyżujące się ze sobą zygzakowate rany w wilgotnej ziemi zawsze musiała trwać absurdalnie długo. W zeszłym tygodniu zabłądziłem, starając się dotrzeć do dowództwa 34. Dywizji i potrzebowałem blisko godziny, by pokonać kilkaset jardów. Tym razem jednak zgubiłem drogę ostatecznie i nieodwołalnie. W dodatku byłem sam. W końcu uświadomiłem sobie, że okopy, przez które wędruję, są głębsze niż cokolwiek, co mogłaby

wykopać brytyjska armia, znaki na skrzyżowaniach – zbyt niewyraźne, bym mógł je odczytać w blasku rac, nie pomagając sobie okopową latarką – z pewnością napisano frakturą, a trupy, o które się ocierałem, miały buty o wyższych cholewach i hełmy o większych nakarczkach niż uczeni brytyjscy polegli. Doszedłem do wniosku, że przypadkiem trafiłem do niemieckich okopów. Miałem szczerą nadzieję, że zdobyto je dopiero niedawno i jeszcze nie zdążono ich obsadzić.

Usiadłem, żeby poczekać na nadejście dnia.

Minęło kilka minut, nim sobie uświadomiłem, że ktoś siedzi w deszczu naprzeciwko mnie. Miał bladą twarz i przyglądał mi się uważnie.

Przyznaję, że poderwałem się dość gwałtownie i sięgnąłem po rewolwer, nim do mnie dotarło, że to po prostu kolejny trup. Nie miał hełmu i nie widziałem koloru jego munduru – zresztą wszystkie mundury miały obecnie kolor błota – ale buty na wyciągniętych nogach sugerowały, że to raczej szkop niż Tommy. *{Od redakcji: Tommy – często używane określenie brytyjskiego żołnierza w czasie wojen światowych}*.

Siedziałem tak sobie, czekając, aż jutrzienka wyciągnie ku mnie swe różane palce albo przynajmniej czarny deszcz zmieni się w szarą mżawkę, i przyglądałem się z uwagą nieznanemu człowiekowi – a przynajmniej czemuś, co jeszcze przed kilkoma dniami bądź nawet godzinami było człowiekiem – w czerwonym świetle rac i rytmicznych rozbłyskach artyleryjskiego ognia, barwy pomarańczowej lub białej jak magnezja. Zostawiłem walizkę *{Od redakcji: niektórzy oficerowie nosili sprzęt do spania w czymś w rodzaju kufra podróżnego}* i plandekę w miejscu, gdzie Brygada dotarła do pierwszej linii, mogłem więc tylko skulić się pod przednią ścianą okopu, ponieważ mój przyjaciel wygodnie opierał się o zaplecze *{Od redakcji: tylna część okopu, podczas gdy przednia nazywa się przedpiersie}* i godzić się na to, by woda skapywała mi z hełmu na przemoczone spodnie.

Do mojego przyjaciela dobrały się już szczury. To nie było zaskoczeniem. Większość zwłok, które widzieliśmy przez całą tę długą dobę miało za towarzystwo co najmniej jednego martwego szczura. Sierżant Jowett, który spędził w okopach frontowych najwięcej czasu z nas wszystkich, wyjaśnił, że część tych szkodników dosłownie obżera się na śmierć ciałami naszych towarzyszy. Mówił, że w pierwszych dniach wojny żołnierze często traktowali to osobiście – zabijali bagnietami powolne, przeżarte stworzenia i rzucali je na ziemię niczyją. Dodał jednak, że wkrótce wszyscy nauczyli się ignorować żywe szczury, nie wspominając już o martwych.

Owej nocy nie było tu martwych szczurów. A przynajmniej ja nie zauważyłem żadnego w deszczu i błocie. Zacząłem snuć domysły na temat losu,

jak spotkał mojego przyjaciela. Wyglądał, jakby całkowicie stopił się ze ścianą okopu, jakby cisnęła go o nią eksplozja pocisku albo bomby Millsa. Jednakże jego kończyny i ubranie były nietknięte, co czyniło to przypuszczenie mało prawdopodobnym. Zapewne dostał kulę, osunął się na ścianę okopu i po paru dniach deszczu błoto go oblepiło, urządzając mu coś w rodzaju pionowego pochówku. Dłonie miał odsłonięte i bardzo białe. Mundur pasował na niego znakomicie. Żaden kwatermistrz nigdy nie ubrał tak dobrze żadnego niemieckiego żołnierza. Brytyjskiego również nie, jeśli już o tym mowa. Źródłem tej krawieckiej precyzji były jednak gazy rozdmajające ciało. Rozszerzone przez nie mokra wełna i skóra niemal trzeszczały z przeciążenia.

Widywałem już przedtem tę złudną otyłość zabitych.

Śmiertelna rana, jaką mu zadano, była wyraźnie widoczna i – przynajmniej dla mnie – przerażająca.

Szczury i padlinożerne ptaki rzecz jasna wyzarły mu oczy, ale powieki pozostały nietknięte. Nawet rzęsy ocalały. Miałem wrażenie, że te czarne, owalne dziury gapią się na mnie. Dokładnie w centrum bladego czoła widniało trzecie oko. Czasami, gdy race sypały iskrami, kończąc swój lot, miałem wrażenie, że jedno albo więcej z tych oczu mruga do mnie w geście porozumiewawczej nekromancji, jakby chciało mi powiedzieć: „Ty również wkrótce poznasz ten bezruch”.

Karabin Lee-Enfield, jakim posługują się żołnierze z mojej brygady strzelców i jaki niemal z pewnością zadał mojemu przyjacielowi widoczną ranę, z reguły nie zostawia wielkich otworów wlotowych. Zabici Niemcy, których widzieliśmy na drogach, z reguły mieli tylko małą, niebieskawą, pozbawioną krwi ranę wielkości oka albo i mniejszą po tej stronie ciała, którą zwracali się do naszych strzelców. Rzecz jasna – podobnie jak mój przyjaciel – po drugiej stronie mogli mieć otwór tak wielki, że zmieściłaby się w nim pięść, wystarczająco duży, by mózg i krew rozprysnęły się na wszystkie strony. Na szczęście te szczegóły ukrywała ściana okopu, której częścią najwyraźniej zamierzał się stać.

Przyznaję, że ta prosta, pojedyncza rana przeraziła mnie, ponieważ zawsze czułem patologiczny strach przed uderzeniem w twarz. Gdy chłopaki biły się ze sobą w szkole, za każdym razem cofałem się przed konfrontacją. Powtarzałem sobie, że nie chodziło o strach przed bólem – uważałem, że radzę z nim sobie równie dobrze jak każdy – lecz o to, że myśl o zaciśniętej pięści pędzącej ku mojej twarzy i oczom przyprawiała mnie o wstręt i przerażenie.

A teraz to. Kula z jednego z naszych karabinów albo – co w moim przypadku ważniejsze – z jego niemieckiego odpowiednika, mausera, mknie z prędkością prawie pół mili na sekundę, dwukrotnie szybciej niż huk wystrzału.

Prosto w twarz. W oczy. Ostro zakończony metal mknący ku oczom, narzędom najukochańszego ze zmysłów. Tej myśli nie sposób było znieść.

Gapilem się na swego przyjaciela przez długi czas, nim wreszcie zdołałem oderwać wzrok od jego niemrugającego, trójokiego spojrzenia.

Jestem przekonany, że był młody. Z pewnością młodszy niż moje dwadzieścia osiem lat. Dostrzegałem pod warstwą błota sugestię krótkich blond włosów. O dziwo, szczury prawie nie tknęły jego twarzy, zadowalając się tylko długimi pasami ciała wzdłuż kości policzkowych i żuchwy. W blasku rac te ślady przypominały raczej zwykłe zadrapania. Z jego nosa, czoła i mocnego podbródka ściekały strumyki wody.

Najbardziej fascynowały mnie jego zęby. Same wargi mogły kiedyś być pełne, a nawet zmysłowe, ale po co najmniej dobie narażenia na blask lipcowego słońca wyschły i skurczyły się, odsłaniając zęby oraz dziąsła. Nawet w tak słabym świetle dostrzegałem białe i różowe plamy. Zęby były zbyt doskonałe, tak wydatne, jakby mój przyjaciel chciał wypuścić jakąś ostatnią salwę, choćby nawet składającą się tylko z epitetów skierowanych pod adresem banalnego kresu jego życia.

Gapilem się na trupa, przyzwyczajając się do jego obecności w tym miejscu – a także do własnej. Znalazłem się w teatrze niemal pewnej śmierci, gdzie kawałki ostrego metalu mknęły ku ludzkim oczom tak szybko, że nie sposób było się przed nimi uchylić ani nawet ich zauważyć. Nagle uświadomiłem sobie, że te zęby, ta żuchwa, się poruszają.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to tylko złudzenie wywołane migotliwym światłem. Choć ostrzał artyleryjski osłabł nieco, wystrzelivano coraz więcej rac. Zarówno szkopy, jak i Brytyjczycy spodziewali się, że przed świtem na ziemię niczyją wyruszą patrole.

Ale to nie było złudzenie. Pochyliłem się ku niemu, aż moja twarz znalazła się tylko jard od jego twarzy.

Żuchwa się poruszała. Słyszałem potrzaskiwanie skurczonych, wyschniętych ścięgien.

Wielkie, białe zęby – raptem sobie uświadomiłem, że są sztuczne, bo choć twarz zabitego wyglądała młodo, to z pewnością były protezy – oddalały się od siebie. Cała twarz zaczęła się trząść, jakby mój przyjaciel próbował się oddzielić od błotnej ściany, pochylić się ku mnie i pocałować mnie pośrodku okopu.

Nie byłem w stanie się poruszyć. Nie mogłem oddychać. Białe zęby oddalały się od siebie coraz bardziej. Z wnętrza wypłynął z głośnym sykiem gaz, przynosząc smród piekielnego rozkładu, gorszy niż gaz musztardowy albo fosgen. Szczęki się poruszały i gardło również, jakby mój nieżyjący przyjaciel

starał się uwolnić od wszystkich więzów Hadesu, by wypowiedzieć pożegnalne słowa, być może wygłosić ostatnie ostrzeżenie.

Potem zęby wypadły. Osunęły się ze stukiem po zapadniętej, ubłoconej piersi, gardło i żuchwa poruszyły się po raz ostatni, usta otworzyły się szeroko, zmieniając się w czarny, śmierdzący owal, po czym zrobiły się jeszcze większe, obscenicznie symulując poród... i wylazł z nich wielki, czarny szczur. Długie jak łasica stworzenie o gładkim futrze i czarnych, pełnych arogancji ślepiach wygramoliło się na zewnątrz między wyschniętymi wargami i gnijącymi dziąsłami.

Nawet nie drgnąłem, gdy gryzoń przelazł po mnie, oddalając się ospale. Nażarł się do syta i nigdzie mu się nie śpieszyło.

To nam... mnie, moim towarzyszom bądź innym podobnym do nas ten młody mężczyzna zawdzięczał swą upiorną ciążę.

Kto przyniesie ów dar mnie? – zadałem sobie pytanie.

Nie ruszyłem się stamtąd, dopóki słońce nie wspięło się wysoko na niebo. Wtedy znaleźli mnie trzej ludzie z 13. plutonu Kompanii B, poszukujący suvenirów. Okop, w którym się znajdowałem, nie był prawdziwą transeją, lecz ufortyfikowanym przedłużeniem wąwozu drogowego bronionego przez Niemców. Leżał za naszymi liniami, ale wystarczająco daleko od nowej pozycji szkopów, a w dodatku osłaniały go niskie wzgórza. Chłopaki z Kompanii B odprowadziły mnie do domu.

Wróciłem do dowództwa batalionu, upewniłem się, że ludzi z mojej kompanii ulokowano w prostych ziemiankach, a następnie przysiadłem się do dwóch żołnierzy z mojej brygady, strzelca Moncktona i kaprała Hoylesa, którzy robili sobie poranną herbatę.

Przed kilkoma minutami, gdy tylko skończyłem pierwszą część tego wpisu, przyszedł pułkownik w towarzystwie oficera ze sztabu. Ten drugi wszedł na ławkę strzelecką okopu, wyjrzał bardzo ostrożnie na zewnątrz i spojrzał na ziemię niczyją, gdzie nadal leżały setki pociemniałych od słońca trupów Brytyjczyków.

– Dobry Boże, nie wiedziałem, że używamy tu kolonialnych oddziałów – rzekł do pułkownika Pretora-Pinneya.

Pułkownik nic nie powiedział. Po chwili sobie poszli.

– Czy ten skurwysyn nigdy nie widział trupa? – mruknął Monckton do siedzącego obok kaprała.

Odsunąłem się od obu żołnierzy, ponieważ obowiązek nakazywał mi usłyszeć ich i udzielić im reprimendy. Potem zacząłem się śmiać. Udało mi się przestać dopiero przed kilkoma sekundami. Od wywołanych śmiechem łez zamazało się kilka linijek na tej stronie.

Jest dopiero dziewiąta rano. Tak zaczyna się pierwszy dzień na linii frontu.

Niedziela, 9 lipca

Nie spałem od czwartku. Kapitan mówi, że Brygada Strzelców ma utorować drogę, gdy ruszymy za linię wzgórz. Zapewne jutro.

Pułkownik przyszedł zapytać mnie o wielką ofensywę 1 lipca. Kazał mi odwiedzić mojego przyjaciela Siegfrieda {*Od redakcji: Siegfrieda Sassoon*} i obserwować atak, bym mógł go później mu opisać, ale nie udało mi się zlokalizować Siegfrieda ani Roberta. {*Od redakcji: być może Gravesa? James Edwin Rooke znał przed wojną obu tych poetów*}. Natknąłem się jednak na innego znajomego, Edmunda Dadda, który pozwolił mi obserwować natarcie razem z innymi oficerami, z ich pozycji na tyłach. Dadd i jego towarzysze z Królewskich Fizylierów Walijskich mieli świetny widok na natarcie 21. Dywizji oraz Kumpli z Manchesteru.

Pułkownik Pretor-Pinney zjawił się dziś wczesnym popołudniem i zerknął na lustro nad naszym okopem (drżało lekko, odkąd nieprzyjaciel zaczął ostrzeliwać pobliski teren pociskami kalibru 5.9).

– Jimmy, opowiedz mi, co widziałeś w zeszłym tygodniu – rozkazał.

Minęło sporo czasu i byłem pewny, że stary nigdy już o to nie zapyta. Teraz jednak do naszej wielkiej ofensywy zostało niespełna dwadzieścia godzin i rozumiałem, dlaczego musi się tego dowiedzieć.

– Od czego mam zacząć, sir? – zapytałem.

Pułkownik wyjął papierosa ze złotej papierośnicy i wręczył mi go, sobie wziął drugiego i zapalił oba okopową zapalniczką.

– Od ostrzału – odparł. – Zacznij od ostrzału. Oczywiście słyszeliśmy go w Albert... – Ucichł.

Nasz ostrzał niemieckich linii trwał siedem dni. W okopach mówiono, że huk słyszano w samej Anglii. Wszyscy, począwszy od Douglasa Haiga {*Od redakcji: Douglas Haig – dowódca Brytyjskich sił Ekspedycyjnych*}, zapewniali, że po takim bombardowaniu wielka ofensywa będzie zwykłym spacerkiem. Wielu chłopaków z Trzydziestej Czwartej, których znałem, martwiło się, że nie dotrą do niemieckich okopów na czas, by znaleźć najlepsze suweniry.

– To był naprawdę niezwykły widok, sir – odpowiedziałem.

– Tak, tak, ale skutki – rzucił pułkownik. Nadal mówił cicho (rzadko słyszałem, by podnosił głos), ale w jego tonie wyczuwało się emocje silniejsze niż zwykle. Wziął się w garść, zdejmując z języka strzępek tytoniu. – Jaki był wpływ ostrzału na druty kolczaste, Jimmy?

– Niemal bezużyteczny, sir. W większości odcinków drut był nietknięty. Chłopaki z Manchesteru musiały się tłoczyć w nielicznych lukach. Większość z nich padła.

Pułkownik pokiwał głową. Znał raporty o stratach z ostatniego tygodnia. Tamtego dnia czterdzieści tysięcy naszych najlepszych ludzi poległo przed śniadaniem.

– To znaczy, że ostrzał nie wywarł większego wpływu na ich druty?

– Prawie żadnego, sir.

– Jak szybko niemieccy snajperzy i karabiny maszynowe otworzyli ogień?

– Natychmiast, sir. Nasi ludzie zaczęli obrywać, gdy tylko wystawili głowy z nowego okopu.

Pułkownik cały czas kiwał głową, zauważyłem jednak, że robi to odruchowo. Cały czas myślał o czymś innym.

– A ludzie, Jimmy? Jak się spisali manchesterczycy?

– Znakomicie – zapewniłem.

Była to zarazem całkowita prawda i największe kłamstwo, jakie w życiu powiedziałem. Manchesterczycy wykazali się wielką odwagą, szli prosto pod ogień karabinów maszynowych, jakby byli na defiladzie albo wybierali się do teatru. Czy jednak o ludziach idących na rzeź jak jagnięta, można powiedzieć, że spisali się znakomicie? W ciągu minionych dwudziestu czterech godzin nasz batalion pochował tysiące tych znakomitych chłopaków.

– To dobrze – ucieszył się pułkownik Pretor-Pinney i z roztargnieniem poklepał mnie po ramieniu. – Wiem, że rankiem nasze chłopaki wypadną równie wspaniale.

Po raz pierwszy usłyszałem potwierdzenie, że do ataku dojdzie rano. Nigdy nie lubiłem poniedziałków.

Pułkownik ruszył w dalszą drogę. Pod nogami mlaskało mu błoto. Zatrzymywał się przy ławkach strzeleckich, by pogadać chwilę z chłopakami. Zerknąłem na dłoń, w której trzymałem zapalonego papierosa. Drżała, jakbym miał porażenie mózgowe.

Poniedziałek, 10 lipca, godzina 4.45

Dzisiaj znowu nie spałem. Wyznaczono mnie do nocnego patrolu. To całkowita strata czasu, trzy godziny czołgania się po ziemi niczyjej, z dziesięcioma moimi ludźmi. Wszyscy byli równie przerażeni jak ja, ale im wolno było to okazać. Niczego się nie dowiedzieliśmy. Nie wzięliśmy żadnych jeńców. Ale również nie

ponieśliśmy strat. Mieliśmy szczęście, że udało się nam znaleźć drogę przez pustkowie.

Nocny patrol

{Od redakcji: kilka linijek wykreślono}

*...i wszędzie umarli.
Tylko oni zawsze są obecni – obecni
Jako ohydny, słodki smród zgnilizny
Szelest krótkiej młodej trawy
I cuchnące kałuże. Ich fetor przenika wszystko,
Ostry i gryzący, jak ciała majaczące przed nami,
Czuliśmy ich smród, gdy
Przechodziliśmy obok, a potem słabł w dali,
Przeradzając się w nieokreślony odór, przepajający
wszystko,
Zarządzający niebo i ziemię.
[2]*

{Od redakcji: w tym miejscu brutalnie wyrwano kartkę. Na strzępku pozostały tylko dwa słowa „czyste przerażenie”. Tekst na następnej stronie sprawia wrażenie nowego wiersza}.

*Nie mieliśmy światła poza blaskiem rac,
Dziewięćdziesiąt jardów oświetlonego szlaku,
Czołgaliśmy się na brzuchach i łokciach, aż wreszcie
Ujrzeliśmy przed sobą zamiast nieruchomych trupów,
Paliki i drut kolczasty niemieckiego płotu
Schowaliśmy się za ostatnim z zabitych,
Udając trupy, i usłyszeliśmy brzęk łopat,
Przerzucających ziemię,
A potem rozmowy i niekiedy kaszel.
Wartownik wystrzelił, a po nim karabin maszynowy;
W górę pomknęła raca, a kiedy spadła
I zgasła w kałużach na ziemi niczyjej,
Odwrociliśmy się i poczołgaliśmy z powrotem,
Mijając zapamiętanych poległych:
Jego i jego, i ich, i jego...
Przeszliśmy przez druty, wróciliśmy do siebie,*

i dostaliśmy rum.

[3]

Poniedziałek, 10 maja, godzina 8.05

Poranek jest piękny. Wiem, że wkrótce zginę, ale śmierć tak cudownego dnia byłaby okrutną ironią.

Nocą, podczas patrolu, nie było niczego poza błotem i śliskim mułem. A potem nadszedł letni świt. Gdy żar lipcowego słońca pada na cuchnące kałuże, z okopów i lejów buchają obłoki pary. Tutaj, we frontowym okopie, nadal leżą trupy Niemców i widzę opary wypływające z mokrych, wełnianych mundurów niektórych zabitych. Jak dusze uciekające ku niebu z...

...z piekła? Wydaje się bardzo banalne, napisać coś takiego. Dźwięki, które słyszę, nie kojarzą się z piekłem. Od strony la Boisselle dobiega śpiew skowronka.

Przed paroma sekundami zjawili się pułkownik Pretor-Pinney i kapitan Smith z Kompanii D.

– Ruszamy o ósmej czterdzieści pięć – oznajmił cicho pułkownik. – Nastawcie zegarki.

Zdjąłem srebrny zegarek ojca i starannie dopasowałem wskazujący przezeń czas do zegarków pułkownika i kapitana. Teraz jest godzina ósma dwadzieścia dwie. Na zegarku ojca była ósma osiemnaście, kiedy musiałem przestawić go na ósmą dwadzieścia jeden. Straciłem trzy minuty życia z powodu zwykłego przestawienia zegarka.

Ogarnął mnie dziwny spokój.

O dziwo, od jakiejś godziny ostrzał ucichł całkowicie. Cisza ogłusza. Słyszałem, jak pułkownik Pretor-Pinney powiedział majorowi sir Fosterowi Cunliffe'owi, że pierwszego lipca ostrzał artyleryjski skończył się dziesięć minut za wcześnie z powodu błędnego komunikatu wysłanego do artylerzystów. Zastanawiam się, czy podobnej pomyłki nie popełniono dziś rano.

Zajmuję pozycję tuż obok peryskopu – właściwie to po prostu lustro na tyczce wystające z okopu – i widzę w nim odległy o kilkaset jardów lasek – składający się głównie z rozszczepionych pni, choć ocalała jeszcze garstka całych drzew. Na prawo od niego znajduje się kolejny zagajnik pełen zdruzgotanych drzew oraz ruiny wioski Contalmaison. Nasze chłopaki z 23. Dywizji wczoraj wieczorem przegnały stamtąd szkopów, a teraz nasz batalion ma wykurzyć ich z okopów. Szkoda, że nie dowiedzieliśmy się więcej podczas patrolu.

Od najbliższych Niemców dzieli nas tylko jakieś sto pięćdziesiąt jardów. Można by kopnąć piłkę na taką odległość. (Mój znajomy z Pierwszego Batalionu Fizylierów Walijskich, Eddie Dadd, mówił mi, że kilku żołnierzy rzeczywiście kopnęło przed siebie futbolówki przed wielką ofensywą pierwszego lipca. To były chłopaki z batalionu futbolistów i południowoafrykańscy rugbiści, którzy do nich dołączyli. Eddie mówił, że z któregoś ze składających się z czterdziestu żołnierzy plutonów ocalał tylko jeden człowiek...).

8.30. Sierzanci – Laney po mojej lewej i Cross po prawej – ciągle biegają w tę i w tę wzdłuż okopu, ostrzegając ludzi, by nie zbijali się w grupy.

– Jeśli będziecie się grupować, wystrzelają was jak króliki – mówi sierżant Laney. Te słowa brzmią dziwnie uspokajająco.

Jasne, że wystrzelają nas jak króliki. Pamiętam, że gdy miałem sześć lat, widziałem, jak ojciec obdzierał królika ze skóry. Jedno nacięcie, a potem szarpnięcie i skóra zeszła ze zwierzęcia jak płaszcz. Tylko kilka cienkich, lepkich pasków łączyło ją z bladym niebieskawym ciałem.

8.32. Co tu robi poeta? Co tu robi ktokolwiek z nas? Powiedziałbym ludziom coś inspirującego, ale w ustach zaschło mi tak bardzo, że wątpię, czy zdołałbym wykrztusić choć słowo.

8.38. Setki bagnetów. Lśnią w jasnym blasku słońca. Sierżant Cross krzyczy do żołnierzy, żeby trzymali je poniżej krawędzi przedpiersia. Jakby Niemcy nie wiedzieli, że zaraz zaatakujemy. Gdzie, do jasnej cholery, jest ten ostrzał, który obiecał nam pułkownik?

8.40. Wiem, co mogłoby mnie uratować. Litania życia. Wyliczenie wszystkiego co kocham w sposób dostępny tylko dla żywych i możliwy do wyrażenia jedynie przez poetę...

- białe filiżanki, lśniące od czystości
- mokre dachy w blasku latarni
- twarda skórka chleba i najprzeróżniejsze smaki
- zapach przyjaznych palców
- zwycięskie włosy, błyszczące i uwolnione
- beznamętne piękno maszyny parowej

[4]

8.42. Jezu Chryste. O Jezu. Nie kocham Boga, ale kocham życie. Chłodną dobroć pościeli. Błyski kropelek w kielichach kwiatów. Twarde pocałunki szorstkich koców. Chryste, czy mam utracić to wszystko?

8.43. Kobiety. Kocham kobiety. Czystą woń pudru i talku. Ich jasną skórę i różowe sutki w blasku świec. Ich delikatność, stanowczość i straszliwą wilgoć pachnącą piżmem...

8.44. Będę myślał o kobietach. Zamknę oczy i będę myślał o litanii kobiecości, zapachu i dotyku życia, które jest rodzaju żeńskiego. Wszystko, co jest żywe i witalne... *{Od redakcji: ta linijka pozostała nieukończona}*.

8.45. W całym okopie słychać gwizdki. Spróbuję dmuchnąć w swój. Sierżanci wypychają żołnierzy na górę. Inni podoficerowie ruszają przodem. Podążę za nimi za ½ *{Od redakcji: nieczytelne}* ...niesprawiedliwe.

Litanio kobiecej siły życiowej. Muzo, która ochrania. Żegnaj.

{Od redakcji: powszechnie wiadomo, że drugi dziennik z okopów JER kończy się w tym miejscu. Czy raczej kończy się zwięzłą notatką umieszczoną poniżej}.

10.07.16, godzina 8.15. Pułkownik przechodzi między nami po raz ostatni. Przygotowuję swoich ludzi do wyjścia z okopu. Nasze działa milczą, podobno sztab nie chce popsuć niespodzianki, jaką przygotowaliśmy dla Niemców. Żartowaliśmy z sierżantem Crossem, że mamy nadzieję, iż szkopy przygotowują śniadanie, bo jesteśmy diabelnie głodni. Wszyscy śmiali się głośno.

{Od redakcji: można zauważyć, że wierszom przytoczonym tu w surowej postaci często przypisywano błędne daty. „Nocny patrol” często się cytuje jako spostrzeżenia JER z patrolu z 20 czerwca, na który wyruszył z Fizylierami Walijskimi. Fragment wiersza zaczynający się od słów „brzęk łopat” często jest wiązany z poprzednim Bożym Narodzeniem, gdy 13. Brygada Strzelców była zakwaterowana w Hannescamps i porucznika Rooke’a po raz pierwszy przydzielono do ekipy pogrzebowej. To, co opisywano jako „...aktywną wyobraźnię młodego, utalentowanego poety, zwróconą ku grozie, jaką spodziewał się ujrzeć na froncie” okazało się raczej zwykłym reportażem, niż wytworem poetyckiej wyobraźni.

Jest jeszcze fragment opisujący autentyczne przeżycia podczas nocnego patrolu: „nie mieliśmy światła poza blaskiem rac”- Nie można go znaleźć w żadnym wydaniu „Poetów z okopów”. Przynajmniej dla tego bibliografa jest oczywiste, że JER pracował nad dłuższą, doskonalszą wersją „Nocnego patrolu” i ukończyłby ją, gdyby na przeszkodzie nie stanęły późniejsze wydarzenia}.

Piątek, 14 lipca

Tej nocy Pani ze mną nie ma. Była tu przedtem, ale spłoszyły ją hałasy generowane przez lekarzy i już nie wróciła. Czuję jej zapach.

Leżący obok mnie Brickers, ten z połową twarzy, któremu udało się jęczeć przez każdą godzinę, gdy byłem przytomny, umarł przed kilkoma minutami. Jego bulgotu i charkotu nie sposób byłoby pomylić z niczym innym.

Wtedy Pani tu była. A teraz już jej nie ma. Modłę się o jej powrót.

Sobota, 15 lipca, godzina 9.30

Dzisiaj lepiej zdaję sobie sprawę, gdzie się znajduję. Poznają huk dział. Siostra Paul Marie, sympatyczniejsza z dwóch zakonnicek, które się nami opiekują, mówi, że trwa kolejne wielkie natarcie. Na tę myśl po skórze przebiegają mi ciarki.

Wierzę, że moja Pani była tu w nocy. Pamiętam jej dotyk, ale wszystkie pozostałe wspomnienia z kilku ostatnich dni zmieniły się w dziwną, wypełnioną bólem plamę. Gdy wczoraj po raz pierwszy uświadomiłem sobie, kim jestem i gdzie się znajduję, na stoliku przy moim łóżku leżały dwa przedmioty, z którymi wróciłem z ziemi niczyjej. Zegarek ojca, który zatrzymał się na godzinie 10.08, oraz tajny dziennik, w którym robiłem notatki w chwili, gdy ruszyliśmy do szturm. Najwyraźniej podczas ataku trzymałem oba te przedmioty w rękach. Gdy po jakichś dwóch dniach wreszcie dotarłem do punktu opatrunkowego, zegarek nadal mocno ścisnąłem w lewej dłoni, a dziennik w jakiś sposób trafił do kieszeni bluzy – bez mała jedyne elementy mojego ubrania, który nie został porwany na strzępy.

Opiszę teraz miejsce swego pobytu. Znajduję się w szpitalu polowym Korpusu Medycznego Armii Królewskiej, tuż pod Albert. Ponieważ tę wioskę dzielą od linii frontu zaledwie dwie mile, szpital jest właściwie czymś w rodzaju stacji pośredniej między prostymi punktami opatrunkowymi i polowymi salami operacyjnymi funkcjonującymi bliżej rejonu walk a pełnoprawnymi szpitalami wojskowymi znajdującymi się znacznie dalej od niej (w niektórych przypadkach nawet w Anglii). „Szpital” składa się z izb o bielonych ścianach, zapewne stanowiących kiedyś część miejscowego klasztoru. Za oknem widzę Złotą Madonnę.

{Od redakcji: pośrodku wioski Albert znajdował się wielki kościół. Jego wieżę wieńczył pozłacany posąg Najświętszej Pani, unoszącej nad głową Dzieciątko Jezus. W roku 1915 w posąg uderzył niemiecki pocisk i od tej chwili pochylał się on pod kątem prostym w stosunku do wieży. W dziennikach Sassona, Gravesa, Masefielda i chyba setki mniej ważnych postaci wspomina się o maszerowaniu na front obok tego dziwaczego punktu orientacyjnego. Po obu walczących stronach krążyła legenda mówiąca, że kiedy posąg wreszcie runie, wojna się skończy. Niemieccy żołnierze dodawali też, że jeśli rzeczywiście

do tego dojdzie, będzie to oznaczało zwycięstwo Niemiec. Dlatego francuscy saperzy pośpiesznie zabezpieczyli zwisającą Madonnę stalowymi linami. Pozostawała w tej pozycji aż do roku 1918, gdy Niemcy ponownie zdobyli wioskę i zaczęli wykorzystywać wieżę jako punkt obserwacyjny, wskutek czego brytyjscy artylerzyści zniszczyli całą wieżę razem z posągami}.

Albert opuścili prawie wszyscy cywile, lecz mimo to wioska nadal jakoś funkcjonuje tak blisko linii. Część naszej artylerii stacjonuje za nią. Dniami i nocami żołnierze maszerują przez osadę w obu kierunkach. Niemal nie sposób tu spać z powodu tupotu ich kroków, odgłosu końskich kopyt oraz przekleństw mężczyzn ciągnących ciężkie działa przez błoto. Wszyscy moi szpitalni towarzysze są oficerami, a słowa siostry Paul Marie sugerują, że to miejsce jest przeznaczone wyłącznie dla tych, którzy są zbyt ciężko ranni, by można ich było przetransportować do Amiens, a potem dalej, do domu, a także ci, którzy odnieśli obrażenia na tyle lekkie, że wkrótce będą mogli wrócić na front. Pech sprawił, że zaliczono mnie do tej drugiej kategorii.

Jest tu kilkunastu pacjentów. Niektórzy z nich to oficerowie z Brygady Strzelców. Większość stanowią umierający. Jednemu z nich, kapitanowi, urwało obie nogi i cały oddział wypełnia smród gangreny. Drugiemu – jest porucznikiem, tak samo jak ja – kula przebiła głowę i teraz nie przestaje gadać, przemawiając lubieżnie do biednej zakonnicy, jakby była jego kochanką. Starszy mężczyzna, major, codziennie wraca do namiotu chirurgicznego, by ucięto mu kolejny kawałek nogi. On również cuchnie gangreną i śmiercią, ale nigdy się nie skarży, po prostu leży na łóżku i wpatruje się w sufit.

Siostra Paul Marie mówi mi, że pułkownika Pretora-Pinneya otoczono specjalną opieką w sąsiednim szpitalu polowym, ponieważ jego stan nadal jest zbyt poważny, by można go było wsadzić w pociąg i odesłać do szpitala na zapleczu. Dodała, że kule z karabinu maszynowego rozszarpały mu całą lewą górną kończynę. Wiedziałem o tym. Wiedziałem to na własne oczy.

Prawie wszyscy oficerowie z naszego batalionu zginęli, w tym również dowódcy naszych czterech kompanii. Ich śmierć także widziałem. Straciliśmy też większość dowódców plutonów. Jak rozumiem, porucznik Fitzgibbon również ocalał, ale jego rany były tak ciężkie, że natychmiast odesłano go do Anglii. Większość sierżantów padła w boju – w tym Cross i Monckton – ale była nadzieja, że niektórzy ocalili. Po bitwie zapanował straszliwy chaos.

Najwyraźniej byłem jedynym „lekkorannym” na oddziale. Cierpiałem na tak zwany paraliż wstrząsowy, a także na zapalenie płuc spowodowane dwudniowym leżeniem w leju. Zapalenie jest uciążliwe, zwłaszcza że codziennie upuszczają mi płyn za pomocą strzykawki wielkości pompki rowerowej. Trzymają mnie mocno i wbijają mi igłę w plecy. Znacznie gorszy jest jednak

straszliwy ból, powracający stopniowo do moich znieczulonych nóg. To tak, jakby spały przez cztery albo pięć dni, a teraz zaczynały się budzić. Ostry, przypominający ukłucia igieł ból doprowadza mnie do szaleństwa.

Przed chwilą zmarł młody oficer bez nóg. Najpierw zasłonili jego łóżko parawanem, a potem ludzie z noszami przyszli po ciało. Przykryta kocem postać wydawała się stanowczo za małą, by mogła być człowiekiem.

Porucznik, który oberwał w głowę, nie przestaje wzywać swej pielęgniarki/zakonnicy/kochanki coraz bardziej szalonym głosem. Podejrzewam, że nie przeżyje nocy.

Uważam to miejsce za przedsionek piekła. Najwyraźniej jakiemuś odczytanemu osobnikowi nasunęła się ta sama myśl, bo na ścianie przy oknie, przez które widzę Złotą Madonnę, ktoś napisał węglem drzewnym słowa PER ME SI VA NE LA CITTÀ DOLENTE, PER ME SI VA NE L'ETTERNO DOLORE, PER ME SI VA TRA LA PERDUTA GENTE. Siostra Paul Marie mówi mi, że zakonnice nie usuwają napisu, bo oficer, który go tu umieścił, powiedział im, że to fragment wiersza wysławiający czułą opiekę w tym szpitalu. Najwyraźniej żadna z nich nie umie po włosku ani nie czytała Dantego.

Rzecz jasna, to fragment z *Piekła*. „Przeze mnie droga w gród łąz niezliczonych. Przeze mnie droga w boleść wiekuistą, przeze mnie droga w naród zatraconych” ¹⁰.

Idą lekarze ze swoją przeklętą igłą. Później napiszę więcej.

Sobota, 15 lipca, tuż przed północą

Huk dział jest bardzo głośny. Madonnę z Dzieciątkiem podświetlają rozbłyски wystrzałów. Ten nieustanny blask pada na białoną podłogę niczym migotliwe światło dobiegające z jakiegoś niewidocznego kominka.

Oprócz mnie jedynym pacjentem sprawiającym wrażenie przytomnego jest ofiara fosgenu leżąca po drugiej stronie korytarza. Wydaje z siebie przerażające dźwięki. Próbuję nie patrzeć na nieszczęśnika, ale i tak co parę sekund zerkam na niego ukradkiem.

*...gdybyś w dławiącym jakimś śnie mógł kroczyć
Za wozem, w który wrzuciliśmy go wtedy,
Patrzeć, jak mu się wywracają oczy
W twarzy opadłej jak diabła znudzonego
Grzechem i usłyszeć mógł, jak na wybojach
Krew bucha z jego płuc zatrutych pianą,*

*Gorzka jak pleśń nieuleczalnych ran
Na niewinnych językach...*¹¹
[5]

Każdy oddech biednego skurczybyka kosztuje go mnóstwo wysiłku i zadaje mu straszliwy ból. Nie potrafię sobie wyobrazić, by mógł dożyć do rana, czy choćby nawet wytrzymać jeszcze dziesięć tak przerażających oddechów... ale zdążyłem policzyć do dziesięciu, pisząc te właśnie słowa. Być może jest skazany na życie aż do nadejścia nowego dnia, a nawet dłużej, choć nie potrafię pojąć, dlaczego jakakolwiek żywa istota miałaby być narażona na takie cierpienia. Tak zwana męka Chrystusa na krzyżu w porównaniu z tym jest zupełnym drobiazgiem.

Nie mogłem zasnąć, ponieważ nadal czekam na wizytę Pani. Ślady jej fiołkowych perfum pozostały na moich nadgarstkach i rękawach piżamy. Unoszę je do twarzy, kiedy smród gangreny staje się zbyt silny.

Byłem pewien, że dzisiaj wróci.

Pomyślałem sobie, że kiedy będę czekał, opiszę nasz atak. Jeśli to zrobię, może przestanie mi się śnić.

Ruszyliśmy do szturmowania o ósmej czterdzieści pięć. Wiedziałem, że na naszym odcinku od szkopskich okopów dzieli nas może z jedną trzecią mili, ale zdołałem sobie wmówić, że to zapewnia przewagę naszym chłopakom. Wygramoliłem się z okopu i ruszyłem naprzód.

W pierwszym momencie zakręciło mi się w głowie od tego, że chodziłem po ziemi. Tu są pszczoły, pomyślałem później od rzeczy, bo wszędzie wokół słyszałem zzz-zzz, zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy zaatakowałem wielki ul w ogrodzie pana Alknuta. Gdy jednak ujrzałem fontanny ziemi tryskające w górę przede mną i po bokach, uświadomiłem sobie, że to kule. Myśl o tym, że metalowy pocisk trafi mnie prosto w twarz, wypełniała mnie strachem tak wielkim, że omal się wtedy nie zatrzymałem. Przymrużyłem jednak oczy, niemal je zamykając, pochyliłem się nieco i zmusiłem do kontynuowania biegu naprzód.

Wszędzie wokół nasi ludzie pędzili prosto pod śmiertelny deszcz kul – najpierw oficerowie i podoficerowie, za nimi strzelcy uzbrojeni w bagnety, a na końcu żołnierze z karabinami maszynowymi Lewisa oraz ich tragarze amunicji, którzy uginali się pod ciężarem pocisków. Zauważyłem, że wszyscy, w tym również ja, szliśmy pod nieprzyjacielski ogień mocno pochyleni, jakbyśmy walczyli z silnym wiatrem albo deszczem. Sierżanci krzyčili na ludzi ze swoich plutonów, by zachowywali odległość i nie zbijali się w grupy. Ludzie zaczęli padać, a ja obserwowałem to wszystko przez przymknięte powieki.

To było naprawdę dziwne. Nasi żołnierze padali na ziemię ot tak sobie, jakby byli dziećmi bawiącymi się w wojnę. W pierwszej chwili myślałem, że niektórzy po prostu stchórzyli, ale leżenie na ziemi nie zapewniało lepszej ochrony i widziałem, jak kolejne kule uderzają w ciała, podskakujące tylko lekko. Brzmiało to identycznie jak *bach-lup* pocisków trafiających w worki z piaskiem, co wszyscy słyszeliśmy w okopach. Nadal też wszędzie było słycać zzz-zzz.

W owej chwili bałem się tak potwornie, że było mnie stać jedynia na utrzymanie się na nogach, posuwanie się naprzód i ostrożne przechodzenie nad dziurami po pociskach oraz gnijącymi trupami. Ziemia podskakiwała nagle przede mną i za mną, ale mój umysł jakimś cudem zdołał zachować dystans do tego wszystkiego.

Ruszyłem naprzód w towarzystwie kilkunastu chłopaków z naszego plutonu, ale wszyscy padli na ziemię jeden po drugim. Zatrzymałem się przy jednym z nich – leżał na brzuchu – i zapytałem:

– Jesteś ranny?

– A co tu twoim zdaniem robię, jebany paniczyku?! – krzyknął nieuprzejmie.
– Zbieram pierdolone stokrotki?!

W tej samej chwili kula z karabinu maszynowego uderzyła w sam środek jego hełmu. Zwymiotował mózgiem, a ja ruszyłem w dalszą drogę.

Wreszcie pozostaliśmy tylko ja i jeden żołnierz. Niejasno kojarzyłem go jako kaprała Woodlocka z 11. Plutonu. Gdy od nieprzyjacielskiego drutu kolczastego dzieliło nas niespełna pięćdziesiąt jardów, kapral Woodlock nagle wybuchnął śmiechem.

– Jezu Chryste, sir! – zawołał, radośnie jak uczeń. – Jezu Chryste, sir, chyba tylko my dwaj przeżyjemy tę cholerną jatkę – Zachichotał. – Jezu Chryste, sir – zaczął raz jeszcze i w tej samej chwili kilka kul rozdarło na strzępy bluzę barwy khaki osłaniającą jego pierś.

Przechylił się i runął do płytkiego leja, a ja schowałem notes do kieszeni bluzy, spojrzałem na zegarek i powlokłem się naprzód.

W drucie kolczastym była tylko jedna luka i 8. Pluton, który ruszył do ataku przed nami, skierował się ku niej. Pomyślałem wtedy, że chłopaki wyglądają jak baranki ustawiające się w kolejce do rzeźni. Niemieckie karabiny maszynowe otworzyły ogień, gdy byli w odległości pięćdziesięciu stóp. Wszyscy żołnierze z plutonu zmienili się w krwawą masę.

Przymykając powieki, myślałem o kobietach, które znałem i które uwiodłem. Wyobrażałem sobie ich skórę, ich usta, kolor oczu oraz słodki zapach. Wyobrażałem sobie ich dotyk.

Odezwała się artyleria. Fragmenty ciała kaprała Woodlocka trysnęły na wszystkie strony z leja, pomieszane z kawałkami trupów, które leżały tam od

wielkiej ofensywy z 1 lipca. Głowa kaprała, z nadal ciasno zapiętym hełmem, upadła u moich stóp i potoczyła się po ziemi.

Lukę w drucie kolczastym przede mną blokowała wysoka na trzy ciała warstwa trupów ludzi z 8. plutonu. Dlatego zwróciłem się w lewo i ruszyłem w kierunku kawałka ziemi niczyjej, gdzie ludzie z Brygady Strzelców nadal trzymali się na nogach i szli naprzód. Z map, które oglądałem przedtem, dowiedziałem się, że gdzieś tam znajduje się „kopalnia kredy”, niewielki kamieniołom ufortyfikowany przez nieprzyjaciela.

W tej właśnie chwili zerknąłem w prawo, gdzie miała atakować 25. Dywizja. Nikogo tam nie było. Przeniosłem spojrzenie w lewo, gdzie za nami miała nacierać Dwudziesta Trzecia. Tam również było pusto. Odwróciłem się do tyłu, żeby sprawdzić, czy fizylierzy ruszyli za nami w drugim rzucie, jak planowano, i usłyszałem zzz-zzz tuż obok ucha. Nie było drugiego rzutu.

– Kryj się, człowieku! – zawołał pułkownik Pretor-Pinney, chowający się w leju. Zszedłem do niego.

– Jimmy – wydyszał. – Nie sądzę, byśmy mogli...

Do leja wskoczył posłaniec i wręczył pułkownikowi wiadomość.

– Atak odwołany, sir – wydyszał.

Pułkownik gapił się z niedowierzaniem na kartkę.

– To tłumaczy brak ostrzału. A także fakt, że Dwudziesta Trzecia i Dwudziesta Piąta nie ruszyły razem z nami. – Zmiął papier w dłoni. – Atak odwołano, zanim wyszliśmy z okopów.

Wygramolił się z leja. Wokół nas na ziemię padały kolejne artyleryjskie pociski.

– Jimmy, chłopaki z Trzynastego plutonu dotarli już do szkopskich okopów – podjął. – Ktoś musi ich zawiadomić...

– Ja to zrobię, sir – zaoferował się młody posłaniec.

Pułkownik Pretor-Pinney skinął głową i chłopak wyskoczył z leja z brawurą i szybkością bardzo młodych, którzy wiedzą, że są nieśmiertelni. Seria z karabinu maszynowego trafiła go, nim pokonał dziesięć jardów, i niemalże przecięła w pół.

Pułkownik spojrzał na mnie.

– Nie pozostało nam nic innego, Jimmy.

Wyleźliśmy z dziury i ruszyliśmy razem naprzód, pochylając się w stronę, z której dobiegał hałas, pochylając się, jakbyśmy szli pod silny wiatr.

Niektórzy ludzie siedzący w lejach nadal żyli. Większość porzuciła plecaki i karabiny, zamykając się w maleńkich strefach strachu. Pułkownik spojrzał w lewo. W jednym z zagłębień przycupnęli wszyscy czterej nasi dowódcy kompanii oraz kilku ich adiutantów. Każdy z nich wskazywał w inną stronę.

– Nie grupować się, cholerni durnie! – krzyknął pułkownik Pretor-Pinney. Potem eksplozja wypełniła lej pyłem i szrapnelami. Gdy dym opadł, pozostały tylko strzępki ciała.

Niemal już dotarliśmy do odcinka ufortyfikowanej drogi, gdy pułkownik okręcił się nagle i padł na ziemię. Przykucnąłem obok niego na chwilę. Pod rozdartymi tkankami wyraźnie widziało się obie kości przedramienia. Jego usta uformowały jakieś słowa, ale nie byłem w stanie ich usłyszeć. Wiedziałem, że stanęła przede mną jedyna szansa ocalenia. Mogłem podnieść pułkownika i zanieść go z powrotem do naszych okopów. Być może nawet dostałbym za to medal.

Przymrużyłem powieki jeszcze bardziej, odwróciłem się i ruszyłem w kierunku nieprzyjaciela.

Nie pamiętam chwili, gdy dotarłem do niemieckich okopów i zeskoczyłem na dół, ale świetnie przypominam sobie niemieckiego sierżanta, który wypadł zza zakrętu zygzakowatego okopu i krzyknął coś do mnie. Nie wiem, który z nas był bardziej zaskoczony. Ten facet ma na sobie wełniany płaszcz, pomyślałem wtedy. Pamiętam to wyraźnie. W lipcu! To na pewno wariat! Potem masywnie zbudowany sierżant przestał krzyczeć i sięgnął po karabin, który – co w takiej sytuacji było zupełnie niewytłumaczalne – miał przerzucony przez ramię.

Jeden z naszych chłopaków poległ w tym miejscu. Leżał z twarzą w błocie, a jego lee-enfield padł na ziemię w zasięgu ręki. Nie tracąc czasu na zastanowienie, uniosłem ciężki karabin i ruszyłem szybko naprzód. Zegarek ojca zwisał na łańcuszku, który dwa razy oplotłem sobie wokół nadgarstka gdzieś po drodze między lejem, przy którym zostawiłem pułkownika, a niemieckim okopem.

Niemiec zdążył unieść broń, ale w tej samej chwili wbiłem mu bagnet w brzuch tuż poniżej mostka. Ostrze ma dwadzieścia jeden cali długości. Przebiło gruby wełniany płaszcz i wniknęło w ciało z taką łatwością, jakbyśmy na spółkę z sierżantem przygotowali amatorską sztuczkę magiczną. Poczulem, że zaostroszony koniec bagnetu uderzył w ścianę okopu za plecami Niemca.

Sierżant popatrzył na mnie ze zdziwieniem, uniosł nieco karabin, pozwalając mi zobaczyć miejsce, w którym mój bagnet wbił się w jego ciało, a wreszcie westchnął cicho i osunął się na ścianę okopu. Czułem wibrację, płynącą z miejsca, w którym klinga przebiła mu kręgosłup. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko się uśmiechnął. Kiedy wsparł się ciężko o ścianę, wypuściłem karabin z rąk, jakby nagle stał się zbyt gorący. Kolba wbiła się w błoto, podtrzymując ciało niemal w pionowej pozycji. Razem z dwiema szeroko rozstawionymi nogami zabitego tworzyła coś w rodzaju trójnoga.

Niemiec nadal ścisnął broń w martwych rękach. Płaszcz zwisał z niego luźno niczym całun.

Odwróciłem się i ruszyłem wzdłuż okopu. Szukałem żołnierzy z 13. plutonu, żeby im powiedzieć, że atak odwołano.

Najgorsze wydarzyło się dopiero, gdy wracałem.

Znalazłem niedobitki Brygady Strzelców walczące w zdobytych okopach. Nikt im nie powiedział, że atak odwołano i wszystko to było pomyłką. Niemcy ufortyfikowali zarówno wąwóz drogowy, jak i okopy w pobliżu kopalni kredy, zmieniając cały ten odcinek w gniazdo żmij, pełne betonowych działobitni, stanowisk karabinów maszynowych, ziemianek głębokich na trzydzieści stóp, a wszystko to otoczone labiryntem wyłożonych deskami okopów oraz tuneli. Nasze chłopaki oczyściły ze szkopów długi odcinek tych umocnień i broniły się tam przed źle zorganizowanymi kontratakami.

Walka w okopach jest straszliwa nawet w najkorzystniejszych warunkach. W tym labiryncie, gdy batalion poniósł ciężkie straty i brakowało mu amunicji, była jeszcze gorsza. Wczesnym popołudniem Brygadzie Strzelców zabrakło bomb Millsa. Zostało też bardzo niewiele naboju do Lee-Enfieldów i dwóch karabinów maszynowych Lewisa, jakie im pozostały. Wszystkie kable telefoniczne, przeciągnięte przez ziemię niczyją kosztem tak wielkich strat w ludziach, niemal natychmiast przerwał ostrzał artyleryjski, a wszelkie próby nawiązania łączności z naszymi okopami za pomocą sygnałów świetlnych albo flag natychmiast ściągały ogień na sygnalistę.

Naradziłem się z jedynym oficerem, jakiego udało mi się znaleźć, kapitanem Revere'em. Postanowiliśmy, że podejmiemy próbę wycofania się, gdy tylko zapadnie zmierzch.

W tej części Francji naprawdę ciemno robiło się dopiero około dziesiątej wieczorem. Gdy tylko uznaliśmy, że próba powrotu nie przyciągnie uwagi szkopów, kapitan Revere rozkazał swym ludziom opuścić okopy, które zdobyli kosztem tak wielkiej ofiary krwi i których bronili przez długi, upalny dzień. Wycofywali się trójkami albo czwórkami i znikali w mroku ziemi niczyjej. Niemcy z obsługi karabinów maszynowych najwyraźniej zlitowali się nad nami. A może byli tak samo zmęczeni jak my.

Uścisnąłem dłoń kapitana Revere'a i wyruszyłem na ziemię niczyją. Niemal natychmiast zaczął się ostrzał. Poznałem po dźwięku, że to brytyjskie osiemnastocalówki. Strzelały do nas nasze własne działa.

Straszliwy niszczycielski ostrzał, jaki miał nas wesprzeć dziś rano, zmaterializował się dopiero teraz. Cały obszar dzielący nas od naszych okopów – w owej chwili około tysiąca jardów – wypełniła nieprzerwana ściana ognia i szrapneli. Ponownie przymrużyłem powieki i pochyliłem się. Atmosferę

wypełnił metal. Tym razem odłamki przesywały powietrze z dźwiękiem brzęącym jak *wiiit...* końcowa spółgłoska pojawiała się dopiero wtedy, gdy szrapnel w coś uderzył. Wiele pocisków eksplodowało w powietrzu. Tego baliśmy się najbardziej, bo odłamki z reguły trafiały najpierw w głowę i nic poza ziemianką z solidnym dachem nie mogło zapewnić ochrony.

Za nami odezwały się niemieckie karabiny maszynowe. Szkopy najwyraźniej przeprowadziły już kontratak i odzyskały opuszczone przed chwilą okopy. Nie mogliśmy iść naprzód i nie było też możliwości odwrotu. Miałem ochotę chichotać jak kapral Woodlock w ostatnich chwilach życia.

Sądząc z tego, co usłyszałem wczoraj i dzisiaj, właśnie w owym momencie 13. Brygada Strzelców przestała istnieć jako zdolna do walki siła. Nasza własna artyleria rozerwała nas na strzępy, sądząc, że to Niemcy kontratakują z Contalmaison.

Przebiegałem chaotycznie od leja do leja. Padałem na ziemię, gdy większe pociski eksplodowały w pobliżu, i biegłem przez chmury pyłu i dymu, kiedy wybuchały dalej. Uświadomiłem sobie, że nadal ściskam w lewej dłoni zegarek ojca, a jego łańcuszek pozostaje ciasno owinięty wokół mojego nadgarstka.

Mój obłęd nie mógł trwać bez końca. I nie trwał. W jednej chwili biegłem w kierunku okopów, które uważałem za swoje – nadal odległych o kilkaset jardów – w następnej zaś poczułem za sobą potężny wybuch i dosłownie uniosłem się nad powierzchnię. Widziałem na dole pole bitwy, jakby z wielkiej wysokości. Przez krótki moment myślałem, że nie żyję i moja dusza opuściła ciało.

Potem spadłem na ziemię i potoczyłem się do głębokiego leja. Nogami wsunąłem się do zielonej cuchnącej kałuży na dnie. Przez pewien czas byłem nieprzytomny, a gdy się ocknąłem, było już zupełnie ciemno. Ostrzał trwał i nie wątpiłem, że prędzej czy później trafi mnie kolejny pocisk, ale na razie przestało mnie to obchodzić.

Wybuch całkowicie zniszczył mi spodnie i od pasa w dół byłem właściwie nagi. Straciłem czucie w nogach poniżej miejsca, w którym zniknęły w letniej wodzie. Górna część munduru również była w strzępach, choć przód bluzy ocalał. Hełm zniknął. Czułem niewiele bólu, a plecy i nogi ogarnęło odrętwienie, byłem jednak przekonany, że trafił mnie śmiertelny kawałek metalu, tkwiący teraz głęboko w pozbawionym czucia ciele. Dłonie zrobiły się czarne od brudu, tak samo jak reszta ciała, ale wyglądały na nietknięte. Po pewnym czasie, gdy traciłem przytomność i znowu ją odzyskiwałem, postanowiłem je wykorzystać, by wydostać się z wody.

To nie był dobry pomysł. Moja głowa znajdowała się zaledwie kilka cali poniżej górnej granicy leja i gdy tylko wysunąłem się nad nią, obok przemknęły

ze świstem kule i szrapnele. Zaprzestałem walki z błotem i znowu ześliznąłem się w dół, aż zanurzyłem się po uda w ciemnej wodzie.

Lej dzielił ze mną jeden albo dwóch zabitych. Mówię „jeden albo dwóch”, ponieważ po dziś dzień nie wiem, czy po drugiej stronie szerokiej na sześć stóp sadzawki leżało jedno czy dwa ciała. Dolna połowa spoczywała w błocie, niemalże dotykając palcami nóg brzegu leja. Odsłonięty kawałek kręgosłupa rozjaśniał się białym blaskiem, gdy tylko na ziemię spadała raca albo scenerię oświetlała kolejna eksplozja. Onuce i buty z pewnością były brytyjskie i zapewne pomyślałbym, że to dolna połowa mojego ciała, gdybym nie widział przedtem swych nagich nóg.

Z wody sterczała górna połowa czyjejs głowy, zwrócona twarzą ku mnie. Zabity nadal miał na niej hełm, a jego rzemyk był mocno zaciągnięty. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się we mnie z wielką intensywnością. Pomyślałbym, że to jakiś spryciarz, który ukrywa się tutaj, czekając aż ostrzał ustanie, by podjąć kolejną próbę opuszczenia leja, gdyby nie fakt, że jego usta i nozdrza znajdowały się poniżej poziomu wody. Nie było żadnych pęcherzyków. Nie mrugnął ani razu, choć mijały minuty, a potem godziny.

Moje nogi okazały się bezużyteczne, ran nie byłem w stanie ocenić, dopóki utrzymywało się odrętwienie, a do tego ostrzał ciągle się nie kończył. Dlatego leżałem w błocie na dnie leja. Gdy działa wreszcie umilkną – zakładając, że dożyję tej chwili – Niemcy z pewnością wyślą patrole, by dobiły resztkę naszych ludzi bagnetami.

Przyznaję, że choć leżąc tam, próbowałem oddawać się filozoficznym rozważaniom, nie było mnie stać na nic więcej niż wspomnianie imion i twarzy wszystkich dziewczyn, z którymi spałem. To był całkiem przyjemny sposób spędzania czasu.

Wreszcie ból w plecach i w klatce piersiowej rozgorzał na dobre. Byłem przygotowany na taką możliwość i zabrałem ze sobą cztery regulaminowe tabletki morfiny, na jakie pozwalano każdemu oficerowi. Sięgnąłem po nie do kieszeni spodni.

Nie miałem spodni. Poczułem tylko strzępy tkaniny i pokaleczoną skórę.

Poklepałem przód bluzy w czczej nadziei, że pod wpływem roztargnienia tam właśnie schowałem morfinę, ale były tam tylko ten dziennik, ogryzek ołówka oraz mój srebrny gwizdek.

Ból wypełnił mnie niczym trujący gaz. W owej chwili ucieszyłbym się z trującego gazu, byle tylko cierpienia się skończyły. Jak już przyznałem powyżej, nie jestem odważny.

Gdzieś między północą a świtem, gdy szamotałem się w błocie pod niemrugającym spojrzeniem martwego towarzysza, zjawiała się ona.

Pani. Ta, na którą czekam tej nocy.

Być może jednak powstrzymuje ją skrzywienie pióra albo moja siedząca pozycja. Odłożę dziennik do następnej okazji i będę wyczekiwał w mroku między rozbłyskami wielkich dział.

PS: Ofiara gazu leżąca po drugiej stronie korytarza już nie oddycha.

Niedziela, 15 lipca, godzina 9.00

Pani nie przyszła. A przynajmniej nie pamiętam, żeby się zjawiła. Nie potrafię opisać głębi swego rozczarowania.

Zakonnica – ta opryskliwa, nie siostra Paul Marie – poinformowała nas, że nieustanny huk naszych wielkich dział świadczy o trwającej bitwie o panowanie nad okolicznym lasem. Dodała, że większość napływających do szpitala rannych stanowią obecnie żołnierze 33. Dywizji, zwłaszcza z Church Lads Brigade. Stwierdziła, że nigdy przedtem nie widziała tak straszliwych ran.

Uświadomiłem sobie, że kampania rekrutacyjna Kitchenera, a zwłaszcza tworzenie „kumplowskich batalionów” stanie się źródłem straszliwego żniwa żałoby, a to, co z punktu widzenia werbowników wydawało się wspaniałym pomysłem, przyniesie nam wyludnione wioski, opustoszałe kościoły, zniknięcie jednostek straży pożarnej oraz wielu zawodów, których cała śmietanka z naszego pokolenia została unicestwiona w jedno popołudnie.

{Od redakcji: nawet dzisiaj prawie wszyscy pamiętają obraz lorda Kitchenera wskazującego palcem ze swego plakatu i oznajmiającego stanowczo: „Twój kraj cię potrzebuje”. Młodzi czytelnicy mogą jednak nie wiedzieć, że Kitchener wprowadził pobór, by uzupełnić stan armii, dopiero w styczniu 1916 roku. Oznacza to, że James Edwin Rooke był ochotnikiem, podobnie jak dwa i pół miliona innych mężczyzn noszących mundury koloru khaki. Opinia Rooke’a o „batalionach kumpli”, do których przyjaciele i znajomi mogli zaciągnąć się zbiorowo, okazała się jednak całkowicie słuszna. Rzeź, jaką była pierwsza wojna światowa, wywarła tak niszczycielski wpływ na Wielką Brytanię nie tylko z powodu liczby ofiar, lecz również straszliwego skupienia tych strat w określonych miejscach, spowodowanych zagładą całych batalionów „kumpli”. Wśród takich batalionów, które straciły nad Sommą ponad pięciuset ludzi (pełna liczebność batalionu wynosiła tysiąc żołnierzy) byli: Kumple z Accrington, Kumple z Leeds, Batalion z Cambridge, Batalion Szkół Publicznych, Pierwszy Batalion Kumpli z Bradford, Batalion z Brygady Chłopaków z Glasgow

i Ochotnicy z Hrabstwa Down, a wszystko to wydarzyło się tylko jednego dnia, 1 lipca}.

Przed chwilą przyszli lekarze i pielęgniarki, by wbić mi w plecy igłę i dotrzeć do płuc. Dźwięków towarzyszących upuszczaniu płynu nie sposób opisać. Przywodzą mi na myśl słonia wysysającego z wiadra resztki wody – widziałem coś takiego w cyrku odwiedzającym Weald of Kent Grammar School pamiętnego, zielonego lata. Oddałbym wszystko, by znowu się tam znaleźć.

Lekarz zostawił jakieś papiery, które odłożył ze znużeniem. Zwinąłem jeden z dokumentów, żeby go przestudiować. To był protokół sekcji zwłok. Obudziłem się już przed siódmą. Dzwony na wieży kościelnej pod uszkodzonym posągami działają bardzo dobrze i ich hałas z jakiegoś powodu jest bardziej dokuczliwy niż nieustanny huk i łoskot dział. Wiersz o żołnierzu, który padł ofiarą ataku gazowego, rozpoczęty ostatniej nocy, sprawia mi trudności. Mam wrażenie, że nadal słyszę oddech nieszczęśnika, mimo że z pewnością opuścił nas na zawsze.

Protokół chyba jest bardziej efektywny jako poezja niż moje bazgroły. Przytoczę go w całości:

Przypadek nr 4; wiek 39

Lat

Zagazowany 4 lipca roku 1916

Przyjęty do szpitala polowego

Tego samego dnia.

Zmarł około 10 dni później.

Brązowawa pigmentacja wielu obszarów

Ciała, Biały pierścień

Na skórze,

W miejscu gdzie był ręczny zegarek.

Widoczne powierzchowne oparzenia twarzy i

Moszny.

Krtań poważnie przekrwiona. Całość tchawicy

Pokryta żółtą błoną. W oskrzelach

Duża ilość gazu. Płuca wyraźnie

Rozdęte.

Prawe płuco zapadnięte

U podstawy.

Wątroba przekrwiona

I stłuszczona.

W żołądku liczne

Krwiaki podśluzówkowe.

*Istota szara mózgu
Nadmiernie wilgotna
I intensywnie przekrwiona.
[6]*

Merde. W tej nowej epoce poezja nie jest już w stanie spełniać swojej funkcji, a to, co nią nie jest, niespecjalnie może ją udawać. Być może poezja jest martwa. Być może zasługiwała na śmierć. Być może poeci również na nią zasługują.

Dzwony umilkły. Może z sześciu wierzących cywilów nadal mieszkających w Albert zapędzono na mszę. Działa nie wahają się nawet przez chwilę. Żal mi ludzi z Church Lads' Brigade. Za to, co otrzymają, ci spośród nas, którzy tutaj nie przebywają, byłiby szczerze wdzięczni.

Zbliża się czas, by napisać o Pani. Wahalem się, czy to zrobić, ponieważ gdyby ktoś znalazł i przeczytał ten dziennik, uznałby mnie za szaleńca.

Ale ja nie jestem szalony.

Ten dziennik zostanie zniszczony... musi zostać zniszczony. Jest prawem poety obnażać myśli, do których inni nie mogą się przyznać, ale poezja jest martwa, a ja również wkrótce przestanę żyć i nie chcę zostawić tych myśli tam, gdzie mogą je odszukać czyjeś wścibskie oczy.

Muszę jednak o tym napisać, bo inaczej naprawdę oszaleję.

Ruszyliśmy do ataku dziesiątego, o dziesiątej wieczorem. Nasza Brygada Strzelców została całkowicie zniszczona, a przez całą noc z dziesiątego na jedenastego leżałem na dnie leja, półprzytomny od bólu nóg, które odmawiały mi posłuszeństwa i na wpół szalony z pragnienia i strachu. Przyznaję, że piłem zieloną, lepłą ciecz wypełniającą dno usianego trupami krateru. Drugiej nocy zapewne byłem gotowy pić własny mocz. Niemal na pewno to robiłem.

Nie potrafię zapomnieć dźwięku. Zaczął się pierwszej nocy i nadal nie ucichł całkowicie wieczorem dwunastego, gdy wyczołgałem się z tego piekła.

Dźwięk nigdy nie zniknął, ale nasilał się i cichł niczym precyzyjnie skomponowane kaprysy fal uderzających o brzeg podczas wichury albo szelest miliona liści jesiennym wieczorem w hrabstwie Kent. Ale w tym dźwięku nie było niczego uspokajającego ani skłaniającego do medytacji. Był zgrzytaniem tysiąca zębów, dźwiękiem połamanych paznokci drapiących sto łupkowych płytek, sykiem, bulgotaniem i straszliwymi westchnieniami zagazowanych, daremnie próbujących zaczerpnąć kolejnego wilgotnego oddechu.

To były dźwięki wydawane przez setki naszych rannych chłopaków, leżących na ziemi niczyjej.

Przyznaję, że wniosłem swój wkład do tego chóru. Moje jęki i nieartykułowane krzyki jakby płynęły z jakiegoś miejsca poza mną. Chwilami

słyszałem, jak dołączają się do tego chóru, czując raczej zawstydzenie niż grozę.

Od czasu do czasu przez głuchoe wybuchy, łoskot dział i terkotanie karabinów maszynowych przebijał ostry jak uderzenie o krzemień strzał z karabinu. Potem jeden głos w chórze cierpienia milknął, ale pozostałe śpiewały dalej.

Przez cały drugi dzień – wtorek jedenastego – leżałem między kawałkami drutu kolczastego i odpryskami kości. W pewnej chwili udało mi się podciągnąć w górę i przesunąć w bok, wyciągając z wody pozbawione czucia nogi. Wmawiałem sobie, że się obawiam mogącej się wdać zgnilizny, ale rzeczywistym powodem mojego przerażenia była myśl, że coś może mnie capnąć pod tą zieloną taflą. Martwy żołnierz nie przestawał się na mnie gapić. Nad powierzchnią wody, w cieniu hełmu, można było dojrzeć tylko ciemne otwory jego oczodołów oraz białka oczu. Te oczy zapadały się coraz głębiej, wycofywały się do wnętrza czaszki, jakby nie mogły znieść mojego widoku. Poprzedniej nocy nawet w przerywanym świetle rac i eksplozji mogłem zobaczyć jego ciemne tęczówki oraz źrenice, ale drugiego dnia oczodoły wypełniła biała masa jaj złożonych przez muchy.

Muchy plujki unosiły się w powietrzu chmurą tak gęstą, że chwilami wydawało mi się, że opadają na nas walkirie. Ale to były tylko muchy. Ich bzyczenie przywodziło na myśl kule, a świst przelatujących w górze kul kojarzył mi się z tymi muchami. Dałem sobie spokój z próbami odganiania ich od twarzy i reagowałem tylko wtedy, kiedy wchodziły mi do uchylonych ust.

Drugiego dnia, gdy zbliżał się zmierzch, jęki nieco przycichły, ale po zapadnięciu ciemności znowu się nasiliły, jakby umarli dołączyli we wspólnej pieśni do umierających. Pod osłoną mroku spróbowałem podciągnąć się w górę, łapałem dłońmi za kamienie i wbijałem łokcie w błoto, ale gdy tylko wysunąłem głowę nad krawędź leja, odezwały się karabiny maszynowe. Od strony brytyjskich linii nadlatywało tyle samo pocisków smugowych, co od niemieckich. Nasze chłopaki najwyraźniej bały się panicznie kontrataku.

Jedna z kul ostrzegawczo oderwała mi kawałek lewego ucha. Druga przebiła poszarpaną tkaninę bluzy między lewymi żebrami a wewnętrzną powierzchnią ramienia. Porzuciłem myśl o czołganiu się przez dwieście jardów ku naszym liniom i z powrotem ukryłem się w wypełnionym letnią wodą grobowcu. Miałem wrażenie, że martwy żołnierz przywitał mnie znaczącym mrugnięciem. W mroku szczury szarpały dolną połowę jego tułowia i wydawało się, że nogi tańczą resztką sił.

Odzyskałem nieco czucia w dłoniach i zacząłem rzucać kamieniami w gryzonia. Ignorowały mnie. Lepsze to, niż gdyby miały skupić na mnie uwagę.

Zapadłem w półprzytomną drzemkę. Huk wielkich dział stał się tłem moich snów. Nagle, przed świtem, obudziłem się. Nadeszła Pani.

Gdy teraz przyznaję, że nie poczułem się zaskoczony, brzmi to jak bredzenie szaleńca. Mówiono o tym, że pielęgniarki docierają niekiedy na samą linię frontu, ale to były tylko koszarowe opowieści. Zresztą wiedziałem, że to nie pielęgniarka. Nie potykała się ani nie ześlizgiwała po stromej ścianie leja. W pewnej chwili po prostu się pojawiła. Obudził mnie dotyk jej dłoni na moim policzku.

Próba opisywania jej, nawet po kilku wizytach, wydaje się świętokradztwem. Jeśli jednak uda mi się wyrazić choć drobny ułamek czci, jaką ją darzyłem, być może nie pomniejszy to szansy, że kiedyś odwiedzi mnie znowu.

Jej skóra jest jasna. Nie chodzi mi o zwykłą angielską bladość wywołaną brakiem słońca, lecz o promienną biel pięknego marmuru z Carrary. Od twarzy – o rysach klasycznych, ale nieosiągających doskonałości, jaką uważamy w dzisiejszych czasach za ideał kobiecej urody – bije blask. Nos ma długi i prosty, podbródek mocny, a oczy szeroko rozstawione i bardzo ciemne. Jej włosy nie są uczesane zgodnie z obecną modą. Kiedy ostatnio byłem w Paryżu i w Londynie, damy ścinały włosy krócej, pozwalały im opadać na czoło i zaczesywały do tyłu, zakrywając tylko część uszu. Z tyłu często miały koński ogon albo kok. Pani wsunęła po jednej stronie grzebienie we włosy, ale one i tak opadają luźno, jak u dam z pokolenia mojej matki, gdy kładły się spać.

Kiedy dotknęła mojego policzka, spróbowałem coś powiedzieć, ostrzec ją przed straszliwym niebezpieczeństwem, jakie grozi jej na ziemi niczyjej, ale musnęła tylko palcem moje spękane wargi i pokręciła głową, żeby mnie uciszyć.

Zauważyłem niejasno, że ma na sobie suknię nieodpowiednią dla pielęgniarki i w ogóle niepasującą do miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Materiał, z jakiego ją uszyto, sprawiał wrażenie miękkiego i jedwabistego jak krepdeszyn. Krój był czymś pośrednim między halką a szlafrokiem. To jednak nie była bielizna ani koszula nocna. Strój Pani w pełni pasował do jej twarzy o mocnych rysach i do pełnej figury. Czuję się tak, jakby Penelopa przybyła po mnie, by zabrać mnie do domu po moich wędrówkach.

Zamknąłem oczy, ale nawet w półśnie nadal byłem z nią. Nie przebywaliśmy już na polu bitwy, lecz na tarasie pięknego domu skąpanego w blasku księżyca. Świetnie znałem otaczające go drzewa i zapach letniej nocy. Pomyślałem, że może jesteśmy w hrabstwie Kent. Pani czekała na mnie za stołem z kutego żelaza, ustawionym w altanie. Podeszedłem bliżej i usiadłem naprzeciw niej. Zauważyłem, że nie ma już na sobie sukni z delikatnej tkaniny, lecz bardziej zwyczajny bawełniany kostium brzoskwiniowego koloru – żakiet z baskinką, ozdobnie marszczony w talii, o szerokich rękawach zakończonych falbaniastymi

mankietami, oraz sięgającą kostek spódnicę. Jej kasztanowe włosy – wyraźnie dostrzegałem teraz ich kolor w blasku księżyca – były uczesane w bardziej konwencjonalny sposób. Częściowo zasłaniał je słomiany kapeluszek ozdobiony włosianą kitą.

Na srebrnej tacy między nami stały filiżanki i czajniczek. Gdy Pani spróbowała nalać mi herbaty, wyciągnąłem rękę, żeby jej dotknąć. Cofnęła ją, ale na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– To jest halucynacja – oznajmiłem.

– Naprawdę pan tak sądzi? – zapytała cicho.

– Tak – potwierdziłem. – Leżę umierający w jakimś... – Przerwałem, nim zdążyłem powiedzieć „cholernym leju”. Mogłem paść ofiarą halucynacji u progu śmierci, ale to jeszcze nie był powód, żeby zapomnieć o manierach w towarzystwie damy. – W jakimś banalnym leju we Francji – kontynuowałem. – A wszystko to... – Wskazałem altanę, ogrody, od których dobiegała lipcowa woń hibiskusa, oraz rezydencję, ledwie widoczną w blasku księżyca. – Wszystko to są złudzenia, wytwór mojego umierającego mózgu.

– Naprawdę pan tak sądzi? – powtórzyła i ujęła moją dłoń. Nie nosiła rękawiczek.

Słowo „zelektryzowany” ma zbyt bierny charakter, by mogło opisać moją reakcję na jej dotyk. To było tak, jakbym nigdy do tego momentu nie dotknął kobiety. Jakbym był jękającym się chłopcem, a nie doświadczonym kobieciarzem, którym zdołałem siebie uczynić od czasów Clare College w Cambridge.

Spróbowałem powiedzieć, że jestem pewien, iż nic z tego, co widzę, nie jest realne, ale księżyc wyszedł zza chmur i jego blask padł na delikatną krzywiznę ciała nad jej dekoltem. Słowa uwięzły mi w gardle.

– Myślę, że to całkiem realne, ale będzie pan musiał wrócić do przyjaciół, nim będziemy mogli znowu się spotkać – wyszeptała.

– Do przyjaciół? – powtórzyłem równie cicho, wstydząc się swych suchych, spękanych ust. W tym momencie nie pamiętałem imion ani twarzy żadnych swoich przyjaciół. Wszyscy moi wojenni towarzysze obrócili się w proch. A nawet w coś mniej niż proch. Tylko Pani mogła w pełni przyciągnąć moją uwagę.

Uśmiechnęła się do mnie. To nie był mdły uśmiech wielu znanych mi londyńskich dam, kokietyjny uśmieszek tak wielu francuskich dziewczyn ani okrutny uśmiech wdów i żon bogaczy, które miałem okazję poznać. Był całkiem sympatyczny, ale wyczuwało się w nim ironię i coś w rodzaju wyzwania.

– Chce się pan znowu ze mną zobaczyć? – zapytała. Jej rzęsy lśniły w świetle księżyca.

– Och tak – zapewniłem, nie myśląc o tym, jak naiwnie to zabrzmiało. Było mi to obojętne.

Po raz ostatni pogłaskała mnie po dłoni.

– Porozmawiamy znowu, gdy wróci już pan tam, dokąd musi pan wrócić.

– Dokąd muszę wrócić? – zapytałem.

Moje nogi znowu znalazły się w ciepławej brei. Dłonie drżały mi w nerwowych spazmach. Zegarek ojca, z łańcuszkiem owiniętym wokół czarnego od brudu nadgarstka, lśnił w blasku księżyca.

– Tam, gdzie był pan przedtem – wyszeptała.

Znowu miała na sobie strój przypominający halkę bądź szlafrok. Niepokoił mnie jego widok. Było w nim wyjątkowo wiele fałd. Na froncie wszy leżały się na nas wszędzie, zwłaszcza w szwach mundurów i w fałdach szkockich kiltów. Przed atakiem miałem na sobie nowy mundur, kupiony w specjalnym sklepie dla oficerów pod Amiens. Nosiłem go dopiero od kilku tygodni, ale już pojawiły się w nim insekty.

Nie, myśl, że Pani mogłaby mieć wszy, była absurdalna. Uświadomiłem sobie, że mnie dotyka. Jej palce znalazły się na moim nagim udzie i posuwały się w górę. Żołnierz w wodzie przyglądał się temu. W świetle księżyca widziałem ruch w jego białych oczach.

– Musi pan wrócić – wyszeptała, pochylając się ku mnie. Pachniała fiołkami, z odrobiną jaśminu. – Potem spotkamy się znowu.

Zacząłem coś mówić, ale Pani zerknęła w lewo, jakby ktoś ją wzywał, a potem znalazła się na krawędzi krateru, w jakiś subtelniejszy sposób, niż gdyby po prostu tam weszła. Znowu zostałem sam, mając za towarzystwo tylko martwą twarz, dolną połowę tułowia, żarłoczne szczury i chmary much.

Wyczołgałem się z leja tuż przed świtem i gdy tylko wzeszło słońce, zaczęli do mnie strzelać. Leżałem na ziemi przez cały długi lipcowy dzień – środę, dwunastego – a gdy tylko zapadł zmierzch, znowu ruszyłem w stronę okopów. Zbliżał się już świt, gdy rozkazano mi się zatrzymać. Usłyszałem szczęk zamka karabinu.

Z ciemności dobiegł głos nakazujący mi podejść bliżej, żeby można mnie było rozpoznać, albo podać hasło. Nie byłem w stanie zrobić ani jednego, ani drugiego. Leżałem na ziemi – zmęczony, krwawiący i zaplątany w drut kolczasty. Raczej poczułem niż zobaczyłem lufę karabinu wymierzoną we mnie w mroku i wyobraziłem sobie skupienie niewidocznego wartownika, gotowego wystrzelić, gdy tylko usłyszy odgłos mojego konania.

Mogłem resztką sił wycharczić swoje nazwisko i numer jednostki, być może dodać też wzruszające „Boże chroń króla”, podejrzewam jednak, że przy moich splekanych ustach i wyschniętym gardle nic z tego nie byłoby zrozumiałe.

Podjąłem niewytłumaczalną, absurdalną decyzję. Zacząłem śpiewać. Melodia nieco przypominała *Here We Go Round the Mulberry Bush*.

*Nie chcemy dziewczyny z Givenchy-le-Noble,
Z Givenchy-le-Noble,
Z Givenchy-le-Noble.
Z taką na spacer pójdzie tylko snob,
Więc nie z Givenchy-le-Noble.
Nie chcemy też dziewczyny z les Comptes,
Dziewczyny z les Comptes,
Dziewczyny z les Comptes,
Bo ona zaciągnie cię w najgorszy kąt,
Więc nie dziewczyna z les Comptes.*
[7]

Wcisnąłem twarz w błoto i czekałem.

– Słodki Jezu – usłyszałem głos wartownika. – To ktoś z Brygady Strzelców. Przyciągnijcie go tutaj, chłopaki.

Przykryli moją częściową nagość kocem, zanieśli mnie na tyły przez transzeje i zostawili w miejscu, które uważali za punkt opatrunkowy.

Znowu zaczęto bić w dzwony – albo po to, żeby uczcić zakończenie mszy, albo żeby przyciągnąć ludzi na następną. Tak czy inaczej, nie mogę się skupić. Jakiś poganiacz mułów krzyczał na swój zaprzęg tuż za oknem. Zwierzęta usiłowały wyciągnąć wóz z błota, a za nim czekała cała brygada.

Nie mogę się skupić. Boli mnie. Później napiszę więcej.

Poniedziałek, 17 lipca, godzina 14.00

Nocą obudził mnie zapach Pani, ale w szpitalu nie było nikogo poza skazanymi na śmierć, konającymi i mną. Miałem pewność, że była tu zaledwie kilka sekund temu.

Dziś rano długa igła wyciągnęła ze mnie jedynie napałek płynu. Wspierając się na dwóch laskach, byłem w stanie dowlec się do latryny. Siostra Paul Marie powiedziała mi, że za dzień albo dwa uznają mnie za wyleczonego i wypiszą, żeby zrobić miejsce dla ciężiej rannych żołnierzy. Kilku ludzi leżących tu ze mną zmarło – majora znaleziono dziś rano, jak wpatrywał się nieruchomo w sufit, podobnie jak przez kilka ostatnich dni życia. Nowi pacjenci najwyraźniej pochodzą z 33. Dywizji. Zgodnie z tym, czego się spodziewałem, gdy

usłyszałem o walkach trwających w weekend, Church Lads' Brigade spotkał taki sam los jak naszą Brygadę.

Siostra poinformowała mnie też, że pułkownika Pretora-Pinneya odwieziono do szpitala centralnego. Podobno jest nadzieja, że wyżyje. Wczoraj po południu odwiedził mnie sierżant Rowlands. To dobry żołnierz, ale przed 10 lipca odesłano go do kwatery głównej, by służył jako ordynans. Żałuje, że ominęło go całe to przedstawienie, ale przeniesienie niemal na pewno uratowało mu życie.

Rowlands opowiedział mi, że dwunastego sprawdzono stan żołnierzy Brygady i przy ponad trzystu nazwiskach umieszczono literę Z {*Od redakcji: „Z” było skrótem od słowa „Zaginiony”*}. Rzecz jasna, nikt w dowództwie nie wiedział, czy ci ludzie są zabici, zabici i pochowani, zabici i jeszcze niepochowani, zabici i rozbici na atomy, wzięci do niewoli, ranni, ranni i ewakuowani, ranni i leżący na ziemi niczyjej, w punktach opatrunkowych, albo już odesłano ich do szpitala. Rowlands stwierdził, że nikt w dowództwie nie jest szczególnie zainteresowany sprawdzaniem tego. Dlatego sierżant poświęcił większą część minionego tygodnia na jeżdżenie na rowerze między szpitalami polowymi i punktami opatrunkowymi, żeby pytać o chłopaków z Brygady Strzelców. W piątek przywiózł sporządzoną przez siebie listę pułkownikowi leżącemu w wielkim punkcie opatrunkowym. Pretor-Pinney rozplakał się jawnie, czego niemal nie potrafię sobie wyobrazić. Według Rowlandsa pułkownik powtarzał raz po raz: „Co oni zrobili z moim batalionem. Co oni zrobili z moim batalionem”.

Rowlands nie znalazłby mnie w punkcie opatrunkowym, gdyby zjawił się w środę. Chłopaki, które zabrały mnie z linii frontu, zarekwirowały motocykl z bocznym wózkiem, pojechały nim prawie do Albert i zostawiły mnie w miejscu, które uważały za punkt opatrunkowy. Był to wielki namiot pełen ludzi leżących na noszach. Na jego drugim, oświetlonym końcu kręciło się kilku robotników. Na podwórzu za namiotem leżały szeregi przykrytych kocami ludzi. Noc była ciepła, a na niebie błyszcząły gwiazdy. Wartownik i jego kumple wyjęli mnie z bocznego wózka, znaleźli nosze, przykryli mnie kocem aż po podbródek, życzyli mi szczęścia i wrócili do swych obowiązków.

Co chwila traciłem przytomność i ją odzyskiwałem. Oszalała mnie myśl, że żyję i wydostałem się z ziemi niczyjej. Dlatego minęła godzina albo dwie, nim się zorientowałem, że nikt się mną nie zainteresował. Ani doktor, ani pielęgniarka, ani nawet żołnierz mierzący temperatury czy przeprowadzający triaż.

Moją uwagę przyciągnęła też cisza. Po raz pierwszy od trzech dni chór rannych nie drażnił mi nerwów ani nie zagrażał moim zdrowym zmysłom. Ta grupa nie wydawała żadnych dźwięków.

Rzecz jasna, był to punkt pogrzebowy, nie opatrunkowy. Najwyraźniej kierujący nim żołnierze, na których łaskę i niełaskę zostawili mnie koledzy z frontu, poszli sobie spać. Leżałem sam na dworze, pośród szlachetnych poległych. Nogi nadal miałem sparaliżowane, ale byłem w stanie usiąść i rozejrzeć się wkoło. Wielu ciał nie przykryto kocami. Odsłonięte kości i nadal otwarte oczy lśniły w blasku gwiazd. Poznałem nawet kilku chłopaków z 13. plutonu.

Krzyki zdały się na nic. Płuca miałem tak przekrwione, że mogłem jedynie kasłać głucho. Leżałem na plecach, pewien, że ktoś w końcu się zjawi. Od czasu do czasu mijały mnie konie albo samochody, poruszające się drogą odległą o najwyżej dziesięć jardów. Jednakże szeregi trupów dzieliło od niej niewielkie wybrzuszenie terenu. Zresztą i tak nikt nie usłyszałby mojego zdyszanego kaszlu.

Zastanawiałem się nad możliwością poczołgania się po pomoc, ale minęło już trzy i pół dnia, odkąd jadłem ostatni posiłek – a i to było tylko lekkie śniadanie przed atakiem (nie tyle z powodu stresu, ile żołnierskiego strachu przed raną w brzuch po posiłku) i zostało mi bardzo niewiele siły w mięśniach. Byłem przekonany, że przed nadejściem poranka umrę z pragnienia albo z powodu ran.

Jakiś czas przed świtem zaczęło padać. Obudziła mnie delikatna mgiełka. Odchyliłem głowę, otworzyłem usta i przełknąłem tyle wody, ile tylko zdołałem. To nie wystarczyło. Próbowałem pochwycić w dłonie trochę błogosławionej wilgoci, ale ręce drżały mi zbyt mocno. Wiedziałem, że deszczyk wkrótce się skończy, i rozglądałem się jak szaleniec w poszukiwaniu jakiegoś naczynia, w które mógłbym złapać ratującą życie wodę – porzuconej manierki, kanistra, hełmu, czegokolwiek. Nie znalazłem niczego takiego. Potem zauważyłem wodę gromadzącą się w fałdach i zmarszczkach mundurów trupów, których nie przykryto kocami. Przyznaję, że podczołgiwałem się ku nim, by wychłptać te maleńkie kałuże, zanim wsiąkną w tkaninę albo wyparują. Pamiętam, że pomagając sobie językiem, jak kot pijący mleko ze spodka, wypilem wodę gromadzącą się w zimnym zagłębieniu u podstawy szyi młodego żołnierza. Nie czułem wstydu wtedy i nie czuję go dzisiaj. Bogowie mnie opuścili i nie dbałem już o ich wyroki. Przeżyję na przekór losowi.

I wtedy pojawiła się ona.

Szła między szeregami trupów, stąpając lekko. Nie wiem czy była bosa, czy nosiła cienkie pantofelki. Miała na sobie taki sam strój jak poprzedniej nocy – zwiewny, ale nie prześwitujący, ułożony w prerafaelickie fałdy, mieniące się w blasku gwiazd. Położyłem się na noszach i przykryłem szorstkim kocem, zapominając o pragnieniu. Bałem się, że to mnie szuka w ciemności, lecz jeszcze bardziej przerażała mnie myśl, że wcale mnie nie szuka.

Nie będę udawał, że nie wiedziałem, kim może – musi – być. To nie miało znaczenia. Kiedy pochyliła się nade mną, jej włosy otoczyły nas niczym zasłona. Zapach jej szyi miał w sobie odrobinę fiołków, ślad jaśminu i całe ciepło kobiety.

Chciałem powiedzieć „nie”, oznajmić, że wargi mam spieczone i spękane, a mój oddech z pewnością cuchnie, ale dotknęła moich ust chłodnym palcem, żeby mnie uciszyć. Po mgnieniu oka dotknęła tego samego miejsca ustami. Jej pocałunek był stanowczy, lecz zarazem delikatny, trwał bez końca i był za krótki. Zakręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, że gwiazdy krążą wokół mnie. Kiedy się odsunęła, ujrzałem pod tkaniną zarys jej lewej piersi.

– Zaczekaj – wychrypiałem, ale już się ode mnie odsunęła, unosząc rąbek sukni, by nie dotknęła skulonych palców albo zwróconych ku górze twarzy tych, którzy leżeli w wilgoci obok mnie.

– Zaczekaj – wyszeptalem raz jeszcze, ale ogarniała mnie już senność. Drżąc, wiedząc, że podążyłbym za nią, gdybym miał siłę i chwila była odpowiednia, podciągnąłem koc pod podbródek i zapadłem w sen. Nic mi się nie śniło, podobnie jak tym, którzy leżeli wokół mnie.

Wtorek, 18 lipca, godzina 15.30

Okropny dzień. Byli już gotowi mnie wypisać, ale przez całą noc miałem paskudną gorączkę i dręczył mnie kaszel. Dlatego zostałem w łóżku. Mam wrażenie, że nogi przyfastrygowano do mojego ciała. Nie jestem w stanie nad nimi zapanować, ale mogę teraz stać na nich za pomocą tylko jednej laski.

A to znaczy, że nadaję się do służby w armii Kitchenera.

Wiadomości były dziś tak złe, że mogłem jedynie się śmiać z poczynań boga ironii, który najwyraźniej rządzi wszechświatem. Z Brygady Strzelców została niespełna połowa ludzi i wiedziałem, że jest ona skończona jako zdolna do walki jednostka. Przynajmniej na pewien czas. Znaczyło to, że gdy wrócę do Batalionu, dostanę jakąś spokojną fuchę na spokojnym odcinku frontu albo – co bardziej prawdopodobne – gdzieś na tyłach, daleko od walk. Sierżant Rowlands powiedział mi wczoraj, że widział rozkazy, zgodnie z którymi Batalion mają dziś wysłać do Bresle, a następnie na stosunkowo wygodną pozycję nieopodal Calonne. Dodał, że mają nas zakwaterować w domach mieszkalnych i że to daleko od walk i od Sommy.

Zaczynam sobie wyobrażać, że mogę dożyć Bożego Narodzenia. Dzisiaj przybyły papiery nakazujące moje przeniesienie.

Przed poprzednim Bożym Narodzeniem, gdy Brygada stacjonowała w Hannescamps, również wysłałem prośbę o przeniesienie. Byłem wtedy

samotny i przygnębiony. Nigdy nie czułem się dobrze w towarzystwie prostych ludzi, a pozostali oficerowie w Brygadzie raczej nie sprawiali wrażenia dżentelmenów. Zgłosiłem się do pułkownika i wypełniłem formularze z prośbą o przeniesienie do 34. Dywizji. Miałem nadzieję, że może znajdę się w towarzystwie Dickiego, Johna, Siegfrieda {*Od redakcji: Siegfrieda Sassona*} albo innych znajomych z Cambridge. Pułkownik oznajmił, że to bardzo mało prawdopodobne, bym dostał zgodę na przeniesienie, ale i tak wysłałem papiery. Nie otrzymałem odpowiedzi i zapomniałem o całej sprawie. A dzisiaj dowiedziałem się, że przenoszą mnie do 1. Batalionu 1. Brygady Strzelców 14. Dywizji.

Cudownie. Kurwa, jak cudownie. Przez krótki okres służby w tej pierdolonej armii byłem już w trzech dywizjach. Brygadę Strzelców szkolono jako część Trzydziestej Siódmej, gdy przed niespełna dwoma tygodniami (niespełna dwoma tygodniami?) skierowano nas na front, dowiedzieliśmy się, że przenieśli nas do Trzydziestej Czwartej, a teraz mam się spakować i dołączyć do pierdolonej Czternastej. Nie znam tam nikogo. Co gorsza, sierżant Rowlands powiedział mi, że 14. Dywizję przenoszą na front w tej samej chwili, gdy moja dawna brygada go opuszcza.

Gdybym nie zgubił rewolweru na ziemi niczyjej, wsadziłbym go sobie w usta i nacisnął pierdolony spust.

Środa, 19 lipca, godzina 19.00

Wyszedłem dziś na dwór, by popatrzeć, jak Brygada Strzelców opuszcza Albert. Wieczór był piękny. Było chłodno i rześko, jakby zbliżała się jesień, choć w rzeczywistości mieliśmy środek lata. W powietrzu czuło się tylko lekką nutę woni pyłu i kordytu, a także fetoru gnijących ciał. Złota Madonna i jej Dzieciątko błyszczeli w blasku słońca, gdy Batalion maszerował obok kościoła.

Wielu twarzy nie znałem. Podczas mego pobytu w Albert do Batalionu wcielono sporo nowych ludzi, dzięki czemu bardziej przypomina prawdziwy batalion. Znajome twarze postarzały się o lata od chwili, gdy widziałem je dziewięć dni temu. Całą wieczność temu. Stałem na wzgórzu pod starym klasztorem i machałem do nich ręką, ale większość tych, których znałem ze starej Brygady, wpatrywała się przed siebie i nic nie widziała. Wielu płakało. Gdy zniknęli mi z oczu, wróciłem do środka, spodziewając się, że położę się spać albo napiszę list do siostry, ale odwiedziła nas delegacja ważnych dam z Anglii i wszyscy musieliśmy się dobrze zachowywać. Zakonnice zasłoniły parawanami żołnierzy, którzy byli w najgorszym stanie – nowego

zagazowanego, chłopaka z Church Lads, który stracił obie nogi, prawą rękę i co najmniej jedno oko, a także dwóch czy trzech innych – żeby nie urazić wrażliwości delegatek. Po prostu nie potrafiłem się zdobyć na rozmowę z nimi, więc udałem, że śpię. Jedna z nich zachwyciła się, jaki ze mnie przystojny chłopak. Opryskliwa siostra oznajmiła, że wszystko już ze mną w porządku i wkrótce wrócę na front. Angielska dama – jakaś starucha z włosami uczesanymi na Gibson Girl – powiedziała, że to cudownie, że dostanę drugą szansę.

Bardzo chętnie dałbym jej drugą szansę.

CHWAŁA KOBIET

*Kochacie nas, gdy na przepustkę nas puszczają,
Bądź w przyzwoite miejsce otrzymamy ranę.
Lubicie order, wierząc że wynagradzają
Symbolem bohaterstwa straszną wojny plamę.
Produkujecie pociski, z zachwytem słuchacie
Opowieści o brudzie, grozie i udręce,
Nasz trud odległy wieńcem nagradzacie,
A gdy polegniemy, żal nam dajecie w podzięce.
Nie wierzycie, że nasi chłopcy się cofają,
Gdy widok nowej grozy odwrót rozpoczyna
I krwią oślepieni trupy tragiczne tratują.
Niemieckie matki w domu zasypiają,
A wy dziergacie skarpetki dla syna,
Kiedy uciekający w błoto go wdeptują.
[8]*

Nie sądzę, by miała dziś do mnie przyjść. Modłę się, by tak się stało.

Nie wierzę jednak, by opuściła mnie na zawsze. Wkrótce spotkamy się znowu.

Muszę teraz zasnąć. To moja ostatnia noc w szpitalu. Być może ostatnia w moim życiu noc w czystej pościeli.

Sobota, 22 lipca

W tej ostatniej sprawie się myliłem. Sypiam w pościeli – być może nie aż tak czystej jak w szpitalu – każdej nocy, odkąd przybyłem do Amiens, by dołączyć do Brygady Strzelców 14. Dywizji.

Gdy w czwartek opuszczałem Albert, na wioskę padały niemieckie pociski kalibru 5.9, na nowo przebudowując gruzy wypełniające centrum osady. Ostrzał był niepokojąco bliski wielkiego szpitala polowego oraz klasztoru, w którym wróciłem do zdrowia. Podejrzewam, że wyglądałem dość romantycznie. Utykałem, pomagałem sobie laską, a moja wynędzniała twarz kontrastowała z nowym mundurem. Honory oddawane mi przez świeżo przybyłych żołnierzy zmierzających na front były bardziej entuzjastyczne i pełne szacunku, niż do tego przywykłem. Zapuszczam teraz wąsy, zauważyłem też we włosach siwiznę, której dwa tygodnie temu nie było.

Amiens leży jakieś piętnaście mil za linią frontu, ale to równie dobrze mogłoby być sto pięćdziesiąt. Znalazłem się w prawdziwym świecie. Mamy tu księgarnię, prowadzoną przez niejaką madame Carpentier, której córka flirtuje z oficerami, restauracje o nazwach takich, jak Rue du Corps Nu sans Tête, la Cathédrale, Josephine Oyster's Bar, cudowną Godebert i taką, która nazywa się po prostu „Jadalnia dla oficerów”. Przychodzi ich do niej całkiem sporo, choć tylko młodszych rangą. Nie należy też zapominać o innych cudach Amiens, takich jak zakład fryzjerski na Rue des Trois Calloux, gdzie można po strzyżeniu, goleniu i sesji z gorącymi ręcznikami otrzymać *friction d'eau de quinine*, od którego skóra głowy swędzi godzinami.

Ta chwila wypoczynku jest jednak okrutna. W poniedziałek 14. Dywizja wyrusza na front. Po tym przypomnieniu, jak żyją ludzie, jeszcze trudniej będzie nam znieść warunki panujące w okopach.

Potrzebowałem piekielnie dużo czasu, by znaleźć Czternastą. W Amiens stacjonuje mnóstwo żołnierzy. Starych wciąż zastępują nowi i przedmieścia wyglądają tak, jakby tysiąc cyrków jednocześnie rozbiło tam namioty. W końcu jednak zameldowałem się u aroganckiego pułkownika, którego nasz los zupełnie nie obchodził, a potem u kapitana Browna, który wywarł na mnie sympatyczne wrażenie. Brown przedstawił mi moim dowódcom plutonów i wyjaśnił, że 1. Brygadzie przywraca się pełną liczebność ze względu na liczne „pożyczki”, których udzieliła bardziej aktywnym oddziałom. Rodzi się we mnie przekonanie, że cała ta wojna to jedna wielka gra w gorące krzesła, w której przegrywający ginie, bo gdy muzyka milknie, znajduje się w nieodpowiednim miejscu w niewłaściwym czasie.

Co noc myślę o Pani, wiem jednak, że tutaj mnie nie odwiedzi. Perspektywa ponownego spotkania z nią jest jedynym, co wydaje mi się atrakcyjne w myśli o powrocie na znajdujący się na północnym wschodzie front.

Sobota, 23 lipca, południe

Podobno po północy australijskie i nowozelandzkie oddziały zaatakowały Pozieres. Kapitan Brown mówi, że mimo zwyczajowo optymistycznych raportów z kwatery głównej i patriotycznego bełkotu dziennikarzy rezultaty zapewne okażą się podobne do tych, jakie uzyskała Trzydziesta Czwarta pierwszego lutego i moja Brygada Strzelców dziesiątego – tysiące zabitych w błocie i nie posunęliśmy się naprzód ani o krok.

Jutro zmierzamy do Albert, a potem na front.

Druga ważna wiadomość tego dnia dotyczyła śmierci generała dywizji Ingouville'a-Williamsa, dowódcy 34. Dywizji. Pamiętam, że Dickie i Siegfried mówili, iż ludzie mówią o nim „Inky Bill”. Najwyraźniej pocisk trafił go wczoraj, gdy szukał suvenirów w lesie Mametz. Oficerowie przyjęli tę wiadomość ze smutkiem, ale słyszałem, jak kapral Cooper powiedział drugiemu żołnierzowi: „Dobrze tak cholernikowi. Wylazł z bezpiecznej ziemianki i poszedł szukać suvenirów, podczas gdy my toczyliśmy cholerną wojnę”. Tak czy inaczej po naszej stronie frontu mieliśmy poważne kłopoty, gdy trzeba było znaleźć cztery kare konie, które pociągną na tyły wózek z jego zwłokami. Kapitan Brown powiedział, że odpowiedni zaprzęg znaleziono w Baterii C 152. Brygady.

Takie rzeczy pewnie są ważne.

*Niech na waszych ustach śpiew
Ciągłe wzmacnia śmierci zew.
Wypatrujcie też jej bram,
I pomaszerujcie tam.
Wysławiajcie krwawy plon,
By radośnie spotkać zgon.
[9]*

Cztery tysiące ludzi z naszej brygady pomaszerują jutro na front. Poszliśmy przez Fricourt, ale podejrzewam, że tym razem tych, którzy stamtąd nie wrócą, nie odwiozą do domu kare konie.

Wtorek, 25 lipca, godzina 22.00

Złota Madonna i jej Dzieciątko wisiały nad drogą, gdy maszerowaliśmy wczoraj przez Albert. Tuman kurzu wzbitego przez naszą Brygadę otaczał ich czymś w rodzaju pomarańczowej aureoli. Nasza droga na front nie wyglądała zupełnie tak samo jak wtedy, gdy maszerowałem z Trzydziestą Czwartą na wielką

ofensywę ani gdy dziesiątego szła tam Brygada Strzelców, by zginąć jako jednostka. Wtedy szliśmy przez Fricourt, ale tym razem zamiast wybrać drogę przez Pozieres albo Contalmaison ruszyliśmy ku Kiełbasianej Dolinie, na prawo od la Boisselle, i dotarliśmy do nowej linii frontu, nie narażając zbytnio naszych ludzi na nieprzyjacielski ostrzał. Niemcy wiedzieli, że wiele naszych sił idzie tą drogą, ale nie mieli możliwości bezpośredniego ostrzału doliny, liczyliśmy więc na to, że kłopotów mogą nam przysporzyć jedynie spadające od czasu do czasu z nieba przypadkowe pociski kalibru 5.9.

Użyli gazu. Pewnie na miejscu szkopów postąpiłbym identycznie. To utrudnia nam zadanie bardzo niewielkim kosztem dla nieprzyjaciela. Wczoraj to był tylko gaz łzawiący, ale w ilości wystarczającej, byśmy wszyscy musieli włożyć gogle albo maski gazowe. Wyglądało to absurdalnie – tysiące ciężarówek, autobusów, posłańców na rowerach i motorowerach, długi szereg ambulansów, wozów amunicyjnych, wozów konnych, a nawet oddział kawalerii, a wszystko to mieszało się z tysiącami ludzi maszerujących w tumanach białego kurzu wzbijającego się na kilkaset stóp nad ziemię i mieszającego z gęstymi oparami gazu łzawiącego, wypełniającymi całą dolinę. Niektórzy kierowcy i woźnice nie mieli masek. Najwyraźniej uznano, że nie są żołnierzami, i ich nie otrzymali. Widok tego, jak próbowali kierować pojazdami lub zaprzęgami, gdy twarze zalewały im łzy, a z podbródków skapywał śluz, wykraczał poza wszelkie granice absurdu.

Liczba martwych koni leżących przy drogach w Kiełbasianej Dolinie jest absolutnie przerażająca. Wyglądało to tak, jakby ktoś świadomie postanowił wypełnić pobocza wszystkich dróg gnijącymi trupami tych zwierząt. Często widywało się szczątki dwóch albo trzech, tak pomieszane ze sobą, że nie sposób było określić, które leżące na ziemi wnętrzności do którego ścierwa należą. Wszędzie widziało się też martwe, wpatrzone w pustkę ślepia, moim zdaniem pełne wyrzutu znacznie większego niż oczy zabitych ludzi. Rzecz jasna, roi się tu od much, a smród jest wszechobecny. Wielu z tych, którzy wędrowali już tą drogą, wzięło ze sobą perfumy kupione w Amiens, by zamaskować fetor rozkładu, wnikałszy w naszą skórę i nasze mundury. Ta walka jest jednak skazana na porażkę. Lepiej do tego przywyknąć. Otaczają nas zatory drogowe, krzyki woźniców, płacz ludzi i rżenie koni bez masek zaskoczonych atakiem gazu oraz stłumione krzyki sierżantów, ale wszystko to dociera do nas z daleka, przez barierę naszych masek gazowych.

Pewien stary kierowca ciężarówki, z którym rozmawiałem, gdy Brygada czekała godzinę, nim zator przed nami się rozproszył, ostrzegł mnie, żebym nie ufał pokracznemu ustrojstwu z miki i brezentu, wyposażonemu w dziwaczną osłonę nosa, jakie wydała nam armia. Głosem stłumionym przez wspomniane

paskudztwo zapytałem go, czym sam się posługuje. To, co mi pokazał, wyglądało jak stara szmata, ale najwyraźniej spełniało swoje zadanie.

– Naszczałem na swoją skarpetkę – wyjaśnił i uniósł szmatę, żeby mi pokazać, że nie żartuje. – To lepsze niż ta żabia gęba, spod której na mnie patrzysz. Chcesz spróbować?

Oparłem się tej pokusie.

Żołnierze z ANZAC {*Od redakcji: Korpus Wojsk Australii i Nowej Zelandii*} stanowili wczoraj większość tych, którzy jechali na front, a także tych, którzy go opuszczali. Najwyraźniej ich atak zaczął się po pierwszej w nocy w niedzielę i trwał nadal, w kolejnych krwawych fazach. Przynajmniej idioci z dowództwa nauczyli się, że nie należy wysyłać ludzi do szturmów w biały dzień. Co prawda ciemność niewiele pomogła Szkotom i ludziom z ANZAC, próbującym zdobyć Pozieres oraz otaczające je zagajniki. Karetki były pełne rannych, a tuż za linią okopów utworzono dziesiątki punktów pogrzebowych.

Najwyraźniej było mi przeznaczone zawsze dowodzić ekipami pogrzebowymi. Nasza brygada miała czekać w odwodach za Australijczykami, ale pierwszym zadaniem, jakie wyznaczono naszym chłopakom, było ich grzebanie. To brudna robota, ale przynajmniej te trupy nie wisały na drutach kolczastych przez tydzień albo i dłużej.

Ostrzał był bardzo intensywny. Z przyjemnością odnotowałem informację, że nasze umieszczone na zapleczu okopy jeszcze przed kilkoma dniami znajdowały się na linii frontu. Ziemiarki były głębokie i dobrze zachowane. Ta, która przypadła mi w udziale, znajduje się dobre dwadzieścia stóp pod ziemią. Dzielę ją z dwoma porucznikami. Nazywają się Malcolm i Sudbridge. Kapitan Brown mieszka tuż obok, a jego ziemianka jest jeszcze głębsza od naszej.

Mamy u siebie prycze, półki, butwiejącą zasłonę z tkaniny workowej, wpuszczającą światło do środka i wypuszczającą gazy na zewnątrz, a nawet stolik, przy którym można pograć w karty. Ziemiarkę oświetlają dwie lampy naftowe. Wygląda to dość przytulnie. Jest tu znacznie chłodniej niż w rozgrzanym piecu na górze, pełnym letniego kurzu i skwaru.

Jakąś godzinę czy dwie temu porucznik Malcolm zasugerował, żebyśmy wyrównali ziemię w miejscu, gdzie stał stolik. Wydawało się, że to dobry pomysł, bo trochę się chwiało. Dwaj młodzi porucznicy ochoczo zabrali się do roboty, by uzyskać równą powierzchnię pod czterema nogami stolika, gdy nagle Malcolm zdrapał ostatnią warstwę. Pod nią kryła się butwiejąca niebieska tkanina.

– Chyba jakiś żabojad zgubił tu bluzę od munduru – oznajmił naiwnie, nie przestając kopać.

Smród wypełnił ziemiankę na mgnienie oka przed tym, jak Malcolm odsłonił szczątki dłoni i reszty kończyny.

Wyszedłem z ziemianki, by zapalić fajkę i pogadać z kapitanem Brownem. Kiedy wróciłem, po dość długim czasie, dziurę wypełniono już ziemią i chłopaki grały w karty przy chwiejnym się stoliku.

Wybrałem górną pryczę, kierując się głupim założeniem, że szczerom trudniej będzie się do mnie dostać. Nienawidzę myśli o tym, że te wielkie, gładkofutre skurwysyny mogą łązić w ciemności po mojej twarzy. Po paru minutach zauważyłem jednak, że belka nad moją głową połyskuje lekko. Uniosłem latarkę i zauważyłem, że dosłownie roi się tam od wszy. Gdy po około półgodzinie włączyłem ją na nowo, poczułem, że insekty spadają na moją pierś i policzki. Nie mogąc zasnąć, poszedłem na ławkę strzelecką, żeby napisać te słowa w świetle wybuchających pocisków.

Pani nie przyszła. Powiedziałbym, że to miejsce nie jest jej godne, ale wiem, że powodem było co innego. Nie tracę jednak wiary, że jeszcze ją zobaczę.

Mimo że znajdujemy się w okopach na tyłach, nadal pozostajemy w zasięgu wzroku i ostrzału Niemców zajmujących pozycje pod Pozieres. Kule ze znajomym dźwiękiem uderzają w worki piasku.

Czuję wszy wyszukujące ciepłe fałdy i zakładki mojego prawie nowego munduru. Wiem z doświadczenia, że przez kilka dni będę próbował znaleźć i rozgnieść wszystkie, ale później dam za wygraną i przyzwyczaję się do łązących po moim ciele insektów.

Pora wrócić na pryczę i trochę się przespać. Za trzy godziny czeka mnie pierwsza inspekcja plutonu w okopach.

Piątek, 28 lipca, 8.00

Wczoraj pułkownik wezwał mnie do swojej luksusowej ziemianki i zażądał, bym mu powiedział, dlaczego prosiłem o przeniesienie do 14. Dywizji. Wyjaśniłem, że wcale o nie nie prosiłem, tylko chciałem się dostać do Trzydziestej Czwartej, gdzie służy kilku moich kolegów ze szkoły. Pułkownik – blady, zgryźliwy człowieczek – cisnął na blat stosik papierów i wymamrotał pod nosem przekleństwo. Najwyraźniej w dowództwie zwężono, że coś jest nie tak – w końcu w moich papierach z pewnością powinna być wzmianka o Trzydziestej Czwartej – a teraz wszyscy dostawali sraczki z powodu pomyłki jakiegoś urzędasza.

– I co pana zdaniem powinniśmy w tej sprawie zrobić, O'Rourke? – warknął pułkownik, pomimo faktu, że moje nazwisko wyraźnie napisano na leżących

przed nim formularzach.

Byłem zbity z tropu. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że podczas całej tej rzezi – moi ludzie przez tydzień grzebali Australijczyków, Szkotów i Nowozelandczyków – kogokolwiek może obchodzić fakt, że jednego porucznika przydzielono do niewłaściwej dywizji.

– Nie możemy pana wysłać do Trzydziestej Czwartej – poskarżył się pułkownik. – Nie mają pańskich papierów i są zajęci odbudową stanu. A za cholere nie będziemy mogli zatrzymać pana tutaj, jeśli dowództwo nie przestanie wszczynać rabanu.

Pokiwałem głową. Wolałbym, żeby zapomniał o całej sprawie. Zacząłem już poznawać innych młodszych oficerów – zwłaszcza Malcolma i Sudbridge'a – a nawet udało mi się zaprzyjaźnić z kapitanem Brownem oraz kilkoma sierżantami.

– Proszę to podpisać – rzucił pułkownik, podsuwając mi kilka papierów na poobijanym blacie.

Zerknąłem na formularze.

– Prośba o przeniesienie do Brygady Strzelców, sir?

Wydawało się, że minął wiek od chwili, gdy widziałem, jak niedobitki mojej brygady opuszczają Albert.

Pułkownik przeniósł już swoją uwagę na ważniejsze dokumenty.

– Tak, tak – potwierdził, machając ręką od niechcienia. – Zostanie pan tutaj, dopóki pana nie przeniosą. To nie powinno potrwać dłużej niż tydzień, góra dwa. Odeślemy pana z powrotem tam, gdzie jest pana miejsce. Zgadza się, O'Rourke?

– Jestem porucznik Rooke, sir – odpowiedziałem, ale homunkulus o brązowych zębach nie zwracał już na mnie uwagi. Podpisałem papiery i wyszedłem.

Dopiero teraz, po kilku godzinach, zacząłem się zastanawiać, co to właściwie miało znaczyć. Wczoraj dostałem list od sierżanta Rowlandsa. Wspominał, że okopy na tyłach w Calonne rzeczywiście są tak wygodne, jak na to liczyli ludzie z naszej brygady. Mieli wielką ochotę doczekać tam końca wojny. Jeśli rzeczywiście dadzą mi przeniesienie...

Takie myśli to szaleństwo. Zbyt mocno wierzę w Boga Ironii, żeby liczyć na to, że coś tak prostego pozwoli mi zachować życie.

21.00, tego samego dnia

Gorąca, parna noc. Niebo nad ziemią niczyją ma kolor gotowanych cytryn. Wszyscy poruszają się ospale z powodu upału, niemalże pragnąc powrotu

ulewnych deszczy, które prześladowały nas przez całe lato spędzone nad Sommą. Nawet w ziemiankach robi się zbyt duszno i ludzie śpią całkowicie ubrani, leżąc na deskach w okopie z workami piasku zamiast poduszek. Na szczęście dla nas niemieccy snajperzy są zbyt zniechęceni, by podchodzić do swojej pracy z dużym entuzjazmem.

Podobno Australijczycy znowu próbowali zdobyć młyn, o który tak długo walczone pod Pozieres. My widzimy tylko setki rannych próbujących się dostać do punktów opatrunkowych. Niektórzy przybywają na noszach. Innym pomagają towarzysze. Jeszcze inni przychodzą sami, chwając się na nogach, i czekają, aż ktoś im pomoże albo po prostu mdleją w którymś z okopów bądź na drodze.

Po południu wysłano mnie z sierżantem Ackroydem i dwoma szeregowcami do Kiełbasianej Doliny. Kiedy wracaliśmy, zauważyłem szereg ciał Brytyjczyków leżących przy drodze. Moją uwagę przyciągnął fakt, że cała siódemka nosiła kilty. To nie było zaskoczeniem, ponieważ Królewska Brygada Szkocka z 51. Dywizji już od dwóch tygodni ponosi ciężkie straty. Ciała przykryto brezentem i do nogi każdego przytroczono żółtą kartkę oznaczającą, że ekipa pogrzebowa wróci po nie później. Zauważyłem jednak, że jedną z płacht zrzucano. Zabity mężczyzna miał rude włosy i wyglądał na oficera. Na jego kurtce w tartanową kratę siedział wielki kot i spokojnie pożerał mu twarz.

Zatrzymałem się i krzyknąłem. Zwierzę mnie zignorowało. Jeden z szeregowych cisnął kamieniem. Trafił, ale kot nawet nie uniósł wzroku. Skinąłem głową do sierżanta Ackroyda, który rozkazał dwóm szeregowcom przegnać zwierzaka.

To, co wydarzyło się później, było zaskakujące. Kot nie raczył oderwać spojrzenia od posiłku, dopóki żołnierze nie znaleźli się bardzo blisko. Wtedy, gdy krzyczeli i machali rękami, spalone bydlę rzuciło się na nich, prychnąwszy i drapiąc. Irlandzki szeregowy – chyba nazywał się O’Branagan – pochylił się, by je przepędzić i w nagrodę otrzymał krwawiące szramy na twarzy.

Zwierzak uciekł do piwnicy pobliskiej chaty, zburzonej przez ostrzał artyleryjski. Irlandczyk się zawahał. Zdjął z pleców karabin i trzymał go w pozycji obrony przed atakiem bagnetem.

– Niech to szlag – mruknął sierżant.

Obaj zesłaliśmy do piwnicy. Było oczywiste, że jeśli nie zrobimy czegoś w sprawie kota, wróci, by kontynuować ucztę.

Piwnica była labiryntem zwalonych kamieni, zwęglonych belek i mrocznych nisz. Musieliśmy pochylić się nisko, posuwając się naprzód przez te katakumby. Przez krokwie, belki i nadpalone deski podłogi przesączało się bardzo niewiele światła. Sierżant pożyczył karabin od przestraszonego szeregowego.

Zastanawiałem się nad wyciągnięciem rewolweru z kabury, ale zadowolilem się lekkim uniesieniem laski. Wszystko to robiło się śmieszne.

Nagle w najgłębszej części pochyłej piwnicy przesunęły się luźne kamienie. Sierżant i ja odwróciliśmy się. Pod piwnicą znajdowało się coś w rodzaju schowka. W owej chwili zapłaciłbym funta za latarkę. Obawiam się, że wahałem się trochę za długo nad wejściem do głębszej ciemności poniżej, przywodzącym na myśl wrota grobowca, bo sierżant odezwał się nagle:

– Pójdę pierwszy, sir. Zawsze świetnie widziałem po ciemku.

Tęgi podoficer precyzyjnie przeszedł przez wąskie przejście i przykucnął, by sprawdzić, czy uda mu się coś zobaczyć. Wyobraziłem sobie, jak przebija bagnetem makabrycznego potwora i coś w myśli o stali przedzierającej się przez miękkie futro przywołało wspomnienie wilgotnej wełny. Zrobiło mi się trochę niedobrze.

– Matko Boska – wyszeptał sierżant i zatrzymał się u szczytu sześciu kamiennych stopni prowadzących do niżej położonej części piwnicy.

Wyjąłem rewolwer, zszedłem na dół i stanąłem obok Ackroyda.

Minęła jakaś minuta, nim oczy przyzwyczyły mi się do bardzo słabego światła. Ujrzałem trzy ludzkie ciała, być może cztery. Leżały tam już od dłuższego czasu, a w piwnicy było chłodno, smród był więc tu tylko nieco silniejszy niż odór rozkładu nieustannie towarzyszący nam tak blisko frontu. Sądząc po resztkach blond włosów i kawałkach zbutwiałej tkaniny, matka zeszła tu z dwojgiem małych dzieci, by schronić się przed ostrzałem. Ale pociski ich odnalazły. One albo gaz.

To jednak nie ludzkie szczątki sprawiły, że sierżant się zatrzymał, a ja mocniej ścisnąłem rewolwer i laskę. Pięć kociąt – choć właściwie były zbyt wielkie i tłuste, by tak je nazywać – uniosło pyski, przerywając posiłek. Siedziały we wnętrzu matki i największego z dzieci. Po niemowlęciu nie zostało nic poza poźółkłymi koronkami i białymi kośćmi.

Sierżant krzyknął i rzucił się naprzód, unosząc karabin z bagnetem. Koty się rozpierzchły – trupy były opróżnione od tyłu w takim samym stopniu jak od przodu – i nim zdążyliśmy załatwić któregoś z nich, skryły się w rumowisku poczerniałych desek, gdzie nie mogliśmy za nimi podążyć.

W tej samej chwili uniosłem wzrok ku płataninie belek na górze i zobaczyłem parę większych, żółtych ślepi, przyglądających się nam z zainteresowaniem, które musiałem uznać za demoniczne. Wszystkie koty rozdarły się przeraźliwie – tak przynajmniej teraz sobie powtarzam. Hałas nasilał się z każdą chwilą, aż wreszcie mogliśmy z sierżantem tylko kręcić głowami, nie potrafiąc uwierzyć w jego intensywność.

Słyszałem już przedtem ten chór. Na ziemi niczyjej. I sam byłem jego częścią.

– Chodźmy stąd – rzekłem do sierżanta.

Wyszliśmy na powierzchnię i pilnowaliśmy ruin do chwili, gdy O’Branagan wrócił z dwoma workami ciężkich bomb Millsa, trzema butelkami po winie oraz kanistrem szkopskiej benzyny. Wszystko to rozkazałem mu wyszabrować albo ukraść.

Bomby Millsa wzbiły wielki tuman pyłu i odłamków skał. We dwóch z sierżantem dopilnowaliśmy, by wrzucono co najmniej jedną w każdą szczelinę, jaką zdołaliśmy znaleźć. O’Branagan wypełnił butelki, wykorzystaliśmy strzępki starej koszuli z plecaka drugiego szeregowego jako lonty, a potem zapaliliśmy wszystkie moją polową zapalniczką. Wybuchy wyglądały imponująco, a pożar jeszcze bardziej. Zauważyłem, że sierżant nadal trzymał w rękach karabin szeregowca i uważnie obserwował płonące ruiny, aż już wcześniej osmalone belki zwały się do tłącego się dołu.

Nic nie wyszło z chaty ani przed pożarem, ani po nim.

Gdy skończyliśmy robotę, w stronę frontu maszerował pluton z 6. Brygady Wiktorii. Zauważyłem, że Australijczycy dziwnie na nas patrzyli.

Przed kilkoma minutami przejeżdżałem rowerem obok tego miejsca. Miałem przekazać wiadomość do dowództwa. Choć zapadał już zmierzch, zauważyłem, że z ruin nadal buchają kłęby dymu. Brezent zakrywający ciało Szkota leżał w tym samym miejscu, w którym go zostawiliśmy, odniosłem jednak wrażenie, że nad twarzą jest nieco uniesiony i porusza się lekko.

Powiedziałem sobie, że to tylko złudzenie optyczne, i popedałowałem dalej.

Wtorek, 1 sierpnia, godzina 2.30

Piszę te słowa na ławce strzeleckiej obok ziemianki kapitana Browna. Ostrzał jest tak intensywny, że widzę stronę notesu oraz ruchy ołówka.

Uświadomiłem sobie, że Śmierć jest zazdrosną uwodzicielką.

Myślę o kobietach czekających na nas w domu – matkach, siostrach, kochankach, żonach – o tym, że mówią o nas tak, jakbyśmy wszyscy byli ich własnością – ci, którzy już nie żyją, i ci, którzy są skazani na śmierć. O tym, że uważają, iż mogą zachować pamięć o nas jak popioły i kości w urnie.

To miejsce pożera nawet naszą pamięć.

*Gdy ujrzysz w snach trupów miliony bezgłośnie
Pułki bladych zjaw, co w dal maszerują...
Gdybyś zobaczył nagle tym tak gęstym tłumie
Twarz, którą kiedyś darzyłeś miłością.*

*To złuda, żaden z nich tego nie rozumie.
Śmierć, największy z panów, uczynił nas swą własnością.
[10]*

{Od redakcji: W ostatniej linijce Rooke wykreślił słowa „największa z pań” i „uczyniła”, zastępując je męską wersją, znaną z opublikowanego wiersza}.

Boże Wszechmogący, kocham życie. Nawet w tym ohydny miejscu, gdzie drzewa są tylko strzaskanymi ogryzkami, a ziemia nie rodzi nic oprócz lejów, nawet tutaj widoki, zapachy, dźwięki i poruszenia są lepsze od niezmiennej pustki Wielkiej Ciemności.

Bardzo kocham naturę, muzykę, wysiłek fizyczny, polowanie na lisa, wiosenne poranki, jesienne wieczory... wszystko to, co przywołuję z pamięci, gdy myślę o życiu... kobiety kocham najbardziej.

Miałem zaledwie piętnaście lat, gdy wybrałem się z kuzynką – była moją rówieśniczką – na plantację chmielu, gdzie niezwykle szereg wysokich suszarni z dachami białymi jak lukier, jakim pan Leeds wypisywał zamówione słowa na przygotowanych przez siebie tortach, górował nad budynkami gospodarczymi niczym wyimaginowane Alpy nad równie fikcyjnymi domkami górskimi.

Miała na imię Evelyn i była moją kuzynką drugiego stopnia. Nie mieliśmy na myśli nic zdroźnego, ścieżka była mało uczęszczana, ale mogliśmy nią szybciej wrócić do domu, usytuowanego powyżej Weald. Pamiętam, że był upał, podobny do tych, jakie mamy teraz nad Sommą, lecz zarazem zupełnie od nich różny. Powietrze było całkowicie nieruchome, lecz pełne życia dzięki liściom, owadom skaczącym w wysokiej trawie, ptakom w wysokich partiach drzew oraz wiewiórkom i innym dzikim stworzeniom biegającym w żywopłotach i gdzieś za nimi.

Evelyn przyniosła ze sobą dwa ciastka i usiedliśmy, żeby je zjeść, nad strumieniem, w miejscu niemal całkowicie zagubionym w chaszczach. Kiedy poprzednim razem widziałem się z kuzynką, miała na sobie robioną na drutach sukienkę kimono – szalenie wówczas modny strój dla dzieci. Tym razem była ubrana jak młodzięcza wersja Gibson Girl – długa spódniczka, koszula w jasnoniebieskie pasy, z długimi mankietami tej samej barwy, cytrynowa apaszka oraz słomkowy kanotier. Włosy miała spięte u podstawy szyi, rzęsy długie, bluzkę ściągniętą w wąskiej talii, a policzki różowe. Mówiąc krótko, sprawiała wrażenie zupełnej dorosłej.

Nie przypominam sobie dokładnie, jak to się zaczęło owego dnia. To była gra. Późniejszy bieg wydarzeń pamiętam jednak doskonale. Jej bluzka miała mniej guzików niż noszone przez większość dam, ale i tak za dużo na moją cierpliwość

i niezgrabne palce. W pewnej chwili po prostu spadła. Pod spodem Evelyn miała cienkie halki, nie wydające żadnego dźwięku, kiedy chodziła. Cienka koszula nie była zapięta, pomijając tylko troki, związane poniżej młodzieńczych piersi. Słońce i cień tworzyły na jej skórze atrakcyjne wzory.

Pamiętam, jak delikatne były nasze pierwsze pocałunki, z początku krótkie, a potem coraz bardziej namiętne. Majtki okrywały część ud, ale gdy już pokonałem elastyczną przeszkodę, były luźne i nie stawiały oporu poczynaniom mojej ciekawskiej dłoni. Z jakiegoś cudownego, niewytłumaczalnego powodu Evelyn również się nie opierała.

Owa tajemnica – ciepła, lekko wilgotna i wilgotniejąca coraz bardziej w miarę postępów mojej eksploracji, szokująca rzeczywistość puszystych włosów, ta niewiarygodna, zapierająca dech nieobecność – owa tajemnica to część tego, o czym myślałem, gdy w zeszłym miesiącu wędrowałem przez ziemię niczyją, mrużąc oczy i starając się uniknąć kul.

Pani przyszła do mnie dziś w nocy, kiedy zasnąłem. Porucznicy Malcolm i Sudbridge spali niespełna trzy stopy ode mnie, a ich chrapanie wypełniało ziemiankę.

Poczułem dotyk jej piersi, nim jeszcze obudziłem się w pełni. Przyznaję, że poderwałem się dość gwałtownie, myśląc: szczur. Potem rozpoznałem jej zapach oraz bliskość policzka. Na zewnątrz lało, a w ziemiance było chłodno, ale czułem jej ciepło, gdy tylko mnie dotknęła.

Nie była zjawą. Słabe, migotliwe światło przedostające się do środka przez lekko odsuniętą zasłonę z tkaniny workowej padało na jej rzęsy. Czułem ciężar jej prawej piersi na swym nagim ramieniu. Jej oddech był słodki.

Pocałowała mnie. Lewą dłoń wsunęła pod moją koszulę między rozpiętymi guzikami. Przypomniałem sobie Evelyn i wszystkie dziewczyny, które poznałem później. Pomijając kilka przypadków, gdy miałem do czynienia z profesjonalistkami, to ja byłem uwodzicielem. To moje palce pierwsze wędrowały pod bawełnę, muślin albo wełnę.

Ale nie tej nocy. Uśmiechała się, wsuwając długie, smukłe palce pod moją szorstką koszulę i dotykając troków piżamy. Z pewnością wyczuwała moje podniecenie. Miałem wrażenie, że uśmiechnęła się znowu, gdy pochyliła twarz nad moją szyją i pocałowała mnie w miejsce, gdzie bił puls.

Kiedy się cofnęła, podążyłem za nią, zsuwając się z pryczy tak cicho, jak to tylko możliwe. Z jakiegoś powodu sięgnąłem pod pryczę, znalazłem dziennik w miejscu, gdzie go zostawiłem, i zabrałem go ze sobą, jakby stanowił dowód więzi, jaka połączyła mnie z Panią.

Malcolm chrapał na dolnej pryczy. Jego twarz dzieliło zaledwie kilka cali od sukni Pani. Zdziwiłem się, że nie obudziła go jej woń. Sudbridge spał na

mniej szej pryczy po drugiej stronie ziemianki, zwrócony twarzą do wilgotnej ściany. Nawet nie drgnął.

Pani rozsunęła zasłonę i weszła na stopnie z desek. Nie była duchem. Tkanina poruszała się pod jej dotykiem, podobnie jak ja. W pomarańczowym blasku artyleryjskiego ostrzału rzucała cień na deski. Poszedłem za nią i oboje wyszliśmy na dwór.

W okopie stała się cieniem, a nawet czymś mniej niż cień. Byłem zajęty wciąganiem butów i gdy uniosłem wzrok, zobaczyłem, że stopiła się z innymi cieniami w miejscu, gdzie okop zakręcał nagle w prawo, by, jeśli pocisk spadnie tam, szrapnele nie dotarły tutaj.

– Zaczekaj! – zawołałem.

Nagle usłyszałem odległy dźwięk strzelającego *Granatenwerfer* i rzuciłem się na ziemię w tej samej chwili, gdy kilka „ananasów” eksplodowało tuż nad okopami, siejąc na wszystkie strony gorącymi szrapnelami. Gdy ruszyłem w stronę cieni, przez które przed chwilą przeszła Pani, usłyszałem krzyk jakiegoś mężczyzny. Z pewnością wyglądałem niedorzecznie w bawełnianych spodniach od piżamy i koszuli, a do tego z butami na nogach. Przyciskałem dziennik do piersi niczym talizman. Zapomniałem laski i trochę utykałem.

Jednocześnie usłyszałem dźwięk tysięcy razy bardziej przerażający niż odgłos *Granatenwerfer*. Pociski z brytyjskich osiemnastofuntówek spadały za blisko, prosto na nasze okopy, z charakterystycznym świstem i powiewem, który oznaczał, że zbliża się wielka masa metalu i materiałów wybuchowych. Znowu przywarłem do ziemi, tym razem ani o sekundę za wcześnie. Hałas mnie ogłuszył. Grunt uniósł się nagle i uderzył mnie w pierś tak mocno, że przez chwilę myślałem, że szkopy zrobiły podkop i umieściły pod nami wielką minę. Dzięki zdumiewającej zdolności błyskawicznego tworzenia obrazów w chwili zagrożenia udało mi się sobie wyobrazić, że cała sieć okopów na tym odcinku frontu wzbija się raptownie sto metrów górę, jak wydarzyło się to rankiem pierwszego lipca.

Z góry sypało się błoto i kawałki drewna. Żołnierze przeklinali. Wygrzebałem się z błota i ruszyłem w stronę ziemianki.

Trafił w nią pocisk kalibru dziewięć cali, wystrzelony z osiemnastofuntówki. Sierżant Mack i garstka innych ludzi zaczęli już kopać, ale wystarczyło jedno spojrzenie na straszliwie zapadnięty krater, żeby wszystko zrozumieć. Mimo to sierżant i jego ludzie nie przestawali się trudzić, aż wreszcie dotarli do resztek naszych prycz oraz stołu, a także kilku fragmentów ciał Malcolma i Sudbridge’a. Wtedy przerwali pracę, ograniczając się do wrzucenia odrobiny błota z powrotem do dołu. To nie był pogrzeb, ale do nadejścia ranka musi wystarczyć.

Kapitan Brown zachował się porządnie. Nalał mi solidną porcję whisky, pożyczył mi całe wyposażenie, łącznie z bluzą i spodniami od munduru, do chwili, aż wydadzą mi nowe, a także nalegał, żebym położył się spać w jego ziemiance, w łóżku dla ordynansa. Byłem mu wdzięczny, ale wolałem posiedzieć na zewnątrz, dopóki nie wzejdzie słońce.

W powietrzu unosi się lekki zapach fiołków.

Piątek, 4 sierpnia, godzina 11.00

Ostrzał jest niemal nie do zniesienia. Na przedmieściach Guillemont toczy się bitwa. Naszej 14. Dywizji na razie nie zaproszono do wzięcia udziału – dzięki za to temu bogu, który się do tego przyczynił – ale ostrzał artyleryjski dociera również do nas. Walki trwają bez przerwy już od czterech dni i wszyscy są na skraju załamania nerwowego. W wolnym czasie chowamy się w ziemiankach, a podczas służby wciskamy się w kredową glebę i worki z piaskiem w okopach.

To ciekawe, jak słuch uczy się rozpoznawać po odgłosie przyczynę nadlatującej śmierci. Pomimo nieustannej kakofonii słyszymy wystrzały pojedynczych niemieckich dział. Te małokalibrowe wydają trzask, kojarzący się z dobrze wykonanym uderzeniem w piłkę golfową. Ich pociski przybywają z dźwiękiem przypominającym wycie banshee. Średniokalibrowe działa brzmią, jakby ktoś rozdzierał wzdłuż egzemplarz „Timesa”, a odgłos ich zbliżających się pocisków przypomina łoskot ciężko wyładowanych wozów, toczących się w dół ze zgrzytem hamulców. Strzały z wielkokalibrowych dział czuje się głównie w bębenkach i zatokach, jakby ktoś podszedł od tyłu i zniemacka uderzył nas w głowę, a ich pociski przecinają niebo z gwizdem, niczym zbliżający się z oddali pociąg, aż wreszcie lokomotywa wpada z hukiem do naszego salonu.

W porównaniu z tym wszystkim moździerz wydają się dziecinną zabawką, ale chyba to właśnie ich boimy się najbardziej. Jest ich cholernie dużo i strzelają bardzo szybko. Jeden moździerz może cisnąć w naszą stronę dwadzieścia dwa pociski na minutę, aż osiem mknie ku nam jednocześnie, a ich wybuchy – choć niewielkie w porównaniu z potężnymi wstrząsami wywoływanymi przez pociski kalibru 5.9 albo cięższe – są tak częste i tak celne, że mamy wrażenie, iż prześladowuje nas złośliwa inteligencja, różniąca się od obojętnej złośliwości ciężkiej artylerii.

Wczoraj pocisk wystrzelony z niemieckiego moździerza spadł na nasze pozycje, gdy rozmawiałem z trzema żołnierzami na stanowisku obserwacyjnym. Wszyscy pochyliliśmy się, szukając osłony. Dźwięk świadczył, że pocisk zmierza w naszą stronę i nie mamy szans ucieczki. Te cholerstwa, opadając,

wydają odgłos przypominający szczekanie. Brzmiało to tak, jakby wściekły pies rzucił się na nas prosto z nieba.

Pocisk rzeczywiście był wymierzony w nas. Spadł zaledwie pięć jardów od miejsca, w którym przycupnęliśmy. Był wielkości dwugalonowej beczułki na ropę. Ciekła z niego żółta pasta pachnąca jak marcepan. To był niewypał. Gdyby eksplodował, jak należy, wstrząs byłby wyczuwalny w promieniu mili, a z naszej grupki nie zostałoby nic poza strzępami tkaniny i skóry z butów na dnie dymiącego krateru wielkości salonu mojej matki w hrabstwie Kent.

Przez ostatnie cztery dni Niemcy ostrzeliwali nasze pozycje moździerzowymi pociskami spadającymi na ziemię co dziesięć minut w odległości trzech jardów od siebie. Przed każdym strzałem słyszeliśmy gwizdek ich ogniomistrza. W dodatku ich haubice dniem i nocą wybijały wzdłuż naszych linii krateru wielkości basenów. To zaczyna być męczące.

Wszyscy wycofujemy się w siebie, w taki czy inny sposób. Ja siedzę i wlepiam wzrok w jakąś książkę, którą ściskam w zaciśniętych do białości palcach. Dzisiaj jest to nowy tomik wierszy autora, którym tak się fascynowaliśmy z Siegfriedem. Nazywa się Eliot. Nie przeczytałem ani jednego słowa, nie przewróciłem ani jednej strony. Niektórzy przeklinają bez przerwy, dodając do niewiarygodnego hałasu litanie swego strachu. Inni drżą – jedni tylko lekko, a drudzy niemal niepowstrzymanie. Nikt jednak nie myśli o nich źle z tego powodu.

Podczas tak intensywnego ostrzału wszystko pokrywa warstwa kurzu, rozbitej na pył kredy oraz kordytu. Kiedy się przemieszczamy, widzimy białe oczy towarzyszy spoglądające na nas z poczerwiałych twarzy. Oficerowie stoją wokół stołu, stukając w uświnione mapy ciemnymi palcami z czarnymi obwódkami za paznokciami. Jesteśmy tak brudni, że zdumiewa mnie, że wszy nadal chcą zwać nas swym domem.

Wczoraj o zmierzchu, podczas krótkiej przerwy w kanonadzie, słyszałem, jak jakiś Cockney stojący na ławce strzeleckiej śpiewał piosenkę. Była całkiem ładna.

*Świata w jeden dzień nie stworzono,
A Ewa autobusem nie przybyła,
Większą część do worka z piaskiem wsadzono,
a reszta się do nas przykleiła.*

[11]

Każdej nocy czekam na Panią, ale nie widziałem jej od chwili, gdy Malcolma i Sudbridge'a rozerwało na strzępy. Kapitan Brown postąpił bardzo uprzejmie,

dzieląc się ze mną ziemianką, ale jutro przeniosą mnie na mniej elegancką kwaterę. Będę ją dzielił z dwoma innymi oficerami, którzy właśnie do nas dotarli. Wyglądają jak dzieci.

Nadal nic nie wiem o przeniesieniu do 13. Batalionu. Zaczynam poznawać ludzi z tej Brygady Strzelców i przyzwyczajam się do myśli, że jest mi przeznaczone być tutaj. Pojedynczo ci ludzie mogą się wydawać ograniczeni bądź pospolici, ale ich wspólny wysiłek i dobry humor, jaki okazują w zaistniałych warunkach, zrodził we mnie coś w rodzaju miłości do nich. Każda śmierć jest zniewagą. Myślę, że wkrótce mogą ich wysłać do ataku, i to marnotrawstwo uraża mnie osobiście.

Gdy patrzę, jak chłopaki z mojego plutonu jedzą swą porcję konserwy wołowej podczas nieustającego ostrzału, z jakiegoś powodu przychodzi mi na myśl Marvell:

*Ród mej miłości tak jest rzadki,
Jak jej intencja jest zawiła:
Ojcem jej Rozpacz; co do matki –
Czysta Niemożność ją zrodziła ¹².*
[12]

Do ataku ruszyła 55. Dywizja, by podjąć kolejną próbę zdobycia Guillemont. Podobno w tej samej chwili zaatakowali Francuzi na prawo od niej. Miło się dowiedzieć, że jeszcze uczestniczą w wojnie.

Kapitan Brown wrócił niedawno z dowództwa z wiadomością, że Francuzów powstrzymał ogień flankowy, a naszych chłopaków z Pięćdziesiątej Piątej rozerwał na strzępy niemiecki kontrostrzał. Mówi, że niektórzy z nich dotarli do szkopskich okopów i zdobyli ich część, ale potem wszystkich co do jednego załatwił ogień karabinów maszynowych z farmy Waterlot, stacji Guillemont oraz okopów usytuowanych przed wioską. Przez całe popołudnie niedobitki Pięćdziesiątej Piątej oraz jednostek wsparcia, takich jak 5. Batalion Pułku Królewskiego z Liverpool, wlokły się przez naszą drugą linię okopów, próbując odnaleźć swych oficerów albo dotrzeć do punktów opatrunkowych. Pomagamy im na miarę swych możliwości.

Przez cały dzień nad wzgórzami i polami unosiła się gęsta mgła, mieszająca się z dymem i pyłem po przerażającym bombardowaniu artyleryjskim. Brown mówi, że dwa nasze bataliony wybiły się nawzajem w tej mgle podczas zamieszania, jakie zapanowało po południu. Wszyscy żołnierze w 1. Brygadzie Strzelców spodziewali się, że jutro ich czeka jatka, doszły nas jednak słuchy, że

mają złożyć w ofierze Bataliony Rezerwy. To straszne czuć ulgę dlatego, że inni muszą umrzeć.

Środa, 9 sierpnia, północ

Dziś w nocy przyszła.

Po południu przeprowadziłem inspekcję stóp. Nasz OM {*Od redakcji: oficer medyczny*} zginął wczoraj, zabity przez snajpera, i obowiązek poddania oględzinom bosych, śmierzących stóp kilkudziesięciu mężczyzn sprawił, że poczułem się trochę jak Chrystus. Ponieważ ostrzał jest obecnie nieco łagodniejszy, zostałem w wysuniętych do przodu okopach po kontroli posterunków o dziewiątej wieczorem. Noc była bezchmurna i dla odmiany chłodna. Gwiazdy nad okopem świeciły jasno. Na pewno zasnąłem, siedząc w niszy między workami z piaskiem i paląc fajkę.

Obudziły mnie woń fiołków i dotyk jej dłoni. Znajdowaliśmy się na tym samym patio, na którym przedtem piła ze mną herbatę. Był zmierzch i niebo miało fioletową barwę. W rezydencji za nami paliły się świece umieszczone w szklanych osłonach wokół wyłożonego kamiennymi płytami tarasu. Słyszałem ciche szczekanie dobiegające z psiarni za budynkiem gospodarczym. Pani miała na sobie jasną, plisowaną suknię wieczorową z głębokim dekoltem i rękawami sięgającymi zaledwie do łokci. Spódnica była obcisła w biodrach i miała wysoki stan oraz subtelny, ozdobiony klejnotami gorset. Głowę zdobiły wyłącznie małe, wysadzone drogimi klejnotami grzebienie, podtrzymujące włosy z tyłu. Smukła szyja lśniła w blasku świec.

Zaprowadziła mnie do jadalni, gdzie czekał na nas stół zastawiony dla dwóch osób. Porcelana i srebra trochę przypominały te, które widziałem u ciotki, ale serwetki miały stylowy, jasnoniebieski kolor. Główne danie już przyniesiono – kura po kornwalijsku w szklanym naczyniu, z sałatką z rukwi wodnej. Na marmurowym kominku palił się ogień. To wydawało się zrozumiałe, w powietrzu czuło się już bowiem jesienny chłód.

Wzięliśmy się pod rękę i zaprowadziłem ją na miejsce. Jej spódnica zaszeleściła lekko, gdy odsunąłem dla niej krzesło. Usiadłem i uszczypnąłem się w luźną skórę na grzbiecie dłoni. Poczułem ból, ale ten uwiarygadniający wszystko szczegół przywołał mi na twarz tylko ironiczny grymas.

– Sądysz, że to sen? – zapytała z lekkim uśmiechem. Jej głos był tak cichy, jak sobie wyobrażałem, ale nie potrafiłbym przewidzieć wpływu, jaki na mnie wywarł. To było tak, jakby jej palce znowu dotknęły mojej skóry.

– Zapomniałem, że potrafisz mówić – wyznałem głupio.

Jej uśmiech stał się wyraźniejszy.

– Pewnie, że potrafię. Chciałbyś, żebym była niema?

– Z pewnością nie – wyjąkałem. – Po prostu...

– Nie jesteś pewien, jak wyglądają zasady – dokończyła cicho, nalewając nam wina z butelki stojącej obok.

– A są jakieś zasady? – zapytałem.

– Nie ma. Są tylko możliwości – odparła głosem bliskim szeptu. Ogień potrzaskiwał na kominku, słyszałem też szum rodzącego się wiatru w okolicznych drzewach. – Jesteś głodny?

Spojrzałem na kure, na blask świec odbijający się w srebrach i na perfekcyjnie zieloną sałatkę. Od miesiący nie jadłem takiego posiłku.

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– To świetnie – ucieszyła się. W jej głosie pojawiła się wesoła nuta.

Pani wstała. Ująłem jej chłodne palce, a ona wyprowadziła mnie z jadalni. Przeszliśmy przez pełen ozdób salon i korytarz, a potem zeszliśmy szerokimi schodami na korytarz obwieszony mrocznymi portretami i dotarliśmy do pomieszczenia, które z pewnością było jej sypialnią. Tam również palił się ogień na kominku, a jego migotliwy blask padał na koronki łoża z baldachimem. Szerokie drzwi prowadziły na balkon. Nad wierzchołkami drzew świeciły gwiazdy.

Odwróciła się ku mnie i uniosła wzrok.

– Pocałuj mnie, proszę.

Czując, że powinienem przedtem nauczyć się tekstu, a zamiast ognia na kominku wskazane byłyby światła rampy, podszedłem bliżej i spełniłem jej życzenie. Wszelkie myśli o teatrze zniknęły natychmiast. Jej usta były ciepłe i wilgotne, a gdy rozchyliły się nieco pod dotykiem moich, poczułem przyjemne zawroty głowy, jakby podłoga nagle przestała być w pełni realna. Poczułem, że ręka Pani się przesunęła, a jej perfekcyjne palce dotknęły mojego karku tuż nad kołnierzykiem.

Gdy pocałunek się skończył, mogłem tylko stać nieruchomo, porażony porywem namiętności, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem. W pewnej chwili objąłem ją. Czułem ciepło jej pleców, nagich pod koronką bluzki. Zdjęła dłoń z mojego karku, sięgnęła za siebie i rozpuściła włosy.

– Chodź – wyszeptała i podeszła do łoża. Jej drobne dłonie otoczyły moją wielką rękę.

Wahałem się tylko przez ułamek sekundy. Odwróciła się jednak, nadal trzymając moją dłoń i uniosła lekko jedną brew w wyrazie zdziwienia.

– Nawet jeśli jesteś Śmiercią, może się okazać, że było warto – oznajmiłem ochryplym głosem.

Jej uśmiech był ledwie widoczny pośród słabego blasku i cieni.

– Myślisz, że jestem Śmiercią? Czemu nie twoją muzą? Czemu nie Mnemozyną?

– Możesz być Śmiercią i jednocześnie moją muzą – odparłem.

Nastąpiła chwila ciszy, męczonej jedynie potrzaskiwaniem płonących na kominku szczap i powracającym szumem wiatru w koronach drzew. Uniosła palec i nakreśliła skomplikowany wzór na szerokim grzbiecie mojej dłoni.

– Czy to ma znaczenie? – zapytała.

Nie odpowiedziałem. Gdy znowu ruszyła w stronę łoża, podążyłem za nią. Zatrzymała się i raz jeszcze uniosła ku mnie wzrok. Szum wiatru między drzewami przeszedł w gwizd pociągu, a gwizd pociągu w łoskot zbliżającej się lokomotywy. Nagle stoczyłem się z desek na dno okopu. Pocisk z moździerza wybuchł niespełna dziesięć stóp od miejsca, w którym przed chwilą spałem. Pięciu mężczyzn, z którymi rozmawiałem przed niespełna dwudziestoma minutami, zostało rozerwanych na kawałki. Gorący szrapnel uderzył z grzechotem w mój hełm. Czerwone strzępy udekorowały worki z piaskiem w mojej niszy niczym ochłapy rzucone psom.

Sobota, 12 sierpnia, godzina 18.30

Dziś w południe jechałem na rowerze wąwozem drogowym między Pozieres a Albert. Wiozłem wiadomość od pułkownika do dowództwa i w pewnej chwili zatrzymałem się, by popatrzeć na coś, co zapowiadało się na komiczny incydent.

Jeden z naszych balonów obserwacyjnych wisiał w powietrzu niczym gruba kiełbasa, gdy nagle pojawił się nieprzyjacielski jednopłatowiec. Zastanawiałem się, czy nie schować się w jakimś pobliskim leju, ale terkocząca monotonnie jak brzęcząca owad maszyna nie sprawiała wrażenia zainteresowanej rzucaniem bomb. Skierowała się prosto ku balonowi. Z reguły to zabawne obserwować naszych chłopaków w balonach, gdy zbliża się niemiecki samolot. Nie czekają na atak, lecz natychmiast ratują się ucieczką na spadochronach. Nie mam do nich o to pretensji. Balony eksplodują tak gwałtownie, że wątpię, bym sam zwlekał do chwili, gdy zobaczę ogień nieprzyjacielskich karabinów maszynowych.

Obaj obserwatorzy wyskoczyli, gdy tylko niemiecki samolot zwrócił się w ich stronę. Skinąłem z satysfakcją głową, widząc że spadochrony się otworzyły. Samolot przeleciał obok balonu tylko raz, jego karabiny maszynowe odezwały się na niespełna trzy sekundy, po czym balon zachował się tak, jak wszystkie wypełnione wodorem cele, gdy uderzy w nie gorący ołów – eksplodował

w ogromnej chmurze płonącego gazu. Zawieszony pod nim wiklinowy kosz zapalił się natychmiast.

Niestety, prawie nie było wiatru, więc zamiast odpłynąć w stronę Albert albo ku tyłom, obserwatorzy spadali niemal pionowo w dół, zataczając powolne spirale, jak nasiona strzepnięte z dmuchawca. Płonąca masa dopadła pierwszego z obserwatorów, gdy był jeszcze jakieś dwieście stóp nad ziemią. Wyraźnie pamiętam jego krzyk, gdy płomienie ogarnęły najpierw jego spadochron, a potem mundur.

Drugi mężczyzna szarpał się rozpaczliwie na linkach łączących go z jedwabną czaszą. Przez moment byłem pewien, że uda mu się uniknąć losu towarzysza. Spadająca masa wikliny, stalowych kabli, palącej się gumy i płonącego gazu minęła go o pięć jardów – wystarczająco blisko, by go osmalić, ale za daleko by podpalić spadochron albo pociągnąć obserwatora w dół. Potem jednak ujrzałem przywodzącą na myśl meduzę masę sznurów i kabli, miotających się na wszystkie strony na kształt wici jakiegoś umierającego stworzenia. Wyłącznie pech sprawił, że jeden ze stalowych kabli uderzył w linki spadochronu, szarpnął gwałtownie w bok nieszczęsnym obserwatorem i pociągnął go za sobą w dół.

Czasza nie złożyła się całkowicie i żołnierz mógłby ocaleć, gdyby lina nie wciągnęła go w płonące szczątki na dole. Razem z kilkoma innymi przejeżdżającymi akurat wtedy posłańcami popędziłem do granicy gorejącego stosu, ale nie było szans, byśmy mogli wejść w ogień i pomóc nieszczęśnikowi. Średnica ogarniętego pożarem obszaru wynosiła chyba ze trzydzieści jardów. Żołnierz zdołał wstać i przebiec kilka jardów, ale potem upadł, by po chwili znowu się podnieść. Powtarzało się to cztery albo pięć razy, nim w końcu już się nie podźwignął. Podejrzewam, że jego krzyki słyszano w okopach odległych o trzy mile.

Dostarczyłem wiadomość do dowództwa, gdzie spotkałem się z gościem, którego znałem z college'u. Napiliśmy się z nim whisky z wodą sodową, wsiadłem na rower i wróciłem na front.

Poniedziałek, 14 sierpnia, godzina 19.45

Dzisiaj spotkała nas cała seria złych omenów.

Po dwóch tygodniach słonecznej, upalnej pogody, typowej dla sierpnia, z nieba lunął dziś deszcz. Jakby w odpowiedzi na kontrostrzał gromów i błyskawic wielkie działa po obu stronach osłabiły aktywność i tylko rzadkie

salwy przypominały nam albo Niemcom, że wróg nie zniknął. To nie deszcz, tylko potop.

Po jakiejś godzinie okopy zalewała już woda. Po trzech godzinach worki z piaskiem zaczęły się ześlizgiwać, a cała ściana okopu przybrała konsystencję bardzo wilgotnych fusów z kawy. Leje po pociskach przerodziły się w jeziora, a pokrywająca je śmiercionośna rzeź z zestalonych gazów spływała z nich rzeczułkami łączącymi się w strumienie i dopływy. Wszędzie widać odsłonięte przez deszcz ciała, zielone dłonie i pozlepiane włosy wyłaniające się z błota, jakby zabrzmiała trąba oznajmiająca Drugie Przyjście.

Kapitan Brown i sierżant Ackroyd mówią, że rzeka Ancre wystąpiła z brzegów i wypełniła całą dolinę za nami. Leżąca z przodu wioska Thiepval jest całkowicie zalana, podobnie jak niemieckie okopy. Wiemy o tym, ponieważ chłopaki wracające z walk w lesie Thiepval mówią, że woda wypompowywana przez Niemców z ich wygodnych okopów zalewa nasze niepewne pozycje pośród roztrzaskanych przez pociski drzew. Podobno Australijczycy zdobyli młyn, który tak długo im się opierał, ale australijsko-nowozelandzkie oddziały są tak wyczerpane, że ci, którzy przeżyli, mogą tylko leżeć w błocie razem z poległymi oraz konającymi, i starać się przetrwać potop.

Drugi zły omen odnotowano wczesnym rankiem. Przeniesiono nas na tyły celem „wypoczynku i przebrojenia”. W południe wymaszerowaliśmy do tymczasowego obozu położonego między Pozieres a Albert i suszyliśmy się w namiotach, nie w przeciekających ziemiankach. Można by pomyśleć, że to dobra wiadomość, ale biorąc pod uwagę fakt, że dotąd nie uczestniczyliśmy w żadnych walkach, „wypoczynek i przebrojenie” należało uznać za zapowiedź tego, że wkrótce otrzymamy szansę zdobycia celów, które opierały się tak wielu naszym zabitym i gnijącym poprzednikom.

Ostatnim złym omenem był posiłek o czwartej. Nasi ludzie dostali gorący gulasz, świeży chleb, gorącą, a nie letnią herbatę oraz pomarańcze i kasztany. Takie smakołyki podają nam tylko wtedy, gdy tuczą nas na rzeź. Zdecydowanie wolałbym od tego ostatniego posiłku codzienną porcję konserwy wołowej z fasolą, nawet z nieodłącznymi rojami much.

Pani nie przyszła do mnie, odkąd ostatnio pisałem w tym dzienniku. Myślę, że dzisiejszej nocy mnie odwiedzi, mimo że dzielę namiot z dwoma młodymi porucznikami – Julianem i Raddisonem, na którego wszyscy mówią Raddy. Deszcz tłucze w brezent z siłą pięści. Wszystko jest mokre. Jedyne, co nam pozostało, to zjeść znakomity posiłek, zapalić świeżo wydane papierosy i wczłgać się pod nowe, wolne od wszy koce.

Wtorek, 15 sierpnia, godzina 13.20

Nie zjawiała się ostatniej nocy ani dziś rano, kiedy byłem sam. Pragnienie jej wizyty może się wydawać szaleństwem, ale jej pragnę. I teraz wiem dlaczego.

Ogłoszono to oficjalnie. Kapitan Brown wrócił z dowództwa z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Ruszamy do ataku w piątek osiemnastego.

Brown starał się okazywać optymizm, tłumaczył młodym oficerom, że to 33. Dywizji przypadnie najtrudniejsze zadanie zdobycia terenów między Lasem Delville a Wielkim Lasem, a także samego Wielkiego Lasu. Nasza Brygada będzie musiała tylko zaatakować na prawej flance Trzydziestej Trzeciej i na lewo od Lasu Delville, a także zdobyć odcinek nieprzyjacielskiej linii obrony znany jako Okop Sadowy. Nasze wysiłki będą częścią wielkiej ofensywy, prowadzonej na odcinku frontu od Guillemont aż po Wzgórza Thiepval. Kapitan Brown mówi, że spece w dowództwie nie wyobrażają sobie, byśmy tym razem nie zdołali zdobyć Wielkiego Lasu i Lasu Delville.

Piątek 18 sierpnia będzie pięćdziesiątym dniem tej bitwy.

Niedawno, gdy byłem sam w namiocie, wyjąłem rewolwer, upewniłem się, że jest naładowany, i poważnie zastanowiłem się nad tym, czy się zastrzelić. To musiałby być celny strzał, ponieważ wszelkie samookaleczenia są karane śmiercią.

Parsknąłem śmiechem na tę myśl.

Środa, 16 sierpnia, godzina 14.30

Późnym rankiem generał Shute – dowódca całej naszej Brygady – odwiedził nas osobiście w towarzystwie nadętego pułkownika i kilku oficerów sztabowych z czerwonymi patkami. Zarządzono zbiórkę w deszczu. Trzy kompanie ustawiły się po trzech bokach otwartego placu. Rozkazano nam przybrać postawę swobodną i tak też zrobiliśmy. Kilka tysięcy ludzi w ociekających deszczem mundurach wodoodpornych i mokrych czapkach koloru khaki (tak daleko od frontu nie nosiliśmy hełmów). Wszyscy wlepiali spojrzenia w generała Shute'a, który siedział na wielkim karym koniu w samym środku placu. Wierzchowiec kręcił się niespokojnie i trzeba było ściągnąć mu wodze. Generał zrobił to machinalnie.

– No więc, myślę że... tak... hmm... najwyraźniej jest moim obowiązkiem... to znaczy wszyscy powinniście wiedzieć, że atak na nieprzyjaciela... no cóż, nastąpi wkrótce, że tak powiem. – Generał odchrząknął, ściągnął wodze nerwowego wierzchowca i wyprostował się w siodle. – Nie wątpię, że każdy

z was bez wyjątku wykaże się, no wiecie, odwagą, i będzie bronił honoru tej dywizji, która nieraz okryła się, no cóż, chwałą, poczynając od bitwy pod Mons.

W tej samej chwili koń zawrótł, jakby zamierzał się oddalić. Wszyscy uznaliśmy, że to już koniec wykładu, ale generał ściągnął wodze tak mocno, że krnąbrne zwierzę niemal stanęło dęba, po czym wygłosił zasadniczą część przemowy.

– Jeszcze jedno, chłopaki – podjął, podnosząc głos. – Przed dwoma dniami odbyłem wizytację waszych okopów i byłem, no cóż, przerażony. Po prostu przerażony. Warunki sanitarne były wysoce niezadowolające. Higiena wyglądała równie kiepsko jak dyscyplina. W niektórych miejscach widziałem ludzkie ekskrementy. Wiecie, że regulamin nakazuje zakopywać własne odchody. Muszę wam oznajmić, że nie będę tego tolerował. Nie będę tego tolerował! Zrozumiano? Jeśli po najbliższym ataku znajdę kogoś, kto nie dba o czystość i dezynfekcję swojego odcinka okopów w zgodzie ze ścisłymi wskazówkami regulaminów, postawię go w stan oskarżenia! To dotyczy zarówno oficerów, jak i żołnierzy niższych stopniem.

Słuchaliśmy go oszołomieni w coraz intensywniejszej ulewie. Generał Shute po raz ostatni zawrótł karego rumaka i niemal pocwałował na tyły. Towarzysząca mu gromadka adiutantów pognąła do swych samochodów, by za nim nadążyć.

Ale to jeszcze nie był koniec. Kazano nam stanąć na baczność. Staliśmy tak przez czterdzieści minut, kiedy najpierw pułkownik irytował nas powtarzaniem tez swego przełożonego dotyczących ludzkich odchodów, tryskając śliną na wszystkie strony, a następnie – kiedy już sobie poszedł – starszy sierżant wygłosił wykład o srogich karach czekających każdego, kto będzie się ociągał podczas ataku. Później przeczytał niekończącą się listę ludzi straconych za takie wykroczenia, dodając datę popełnienia tego czynu, ich stopień wojskowy oraz jednostkę, a na koniec datę i godzinę egzekucji. To było bardzo przygnębiające. Gdy wróciliśmy do przeciekających namiotów, myśleliśmy raczej o pływającym w wodzie gównie i o plutonach egzekucyjnych niż o okryciu się chwałą dla króla i ojczyzny.

Tego samego dnia, godzina 21.00

Być może znalazłem sposób na ucieczkę od tej wojny, sprytniejszy, a przynajmniej bardziej pewny niż samobójstwo.

Po ukończeniu poprzedniego wpisu napisałem wiersz. Ponieważ zrobiłem to na papierze kancelaryjnym, a nie w tym notatniku, porucznik Raddison – Raddy

– najwyraźniej znalazł go i pokazał kilku kolegom. Wściekłem się oczywiście, ale było za późno – wiersz krąży już po całym obozie. Słyszałem śmiech dobiegający z mnóstwa różnych źródeł. Podobno bawi nawet starszych wiekiem, zasadniczych podoficerów, a wielu niższych stopniem żołnierzy zaczęło go wykorzystywać jako piosenkę marszową.

Do tej chwili tylko kilku oficerów wie, że to ja byłem dowcipnisiem odpowiedzialnym za tę bezczelną niesubordynację. Jeśli jednak dowie się o tym nasz pułkownik albo jakiś inny starszy stopniem oficer, nie wątpię, że moje nazwisko znajdzie się na liście, gdy żołnierze będą musieli wysłuchać kolejnego tekstu o egzekucjach. Kapitan Brown wie, ale tylko obrzucił mnie poirytowanym spojrzeniem i nic nie powiedział. Podejrzewam, że wiersz mu się podobał, tylko nie chce się do tego przyznać.

Oto on:

*Generał odwiedził okopy
I nagle ogarnął go szal,
I krzyknął „ja nie chcę dywizji,
Co na ziemi zostawia swój kał”.
Lecz nikt się tym wcale nie przejął,
Nikt nie zwracał uwagi na smród,
Bo gówno jest całkiem przyjemne
W porównaniu z kimś takim jak Shute.
A pewni poważni krytycy
Wskazali, że problem jest taki,
Że wszyscy jego sztabowcy
Składają się tylko ze sraki.
Do gówna powinno się strzelać
Zza węgła albo zza kłód,
Lecz najpierw niech ktoś zastrzeli
Gówno, jakim jest Shute.
[13]*

Czwartek, 17 sierpnia, godzina 16.00

Brygada pomaszerowała w południe do okopów na tyłach, a potem do tych na pierwszej linii. Przez całą drogę poprzez ulewny deszcz słyszałem urywki naszej nowej „piosenki marszowej”. Śpiew ucichł jednak, gdy wróciliśmy do starych okopów.

Chciałbym móc napisać, że to wszystko wprawiło mnie w fatalistyczny nastrój, że przeszedłem już przez to przedtem i nic mnie nie przestraszy po tym, co widziałem. Prawda jednak wygląda tak, że jestem przerażony bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Myśl o śmierci jest jak wielka pustka otwierająca się w moim wnętrzu. Po drodze widziałem polną mysz, uciekającą z drogi w dolinę. Czy za czterdzieści osiem godzin, kiedy ja będę martwy, będzie jeszcze żyła? – pomyślałem podczas marszu. Nie jestem w stanie znieść perspektywy – nie, raczej prawdopodobieństwa – że będę skazany na wieczność bez wzroku, słuchu oraz dotyku, podczas gdy inne istoty nadal będą żyły i postrzegały wszechświat.

W ciągu ostatniej godziny starałem się czytać *Powrót na wrzosowisko*. Nie chcę umierać, dopóki nie skończę tej książki.

Nasi ludzie zrobili składkę. Wszystkie pieniądze zamierzano podzielić między tych, którzy przeżyją atak. To godne podziwu. Jeśli zginę, lepiej, żeby moja forsa dostała się kumplowi, a przynajmniej towarzyszowi niedoli, niż żeby zgniła w błocie na ziemi niczyjej albo miałby ją zabrać poszukujący suwenirów Hun. Jeśli straty będą tak wielkie jak w moim 13. Batalionie albo w 34. Dywizji, Church Lads Brigade z Trzydziestej Trzeciej, czy w Pięćdziesiątej Pierwszej albo Pięćdziesiątej Piątej, których milczący żołnierze leżą na polach za nami, zwrócenie twarzami do deszczu... no cóż, jutro wieczorem niektórzy z nas będą bogaci.

Ci w naszym plutonie, którzy są religijni, przed niespełną godziną odprawili nabożeństwo. Jako ołtarz służyły dwie pary noszy. Na tkaninie, na której stał kielich z krwią Naszego Zbawiciela było widać krew rannych. Zazdroszczę ludziom, którzy znajdują w tym pocieszenie.

Okopy w pierwszej linii mają tylko siedem stóp głębokości. To ledwie wystarczy, żeby nie było widać hełmów. Przed godziną starszy szeregowy z Kompanii D wystawił głowę tylko na mgnienie oka i pocisk trafił go prosto w ucho, niszcząc całą twarz. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że wystawienie kawałka ciała, choćby na najkrótszą chwilę, niechybnie przywoła kulę.

A jutro mamy wyjść z tych worków z piaskiem i ruszyć w stronę nieprzyjaciela? To z pewnością szaleństwo.

Kapitan Brown mówił o ogniu zaporowym. I o tym, że tym razem artylerzyści spróbują innego podejścia. Utworzą przed nami „zaporę” na ziemi niczyjej. Bóg wie, że próbowali już wszystkiego innego. Przed natarciem Australijczyków nasi oficerowie rozkazali, żeby osiemnastofuntówki trzymały się starej recepty – dwadzieścia cztery godziny nieustannego ostrzału, a potem crescendo... odczekać dziesięć minut, żeby Niemcy wyleźli ze swoich ziemianek i umocnionych bunkrów... i znowu otworzyć ogień, żeby złapać ich na otwartym terenie.

Nie wiemy, jak wielkim sukcesem zakończył się ten sprytny manewr. Z tysięcy Australijczyków, którzy podjęli próbę zdobycia tych umocnień, wróciło bardzo niewiele.

Kapitan Brown jest pełen optymizmu. Wierzy, że nasza brygada osiągnie cel i wykonamy zadanie. Chwilami mam ochotę zawołać do niego, że ten cel nie jest wart pływającego w wodzie gówna, którego widok tak uraził generała Shute'a. Jakie znaczenie ma kolejne sto jardów zniszczonego ostrzałem okopu? Czy warto dla jego zdobycia poświęcić życie stu tysięcy ludzi... trzystu tysięcy... miliona? Powszechnie wiadomo, że generał Douglas Haig nazywa śmierć tysięcy żołnierzy „nieuniknionym ubytkiem” i powiedział przed tą bitwą, że straty wynoszące pół miliona ludzi będą „całkowicie do przyjęcia”.

Ciekawe dla kogo? Z pewnością nie dla mnie. Moje życie to wszystko, co mam. Myślałem kiedyś, że w zaawansowanym wieku dwudziestu ośmiu lat mniej się będę martwić perspektywą jego utraty. Jednakże każda sekunda doświadczania rzeczywistości wydaje mi się w tej chwili święta i nienawidzę wszystkich, którzy chcieliby odebrać mi szansę ujrzenia kolejnego wschodu słońca, spożycia jeszcze jednego posiłku albo przeczytania do końca *Powrotu na wrzosowisko*.

Ręka drży mi tak bardzo, że sam ledwie mogę przeczytać własne pismo. Co pomyślą ludzie jutro rano, jeśli ich porucznikowi zabraknie odwagi, by poprowadzić ich do ataku? Ale kogo obchodzi opinia żołnierzy, jeśli strach pozwoli mi pożyć choć minutę dłużej?

Mnie obchodzi. Z jakiegoś dziwnego powodu nie jest mi to obojętne. Być może tylko strach przed pogardą towarzyszy sprawia, że ruszamy do szturm.

Pora na podwieczorek. Dziś wszyscy dostali konserwę wołową i po cebuli. Skończyły się dni pomarańczy i kasztanów. Dziś otrzymaliśmy ulubiony posiłek much. A jutro? Jutro wielu z nas stanie się posiłkiem dla nich.

Piątek, 18 sierpnia, godzina 3.15

Przyszła dziś do mnie. Piszę to przy świetle rac. Cała brygada wlała do okopów. Jest bardzo ciasno. Żołnierze śpią na workach z piaskiem, wspierając nogi na deskach albo zanurzając je na dziesięć cali w wodzie. Inni przycupnęli na ławkach strzeleckich, starając się zasnąć albo udając, że śpią. Byłem jednym z tych ostatnich aż do chwili, gdy zjawiała się Pani.

Peryskop nad tym odcinkiem okopu to pochylone lustro zatknięte na kiju od szczotki. Spoglądałem w nie bez większego zainteresowania – czasami

można zobaczyć błyski wielkich nieprzyjacielskich dział, zanim dotrze do nas ich huk.

Wtem całą powierzchnię lusterka wypełniły jej twarz i fałdzista suknia. Wstałem raptownie, by sięgnąć po lustro. Mój hełm omal nie wychylił się nad przedpiersie. Najprawdopodobniej załatwiliby mnie niemieccy snajperzy – wykończyli już dzisiaj dwóch ciekawskich z naszego plutonu – gdyby Pani nie wyciągnęła do mnie ręki.

Nagle znaleźliśmy się pod osłoną jej łoża z baldachimem.

Miała na sobie tylko delikatną, przeświecającą suknię, w której widziałem ją po raz pierwszy. Zdjęte ze mnie ubranie leżało równo złożone na krześle tuż za zasłonami. Nie było już pokryte skorupą błota ani zawszone. Ja również nie. Włosy miałem nieco wilgotne, jakbym przed chwilą wyszedł z kąpieli.

Uniosła lekko kołdrę, bym mógł się skryć w tej kuszącej kopercie. Jesienny wietrzyk był nieco chłodniejszy i poruszał zasłonami łoża z leniwą zmysłowością. Światło kominka i jedynej świecy padało na błyszczący lekko adamaszek i jedwab. Leżeliśmy oboje na poduszkach, przyglądając się nawzajem swym twarzom w przygaszonym blasku.

Kiedy dotknęła mojego policzka, złapałem ją za nadgarstek i ścisnąłem go mocno.

– Boisz się – zapytała, czy może stwierdziła, bo choć w jej ciemnych oczach pojawiło się pytanie, nie znalazło to odbicia w głosie.

Nie odpowiedziałem.

– Ale mnie znasz – dodała wreszcie.

Zachowywałem milczenie jeszcze przez chwilę.

– Tak – potwierdziłem wreszcie. – Znam cię.

W salonie mojej matki wisiało lustro, w którym co najmniej tysiąc razy kontemplowałem własną twarz w narcystycznym skupieniu. Pamiętam też inne szczegóły tego pokoju – woskowany parkiet, na wpół wypełniona mlekiem miseczka dla kota, stojąca pod rozkładanym stołem, wazon ze świeżymi kwiatami, które służba wymieniała co dzień... czy raczej co noc. Kiedy byłem małym dzieckiem, myślałem, że za tajemniczym pojawianiem się tych kwiatów stoi jakaś magia – coś w rodzaju Świętego Mikołaja, tylko bardziej punktualne i godne zaufania.

Pamiętam panoramiczne zdjęcie obrazu G.F. Watta *Miłość i śmierć*, na którym Śmierć przedstawiono jako widmową, atrakcyjną kobietę, podkreślając wszystkie fałdy jej sukni w całym ich prerafaelickim bogactwie. Jej twarz zwraca się w dół i w bok. Dlatego w młodych latach myślałem, że nie ma głowy albo zamiast niej jest ciemność... piękna Śmierć unosi lewą rękę nad małym chłopczykiem o wyglądzie cherubinka, a jego częściowo ukryta prawa ręka

również się unosi, jakby dotykał Jej oblicza albo nadaremnie próbował Ją powstrzymać. Zdjęcie tego obrazu wisiało naprzeciwko lustra, co wydawało mi się niezmiernie fascynujące. Za każdym razem, gdy podziwiałem swą twarz młodego poety – bo nawet w wieku siedmiu czy ośmiu lat byłem pewien, że zostanę poetą – obraz Miłości i Śmierci widniał tuż nad moim prawym ramieniem. Odwrócona w lustrze Śmierć pochylała się nie w prawo, lecz w lewo, nad młodym Erosem, i odnosiło się wrażenie, że obraz poruszył się za Jej sprawą.

– Tak – odpowiedziałem pięknej kobiecie, w której łóżku leżałem. – Znam cię.

Uśmiechnęła się znowu. Tym razem było w tym mniej drwiny, a więcej przyjemności. Zwolniłem uchwyt, ale zamiast pogłaskać mnie po policzku Pani skryła bladą dłoń pod kołdrą. Poderwałem się lekko, gdy jej palce dotknęły mojego boku, ale zatrzymała je tuż nad talerzem biodrowym, jak ktoś, kto nie chce spłoszyć zwierzęcia, które pozwoli się pogłaskać lub nie.

Zauważyłem, że jej oczy nie są czarne, lecz mają barwę bardzo ciemnego brązu. Tęczówki otaczała niezwykle wąska obwódka zieleni, w jakiś sposób dodająca im blasku.

Przesunęła powoli dłoń nad krawędzią kości, a potem powędrowała w dół uda, odginając leciutko palce tak, by mojej skóry dotykały ich opuszki, a nie długie paznokcie. Przyznaję, że gdy powędrowały niżej, delikatna skóra uda zadrżała niczym futro jakiegoś leśnego zwierzęcia. Nigdy żadna kobieta nie była ze mną tak śmiała. Zachowywała się tak, jakby moje ciało należało do niej i mogła się nim bawić do woli. Gdy jej place dotknęły sztywnego członka, zamknąłem oczy.

Piątek, 18 sierpnia, godzina 5.45

Świt wreszcie położył kres ciągnącej się bez końca nocy. Rządy przejęła rutyna. Przed śniadaniem wszystkie kompanie złożyły namioty i ułożyły koce w stertach po dwanaście.

To uspokaja. Wszyscy wierzą, że rutyna zapewnia bezpieczeństwo, a Śmierć musi zaczekać, aż wykonamy zadania zleczone nam przez armię.

Kucharze próbowali zaparzyć świeżą kawę i herbatę, choć woda często jest tu niedobra. Czasami muszą opuszczać swe puszki do lejów, żeby jej zaczerpnąć. Zapewniają, że gotowanie zabija zarazki lęgące się w cuchnących trupach, ale jeśli popełnią błąd i zaczerpną trochę unoszącej się na powierzchni zielonej piany złożonej z pozostałości po gazie, gotowanie tylko uwalnia i uaktywnia

pęcherzyki trucziny. W normalnej sytuacji niepokoiłobyśmy się tym w pierwszej linii okopów, ale teraz, gdy do ataku zostały tylko godziny, z radością przywitalibyśmy nagły ból brzucha jako szansę na to, że odeślą nas do szpitala.

Podjęto też próbę zrobienia dobrego brytyjskiego śniadania – kiełbaski, fasola w sosie pomidorowym, a nawet duszone pomidory i jaja dla niektórych oficerów, ale tylko nieliczni odważyli się z tego skorzystać. Myśl o rozerwanym żołądku oraz jelitach, a także o metalowym pocisku oraz brudnym ubraniu wbijających się w brzuch wypełniony takimi potrawami, nadal większości z nas odbiera apetyt. Strach powstrzymuje nas przed jedzeniem.

Wiedzieliśmy, że rozkaz ruszenia do ataku nadejdzie dziś później niż zwykle – kapitan Brown uważał, że po południu. Dlatego oczekiwanie przygnębiało mnie bardziej niż poprzednim razem. Wtedy przynajmniej już o dziewiątej rano byliśmy w większości wymordowani i w praktyce skończeni.

10.10

Nie wspomniałem jeszcze o dzisiejszym ostrzale. Jest naprawdę szalony. Zajmujemy nieco wyższą pozycję niż Niemcy, znajdujący się zaledwie kilkaset jardów przed nami. Ten układ topograficzny sprawia, że nasze działa muszą celować w dół, do tego stopnia, że pociski przelatują dosłownie całe nad przedpiersiem naszych okopów. Pół godziny temu wydarzyło się nieuniknione. Jakiemuś żołnierzowi z Kompanii C urwało głowę. Efekt na tym zatłoczonym odcinku okopu był przerażający. Krew i mózg zbryzgały dziesiątki naszych ludzi, a dwóch z nich trzeba było zabrać na tyły z powodu ran zadanych odpryskami czaszki.

Sierżanci chodzą po okopach z butelkami rumu, wydając chłopakom po łyżeczce. Sami też zdrowo sobie pociągają. Zauważyłem, że rumiana twarz sierżanta Ackroyda poczerwieniała jeszcze bardziej.

12.30

Przez jakieś piętnaście minut cała nasza uwaga skupiała się na pewnym incydencie.

Najpierw działa po obu stronach umilkły, jakby nasze chłopaki i Niemcy jednocześnie poszli sobie na obiad. W pierwszej chwili ludzie stali się bardziej zaniepokojeni zamiast się uspokoić, jakby przerwa w ostrzale oznaczała, że wkrótce rozpocznie się atak. Jednakże kapitan Brown rozesłał po okopach

młodszych oficerów z wiadomością, że atak wyznaczono na trzecią po południu. Wszyscy się uspokoiли. Niektórzy pili herbatę, inni skapitulowali przed głodem i odgrzali sobie trochę konserwy wołowej.

Przerwa w ostrzale przyniosła nam ulgę, ale niepewność, kiedy ruszymy do ataku, budziła niepokój. W dodatku dręczący nas od czterech dni deszcz wreszcie przestał padać. Słońce się nie pokazało, lecz nisko wiszące posępne chmury przeszły na nieco wyższy poziom, tworząc nadal ciągły, lecz znacznie jaśniejszy sufit na wysokości trzech albo czterech tysięcy stóp nad okopami.

Wtedy właśnie pojawiły się samoloty.

Z początku słyszeliśmy tylko nieustający terkot, mącący niezwykłą na froncie ciszę. Potem z chmur na zachodzie wyłoniły się dwa punkciki. Wkrótce dokładnie zobaczyliśmy maszyny, choć krótkowzroczność utrudniała mi odróżnienie swoich od wrogów. Naszym chłopakom udało się to jednak i gdy ja zauważyłem tylko, że mniejszy punkcik zakreślił nagle krąg i zajął pozycję za większym, wszyscy w naszych okopach zakrzyknęli radośnie.

W ciągu następnych dziesięciu minut byliśmy świadkami czegoś w rodzaju powietrznego przedstawienia kukielkowego. Dwa samoloty krążyły wokół siebie, to znikając w chmurach, to znowu się z nich wynurzając. Ogień snajperów i karabinów maszynowych umilkł. Obie strony, przedzielone ziemią niczyją, skupiły się na oglądaniu spektaklu. Po raz pierwszy od wielu tygodni na linii frontu zapadła cisza tak głęboka, że można było usłyszeć śpiew ptaków dobiegający z nad płynącej za nami rzeki i kasłanie ludzi odległych o wiele jardów. Po chwili dotarł do nas terkot karabinów maszynowych obu walczących maszyn – słyszalny tylko od czasu do czasu, gdy jedna z nich zdobywała przewagę nad drugą, i tak krótki, że wszyscy z nas, którzy znajdowali się na ziemi – a także pod ziemią – czuli się winni marnotrawstwa amunicji, zużywanej przez nas niemal bez ograniczeń.

Nagle, gdy przedstawienie zaczynało się już robić powtarzalne i nudne, większa maszyna stanęła w płomieniach i zaczęła opadać po coraz ciaśniejszej spirali, aż wreszcie zniknęła za linią niemieckich okopów, po stronie Guillemont. Po chwili ku niebu buchnął wielki słup czarnego dymu. Nasze chłopaki trzy razy zakrzyknęły „Hura”. Potem rozległy się gwizdy i krzyki. Poczujęm się tak, jakbym siedział w sektorze dla klasy pracującej na meczu piłkarskim.

Radość okazała się przedwczesna. Po chwili z mniejszej maszyny – zapewne brytyjskiej albo francuskiej, choć nie widziałem znaków – również buchnął dym.

– Kurde, pali się. Widzicie cholerne płomienie? – odezwał się starszy szeregowy stojący obok mnie.

Nie widziałem ich, ale słyszałem, że silnik samolotu zaczął kasłać. Ostatnie radosne okrzyki po naszej stronie ucichły. Najwyraźniej samolot był zbyt

wysoko, by móc bezpiecznie wrócić na ziemię, nim ogień pochłonie pilota – a może po prostu na tysiącu mil kwadratowych zrytej lejami ziemi nie było żadnego miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie wylądować – jako że, zamiast opadać, maszyna wzniosła się wyżej, od czasu do czasu przesuając się dziwnie w bok, jakby przerażony pilot próbował strząsnąć płomień ze swego ciała. Te wysiłki nie dały jednak rezultatu, bo po chwili nawet ja zauważyłem ogień i cienką smugę dymu, ciągnącą się za kaszlącą maszyną w kształcie krzyża.

Ludzie w naszym okopie zaczęli krzyczeć i jęczeć. Dopiero po kilku sekundach zauważyłem przyczynę ich lamentów. Pilot wyskoczył z samolotu tuż poniżej chmur. Nawet ktoś, kto miał tak niewielkie pojęcie jak ja o lotnictwie i walce powietrznej, wiedział, że piloci nie zabierają ze sobą spadochronów – choć nie jestem pewien, czy powodem był brak miejsca w maszynie latającej, czy raczej jakiś lotniczy kodeks rycerski. Tak czy inaczej, choć wiedzieliśmy, że spadający pilot jest skazany na śmierć z powodu braku kilku jardów jedwabiu, do chwili, gdy zetknął się z ziemią, mogliśmy żywić nadzieję, że ten lotnik okaże się wyjątkiem i biała czasza otworzy się nagle, w ostatniej chwili, pozwalając wojownikowi opaść łagodnie w ramiona czekających towarzyszy.

Tak się nie stało. Pilot runął na ziemię niczyją kilkaset jardów na wschód od naszych pozycji, wystarczająco blisko, byśmy widzieli, jak wymachuje rozpaczliwie wszystkimi kończynami, jakby szukał punktu oparcia w powietrzu, tak blisko, że nawet ja zauważyłem biały szal ciągnący się za nim niczym ogon latawca, który zboczył z trasy. Gdy spadł na ziemię, w naszych okopach zapadła długa cisza. Uniosłem wzrok, spodziewając się, że zobaczę samolot spadający na ziemię równie szybko jak ten, który nim kierował. Jednakże maszyna – płonąca teraz niczym rydwan Apolla – nadal mknęła naprzód, aż wreszcie dotarła do granicy chmur. Na moment rozjarzyła niesamowitą łuną wiszący nad nami biały sufit, a potem zniknęła nam z oczu na zawsze.

Po chwili odezwały się niemieckie karabiny maszynowe, jakby trener dmuchnął w gwizdek, kończąc naszą krótką chwilę wytchnienia. Wkrótce ostrzał podjęto na nowo.

Jest już po pierwszej. O trzeciej ruszamy do ataku.

14.10

Nie zasnąłem. Nawet nie zamknąłem oczu.

Mimo to w jednej chwili byłem tutaj, w mokrych okopach wypełnionych zapachem świszczącego metalu, a w następnej znalazłem się w czystej pościeli

Pani, i poczułem chłodny wietrzyk, poruszający kotarami w oknach i zasłonami łoża.

Nie przestała mnie dotykać, a ja nadal na to reagowałem.

Obcesowo odepchnąłem jej dłoń od swego członka, odrzuciłem na bok kołdrę i usiadłem, zwrócony do niej plecami. Robiło się coraz chłodniej.

Raczej poczułem niż zobaczyłem, że przysunęła się do mnie. Wsparła się na jednym łokciu, tworząc wgłębienie w materacu.

– Nie pragniesz mnie? – zapytała najcichszym z szeptów.

Rozciągnąłem usta w wymuszonym, ironicznym uśmiešku. Mój czysty mundur leżał złożony obok empirowego krzesła. Nie widziałem jednak wypukłości papierośnicy w kieszeni bluzy. W tej chwili papieros bardzo by mi pomógł.

– Z pewnością wszyscy mężczyźni cię pragną – odpowiedziałem ochryplym głosem, bardzo dalekim od szeptu.

– Wszyscy mężczyźni mnie nie interesują – odparła. Czuję na plecach jej ciepły oddech. – Tylko ty.

Te słowa powinny przyprawić mnie o dreszcz zgrozy, ale jedynie zwiększyły moje podniecenie. Pragnąłem jej... bardziej niż jakiegokolwiek kobiety czy czegokolwiek innego. Nie odpowiedziałem ani słowem.

Położyła płasko dłoń na moich plecach. Czuję jej zarys. Każdy smukły palec był ogniskiem ciepła. Wiatr dał coraz silniej, jakby zbliżała się burza.

– Przynajmniej połów się przy mnie – poprosiła. Uniosła się tak, że jej usta znalazły się tuż przy moim karku. – Połów się przy mnie i ogrzej mnie.

Z moich ust wydobył się ironiczny śmieszek.

– Mam cię ogrzać, żebym sam na wieki stał się zimny? A może ty również mnie ogrzejesz, przykrywając nas narzutą ziemi?

– Jesteś niesprawiedliwy – poskarżyła się.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na nią, mimo że wiedziałem, że nawet jedno spojrzenie może przypieczętować mój los... choć to ja byłbym Eurydyką, a ona Orfeuszem.

Żadne z nas nie zniknęło. Wyglądała pięknie w blasku świecy. Włosy miała rozpuszczone. Jej koszula nocna zsunęła się nieco, odsłaniając kremową skórę barku. Jej lewa pierś uwidaczniała się pod cienką tkaniną w padającym od tyłu blasku.

– Jak można być niesprawiedliwym dla metafory? – zapytałem pomimo potężnego ucisku w gardle.

– Uważasz, że jestem metaforą? – zapytała, dotykając prawą dłońią mojego policzka.

– Uważam, że jesteś uwodzicielką.

Ucisk w moim gardle wzmocił się jeszcze.

Jej śmiech miał delikatne, miłe brzmienie. Nie słyszało się w nim pogardy.

– W takim razie się mylisz. Nie jestem nikim w tym rodzaju. – Przesunęła palcami po moich wargach. – To ty próbujesz mnie uwieść, już od chwili, gdy przyszedłeś na świat. Zawsze tak było.

Zbliżyła twarz do mojej i pocałowaliśmy się, nim zdążyłem jej odpowiedzieć.

Na dworze nagle zaczęła się burza. Zimny wichur otworzył gwałtownie drzwi. Rozległ się grom.

– Dobry Boże – wydyszał starszy szeregowy przycupnięty obok mnie na ławce strzeleckiej. – Te kurewskie pociski padają stanowczo za blisko, bym mógł zachować jebany spokój ducha.

14.35

Przed chwilą przeszliśmy z sierżantem wzdłuż okopów, po raz ostatni sprawdzając, czy wszyscy są przygotowani do ataku. W normalnych warunkach nasi ludzie noszą chlebaki po lewej stronie, ale przed natarciem przesuwiają je na plecy, poniżej łopatek. Pod chlebakiem musi być ciasno zwinięta mata. Naszym celem jest zdobyć i utrzymać Okop Sadowy. Dlatego spakowaliśmy się tak, jakby nie było wątpliwości, że uda się osiągnąć ten cel. Na liście wyposażenia znajdują się między innymi:

- Saperka
- Wycior
- Karabin z przytwierdzonym bagnetem
- Sznurowadła
- Ochraniacz pleców
- Maska gazowa
- Puszka smaru
- Wodoodporna pałatka
- Pędzel do golenia
- Brzytwa z pudełkiem
- Torba podręczna
- Pojemnik na nici i igły
- Ręcznik
- Butelka z wodą
- Butelka z olejem
- 150 nabojów karabinowych
- Książeczka wojskowa

Szczotka do zębów
Kardigan
Wełniana czapka
Nóż, widelec i łyżka
Grzebień
Mydło
Skarpetki (3 pary)
Menażka.

Na dodatek każdy żołnierz musi teraz nosić 180 nabojów w zapasowym bandolierze przełożonym przez prawe ramię oraz ważące po pięć funtów bomby Millsa w obu kieszeniach bluzy. Wielu dźwiga też dodatkowe magazynki do karabinów Lewisa. Wśród innych uzupełniających obciążeń znajdują się race, szczypce do cięcia drutu dla co dziesiątego żołnierza, peryskopy, lampy sygnalizacyjne, przewody telefoniczne oraz dodatkowy zapas wody z uwagi na upał. Sierżant każe wszystkim pokazać butelki z wodą, noszone po prawej stronie w białych płóciennych torbach zawierających żelazne porcje.

Do mnie należy nieprzyjemne zadanie przypominania żołnierzom o bandażach wszytych w dolną prawą połą bluzy i pokazywania im, jak zdezynfekować ranę jodyną, nim założą się tymczasowy opatrunek. Chłopaki patrzą na mnie – na moją bladą, zapadniętą twarz oraz laskę – i słuchają, przekonani, że mam większe doświadczenie niż w rzeczywistości.

Po każdej bitwie na ziemi niczyjej zalegają kolejne tony podobnych odpadków. Nic dziwnego, że upodobniła się do wielkiego śmietnika, pełnego bandaży, podartych kartek, papieru toaletowego, porzuconej broni, łusek po nabojach oraz fragmentów ciał ludzi, którzy nieśli to wszystko.

Wszyscy dostali wcześniej po łyżeczce rumu, żeby dodać im odwagi podczas długiego oczekiwania. Teraz sierżant chodzi po okopie i wydziela racje szturmowe – jedna sześćdziesiąta czwarta galonu rumu dla każdego żołnierza, starannie odmierzana w blaszanym kubeczku. Beztroskie żarty, jakie towarzyszyły wydawaniu porannej porcji już się nie powtarzają. Ludzie z powagą przełykają swój rum, jakby przystępowali do komunii.

14.48

Ostrzał wzmaga się jeszcze, o ile to w ogóle możliwe. Przed chwilą przyszedł kapitan Brown i przypomniał, że oficerowie poprowadzą do ataku wszystkie kompanie. Przedtem niektórzy z nas zostawali z tyłu, dopóki żołnierze nie

opuścili okopów, ale tym razem żandarmi dopilnują, żeby nikt nie zwlekał. Potem ruszą za nacierającymi, używając bagnatów przeciwko spóźnialskim, jeśli okaże się to konieczne.

Kapitan Brown poklepał mnie po ramieniu.

– Jak to się już skończy, wypijemy razem pintę, Jimmy – oznajmił. – Do zobaczenia w Okopie Sadowym.

Potem oddalił się, by pocieszać kolejnych ludzi żartami i klepaniem po plecach.

14.56

Odrętwienie. Jestem tak przerażony, że nic w ogóle nie czuję, jak podczas poprzedniego ataku, gdy dopadła mnie nerwica frontowa. Modlę się tylko o to, by nogi doprowadziły mnie do brzegu okopu i pozwoliły wyjść na zewnątrz.

Zabiorę ze sobą laskę.

14.58

Serce bije mi tak mocno, że nie słyszę ostrzału. Widzę, że usta naszych ludzi się poruszają, ale nie słyszę ich krzyków. Być może ośmiertłem. {Sic}.

Z jakiegoś powodu przyszedł mi na myśl kawałek z Byrona.

*Wicher, w stęchłym powietrzu uwiązł i zastygnął.
Znikły chmury; to dawne ciemności narzędzie
Stało się niepotrzebnem. Ciemność była wszędzie ¹³.
[14]*

Według zegarka ojca jest dopiero 14.59, ale ostrzał ucichł i wzdłuż całego okopu słychać...

{Od redakcji: kilku następnych stron dziennika brakuje. Najwyraźniej je wyrwano. Kawałek jednej z nich przetrwał. Napisano na nim ołówkiem następujący wiersz:}

*Kim oni są? Skąd wzięli się w półmroku?
Czemu kołyszają się czyścicowe cienie?*

Wywalają ozory z ust jakże łakomych,
Odstaniają zębiska w złym uśmiechu czaszek,
Ból wciąż powraca. Lecz jakaż powolna panika
Wyrzeźbiła bruzdy wokół
Zgryzoty pełnych oczu?
Z ich włosów i po otwartych dłoniach
Spływa pot cierpienia.
Z pewnością zginęliśmy
Przez sen i to jest piekło.
Ale kim są ci potępieńcy?
[15]

{Od redakcji: dalszy ciąg dziennika zaczyna się kilka stron dalej, w połowie strony, bez podania daty ani godziny}.

...nic z tego nie ma żadnego sensu, więc spróbuję raz jeszcze... w ten sposób.

Słysząc gwizdki. Wsadzam dziennik do kieszeni, łapię laskę, jakby była mieczem i wspinam się po drabinie. Po drabinie. W górę. Od tygodni wystawienie nawet najmniejszego kawałka głowy oznaczało kulę prosto w mózg. Natychmiastową, nieuniknioną śmierć. A teraz rozkazują nam wyjść z okopów.

Wspinam się. Żołnierze tłoczą się jak przerażone bydło przed wejściem, za którym czeka śmierć w rzeźni. Uniesione bagnety na dole uniemożliwiają odwrót tym, którzy już ruszyli w górę. Błoto na podszwach człowieka idącego przede mną. To kapitan Brown. Krzyczy. Ostrzał bynajmniej się nie skończył. Przesuwa się po ziemi niczyjej niczym zasłona.

Stoję na brzegu okopu, w promieniach słońca, i nadal żyję. Cud! Energia przepływa przeze mnie niczym prąd elektryczny. Wszedłem na górę i żyję! Macham laską na swoich ludzi, a potem odwracam się, żeby poprowadzić atak...

...odwracam się, żeby poprowadzić atak...

...i kula trafia mnie prosto między oczy.

Ziemia osuwa mi się spod nóg. Czuję krew wypływającą z mojego roztrzaskanego czoła. Wielki ciężar opada na mnie z nieba, moje ciało leci do tyłu i wpada do okopu. Lecę na oślep do własnego grobu. Deski pękają pod moim ciężarem, a błoto rozpryskuje się na wszystkie strony.

Na minuty albo sekundy zapada ciemność.

Wreszcie otwieram oczy, spodziewając się, że ujrzę Panią, ale widzę tylko strzępki szarego nieba za zasłoną czerwieni. Ocieram krew z oczu i siadam. Masywnie zbudowany mężczyzna o rumianej twarzy – sierżant McKay

z Kompanii B – pomaga mi się podnieść, wyciąga mnie spod jakiegoś nieruchomego ciężaru, który uparcie nie chce mnie wypuścić. Widzę rozpostarte białe dłonie i nasiąknięty krwią mundur koloru khaki. Przez moment myślę, że sierżant wyciąga moją duszę z martwego ciała, jakby był położną Boga.

– Miał kurewskiego pecha – mówi rumiany podoficer. – Nic ci się nie stało, sir? To chyba tylko draśnięcie w głowę.

Potrząsam głową, próbując się skupić na słowach sierżanta. Nasi ludzie nadal wspinają się na drabiny. Jeśli rzeczywiście straciłem przytomność, to najwyżej na kilka sekund.

– ...jeszcze raz, sir? – pyta sierżant, podtrzymując mnie, gdy wlecziemy się ku drabinie, przepychając się przez tłum przerażonych żołnierzy. – Ostrożnie, sir – mówi, odciągając mnie na bok. – Lepiej by było nie nadepnąć na twarz kapitana.

Spoglądam w dół. Tuż obok mojego buta leży kapitan Brown. Seria z karabinu maszynowego zostawiła krwawy ślad biegnący od jego pachwiny aż po czoło, roztrzaskując po drodze zęby i grdykę. Uświadamiam sobie niejasno, że to krawędź hełmu kapitana trafiła mnie między oczy przed zaledwie sekundami. Jego zmasakrowane ciało uderzyło we mnie całym ciężarem i strąciło do okopu.

– Hopsa w górę, sir – mówi do mnie sierżant, jakby zwracał się do dziecka i pomaga mi wejść na drabinę.

Nie! – krzyczę w myślach. To musi być jakaś pomyłka. Już wchodziłem na tę drabinę. Nikt nie powinien robić tego dwa razy.

– Dziękuję, sierżancie – mówię drżącym głosem i znowu ocieram krew z oczu.

O dziwo, sierżant znajduje laskę, leżącą tuż przy drucie kolczastym, i wręcza mi ją. Kule przelatują ze świstem obok naszych uszu. Ostrzał przeniósł się jakieś kilkaset jardów do przodu, ale pociski kalibru 5.9 nadal padają wokół nas. Widzę swój oddział – kompanię C – jakieś dwadzieścia jardów z przodu. Wszyscy trzymają karabiny w pozycji „prezentuj broń” i opuszczają głowy, jakby szli przez silną ulewę. Kompania B, koledzy McKaya, wychodzą z okopów, dwa plutony na dwieście jardów, jeden żołnierz na każde dwa, wszystko w zgodzie z regulaminem.

– Dziękuję, sierżancie – mówię raz jeszcze i otrzepuję mundur, choć jest umazany błotem i nasiąknięty wodą, a nie zakurzony. Robię pierwszy krok, chwieję się, wspieram się na lasce i ruszam w stronę okopów nieprzyjaciela.

Ziemia niczyja nadal jest tak odrażająca, jak ją zapamiętałem. Z niektórych lejów wciąż bucha dym i smród kordytu, inne zaś przypominają pradawne księżycowe kraterzyki, choć na ich dnie znajdują się jeziora stojącej wody

o taflach pokrytych osadem trucizny. Wszędzie między dwoma szeregami drutu kolczastego leżą ciała i ich fragmenty, na ziemi walają się wstrętne odpadki. Widzę czysty, dobrze naoliwiony karabin i zastanawiam się, czy go sobie nie wziąć, dopóki nie zauważam, zaciśniętej na nim dłoni z kawałkiem przedramienia.

Odwracam się, by zawołać sierżanta McKaya, ale seria wybuchów ukrywa go przed moim wzrokiem, razem z ludźmi z jego plutonu. Kompania C skryła się w lekkim zagłębieniu terenu. Wszyscy leżą tam niemal dokładnie w szyku bojowym. Dalej ode mnie Kompania D ciągle posuwa się w stronę nieprzyjacielskich drutów kolczastych. Pokonuję jakieś trzydzieści kroków, docieram do błotnistej niecki i padam na ziemię obok starszego szeregowego, który trzyma głowę pochyloną. Seria z karabinu maszynowego przesuwają się zaledwie kilka cali od mojej głowy. Po raz pierwszy zauważam, że zgubiłem hełm podczas zamieszania w okopie.

Po kilku chwilach czystej radości z tego, że żyję, zauważam, że choć nasza linia ostrzału przesuwają się do przodu, niemiecki kontrostrzał wzbija teraz w powietrze głębiej między zagłębieniem, w którym leżymy, a naszymi drutami kolczastymi. I zbliża się do nas. Nie podoba mi się myśl, że okażę się upierdliwym oficerem, ale z drugiej strony nie chcę też, by Kompania C została wybita w miejscu, gdzie się znajduje, albo została daleko z tyłu za Kompanią D. Dlatego wstaję, nie zważając na kule, i zaczynam spacerować w tę i w tę po zagłębieniu, zachęcając chłopaków ruchami laski do kontynuowania ataku, ponieważ wiem, że nikt nie usłyszy mojego głosu.

Żaden z nich nie rusza się z miejsca. Przyznaję, że przez moment czuję nietypowy dla siebie gniew na strach, który zawładnął naszymi ludźmi, mija mi jednak, gdy uświadamiam sobie, że gdyby nie mianowali mnie oficerem dzięki pozycji społecznej oraz faktowi, że ukończyłem college, leżałbym teraz z innymi chłopakami i wściekał się na cholernego porucznika, licząc na to, że wreszcie się zamknie, padnie na ziemię jak wszyscy albo oberwie kulą.

Kryję się w niecce obok starszego szeregowego i próbuję podnieść go na nogi, w nadziei, że nasz przykład zawstydzi innych i skłoni ich do wznowienia ataku. Żołnierz niemal rozpada mi się w rękach.

Nie żyje, oczywiście. Wszyscy są martwi, leżą w szyku bojowym, ich twarze dotykają kolb karabinów albo kryją je w dłoniach, jakby zginęli w chwili, gdy wzdrygali się nagle. Sprawdzam dwóch kolejnych żołnierzy – szeregowego nazwiskiem Dunham oraz niskiego kablarza, który nazywa się Bennett. Rany, które widzę, świadczą, że szrapnele zdmuchnęły ich jak liście z drzew. To mógł być nasz własny ostrzał albo pierwsza, fartowna odpowiedź Niemców. Tak czy inaczej, grad odłamków skosił ich w jednej chwili.

Wlokę się naprzód, ku liniom nieprzyjaciela. Utykam i laska służy mi teraz raczej jako wsparcie niż jako źródło inspiracji.

Blisko nieprzyjacielskich drutów kolczastych kryję się w dymiącym leju po pocisku. Sierżant Ackroyd kłóci się w nim z Raddym – młodym porucznikiem Raddisonem, który dzieli ze mną ziemiankę. Nie słyszę głosów, ale widzę, że z ich otwartych ust tryska ślina. Twarze mają zupełnie białe. Nie pojmuję przyczyny ich sprzeczki, ale po chwili uświadamiam sobie prawdę. Kule otworzyły obu mężczyznom brzuchy niczym rzeźnicze noże i obaj klęczą teraz w piasku o barwie żółci. Wypłynęły im wnętrzności, mieszając się ze sobą w jednej dymiącej stercie. Próbuje wepchnąć je sobie z powrotem do środka, jakby byli uczniakami przyłapanymi na tym, że nie włożyli koszul do spodni i słabnącymi głosami kłócą się o to, która szarobiała pętla należy do którego z nich.

Kłótnia szybko się kończy. Gapię się na nich, szeroko otwierając oczy. Najpierw Raddy milknie i przechyla się powoli w lewo. Wybałusza oczy, tak że widać tylko białka, a potem pada we własne trzewia. Później sierżant Ackroyd zgina się ku przodowi z gracją godną tancerza, ruchy jego rąk próbujących zebrać wnętrzności stają się coraz wolniejsze, aż wreszcie się zatrzymują niczym ostatecznie, znużone drgania zużytej maszyny. Zaczynam się czołgać do tyłu, aż wreszcie docieram do krawędzi krateru, by wrócić do czystego ognia karabinów maszynowych, nie wcześniej jednak, nim sierżant się odwraca i kieruje ku mnie bezkrwistą twarzą. Jego pobladłe wargi się poruszają, lecz na szczęście nie słyszę słów.

Żałosne niedobitki Kompanii D przedarły się przez nieprzyjacielskie druty i zdobyły odcinek okopu o długości pięćdziesięciu jardów. Ostrzał jeszcze dwukrotnie obalił mnie na ziemię, a raz cisnął w druty kolczaste. To było bolesne, ale w końcu zdołałem się z nich wyplątać i po raz drugi w życiu padłem na błotniste przedpiersie niemieckich okopów.

Muskularny sierżant i chudy jak szczapa szeregowy zwracają się błyskawicznie w moją stronę, przykucnięci i gotowi przebić mnie bagnietami.

– Spokojnie, chłopaki – charczę z wysiłkiem.

Mój własny głos brzmi dla mnie obco i nie potrafię uwierzyć, by cokolwiek usłyszeli. Artyleryjskie bombardowanie z obu stron łączy się ze sobą, tworząc chaos metalu i ognia wypełniający odcinek okopów długi na milę.

Jednakże sierżant opuszcza lee-enfielda szeregowego i odwraca swój bagnet, po czym pochyła się nade mną.

– Chryste Wszechmogący, sir. Jest pan poważnie ranny. Proszę, nie ruszaj się z miejsca.

Przez moment jestem przekonany, że sierżant ma rację i umieram. Być może już umarłem. Potem jednak spoglądam na siebie i muszę wsadzić sobie do ust ubłocone kostki dłoni, by powstrzymać śmiech albo łkanie. Cały przód mojej bluzy pokrywa krew kapitana Browna. Na ramionach mam krzepnącą substancję mózgową. Z draśnięcia na moim czole nadal płynie krew w miejscu, gdzie niedawno uderzył mnie hełm kapitana. Twarz pokrywa mi zakrzepła krew. Uświadamiam sobie, że w oczach tych zmęczonych, przerażonych ludzi z pewnością przypominam skrzyżowanie Indianina z piekielnym demonem. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest czas na ironię, pochylam się więc do przodu i pytam:

– Jak wygląda sytuacja, sierżancie?

Stary podoficer prostuje się, niemal przyjmując postawę zasadniczą. Raczej czytam słowa z jego warg niż słyszę głos. Czuję woń rumu w jego oddechu.

– Zdobyliśmy ten odcinek okopów, sir – melduje. – Ja i około dziesięciu chłopaków z plutonu porucznika Halla. Szkopy ciągle kontratakują, ale tylko ciskają w nas granaty trzonkowe, a je łatwo odrzucić, sir.

Jakby na dowód prawdziwości jego słów nagle nadlatuje skwierczący niemiecki granat trzonkowy i wpada do okopu niespełna trzy jardy od nas. Chudy jak szczapa szeregowy odkłada ze spokojem karabin, unosi granat i odrzuca go z powrotem za worki z piaskiem. Wybuch następuje po niespełna sekundzie.

– Są nastawione na cholerne osiem sekund, sir – melduje sierżant z pogardą w głosie. – Fryce nie lubią trzymać ich dłużej niż dwie. Zostaje kupa czasu, sir.

Kiwam głową i rozglądam się. To nie jest Okop Sadowy. Znajdujemy się w sporej odległości od naszego celu. Być może nawet sto jardów. Zdobyliśmy jakiś obserwacyjny okop, pośpiesznie zabezpieczony workami z piaskiem. Jest jednak połączony z główną linią obrony szkopów, więc oczywiście chcą go odzyskać.

Jakby na dowód prawdziwości tego założenia, zza zakrętu dobiega nagle krzyk i sześciu ocalałych ludzi z Kompanii D wbiega do naszego odcinka okopu, ostrzeliwując się i rzucając bomby Millsa. Wciskam się w zaplecze okopu, gdy do wnętrza wpadają granaty trzonkowe, które nasi żołnierze natychmiast odrzucają.

Nieprzyjacielski pocisk kalibru 5.9 eksploduje na ziemi niczyjej, kilka jardów za naszym okopem, a nasze osiemnastofuntówki wzbijają w powietrze ziemię i strzępy trupów kilkanaście jardów przed nami.

Sierżant i ja wciskamy twarze w mokre worki z piaskiem, czekając aż fragmenty ciał i szrapnele spadną na ziemię.

Unoszę wzrok.

– Gdzie jest porucznik Hall?! – krzyczę do sierżanta.

Owiewa mnie powiew rumu.

– Zginął daleko za nami, sir. W miejscu, gdzie teraz ukrywa się Kompania C. Czemu, kurwa, nas nie wsparli, jak im kazano, sir?

Zbywam to pytanie machnięciem ręki.

– Utrzymamy ten odcinek, dopóki nie nadejdą posiłki albo nie każą nam się wycofać! – krzyczę.

Cała piątka żołnierzy zgromadziła się wokół mnie. Dwaj padli przed kilkoma sekundami, gdy okazało się, że granat trzonkowy miał lont krótszy niż wydawało się szeregowemu i jego koledze.

Przyglądam się ich twarzom. Rozumieją, że mój rozkaz to dla nich wyrok śmierci. Nie okazują gniewu. Dwaj idą do punktu, gdzie okop zakręca w prawo i zaczynają strzelać. Dwaj kolejni zmierzają do zakrętu po lewej stronie. Sierżant zdejmuję bandolierę z szeregowego i drugiego mężczyzny, który zginął przed chwilą.

– Amunicji nie starczy do zmięzchu – mówi.

Mam ochotę powiedzieć coś inspirującego – na przykład „Damy radę” albo „Wystarczy do chwili przybycia Kompanii A”, ale kiwam tylko głową i ruszam wzdłuż okopu, machając laską i od czasu do czasu odrzucając granat trzonkowy. Zamiast osłabnąć, ostrzał jeszcze się wzmacnia. Obie strony koncentrują się na naszym odcinku płytkiego okopu. Unoszę głowę, by obejrzeć się za siebie, i widzę, że jeden z ludzi strzegących zakrętu leży na ziemi, trzymając się za krwawiącą masę, która jeszcze przed kilkoma sekundami była jego krocem. Jego towarzysz gapi się na to z przerażeniem w oczach. Z prawej strony dobiegają krzyki po niemiecku – po niemiecku! – i starszy szeregowy stojący tam na straży szybko wystrzela siedem pocisków jeden po drugim. Wydaje się, że się modli, ale gdy podchodzę bliżej, wyraźnie słyszę płynącą z jego wyschniętych ust litanie:

– Oddałbym jebane lewe jajo za jebany karabin Lewisa... oddałbym jebane lewe jajo za jebany karabin Lewisa...

Strzela kolejne trzy razy i znowu ładuje broń.

Klepię go po ramieniu i wracam na lewą flankę, po cichu spodziewając się, że ludzie w szarych mundurach zaraz przeskoczą przez zaplecze okopu albo wypadną zza zakrętu i przebiją mnie bagnetem, zanim zdążę dotrzeć do sierżanta. Macham laską i gwizdź cicho. Czuję się bardzo szczęśliwy.

Marmurowa balustrada pod moją dłonią była bardzo chłodna. Mam na sobie tylko jedwabny szlafrok, muskający lekko moją skórę. Wiatr ciągle się wzmacnia, poruszając w mroku wierzchołkami drzew niczym szkwał tworzący fale na wodzie.

– Chodź do łóżka – zawołała mnie cicho z pokoju za moimi plecami.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem poruszane wiatrem zasłony łoża oraz blask kominka.

– Za chwilę – odpowiedziałem, żałując, że nie mam papierosa.

Nie zaczekała. Usłyszałem szelest jej długiej sukni i nagle oparła się o balustradę obok mnie. Blask gwiazd podkreślał krzywiznę jej policzka i padał na rozczochrane włosy. Jej oczy miały łagodny wyraz i lśniły wilgocią. Położyła dłoń na mojej i poczułem jej ciepło, kontrastujące z chłodem marmuru.

– To niesprawiedliwe – odezwałem się po chwili.

– Co, kochany?

Nie odwróciłem się, by na nią spojrzeć.

– To niesprawiedliwe, że wykorzystujesz akt miłosny, by kraść ludziom życie.

Miałem wrażenie, że niemalże słyszę drwinę w jej milczeniu, ale gdy się odwróciłem, żeby na nią spojrzeć, opuściła wzrok i była zasmucona.

– Jak można kraść, dając? – zapytała.

Cofnąłem dłoń i spojrzałem na skryty w mroku las.

– To sofistyka – mruknąłem.

– A czegoż innego spodziewasz się po... metaforze?

Odległy huk gromu niemal całkowicie zagłuszył jej szept.

Odwróciłem się błyskawicznie i złapałem ją za gardło. Szyję miała tak szczupłą, że dobrze pasowała do mojej dłoni. Nacisnąłem mocniej i nagle przestała oddychać. Między kciukiem a palcem wskazującym czułem delikatne struktury, kryjące się pod skórą. Szeroko otworzyła oczy, odległe zaledwie kilka cali od moich.

– Chcesz spróbować, jak smakuje śmierć? – wyszeptałem.

Pani nie stawiała oporu, czułem jednak, że słabnie. Pod swym silnym uściskiem nie wyczuwałem oddechu ani przepływu krwi. Jej ręce zwisały luźno u boków. Myślę, że gdyby uniosła jedną z nich, żeby podrapać mnie albo uderzyć, skręciłbym jej kark, jak łamie się wypaloną zapałkę. Nie spuszczała ze mnie spojrzenia.

– Czy Śmierć może umrzeć? – wyszeptałem w małe ucho, po czym znowu przeniósłem spojrzenie na jej twarz.

Blask gwiazd i odcięcie dopływu krwi nadawały jej skórze bladość porcelany. Ciemne oczy jakby odpowiadały pytaniem na moje pytanie.

– Niech to szlag – przekląłem sam siebie i cofnąłem dłoń.

Nie uniosła drobnych dłoni do gardła, ale słyszałem jej wysilony oddech i widziałem czerwone ślady swych palców. Wiatr ucichł równie nagle, jak się pojawił.

– Niech to szlag – powtórzyłem i ją pocałowałem.

Usta miała wilgotne i otwarte. Kontakt między nami przyniósł wrażenie obopólnej kapitulacji. To było ekscytujące, jak chwila po wystrzeleniu w górę, a jeszcze przed pozbawioną subtelności interwencją przyciągania ziemskiego. Jej palce wreszcie się uniosły i powędrowały, niepewne i lekko trzepoczące, do mojego karku. Jej ciało przytuliło się do mojego. Czułem jej uda i miękkie brzuch dotykające mnie przez warstwy jedwabiu – jedyną barierę dzielącą nas od siebie.

Nasz pocałunek skończył się w chwili, gdy poczułem zawroty głowy. Odsunęła twarz ode mnie, jakby również musiała zaczerpnąć tchu albo odzyskać równowagę. Nie dałem jej na to czasu.

Wziąłem ją w ramiona. Suknia opadła tak nisko, że widziałem blady lewy sutek nad granicą koronki. Zniosłem Panią z balkonu do sypialni.

Pociski wypełnione gazem wydawały inny dźwięk niż zawierające materiały wybuchowe, coś w rodzaju podwójnego kaszlu, jakby niekulturalny kupiec odchrząkiwał głośno, by zwrócić na siebie uwagę.

– Gaz! – krzyczy sierżant i wszyscy rzucamy się po maski.

Wkładam swoją i szarpię się z kłopotliwymi paskami. Cała konstrukcja jest niewygodna i daleka od doskonałości – machina sklecona z wojskowego materiału na koszule, grubych przezroczystych krążków miki, przez które można patrzeć, oraz z długiej rury zawierającej tiosiarczan sodu. Paski nie chcą się zaciągnąć jak trzeba. Szarpię za nie gorączkowo, żeby je zapiąć. Kiedyś wynajdą prawdziwe maski gazowe, ale na razie moje życie zależy od tego nedorzecznego urządzenia.

Obaj z sierżantem rozglądamy się, żeby sprawdzić, czy widać jakieś ślady gazu. Ostatnio Niemcy bardzo często używali gazu łzawiącego, ale on jest tylko uciążliwy i łatwo można zauważyć jego białe chmury, zanim się rozproszą. Jednakże w ostatnim roku coraz częściej wykorzystywali prawdziwe gazy trujące – chlor i fosgen. W szpitalu widziałem też skutki działania eksperymentalnej substancji, jaką tworzą dzięki reakcji dwuchloru siarki z etylenem. To tak zwany gaz musztardowy. W ostatnich tygodniach zaczęli wystrzeliwać swoje rozmaite gazy w pociskach, zamiast uwalniać je ze zbiorników.

W rezultacie wygląd naszej szóstki – żołnierzy pozostałych przy życiu w zdobytym okopie – można opisać jako komiczny. Sierżant i ja rozglądamy się jak wystraszone żaby. Czterech pozostałych chłopaków odłożyło karabiny i zaczęło grzebać w chlebakach w poszukiwaniu masek. Gdyby Niemcy spróbowali w tej chwili zdobyć okop, nie napotkaliby żadnego oporu.

Nie zauważyłem chmury gazu. Fosgen. To musi być fosgen.

Chlor jest wystarczająco paskudny. Jeden promil w powietrzu oznacza śmierć. Gaz niszczy oskrzeliki i pęcherzyki płucne, co uniemożliwia wchłanianie tlenu

i człowiek dosłownie topi się w wodzie wypełniającej mu płuca. W naszej brygadzie pochowaliśmy trochę ofiar chloru i ich skóra zawsze miała wyraźnie siny kolor, zeszywniałe ręce rozrzucali szeroko w geście przerażenia, a ich martwe oczy mówiły wszystko.

Fosgen jest gorszy. Dwadzieścia razy bardziej toksyczny od chloru, niewidzialny i znacznie trudniejszy do wykrycia. Zapach chloru można wyczuć na długo przed tym, nim jego dawka stanie się śmiertelna, ale fosgen, nawet w zabójczym stężeniu, ma tylko leciutki zapach gnijącego siana. Niemniej spełnia swoje zadanie. W szpitalu widziałem nieszczęśnika, który zaczerpnął tylko niewielki haust fosgeny, a potem przez czterdzieści osiem godzin co godzina wymiotował czterema pintami gęstego, żółtego płynu, nim wreszcie śmierć położyła kres jego męczarniom.

Nie wiem zbyt wiele o tym nowym gazie musztardowym, ale kapitan Brown mówił, że on parzy skórę i powoduje pęcherze, oślepia oczy, niszczy błony śluzowe, atakuje genitalia i wżera się w ciało, docierając do kości. Dodał, że naszych speców, którzy nad nim pracowali, zachwycał fakt, że objawy pojawiają się dopiero po wielu godzinach od kontaktu z gazem. Żołnierze nie będą wiedzieli, czy są skazani na śmierć, czy nie. Pamiętam protokół sekcji zwłok, który próbowałem przerobić na wiersz. Najwyraźniej fryce udoskonaliли tę truciznę przed nami. Zawsze byli dobrzy z chemii.

Sierżant coś krzyczy, ale nie rozumiem jego słów, nawet gdy pochylam się ku niemu tak blisko, że nasze maski się stykają. Spoglądam we wskazywanym przez niego kierunku.

Jeden z naszych chłopaków nie może znaleźć maski. Jego twarz sama staje się maską, wykrzywioną w grymasie przerażenia. Krzyki słyszę wyraźnie.

– Czuję to! Kurwa, czuję ten zapach!

Odrzuca chlebak, porzuca karabin i wyłazi z okopu, kierując się ku ziemi niczyjej.

Wołam do niego, żeby naszczał na skarpetkę. Sierżant próbuje go złapać. Inny szeregowy stara się chwycić go za onuce, jednocześnie zaciskając paski w swojej masce. Nadlatują kolejne kaszlące pociski. Wszystko to zaczyna przypominać farsę.

Uciekający szeregowy pokonuje może z dziesięć jardów, nim seria z niemieckiego karabinu maszynowego obala go jak kula przewracająca ostatni z kręgli. Zapomniał, że istnieją tu również częstsze przyczyny śmierci.

Czterej pozostali w okopie ludzie unoszą karabiny i przygotowują się do odparcia kolejnego kontrataku. Unoszę karabin zabitego szeregowego, odciągając zamek, żeby się upewnić, czy w komorze jest nabój, a następnie dołączam do reszty chłopaków na ławce strzeleckiej, którą zbudowaliśmy z worków

z piaskiem. W pokracznej masce gazowej pocę się tak mocno, że grube krążki z miki, ledwie umożliwiające widoczność nawet w najkorzystniejszych warunkach, całkowicie zachodzą parą. Zaciskacz uniemożliwia mi oddychanie przez nos i tylko wciągając łąpczywie haust powietrza, który przedostał się przez tkaninę i filtr, mogę zdobyć odrobinę tlenu, ledwie wystarczającą, żeby przeżyć. Mam wrażenie, że czuję zapach gnijącego siana. Prawie nic nie widzę.

– Tam! – krzyczy sierżant. Jego głos przebija się przez filtr i maskę. – Nadchodzą!

Coś się porusza, niewyraźne kształty ledwie widoczne przez zaparowaną mikę. Być może bagnety. Niemieckie bagnety. Granaty trzonkowe wpadają z sykiem do naszego okopu, ale jesteśmy zbyt zajęci, by coś w tej sprawie zrobić. Oddycham z wysiłkiem przez usta i oddaję kilka strzałów do zbliżających się cieni.

Wielka atrakcyjność namiętności i równie wielkie niebezpieczeństwo, jakie się z nią wiąże, polegają na tym, że jest ona czymś pozostającym poza naszą jaźnią, silnym wiatrem znikąd, któremu nie jest w stanie się oprzeć gmatwanina codziennych myśli i zachowań.

Moja Pani była piękna. Zaniósłem ją z balkonu do sypialni. Przemierzyłem parkiet lśniący w blasku kominka i raczej poczułem pod bosymi stopami niż zobaczyłem delikatny meszek perskiego dywanu, nim rozsunąłem zasłony łoża i ostrożnie położyłem tę kobietę – moją kobietę – na wysokim materacu. Jej włosy opadały na moje, nadal ją obejmujące, przedramię. Jasnoróżowe krążki sutków przeświecały przez cienką tkaninę.

Skończył się czas na subtelności. Zrzuciłem z siebie jedwabny szlafrok, złapałem za koronkowy kołnierz cienkiej szaty Pani i rozdarłem ją z przodu. Uniosła ręce nad głowę, leżąc na poduszce. Blask palącego się na kominku ognia nadawał ciepły odcień dolnym krzywiznom jej piersi. Nogi miała długie i gładkie, brzuch lekko zaokrąglony, a ciemny trójkąt poniżej kończył się w miejscu zatknięcia jej skrytych w cieniu ud.

Rozpostarła przede mną ramiona i przytuliłem się do jej ciała. Z pewnością wyczuła sztywność mojego członka dotykającego jej uda, ponieważ przebiegło przez nią lekkie drżenie i zamknęła oczy. Chcąc ją uspokoić, wsunąłem palce w jej włosy, pocałowałem powieki i nakryłem całą swym ciałem niby kocem. Pocałowaliśmy się i rozchyliła przede mną nogi, przesuwając jednocześnie paznokciami po moich plecach. Czuję jej ciepło, otwierające się przed główką mojego członka. Zatrzymałem się na mgnienie oka, by nacieszyć się chwilą, gdy oboje znaleźliśmy się na krawędzi stania się jednością.

Nasz pocałunek ciągnął się poza granice świadomości. Otworzyła przede mną usta, nasze języki spotkały się w gwałtownej walce i wszedłem w moją Panią.

Sierżant ginie tuż przed zapadnięciem zmroku.

Odpieramy dwa ataki, walcząc w swych pokraccznych maskach gazowych. W powietrzu unosi się niewidzialny fosgen, a potem – po drugim ataku – opary gazu łzawiącego. Niemcy są teraz niewyraźnymi sylwetkami, ledwie widocznymi przez mgłę na zewnątrz oraz parę pokrywającą nasze krążki z miki. Strzelamy do tych sylwetek i niektóre z nich padają na ziemię. Zerkam na drżącego jeszcze trupa tuż za zakrętem okopu i widzę, że niemieckie maski są niewiele lepsze od naszych. Niemiec dostał kulą w oko i ze zwięzającego się końca rury jego maski wypływa krew. Czuję się tak, jakbym zastrzelił demona.

Jest nas pięciu, wliczając rannego szeregowca, sierżanta i mnie. Potem, gdy podczas pierwszego ataku eksploduje kilka granatów trzonkowych, zostajemy tylko sierżant i ja. Zabieramy zabitym towarzyszom resztki amunicji i klepiemy ich koszule, by sprawdzić, czy nie ma tam dodatkowych bomb Millsa albo nabojów. Stykamy się maskami, by móc ze sobą rozmawiać, i dochodzimy do wniosku, że nie zdołamy obronić tego odcinka okopu tylko we dwóch. Wycofujemy się w prawą stronę, gdzie okop biegnie zygzakiem ku głównym niemieckim liniom. W błocie leżą tam ciała w szarych mundurach. Szczury zaczęły już ucztę.

Sierżant opiera karabin o niszę w ścianie okopu, by móc osłaniać nas ogniem, podczas gdy ja układam worki z piaskiem, tworząc prowizoryczne umocnienia. Każdy, kto wyjdzie z za zakrętu, będzie musiał pokonać długi odcinek opuszczonego okopu, gdy będę go wyraźnie widział.

Nagle otaczają nas chmury gazu łzawiącego i dymu. Z oczu ciekną mi łzy i nie jestem w stanie oddychać, ale tak było już od pół godziny. Nie jestem pewien, czy moja maska utraciła szczelność. Spoglądam w celownik leenfielda, czekając, aż z za zakrętu wyłoni się pierwszy nieprzyjaciel. Zwrócony do mnie plecami sierżant obserwuje swój odcinek okopu.

Przychodzą z góry, zeskakują z zaplecza okopu, krzycząc gardłowo. Z odległego miejsca, w którym się znalazłem, dostrzegam, że ich buty mają znacznie dłuższe cholewy od tych, które wydaje się naszym chłopakom.

Załatwiam dwóch. Trzeci rzuca granat trzonkowy i ucieka. Sierżant odkopuje syczący granat za zakręt okopu, a ja strzelam zwiewającemu Niemcowi w plecy. Czołga się dalej. Strzelam raz jeszcze i nic przy tym nie czuję.

Dwaj kolejni nieprzyjaciele zeskakują do okopu niemal pionowo nad nami. Strzelam pierwszemu w twarz, a potem karabin się zacina. Zamek nie chce wyrzucić naboju. Ocalały Niemiec krzyczy coś przez maskę i przygotowuje się do ataku bagnetem. Nie mając czasu, by się odwrócić i wystrzelić, sierżant unosi karabin w pozycji obronnej i staje między Niemcem a mną.

Szkop rzuca się do ataku, sierżant niezgrabnie odbija bagnet i kontratakuję. Oba ataki okazują się celne. Cienki bagnet Niemca wbił się w gardło sierżanta tuż poniżej maski gazowej, natomiast broń podoficera wniknęła w brzuch przeciwnika na długość czterech cali. Obaj mężczyźni osuwają się na kolana. Stał nadal tkwi w ich ciałach. Wyciągają jednocześnie bagnety, jakby wykonywali choreograficzny układ. Przyglądam się temu, dysząc ciężko pod maską, bliski omdlenia z braku tlenu. Dwaj klęczący przeciwnicy ponownie unoszą bagnety i ponawiają atak, choć żaden nie ma sił, by przebić coś więcej niż skórę. Wypuszczają jednocześnie karabiny i padają na ziemię.

Ignorując niebezpieczeństwo, że do okopu mogą wskoczyć kolejni Niemcy, odrzucam karabin, przetaczam sierżanta na bok i zdejmuję mu maskę. Usta ma szeroko otwarte i prawie całkowicie wypełnione krwią, okrągłe, jak lej po pocisku. Oczy wpatrują się w pustkę. Nie zdążyłem się dowiedzieć, jak miał na imię.

Niemiec jeszcze żyje. Miota się z bólu. Opieram go o przednią ścianę okopu, zdejmuję mu maskę i przyglądam się jego twarzy.

To zwykły człowiek: ciemny zarost, brązowe oczy, zlepione od potu włosy i draśnięcie po goleniu na szyi. Prosi o wodę – przynajmniej to słowo po niemiecku znam – i unoszę butelkę do jego ust. Przełyka trochę płynu, zaczyna coś mówić, lecz nagle łapią go konwulsje i kona, nie wypowiadając już ani jednego słowa.

Zostawiam swój karabin w błocie, unoszę sierżanta, wycieram krew z jego broni najlepiej, jak potrafię, upewniam się, że magazynek jest pełny, i osuwam się na stertę worków z piaskiem. W niemieckich okopach słychać gwizdki. Zapewne przygotowują się do kolejnego ataku.

Nagle z nieba zaczynają padać śmiertcionośnie celne pociski. Ściany okopu się zawalają, fragmenty ciał wzbijają się w powietrze i wszędzie ze świstem przelatują szrapnele. Znam dźwięk tych dział. To brytyjskie osiemnastofuntówki. Nie będzie wsparcia. W dowództwie zdecydowano, że żaden brytyjski żołnierz nie dotarł tak daleko. Ostrzał zaczął się na nowo.

Nasze ruchy są płynne, naoliwione namiętnością i potem. Jej ciepło otacza mnie i pochłania.

Śmierć nie zabrała mnie, gdy dotknąłem jej po raz pierwszy. Zachowuję zdolność myślenia mimo wzbierającej fali wrażeń. Ani wtedy, gdy ją pocałowałem. Ani w chwili, kiedy w nią wszedłem.

Przetaczamy się w pościeli, ani na moment nie tracąc intymnego kontaktu. Oplata mnie nogami, zaciska mocno uda. Kiedy jest nade mną, jej piersi zwisają niczym owoce, które muszę zerwać, ich sutki są niczym nasiona między moimi palcami, a włosy tworzą otaczającą nas zasłonę.

To na pewno wydarzy się w chwili, gdy ogarnie mnie ostateczna ekstaza. Tak zwana mała śmierć tym razem nie będzie taka mała. Nie dbam o to. Przetaczam się z nią w uniesieniu, aż wreszcie spadamy z łoża i leżę na perskim dywanie, mając Panią pod sobą. Otacza nas skłębiona pościel, a na twarzy mojej kochanki, widocznej w blasku kominka, maluje się ta sama namiętność, która zawładnęła mną.

Ruszamy się teraz szybciej – a przynajmniej ja się ruszam – myśl gubi się po drodze, nie można już się zatrzymać, nie pozostaje nic poza perspektywą spełnienia, która przyśpiesza nasz rytm, prowadząc do crescendo.

Środa, 23 lipca, gdzieś po południu

Dziesięć minut temu wbili mi igłę w plecy i wyciągnęli pintę płynu. Nadal nie są pewni, czy to śmiertelne zapalenie płuc wywołane przez gaz, który przeniknął do płuc, czy po prostu nawrót poprzedniej infekcji.

Przynajmniej ilość płynu się nie zwiększa. Jeśli tonę we własnych wydzielinach, dzieje się to powoli.

Bardziej niepokoi mnie rana prawej nogi. Wycięli kawałek otaczającego ją ciała, ale szpital wypełnia smród gangreny. Nieustannie wącham swe bandaże, by sprawdzić, czy wnoszę swój wkład do ogólnego fetoru.

– To wasza cholerna wina – oznajmił małomówny doktor Babington podczas obchodu po odprowadzeniu płynu. – Nie trzeba było walczyć na tak żyznych polach.

Nie odzywałem się ani słowem, odkąd znalazłem się w tym miejscu, ale lekarz uznał moje milczenie za pytanie.

– To są francuskie pola – kontynuował. – No wie pan, najlepiej użyźnione na świecie. Niezliczone tony obornika. A także ludzkich odchodów. Wasze mundury nasiąknęły tym wszystkim. A potem kawałek metalu wnika w wasze ciało, ciągnąc za sobą nasączoną *merde* tkaninę. – Sama rana to nic... nic. – Strzelił palcami. – Ale zakażenie... no cóż... przekonamy się za kilka dni.

Przeszedł do następnego pacjenta.

Szpital polowy umieszczono w namiotach. Nie ma tu okien. Zapytałem jednak jedną z przepracowanych pielęgniarek i odpowiedziała mi, że Madonna z Dzieciątkiem nadal pochyla się nad drogą w Albert, w położonej nieopodal dolinie. Mały szpital, w którym leżałem poprzednim razem, został zniszczony przez ostrzał artyleryjski. Martwię się o dobrą zakonnice, która mi tam pomogła.

Czwartek, 24 sierpnia, godzina 9.00

Dziś rano obudziłem się wcześniej, ale zamiast dać mi kleik, który dostajemy co dzień, posadzili mnie na czymś w rodzaju wózka inwalidzkiego – to było bolesne – i zawieźli na otwarty grunt między namiotami. Padał deszcz, ale zostawili mnie tam razem z dwoma innymi oficerami. Pamiętałem ich z 1. Batalionu Brygady Strzelców. Obaj są poważniej ranni ode mnie. Jeden ma ciasno obandażowaną twarz, widzę jednak, że brakuje mu co najmniej części żuchwy. Drugi nie ma widocznych obrażeń, ale nie jest w stanie siedzieć na wiklinowym wózku. Głowa opada mu bezwładnie, jakby nie miała połączenia z bladą szyją.

Czekaliśmy tam w deszczu dziesięć albo piętnaście minut, nim z pobliskiego namiotu służącego jako stołówka wyszedł pułkownik w towarzystwie kilku adiutantów. To był ten san oficer, który przemawiał do naszej brygady, towarzysząc generałowi Shute'owi.

O nie, pomyślałem. Nie chcę medalu. Po prostu zabierzcie mnie z tego deszczu, błagam.

Pułkownik przemawiał tylko przez minutę. Nie było żadnych medali.

– Chcę, żebyście wszyscy się dowiedzieli, że jestem wami cholernie rozczarowany. Naprawdę cholernie rozczarowany. – wycedził z akcentem z Harrow, bardzo podobnym do tego, z którym mówił Shute. Uderzył szpicrutą w nogawkę starannie wyprasowanych spodni. – To ważne, żebyście... hmm... zrozumieli, że zawiedliście nas wszystkich. To właśnie zrobiliście. Po prostu nas zawiedliście.

Odwrócił się, jakby chciał się oddalić, lecz nagle ponownie skierował się ku nam, zaskakując adiutantów, którzy również zwrócili się już w przeciwną stronę, jakby brzydzili się widoku naszej trójki i naszymi wózkami inwalidzkimi.

– Jeszcze jedno – podjął pułkownik. – Powinniście usłyszeć, że wasz batalion był jedynym w całej brygadzie, który nie wykonał zadania. Jedynym! Nie chcę słyszeć żadnych skarg na to, że Trzydziesta Trzecia Dywizja nie ruszyła naprzód po waszej prawej stronie... jasne? Nie będę tolerował takich wykrętów. Niepowodzenie Trzydziestej Trzeciej to powód do wstydu dla niej. A za swoje wy ponosicie odpowiedzialność. Jestem... hmm... cholernie rozczarowany.

Zniknął z powrotem w namiocie razem z grupką towarzyszących mu rybpilotów. Czujęł dobiegający z wnętrza zapach. Pieczono tort albo jakieś inne ciasto. Wszyscy trzej siedzieliśmy albo leżeliśmy na naszych wózkach jeszcze przez około dziesięć minut. Nikt z nas się nie odzywał. Wreszcie ktoś sobie o nas przypomina i zabierają nas z powrotem do szpitala.

Gdy jest już po wszystkim, Pani leży w ochronnym kręgu moich ramion. Obserwujemy dogasający na kominku ogień.

– Czy chcesz usłyszeć fragment z prywatnego dziennika Jaśnie Wielmożnego? – szepcze Pani.

Jej głos wyrywa mnie z przyjemnego zamyślenia.

– Słucham? Czyjego dziennika?

– Generała Douglasa Haiga – wyjaśnia z uśmiechem. – Nie tylko ty prowadzisz prywatny dziennik.

Bawię się kosmykiem jej włosów.

– Skąd wiesz, co pisze generał w swoim prywatnym dzienniku?

Ignoruje mnie, zamyka oczy i zaczyna recytować, jakby z pamięci.

– „Sobota, dziewiętnastego sierpnia. Operacja przeprowadzona wczoraj na odcinku frontu o długości ponad jedenastu mil, zakończyła się wielkim sukcesem. Kontrolujemy teraz szereg wznieść na południowy wschód od Thiepval. Wzięliśmy prawie pięciuset jeńców a atakujący batalion stracił zaledwie czterdziestu ludzi! Podczas szturm nasi żołnierze trzymali się blisko ostrzału artyleryjskiego”.

Spojrzałem na nią w dogasającym świetle kominka.

– Po co mi o tym mówisz?

Przesuwa się nieco w bok, aż jej nagi bark staje się łukiem bladego blasku, prowadzącym do skrytej w cieniu twarzy.

– Pomyślałam sobie, że chciałbyś się dowiedzieć, iż uczestniczyłeś w wielkim sukcesie.

– Mój batalion całkowicie zniszczono – szepczę. Czuję się bardzo dziwnie na myśl, że rozmawiamy o wojnie w naszym łóżku. – W samej Kompanii C zginęło ponad czterdziestu ludzi.

Lekko kiwa spoczywającą na poduszce głową. W cieniach nie widzę jej oczu.

– Ale batalion prowadzący atak stracił w sumie tylko czterdziestu. I zdobył kilkaset jardów błota. Generał Douglas Haig jest zadowolony.

– Jebać generała Douglasa Haiga – odpowiadam.

Spodziewam się, że Pani zareaguje szokiem, ale ona kładzie figlarnie otwartą dłoń na mojej nagiej klatce piersiowej, a jeśli słyszę jakiś dźwięk, to tylko cichy śmieszek.

Sobota, 26 sierpnia, godzina 19.00

Coraz wcześniej robi się ciemno. Minał już tydzień od chwili, gdy ocknąłem się w punkcie opatrunkowym.

W ogóle nie pamiętam, w jaki sposób opuściłem okop i przedostałem się przez ziemię niczyją. Nie przypominam sobie, kto pomógł mi trafić do punktu. Nie zanotowałem też w pamięci chwili, gdy zdjąłem maskę, krztuszenia się pozostałościami gazu ani momentu, kiedy szrapnel zadał mi ranę, która zmieniła moją prawą nogę w ropiejącą masę pulsującego bólu.

Ale pamiętam chwilę przebudzenia. Po pierwszym ataku, gdy myślałem, że obudzę się w szpitalu, znalazłem się wśród trupów. Po drugim, kiedy byłem pewien, że będę leżał bez czucia pośród zabitych, ocknąłem się w blasku karbidówek i pochylał się nade mną chirurg. Pomyślałem wtedy, że jeśli jest Bogiem albo diabłem, to ubranym w białe fartuch z zapasów wojskowych, obficie spryskany krwią. Jego archaniołowie wyglądali jak pielęgniarka w białym fartuchu, sanitariusz w binoklach oraz zmęczony anestezjolog w fartuchu równie zakrwawionym jak ten noszony przez chirurga.

Z tego, co wydarzyło się potem, pamiętam bardzo niewiele. Znalazłem się tutaj, w Dwudziestej Pierwszej, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Notowałem wszystko skrzętnie w dzienniku, starając się jakoś uporządkować fragmentaryczne wspomnienia.

Jebać generała Douglasa Haiga, pułkownika, Shute'a i wszystkich, którzy są zdeterminowani mnie zabić. Sprzeciwiam się im. Sprzeciwiam się bogom. Sprzeciwiam się Samemu Bogu.

Niedziela, 27 sierpnia, godzina 5.00

Obudziłem się o godzinie 3.22, kaszląc, wymiotując żółtym płynem i tonąc w nim. Musiałem zawołać pielęgniarkę. Nie śpieszyła się z przyjściem, wyraźnie poirytowana, że ją obudzono.

Nie mogłem oddychać. W porządku... więc to jest koniec, pomyślałem. Było warto. Potem zdolność racjonalnego myślenia mnie opuściła. Rozpaczliwie próbowałem zaczerpnąć tchu i miotałem się jak tonący. Rzeczywiście tonąłem. Po każdym oddechu wymiotowałem żółtym płynem. Gardło i nos miałem zatkane. Przed oczami widziałem mroczki, ale łaskawe zapomnienie nie chciało nadejść. Miotałem się, wymiotowałem i waliłem pięściami w brudny materac, jakby był oceanem.

Przypominam sobie swą ostatnią sensowną myśl. Śmierć nie jest taka łatwa, jak to opisują... Tolstoj, spójrz, jak umierają chłopci! Potem zjawił się znudzony sanitariusz ze strzykawką przypominającą pompkę rowerową, wbił mi igłę przez łopatkę w prawe płuco i po kilku minutach wyciągnął ze mnie tyle gęstego płynu, że znowu mogłem oddychać w pewnym sensie... choć okropny, wilgotny,

przypominający ssanie dźwięk z pewnością nie pozwalał spać wielu moim towarzyszom. Nie skarżyli się jednak.

Ten sam dzień, godzina 11.15

Przyszedł ksiądz, by udzielić komunii tym chłopakom, którzy są katolikami. Gapiłem się na to i słuchałem jego łagodnego głosu przez prawie godzinę, widząc, że naprawdę wzrusza się dół najciężej rannych. Gdy przechodził obok mojego łóżka, spojrział na kartę i zobaczył napis BEZWYZNANIOWY nad kolumną oznaczoną hasłem WYZNANIE, lecz mimo to zatrzymał się i zapytał, czy może coś dla mnie zrobić. Nie byłem jeszcze w stanie mówić, więc potrząsnąłem tylko głową, starając się ukryć łzy.

Po godzinie zmęczony lekarz kierujący szpitalem przysiadł na skraju mojej pryczy.

– Niech pan posłucha, poruczniku – zaczął głosem, w którym pobrzmiwało raczej znużenie niż powaga. – Wygląda na to, że sprawa z gangreną idzie ku lepszemu. Sanitariusze zapewniają mnie też, że te kłopoty z płucami to drobiazg. – Wytarł okulary, a potem pochylił się ku mnie. – Jeśli pan uważa, że te... drobne kłopoty wojenne zapewnią panu wygodny odpoczynek w Anglii, no cóż... wojna trwa nadal, poruczniku, i spodziewam się, że wróci pan na nią, gdy tylko będziemy mogli pana wypisać i zwolnić łóżko dla kogoś, kto jest naprawdę ranny.

Zacząłem kiwać głową, lecz nagle się odezwałem, po raz pierwszy w ciągu spędzonego tu tygodnia.

– Tak jest, sir – rzekłem, choć gardło wypełniała mi flegma i płyn. – Spodziewam się, że wrócę na front. Chcę tam wrócić.

Wytarł okulary i przyjrzał się mi z zasepioną miną, jakby myślał, że robię sobie z niego żarty. Na koniec tylko pokręcił głową i przeszedł do następnego pacjenta.

Wcale nie żartowałem. Mówiłem prawdę. Nie mogłem mu jednak powtórzyć tego, co usłyszałem dziś rano od Pani.

Jest poranek, piękny jesienny poranek. Jemy na jej patio lekkie śniadanie, złożone z herbaty i croissantów. Pani ma na sobie ciemną spódnicę i jasnoniebieską bluzkę, zebraną w mankietach oraz w talii i spiętą pod szyją broszą ze szmaragdem. Ciemne włosy związała sobie w wymyślny sposób. Gdy nalewa mi herbaty, jej oczy lśnią wesołością.

– Przez pewien czas się nie zobaczymy – mówi mi, odstawiając na bok srebrny czajniczek.

Milczę zdumiony, ale trwa to najwyżej minutę.

– Ale chciałem... to znaczy musimy...

Przerywam zdumiony niespójnością własnych słów. Pragnę jej powiedzieć, że kiedyś byłem poetą i dobrze sobie radziłem z językiem.

Kładzie dłoń na mojej dłoni.

– I tak się stanie – zapewnia. – Jeszcze się spotkamy. Dla mnie minie krótki czas, ale dla ciebie trochę dłuższy.

Marszczę brwi ze zdziwieniem.

– Z pewnością wiesz, że nic nie rozumiem – wyznaję szczerze. – Myślałem, że nasza miłość powinna... musi...

Uśmiecha się. Jej dłoń nie odsuwa się od mojej.

– Pamiętasz zdjęcie obrazu w salonie twojej matki?

Kiwam głową. Czuję, że na mojej twarzy pojawia się rumieniec. Z jakiegoś powodu rozmowa o tym wydaje mi się czymś bardziej intymnym niż cała noc wypełniona intymnością.

– G.E. Watts – mówię. – *Miłość i Śmierć*... odziana w luźną szatę postać Śmierci stoi... – nie jestem w stanie powiedzieć „stoisz” – ...nad dzieckiem. To zapewne ma być Eros. Miłość.

Jej paznokcie kreślą drobne wzory na grzbiecie mojej dłoni.

– Kiedyś myślałeś, że jest w nim jakiś ukryty przekaz – mówi.

– Tak.

Nie przychodzi mi do głowy żadna inteligentna odpowiedź. Ukryty przekaz umknął mi wtedy i nadal mi umyka.

Uśmiecha się znowu, lecz tym razem nie ma w tym drwiny. Pamiętam jej twarz w blasku ognia.

– Być może... – zaczyna. – Tylko być może, to nie jest Tanatos płci żeńskiej majaczący nad zagrożonym Erosem, lecz twoja kobieca... metafora... –

Uśmiecha się szerzej. – Miłości powstrzymującej młodego dowcipnisa, Śmierć, przed jego figlami.

Gapię się na nią oniemiały.

Moja Pani śmieje się cicho, nalewa sobie herbaty, a potem unosi filiżankę razem ze spodkiem. Zniknięcie dotyku jej dłoni jest jak zapowiedź nadchodzących zim.

– Ale miłość... do kogo? – pytam wreszcie. – Czy może do czego? Jaka wielka namiętność mogłaby powstrzymać Śmierć?

Pani ściąga brwi.

– Nie wiesz tego? Ty, poeta?

Przyznaję, że nie wiem.

Pani pochyla się ku mnie. Słyszę szelest jej nakrochmalonej bluzki i ukrytego pod spodem jedwabiu. Nasze twarze są tak blisko siebie, że czuję ciepło bijące od jej ciała.

– W takim razie potrzebujesz więcej czasu, żeby się tego nauczyć – szepcze. Jej głos jest pełen emocji w takim samym stopniu, jak ostatniej nocy, gdy krzyknęła z rozkoszy.

Kładę swą drżącą dłoń na żelaznym stoliku.

– Jak wiele czasu nam zostało... teraz... razem... zanim się rozstaniemy? – pytam.

Nie śmieje się z moich niezgrabnych sformułowań. Jej oczy mają ciepły wyraz.

– Wystarczy, żeby wypić herbatę – mówi i unosi filiżankę do ust.

Czwartek, 31 sierpnia, godzina 13.00

Dzisiaj wypisali mnie ze szpitala polowego pod Albert. Ledwie mogę chodzić, ale udało mi się złapać pustą karetkę, która zawiezie mnie do doliny Carnoy, gdzie generał Shute skierował brygadę, by mogła odpocząć przed kolejną ofensywą.

Jeden z chirurgów po przeczytaniu krótkiego raportu doktora Babingtona, stwierdzającego, że moja rana i zapalenie płuc są już wyleczone w stopniu wystarczającym, bym mógł wrócić na front, wyraził stanowczą opinię, że powinno się odesłać mnie do Anglii na co najmniej miesiąc. Podziękowałem mu, ale oznajmiłem, że sugestia doktora Babingtona mi odpowiada.

Znam bardzo niewielu chłopaków w tym obozie. Natknąłem się na sierżanta McKaya, tego, który pomógł mi się wydostać z okopu, gdy strącił mnie do niego biedny kapitan Brown. Tak się ucieszyliśmy na swój widok, że ledwie się powstrzymaliśmy przed padnięciem sobie w ramiona. Większość pozostałych twarzy w Kompaniach C i D jest zupełnie nowa. Nie znam żadnego z tych ludzi.

Sierżant McKay zapytał mnie, czy słyszałem wczorajszą burzę. Odrzekłem, że całą przespałem.

– Była piekielnie potężna, sir – dodał z uśmiechem na rumianej twarzy. – Wszyscy zmokliśmy jak cholera. Pioruny były gorsze niż ostrzał w dzień ataku. W szczytowym punkcie rozwały dwa nasze balony obserwacyjne, sir. Niezłe widowisko. Za przeproszeniem, sir, nie rozumiem, jak można było ją przespać. Bez urazy, sir.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Nie czuję się urażony, sierżancie. – Wahalem się tylko mgnienie oka. – To musiała być niezła burza, ale... hmm... no cóż... to była moja ostatnia noc w Albert i... nie byłem sam, sierżancie.

Podoficer uśmiechnął się szerzej, mrugnął znacząco w prawdziwie aktorski sposób i zsalutował mi.

– Tak jest, sir – rzekł. – Cieszę się, że znowu jesteś z nami. Życzę zdrowia, dopóki tu pozostaniesz, sir.

Teraz siedzę na pryczy i próbuję odpocząć. Czuję ból w klatce piersiowej i bolą mnie też nogi, ale staram się ignorować te drobiazgi. Podobno za czterdzieści osiem godzin ma się zacząć atak na las Delville i generał Shute chce, żeby jego chłopaki – to znaczy my – ruszyły przodem.

Ale czterdzieści osiem godzin to kupa czasu. Mam książki do przeczytania. *Powrót na wrzosowisko* leży w mojej skrzynce, podobnie jak nowy tomik Eliota, którego również nie skończyłem. Jak już trochę poczytam, może przejdę się po obozie. Burza chyba się skończyła. Powietrze się oczyściło. Wieczór jest piękny.

Postowie redakcji

Tu kończy się nowo odkryty dziennik wojenny porucznika Jamesa Edwina Rooke'a.

Dnia 2 września 1916 roku przeprowadzono atak na las Delville, ale batalion Rooke'a nie ucierpiał zbyt wiele. Zaszczyt ruszenia przodem przypadł Pułkowi Gloucestershire z 5. Dywizji, a szczególnie Batalionowi z Bristol City. Zacięte walki trwały trzydzieści godzin i batalion został niemal całkowicie zniszczony.

Rooke uczestniczył w większej ofensywie 15 września. Wtedy po raz pierwszy użyto czołgów na polu bitwy, choć było ich za mało i nie wykorzystano ich we właściwy sposób. Rooke nie został ranny podczas pierwszego ataku na las Delville, choć czterdzieści procent żołnierzy z jego plutonu poległo, odniosło rany bądź zaginęło w akcji.

Poeta nie ujrzał na własne oczy zdobycia Thiepval, do którego ostatecznie doszło 27 września. Wkrótce po ofensywie z 15 września powróciła sprawa zapomnianego wniosku o przeniesienie i Rooke wrócił do swej starej jednostki, 13. Batalionu Brygady Strzelców. Z tego spokojnego okresu spędzonego w „wygodnych” okopach w pobliżu Calonne mamy tylko dwa listy, skierowane do siostry Rooke'a, ale w obu odbija się kontemplacyjny nastrój, pełen spokojnej radości. Nie pisał wierszy.

13. Brygada Strzelców wróciła nad Somnę 11 listopada 1916 roku, gdy nadchodziła już zima i warunki w okopach były wyjątkowo nieprzyjemne. James

Edwin Rooke uczestniczył w straszliwych walkach podczas ataku na Serre 13–15 listopada. Celu nie osiągnięto. Poeta przebywał w szpitalu polowym koło Pozieres, gdzie walczył z trzecim, najgroźniejszym atakiem zapalenia płuc, gdy 19 listopada nadeszła wiadomość, że bitwę nad Sommą uznano za „zakończoną”.

Właściwie nie było formalnego zakończenia bitwy. Walki po prostu wygasły pośród błota, śniegu i mrozu. W roku 1916 zima nadeszła bardzo wcześnie i była wyjątkowo surowa.

Podczas pięciu miesięcy walk nad Sommą zginęło ponad milion dwieście tysięcy ludzi. Nie osiągnięto znaczącego przełomu.

James Edwin Rooke wrócił do swojej jednostki i pozostał na froncie nad Sommą, gdzie straty wśród Brytyjczyków nadal wynosiły około trzydziestu tysięcy miesięcznie, aż wreszcie został ranny w trzeciej bitwie pod Ypres, zwanej też bitwą pod Passchendaele, w sierpniu 1917 roku. Rooke oberwał dwiema kulami z karabinu maszynowego, gdy dowodził atakiem na niemiecki bunkier o dziwnej nazwie Wiosenna Farma.

Ci, którzy przeżyli Passchendaele, najlepiej zapamiętali wszechobecne błoto. Sam generał Douglas Haig napisał:

„...gliniasta gleba, rozdierana przez pociski i nasiąknięta deszczem zmieniała się w szereg wielkich, błotnistych kałuż, doliny utworzone przez niemogące znaleźć odpływu, występujące z brzegów strumienie szybko stawały się długimi pasmami mokradeł. Można było przez nie przejść jedynie nielicznymi, ściśle określonymi ścieżkami, które stały się celem dla nieprzyjacielskiej artylerii. Natomiast zejście ze szlaków groziło utonięciem”.

W jednym z nielicznych listów do siostry, w którym opisuje szczegóły samej wojny, porucznik James Edwin Rooke – wracający wtedy do zdrowia w Sussex – wspomina, że jego znajomy, sierżant McKay, utopił się w leju, podczas gdy ranny porucznik leżał obok i nie mógł mu pomóc.

O życiu Jamesa Edwina Rooke’a po wielkiej wojnie napisano bardzo wiele. Wielu opłakiwało jego postanowienie, że nie będzie już publikować żadnych wierszy. W roku 1919 przeszedł na katolicyzm, co przyprawiło jego rodzinę i przyjaciół o szok. Gdy w roku 1921 został mnichem, wszyscy się go wyrzekli. W następnych latach korespondowała z nim tylko młodsza siostra, Eleanor.

„Wiersze z okopów” Rooke’a okryły się sławą i zaczęły żyć własnym życiem, ale ich autor wycofał się z literackiej sceny. Tylko niewielu z poetów, którzy wzorowali się na nim w latach trzydziestych i czterdziestych, wiedziało, że ich autor żyje, choć w odosobnieniu, w tym czy innym z francuskich klasztorów.

Twórczość literacka Rooke'a z tych dziesięcioleci, choć dobrze zbadana przez literaturoznawców, składa się niemal wyłącznie z listów do siostry oraz sporadycznej (lecz fascynującej) korespondencji, jaką prowadził ze swym przyjacielem Teilhardem de Chardin. Jediną książką, którą opublikował, własnym sumptem, były „Pieśni z ciszy” (John Murray Publishers Ltd, 1938), seria poematów prozą opisujących kontemplacyjne życie, jakie wiódł w benedyktyńskim Opactwie Świętego Wandrille'a oraz długie wizyty (niekiedy trwające lata) w klasztorze cystersów La Grande Trappe, Opactwie w Solesmes oraz klasztorach na skałach w Kapadocji.

Badacze wskazują, że kościelne życie ojca Rooke'a nie miało w sobie nic z monastycyzmu. Zawsze wyrażał miłość do życia, często stojąc na granicy apostazji. W wąskich teologicznych kręgach, w których się obracał, ojciec Rooke zasłynął ze swej teorii „życia triumfującego”, podobnie jak jego przyjaciel Teilhard ze swych koncepcji moralnej i teologicznej ewolucji. Obaj kontynuowali swą fascynującą, pełną pasji korespondencję aż do śmierci Teilharda w roku 1955.

W roku 1957 siostra Rooke'a, Eleanor, napisała do niego list, w którym pytała starzejącego się mnicha, dlaczego wyrzekł się radości, jaką dają żona i rodzina. Rooke odpowiedział jej w liście, który stał się sławny, choć jego znaczenie do tej chwili nie było do końca jasne. Zamieszczam tu ten list w całości.

15 września roku 1957 Opactwo Świętego Wandrille'a

Najdroższa Eleanor,

przeczytałem Twój list dzisiaj wieczorem, idąc drogą z Rouen do Yvetot. Zachwycił mnie, jak wszystkie Twoje listy, pełne bystrej inteligencji i łagodnego humoru. Zasmuciło mnie jednak, że wahasz się przed zadaniem mi pytania. Napisałaś: „Czekałam na to czterdzieści lat i teraz wiem, że powinnam zaczekać drugie czterdzieści”.

Nie musisz czekać tak długo, moja droga. Nie musisz czekać ani jednego dnia. Pytanie zadano i nie czuję się urażony.

Dziś wieczorem, gdy opat uderzył młotkiem i lektor przerwał czytanie, by zaintonować: *Tu autem Domine miserere nobis*, wszyscy wstaliśmy, żeby złożyć dzięki, podobnie jak w każdy poranek, południe i wieczór od prawie czterdziestu lat, dziękowałem nie osobowemu bądź bezosobowemu Bogu, lecz po prostu samemu faktowi życia za dar, jakim jest.

Jeśli chodzi o kwestię celibatu – czy, jak to staromodnie ujęłaś, mojego „wieloletniego zaprzeczenia fizyczności życia”, no cóż, Eleanor, czy kiedykolwiek spotkałaś kogoś, kto cieszyłby się fizyczną stroną życia bardziej niż ja? Czy naprawdę sobie wyobrażasz, że kiedy dzisiaj po południu skończyłem pielic ostatnią grządkę groszku w ogródku między opactwem a lasem, pot zalewający mi oczy i spływający pod szorstkim habitem nie sprawiał mi fizycznej przyjemności?

Wiem jednak, że chodziło ci o małżeństwo, czy – wyrażając się ściślej – o miłość fizyczną.

Nie pamiętasz, jak wiele lat temu napisałem Ci, że wziąłem ślub. Nie mam na myśli, że czułem się, jakbym wziął ślub, albo zachowywałem się tak, jakbym to zrobił. Naprawdę go wziąłem. Powinienem nosić obrączkę, jak zakonnice z Rouen, które w ten sposób demonstrują, że poślubiły Chrystusa.

Ale ja nie poślubiłem Chrystusa. Szanuję Go i z upływem lat coraz bardziej interesuję się Jego nauczaniem, zwłaszcza tezą, że Bóg dosłownie jest Miłością, ale nie poślubiłem Galilejczyka.

Tak, moja droga, wiem, że to herezja, nawet dla obojętnej religijnie anglikanki, takiej jak Ty, która czasem wierzy, a czasem nie. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby opat, mój drogi brat Theophylaktos albo ojciec Gabriel usłyszeli te słowa z moich ust! Dziękuję niebu za śluby milczenia.

Nie poślubiłem Chrystusa ani żadnego konwencjonalnego wyobrażenia Boga, lecz samo Życie. Wysławiam Je każdego dnia i zawsze czekam, aż mnie odwiedzi, w chwili gdy moje małe życie wydaje się bliskie końca. Codziennie odnajduję Je w najdrobniejszych szczegółach – blasku słońca padającym na szorstki tynk w mojej celi, dotyku wełnianego habitu, smaku świeżej fasoli, której bronilem swą motyką przez tak wiele upalnych miesięcy.

Eleanor, nie sądzę, bym przez swą miłość do Życia opuścił Boga. Po prostu rozumiem – wytłumaczono mi to – że można Go odnaleźć tylko w tym Życiu, a czekanie na następne jest szaleństwem.

Oczywiście, zapytasz teraz, jak mogę izolować się od świata, jeśli wierzę w radość Życia. Mnie samemu niełatwo jest to pojąć.

Po pierwsze, nie uważam pobytu w klasztorze za ucieczkę od życia. Jest on – mam nadzieję, że udowodniłem to w małej, prostej książeczce, którą wysłałem Ci piętnaście albo szesnaście lat temu (mój Boże, czas szybko leci, nieprawdaż, siostrzyczko?) – moim sposobem radowania się życiem. Książeczka mogła być daleka od doskonałości, starałem się jednak pokazać w niej cudowną prostotę takiego stylu życia. To tak, jakbym był smakoszem i zamiast osłabiać swój apetyt przez obżarstwo zjadałbym tylko maleńkie kąski najwspanialszych potraw.

Kocham Życie, Eleanor. To bardzo proste. Gdybym miał wybór, żyłbym wiecznie, akceptując ból i żalobę, jako coś, co mi się należy, i ucząc się z upływem czasu akceptować nawet gorzki smak smutku. Alternatywą jest Dziecko, Które Pożera.

Wiem, że to nie ma sensu, moja droga. Być może wiersz, który załączam, napisany jakiś czas temu, rzuci trochę światła na mętny tuman słów, który wzbiłem w powietrze. Poeci zawsze mają trudności z wypowiedaniem się jasno.

Proszę, napisz do mnie wkrótce. Chciałbym się dowiedzieć, jak zdrowie Twojego drogiego męża (mam nadzieję, że się poprawia; będę się o to modlił), a także, jak się powodzi Charlesowi i Lindzie w wielkim mieście. (Nie poznałbym Londynu, gdyby jakimś cudem mnie tam przeniesiono. Ostatnio widziałem go w czasie nalotów i choć morale mieszkańców było bardzo wysokie, samo miasto widziało lepsze czasy. Powiedz mi, czy balony zaporowe nadal tam nim wiszą? Żartuję. W pubie – nadal tak go nazywam – nieopodal dworca w pobliskiej wiosce mają telewizor i w zeszłym miesiącu, po drodze na konferencję w Rouen, widziałem kawałek filmu, którego akcja toczy się w Londynie. Nie było żadnych balonów).

Napisz do mnie, Eleanor, i wybacz bratu upór oraz przewrotność. Któregoś dnia dorosnę.

Twój kochający brat,
James

{Od redakcji: Do listu dołączono zamieszczony poniżej wiersz}.

WIELKI KOCHANEK

*Byłem wielkim kochankiem, dni me wypełniały
Nieustanne splendoru Miłości pochwały,
Ból, spokój i ciężłe zdumienie,
Pożądanie bez granic i zaspokojenie.
Tym wszystkim ludzie chcą się bronić przed rozpaczą,
Kiedy bezładne strumienie zobaczą,
Niosące nasze serca na oślepej drodze życia mroki.
Teraz, gdy słychać już bezmyślnej ciszy kroki,
Chciałbym jak najdłużej odwlec nadejście mej nocy,
Aż się zapiszę w dziejach blaskiem wielkiej mocy,
Staną się przyćmiewającą wszystko gwiazdą przewspaniałą,
Czyż nie chciałbym ukoronować nieśmiertelną chwałą
Tych, których kochałem, którzy coś mi dali,*

Zdradzali swe sekrety, wraz ze mną klękali
Przed nieopisaną rozkoszy boskością?
Miłość to płomień: – wypełniliśmy noc świata światłością.

Miasto: – wspólnie je zbudowaliśmy
Cesarz: – śmierci świat nauczyliśmy
Zatem dla wszystkich obiektów miłości,
Dla jej wielkiej sprawy i dla lojalności
Wyliczę ich nazwy na wieki trwające
Majestatyczne orły, płomienie płaczące,
I uczynię z nich sztandar, symbol przypomnienia,
Żeby zapamiętały przyszłe pokolenia
Z nieustającym wichrem czasu mknące...

Oto co kochałem:

Talerze i filizanki od czystości lśniące
Z ich niebieskimi obwódkami; twardą skórkę chleba;
Wilgotne dachy w blasku padającym z nieba;
Smaki najprzeróżniejsze; leciutki pył wrózek;
Tęcze i gorzką woń drzewnego dymu smużek;
W kielichach kwiatów błyski kropelek promiennych;
I same kwiaty, które drżą w dnia chwilach bezsennych,
Śniąc o ómach pijących soki, gdy księżyc się złoci;
Powrót do chłodnej pościeli dobroci,
Przeganiającej kłopoty; twarde i męskie
Pocałunki koców i włosy zwycięskie,
Nareszcie uwolnione; i chmury burzowe,
Beznamiętne piękno maszyny parowej;
Błogosławieństwo ciepłej wody; miękki dotyk futra;
Miłą woń starych ubrań; czekanie do jutra;
Zapach przyjaznych palców, włosów i bielizny;
I tę tak dobrze mi znaną woń stęchlizny,
Zalegającą wokół zeschniętych liści i starych paproci;
Znane imiona i tysiąc innych rzeczy na myśl mi przychodzi:
Sztuczne ognie, plusk wody ze źródła bądź z kranu;
Dziury w ziemi i dźwięki pieśni usłyszanej rano;
A także śmiech i ciało ból cierpiące,
Co spokój szybko znajdzie; pociągi potężnie sapiące;
Twardy piasek i morską pianę lekką,
Co brązowieje i znika, gdy fale uciekną;
Krótkotrwały blask opłukanych przez morze kamieni;

Zimną groźbę żelaza; zapach czarnej ziemi;
Sen; wysokie wzgórza i w rosie widoczny ślad pięty;
I dęby, i śliczne brązowe źrebięta;
Obdarte z kory patyki; kałuże na trawie;
To są moje miłości, żadnej nie zostawię;
Lecz nie wszystkie me pragnienia tę próbę przetrwają,
Nie wszystkie me modlitwy tak wielką moc mają,
By przez wrota śmierci za mną podążyły.
Zdezercerują, czmychną i podadzą tyły.
Okrutnie złamią święte miłości przymierze
I w proch obrócą wszystko to, w co wierzę.
Lecz z pewnością nadejdzie powrót świadomości
I będę mógł dać to, co mi zostało z miłości,
Nowym przyjaciółom, nowym nieznajomym... lecz
najlepsze rzeczy
Zostaną tu i zmienią się pozbawione pieczy,
Zestarzeją się, zwiędną, pochłoną je dzieje,
Znikną z pamięci żywych, nic nie ocaleje.
O, moje miłości, jak zawsze niestałe,
Zostawię po was wspomnienia wspaniałe.
I ludzie zachwyceni przyszłości porankiem
Rzekną: „Wszystko to jest piękne, był wielkim kochankiem”.
[16]

{Od redakcji: James Edwin Rooke zmarł na raka w lipcu 1971 roku. Miał 83 lata}.

Notatki o prawdziwych autorach

1. Siegfried Sassoon – „Brzęk łopat”.

Siegfried Sassoon urodził się w roku 1886, ukończył Marlborough College, a potem Clare College w Cambridge. Służył w Sussex Yeomanry i w Fizylierach Walijskich. Zaskłynął jako niewiarygodnie odważny oficer. Został poważnie ranny i odznaczono go Krzyżem Wojskowym nim jeszcze wziął udział w bitwie nad Sommą.

Sassoon był pierwszym znaczącym poetą, który otwarcie krytykował brak postępów w prowadzeniu wojny. Tworzone przez niego brutalnie realistyczne wiersze stały się wzorem dla całego pokolenia poetów z okopów. Jego

antywojenną poezję oraz protesty początkowo uznano za objaw nerwicy frontowej i umieszczono go w zakładzie psychiatrycznym, gdzie poznał Wilfreda Owena, innego wybitnego poetę antywojennego. Owen napisał o Sassoonie: „Uważam Cię za Keatsa + Chrystusa + Eliasza + mojego pułkownika + plus mojego spowiednika + Amenophisa IV z profilu”.

W przeciwieństwie do większości młodych poetów, Sassoon przeżył wojnę i został redaktorem literackim „Daily Herald”. Przez całą karierę pisarską wojenne doświadczenia pozostawały jego obsesją. Jego beletryzowany dziennik, *Memoirs of the Infantry Officer*, jest być może najlepiej znanym pamiętnikiem z lat wojny. Sassoon zmarł w 1967 roku.

2. A.G. West – „Nocny patrol”.

3. A.G. West – „Nie mieliśmy światła...”.

4. Wizje zaczerpnięte z wiersza Ruperta Brooke’a „Wielki Kochanek”.

Rupert Brooke był kwintesencją romantycznego poety wojennego. Urodził się w 1887 roku i ukończył Rugby School, a potem King’s College. Wielbiciel jego wierszy – Pierwszy Lord Admiralicji Winston Churchill – załatwił mu przydział do Royal Naval Division. Brooke uczestniczył w walkach pod Antwerpią w roku 1914, pisał patriotyczne wiersze o tym, że jest gotowy umrzeć za ojczyznę (i niemal tego pragnie). Umarł z powodu zakażenia krwi podczas transportu do Gallipoli w 1915 roku. Pochowano go na greckiej wyspie Skiros. Jego życie, wiersze, śmierć i pogrzeb natychmiast stały się legendą. Barwna, lecz przesadnie romantyczna wizja wojny Ruperta Brooke’a drastycznie się różni od gorzkich wierszy jego współczesnych, którzy pożyli dłużej i mogli być świadkami grozy następnych bitew oraz ujrzeć niewiarygodną głupotę długiej wojny na wyniszczenie.

5. Wilfred Owen – „... gdybyś w dławiącym jakimś śnie mógł kroczyć”.

Wilfred Owen urodził w roku 1893, uczył się w Birkenhead Institute, a następnie na Uniwersytecie Londyńskim. W 1915 roku zaciągnął się do oddziału Artists’ Rifles i walczył we Francji od stycznia do czerwca 1917 roku. Z powodu załamania nerwowego odesłano go do zakładu psychiatrycznego, gdzie poznał Siegfrieda Sassoon, który wkrótce stał się jego mentorem. Sassoon przedstawił Owena poetom Robertowi Gravesowi i Robertowi Nicholsowi, którzy walczyli nad Sommą.

Choć Owen był rozgoryczony sposobem prowadzenia wojny i stał się pacyfistą, wrócił na front i został dowódcą kompanii, stawiającym na pierwszym miejscu ratowanie życia swych podkomendnych. Niedługo przed śmiercią napisał: „Moje zmysły są wypalone. Nawet nie wyjmuję papierosa z ust, kiedy piszę »Adresat nie żyje« na ich listach”.

W październiku 1918 roku Wilfreda Owena odznaczono Krzyżem Wojskowym za niezwykłą odwagę. 4 listopada zginął od ognia karabinu maszynowego nad Sombre Canal. Wielu uważa go za najlepszego poetę czasu wojny.

6. *Z Official Medical History of the War* (HMSO).

7. Piosenka marszowa 13. Batalionu Brygady Strzelców.

8. Siegfried Sassoon – „Chwała kobiet”.

9. Charles Sorley – „Niech na waszych ustach śpiew...”

10. Charles Sorley – „Gdy ujrzysz w snach trupów miliony bezgłośnie...”

Charles Sorley urodził się w roku 1895, ukończył Marlborough College i uzyskał stypendium w University College w Oxfordzie, ale w sierpniu 1914 roku zaciągnął się do 12. Pułku Piechoty. Przed upływem roku awansował na stopień kapitana. Zginął pod Loos 13 października 1915 roku. Choć w chwili śmierci miał dopiero dwadzieścia lat, John Masefield i inni uważali go za najbardziej obiecującego z poetów czasu wojny. Jego zbiór, *Marlborough and Other Poems*, wydany w roku 1916 zdobył ogromną popularność. Najślawniejszy z jego wierszy, „The Song of the Ungirt Runners”, recytowały w szkołach całe pokolenia dzieci.

W liście do domu, do którego dołączył trochę wierszy, Sorley napisał: „Z pewnością zauważycie, że większość wierszy, które ostatnio stworzyłem, jest niezgrabna i pośpieszna, podobnie jak mój charakter pisma. Notowałem je w różnych chwilach i kartki zabrudziły mi się w kieszeni, ale nie miałem czasu, by je wygładzić, i nie zanoszę na to, bym wkrótce miał go mieć.

11. Żołnierska piosenka – „Świata w jeden dzień nie stworzono”.

12. Andrew Marvell – „Definicja miłości”.

Ten wiersz cytował Guy Chapman w swej książce *A Passionate Prodigality*, opublikowanej w 1933 roku. Przywołany pamiętnik jest wspaniałym wprowadzeniem do obrazu bitwy nad Sommą z punktu widzenia oficera. Chapman poświęcił ją „pewnym żołnierzom, którzy obrócili się w garść chrześcijańskiego prochu”. Guy Patterson Chapman urodził się w 1889 roku. Od 1914 do 1920 służył w 13. Batalionie i w Fizylierach Królewskich. Był jednym z nielicznych pisarzy, którzy po zakończeniu wojny zaciągnęli się ponownie. W późniejszych latach był adwokatem, pisarzem, wydawcą, historykiem oraz profesorem historii najnowszej na uniwersytecie w Leeds. Zmarł w roku 1972.

Poeta Andrew Marvell żył w latach 1621–1678.

13. A.P. Herbert – „Generał odwiedził okopy...”.

Jako oficer Royal Naval Division Alan (A. P.) Herbert był obecny przy tym, jak generał Shute dawał ochrzani ludziom z 63. Dywizji z powodu odchodów w ich okopach. Dywizja dopiero co przejęła okopy zajmowane przedtem przez Portugalczyków i żołnierze byli niezadowoleni ze słów Shute’a. „Wiersz” Herberta szybko stał się piosenką śpiewaną na melodię *Wrap Me Up in My Tarpaulin Jacket* w całej dywizji, a później w całej armii.

Ironia tej sytuacji polega na tym, że choć generał Shute zasłynął jako pedant, a także służbista, wielu podkomendnych podziwiała go za wielką odwagę i gotowość czołgania się po ziemi niczyjej razem z patrolami. Jednakże dzięki utworowi Herberta Shute’a zapamiętano jako generała, który odwiedził okopy.

14. Byron (lord George Gordon) – „The Prisoner of Chillon and Other Poems of 1816”.

15. Wilfred Owen – „Kim oni są...”.

16. Rupert Brooke – „Wielki kochanek”.

Przypisy

1. W. Shakespeare, *Romeo i Julia*, przeł. S. Barańczak. [\[wróć\]](#)
2. *New Frontier*, program wyborczy J. F. Kennedy'ego w kampanii prezydenckiej w 1960 r. (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
3. Doughboy (ang.), w wolnym przekładzie „pączuszek”: określenie żołnierza piechoty amerykańskiej, zwłaszcza podczas I wojny światowej (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
4. Amerykańskie federalne święto pracy (Labor Day) jest obchodzone w pierwszy poniedziałek września (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
5. Cytat z dialogu *Kratylos* Platona, przełożyła Zofia Brzostowska. [\[wróć\]](#)
6. Fragment *Pieśni o Rolandzie*, przełożył Tadeusz Boy-Żeleński. [\[wróć\]](#)
7. Cytat z książki Apsleya Cherry'ego Garrarda *Na krańcu świata*, przełożył Jacek Spólny. [\[wróć\]](#)
8. Cytat z książki Apsleya Cherry'ego Garrarda *Na krańcu świata*, przełożył Jacek Spólny. [\[wróć\]](#)
9. Cytaty z książki Apsleya Cherry'ego Garrarda *Na krańcu świata*, przełożył Jacek Spólny. [\[wróć\]](#)
10. Cytat z „Boskiej Komedii” Dantego w przekładzie Juliana Korsaka. [\[wróć\]](#)
11. Fragment wiersza Wilfreda Owena „Dulce et decorum est” w przekładzie Janusza A. Ichnatowicza. [\[wróć\]](#)
12. Fragment wiersza Andrew Marvella „Definicja miłości” w przekładzie Stanisława Barańczaka. [\[wróć\]](#)
13. Fragment wiersza Byrona „Ciemność” w przekładzie Adama Mickiewicza. [\[wróć\]](#)